

JOHN IRVING



Prószyński i S-ka

JOHN IRVING



Przełożyła
Magdalena Gawlik-Małkowska



& p40

Prószyński i S-ka

*Dla mojego najmłodszego syna Ewretta,
który sprawił, że znów poczułem się młody,
z żarliwą nadzieją, że gdy dorośnie na tyle,
aby przeczytać tę opowieść,
będzie miał za sobą dzieciństwo idealne
lub będzie w jego trakcie,
możliwie jak najbardziej różne
od opisanego w niniejszej książce.*

To, co my, a w każdym razie ja, tak pewnie nazywamy pamięcią - w odniesieniu do chwili, sceny, faktu ocalonego przed zapomnieniem - tak naprawdę stanowi formę opowieści, która nieustannie płynie w naszym umyśle i zmienia się przy każdej próbie werbalizacji. Życie kryje w sobie zbyt wiele sprzecznych interesów emocjonalnych, aby podlegać bezkrytycznej akceptacji, i być może zadaniem opowiadającego jest w taki sposób przedstawić fakty, by zgadzały się z zakończeniem. Tak czy inaczej, mówiąc o przeszłości, kłamiemy jak z nut.

William Maxwell, „Do widzenia, do jutra”

1

• • • • •

Morze Północne i Bałtyckie

1 • Pod opieką kongregacji i absolwentek

Wedle słów matki, Jack Burns był aktorem, zanim tak naprawdę nim został, lecz jego najżywszym wspomnieniem z dzieciństwa były chwile, gdy czuł się zmuszony ująć ją za rękę. Wtedy nie grał.

Oczywiście nie pamiętamy wiele z okresu, nim skończymy cztery lub pięć lat, nasze najwcześniejsze wspomnienia zaś są nad wyraz wybiórcze, niekompletne, a nawet zafałszowane. To, co w mniemaniu Jacka było pierwszą okazją, gdy zapragnął chwycić matczyną rękę, najpewniej nastąpiło setny bądź dwusetny raz.

Testy przedszkolne wykazały, iż Jack Burns dysponował rozwiniętym nad wiek zasobem słownictwa, co często się zdarza wśród jedynaków nawykłych do rozmów z dorosłymi, a zwłaszcza jedynaków wychowywanych przez jedno z rodziców. Istotniejsza jednak była, według testów, jego pamięć następstwa zdarzeń, którą w wieku trzech lat miał na poziomie dziewięciolatka. W wieku lat czterech zdolność Jacka do zapamiętywania szczegółów i pojmowanie linearności czasu równały się umiejętnościom dziecka jedenastoletniego. (Owe szczegóły dotyczyły - lecz nie zamykały się na nich - spraw trywialnych, takich jak elementy garderoby oraz nazwy ulic).

Wyniki wspomnianych testów wywarły ogromne wrażenie na Alice, matce Jacka, która uważała syna za roztrzepanego; twierdziła, iż jego skłonność do fantazjowania czyni go nad wiek niedojrzałym.

Jesienią 1969 roku, kiedy Jack miał cztery lata i jeszcze nie chodził do przedszkola, matka zaprowadziła go na róg Pickthall i Hutchings Hill Road w Forest Hill, ładnej dzielnicy Toronto. Czekali na koniec lekcji, tak aby, jak wyjaśniła Alice, Jack mógł zobaczyć dziewczęta.

Święta Hilda nosiła wówczas nazwę „kościelnej szkoły dla dziewcząt” od przedszkola aż do trzynastej klasy, istniejącej jeszcze wtedy w Kanadzie. Zgodnie z postanowieniem matki, właśnie tutaj Jack miał rozpocząć edukację, pomimo że był chłopcem. Alice odczekała z zakomunikowaniem mu tej decyzji do chwili, gdy główne drzwi otworzyły się zachęcająco i na zewnątrz wyległa gromada dziewcząt w rozmaitych stadiach niechlujstwa i wdzięku, o ponurych, a niekiedy egzaltowanych minach.

- W przyszłym roku - oznajmiła Alice - Święta Hilda przyjmie chłopców. Kilku, i tylko do czwartej klasy.

Jack nie mógł się ruszyć; ba, ledwie mógł oddychać. Dziewczęta mijaly go ze wszystkich stron, niektóre wielkie i hałaśliwe, wszystkie zaś w mundurkach w kolorach, jakie w przyszłości miał uznać za pogrzebowe, a mianowicie brązowym i szarym. Dziewczęta nosiły szare swetry bądź brązowe blezery, zarzucone na białe bluzki.

- Przyjmą cię - zapewniła go matka. - Już ja tego dopilnuję.

- Jak? - spytał.

- Jeszcze nie wiem - odrzekła Alice.

Dziewczęta miały na sobie szare marszczone spódnice oraz długie szare skarpety, które Kanadyjczycy nazywają „podkolanówkami”. Jack po raz pierwszy ujrzał tyle gołych nóg. Jeszcze nie pojmował, co za wewnętrzny niepokój kazał dziewczętom opuszczać skarpetki do kostek, a przynajmniej poniżej łydki, wbrew szkolnemu regulaminowi, nakazującemu nosić podkolanówki pod kolanami.

Jack Burns stwierdził ponadto, że dziewczęta w ogóle go nie zauważyły albo spoglądały przez niego, jak gdyby był przezroczysty. Lecz znalazła się jedna starsza dziewczyna o kobieco zaokrąglonych piersiach oraz biodrach i ustach równie pełnych jak usta Alice, która utkwiała wzrok w oczach Jacka, jakby nie mogła odwrócić głowy.

Mając cztery lata Jack nie był pewien, które z nich tak naprawdę uległo magii chwili. Bez względu na stan faktyczny dziewczyna spoglądała na niego tak domyślnie, że z

przeżycia dostał gęziej skórki. Może zobaczyła, jak będzie wyglądał jako nastolatek bądź dorosły mężczyzna, co wzbudziło w niej tęsknotę i desperację. (Lub lęk i poniżenie, jak stwierdził pewnego dnia Jack Burns, kiedy ta sama dziewczyna nieoczekiwanie odwróciła wzrok).

Jack i jego mama stali w morzu dziewcząt, dopóki tupot oraz deprymujące, acz zaraźliwe wybuchy śmiechu nie ustąpiły pola ciszy. W ciepłym, wczesnojesiennym powietrzu zawisła wszelako ich woń, którą chłopiec z wahaniem wciągnął w płuca, mylnie biorąc ją za zapach perfum. Nie były to bowiem perfumy, lecz aromat samych dziewcząt, którego Jack Burns nigdy nie miał traktować obojętnie i który zawsze bezbłędnie rozpoznawał. Nawet gdy skończył już czwartą klasę.

- Ale dlaczego tutaj? - zapytał matkę, kiedy ostatnia z dziewcząt znikła im z oczu. Na opustoszałej ulicy wirowały tylko opadłe liście.

- Bo to dobra szkoła - skwitowała Alice. - I z dziewczętami będziesz bezpieczny - uzupełniła.

Jack chyba nie podzielał zdania matki, gdyż ni stąd, ni zowąd chwycił ją za rękę.

Jesienią, na rok przed przyjęciem Jacka do Świętej Hildy, matka nie szczędziła chłopcu niespodzianek. Po zaprezentowaniu mu uczennic, które miały wkrótce zdominować jego życie, Alice oznajmiła, iż zamierza objechać północną Europę w poszukiwaniu ojca Jacka. Wiedziała, w których miastach w okolicy Morza Północnego i Bałtyckiego mógł się ukrywać; razem wytropią go i przypomną mu o jego „zaniedbanych obowiązkach”. Często mówiła tak o sobie i o Jacku. „Zaniedbane obowiązki”. Nawet w wieku czterech lat Jack rozumiał, że ojciec porzucił ich na dobre, i to jeszcze przed jego urodzeniem.

A kiedy matka zapewniała, że będzie po drodze zarabiać na życie, Jack wiedział, na czym będzie polegało to zajęcie. Podobnie jak jej ojciec, Alice wykonywała tatuaże. Była to jedyna rzecz, na której się znała.

W miastach znajdujących się na trasie ich podróży dostanie pracę w salonach tatuażu. Ich właściciele wiedzieli, że pobierała nauki u ojca, słynnego mistrza tatuażu z Edynburga, a dokładnie Port of Leith, gdzie miała nieszczęście poznać ojca Jacka. Tam też wpędził ją w kłopoty, a następnie porzucił.

Według relacji Alice, ojciec Jacka odpłynął na pokładzie „Nowej Szkocji”, zmierzającej do Halifaxu. Miał po nich przysłać, jak tylko dostanie dobrą pracę, tak przynajmniej obiecał. Jednakże Alice nigdy nie dostała od niego żadnej wiadomości, docierały do niej tylko wieści na jego temat. Przed opuszczeniem Halifaxu nie omieszkał wyciąć kolejnego numeru.

Urodzony jako Callum Burns, ojciec Jacka jeszcze na studiach zmienił imię na William. Jego rodzic nosił imię Alasdair, co, zdaniem Williama, wyczerpywało limit szkockości na całą rodzinę. W Edynburgu, w okresie poprzedzającym skandaliczną ucieczkę do Nowej Szkocji, William Burns współpracował z Królewską Akademią Organistów, co oznaczało, że prócz wyższego wykształcenia muzycznego posiadał dyplom z gry na organach. Kiedy poznał matkę Jacka, był organistą w parafii South Leith, gdzie Alice śpiewała w chórze.

Dla chłopaka o solidnym wykształceniu (przed rozpoczęciem studiów na Uniwersytecie Edynburskim uczęszczał do Heriota) i z marzeniami o high lifie posada organisty w robotniczym Leith mogła nosić znamiona degradacji. Lecz ojciec Jacka lubił żartować, że Kościół Szkocji płaci lepiej niż szkocki Kościół episkopalny. I jako że William należał do tego ostatniego, spodobała mu się praca w parafii South Leith, gdzie na cmentarzu spoczywało podobno jedenaście tysięcy wiernych, chociaż widniało tam nie więcej niż trzysta kamieni nagrobnych.

Biedakom nie przysługiwało prawo do pomników. Ale mama Jacka opowiadała, że nocą ludzie przynoszą prochy ukochanych zmarłych i wsypują je przez płot cmentarza. Myśl o rzeszach duszyczek kotłujących się w ciemnościach zsyłała na chłopca koszmary, jednakże

kościół cieszył się ogromną popularnością, Alice zaś święcie wierzyła, iż z chwilą gdy zaśpiewała tam dla Williama, umarła i poszła prosto do nieba.

W kościele South Leith chór i organy znajdowały się z tyłu. Chórzyści zajmowali dwadzieścia miejsc: najpierw kobiety, a mężczyźni za nimi. William nalegał, aby podczas kazania Alice wychylała się do przodu, tak by mógł ją widzieć. Nosiła niebieską szatę (niebieską jak sójka amerykańska, opowiadała Jackowi) z białym kołnierzem. Zakochała się w Williamie w kwietniu 1964 roku, gdy po raz pierwszy zjawił się w parafii, by zagrać na organach.

- Śpiewaliśmy pieśni o Zmartwychwstaniu - mówiła - a przed kościołem rosły krokusy i żonkile. (Niewątpliwie prochy zmarłych skutecznie użyźniały glebę).

Alice zaprowadziła młodego organistę, który był zarazem kierownikiem chóru, na spotkanie ze swoim ojcem. Jego salon tatuażu nosił nazwę „Wytrwam”, co stanowi motto Port of Leith. Była to pierwsza wizyta Williama w podobnym miejscu. Salon mieścił się na Mandelson lub Jane Street. W owych czasach obie ulice łączył most kolejowy, biegnący w poprzek Leith Walk, lecz Jack nigdy nie zdołał zapamiętać właściwej nazwy ulicy. Wiedział tylko, że tam mieszkali, pośród łoskotu przejeżdżających pociągów.

Matka określała to mianem „sypiania na igłach”; był to zwrot z okresu międzywojennego. „Sypianie na igłach” oznaczało, że gdy bieda zaglądała do okien, człowiek musiał spać w warsztacie, albowiem nie miał gdzie mieszkać. Określenia tego użyto również, gdy pewien tatuażysta zmarł w swojej pracowni, podobnie jak ojciec Alice. I tak dziadek Jacka zawsze spał na igłach, w obydwu rozumieniach owego zwrotu.

Matka Alice zmarła przy jej narodzinach, ojciec zaś - którego Jack nigdy nie poznał - wychował ją w świecie tatuażu. W oczach Jacka Alice zawsze wyróżniała się na tle innych tatuażystów, ponieważ sama nie nosiła tatuży. Dziadek przekonywał, by zdecydowała się na nie dopiero wówczas, gdy pozna o sobie kilka istotnych prawd, a mianowicie takich, które nigdy nie ulegną zmianie.

- Czyli kiedy mi stuknie siedemdziesiątka - mawiała Alice, mając dwadzieścia parę lat. - A ty możesz sobie zrobić tatuaż po mojej śmierci - uzupełniała, dając synowi w ten sposób do zrozumienia, iż w ogóle ma wybić to sobie z głowy.

Ojciec Alice z miejsca poczuł antypatię do Williama Burnsa, który kazał sobie zrobić tatuaż już pierwszego dnia ich znajomości. Tatuaż opasywał jego prawe udo, dzięki czemu mógł go oglądać, siedząc w toalecie. Były to początkowe nuty hymnu wielkanocnego, który ćwiczył wraz z Alice, rozpoczynającego się od słów: „Chrystus nasz Pan z martwych powstał dziś”. Ze względu na brak tekstu, aby go rozpoznać, należało umieć czytać nuty i siedzieć bardzo blisko ojca Jacka, na przykład na sąsiednim sedesie.

Wówczas jednak, robiąc młodemu, zdolnemu organście jego pierwszy tatuaż, ojciec Alice oznajmił, że William ma zadatki na „nałogowca”, „kolekcjonera”, inaczej mówiąc, kogoś, kto nie poprzestanie na pierwszym ani nawet na dwudziestym tatuażu. Będzie się tatuował dopóty, dopóki jego ciało nie zacznie przypominać pięciolinii, a każdy jego skrawek zostanie pokryty nutami. Złowroga przepowiednia, lecz Alice puściła ją mimo uszu. Organista z obsesją tatuży zdążył już skraść jej serce.

Jack Burns poznał większą część wspomnianej historii, jeszcze nim ukończył cztery lata. Zdziwiły go natomiast słowa matki, która spuentowała zapowiedź rychłego wyjazdu następującą deklaracją: „Jeśli dokładnie za rok, kiedy będziesz zaczynał szkołę, nie odnajdziemy twego ojca, puścimy go w niepamięć”.

Było to tym bardziej zaskakujące, że owe poszukiwania trwały praktycznie od chwili, kiedy Jack zaczął rozumieć, iż jego ojciec zaginął (czy też raczej dał nogę), i nic nie wskazywało na to, by kiedykolwiek miały się zakończyć. Myśl o „puszczeniu go w niepamięć” zdawała mu się bardziej obca niż perspektywa podróży na północ Europy. Poza

tym Jack szczerze wątpił, by matka kierowała się w tym względzie rozpoczęciem roku szkolnego.

Sama nie skończyła szkoły i uniwersyteckie wykształcenie Williama przez długi czas nie dawało jej spokoju. Rodzice Williama pracowali w szkolnictwie podstawowym i dorabiali korepetycjami z gry na fortepianie, lecz nad wyraz cenili sobie edukację artystyczną wyższego stopnia. W ich przekonaniu William marnował się na posadzie organisty w South Leith, i to nie tylko z powodu różnic klasowych pomiędzy Edynburgiem i Leith. (Istniał również konflikt pomiędzy szkockim Kościołem episkopalnym i Kościołem Szkocji).

Ojciec Alice nie był praktykującym chrześcijaninem. Posłał Alice do kościoła i dał jej pozwolenie na występy w chórze, aby poznała życie poza salonem tatuażu; nigdy nie powstało mu w głowie, że to właśnie one doprowadzą ją do zguby, a sprawca owej klęski przyjdzie do niego po tatuaż!

To rodzice Williama nalegali, by porzuciwszy posadę głównego organisty w parafii South Leith, syn zatrudnił się jako asystent u Świętego Pawła. Liczył się fakt, że Święty Paweł należał do Kościoła episkopalnego, no i znajdował się w Edynburgu, a nie w Leith.

Williama urzekły same organy. Rozpoczął lekcje gry na fortepianie w wieku sześciu lat i po raz pierwszy zagrał na organach jako dziewięciolatek, mając jednakże lat siedem lub osiem jał zatykać nad klawiszami kawałki papieru i wyobrażał sobie, że to rejestry. Zaczął marzyć o grze na organach, najbardziej zaś marzył o tych zwanych Ojcem Willisem u Świętego Pawła.

Nawet jeśli, zdaniem jego rodziców, rola asystenta u Świętego Pawła była bardziej prestiżowym stanowiskiem niż posada głównego organisty w parafii South Leith, Williamowi chodziło jedynie o Ojca Willisa. Według Alice, czynnikiem przesądającym o sławie organów była akustyka. Jack zastanawiał się potem, czy chciała przez to powiedzieć, że każde organy brzmiałyby tam dobrze, ponieważ pogłos (czyli czas, w jakim dźwięk cichnie o sześćdziesiąt decybeli) w gruncie rzeczy przewyższał jakością Ojca Willisa.

Alice wspominała udział w tak zwanym maratonie organowym u Świętego Pawła. Zapewne zorganizowano go dla celów dobroczynnych: był to dwudziestoczworgodzinny koncert, podczas którego organiści zmieniali się co godzina bądź co pół. Kolejność ustalano oczywiście według hierarchii: najlepsi grali w okresie największej słuchalności, pozostałym zaś przypadały występy przed przeredzonym audytorium. Młody William Burns miał zagrać mniej więcej o jedenastej trzydzięci wieczorem.

Kościół był wypełniony do połowy albo nawet nie. Matka Jacka była najbardziej przejętą osobą na widowni. Nieco późniejszy organista, któremu przypadły w udziale popisy o północy, też zajmował miejsce wśród słuchaczy.

William nie zamierzał trwonić legendarnego pogłosu Świętego Pawła na cichy utwór. Jack wywnioskował z opowieści matki, iż ojciec grał po to, aby go usłyszano. Dlatego wybrał toccatę Boellmanna, którą Alice określała jako „żywą i hałaśliwą”.

Wzdłuż kościelnego muru biegła wąska aleja. Pod ścianą tkwił miejscowy pijaczek, jeden z edynburskich meneli, skulony w poszukiwaniu osłony przed deszczem. Padł zamroczony alkoholem bądź celowo ułożył się do snu; możliwe, że spędzał tam większość nocy. Lecz nawet pijak nie prześpi toccaty Boellmanna, choćby znajdował się na zewnątrz świątyni.

Alice z upodobaniem odgrywała jego entré. „Nie możecie się, kurwa, uciszyć? Jak człowiek ma, kurwa, spać, skoro walicie w te, kurwa, organy, jakbyście, kurwa, chcieli pobudzić umarłych?”.

Alice myślała, że za to bluźnierstwo pijak padnie rażony piorunem, lecz zanim Bóg zdążył zareagować, William podjął grę, i to ze wzmożonym zapalem. Grał tak głośno, że wszyscy, łącznie z nią samą, uciekli z kościoła. Następny wykonawca stał na deszczu obok

Alice. Pijaka nigdzie nie było widać. „Pewnie szukał wytchnienia poza zasięgiem toccaty Boellmanna!”.

Pomimo udanego występu William nie krył rozczarowania Ojcem Willisem. Powstałe w 1888 roku organy miałyby większą wartość, gdyby zachowano ich stan pierwotny. Niestety, zanim Williamowi dane było na nich zagrać, przy instrumencie majstrowano, poddając go procesowi renowacji oraz elektryfikacji, co stanowiło typowy przejaw antywiktorianizmu lat sześćdziesiątych.

Alice nie przywiązywała wagi do organów. Najbardziej wstrząsnął nią fakt, że nie mogła przenieść się do Świętego Pawła razem z Williamem, w owych czasach śpiewał tam bowiem chór składający się wyłącznie z mężczyzn. A z ławki widziała jedynie plecy Williama.

Ależ zazdrościła temu chórowi! Nie tylko przechodził za krzyżem przez kościół, ale siedział z przodu, przed wszystkimi, a nie z dala od oczu wiernych, jak w Leith. Jej rozpacz spotęgowała wiadomość, że nie była jedyną chórzystką, która zakochała się w Williamie, aczkolwiek jedyną, która zaszła z nim w ciążę.

Jako nowy pomocnik organisty u Świętego Pawła William Burns odpowiadał przed głównym organistą oraz przed księdzem; fakt, że uwiódł córkę tatuażysty z Leith, był solą w oku nie tylko jego ambitnych rodziców, ale i całego Kościoła episkopalnego. Czyją decyzją było, jak mówiła Alice, „przerzucenie go do Nowej Szkocji”, nigdy nie stało się dla Jacka jasne, lecz zarówno Kościół, jak i rodzice Williama najpewniej maczali w tym palce.

Odpowiednik Świętego Pawła w Halifaksie, w kanadyjskim Kościele anglikańskim, nosił identyczną nazwę. Nie było tu Ojca Willisa. Kościołem z najlepszymi organami w Halifaksie był pierwszy Kościół baptystów przy Oxford Street. William Burns został widać zmuszony do błyskawicznego podjęcia decyzji: nie wiadomo, jak inaczej wytłumaczyć fakt, iż postawił wyznanie na pierwszym miejscu. Zazwyczaj liczył się tylko z muzyką. Jednakże organista u Świętego Pawła w Halifaksie wybierał się na emeryturę, w związku z czym nie należało zwlekać.

Numer wycięty rzekomo przez Williama w Halifaksie dotyczył jednej bądź dwu chórzystek. (Szeptano również o pewnej starszej kobiecie). Życzliwość anglikanów wyczerpała się w mgnieniu oka; zdaniem Alice, u baptystów nie zabawiłby ani jednego dnia dłużej.

Rodzice Williama utrzymywali podobno, że nie wysyłali mu żadnych pieniędzy ani nie taili przed Alice miejsca jego pobytu. To pierwsze jest wysoce prawdopodobne: oboje nigdy nie śmierdzili groszem. Co do drugiego stwierdzenia, Alice szczerze wątpiła w ich prawdomówność. Kiedy zaś William został zmuszony opuścić Halifax, co nastąpiło tuż przed przyjazdem Alice, z pewnością potrzebował pieniędzy. Zafundował sobie kolejny tatuaż u Charliego Snowa w Halifaksie, gdzie przyrządy zasilano akumulatorami samochodowymi. Następną pracę zaś znalazł (i jeszcze prędzej stracił) w Toronto dopiero po pewnym czasie.

Alice nigdy nie winiła Świętego Pawła z Edynburga za rolę, jaką kościół mógł odegrać w ucieczce kochanka. To właśnie tutejsi parafianie - a nie rodzima kongregacja z South Leith - zebrała fundusze na sfinansowanie jej podróży do Halifaxu.

Co więcej, kanadyjski Kościół anglikański w Halifaksie również nie migał się od udzielenia jej pomocy. Najpierw jednak umieszczono ją na plebanii na rogu Argyle i Prince Street, gdzie zaczęła na rozwiązanie. Była już wtedy w widocznej ciąży.

Podobno poród był ciężki. „Cesarka”, zakomunikowała matka, kiedy wyruszyli na podbój północnego świata. W wieku czterech lat chłopiec zachodził w głowę, co oznacza owo tajemnicze słowo. Dopiero później, podczas ich europejskich wojaży, było mu dane zgłębić jego sens. Wtedy też dowiedział się, iż właśnie dlatego nie może kapać się z matką ani oglądać jej nagiej. Alice nie chciała, żeby widział jej bliznę.

Tym sposobem Jack Burns przyszedł na świat w Halifaksie pod opieką wiernych z „drugiego” Świętego Pawła. W pamięci matki zapisali się oni jako nad wyraz życzliwi wobec

niepokornej dziewczyny z Kościoła Szkocji oraz pełni bezgranicznej pogardy dla lubieżnego organisty, który bądź co bądź należał do ich grona. Członkowie szkockiego Kościoła episkopalnego i kanadyjscy anglikanie wywodzili się z tego samego źródła. Wyglądało na to, że to właśnie z powodu anglikanów ze Świętego Pawła w Halifaxie William nie mógł się długo ukrywać w Toronto.

„Miał na karku kościół”, jak ujęła to Alice.

Po narodzinach Jacka matka rozpoczęła pracę u Charliego Snowa. Charlie był Anglikiem, który w czasie pierwszej wojny służył w Brytyjskiej Marynarce Handlowej; podobno urwał się ze statku w Montrealu, gdzie Freddie Baldwin, również Anglik i weteran wojny burskiej, wprowadził go w arkana sztuki tatuazu.

Freddie Baldwin i Charlie Snow znali Wielkiego Omi. Ludzie płacili, żeby oglądać wytatuowaną twarz Wielkiego Omi; kiedyś przyjeżdżał do Halifaxu wraz z cyrkiem. Idąc do miasta, zakładał maskę narciarską. „Coby nie bawić gawiedzi za darmola”, tłumaczyła Alice. (Jack nabawił się przez to nowych koszmarów, gdyż nie mógł przestać sobie wyobrazać potwornych ornamentów, zdobiących twarz nieszczęśnika).

Od Charliego Snowa Alice nauczyła się przemywać sprzęt alkoholem etylowym; czyściła rurki wyciorami moczonymi w alkoholu i co wieczór wyparzała igły w kociołku do gotowania na parze. „Takim jak do przyrządzania homarów”, mówiła.

Charlie Snow robił bandaże z płótna. „Wtedy mało kto słyszał o zapaleniu wątroby”, kwitowała Alice.

Poinformowała Jacka, że Freddie Baldwin zrobił Charliemu Snowowi jego najwspanialszy tatuaz. Na sercu Charliego widniał Siedzący Byk z twarzą skierowaną na generała Custer, umieszczonego po prawej stronie klatki piersiowej, który wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem. Dokładnie na mostku znajdował się imponujący żaglowiec, na którego sztandarze, łopoczącym w okolicach obojczyka Charliego, uwieczniono napis DO OJCZYZNY.

On sam zawiął do macierzystego portu dopiero w 1969 roku, kiedy to w wieku osiemdziesięciu lat oddał ducha. (Zmarł w wyniku perforacji wrzodu). Alice wiele się od niego nauczyła, jednakże dopiero Jerry Swallow pokazał jej sposób wykonania japońskiego karpia. Jerry Swallow pracował pod pseudonimem Marynarz Jerry, w 1962 roku został czeladnikiem Charliego. Alice lubiła mówić, że ona i Jerry Swallow „terminowali” u Charliego Snowa, choć tak naprawdę sama była uczennicą swego ojca w Port of Leith. .

Poznała tajniki tatuazu na długo przed przyjazdem do Halifaxu.

Jack Burns nie pamiętał swego miejsca urodzenia; do chwili ukończenia przez chłopca czterech lat Toronto było jedynym miastem, jakie znał. Był jeszcze niemowlęciem, kiedy jego matka wpadła na trop ojca, w pogoni za nim opuścili Halifax. Lecz William wyjechał przed nimi, co powoli stawało się już rutyną. Tak więc gdy chłopiec uświadomił sobie nieobecność ojca, William podobno wrócił do Europy, ponownie przepłynąwszy Atlantyk.

Znaczna część młodego życia Jacka upłynęła mu na rozmyślaniach, czy to kanadyjskie wyczyny ojca doprowadziły matkę do Świętej Hildy. Wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi szkoła ta zatrudniła Williama Burnsa do pracy ze starszym chórem, złożonym z dziewcząt od dziewiątej do trzynastej klasy. William udzielał również korepetycji z gry na fortepianie i organach; były one zarezerwowane wyłącznie dla starszych uczennic. Można sobie wyobrazić, co nastoletni Jack mógł pomyśleć o ojcowskich przygodach w szkole dla dziewcząt! (Bezcenny wkład w muzyczną edukację uczennic doceniono ponadto, mianując Williama głównym organistą podczas codziennych mszy świętych).

Sukcesy pod egidą Świętej Hildy rychło znalazły swój kres, czemu bynajmniej nie należy się dziwić. I choć pierwsza uległa czarowi nauczyciela muzyki panią z jedenastej klasy, to uczennica klasy trzynastej zaszła z nim w ciążę. Zawiózł ją wówczas do Buffalo na nielegalną aborcję. Kiedy Alice zjechała do miasta ze swoim nieślubnym dzieckiem, William

zdażył już uciec, a Jack i jego matka raz jeszcze dostali się pod opiekuńcze skrzydła wiernych.

Święta Hilda była szkołą anglikańską; szkolna kaplica, gdzie wiele absolwentek stawało na ślubnym kobiercu, pełniła funkcję lokalnego bastionu kanadyjskiego Kościoła anglikańskiego. W latach sześćdziesiątych uczelnia otrzymywała stypendia fundowane przez wpływowe Stowarzyszenie Absolwentek. Dzieci z rodzin duchownych miały w takich wypadkach pierwszeństwo; pozostałe stypendia przydzielano arbitralnie. Wieść o Alice i jej problemie (którym był oczywiście Jack) lotem błyskawicy obiegła środowisko anglikańskie, po czym dotarła do władz szkoły oraz uszu stowarzyszenia. I gdy Alice oznajmiła Jackowi, iż znajdzie się wśród garstki chłopców przyjmowanych do Świętej Hildy, chłopiec zrozumiał, że nie obyło się bez pomocy absolwentek.

Alice i Jack mieli w gruncie rzeczy dużo szczęścia, gdyż znaleźli dach nad głową u jednej z członkiń stowarzyszenia. Pani Wicksteed była prawdziwą weteranką organizacji. Co więcej, po śmierci swojego męża została również rzeczniką niezamężnych matek: nie tylko walczyła o ich prawa, ale i udzielała im schronienia.

Przepisowy okres jej żałoby już dawno minął; mieszkała niemal zupełnie sama w okazałym, acz skromnie urządzonej domu na rogu Spadina i Lowther, gdzie Jack i jego matka dostali do swej dyspozycji wolne pokoje. Obydwa pomieszczenia okazały się niezbyt duże i miały wspólną łazienkę, były jednak ładne, schludne i wysokie.

Gospodyni stowarzyszenia, kobieta imieniem Lottie, mieszkała kiedyś na Wyspie Księcia Edwarda i utykała na jedną nogę. To ona zajmowała się Jackiem, podczas gdy jego matka szukała zajęcia w jedynej znanej sobie branży.

W latach sześćdziesiątych Toronto nie zasługiwało na miano północnoamerykańskiej mekki tatuażu. Umiejętności Alice, uzyskane u ojca w Port of Leith, a następnie podszlifowane w Halifaxie pod czujnym okiem Charliego Snowa i Marynarza Jerry'ego, przerastały kwalifikacje lokalnych mistrzów. Alice biła na głowę Billa Falę Przypływu, który (z przyczyn niejasnych dla Jacka) nie zaproponował jej pracy, górowała też nad Chińczykiem, który z kolei nie omieszkał tego uczynić. Naprawdę nazywał się Paul Harper i wcale nie wyglądał na Chińczyka; doskonale zdawał sobie sprawę, że w 1965 roku Alice w Toronto nie miała sobie równych, i zatrudnił ją bez chwili wahania.

Pracownia Chińczyka znajdowała się na rogu Dundas i Jarvis. W pobliżu starego hotelu „Warwick” stał wiktoriański dom ze schodami prowadzącymi do suterenu. Pracownia mieściła się tam właśnie i człowiek wchodził do niej prosto z Dundas. Kotary w oknach były zawsze zasunięte.

Mały Jack Burns pamiętał czasem o Paulu Harperze w swoich modlitwach. Rzekomy Chińczyk pomógł Alice zyskać renomę w mieście, do którego zawsze odtąd miała powracać, czego nie można było powiedzieć o Jacku.

Nie warto bezgranicznie zdawać się na czyjąś życzliwość, gdyż nieomal każdy dług wdzięczności przyjdzie kiedyś spłacić. Podczas gdy Chińczyk zawsze postępował bezinteresownie, pani Wicksteed stanowiła przypadek zgoła odmienny. Jej dobra wola nie budziła wątpliwości, lecz określenie Jacka i Alice, jak mawiała jej rozwiedziona córka, mianem „darmowych lokatorów” byłoby nadużyciem słowa „darmowy”.

Pani Wicksteed szybko doszła do wniosku, iż akcent matki Jacka kładzie się cieniem na jej reputacji w stopniu większym nawet niż jej egzotyczna, ba, cokolwiek wątpliwa profesja. Krótko mówiąc, pani Wicksteed uznała, że matczyne gardłowe „r” stanowi pogwałcenie angielszczyzny (przynajmniej w wydaniu pani Wicksteed) i na resztę życia skazuje „biedną Alice” na mroki nizin społecznych.

Jako absolwentka o przepastnych kieszeniach i bezgranicznym oddaniu Świętej Hildzie pani Wicksteed zatrudniła młodą nauczycielkę angielskiego, niejaką pannę Caroline Wurtz, która miała pozbawić Alice owej obrazoburczej wymowy. W przekonaniu pani Wicksteed

panna Wurtz nie tylko była mistrzynią dykcji: cierpiała ponadto na brak wyobraźni, który pozwoliłby jej uznać akcent Alice za interesujący. Albo też po prostu nie znosiła Alice, jej akcent zaś uważała za najmniejszą przywarę.

Caroline Wurtz pochodziła z Niemiec i spędziła wiele lat w Edmonton. Była doskonałą nauczycielką. Każdego skutecznie wyleczyłaby z obcego akcentu, samo słowo „obcy” wypływała z niezachwianą pewnością siebie. Bez względu na przyczynę niechęci do Alice za Jackiem wprost przepadała. Nie mogła oderwać od niego oczu, tak jakby spoglądając na chłopca, czytała przyszłość z rysów jego twarzy.

Co do Alice, przywiązanie do Szkocji wyprowadziło ją na manowce; potulnie poddała się tresurze dykcji, tak jakby w jej ojczystym języku nie było nic, co zachowało dla niej jakąkolwiek wartość. Śmierć ojca - po przyjeździe do Halifaxu, ale przed narodzinami Jacka - i odejście Williama nie uczyniły jej godną przeciwniczką panny Wurtz.

Tym sposobem po jednej stronie Atlantyku straciła cnotę, a po drugiej swój szkocki akcent.

„Nie było wiele do stracenia” - wyznała któregoś dnia synowi. (Chłopiec uznał, że miała na myśli akcent). Alice nie sprawiała wrażenia rozżalonej zabiegami pani Wicksteed i panny Wurtz. Mimo braku wykształcenia nie była w ciemię bita. A pani Wicksteed okazała jej i Jackowi wiele dobroci.

Co do kulawej Lottie, chłopiec ją ubóstwiał. Wciąż brała go za rękę, zwykle go w tym ubiegając. A gdy go przytulała, robiła to nie tylko dla siebie, ale by okazać mu miłość.

- Wstrzymaj oddech - komenderowała, po czym oboje przytrzymywali powietrze w płucach, czując bicie swoich serc w złączonych klatkach piersiowych. - Żyjesz - stwierdziła w końcu Lottie.

- Ty też żyjesz, Lottie - odpowiadał chłopiec, nabierając tchu.

Jack dowiedział się później, że Lottie opuściła Wyspę Księcia Edwarda w tym samym stanie, w jakim jego matka popłynęła do Halifaxu, z tą różnicą, że dziecko Lottie przyszło na świat martwe po przyjeździe do Toronto, gdzie pani Wicksteed oraz pozostałe członkinie stowarzyszenia przyszły jej z pomocą. Mogły sobie należeć do Kościoła anglikańskiego lub episkopalnego, ale rządziły się własnymi prawami. A dla niebożątek pokroju Jacka i Alice ich opieka okazała się bardzo przydatna.

2 • Ocalony przez najmniejszego żołnierza

Ponieważ Stronach to nazwisko z Aberdeenshire, ojciec Alice, Bill Stronach, słynął w świecie tatuażu jako Aberdeen Bill, choć tak naprawdę przyszedł na świat w Leith i z Aberdeen miał niewiele wspólnego. Według Alice, jego jedynaczki, Bill Stronach spędził w tym mieście pijacki weekend (jeden z tych, kiedy wszystko idzie na opak), w wyniku czego przydomek Aberdeen przyłgnał doń aż do grobowej deski. Jako młody człowiek, jeszcze przed urodzeniem Alice, Aberdeen Bill podróżował z cyrkami. Nocą tatuował cyrkowców w ich namiotach, zwykle przy świetle lampy naftowej. Nauczył się uzyskiwać najlepszą czerń z sadzy, którą mieszał z melasą.

Jesienią 1969 roku, zanim Jack i jego matka wyruszyli do Europy, Alice napisała listy do tatuażystów z miast, które mieli odwiedzić po drodze. Informowała, że poznała tajniki fachu w Port of Leith; to, że była córką Aberdeen Billa, mogło służyć za dostateczną rekomendację. W portach Morza Północnego i Bałtyckiego każdy szanujący się tatuażysta o nim słyszał.

Jack i Alice najpierw pojechali do Kopenhagi. Pracownia Olego Hansena znajdowała się przy Nyhavn 17; Ole otrzymał list i oczekiwał ich przyjazdu. Podobnie jak Aberdeen Bill, Mistrz Ole tatuował marynarzy: był miłośnikiem żeglugi z prawdziwego zdarzenia. (Nigdy nie nazwałby się artystą, wolał określenie tatuażysta). I tak jak w wypadku ojca Alice, spod jego ręki wyszła niezliczona masa serc i syren, węży i statków, flag i kwiatów, motyli oraz nagich kobiet.

To właśnie Mistrz Ole - wówczas młody mężczyzna tuż po czterdziestce - nadał Alice jej pseudonim artystyczny. Kiedy Alice i Jack weszli do jego pracowni przy Nyhavn, gdzie fale rozbiły się z pluskiem o burty łodzi w szarych wodach kanału, późnolistopadowy wiatr burzył taflę Bałtyku. Ole podniósł wzrok znad wykonywanego właśnie dzieła: gołej kobiety na rozłożystych plecach półnagiego mężczyzny.

- Ty musisz być Córką Alice - powiedział.

W ten sposób Alice zyskała pseudonim, zanim jeszcze otworzyła własną pracownię.

Mistrz Ole zatrudnił ją natychmiast. Przez pierwszy tydzień tworzył kontury, zlecając Alice cieniowanie, lecz nim upłynął kolejny tydzień, pozostawił jej wolną rękę.

Dla Olego liczył się fakt, że jak ulał wpasowała się w jego marynistyczną konwencję. Ostatecznie terminowała u ojca i ręcznie dziergała tatuaże, zanim nauczył ją obsługi przyrządów.

Wzory wykonywane przez Olego znała jeszcze z ojcowskiego warsztatu. Umiała zrobić złamane serce, serce rozdarte na pół bądź krwawiące w otoczeniu cierni i róż. Tworzyła przerażające czaszki ze skrzyżowanymi pieszczelami i smoki ziejące ogniem; nikt nie potrafił tak przedstawić Chrystusa na krzyżu lub Matki Boskiej z zieloną łzą na policzku czy też bogini skracającej mieczem węża o głowę. Alice robiła płynące statki, wszelkiego rodzaju kotwice oraz syreny przycupnięte boczkiem na delfinie i nagie kobiety, opierając się przy tym wyłącznie na własnej inwencji.

Pewien szczegół w golaskach Olego nie dawał jej spokoju. Zarys włosów łonowych przypominał odwróconą brew, uśmiech przecięty pionową kreską. Kępki włosów widniały również pod pachami. Ale wprost mówiła mu tylko, że woli nagie kobiety „od tyłu”.

Lars Madsen, drugi czeladnik Olego, młodzieniec zwany Bawidamkiem Larsem lub Bawidamkiem Madsenem, powiedział Alice, że on lubi nagie kobiety „jak leci”.

- Od przodu i od tyłu - uzupełnił.

- Nie przy Jacku - burczała Alice, jeśli w ogóle raczyła odpowiedzieć.

Chłopiec polubił Larsa. Mama prawie nigdy nie zabierała go w Toronto do pracowni Chińczyka. I choć sporo wiedział o jej przygotowaniu i umiejętnościach, rzadko pozwalała mu oglądać się przy pracy. Jednakże w Kopenhadze nie było Lottie, która mogłaby się nim zająć,

i zanim Ole znalazł im dwa pokoje z łazienką w służbówce hotelu „D’Angleterre”, Jack i jego matka nocowali w pracowni przy Nyhavn 17.

- Znowu śpię na igłach - mówiła Córka Alice, tak jakby budziło w niej to mieszane uczucia.

Mimo początkowych oporów czasami pozwalała Jackowi bawić się maszyną do tatuażu. W oczach chłopca przypominała ona pistolet, chociaż wydawała odgłosy podobne do bzyczenia wiertarki dentystycznej i robiła ponad dwa tysiące ukłuc na minutę.

Przed przyjazdem do Kopenhagi Jack mógł ćwiczyć na pomarańczach albo grejpfrutach i tylko raz (mama twierdziła, że ryby są drogie) na flądrze. (Świeża flądra, jak poinformował córkę Aberdeen Bill, posiada właściwości najbardziej zbliżone do ludzkiej skóry). Ale Bawidamek Lars pozwalał Jackowi ćwiczyć na sobie.

Lars Madsen był trochę młodszy od Alice i dużo bardziej zielony; być może właśnie dlatego darzył chłopca taką sympatią. Z chwilą gdy Mistrz Ole poznał się na umiejętnościach Alice, biednemu Larsowi pozostało tylko cieniowanie. Poza paroma wyjątkami Ole i Alice pozwalali mu wypełniać kolorami tworzone przez siebie kontury, Lars zaś zezwolił Jackowi wykonać tatuaż od początku do końca.

Było to odważne, żeby nie powiedzieć, nieroztropne posunięcie. Na szczęście Jack miał do dyspozycji jedynie kostki Madsena, na których jakiś „chałturnik” (kiepski tatuażysta) wydzierał imiona dwóch byłych dziewcząt Larsa, leżące kłodą na drodze jego obecnych podbojów. Tak przynajmniej Lars utrzymywał. Chłopiec miał za zadanie pokryć kostki nowym tatuażem.

Ściśle rzecz biorąc, dwadzieścia procent tatuaży ma na celu zamaskowanie niechcianych wzorów, z których połowa to czyjeś imiona. Bawidamek Madsen, niebieskooki blondasek ze szparą między przednimi zębami i krzywym nosem, będącym pamiątką po przegranej bójce, miał jedną kostkę pokrytą czerwonymi serduszkami, pączkującymi na zielonej gałęzi cierniowej, tak jakby na zabłąkanym krzaku głogu zamiast kwiatów wyrosły serca. Druga kostka była opleciona łańcuchem. Imię widniejące na gałęzi brzmiało „Kirsten”, a na łańcuchu - „Elise”.

Z maszyną wibrującą w małej dłoni, wobec pierwszego dogłębnego kontaktu z ludzką skórą, chłopiec musiał wrazić igłę zbyt głęboko. Klient nie powinien krwawić, chyba że jest pijany, Madsen zaś nie pił nic mocniejszego od kawy. Krew nie ma prawa wydostać się na zewnątrz, pod warunkiem że nakłucie jest nie głębsze niż pół milimetra, a nawet trzy czwarte. Najwidoczniej Jack musiał zanurkować głębiej. Bawidamek nie stracił wprawdzie dobrego humoru, lecz zważywszy na ciurkający tusz oraz nieco obfitszy strumień krwi, było sporo do wycierania. Madsen nie tylko krwawił, ale i świecił się od wazeliny.

Fakt, że nie pisnął choćby słowa skargi, należy przypisać czemuś więcej niż tylko sympatii do Jacka. Alice musiała wpaść mu w oko i prawdopodobnie ze względu na nią oddał swoje kostki na pastwę jej nieletniemu synowi.

Alice liczyła sobie niewiele ponad, a Lars niewiele mniej niż dwadzieścia lat, lecz na tym etapie każda różnica wieku urasta do rangi przepaści. Zarost Larsa bynajmniej nie przemawiał na jego korzyść, ze zgoła nieadekwatną arogancją facet obnosił bowiem rzadki wiecheć koziej bródki, który raczej niż za przejaw męskości mógł uchodzić za wyraz niedbalstwa przy goleniu.

Rodzina Madsena pracowała w branży rybnej. (Sprzedawała ryby, a nie tatuowała). Bawidamek Lars nie kwapił się dołączyć do rodzinnego grona. Jego smykałka do tatuażu była może ograniczona, zyskał jednak część niezależności od rodziny i świata ryb. Przy każdym myciu włosów robił sobie płukanekę ze świeżo wyciśniętego soku z cytryny. Przypominało to trochę sytuację z Kirsten i Elise, byłymi dziewczynami, które pętały mu kostki: Lars wierzył, że przesiąkł wonią rodzinnego interesu aż po cebulki włosów.

Ole uważnie obejrzał dzieło Jacka, maskujące Kirsten przeplecioną sercami i cierniami, po czym oznajmił, że Herbert Hoffmann z Hamburga nie zrobiłby tego lepiej. (Mimo owej oficjalnej pochwały Lars Madsen nadal krwawił).

Metoda Alice polegała na maskowaniu za pomocą liści i jagód. Tłumaczyła Jackowi, że każdą literę można przekształcić w jedno albo drugie, ewentualnie w kwiatowy płatek. Niektóre litery były bardziej zaokrąglone od innych; podstawę do jagód stanowiły właśnie wyrzuczenia. Liście natomiast wychodziły lepiej z liter kanciastych, płatki zaś mogły być albo zaokrąglone, albo spiczaste.

Z Kirsten powstało więcej liści niż jagód oraz jeden odrobinę naciągany płatek. W połączeniu z nietkniętymi sercami i cierniami kostka Larsa sprawiała wrażenie oplecionej niedbale skleconym wieńcem roślinności. Wyglądało to tak, jakby w zapuszczonym ogrodzie rozsypano serca drobnych zwierząt.

Jack po cichu liczył, że z Elise pójdzie mu łatwiej, lecz czarne ogniwa łańcucha tworzyły niezbyt odpowiednią podstawę dla motywów kwiatowych, a zresztą E trudno przekształcić w jakiegokolwiek przedstawiciela flory.

Na drugie podejście czterolatek wybrał gałązkę ostrokrzewu. Ostro zakończone listki i jaskrawoczerwone owoce wydawały mu się idealnym rozwiązaniem na imię równie krótkie jak Elise, choć efekt końcowy przywodził na myśl zwichrowaną dekorację świąteczną, którą ktoś dla żartu powiesił na płocie z łańcucha.

Pomimo to Mistrz Ole podsumował pracę chłopca słowami, że legendarny Les Skuse z Bristolu pozazdrościłby Jackowi kunsztu. Była to wielka pochwała. Większą byłoby jedynie, że Aberdeen Bill usiadłby w grobie, aby lepiej widzieć, lecz Ole wiedział, iż Alice była wyczulona na wszelkie wzmianki, łączące jej ojca ze śmiercią.

Nie pojechała do domu, żeby rozsypać jego prochy za płotem parafialnego kościoła w South Leith, chociaż ojciec zlecił pewnemu rybakowi wrzucić je do Morza Północnego. Ole zaś tylko raz wspominał, że Aberdeen Bill zapisał się na śmierć, o czym wiedział każdy tatuażysta w regionie.

Czy to hańba córki - ucieczka do Halifaxu celem urodzenia nieślubnego potomka - kazała mu zajrzeć do kieliszka? Czy też zawsze miał ku temu skłonności? Biorąc pod uwagę weekend w Aberdeen, kiedy wszystko poszło na opak, może wyjazd córki przyczynił się tylko do nasilenia problemu.

Córka Alice nigdy nie poruszała tego tematu. Mistrz Ole też więcej do niego nie wracał. Jack Burns wyrastał wśród plotek i pogłosek, których większością nasiąkł w Kopenhadze pod Nyhavn 17.

Jak każdy czterolatek, Jack brudną robotę pozostawił matce, która przystąpiła do oczyszczania i bandażowania kostek Madsena. Tatuaż zwykle goi się sam. Trzeba go zasłonić na kilka godzin, a następnie przemyć bezzapachowym mydłem. Należy ograniczyć kontakt z wodą i zastosować środek nawilżający. Ole wyjaśnił Jackowi, że świeży tatuaż przypomina oparzenie słoneczne.

Nawet jeśli dzieło czterolatek pod względem estetycznym pozostawiało nieco do życzenia, proces maskowania imion zakończył się pełnym sukcesem. A to, że Bawi-damek opasał swoje kostki gęstwiną poszarpanych części ciała (czy też, według określenia Olego, antypropagandą bożonarodzeniową), to już zupełnie inna historia.

Biedny Lars. Wbrew przydomkowi nadanemu mu przez szefa w żadnym razie nie zasługiwał na miano Bawidamka. Jack nigdy nie widział go z dziewczyną, nigdy też nie słyszał, by ten o jakiejś opowiadał. Oczywiście nie dane mu było poznać Kirsten i Elise, jedynie ich imiona, które pokrył tuszem i krwią.

Zwyczajem swoich rówieśników Jack Burns nie zwracał szczególnej uwagi na rozmowy dorosłych. Jego rozumienie linearności czasu może i kształtowało się na poziomie dziecka jedenastoletniego, lecz rozumienie prawdy o ojcu płynęło jedynie z poufnych dialogów z

matką, a nie rozmów, jakie prowadziła z innymi dorosłymi. Wówczas jego myśli błądziły nieskrępowanie; nie, nie nadstawiał ucha tak, jak czyniłby to jedenastolatek.

Nawet Bawidamek Lars pamiętał spotkanie z Williamem Burnsem, chociaż to Ole odwalił całą robotę, gdyż nuty nie wymagały cieniowania. Wszystkie tatuaże Williama były czarne - jak widać, stronił od barwnych ornamentów.

- W ogóle cały był jakiś czarny - zauważył Ole.

Jeśli Jack zwrócił uwagę na te słowa, z pewnością założył, że ojciec miał na sobie czarne ubranie. (Zważywszy na sympatię Olego do Alice, wzmianka o czerni mogła dotyczyć raczej jego niestałego serca).

Natomiast co do przezwiska nadanego Williamowi przez Olego, Jack nie miał wątpliwości: tatuażysta nazwał organistę Muzykantem.

Ole uwiecznił świąteczny utwór Bacha na prawym barku Williama, gdzie zawisł niczym strzęp flagi. Alice odgadła, że chodziło o „Weihnachtsoratorium” lub „Kanonische Variationen über das Weihnachtslied”; znała wiele ulubionych melodii młodego organisty. Natomiast w okolicach nerek, miejscu uchodzącym za szczególnie bolesne, Ole wytatuował Williamowi przydługą i skomplikowaną frazę Haendla.

- Też jakiś świąteczny kawałek - zbył ją Ole.

Alice zastanawiała się, czy fragment nie pochodził aby z „Mesjasza”.

Ole wyraził się krytycznie o dwóch wcześniejszych tatuażach Williama, choć dziełu Aberdeen Billa naturalnie nie miał nic do zarzucenia. (Był pełen podziwu dla hymnu wielkanocnego na prawym udzie Muzykanta). Na ciele Williama znajdował się wszelako fragment innego hymnu, oplatający jego lewą łydkę niczym pozbawiona stopy skarpetka. Prócz nut widniał tam również zapis słów; Bawidamek Madsen był pod takim wrażeniem, że nawet je zapamiętał. Chodziło o pieśń wykonywaną podczas komunii anglikańskiej: „Osnuj mnie boskim swym oddechem”.

Dalszy ciąg był Alice doskonale znany. Utwór brzmiał bardziej jak psalmodia niż hymn, ona jednak upierała się przy tej ostatniej nazwie, tłumacząc, iż jest to po prostu modlitwa wzbogacona o tło muzyczne. (Śpiewała tę pieśń Jackowi, ćwiczyła ją nawet z Williamem). Wnioskując z podziwu Olego i Larsa, Alice uznała, iż tatuaż wyszedł spod ręki Charliego Snowa bądź Marynarza Jerry’ego. Starzy przyjaciele oszczędzili jej szczegółów na temat tatuaży, jakie William sprawił sobie w Halifaksie.

W przeciwieństwie do Olego Lars odniósł się łagodniej do dwóch nieudanych tatuaży Muzykanta, chociaż nawet on przyznał, że robota pozostawiała wiele do życzenia. Na lewym biodrze Williama znajdował się kolejny zapis muzyczny, którego twórca nie przewidział, iż nuty zbiegną się pod wpływem naturalnych ruchów ciała.

Bazując na tych zgola wątpliwych przesłankach, Alice doszła do wniosku, że William odwiedził Billa Falę Przyływu w Toronto, chociaż później przyznała, że Chińczyk też był zdolny popełnić takie niedopatrzenie. Drugi błąd, w wyniku którego część nut ginęła z pola widzenia po wewnętrznej stronie prawego bicepsa, mógł być autorstwa obydwu mężczyzn.

Mistrz Ole i Bawidamek Madsen dali Jackowi i jego matce pewne pojęcie na temat ewoluującego ciała Muzykanta. Zgodnie z przepowiednią Aberdeen Billa, William stał się kolekcjonerem.

- A jego muzyka? - zapytała Alice.

- Co masz na myśli? - odparł Ole.

- Musi gdzieś grać na organach - powiedziała. - Chyba ma jakąś pracę.

Cisza, która zapadła po tych słowach, wryła się Jackowi w pamięć dobitniej niż

dalsza wymiana zdań. Zaczniemy od tego, że pracownia Olego o żadnej porze nie zasługiwała na miano „cichej”. Radio zawsze nadawało muzykę popularnej stacji, a w chwili gdy matka poruszyła kwestię miejsca pobytu ojca, czyli sprawę -według niej - zasadniczą (co

było jasne dla Jacka nawet w wieku lat czterech), trzy maszyny do tatuazu pracowały na pełnych obrotach.

Ole tworzył właśnie jedną ze swoich nagich kobiet, syrenę bez odwróconej brwi łonowej, której tak nie znosiła Alice. Jego klient, stary marynarz, wyglądał na śpiącego bądź umarłego: leżał nieruchomo, podczas gdy Ole rysował łuski na syrenim ogonie. (Ryby o kobieco zaokrąglonych biodrach, co, zdaniem Alice, również było niedorzeczne).

Bawidamek Madsen też miał pełne ręce roboty: cieniował właśnie węża morskiego, którego Ole naszkicował na pewnym Szwedzie. Musiał to być boa dusiciel, gdyż z całej siły oplatał nabrznięte serce.

Alice kończyła swą popisową różę jerychońską. Imponujący rysunek do połowy przykrywał lewą stronę żeber młodego chłopaka, który - zdaniem Alice - nie powinien jeszcze orientować się w temacie. Podobnie zresztą jak Jack; chłopiec wiedział tylko, że róża jerychońska to kwiat, w którym coś zostało ukryte.

„Ot, róża z tajemnicą” - kwitowała Alice.

Wśród różanych płatków kryły się bowiem płatki innego kwiatu; mogłeś dostrzec pochwę jedynie wówczas, gdy wiedziałeś, czego szukać. Jak Jack miał się kiedyś dowiedzieć, tatuaz jest tym lepszy, im trudniej dokonać tej sztuki. (Kiedy jednak już zlokalizujesz to, co ukryte, odtąd zawsze będzie ci się rzucać w oczy).

Trzy maszyny do tatuazu czynią niemały zgiełk, na dodatek chłopak od róży jerychońskiej od jakiegoś czasu ryczał wniebogłosy. Alice ostrzegała go, że ból będzie promieniował od żeber aż do barku.

Kiedy jednak Alice powiedziała: „Chyba ma jakąś pracę”, Jack odniósł wrażenie, jakby nastąpiło nagłe spięcie. Nawet radio ucichło.

Jakim sposobem troje tatuażystów mogło jak jeden mąż bez ostrzeżenia zdjąć nogi z przełączników? Tak czy inaczej maszyny przerwały pracę, a fala tuszu i bólu znieruchomiła. Uśpiony marynarz otworzył oczy i spojrzał na niedokończoną syrenę na poczerwieniałym przedramieniu. Szwed, którego wąż duszący serce (umieszczony na sercu, a gdzie by indziej) właśnie nabierał kolorów, zerknął pytająco na Larsa. Płaczący chłopiec wstrzymał oddech. Czyżby nagła cisza oznaczała wreszcie koniec róży jerychońskiej, a tym samym jego męczarni?

Ponownie zagrało radio. (Mimo obcego języka Jack rozpoznał znaną kolędę). Nikt nie kwapił się z odpowiedzią, toteż Alice powtórzyła:

- Przecież musi gdzieś grać na organach. Chyba ma pracę.

- Miał - uściślił Ole.

Jack, którego uwagi nie umknął użyty przez tatuażystę czas przeszły, zastanawiał się, czy aby znów nie przybyli za późno. Zdziwił się, że matka nie okazała rozczarowania. Jej stopa raz jeszcze wprawiła maszynę w ruch i Alice pochyliła się nad genitaliami ukrytymi wśród kwiatowych płatków. Chłopiec od róży jerychońskiej podjął lament, stary marynarz zamknął oczy, a pochłonięty kolorowaniem Lars sprawił, iż wąż w widoczny sposób wzmógł uścisk.

Ściany pracowni Olego były oblepione szablonami i odręcznie wykonanymi rysunkami. Owe wzory nazywano patronami. Jack utkwiał w nich wzrok, a tymczasem Ole podjął opowieść o zbiegłym ojcu. (Była to jedna z tych chwil, gdy myśli chłopca błądziły w sobie tylko znanych rejonach).

- Grał w Kastelskirken - oznajmił Ole. - Ale nie był głównym organistą.

- Pewnie przyjęli go na asystenta - wyraziła przypuszczenie Alice.

- Był kimś w rodzaju czeladnika - podsunął Lars.

- Tak, ale okazał się świetny - odparł Mistrz Ole. - Sam nigdy nie słyszałem, jak gra, ale podobno nie miał sobie równych.

- Mówiono, że prawdziwy z niego pies na baby... - dorzucił Lars.

- Nie przy Jacku - ostrzegła Alice.

Jack studiował właśnie umieszczoną na ścianie Zgubę Mężczyzny. Była to seria tatuaży przedstawiających typowe dla mężczyzn zgubne nawyki: hazard, alkohol oraz kobiety. Chłopcu najbardziej spodobał się kieliszek martini z piersią sterczącą z drinka niczym oliwka; w innej wersji były to kobiece pośladki. W obu wypadkach w kieliszkach zamiast lodu dryfowały dwie kostki do gry.

Matka Jacka robiła fantastyczną Zgubę Mężczyzny, która nieco różniła się od rysunków uwidoczniionych na ścianie. W jej wersji naga kobieta (widziana oczywiście od tyłu) piła z na wpół opróżnionej butelki wina, a kostki spoczywały na jej dłoni.

- Miał kłopoty? - spytała Alice.

Lars zazdrośnie pokiwał głową.

- Nie przy Jacku - brzmiała odpowiedź Olego.

- Rozumiem - powiedziała Alice.

- Nie poszło o chórzystkę - uzupełnił Ole. - Ale o jedną z parafianek.

- Młodą żonę wojskowego - dodał Lars, ale Jack chyba źle usłyszał, gdyż nadal spoglądał z otwartymi ustami na pływającego w kieliszku sutek, przejęty, jakby oglądał telewizję. Nie widział, jak matka rzuca Larsowi ostrzegawcze spojrzenie.

- Wyjechał z miasta? - drażyla Alice.

- Powinnaś spytać w kościele - odparł Ole.

- Zakładam, że wy nie wiecie, dokąd pojechał.

- Podobno do Sztokholmu, ale głowy bym nie dał - odpowiedział Ole.

- W Sztokholmie nie ma co liczyć na porządny tatuaż - wtrącił Lars, który właśnie skończył węża. - Szwedzi przyjeżdżają do nas po tatuaże. - Zerknął na Szweda. - Nie mam racji?

Szwed w odpowiedzi podciągnął do góry lewą nogawkę.

- Zrobiłem to w Sztokholmie - oznajmił.

Tatuaż widniejący na jego łydce był całkiem przyzwoity, a nawet na tyle dobry, że nie powstydziliby się go sam Mistrz Ole bądź Córka Alice. Przedstawiał wbity w różę sztylet z misternie zdobioną złoto-zieloną rękojeścią; krawędź płatków i gardy otoczono pomarańczową obwódką, a dokoła róży i sztyletu wił się czerwono-zielony wąż. (Wyglądało na to, że Szwed jest miłośnikiem gadów).

Alice była pod wrażeniem, Jack widział to po jej minie, nawet Ole wyraził uznanie. Bawidamek Madsen oniemiał z zawiści, choć może tylko wyobraził sobie swój rychły powrót do branży rybnej.

- Doc Forest - zakomunikował Szwed.

- Z jakiego salonu? - spytał Ole.

- Nie miałem pojęcia, że w Sztokholmie jest salon! - zdumiał się Lars.

- Pracuje w domu - wyjaśnił lakonicznie Szwed.

Jack wiedział, że Sztokholm nie znajdował się na trasie ich podróży. Matka nie umieściła go na liście.

Alice bandażowała zawzięcie chłopca o obolałych żebrach. Zażyczył sobie różę jerychońskiej w miejscu, gdzie płatki będą się rozchyłać przy oddychaniu.

- Obiecuj, że nie pokażesz go swojej matce - zażądała Alice. - A przynajmniej nie mów jej, co to jest. Dopilnuj, żeby się nie przyglądała.

- Obiecuję - odparł chłopiec.

Stary marynarz napinał przedramię, podziwiając, jak gra mięśni wprawia w ruch syreni ogon, który należało jeszcze wypełnić kolorem.

Zbliżało się Boże Narodzenie, interes szedł jak po maśle. Jednakże wieści

o prawdopodobnym wyjeździe Williama, i to akurat do Sztokholmu, zwarzyły Alice i Jackowi przedświąteczny nastrój.

Kiedy opuszczali pracownię przy Nyhavn, panował mrok, nawet o czwartej lub piątej po południu. Bez względu na porę okoliczne restauracje otwierały podwoje. Jack i Alice nauczyli się rozróżniać aromat pieczonego królika, udźca jeleniego, dzikich kaczek, turkota z grilla, a nawet delikatnej cielęciny. Wyczuwali duszone owoce w sosach do dziczyzny, a nieraz na oblodzoną ulicę docierał do nich nawet zapach duńskich serów.

Zawsze liczyli statki przycumowane wzdłuż kanału, na szczęście. Oświetlony łuk nad pomnikiem na placu przy hotelu „D'Angleterre” przedstawiał z daleka krzepiący widok, sam hotel zaś był swojsko ozdobiony rozjarzonymi wieńcami świątecznymi.

Po drodze do swojej służbówki Jack i jego mama często wstępowali na świąteczne piwo. Było ono ciemne i słodkie, lecz na tyle mocne, że Alice uznała za stosowne rozcieńczać wodą zawartość synowskiej szklanki.

Jeden z klientów Alice, bankier z wytatuowanymi na plecach i klatce piersiowej banknotami przeróżnych walut, przekonywał ją, że świąteczne piwo służy dzieciom, gdyż zapobiega koszmarom. Chłopiec musiał przyznać mu rację, albowiem odkąd zaczął je pić, koszmary albo go nie nękały, albo też w ogóle ich nie pamiętał.

W snach tęsknił za Lottie, za jej bezinteresownym uściskiem i za chwilami, gdy przytuleni do siebie wstrzymywali oddech. Któregoś wieczoru w hotelu próbował przytulić w ten sposób mamę. Alice niecierpliwie odniosła się do prośby o wstrzymanie oddechu. Czując bicie jej serca, wolniejsze i nieco bardziej miarowe niż tętno Lottie, powiedział:

- Żyjesz, mammo.

- Jasne, że żyję - odparła nadal zniecierpliwiona. - Ty też żyjesz, Jackie. A przynajmniej żyłeś, kiedy ostatni raz na ciebie patrzyłam.

I niepostrzeżenie wysunęła się z objęć chłopca.

Następnego dnia, przed wschodem słońca - o tej porze roku w Kopenhadze mogło to być po ósmej rano - Alice zabrała Jacka do cytadeli Frederikshavn, historycznej twierdzy o nazwie Kastellet. Oprócz koszar znajdowała się tam również siedziba komendanta oraz kościół garnizonowy, Kastelskirken, w którym grał William.

Znacie chłopca, który nie lubi fortów? Na dodatek Jack miał okazję obejrzeć prawdziwy! Dlatego gdy matka poprosiła, aby się zajął sobą, chłopiec bynajmniej nie miał nic przeciwko temu.

- Chcę porozmawiać z organistą na osobności - powiedziała Alice.

Jack wyruszył na obchód cytadeli. Najpierw odkrył więzienie. Mieściło się za kościołem garnizonowym, gdzie więzienna nawa biegła tuż pod ścianą; w murze umieszczono otwory umożliwiające skazanym wysłuchanie mszy z dala od spojrzeń wiernych. Jack z rozczarowaniem stwierdził, że wszystkie cele świecą pustkami.

Organista nazywał się Anker Rasmussen - typowe duńskie imię - i według słów Alice okazał się bezpośredni, a zarazem pełen szacunku. Jack zdziwił się potem na widok jego munduru, jednakże matka wyjaśniła, iż w kościele garnizonowym coś podobnego bynajmniej nie należy do rzadkości.

Podczas krótkiego terminowania u Rasmussena William opanował kilka sonat Bacha oraz jego preludium, fugę w tonacji b-moll i „Klavierübung III”. (Fakt, że Alice wykazywała znajomość niemieckich nazw utworów, wywarł na Jacku wielkie wrażenie). Ponadto William doskonale sobie radził z „Messe pour les couvents” Couperina i - zgodnie z przewidywaniami Alice - bożonarodzeniową częścią „Mesjasza”.

Co do uwiedzionej parafianki, młodej żony wojskowego, matka Jacka wyrażała się dość oględnie: chłopiec domyślił się tylko, że ojciec nie stracił pracy za sfuszerowanie refrenu.

Zmęczony oglądaniem więzienia, wyszedł na zewnątrz. Panował przenikliwy ziąb, zszarzały brzask jedynie przyciemnił niebo. Jack z przejściem obserwował maszerujących w oddali żołnierzy, po czym skierował się w stronę fosy.

Woda otaczająca Kastellet nosiła nazwę Kastelsgraven; czterolatki fosa przypominała raczej staw lub niewielkie jezioro i, ku zdumieniu Jacka, okazała się zamrznięta. W pracowni Olego usłyszał, że woda w kanale Nyhavn rzadko pokrywa się lodem, Bałtyk zaś nie zamarza nigdy, no, chyba że podczas najbardziej siarczystych mrozów. Cóż wobec tego znajdowało się w fosie? Najprawdopodobniej była to świeża woda, lecz Jack wiedział tylko, że jest skuta lodem.

Trudno o większą atrakcję dla dziecka niż czarny lód. A skąd chłopiec wiedział, że fosa jest zamrznięta? Ponieważ chodziły po niej mewy i kaczki, które raczej nie sprawiały wrażenia świętych. Jack rzucił w ich kierunku kamieniem, ażeby się upewnić. Kamień poturlał się po lodzie. Uciekły tylko mewy, kaczki zaś podreptały do znaleziska w nadziei na chleb, po czym znów rozpierchły się niezgrabnym krokiem. Mewy powróciły na lód. Niebawem kaczki przycupnęły, jakby zwoływały zebranie, mewy natomiast wzgardliwie krążyły wokół nich.

Zewsząd dobiegały kroki maszerujących żołnierzy, czasem ciche, czasem bardziej donośne. Nieopodal zamrzniętej krawędzi fosy stał drewniany wał obronny, przypominający wąską ścieżkę o nachylonych bokach. Jack wspiął się nań z łatwością. Mewy wpatrywały się w chłopca urągliwie okrągłymi oczami, a kaczki w ogóle nie zwracały na niego uwagi. Kiedy wchodził na lód, towarzyszyło mu poczucie dokonania odkrycia daleko bardziej tajemniczego niż zaginiony ojciec. Stapał po wodzie. Nawet kaczki zaszczyliły go powściągliwymi spojrzeniami.

Gdy dotarł do środka fosy, usłyszał coś, co zdało mu się odgłosem organów kościoła garnizonowego: garść niskich dźwięków, niezastępujących nawet na miano melodii. Może organista uderzył w klawisze dla ubarwienia historii, którą opowiadał Alice. Lecz Jack nigdy nie słyszał równie niskich tonów. To nie były organy. Chłopcu śpiewało samo Kastelsgraven. Zamrznięty staw oponował przeciwko jego najazdowi; fosa okalająca stary fort odkryła obecność intruza.

Poprzedzony przeciągłym jękiem trzask lodu zabrzmiał niczym wystrzał armatni. U stóp Jacka rozkwitła pajęczyna. Chłopiec usłyszał wrzaski żołnierzy, a następnie poczuł mroźne liźnięcie wody.

Na sekundę lub dwie jego głowa znalazła się pod powierzchnią; ręce wystrzeliły w górę i pochwytyły sterczącą półkę lodu. Oparł na niej łokcie, ale nie miał siły się podciągnąć, zresztą lód nie utrzymałby jego ciężaru. Jack mógł jedynie pozostać tam, gdzie tkwił, do połowy zanurzony w lodowatej fosie.

Tupot żołnierskich butów na drewnianym wale spłoszył ptaki. Mężczyźni wykrzykiwali po duńsku rozkazy, dzwonek w koszarach rozdzwonił się na całego. Zamieszanie zwabiło Alice oraz człowieka, którego Jack wziął za organistę. Na co komu organista w takiej sytuacji, myślał Jack. Jednakże Anker Rasmussen, jeżeli to był właśnie on, wyglądał bardziej na wojskowego aniżeli muzyka.

Alice wrzeszczała histerycznie. Jack zmartwił się, że zrzuci całą winę na ojca. W pewnym sensie miałyby rację, uznał. Nie liczył specjalnie na pomoc. Skoro bowiem lód pękł pod jego ciężarem, jak mógłby utrzymać któregoś z żołnierzy?

Wtedy ujrzał jego, najmniejszego żołnierza. Nie przybył w pierwszej kolejności, być może Anker Rasmussen sprowadził go z koszar. Nie miał na sobie munduru, lecz jedynie długą bieliznę, tak jakby spał bądź przechodził rekonwalescencję. Czołgając się po lodzie, co czynił na żołnierską modłę, na łokciach i brzuchu, dygotał całym ciałem. Włókł za sobą karabin, którego pasek przytrzymał w szczękających zębach.

Dotarłszy do dziury w lodzie, skierował broń kolbą do Jacka i pchnął ją w kierunku chłopca. Jack chwycił oburącz pasek, podczas gdy żołnierz ujął lufę na wysokości bagnetu i wyciągnął chłopca z wody.

Brwi Jacka pokryły się cienką warstwą lodu; czuł, że to samo dzieje się z włosami. Z chwilą gdy znalazł się na powierzchni, spróbował stanąć na czworakach, ale żołnierz powstrzymał go okrzykiem.

- Leż na brzuchu! - wrzasnął.

To, że wojak mówi po angielsku, wcale Jacka nie zdziwiło, zdumiał go tylko jego głos. Brzmiał niemalże jak głos rówieśnika, chłopca, który nie skończył jeszcze jedenastu lat.

Jack legł bezwładnie i pozwolił zawlec się do wału, gdzie czekała Alice. Matka uścisnęła go i pocałowała, po czym nieoczekiwanie zdzieliła go w twarz. Był to jedyny raz, kiedy go uderzyła; sekundę później wybuchnęła płaczem. Chłopiec bez wahania ujął jej dłonie.

Owinięto go kocami i zanieślono do siedziby komendanta, choć samego komendanta sobie nie przypominał. Najmniejszy żołnierz przyniósł dla niego suchą odzież. Okazała się za duża, lecz Jack był bardziej zdziwiony faktem, że nie jest to mundur, tylko ubranie cywilne.

- Żołnierze też noszą normalne rzeczy, Jack - wyjaśniła matka, co czterolatki wcale nie wydało się takie oczywiste.

Kiedy opuszczali Kastellet, Alice ucałowała najmniejszego żołnierza na pożegnanie. Musiała się w tym celu pochylić, on zaś stanął na palcach.

Jackowi przyszło wówczas do głowy, że w podzięce powinna zaproponować tamtemu darmowy tatuaż: podobnie jak marynarze, żołnierze też na pewno lubią w ten sposób ozdabiać swoje ciała. Alice wydawała się rozbawiona owym pomysłem. Raz jeszcze podeszła do najmniejszego żołnierza, po czym szepnęła mu coś do ucha. Przyjął jej słowa z ożywieniem, które dobitnie świadczyło, że propozycja kobiety przypadła mu do gustu.

Okazało się, że Alice i Jack musieli jechać do Sztokholmu nie tylko w celu poznania utalentowanego Doca Foresta. Anker Rasmussen zdradził Alice, że Erik Erling, organista w kościele Hedvigi Eleonory, zmarł trzy lata temu. Na jego miejsce zatrudniono genialnego dwudziestoczterolatka Torvalda Torena. A Toren podobno szukał asystenta.

Alice zdziwiła się na wieść o tym, że William ubiegał się o posadę pomocnika u organisty młodszego niż on sam. Anker Rasmussen nie podzielał jej zdania: William miał inteligencję i talent, predysponujące go do bycia świetnym organistą, po prostu obecnie przechodził etap podróży i wypróbowywania różnych instrumentów, podczas którego podpatrywał techniki innych mistrzów. Zdaniem Rasmussena, nie tylko kłopoty z kobietami stanowiły motywację do ciągłej wędrówki.

Alice wyznała Jackowi, że teorie Rasmussena zbiły ją z tropu: zakochała się w Williamie Burnsie oczarowana jego grą, jednakże nie wzięła pod uwagę, iż on sam mógł zostać uwiedzony przez instrument. Czyżby William niezmordowanie dążył do kontaktu z coraz to większymi, lepszymi organami, a przynajmniej takimi, na których jeszcze nie miał okazji zagrać? Czy przypominało to fascynację młodej dziewczyny wierzchowcami? (Alice miała później ze zgrozą skonstatować, iż William zmieniał mentorów równie gorliwie jak kochanki).

Jack podejrzewał, iż niezwłocznie wyruszą do Sztokholmu, lecz matka miała inne plany. Boże Narodzenie w Kopenhadze dawało okazję do zarobienia niemałych pieniędzy. Jeśli tatuażysta klasy Doca Foresta musiał pracować w domu, widać nie było to w Sztokholmie zajęciem do końca legalnym. Alice doszła zatem do wniosku, że nim pojedą dalej, powinna wykorzystać sprzyjającą koniunkturę w salonie Mistrza Olego.

Pożegnanie pod Nyhavn 17 nie miało końca. Jack nie przypominał sobie, żeby pozował do jakiegokolwiek fotografii, lecz trzask migawki wyraźnie zapadł mu w pamięć. Najpewniej ktoś pstrykał zdjęcia.

Wśród klientów, których większość stanowili marynarze na świątecznej przepustce, Alice cieszyła się taką popularnością, że nieraz pracowała do późna w nocy. Bawidamek Madsen był mniej oblegany. Często odprowadzał Jacka do „D'Angleterre”, podczas gdy matka jeszcze długo pracowała w salonie.

Lars siadał na łóżku w pokoju Jacka, kiedy ten mył zęby, a następnie opowiadał mu różne historie przed snem. Opowieści Madsena nie należały do szczególnie zajmujących, więc znużony Jack prędko zapadał w sen. Przeważnie były to rozdzierające wspomnienia z dzieciństwa samego Larsa. (W większości pechowe perypetie z rybami, których, zdaniem Jacka, w zupełności można by uniknąć, Lars wszelako przykładał do owych katastrof niezmierną wagę).

Kiedy chłopiec spał w węższym z dwóch pokojów, oddzielnym od pokoju matki łazienką z dwojgiem rozsuwanych drzwi. Madsen czytał na sedesie czasopisma. Jack budził się czasem i przez tafelę matowego szkła dostrzegał jego sylwetkę. Chłopak często zasypiał w toalecie z głową na kolanach i Alice po powrocie musiała go budzić.

Alice zrobiła mu tatuaż, na jego prośbę. Złamane serce, tuż na jego sercu, które, jak twierdził, też było złamane. Alice wydziergała mu czerwone serce, poziomo rozdarte na pół; między poszarpanymi krawędziami widniał pasek gołej skóry, lecz zarówno Alice, jak Ole za wszelką cenę próbowali odwieść Larsa od umieszczenia tam imienia. Pęknięte serce dostatecznie świadczyło o jego bólu.

Lars zażyczył sobie jednak imienia Alice. Odmówiła.

- Twoje serce nie zostało złamane z mojego powodu - oświadczyła, choć może nie miała racji.

- Miałem na myśli pseudonim - sprecyzował z nieoczekiwaną godnością Madsen.

- A, podpis! - zawołał Ole.

- To co innego - zgodziła się Alice.

I między połówkami serca napisała kursywą: Córka Alice.

Była wdzięczna Larsowi za opiekę nad Jackiem.

- Nie jesteś mi nic winien - powiedziała, bandażując złamane serce.

Jack nie wiedział, w jaki sposób odwdzińczyła się Mistrzowi Olemu. Być może żaden podarunek nie był go godzien. Nawet róża jerychońska, którą tak bardzo podziwiał.

Ostatniego wieczoru w Kopenhadze Ole wcześniej zamknął pracownię i zaprosił ich na kolację do eleganckiej restauracji na Nyhavn. Płomienie trzaskały w kominku i Jack zamówił królika.

- Naprawdę zjesz Piotrusia? - spytała matka.

- Niech je - wtrącił Lars.

- Wiesz co, Jack? - powiedział Ole. - To nie może być Piotruś Królik, bo duńskie króliki nie noszą ubrań.

- Tylko tatuaże! - zawołał Madsen.

Korzystając z chwili nieuwagi dorosłych, Jack uważnie obejrzał królika, ale nie znalazł tatuaży. Spokojnie jadł dalej, ale chyba nie wypił wystarczającej ilości świątecznego piwa.

Późną nocą przyśnił mu się koszmar. Obudził się nagi i drżący. Wpadł do przerębli i utonął w Kastelsgraven. Co gorsza, dołączył na dnie do rzeszy żołnierzy, którzy przez stulecia również się tam utopili. Zimna woda zakonserwowała ich ciała. Wbrew wszelkiej logice wśród nich znajdował się najmniejszy żołnierz.

Przez wzgląd na Jacka światło w łazience paliło się jak zawsze. Chłopiec rozsunał drzwi z matowego szkła i wszedł do matczynej sypialni. Kiedy miał zły sen, mógł nocą wpełzać do jej łóżka.

Lecz tym razem ktoś go uprzedził! W dolnej części łóżka, równie wąskiego jak jego własne, zobaczył sterczące spod kołdry stopy Alice. Pomiedzy nimi znajdowały się dwie inne, zwrócone palcami ku dołowi.

Z niepojętych przyczyn początkowo uznał, że to Lars, jednakże bliższe oględziny ujawniły brak tatuaży na kostkach. Poza tym stopy były za małe. Ba, były nawet mniejsze od stóp Alice, prawie tak małe, jak stopy Jacka!

W świetle padającym z łazienki coś jeszcze zwróciło jego uwagę. Na krześle, gdzie zwykle spoczywało matczyne ubranie, leżał żołnierski mundur, na oko w rozmiarze Jacka. Kiedy jednak chłopiec go włożył, mundur okazał się większy, niż przypuszczał. Jack musiał podwinąć nogawki i zapiąć pas na ostatnią dziurkę, a koszula i bluza okazały się stanowczo zbyt obszerne. Epolety wychodziły poza ramiona, rękawy zaś całkiem skryły dłonie.

Jack zaryzykowałby stwierdzenie, iż mundur najmniejszego żołnierza był co najmniej o rozmiar większy niż jego ubranie cywilne, wypożyczone Jackowi po niefortunnej przygodzie na fosie. (Ubranie świeckie, jak określiła to Alice).

Niestropiony tym odkryciem Jack postanowił trzymać wartę u wezłowania matki. Kiedy ona i najmniejszy żołnierz się obudzą, zaszaluje im po wojskowemu. (Zważywszy na kostium i powzięty zamiar syna, matka miała później wspominać ów epizod jako pierwszy występ Jacka). Kiedy jednak stał tam na baczność, zorientował się, że oni wcale nie śpią. Lekkie kołysanie łóżka zrazu umknęło jego uwagi. Pomimo zamkniętych oczu matka nie spała: leżała z rozchylonymi ustami, z których dobywał się pośpieszny, płytki oddech, i mocno napinała mięśnie szyi.

Najmniejszemu żołnierzowi wystawały spod kołdry tylko stopy. Musiał leżeć z głową między piersiami Alice, które również znajdowały się pod przykryciem; Jack doszedł do wniosku, iż nieszczęśnik zapewne też dochodził do siebie po złym śnie. (To tłumaczyłoby kołysanie łóżka). Chłopiec uznał za naturalne, że skoro żołnierzowi przyśnił się koszmar, szukał pocieszenia w łóżku Alice, podobnie jak zwykle czynił to on sam. W oczach Jacka mężczyzna pewnie nadal uchodził za jego rówieśnika.

Naraz koszmar powrócił ze zdwojoną siłą. Najmniejszy żołnierz gwałtownie zrzucił z siebie kołdrę (Jack ujrzał w łazienkowym świetle jego gołe pośladki); Alice musiała go zbyt mocno ścisnąć, ponieważ jęknął i wydał z siebie donośny szloch. Matka otworzyła oczy i jej wzrok padł na Jacka - drugiego małego żołnierza, stojącego w pełnej gotowości. Początkowo go nie poznała, pewnie przez ten mundur.

Jej wrzask przyprawił Jacka o wstrząs, najmniejszego żołnierza zresztą też, gdyż na widok czterolatka w mundurze on także krzyknął, ile sił w płucach. (Piskliwie jak mały chłopiec!). Tknięty nagłym podejrzeniem, iż obaj padli ofiarą tego samego koszmaru, Jack również podniósł larum. Na dodatek posusiał się w spodnie, będące częścią munduru najmniejszego żołnierza.

- Jack! - zawołała matka, odzyskując przytomność umysłu.

- Przyśniło mi się, że utonąłem w fosie - zaczął Jack. - Byli ze mną martwi żołnierze. Ty też - oznajmił najmniejszemu żołnierzowi.

Wojak bynajmniej nie wydawał się teraz taki mały. Jack zdumiał się wielkością jego penisa: był on w połowie tak długi jak bagnet, którym żołnierz uratował Jacka, na dodatek sterczał pod kątem, co również upodabniało go do bagnetu.

- Lepiej zmykaj - poradziła mu Alice.

W myśl swej profesji żołnierz bez słowa protestu pomaszerował do łazienki, a gdy uporał się z tym, co miał do zrobienia, wrócił do sypialni po swoje rzeczy. Jack tymczasem złożył je starannie na krześle i położył się obok matki.

Oboje patrzyli, jak najmniejszy żołnierz się ubiera. Jack bardzo się wstydził, że nasiusiał w spodnie; chwila, gdy tamten to zauważył, nie umknęła jego uwagi. Na twarzy żołnierza odmalował się bowiem strapiony i niepewny wyraz, podobnie jak wówczas, gdy dzielny wojak wytrwale pełził po cienkim lodzie, nie bacząc na swą przydługą bieliznę.

Ale żołnierz to żołnierz: mężczyzna rzucił Jackowi spojrzenie pełne zrozumienia i niechętnego szacunku, jak gdyby akt zmoczenia spodni zdał mu się w pełni adekwatny do sytuacji. A przed wyjściem zrobił to, co zamierzał uczynić Jack, a mianowicie z werwą zaszalował.

Jack widział go gołego jak święty turecki, a jednak nie zauważył tatuażu ani nawet bandaża. Rozmyślał nad tym usilnie, wzbraniając się przed zaśnieciem, które wedle wszelkiego prawdopodobieństwa miało skazać go na powrót w lodowate odmęty Kastelsgraven.

Podzielił się swoimi wątpliwościami z matką.

- Zrobiłaś mu darmowy tatuaż? Nie widziałem.

- Owszem... zrobiłam - odrzekła nie bez wahania. - Nie zauważyłeś.

- Co? - spytał Jack.

- Małego... żołnierza - odpowiedziała z jeszcze większym wahaniem. - Jeszcze mniejszego niż on sam.

Mając żywo w pamięci długi na pół bagnetu penis wojaka, Jack zweryfikował swoje mniemanie na temat jego wzrostu, ale powiedział tylko:

- A gdzie?

- Na kostce... lewej kostce - odparła matka.

Chłopiec uznał, iż mętne światło musiało splecać mu figła, gdyż mimo uważnych oględzin nie dostrzegł na kostkach żadnego rysunku. I założył, że zgodnie ze słowami matki po prostu go nie dostrzegł.

Swoim zwyczajem usnął w ramionach matki, wybrał wszelako wygodniejszą pozycję niż najmniejszy żołnierz.

Tak było w Kopenhadze, którą Jack Burns miał odwiedzić dopiero po blisko trzydziestu latach. Nigdy jednak nie zapomniał Olego i Bawidamka Madsena oraz życzliwości, jaką okazali jemu i Alice. Ani zamarzniętej fosy Kastelsgraven, która omal nie pozbawiła go życia. Ani najmniejszego żołnierza, który ocalił jego, a tym samym jego matkę.

W gruncie rzeczy niewiele rozumiał z tamtych wydarzeń. Nie pojmował też prawidłowości, która zaczęła nadawać kształt jego ówczesnemu życiu. Musiał się

jeszcze wiele nauczyć, zwłaszcza w sprawach, które matka zwykła zachowywać tylko dla siebie, jak na przykład znaczenie darmowego tatuażu.

Sen o fosie był zawsze ten sam. Jack schodził pod wodę. Nie pamiętał walki, jedynie wszechogarniający chłód, i na wieki łączył się z tonącymi przez stulecia żołnierzami Europy. Mały bohater, który go uratował, wyróżniał się wśród pozostałych, nie ze względu na nieproporcjonalny rozmiar penisa, ale stoicką wymowę dumnie zastygłej postury.

3 • Ocaleni przez szwedzkiego księgowego

Któregoś dnia, kiedy Jack był starszy, miał zapytać matkę, dlaczego ojciec nie wyjechał do Anglii, dlaczego nigdy go tam nie szukali. Ostatecznie nie brakowało w tym kraju ani organów, ani kobiet, a tradycja tatuażu sięgała wielu lat wstecz.

W odpowiedzi Alice oświadczyła po prostu, że William był Szkotem z krwi i kości i jako taki nienawidził Anglików. Nigdy nie wyjechałby do Anglii dla kobiety ani dla organów - nie uczyniłby tego nawet dla tatuażu. A jednak zabrakło mu ducha patriotycznego, by zachować imię Callum, prawda?

Z Kopenhagi Alice i Jack popłynęli promem do Malmö, a następnie złapali pociąg do Sztokholmu. Był styczeń 1970 roku. Wyglądało na to, że William zaszył się gdzieś tuż po swoim przyjeździe, a pierwszy oficjalny salon Doca Foresta miał powstać dopiero za dwa lata. Doc Forest zdawał się więc niemal równie nieuchwytny jak William Burns.

Alice i Jack najpierw skierowali kroki do kościoła Hedvigi Eleonory. Budynek wyglądał niczym lśniący kopuła ze złota, otoczona zaśnieżonymi obeliskami, ołtarz i balustrada wokół niego również były złote. Zewnętrzna część organów miała zielonkawozłotawy odcień, ławki zaś pomalowano szarozieloną farbą o srebrzystym połysku, jaśniejszą od mchu. Bezbarwne szyby w dwuskrzydłowych oknach rotundy były posępne niczym zimowe światło.

Hedviga Eleonora okazała się najpiękniejszym kościołem, jaki Jack kiedykolwiek oglądał. Była zborem luterańskim o wieloletniej tradycji chóralnej. Tym razem William zdążył zawrzeć bliższą znajomość z trzema chórzystkami, zanim pierwsza dowiedziała się o trzeciej. I choć zdemaskowała go Ulrika, której przypadła rola drugiej w kolejności, Astrid i Vendela zareagowały równie gwałtownie. Zanim to nastąpiło, William radził sobie doskonale: i jako pomocnik Torvalda Torena, i jako student kompozycji w sztokholmskiej Królewskiej Akademii Muzycznej.

Biedna Astrid, Ulrika i Vendela: Jack miał później żałować, że ich nie poznał. Pamiętał spotkanie z Torvaldem Torenem, który nawet na nim wywarł wrażenie nadzwyczaj młodego. Bądź co bądź, miał dopiero dwadzieścia cztery lata i był przy tym energicznym, bystrokim mężczyzną kruchej postury, co - jak instynktownie wyczuł Jack - rozbroiło matkę na równi z szokującą informacją o trzech chórzystkach. I w przeciwieństwie do innych organistów, których Jack miał napotkać na swej drodze, Torvald Torén przywiązywał wagę do swego wyglądu. Chłopca uderzyła również jego urzędnicza, oficjalna czarna aktówka.

Wziąwszy pod uwagę jego młody wiek, czujną postawę oraz świetlaną przyszłość - miał kilku starannie wybranych studentów, których uczył gry na organach - Alice mogła w nim dostrzec obietnicę ucieleśnianą niegdyś przez Williama. Jackowi przeszło przez myśl, że matce ciężko będzie się rozstać z Torvaldem Torénem. Gdy wychodzili z kościoła, ujrzał, jak Alice odwraca się w kierunku złoczonego ołtarza, a kiedy znaleźli się na śniegu wśród tego, co jawiło im się wieczną sztokholmską ciemnością, Alice co chwila zerkała ku podświetlonej kopule zboru. Bez reszty pochłonięty kościołem i aparycją młodego organisty Jack nie zapamiętał wiele z ich rozmowy.

Musieli jeszcze znaleźć Doca Foresta, a William znów przepadł jak kamień w wodę! Mimo to Alice wierzyła, iż nie mógł opuścić portu, nie zrobiwszy sobie wcześniej tatuażu, a gdzieś w Sztokholmie musiał przecież znajdować się przynajmniej jeden fachowiec. Istniała nadzieja, że Doc Forest zna miejsce pobytu Williama. Ból jest jedną z przyczyn, dla których człowiekowi rozwiązuje się język.

Gdy czas upływał im na poszukiwaniach Doca Foresta, oszczędności Alice kurczyły się w zastraszającym tempie. Mieszkali w hotelu „Grand”, najlepszym w Sztokholmie. Pokój wychodził na Stare Miasto i nabrzeże, w miejscu, gdzie cumowały łodzie z całego archipelagu. Jack pamiętał, jak pozował przy jednej z nich, niczym kapitan, który właśnie

zszedł na ład. Wiedział, że hotel jest drogi, gdyż matka napisała tak na widokówce do pani Wicksteed, którą następnie głośno mu przeczytała. Lecz Alice miała plan.

„Grand” znajdował się blisko opery oraz teatru, ludzie wpadali tam na kolację i drinka, miejscowi biznesmeni zaś jadali tam południowe posiłki. Hotel był większy i mniej ponury niż „D’Angleterre”. Jack czuł się tam trochę jak mały książe na włościach.

Plan Alice okazał się prosty i przez pewien czas bardzo skuteczny. Oboje posiadali zaledwie garść lepszych ubrań, które nosili od rana do wieczora celem oddalenia od siebie (wielce uzasadnionych) podejrzeń o akwizycję, w związku z czym pralnia też kosztowała ich немало. Co rano schodzili do jadalni na obfite śniadanie, wliczone w opłatę za pokój, a zarazem będące ich jedynym pełnowartościowym posiłkiem w ciągu dnia. I opychając się na zapas, usiłowali wyłonić spośród co zamożniejszych gości potencjalnych chętnych na tatuaż.

Lunchu nie jedli. Mało kto w „Grandzie” przychodził samotnie na lunch, Alice zaś wiedziała, że zrobienie sobie tatuażu to bardzo osobista decyzja. (Człowiek nie naznaczał się na całe życie w towarzystwie znajomych, którzy przeważnie usiłowali mu to wyperswadować).

Wczesnym wieczorem Jack przesiadywał sam w pokoju, podjadając owoce i wędlinę, podczas gdy mama szukała w barze ewentualnych klientów. Później, kiedy już spał, Alice zamawiała w jadalni najtańszą przekąskę. Wielu hotelowych bywalców spożywało kolację w samotności: wedle oceny Alice byli to „podróżujący biznesmeni”.

Zawsze zagajała w identyczny sposób.

- Czy ma pan/-i tatuaż? (Nauczyła się nawet tego po szwedzku: Har ni nagon tatuering?)

W razie odpowiedzi twierdzącej pytała:

- Czy to Doc Forest? - Ale nikt o nim nie słyszał, a na pierwsze pytanie padała zwykle odpowiedź przecząca.

Gdy potencjalny klient odpowiadał, że nie ma tatuażu, Alice zadawała kolejne pytanie, najpierw po angielsku, potem w razie potrzeby po szwedzku.

- A chciałby/-ałaby pan/-i? (Skulle ni vilja ha en?).

Większość ludzi mówiła, że nie, ale niektórzy odpowiadali „być może”. To ostatnie stanowiło dla Alice wystarczający punkt zaczepienia.

Kiedy Jack nie mógł zasnąć, powtarzał sobie ów dialog w głowie; działał lepiej niż rozmyślanie o Lottie bądź liczenie owiec. Kto wie, może został aktorem dlatego, że te kwestie tak głęboko zapadły mu w pamięć.

- Mam pokój i sprzęt, jeśli dysponuje pan/-i czasem. (Jag har rum och utrustning, om ni har tid).

- Ile potrzeba na to czasu? (Hur lang tid tar det?)

- Zależy. (Det beror pa).

- Ile to kosztuje? (Vadkostar det?)

- To też zależy. (Det beror ocksa pa).

Któregoś dnia Jack miał zastanowić się nad sensem zdania: „Mam pokój i sprzęt, jeśli dysponuje pan/-i czasem”. Czy owi podróżujący biznesmeni, których Alice brała samotnie na cel, nie mieli wątpliwości co do jej intencji? Pewna kobieta, która wyraziła chęć zrobienia sobie tatuażu, miała na myśli coś zgoła odmiennego. Nie tylko zdumiała się widokiem czterolatka w pokoju Alice, ale wręcz zażądała, aby wyszedł.

Alice kategorycznie odmówiła. Kobieta, która nie była ani młoda, ani ładna, nie posiadała się z oburzenia. Władła perfekcyjną angielszczyzną, może nawet była Angielką, i to najprawdopodobniej właśnie za jej sprawą kierownik hotelu dowiedział się o nielegalnym procederze Alice.

Igły, pigmenty, zasilacz, pedał, papierowe kubeczki i ręczniki, alkohol, oczar wirgiński, gliceryna i wazelina - nie było tego mało! Mimo to przed przyjściem pokojówek wszystko błyskawicznie zniknęło z pola widzenia. Znając szwedzkie podejście do branży, Alice słusznie

przeczuwała, że kierownictwo hotelu nie byłoby zachwycone na wieść o tym, że rozkręciła pod jego nosem prężnie prosperujący interes.

Jack domyślił się wprawdzie, że źródłem ich kłopotów stała się lesbijka z doskonałą znajomością angielskiego, nie wiedział jednak o negocjacjach, jakie toczyły się między kierownikiem a jego matką. Zauważył jedynie, że stosunek Alice do „Grandu” uległ raptownej zmianie. Zaczęła mówić rzeczy w rodzaju: „Jeśli dzisiaj nie wpadnę na ślad Doca Foresta, jutro nas tu nie ma”, chociaż bynajmniej nie kwapiła się do wyjazdu. Kiedy Jack budził się nocą, matki często nie było. Za mały, aby znać się na zegarku, odnosił wszelako wrażenie, iż pora kolacji dawno minęła. Gdzie wobec tego znajdowała się Alice? Robiła kierownikowi hotelu darmowy tatuaż?

Księgowy spadł im jak z nieba. Jack miał wkrótce zacząć się zastanawiać, czy w każdym mieście musieli spotykać kogoś, kto przychodził im na ratunek. W zestawieniu z bohaterem tej miary co najmniejszy żołnierz księgowy stanowił pewne rozczarowanie. Jack i jego mama zauważyli go któregoś dnia przy śniadaniu, nie mając pojęcia, kim jest.

Nazywał się Torsten Lindberg i straszyl chudością, od której brała litość. Niemniej jednak celebrował śniadanie równie gorliwie jak nasi bohaterowie. Zwrócił ich uwagę niejako potencjalny kandydat na tatuaż, lecz z powodu zawartości swojego talerza. Piętrzyła się na nim okazała kupka śledzi (Alice i Jack ich nie znosili), którą pochłaniał z wyraźnym zachwytem. Oczarowani apetytem mężczyzny, śledzili jego poczynania i nawet nie powstało im w głowie, by zagadnąć go o tatuaż. Nie mogli przy tym opędzić się od myśli, czy śniadanie w „Grandzie” nie jest głównym posiłkiem również dla niego. Tak czy inaczej, pomijając zamiłowanie do śledzi, apetyt chudzielca z pewnością klasyfikował go jako bratnią duszę.

Jego uwagę ściągnęły prawdopodobnie ich natrętne spojrzenia. Miał później wyznać, iż nie sposób było nie zwrócić uwagi na ilość jedzenia (z pominięciem śledzi), jakie nakładali sobie na talerze. Jako bystry księgowy zapewne nie omieszkął przy tym odnotować, że motywem ich działania musi być chęć zaoszczędzenia na kolejnych posiłkach.

Jack starannie oddzielił pieczarki od swojego omletu z trzech jaj; zostawiał je dla matki. Alice skończyła naleśniki, pozostawiając dla syna kulki melona. Tymczasem Lindberg dalej brnął przez śledziowy archipelag.

Ktokolwiek uważa księgowych za małostkowych skąpców i zagorzałych wrogów dzieci, ten nie zna Torstena Lindberga. Uporawszy się ze swym gigantycznym posiłkiem, w czym uprzedził Jacka i Alice, którzy pochyleni nad talerzami wypatrywali potencjalnych klientów, Lindberg stanął przy ich stoliku i uśmiechnął się do chłopca szeroko. Następnie zagadał coś po szwedzku. Jack spojrzał pytająco na matkę.

- Przepraszam... on mówi tylko po angielsku - odrzekła Alice.

- Doskonale! - zawołał Lindberg, jakby dzieci władające angielskim szczególnie potrzebowały czegoś na poprawę humoru. - Widziałeś kiedyś rybę pływającą bez wody? - spytał Jacka.

- Nie - odparł chłopiec.

Pomimo oficjalnego ubrania (granatowego garnituru i krawata) Lindberg nosił się cokolwiek jak klaun. Przypominał członka konduktu pogrzebowego, gorzej: szkielet odziany do przydługiej trumny, lecz w kontakcie z dzieckiem roztaczał wokół siebie magiczną aurę cyrkowca.

Pan Lindberg zdjął marynarkę, a następnie podał ją Alice uprzejmym, a zarazem aroganckim gestem, jakby była jego żoną. Ceremonialnie rozpiął jeden rękaw białej koszuli i podwinął go powyżej łokcia. Na jego przedramieniu widniała wspomniana ryba bez wody: prawdę mówiąc, tatuaż był doskonały i zdawał się pasować do ręki jak ulał. Głowę ryby umieszczono w okolicy nadgarstka, ogon zaś sięgał aż po zgięcie łokcia, przez co rysunek pokrywał większą część przedramienia. Mimo iż nie przedstawiał karpia, jego japońskie pochodzenie nie budziło wątpliwości. Do jego wykonania użyto połyskliwego błękitu oraz

jaskrawej żółci, łączących się w opalizującą zieleń, która przechodziła w atramentową czerń i szanghajską czerwień. Gdy Torsten Lindberg napinał mięśnie przedramienia i lekko obracał nadgarstkiem, ryba zaczynała pływać i wijąc się spiralnie, nurkowała ku wnętrzu dłoni.

- Proszę bardzo - zwrócił się do Jacka, który zamiast odpowiedzi popatrzył na matkę.

- Niezły tatuaż - zawyrokowała. - Ale dam głowę, że to nie Doc Forest.

- Mój Doc Forest nie nadaje się do pokazywania w miejscu publicznym - odparł mężczyzna spokojnie, acz bez wahania.

- Znasz Doca Foresta! - zawołała Alice.

- Naturalnie. Myślałem, że ty też!

- Znam tylko jego prace - wyjaśniła Alice.

- Musisz być ekspertem! - odparował z rosnącym podnieceniem Lindberg.

- Schowaj rybę - poradziła mu kobieta. - W razie czego mam pokój i sprzęt. -(Sięgając pamięcią wstecz, Jack odczuwał pewne rozczarowanie faktem, że matka nie знаła szwedzkiego odpowiednika „Schowaj rybę”).

Zaprowadzili Torstena Lindberga do pokoju, gdzie Alice wyjęła szablony i maszynę do tatuazu. Druga czynność okazała się jednak przedwczesna. Torsten Lindberg był koneserem i nie od razu podejmował decyzję.

Przed wszystkim uparł się, że pokaże Alice swe pozostałe tatuaże, łącznie z tymi na siedzeniu.

- Nie przy Jacku - zaproponowała, Lindberg jednakże zapewnił, że nie ma w nich nic zdrożnego.

Matce chodziło raczej o widok jego tyłka, który nie okazał się specjalnie szokujący. Na lewym pośladku Lindberga widniało oko, na drugim zaś usta w ciup. Oko zdawało się łytać z ukosa na szczelinę przecinającą kościsty zadek, usta natomiast wyglądały jak odcisk pocałunku złożonego wargami ledwo pociągniętymi szminką.

- Bardzo ładny - oznajmiła Alice tonem pełnym dezaprobaty.

Lindberg pośpiesznie naciągnął spodnie.

Miał jednak inne tatuaże, i to niemało. Zawodowe życie księgowego zwykle przebiega w pełnym przyodziewku. Najprawdopodobniej nikt ze współpracowników pana Lindberga nie wiedział o jego tatuażach, a już na pewno żaden nie podejrzewał istnienia oka na tyłku! Alice natychmiast rozpoznała dzieło Mistrza Olego: nagą kobietę z odwróconą brwią włosów łonowych. Jednak było w niej coś, co różniło ją od pozostałych. (Jack nie zdołał ustalić, na czym polegała różnica, gdyż matka nie pozwoliła mu się dokładniej przyjrzeć). Torsten Lindberg nosił również dzieło Petera z Amsterdamu oraz Herberta Hoffmanna z Hamburga. Lecz na Alice największe wrażenie wywarł Doc Forest.

Na wąskiej, zapadłej piersi pana Lindberga uwieczniono wysoki kliper pod pełnymi żaglami, trójmasztowiec z solidnym kadłubem i pełnym osprzętem. Pod burtą spoczywał ogromny wąż morski. Jego łeb dorównywał wielkością głównemu żaglowi; potwór wynurzał głowę w okolicach lewej burty, jego ogon zaś burzył tafelę od strony sterbortu. W konfrontacji z wężem okręt nie miał żadnych szans.

Alice uznała, że Doc Forest musiał być kiedyś marynarzem. Jej zdaniem, kliper na piersi Torstena Lindberga przewyższał klasą pływającą KU OJCZYŹNIE łajbę z mostka świętej pamięci Charliego Snowa. Torsten Lindberg znał adres Doca Foresta, obiecał zaprowadzić tam Jacka i Alice. A następnego dnia miał podjąć decyzję co do tatuazu, jaki zrobi mu Alice.

- Korci mnie osobista wersja twojej róży jerychońskiej - wyznał.

- Każdy mężczyzna z tatuażem powinien ją mieć - przytaknęła Alice.

Pan Lindberg mimo wszystko nie krył powątpiewania. Był typem człowieka wiecznie zatroskanego; liczne rozterki stanowiły istotny powód jego chudości na równi z metabolizmem. Martwił się sytuacją Alice w hotelu, mając na uwadze zwłaszcza dobro Jacka.

- Chłopiec musi mieć ruch, nawet w środku szwedzkiej zimy! -1 jął się dopytywać, czy Jack umie jeździć na łyżwach.

Alice poinformowała, że jazda na łyżwach nie wchodziła w zakres kanadyjskich doświadczeń chłopca.

Torsten Lindberg momentalnie znalazł na to radę. Jego żona jeździ każdego ranka na jeziorze Mälaren. Ona nauczy Jacka!

Jeśli Alice zdumiała się gotowością, z jaką pan Lindberg zaoferował usługi swojej żony, bynajmniej nie dała tego po sobie poznać, zresztą Jack i tak pewnie by nie usłyszał. Siedział akurat w toalecie, gdyż z przejedzenia rozboleł go brzuch. Tak więc nie było mu dane uczestniczyć w rozmowie na temat łyżwiarstwa. Kwestię jego zimowej rekreacji omówiono zatem bez niego.

I wcale nie był zdziwiony, gdy matka wypowiadała się o żonie Lindberga, jakby znała ją nie od dziś.

- To istne przeciwieństwo Lindberga - oznajmiła. - Dusza towarzystwa.

Alice zakomunikowała również Jackowi, że pomimo aprobaty, z jaką odnosiła się do męzowskich tatuaży, pani Lindberg sama stroniła od tego rodzaju ozdób. Wielka, zwalista niewiasta, której sweter mógłby pomieścić dwie Alice, zgodnie z obietnicą męża zabrała Jacka na lodowisko. Jack odnotował w myślach, że Agneta Lindberg wolała swoje nazwisko panińskie, które brzmiało Nilsson.

- Każdy powie, że Agneta bardziej pasuje do Nilsson niż do Lindberg - skwitowała Alice, ucinając rozmowę na ten temat.

Jack był pod wielkim wrażeniem szybkości, z jaką owa potężna kobieta śmigała na łyżwach, choć jednocześnie dręczyło go, że niemal równie prędko dostawała zadyszki. Jak na kogoś, kto trenował każdego ranka, stanowczo brakowało jej kondycji.

Zważywszy na napięty harmonogram Torstena Lindberga, wykonanie osobistej wersji róży jerychońskiej, na którą się zdecydował, mogło potrwać trzy dni. Sam kontur wymagał blisko czterogodzinnej pracy, a wycieniowanie sprytnie zamaskowanych genitaliów mogło wydłużyć proces o kolejny dzień.

Szkoda, że matka nie pozwoliła Jackowi obejrzeć z bliska gotowego tatuażu, bo widok „osobistej” wersji róży Jerycha Alice dodatkowo uświadomiłby mu wagę pozorów.

Jezioro Mälaren to duży słodkowodny akwen, łączący się z Morzem Bałtyckim tuż obok Starego Miasta w miejscu zwanym Slussen. Kiedy nie napada zbyt dużo śniegu, jest to wymarzony teren do jazdy na łyżwach. Pomimo niefortunnnych doświadczeń z cienkim lodem na Kastelsgraven Jack nie obawiał się utonięcia w Malaren. Wiedział, że skoro lód utrzyma Agnetę, on poradzi sobie z tym większą łatwością. Podczas jazdy Agneta często brała go za rękę, równie stanowczo jak Lottie. Podczas gdy Jack uczył się stawać, zawracać, a nawet jeździć tyłem, Alice kończyła różę jerychońską na prawej łopatkę Torstena Lindberga. Zdradziła Jackowi, że właśnie tę łopatkę zwracał we śnie do żony. Kiedy Agneta rankiem otwierała oczy, jej wzrok od razu padał na pochwę ukrytą w kwiecie. Po latach Jack nie mógł się nadziwić, na co kobiecie taki widok, ale bądź co bądź tatuaże nie są dla wszystkich. Bez Torstenów Lindbergów tego świata jego matka nie święciłaby triumfów jako Córka Alice.

Gdy praca nad różą Jerycha dobiegła końca, pan Lindberg zabrał Jacka i Alice na spotkanie z Dokiem Forestem. Jego mieszkanie nie wyróżniało się niczym szczególnym, jeśli nie liczyć szablonów pokrywających ściany w pokoju, w którym urządził pracownię. Alice bardzo podziwiała Doca. Był to nabity mężczyzna o ramionach jak umięśniony marynarz z kreskówki, ze schludnie przystrzyżonym wąsikiem i długimi bokobrodami. Miał płowe włosy, roziskrzony wzrok i rzeczywiście dawniej pracował na statku. Jego pierwszy tatuaż był dziełem Mistrza Petera z Amsterdamu.

Doc żałował, że nie może zatrudnić Alice, ale sam miał do tego stopnia kłopoty z wyszukiwaniem zleceń, że rozglądał się za sponsorem, który pomógłby mu sfinansować pierwszy oficjalny salon.

Co do Muzykanta (gdyż oczywiście William Burns odwiedził jego pracownię), Jack dowiedział się od matki, że tym razem padło na arię quarta lub toccatę Pachelbela. Wspomniała o jakimś szwedzkim filmie, który rozślawił ten utwór.

- A może chodziło o Mozarta - dodała.

Jack nie był pewien, czy miała na myśli ścieżkę dźwiękową filmu, czy ojcowski tatuaż, lecz jego uwagę bez reszty pochłonął pewien wąż. (Cała ściana była poświęcona węzom morskim oraz innym potworom głębin).

- Zakładam, że nie wiesz, dokąd mógł pojechać - powiedziała Alice, zwracając się do Doca Foresta. Straciła cierpliwość do hotelu, a może to kierownik stracił cierpliwość do niej.

- Chyba do Oslo - odrzekł Doc Forest.

- Oslo! - zawołała Alice z rozpaczą. - Czy ktoś robi tam w ogóle tatuaże?

- Pewnie w domu, jak ja - wyraził przypuszczenie Doc.

- Oslo - powtórzyła ciszej Alice. Podobnie jak wcześniej Sztokholm, Oslo nie znajdowało się w planie ich podróży.

- Mają tam organy - podsunął Doc. - Bardzo stare... tak mi mówił.

Naturalnie, że w Oslo są organy! A jeśli mieszka tam jakiś tatuażysta, nieważne, dobry czy zły, William na pewno go znajdzie.

- Wspomniał, w jakim kościele? - spytała Alice.

- Mówił tylko o organach. Podobno mają sto dwa rejestry - poinformował Doc.

- Cóż, wobec tego nietrudno będzie je znaleźć - mruknęła Alice, bardziej do siebie niż pod adresem Doca lub Jacka.

Ze ściany wylaniał się pewien motyw przewodni; chłopiec był o krok od jego odkrycia. Miał coś wspólnego z węzami owiniętymi wokół mieczy.

- Powinnaś zatrzymać się w „Bristolu”, Alice - przekonywał Torsten Lindberg. - Nie znajdziesz tam tylu klientów co w „Grandzie”, ale przynajmniej nie będziesz miała na karku kierownika.

Jack zastanawiał się po latach nad znaczeniem określenia „na karku”. Lecz Alice zbyła słowa Lindberga milczeniem, ograniczając się tylko do wyrazów wdzięczności. Oczywiście podziękowała też Forestowi.

Doc zamknął Jacka w potężnym uścisku.

- Wróc do mnie, kiedy dorośniesz - szepnął. - Może zdecydujesz się na tatuaż.

Jack polubił hotelowy hol i poranne pobudki na dźwięk syren promów dowożących podróżnych z archipelagu. Polubił też jazdę na łyżwach na jeziorze Malaren w towarzystwie Agnety Nilsson, strasznej pani Lindberg. Nie bacząc na mrok, byłby skłonny pozostać w Sztokholmie, ale ponownie nadszedł czas przeprowadzki.

Dojechali pociągiem do Goteborga, a następnie popłynęli do Oslo. Podróż musiała robić wrażenie, jednakże chłopiec zapamiętał tylko ciemność i przejmujące zimno. Ostatecznie był styczeń, a oni kierowali się na północ.

Zważywszy na branzowe paraferalia, podróżowali z mnóstwem bagażu. Gdziekolwiek się zjawiali, nigdy nie sprawiali wrażenia osób, które miały tam zabawić tylko chwilę. Recepcjonista w hotelu „Bristol” musiał dojść do wniosku, że przyjechali na dłużej.

- Byle nie najdroższy pokój - uprzedziła go Alice. - Ale coś ładnego. I niezbyt klaustrofobicznego.

Recepcjonista roztropnie zauważył, że będą potrzebować pomocy przy wniesieniu bagażu; wezwał boja i przyjaźnie uściśnił dłoń Jacka, omal nie miażdżąc mu przy tym palców. Jack po raz pierwszy w życiu miał do czynienia z Norwegiem.

Hol „Bristolu” nie mógł się równać z „Grandem”. Jack wyraził w duchu nadzieję, że nie będzie musiał się do niego przyzwyczajać. Organy nie obchodziły go w najmniejszym stopniu - mogły sobie mieć i dwieście dwa rejestry, osobiście miał to w nosie.

Jak dotąd zaciągnęli dług wdzięczności u trzech tatuazystów, dwóch organistów, małego żołnierza oraz wytatuowanego księgowego. Idąc ciemnym, wyłożonym dywanem korytarzem za bojem i swoim bagażem, chłopiec zachodził w głowę, na kogo wypadnie tym razem.

Ich pokój okazał się mały i duszny. Zanim dotarli na miejsce, na zewnątrz zapanował mrok, jak zresztą prawie zawsze. Okno wychodziło na sąsiedni budynek. (Dla Alice widok zasuniętych zasłon, zza których przebijało mętne światło, świadczył o nudnym, monotonnym życiu. Na pewno nie takim, jakie swego czasu wyobrażała sobie u boku Williama).

Od ostatniego śniadania w „Grandzie” nie mieli nic w ustach. Boj poinformował, że hotelowa restauracja jest jeszcze czynna, ale powinni się pośpieszyć. Matka uprzedziła Jacka, że z całą pewnością jest tam dość drogo, dając tym samym do zrozumienia, by powściągnął swój apetyt.

Rekomendacje boja nie przypadły Jackowi do gustu.

- Musicie spróbować malin moroszek - zachęcał. - No i, rzecz jasna, ozora renifera.

- Zamów łososia, Jack - powiedziała matka po jego wyjściu. - Podzielimy się.

Na te słowa chłopiec wybuchnął płaczem, nie z powodu palców wciąż obolałych od uścisku recepcjonisty ani głodu i znużenia koczowniczym trybem życia. Nie płakał też z powodu typowej dla Skandynawii zimowej ciemności, owego braku światła, która niejednego Szweda i Norwega pchnęła do skoku w głąb fiordu, jeśli tylko udało mu się trafić na niezamarznięty. Nie, nie chodziło o samą podróż, lecz o przyczynę, która kazała im bez przerwy brnąć naprzód.

- Nic mnie nie obchodzi, czy go znajdziemy! - krzyknął do matki. - Mam nadzieję, że nie!

- Jeśli go znajdziemy, zmienisz zdanie. Naprawdę - odpowiedziała.

Lecz czyż fakt, że byli „zaniedbanymi obowiązkami” ojca, nie świadczył dobitnie o rozczarowaniu, jakie w nim wzbudzili? Czy ojciec nie odrzucił ich obojga i nie uczyniłby tego ponownie? (Oczywiście czterolatek nie umiałby wyrazić owych myśli, lecz tak właśnie czuł i dlatego płakał).

Pod wpływem matczynej perswazji osuszył łzy i mogli zejść na kolację.

- Weźmiemy łososia, na pół - oświadczyła kelnerowi Alice.

- Żadnego ozora - dodał Jack. - Ani moroszek.

Restauracja praktycznie świeciła pustkami. Para starszych ludzi siedziała w milczeniu; nie wyglądali na zwolenników tatuażu. Przy stoliku w rogu tkwił samotnie mężczyzna. Bijące od niego skrajne przygnębienie czyniło go wymarzoną kandydatem do skoku w fiord.

- Tatuaż mu nie pomoże - zawyrokowała Alice.

Naraz do restauracji weszło dwoje młodych ludzi. Wtedy to Jack zobaczył po raz pierwszy, jakie wrażenie robili na matce zakochani: sama przybrała bowiem wygląd niedoszłej samobójczyni, która bez chwili wahania rzuciłaby się szczupakiem w dół.

Mężczyzna, chudy, o atletycznej budowie i włosach do ramion, przypominał gwiazdora rockowego, tyle że był schludniej ubrany. Jego żona lub narzeczona wprost nie mogła oderwać od niego oczu ani rąk. Sama była wysoką, mizerną dziewczyną o szerokim uśmiechu i ślicznych piersiach. (Jack Burns umiał to docenić nawet w wieku lat czterech). Czy byli gośćmi hotelowymi, czy też rdzennymi mieszkańcami Oslo, przypominali młodych bywalców salonu Mistrza Olego. I pewnie już mieli tatuaze.

- Zapytaj - ponaglił Jack matkę, która usiłowała na nich nie patrzeć.

- Nie - odszepnęła. - Nie ich. Nie mogę.

Jack nie rozumiał, co się z nią dzieje. Młodzi ludzie byli zakochani. Czyż zakochanie nie oznacza wędrówki w głąb siebie, podobnie jak pierwszy tatuaż? Słyszał rozmowy matki z

Olem o życiowych punktach zwrotnych, które stawały się dlań inspiracją. Młodzi ludzie doświadczali właśnie jednego z nich. Jeśli zaś zatrzymali się w tym hotelu, najprawdopodobniej odbyli już pierwszy wieczorny stosunek. Naturalnie Jack nie miał o tym bladego pojęcia. (Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa młodzi śpieszyli się z kolacją, aby jak najszybciej wrócić do łóżka!).

Dotykali się, nie bacząc na obecność kelnera gotowego zaoferować im danie wieczoru. Gdy odszedł z zamówieniem, Jack trącił matkę.

- Ja mam to zrobić? Poradzę sobie.

- Proszę, nie. Jedz łososia - odparła Alice, nadal zniżając głos do szeptu.

Pomimo koszarnej pogody młoda kobieta miała na sobie zwiewną sukienkę i nie nosiła rajstop. Jack doszedł do wniosku, że oboje muszą mieszkać w hotelu, gdyż nikt nie odważyłby się wyjść w podobnym stroju na taki ziąb. Wydało mu się, że widzi tatuaż po wewnętrznej stronie gołego kolana, ale równie dobrze mogło to być znamię. Ślad okazał się siniakiem, niemniej jednak ośmielony Jack zdobył się na odwagę, by podejść do ich stolika. Matka nie ruszyła się z miejsca.

Jack zbliżył się do pięknej dziewczyny i wypowiedział kwestię, którą nadal powtarzał sobie przed snem.

- Masz tatuaż? - (Najpierw po angielsku. Gdyby jednak mówił po szwedzku, większość Norwegów i tak by go zrozumiała).

Dziewczyna chyba potraktowała to jako żart. Młodzieniec rozejrzał się, jakby nie był pewien, dokąd w gruncie rzeczy trafił. Czyżby niespodziewane najście stanowiło część programu rozrywkowego na żywo? Jack nie wiedział, czemu przypisać jego zakłopotanie; wyglądało na to, jakby widok chłopca wprowadził go w nie lada konsternację.

- Nie - odrzekła dziewczyna, również po angielsku.

Jej towarzysz potrząsnął głową; może też nie miał tatuażu.

- A chciałabyś? - zapytał Jack, zwracając się do dziewczyny. Tylko do niej.

Młodzieniec znów pokręcił głową. Spojrzał przy tym dziwnie na Jacka, jakby nigdy w życiu nie widział dziecka. Kiedy jednak Jack odwzajemnił jego spojrzenie, tamten odwrócił wzrok.

- Może - odparła jego piękna żona lub dziewczyna.

- W razie czego mam pokój i sprzęt - oznajmił Jack, lecz coś odwróciło jej uwagę.

Młodzi ludzie nie patrzyli na Jacka, tylko na jego mamę, która siedziała przy stoliku i płakała. Jack nie wiedział, co robić.

Dziewczyna nachyliła się do Jacka, bardziej przejęta nim niż jego matką. Chłopca owiał zapach perfum.

- Jak długo to trwa? - zapytała.

- Zależy - odparł, tylko dlatego, że znał odpowiedź na pamięć. Widok płaczącej matki przeraził go nie na żarty, mimo to uparcie kierował wzrok na piersi dziewczyny. Nagła cisza wzbudziła w nim jeszcze większe przerażenie.

- Ile to kosztuje? - spytał młody mężczyzna bez zbytniego zainteresowania, jakby nie chcąc zranić niczyich uczuć.

- To też zależy - odpowiedziała Alice. Nie tylko przestała płakać, ale i stanęła tuż za synem.

- Może kiedy indziej - zbył ją chłopak.

Niespodziewana gorycz w jego głosie kazała Jackowi ponownie na niego spojrzeć. Jego żona albo dziewczyna tylko skinęła głową, jakby coś ją przestraszyło.

- Chodź, mój mały aktorze - ponagliła szeptem matka.

Młodzieniec przytknął oczy, jakby nie chciał widzieć, że Jack odchodzi.

Nie odwracając się, chłopiec sięgnął do tyłu. Ręka, wciąż obolała od uścisku recepcjonisty, instynktownie odnalazła maczyną dłoń. W stanach najwyższej konieczności palce Jacka Burnsa po omacku znajdowały drogę.

4 • I ZNOWU NIC

Alice znalazła w Oslo niewielu chętnych na tatuaż. Dla nieustraszonych dusz, wyłonionych spośród zagranicznych gości i bywalców restauracji, które podjęły wyzwanie, zazwyczaj nie był to pierwszy raz.

Ponieważ śniadania w „Bristolu” również wliczano w cenę pokoju, Jack i jego mama podtrzymywali tradycję porannego obżarstwa. Podczas jednej z takich orgii poznali niemieckiego biznesmena, który podróżował z żoną. Niemiec miał na piersi Grób Marynarza (tonący statek z nadal powiewającą niemiecką flagą) oraz latarnię morską St. Pauli na prawym przedramieniu: porządne marynistyczne dzieła Herberta Hoffmanna z Hamburga, którego pracownia mieściła się opodal Reeperbahn.

Niemiec chciał, ażeby Alice zrobiła tatuaż jego żonie, która nosiła już na plecach czterdziestocentymetrową jaszczurkę. Po śniadaniu kobieta wybrała z szablonów Alice opalizującego zielonego pająka, który zawisł na czerwonej nitce pomiędzy jej obojczykiem i szyją.

- Ambitnie jak na Oslo - zawyrokowała Alice.

Nie mogła się doczekać spotkania z Herbertem Hoffmannem, zawsze pragnęła też odwiedzić St. Pauli. Hoffmann, podobnie jak Ole i Peter, reprezentował północny i bałtycki nurt, z jakim po raz pierwszy zetknęła się w pracowni ojca. Wiedziała, że Ole podarował Herbertowi Hoffmannowi jego pierwszą maszynę i, podobnie jak Peter, zrobił mu też tatuaż.

Jackiem kierowały mniej zawodowe względy. Usłyszał od Olego, że Hoffmann nosi na tyłku wielkiego ptaka: na całej szerokości lewego pośladka widniał paw z rozpiętym ogonem! Natomiast jego zaciekawienie Peterem wynikało z niezwyklego faktu posiadania przezeń jednej nogi.

Jeśli jednak widok dzieła Hoffmanna obudził w Alice pragnienie znalezienia się w Hamburgu, jej rozgoryczenie dodatkowo pogłębił fakt, że upłynął cały tydzień pobytu w Oslo, nim zrobiła tatuaż osobie, dla której był to pierwszy raz. Alice określała takich ludzi mianem „prawiczków”. Być może nikt w Norwegii nie kwapił się do wędrówki w głąb siebie, przynajmniej nie tego rodzaju, i nie w „Bristolu”.

Nieumiarkowane łakomstwo przy śniadaniu, pozostające w rażącej sprzeczności z głodową taktyką w porach pozostałych posiłków, sprawiło, że Jack częściej wybierał teraz łososia marynowanego niż wędzonego. Maliny moroszki, uparcie proponowane dzieciom przy każdej okazji, okazały się wyśmienite, a chociaż skosztowanie mięsa renifera było nieuniknione, Jack wywinął się od zjedzenia ozora. Lecz mimo ograniczenia lunchów i kolacji do przekąsek i deserów koszt wyżywienia przewyższał skromne dochody Alice. No i nikt w Oslo nie chciał rozmawiać z nimi o Williamie. W Norwegii ofiarą jego żądz (a zarazem przyczyną ruiny) stała się bowiem dziewczyna zbyt młoda, aby ludzie mogli przejść nad tym do porządku dziennego. Nawet dorośli.

Katedra w Oslo stoi nieco powyżej „Bristolu”. Kiedy ujrzeli ją z perspektywy jego frontowych drzwi pierwszego mrocznego poranka, Domkirke zdawała się wyrastać pośrodku drogi na końcu długiej ulicy, przeciętej wzdłuż szynami tramwajowymi. Zawsze jednak dochodzili tam pieszo.

- Założę się, że to ta - oświadczyła Alice.

- Dlaczego? - spytał Jack.

- Mówię ci.

Domkirke zdecydowanie wyglądała na godną organów ze stu dwoma rejestrami. Niemiecki instrument firmy Walcker został przebudowany najpierw w 1883, a następnie w 1930 roku. Część zewnętrzna pochodziła z roku 1720. W 1950 pomalowano ją na szaro (w wersji pierwotnej była zielona); kolor ów podkreślał posępny i monumentalny charakter barokowej fasady.

Katedra została wzniesiona z cegły, kopuła miała zielonkawy odcień zmurszałej miedzi, a zegar na wieży był wielki i okazały. Cyferblat nadawał całości zgoła sprzeczny z luteranizmem ton przesadnej powagi, jak gdyby budynek służył raczej przechowywaniu świętych relikwii, aniżeli pełnił skromną funkcję domu bożego.

Wnętrze kościoła potwierdziło owo pierwsze wrażenie. Wewnątrz nie było świateł, lecz oświetlenie elektryczne. U sufitu wisały wielkie żyrandole; staroświeckie kinkiety stwarzały złudzenie blasku świateł. Ołtarz, łączący sceny Ostatniej Wieczery z obrazami Ukrzyżowania, pod względem ilości ozdób przypominał sklep z antykami. Nieliczne schody, wiodące na ambonę, udekorowano drewnianymi wieńcami, pociągniętymi złotą farbą. Ponad kazalnicą, na podobieństwo firmamentu, który dzieli jedynie krok od runięcia w dół, wisało dryfujące kłębowisko aniołów; niektóre z nich szarpały struny harf.

Nikt nie grał na organach, wszystkie ławki były puste. Powitała ich oboje tylko sprzątaczką, wsparta o mop niczym o laskę i łypiąca podejrzliwym okiem. Jak wyjaśniła później Alice, nikt choćby najluźniej związany z Domkirke nie życzył sobie jakiegokolwiek wzmianki o Williamie. Takiej, jaką był na przykład Jack.

Na widok chłopca kobieta zamarła. Chwyciwszy oddech, usztywniła ramiona, trzymając przed sobą mop jak krzyż, który mają uchronić przed złem.

- Zastaliśmy organistę? - spytała Alice.

- Którego? - zawołała sprzątaczką.

- A ilu macie? - odpowiedziała pytaniem Alice.

Nie odrywając wzroku od Jacka, kobieta zakomunikowała, że organistą Domkirke jest niejaki pan Rolf Karlsen. Którego zresztą „nie było”. Owo „nie było” wprawiło Jacka w niemałe zmieszanie; kościół nieoczekiwanie wydał mu się nawiedzony.

- Pan Karlsen to wielki człowiek - mówiła sprzątaczką, chociaż nie było jasne, czy nawiązuje do jego postury tudzież znaczenia, czy może jednego i drugiego.

Wszyscy księża również przebywają poza kościołem - ciągnęła kobieta. Wymachiwała przy tym mopem jak różdżką, co, biorąc pod uwagę jej nieruchome spojrzenie, nadal utkwione w Jacku, zdawało się czynnością całkowicie bezwiedną. Jack bezskutecznie rozglądał się za wiadrem. (Po co komu mop bez wiadra? - zachodził w głowę).

- Tak naprawdę - zaryzykowała Alice - szukam młodego organisty, obcokrajowca nazwiskiem William Burns.

Sprzątaczką przymknęła oczy jak podczas modlitwy, w złudnym przekonaniu, że mop istotnie zamieni się w krzyż i odpędzi niebezpieczeństwo. Wycelowała go w chłopca.

- To jego syn! - wykrzyknęła. - Trzeba być ślepym, żeby nie rozpoznać tych rzęs.

Po raz pierwszy ktoś wspomniał o podobieństwie Jacka do ojca. Matka wlepiła weń wzrok, jakby i ona dopiero je sobie uświadomiła; wydawała się przy tym równie wstrząśnięta jak sprzątaczką.

- A ty, nieszczęśnico, musisz być jego żoną! - uzupełniła Norweżka.

- Kiedyś miałam taki zamiar - odparła Alice. I wyciągając rękę, dodała: - Nazywam się Alice Stronach, a to jest mój syn Jack.

Sprzątaczką wytarła dłoń o biodro i mocno uściśnęła rękę Alice. Jack widział to wyraźnie, gdyż Alice wzdygnęła się mimowolnie.

- Else-Marie Lothe - odpowiedziała kobieta. - Niech Bóg cię błogosławi, Jack

- dorzuciła pod adresem chłopca.

Pomny miazdzącego uścisku recepcjonisty Jack zignorował podaną dłoń.

Else-Marie odmówiła rozmowy na temat ostatnich wydarzeń, ograniczając się do stwierdzenia, że „epizod” wstrząsnął całą parafią. Niech Alice i jej syn lepiej wracają do domu, poradziła.

- Co to za dziewczyna? - zapytała Alice.

- Ingrid Moe to nie dziewczyna, to zaledwie dziecko! - krzyknęła Else-Marie.

- Nie przy Jacku - ostrzegła ją Alice.

Sprzątaczką zasłoniła Jackowi uszy suchymi, silnymi dłońmi i powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Odpowiedź matki również mu umknęła, lecz w ostatnich słowach Else-Marie Alice przestała być „nieszczęśnicą”.

- Nikt nie będzie z wami rozmawiał! - wrzasnęła za nimi sprzątaczką, gdy opuszczali Domkirke. Słowa zabrzmiały echem w opustoszałej katedrze.

- Dziewczyzna, to znaczy dziecko, tak! - odkrzyknęła Alice. - Porozmawiam z Ingrid Moe!

Kiedy jednak po raz drugi przestąpili próg kościoła, potraktowano ich jak powietrze. Sprzątaczką nie było. Mężczyzna na drabince wymieniał przepalone żarówki w kinkietach. Był zbyt dobrze ubrany jak na kościelnego. (Pewnie nadgorliwy parafianin). Kimkolwiek był, najwyraźniej wiedział, z kim ma do czynienia, i nabrał wody w usta.

- Czy zna pan Williama Burnsa, Szkota? - spytała Alice, ale mężczyzna oddalił się bez słowa. - A Ingrid Moe? Czyją pan zna? - zawołała za nim.

Nie zwalniając kroku, mężczyzna wzdrygnął się mimowolnie. (Ujmując matczyną rękę przed Domkirke, Jack ponownie usłyszał znajomy trzask migawki. Ktoś zrobił im zdjęcie, gdy kierowali się z powrotem do „Bristolu”).

W sobotni rano usłyszeli wreszcie dźwięki organów. Jack wziął matkę za rękę, a ona zaprowadziła go do instrumentu. Chłopiec miał się później zastanawiać, skąd znała drogę.

Organista siedział o kondygnację wyżej od poziomu kościoła; chcąc do niego dotrzeć, należało wspiąć się po schodach z tyłu katedry. Był tak zaabsorbowany grą, że nie zauważył przybyszów, dopóki nie stanęli tuż obok niego.

- Pan Rolf Karlsen? - spytała z powątpiewaniem Alice. Chłopak nie miał więcej niż kilkanaście lat i na pewno nie nazywał się Rolf Karlsen.

- Nie - odpowiedział tamten. Natychmiast przestał grać. - Jestem tylko studentem.

- Dobrze grasz - pochwaliła Alice. Puściła rękę syna i usiadła na ławce obok studenta.

Chłopak przypominał trochę Larsa: jasnowłosego, niebieskookiego i wątłego, ale młodszy i bez tatuaży. Nikt nie złamał studentowi nosa, drobnego jak u dziewczyny, no i brakowało mu słynnej bródki. Jego ręce zamarły na klawiaturze; Alice ujęła dłoń znajdującą się bliżej niej i położyła ją sobie na kolanach.

- Spójrz na mnie - szepnęła. (Nie mógł). - No to posłuchaj - powiedziała, rozpoczynając swoją opowieść. - Znałam kiedyś chłopaka takiego jak ty, nazywał się William Burns. To jego syn - dodała, wskazując głową w kierunku Jacka. - Popatrz na niego. - (Nie popatrzył).

- Nie mogę z panią rozmawiać! - wybuchnął.

Wolną ręką Alice dotknęła jego twarzy i student zwrócił na nią wzrok. Syn postrzegając matkę w szczególny sposób; zwłaszcza w dzieciństwie Jack uważał Alice za tak piękną, że gdy przysuwała blisko twarz, niemal nie mógł na nią patrzeć. Rozumiał zatem, dlaczego student przymknął oczy.

- Jeśli ty mi nie powiesz, porozmawiam z Ingrid Moe - zagroziła Alice.

Ale Jack przymknął oczy, pewnie w akcie solidarności ze studentem, a kiedy miał oczy zamknięte, czasami zawodził go słuch. W ciemności zbyt wiele rzeczy rozpraszało jego uwagę.

- Ingrid ma wadę wymowy - mówił student. - Nie lubi rozmawiać.

- Domyślam się, że nie należy do chóru - oznajmiła Alice.

Jack i student jednocześnie otworzyli oczy.

- Nie, oczywiście, że nie - odparł chłopak. - Uczy się gry na organach, tak jak ja.

- Jak się nazywasz? - zapytała Alice.

- Andreas Breivik - odpowiedział chłopak.

- Masz tatuaż, Andreas?

Pytanie zdumiało studenta do tego stopnia, że nie odpowiedział; nie tego oczekiwał.

- A chciałbyś? - szepnęła Alice. - To nie boli. Jeśli ze mną porozmawiasz, zrobię ci go za darmo.

W pewien niedzielny poranek, przed mszą, Jack siedział w hotelowej jadalni, opychając się bardziej niż zwykle. Matka powiedziała, że jeśli zostanie na dole, w czasie gdy ona zajmie się robieniem Andreasowi darmowego tatuażu, będzie mógł zjeść, ile tylko zechce. (A ona nie będzie mogła temu zapobiec). Dwukrotnie obrócił do bufetu, nim zwątpił w słuszność spożycia drugiej porcji kiełbasek, ale wtedy było już za późno: kiełbaski przeleciały mu przez żołądek jak przez sito.

Wbrew poleceniu matki, która miała dołączyć doń po skończeniu z Andre-ase, Jack odczuł gwałtowną potrzebę pójścia do toalety. Na parterze „Bristolu” musiała się znajdować męska ubikacja, lecz chłopiec nie wiedział gdzie. Nie tracąc czasu na poszukiwania, pognął na górę i załomotał w drzwi.

- Chwileczkę! - wołała raz po raz matka.

- To kiełbaski! - odrzyknął Jack.

Kiedy Alice wreszcie otworzyła drzwi, zastała syna zgiętego wpół.

Jack tak prędko popędził do łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi, iż prawie nie zwrócił uwagi na rozesłane łóżko, białe stopy matki oraz fakt, że Andreas Beivik właśnie zapinał spodnie. Pomimo jego rozchełstanej koszuli Jack nie dostrzegł tatuażu. Twarz Andreasa wydawała się obrzmiała, jakby ją wielokrotnie pocierał, zwłaszcza w okolicach ust.

Może płakał, przyszło do głowy Jackowi. Alice przekonywała go, że to nie boli, ale Jack wiedział swoje. (Niektóre tatuaże bolą bardziej niż inne, w zależności od miejsca oraz rodzaju pigmentu; bywa, że kolory bywają toksyczne dla skóry).

Kiedy Jack wyszedł z łazienki, matka i Andreas byli kompletnie ubrani, a łóżko pościelone. Przyrządy do tatuażu, papierowe ręczniki, wazelina, pigmenty, wyciąg z oczaru, gliceryna, zasilacz, pedał, a nawet papierowe kubeczki

- wszystko znikło z pola widzenia. Ba, Jack nie przypominał sobie, żeby w ogóle je widział.

- Bolało? - zapytał Andreasa.

Student albo nie dosłyszał, albo nadal był pod wpływem szoku wywołanego bólem, gdyż spoglądał na Jacka jak oniemiały. Alice z uśmiechem potargała synowi włosy.

- Nie bolało, prawda? - spytała Andreasa.

- Nie! - zawołał, trochę zbyt głośno. Pewnie robił dobrą minę do złej gry.

Kolejna róża jerychońska na żebrach chyba nie wchodziła w grę, uznał Jack.

Nie było czasu. Może jakiś drobiazg w okolicach nerek.

- Gdzie mu zrobiłaś? - zapytał matkę.

- Tam, gdzie nigdy o nim nie zapomni - szepnęła, uśmiechając się do Andreasa.

Pewnie mostek, zawyrokował Jack. To by wyjaśniało, dlaczego chłopak wzdragał się przed jej dotykiem. Delikatnie pchnęła go w stronę drzwi; wyglądał, jakby każdy krok sprawiał mu ból.

- Zakryj go na cały dzień - przykazał Jack. - To trochę jak oparzenie słoneczne. I pamiętaj o kremie nawilżającym.

Andreas Breivik ogłupiały stanął na korytarzu, jakby nawet owe proste polecenia przerastały jego możliwości percepcji. Alice pomachała mu na pożegnanie i zamknęła drzwi.

Patrząc, jak matka siada na łóżku, Jack zrozumiał, że jest wykończona. Położyła się, zakładając ręce za głowę, i wybuchnęła śmiechem, który bez wyraźnych przyczyn przechodził z reguły w płacz. Kiedy to nastąpiło, Jack swoim zwyczajem zapytał, co się stało.

- Andreas nic nie wie - wyłkała Alice. I opanowawszy się, dodała: - Gdyby wiedział, na pewno by mi powiedział.

Gdyby Alice zeszła na śniadanie, spóźniliby się do kościoła; poza tym uznała, że Jack objadł się już za dwoje.

Ich ubrania zawsze wracały z pralni z tekturowymi usztywniaczami, owinięte w nie niczym kanapki. Jack patrzył, jak mama bierze jeden z białych kartoników i bazgrze coś drukowanymi literami flamastrem, którym oznaczała fiolki z pigmentem. Napis głosił: INGRID MOE.

Schowała tekturkę pod płaszczem i poszli do Domkirke. Msza już się rozpoczęła. Grały organy, chór śpiewał pierwszy hymn. Chyba przegapili procesję, jeśli w ogóle była. Jack doszedł do wniosku, że przy instrumencie siedzi wielki (a przynajmniej duży) Rolf Karlsen, gdyż muzyka brzmiała nadzwyczaj pięknie.

Kościół był wypełniony niemal po brzegi; usiedli w tylnej ławce w środkowym rzędzie. Kazanie wygłosił mężczyzna, który zmieniał żarówki. Musiał powiedzieć coś na temat Jacka i Alice, gdyż w pewnej chwili kilkoro wiernych zwróciło ku nim zatroskane twarze o zbolałym, a zarazem życzliwym wyrazie.

Z braku lepszego zajęcia Jack podniósł wzrok na sufit, gdzie ujrzał przerażające malowidło. Z grobu wychodził jakiś mężczyzna. Jack był pewien, że Jezus trzymał zmarłego za rękę, co jednak wcale nie umniejszyło jego strachu.

Naraz pastor wskazał ręką na sufit i głośno odczytał po norwesku z Biblii jakiś fragment. Jack odczuł osobliwą ulgę, kiedy wierni również skierowali wzrok w górę. (Miną lata, zanim pojmie sens malowidła i pozna angielskie tłumaczenia Jana, wersy 11,43 i 44, w którym Jezus wskrzesza Łazarza).

To powiedziawszy, zawołał donośnym głosem: „Łazarzu, wyjdź na zewnątrz!”.

I wyszedł zmarły, mając nogi i ręce powiązane opaskami, a twarz jego była zawinięta chustą. Rzekł do nich Jezus: „Rozwiążcie go i pozwólcie mu chodzić”.

Kiedy pastor zawołał: „Łazarzu”, Jack podskoczył. Łazarz i Jezus były jedynymi słowami, jakie zrozumiał, ale przynajmniej poznał imię zmarłego, co też dodało mu dziwnej otuchy.

Po skończonej mszy Alice stanęła przy ławce z kartonikiem przyciśniętym do piersi. Wychodząc z kościoła, wszyscy musieli minąć ją oraz tabliczkę z napisem INGRID MOE. Funkcję akolity pełnił chłopiec w wieku Jacka; wyprowadził wiernych na zewnątrz, niosąc krzyż. Z opuszczonym wzrokiem wyminał Alice. Pastor, którego Jack ochrzcił w myślach „tym od żarówki”, podążał ostatni; zwykle szedł tuż za akolitą, tym razem jednak celowo pozostał z tyłu.

Z westchnieniem przystanął obok Alice.

- Proszę wracać do domu, pani Burns - powiedział łagodnie.

Alice zignorowała owo „pani Burns”, nawet jeśli zwróciła na nie uwagę; możliwe, iż był to kolejny przejaw życzliwości ze strony pastora.

Mężczyzna położył dłoń na jej przegubie.

- Niech Bóg błogosławi panią i jej syna - dodał, potrząsając głową. I poszedł.

Mając w pamięci ostatnie słowa sprzątaczkę, Jack doszedł do wniosku, że Norwegowie nie szcędzą sobie błogosławieństw. Widoczny w górze Łazarz także wyglądał na skorego, by go udzielić.

Po powrocie do „Bristolu” Alice w skupieniu popijała swoją zupę. (Na lunch nie jedli nic więcej). Jeśli jednak ona straciła zainteresowanie wynajdywaniem potencjalnych klientów, Jack uznał, że dostrzega wymarzoną kandydatkę. Przy wejściu do jadalni stała młoda dziewczyna o dziecinnej twarzy i za długich kończynach i świdrowała ich wzrokiem; gdy kelner chciał zaprowadzić ją do stolika, kategorycznie odmówiła. Jack wątpił, czy matka zgodzi się zrobić jej tatuaż. Alice miała swoje zasady. Nie tatuowała nieletnich, a tamta stanowczo na taką wyglądała.

Alice natychmiast zrozumiała, że ma przed sobą Ingrid Moe. Poprosiła kelnera o dodatkowe krzesło i dziewczyna z ociąganiem usiadła przy stole. Przycupnęła na brzeżku

krzesła, opierając dłonie o stół jak o klawiaturę organów; zważywszy na jej wiek, miała absurdalnie długie ramiona i palce.

- Przykro mi, że cię skrzywdził. Przykro mi, że go w ogóle poznałaś - powiedziała Alice. (Pewnie mówi o ojcu, uznał Jack. Kogóż innego mogłaby mieć na myśli?).

Ingrid Moe przygryzła wargę i zapatrzyła się na swoje długie palce. Na jej idealnie prostych plecach leżał gruby, jasny warkocz, sięgający niemal pośladków. Kiedy mówiła, jej zjawiskową urodę mąciła wyraźna trudność, z jaką dobywała z siebie głos; mocno zaciskała zęby, jakby za wszelką cenę nie chciała lub nie mogła pokazać języka.

Jack pomyślał z dreszczem, ile trudu musiał ją kosztować pocałunek. I ile trudu musiał kosztować całującego! Po latach wyobraził sobie, że ojciec pewnie pomyślał to samo - i ogarnął go wstyd.

- Chcę tatuaż - oznajmiła Ingrid Moe. - Mówił, że się na tym znasz. - Wada wymowy czyniła słowa niemal niezrozumiałymi, przynajmniej kiedy dziewczyna mówiła po angielsku.

- Jesteś za młoda na tatuaż - odparła Alice.

- Dla niego nie byłam za młoda - zauważyła Ingrid.

Mówiąc „niego” uniosła wargi i obnażyła zaciśnięte zęby; mocno napięła mięśnie szyi, wysuwając dolną szczękę, jakby chciała splunąć. Było tragiczne, że tak piękna dziewczyna może ulec równie drastycznej metamorfozie pod wpływem pozornie nieskomplikowanej czynności.

- Szczerze ci to odradzam - nie ustępowała Alice.

- No to pójde do Tronda Halvorsena - wydusiła z trudem Ingrid. - Nie jest zbyt dobry, William nabawił się przez niego infekcji. Zresztą nie on jeden.

Dźwięk imienia Williama chyba wstrząsnął Alice bardziej niż informacja o brudnych igłach i kiepskim fachowcu. Lecz Ingrid Moe błędnie odczytała jej reakcję.

- Wylizał się - burknęła. - Musiał tylko brać antybiotyk.

- Nie chcę robić ci tatuazu - powtórzyła Alice.

- Wiem, co i gdzie to ma być - odrzekła Ingrid. - Wolałabym, żeby Trond Halvorsen mnie tam nie oglądał - dodała. Sposób, w jaki skrzywiła usta, wypowiadając to nazwisko, nadał mu brzmienie nazwy niejadalnej ryby. Ingrid złożyła długie palce prawej ręki na lewej piersi, tuż obok serca. - Tutaj - powiedziała. - Dłoń zakryła małą pierś, palce musnęły żebra.

- Będzie bolało - ostrzegła Alice.

- Ma boleć - odparła Ingrid.

- Domyślam się, że chodzi o serce - powiedziała Alice.

Pewnie złamane, stwierdził w duchu Jack. Bawił się widelcem, jego myśli ponownie odpłynęły w niewiadomym kierunku.

Alice wzruszyła ramionami. Złamane serce było tak popularnym marynarskim motywem, że zrobiłaby je z zamkniętymi oczami.

- Nie będę tatuować jego imienia - uprzedziła.

- Nie chcę jego imienia - odparła dziewczyna.

Tylko serce rozdarte na pół, pomyślał Jack. (Tak właśnie zwykł mówić Lars Madsen).

- Kiedyś kogoś poznasz i będziesz musiała się tłumaczyć - ostrzegła Alice.

- Jeśli kogoś poznam, i tak wszystkiego się o mnie dowie - odparowała Ingrid.

- Czym zapłacisz? - spytała Alice.

- Powiem ci, gdzie go szukać - odrzekła tamta.

Ale Jack nie słuchał, jej wada wymowy działała mu na nerwy. Równie dobrze mogła powiedzieć: „Powiem ci, dokąd chciał jechać”.

I tyle po zasadach. Ingrid Moe ostatecznie nie była za młoda na tatuaż, jedynie wyglądała jak dziecko. Pomimo jej dziecięcych rysów wiedział o tym nawet Jack. Gdyby kazano mu zgadywać, wzięłby ją za szesnastolatkę, która wkrótce skończy trzydzieści lat. Nie miał pojęcia, że świat starszych kobiet wkrótce stanie przed nim otworem.

Bursztynowe światło, wypełniające w południe hotelowy pokój, pogłębiło złocisty odcień skóry Ingrid Moe. Obnażona do pasa usiadła na jednym z podwójnych łóżek, Alice zajęła miejsce tuż przy niej. Jack przysiadł na drugim łóżku, zagapiony na piersi wysokiej dziewczyny.

- To tylko dziecko, nie przeszkadza mi, że patrzy - powiedziała Ingrid.

- Może mnie przeszkadza - odrzekła Alice.

- Proszę, nie każ mu wychodzić - rzuciła Ingrid. - Będzie wyglądał zupełnie jak William. Wiesz o tym, prawda?

- Owszem - ucięła Alice.

Być może Ingrid nie protestowała przeciwko obecności Jacka, gdyż na dobrą sprawę wcale nie miała piersi. Mimo to Jack nie mógł oderwać od niej oczu. Siedziała wyprostowana, z długimi palcami zaciśniętymi na kolanach. Błękitne żyłki na przedramieniu odcinały się na tle złocistej skóry. Inna żyłka biegła od szyi w dół, pomiędzy piersi; zdawała się pulsować, jakby pod skórą mieszkało jakieś zwierzątko.

Alice zdążyła wyrysować cały kontur, obejmujący lewą pierś Ingrid i nachodzący na żebra, zanim Jack spostrzegł, że wbrew prośbie dziewczyny serce wcale nie jest złamane. (Bez lustra Ingrid nie mogła śledzić procesu tatuowania, poza tym wpatrywała się w Jacka, bardziej zafascynowanego jej piersiami niż samym tatuażem).

Nawet gdy Alice najechała na żebra, dziewczyna siedziała nieruchomo i ani pisnęła, choć łzy płynęły jej po twarzy strumieniami. Alice nie zwracała na nie uwagi, chyba że któraś skapnęła na lewą pierś; wycierała ją wówczas (papierowym ręcznikiem z odrobiną wazeliny) równie niedbale jak rozprysnięte kropelki tuszu.

Osobliwy charakter rysunku wyszedł na jaw dopiero przy wypełnianiu konturów. Ze względu na niewielką wypukłość piersi Ingrid pulchne serduszko wyglądało jak żywe i zdawało się pulsować z każdym oddechem; ba, sprawiało wrażenie, jakby mogło zacząć krwawić. Jack widywał, jak matka tatuuje serca pośród kwiatów lub okolone wiankiem róż, to serce jednak różniło się od pozostałych nie tylko za sprawą swych niepokąźnych rozmiarów. Tatuaż obejmował część lewej piersi Ingrid Moe i dotykał jej serca w sposób, w jaki kiedyś muśnie je rączka noworodka.

Po skończonej pracy Alice poszła do łazienki umyć ręce. Ingrid nachyliła się, kładąc smukłe dłonie na udach Jacka.

- Masz oczy i usta swojego ojca - szepnęła, zniekształcając słowa. (W jej wydaniu „usta” mogły rymować się z wyrazem „dach”).

I podczas gdy Alice marudziła w łazience, Ingrid nachyliła się jeszcze bardziej i pocałowała Jacka w usta. Chłopiec zadrżał, jakby miał stracić przytomność. Ingrid rozchyliła wargi i jej zęby stuknęły o zęby Jacka. Naturalnie przyszło mu do głowy, czy wada wymowy dziewczyny nie jest aby zaraźliwa.

Alice wróciła do pokoju, niosąc lusterko. Usiadła na łóżku obok Jacka i razem obserwowali reakcję Ingrid. Dziewczyna długo wpatrywała się w tatuaż bez słowa. Zresztą Jack i tak nie słyszał, co powiedziała. Poszedł do łazienki, gdzie wpakował do ust odrobinę pasty do zębów, a następnie wypluł ją do zlewu.

Może Ingrid mówiła:

- Nie jest złamane... miało być rozdarte na pół.

- Twoje serce jest całe - mogła odpowiedzieć Alice.

- Jest rozdarte na pół! - oznajmiła Ingrid.

Słyszając to, Jack wyszedł z łazienki.

- Tak ci się tylko wydaje - odrzekła matka.

- Zrobiłaś nie to, co chciałam! - wybuchnęła Ingrid.

- Zrobiłam to, co masz: prawdziwe serce. Małe serce - dodała Alice.

- Wal się! - krzyknęła Ingrid Moe.

- Nie przy Jacku - ostrzegła Alice.
- Nic ci nie powiem - odwarknęła Ingrid. Trzymała lusterko tuż przy piersi. Być może tatuaż odbiegał od jej oczekiwań, lecz nie mogła oderwać od niego wzroku.

Alice wstała i poszła z powrotem do łazienki.

- Kiedy kogoś poznasz, Ingrid - rzuciła, zanim zamknęła za sobą drzwi - bo na pewno poznasz, będziesz miała serce, na którym zechce położyć rękę. Twoje dzieci tak samo.

Alice odkręciła kran; chciała zagłuszyć swój płacz.

- Nie zrobiłaś jej opatrunku - przypomniał Jack, zwracając się do zamkniętych drzwi.

- Ty go zrób, Jackie. - Głos matki wzbił się ponad szum wody. - Nie chcę jej dotykać.

Jack posmarował wazeliną kawałek gazy wielkości dłoni Ingrid Moe; pokrył on tatuaż całkowicie. Następnie przykleił go plastrem, uważając przy tym, aby nie dotknąć sutka. Ingrid spościła się lekko i plaster nie chciał przylegać.

- Robiłeś to już? - spytała.

- Pewnie - odpowiedział.

- A właśnie że nie - zaprzeczyła. - Nie w tym miejscu.

Jack wykonał wszystkie niezbędne czynności, miał je w małym palcu.

- Ponoś go do wieczora - polecił Ingrid; dziewczyna zapinała koszulę, nie zwracając sobie głowy mikroskopijnym stanikiem. - To będzie trochę jak oparzenie.

- Skąd wiesz? - zapytała.

Gdy wstała, Jack sięgał jej zaledwie do pasa.

- I posmaruj kremem nawilżającym - dodał.

Ingrid schyliła się, jakby znów chciała go pocałować. Jack zacisnął usta i wstrzymał oddech. Chyba zadrżał, gdyż dziewczyna położyła mu na ramionach swoje duże dłonie.

- Nie bój się - powiedziała. - Nic ci nie zrobię. - I wyszeptała mu do ucha: -Sibelius.

- Słucham?

- Przekaż mamie, że powiedział: „Sibelius”. Tylko o tym myślał. Żeby tam pojechać - dorzuciła.

Lekko uchyliła drzwi prowadzące na korytarz. Następnie wyjrzała na zewnątrz zwyczajem kogoś, kto ostatnio nauczył się chyłkiem opuszczać pokoje hotelowe.

- Sibelius? - powtórzył na próbę Jack. (Pomyślał, że to na pewno norweskie słowo).

- Mówię to tylko ze względu na ciebie, nie na nią - oświadczyła Ingrid Moe. -Możesz jej to powtórzyć.

Jack patrzył, jak odchodzi korytarzem. Od tyłu nie wyglądała na dziecko: poruszała się jak kobieta.

Chłopiec uprzątnął pojemniczki z pigmentem, po czym sprawdził, czy słoiczki z gliceryną, alkoholem i wyciągiem z oczaru są dobrze zakręcone. Schował gazę. Na papierowym ręczniku położył igły z dwóch przyrządów do tatuażu: Jonesy'ego, którego Alice używała do rysowania konturów, i Rodgersa, służącego do kolorowania. Jack wiedział, że będzie chciała je wyczyścić.

Kiedy wreszcie wyszła z łazienki, było oczywiste, że płakała. Jack zawsze uważał matkę za piękną kobietę (reakcje mężczyzn na jej widok jedynie utwierdzały go w tym przekonaniu), lecz Alice najwyraźniej nie była gotowa na to, by tatuować pierś i złocistą skórę osoby o tak anielskiej urodzie jak młoda i ładna Ingrid Moe.

- Ta dziewczyna to kusicielka, Jack - rzekła tylko.

- Powiedziała: „Sibelius” - oznajmił Jack.

- Co takiego?

- Sibelius.

Początkowo Alice zdumiała się tak samo jak Jack; znaczenie słowa nie dawało jej spokoju.

- Może tam pojechał - podsunął chłopiec. - Może tam go znajdziemy.

Alice pokręciła głową. Jack zrozumiał przez to, że Sibelius było kolejnym miastem, które znajdowało się nie po drodze. Nie wiedział nawet, w jakim kraju leży.

- Gdzie to jest? - zapytał matkę.

Alice znów pokręciła głową.

- To nie miasto - oznajmiła. - Sibelius jest fińskim kompozytorem.

Jack zrozumiał, że powiedziała „świńskim”, i zdumiał się jeszcze bardziej.

- Pochodzi z Finlandii - wyjaśniła Alice. - To znaczy, że ojciec pojechał do Helsinek, Jack.

Helsinki również nie mieli w planach. Brzmienie nie spodobało się Jackowi ani trochę. Miasto z piekłem w nazwie! *

Przed wyjazdem do Finlandii Alice chciała zamienić słówko z Trondem Halvorsenem, podrzędnym tatuażystą, który spowodował u Williama infekcję. Halvorsen należał do fachowców zwanych przez Olego chałturszczykami. Działał w parterowym mieszkaniu w Gamlebyen, we wschodniej części Oslo. Kuchnia służyła za pracownię.

Trond Halvorsen był starym marynarzem. Został wytatuowany „odręcznie” na Borneo oraz - również bez użycia stosownych przyrządów - w Japonii. Na prawym przedramieniu nosił dzieło Mistrza Jacka, mentora Olego, na lewym zaś jedną z nagich kobiet tego ostatniego. Miał też kilka obrzydliwych tatuży na udach i brzuchu; wykonał je własnoręcznie. „Kiedy się uczyłem”, wyjaśnił, demonstrując przed Alice i Jackiem swe niezliczone niedociągnięcia.

- Opowiedz mi o Muzykancie - zaczęła Alice.

- Zrobiłem mu kilka nut, o które prosił - odpowiedział Halvorsen. - Nie wiem nawet, co to za melodie.

- Podobno przez ciebie nabawił się infekcji - dorzuciła Alice.

Trond Halvorsen uśmiechnął się tylko; brakowało mu dolnych i górnych kłów.

- Infekcje chodzą po ludziach.

- Czyścisz igły? - spytała Alice.

- Kto miałby na to czas? - odpowiedział pytaniem Halvorsen.

Na piecu bulgotał garnek z rybią głową. W kuchni cuchnęło rybą i tytoniem, w mniej więcej jednakowym stężeniu.

Alice nie kryła odrazy; wszystko lepiło się od brudu, nawet szablony umazane tłuszczem i sadzą. Niektóre pigmenty stwardniały w otwartych pojemnikach na kuchennym stole; nie sposób było określić ich kolorów.

- Jestem Alice, córka Aberdeen Billa. - Alice sprawiała wrażenie obojętnej na własne słowa. - Pracowałam u Mistrza Olego. - Urwała.

- Słyszałem o twoim ojcu, a Mistrza Olego zna każdy - odparł Halvorsen, zgoła niezrażony dezaprobatą Alice.

Jack zachodził w głowę, po co tu w ogóle przyszli.

- Muzykant - powtórzyła Alice. - Pewnie nie wiesz, dokąd pojechał.

- Wkurzył się o tę infekcję - wyznał Trond HaWorsen. - Kiedy wrócił, nie miał nastroju na pogaduszki o podróżach.

- Pojechał do Helsinek - oznajmiła Alice.

HaWorsen spojrzał na nią wyczekująco. Skoro sama wie, to po kiego licha zawraca mu głowę?

- Znasz jakichś tatuażystów w Helsinkach? - dodała.

- Nie ma tam nikogo dobrego - odpowiedział.

*Heli (ang.) - piekło.

- Tutaj też nie - skwitowała Alice.

Trond HaWorsen mrugnął do Jacka, jakby dawał do zrozumienia, że z jego matki twarda sztuka. Następnie zamieszał w garnku i pokazał chłopcu rybią głowę.

- W Helsinkach - powiedział, zwracając się do ryby - możesz poprosić o tatuaż starego marynarza, takiego jak ja.

- Masz na myśli chałturszczyka?

- Kogoś, kto pracuje w domu - uściślił defensywnym tonem, z nutą irytacji w głosie.

- Znasz kogoś takiego w Finlandii? - zapytała Alice.

- W Helsinkach jest restauracja, do której chodzą marynarze - oznajmił Trond Halvorsen.

- Idziesz do portu i szukasz lokalu o nazwie „Salve”. Każdy go zna, jest bardzo popularny.

- Co dalej? - drążyła Alice.

- Pytasz jedną z kelnerek, gdzie można zrobić tatuaż - poinformował Halvorsen. - Któraś ze starszych na pewno będzie wiedziała.

- Dziękuję uprzejmie, panie Halvorsen - powiedziała Alice.

Wyciągnęła rękę, ale ją zignorował. Nawet chałturzyści mają swoją dumę.

- Masz chłopaka? - zapytał, ponownie ukazując w uśmiechu wybrakowaną szczękę.

Alice potargała Jackowi włosy i przytuliła go do biodra.

- A ten tutaj to niby kto? - odpowiedziała.

Trond Halvorsen nigdy nie uścił jej ręki.

- Wykapany ojciec - powiedział tylko.

Po powrocie do „Bristolu” spakowali się w milczeniu. Recepcjonista przyjął ich wyjazd z zadowoleniem: w korytarzu kłębił się tłum dziennikarzy sportowych oraz kibiców łyżwiarstwa. Światowe mistrzostwa w łyżwiarstwie szybkim miały się odbyć na położonym w centrum Oslo stadionie Bislett dopiero w połowie lutego, ale dziennikarze i kibice przyjechali przed czasem. Jack żałował, że on i matka muszą wyjechać, miał nadzieję zobaczyć łyżwiarzy.

Temperatura w Oslo wynosiła osiem stopni poniżej lutowej normy. Taki mróz to szybki lód, oznajmił recepcjonista. Jack zapytał mamę, czy łyżwiarze szybcy jeżdżą po ciemku, czy też stadion Bislett jest oświetlony lampami. Nie wiedziała.

Nie zapytał, jak będzie w Helsinkach, gdyż bał się, że Alice odpowie: „Jeszcze ciemniej”. W bladym południowym świetle ich pokój ponownie zyskał bursztynową poświatę, jednakże Oslo, pozbawione złocistości skóry Ingrid Moe, zdawało się skąpane w wiecznym mroku.

Jack nadal widywał we śnie podrażnione zebra dziewczyny i serce pulsujące z boku piersi. Przykładając gazę do skóry, czuł żar tatuażu: rozpalone serce parzyło go przez opatrunek.

Kiedy podążał wraz z matką wyściełanym korytarzem, którym wcześniej kroczyła (kobiecy krok) Ingrid Moe, zastanawiał się, czy poszukiwanie ojca również nie leży aby w sferze snu: takiego, który nigdy nie dobiega końca.

Któregoś dnia lub wieczoru wejdą do restauracji - popularnego lokalu o nazwie „Salve”, dokąd chodzą marynarze w Helsinkach - i spotkają kelnerkę, która poznała Williama Burnsa. Powtórzy im to, co powiedziała jemu, czyli gdzie można zrobić tatuaż, lecz zanim tam trafią, kolejna fraza na ciele Williama zostanie ukończona. Jeśli wierzyć matce, ojciec zdąży też uwieść kobietę lub dziewczynę, którą poznał w kościele, i żaden członek kongregacji nie zgodzi się pomóc im go odnaleźć, nawet za cenę arcydzieła muzyki sakralnej.

William raz jeszcze przepadnie jak kamień w wodę, podobnie jak wyparty grzmieniem organów w katedrze ginie chór oraz wszelkie odgłosy człowieka: śmiech, lament bądź szloch, jakiego Jack wysłuchiwał nocą, gdy matka myślała, że dawno już śpi.

- Żegnaj, Oslo - wyszeptał w korytarzu, którym Ingrid Moe poniosła serce całe, a nie pęknięte na pół.

Matka schyliła się i pocałowała go w kark.

- Witajcie, Helsinki! - szepnęła mu do ucha.

Jack raz jeszcze sięgnął po jej dłoń. Była to jedyna rzecz, którą potrafił zrobić. I jak się wkrótce okazało, jedyna, co do której mógł mieć całkowitą pewność.

5 • Porażka w Finlandii

Wyruszyli w długą podróż do Sztokholmu, tam, skąd przyjechali, a następnie popłynęli nocą do Helsinek przez Zatokę Fińską. Panował taki ziąb, że słona bryza zamarzała Jackowi na twarzy, jeśli powstał na oblodzonym pokładzie dłużej niż minutę. Grupa niezrażonych pogodą Finów i Szwedów biesiadowała tam aż do północy. Alice zauważyła, że co poniektórzy wymiotowali, przy odrobinie szczęścia po zawietrznej. Rankiem Jack miał okazję ujrzyć pechowców, którzy wymiotowali pod wiatr.

Alice dowiedziała się od pijących, wśród których znajdowali się młodzi ludzie, że najbardziej odpowiadający jej potrzebom w Helsinkach jest hotel „Torni”, gdzie mieści się „Bar Amerykański”, popularne miejsce balang co zamożniejszych studentów. Jeden z obecnych na pokładzie Finów lub Szwedów podkreślił, że można tam spotkać odważne dziewczęta. Córka Alice gorliwie podchwyciła myśl, wiedzona przeczuciem, że owe „odważne” (oraz chłopcy skorzy, by je poznać) tym chętniej przystaną na propozycję tatuażu.

Sam hotel stanowczo pamiętał lepsze czasy. Z uwagi na fakt, że staroświecka winda z kutego żelaza była „chwilowo” popsuta, a ich pokój znajdował się na czwartym piętrze, Alice i Jack zawarli bliższą znajomość ze schodami, po których wchodzili, trzymając się za ręce. Przypadło im lokum bez łazienki i ubikacji. W pokoju był zlew (lecz picie surowej wody odradzono im na samym początku), okno zaś wychodziło na budynek o wyglądzie szkoły średniej. Jack siadał na parapecie i tęsknie spoglądał na uczniów. Na pewno mieli wielu przyjaciół.

Od łazienki i toalety, wspólnej dla grupy wszystkich gości na piętrze, dzielił ich spory kawałek drogi krętym korytarzem. W hotelu mieściło się sto pokoi: któregoś szczególnie nudnego dnia Jack wymusił na matce, aby je wraz z nim policzyła. Tylko mniej niż połowa miała własne łazienki.

Mimo to Alice postąpiła słusznie, wybierając właśnie „Torni”. Z chwilą przybycia do Helsinek zrobiła wśród klienteli „Baru Amerykańskiego” istną furorę. I podczas gdy zaledwie garstka dziewcząt okazała się niczego sobie (na temat ich rzekomej odwagi Jack niewiele mógł powiedzieć), sporo z nich, więcej nawet niż chłopców, nie miało co do tatuażu żadnych obiekcji. Lecz w świecie tatuaży alkohol oznacza dużo krwi, toteż w Helsinkach matka zużywała stopy papierowych ręczników.

W ciągu tygodnia Alice zarobiła niemal równowartość świątecznego honorarium u Olego. Jack często zasypiał przy wtórze bzyczenia maszyny do tatuażu.

I znów można było zaryzykować stwierdzenie, że sypiają na igłach.

W restauracji o nazwie „Salve”, zgodnie z fachową radą kelnerki, zamówili poławianego nielegalnie pstrąga arktycznego zamiast smażonej sielawy bądź szczupaka. Na pierwsze danie spróbowali z grzeczności ozora renifera, głównie z uwagi na fakt, że coraz trudniej było się od niego wykręcić. Ku zdziwieniu Jacka ozór nie był gumowaty i okazał się wcale niezły. Na deser zjadł maliny moroszki. Miały ciemnozłocistą barwę, a ich kwaskowatość przyjemnie kontrastowała z lodami waniliowymi.

Alice odczekała, aż chłopiec skończy deser, po czym zagadnęła kelnerkę, gdzie można zrobić tatuaż. Odpowiedź daleko odbiegała od jej oczekiwań.

- Podobno w hotelu „Torni” mieszka pewna kobieta - zaczęła kelnerka. - Przyjechała z zagranicy, ładna, ale smutna.

- Smutna? - powtórzyła zdumiona Alice.

Jack nie wiedział, gdzie podziąć oczy: nawet on zdawał sobie sprawę, że jego matka jest smutna.

- Tak słyszałam - potwierdziła kobieta. - Przyjechała z małym chłopcem, takim jak ty - dodała, spoglądając na Jacka.

- Rozumiem - odrzekła Alice.

- Przesiaduje w „Barze Amerykańskim”, ale tatuuje u siebie w pokoju, czasem kiedy chłopiec śpi - ciągnęła kelnerka.

- To bardzo ciekawe - odpowiedziała Alice. - Szukam jednak kogoś innego, najlepiej mężczyzny.

- No, jest jeszcze Sami Salo, ale kobieta z „Torni” jest lepsza.

- Proszę opowiedzieć mi o Sami Salo - poprosiła Alice.

Kelnerka westchnęła. Była niską, przysadzistą kobietą w przyciasnym ubraniu i o ewidentnie obolałych nogach. Wzdrygała się przy każdym kroku, trzęsąc tłustymi ramionami, ale była niewiele starsza od Alice. Pod fartuchem nosiła ścierkę, którą zaczęła machinalnie wycierać stół.

- Posłuchaj, skarbie - zwróciła się do Alice ściszym tonem. - Nie zwracaj mu głowy. On wie, gdzie cię szukać.

Alice ponownie okazała zdziwienie; być może nie podejrzewała, że kelnerka wie, z kim tak naprawdę ma do czynienia. Cóż, nie było trudno zgadnąć. Kto inny odpowiadałby w Helsinkach opisowi młodej kobiety z synem, mówiących z wyraźnie amerykańskim akcentem?

- Chcę poznać Sami Salo - oświadczyła Alice. - Chcę spytać, czy tatuował kogoś, kogo znam.

- Ale Sami Salo nie chce poznać ciebie - odparła kelnerka. - Kradniesz mu klientów i nie jest z tego powodu zadowolony. Tak słyszałam.

- To niebawem, ile dociera do pani uszu - zauważyła Alice.

Kelnerka łypnęła spod oka na Jacka.

- Wyglądasz na zmęczonego - zauważyła. - Wysypiasz się? Hałas nie daje ci spać?

Alice wstała od stołu i wyciągnęła rękę do syna. W restauracji panował ścis i wrzawa; Finowie robią podczas posiłku dużo hałasu. Jack nie był pewien, co odpowiedziała kelnerce. Mogło to być na przykład: „Dziękuję za troskę”, bądź też, co bardziej prawdopodobne: „Proszę wpaść wieczorem do «Torni», a chętnie zrobię pani tatuaż tam, gdzie najbardziej boli”. Alice mogła również przekazać wiadomość dla Sami Salo; nawet Jack się domyślił, że tych dwoje łączy pewna zażyłość.

Nie poszli więcej do „Salve”. Odtąd jadali w „Torni”, a „Bar Amerykański” zyskał miano ich domu.

Ale co z kościołem, myślał Jack, zasypiając. Dlaczego nie popytają o organy, na których mógł grać ojciec? Gdzie się podziały nieszczęsne dziewczęta, które miały pecha poznać Williama? No i co z Sibelusem?

Jack zastanawiał się, czy matka nie zaczyna aby mieć dosyć gonitwy za ojcem albo, co gorsza, czy nie ogarnął jej lęk, że w końcu go znajdzie. Może dotarła do niej zatrwajająca wizja, w której William odchodzi, wzruszając ramionami. Przecież na pewno wie, że go szukają. Świat muzyki organowej i świat tatuażu to środowiska hermetyczne. A co, jeśli William sam postanowi stawić im czoło? Jak się wytłumaczą? Czy tak naprawdę chcą, aby osiadł w miejscu i z nimi zamieszkał?

I gdzie miałyby to być?

Helsinki nie sprzyjają rozterkom duchowym. Alice wyraźnie traciła grunt pod nogami. Kiedy późnym wieczorem musiała pójść do łazienki, budziła Jacka i zmuszała go, by jej towarzyszył, nigdy też nie puszczała go nigdzie samego. (Zdarzało się, że siusiał nocą do umywalki). A wieczorami, gdy przesiadywała w barze, wypatrując klientów, Jack często obserwował ją z bocianiego gniazda, czyli żelaznej windy, permanentnie unieruchomionej na drugim piętrze.

Kiedy klient ostatecznie potwierdzał gotowość współpracy, Alice podnosiła wzrok na zepsutą windę i kiwała głową do Jacka, zawieszzonego w niej niczym kanarek w klatce.

Chłopiec patrzył, jak prowadzi klienta na schody. Następnie wymykał się z windy i pędził przodem na czwarte piętro. Zanim tamci docierali na miejsce, on już czekał pod drzwiami.

- Miło cię widzieć, Jack! - wołała niezmiennie matka. - Przyszedłeś po tatuaż?

- Nie, dziękuję - odpowiadał zawsze Jack. - Jestem na to za młody. Przyszedłem popatrzeć.

Był to może niemądry rytuał, lecz oboje wytrwale go przestrzegali. A klient od razu wiedział, że stanowią zgrany zespół.

Kiedy nadszedł trzeci tydzień pobytu w Helsinkach, wspomnienie Sibeliusa wywiewało Jackowi z głowy. Któregoś wieczoru w „Barze Amerykańskim” podeszły do Alice dwie młode kobiety o wyglądzie bardzo odważnych. Poprosiły ją o radę w kwestii tatuażu, który chciały sobie razem zrobić. Jack, oddalony od nich o wysokość jednego piętra, nie mógł usłyszeć, co mówiły.

- Nie można dzielić tatuażu - zaproponowała chyba matka.

- Ależ można - zapewniła ją wyższa z dziewcząt.

A niższa prawdopodobnie dodała:

- Dzieliłyśmy sama wiesz co. Tatuaż to pestka.

Z wysokości popsutej windy Jack zobaczył, że matka kręci głową, gest widywany u niej niezmiernie rzadko. Wcześniej odmawiała młodzieńcom zbyt pijanym na tatuaż bądź liczniejszym grupom mężczyzn: nigdy nie zapraszała do pokoju więcej niż jednego naraz. Te dwie kobiety, wysoka i niska, różniły się od pozostałych; Alice była wyraźnie zakłopotana. Jackowi przyszło do głowy, że matka może je zna.

Alice obróciła się gwałtownie i odeszła. Lecz odważne dziewczęta nieustępliwie ruszyły za nią, nie przestając perswadować. Widząc, że matka wchodzi na schody, Jack wyszedł z windy. Wysoka i niska deptały Alice po piętach.

- Przecież nie jesteś za młode, prawda? - dopytywała się wysoka.

Alice znów pokręciła głową. Dalej szła po schodach, a tamte podążały tuż za nią.

- Ty pewnie jesteś Jack - powiedziała niska, podnosząc spojrzenie na chłopca.

Jack miał wrażenie, że nawet wiedziała, gdzie go szukać.

- A my jesteśmy studentkami Akademii Muzycznej - dodała. - Ja studiuje muzykę sakralną i ucze się gry na organach.

Alice przystanąła raptownie, jakby zabrakło jej tchu. Dziewczęta dogoniły ją na podeście między pierwszym a drugim piętrzem. Jack czekał na drugim piętrze, spoglądając na nie z góry.

- Witaj, Jack - odezwała się wysoka. - Ja gram na wiolonczeli.

Nie była tak wysoka jak Ingrid Moe ani tak oszałamiająco piękna, ale miała równie długie ręce. Jasne, kędzierzawe włosy nosiła przycięte krótko na chłopaka, a na bawełniany golf narzuciła rozciągnięty sweter narciarski ze stadkiem spłowiałych reniferów.

Druga, niższa dziewczyna, miała krągłą sylwetkę, ładną twarz oraz długie ciemne włosy, opadające na piersi. Ubrana była w krótką czarną spódnicę, czarne rajstopy i czarne kozaczki oraz w zbyt obszerny czarny sweter z trójkątnym wycięciem przy szyi. Sweter wydawał się bardzo miękki i nie miał na sobie reniferów.

- Studentki muzyki - powtórzyła Alice.

- Na Akademii Sibeliusa, Jack - oznajmiła wysoka kobieta. - Słyszałeś kiedyś o niej?

Chłopiec nie odpowiedział, nadal patrzył na matkę.

- Sibeliusa... - Nazwisko zabrzmiało tak, jakby z trudem przechodziło Alice przez gardło.

Niska, pulchna dziewczyna o ładnej twarzy ponownie uniosła wzrok i uśmiechnęła się do Jacka.

- Ty musisz być Jack - powiedziała.

Wysoka weszła na górę, przeskakując po dwa schodki. Uklękła przed Jackiem i ujęła jego twarz w długie, nieco lepkie dłonie.

- No proszę, Jack - powiedziała, owiewając chłopca oddechem przesiąkniętym wonią owocowej gumy do żucia. - Wyglądasz zupełnie jak ojciec. Jakby kto skórę zdarł.

Matka Jacka weszła po schodach z niską dziewczyną u boku.

- Ręce przy sobie - ostrzegła wysoką, która wstała i cofnęła się posłusznie.

- Wybacz, Jack - przeprosiła.

- Czego chcecie? - zapytała Alice.

- Już mówiłyśmy. Chodzi o tatuaż - odrzekła niska dziewczyna.

- Chciałyśmy też zobaczyć Jacka - przyznała wysoka.

- Bez urazy, Jack - dodała niska.

No ale przecież Jack miał cztery lata. Jakim cudem mógł zapamiętać rzeczywiste słowa dziewcząt? Czyż nie jest bardziej prawdopodobne, że przez kilka następnych dni, tygodni, a nawet miesięcy wypytywał matkę o sens rozmowy przeprowadzonej na schodach hotelu „Tomi”, a ona przedstawiła mu własną wersję? Możliwe, że wcale nie zapamiętał ich słów, lecz jedynie niezmienną matczyną interpretację ucieczki Williama.

Jeszcze nieraz w przyszłości Jack Burns poczuje się jak na tamtych schodach, nie tylko z powodu dłuższej niż „chwilowo” popsutej windy, lecz również z powodu własnej niemożności określenia różnicy pomiędzy wersją matki a rzeczywistym obrazem ojca.

Jack zapamiętał, co następuje: kiedy mama ponownie ruszyła po schodach, nie puścił jej ręki. Studentki dotrzymywały im kroku aż na czwarte piętro. Jack zrozumiał, że matka błędzi myślami daleko, gdyż stanąwszy pod drzwiami, zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu klucza. Zapomniała, że oddała go Jackowi, była to część ich rytuału.

- Proszę - oznajmił, wręczając jej klucz.

- Mogłeś go zgubić - odrzekła.

Jack nie wiedział, co powiedzieć: rzadko widywał ją tak roztargnioną.

- Słuchaj, chciałyśmy tylko poznać Jacka - podjęła wysoka.

- Pomysł z tatuażem przyszedł później - dorzuciła niska.

Alice wpuściła dziewczyny do pokoju. Jack znów odniósł wrażenie, że już je zna. Następnie zapaliła wszystkie światła. Wysoka studentka ponownie uklękła obok Jacka. Może chciała raz jeszcze ująć jego twarz w swoje dłonie, ale się powstrzymała.

- Kiedy dorosisz, Jack - powiedziała, mierzając go baczym spojrzaniem - poznasz dużo dziewcząt.

- Dlaczego? - spytał chłopiec.

- Uważaj, co do niego mówisz - ostrzegła Alice.

Niska studentka o ładnej twarzy i długich włosach również przyklękła obok Jacka.

- Przepraszamy - rzuciły unisono.

Jack nie miał pojęcia, czy zwracają się do niego, czy do matki.

Alice z westchnieniem usiadła na łóżku.

- Opowiedzcie mi o tym tatuażu - powiedziała, z rozmysłem celując wzrokiem w neutralną przestrzeń pomiędzy studentkami. Musiała wyczuć otaczającą dziewczęta aurę lubieźności; wiedziała, że Jack nie pozostaje na nią obojętny.

Wysoka i niska wymyśliły kolejną wariację na temat złamanego serca, tym razem rozłupanego pionowo. Lewa strona miała się znajdować na sercu wysokiej, prawa zaś na sercu niskiej. Nie był to szczególnie oryginalny pomysł, lecz nawet Jack wiedział, że sama idea tatuażu również do takich nie należała. Złamane serca były zamówieniem dość powszechnym i niedającym wielkiego pola do popisu pod względem kreatywności, a miejsce, gdzie zwykle je lokowano, też było stosunkowo łatwe do przewidzenia.

W owych czasach tatuaż ciągle nosił znamiona pamiątki z podróży, hołdu wielkiej miłości, symbolu zawodu miłosnego bądź portu przeznaczenia. Ciało odgrywało rolę albumu

fotograficznego, tatuaże zaś wcale nie musiały być udanymi fotografiami. W istocie mogły nie być szczególnie artystyczne lub estetycznie satysfakcjonujące, lecz nie były brzydkie, przynajmniej z założenia. Poza tym dawne tatuaże miały zawsze charakter sentymentalny: po cóż bowiem, jeśli nie przez sentyment, człowiek naznaczałby się na całe życie?

Jakim sposobem mogły być oryginalne, skoro oznaczały coś najzwyklejszego pod słońcem? Uczucia do matki, kochanka, który odszedł w siną dal, dziewiczego rejsu. Przeważnie były to wszelako tatuaże marynistyczne: widać żeglarze reprezentowali szczególnie sentymentalną brać.

Podobnie jak wysoka i niska studentki muzyki. Mogły być wulgarne, lecz Alice chyba nie darzyła ich antypatią. No i były pełnoletnie. A już na pewno starsze od Ingrid Moe.

Wysoka miała na imię Hannele; pod spłóviałym swetrem i bawelnianym golfem nie nosiła stanika. Pomimo zgoła przedwczesnego zainteresowania damskim biustem Jack przede wszystkim zwrócił uwagę na jej niewygotowane pachy. Hannele była barczystą młodą kobietą o piersiach niewiele większych od piersi Ingrid Moe, a zdumiewające owłosienie pod jej pachami miało nieco ciemniejszy odcień niż na głowie. Nad pępkiem, niczym zmięty cylinder w kolorze plamy od wina, widniało znamię w kształcie Florydy.

Kiedy Alice przystąpiła do nakreślania konturu, Hannele ściągnęła wargi w ryjek i zaczęła gwizdać. Szum maszyny do tatuażu uniemożliwił Jackowi rozpoznanie melodii. Hannele siedziała przy oknie, z kolanami rozwartymi szeroko, niezbyt elegancko, ale nosiła niebieskie dzinsy, no i ostatecznie była wiolonczelistką. Gdy grała, na pewno siadała w taki sam sposób.

Po latach, kiedy naga kobieta zagrała dla Jacka na wiolonczeli, wspomnienie Hannele nasunęło mu pytanie, czy ona także grała nago dla Williama. I ponownie ogarnął go wstyd, że coś takiego mogło go łączyć z ojcem. Zrozumiał też, co pociągało Williama w Hannele. Była odważna, bez dwóch zdań: gwizdała, nawet gdy Alice zahaczyła jej połówką serca o żebra.

Podczas wypełniania serca kolorem Jack siedział na dużym łóżku obok niskiej, krępej dziewczyny. Miała na imię Ritva; jej piersi były większe niż piersi Hannele i Jack nie zamierzał pójść spać, póki nie nadejdzie jej kolej na półserce.

Musiał wyglądać na znużonego, gdyż mama powiedziała:

- Umyj zęby, Jack, i przebierz się w piżamę.

Chłopiec wstał i wyszorował zęby nad umywalką, gdzie z kranu nie wolno było pić wody, o czym mu nieustannie przypominano. Alice trzymała tam dzbanek z wodą pitną i Jack właśnie nią miał wypłukać usta.

Wskoczył w piżamę, kryjąc się za otwartymi drzwiami szafy, aby Ritva i Hannele nie widziały jego nagości. Następnie znów usiadł na łóżku obok Ritvy, która odsunęła narzutę. Jack położył głowę na poduszce, a Ritva otuliła go kołdrą.

W pokoju rozlegał się jedynie szum maszyny oraz ciche, acz waleczne pogwizdywanie Hannele.

- Słodkich snów, Jack - powiedziała Ritva, całując go na dobranoc. - Czy nie tak mówicie po angielsku? - spytała Alice. - „Słodkich snów”?

- Czasami - odparła Alice.

Jej wojowniczy ton nie uszedł uwagi Jacka, był jakiś obcy.

Być może tak mawiał William: Mógł zwracać się w ten sposób do Alice, Ritvy i Hannele, gdyż ta ostatnia na chwilę przestała gwizdać, tak jakby rwący ból w lewej piersi stał się nagle nie do zniesienia. Jack odgadł, że nie zabolął jej tatuaż, lecz właśnie owo „słodkich snów”.

Chłopiec walczył z narastającą sennością. Powieki same mu opadały; wyciągnąwszy rękę, natrafił palcami na miękki sweter Ritvy, a jej ciepła dłoń zacisnęła się wokół dziecięcej rączki.

Mógł usłyszeć, jak matka mówi:

- Pewnie nie wiecie, dokąd pojechał.
- Nie mówił - mogła odpowiedzieć Hannele, podczas przerwy w gwizdaniu.
- Tropicie go - usłyszał Jack wyraźnie słowa Ritvy. - To chyba wystarczy.
- On tak powiedział? - spytała Alice.
- Ja tak powiedziałam - odparła Ritva.
- Mówimy tak cały czas - dodała Hannele.
- Nie sądzicie, że spoczywa na nim odpowiedzialność za Jacka? - spytała Alice.

Dziewczęta przyznały jej rację, była to wszelako jedna z prowadzonych w Helsinkach rozmów, której senny chłopiec wysłuchał co najwyżej połowicznie. Wyrwany ze snu ujrzał nad sobą miłą, uśmiechniętą twarz Ritvy: wiedział, że musiała dostrzec w jego nieukształtowanych rysach podobieństwo do ojca. (Do dziś widuje jej ładną twarz w snach albo gdy zasypia).

Nie udało mu się zobaczyć krągłych piersi Ritvy ani ustalić, czy też miała nie-wygolone pachy. Gdy znów się obudził, ujrzał obok siebie na poduszce twarz Hannele; miała na sobie bawełniany golf, ale była bez swetra narciarskiego. Musiała zasnąć, czekając, aż Alice upora się z połową serca Ritvy. Jack słyszał bzyczenie maszyny, lecz matka zasłoniła mu widok piersi oraz pach Ritvy. Ponad ramieniem Alice widział tylko wykrzywioną z bólu twarz dziewczyny i jej zaciśnięte powieki.

Głowa Hannele spoczywała tuż obok jego twarzy. Oddech płynący z rozchylonych ust, pozbawiony aromatu owocowej gumy do żucia, był lekko nieświeży. Włosy dziewczyny wydzielaly słodko-kwaśną woń gorącej czekolady, która zbyt długo stała w kubku i nabrała goryczki. Mimo to Jack zapragnął Hannele pocałować. Wstrzymując oddech, delikatnie przysunął twarz do jej twarzy.

- Spij, Jack - powiedziała matka. Siedziała odwrócona plecami; nie miał pojęcia, jakim cudem odgadła, że nie śpi.

Hannele otworzyła szeroko oczy i utkwiała wzrok w Jacku.

- Masz obłądne rzęsy - oznajmiła. - Czy nie tak mówicie po angielsku? - spytała Alice. - „Obłądne?”

- Czasami - odparła Alice.

Ritva stłumiła szloch.

Długie palce uniosły pod kołdrą piżamkę Jacka i połaskotały go w brzuch. (Do dziś czuje niekiedy te palce w snach albo gdy zasypia).

Nocą obudziło Jacka głośne, natarczywe pukanie. W pokoju panował mrok. Matka, która pochrapywała obok niego, ani drgnęła. Chłopiec rozpoznał to pochrapywanie. Wiedział, że na jego biodrze nie spoczywa ręka Hannele, lecz dłoń matki.

- Ktoś puka, mamó - wyszeptał, ale go nie usłyszała.

Pukanie rozległo się ponownie, tym razem donośniej.

Bywało, że zniecierpliwieni oczekiwaniem podchmieleni amatorzy tatuażu przychodzili z baru na górę i tłukli do drzwi. Alice zawsze odsyłała pijaków z kwitkiem.

Jack usiadł na łóżku.

- Za późno na tatuaż! - zawołał piskliwie.

- Nie chcę tatuażu! - odburknął gniewny męski głos z korytarza.

Jack nie widział matki tak przerażonej od nocy z najmniejszym żołnierzem. Usiadła wyprostowana jak struna i przycisnęła do siebie chłopca.

- Czego chcesz? - krzyknęła.

- Szukasz informacji o Muzykancie, prawda? - odpowiedział męski głos. - Robiłem mu tatuaż. Wiem o nim wszystko.

- Sami Salo? - spytała Alice.

- Zawrzyjmy umowę - odparł Salo. - Najpierw otwórz drzwi.

- Chwileczkę, panie Salo.

Alice wstała i włożyła szlafrok na koszulę nocną. Wyjąwszy swoje najlepsze szablony, rozrzuciła je na łóżku. Jack dryfował w piżamie pośrodku morskiego świata, zdany na żywioł serc i kwiatów, okrętów z rozpiętymi żaglami i półnagich dziewcząt w spódniczkach z trawy. Węzów i kotwic, grobów żeglarzy i róż jerychońskich oraz matczynej wersji Zguby Mężczyzny. Był tam również jej Klucz do Mego Serca oraz Naga Kobieta (od tyłu) ze Skrzydłami Motyla, wyłaniająca się z tulipana.

Chłopiec leżał wśród szablonów, jakby dopiero ocknął się z fantasmagorycznego snu. Otworzywszy drzwi Sarniemu Salo, Alice ustąpiła na bok, wpuszczając go do swego świata. Jak się słusznie domyślała, był chałturszczykiem: wiedziała, że nie może oderwać oczu od jej prac, o niebo przewyższających jego własne dokonania.

- Chodzi o to... - zaczął, po czym urwał. Prawie nie zauważył Jacka: szablony całkowicie pochłonęły jego uwagę.

Sami Salo był podstarzałym obszarpańcem o wychudłej, natchnionej twarzy; nosił granatową dokerkę, mocno wciśniętą na uszy, oraz budrysówkę w identycznym kolorze. Spociał się, pokonując cztery kondygnacje schodów, i z jego piersi dobywał się urywany oddech. Stał jak skamieniały, bez słowa wpatrując się w najwspanialsze dzieła Alice.

W wyborze najlepszego zapewne wahałby się pomiędzy różą jerychońską oraz Kluczem do Mego Serca: klucz widniał poziomo na wysokości nagich kobiecych piersi, dziurka zaś znajdowała się w wiadomym miejscu. (Tatuaż ów różnił się od pozostałych nagich kobiet Alice tym, że postać nie była widziana od tyłu).

Sądząc po jego nieszczęsnej minie, Sami Salo stanowił własną wersję Zguby Mężczyzny.

- Chodzi o to... - zachęciła go Alice.

Salo zdjął dokerkę, jakby zamierzał skłonić głowę w modlitwie. Rozpiął też kurtkę, lecz dalej stał w miejscu. Pod budrysówką miał sweter w kolorze zgaszonej bieli; zza ściągacza przy szyi wyłaniały się spłowiałe palce szkieletu i chwytaly za gardło. Był to chyba najbardziej odrażający tatuaż, jaki Alice kiedykolwiek widziała, tak przynajmniej Jack wywnioskował z jej miny. Na szczęście reszta szkieletu kryła się pod swetrem.

Jack i Alice nie zobaczyli pozostałych tatuaży Sarniego Salo, który w dodatku nie przejawiał wielkiej ochoty do rozmowy.

- Chodzi o to - spróbował raz jeszcze - że ja opowiem ci o Muzykancie, a ty wyjedziesz z miasta. Dokądkolwiek.

- Przykro mi, że twoje interesy nie idą najlepiej - odrzekła Alice.

Skwitował przeprosiny kiwnięciem głowy. Jackowi zrobiło się żal biedaka i zanurkował głową pod poduszkę.

- Przepraszam, jeśli moja żona okazała się nieuprzejma - mógł powiedzieć Salo. - Ma dosyć pracy po nocach.

Ze słów tatuazysty wynikało, iż jego żoną była zawzięta kelnerka z „Salve”. Nie wynurzając głowy spod poduszki, czterolatek doszedł do wniosku, że świat dorosłych nie jest taki zły. Nawet on widział, że pan Salo jest dużo starszy od przepracowanej żony, która mogłaby być jego córką.

Po wspomnianej wymianie uprzejmości Alice i Sami Salo nie mieli sobie wiele więcej do powiedzenia.

- Amsterdam - oznajmił chałturszczyk. - Kiedy mu tatuowałem kawałek Bacha na tyłku, mówił, że wybiera się do Amsterdamu.

- Jack i ja opuścimy Helsinki, jak tylko zorganizujemy podróż - odrzekła Alice.

- Masz talent. - Słowa Salo zabrzmiały jakby z korytarza.

- Dziękuję, panie Salo - powiedziała Alice, zamykając drzwi.

Amsterdam przynajmniej znajdował się na ich liście. Jack nie mógł się doczekać spotkania z Peterem i jego ocalałą nogą.

- Nie możemy zapomnieć o kościele Świętego Jana, Jack - powiedziała matka.

Jack sądził, że idą po bilety, ale był w błędzie.

- Grał w nim twój ojciec. Powinniśmy tam przynajmniej zajrzeć.

Znajdowali się w pobliżu morza. Nocą napadało dużo śniegu, na gałęziach ciążyły białe czapy.

- Johanneksen kirkko - powiedziała taksówkarzowi Alice. (Wiedziała nawet, jak wymówić po fińsku nazwę kościoła!).

Kościół Świętego Jana okazał się monumentalną gotycką budowlą z czerwonej cegły, z dwiema wieżami o bliźniaczych iglicach, połyskujących bladą zielenią w blasku słońca. Drewniane ławki miały ciemnozłoty odcień, przywodzący na myśl kolor włosów pod pachami Hannele. Dzwony obwieściły ich przybycie. Zdaniem Alice, wydzwoniły pierwsze trzy nuty „Te Deum” Haendla.

- Cis, E, fis - szepnęła była chórzystka.

Wąskie malowidło nad ołtarzem przedstawiało nawrócenie Pawła w drodze do Damaszku. Organy pochodziły z Wirtembergii, z 1891 roku, i były dziełem firmy Walcker. W 1956 roku zostały poddane renowacji i posiadały siedemdziesiąt cztery rejestry. Jack nie wiedział, czy liczba rejestrów wpływa na głośność organów, czy też na głębię ich brzmienia. (Odkąd William Burns przestał być demonem w oczach syna, chłopiec nie przejawiał większego zainteresowania przedmiotem ojcowskiej pasji).

Słonecznego dnia w Helsinkach światło sączące się przez witraże migotało na piszczałkach, jakby organy miały wybuchnąć kaskadą dźwięków nawet bez udziału organisty. Organista jednak wyszedł na spotkanie gości; Alice musiała go uprzedzić o swoim przybyciu. Nazywał się Kari Vaara i był życzliwym mężczyzną o tak zmierzwionych włosach, jakby przed chwilą wystawił głowę przez okno pędzącego pociągu. Cechowało go nerwowe zaciskanie dłoni, jak gdyby znajdował się o krok od życiowego wyznania albo lada chwila miał paść na kolana, niczym świadek porażającego cudu.

- Twój ojciec to bardzo utalentowany muzyk - rzekł niemal z uwielbieniem pod adresem Jacka, który wprost zaniemówił ze zdumienia: mało kto wyrażał się o Williamie z aprobatą. - Lecz o talent należy dbać, inaczej ginie. - Jego głos zabrzmiał w niższej tonacji organowej.

- Wiemy, że pojechał do Amsterdamu - wpadła mu w słowo Alice, pełna obaw, że Kari Vaara wyjawia straszliwą prawdę z kategorii tych „nie przy Jacku”.

- Nie tylko do Amsterdamu - zaintonował organista.

Jack zerknął na organy Walckera, prawie pewien, że instrument odpowie refrenem.

- Zagra w Oude Kerk.

Jack nie docenił wagi wspomnianej nazwy, lecz matka z zadowoleniem zanotowała ją w pamięci.

- Są tam pewnie jakieś szczególne organy - rzuciła domyślnie.

Kari Vaara chwycił głęboki oddech, jakby miał zamiar znów wystawić głowę przez okno pędzącego pociągu.

- Organy w Oude Kerk są wielkie - oznajmił.

Jack musiał szurnąć nogami albo odchrząknąć, gdyż Vaara ponownie skierował na niego całą swą uwagę.

- Przekonywałem twój ojca, że duży nie zawsze znaczy najlepszy, ale on nie spocznie, dopóki sam tego nie sprawdzi.

- Tak, on musi mieć swoje zdanie na każdy temat. - Alice podchwyciła tonację.

- Co nie zawsze jest takie złe - orzekł Vaara.

- Co nie zawsze jest dobre - odparła Alice.

Kari Vaara pochylił się nad Jackiem. Chłopiec poczuł woń mydła, dolatującą od jego zaciśniętych rąk.

- Może i ty masz talent do gry - zagadnął mężczyzna. Rozplótłszy palce, rozłożył szeroko ramiona, jakby chciał ogarnąć Walckera. - Chcesz zagrać?

- Po moim trupie - oznajmiła Alice, ujmując syna za rękę.

Ruszyli nawą i opuścili kościół. Słońce lśniło na świeżym śniegu.

- Pani Burns! - zawołał za nimi Vaara. (Powiedziała mu, że nazywa się Buras?).

- Podobno w Oude Kerk gra się zarówno dla turystów, jak i dla prostytutek!

- Nie przy Jacku - rzuciła przez ramię Alice.

Taksówkarz czekał; wybierali się po bilety.

- Chodziło mi tylko o to, że kościół znajduje się w dzielnicy czerwonych latarni - wyjaśnił Vaara.

Alice potknęła się lekko, lecz odzyskała równowagę i ścisnęła Jacka mocniej za rękę.

Początkowo mieli płynąć z Helsinek do Hamburga, a dalej pociągiem do Amsterdamu. Lecz podróż była długa i Alice pewnie się obawiała, że utknie w Hamburgu z uwagi na silną pokusę poznania Herberta Hoffmanna. (Może nawet nie wróciliby do Kanady i Jack nie musiałby iść do Świętej Hildy). Wysłała Hoffmannowi tyle kartek, iż Jack nauczył się jego adresu na pamięć: 8 Hamburger Berg. Gdyby popłynęli do Hamburga, gdyby ujrzeli St. Pauli, Reeperbahn oraz Hoffmannowską Tatowierstube przy 8 Hamburger Berg, kto wie, jak potoczyłyby się ich losy.

Znaleźli jednak miejsce na frachtowcu z Helsinek do Rotterdamu. (W tamtych czasach frachtowce często przewoziły pasażerów). Następnie odbyli krótką podróż pociągiem do Amsterdamu. Jack dobrze zapamiętał. Padał deszcz, niektóre pola były zalane. Mimo zimowej pory dokoła nie uświadczylbyś grama śniegu. Widoczny przez okno świat nie miał najmniejszą zapowiedzią wiosny. Alice oparła czoło o szybę.

- Nie za zimna? - zapytał Jack.

- Przyjemna - odparła matka. - Może mam gorączkę.

Jack dotknął jej czoła; nie wydało mu się szczególnie rozpalone. Alice przymknęła oczy i przysnęła. Siedzący po drugiej stronie przejścia mężczyzna w typie urzędnika raz po raz na nią łypał. Jack utkwiał w nim wzrok i tamten wreszcie dał spokój. Jack umiał zbić człowieka z tropu, nawet jako czterolatek.

Wizja pojedynczej nogi Petera oraz domniemane rozmiary organów z Oude Kerk nie pozwalały mu usiedzieć w miejscu. Lecz ni stąd, ni zowąd w jego głowie zrodziło się pytanie ze zgoła innej beczki.

- Mamo? - szepnął. Następnie powtórzył nieco głośniejszym głosem, żeby ją obudzić: -Mamo?

- Tak, mój mały aktorze? - odszepnęła, nie otwierając oczu.

- Co to jest dzielnica czerwonych latarni?

Alice wyjrzała niewidzącym wzrokiem za okno pędzącego pociągu. Kiedy znów przymknęła oczy, urzędnik z drugiej strony przejścia jeszcze raz zerknął na nią ukradkiem.

- Cóż - odparła z zamkniętymi oczami. - Wygląda na to, że niebawem się przekonamy.

6 • Boży zgiełk

Po Amsterdamzie Alice stała się inną kobietą, kobietą, której nikła dotąd pewność siebie oraz poczucie wartości moralnej do reszty legły w gruzach. Jack musiał dostrzec ową zmianę, lecz nie wiedział, czemu należy ją przypisać.

Przy Zeedijk, najbardziej wysuniętej na północny wschód uliczce w dzielnicy czerwonych latarni, znajdował się salon tatuażu zwany „De Rode Draak” - „Czerwony Smok”. Właściciel salonu, Theo Rademaker, zasłynął pod pseudonimem Mistrza Theo; pseudonim miał cokolwiek szyderczą wymowę, ponieważ w Amsterdamie Mistrz Theo zawsze pozostawał w cieniu Mistrza Petera.

Podręczna reputacja Rademakera nie zniechęciła Williama Burnsa, który polecił mu wytatuować sobie na kości ogonowej „Wszyscy wierzymy w Boga jedynego” Samuela Scheidta, stłoczone w kształcie półksiężyca. Nuty zostały częściowo zasłonięte słowami *Wir glauben all' an einen Gott*: był to pierwszy tatuaż Williama w Amsterdamie.

Następny wyszedł spod igły Mistrza Petera, który uznał dzieło Thea za amatorszczyznę i wykonał na ciele Muzykanta Jesu, *meine Freude* („Jezu, radości moja”) Bacha. Peter nie chciał zdradzić gdzie: ograniczył się do stwierdzenia, że w tym wypadku muzyka i nuty bynajmniej ze sobą nie kolidowały.

Naprawdę nazywał się Peter de Haan i mógł uchodzić za najślawniejszego tatuażystę swoich czasów. Jego jedyna noga należała do najbardziej frapujących zagadek dzieciństwa Jacka; na szczęście dla wyobraźni chłopca matka odmówiła wyjaśnień co do okoliczności, w których ją stracił. Alice zaś była głównie pod wrażeniem faktu, że Peter de Haan tatuował Herberta Hoffmanna i że obaj mężczyźni pozostawali ze sobą w bardzo przyjaznych stosunkach.

Salon Mistrza Petera mieścił się w suterenie domu przy St. Olofssteeg - tym sposobem William został dwukrotnie wytatuowany w dzielnicy czerwonych latarni. Mistrz Peter utrzymywał, iż przeznaczeniem Williama Burnsa jest do końca życia nosić piętno muzyki, przeznaczeniem Alice zaś - piętno Williama.

W salonie przy St. Olofssteeg było bardzo gorąco. Peter często zdejmował w czasie pracy koszulę; wyznał Alice, że dzięki temu wzbudza większe zaufanie klientów. Jack rozumiał to w ten sposób, iż siłą rzeczy musieli oni podziwiać jego rozliczne tatuaże.

- W takim razie - odrzekła Alice - ja będę pracować w koszuli.

Zdaniem Jacka, jej słowa kryły w sobie niezachwianą logikę: skoro sama nie miała tatuaży, istniało prawdopodobieństwo, że w ogóle nie zaskarbi sobie zaufania klienta.

Peter de Haan był krępyim mężczyzną o jasnej skórze, miłej, gładko ogolonej twarzy i lśniących, zaczesanych do tyłu włosach. Zwykle miał na sobie ciemne spodnie i siadał z nogą skierowaną w stronę wejścia do pracowni, częściowo chowając kikut za drewnianą ławą lub stołkiem. Zawsze siedział wyprostowany jak struna. Jack nigdy nie widział go stojącego.

Używał kul czy też lasek? Czy może mocował sobie drewnianą nogę, jak pirat, albo poruszał się na wózku inwalidzkim? Jack nie wiedział: Peter zawsze tkwił na swoim miejscu.

Któraś dnia miał się dowiedzieć, że u Petera terminował jego rodzony syn, lecz sam oprócz własnej matki widywał u niego tylko jednego czeladnika. Był to przerażający mężczyzna nazwiskiem Martin Bril. (Być może wywarł on na Jacku tak piorunujące wrażenie, dlatego że syn Petera najzwyczajniej w świecie nie zapadł mu w pamięć).

Martin Bril miał własny salon w Rotterdamie, zamykał go w weekendy i przyjeżdżał do Amsterdamu, gdzie w każdą sobotę pracował u Petera od południa aż do północy. Miał grupę wiernych klientów, z których każdy był zagorzałym chrześcijaninem.

Martin Bril - drobny i żylasty - przypominał chodzący szkielet i robił wyłącznie tatuaże religijne. Do jego ulubionych motywów należało Wniebowstąpienie. Na kościstych plecach

Brila widniał Chrystus wstępujący do nieba w otoczeniu aniołów. Przedstawiał niebo jako mroczne i pochmurne miejsce, lecz jego aniołowie dźwigali iście imponujące skrzydła.

Na klatkę piersiową Bril proponował Ukrzyżowanie: skrwawioną głowę Zbawiciela w koronie cierniowej. Ręce, stopy oraz bok Chrystusa również broczyły krwią: zdaniem Brila, odgrywała ona nader istotną rolę. Na jego własnej piersi, obok głowy Jezusa, widniały słowa modlitwy, ramiona zaś zdobiły wizerunki Matki Boskiej, Dzieciątka oraz dwu Marii Magdalen, jednej w aureoli, a drugiej bez. Brzuch przeznaczył na makabryczną wizję Łazarza opuszczającego grób. (Alice powtarzała z upodobaniem, iż ów Łazarz ponosi winę za Brilową niestrawność).

Obecność dwu Marii Magdalen nasuwała uzasadnione przypuszczenia co do wspaniałości Brila, zwłaszcza wobec profesjonalistek siedzących w oknach i na progach dzielnic czerwonych latarni. Bril jednakże nie krył swojej do nich niechęci. Idąc z dworca centralnego, wcale nie musiał ich mijać: bezpośrednia droga ze stacji do salonu nie wiodła bynajmniej przez wspomnianą dzielnicę. Lecz Bril zatrzymywał się w hotelu „Krasnapolsky” przy Dam Square. (W tamtych czasach hotel uchodził za luksusowy, a już na pewno był zbyt luksusowy dla Brila). I czy to w drodze z czy do „Krasnapolsky’ego”, Bril rozmyślnie wybierał trasę przez dzielnicę czerwonych latarni.

Kiedy tak szedł, jego krok był równie prędki jak osąd. Dzielnicę dzieliły dwa kanały; Bril patrolował obydwie brzozy, z uwzględnieniem bocznych uliczek. Najwęższe alejki, gdzie kobiety sterczące w progach znajdowały się na wyciągnięcie ręki, Bril pokonywał w zawrotnym tempie. Na jego widok prostytutki cofały się w popłochu. (Swego czasu Jack wierzył, iż działo się tak za sprawą powodowanego przezeń przeciągu). Któregoś dnia wyszli za Brilem z hotelu. Nie mogli za nim nadążyć: chłopiec musiałby biec, ażeby nie stracić go z oczu.

„Krasnapolsky” był zbyt luksusowy nie tylko dla Martina Brila, ale i dla Jacka i Alice, którzy pomni przykrych doświadczeń, woleli jednak nie ryzykować pobytu w tańszym hotelu. „De Roode Leeuw” („Czerwony Lew”) znajdował się na Damrak, naprzeciw domu towarowego, gdzie Jack odłączył się kiedyś od matki i zawieruszył na pięć czy dziesięć minut.

W „Czerwonym Lwie” Jack uległ fascynacji szczurem znalezionym w hotelowym salonie bilardowym, tuż za stojakiem na kije. Odkrył, że wpychając kij w jeden koniec stojaka, można zmusić szczura do ucieczki drugą stroną.

„Czerwony Lew” był ulubionym hotelem przedstawicieli handlowych. Poprzedni gość pozostawił w szufladzie biurka pokaźny zapas marihuany. Jack znalazł ją, szukając bielizny, i zastąpił nią zmięte sianko w bożonarodzeniowym żłóbku, podarowanym mu przez matkę w Kopenhadze. I tak Jezusek Jacka spoczął na posłaniu z trawki, a gdy Alice, zwabiona charakterystycznym zapachem, zajrzała do szopki, Maria z Józefem oraz zbieraniną rozmaitych pasterzy i królów brodziła po kolana w konopiach.

Alice oznajmiła, że „De Roode Leeuw” to nie hotel dla nich, ale Jack nie widział, żeby wyrzuciła trawkę. Przenieśli się zatem do „Krasnapolsky’ego”. Pobyt w hotelu przekraczającym możliwości finansowe Jacka i Alice powoli stawał się dla nich rutyną, chociaż bliskość Martina Brila wcale im się nie uśmiechała. Szczur w „Czerwonym Lwie” robił sympatyczniejsze wrażenie.

Co do prób podążania za Brilem przez dzielnicę czerwonych latarni, Jack i Alice podjęli takową tylko raz. Bril, po pierwsze, maszerował zbyt szybko, po drugie zaś, unikał ich jak diabeł święconej wody. W drodze z i do salonu Mistrza Petera Jack i jego matka prowadzili swoistą zabawę, za każdym razem wybierając nieco inną trasę, dzięki czemu poznali wszystkie prostytutki. Większość z nich zachowywała się bardzo przyjaźnie. Niebawem wołały chłopca po imieniu, jego matkę zaś nazywały po prostu Córką Alice.

Garstka wrogo nastawionych ulicznic bynajmniej nie taiła swej niechęci. Przeważnie były to podstarzałe kobiety - według Jacka, mogły być matkami jego matki - choć znalazło się wśród nich również kilka młodszych.

Jedna z tych ostatnich nie wahała się zaczepić Alice.

- To nie miejsce dla dziecka - oświadczyła.

- Ja też muszę pracować - odcięła się Alice.

W owych czasach większość rezydentek dzielnicy czerwonych latarni była Holenderkami, spośród których wiele pochodziło spoza Amsterdamu. Lokalne kandydatki na prostytutki wyjeżdżały do Hagi, natomiast mieszkanki Hagi, innych holenderskich miast oraz wsi zjeżdżały do Amsterdamu. (Mniejszy skandal w rodzinie, mniejszy wstyd).

Na tenże okres przypadał również masowy napływ rodzin z Surinamu. W roku 1970 ciemnoskóre kobiety stawały się w dzielnicy czerwonych latarni coraz powszechniejszym zjawiskiem. Przed Surinamkami były tu ich nieco mniej śniade koleżanki z Indonezji, dawnej kolonii holenderskiej.

Jedna z Surinamek dała Jackowi prezent. Widział ją po raz pierwszy w życiu, a mimo to знаła jego imię, co niezmiernie go zaskoczyło.

Stała w witrynie, nie w dzielnicy czerwonych latarni, lecz na Korsjespoortsteeg bądź Bergstraat, gdzie Jack i jego matka rozpytywali o Williama. Jack początkowo wziął ją za manekina (siedziała nieruchomo jak kukła), lecz ona nieoczekiwanie wyszła na ulicę i podarowała mu czekoladkę w odcieniu własnej skóry.

- Trzymałam ją dla ciebie, Jack - powiedziała.

Zdumienie odebrało chłopcu mowę. Matka zrugwała go, że nie podziękował jak należy.

W dni powszednie, gdy Jack i Alice wędrowali rankiem przez dzielnicę do salonu Mistrza Petera, niewiele kobiet trwało na posterunku: tak wcześniej zaczynały tylko w weekendy. Rzecz jasna, wieczorem paliły się wszystkie światła i okolica tętniła życiem; czasami znajome i życzliwie usposobione prostytutki nie miały nawet czasu ich pozdrowić czy choćby skinąć głową.

Jeszcze przed nadejściem wiosny, gdy chłód wciąż dotkliwie dawał o sobie znać, kobiety częściej wystawały w progu niż w swoich oknach, skore do pogawędki. Nosiły buty na wysokich obcasach, kuse spódnice oraz bluzki lub swetry z głębokimi dekoltami, ale przynajmniej były ubrane. A ich życzliwość - skierowana do Jacka, choć nie zawsze do jego matki - pozwoliła Alice zwieść syna co do natury ich profesji.

W tamtych czasach jedynymi bywalcami dzielnicy czerwonych latarni byli mężczyźni; ich nieszczęśliwe miny nie uszły bystrej uwagi Jacka. Chłopiec odnotował też niezwykle pośpiech, w jakim wychodzili, zdecydowanie kontrastujący z powolnością towarzyszącą im podczas oględzin poprzedzających wizytę u którejś z pań.

Alice wyjaśniła, iż wynika to z ich zgryzoty i niezdecydowania. prostytutka, zakomunikowała synowi, udziela rad mężczyznom niezdolnym zrozumieć kobiety w ogóle - albo jedną kobietę, na przykład żonę. Wstyd bijący z nich postfactum płynie ze świadomości, iż tak naprawdę powinni byli odbyć poważną rozmowę z żoną lub narzeczoną, czego z niewyjaśnionych przyczyn nie chcą lub nie mogą uczynić. Są „zablokowani”, oznajmiła Alice. Kobiety stanowią dla nich zagadkę; mogą wylać żal tylko przed nieznanymi, za stosowną opłatą.

Jack nie miał pojęcia, kto komu płacił, dopóki matka mu nie wyjaśniła. Jej zdaniem, wysłuchiwanie owych żalonych zwierzeń to nie lada wysiłek. Wyraźnie współczuła prostytutkom, dlatego Jack również im współczuł, a że gardziła przy tym mężczyznami, chłopiec całkowicie podzielał jej odczucia.

Jednakże pogarda Jacka i Alice była pestką w porównaniu z odrazą Martina Brila, który darzył wstrętem zarówno prostytutki, jak i ich klientów. Podobne uczucia żywił wobec Jacka i

jego matki. Działo się tak dlatego, że - jak tłumaczyła synowi Alice - ona nie miała męża, a chłopiec pochodził z nieprawego łoża.

Bril nie znosił Alice także z uwagi na jej profesję; w jego mniemaniu nie uchodziło, aby kobieta dotykała półnagiego mężczyzny. On sam odmawiał tatuowania niewiast, może z wyjątkiem ich rąk bądź przedramion, ewentualnie stóp bądź kostek. Pozostała część nóg znajdowała się „za wysoko”, a reszta ciała zasługiwała na miano „zbyt intymnej”.

Kobiety marzące o tatuażach religijnych na zbyt intymnych lub zbyt wysoko położonych częściach ciała odsyłano do Córki Alice, która, zdaniem Brila, w ogóle powinna odstąpić od ich wykonywania. Nie jest wystarczająco religijna, by tworzyć je ze szczerego serca, utrzymywał.

Alice robiła drobne, ładne krzyżyki, ozdobione różami, które młode kobiety chętnie wybierały na dekolt, tak jakby krzyż wisiał na przydługim, niewidzialnym łańcuszku. Wykonywała też Chrystusa na krzyżu, przykrywającego całą łopatkę. (Brakowało mu tragizmu wersji Brila; krwi też było jakby mniej). No i głowę Zbawiciela w cierniowej koronie, zwykle na udzie albo ramieniu, bezlitośnie krytykowaną przez Brila z powodu rzekomego „nadmiaru ekstazy”.

- Może mój Jezus już wstępuje do nieba - skwitowała Alice.

Martin Bril zbył jej słowa zamaszystym gestem, przycisnąwszy rękę do piersi, jakby zamierzał się na Alice wierzchem kościstej dłoni.

- Nie w moim salonie, Bril - ostrzegł go Mistrz Peter.

- Nie przy Jacku. - (Zwykła śpiewka Alice).

Bril obrzucił ich jadowitym spojrzeniem, rezerwowanym zazwyczaj dla prostytutek.

Jack i Alice nigdy nie widzieli, jak Martin Bril opuszcza salon Petera, co czynił w każdą sobotę o północy, kiedy interesy w dzielnicy czerwonych latami szły pełną parą i dziewczęta nie mogły narzekać na brak zajęcia. Jack miał się później zastanawiać, po jakim czasie Bril docierał do „Krasnapolsky'ego”, mijając po drodze każdą witrynę i próg.

Czy nigdy nie zwalniał kroku? Czy któraś z kobiet kiedykolwiek zmusiła go, by przystanął? I czy ogień piekielny gorzał w nim tylko na jawie, czy też nie opuszczał go nawet we śnie?

Ponieważ Alice nie kwapiła się dzielić przyjaznego skądinąd stanowiska pracy z Martinem Brilem, Peter często proponował jej, by w soboty przenościła się do Zeedijk celem udzielenia paru lekcji Theo Rademakerowi w „Czerwonym Smoku”.

- Biedny Mistrz Theo - powtarzał Peter. - Przyda mu się chwila wytchnienia. A i trochę nauki nie zaszkodzi.

Częstokroć wyszydany Mistrz Theo nie należał do kategorii chałturzy-stów, miał tylko pecha dzielić rewir z tatuażystą klasy Mistrza Petera. Rade-maker nie był tak kiepski jak Sami Salo czy Trond Halvorsen: zdaniem Alice, brakowało mu nie tyle umiejętności, ile wyczucia. Poza tym Alice lubiła jego młodego czeladnika, Robbiego de Wita. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że wpadła mu w oko.

Jack i Alice unikali towarzystwa Martina Brila, kiedy tylko mogli. (Brilowi wcale to nie przeszkadzało, ów stan rzeczy nawet go cieszył). „De Rode Draak” stanowił dla naszej dwójki miłą odmianę: zaglądało tam wielu turystów, zwłaszcza w sobotę. Bywało, że z uwagi na nadmiar klienteli Mistrz Peter wielkodusznie odsyłał gości do „Czerwonego Smoka”, nie omieszkawszy ich uprzedzić, by poprosili o Córkę Alice.

Rademaker musiał być wdzięczny za dodatkowe zlecenia, choć ani chybi cierpiał w duchu, gdy nowy klient pytał o Alice. Mistrz Theo lubił Alice, z wzajemnością. Życie Jacka i matki ponownie zyskało określony kształt, a pierwsze tygodnie w dzielnicy czerwonych latami przypominały najszcześniejsze dni w Kopenhadze u Mistrza Olego i Bawidamka Larsa Madsena.

Podobnie zresztą jak Lars, Robbie de Wit usiłował zaskarbić sobie przychylność Alice, wkradając się w łaski jej syna. Lecz Alice darzyła go czysto koleżeńską sympatią. Oboje lubili Boba Dylana; często śpiewali jego piosenki, zagłuszając szum maszyn w „De Rode Draak”. Rademaker też ubóstwiał Dylana. Nazywał go prawdziwym nazwiskiem, wymawianym z niemiecka, i jak się okazało, na bakier z gramatyką.

- Posłuchamy jeszcze der Zimmermana? - pytał, mrugając do Jacka, który miał za zadanie nastawiać płyty. (Należało powiedzieć, posłuchajmy den Zimmermana).

Jack lubił rzadkie owłosienie na brodzie Robbiego de Wita, przypominające mu próżne wysiłki Larsa, mające na celu wyhodowanie zarostu. A jako że jego szopka w dalszym ciągu zalatywała trawką, słodka woń papierosów czeladnika też nie była mu obca. Nie liczył, ile razy matka sięgała po marihuanę. Twierdziła, że dzięki temu łatwiej jej śpiewać z Bobem.

Rademaker pływał kiedyś na kutrze u wybrzeży Alaski, gdzie pewien Eskimos wytatuował mu fokę na piersi oraz niedźwiedzia z wyspy Kodiak na plecach.

Z grubsza rzecz biorąc, Jack i jego matka byli szczęśliwi. Tak się przynajmniej chłopcu zdawało.

Alice wysłała pani Wicksteed kolejną widokówkę. Jack nie wiedział wówczas, że pani Wicksteed przekazywała im pieniądze: to, że nadal mogli mieszkać w hotelach przewyższających ich możliwości finansowe, było po części jej zasługą. Miała doprawdy wielkie serce. (A może po prostu wierzyła, iż dobry hotel stanowi polisę Alice na równi z utratą jej szkockiego akcentu).

Widokówka przedstawiała jeden z amsterdamskich wąskich kanałów; oczywiście nie było na niej prostytutek w drzwiach i witrynach. „Jack przesyła pozdrowienia dla Lottie”, napisała Alice. Jack nie pamiętał, czy wiadomość zawierała coś jeszcze. Obok imienia Lottie narysował uśmiechniętą twarz, przy której zmieścił pierwszą literę swojego imienia.

- Lottie będzie wiedziała, o kogo chodzi - zapewniła go matka.

I widokówka z uśmiechniętą buzią Jacka poleciała do Toronto.

Lecz co się stało z chłopcem, którego pamięć następstwa zdarzeń w wieku trzech lat dorównywała możliwościom dziewięciolatka? Co się stało z jego wrażliwością na szczegóły i świadomością linearności czasu, którą w wieku lat czterech miał na poziomie dziecka jedenastoletniego?

Nie dotyczyło to z pewnością Amsterdamu, gdzie miał wrażenie, iż upłynęło kilka miesięcy, nim postawił nogę w Oude Kerk i usłyszał „wielkie” organy. W rzeczywistości bowiem Alice zjawiłaby się tam najdalej po tygodniu.

Oude Kerk, Stary Kościół, w samym środku dzielnicy czerwonych latarni, został prawdopodobnie konsekrowany w 1306 roku przez biskupa Utrechtu i jest najstarszym budynkiem w Amsterdamie. Przetrwał dwa wielkie pożary, pierwszy w 1421, drugi w 1452 roku, ołtarze zaś uległy poważnemu zniszczeniu podczas zawieruchy ikonoklastycznej w 1566 roku. W 1578, kiedy Amsterdam został oficjalnie ogłoszony miastem protestanckim, Oude Kerk pozbawiono zdobień rzymskokatolickich i poddano renowacji. Ambona pochodzi z roku 1643, prezbiterium zaś z 1681. W Starym Kościele pochowano pierwszą żonę Rembrandta, znajdują się tu także mauzolea pięciu najsłynniejszych siedemnastowiecznych żeglarzy.

Organy, które Kari Vaara określił mianem „wielkich”, są również stare. Zostały zbudowane w 1726 roku przez Christiana Vatera z Hamburga. Wykonanie ogromnego, pięknego instrumentu, złożonego z czterdziestu trzech rejestrów, który uległ całkowitemu rozstrojeniu z chwilą, gdy zawiódł jeden z tych ostatnich, zajęło Vaterowi dwa lata. Przez jedenaście lat organy stały popsute. Rozwiązanie problemu zlecono wreszcie człowiekowi nazwiskiem Müller, który otrzymał za zadanie rozebrać instrument. Naprawa potrwała pięć lat.

Mimo to organy w Oude Kerk przez większość czasu były rozstrojone; przed każdym koncertem stroi się je z powodu temperatury: kościoła nigdy nie sposób ogrzać jak należy.

Tamtego dnia w Starym Kościele panował przenikliwy chłód. Jack i matka usiedli na ławce przy organach obok młodszego organisty, niemrawego wyrostka, który jeszcze nawet nie zaczął się golić. Najwyraźniej mieli do czynienia z cudownym dzieckiem. Alice powiedziała, że słyszała o jego talencie od starszego organisty, Jacoba Venderbosa, który nie miał czasu się z nią spotkać. (Venderbos grał na organach również w amsterdamskim Westerkerk oraz w kościołach Haarlemu i Delftu). Alice nie pozostawało nic innego, jak rozmówić się z piętnastolatkiem.

Młody geniusz nazywał się Frans Donker i odnosił się do Alice z lękiem typowym dla swoich rówieśników. Podobnie jak Andreas Breivik, podczas rozmowy unikał jej wzroku. O ile Jack mógł się zorientować, matka dowiedziała się od wystraszonego nastolatka, że Kari Vaara był w błędzie, sądząc, że William dostał w Oude Kerk posadę organisty: jego zadanie polegało jedynie do dostrajaniu instrumentu. Okazało się to żmudnym i wymagającym zajęciem, bo i organy były nie byle jakie. „Wspaniałe i trudne”, jak zakomunikował im Frans Donker, William zaś radził sobie z nimi znakomicie, choć jego popisy cieszyły się zarówno dobrą, jak i złą sławą. (Jack czuł się już wtedy nieco rozkojarzony dojmującą wonią zasyпки niemowlęcej i miał mętlik w głowie).

- Niezwykle szanuję Williama... jako organistę - mówił młody Donker.

- Myślałam, że jest teraz stroicielem - odrzekła Alice.

Frans Donker puścił jej uwagę mimo uszu. Wyjaśnił z powagą, że od wczesnych godzin porannych aż do wieczora Oude Kerk tętni życiem. Oprócz mszy świętych i prób chóru w kościele odbywają się otwarte dla zwiedzających wydarzenia kulturalne, w tym nie tylko koncerty i recitale, ale i odczyty oraz wieczorki poetyckie. Strojenie organów zakłóciłoby ów napięty harmonogram.

- Kiedy więc to robił? - spytała Alice.

- Cóż... - Młody Donker z wahaniem zawiesił głos. I powiedział może: - William przystępował do pracy po północy. Bywało, że zaczynał sesje dopiero o drugiej lub trzeciej nad ranem.

- Grał w pustym kościele? - indagowała Alice.

- Cóż... - Frans Donker ponownie się zawahał.

Jack nudził się jak mops, błędząc myślami daleko, wydało mu się jednak, że Donker mówi:

- Oude Kerk to ogromny kościół. Dźwięk niesie. Pogłos wynosi pięć sekund. - Młody geniusz zerknął na Jacka i wyjaśnił: - To czas trwania dźwięku po ustaniu jego źródła.

- Aha - odpowiedział chłopiec; zasypiał.

Młody Donker nie dawał za wygraną.

- Toccaty Bacha, które twój ojciec lubił najbardziej, powstały z myślą o dużej przestrzeni. Przestrzeń zwielokrotnia muzykę...

- Do diabła z muzyką - przerwała mu Alice. - Grał w pustym kościele?

- Cóż...

Jeśli dalsze wyjaśnienia przekraczały wyobraźnię Alice, nic dziwnego, że i Jack nie mógł się połapać. Skoro pogłos w obrębie kościoła wynosił pięć sekund, w jakim czasie echo najbardziej dramatycznych utworów organowych Bacha - dajmy na to toccaty d-moll - docierało do prostytutek w pokojach na Oudekerksplein, ulicy w kształcie podkowy, otaczającej Stary Kościół? (Może w ciągu sześciu lub siedmiu sekund? Czy może też wystarczało tylko pięć?).

Grube mury tłumiły muzykę, lecz o drugiej czy trzeciej nad ranem, kiedy aktywność w dzielnicy czerwonych latarni nieco słabła, mroźne zimowe powietrze niesło dźwięk daleko poza Oudekerksplein. Kobiety pracujące w najwęższej, najpodlejszej uliczce - w pobliskim

Trompettersteeg - mogły bez trudu wysłuchać ukochanego Haendla Williama bądź jego ulubionego Bacha. Słyszały go nawet dziwki za kanałem, na odległym krańcu Oudezijds Voorburgwal.

- O tej porze nocy większość starszych prostytutek wraca do domu. Kończą pracę - uzupełnił Frans Donker cokolwiek drżącym głosem, jak gdyby ta część historii nie nadawała się dla uszu czterolatka. (Donker nie wiedział, iż Jack uważa prostytutki za niestrudzonych doradców, służących najbardziej żalonym z mężczyzn radą na temat zawilóści kobiecej natury).

W tamtym okresie w dzielnicy czerwonych latarni pracowało wiele starszych prostytutek - niektóre z nich miały dobrze po sześćdziesiątce - wiele z nich urzędowało na parterze domów sąsiadujących ze Starym Kościołem. Z racji swego wieku mogły łatwiej ulegać magii muzyki kościelnej niż ich młodsze koleżanki, chociaż Donker przyznał, że wśród wielbicieli Bacha i Haendla nie brakowało również młodych uliczników.

- Chcesz powiedzieć, że przychodziły go posłuchać? - zapytała Alice.

Frans nie mógł usiedzieć w miejscu; przesunął się z jednego końca skózanego siedziska na drugi. (Znow ta zasypka, pomyślał Jack).

Po latach woń zasypki miała mu nasunąć nieodparte wspomnienie prostytutek; niemal widział znużone kobiety, zmywające makijaż i wieszające ubrania w ciasnych szafach. W drodze do domu nie nosiły wysokich obcasów ani krótkich spódnic; kiedy zaczynały pracę, też nie. Na co dzień wkładały niebieskie dzinsy albo stare płócienne spodnie oraz buty na płaskim obcasie, a do tego bezkształtne, ale ciepłe palta i wełniane czapki. Wcale nie wyglądały na prostytutki, choć jakaż inna kobieta samotnie spaceruje ulicą o drugiej lub trzeciej nad ranem?

Cóż takiego kryła w sobie muzyka organowa, co przykuwało je do miejsca na dodatkową godzinę lub dwie? Frans Donker wyjaśnił, że w Starym Kościele przebywało zwykle około tuzina kobiet i tyleż pozostawało aż do końca Williamowej sesji, czyli do czwartej lub piątej nad ranem, gdy ziąb panujący wewnątrz przenikał do szpiku kości.

William Burns zyskał publikę: grał dla prostytutek!

- Ceniły jego talent - ciągnął młody geniusz z mocą właściwą cudownym dzieciom tudzież szaleńcom. - Czasem sam wstawałem, żeby go posłuchać. Za każdym razem kiedy przychodziłem, widziałem więcej kobiet. William jest niezrównany, zna Bacha i Haendla na wylot.

- Do diabła z muzyką - powtórzyła Alice. - Mów, co się stało.

- Jedna z kobiet chyba zaprosiła go do domu. Właściwie nie tylko jedna.

Ale to nie wszystko. (Zasypka całkowicie pochłonęła uwagę Jacka).

Władze kościelne uznały za niedopuszczalne, że William gra dla prostytutek i, co gorsza, wchodzi z nimi w bliższe stosunki. Ostatecznie działo się to na terenie kościoła. I chyba podziękowano mu za współpracę czy coś w tym rodzaju. A prostytutki - przynajmniej garstka starszych - podniosły larum. Wniesiono protest. Amsterdam był zawsze areną demonstracji. Jack i Alice nieraz widywali je z okien hotelu. Nastąpiła epoka hipisów; Alice tatuowała mnóstwo symboli pokoju oraz (często w miejscach intymnych u osób obojga płci) ów ckliwy slogan Make love, not war. Co najmniej jedna z demonstracji, których byli świadkami, dotyczyła wojny w Wietnamie.

Być może prostytutki w dzielnicy czerwonych latarni wzięły stronę Williama i udzieliły mu schronienia.

- Widziały w nim prześladowanego artystę - powiedział Frans Donker. - Niektóre postrzegają w ten sposób również siebie.

Na pytanie o obecne miejsce pobytu Williama młody geniusz udzielił odpowiedzi nie Alice, lecz jej synowi.

- Będziecie musieli zapytać prostytutek. Zacząłbym od starszych.

Alice wiedziała, do których kobiet powinna się zwrócić. Istotnie były to przeważnie osoby starsze wiekiem. Nieraz okazywały jej swoją niechęć.

- Dziękuję, że poświęciłeś nam swój czas - powiedziała do młodego organisty. Wstała z ławki i wyciągnęła rękę do Jacka.

- Mam wam coś zagrać? - zapytał Frans Donker.

Alice prowadziła Jacka po wąskich schodach. Znajdowali się na czymś w rodzaju poddasza na tyłach Starego Kościoła, za polem widzenia wiernych; strzeliste piszczałki wznosiły się na jakieś sześć metrów ponad ich głowami.

- Zagraj coś z repertuaru Williama, jeśli chcesz - odrzekła Alice. Nie miała ochoty zostać, aby posłuchać.

Na odchodnym Jack ujrzał, jak Donker pudruje skórzaną ławę zasypką. A więc do tego służyła zasypka! Spodnie młodego geniusza były całe białe na tyłku; zasypka ułatwiała mu ślizganie się po ławie. Siedząc nieruchomo, nie mógł dosięgnąć obydwu krańców klawiatury.

Ponad klawiszami królował drewniany fronton, upstrzony dziurami po śrubach w miejscach, gdzie stare mosiężne instalacje odpadły lub też zostały oderwane. Organista widział przed sobą jedynie połać witraża. Wszystko w otaczającej go przestrzeni było stare i sfatygowane, kiedy jednak zaczął grać, liczyła się tylko muzyka.

Alice nie zdołała umknąć w porę. Głęboka dźwięczność, perfekcyjne wycucie tonu, respondująca antyfonie, tubalne echo - toccata i fuga Bacha w d-moll - zaatakowały ich z całą mocą, kiedy schodzili po schodach. Alice w pośpiechu szukała wyjścia, lecz obrała niewłaściwy kierunek. Znaleźli się w centralnej nawie, naprzeciw ołtarza: potężny dźwięk otaczał ich z każdej strony.

W miejscu dla wiernych stała gromadka oszołomionych turystów. Przewodnikowi najwidoczniej przerwano w pół zdania, zastygł bowiem z otwartymi ustami, jak gdyby toccata dobywała się z jego gardła. Musiał poczekać z resztą wykładu do chwili ustania muzyki.

Na Oudekerksplein, w mętnowym wczesnowiecznym świetle, prostytutki na progach i w witrynach też słyszały Bacha. Wydawały się doskonale obeznane z utworem, zapewne nieraz przyszło im o świcie słuchać toccaty i fugi d-moll. Wyraz niezadowolenia na ich twarzach świadczył jasno, że William grał je o wiele lepiej niż młody Frans.

Jack i Alice oddalili się w pośpiechu. Nie było czasu zasięgnąć języka wśród nieprzyjaznych kobiet, nie podczas trwania utworu. Muzyka towarzyszyła im aż do Warmoesstraat, boży zgiełk rozbrzmiewał nawet przy komisariacie. Umilkł dopiero na St. Olofssteeg, w połowie drogi do Mistrza Petera.

Czyżby kariera muzyczna Williama dobiegała końca? Czy ograniczał się do strojenia organów, ćwiczył, ale nie koncertował, chyba że późną porą dla mało wyrafinowanej publiki? Czy też słuchanie wielkich organów Oude Kerk stanowiło przywilej sam w sobie?

Ich dźwięk był zaiste święty i potężny. Nawet prostytutki, nieskore czynić cokolwiek bez zapłaty, oddawały mu się bez reszty, zamieniając się w słuch.

7 • Też nie po drodze

9 listopada 1939 roku w Leith nastąpił pierwszy niemiecki nalot. Port nie ucierpiał, jednakże matka Alice poroniła w zatłoczonym schronie przeciwlotniczym.

- To wtedy powinnam była się urodzić - mówiła zawsze Alice.

Gdyby Alice istotnie wtedy przyszła na świat, jej matka może nie umarłaby przy porodzie, Alice zaś nie poznałaby Williama Burnsa, a gdyby go poznała, byłiby rówieśnikami.

- A co za tym idzie - dodawała - jego wdzięki nie zrobiłyby na mnie wrażenia.

Nawet jako dziecko Jack szczerze w to wątpił.

Chłopiec nie pamiętał, co prawda, imienia surinamskiej prostytutki, która podarowała mu czekoladę w odcieniu własnej skóry na Korsjespoortsteeg lub Bergstraat, lecz zapamiętał doskonale, że owe dwie uliczki pomiędzy Singel i Herengracht znajdowały się w pewnym oddaleniu od dzielnicy czerwonych latarni (jakieś dziesięć, piętnaście minut drogi), w nieco zamożniejszej i mniej szemranej okolicy.

Co do pogłosek, które kazały jego matce rozpytywać tam o Williama, za namową Blond Nel (a może Czarnej Loli) Alice zwróciła się do Rowerzysty, Wujka Gerrita. Czarna Lola była starszą białą kobietą o włosach ufarbowanych na atramentową czerń, Wujek Gerrit zaś był zrzedliwym starcem, który załatwiał prostytutkom sprawunki, jeżdżąc tu i tam na swoim wysłużonym rowerze. Nosił przy sobie notes, gdzie zapisywał listę zakupów. Nie lubił, kiedy była ona zbyt długa, i konsekwentnie odmawiał kupowania tamponów oraz prezerwatyw. (Jeśli prostytutki miały w tym celu specjalnie wyznaczonego człowieka, Jackowi i Alice nie było dane go poznać).

Kobiety dokuczały Wujkowi Gerritowi bezustannie. W odwecie potrafił przestać robić zakupy dla szczególnie kąśliwej dziwki, zazwyczaj tylko na parę dni.

Pewna chuda jak patek prostytutka imieniem Saskia notorycznie prosiła Alice i Jacka o kanapkę. Była to wiecznie wygłodniała młoda kobieta, która ustawicznie padała ofiarą złego humoru Rowerzysty. Za każdym razem, kiedy widziała Jacka i jego mamę, dawała im pieniądze na rogalika z szynką i serem. Przy najbliższej okazji wręczali jej kanapkę, chyba że akurat miała klienta.

Zważywszy na fakt, że Saskia cieszyła się niemałą popularnością, Jack miał okazję pochłonąć mnóstwo rogalików z szynką i serem. Alice chętnie kupowała Saskii kanapki za własne pieniądze. Podobnie jak większość kobiet w dzielnicy czerwonych latarni, Saskia kryła w zanadrzu ciekawą historię, Alice zaś była dobrą słuchaczką: jeżeli, rzecz jasna, miała do czynienia z kobietą. (Kobiety o smutnej przeszłości wyczuwały ją na odległość, pewnie dlatego, że Alice sama była chodzącym smutkiem).

Opowieść Saskii dotyczyła dwóch mężczyzn. Pierwszym, który ją skrzywdził, był klient, który podpalił nieszczęsną w jej pokoju przy Bloedsteeg. Usiłował oblać Saskii twarz łatwopalną substancją, dziewczyna jednak zdołała zasłonić oczy i nos prawym przedramieniem; doznała rozległych poparzeń, ale tylko od nadgarstka do łokcia. Po zagojeniu ran ozdobiła okaleczoną rękę bransoletami. Stojąc na progu swego pokoju przy Bloedsteeg, Saskia wyciągała prawą dłoń w kierunku ulicy i brzęczała bransoletami, dzięki czemu człowiek odruchowo zwracał ku niej wzrok. W ten sposób przyciągnęła wielu klientów.

Była zbyt chuda, aby uchodzić za ładną, a uśmiechając się do klienta, nigdy nie otwierała ust, gdyż miała popsute zęby.

- Dobrze się składa, że prostytutki nie muszą całować klientów - powiedziała Jackowi - bo nikt nie chciałby mnie pocałować. - Następnie wyszczerzyła zęby, demonstrując wybrakowane dziąsła.

- Może nie przy Jacku - poprosiła Alice.

W Saskii, z jej kolekcją brzęczących bransolet na jednym przedramieniu, było coś nieodparcie ponętne. Na lewej, nieokaleczonej ręce nie nosiła żadnych ozdób. Być może mężczyźni brali ją za kobietę, która traci nad sobą kontrolę, albo też pociągała ich aura skazy zakorzenionej głębiej niż tylko na płaszczyźnie fizycznej. Cierpienie płonęło w jej oczach jak ogień.

Drugim mężczyzną w smutnej opowieści Saskii był klient, który pobił ją za to, że nie chciała zdjąć bransoletek. Słyszał o jej oparzeniach i chciał zobaczyć bliznę. (Jack doszedł wówczas do wniosku, iż wspomniany mężczyzna potrzebował rady jeszcze dotkliwiej niż zwykli klienci prostytutek).

Saskia wszczała taki rwetes, że usłyszały ją pozostałe cztery rezydentki Bloedsteeg oraz trzy dziewczyny pracujące na rogu Oudezijds Voorburgwal i przybiegły z odsieczą. Wywlokły mężczyznę desperacko potrzebującego rady na ulicę, gdzie jęły okładać go wieszakami i kopać przy pomocy przygodnego hydraulika. Wreszcie jedna z kobiet zdzieliła go w głowę metalową zatyczką od bidetu, w wyniku czego połała się krew. Kiedy przyjechała policja i zabrała delikwenta, mężczyzna majaczył i na poradę chyba nie miał już co liczyć.

- To wtedy straciłaś zęby? - zapytał Jack.

- Owszem, Jack - odpowiedziała. - Pokazuję bliznę tylko ludziom, których lubię i znam. Chcecie zobaczyć?

- Oczywiście - odparł chłopiec.

- Jeśli to nie problem - dodała Alice.

- Żaden problem - zapewniła Saskia.

Zaprowadziwszy ich do swojej klitki, zamknęła drzwi i szczelnie zaciągnęła zasłony, tak jakby byli jej klientami. Jack zdumiał się skromnym wystrojem wnętrza, którego jedyne umeblowanie stanowiło łóżko oraz nocny stolik. Pojedyncza lampa z czerwonym szklanym kloszem rozsiewała mętne światło. W szafie brakowało drzwi; w środku wisiała głównie bielizna oraz bat, jakiego używają cyrkowi treserzy lwów.

Prócz tego w pokoiki znajdowała się umywalka oraz biały emaliowany stolik, typowy raczej dla gabinetu lekarskiego niż mieszkania. Na stoliku piętrzył się wysoki stos ręczników. Jeden ręcznik był rozłożony również na łóżku, pewnie na wypadek gdyby któryś z mężczyzn zjawił się w mokrym ubraniu, domyślił się Jack. Łóżko było jedynym miejscem do siedzenia, co, zdaniem Jacka, musiało być dość uciążliwe w sytuacji udzielania i przyjmowania rad, Saskia jednak bez najmniejszego skrępowania opadła na posłanie, zachęcając ich, aby zrobili to samo.

Kolejno zdjęła wszystkie bransolety i podała je Jackowi. W czerwonej poświacie lampy z kloszem chłopiec i jego matka obejrzeni pomarszczoną blizną, przywodzącą na myśl obgotowaną szyję kurczęcia.

- Dalej, Jack. Możesz dotknąć - zachęciła Saskia.

Uczynił to z ociąganiem.

- Boli? - zapytał.

- Już nie - odrzekła Saskia.

- A twoje zęby? - indagował chłopiec.

- Te, których nie ma, nie bolą, Jack. - Pozwoliła mu z powrotem nałożyć bransolety, we właściwej kolejności, od największej do najmniejszej.

Któż mógłby odmówić kanapki tej chudej, wygłodzonej dziewczynie? Jack gardził Wujkiem Gerritem, Rowerzystą, za jego fochy. Lecz stary posługacz miał swoje powody do niezadowolenia. Często stawiał o świcie rower przed Oude Kerk, nieraz chyłkiem siadał w ławce i słuchał porywającej muzyki. Był zagorzałym wielbicielem Williama Burnsa. Może Saskia nie.

- Powinnaś pogadać z Femke - powiedział Rowerzysta do Alice. - To ja wysłałem do niej Williama! Femke wie, co dla chłopaka najlepsze!

I choć Jack nie miał zielonego pojęcia, w czym rzecz, zrozumiał jasno, że Wujek Gerrit nie lubi także jego matki. Stali na Stoofsteeg, patrząc, jak tamten oddala się na swoim rowerze. Wjechał w zakręt i minął „Casa Rosso”, gdzie wyświetlano filmy pornograficzne i organizowano erotyczne występy na żywo. Jack nie wiedział, na czym polegały te ostatnie. (Pewnie kolejna forma doradztwa, pomyślał).

Prostytutka w drzwiach na końcu Stoofsteeg miała na imię Els. Jack uznał ją za mniej więcej rówieśnicę matki; może była trochę starsza. Zawsze traktowała ich bardzo przyjaźnie. Wychowała się na farmie. Oznajmiła Jackowi i jego matce, że spodziewa się któregoś dnia zobaczyć w dzielnicy swego ojca lub braci. Czy zdziwiliby się, widząc ją w progu lub witrynie? Nie zaprosiłaby ich do pokoju, powiedziała. (Widać rady nie były im potrzebne, wywnioskował Jack).

- Kto to jest Femke? - spytał matkę Jack.

- Opowiem wam o niej - powiedziała Els.

- Może nie przy Jacku - zasugerowała Alice.

- Wejdźcie do środka. Spróbuję opowiedzieć to tak, żeby mu uszy nie zwiędły - obiecała Els.

Jak się okazało, przedstawiona wersja historii kompletnie zbiła Jacka z tropu.

Els nosiła platynową perukę. Jack nigdy nie widział jej prawdziwych włosów. Gdy otoczyła chłopca swym potężnym ramieniem i przycisnęła jego twarz do biodra, poczuł, jaka jest silna. Prawdziwa chłopka. Na dodatek miała pierś oraz dekolt śpiewaczki operowej; biust wyprzedzał ją o krok na podobieństwo dostojnego dziobu okrętu. Kiedy taka kobieta proponuje, że opowie ci historię, lepiej pilnie nadstaw ucha.

Lecz Jack ustawicznie gubił wątek; ku jego zdziwieniu pokój Els okazał się niemalże identyczny z lokum Saskii. Tutaj też można było usiąść jedynie na łóżku, na którym leżał rozłożony ręcznik, zatem wszyscy troje usiedli właśnie tam. Alice nie musiała się martwić, że opowieść nie nadaje się dla dziecięcych uszu. Chłopiec był bez reszty oczarowany pokojem prostytutki i jej gigantycznym biustem. Nie rozumiał, o co chodzi z tą Femke, którą wziął za młodą adeptkę w branży doradztwa. Co dziwne, Femke okazała się również zamożną byłą żoną miejscowego adwokata. Może byli współnikami w tej samej firmie prawniczej: Jack usłyszał coś o rodzinnej praktyce. Następnie intryga nieco się zagęściła: Femke odkryła, iż jej mąż składa częste wizyty bardziej luksusowym prostytutkom z Korsjespoortsteeg i Bergstraat. Dotąd odgrywała rolę wiernej żony, wszelako jej wypadek zapisał się w kronikach holenderskich rozwodów nie tylko w dziale alimentacyjnym.

Femke zakupiła okazały lokal przy Bergstraat, na rogu Herengracht; w przeciwieństwie do pokoi innych prostytutek miał on okienko w piwnicy, drzwi zaś znajdowały się u stóp niewielkiej kondygnacji schodów. Zarówno wejście, jak i okno znajdowały się poniżej poziomu chodnika, przez co przechodnie zaglądali do wnętrza z góry. Prostytutka była również widoczna z przejeżdżających samochodów.

Czyżby gniew zmusił Femke do zakupu pokoju, który chciała następnie wynająć prostytutce celem czerpania dochodów z plugawego procederu, który koniec końców doprowadził do rozpadu jej małżeństwa? Czy może kryła w zanadrzu bardziej szatański plan? To, że sama stanęła w progu mieszkania przy Bergstraat, a jej pierwszymi klientami byli współpracownicy męża, z których część znała ją na płaszczyźnie towarzyskiej, wywołało zrozumiałą szok. (Podobno Femke przyjęła to naturalnie: wiedziała, że podoba się większości mężczyzn, nawet jeśli nie należał do nich jej były mąż).

Pozostałe prostytutki z Korsjespoortsteeg i Bergstraat miały na temat nowej koleżanki zgoda rozbieżne opinie. Podziwiała spektakularne zwycięstwo kobiety nad byłym mężem i choć doceniały jej udział w walce o prawa prostytutek - bądź co bądź należała do kobiet, które nie kryły swych poglądów, i jako taka zasługiwała na szacunek - w istocie większość z nich (w tym Els) nie uważała jej za prostytutkę z prawdziwego zdarzenia.

Femke z całą pewnością nie potrzebowała pieniędzy: mogła przebierać w klientach i przebierała. Wielu mężczyznom odmawiała; był to luksus nieznanym kobietom pracującym w dzielnicy czerwonych latarni oraz prostytutkom z progów i witryn Korsjespoortsteeg i Bergstraat. Co więcej, odrzuceni przez nią klienci nie kryli upokorzenia. Nowicjusze mogli uznać, że wszystkie dziwki są tak samo wybredne. Kilka dziewcząt z Bergstraat utrzymywało, że obecność Femke wpłynęła na znaczne pogorszenie interesów. Nie tylko bowiem stała się najpopularniejszą prostytutką na ulicy, ale gdy odtrącała klienta (pod nosem innych ulicznic), zawstydzony mężczyzna po prostu więcej tu nie wracał. (Wolał uniknąć towarzystwa kobiety będącej świadkiem jego upokorzenia).

Femke miała jednak sojuszniczki, zwłaszcza wśród starszych prostytutek. Kiedy zaś odkryła, że pozostałe wielbicielki muzyki zbierają się bladym świtem w Starym Kościele, nawiązała kilka dozgonnych przyjaźni. (Czy Jack mylił się, sądząc, iż przejawiana jednako przez chórzystki i prostytutki fascynacja osobą organisty w naturalny sposób wynika z podziwu dla jego muzyki?).

Z odwetu, jaki Femke wzięła na swoim byłym mężu, można by wysnuć wniosek, iż jej przywiązanie do Williama Burnsa nosiło pewne znamiona despotyzmu. Femke jednak przepadała zarówno za jego muzyką, jak i towarzystwem. Wyzwolenie od męża pozwoliło jej odkryć inny rodzaj miłości: więź z kobietami, które sprzedawały seks za pieniądze i rozdawały go wedle własnego uznania. Skoro więcej niż jedna ze słuchaczek udzieliła Williamowi dachu nad głową, ile spośród z nich udzieliło mu darmowej porady?

Jack miał się po latach zastanawiać, czy owe kobiety z dzielnicy czerwonych latarni nie były aby największym podbojem jego ojca. Czy może w owych rzadkich wypadkach, kiedy nie pobierały opłaty, bynajmniej nie kwapiły się udzielać rad?

Opowieść ta przerastała wyobraźnię czterolatka. Choć istniała możliwość, że mógł w nią uwierzyć osobnik tylko w tym wieku.

Prawdopodobna czy nie, właśnie tak brzmiała historia Femke, zniekształcona (jak wszystko) przez czas oraz Alice, która przytaczała ją wielokrotnie w ciągu następnych lat. Kiedy chłopiec i jego matka poszli odwiedzić Femke w jej pokoju na Bergstraat, było jasne, że tamta spodziewała się ich odwiedzin.

Femke nie ubierała się jak prostytutka; sprawiała raczej wrażenie gospodyni uroczystej kolacji. Skóra jej była równie złocista i nieskazitelna jak włosy, pod bluzką rysowała się subtelna wypukłość piersi, biodra zaś sterczały cokolwiek prowokująco. Jednym słowem, w przeciwieństwie do swoich koleżanek, które Jack widywał w progach i witrynach Amsterdamu, kobieta robiła piorunujące wrażenie. Na domiar wszystkiego emanowała z niej tak bezbrzeżna pogarda, iż łatwiej było sobie wyobrazić, ilu mężczyzn odtrąciła, niż że kiedykolwiek miała do czynienia z klientem.

Jakże musiała gardzić Alice, niezmordowanie ścigającą mężczyznę, który porzucił ją dawno temu! Nie kryła również swej niechęci do dzieci, co zabołało Jacka szczególnie dotkliwie. (Chłopiec musiał błędnie odczytać jej odczucia wobec matki, uznał bowiem, iż nienawiść Femke skupia się na jego osobie). Natychmiast zapragnął opuścić jej pokój, który - w porównaniu z kłitkami innych prostytutek - był niemal równie ładny jak Femke, a przy tym urządzony z niemałym przepychem.

Zamiast łóżka stała tu duża skórzana sofa, naturalnie bez ręczników. Było nawet biurko. W rogu przy oknie, pod lampą do czytania i obok biblioteczki, ustawiono skórzany fotel o bardzo zachęcającym wyglądzie. Być może Femke czytała przy oknie, nie trudząc się spoglądaniem na ulicę; celem zwrócenia jej uwagi mężczyźni musieli zbiec po schodkach i zastukać do drzwi lub okna. Czy wówczas unosiła głowę znad lektury, zniecierpliwiona natarczywością intruza?

Na ścianach wisiały obrazki - widoczki, jeden przedstawiał także krowę - dywan zaś był orientalny i wyglądał równie kosztownie, jak jego właścicielka. Ścisłe rzecz biorąc, Femke

pierwsza unaoczniała Jackowi potęgę pieniędzy czy też raczej idącą za nimi bezbrzeżną arogancję.

- Czemu tak długo? - spytała, zwracając się do Alice.

- Możemy już iść? - powiedział Jack. Wyciągnął rękę do matki, lecz ona ją zignorowała.

- Wiem, że jesteście w kontakcie - oświadczyła Alice.

- .. w kontakcie - powtórzyła Femke. Poruszyła biodrami, zwilżając językiem wargi. Jej gesty były równie przesiąknięte samouwielbieniem jak u kobiety, która przeciąga się rano po długim śnie, odzież zaś otulała ją niczym druga skóra. Każda najdrobniejsza czynność Femke emanowała nonszalancją. Pewnie nawet śpiąc, wyglądała jak kot, który czeka, żeby go pogłaskać.

Czy ktoś nie wspomniał, że Femke głównie (i przezornie) wybiera prawiczków? Preferowała młodych chłopców. Policja obstawała przy tym, by Femke wymagała od nich dowodów pełnoletniości. Jack nigdy nie zapomniał ani jej, ani lęku, jaki w nim budziła.

Prawiczki, wyjaśniła synowi Alice, to niedoświadczeni młodzi mężczyźni, kompletnie zieloni w dziedzinie porad udzielanych przez kobiety. Owego późnego popołudnia w pokoju przy Bergstraat Jack po raz pierwszy w życiu odczuł desperacką potrzebę rady w kwestii kobiet, ale strach nie pozwolił mu zabrać głosu.

- Jeśli nadal jesteście w kontakcie, może byłabyś tak miła i przekazała mu wiadomość - podjęła Alice.

- A wyglądam na miłą? - spytała Femke.

- Możemy już iść? - powtórzył Jack, lecz matka wciąż ignorowała jego rękę. Wyrzał przez okno na przejeżdżający samochód. Nie dostrzegł w środku żadnych potencjalnych klientów.

Alice coś mówiła, w jej głosie pobrzmiewała irytacja.

- Ojciec powinien przynajmniej wiedzieć, jak wygląda jego syn!

- William dobrze wie, jak wygląda Jack - odparła Femke. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: „Dość już się go naoglądał”.

Ten rodzaj informacji (lub dezinformacji) może odmienić nasze życie. I z pewnością odmienił życie Jacka. Począwszy od tego dnia, chłopiec jał sobie wyobrazać, że ojciec zerka na niego ukradkiem.

Czy William widział, jak jego syn wpada pod lód w Kastelsgraven? Czy ocaliłby syna, gdyby nie interwencja najmniejszego żołnierza? Obserwował Jacka podczas śniadania w hotelu „Grand” w Sztokholmie? I patrzył, jak chłopiec opycha się na zapas w hotelu „Bristol” w Oslo lub wisi w nieruchomej windzie nad „Barem Amerykańskim” w „Tomi” w Helsinkach?

A w te soboty w Amsterdamie, spędzane na progu „Czerwonego Smoka” przy Zeedijk i poświęcone obserwacji ruchliwej ulicy: czy w nieprzebranym tłumie mężczyzn krążących ulicami dzielnicy czerwonych latarni znalazł się może jego ojciec i minął go niepostrzeżenie raz czy dwa? Skoro, zgodnie ze słowami Femke, William wiedział, jak wygląda jego syn, ile razy Jack mógł go spotkać, wcale o tym nie wiedząc?

Czyż nie rozpoznałby jednak Williama Burnsa? Ojciec nie odważyłby się zapewne zdjąć koszuli celem zademonstrowania uwiecznionych na ciele inskrypcji, lecz z pewnością miał cechy, które wykluczały pomyłkę. (Na przykład rzęsy, o których napomknęło kilka kobiet, bacznie studiując twarz Jacka).

Od tamtego dnia u Femke przy Bergstraat Jack zaczął szukać Williama Burnsa. Na swój sposób odtąd szukał go już zawsze, opierając się na tak mizernych przesłankach! Sprowadzały się one bowiem wyłącznie do tego, że kobieta uważana przez niego za prostytutkę, potencjalna kłamczucha i osoba niezaprzeczalnie bezwzględna, oświadczyła w jego obecności, że ojciec miał okazję go zobaczyć.

Alice bez wahania podważyła jej wiarygodność.

- Ona kłamie, Jack.
- To ty siebie okłamujesz - odparowała Femke. - Kłamstwem jest sądzić, że William nadal cię kocha. Albo że kiedykolwiek cię kochał. Wolne żarty!
- Wiem, że kiedyś mnie kochał - odrzekła Alice.
- Gdyby cię kochał, nie mógłby patrzeć, jak się puszczasz - oznajmiła Femke.
- Widząc cię na progu lub w witrynie, padłby trupem. Oczywiście gdyby mu na tobie zależało.

- Pewnie, że mu na mnie zależy! - krzyknęła Alice.

Wyobraź sobie, że masz cztery lata, a twoja matka siłuje się na wrzaski z nieznaną osobą. Czy wiesz, o co naprawdę poszło? Czy nie skupiasz się tak usilnie na ostatnim zdaniu, na jego zrozumieniu, że umyka ci następne, a po nim kolejne? Czyż nie tak właśnie czterolatek słyszy, czy raczej nie słyszy, kłótnię?

- Tylko pomyśl, że William widzi cię na progu, nucząc tę pieśń czy modlitwę, którą, jak miemam, znasz - mówiła Femke. - Jak to szło? „Osnuj mnie boskim swym oddechem...”, dobrze pamiętam? - Femke знаła też melodię, której nie omieszkała zanucić. - To szkockie, prawda? - zapytała.

- Właściwie to anglikańskie - uściśliła Alice. - Nauczył cię?

Femke wzruszyła ramionami.

- Nauczył wszystkie kurwy w Oude Kerk. Grał, a one śpiewały. Dam głowę, że ty robiłaś to samo.

- Nie muszę udowadniać, że William mnie kochał. Nie tobie - powiedziała Alice.

- Nie mnie? A co mnie to obchodzi? - odparła Femke. - Musisz udowadniać to samej sobie! Czy Williamowi by nie przeszkadzało, gdybyś przyjęła jednego czy dwóch klientów, a może trzech lub czterech? To znaczy, gdyby mu na tobie zależało.

- Nie przy Jacku - ostrzegła Alice.

- Znajdź dla niego opiekunkę - poradziła Femke. - Chyba masz w dzielnicy kilkoro przyjaciół, co?

- Dzięki, że poświęciłaś mi swój czas - powiedziała Alice, ujmując wreszcie Jacka za rękę.

Idąc od Bergstraat, wkroczyli do dzielnicy czerwonych latarni na Oudekerksplein. Był wczesny wieczór, dopiero się ściemniało. Organy w Oude Kerk milczały, jednakże wszystkie kobiety stały w progach, jakby wyczekiwały powrotu ich obojga. Anja należała do grona starszych, z jej życzliwością różnie bywało. Tym razem nie mieli szczęścia, gdyż nuciła pod nosem „Osnuj mnie boskim swym oddechem”, co wydawało się odrobinę nie na miejscu.

Właściwie trudno nazwać to melodią; podczas komunii, kiedy modlitwa jest wyśpiewywana raczej niż odmawiana, liczą się przede wszystkim słowa. Jack doceniał jej szlachetną prostotę; była to jedna z ulubionych pieśni jego mamy.

Następnie minęli Margriet, jedną z młodszych, która zawsze nazywała Jacka „Jackie”. Tym razem nie odezwała się ani słowem. Potem przyszła kolej na Annelies, Niegroźną Nandę, Katję, Gniewną Anouk, Jejmość Mies oraz Rudowłosą Roos: wszystkie nuciły tę samą melodię, lecz Alice nie zwróciła na to uwagi. Tylko Stara Jolanda znała tekst.

- „Osnuj mnie boskim swym oddechem..- śpiewała.

- Nie zrobisz tego, prawda? - spytał Jack. - Mam w nosie, czy go zobaczę - skłamał.

Może Alice odpowiedziała:

- To ja chcę go zobaczyć, Jack. - Albo: - To on chce zobaczyć ciebie, Jackie.

Gdy Alice opowiedziała Peterowi o pomyśle Femke, jednonogi próbował jej to wyperswadować. Miał na prawym bicepsie wytatuowanego dzięcioła. Jack odniósł wrażenie, że nawet on nie życzy sobie, by matka wystawała w witrynie, nucąc hymn.

Po latach spytał matkę, co się stało ze zdjęciem, które pstryknęła mu z dzięciołem.

- Może nie wyszło - rzuciła.

Po zrobieniu zdjęcia poszli do „Czerwonego Smoka”, gdzie Robbie de Wit zrobił dla Alice parę skrętów, które schowała w torebce. Może Robbie pstryknął im zdjęcie z Mistrzem Theo. (Jack zwykł myśleć: Może tamta fotografia też nie wyszła).

Kupili rogalika z szynką i serem dla Saskii, która akurat miała klienta, toteż Jack zjadł kanapkę w drodze na róg Stoofsteeg, gdzie niezbyt uważnie przysłuchiwał się matczynej rozmowie z Els.

- Nie radzę - mówiła Els. - Ale oczywiście możesz skorzystać z mojego pokoju, a ja popilnuję Jacka.

Z progu Els Jack i jego matka nie widzieli okna Saskii ani drzwi na Bloedsteeg; chcąc sprawdzić, czy jeszcze przyjmuje klienta, musieli przekroczyć kanał. Przyjmowała. Kiedy wrócili do pokoju Els, ona też była już zajęta. Jack i Alice wrócili na Bloedsteeg i nawiązali rozmowę z Janneke, najbliższą sąsiadką Saskii.

- O co chodzi z tą pieśnią? - zapytała Janneke. - Czy to rodzaj modlitwy?

Alice tylko pokiwała głową. Wszyscy troje stali na ulicy, czekając, aż klient Saskii wymknie się z pokoju, co uczynił po paru minutach.

- Gdyby miał ogon jak pies, kuliliby go między nogami - zauważyła Janneke.

- Pewnie tak - odrzekła Alice.

Wreszcie Saskia rozsunęła zasłony i zobaczyła ich przez okno. Pomachała rękę, uśmiechając się z otwartymi ustami, czego unikała w obecności klientów. Saskia również zaferowała Alice swój pokój oraz opiekę nad Jackiem.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - powiedziała sponiewieranej dziewczynie Alice.

- Gdybyś kiedyś chciała tatuaż... - Umilkła.

Saskia unikała jej wzroku.

- Bywają gorsze rzeczy - rzuciła w przestrzeń Saskia.

Alice znów potrząsnęła głową.

- Wiesz co, Jackie? - zagaiła Saskia, usiłując za wszelką cenę zmienić temat. - Wyglądasz jak ktoś, kto właśnie zjadł rogalika z szynką i serem, mały farciarzu!

W Amsterdamie wszystkie prostytutki miały kartoteki na policji. Były fotografowane i skrzętnie odnotowywano szczegóły ich życia osobistego, czasami może niepotrzebnie. Istotny był wszelako fakt posiadania przez prostytutkę konkubenta, kiedy bowiem zostawała pobita lub zamordowana, na ogół sprawcą był właśnie on, a nie klient. W tamtym okresie wśród prostytutek nie było nieletnich, policjanci zaś żyli z rezydentkami dzielnicy czerwonych latarni na dość przyjaznej stopie i prawie nic nie umykało ich uwagi.

Któregoś niemalże wiosennego ranka Jack i Alice poszli z Saskią i Els na posterunek przy Warmoesstraat, gdzie przesłuchał Alice miły policjant Nico Oudejans. Saskia specjalnie o niego poprosiła: zarówno przy incydencie z podpaleniem, jak i pobiciem Nico był pierwszym policjantem, który zjawił się przy Bloedsteeg. Jack mógł być zawiedziony, że Nico ma na sobie cywilne ubranie, a nie mundur, był on jednakże ulubionym policjantem w dzielnicy, nie tylko dobrze prostytutkom znanym, ale i zaufanym. Miał około trzydziestki.

Na pytanie o konkubenta Alice udzieliła odpowiedzi przeczącej, Nico jednak okazał pewną podejrziwość.

- Wobec tego kim jest człowiek, dla którego chcesz śpiewać, Alice?

- To były chłopak - odrzekła Alice, kładąc dłoń na karku Jacka. - Jest ojcem Jacka.

- Czyli konkubent - sprecyzował uprzejmie policjant.

- Tylko na popołudnie, Nico - wtrąciła któraś z kobiet, chyba Els. - I część wieczoru.

- Nie będę przyjmowała klientów - mogła zakomunikować Alice. - Będę tylko siedziała w oknie lub stała w progu i śpiewała.

- Jeśli zaczniesz wszystkim odmawiać, jakiś gość może się zdenerwować, Alice

- uprzedził Nico.

Ktoś, chyba Saskia, zapewnił:

- Któraś z nas zawsze będzie w pobliżu. Ja albo Els.

- A co z Jackiem? - spytał Nico.

- Będzie ze mną lub z Els! - odparła Saskia.

Nico Oudejans pokręcił głową.

- Nie podoba mi się to, Alice. Rób to, co potrafisz najlepiej.

- Kiedyś śpiewałam w chórze - odpowiedziała Alice. - Umiem śpiewać.

- To nie miejsce na modlitwę i śpiew - upierał się policjant.

- Czasami mógłbyś wpaść - podsunęła Saskia. - Na wypadek gdyby zebrał się tłum.

- To macie jak w banku - oświadczył Nico.

- No i co z tego? - spytała Els. - Nowa dziewczyna zawsze przyciąga gapiów.

- Którzy odchodzą, kiedy przyjmuje klienta i zaciąga zasłony - odparł Nico Oudejans.

- Nie będę przyjmować żadnych klientów - powtórzyła Alice.

- Zdarza się tak, że trudno odmówić - wyjaśniła Saskia. - Na przykład prawiczkom. Są całkiem mili.

- I nie tracą czasu - dodała Els.

- Nie przy Jacku.

- Grunt, żeby nie byli za młodzi, Alice - pouczył Nico Oudejans.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - powiedziała Alice. - Gdybyś kiedyś myślał o tatuażu... - Urwała; być może doszła do wniosku, że policjant potraktuje ofertę jako łapówkę. Ten Nico Oudejans był całkiem do rzeczy. Miał oczy w kolorze jajek drozda, a wysoko na prawym policzku niewielką bliznę w kształcie litery L.

Po wyjściu na Warmoesstraat Alice podziękowała Els i Saskii za pomoc w zdobyciu prawa do wykonywania zawodu prostytutki na popołudnia i część wieczoru.

- Uznałam, że łatwiej będzie namówić Nica niż ci to wyperswadować.

- Saskia zawsze idzie po linii najmniejszego oporu - wyjaśniła Els.

Wszystkie trzy wybuchnęły śmiechem. Zwyczajem holenderskich dziewcząt szły obok siebie, splecione ramionami. Alice podążała w środku, Els trzymała Jacka za rękę.

Warmoesstraat biegła przez całą długość jednej krawędzi dzielnicy czerwonych latarni. Jack i Alice skierowali się w stronę „Krasnapolsky’ego”. Els i Saskia miały pomóc Alice wybrać odpowiedni strój; upierała się, żeby włożyć własne ubranie. Nie miała spódnicy równie krótkiej, jak te noszone przez Saskię, ani bluzki z dekoltem tak śmiałym, jak dekolt Els.

Gdy dotarły do rogu Sint Annenstraat, musiało być około jedenastej przed południem. Pracowała tylko jedna prostytutka, daleko na krańcu ulicy, lecz mimo znacznej odległości od razu je rozpoznała. Pomachała ręką, kobiety odpowiedziały jej tym samym. Ponieważ spoglądały w głąb ulicy, nie zauważyły nadchodzącego z przeciwnej strony Martina Brila. Wciąż maszerowali całą czwórką, Bril w żaden sposób nie mógłby ich wyminąć. Rzucił ostro po holendersku coś, co zabrzmiało jak przekleństwo. Saskia nie pozostała mu dłużna. Mimo że ona i Els nie miały na sobie „roboczych” strojów, Bril z całą pewnością je rozpoznał, zdążył już bowiem starannie przestudiować twarze okolicznych dziwek.

Kobiety musiały rozpleść ramiona, aby go przepuścić: mógł to być pierwszy raz, gdy Bril został zmuszony do przystąpienia. Naturalnie Bril znał Alice stojącą między prostytutkami. Co do chłopca, Bril zawsze traktował go jak powietrze.

- W oczach Pana kto z kim przestaje, takim się staje! - rzucił Martin pod adresem Alice.

- Przestaję, z kim mi się podoba - odparowała Alice.

- Co ty możesz wiedzieć o oczach Pana? - spytała Els.

- Bóg raczej wie, co widzą - dorzuciła Saskia.

- Widzą nawet najmniejszy grzech! - wrzasnął Bril. - Pan zapamiętuje każdy akt cudzołóstwa!

- Jak większość mężczyzn - odcięła się Els.

Saskia wzruszyła ramionami.

- Ja nie zaprzęgam sobie tym głowy - oznajmiła.

Patrzyły, jak Martin Bril pomyka Sint Annenstraat chyłkiem jak szczur. Samotna prostytutka z końca ulicy podała tyły; musiała zwietrzyć niebezpieczeństwo.

- Muszę zniknąć stąd przed północą, choćby z jego powodu - powiedziała Alice. - Trudno przewidzieć, jak zareagowałby na mój widok. - Zaśmiała się łamliwym śmiechem, który zwykle poprzedzał płacz.

- Istnieją lepsze powody niż Bril, by zniknąć z ulicy przed północą - odrzekła Els, a może Saskia.

Dotarły na Dam Square i weszły do hotelu.

- Co to jest cudzołóstwo? - spytał Jack.

- Udzielanie rad - wyjaśniła Alice.

- Głównie dobrych rad - uściśliła Saskia.

- A na pewno koniecznych - dodała Els.

- A grzech? - drążył Jack.

- To w sumie wszystko - odparła Alice.

- Są dobre grzechy i złe - powiedziała Els.

- Naprawdę? - spytała Saskia. Wyglądała na równie zbitą z tropu jak chłopiec.

- To znaczy, dobre rady i złe - tłumaczyła Els.

Jack odniósł wrażenie, iż sprawa grzechu jest bardziej złożona niż kwestia cudzołóstwa.

Wchodząc do pokoju, Alice oznajmiła:

- Chodzi o to, Jack, że niektórzy podkreślają znaczenie grzechu, a inni nawet nie wierzą w jego istnienie.

- A ty co myślisz? - zapytał chłopiec.

Alice zmyliła krok, choć Jack nie zauważył, aby się potknęła. Els w porę powstrzymała ją przed upadkiem.

- Cholerne obcasy - burknęła Alice, chociaż miała na nogach płaskie pantofle.

- Posłuchaj, Jack - odezwała się Saskia. - Przed nami ważne zadanie. Musimy starannie wybrać strój dla twojej mamy. Nie możemy się rozpraszać rozmową o czymś tak skomplikowanym jak grzech.

- Później wrócimy do tego tematu - zapewniła Els.

- Beze mnie - zaznaczyła Alice, pozwalając się zaprowadzić w kierunku szafy.

Saskia przeglądała już zawartość szuflad komody. Uniosła stanik, za mały na

Els, lecz ona sama by się w nim utopiła. Powiedziała coś po holendersku i Els parsknęła śmiechem.

- Będziecie zawiedzione moimi ubraniami - powiedziała Alice.

Jeśli Jack dobrze zapamiętał, matka przymierzyła kolejno każdą sztukę garderoby. Przy Jacku była zawsze bardzo wstydliva. Chłopiec nigdy nie widział jej nagiej bądź półnagiej, tymczasem w „Krasnapolskim” około godziny oglądał ją tylko w staniku i majtkach, choć i wówczas zasłaniała piersi rękami. Częściej niż samą matkę widział Saskię i Els, które pomagały jej przebierać się i rozbierać, sypiąc radami jak z rękawa.

Wreszcie wybór padł na ładną, choć niezwykle skromną sukienkę. Sukienka przypominała jego matkę, też ładną i skromną, przynajmniej na tle pozostałych kobiet z dzielnicy czerwonych latami. Była to czarna sukienka bez rękawów i dekoltu, dopasowana, acz niezbyt opięta.

Alice wprawdzie nie posiadała szpilek, wybrała jednak buty na średnio wysokim obcasie (czy raczej wysokim jak na nią) i uzupełniła całość stroju sznurem pereł. Pereły należały do jej matki; Alice dostała je od ojca przed wyjazdem do Nowej Szkocji. Podejrzewała, że to pereły hodowlane, ale nie była pewna. Naszyjnik wiele dla niej znaczył, bez względu na rodzaj pereł.

- Nie zmarznę bez rękawów? - spytała.

Kobiety wygrzebały z szafy obcisły czarny kardigan.

- Jest za ciasny - marudziła Alice. - Nie dam rady go zapiąć.

- Nie musisz go zapinać - odrzekła Els. - Przynajmniej będzie ci cieplej w ręce.

- Zostaw sweter rozpięty i obejmij się ramionami - poradziła Saskia, pokazując, jak ma to zrobić. - Będziesz wyglądać, jakbyś trochę zmarzła, to bardzo seksowne.

- Nie chcę wyglądać seksownie - zaproponowała Alice.

- Co to znaczy seksownie? - spytał Jack.

- Gdy wyglądasz seksownie, mężczyźni dochodzą do wniosku, że umiesz dobrze doradzić - wyjaśniła Els.

Prostytutki zajęły się włosami Alice. Pozostawała jeszcze kwestia szminki i makijażu.

- Nie chcę szminki, nie chcę makijażu - oznajmiła Alice, ale tamte nie chciały jej słuchać.

- Szminka jest niezbędna, zapewniam cię - oznajmiła Els.

- Najlepiej ciemna - dodała Saskia. - I cień do oczu.

- Nie znoszę cieni do oczu! - zawołała Alice.

- Chyba nie chcesz, żeby William spojrział ci w oczy i zobaczył ciebie, co? - spytała Els. - Oczywiście zakładając, że w ogóle się zjawi.

Alice uspokoiła się pod wpływem tych słów i pozwoliła zrobić sobie makijaż.

Jack obserwował jej przeobrażenie. Twarz matki zyskała bardziej określony, a usta śmielszy wyraz; najbardziej obce było ciemne obramowanie oczu, które nasuwało obawę, że Alice skrywa przed Jackiem wiadomość o czyjejś śmierci. Podsumowując, matka wyglądała na znacznie starszą niż w rzeczywistości.

- Jak wyglądam? - spytała.

- Bombowo! - wykrzyknęła Saskia. (W dzielnicy czerwonych latarni roило się od Anglików. Saskia uznała, że „bombowo” brzmi świetnie).

- Co tam tłum, przyciągniesz całą zgraję - dorzuciła Els, choć to określenie stanowczo nie przypadło Alice do gustu.

- Co myślisz, Jackie? - zapytała.

- Wyglądasz prześlicznie - powiedział. - Ale nie jak moja mama.

Ostatnie zdanie wyraźnie wzbudziło niepokój matki.

- Na moje oko wyglądasz jak Alice - uspokoiła ją Saskia.

- Jasne, że tak - dodała Els. - Chciałyśmy tylko owiać ją mgielką tajemnicy, Jack.

- Jakiej tajemnicy? - spytała Alice.

- Els chciała powiedzieć, że musiałyśmy cię trochę schować - oświadczyła Saskia.

- Musiałyśmy ukryć w niej mamę - uzupełniła Els.

- Mama jest przeznaczona tylko dla twoich oczu - dorzuciła Saskia, mierzwiąc chłopcu włosy.

- Poradzę sobie - oznajmiła Alice. Odwróciła się od lustra i więcej nie patrzyła w tamtą stronę.

Dzielnica czerwonych latarni w Amsterdamie jest mniejsza, niż wydaje się wielu turystom. Stanowi taki labirynt uliczek (w godzinach szczytu niezmiernie ruchliwych), że nowo przybyli tracą orientację, ulegając złudzeniu, że witryny i progi z prostytutkami ciągną się w nieskończoność. Tymczasem w rzeczywistości można przejść z jednego końca na drugi - od Damstraat do Zeedijk - w niespełna dziesięć minut. Odległość pomiędzy Starym Kościołem a pokojem Saskii na Bloedsteeg bądź pokojem Els na Stoofsteeg wynosi niecałe pięć minut drogi.

W sobotnie popołudnie wieść o nowej dziewczynie obiegała okolicę lotem błyskawicy. Zwłaszcza jeśli owa dziewczyna nie wyglądała na prostytutkę i dzieliła swój czas pomiędzy Bloedsteeg a Stoofsteeg, wyśpiewując w progu coś, co brzmiało niczym pieśń kościelna.

Informacja zelektryzowała dzielnicę. Przed nadejściem zmierzchu starsze rezydentki Oudekerksplein przybyły splecione ramionami, chcąc osobiście posłuchać śpiewu Córki Alice. Przyszła Anja z Annelies i Niegrzeczną Nandą oraz Katja w towarzystwie Gniewnej Anouk i Jejmość Mies. W porze kolacji zjawiła się Rudowłosa Roos ze Starą Jolandą. Podstarzałe prostytutki patrzyły w milczeniu i długo nie zabawiły. Spodziewały się, że Alice zrobi z siebie idiotkę, lecz gdy ładna kobieta ma ładny głos, rzadko kiedy robi z siebie idiotkę.

Dla mężczyzn szlifujących okoliczne bruki śpiew Alice mógł odgrywać rolę wabika na podobieństwo bransolet na poparzonej ręce Saskii, jednakże Alice zbywała natrętów. Stała na progu lub siedziała w witrynie jak prostytutka, lecz w odpowiedzi na każdy przejaw zainteresowania ze strony potencjalnego klienta kręciła przecząco głową, czasem zaś przerywała pieśń celem udzielenia dosadniejszej odmowy. Raz, w pokoju Els, musiała zapewnić wyjątkowo upartego dzentelmena, że czeka na swojego chłopaka i nie chce przegapić chwili jego nadejścia. (Saskia przetłumaczyła jej słowa na holenderski i mężczyzna wreszcie dał za wygraną). Podczas pobytu u Saskii obiegła ją grupa młodzieńców; kiedy odrzuciła jednego z nich (tudzież wszystkich naraz), tamci stanęli u drzwi i usiłowali ją zagłuszyć głośno wyśpiewywaną piosenką.

Alice zamknęła się od środka i usiadła przy oknie, nie przestając nucić „Osnuj mnie boskim swym oddechem”, chociaż nikt nie mógł jej słyszeć. Els kazała chłopakom się zabierać; kłótnia rozpetęła się w najlepsze, gdy naraz na Bloedsteeg pojawił się Nico Oudejans. Młodzieńcy przystąpili do odwrotu, a kiedy na nich huknął, puścili się biegiem. Jeden z nich, który nie brał udziału w kłótni, biegł tyłem: nie mógł oderwać oczu od Alice.

Nico uśmiechnął się do Jacka, który pomachał do matki. Alice śpiewała dalej.

- Będę jej pilnował, Jack - zapewnił policjant. - Ciebie też.

Łatwiej byłoby zapraszać mężczyzn do środka: ich rozczarowanie niemożnością otrzymania porady oscylowało pomiędzy kompletnym niezrozumieniem a furią. Niektórzy robili zakłopotaną minę i ulatniali się pośpiesznie, inni otwarcie dawali upust swemu niezadowoleniu. Alice śpiewała. Nie chciała nawet zjeść rogalika z szynką i serem, przyniesionego przez Saskię i Jacka. Tuż po zmierzchu przyszedł z wizytą Mistrz Theo. Przyniósł koszyk z winem oraz serem i owocami, lecz Alice nie chciała go przyjąć. Ucisnęła i ucałowała Rademakera, po czym przywołała Els i Jacka i wręczyła im koszyk. Oczywiście zanieśli go Saskii, która była wiecznie głodna.

Robbie de Wit też przyszedł. Widok Alice śpiewającej bezgłośnie w witrynie kompletnie go załamał. Przyniósł jej kilka skrętów marihuany; kiedy stanęła ponownie w progu, zapaliła jednego z nich i zaciągała się w przerwach na oddech.

Skojarzenie nasunęło się Jackowi dopiero po latach: była to jedna z tych nocy, kiedy Bob Dylan mógł napisać naprawdę fantastyczną piosenkę.

Okolo dziesiątej, gdy w dzielnicy panował natężony ruch, Els, Saskia i Jack odprowadzili Alice na Stoofsteeg, do pokoju Els. Els niosła Jacka. Chłopiec opierał głowę na jej ramieniu, na wpeł pograżony we śnie. Po drodze Alice nie śpiewała.

- Myślicie, że William w ogóle przyjdzie? - spytała.

- Moim zdaniem, nie ma co na to liczyć - oznajmiła Saskia.

- Wystarczy na dzisiaj, Alice - powiedziała Els.

Otworzyła drzwi do pokoju i Alice zajęła swoje miejsce przy drzwiach. Już miała podjąć pieśń, kiedy jej spojrzenie padło na nadchodzącą Femke.

- Nie śpiewasz - zauważyła Femke.

- On nie przyjdzie, prawda? - zapytała Alice.

Saskia i Els napadły na Femke: były wściekle i wcale tego nie kryły. Jack obudził się, ale nie miał pojęcia, o co chodzi, mówiły bowiem po holendersku. Femke nie pozwoliła sobie w kaszę dmuchać, o nie. Els i Saskia jazgotały jak najęte. Jack odniósł wrażenie, że Els łąda chwila przewróci Femke na brukowaną ulicę, lecz kiedy Alice zaczęła śpiewać, wszystkie

prostytutki umilkły. Chyba nigdy nie zaśpiewała tego pięknie. Nawet Femke stała jak oczarowana. I rzuciła chyba coś w rodzaju: „Nie sądziłam, że się odważysz”. Alice śpiewała dalej, może nieco głośniejszą niż przedtem. Lecz Jack był tak rozkojarzony, że Femke równie dobrze mogła powiedzieć: „Nie sądziłam, że na to pójdzie”.

Wychodziło na to, że ojciec Jacka gra na fortepianie na jakimś statku wycieczkowym - a może robił to ktoś inny. Alice wyglądała na zbitą z tropu informacją o fortepianie, jednakże większość organistów zaczyna właśnie od niego, tak przynajmniej było w wypadku Williama. Być może najbardziej zdziwił ją fakt, że William wybierał się do Australii i marzył o tatuażu od Cindy Ray.

Alice zmieniła repertuar, ale nie przestawała śpiewać, nie zważając na interpunkcję tudzież fakt, że William najprawdopodobniej znajduje się już w drodze do Australii. „Bóg jest moim pasterzem”, nuciła. (Powtarzając bez przerwy ten jeden wers).

Czyżby William miał nadzieję, że tam nie będą go niepokoić? Jack zasypiał, oparty o miękką, obfitą pierś Els. Alice zaintonowała kolejną pieśń i nic nie wskazywało na to, że ma zamiar przestać. „O święty sakramencie”, powtarzała. Jej czysty głos odprowadził Femke na skraj ulicy. Nim opuściła Stoofsteeg, Alice ponownie zaśpiewała „Osnuj mnie boskim swym oddechem” i Jack ocknął się ze snu.

- To na nic, Alice - powiedziała Saskia, lecz Alice nie zwróciła na nią uwagi.

- Gdzie leży Australia? - spytał Jack, zwracając się do Els. (Wiedział jedynie, że nie po drodze).

- Bez obaw, Jack. Wy się tam nie wybieracie - uspokoiła go Saskia.

- Australia leży na końcu świata - oznajmiła Els.

Chłopiec odczuł pewną ulgę na myśl, że jego ojciec przebywa na końcu świata, chociaż nadal nie mógł oprzeć się wrażeniu, że z ulicy śledzi go baczny wzrok rodzica.

- Wystarczy, Alice. Pora przestać - powiedziała Saskia.

- „Bóg jest moim pasterzem” - podjęła nieco monotonicznie Alice.

Wszyscy byli tak pochłonięci Femke, że nie zauważyli nadejścia Martina Brila. Mimo że do północy było daleko, on już zjawił się na Stoofsteeg i wyglądało na to, że tym razem nie ma zamiaru ich minąć. Święte oburzenie przykuło go do miejsca.

- Przecie to pieśń kościelna! Modlitwa! - wrzasnął.

Alice potraktowała go jak powietrze i dalej śpiewała „O święty sakramencie”. (W swym obecnym stanie umysłu pamiętała tylko trzy pieśni, a dokładniej ich tytuły).

- Błuznierstwo! - krzyknął Bril. - Świętokradztwo!

Saskia burknęła coś po holendersku; nie brzmiało to szczególnie religijnie. Els podeszła do Brila i popchnęła go: opadł na jedno kolano, ale zdołał podeprzeć się ręką. Gdy wstał, znów go popchnęła. Zatoczył się na ścianę, ale utrzymał równowagę.

- Nie przy Jacku - ostrzegła spokojnie Els. Chciała znowu go popchnąć, lecz odskoczył o krok.

- Gdzie ten Nico? - powiedziała figlarnie Saskia, Els nie wyglądała bowiem na kogoś, kto potrzebuje policyjnego wsparcia.

Alice ponownie zaintonowała „Osnuj mnie boskim swym oddechem”. Wtedy go zobaczyli: milczącego chłopca, który uciekał tyłem z Bloedsteeg. Wrócił, aby raz jeszcze popatrzeć na Alice. Tym razem nikt mu nie towarzyszył. Els powiedziała coś do niego po holendersku; wyglądało na to, że teraz oberwie się chłopakowi, gdyż Bril podał tyły.

- Zostaw go. Jest miły - odezwała się Alice, która wreszcie przestała śpiewać. Uśmiechnęła się do chłopaka, który stanął bezradnie na wprost niej. - Wygląda, jakby potrzebował rady, prawda? - dorzuciła Alice.

- Nie musisz tego robić, Alice - odrzekła Saskia.

- Ale on naprawdę potrzebuje rady - upierała się Alice.

- Saskia lub ja możemy mu ją dać - wtrąciła Els.

- Kiedy on chce rady ode mnie - zauważyła Alice.
- Wystarczy na dzisiaj, Alice - powtórzyła Els.
- Wejdiesz do środka? - zapytała Alice chłopaka.

Chyba nie zrozumiał po angielsku. Els przetłumaczyła, a on skinął głową.

- Idziemy, Jack - powiedziała Saskia, ujmując chłopca za rękę. - Zjadłabym rogalika z szynką i serem. A ty?

Młodzieniec, który potrzebował rady, miał oliwkową karnację, bardzo ciemne, krótko ostrzyżone włosy i dziewczęce rysy. Był drobnokościsty i patrzył na świat wytrzeszczonymi oczyma. Stał jak skamieniały, głuchy na zaproszenie. Chciał tylko jeszcze raz zerknąć na Alice; nie liczył, że ponownie zbierze się na odwagę, aby się wprosić do środka. Jeżeli, rzecz jasna, w ogóle uczynił to za pierwszym razem. (Jego wygląd świadczył o zbytnej lęklivości; zapewne zrobił to za niego któryś z kolegów).

Els stanęła za plecami chłopaka i pchnęła go w kierunku Alice, która wzięła go za rękę i wciągnęła do pokoju. Czubkiem głowy dosięgał zaledwie jej podbródka. Kiedy Alice zamknęła drzwi i zaciągnęła zasłony, Els podeszła do Saskii i Jacka.

- Czy to prawiczek? - spytał Jack.

- Jak najbardziej - odparła Els.

- Czy aby nie za młody? - indagował Jack, pomny ostrzeżeń Nica Oudejansa z komisariatu.

- O tej porze nikt nie jest za młody - skwitowała Saskia.

Jack przespał pół popołudnia i wieczoru, najpierw przez około godzinę u Els, potem u Saskii, no i oczywiście w ramionach Els, która przenosiła go z miejsca na miejsce. Mimo to ledwo patrzył na oczy. Po powrocie do pokoju Saskii dziewczyna zaciągnęła zasłony, żeby mógł zasnąć. Następnie stanęła w progu i miała na niego oko, podczas gdy Els co kwadrans zaglądała na Stoofsteeg, by sprawdzić, czy Alice wciąż doradza prawiczkowi.

Jack dwukrotnie widział, jak wraca z niczym.

- Podobno prawiczki nie tracą czasu - zauważył.

- Śpij, Jack - powiedziała Saskia. - Ten nie mówi zbyt dobrze po angielsku. Pewnie twoja mama musi się starać, żeby ją dobrze rozumiał.

- Aha.

- Śpij, Jack.

Po długim czasie Jacka obudziły czyjeś gorączkowe szepty. Trzy kobiety siedziały na skraju łóżka, oblane poświatą lampy z czerwonym kloszem. Dla Jacka, który udawał, że śpi dalej, niemal zabrakło miejsca. Els i Saskia pomagały jego matce naprawić zerwany naszyjnik.

- Niezdara - powiedziała Saskia. - Z prawiczkami tak zawsze.

- To nie jego wina... nigdy nie rozpiął naszyjnika - wyszeptała Alice. - To chyba perły hodowlane. Czy to dobrze, czy źle?

- Nie musiałaś zdejmować naszyjnika, Alice - rzekła Els.

- Był naprawdę słodki... i zupełnie zielony - odszepnęła Alice.

- Musiał mieć kupę kasy, skoro siedział tak długo - zauważyła Saskia.

- Och, nie wzięłam od niego pieniędzy. Nie jestem prostytutką! - Wszystkie trzy parsknęły śmiechem. - Ciii! Obudzimy Jacka.

- Nie śpię - zakomunikował. - Udzieliłaś temu chłopakowi kilku dobrych rad?

- spytał matkę.

Alice przytuliła go i pocałowała, podczas gdy Saskia i Els dalej biedziły się nad popsutym naszyjnikiem.

- Chyba tak - odpowiedziała.

- Najlepszych, jakie kiedykolwiek dostanie - wtrąciła Saskia.

- Przynajmniej za darmo - dodała Els.

I wszystkie trzy ponownie wybuchnęły śmiechem.

- Musisz zanieść to cholerstwo do jubilera - oświadczyła Saskia, podając Alice naszyjnik oraz garść pereł, których nie udało jej się nanizać. Alice upchnęła wszystko w torebce.

Saskia i Els postanowiły odprowadzić ich do hotelu, Alice jednak zaproponowała zmianę trasy. Chciała pójść Oudekerksplein, aby utrzcę nosa starym prostytutkom, że wciąż chodzi z podniesioną głową.

- Jest późno, większość skończyła pracę - przypomniała Els.

- Ale warto - uznała Saskia. - Jeśli pracuje choć jedna, wiadomość prędko się rozniesie.

Musiało być około drugiej lub trzeciej nad ranem. Ledwo zdążyli opuścić Oudekennissteeg, gdy raptem uderzyła ich muzyka. Na moście przecinającym stary kanał rozbrzmiewała jeszcze głośniejszy. Organy z Oude Kerk istotnie zasługiwały na miano świętego potwora.

- Bach? - spytał Jack.

- Bach - odrzekła Alice. - Ale to nie twój ojciec.

- Skąd wiesz? - zapytała Els. - Femke to kłamliwa suka. Lepiej sprawdź.

- Fantazja Bacha w G-dur - oznajmiła Alice. - Popularna na ślubach.

Śluby nie były specjalnością Williama, Saskia i Els upierały się jednak, aby zobaczyć, kto gra.

Alice chciała najpierw obejść Oudekerksplein i tak też zrobili. Tylko jedna prostytutka stała w progu, słuchając muzyki, z tych młodszych, Margriet.

- Jeszcze nie śpisz, Jackie? - spytała.

- Wszyscy nie śpimy - odpowiedziała Els.

Weszli do Oude Kerk. Dwie ze starszych prostytutek siedziały w ławkach, przy czym jedna z nich, Niegrzeczna Nanda, wyglądała na pogrążoną we śnie. Druga, Gniewna Anouk, uparcie omijała wzrokiem Alice.

Podeszli do schodów z tyłu kościoła, ale tylko Saskia, Els i Jack weszli na górę. Alice nie ruszyła się z miejsca.

- Jest w Australii albo właśnie tam płynie - oświadczyła z uporem. - Tylko pomyślcie, ile kobiet pozna na statku!

Widok Fransa Donkera, młodszego organisty, poprzedziła subtelna, niewinna woń zasyпки. Nieoczekiwana wizyta prostytutek tak zdumiała chłopca, że zdjął ręce z klawiszy. Następnie jego spojrzenie padło na Jacka.

- Ach, pewnie myślałeś, że to twój tata - powiedział do malca.

- Niezupełnie - sprostowała Saskia.

- Nie gadaj, tylko graj - rzuciła Els.

Zanim dotarli do stóp schodów, z góry raz jeszcze popłynęły dźwięki Bacha.

- To mały Donker, prawda? - spytała Alice, a pozostali skinęli głowami. - Gra jak stroiciel - zawyrokowała Alice.

Fantazja Bacha w G-dur towarzyszyła im aż za Trompettersteeg, gdzie wciąż sprzedawało się kilka młodszych prostytutek. Zgubili muzykę dopiero na końcu Sint Anestraat.

- Chyba nie wybierasz się do Australii, co? - mogła spytać Els.

- Nie. To za daleko, podróż byłaby dla Jacka zbyt męcząca - być może padła odpowiedź.

- Byłaby męcząca dla każdego, Alice - powiedziała Saskia.

- Pewnie tak - ucięła Alice. Mówiła niewyraźnie, jej twarz zaś (od chwili, kiedy Jack obudził się na Bloedsteeg) miała dziwnie marzycielski i beztroski wyraz. Jack doszedł później do wniosku, iż wynikało to z ilości wypalonych przez nią skrętów, gdyż przed przyjazdem do Amsterdamu matka nie była szczególnie zżyta z marihuaną. Ich zażyłość kwitła jedynie w sobotnie wieczory i niedzielne ranki.

Saskia i Els odprowadziły ich do hotelu: dzielnica była wprawdzie o tej porze bezpieczna, obawiały się jednak powtórnej konfrontacji z Brilem. Wiedziały, że on też mieszka w „Krasnapolskim”.

Kiedy poszły, Alice i Jack zaczęli się szykować do snu. Alice po raz pierwszy skorzystała z łazienki przed synem. Coś musiało ją tam rozbawić, gdyż nieoczekiwanie wybuchnęła śmiechem.

- Co się stało?

- Chyba zostawiłam majtki u Els!

Udzielanie rad najwidoczniej wzmogło jej roztargnienie. Zanim Jack skończył szorować zęby, Alice spała już słodkim snem. Zgasiwszy światło w sypialni, chłopiec tradycyjnie zapalił lampkę w łazience i pozostawił drzwi otwarte na oścież. Przyszło mu do głowy, że matka pierwszy raz zasnęła przed nim. Wślizgnął się do łóżka obok Alice, która nie przestawała nucić, nawet we śnie. Na szczęście nie była to pieśń religijna. Być może marihuana wskrzesiła jej szkocki akcent, który w przyszłości Jack wyłapywał jedynie wówczas, gdy Alice była pod wpływem alkoholu bądź narkotyków.

Co do piosenki, Jack nie miał pojęcia, czy to autentyczna przyspiewka ludowa, zapamiętana z dzieciństwa, czy też (co bardziej prawdopodobne) wytwór matczynej wyobraźni, do którego we śnie dorobiła melodię. (Czemu nie? Ostatecznie śpiewała przez pół dnia i nocy).

Oto piosenka, którą Alice nuciła przez sen:

*Nie, nie będę zuzią,
Ani lolą,
Ani fruzią.
Prędzej wolę w kozie zgnić,
Niżli na ulicy tkwić.
Nie, nie będę zuzią,
Zmykaj stąd, niebożę.
Bo ja za nic w świecie Nóżek nie rozłożę.*

„Niebożę” rymowało się z „rozłożę”, oczywiście. Jack pomyślał, że to pewnie dziecięca piosenka, przeznaczona specjalnie dla niego.

Odmówił wieczorną modlitwę, jak zwykle, z zamkniętymi oczyma. Modlił się nieco głośniej niż zazwyczaj, ponieważ matka spała i musiał to zrobić za nich oboje.

- Dzięki Ci, Boże, za kolejny przeżyty dzień.

W niedzielę spali do południa.

- Kto to jest lola? - zapytał Jack po obudzeniu.

- Czy powiedziałam coś takiego we śnie?

- Tak. Śpiewałaś.

- Lola to ktoś w rodzaju prostytutki. Ktoś, kto udziela rad, Jackie.

- A zuzia i fruzia? - dopytywał się Jack.

- Tak samo.

- Aha.

Szli, trzymając się za ręce, w kierunku salonu Mistrza Petera, gdy chłopcu nagle coś się przypomniało.

- A o co chodzi z tą ulicą?

- To miejsce, na które nigdy nie trafię - zabrzmiała odpowiedź.

- W jaki sposób Mistrz Peter stracił nogę? - zapytał po raz setny Jack.

- Już ci mówiłam: sam go spytaj.

- Może na rowerze - podsunął chłopiec.

Nastały wczesne godziny popołudniowe, niektóre z kobiet przystąpiły już do udzielania rad. Wszystkie pozdrowiały Jacka i Alice po imieniu, nawet starsze prostytutki w sąsiedztwie Starego Kościoła. Alice rozmyślnie obeszła Oudekerk-splein; minęli każdą witrynę i próg, podążając o połowę wolniej niż Martin Bril.

I nikt nie odważył się zanucić „Osnuj mnie boskim swym oddechem”.

Poszli na Olofssteeg pożegnać się z Mistrzem Peterem.

- Możesz ze mną pracować, kiedy chcesz, Alice - oznajmił jednonogi. - Pilnuj swoich nóg, Jack - zwrócił się do chłopca. - Łatwiej ci się będzie poruszać.

Następnie udali się do Zeedijk do Mistrza Theo i Robbiego de Wita. Robbie poprosił Alice o pożegnalny tatuaż.

- Tylko nie złamane serce - powiedziała. - Mam dosyć serc pękniętych na pół i po przekątniej.

Wreszcie ustalili, że złoży mu na prawym ramieniu swój autograf: Córka Alice.

Rademaker był tak zachwycony idealnie równą inskrypcją, że poprosił o to samo. I obnażył lewe przedramię, które rezerwował dotąd na coś specjalnego. Litery biegły od zgięcia łokcia aż do tarczy zegarka; od tej pory, sprawdzając godzinę, miał zawsze wspominać Córkę Alice.

- Jack? - zagadnął chłopca. - Posłuchamy jeszcze der Zimmermana? - (Nie był Niemcem, nie odróżniał der od den. Jack zresztą też nie).

Jack wybrał płytę i nastawił ją. Robbie de Wit przyłączył się wkrótce do piosenkarza, nie był to jednak ulubiony kawałek Alice, która skupiła się na pracy, tym razem zachowując milczenie.

- „Kiedy słońce wstanie nad rzeką - śpiewali Bob i Robbie - ja już będę daleko, daleko”.

Alice przystąpiła do wykonywania litery A.

- „To przez ciebie gna mnie w świat - zawodzili Bob i Robbie. - Otrzyj łzę, wszystko gra”.

Z całą pewnością nie grało, przynajmniej na dłuższą metę, lecz Alice tatuowała dalej.

Els pomogła im zorganizować podróż. Mieli pojechać pociągiem do Rotterdamu, stamtąd popłynąć do Montrealu, a następnie wrócić do Toronto.

- Dlaczego do Toronto? - spytała Saskia. - Przecież Kanada to nie twój kraj.

- Teraz już tak - odrzekła Alice. - Nigdy nie wrócę do słonecznego Leith, choćby mi oferowano całą whisky Szkocji. - Nie zdradziła powodów swej decyzji. (Zapewne czekało tam zbyt wiele upiórów). - Poza tym znalazłam odpowiednią szkołę dla Jacka - usłyszał chłopiec. Matka pochyliła się nad nim i szepnęła. - Z dziewczętami będziesz bezpieczny.

Myśl o pobycie wśród dziewcząt ze Świętej Hildy, zwłaszcza tych starszych, przyprawiła Jacka o gęsią skórę. I znów, ostatni raz w Europie, sięgnął po matczyną rękę.

II

• • • • •

Morze dziewcząt

8 • Bezpieczny wśród dziewcząt

Jack odnosił nieprzeparte wrażenie, że starsze dziewczęta ze Świętej Hildy nie przepadają za chłopcami. I choć ci ostatni bawili w szkole jedynie do czwartej klasy, ich obecność - nawet obecność małych chłopców - była postrzegana jako zgubny wpływ. Używając określenia Emmy Oastler: „Zwłaszcza na starsze koleżanki”.

Emma była groźna, a na dodatek starsza. Szóstoklasistki były najstarszymi uczennicami w gimnazjum; otwierały i zamykały drzwi dla najmłodszych podopiecznych przy wejściu na Rosseter Road. Kiedy Jack poszedł do przedszkola jesienią 1970 roku - gdy Święta Hilda po raz pierwszy przyjmowała chłopców - Emma rozpoczynała właśnie szóstą klasę. On miał lat pięć, ona dwanaście. (W wyniku kłopotów rodzinnych straciła jeden rok). Pierwszego dnia otworzyła przed nim drzwi samochodu, które to doświadczenie przesądziło o dalszych losach ich znajomości.

Już w samochodzie Jack siedział jak na szpilkach, zmierzał bowiem do szkoły czarnym lincolnem, wynajętą limuzyną, z której pani Wicksteed korzystała podczas każdej przejażdżki. (Ani ona, ani Lottie nie umiały prowadzić, Alice zaś nigdy nie uzyskała prawa jazdy). Kierowcą limuzyny był przyjazny mężczyzna rodem z Jamajki, kolos imieniem Peewee, niemal równie czarny, jak prowadzony przezeń samochód. Był ulubionym szoferem pani Wicksteed.

Które dziecko chciałoby pierwszego dnia podjechać do szkoły wynajętą limuzyną? Alice jednak wiedziała, co robi, postępując zgodnie z wolą pani Wicksteed. Wyglądało bowiem na to, że absolwentka opłaca nie tylko chesne, ale i samochód.

Ponieważ Alice często pracowała u Chińczyka do późna w nocy, obowiązek wyszykowania Jacka do szkoły spadł na Lottie. Pani Wicksteed sumiennie dźwigała się z łóżka, aby zawiązać chłopcu krawat, przy czym czyniła to z pewnym roztargnieniem. Lottie wieczorem przygotowywała Jackowi ubranie, rankiem zaś pomagała mu je włożyć.

W szkolne poranki Jack wsuwał się do zaciemnionego pokoju matki i całował ją na pożegnanie, następnie Lottie odprowadzała go na róg Spadina i Lowther, gdzie czekał Peewee w limuzynie. Należy oddać Alice sprawiedliwość, że pierwszego dnia zaofiarowała się pojechać wraz z synem.

- Alice - upomniała ją pani Wicksteed - jeśli pojedziesz z Jackiem, sprowokujesz go do płaczu.

Pani Wicksteed należała do zagorzałych przeciwniczek prowokowania Jacka do płaczu.

- Będą ci dokuczać, Jack - zakomunikowała któregoś ranka, wiążąc mu krawat. - Nie daj się sprowokować do płaczu. Płacz tylko wówczas, gdy ktoś wyrządzi ci fizyczną krzywdę. Wtedy możesz narobić alarmu.

- A co mam zrobić, kiedy będą mi dokuczać? - spytał Jack.

Pani Wicksteed miała na sobie śliwkowy szlafrok, narzucony na piżamę z godłem cechu fryzjerskiego po świętej pamięci małżonku. Zawsze wiązała chłopcu krawat, siedząc przy kuchennym stole i grzejąc palce o pierwszą filiżankę herbaty. Miała wałki na siwych włosach i twarz lśniąca od oleju awokado.

- Bądź kreatywny - poradziła.

- Kiedy będą mi dokuczać?

- Bądź miły - podsunęła Lottie.

- Za pierwszym i za drugim razem - dodała pani Wicksteed.

- A za trzecim? - spytał Jack.

- Bądź kreatywny - powtórzyła.

Po zawiązaniu krawata pani Wickstead całowała chłopca w czoło i grzbiet nosa, a Lottie musiała mu wycierać zatłuszczoną twarz. Lottie też go całowała, zwykle w korytarzu, zanim otwierała frontowe drzwi i prowadziła go do Peeweego.

Jej kuśtykanie działało na Jacka niemal równie prowokująco, jak brakująca noga Mistrza Petera. Często powracał do tego tematu w rozmowach z matką.

- Dlaczego Lottie kuleje? - usiłował się dowiedzieć co najmniej ze sto razy.

- Sam ją zapytaj.

Kiedy jednak odjeżdżał pierwszego dnia do szkoły, znów nie zdołał wykrzesać z siebie dość odwagi, aby to zrobić.

- Dlaczego ta pani kuleje, mały? - zapytał Peewee.

- Nie wiem. Czemu jej nie zapytasz, Peewee?

- Sam ją zapytaj. Ty tu jesteś panem. Ja jestem tylko szoferem.

Jack Burns myślał później, że zapamięta do śmierci skrzyżowanie Pickthall i Hutchings Hill Road: sposób, w jaki Peewee zwolnił oraz sceptyczne spojrzenia starszych dziewcząt, odnotowujących mimochodem przybycie kolejnego bogatego gówniarza w limuzynie. Był ciepły, wrześniowy poranek; uwagę Jacka ponownie przykuły wyrzucone na wierzch bluzki marynarskie z luźno wiązаныmi krawatami w przepisowe szaro-brązowe pasy. (Za dwa lata uczennice będą nosić bluzki z kołnierzykiem na guzik, rozpięte pod szyją). Najlepiej zapamiętał jednak buntowniczy, śmiały łuk ich bioder.

Dziewczęta nigdy nie stały nieruchomo - czasami obejmowały ramieniem koleżankę, czasami przenosiły ciężar ciała na jedną nogę, postukując jednocześnie drugą stopą o ziemię. Siedząc, zakładały nogę na nogę, przy czym kończyła zawieszona w powietrzu znajdowała się w ciągłym ruchu. Nadzwyczaj kuse spódniczki odsłoniły przed Jackiem zdumiewająco masywną górną część ud. Dziewczęta skubały swoje palce, paznokcie i pierścionki, drapały się w brwi oraz włosy. Zaglądały również pod paznokcie, jak gdyby w poszukiwaniu nieodkrytych tajemnic: tych im najwyraźniej nie brakowało. Przyjaciółki porozumiewały się między sobą gestami, wymieniając subtelne znaki, świadczące o sekretnym języku.

Przy wejściu na Rosseter Road, gdzie Peewee zatrzymał samochód, szóstoklasistki wydały się Jackowi szczególnie tajemnicze, a zarazem nieokiełznane. W wieku jedenastu, dwunastu lat dziewczęta są przeświadczane o swojej brzydocie. Przystają być dziećmi, przynajmniej we własnym mniemaniu, przy czym ich kobiecość znajduje się jeszcze w zarodku. Dzielą je wielkie różnice: niektóre przybierają wygląd oraz sposób poruszania się młodych kobiet, inne zaś przypominają aparycją i nieśmiałością wyrostków.

Ostatnia kwestia nie dotyczyła bynajmniej Emmy Oastler, dwunastolatki, która wkrótce miała skończyć osiemnaście lat. Kiedy otworzyła drzwi limuzyny, na widok meszku nad jej górną wargą Jack błędnie uznał, że to pot. Włoski na silnych, opalonych rękach pojaśniały na słońcu, a gruby ciemnobrązowy warkocz spoczywał na ramieniu, tworząc z jednej strony obramowanie niemal ładnej twarzy dziewczyny. Ciężar warkocza, sięgającego prawie do pępka, rozdzielał i podkreślał pączkujące piersi. Może jedna czwarta szóstoklasistek mogła się pochwalić zauważalnym biustem.

Gdy Jack wysiadł z limuzyny i stanął obok Emmy, sięgał jej do pasa.

- Nie przewróć się o krawat, ptysiu - powiedziała.

Krawat wisiał chłopcu do kolan, jednakże dopiero Emma uświadomiła mu związane z tym niebezpieczeństwo. Jego szare, przykrótkie bermudy nie zasługiwały na miano „odpowiednich”, jak nie omieszkała zauważyć pani Wickstead. (W przeciwieństwie do dziewcząt chłopcy nosili krótkie skarpetki).

Emma szorstko uniosła jego podbródek.

- Pokaż no te rzęsy, ptysiu... o mój Boże! - zawołała.

- Co?

- Węszę kłopoty - oznajmiła Emma Oastler.

Badając wzrokiem jej twarz, Jack mógł powiedzieć to samo. Ponadto zrozumiał swój błąd, a mianowicie wąsik. Z bliska nie sposób było pomylić go z kropelkami potu. W wieku pięciu lat Jack nie miał pojęcia, że owa przypadłość stanowi piętę achillesową młodych kobiet. Meszek robił niezmiernie sympatyczne wrażenie i oczywiście Jack zapragnął go dotknąć.

Podobnie jak pierwszy tatuaż, pierwszy dzień w szkole jest doświadczeniem o iście pionierskim wymiarze, i właśnie przypadło ono Jackowi w udziale. A dotknięcie wąsika Emmy Oastler miało bez wątpienia ukształtować jego charakter.

- Jak się nazywasz? - spytała Emma, nachylając się niżej.

- Jack.

-Jack... i co dalej?

Wobec bliskości wąsika Jack na jedną straszliwą chwilę zapomniał, jak się nazywa. Lecz przyczynę stanowił tu nie tylko wąsik. Od urodzenia bowiem Jack nosił nazwisko Stronach. Ojciec porzucił go, nie poślubiwszy uprzednio matki, w związku z czym Alice nie widziała powodu, aby któraś z nich nosiła nazwisko Williama. Lecz pani Wicksteed nie przyznała jej racji. I choć Alice uparcie odmawiała przypisywania sobie tytułu pani Burns, pani Wicksteed utrzymywała, iż żadne dziecko nie powinno cierpieć ze względu na fakt, że pochodzi z nieprawego łoża. I pod jej naciskiem nazwisko Jacka zostało prawnie zmienione, sankcjonując tym samym (przynajmniej nominalnie) jego pochodzenie. Poza tym pani Wicksteed była asymilacjonistką: w przekonaniu absolwentki Jack Burns łatwiej wpasuje się w kanadyjską rzeczywistość niż Jack Stronach. Niewątpliwie uważała, że wyświadcza chłopcu wielką przysługę.

Wahanie Jacka ściągnęło nań uwagę nauczycielki o przezwisku Szary Duch. Pani McQuat zaiste była stworzeniem o dość widmowej naturze. Perfekcyjnie opanowała technikę wyrastania spod ziemi; nikt nigdy nie widział, jak nadchodzi.

W poprzednim życiu musiała być trupem. Jak inaczej wytłumaczyć emanujący z niej chłód? Nawet oddech miała lodowaty.

- Kogo my tu mamy? - zapytała pani McQuat.

- Jakiegoś Jacka - odpowiedziała Emma Oastler. - Zapomniał, jak się nazywa.

- Jestem pewna, że możesz mu przypomnieć, Emmo - orzekła pani McQuat.

Choć Szary Duch nie była Azjatką, stalowe włosy ściągnięte do tyłu w ciasny

kok nadawały jej oczom skośny wyraz. W porównaniu z wiecznie rozchylonymi ustami Emmy wargi pani McQuat sprawiały wrażenie zasznurowanych. Wargi Emmy przypominały kwiat, a porośnięta meszkiem górna warga wyglądała jak oprószony pyłkiem różany płatek.

Jack usiłował zapanować nad swoją prawą ręką, a zwłaszcza palcem wskazującym. Pani McQuat znikła równie szybko, jak się pojawiła, a może Jack po prostu przymknął oczy, walcząc z niepokonionym pragnieniem połechtania meszku, i nie zauważył jej odejścia.

- Myśl, Jack. - Oddech Emmy Oastler był równie gorący, jak lodowaty był oddech pani McQuat. - Dasz radę. Jak się nazywasz?

- Jack Burns - wydusił chłopiec.

Bardziej zdumiało ją nazwisko czy może palec? Zapewne jedno i drugie. Słowa chłopca padły dokładnie w tej samej chwili, gdy jego palec wskazujący zetknął się z górną wargą dwunastolatki, co było całkowicie niezaplanowane.

- A ty? - szepnął oczarowany miękkością jej skóry.

Chwyciwszy jego wskazujący palec, Emma brutalnie odgięła go do tyłu. Jack padł na kolana i krzyknął z bólu. Szary Duch zaprezentowała kolejne ze swych widmowych wejść.

- Prosiłam tylko, żebyś odświeżyła mi pamięć, Emmo. Bez stosowania tortur

- upomniała pani McQuat.

- Nazwisko? - stęknął Jack, kiedy łamano mu palec.

- Emma Oastler - odparła i raz jeszcze wykręciwszy chłopcu palec, puściła jego dłoń. -1 nie waż się go zapomnieć.

Byłoby to niemożliwością. Nawet ból, jaki mu zadała, wydawał się ze wszech miar naturalny, tak jakby Jack przyszedł na świat, by jej służyć, ona zaś, aby go prowadzić. Pani McQuat mogła dostrzec to w zbolącej minie chłopca. Dopiero później miał zdać sobie sprawę, że Szary Duch niewątpliwie uczyła w Świętej Hildzie, kiedy jego ojciec spał z dziewczyną z jedenastej i zapłodnił dziewczę z trzynastej klasy. Dlaczegoż zapytałaby bowiem:

- Czy nie jesteś aby synem Williama Burnsa?

Jej słowa momentalnie przywróciły Emmie Oastler zainteresowanie rzęsami Jacka.

- Twoja mama robi tatuaże! - wykrzyknęła.

- Tak - odpowiedział Jack. (No proszę, a obawiał się, że będzie anonimowy!).

Przybycie kolejnych uczniów obserwowała również inna nauczycielka; Jack rozpoznał idealne brzmienie jej głosu, jak gdyby słyszał go w snach. Była to panna Caroline Wurtz, która wyleczyła jego matkę ze szkockiego akcentu. Nie tylko celowała w dykcji, również tonacja jej głosu nie budziła wątpliwości co do osoby właścicielki. W Edmonton, gdzie przysłała na świat, uchodziłaby za skończoną piękność. W bardziej kosmopolitycznym mieście, jak Toronto, jej krucha uroda ginęła w tłumie. (Panna Wurtz najpewniej doznała w życiu gorzkiego zawodu: miała za sobą nieodwzajemnione uczucie tudzież romans, który stał się wspomnieniem, nim zdążył na dobre zaistnieć).

- Pozdrów mamę, Jack - powiedziała panna Wurtz.

- Dziękuję pani - odparł chłopiec.

- To ona ma limuzynę? - spytała Emma.

- Samochód i szofer należą do pani Wicksteed, Emmo - odrzekła panna Wurtz.

Szary Duch ponownie rozplynęła się w powietrzu. Jack czuł na ramieniu rękę Emmy; idąc, muskał policzkiem jej biodro. Nachyliwszy się, szepnęła mu do ucha, żeby panna Wurtz nie usłyszała:

- Ale wam dobrze, ptysiu.

Jack uznał, że dziewczyna ma na myśl lincolna i Peeweego, lecz wieść o protektoracie pani Wicksteed nad tatuazystką i jej bękartem dotarła do szkoły, nim Jack sam przestąpił próg Świętej Hildy. Emma Oastler nawiązywała do roli patronki w nieco szerszym znaczeniu. Chłopiec błędnie odczytał również jej kolejne słowa:

- Można i tak, Jack. Nie każdy ma szczęście żyć na cudzym garnuszku.

- Dziękuję - odpowiedział Jack, sięgając po jej rękę.

Był wniebowzięty, że pierwszy dzień w szkole przyniósł mu taką znajomość. A jako że rozwiedziona córka pani Wicksteed wyraziła się o nim i Alice w identyczny sposób, przyszło mu do głowy, że matka Emmy także jest rozwiedziona. Być może kobiety w takiej sytuacji żywią szczególną aprobatę dla szlachetnych porywów absolwentek.

- Czy twoja mama jest rozwiedziona? - zapytał.

Pech chciał, że matka Emmy rozwiodła się nieszczęśliwie kilka lat wcześniej, a jedna z konsekwencji owego posunięcia była tak spektakularnie niesmaczna, że kobieta nadal z uporem nazywała się w myślach „panią” Oastler. Dla Emmy wciąż był to drażliwy temat.

W geście, który Jack mylnie zinterpretował jako przejaw zażyłości i cichego porozumienia, dziewczyna ścisnęła jego dłoń. Chłopiec gotów był dać głowę, że nie zrobiła tego specjalnie, wszelako jej uścisk okazał się równie miażdżący jak chwyt recepcjonisty w hotelu „Bristol” w Oslo.

- Jesteś Norweżką? - zapytał, lecz przyspieszony oddech Emmy zagłuszył jego słowa. Jej nowo nabyta pierś falowała, czy to za sprawą usilnych prób pogruchotania mu palców, czy też opanowania frustracji wobec faktu, jakim zaciętym wrogiem mężczyzn stała się w wyniku rozwodu jej matka. Łza, którą Jack wziął za strużkę potu, spłynęła po policzku dziewczyny i uwięzła na wąsiku niczym kropla rosy na świeżym mchu. Rozterki wynikające z konieczności

uczęszczania do Świętej Hildy minęły jak ręką odjął. Cóż za wspaniały pomysł wyznaczyć szóstoklasistki do eskortowania najmłodszych dzieci!

Potknął się na kamiennych schodach, lecz Emma nie tylko pomogła mu wstać, ale posadziwszy go na własnym biodrze, wniosła do budynku. W przypiływie wdzięczności i zachwytu zarzucił jej ręce na szyję; tak gwałtownie odwzajemniła jego uścisk, że chłopiec zadrżał, iż lada chwila straci dech. Podobno ludzie bliscy omdlenia miewają zwidy; na widok Szarego Ducha Jackowi wydało się, że właśnie stało się to jego udziałem. Pani McQuat znowu wyrosła jak spod ziemi, w chwili gdy Emma była o krok od skręcenia mu karku bądź uduszenia go swą dwunastoletnią piersią.

- Puść chłopca, Emmo - poleciła.

Koszula wylazła Jackowi ze spodni i wisiała mu prawie do gołych kolan, chociaż i tak była krótsza niż krawat. Chłopiec miał zawroty głowy i ciężko dyszał.

- Pomóż mu schować koszulę, Emmo - kontynuowała Szary Duch. I wypowiedziawszy te słowa, znów znikła jak kamfora.

W przykłęku Emma okazała się tego samego wzrostu, co Jack. Jego szare bermudy były nie tylko za krótkie, ale i przyciasne. Aby schować koszulę, Emma musiała najpierw rozpiąć mu rozporek.

- Ładna pupcia, Jack - szepnęła, ujmując jego pośladki w obie dłonie i ściskając je z lekka.

Jack w porę odzyskał oddech, aby sumiennie się zrewanżować.

- Ładny wąsik - rzucił w odpowiedzi, cementując tym samym ich przyjaźń, która miała przetrwać poza murami Świętej Hildy. W duchu zgodził się ze słowami matki: trafił do świetnej szkoły, a ekscytujące spotkanie z Emmą Oastler stanowiło (przynajmniej w oczach Jacka) potwierdzenie tezy, że wśród dziewcząt nic mu nie grozi.

- Ach, Jack - odszepnęła Emma, muskając mu szyję swą niewiarygodnie miękką górną wargą - przeżyjemy razem niezapomniane chwile.

Łukowate sklepienie korytarza podstawówki nasunęło Jackowi Burnsowi myśl o niebie. (Jeśli do nieba prowadził jakiś korytarz, zdaniem Jacka, musiał wyglądać identycznie). Natomiast czarno-szare trójkąty na posadzkach z linoleum nasuwały mu przekonanie, iż szkoła oraz następujące po niej dorosłe życie to gra, której może nie dane mu było jeszcze doświadczyć, ale jednak gra.

Inną grą był szczątkowy widok na plac zabaw, rozciągający się za pękniętą szybą umywalni na pierwszym piętrze - była to jedyna chłopięca toaleta w Świętej Hildzie. Okna z matowego szkła były małe i obramowane kwadratami z czarnego żelaza. Brakowało jednej z szyb; nie wstawiono jej przez wszystkie lata, kiedy Jack chodził do szkoły. W okresie przedszkolnym niskie pisuary w łazience okazywały się nie dość niskie. Chłopiec musiał stawać na palcach i celować wysoko.

Na pierwszym piętrze czasem zdarzały się rzadkie, acz budzące grozę spotkania z mieszkankami internatu. O zakwaterowanie mogły się ubiegać jedynie uczennice starszych klas. Przyjmowano wyłącznie dziewczęta od klasy siódmej wzwyż; na pięćset gimnazjalistek i licealistek przypadała ich zaledwie setka. (Święta Hilda była szkołą miejską - większość uczniów mieszkała we własnych domach).

Starsze rezydentki zadziwiały Jacka swoją dojrzałością. Ponure miny charakteryzowały nie tylko córki dyplomatów bądź uczennice z zagranicy, a towarzyszące dziewczętom przygnębienie bynajmniej nie miało charakteru regionalnego: kuzynki zwane „dzdzirami z Nowej Szkocji” były równie głęboko pogrążone w depresji, jak dziewczyna z Kolumbii Brytyjskiej, określana przez Emmę Oastler mianem „suki z K B”. Krążyły po szkole w aurze znieślawienia, a złożony z nich chór wyśpiewywał najżałobniejsze melodie.

Do szkoły podstawowej zaglądały raczej rzadko, kiedyś jednak, będąc w trzeciej klasie, Jack natknął się na dwie z nich po wyjściu z toalety. Zapinał akurat rozporek, kiedy widok

trzynastoklasistek - błysk lakieru do paznokci, podkolanów-ki zrolowane do kostek, kształtne nogi, rozłożyste biodra, obfite piersi - wzbudził w nim atak obezwładniającej paniki. W pośpiechu przyciął sobie członek. I naturalnie uderzył w płacz.

- Słodki Jezu, przecież to chłopak! - zawołała jedna z dziewcząt.

- A jak, na dodatek przyciął sobie wacka - zauważyła druga.

- W jakim wieku oni zaczynają się ze sobą zabawiać? - zapytała pierwsza. - Nie drzyj się! - warknęła do Jacka. - Chyba go sobie nie urwałeś, co?

- Ja to zrobię - oznajmiła druga, przyklękając. - Mam młodszego brata, umiem sobie radzić w takich sytuacjach.

- To znaczy w jakich? - spytała pierwsza. Ona też uklękła.

- Niech no rzucę okiem... zabierz łapy! - poleciła Jackowi siostra młodszego brata.

- Boli! - wrzasnął Jack.

- Przyciąłeś sobie skórę, nawet nie krwawi. - Miała co najmniej siedemnaście, osiemnaście lat. Może nawet dziewiętnaście.

- Kiedy on staje? - dopytywała się pierwsza z dziewcząt.

- Na pewno nie gdy jest przytrzaśnięty, Meredith. Założę się, że nie ma na to najmniejszej ochoty.

- Staje, kiedy ma ochotę? - zdumiała się Meredith.

Dziewczyna jedną ręką ujęła penis Jacka, usiłując kciukiem i palcem wskazującym drugiej oswobodzić go z zamka.

- Auu!

- Co mam zrobić? - zapytała samarytanka. - Zaczekać, aż dorośniesz?

- Masz zabójcze rzęsy - powiedziała do Jacka Meredith. - Jeszcze trochę, a będziesz go wtykał w różne miejsca.

- Auu!

- Teraz krwawi - oświadczyła druga z dziewcząt. Jack był wolny, ona jednak nie puszczała jego penisa.

- Co ty wyprawiasz, Amando? - zapytała Meredith.

- Tylko popatrz - powiedziała Amanda, bynajmniej nie zwracając się do Jacka, który bez patrzenia czuł, jak jego penis staje się większy. Przynajmniej trochę większy.

- Jak masz na imię? - spytała Meredith.

- Jack.

- Lepiej ci, co, Jack? - wtrąciła Amanda.

- Słodki Jezu, spójrz tylko na to! - zawołała Meredith.

- To jeszcze nic - oznajmiła Amanda. - Stać cię na więcej, prawda, Jack?

Członek Jacka jeszcze nigdy nie osiągnął takich rozmiarów. Chłopiec zadrżał, że jeszcze chwila, a eksploduje.

- Znowu zaczyna boleć - powiedział.

- To inny rodzaj bólu, Jack. - Amanda uściśnęła przyjaźnie jego nadwerężony organ i puściła.

- Uważaj, gdzie go pakujesz, Jack - ostrzegła Meredith. Wstała i potargała chłopcu włosy.

- Może ci się przyśnimy, Jack - dorzuciła Amanda.

Ranka zagoiła się w ciągu kilku dni, ale sny nie minęły.

Panna Sinclair, przedszkolanka Jacka, podzielała zdanie Alice, że wśród dziewcząt nic mu nie grozi. Na poparcie owej iluzji zwerbowała kilka szóstoklasistek do pomocy podczas leżakowania. Emma Oastler zgłosiła się na ochotnika wraz z dwiema rówieśnicami, Charlotte Barford i Wendy Holton, swymi przyjaciółkami od serca. Starsze dziewczęta miały za zadanie utulić pięciolatków do snu, podczas gdy w rzeczywistości skutecznie powstrzymywały dziatwę przed zaśnięciem.

Panna Sinclair zapisała się w pamięci Jacka jako sprawczyni nieszczęścia, jakim była „drzemka” w asyście szóstoklasistek. Najbardziej zapamiętał jej nieobecność.

Leżakowanie rozpoczynało się od tak zwanej kołysanki-utulanki w wykonaniu Emmy Oastler. Emma zawsze miała dar wymowy, co zwiastowało jej późniejsze powołanie. Podczas gdy Wendy i Charlotte krążyły wśród dzieci, pilnując, by miały wygodnie rozłożone maty i zdjęte buty, Emma w półmroku snuła swoją opowieść.

- Mieliście zły dzień i padacie z nóg - rozpoczynała niezmiennie.

Jak na rzekome „kołysanki”, opowiadki Emmy wywierały zgoła odmienny efekt, ponieważ przedszkolaki były zbyt przerażone, by spać. Jednym ze stale powracających motywów był ten, że panna Sinclair gubi całą grupę w jaskini nietoperzy w Muzeum Królewskim w Ontario. W rzeczywistości Jack po raz pierwszy trafił tam w trzeciej klasie pod opieką panny Caroline Wurtz.

Pannę Wurtz wspominał ze szczególnym nabożeństwem, nie tylko z powodu jej kruchej urody: była również jego nieocenioną mentorką podczas pierwszych kroków na scenie. Teatr stanowił kolejną z dziedzin, które opanowała do perfekcji. W dziedzinie dramatu panna Wurtz nie miała sobie równych; ona też wyreżyserowała większość sztuk, w których Jack wystąpił pod egidą Świętej Hildy. Mimo to - w porównaniu z jej maestrią sceniczną - talent pedagogiczny panny Wurtz pozostawiał wiele do życzenia, a utrzymanie dyscypliny wśród trzecioklasistów przerastało jej możliwości. Z dala od blasku jupiterów, wydana na pastwę rozbrykanych uczniów bądź życia codziennego w okrutnym świecie zewnętrznym, panna Caroline Wurtz błędziła niczym dziecko we mgle, wykazując przy tym całkowity brak pewności siebie oraz całkowity brak zdolności przywódczych.

Podczas wycieczek szkolnych bezradność panny Wurtz czyniła ją wymarzoną bohaterką sennych opowieści Emmy Oastler. Kiedy straciła panowanie nad sobą w jaskini dla nietoperzy w Muzeum Królewskim w Ontario, w pamięci większości jej podopiecznych na nowo odżyły mrozące krew w żyłach szczegóły ponurego klasyka Emmy. (Fakt, iż obecnie liczyli sobie lat osiem, a nie pięć, nie miał większego znaczenia, gdyż okoliczności zajścia były im aż nadto znajome).

Słyszając płynący z głośników komunikat o chwilowej awarii elektryczności w niektórych sektorach wystawy ssaków, dzieci wiedziały, że to dopiero pierwszy rozdział.

- Tylko bez paniki - uspokajał głos z głośników przy wtórze szlochów panny Wurtz. - Niebawem usuniemy awarię.

Ultrafioletowe lampy w jaskini nietoperzy nadal się paliły: było to obecnie jedyne źródło światła, kropka w kropkę, jak w opowieści Emmy.

W wersji Emmy nie wiedzieć czemu bezbronni dzieci musiały wpełznąć w głąb jaskini dla nietoperzy i ułożyć się do snu wraz z jej mieszkańcami. Emma starannie podkreślała zasadniczą różnicę pomiędzy domniemanym „odruchem ssącym” nietoperzy wampirów a nietoperzy olbrzymich. Dzieci miały przykazane z całej siły zaciskać powieki, aby nie oślepiło ich światło ultrafioletu, podczas snu zaś, prawdziwego lub udawanego, musiały baczyć na to, gdzie poczują wilgotny, gorący oddech nietoperza, co stanowiło kolejny nieunikniony punkt programu.

Powiew w okolicach gardła oznaczał, że miały do czynienia z wampirem, co pociągało za sobą konieczność odpędzenia intruza i osłonięcia szyi obiema rękami. („Dajcie czadu”, radziła Emma.) Natomiast gorące, wilgotne tchnienie na wysokości pępka wskazywało na obecność nietoperza olbrzymiego. Miał on najpierw ogrzać im brzuchy swym oddechem, by następnie wylizać słoń zawartość ich pępeków szorstkim językiem. Pociągało to za sobą doznania może nieszczególnie przyjemne, acz niezbyt groźne. Sęk w tym, aby leżeć nieruchomo. Nietoperz olbrzymi był bowiem zbyt wielki, aby go odpędzić, poza tym Emma przekonywała, iż może on stanowić niebezpieczeństwo jedynie wyprowadzony z równowagi.

- Co wtedy robi? - zapytał Jimmy Bacon.

- Lepiej mu nie mów, Emmo - doradziła Charlotte Barford.

Konkluzja przypowieści o dzieciach zagubionych w jaskini stanowiła prawdziwą próbę wytrzymałości nerwowej przedszkolaków. Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że większość maluchów była zbyt roztrzęsiona, żeby zasnąć, na pewno wiedziały, że czują na sobie oddech szóstoklasistek, a nie nietoperzy. Tak czy inaczej ściśle przestrzegały zaleceń. Wybrańcy losu, którym dmuchano w pęпки, leżeli nieruchomo. W wyniku wielokrotnego wysłuchiwanie rzeczony opowieści Jack nauczył się dostrzegać niezbyt subtelne różnice pomiędzy językami Wendy, Charlotte oraz Emmy. Jak się okazało, nie były wcale szorstkie i rzeczywiście nie powodowały większych obrażeń. Co do obrony przed nietoperzem wampirem, dzieci też reagowały, jak przykazano, wrzeszcząc i dziko wymachując rękami.

- Pobudka, Jack - mówiła Emma (Charlotte lub Wendy).

Ale on nigdy nie spał.

Charlotte Barford była zwalistą dziewczyną, dwunastoletnią prawie-kobietą na wzór i podobieństwo Emmy Oastler. Wendy Holton zaś robiła wrażenie niedożywnego cherlaka. Jeśli pominąć świadectwo bólów dojrzewania w postaci podkówki pod oczami oraz nabrzmiałych, pozagryzanych warg dziewczyny, Wendy mogła uchodzić za dziewięciolatkę. Jej drobna postura i dziecinny wygląd nie wpływały na sprawność języka: nietoperz Wendy był bowiem bardziej agresywny od wersji Emmy i bardziej natarczywy od wersji Charlotte. (Adekwatnie do masywnych kolan szeroki język Charlotte Barford nie mieścił się w pępku Jacka: z trudem wchodził tam choćby jego koniuszek).

Czy panna Sinclair kiedykolwiek zastała po powrocie gromadkę wyspanych dzieci? Czy brała ich nerwowe pobudzenie za oznakę rzeźkości? Dzieci niewątpliwie odczuwały wielką ulgę; fakt, że przetrwały kolejną opowieść Emmy Oastler oraz jej niezmiennie twórczą „pobudkę”, z pewnością nadawał ich buziom wyraz bezbrzeżnej wdzięczności.

Inną klasyczną opowieścią Emmy, dorównującą niemal historii o dzieciach zagubionych w jaskini dla nietoperzy w Muzeum Królewskim w Ontario, była saga o przyduszonym dziecku. Miała trzy różne zakończenia, lecz zawsze rozpoczynała się tymi samymi słowami.

- Mielście zły dzień i padacie z nóg.

Jack leżakował pomiędzy Gordonem i Caroline French, bliźniętami, które należało rozdzielać, gdyż szczerze się nienawidziły. Innymi bliźniętami w grupie panny Sinclair były dwie identyczne dziewczynki, Heather i Patsy Booth, które z kolei nie znosiły rozłąki. Gdy jedna z nich chorowała, druga zostawała w domu, aby jej współczuć czy może raczej czekać na swoją kolej. Siostry Booth spały na złączonych matach, przykryte jednym kocem, zapewne w ramach symulacji niegdyśszej pozycji embrionalnej.

Podczas opowieści o przyduszonym dziecku obydwie pary bliźniąt wykazywały żywe poruszenie. Identyczne siostry Booth ssały wspólny koc, wydając przy tym miarowe buczenie, co z kolei wyjątkowo działało na nerwy Jimmy'emu Baconowi, który zaczynał pojękiwać. Ożywienie Gordona i Caroline French, leżących po obu stronach Jacka, miało wymiar bardziej fizyczny i objawiało się atakami niekontrolowanej i pozornie bezcelowej aktywności. Pod oddzielnymi kocami bliźnięta French dudniły piętami o maty, niesynchronicznie mlóćąc zeszywniałymi kończynami; chwila zaprzestania owej zdumiewającej czynności budziła zgoła większy niepokój niż jej początek. Bliźnięta nieruchomiały bowiem tak gwałtownie, jak gdyby pomimo narzuconej rozłąki umierały w wyniku tej samej choroby.

Trzy potencjalne zakończenia opowieści o przyduszonym dziecku trzymały przedszkolaki w stanie nieustannego napięcia.

- Dla trojga z was - mówiła zawsze Emma - zły dzień staje się jeszcze gorszy.

- Nagły łomot od strony bliźniąt French, a następnie ich równie nagła śmierć; rytmiczne cmokanie przeplecione z buczeniem spod koca sióstr Booth, posępne zawrodożenie Jimmy'ego

Bacona. - Jedno z was spędzi noc z rozwiedzionym ojcem -ciągnęła Emma. - Który właśnie zemdłał od nadmiaru seksu. (Jack nienawidził tego fragmentu).

Maureen Yap, której ojciec był Chińczykiem, kiedyś wpadła Emmie w słowo:

- Co to jest nadmiar seksu?

- Coś, czego nigdy nie doświadczysz - rzuciła na odczepnego Emma.

W odpowiedzi na to samo pytanie ze strony Jacka odrzekła zaś:

- Wkrótce się dowiesz, Jack.

Jack zadrzał pod swoim kocem. Mógł polegać jedynie na wątpliwym zrozumieniu wymiany zdań pomiędzy matką a prostytutkami. Zdaniem Els, seksowny wygląd oznaczał, że człowiek służy dobrą radą. Tym samym seks wiązał się z udzielaniem rad i podobnie jak one, mógł być dobry lub zły. Skoro rozwiedziony ojciec z opowieści Emmy zemdłał w wyniku nadmiaru seksu, najwidoczniej mieli do czynienia z kategorią najpodlejszego rodzaju.

- Twój ojciec zadawał się ze złymi kobietami - mówiła dalej Emma - ale ta to jeszcze dzieciak. Chudy, kościsty dzieciak - dodawała. - Jest cienka jak kij, ma pięści jak kamienie i szczerze cię nienawidzi. Wchodziś jej w paradę. Gdyby nie ty, mogłaby uprawiać z twoim ojcem jeszcze więcej seksu. Kiedy ojciec mdleje, ona ściska ci pięściami skronie. Masz wrażenie, że zaraz zmiażdży ci czaszkę!

Jak na komendę, rodzeństwo French zaczynało kopać nogami; kolejna fala cmoktania, buczenia i jęków.

- Tymczasem inne z was ma matkę - mówiła zawsze Emma - która też zemdłała. (Jack naprawdę nienawidził tego fragmentu).

- Znowu nadmiar seksu! - wołała zwykle Maureen Yap.

- Złego seksu? - pytał czasem Jack.

- Zły konkubent - precyzowała Emma. - Jeden z największych złych konkubentów na świecie. Kiedy mama mdleje, on przychodzi i kładzie się na tobie, zasłaniając ci twarz gołym brzuchem.

- Jak możesz oddychać? - pytał zawsze Grant Porter, kompletny idiota.

- W tym sęk - odpowiadała zazwyczaj Emma. - Bywa, że nie możesz. - (Wzmoczone, nieskładne dudnienie rodzeństwa French, wilgotne odgłosy bliźniaczek Booth, agonalne postękiwanie Jimmy'ego Bacona).

- Ale co z matką, która ma dziewczynę? - pytała Emma. (Jack nienawidził tego fragmentu najbardziej ze wszystkiego). - Ma większe piersi niż wasze matki razem wzięte. Ma piersi twardsze niż pięści najmłodszych panien waszych ojców. Ma piersi bioniczne - ciągnęła Emma. - Zupełnie jakby kryły w sobie kości, takie są wielkie i twarde. - Wizja kościstych piersi miała po latach budzić Jacka z najgłębszego snu. Nie żeby któreś z maluchów zmrużyło wtedy oko. - Którym z tych nieszczęśników jesteście dzisiaj? - padało każdorazowo pytanie.

- Żadnym! - piszczała zgodnie z przewidywaniami Maureen Yap.

- Ja nie chcę być tym z brzuchem na twarzy - zaznaczał Grant Porter.

- Tylko nie kościste piersi! - wrzeszczał James Turner, drugi idiota.

Bywało, że Jack bierał się na odwagę, by oświadczyć:

- Ja chyba najbardziej nie lubię kamiennych pięści chudej dziewczyny.

Lecz Emma Oastler, Wendy Holton i Charlotte Barford dokonały już wyboru. Pomimo zaciśniętych powiek Jack wyczuwał, jak przesuwają się na upatrzone pozycje.

Rola chudej dziewczyny rozwiedzonego ojca przypadała Wendy Holston, która ściskała czaszkę delikwenta kolanami twardymi i drobnymi jak piłki baseballowe. Potrafiła w niespełna minutę przyprowadzić Jacka o ból głowy, pod jej spódnicą zaś (o ile Jack odważył się zerknąć) panował mało zachęcający półmrok.

Niewiastę o bionicznym piersiach, wyposażonych w układ kostny, odgrywała Charlotte Barford o kolanach wielkości melonów. Żadne piersi nie przypominały w dotyku kolan,

przynajmniej nie w czasach poprzedzających epokę implantów. Co do widoku rozciągającego się pod spódnicą Charlotte, Jack nie miał wiele do powiedzenia: strach przed konsekwencjami ewentualnej wpadki brał górę nad ciekawością.

Co do złego konkubenta, który kładł się gołym brzuchem na twarzy i dławiał oddech, była nim oczywiście Emma Oastler. Jack najpierw zlokalizował jej pępek nosem, dzięki czemu mógł złapać oddech. Kiedy zaś zbadał jego czeluść językiem, Emma powiedziała:

- Rany, nie masz pojęcia, co robisz, mały.

Rzeczywistość w jaskini nietoperzy okazała się zaledwie odrobinę mniej przerażająca od fikcji. Podczas gdy panna Caroline Wurtz odchodziła od zmysłów, trzecioklasiści mogli być spokojni, że co najwyżej czeka ich przeprawa z nietoperzami. Żadnych konkubin ani konkubentów! W porównaniu z owymi seksualnymi drapieżcami ewentualna konfrontacja z nietoperzami jednak tylko z początku wydawała się dziecinną igraszką!

Co do trzecioklasistów, którzy nie uczęszczali wcześniej do przedszkola Świętej Hildy i podobna sytuacja była dla nich nowością, to ci początkowo nie okazali przestrachu wobec awarii elektryczności na wystawie niektórych ssaków w Muzeum Królewskim w Ontario. Jednakże panika wśród byłych przedszkolaków okazała się zaraźliwa.

Przerażenie panny Wurtz również nie przyniosło niespodzianki, albowiem nieraz rozklejała się przy uczniach. Lecz w jaskini nietoperzy nie mogła liczyć na interwencję Szarego Ducha, której nieoczekiwane wejścia często ratowały ją z opresji w obrębie szkoły. Nie w Muzeum Królewskim, wśród zawodzenia trzecioklasistów, którzy nie wiedzieć czemu na dodatek jak na komendę zamknęły oczy.

- Otwórzcie oczy, dzieci! Nie zasypiajcie! Nie tutaj! - krzyknęła panna Wurtz.

Nie rozwierając zaciśniętych powiek, Caroline French udzieliła rozhisteryzowanej nauczycielce nieocenionej rady:

- Niech pani nie płoszy nietoperzy olbrzymich, panno Wurtz. Spłoszone bywają bardzo niebezpieczne.

- Otwórz oczy, Caroline! - zakomenderowała piskliwie panna Wurtz.

- Gorący, mokry powiew w okolicach gardła to zupełnie inna sprawa - ciągnęła Caroline French.

- Co takiego? - spytała panna Wurtz, chwytając się za szyję.

Jack poczuł się wewnętrznie rozdarty w swoich uczuciach wobec panny Wurtz. Jej bezradność w obliczu rzeczywistego kryzysu sprawiła mu dotkliwy zawód, był wszelako pod wrażeniem urody nauczycielki. Skrycie się w niej podkochiwał.

- Ona ma na myśli nietoperza wampira - próbował wyjaśnić, choć Caroline French nie znosiła, gdy ktoś wchodził jej w słowo. (Jej brat czynił to nagminnie).

- Przestraszysz pannę Wurtz, Jack - upomniała ze złością. - Panno Wurtz, kiedy pani poczuje na szyi gorący oddech, proszę zacząć dziko wymachiwać rękami. Musi pani go odpędzić.

- Odpędzić kogo? - zawyła panna Wurtz.

- Ale gdy dmuchnie pani w pępek, niech pani zachowa spokój - polecił Gordon, pozornie zadając kłam słowom znenawidzonej siostry bliźniaczki.

- I ani drgnie - dodał Jack.

- Nic nie dmucha mi w pępek! - krzyknęła panna Wurtz.

- Widzisz, Jack? - powiedziała Caroline French. - Jeszcze pogorszyłeś sprawę.

- Tylko bez paniki - ponowił prośbę głos z głośnika. - Zaraz usuniemy awarię.

- Zapomniałem, dlaczego mamy wpełznąć do jaskini nietoperzy - przyznał Jimmy Bacon. (Żadne z dzieci nie pamiętało tego wątku opowieści Emmy Oastler).

- Nikt nie będzie wpełzał do jaskini! - wrzasnęła panna Wurtz. - Wszyscy macie natychmiast otworzyć oczy!

Jack chciał poinformować nauczycielkę, że ultrafiolet może ich oślepić, ale doszedł do wniosku, iż kolejna porcja złych wiadomości może tylko dodatkowo wyprowadzić ją z równowagi.

- Czuję nietoperza olbrzymiego - szepnął, nie ruszając się z miejsca, lecz była to tylko Maureen Yap, która opadłszy na kolana, hiperwentylowała na wysokości jego pępka.

- Przestańcie! - ryknęła panna Wurtz.

Jimmy Bacon jęczał, ocierając głowę o jej biodro. Panna Wurtz pewnie wcale nie miała zamiaru chwycić go za gardło, jednakże Jimmy zareagował odruchowo: zaczął krzyczeć, opętańczo wymachując przy tym rękami. Panna Wurtz zawtórowała mu równie donośnym okrzykiem. (I pomyśleć, że na scenie wyznawała zasadę „wyważenia i umiaru”).

Tak wyglądała pierwsza szkolna wycieczka Jacka. Podobnie jak wiele doświadczeń z czasów podstawówki, zapewne nie zasługiwałaby na wzmiankę, gdyby nie lekcja udzielona wprzód przez Emmę Oastler, wytrawną bajarkę, która mianowała się jego osobistą drużynową.

Szczęściarz z tego Jacka! Bezpieczny wśród dziewcząt, bez dwóch zdań.

9 • ZA MAŁY

Gdy Jack rozpoczął naukę w pierwszej klasie, Emma Oastler i jej świta przeszły do gimnazjum: były obecnie w klasie siódmej. Rolę opiekunek młodszych dzieci przejęły mniej przerażające szóstoklasistki, lecz Jack nie zapamiętał żadnej z nich. Czasem mijał dzień, rzadziej dwa, kiedy Jack nie widywał Emmy, która przyrzekła mu solennie, że pozostaną w kontakcie. Wendy Holston i Charlotte Barford oglądał zwykle z bezpiecznej odległości. (Wciąż nazywał Wendy w myślach Kamienną Pięścią Holston, a Charlotte z kolanami wielkości melonów na zawsze wryła mu się w pamięć jako Barford Kościste Piersi).

Panna Wong, wychowawczyni pierwszej klasy, przyszła na świat na Bahamach w czasie huraganu. Nie posiadała żadnych cech, które upodabniałyby ją do burzy tropikalnej, choć nawyk przeproszania za wszystko mógł brać początek z nawałnicy. Nigdy nie wymieniała nazwy rzeczonoego huraganu, co mogło budzić w dzieciach podejrzenia, iż nadal tli się on w czeluściach jej podświadomości. Mimo to ruchy panny Wong były niemrawe i ślamazarne, ton zaś jednostajny i wolny od jakichkolwiek emocji.

- Z przykrością informuję, dzieci, iż zasadniczą różnicą dzielącą przedszkole od klasy pierwszej jest brak leżakowania - oznajmiła pierwszego dnia.

Tę nowinę powitało naturalnie zbiorowe westchnienie ulgi oraz kilka spontanicznych wyrazów wdzięczności: tupanie rodzeństwa French, rytmiczne cmokta-nie siostr Booth oraz entuzjastyczne jęki Jimmy'ego Bacona. Wspomniana reakcja nie wzbudziła zaciekawienia „Bahamamamy”, jak nazywano za plecami pannę Wong, co dodatkowo potwierdziło jej opinię ślamazary.

Podczas mszy dla uczniów podstawówki, odprawianej raz w tygodniu zamiast codziennego apelu w auli, Maureen Yap szepnęła Jackowi do ucha:

- Nie tęsknisz trochę za Emmą Oastler i jej kołysankami-utulankami?

Jack natychmiast poczuł gułę w przełyku i nie mógł ani śpiewać, ani rozmawiać z Japą, jak dzieci ochrzciły Maureen.

- Wiem, co czujesz - ciągnęła Japa. - Ale co było najgorsze? Za czym najbardziej tęsknisz?

- Za wszystkim - wydusił wreszcie Jack.

- Wszyscy za tym tęsknimy, Jack - zapewniła go Caroline French.

- Tęsknimy za wszystkim - poprawił Gordon, jej irytujący brat bliźniak.

- Wypad, Gordon - burknęła Caroline.

- Ja tam tęsknię za pojękiwaniem - wyznał Jimmy Bacon.

Siostry Booth jak jeden mąż zakłaskały językami, zupełnie niezrażone brakiem koca.

Czy pierwszoklasiści naprawdę tęsknili za opowieściami o rozwiedzionych ojcach, którzy pomdleli od nadmiaru seksu? Czy marzyli, aby raz jeszcze zgubić się w jaskini nietoperzy Muzeum Królewskiego w Ontario? Czy brakowało im historii o samotnych matkach oraz konkubentach o wybujałej chuci i gabarytach? Czy może brakowało im po prostu Emmy Oastler? Emmy i jej przyjaciółek u progu kobiecości, choć jeszcze w szponach dzieciństwa - Wendy Kamiennej Pięści Holston oraz Charlotte Kościstych Piersi Barford.

W pierwszej klasie dołączyła do nich nowa uczennica, Lucinda Fleming. Nękała ją przypadłość określana przez pannę Wong mianem „cichego gniewu”, który znajdował ujście w samookaleczeniach. Przedstawiając klasie nową koleżankę, panna Wong mówiła o niej w osobie trzeciej, jakby Lucinda nie stała tuż obok.

- Musimy uważać na Lucinę - zakomunikowała dzieciom. Lucinda spokojnie odwzajemniła wścibskie spojrzenia. - Jeżeli zobaczycie w jej rękach ostry lub niebezpieczny przedmiot, powinniście niezwłocznie mnie o tym poinformować. Gdy będzie próbowała oddalić się samotnie w nieznanym kierunku, to również może zwiastować zagrożenie.

Wybacz, jeśli się mylę, ale czy nie tak właśnie musimy postąpić, Lucindo? - zwróciła się do milczącej uczennicy.

- Mnie tam wszystko jedno - odrzekła z pogodnym uśmiechem Lucinda. Była wysoką, chudą osobką o bladoniebieskich oczach i nawyku przygryzania kosmyka niemal białych włosów, jakby miała do czynienia z nicią dentystyczną. Wiązała je w gruby koński ogon.

Caroline French od razu chciała wiedzieć, czy ów nawyk szkodzi włosom bądź zębom Lucindy. Żucie włosów stanowiło zapewne jeden z symptomów cichego gniewu, swoiste preludium do dalszych, poważniejszych wybryków.

- Niestety nie przyznam ci racji, Caroline - odpowiedziała panna Wong. - Chyba nie zrobisz sobie krzywdy włosami ani zębami, prawda, Lucindo? - spytała.

- Nie w tej chwili - wymamrotała Lucinda. Mówiąc, nie wypuszczała z ust kosmyka.

- Moim zdaniem, to zupełnie nieszkodliwe - oznajmiła Maureen Yap. (Japa czasem sama żuła włosy).

- Taa, ale obrzydliwe - wtrąciła Heather Booth.

- Taa - potwierdziła Patsy, jej identyczna siostra.

Zdaniem Jacka, dobrze się stało, że Lucinda Fleming nie uczęszczała do przedszkola Świętej Hildy. Kto wie, jaki wpływ na jej skłonności mogłaby mieć Emma Oastler? Z przerwami na żucie włosów Lucinda opowiedziała Jackowi, jak to jej matka została zapłodniona przez kosmitę; podobno ojciec Lucindy przybył właśnie z kosmosu. Lecz choć Jack liczył sobie zaledwie sześć lat, uznał, że mama nowej koleżanki jest po prostu rozwiedziona. Opowieść o przyduszonym dziecku ani chybi doprowadziłaby Lucindę na skraj rozpacz, bez względu na zakończenie.

Jack Burns unikał tak zwanego dziedzińca, nawet wiosną, kiedy kwitły wiśnie. Okna położonych na parterze sal muzycznych wychodziły właśnie na podwórze, gdzie docierały gamy fortepianowe. Jack wyobrażał sobie czasem, że jego ojciec nadal prowadzi gdzieś tam lekcje. Na sam dźwięk instrumentu cierpła mu skóra.

Białe okrągłe żyrandole w jadalni budziły w nim skojarzenie z pustymi globusami: z ziemią pozbawioną państw, bez wytyczonych granic, a nawet różnicy między lądem a wodą. Zupełnie jak świat, w którym zniknął jego ojciec: William Burns też mógł równie dobrze pochodzić z kosmosu.

Jack poświęcił mnóstwo czasu na określenie przejawów cichego gniewu Lucindy Fleming; na próżno. Zastanawiał się, czyby rozpoznał symptomy; gdyby sam doświadczał gniewu, zapewne byłoby mu łatwiej, lecz to uczucie było mu całkowicie obce. Któż mógł się na tym znać? (Na pewno nie panna Wong, która ewidentnie straciła łączność z drzemającym w niej huraganem).

Jack nie był przyzwyczajony do tak rzadkich obecnie kontaktów z matką: wychodził, kiedy jeszcze spała, gdy zaś wracała do domu, on dawno pogrążony był we śnie. Co do gniewu, Alice mogła wyrażać go za pomocą igieł, którymi naznaczała na całe życie rzesze ludzi, głównie mężczyzn.

Pani Wicksteed, która cierpliwie, acz z roztargnieniem wiązała Jackowi krawat, konsekwentnie obstawała przy swej filozofii dwukrotnej grzeczności, nie zadając sobie trudu wyjaśnieniem, co powinien uczynić za trzecim razem. „Bądź kreatywny” jawiło mu się jako porada dość mglista i wykluczająca obecność jakiegokolwiek formy gniewu, w tym również cichego. Lottie zaś, pomimo utraty dziecka, pozostawiła całą złość na Wyspie Księcia Edwarda. Tak przynajmniej dawała Jackowi do zrozumienia.

- Pozbyłam się gniewu, Jack - odparła w odpowiedzi na pytanie o gniew w ogóle. - Najlepiej wcale mu się nie poddawać - dodała.

Jack miał ją potem zaliczyć do kategorii asekualnych kobiet bez wieku, których szczątkowa zmysłowość ujawniała się tylko w rzadkich momentach, gdy nieświadome czyjegoś spojrzenia ukradkiem przeglądały się w lustrze. Jack dostrzegał przeblyski dawnej

atrakcyjności Lottie w chwilach, kiedy ta przestawała się kontrolować, na przykład wyrwana z głębokiego snu, gdy chłopcu przyśnił się koszmar, bądź rankiem, kiedy w szlafroku podawała mu śniadanie.

Nie zadając sobie trudu rozmowy z Lucindą Fleming, co dla sześciolatka stanowiłoby rozwiązanie stanowczo zbyt proste i bezpośrednie, Jack zebrał się na odwagę i postanowił zagadnąć Emmę Oastler. (Jeśli ona nie była w tej kwestii wyrocznią, to kto?). Lecz Jack bał się Emmy, jednak jej świta sprawiała wrażenie daleko przystępniejszej. Tak więc zdecydował się najpierw uderzyć do Wendy Holton i Charlotte Barford. Zaczął od Wendy, ponieważ była mniejsza.

W szkole podstawowej obowiązywała półgodzinna przerwa na lunch. Jack zaczął Wendy pod pustymi globusami jadalnianych żyrandoli, w miejscu nader odpowiednim. Jakże doskonale (i na jak długo) zapamiętał jej nawiedzony wzrok, przygryzione wargi, płowe, rozwichrzone włosy, nie zapominając, rzecz jasna, o podrapanych kolanach, twardych niczym kamienne pięści!

- Jaki znowu gniew, Jack?

- Cichy.

- Co dokładnie chcesz wiedzieć, czubku?

- Czym... czym właściwie jest cichy gniew.

- Chyba nie masz zamiaru jeść tego podejrzanego mięsa, co? - spytała Wendy, spoglądając z obrzydzeniem na jego talerz.

- Skąd, nie wziąłbym go do ust - odparł posłusznie Jack. Widelcem oddzielił szarą papkę mięsa od beżowej brei ziemniaków.

- Chcesz zobaczyć próbkę gniewu, Jack?

- Tak... mi się wydaje - odpowiedział czujnie, nie odrywając wzroku od dziewczyny.

Wendy miała denerwujący zwyczaj strzelania kostkami dłoni za pomocą wciskania ich w swój nedorozwinięty biust.

- Spotkamy się w toalecie? - zapytała.

- W damskiej?

- Przecież nie dam się przyłapać w męskiej, patafianie.

Jack wolałby to rozważyć, ale trudno mu było zebrać myśli w obecności Wendy stojącej nad nim przy stole. Samo słowo „patafian” dostatecznie zbiło go z tropu; w szkole kształcącej w większości dziewczęta zdawało się zdecydowanie nie na miejscu.

- Wybacz, że przeszkadzam, ale czy nie będziesz nic jadła, Wendy? - zapytała panna Wong.

- Prędzej skonam - odparła Wendy.

- Ach, przykro mi to słyszeć! - zawołała panna Wong.

- Idziesz ze mną czy masz pietra? - szepnęła Jackowi do ucha Wendy. Jedno z twardych, posiniaczonych kolan musnęło jego żebra.

- Idę - odpowiedział.

Jack potrzebował zgody panny Wong na opuszczenie jadalni, nauczycielka jednak była tak przytłoczona wizją Wendy Holton, zmuszanej do jedzenia wbrew jej woli, że wcale nie oponowała.

- Panno Wong... - zaczął Jack.

- Ależ naturalnie, Jack! - zawołała. - Najmocniej przepraszam za postawienie cię w niezręcznej sytuacji. Możesz wyjść, z pewnością masz ku temu istotny powód. Na miłość boską! Nie będę cię dłużej zatrzymywać, idź!

- Zaraz wracam - wydusił chłopiec.

- Nie wątpię, Jack - odpowiedziała panna Wong. Chroniczne wyrzuty sumienia ewidentnie zagłuszyły w niej resztki huraganu.

W damskiej toalecie znajdującej się najbliżej jadalni Wendy Holton wepchnęła Jacka do jednej z kabin i postawiła go na sedesie, bezceremonialnie chwytając chłopca pod pachy i unosząc z podłogi. Ich oczy znalazły się na tej samej wysokości. Wendy przytrzymała go za biodra, żeby nie spadł.

- Chcesz poczuć gniew, wewnętrzny gniew, Jack?

- Powiedziałem: cichy gniew.

- Wielka mi różnica, piczy włos - skwitowała Wendy.

Określenie to miało zapaść Jackowi w pamięć na długie lata: piczy włos! Chłopiec nie posiadał się ze zdumienia.

- Poczuj to - powiedziała Wendy. Chwyciwszy jego dłonie, położyła je sobie na piersiach, chociaż ów termin był w jej wypadku w wysokim stopniu umowny.

- Znaczy co? - spytał Jack.

- Nie bądź durniem, Jack. Przecież wiesz, czego dotykasz.

- I to ma być gniew? - spytał chłopiec. Nie starczyło mu wyobraźni, aby nazwać te guziki „piersiami”.

- W całym siódmym roczniku tylko ja ich nie mam! - wrzasnęła Wendy, kipiąc furją. Cóż, to na pewno był gniew.

- Ach tak.

- Tylko na to cię stać? - zapytała.

- Bardzo przepraszam - odparł pośpiesznie Jack. (Panna Wong nauczyła go tylko, jak skutecznie wyrażać skruchę).

- Jesteś za mały, Jack - oświadczyła Wendy. Odwróciła się do drzwi, pozostawiając go balansującego niebezpiecznie na krawędzi sedesu. - Jak zapukam trzy razy, możesz wyjść - rzuciła. - Gniew - powtórzyła z namysłem.

- Cichy gniew - uściślił dla jasności Jack. Zrozumiał, że Charlotte Barford należy podejść w owej kwestii inaczej. Tylko jak?

Gdy Wendy trzykrotnie zastukała do drzwi, Jack opuścił łazienkę. Panna Caroline Wurtz spoglądała na niego z osłupieniem; prócz ich dwojga korytarz był pusty.

- Jacku Burns - powiedziała, jak zawsze nieskazitelnie artykułując głoski. - Jestem tobą bardzo rozczarowana.

Jack też był sobą rozczarowany i nie omieszkał o tym wspomnieć. Panna Wurtz spoglądała nań łaskawszym okiem; lubiła, gdy ktoś rozumiał i podzielał jej uczucia, co nie znaczy, że była skora łatwo odpuścić grzech.

Jack wiązał z Charlotte większe nadzieje. Ona przynajmniej miała piersi, a drzemący w niej gniew bynajmniej nie wynikał z ich braku. Pech chciał, że nim zdążył przygotować się do rozmowy, Charlotte go ubiegła.

Raz w tygodniu, po lunchu, Jack śpiewał w szkolnym chórze, który występował głównie w czasie specjalnych uroczystości, takich jak kanadyjskie Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie, Święto Pamięci Narodowej. Ich wielkanocne „Gaudeamus” nie miało sobie równych.

*Wesoły nam dzień dziś nastał,
Którego z nas każdy żądał.*

Jack za wszelką cenę unikał kontaktu wzrokowego z organistką. Liczba poznanych organistów starczała mu na całe życie; choć w Świętej Hildzie miał do czynienia z kobietą, myśl o utalentowanym ojcu nasuwała się nieodparcie.

Tego dnia, kiedy wpadł na korytarzu na Charlotte Barford, nucił akurat „Śpiewajmy Panu” lub „Ognia daj lampie mej” czy coś w tym rodzaju. Mijał właśnie toaletę, w której Wendy Holton zmusiła go, by pomacał jej nieistniejące piersi i poczuł jej gniew (miał

zapamiętać tę ubikację do śmierci), gdy naraz drzwi łazienki stały otworem i w progu ukazała się Charlotte Barford. Mokrymi rękami, przesyconymi wonią wstrętnego mydła w płynie, dziewczyna wciągnęła go do pomieszczenia.

- O co chodzi z tym gniewem, Jack? - spytała, przypierając go do umywalki jednym ze swoich wielkich, gołych kolan.

Proszę, ani się obejrzał, jak koścista pierś utkwiała centralnie w jego brzuchu!

- Co to jest cichy wewnętrzny gniew, który nie znika? - zapytał Jack.

- Nikt ci tego nie wytłumaczy, musisz poczekać, aż sam zrozumiesz - oznajmiła Charlotte, wpychając kolano nieco głębiej. - Aż odkryjesz wszystko to, co nie daje ci spokoju.

- Czyli co? - dopytywał się chłopiec.

- Wszystko, Jack - powtórzyła Charlotte. - Twój ojciec jest kompletnym utracjuszem. Wpędził w nędzę matkę i ciebie. Ludzie robią zakłady, Jack.

- Jakie zakłady?

- Ze będziesz kobieciarzem, tak jak on.

- Co to znaczy? - spytał Jack.

- Wkrótce się dowiesz, szcurzy pomiole - oznajmiła. - A tak w ogóle to możesz wybić sobie z głowy macanie - szepnęła. I przygryzając jego ucho, dodała: -Na razie.

Jack znał procedurę opuszczania łazienki. Odczekał, aż Charlotte trzykrotnie zastuka do drzwi. Nieobecność panny Wurtz bardzo go zdziwiła; w oddali dostrzegł tylko plecy Charlotte. Idąc, kołysała biodrami jak Ingrid Moe, zdążająca korytarzem hotelu „Bristol”, z tą różnicą, że krótka spódnica Charlotte nie nadawała się na norweską zimę.

Majaczyło przed nim wiele niewiadomych, poczynając od „kobieciarza”, a na „wpędzaniu w nędzę” kończąc. Nie dość że musiał głowić się nad „utraccjuszem” i „piczym włosom”, doszedł do tego jeszcze „szcurzy pomiot”.

Nie sądziłby był to wymarzony temat do porannej rozmowy z panią Wicksteed (w wałkach na głowie, z twarzą nasmarowaną olejkiem i po jednej tylko filiżance herbaty), Sottie też się raczej do tego nie nadawała. Dawne niedole, tajemnicza przypadłość oraz życie, jakie pozostawiła na Wyspie Księcia Edwarda, nie predysponowały jej do stresującej pogawędki żadnego rodzaju. Reakcję matki znał z góry. „Porozmawiamy, jak dorośniesz”, powtarzała z lubością. Niektóre tematy należały do tej samej kategorii, co pierwszy tatuaż, do którego również (zdaniem Alice) należało dorosnąć.

Cóż, Jack znał kogoś, kto był wystarczająco dorosły. Kiedy on wypłynął na szerokie wody klasy pierwszej pod opiekuńczymi skrzydłami wiecznie skruszonej panny Wong, Emma Oastler była uczennicą klasy siódmej, czyli trzynastolatką o mentalności osoby dwudziestojednoletniej. W rozmowie z nią nie obowiązywały żadne bariery. Problem polegał jedynie na tym, w jakim stopniu była akurat wkurzona. (A na pewno wścieknie się za to, że nie zwrócił się do niej w pierwszej kolejności).

Nie zrozumcie źle korytarzowych przepychanek i łazienkowych aktów terroru, czyli zachowania starszych dziewcząt po lekcjach. Święta Hilda była dobrą szkołą o dość rygorystycznych zasadach, przynajmniej pod względem akademickim. Być może dryl rodził w starszych dziewczętach potrzebę buntu i przeciwstawienia się nienagannej dykcji, w której celowała nie tylko panna Wurtz, ale i chlębna większość szlachetnego grona pedagogicznego. Dziewczęta potrzebowały własnego języka: korytarzowego żargonu i łazienkowej nowomowy. I tak w ich chaotycznej paplaninie roilo się od kolokwializmów, za które nauczyciele - nie tylko panna Wurtz - udzieliliby im surowej reprimendy.

Peewee, jamajski szofer pani Wicksteed, nie był taki drobiazgowy. On nie krytykował sposobu, w jaki Emma Oastler zwracała się do Jacka na tylnym siedzeniu lincolna. Zaczniemy od tego, że zarówno on, jak i sam Jack nie posiadali się ze zdumienia, kiedy któregoś dnia otworzyła drzwiczki i zajrzała do środka. Było zimne, deszczowe popołudnie. Emma mieszkała na Forest Hill, zwykle przebywała tę odległość na piechotę. Po szkole, będąc już w

wyższej klasie, zwykle przesiadywała w kawiarni na rogu Spadina i Lonsdale z grupą rówieśniczek. Tego dnia stało się inaczej, a powodem wcale nie był chłód ani ulewa.

- Pomogę ci odrobić zadanie domowe, Jack - oznajmiła Emma. (Chłopiec chodził do pierwszej klasy; jeszcze przez rok nie będzie narzekał na nadmiar pracy domowej, a pomoc przyda mu się dopiero za jakieś dwa lub trzy lata).

- Dokąd zabieramy panienkę? - zapytał Jacka Peewee.

- Do was - odpowiedziała za chłopca Emma. - Mamy do odwalenia pieprzony kawał roboty, co nie, Jack?

- Widać, kto tu rządzi - zauważył Peewee.

Jack nie mógł się z nim nie zgodzić. Emma klapnęła na siedzenie, przyciągając chłopca bliżej siebie.

- Dam ci cenną radę, Jack - szepnęła. - Jestem pewna, że przyjdzie dzień, gdy uznasz ją za bardzo pożyteczną.

- To znaczy? - odszepnął.

- Jeśli w lusterku wstecznym nie widzisz oczu kierowcy - zaszemrała Emma - oznacza to, że on nie widzi ciebie.

- Aha. - W tym momencie oczy Peeweeego nie znajdowały się w jego polu widzenia.

- Mamy tyle do obgadania - podjęła Emma. - Przede wszystkim wbij sobie do łepetyny, że jak czegoś nie wiesz, idziesz z tym do mnie. Wendy Holston to pokręcona mała zdzira... Nie rozmawiaj z Wendy! Charlotte Barford tylko patrzy, komu by tu obciągnąć. Idąc do Charlotte, zdajesz siebie i swój interes na jej łaskę! Pamiętaj, jak tylko wpadniesz na jakiś nowy pomysł, najpierw walisz z tym do mnie.

- Na przykład jaki? - spytał chłopiec.

- Sam zobaczysz - odpowiedziała. - Na przykład kiedy zachce ci się po raz pierwszy dotknąć dziewczyny. Jak już nie będziesz w stanie sobie z tym poradzić, masz mi zaraz o tym powiedzieć.

- Dotknąć gdzie?

- Sam zobaczysz - powtórzyła Emma.

- Aha. - Jack nie był pewien, czy ma się post factum wypowiedzieć z pociągu do jej wąsika.

- Masz ochotę mnie dotknąć, Jack? - spytała Emma. - Mów śmiało.

Nawet w pozycji siedzącej nie sięgał głową ramienia dziewczyny; chłopiec odczuł przemożne pragnienie przytulenia się do jej piersi. Lecz wąsik pociągał go w niej najbardziej. Jack wiedział, że Emma jest na tym punkcie bardzo czuła, i postanowił się opanować.

- No to mamy jasną sytuację - oświadczyła Emma. - Nie chcesz mnie dotknąć, na razie.

Jack zmartwił się na myśl, że szansa przeszła mu koło nosa. Musiał mieć markotną minę, gdyż Emma szepnęła:

- Bez obaw, Jack. To nieuniknione.

- Co takiego?

- Ze będziesz taki sam jak twój ojciec. Wszystkie na to liczymy. Odwiedzisz niejedną sypialnię, Jack.

- Jaką sypialnię? - Gdy Emma nie odpowiedziała, chłopiec zrozumiał, że wkroczył na śliski grunt. - Kto to jest kobieciarz? - spytał, sądząc, że zmienia temat.

- Ktoś, kto nigdy nie ma dość kobiet, ptysiu. Musi zaliczać jedną po drugiej, bez wytchnienia.

Mnie to nie grozi, pomyślał Jack. W morzu dziewcząt, gdzie przyszło mu funkcjonować, nie wyobrażał sobie, by można było chcieć więcej. W kaplicy Świętej Hildy, na witrażu za ołtarzem, cztery kobiety (święte, jak mniemał Jack) usługiwały Chrystusowi. Na każdym kroku napotykał tylko kobiety!

- Co to znaczy „wpędzić w nędzę”? - indagował dalej.

- Z grubsza rzecz biorąc, to, co spotkało ciebie i twoją matkę, Jack.
- Ale co to znaczy?
- Wasz byt zależy od pieniędzy pani Wicksteed, Jack. Żadna tatuazystka nie posyła dziecka do Świętej Hildy.
- Jesteśmy na miejscu, panienko - oznajmił Peewee, jakby Emma była jedyną pasażerką limuzyny. Zaparkował lincolna przy krawężniku na rogu Spadina i Lowther, gdzie czekała Lottie, z ciężarem ciała przeniesionym na jedną nogę.
- Kuternoga czeka, ptysiu - szepnęła Jackowi do ucha Emma.
- No proszę, witaj, Emmo... aleś ty urosła! - wykrztusiła Lottie.
- Nie mamy czasu na pogawędki, Lottie - oświadczyła Emma. - Jack musi nadrobić zaległości. Przyjechałam, żeby mu pomóc.
- A niech mnie - odrzekła Lottie, kuśtykając za dziećmi.
Sadząc wielkimi krokami, Emma podprowadziła Jacka do drzwi.
- Stara Wickweed pewnie ciągnie smugę - rzuciła szeptem Emma. - Sza, nie ma potrzeby jej budzić.

Jack po raz pierwszy słyszał, żeby ktoś w ten sposób przekręcał nazwisko pani Wicksteed, lecz nie śmiał oponować. Emma знаła nawet schody prowadzące z kuchni do pokoi Jacka i Alice.

Rozwiązanie zagadki jej swobodnego zachowania miało się okazać bardzo proste: nienawidząca mężczyzn rozwiedziona matka Emmy Oastler przyjaźniła się z rozwiedzioną córką pani Wicksteed: stąd ich identyczne zapatrywania na sytuację Alice. Obie również należały do grona absolwentek, ukończyły Świętą Hildę w tym samym roku. (Były niewiele starsze od Alice).

- Jeśli zachcemy herbaty lub czegoś innego - zawołała Emma do Lottie, która bez celu kuśtykała po kuchni - sami po to przyjdziemy. Nie trudź się wspinaczką na schody, Lottie. Niech twoja noga zazna wreszcie trochę spokoju!

W pokoju Jacka Emma przystąpiła do starannych oględzin jego pościeli, po czym rozczarowana byle jak narzuciła kołdrę z powrotem na łóżko.

- Posłuchaj, Jack. Któregoś ranka otworzysz oczy, a na pościeli będą plamy.
- Jakie plamy?
- Sam zobaczysz.
- Aha.

Emma przeszła przez łazienkę do pokoju Alice, pozostawiając go na roztrząsaniu kwestii tajemniczych plam.

W sypialni Alice unosiła się woń marihuany, chociaż Jack nigdy nie przyłapał tutaj matki na paleniu; aromat najprawdopodobniej pochodził z jej ubrań. Wiedział, że czasami paliła u Chińczyka, wyczuwał to po zapachu jej włosów.

Emma Oastler z aprobatą wciągnęła powietrze, łypiąc konspiracyjnie na Jacka. Następnie dokonała inspekcji matczynych ubrań. Przyłożywszy do siebie jeden ze swetrów, przejrzała się w lustrze, umieszczonym w drzwiach szafy. Potem zrobiła to samo ze spódnicą.

- Twoja mama jest hipiską, nie?

Jack nigdy tak o tym nie myślał, ale Emma w pewnym sensie miała rację. W owym czasie Alice istotnie mogła uchodzić za hipiskę, zwłaszcza w oczach uczennic w mundurkach oraz rosnących w siłę legionów ich rozwiedzionych matek. (Było to zapewne łagodne określenie, zwłaszcza jeśli dotyczyło niezamężnej matki, która na dodatek parała się sztuką tatuażu).

Jack Bums miał się później dowiedzieć, że przedziwna umiejętność, polegająca na bezbłędnym wskazaniu cudzej szuflady z bielizną, w gruncie rzeczy nie kryła w sobie nic niezwykłego. Pomimo stosunkowo młodego wieku Emma nie miała z tym żadnych problemów. Znalazła bieliznę Alice już za pierwszym podejściem. Podniosła jeden ze

staników na wysokość swego biustu; okazał się zbyt obszerny, lecz nawet Jack wiedział, iż pewnego dnia stanik będzie pasować jak ulał. Z bliżej nieokreślonych przyczyn jego członek stanął na baczność, nadal był jednakże wielkości maminego małego palca, a Alice miała drobne dłonie.

- Pokaż mi tego twardziela, ptysiu - powiedziała Emma, nie wypuszczając z rąk stanika.

- Co takiego?

- Stanął ci, Jack. Na miłość boską, pokaż go.

Jack zrozumiał. Jego matka, ta stara hipiska, mówiła na to drażdek. Bez względu na nomenklaturę Jack pokazał Emmie Oastler swój penis w sypialni własnej matki. Najgorsze było to, że Lottie kuśtykała w kuchni piętro niżej, pani Wicksteed właśnie budziła się z popołudniowej drzemki, Emma zaś nie kryła zawodu.

- Rany, Jack. Trochę ci jeszcze brakuje.

- Do czego?

- Sam zobaczysz - powtórzyła raz jeszcze Emma.

- Woda się gotuje! - krzyknęła z dołu Lottie.

- To ją wyłącz! - odwrzasnęła Emma. - Rany - powtórzyła - miej na niego oko. Daj znać, kiedy coś się uleje.

- Masz na myśli siusianie?

- Nie mam na myśli siusiania, Jack.

- Aha.

- Masz mi mówić o wszystkim - ciągnęła Emma. Następnie ujęła jego penis. Na wspomnienie tego, jak obeszła się z jego palcem wskazującym, Jacka ogarnął lekki niepokój.

- Nie mów mamie, po co ma się denerwować. I nie mów Lottie: zacznie jeszcze bardziej utykać.

- Dlaczego Lottie utyka? - zapytał Jack.

Emma była tak wszechwiedząca, iż zapewne знаła odpowiedź i na to pytanie. Niestety, okazało się, że miał rację.

- Epidural - wyjaśniła lakonicznie Emma. - Dziecko i tak zmarło. Kiepska sprawa.

Czyli źle odebrany poród mógł spowodować nieodwracalne zmiany w kończynach! Naturalnie Jack doszedł do wniosku, że epidural to intymny narząd kobiecy. Podobnie jak w jego mniemaniu cesarka dotyczyła oddziału szpitala w Halifaksie, gdzie przyszedł na świat, tak Lottie straciła epidural w czasie porodu. Zapewne była to istotna część kobiecej anatomii, mająca na celu zapobieganie takim przypadłościom jak kuśtykanie. Po latach, kiedy bezskutecznie szukał tego hasła w „Anatomii Graya”, przypomniał sobie wpadkę z cesarką. (Wieść, że jego matka nigdy nie miała cesarskiego cięcia, okazała się zresztą jeszcze większym odkryciem).

- Herbata zaparzona! - krzyknęła z kuchni Lottie.

Jack musiał dorosnąć, aby zrozumieć, że Lottie żywiła wobec Emmy słuszne obawy.

- Niech ci się przyśni o mnie mokry sen, mały - powiedziała do członka Jacka Emma. Potem delikatnie umieściła go z powrotem w spodniach i ostrożnie zapięła rozpiorek.

- Czy członki miewają sny? - zapytał Jack.

- Kiedy przydarzy się to twojemu, daj mi znać - odparła Emma.

10 • Jednoosobowe audytorium

Pan Malcolm, wychowawca Jacka w klasie drugiej i w owym czasie jeden z dwóch mężczyzn wśród kadry nauczycielskiej w Świętej Hildzie, nigdy nie rozstawał się ze swoją żoną, którą codziennie przywoził do szkoły z nader smutnych przyczyn. Pani Malcolm była niewidoma i przykuta do wózka inwalidzkiego, głos męża zaś wywierał na nią kojące działanie. Pan Malcolm był wspaniałym nauczycielem, dobrym i cierpliwym. Wszyscy za nim przepadali, lecz uczniowie drugiej klasy szczerze mu współczuli, uważając jego żonę za dopust boży. W szkole, gdzie wiele starszych dziewcząt przejawiało skłonności do autodestrukcji oraz sadystyczne ciągoty, nieraz składane na karb burzliwych rozwodów rodziców, drugoklasiści co dzień składali modły w intencji rozwodu pana Malcolma. Gdyby nauczyciel zamordował żonę, podopieczni z miejsca oczyściliby go z winy; gdyby przyszło mu do głowy uczynić to w ich obecności, zapewne gorliwie by temu przyklasnęli.

Jednakże pan Malcolm był urodzonym orędownikiem pokoju, w kwestii golenia natomiast należał do prekursorów późniejszych trendów. Kiedy zaczął łysieć, ogolił głowę (co w latach siedemdziesiątych stanowiło rzadki widok), a ponadto wolał zdecydowanie kilkudniowy zarost aniżeli brodę lub zupełny brak owłosienia na twarzy. Należy tutaj podkreślić wyrozumiałość władz szkolnych wobec ogolonej głowy i zarośniętego oblicza pana Malcolma: widać na wzór uczniów doszły one do wniosku, że należy oszczędzić nauczycielowi większej zgryzoty. Niewidoma żona na wózku inwalidzkim sprawiła, że wszyscy się nad nim litowali.

Drugoklasiści dwoili się i troili, aby nie sprawiać mu zawodu. Pan Malcolm nigdy nie musiał ich upominać, upominali bowiem sami siebie. Dokładali wszelkich starań, by zadbać o jego równowagę psychiczną. Życie wystarczająco dało mu popalić.

Tragedia pana Malcolma w wersji Emmy Oastler nosiła ślady jej osobistej wiedzy na temat ludzkiego okrucieństwa, lecz w swej ocenie losu Malcolmów dziewczyna prawdopodobnie nie była daleka od prawdy. Pani Malcolm, która miała na imię Jane, spadła z dachu na kościelnym pikniku. Ładna, łubiana dziewczyna, wówczas licealistka, została sparaliżowana od pasa w dół. Według słów Emmy, pan Malcolm należał do grona jej dawnych wielbicieli. Zakochał się w niej po wypadku, głównie z uwagi na jej zwiększoną dostępność.

- Przed wypadkiem pewnie nawet by na niego nie spojrziała - oznajmiła Emma. - Ale potem nie miała wielkiego wyboru. - Nawet jeśli pan Malcolm był jedynym kandydatem do jej ręki, Jane Malcolm nie mogła trafić lepiej.

Ślepotą wynikała z innych przyczyn; dopadła ją później, wiele lat po ślubie. Jane Malcolm cierpiała na wczesne zwyrodnienie plamki żółtej. Jak tłumaczył klasie pan Malcolm, jego żona straciła zdolność widzenia centralnego. Dostrzegała ruch i światło oraz zachowała pewną zdolność widzenia obwodowego, lecz widzenie barwne stanowiło już pewien problem.

Obłąd pani Malcolm to zupełnie inna sprawa, i pan Malcolm nie silił się w tym względzie na żadne wyjaśnienia. I podczas gdy określenia typu „obwodowy” lub „centralny” zagościły w słowniku drugoklasistów już na powitanie, a z każdym dniem przybywało ich coraz więcej, wyrazy w rodzaju „stuknięta”, „nienormalna” bądź „paranoiczka” znajdowały się na indeksie. Wszystkie trzy jak ulał pasowały do Jane, która dawno straciła zdolność racjonalnego myślenia.

Kiedy pani Malcolm zgrzytała zębami bądź znieckała przypuszczała atak wózkiem na biurko Patsy Booth, Jack często spoglądał na Lucindę Fleming w obawie, że owa demonstracja jawnego gniewu sprowokuje w niej atak gniewu cichego. Oddzielna napaść na jedną z sióstr Booth sama w sobie świadczyła o niepoczytalności. Kiedy pani Malcolm nacierała wózkiem na biurko Patsy, Heather również darła się wniebogłosy.

Zdarzało się, że pani Malcolm rzucała głową na boki, jakby chcąc pozbyć się widzenia obwodowego. Może wychodziła z założenia, iż całkowita ślepotą stanowiłaby lepsze rozwiązanie. Kiedy zaś któryś z drugoklasistów podnosił rękę w odpowiedzi na pytanie pana Malcolm, Jane przybierała pozycję typu „głowa na kolanach”, zupełnie jakby na wprost niej wyrastał bandzior z nożem, gotów poderżnąć jej gardło. Owe dramatyczne przejawy choroby psychicznej wpływały dodatnio na koncentrację i podzielność uwagi dziewczyny, która słuchając uważnie pana Malcolm, ani na chwilę nie odrywała wzroku od jego żony.

Nie częściej niż dwa razy w tygodniu, na nie dłużej niż trzy, cztery sekundy zmęczony pan Malcolm tracił wątek, skutkiem czego Jane rozpoczynała szaleńczy i najeżony kolizjami rajd po klasie. Jeździła wzdłuż rzędów, zahaczając kołami o stoliki i zdzierając sobie skórę z knykci.

Podczas gdy pan Malcolm pędził po higienistkę lub (w razie lżejszych obrażeń) apteczkę, pani Malcolm pozostawała pod czujną opieką drugoklasistów. Ktoś przytrzymał wózek od tyłu, aby ją unieruchomić, a reszta zatrwożonej klasy tworzyła wianuszek dookoła, z dala od jej wszędobylskich rąk. Uczniowie mieli za zadanie powstrzymać ją przed wydostaniem się z wózka, choć należało wątpić, czy powierzanie owej roli siedmiolatkom miało jakikolwiek sens. Na szczęście pani Malcolm nie podejmowała prób ucieczki, lecz tylko rzucała się na wózek, wykrzykując nazwiska zapamiętane podczas pierwszego tygodnia roku szkolnego.

- Maureen Yap! - wrzeszczała.

- Tutaj, proszę pani! - odwrzaskiwała Maureen, a pani Malcolm zwracała ku niej niewidzące spojrzenie.

- Jimmy Bacon! - wykrzykiwała następne nazwisko.

Jimmy wydawał z siebie przeciągły jęk. Jako że Jane mogła się poszczycić doskonałym słuchem, bezbłędnie określała kierunek, skąd pochodził dźwięk, bez względu na jego natężenie.

- Jack Burns! - krzyknęła któregoś dnia.

- Jestem tutaj, pani Malcolm - odpowiedział Jack. Już w drugiej klasie jego dykcja osiągnęła bardzo wysoki poziom.

- Twój ojciec też był wygadany - oznajmiła pani Malcolm. - Twój ojciec jest zły - dodała. - Nie pozwól, aby szatan uczynił cię podobnym do niego.

- Nie, pani Malcolm, nie pozwolę. - Mógł posiadać niezbite przekonanie co do własnej prawdomówności, lecz w zdominowanym przez kobiety świecie Świętej Hildy czuł, że porywa się z motyką na słońce. Wielki Zakład, o którym Emma Oastler mówiła z nabożeństwem rezerwowanym zwykle dla ulubionych filmów i książek, opierał się na przemożnej wierze w potencjalną przewagę genów Williama. Jeśli skłonność do kobiet była cechą dziedziczną, Jack miał ją jak w banku. W oczach wszystkich (nie wykluczając obwodowego widzenia pani Malcolm) Jack Burns był nieodrodnym synem swego ojca - bądź niebawem miał się nim stać.

- Ciekawość ludzka rzecz, Jack - mawiała filozoficznie Emma. - Chcą wiedzieć, co z ciebie wyrośnie. To bardzo podniecające.

Widać pani Malcolm przejawiała podobne zainteresowanie.

Jednakże najgorszą rzeczą było zachowanie pani Malcolm po powrocie jej męża, który stawał w drzwiach z apteczką w ręce lub higienistką u boku.

- Jestem... wróciłem, Jane! - oznajmiał niezmiennie.

- Słyszałyście, dzieci? - zaczynała pani Malcolm. - On wrócił! Znika na krótko i zawsze wraca!

- Proszę, Jane - odpowiadał pan Malcolm.

- Pan Malcolm lubi się mną zajmować - informowała klasę Szalona Jane. - Robi za mnie wszystko... wszystko to, czego nie mogę zrobić sama.

- No już dobrze, Jane - uspokajał żonę pan Malcolm, bezskutecznie usiłując schwycić jej pokaleczone ręce.

Potem następował policzek: Jane najpierw uderzała od niechcenia, a następnie z coraz większą energią.

- Pan Malcolm uwielbia mnie wyręczać! - wołała. - Karmi mnie, ubiera, myje...

- Jane, kochanie... - usiłował wpaść jej w słowo pan Malcolm.

- .. podciera! - padało na końcu, po czym następowała seria szlochów i zawodzenia.

Jimmy Bacon przyłączał się solidarnie, a siostry Booth emitowały synchroniczne cmoktanie, do którego były zdolne nawet bez koców. Tupiące rodzeństwo French również nie pozostawało w tyle. Jack zerkał ukradkiem na Lucindę Fleming, która zwykle spoglądała na niego. Jej błogi uśmiech skutecznie maskował szalejącą wewnątrz tajemniczą zawieruchę gniewu. Chcesz zobaczyć, pytał uśmiech. Pokażę ci, obiecywał, ale jeszcze nie teraz.

Od przedszkola do drugiej klasy Jack egzystował w świecie „jeszcze-nie-teraz”. Współczucie dla pana Malcolma głęboko zapadło mu w pamięć. Jednakże edukacja Jacka spoczywała w rękach nie tylko wychowawcy, ale i Emmy Oastler, która wywarła nań wpływ większy, a przynajmniej bardziej długofalowy.

Gdy padał deszcz lub śnieg, Emma wsuwała się na tylne siedzenie lincolna i udzielała szoferowi następujących poleceń:

- Pojeźdźmy sobie, Peewee. Żadnego zaglądania do tyłu. Patrz na drogę.

- Co ty na to, Jack? - pytał nieodmiennie Peewee.

- Jedź, Peewee. Dziękuję, że zapytałeś - odpowiadał chłopiec.

- Ty tu rządzisz - kwitował Peewee.

Skurczeni na tylnym siedzeniu Jack i Emma ustawicznie żuli gumę, chuchając na siebie miętowym lub owocowym oddechem, w zależności od smaku. Emma pozwalała Jackowi rozpleść swój warkocz, lecz nigdy nie mógł zapleść go z powrotem. Rozpuszczone włosy stanowiły wystarczającą zasłonę dla nich obojga.

- Jak przykleisz mi gumę do włosów, ptysiu - mawiała często - jesteś trup.

Kiedyś jednak, gdy Jack wybuchnął śmiechem, upomniała go niczym rodzona matka: - Nie śmieć się z gumą w buzi. Możesz się udławić.

Raz nastąpił krępujący moment, kiedy sprawdzali działanie stanika treningowego, jak lekceważąco określała go Emma. Zdaniem Jacka, należycie pełnił swoją funkcję. Grunt, że piersi rosły. Czegóż chcieć więcej?

A propos wzrostu, w wypadku jego penisa nie było mowy o postępach.

- Jak tam nasz maluch? - pytała zawsze Emma, a Jack sumiennie go jej demonstrował. - O czym sobie myślisz, krasnalku? - spytała kiedyś, zwracając się do członka.

Skoro penisy mogły śnić, Jack nie powinien się dziwić, że posiadały także zdolność myślenia, choć jego własny nie przejawiał w tym kierunku żadnych tendencji. Jeszcze nie teraz.

Po ukończeniu drugiej klasy Jack widywał pana Malcolma w toalecie dla chłopców, dokąd nauczyciel szedł zwykle sobie popłakać. Przeważnie jednak przyłapywał pana Malcolma na badawczych oględzinach zarostu, jakby cień kiełkującej brody lub zapowiedź wąsów były głównym (tudzież jedynym) przejawem jego próżności.

Widok pani Malcolm również należał do rzadkości. Nie częściej niż dwa razy dziennie na którejś z damskich toalet widniała tabliczka NIECZYNNE, co znaczyło, że pan Malcolm oporządza Szaloną Jane. Dziewczęta miały przykazane szanować ich prywatność.

Raz Jack usłyszał dochodzący z łazienki odgłos policzków. Natychmiast puścił się biegiem, chcąc przegonić ów odgłos, ścigało go jednak żalosne: „No już dobrze, Jane” pana Malcolma, po którym nastąpiło: „Jane, kochanie...”; na szczęście w korytarzu zapanował harmider i stłumił ścieżkę dźwiękową melodramatu. (W pobliżu przechodziła grupka szóstoklasistek; oczywiście robiły hałas, jakby było ich nie kilka, lecz kilkadziesiąt).

Podczas ostatnich dwóch lat spędzonych w Świętej Hildzie Jack wielokrotnie miał zatęsknić za panem Malcolmem, lecz nie tęsknił za widokiem jego udręki. Widok niepełnosprawnych na wózkach inwalidzkich nie budził w nim mniejszej litości niż w czasach przed poznaniem pana Malcolma, lecz teraz po prostu bardziej litował się nad opiekunami owych nieszczęśników.

W wieku lat ośmiu Jack i jego krasnal rozpoczęli trzecią klasę. I jeszcze nim ten drugi wykazał zdolność suwerennego myślenia, obaj poczęli wieść paralelne (żeby nie powiedzieć: oddzielne) życie.

„Kruczą” urodę panny Caroline Wurtz dodatkowo potęgowała jej drobna postura. Z całą pewnością nauczycielka była bardziej filigranowa niż którakolwiek z matek trzecioklasistów. Na dodatek używała perfum skłaniających uczniów do zgłaszania urojonych problemów z matematyką. Panna Wurtz nachylała się nad stolikiem delikwenta, który mógł do woli delektować się jej zapachem oraz bliskością znamienia na prawym obojczyku i małej haczykowatej blizny po tej samej stronie szyi.

Zarówno znamię, jak i blizna stawały się wyraźniejsze w chwilach wzburzenia. Jack dokładnie pamiętał bliznę widoczną w ultrafioletowym świetle jaskini nietoperzy: pulsowała niczym stroboskop. Źródło jej pochodzenia należało w wyobraźni Jacka do tej samej kategorii, co brakująca noga Mistrza Petera oraz kwestia chromej kończyny Lottie, dodatkowo zagmatwana w wyniku błędnego założenia, że epidural to istotna część anatomii kobiecej.

Dla nikogo w podstawówce nie było tajemnicą, że Charlotte Bronte jest ulubioną pisarką panny Wurtz, a „Dziwne losy Jane Eyre” to jej biblia: coroczna adaptacja powieści stanowiła zasadniczy wkład w kulturalne życie szkoły. Podobnie ambitny materiał (nie tylko nieugięty duch Jane, lecz także ślepotą i nawrócenie Rochestera) mógł wydawać się odpowiedniejszy dla starszych dziewcząt, ale panna Wurtz ogłosiła „Jane Eyre” niepodzielną własnością szkoły podstawowej, w wyniku czego w trzeciej i czwartej klasie Jackowi przypadła rola Rochestera.

Jakiż inny chłopiec mógł opanować taką kwestię? „Drzyj przed skrucha, jeśli masz pokusę zbłądzić, panno Eyre: skrucha zatruwa życie”. Jack wygłaszał ją tak, jakby rozumiał, w czym rzecz.

W trzeciej klasie, kiedy po raz pierwszy wcielił się w pana Rochestera, szósto-klasistką, która odgrywała rolę Jane, była Connie Turnbull. Emanująca z dziewczyny posępna rezygnacja czyniła ją wymarzoną kandydatką do roli sieroty. Kiedy mówiła: „Próżnością jest wierzyć, iż człeka zadowoli spokój”, widz wierzył jej na słowo. (Connie Turnbull zawsze była niespokojną duszą).

Naturalnie zdarzały się również momenty komiczne, kiedy Jack-Rochester chwycił w objęcia Connie-Jane, wykrzykując: „Nigdy nie spotkałem istoty tak kruchej, a zarazem nieugiętej!”, sięgał jej bowiem do piersi. „Mógłbym ją zgiąć wpół dwoma palcami!” - wołał ku niewymownej ucieście publiczności.

Connie Turnbull patrzyła na niego, jakby chciała powiedzieć: „Tylko spróbuj, głąbie!”. Jednakże nie wyłącznie doskonała pamięć w połączeniu z idealną dykcją czyniły Jacka tak świetnym aktorem. Panna Wurtz nauczyła go panowania nad sceną.

- Jak mam to zrobić? - zapytał.

- Wyobraź sobie, że na widowni siedzi tylko jedna osoba, Jack - odrzekła panna Wurtz. - Twoim zadaniem jest poruszyć jedno serce.

- Czyje?

- A jak myślisz? - odpowiedziała pytaniem panna Wurtz.

- Mamy?

- Jej serce możesz poruszyć zawsze, Jack.

Czyje serce mógł poruszyć stary Rochester? Czyż nie było to głównym zadaniem Jane? Lecz pannie Wurtz chodziło o coś zupełnie innego. Miała na myśli kogoś, kto chciał obserwować Jacka, sam pozostając niezauważonym; kim był ów potencjalny nieznajomy o uwadze skupionej wyłącznie na Jacku? Kto chciał być dumny z jego osiągnięć, samemu pozostając na uboczu?

Oczywiście tą osobą nie był nikt inny, jak jego ojciec. Z chwilą gdy Jack wyobraził sobie Williama, zyskał panowanie nad każdym centymetrem sceny; czerwona lampka kamery miała towarzyszyć mu do końca życia. W przyszłości się dowie, iż zadanie aktora jest wprawdzie mało skomplikowane, lecz dzieli się na dwa etapy. Kimkolwiek byłeś, najpierw rozkochiwałeś w sobie publikę, a następnie łamałeś jej serce.

Od chwili gdy Jack zaczął dostrzegać na każdej widowni przyczajoną postać ojca, mógł odegrać dowolną rolę.

- Zastanów się, Jack - naciskała panna Wurtz. - Tylko jedno serce. Czyje?

- Mojego taty?

- Doskonale! - oznajmiła, a jej znamię i blizna zapulsowały. - Sprawdźmy, czy to podziała.

Podziałało nawet w wypadku konfrontacji miniaturowego Rochester z masywną Jane vel Connie. Działało od samego początku.

Kiedy Rochester mówił: „Jane! Uważasz mnie za bezbożnika...”, widownia była gotowa jeść Jackowi z ręki. Co dziwne, Connie Tumbull także. Gdy chwyciła jego dłoń i ucałowała ją rozchylonymi ustami, Jack poczuł na skórze dotyk jej zębów i języka.

- Dobra robota, Jack - szepnęła mu do ucha. Podczas oklasków nie puszczała jego ręki.

Nienawiść Emmy Oastler była wręcz namacalna, a jej zazdrość wtargnęła na scenę niczym trąba powietrzna.

W odgrywanej przez siebie roli Jack najbardziej lubił tę jej część, kiedy Rochester traci wzrok. Niewątpliwie czerpał tu z kaskaderskich wyczynów pani Malcolm, jednakże rola ślepego posiadała dodatkowy atut. Kiedy na próbach potykał się i upadał, panna Wurtz niezmiennie śpieszyła mu na pomoc. (Jej współczucie dla wymagowanych kontuzji stanowiło oczywiście jedyny powód, dla którego Jack tracił równowagę).

Pierwsza reakcja „myślowa” jego penisa nie nastąpiła w wyniku francuskiego pocałunku Connie Tumbull, o nie. Jej powodem była panna Caroline Wurtz. Obsesja na punkcie starszych kobiet, biorąca początek ze spotkania z Ingrid Moe, miała prześladować Jacka przez całe życie.

Dłonie panny Wurtz niewiele różniły się wielkością od rąk trzecioklasistek, a gdy pocieszała dziecko (a czasem po prostu z nim rozmawiała), kładła jedną z nich na ramieniu podopiecznego, drżącą i płochliwą niczym nerwowy ptak. Zupełnie jakby dłoń cudzej cała panna Wurtz miały lada chwila poderwać się do ucieczki. I żadne z trzecioklasistów nie okazałoby zdziwienia, gdyby któregoś dnia panna Wurtz po prostu odfrunęła. Wyglądała na tak delikatną i kruchą, jakby składała się w całości z piór (i była jak one ulotna).

Utrzymanie dyscypliny wśród trzecioklasistów przerastało jej możliwości. Podopieczni panny Wurtz nie byli bardziej rozbrykani niż inne dzieci w ich wieku, chociaż Roland Simpson miał po kilku latach trafić do poprawczaka, a następnie wylądować w więzieniu. Co do Jimmiego Bacona, skłonność do jęków była tylko jedną z jego rozlicznych wad. Kiedyś przebrał się w Halloween za ducha, a pod prześcieradłem, w którym wyciął dziury na oczy, nie miał nawet bielizny. Nagłe pojawienie się Szarego Ducha (pani McQuat była wychowawczynią czwartej klasy) przstraszyło go do tego stopnia, że zwałił kupę w swój nader skąpy strój.

Panna Wurtz była jednak tak delikatna, że nie poradziłaby sobie z przedszkolakami, o własnych dzieciach nie wspominając. Czyjej siła objawiała się tylko na scenie? Alice miała na ten temat opartą na intuicji, acz dość bezlitosną teorię.

- Caroline nigdy nie przeboleła czyjejś straty. Biedactwo.

Jack Bums odebrał u panny Wurtz wiekopomną lekcję: życie to nie scena, życie to improwizacja. Panna Wurtz nie tolerowała improwizacji; w grę nie wchodziły żadne odstępstwa od wyuczonych kwestii. Wyśmienita pamięć Jacka dawała mu olbrzymią przewagę, a idea jednoosobowego audytorium była dlań darem zarówno od panny Wurtz, jak i nieobecnego ojca. Lecz Jack przykładał wagę nie tylko do wskazówek scenicznych nauczycielki, ale i jej porażek dydaktycznych, co nasunęło mu wniosek, iż sukces w życiu zależy w dużej mierze od umiejętności improwizacji. Owszem, opanowanie tekstu to konieczność. Czasem jednak trzeba umieć go wymyślić na poczekaniu. Panna Wurtz zapadła Jackowi w pamięć (i pozostała częścią jego życia) na znacznie dłużej niż którakolwiek z rówieśniczek, za sprawą tego, czego go nauczyła, jak i tego, czego sama opanować nie zdołała.

Śnił często, że całuje Caroline Wurtz, bynajmniej nie ubraną wtedy jak nauczycielka. W jego snach panna Wurtz nosiła staroświecką bieliznę, jaką oglądał w należących do Lottie katalogach sprzedaży wysyłkowej. Z przyczyn dla niego niejasnych reklamowano ją jako bieliznę dla nastolatek i kobiet niezamężnych. (Pytanie, dlaczego po ślubie wkładały inną bieliznę, miało nurtować go do końca życia).

Co do rzeczywistej garderoby panny Wurtz, nauczycielka nosiła czasem kremową, niemal przezrystą bluzkę, na którą narzucała dopasowane swetry (w sali panował chłód). Matka Jacka utrzymywała, że są to swetry kaszmirowe, co znaczyło, że prócz pensji nauczycielskiej panna Wurtz posiada dodatkowe źródło dochodów.

- Wurtz na pewno ma faceta - twierdziła Emma. - Dam głowę, że bogatego, a przynajmniej o doskonałym guście.

Jack uparcie odrzucał pomówienia, jakoby francuskie pocałunki Connie Tumbull bądź scena, kiedy Jack vel Rochester chwyta w objęcia Connie vel Jane i kryje twarz w jej piersi, doprowadzały go do erekcji. Emmie nie przyszło do głowy, iż następuje to zawsze w wyniku bliskości Caroline Wurtz, czy to na jawie, czy we śnie.

Co do samej Wurtz, jak zwięźle nazywała ją Emma, Jack nie dopuszczał istnienia narzeczonego - bogatego, obecnego czy nawet byłego - w obawie, iż ten naruszy intymność urojonych rendez-vous, podczas których panna Wurtz paradowała w gorsetach i biustonoszach z katalogu sprzedaży wysyłkowej.

O koleżankach z klasy nie fantazjował w ogóle, nawet o Lucindzie Fleming, która przez ponad dwa lata utrzymywała na wodzy swój cichy gniew. Jeśli zaś w jego snach panna Wurtz miała niezwykle wąską górną wargę bądź cień wąsika pod nosem, cóż, była to sprawka Emmy Oastler. Nie panował nad pociąganiem do owych atrybutów, szczególnie w snach. I tak coraz częściej się zdarzało, że krasnal budził się do życia samowolnie, bez najmniejszego udziału ze strony samego Jacka.

- Jakież wieści, Jack? - szeptała Emma na tylnym siedzeniu limuzyny, kiedy Peewee obwoził ich dookoła Forest Hill.

- Jeszcze nie - odpowiadał Jack. (Doszedł do słusznego wniosku, że będzie to najbezpieczniejsza odpowiedź).

Wieczorami, kiedy Lottie układała go do snu, Jack przechodził często do pokoju matki i zasypiał w jej łóżku. Za sprawą ich niedopasowanych rozkładów dnia prawie nigdy nie zastawał tam Alice. Ta wracała do domu i wpełzała do łóżka długo po tym, jak zasnął. Czasami w półśnie zarzucała na syna jedną nogę, co nieodmiennie go budziło. Z jej włosów unosił się zapach marihuany i dymu papierosowego, w oddechu zaś błąkała się kwaśna nuta białego wina. Zdarzało się, że oboje nie spali i leżeli, szepcząc w półmroku. Jack nie miał pojęcia, dlaczego szepczą, Lottie i pani Wicksteed i tak nie mogły ich usłyszeć.

- Jak się masz, Jack?

- Dobrze. A ty?

- Stajemy się sobie obcy - wyszeptała kiedyś Alice.

Jack odczuwał zawód, że matka nie widziała, jak gra, i nie omieszkął jej o tym wspomnieć.

- Och, ależ ja widziałam, jak grasz! - zaproponowała Alice.

Jack miał na myśli „Dziwne losy Jane Eyre” lub inne przedstawienia w reżyserii panny Wurtz. Caroline kochała teatr, lecz szczególną frajdę sprawiały jej adaptacje powieści. Jack miał dopiero później zrozumieć, że dzięki temu kontrolowała każdy aspekt przedstawienia. Żaden dramaturg nie wchodził jej w paradę, gdyż swe ulubione powieści mogła adaptować ściśle według własnego widzimisię. Podczas gdy dzieci miały przykazane panować nad sceną, Wurtz monitorowała ich wszystkie poczynania oraz każde wypowiedziane słowo.

Jack uświadomił sobie również poniewczasie, ile cennych fragmentów zostało najzwyczajniej w świecie pominiętych. Nauczycielka troszczyła się też o cenzurę. Przy adaptacji „Tessy d’Urberville” położyła bez mała większy nacisk na rozdział „Dziewczyna” niż na „Już nie dziewczyna”. Co gorsza, w roli Tessy obsadziła właśnie Jacka.

„Nikt nie winił Tessy, tak jak ona winiła siebie” - padało na początku przedstawienia. (Panna Wurtz, mistrzyni dykcji, była zagorzałą zwolenniczką postaci niewidocznego lektora). Jack zaś - wymarzoną kandydatem do roli „siedliska samych uczuć bez najmniejszej przymieszki doświadczenia”*.

Lecz nawet w sukni (białej, a jakże), nawet w roli dojarki, chłopiec nie tracił nic ze swego kunsztu. „W wyglądzie Tessy tańczyły się jeszcze różne okresy dzieciństwa”, informowała widownię panna Wurtz, kiedy Angel Clare nie poprosił bohaterki do tańca. Co za pajac! Jimmy Bacon, żalony jęczmyk, srający w prześcieradło, pasował do tej roli jak ulał.

-mimo bujnej kobiecej urody - intonowała złowróźnie panna Wurtz - z policzków jej wyziera dwunasty rok, w oczach iskrzy się dziewiąty, a nawet od czasu do czasu w wygięciu warg igra wesoło piąty roczek”.

Tymczasem Jack nie miał nic do roboty. Stał beczynnie na scenie, emanując beczynową niewinnością. Rola Rochester’a sprawiła mu większą satysfakcję, lecz nawet jako Tessa pokazał, na co go stać, przy czym beczynowa niewinność nie była ani jego najmniej, ani najbardziej błyskotliwym zagranem. Weźmy na przykład słowa pod adresem d’Urberville’a (świni odgrywanej przez Charlotte Barford, roztropnie wypożyczonej przez pannę Wurtz z gimnazjum): „Czyż panu nigdy nie przyszło do głowy, że to, co wszystkie kobiety mówią, niektóre naprawdę czują?”. (Charlotte Barford wyraźnie czuła się w tej roli jak ryba w wodzie).

Kiedy Jack zakopywał na cmentarzu swe martwe dziecko, z widowni doleciały szlochły starszych dziewcząt. A przecież był to zaledwie początek niedoli Tessy! Jack snuł posępny monolog nad mogiłą noworodka. „...W nędznym zakątku Pańskiej ziemi, tam, gdzie rosną pokrzywy - zaczął Jack, podczas gdy dziewczęta w osobie Tessy widziały swój możliwy los, zgodnie z zamierzeniem jeśli nie Thomasa Hardy’ego, to na pewno panny Wurtz -.. .gdzie grzebią nieochrzczone dzieci, niepoprawnych pijaków, samobójców i wszystkich tych, którzy przypuszczalnie skazani są na wieczne potępienie” - ciągnął Jack-Tessa, zmotywowany spontaniczną reakcją publiczności. (Jako przeciwniczka improwizacji, panna Wurtz nie pozwoliła mu ominąć słowa „przypuszczalnie”, choć podczas prób sprawiało mu niemałe problemy).

Kiedy Jack rzucił: „Ale wtedy nie zatańczyłaś ze mną” pod adresem pajaca Jimmiego vel Angela, serca starszych dziewcząt zmiękły na nowo. „Mam nadzieję, że nie będzie to dla nas złą wróżbą!” - dodał przy wtórze kolejnej fali szlochów, ponieważ co u Hardy’ego nie było złą wróżbą? Zgodnie z oczekiwaniami panny Wurtz, dziewczęta zrozumiały, że los Tessy jest przesądzony.

Tak brzmiało przesłanie Caroline Wurtz. Miejcie się na baczności! Każda może zająć w ciążę! Mężczyzna, który nie jest pajacem, jak Jimmy Bacon vel Angel Clare, musi być świnią, jak Charlotte Barford vel d’Urberville. Dzieje Jacka vel Tessy były tego jak najlepszym dowodem. I tak dziecięce przedstawienia panny Wurtz urosły do rangi moralitetów wystawianych na użytek uczennic najstarszych klas.

Jack był wówczas w trzeciej klasie, przesłanie „Tessy d’Urberville” było dlań zupełnie nieczytelne. Lecz nie do niego zostało skierowane. Głównymi adresatkami tego rodzaju komunikatów były u Świętej Hildy starsze dziewczęta. Jack był tylko aktorem. Panna Wurtz wiedziała, że poradzi sobie z tekstem, nawet jeśli go nie zrozumie. A w razie gdyby jakaś kompletna kretynka (z grupy docelowej) nie pojęła, w czym rzecz, wszystkie przedstawienia opowiadały o kobietach poddawanych próbie.

Kiedy Jack grał Hester Prynne w adaptacji „Szkarłatnej litery”, za nic nie mógł namówić matki, aby przyszła obejrzeć go w roli ośmioletniej cudzołożnicy z literą A na piersi.

- Nie znoszę tej opowieści - wyznała szeptem Alice w półmroku panującym w sypialni. - Jest taka niesprawiedliwa. Poproszę Caroline o zrobienie zdjęć. Obejrzę zdjęcia, Jack, ale nie chcę oglądać tego na scenie.

Panna Wurtz bystrze dostrzegła w nienaturalnie chudym, okrutnym ciele (a zwłaszcza w kamiennych piłkach kolan) Wendy Holton podobieństwo do ogarniętego obsesją i żądzą zemsty Rogera Chillingswortha. I ponownie ograbiła gimnazjum z jednej z dawnych prześladowczyń Jacka.

Rola wielebnego Dimmesdale’a przypadła niezbyt fortunnie wyżej od Jacka o głowę Lucindzie Fleming, choć panna Wurtz zapewne żywiła nadzieję, że cichy gniew uczennicy ujawni się na scenie w kulminacyjnym momencie i napędzi wszystkim stracha. Na przykład kiedy Dimmesdale krzyczy do Hester: „Niechaj Bóg nam przebaczy! Nie jesteśmy najgorszymi grzesznikami na świecie, Hester. Jest ktoś o wiele gorszy niż jeden zbrukany ksiądz!”. Gdyby Lucinda w ferworze emocji zaczęła tłuc głową w reflektory lub podjęła desperacką próbę powieszenia się na sznurze od kurtyny, panna Wurtz osiągnęłaby zamierzony cel.

Jednakże Lucinda skrzętnie skrywała swój gniew. Mogła być równie udręczona jak wielebny Dimmesdale, lecz zachowywała ów długo wyczekiwany wybuch na inną okazję. Jack hołdował przekonaniu, że czyni to specjalnie na jego użytek. Przebywanie na scenie w towarzystwie Lucindy vel Dimmesdale’a było o niebo lepsze niż pobyt za kulisami z Wendy vel Chillingsworth, która obwinała go za otrzymanie (trzeba przyznać, niewdzięcznej) roli i dawała temu wyraz, gdy panna Wurtz znikająca z pola widzenia. I tak „Szkarłatna litera” stała się dla Jacka „Drogą przez mękę”, gdyż Wendy szturchała go lub kopała w zębra, kiedy tylko mogło jej to ująć płazem.

- Boże jedyny - szepnęła w półmroku Alice. (Jeden dotyk wystarczył, by zrozumiała, że chłopiec jest cały obolały.) Zapaliwszy światło, dodała: - Co z tobą robią ci purytanie, Jack? Nosisz literę A, czy cię nią chłoscza?

Matka nie przyszła też zobaczyć, jak Jack rzuca się pod pociąg w roli Anny Kareniny. („Poproszę Caroline o więcej zdjęć, Jack”). Poczet zbłąkanych owieczek w instruktażowym repertuarze Caroline Wurtz nie miał końca. I czyż nie było genialnym posunięciem obsadzenie Emmy Oastler w roli Wrońskiego? Miała nawet stosowny wąsik!

Po szkole - w pokoju Jacka lub na tylnym siedzeniu lincolna pod czujnym wzrokiem Peeweego, łypiącego ukradkiem na jej nogi - Emma jak zwykle nadawała ich rozmowom

określony charakter. Jack nie mógł zapanować nad sceną, gdzie razem z Emmą uczestniczyli w improwizacji na temat, który wciąż stał dla niego pod wielkim znakiem zapytania.

- Bomba, Jack, mamy romans!

- Naprawdę?

- To znaczy, na scenie.

- A co robimy tutaj? - zapytał, mając na myśli tylne siedzenie lincolna, gdzie leżał przygwożdżony jedną z nóg Emmy, którą ta przerzuciła przezeń w identycznie impulsywny i półsenny sposób, w jaki zwykła to czynić jego matka. Czasem pytanie owo odnosiło się do łóżka w jego pokoju, gdzie rzekomo Emma pomagała mu w lekcjach, pouczywszy surowo Lottie, że nie należy im przeszkadzać.

- Ma duże zaległości, Lottie. Jeśli pozwoli sobie pomóc, nadrobi je z łatwością.

Jak mógł nie pozwolić? Dziewczyna zapanowała nad nim bez reszty. Wiedziała, że Jack nie może się oprzeć jej wąsikowi, i muskała go jedwabistą wargą. Naśladując pocałunek Connie Tumbull (i czyniąc to bez mała lepiej), nachylała się nad jego ręką, policzkiem lub (rozpiąwszy mu uprzednio koszulę) gołym brzuchem, gdzie zawisała na chwilę nad pępkiem.

- Czy ty go w ogóle myjesz, Jack? Jest cały uświniony.

Stanowiło to jedynie preludium: mogła być Wrońskim lub po prostu Emmą Oastler, która nigdy nie będzie postacią drugoplanową, nie w życiu Jacka. Wszystko prowadziło do „puenty”, jak mawiała panna Wurtz. „Jednoosobowe audytorium musi ją zapamiętać, Jack. Musisz dać z siebie wszystko”.

- Jak się sprawuje nasz krasnalek? Co on kombinuje, Jack? - pytała wreszcie Emma.

Był to istotny okres w ich życiu: odbywali próby do „Anny Kareniny”, nie wiedząc, że panna Wurtz kryje w zanadru „Rozważną i romantyczną”. Emma i Jack „odrabiali lekcje” na łóżku. Lottie tłukła się po kuchni. Na ostatnie pytanie Jack odpowiedział tradycyjnie: „Nic”.

- Pokaż, ptysiu.

Pokazał. W odpowiedzi usłyszał rozdzierające westchnienie, choć może ostatnio za dużo rozmyślał o Annie i pociągu. Nie chciał wciąż przysparzać Emmie rozczarowań.

- Czasami miewa sny - zaczął.

- Jakie? Kto występuje w tych snach, Jack?

- Ty - odpowiedział przezornie.

- Co robię, Jack?

- Właściwie jest tam głównie twój wąsik - przyznał.

- Ty mały zбочeńcu, szcurzy pomioście...

- A panna Wurtz ma na sobie tylko bieliznę - wypalił.

- Jestem tam razem z nią? Jezu, Jack!

- Właściwie jest tam tylko panna Wurtz, z twoim wąsikiem - wyznał Jack. - W bieliźnie.

- Czyjej? - drążyła Emma.

Przekradł się przez korytarz do sypialni Lottie i przyniósł Emmie ostatnie wydanie katalogu sprzedaży wysyłkowej.

- Ty głąbie. W życiu bym czegoś takiego nie włożyła. Ja ci dopiero pokażę bieliznę!

Jack oglądał wcześniej jej stanik „treningowy”; obecny biustonosz był tylko niewiele większy. Lecz gdy go zdjęła, jej piersi wydawały się bardziej obfite i kształtne niż dawniej, kiedy zaś zsunęła majtki i przyłożyła je do plisowanej spódniczki, koronka na gumce stanowiła nowe doświadczenie zarówno dla Jacka, jak i jego krasnala.

- Poruszył się - zauważyła Emma.

- Co się poruszyło?

- Dobrze wiesz co, Jack. - Oboje popatrzyli na małego, który jakby nieco urósł. Emma nachyliła się nad penisem. - Panna Wurtz - powiedziała. - Zamknij oczy, Jack. - Oczywiście usłuchał polecenia. - Caroline Wurtz - szepnęła Emma do penisa. - Przyniosę ci prawdziwą

bieliznę, mały. - Nawet z zamkniętymi oczami Jack wiedział, że propozycja bardzo przypadła krasnalowi do gustu.

- Chyba widzę światełko w tunelu, Jack.

- Czy mogę rozpleść ci warkocz?

- Teraz?

- Tak.

Nie odrywając wzroku od penisa pozwoliła rozpleść sobie warkocz. Włosy opadły Jackowi na biodra; czuł, że dotykają jego ud.

- To działa, ptysiu - zaraportowała Emma. - Miałaś dobry pomysł.

- Woda się gotuje! - zawołała z kuchni Lottie.

- Nie wiem, czy cię dobrze zrozumiałam - powiedziała Emma, nie zwracając na Lottie najmniejszej uwagi. - Śni ci się Wurtz z moim wąsikiem i w bieliźnie Lottie.

- Nie Lottie, tylko w bieliźnie z jej katalogu. - (Wizja panny Wurtz w bieliźnie Lottie była niezbyt kusząca).

- Jakie ma włosy? - spytała Emma.

- Chyba twoje. W każdym razie długie.

- Dobrze - odrzekła Emma. Nie widział jej twarzy, zupełnie teraz zasłoniętej włosami. - No to prawie jesteśmy w domu.

- W domu?

- Najwyraźniej masz obsesję na punkcie włosów, ptysiu. I starszych kobiet, co bardzo typowe.

- Aha. - (Pociąg do starszych kobiet w połączeniu z fascynacją warkoczami i owłosieniem nad górną wargą wcale nie wydawał mu się typowy).

- Mój Boże, co ja widzę! - zawołała Emma, odgarniając włosy.

Jack w życiu nie miał takiej erekcji. Mało brakowało, a jego penis rzuciłby cię na pępek wraz z jego niesmaczną zawartością.

- Jezu, Jack. I co z tym zrobisz?

- A muszę coś z tym robić? - zapytał zbity z tropu.

Emma przytuliła go do nagich piersi; powiększony penis musnął szorstką tkaninę spódnicy. Jack przesunął się nieco w objęciach dziewczyny, dzięki czemu penis spoczął na jej odkrytym udzie.

- Och, Jack - powiedziała Emma. - To takie słodkie. Nie, oczywiście, że nie musisz! Któregoś dnia zrozumiesz, co chcesz z tym zrobić! Ale jeszcze nie teraz.

Dotknął jej piersi; w odpowiedzi Emma przycisnęła jego głowę. Kolejne posunięcie nastąpiło wyłącznie z inicjatywy krasnala. Emma i Jack siedzieli na łóżku, oparci biodrami i przytuleni, lecz penis Jacka pozostawał w ciągłym kontakcie z udem dziewczyny. Skoro on czuł jej udo, ona musiała czuć jego penis. Jack miał osiem lat, Emma piętnaście. Przerzuciwszy nogę przez drugie biodro dziewczyny, Jack zawisł tuż nad nią, dotykając członkiem obu ud.

- Masz pojęcie, co robisz, Jack? - spytała Emma. (Oczywiście, że nie miał). Żuła miętową gumę, Jack czuł jej oddech na czubku głowy. - Może krasnal wie - odpowiedziała sama sobie. Jack nie mógł objąć jej w biodrach, leżał tylko, dotykając prawą ręką koronkowej gumki od majtek, rozłożonych na spódnicy. - Pokaż mi, co on wie, ptysiu. - Droczyła się z nim; „ptysiu” było określeniem czułym, acz w jej wydaniu podszytym lekką ironią.

- Nie wiem, co on wie - przyznał Jack dokładnie w chwili, kiedy obaj (on i krasnal) dokonali zdumiewającego odkrycia. Pomiędzy udami Emmy rosły włosy!

W momencie gdy czubek penisa dotknął owłosionego wzgórek, Jack odniósł wrażenie, że Emma chce go zabić. Oplówszy chłopca nogami w pasie, przewróciła go na plecy. Krasnal zaplątał się w szorstką spódnicę. Emma nie bez trudu odszukała go ręką (Jack zląkł się, że go urwie, ale nie urwała). Mimo to obchodziła się z nim dość gwałtownie.

- Co to było? - zapytał. Bardziej przeraził się włosów niż tego, co Emma wyprawiała z jego penisem.

- Nie pokażę ci, skarbie. To byłoby molestowanie nieletniego.

- Słucham?

- Wystraszyłyś się - odrzekła.

Chłopiec wierzył jej na słowo. Nie miał zamiaru oglądać owłosionego miejsca. Jack (czy może raczej krasnal) czuł nieodpartą chęć, aby się tam znaleźć. (Szczерze powiedziawszy, drżał przed tym, co mógłby zobaczyć).

- Nie chcę - uprzedził pośpiesznie.

Emma rozluźniła ucisk splecionych nóg i nieco delikatniej ujęła małego.

- Mówiłam, że masz obsesję na punkcie włosów - przypomniała.

- Herbata będzie za mocna! - wrzasnęła z kuchni Lottie.

- To ją odcedź, do cholery! - odkrzyknęła Emma.

- Stygnie! - nie rezygnowała Lottie.

Wkładając majtki, Emma odwróciła się tyłem do Jacka, przy zapinaniu stanika natomiast i bluzki stała zwrócona twarzą do niego. Było oczywiste, że krasnal wkradł się w sekretne miejsce, ale po kiego licha rosły tam włosy?

- Jak wam idzie? - zawołała Lottie. Balansowała na skraju hysterii; widać na nowo przeżywała szczegóły afery z epiduralem.

- Jakie ona ma życie? - spytała Emma, bez reszty koncentrując się na penisie, który dosłownie kurczył się w oczach. - Obserwuj go, Jack. To twój mały osobisty cud. Albo raczej nie taki mały - dodała. - Jak słodko! Patrz! Zupełnie jakby odpływał w dal!

- Może jest smutny - podsunął chłopiec.

- Zapamiętaj tę kwestię, Jack. Kiedyś zrobisz z niej użytek.

Chłopiec nie miał pojęcia, w jakich okolicznościach smutek penisa mógłby mu się przydać. Panna Wurtz знаła się na kwestiach. Jack czuł jednak, że ta nie przypadłaby jej do gustu: nosiła znamiona przesadnej improwizacji.

Po tygodniu Emma przyniosła mu jeden z biustonoszy swojej rozwiedzionej matki, czarny. Jack doszedł do wniosku, iż przypomina 011 raczej półbiustonosz, z twardymi drutami, podtrzymującymi miseczki wprawdzie małe, lecz o nader agresywnym wyglądzie. Emma wyjaśniła, że to push-up. (Jack nie mógł sobie wyobrazić bardziej nieubłaganego stanika).

- Po co ktoś miałby wypychać sobie piersi? - spytał.

- Matka ma małe cycki - wyjaśniła Emma. - Próbuje je jakoś powiększyć.

Stanik był wszelako interesujący z jeszcze innego powodu: pachniał intensywnie perfumami i nieco słabiej potem. Emma świsnęła go z kosza z brudną bielizną.

- Ale tak jest lepiej, prawda? - powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo czujesz jej zapach!

- Przecież nie znam twojej mamy. Po co miałbym ją wąchać?

- Spróbuj, ptysiu. Trudno przewidzieć, co przypadnie krasnalowi do gustu. - Miała świętą rację! (Niestety minie wiele lat, zanim Jack ustali to z całkowitą pewnością).

Upłynie również jakiś czas, zanim ktoś mu uzmysłowi, że salon Chińczyka na północno-zachodnim rogu Dundas i Jarvis nigdy nie jest otwarty do późna. Pracownię tatuażu, do której wchodziło się z chodnika przy Dundas, zamykano zwykle późnym popołudniem. Jack zapomniał, kto mu o tym powiedział. Może był to jakiś stary nałogowiec, kolekcjoner w jednym z salonów na Queen Street, w okresie, kiedy jego mama otworzyła tam własny interes.

W latach siedemdziesiątych na Queen Street nie tolerowano ludzi pokroju Alice: bywali tam Meksykanie oraz wrogo nastawieni do hipisów, odziani w białe koszulki amatorzy

whisky. Zapewne Jack usłyszał to od jednego z nich, lecz informacja nosiła wszelkie znamiona prawdy. Chińczyk zamykał podwoje swego bezimiennego salonu wczesnym wieczorem, robiąc wyjątek w piątki i soboty, choć i wówczas nie czynił tego później niż o dziewiątej.

Gdzie wobec tego przepadała niemal każdego wieczoru, kiedy Jack uczęszczał do Świętej Hildy? Nie miał zielonego pojęcia. Z perspektywy czasu, na której nigdy nie można stuprocentowo polegać, dochodził do wniosku, że Alice próbowała w ten sposób złamać władcze zapędy wobec syna. W miarę upływu czasu Jack coraz bardziej upodabniał się do ojca; może im bardziej go przypominał, tym usilniej Alice próbowała się od niego zdystansować.

Niewykluczone, że po części przyczyniła się do tego Emma Oastler, przynosząc mu stanik swojej matki. To, że Alice go znajdzie, było jedynie kwestią czasu. Jack spał z głupim stanikiem każdej nocy, ba, zabierał go nawet do matczynego łóżka. Była to jedna z tych nocy, kiedy mama przerzucała przez niego nogę, wyrывая go ze snu. Kiedyś ją też coś wyrwało ze snu. Tajemniczy biustonosz spoczywał pomiędzy nimi; Alice musiała się nadziać na jeden z fiszbinów. Usiadła na łóżku i zapaliła światło.

- Co to ma być, Jack? - spytała, unosząc śmierzący stanik.

Jack nigdy nie zapomni jej wzroku. Zupełnie jakby odkryła w łóżku matkę Emmy, jakby przyłapała Jacka in flagranti, z krasnałem myszkującym we włochatym wzgórku.

- Stanik - odparł.

- Widzę. Chodzi o to, do kogo należy. - Alice powąchała biustonosz i skrzywiła się odruchowo. Odsunawszy kołdrę, popatrzyła na krasnała, wyzierającego z otworu w pizamie w pozycji na baczność. - Gadaj, Jack.

- Do mamy Emmy Oastler. Emma wyniosła go po kryjomu i mi dała. Nie wiem dlaczego.

- Ja wiem - burknęła Alice.

Jack zaczął płakać. Gniew matki zmalął nieco, podobnie jak krasnał.

- Przestań się mazać. Powiedziałam: przestań - rozkazała Alice.

Chłopiec musiał wytrzeć nos. Matka podała mu stanik, ale Jack się zawahał.

- Dmuchaj! - poleciła. - I tak go najpierw wypiorę.

- Aha.

- Opowiadaj, Jack. Ze szczegółami. O co chodzi w tej zabawie z Emmą? Słucham.

Opowiedział jej wszystko - no, może niezupełnie wszystko. Mógł pominąć fragment o obnażeniu piersi, zredukować ilość okazji, kiedy Emma oglądała jego przyrodzenie, a już na pewno nie wspomniął o odkryciu włochatego wzgórka. Jednakże jego matka zyskała jasny obraz sytuacji.

- Ona ma piętnaście lat, Jack, a ty osiem. Muszę zamienić słówko z panią Oastler.

- Czy Emma będzie miała kłopoty?

- Spodziewam się - odrzekła Alice.

- A ja?- spytał Jack.

Ależ na niego spojrzała! Jack wreszcie zrozumiał, co miała na myśli, mówiąc, że stają się sobie obcy. Alice patrzyła na syna, jakby go widziała pierwszy raz w życiu.

- Już niedługo - obiecała.

11 • Dziedzictwo

W porównaniu z dramatem, który rozgrywał się pomiędzy Jackiem a Emmą, oraz tym, co czekało Alice i panią Oastler, pedagogiczna nieudolność panny Wurtz była problemem rangi pośledniej. Jednakże tutaj również była mowa o dramacie, bez względu na jego improwizacyjną naturę.

Lucinda Fleming, będąca dla Jacka źródłem nieustających dociekań, siedziała w ławce tuż przed nim. Nagminnie i celowo smagała go po twarzy kucykiem, który zwisał jej do połowy pleców, gruby jak miotła. W przyływie irytacji Jack łąpał go obiema rękami i ciągnął. Przygwożdżenie głowy Lucindy do ławki kosztowało go mnóstwo wysiłku. Odkrył, że jedynym, acz bolesnym sposobem na unieruchomienie koleżanki jest przyciśnięcie brody do jej czoła. Lucindzie nic nie sprawiało bólu, prócz rzekomo jej samej, w co Jack zaczynał szczerze wątpić. Może Lucinda brała odwet za konieczność wystąpienia w roli Dimmesdale'a albo nie mogła się pogodzić z faktem, że jest o głowę wyższa od Jacka. A może tylko wychodziła z założenia, iż ów rodzaj „chłosty” pomoże koleźce dorosnąć.

Caroline Wurtz nigdy nie przyłapała Lucindy na smaganiu Jacka wiechciem końskiego ogona. Kierowała wzrok w ich stronę, dopiero gdy chłopiec przyciskał do blatu głowę Lucindy.

- Błagam, Jack - mówiła. - Nie sprawiaj mi zawodu.

W jego snach wypowiadała te słowa uwodzicielskim tonem. W klasie brzmiały zupełnie inaczej. Na jawie sprawianie zawodu pannie Wurtz nie było dobrym pomysłem ze względu na jej nader niską odporność psychiczną. Mimo to trzecioklasiści często robili jej na przekór. Nie znosili doskonale zorganizowanego tyrana, jakim stawała się na scenie; podczas lekcji odbijali to sobie w dwójnasób, rozmyślnie wykorzystując słabość nauczycielki.

Gordon French wpuścił kiedyś chomika we włosy swej znieawidzonej siostry bliźniaczki. Sądząc na podstawie reakcji Caroline, zwierzak był wściekły i pogryzł ją dotkliwie. Ale głupi chomik ganiał jej tylko po głowie jak oszalały. Panna Wurtz, zapewne zdjeta lękiem, że coś mu się stanie, wybuchnęła płaczem. Płacz stanowił ostatni etap jej rozczarowania i uciekała się doń z męczącą częstotliwością.

- Ach, nikt nie sprawił mi nigdy takiego zawodu! - łkała. - Jak można tak ranić!

Lecz gdy panna Wurtz zaczynała płakać, dzieci momentalnie przestawały zwracać uwagę na jej słowa. Koncentrowały się na tym, co nieuniknione. Nagłe wejścia Szarego Ducha, chociaż łatwe do przewidzenia, zawsze przyprawiwały świadków o wstrząs.

Do sali prowadziły tylko jedne drzwi, a wbrew swym nadnaturalnym zdolnościom pani McQuat nie umiała przenikać przez ściany, lecz choć ruch klamki nie pozostawiał wątpliwości, dzieci zawsze dostawały gęsiej skórki. Czasem drzwi otwierały się z hukiem, lecz nikogo za nimi nie było. Z korytarza dobiegał świszający oddech Szarego Ducha, na co Jimmy Bacon zaczynał jęczeć, a dwie pary bliźniąt emitowały charakterystyczne sygnały ostrzegawcze. Przy innych okazjach człowiek odnosił wrażenie, że pani McQuat wpadała do klasy, zanim klamka zdążyła choćby drgnąć. Tylko Roland Simpson, przyszły kryminalista, celowo przymykał oczy. (Roland uwielbiał być zaskakiwany).

Według pani Wicksteed, Szary Duch stracił płuco w czasie wojny. Pytanie, jakiej wojny i które płuco, pozostawało dla Jacka zagadką. Pani McQuat była sanitariuszką i padła ofiarą ataku gazowego. Stąd jej chrapliwy oddech, Szaremu Duchowi zawsze bowiem brakowało tchu. Jack nie wiedział również, gdzie nastąpił ów atak i na czym właściwie polegał.

Trzecioklasiści z góry znali kwestie pani McQuat, która niezmiennie zwracała się do klasy niczym postać z adaptacji pióra Caroline Wurtz.

- Które z was... doprowadziło do płaczu... pannę Wurtz? - pytała zimnym jak lód, zdyszczanym głosem.

Dzieci bez wahania wskazywały winowajcę. Wobec równie straszliwego pytania zdradziłyby każdego. W tym momencie nie obowiązywała lojalność ani względy przyjaźni. W głębi serca wierzyły bowiem, w co następuje: skoro pani McQuat została zagazowana i straciła płuco, czyż nie jest prawdopodobne, że umarła? Któż mógł stwierdzić z całą pewnością, że nie jest prawdziwym duchem? Jej skóra, włosy, ubranie: szare na szarym w otoczeniu szarości. I dlaczego ma takie lodowate ręce? Dlaczego nikt nigdy nie widział, jak przychodzi do szkoły lub z niej wychodzi? I dlaczego pojawia się tak nagle?

Jack miał na długo zapamiętać pytanie skierowane do Gordona Frencha:

- Co... wpuściłeś siostrze... we włosy?

- Chomika - odpowiedział Gordon. - Bardzo miłego!

- Myślałam, że to mały pies - poskarżyła się Caroline.

Gordon znał procedurę. Stał jak żołnierz w przejściu obok biurka, unieruchomiony słusznym przecuciem tego, co go czeka.

- Mam nadzieję... że nie zrobiłaś chomikowi krzywdy... Caroline - powiedziała pani McQuat, ofiarowując Gordonowi chwilę na złapanie tchu.

- Chomik we włosach to nic przyjemnego - rzuciła obronnym tonem Caroline.

- Gdzie on jest? - krzyknęła nagle panna Wurtz. (Fakt, że nosiła takie samo imię jak bliźniaczka French, dodatkowo komplikował sytuację).

- Proszę... znajdź chomika... Caroline - poleciła Szary Duch.

Zanim jednak Caroline French zdążyła zareagować, panna Wurtz rzuciła się na czworaki i wczołgała pod ławkę Caroline.

- Nie ty... moja droga - rzekła z dezaprobatą pani McQuat.

Wszyscy uczniowie przyłączyli się do poszukiwań.

- Jak on się nazywa, Gordon? - spytała Maureen Yap.

Szary Duch nie miała zamiaru tak łatwo odpuścić.

- Pójdiesz ze mną... Gordon - oznajmiła. - Proś Boga, żeby chomik się znalazł. .. inaczej z całą pewnością zdechnie.

Dzieci patrzyły, jak Gordon opuszcza klasę w asyście Szarego Ducha. Wszyscy wiedzieli, że pani McQuat zabiera go do kaplicy, często opustoszałej. Lecz nawet jeśli akurat odbywała się w niej próba chóru, nauczycielka prowadziła tam winowajcę i go pozostawiała. Dziecko musiało klękać na kamiennej podłodze w nawie centralnej obok jednej z ławek środkowego rzędu, tyłem do ołtarza.

- Odwróciłeś się... plecami... do Boga - komunikowała Szary Duch. - Módl się... żeby tego nie widział.

Z relacji Gordona wynikało, że to paskudne uczucie klęczeć plecami do Boga w nadziei, że On nie patrzy. Po kilku minutach Gordon gotów był dać głowę, że ktoś za nim stoi, gdzieś w okolicach ołtarza lub kazalnicy. Być może jedna z czterech kobiet, doglądających Chrystusa (świętych, które obecnie same były duchami), zstąpiła z witraża i wysuwała ku chłopcu lodowatą dłoń.

Podobne incydenty zdarzały się tak często, że trzecioklasiści nawet nie pamiętali, kto trafił za karę do kaplicy i klęczał plecami do Boga. Pani McQuat nigdy nie przyprowadzała delikwenta z powrotem. (Roland Simpson niemal zadomowił się przed ołtarzem). Mijał czas, aż wreszcie ktoś - zwykle Japa - pytał:

- Panno Wurtz, czy nie powinniśmy zajrzeć do Gordona?

- Na niebiosa! - wołała panna Wurtz. - Jak mogłam zapomnieć! - I jedno z uczniów biegło skrócić Gordonowi (lub Rolandowi) ewidentną mękę samotnego klęczenia tyłem do Boga. Były to zaiste tortury: człowiek miał poczucie, że sam się prosi o kłopoty.

Jednakże trzecioklasiści zostali odpowiednio przygotowani do klasy czwartej, gdzie wychowawczynią była naturalnie pani McQuat. Jedynymi czwartoklasistami, którzy kiedykolwiek musieli odbyć karę w kaplicy, byli nowi uczniowie: oni nie zaznali

przyjemności oglądania kryzysów emocjonalnych panny Wurtz. Szary Duch nie miała najmniejszych problemów z utrzymaniem dyscypliny w swojej klasie, za to nieustannie wzywano ją na odsiecz pannie Wurtz, która bez reszty polegała na widmowych predyspozycjach koleżanki.

Trzecioklasiści zaś z uporem pakowali się w kłopoty i łądownali w kaplicy, gdyż - pomimo strachu przed Szarym Duchem - widok załamanej panny Wurtz był wręcz zniewalający. Dzieci uwielbiały jej płacz i szczerze ją zań nienawidziły, ponieważ mimo swego młodego wieku doskonale rozumiały, że to właśnie słabość nauczycielki ściąga na nie gniew pani McQuat. (W snach Jacka panna Wurtz nierzadko ukazywała się w staniku pani Oastler. Pod tym względem interwencja Alice nie na wiele się zdała).

Szczęśliwie nie śnił nigdy o Szarym Duchu, co w jego dziecięcej świadomości stanowiło dodatkowe potwierdzenie faktu, że pani McQuat nie żyje. Ona jednak egzystowała w najlepsze w sali trzecioklasistów, gdzie jej nagle wejścia stały się równie częstym zjawiskiem, jak wybuchy płaczu panny Wurtz. A zatem kiedy Jim-my Bacon obnażył się przed Maureen Yap (demonstrując brak bielizny pod kostiumem na Halloween), panna Wurtz kolejny raz odegrała symfonię zranionych uczuć. (Gorzko dała do zrozumienia, że nigdy nie doznała równie głębokiego zawodu). A gdy Szary Duch pozostawiła Jimmy'ego w kaplicy tyłem do ołtarza, nieszczęśnik narobił w prześcieradło jak przerażony duch, za którego się przebrał. Jeśli niespodziewane wejście pani McQuat przyprawiło go o biegunkę, dojmujące przeświadczenie o zniknięciu Jezusa z witraża dokończyło dzieła.

- Kiepski kostium, Jimmy - podsumowała obsrane prześcieradło panna Wurtz.

Bez względu na rozliczne prowokacje Lucindy Fleming i fakt ciągłego przygważdżania jej głowy do biurka rozgrywki pomiędzy nią a Jackiem nigdy nie doprowadziły panny Wurtz do płaczu. Oboje zawsze wiedzieli, kiedy przestać. Byli pewnie na tyle niemądrzy, aby wierzyć, że dzięki temu unikną interwencji Szarego Ducha.

Lucinda trafiła do kaplicy z innego powodu: podczas gdy Roland Simpson klęczał tyłem do ołtarza, ona wymazała odpowiedzi na jego teście matematycznym. (Pozostałe dzieci uznały, że niepotrzebnie zadała sobie trud: wedle wszelkiego prawdopodobieństwa rozwiązania i tak były błędne).

Jack doświadczył tego tylko raz, lecz zapamiętał ów incydent na zawsze. Doprowadził pannę Wurtz do łez, nie ciągnąc Lucindy Fleming za warkocz i przyciskając jej głowę do biurka, ale ją całując. Oczywiście wyobrażał sobie, że całuje pannę Wurtz, w rzeczywistości jednak pocałował w kark koleżankę z klasy.

Tylko jedna osoba mogła sprowokować go do równie plugawego czynu: Emma Oastler. Była wściekła na Jacka za „kablowanie”, chociaż zwrot matczyne go stanika nie przyniósł jej szczególnie dotkliwych konsekwencji. Wobec wzmianki o rzekomym „molestowaniu” Jacka pani Oastler pozostała niewzruszona jak gład. Jej zdaniem, molestowanie mężczyzny lub chłopca przez kobietę albo dziewczynę zupełnie nie wchodziło w grę: cokolwiek wyprawiała z Jackiem Emma, najpewniej czyniła to za jego przyzwoleniem. Emma została jednak ukarana, chociaż niezbyt dotkliwie. Jak zakomunikowała Jackowi, dostała „szlaban”: przez miesiąc miała wracać ze szkoły prosto do domu.

- Koniec z figlami w lincolnie, ptysiu. I żadnego rozpinania rozporoka.

- Tylko przez miesiąc - przypomniał jej Jack.

- W trzeciej klasie chyba nie ma nikogo, kto by cię podniecał, co? - wszczęła śledztwo Emma. - To znaczy, oprócz Wurtz.

Jack nieroztropnie poskarżył się na Lucindę Fleming, która torturowała go kucykiem, za co niesprawiedliwie musiał obrywać. Zważywszy na jej obecne samopoczucie, Emma musiała w duchu zatrzeć ręce.

- Lucinda chce, żebyś ją pocałował, Jack.

- Naprawdę?

- Jeszcze o tym nie wie, ale na pewno chce.
- Jest ode mnie wyższa - zauważył.
- Pocałuj ją, Jack. Zrobisz z niej swoją niewolnicę.
- Nie potrzebuję niewolnicy!

- Jeszcze o tym nie wiesz, ale potrzebujesz - oznajmiła Emma. - Wyobraź sobie, że całujesz Wurtz.

Odkrycie martwego chomika Gordona w pudełku z kredą powinno posłużyć Jackowi za przestrożę. Kto tu mówił o złych wróżbach! Lecz on zlekceważył ostrzeżenie. Wprawdzie długo nie mógł się odważyć na ten zuchwały czyn, lecz zarazem nie mógł przestać o nim myśleć. Siedział za Lucindą, obserwując, jak wywija kucykiem i... dość rzec, że kark dziewczyny często przykuwał jego uwagę. Któregoś dnia, kiedy panna Wurtz wypisywała słówka na tablicy, Jack stanął na palcach, nachylił się nad stołem i uniósłszy koński ogon, pocałował Lucindę Fleming w kark.

Krasnal nie zareagował, kolejna zła wróżba, tym razem odnotowana przez Jacka. Co za bzdura ostrzegać dzieci przed tak zwanym cichym gniewem Lucindy. Nie było w nim nic cichego! Lucinda, która nigdy nawet nie pisnęła, kiedy Jack ciągnął ją za włosy, teraz zareagowała tak, jakby ugryzł ją ogarnięty żądzą zemsty martwy chomik Gordona. (Nawet w najśmielszych snach Jacka panna Wurtz, zaplątana w różnego rodzaju uprząż i staniki, nie reagowała na jego pocałunki choćby w połowie tak energicznie).

Lucinda Fleming wrzeszczała tak, że jej twarz nabiegła purpurą. Rzuciwszy się na podłogę obok ławki, wierzgała nogami, wymachiwała rękami i rzucała głową (oraz kucykiem), jakby atakowało ją stado szczurów. Wyzwanie przerosło ograniczoną odporność panny Wurtz, która zapewne uznała, że Lucinda znajduje się o krok od próby samobójczej.

- Ach, Lucindo, kto sprawił ci taki zawód? - Powiedziała to lub coś równie idiotycznego, celowała bowiem w piramidalnie niestosownych wypowiedziach. Być może dzieci psociły z czystej ciekawości, co powie.

Za sprawą licznych adaptacji swych ukochanych powieści panna Wurtz miała ucho do dobrych kwestii, z których wielu używała w swoich didaskaliach. Prezentując Jacka vel Elinor w „Rozważnej i romantycznej”, dokonała nadzwyczaj celnej charakterystyki. (Jack grał rozsądną siostrę). Komentarz brzmiał: „Miała wielkie serce i czułe usposobienie, przy czym doskonale kontrolowała emocje: była to zdolność, której nie posiadała jeszcze jej matka i której jedna z sióstr nigdy osiąść nie zdoła”.

Niestety, w czwartej klasie panna Wurtz obsadziła Jacka w roli nieposkromionej Marianne, której nie znośił. Wolał zagrać wścibską matkę, panią Dashwood, jednakże panna Wurtz (która najwyraźniej zapomniała, że wyznaczyła Jacka do roli ślepego Rochesterera, już nie-dziewczyny Tessy, Hester z literą A na piersi oraz niefortunnej podróżniczki Anny) uznała, iż jego młody wygląd nie kwalifikuje go do roli matki trzech córek.

I chociaż w wyniku nieprzewidzianych wydarzeń panna Wurtz traciła głowę, nawet w obliczu całkowicie niepojętej sytuacji zawsze przemawiała gładko, a jej dykcja nie pozostawiała nic do życzenia. Dzieci nie wiedziały, co o tym myśleć.

Kiedy zatem Lucinda Fleming zeszywniała, jakby kij połknęła, i zaczęła tłuc głową w podłogę, panna Wurtz zwróciła się do klasy następującymi słowy:

- Które z was, bezmyślne dzieci, sprawiło Lucindzie tyle smutku i cierpienia?
- Słucham? - powiedziała Maureen Yap.
- Lucinda sika! - zauważyła przytomnie Caroline French.

Rzeczywiście, Lucinda leżała w powiększającej się kałuży, a na jej spódnicy widniała rozległa plama wilgoci. Rodzeństwo French, wiedzione próżną chęcią dostosowania się do rytmu tłukącej głowy, zabębniło piętami o podłogę, co nasuwało skojarzenie z sekcją rytmiczną początkującego zespołu. Zamiast oczekiwanego cmoktania siostry Booth wyemitowały zsynchronizowane rżenie. Brzmiało to, jak gdyby ktoś dusił je

kocem, co w połączeniu z metodycznym stukotem głowy Lucindy Fleming leżącej w kałuży moczu wydawało się bardziej adekwatne do sytuacji niż jakakolwiek wypowiedź panny Wurtz.

- Lucinda przeżywa trudne chwile, dzieci - poinformowała bezcelowo nauczycielka. - Jak możemy poprawić jej samopoczucie?

Jimmy Bacon oczywiście jęknął.

Jack chciał pomóc, ale jak miał to zrobić?

- Ja ją tylko pocałowałem - próbował wytłumaczyć.

- Co zrobiłeś? - spytała panna Wurtz.

- W kark.

Jack ujrzał, jak Lucinda Fleming przewraca oczyma; wyglądało to tak, jakby wstępowała w inny wymiar. Wydała przy tym rżenie, pewnie chcąc dodać otuchy siostrze Booth, od dawna pozbawionym przedszkolnych kocyków. Nawet Roland Simpson, którego przeznaczeniem był poprawczak i więzienie, skulił się trwożliwie na krześle, (chwilowo) niezdolny do dalszych wygłupów. Gdyby zaś Jimmy Bacon miał na sobie prześcieradło... cóż, z góry wiadomo, co by się stało.

Caroline French wyglądała, jakby obskoczyło ją stado chomików. Klasowe głupki, Grant Porter, James Turner i Gordon French (a właściwie wszyscy chłopcy w klasie, łącznie z Rolandem i Jimmym), popatrzyli na Jacka z obrzydzeniem. Pocałował Lucindę Fleming, która ewidentnie miała nie po kolei w głowie. (To ci dopiero sromota!). Japa wybuchnęła płaczem (zapewne zdjęta lękiem, że nikt nigdy jej nie pocałuje), lecz i tak było jej daleko do reakcji panny Wurtz.

Czy Lucinda Fleming połknęła język? Czy stąd wynikało jej rżenie?

- Ona krwawi! - wykrzyknęła Caroline French.

Istotnie, na ustach Lucindy pojawiła się krew. Ale jej język nie ucierpiał: przygryzła sobie dolną wargę.

- Ona się zjada! - wrzasnęła Maureen Yap.

- Ach, Jack, jestem bezgranicznie rozczarowana - załkała panna Wurtz. Podniosła lament, jakby Lucinda co najmniej zaszła w ciążę.

Nad Jackiem zawisła groźba kaplicy. Oto do czego prowadzi całowanie: mocz, krew, imponująca pantomima - wstęp do rigor mortis. I pomyśleć, że cmoknął ją tylko w kark!

W tym momencie Jimmy Bacon stracił przytomność. Wejście Szarego Ducha było tak spektakularne, że chłopiec z przerażenia musiał zapomnieć o kupie. Żadne z dzieci nie widziało, jak pani McQuat wchodzi do klasy, po prostu ni stąd, ni zowąd uklękła przy Lucindzie. Przemocą rozwarła jej szczęki, ratując poharataną wargę.

- Zagryź to... Lucindo - powiedziała, wkładając uczennicy książkę w zęby. -Twoja warga... ma już dość.

Jack zapamiętał tytuł książki. Niestety, jego pamięć nie rozróżniała tego, co ważne, od kwestii pozbawionych znaczenia, choć „Kurs gry na fortepianie: część druga” Edny Mae Burnham z pewnością nie należał do tych ostatnich. Jack Burns skonkludował, że jego ojciec korzystał właśnie z tej książki podczas korepetycji i zapewne zadawał z niej komuś lekcje w czasach, kiedy zabawiał się z dwiema uczennicami ze Świętej Hildy. Może któraś z tych dziewcząt (albo nawet obie) też regularnie do niej zaglądała!

Japa nie wytrzymała i również straciła przytomność, czyniąc to jednak w sposób mniej widowiskowy niż Jimmy. Być może pojawienie się Szarego Ducha, a zwłaszcza moment pochylenia się nad Lucindą nasunęły Maureen myśl, że pani McQuat jest Aniołem Śmierci. Oczywiście Szary Duch umiała opatrzeć przygryzioną wargę. (Jako sanitariuszka w jakiejś tam wojnie z pewnością widywała więcej krwi).

Łzy panny Wurtz płynęły nieprzerwanym strumieniem, co spowodowało nieuniknioną falę dociekań.

- Kto z was... - zaczęła zdyszczanym tonem pani McQuat - doprowadził do płaczu... pannę Wurtz?

- Ja - odpowiedział Jack.

Wszyscy zdumieli się, że wbrew panującym zwyczajom winowajca sam przyznał się do winy. Jedyne Szary Duch nie okazała zdziwienia.

- Przepraszam - dodał Jack, lecz pani McQuat skierowała uwagę gdzie indziej.

Lucinda Fleming chwiejnie wstała z podłogi, brocząc krwią z rozciętej wargi; koszulę i krawat miała przesiąknięte do cna. Była również zasikana, co najwyraźniej jej nie krępowało. Ponownie uśmiechnęła się swym nienaturalnie błogim uśmiechem.

- Trzeba ci założyć... szwy... Lucinda - oznajmiła Szary Duch. - Zaprowadź ją... do higienistki... Caroline. - Panna Wurtz po raz kolejny uznała, że prośba skierowana jest pod jej adresem, lecz Caroline French gorliwie zerwała się z miejsca. - Nie ty... moja droga - usadziła pannę Wurtz Szary Duch. - Ty zostajesz... w klasie.

Siostry Booth otrzymały zadanie eskortowania Maureen Yap do higienistki. Zamroczone Maureen ledwo trzymała się na nogach. Jimmy Bacon także nie przyszedł jeszcze do siebie. Tkwił na czworakach, jakby nadal szukał zdechłego chomika Gordona. Grant Porter i James Turner mieli zaprowadzić go do higienistki w ślad za pozostałymi. (Byli takimi półgłówkami, że Jack śmiał wątpić, czy w ogóle trafią do gabinetu).

Co do Jacka, delikatność, z jaką pani McQuat ujęła jego ucho, doszczętnie zbiła go z pantafelku. Jej kciuk i palec wskazujący były wprawdzie lodowate, kiedy jednak opuścili klasę, Jack w ogóle nie czuł bólu. W korytarzu, gdzie puściła ucho, przenosząc zimną dłoń na jego kark, podjęli rozmowę, która - zważywszy na okoliczności - miała nadzwyczaj łagodny przebieg.

- Na czym... tym razem... polegał problem panny Wurtz? - szepnęła pani McQuat.

Jack trochę się wystraszył, ale nie wahał się długo. Kłamstwo nie wchodziło w rachubę.

- Pocałowałem Lucindę Fleming - wyznał.

Pani McQuat bez zdziwienia skinęła głową.

- W co? - spytała szeptem.

- W kark.

- To... nie tak źle - odparła Szary Duch. - Spodziewałam się... czegoś znacznie gorszego.

Kaplica świeciła pustkami; Jack zadrzał na myśl o klęczeniu plecami do Boga. Jednakże pani McQuat zaprowadziła go do jednej z ławek na samym przedzie. Usiedli obok siebie, twarzami do ołtarza.

- Nie mam się odwrócić? - spytał Jack.

- Ty nie, Jack.

- Dlaczego?

- Sądzę, że... powinieneś kierować twarz... we właściwą stronę - odpowiedziała Szary Duch. - Nigdy nie odwracaj się plecami do Boga, Jack... w twoim wypadku... na pewno by to zauważył.

- Tak?

- Zdecydowanie.

- Aha.

- Masz dopiero... osiem lat, Jack. I już całujesz dziewczyny!

- Tylko w kark.

- To drobiazg... ale widziałeś... do czego może to prowadzić. - (Mocz, krew, rigor mortis, szwy!).

- Co mam zrobić, pani McQuat?

- Módl się - odrzekła. - Zwrócony... we właściwym kierunku.

- O co mam się modlić?

- O to, by zapanować... nad swymi skłonnościami - oświadczyła Szary Duch.

- Czym?
- Proś o siłę, dzięki której... zdołasz się powstrzymać, Jack.
- Przed całowaniem?
- Przed czymś znacznie gorszym, Jack.

Pewnie miała na myśli ojcowskie dziedzictwo. A mówiąc o sile, nie patrzyła mu w oczy, tylko uparcie wpatrywała się w jego krocze! Pewnie myślała o krasnalu i jego niecnym planach. Cokolwiek było gorsze od całowania, Jack modlił się o siłę, by nad tym zapanować. Modlitwa trwała bardzo długo.

- Wybacz... że ci przerywam, Jack... ale chciałabym o coś... spytać.
- Proszę - powiedział.
- Czy robiłeś coś gorszego... niż całowanie?
- Na przykład co?
- Na przykład coś... więcej.

Jack poprosił Boga, aby Szary Duch wybaczyła mu to, co zaraz usłyszy.

- Spałem z biustonozem pani Oastler.
- Emma Oastler dała ci... swój stanik?
- Nie swój, tylko swojej mamy.
- Ale Emma... ci go dała?
- Tak. Moja mama odniosła go z powrotem.
- Litości! - zawołała pani McQuat.
- Push up - dorzucił tonem wyjaśnienia Jack.
- Wracaj... do modlitwy... Jack.

I ulotniła się na swój widmowy sposób, padając po drodze na kolana i czyniąc w przelocie znak krzyża. Sądząc na podstawie okazanej mu życzliwości, Jack doszedł do wniosku, że pani McQuat ma w sobie więcej życia, niż ją o to podejrzewał, choć jej memento było mrozące krew w żyłach niczym wiadomość z zaświatów.

Bóg obserwował Jacka Burnsa. Jeśli Jack zwróci się do Niego plecami, On na pewno to zobaczy. Jego czujność zaś wynika z przekonania, że Jack zbłądzi. (Szary Duch również nie miała co do tego wątpliwości). Bez względu na to, czy wina spoczywała w dziedzictwie Jacka, czy też samowolnych ciągach krasnala, zgodnie z zapowiedzią Emmy transgresję seksualną miał jak w banku.

Modlił się i modlił. Bolały go kolana i plecy. Po pewnym czasie złowił nozdrzami dolatujący z tyłu aromat gumy do żucia, tym razem owocowy.

- Co ty wyprawiasz, ptysiu? - szepnęła Emma.

Jack nie miał odwagi się odwrócić.

- Modlę się - odparł. - A jak ci się wydaje?
- Słyszałam, że ją pocałowałeś, Jack. Musieli jej założyć cztery szwy! Rany, widzę, że pora na korepetycje! Nie można całować dziewczyny, jakby była stekiem!
- Sama się ugryzła. - Jack na próżno usiłował się tłumaczyć.
- To się nazywa ulec namiętności - zauważyła Emma.
- Modlę się - zaznaczył Jack, uparcie patrząc przed siebie.
- Modlitwy nic ci nie pomogą, ptysiu. Korepetycje tak.

I tak Emma Oastler zburzyła religijny nastrój. Gdyby nie znalazła go w kaplicy, być może postąpiłby w myśl rad Szarego Ducha. I gdyby wymodlił sobie rzeczoną siłę i umiar, wtedy kto wie, czego mógłby oszczędzić sobie - i innym?

12 • COŚ WIĘCEJ NIŻ KOLEJNA RÓŻA JERYCHOŃSKA

Po latach Lucinda Fleming wciąż wliczała Jacka w poczet znudzonych odbiorców jej życzeń świątecznych. Nie miał pojęcia dlaczego. Nie pisał ani nie dzwonił.

Według teorii Emmy Oastler, pamiętny pocałunek Jacka był pierwszym i najlepszym pocałunkiem Lucindy - a może i ostatnim. Jednakże biorąc pod uwagę okazałą gromadkę dzieci Lucindy (których imiona i wiek znał z corocznych listów). Jack nie przychylił się do teorii przyjaciółki. Urzeczony płodnością Lucindy, dochodził do logicznego wniosku, że jest całowana przez męża, i to gorliwie. I według wszelkiego prawdopodobieństwa, małżonek, który spędził lepszą część życia na całowaniu Lucindy Fleming, nie skłaniał jej do gryzienia warg i niekontrolowanego oddawania moczu.

Spoglądając wstecz, Jack nie tęsknił ani za Lucindą, ani jej gniewem, który ewidentnie kryła w zanadru wyłącznie na jego użytek. Tęsknił za Szarym Duchem. Pani McQuat dołożyła starań, aby nie stał się taki jak ojciec. To nie jej wina, że nie modlił się dość wytrwale i zabrakło mu sił, by zapanować nad swymi „skłonnościami”. Winę za to, że odwrócił się plecami do Boga, należało przypisać raczej jemu samemu, aniżeli ojcu czy pani McQuat.

Jako wychowawczynie czwartej klasy, pani McQuat dwa razy w tygodniu zostawała po lekcjach, aby pomóc Jackowi w matematyce? Chłopiec skupiał się na tej czynności bez reszty; przy Szarym Duchu nie było miejsca na dekoncentrację ani sprzeczne zachcianki. Pani McQuat nigdy nie śniła mu się w żadnej bieliźnie. W gruncie rzeczy Jack powinien jej podziękować za okazaną życzliwość: nie tylko za słowa wypowiedziane w kaplicy, ale i za próby złagodzenia wpływu, jaki wywierała nań na scenie Caroline Wurtz, zagorzała przeciwniczka improwizacji.

Dostał rolę Adama w cikliwej adaptacji „Adama Bede”. Całują się namiętnie, głosiły wskazówki sceniczne. Nie bacząc na katastrofalne skutki całowania Lucindy Fleming, Jack dał z siebie wszystko. Zważywszy na fakt, że rolę Dinah grała Heather Booth, pocałunek był istotnie niezapomniany. Kiedy ją bowiem całował, Heather wydawała z siebie charakterystyczne cmokanie, a Patsy, siostra bliźniaczka, dzielnie sekundowała jej w tym zza kulis.

Patsy odgrywała rolę Hetty, która zdradza Adama. Cóż za chybiona interpretacja „Adama Bede”! Jack vel Adam poślubia na końcu sobowtóra kobiety, która wystawiła go do wiatru! (George Eliot musiała przewracać się w grobie na tak ewidentne nadużycie!).

Wurtz uwielbiała fragment z końca rozdziału 54. W myśl swoich upodobań przedstawiła go w formie dialogu, choć w oryginale jest to część wypowiedzi narratora. Spoglądając w roznamiętnione oczy Heather Booth, Jack mówił bez przekonania: „Czyż istnieje coś wspanialszego dla dwojga dusz aniżeli poczucie, że są złączone na zawsze, aby wzmacniać się w znoju, pielęgnować w cierpieniu i dzielić niezatarte wspomnienia ostatniego pożegnania?”. Podczas owej tyrady Heather vel Dinah produkowała ledwo słyszalne, gardłowe cmokanie, jakby lada chwila miała zwymiotować.

- Jack - powiedziała po występie pani McQuat. - Traktuj słowa panny Wurtz z przymrużeniem oka.

- Czym?

- Tak się mówi. „Z przymrużeniem oka”, czyli niezbyt serio.

- Aha.

- Nie zgodziłabym się z twierdzeniem, że najwspanialszą rzeczą dla dwojga tak zwanych dusz jest poczucie, że są złączone na zawsze. Szczerze powiedziawszy, moim zdaniem, nie ma nic gorszego.

Jack konkludował, że pani McQuat jest nieszczęśliwa w małżeństwie, jeśli zaś jej mąż zmarł, a Szary Duch wciąż tytułowała się mianem „pani”, ona i świętej pamięci pan McQuat nie dzielili wielu niezatartych wspomnień.

Co łatwe do przewidzenia, Emma Oastler pastwiła się nad nim niemiłosiernie za namiętne całowanie na scenie Heather Booth.

- Użyłeś języka? - wypytywała. - To wyglądało jak pocałunek francuski.

- Jak niby miałem go użyć?

- Dojdziemy do tego, ptysiu. Twoje zaległości rosną w zastraszającym tempie. Przez tę całą matkę zostajesz w tyle.

- Jakie zaległości?

- To brzmiało, jakbyś ją kneblował, głąbie.

Emma powinna pamiętać, że bliźniaczki Booth wydawały owe potworne odgłosy od czasów przedszkolnych. (Ba, jej utulanki zapewne leżały u źródeł ich powstania!).

- Czekaj, aż dojdziecie do „Middlemarch”, Jack - pocieszyła go Szary Duch.

- To nie tylko lepsza powieść niż „Adam Bede”; panna Wurtz nie zdążyła jej jeszcze strywializować.

I tak w czwartej klasie pani McQuat w znaczący sposób poszerzyła perspektywę Jacka. Później żałował, że nie towarzyszyła mu podczas dalszej edukacji szkolnej, lecz i tak miał szczęście, że stanęła na jego drodze w ostatnim roku pobytu w Świętej Hildzie.

Perspektywa rzecz cenna, a czasami nieosiągalna. Caroline Wurtz należała do czytelników, którzy wywracają powieści na nice w poszukiwaniu wiecznotrwałych prawd, morałów i soczystych powiedzonek, nie dbając o zgliszca, jakie za sobą pozostawiają. Gdyby nie ostrzeżenia Szarego Ducha, Jack mógłby dojść do błędnego wniosku, że czytał „Dziwne losy Jane Eyre” i „Tessę d’Urberville”, a także „Szkarłatną literę”, „Annę Kareninę”, „Rozważną i romantyczną”, „Adama Bede” oraz „Middlemarch”. Tymczasem będąc w czwartej klasie, znał tylko tendencyjne adaptacje panny Wurtz.

Oczywiście zaglądał na szkolne tablice informacyjne, kipiące peanami na cześć kobiet; wśród ogłoszeń wisiał mdły cytat z Emersona. („Cywilizację w znacznym stopniu zawdzięczamy kobietom”). Jeszcze zanim otrzymał rolę Dorothei w „Middlemarch” panny Wurtz, w gablotach widywał również cytaty z George Eliot, przy czym zwykł podówczas uważać ją za mężczyznę. I to wrogo nastawionego do własnej płci, jak wynikało z co zjadliwszych wyimków. („Umysł mężczyzny - przy założeniu, iż takowy istnieje - szczyci się atutem przynależności do rodzaju męskiego, podobnie jak najmniejsza brzoza góruje wzrostem nad najwyższą palmą. Nawet jego ignorancja jest bez mała lepszej jakości”). Jack zachodził w głowę, co to może znaczyć.

Jako Dorothea, „gotowa zgłębić wszelakie prawdy życia”, Jack kipiał (pod czujnym okiem panny Wurtz) „dziecinnymi wyobrażeniami na temat małżeństwa”. Zaraz, zaraz! Przecież on był dzieckiem!

- „Czerpiemy pożytek z dumy - szczebiotał Jack vel Dorothea. - Nie jest zła, kiedy skłania nas do ukrywania własnej krzywdy miast wyrządzania jej innym”. - ' To także nie było kwestią żadnego z bohaterów książki).

Pani McQuat kontrowała pochwały pod adresem Jacka, których nie szczędziła mu panna Wurtz, własnymi cytatami, zaczerpniętymi z kart „Middlemarch”.

- „Na świecie roi się od złudnych analogii i wielkanocnych jaj, zwanych możliwościami” - zaszemrała Szary Duch.

- George Eliot? - spytał Jack. - „Middlemarch”?

- A jakże - odparła pani McQuat. - Ta książka to coś więcej niż tylko dramatyczne homilie, Jack.

Na prognozę panny Wurtz, że któregoś dnia Jack zostanie wybitnym aktorem (jeśli tylko przychylił się do jej rygorystycznych wskazówek), Szary Duch odpowiadała kolejnym

nieudramatyzowanym cytatem z „Middlemarch”: „Spośród wszystkich błędów prorocstwo jest najmniej uzasadnionym”.

- Jakim?

- Chcę przez to powiedzieć, Jack, że musisz odegrać ważniejszą rolę w budowaniu własnej przyszłości niż panna Wurtz.

- Aha.

- Nie widzisz, co z nią nie tak, ptysiu? - spytała Emma Oastler.

- Co?

- Wurtz jest niespełniona, to jasne jak słońce - zawyrokowała Emma. - Pomyliłam się, myśląc, że ma faceta. Może ładne ciuchy dostaje od kogoś z rodziny. Chyba nie podejrzewasz jej o życie erotyczne, co?

Jack żywił nadzieję, iż takowe istnieje wyłącznie w jego snach. I choć nie przyznawał się przed Emmą, dręczył go rozdźwięk pomiędzy tym, czego uczyła go panna Wurtz, a jej oczywistymi niedociągnięciami.

Podobnie jak Caroline Wurtz rozkładająca powieści na czynniki pierwsze, Jack studiował szkolne tablice ogłoszeniowe w poszukiwaniu perełek w postaci krzepiących rad. W przeciwieństwie do rozhułanej panny Wurtz nie znajdował tam nic szczególnie interesującego. Oczkiem w głowie starszych dziewcząt był w owym czasie Kahlil Gibran. Jack przyniósł Szaremu Duchowi do zinterpretowania jedną z jego zaskakujących sentencji.

*Niech w waszej jedności będą luki,
W których zatańczą wiatry niebios.*

- Co to znaczy? - zapytał.

- Mowa trawa, duby smalone - odrzekła Szary Duch.

- Słucham?

- Nic, Jack.

- Aha.

Pani McQuat odebrała mu świstek i zgmiotła go w swej zimnej dłoni.

- Czy nie powinienem odwiesić go na tablicę? - zapytał.

- Przekonajmy się, czy pan Gibran sam odnajdzie drogę - odparła Szary Duch.

Jack darzył ją całkowitym zaufaniem. Nie wahał się pytać ją o kwestie, o które nigdy nie zagadnąłby kogoś innego. Przybywało problemów, z którymi nie odważyłby się zwrócić do własnej matki; narastający pomiędzy nimi dystans stanowił ostrzeżenie, ale Jack nie był pewien, przed czym. Bez względu na przyczynę osobliwego zachowania matki, miał dosyć wiecznego „jeszcze-nie--teraz”.

Lottie to Lottie. Kiedyś była dla niego ważna, może nawet najważniejsza, kiedy żarliwie tęsknił za nią podczas wojaży szlakiem portów Morza Bałtyckiego i Północnego, jednakże przestała tulić go do piersi i słuchać wspólnego bicia serc. Jack obecnie wolał robić to z Emmą. (Zgodnie z opinią tej ostatniej: „Widać, że Lottie najlepszą część życia ma za sobą”).

Stara pani Wicksteed gasła w oczach. Kiedy grzała coraz bardziej nieposłuszne dłonie o filizankę, jej palce nurkowały w herbacie, opryskując czasem koszulę i krawat Jacka. Opanowała wiązanie krawatów, gdy jej świętej pamięci mąż nabawił się artretyzmu.

- Teraz sama mam artretyzm, Jack - mówiła do chłopca. - Powiedz mi, czy to sprawiedliwe?

Pytanie o sprawiedliwość dręczyło Jacka również w innych sferach życia.

- To nie fair, że miałbym się stać taki jak ojciec - wyznał pani McQuat. (Przy Emmie nie potrafił się zdobyć w owej kwestii na taką szczerość). - Czy, pani zdaniem, to sprawiedliwe? - pytał. Wierzył, że Szary Duch naprawdę była sanitariuszką, bez względu na prawdziwość historii o jednym płucu. - Uważa pani, że będę taki jak on?

- Przejdźmy się, Jack.

Chłopiec spostrzegł, że kierują się w stronę kaplicy.

- Chce mnie pani ukarać? - spytał.

- Ależ skąd! Idziemy tam, gdzie możemy spokojnie pomyśleć.

Usiedli obok siebie w jednej z przednich ławek, twarzami do ołtarza. Mimochodem odnotowali obecność klęczącego trzecioklasisty, zwróconego plecami do Boga. Szary Duch okazała na jego widok lekkie zdziwienie (choć znalazł się tam za jej sprawą), po czym przeniosła uwagę gdzie indziej.

- Jeśli staniesz się taki jak ojciec, Jack, nie możesz go za to obwiniać.

- Dlaczego?

- Wkraczając na drogę występu, człowiek staje się ofiarą tylko i wyłącznie z własnego powodu - oznajmiła Szary Duch; klęczący trzecioklasista zrobił przerażoną minę: uznał chyba, że nauczycielka nawiązuje do jego osoby.

Szczęśliwym trafem Jack nigdy nie zadał Emmie następnego pytania, które wystosował pod adresem pani McQuat:

- Czy nieustanne rozmyślanie o seksie to występki?

- Litości! - zawołała Szary Duch, odrywając oczy od ołtarza i przenosząc spojrzenie na Jacka. - Mówisz poważnie?

- Nieustanne - powtórzył. - W nocy to samo.

- Rozmawiałeś o tym z matką, Jack? - zapytała pani McQuat.

- Powiedziałyby, że jestem za mały, aby o tym rozmawiać,

- Ale nie za mały, aby o tym rozmyślać i śnić!

- Może w męskiej szkole będzie inaczej - wyraził przypuszczenie Jack.

Wiedział, że matka zamierza go tam posłać. Nieopodal Świętej Hildy, dosłownie w odległości kilku kroków, znajdowała się Kanadyjska Szkoła Wyższa. (Której uczniowie zawsze węszyli wokół starszych dziewcząt ze Świętej Hildy). Nie było wielkim zaskoczeniem, że pani Wickstead „znała kogoś” w KSW ani że Jack mógł liczyć na dobre referencje dotychczasowych nauczycieli, przynajmniej w kwestii postępów w nauce. Był już na rozmowie kwalifikacyjnej. Przyzwyczajony do szarości i brązów szkoły macierzystej, zauważył, że w KSW dominuje kolor niebieski: przepisowe krawaty uczniów miały granatowo-białe pasy. Członkowie szkolnej reprezentacji sportowej nosili natomiast granatowe krawaty z kanciasto wykończonym dołem. Alice nie przypadł do gustu ten sposób wyróżniania sportowców. Na pytanie o ulubioną dyscyplinę bez namysłu napisała w formularzu: „nie dotyczy”.

- Skąd wiesz? - zaoponował Jack. (Nigdy nie miał nawet okazji spróbować!).

- To prawda, Jack. Uwierz mi.

Lecz on był coraz mniej do tego skory.

- Którą szkołę męską masz na myśli? - zapytała Szary Duch.

- Mama wybrała Kanadyjską Szkołę Wyższą.

- Porozmawiam z nią, Jack. Chłopcy z KSW zjedzą cię żywcem.

Była to niezbyt zachęcająca perspektywa. Jack podzielił się z Emmą swoimi obawami.

- Zjedzą mnie żywcem? Co to może znaczyć?

- Trudno wyobrazić sobie siebie w roli sportowca, Jack.

- Więc?

- Więc zjedzą cię żywcem. Też mi zmartwienie. Twoją dyscypliną będzie bieg przełajowy przez życie, ptysiu.

- Bieg przełajowy...

- Stul dziób i pocałuj mnie, Jack - rozkazała Emma.

Znowu kulili się na tylnym siedzeniu lincolna. Postęp polegał na tym, że Emma potrafiła w przeciągu kilku sekund doprowadzić go do erekcji - lub nie, w zależności od widzimisie

krasnala. Chodziła obecnie do dziesiątej klasy i była szesnastolatką o mentalności trzydziesto- lub czterdziestolatki. Na domiar wszystkiego (ku swemu wielkiemu niezadowoleniu) od niedawna nosiła aparat na zębach. Perspektywa pocałunku napełniała Jacka pewnym lękiem.

- Nie tak! - instruowała Emma. - Jestem pisklęciem? Próbujesz nakarmić mnie glistą?
- To mój język - zakomunikował.
- Wiem, Jack. Chodzi bardziej o to, co czuję.
- Czujesz, jakbym karmił cię glistą?
- Jakbyś chciał, żebym się udławiła.

Położywszy sobie jego głowę na kolanach, z czułym zniecierpliwieniem popatrzyła mu w oczy. Z upływem lat stawała się coraz większa i mocniejsza, podczas gdy Jack odnosił wrażenie, że sam ledwie odrasta od ziemi. No, ale przynajmniej miał erekcję. Emma zawsze potrafiła to po nim poznać.

- To zwiastun, Jack.
- Zwiastun?
- No wiesz, jak w kinie...
- Aha.
- Wkrótce im wszystkim pokażesz, Jack. Takie jest moje zdanie.
- Ona trzyma cię jak na sznurku, stary - wtrącił Peewee.
- Przymknij się i kieruj, stary - burknęła Emma.

Podobnie jak Jack, szofer bez szemrania stosował się do jej poleceń.

Odkąd Alice oddała pani Oastler jej stanik, Jack zachodził w głowę, cóż takiego zdarzyło się pomiędzy kobietami, co sprawiło, że znowu mógł spędzać czas w cztery oczy z Emmą. Zdarzało się to nader często; czasem też odwiedzał Emmę i przebywał u niej ponad godzinę. Tam nikt nie zakłócał im spokoju, nie tłukł się po kuchni i nie wyrzaskiwał bzdur o stygnącej herbacie.

Dom Emmy na Forest Hill był trzykondygnacyjnym budynkiem, przekazanym pani Oastler przez jej byłego męża: po rozwodzie nie mogła narzekać na biedę. Lokalne brukowce wyszydzały kobiety, które obłowiły się dzięki rozwodowi, lecz pani Oastler nie widziała w tym nic złego.

Zgodnie z tym, co sugerował jej stanik, matka Emmy była osobką nadzwyczaj drobnej postury. Według tego, co sugerował wąsik Emmy, była też w niecodzienny sposób owłosiona - przynajmniej jak na kobietę, na dodatek tak kruchą. Mogłaby się poszczycić bujniejszym wąsikiem niż córka, gdyby nie to, że (jak twierdziła Emma) regularnie depilowała go u kosmetyczki. Do depilacji ramion zapewne by się nie posunęła, nosiła jednak krótką chłopięcą fryzurkę i często podcinała kruczoczarne włosy. Pomimo jej urody Jack wychodził z założenia, że pani Oastler trochę przypomina mężczyznę.

- Tak, ale atrakcyjnego - odpowiadała Alice, Uważała, że pani Oastler jest „bardzo przystojna”, wyrażając przy tym ubolewanie nad podobieństwem Emmy do ojca.

Jack nigdy go nie poznał. Po każdych feriach zimowych Emma wracała do szkoły z opalenizną. Ojciec zabierał ją do Indii Zachodnich albo Meksyku; były to w zasadzie jedyne chwile, jakie spędzali razem. W lecie Emma mieszkała również przez miesiąc w chatce nad Georgian Bay, pozostając przez większość czasu pod opieką gosposi, gdyż ojciec gościł tam tylko w weekendy. Emma unikała tego tematu.

Pani Oastler uważała, że Emma jest za młoda na depilację wąsików, co stanowiło między nimi kość niezgody.

- Prawie go nie widać - przekonywała pani Oastler. - A zresztą jakie to ma znaczenie w twoim wieku? - Nie był to jedyne powód do kłótni, co łatwo przewidzieć w wypadku rozwiedzianej kobiety, wychowującej „trudną” jedynaczkę, większą i silniejszą od matki szesnastolatkę, która na dodatek nadal rosła.

Ponadto pani Oastler twierdziła, że Emma jest za młoda na tatuaż. W oczach Emmy uchodziło to za szczyt hipokryzji, ponieważ matka dała się niedawno wytatuować Córcie Alice. Było to dla Jacka niemałe zaskoczenie, jak zresztą prawie wszystko, co słyszał z ust Emmy.

- Co sobie wytatuowała? I gdzie? - zapytał.

Co za niespodzianka! Matka Emmy postanowiła zatuszować tatuażem bliznę.

- Miała cesarkę - oznajmiła Emma. Znowu to samo, pomyślał Jack. - I bliznę po cięciu.

I pomyśleć, że kiedyś brał to za nazwę oddziału trudnych porodów w szpitalu w Halifaksie!

- Zrobili jej cięcie bikini - ciągnęła Emma.

- Co takiego?

- Poziome, a nie pionowe.

- Nadal nie rozumiem - odparł Jack.

To nasunęło konieczność wyprawy do sypialni pani Oastler. (Matki Emmy nie było). Tam Emma pokazała Jackowi parę matczynych majtek, czarne figi, zapewne z kompletu do pamiętnego stanika. Blizna pani Oastler nosiła nazwę cięcia bikini, ponieważ widniała poniżej linii majtek.

- Aha. A jaki to tatuaż?

- Głupia róża.

Jack nie był skory przyznać jej racji. Czuł niemalże niezbitą pewność co do rodzaju owej róży, która musiała wystawać ponad linię majtek.

- Jerychońska? - zapytał.

Tym razem to Emma zrobiła zdumioną minę.

- Jaka?

Nie było to najłatwiejsze do wytłumaczenia, zwłaszcza dla dziesięcioletka. Jack zacisnął rękę w pięść.

- Jest mniej więcej tej wielkości, może trochę większa - zaczął.

- Owszem - potwierdziła Emma. - Mów dalej, Jack.

- Kwiat, który kryje w sobie drugi kwiat.

- Jaki znowu drugi kwiat?

Słyszał i zapamiętał tyle słów, których znaczenia nie rozumiał. Jednym z nich była „labia”, innym „wagina”: przecież przypominały kwiaty, prawda? Drugi kwiat ukryty w róży jerychońskiej przypominał płatki czy też wargi sromowe kobiety. Jack nie wiedział, czy Emma pojęła cokolwiek z jego chaotycznych wyjaśnień, ona jednak chwyciła w lot, co miał na myśli.

- Chyba żałujesz, Jack.

- Aby ją zobaczyć, trzeba wiedzieć, czego się szuka - dodał chłopiec.

- Tylko nie mów, że wiesz, jak wygląda pochwa, ptysiu.

- Właściwie nie - przyznał Jack. Widział jednak różę jerychońską, i to niejedną.

Dokładnie przestudiował jej płatki. Dostrzegł ukryte wewnątrz wargi, owo nieuchwytnie, acz niezaprzeczone coś, co odróżniało ją od zwykłych róż. - Może nie przyjrzałaś się zbyt dokładnie - powiedział do Emmy, której odebrało mowę z niedowierzania. - Mówię o tatuażu.

Chwyciwszy Jacka za rękę, Emma zaprowadziła go do swojej sypialni. W drugiej ręce wciąż trzymała matczyne figi; wyglądało na to, iż Jack miał dźwigać brzemień więzi z bielizną pani Oastler aż po grób.

Pokój Emmy reprezentował powszechne wyobrażenie o drodze wiodącej od dzieciństwa poprzez okres dojrzewania płciowego do lubieżnej dorosłości. Na wielkim łożu tkwiły rozrzucone niedbale misie oraz inne pluszowe zwierzęta, na ścianie wisiał plakat z koncertu Beatlesów oraz duże zdjęcie Roberta Redforda. (Chyba z filmu „Jeremiasz Johnson”, ponieważ Redford miał brodę). Wszędzie, na podłodze, na łóżku (bądź, w jednym wypadku,

na skrzepowanym misiu) widniała pozostawiona na widoku bielizna Emmy. Bielizna dojrzewającej kobiety, jasno (nie dla Jacka) świadcząca o gwałtowniejszym niż u większości rówieśniczek pędzie do dorosłości.

Tymczasem Jackowi niespecjalnie się śpieszyło. Traf chciał, że na jego drodze stanęła Emma Oastler, która знаła historię jego ojca i pomimo dzielącej ich siedmioletniej różnicy wieku zapragnęła, aby dotrzymał jej kroku.

- Zatem wiesz, jak wygląda pochwa - mówiła, kładąc się wśród rozrzuconej bielizny i misiów.

- Tylko na podstawie róży jerychońskiej - uściślił Jack.

Emma nie puszczała jego ręki. Nie miał innego wyjścia, jak tylko położyć się obok niej.

- Myślisz, że jesteś takim ekspertem? - ciągnęła Emma, unosząc spódnice i wyplątując się z majtek. W życiu nie weszłaby w matczyne figi. W myśl ogólnie panującej zasady niechłujstwa cechującego strój (i negliż) uczennic Świętej Hildy, nie zadała sobie trudu całkowitego zdjęcia majtek, które zawisły jej na kostce, odcinając się bielą na szarym tle tradycyjnie zrolowanych skarpetek (również świadczących o ekshibicyonistycznych ciągotech właścicielki).

- Masz duże stopy - zauważył Jack.

- Co tam stopy, Jack. Patrzysz na swoją pierwszą pochwę. Tylko mi nie mów, że nie jesteś zdziwiony.

Włosy ponownie przyprawiły go o lekki wstrząs, choć nie taki jak za pierwszym razem. Reszta zaś... cóż, Jack spodziewał się komplikacji. Misterne fałdy miały zdrowy odcień różu, niemożliwy do uzyskania w żadnym salonie tatuażu, lecz zdobne wejście, prowadzące do wnętrza waginy, rozpoznał bez najmniejszego trudu. Widywał ich setki. Widok krocza Emmy na zawsze miał mu umożliwić natychmiastową identyfikację zawartości róży jerychońskiej, ale pokażcie mi dziewięciolatka, którego nie wprowadziłby w osłupienie.

- Zapomniałeś języka w gębie? - zapytała Emma.

- Na tatuażu nie ma włosów - oznajmił.

- Twierdzisz, że to jedyna różnica? Resztę już widziałeś?

- To róża jerychońska. Wszędzie bym ją rozpoznał.

- Pochwa, ptysiu!

- Ale też róża jerychońska - powtórzył z uporem. - Przyjrzyj się swojej mamie. To znaczy, jej tatuażowi.

- Może krasnal okaże większe zainteresowanie niż ty, Jack. - Niestety, widok penisa nie wzbudził jej aprobaty. - Jezu, ptysiu. Coś tu nie gra.

W wieku dziewięciu lat Jack był po prostu za mały. Nieprzewidywalność jego członka (pobudzonego w jednej, obojętnego w drugiej chwili) nie wywierała na nim w połowie takiego wrażenia jak na Emmie.

- Pocałuj mnie - zażądała Emma. - To czasami pomaga.

Ale nie tym razem. Pocałunek Emmy był bardziej agresywny i (na przekór wcześniejszej krytyce pod adresem Jacka) głębszy niż zazwyczaj, co wzbudziło reakcję penisa. Jednakże w chwili gdy krasnal jął okazywać rosnące zainteresowanie, które Emma określiłaby mianem „obiecującego”, Jack zahaczył dolną wargą o wystający drucik nowego aparatu ortodontycznego. I nim oboje zdążyli się obejrzeć, krew trysnęła na ich ubrania, łóżko, kilka pluszowych zwierząt oraz jeden ze staników (ten, który krępował misia).

Była dosłownie wszędzie; co gorsza, Emma i Jack nie mogli się rozłączyć. Podczas gdy dziewczyna przetrząsała zaśmieconą sypialnię w poszukiwaniu lusterka, Jack wciąż wisiał u jej ust, z dolną wargą przyczepioną do drutu. Znalezienie lusterka niewiele pomogło. Podjęli szereg bezowocnych prób w celu oswobodzenia się z uwięzi, by wreszcie zdać się na łaskę pani Oastler, która rozłączyła ich w mgnieniu oka.

- Może jednak powinnaś wydepilować górną wargę, Emmo - uznała.

Jack zastanawiał się gorączkowo, czy będą potrzebne szwy. Podobną ilość krwi widział jedynie podczas pamiętnego ataku Lucindy Fleming, która usiłowała skonsumować swoją wargę. Niebezpieczne pocałunki to dla Jacka Burnsa nie pierwszozna!

- To rana kluta - oznajmiła pani Oastler, ściskając jego wargę dwoma palcami. Krew bynajmniej jej nie przeszkadzała. Na podstawie licznych nocy spędzonych w' towarzystwie stanika, Jack od razu rozpoznał jej perfumy. W chwili kiedy to pomyślał, wzrok pani Oastler padł na czarne figi, leżące na zakrwawionym łóżku. - Wolałabym, żebyś wykorzystywała do tego celu własną bieliznę, Emmo - wycedziła. Widok białych majtek, które wisiały na kostce córki, udrapowane fantazyjnie na stopie, świadczył wyraźnie, że i one odegrały tu swoją rolę. Lecz pani Oastler bardziej interesowała się własną bielizną. - Jesteś nad wiek rozwiniętym dzieckiem, Jack - dodała.

- Jack zna się na tatużach - wtrąciła Emma. - A już na pewno na twoim.

- Tak? Czy to prawda, Jack? - zapytała pani Oastler.

- Jeśli to róża jerychońska, istotnie coś o niej wiem - odpowiedział.

- Dalej, pokaż mu - ponagliła matkę Emma.

- Moim zdaniem, to zbyt cenne. Jack z pewnością widział już swoje - orzekła pani Oastler.

- Wobec tego ja chętnie się przyjrzę - oznajmiła Emma. - Przynajmniej teraz wiem, co to jest.

- Może później, Emmo - odrzekła pani Oastler. - Nie możemy puścić Jacka do domu w takim stanie.

- Masz pochwę nad pochwą, a mnie nie pozwalasz zrobić motylka na kostce!

- wrzasnęła Emma.

- Na kostce boli - poinformował Jack. - Tatuże na kości zawsze boją.

- Jack wie, co mówi. Słuchaj Jacka.

- Ja chcę motylka! - krzyknęła Emma.

- Oto co zrobimy, Jack - powiedziała pani Oastler, ignorując córkę. - Pójdziemy do mojej łazienki, gdzie będziesz mógł doprowadzić się do porządku. Emma może się umyć w swojej.

Ujawszy chłopca za rękę, matka Emmy poprowadziła go znajomą trasą do własnej sypialni, połączonej z ogromną łazienką o lustrach biegnących od ściany do ściany. W drugiej ręce niosła czarne figi, które niezmordowanie okręcała na palcu wskazującym. W lekkim przeciągu, jaki przy tym robiła, Jack jeszcze mocniej wyczuwał jej perfumy.

Zdjęła mu poplamioną koszulę i krawat, po czym napełniła umywalkę ciepłą wodą. Następnie wytarła mokrym ręcznikiem twarz i szyję chłopca, uważając przy tym na przekłutą wargę, która nadal krwawiła, chociaż tylko trochę. Podczas gdy Jack szorował ręce, pani Oastler chłodnymi, jedwabistymi dłońmi masowała mu barki. Wydawała się dotykać go równie swobodnie jak jej córka.

- Będziesz silnym chłopcem, Jack. Niezbyt wysokim, ale silnym.

- Tak pani myśli? - zapytał.

- Ja to wiem - oznajmiła pani Oastler. - Widzę to po tobie.

- Ach tak. - Jack zrozumiał, dlaczego dłonie kobiety wydawały mu się tak jedwabiste.

Pani Oastler pocierała mu plecy i barki swoimi majtkami.

- Jesteś naturalnie bardzo dojrzały jak na swój wiek - ciągnęła - podczas gdy

Emma wyraźnie niedomaga w pewnych dziedzinach. Na przykład nie potrafi się znaleźć w towarzystwie rówieśników, zwłaszcza odmiennej płci.

- Ach tak - powtórzył Jack. Osuszył dłonie ręcznikiem. Pani Oastler nadal masowała go swymi figami. Widział w lustrze jej skupioną, poważną twarz, okoloną krótkimi włosami.

- Co się tyczy ciebie, Jack, w obecności dziewcząt i kobiet czujesz się jak ryba wodzie.

Prawdę powiedziawszy, Jack poczuł się cokolwiek nieswojo, kiedy figi przeniosły się wyżej i spoczęły na jego głowie niczym osobiście zdeformowany kapelusz. Przez nogawki sterczały jego uszy.

- Co, na miłość boską, powiemy twojej mamie? - zapytała pani Oastler. I nim Jack zdążył przedstawić swoją propozycję, dodała: - Moim zdaniem, Alice nie jest gotowa na prawdziwą wersję wydarzeń,

Jack nie zdziwił się specjalnie, że pani Oastler mówi o jego matce per „Alice”. Powinien był się domyślić. Wykonanie róży jerychońskiej to żmudny i długotrwały proces, tu na dodatek chodziło o najbardziej intymną część ciała. Zapewne ucięły sobie długą pogawędkę. Jakie tematy nie przyjdą ci do głowy, kiedy godzinami leżysz bez ruchu na wznak, a ktoś tatuuje ci różę jerychońską zaledwie parę centymetrów nad pochwą? Bywa, że ludzie zawierają dozgonne przyjaźnie w o połowę krótszym czasie. Alice godzinami wpatrywała się w krocze pani Oastler, więc jakim cudem mogły się lepiej nie poznać? Lecz choć najwyraźniej były zgodne w swoich zapatrywaniach wychowawczych, incydent z wargą mógł zdusić ich przyjaźń w zarodku. Toteż Jack doskonale rozumiał, dlaczego powinien utrzymać go w tajemnicy.

- Możesz powiedzieć, że to był spinacz, Jack. Na moją prośbę próbowałeś rozdzielić dwie spięte kartki papieru i uznałeś, że najlepiej będzie to zrobić zębami.

- Dlaczego miałbym to robić zębami? - spytał.

- Bo jesteś małym głuptaskiem - odparła pani Oastler. Poklepała swoje figi, wciąż spoczywające na głowie Jacka, po czym zerwała je raptownie i wrzuciła do otwartego kosza z bielizną. Rzut okazał się celny. Panią Oastler cechowała atletyczna gracia, typowa raczej dla młodych mężczyzn. - Znajdę ci jakąś koszulkę. Powiesz mamie, że odesłałam twoją koszulkę i krawat do pralni.

- Dobrze - odparł.

Matka Emmy przeszła do sypialni i otworzyła szufladę. Jack nadal przeglądał się w lustrze nad umywalką, jakby oczekiwał, że lada chwila urosnie w oczach. Pani Oastler wróciła do łazienki, niosąc koszulkę. Była czarna, podobnie jak figi, z krótkimi, obcisłymi rękawkami, typowymi dla fasonów kobiecych. Matka Emmy była tak drobna, że koszulka okazała się tylko trochę za luźna.

- Oczywiście jest moja - powiedziała pani Oastler. - Ubrania Emmy - dodała z dezaprobatą - byłyby za duże.

Warga przestała mu wreszcie krwawić, była jednak opuchnięta i nosiła wyraźny ślad ukłucia. Pani Oastler delikatnie natłuściła ją wazeliną. W tym momencie w progu stanęła jej córka.

- W tej koszulce wyglądasz jak panienka, Jack - oznajmiła.

- A czyż nie jest ładny jak panienka? - spytała pani Oastler.

Emma zrobiła nadętą minę i zgarbiła plecy; zawstydziła się, jak gdyby wzięła słowa matki do serca. (Jack może i był ładny, lecz ona - zdaniem matki - nie).

- Powiemy jego mamie, że skaleczył się spinaczem. Próbował go zdjąć zębami, głuptasek.

- Chcę zobaczyć tę zasraną różę - oświadczyła Emma. - I niech Jack też ją zobaczy.

Pani Oastler, która miała na sobie czarne dopasowane dżinsy ze srebrnym paskiem, bez słowa wyjęła ze spodni bawełniany golf, również czarny. Rozpiąwszy pasek, zsunęła nieco dżinsy z wąskich bioder. Jack ujrzał ponad linią majtek górną połowę róży jerychońskiej. Matka Emmy zahaczyła palcami o szlufki, zanim jednak opuściła niżej spodnie, powiedziała:

- To także zdenerwowałoby twoją matkę, Jack. Może nawet bardziej niż całowanie szesnastolatki, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Ach tak - odrzekł, kiedy zsuwała dżinsy.

Oto i ona. (Nie róża jerychońska. Jack nie potrzebował tracić czasu na oglądanie kolejnej. Jego matka była profesjonalistką; każdą z róż wykonywała według jednego schematu). Podczas gdy urzeczona Emma wylaniała z rysunku drugi kwiat, chłopiec z uwagą przyjrzał się pierwowzorowi: była to jego druga wagina tego dnia. Włosy łonowe Emmy były równie zwichrowane jak ona sama, lecz włosy pani Oastler zostały przycięte z podziwu godną starannością. Jeśli Jack kiedykolwiek wątpił w osąd Emmy (na przykład w kwestii rzekomej obsesji na punkcie starszych kobiet), teraz uwierzył weń z całą mocą. Jak inaczej bowiem tłumaczyć fakt, że jego penis, obojętny na wdzięki córki, tak żywiołowo zareagował na pochwę matki?

- Co za ohyda! - zawołała Emma. (Miała na myśli tatuaż).

- Zwykła róża jerychońska - zawyrokował Jack. - Moja mama robi ją jak należy.

I dalej wlepił wzrok w krocze pani Oastler. Matka Emmy potargała mu włosy.

- Masz rację, Jack. Masz rację.

Emma zdzieliła go tak mocno, że przeleciał przez łazienkę i wylądował w okolicach kosza z bielizną. Jack odruchowo podniósł rękę do wargi, by sprawdzić, czy znów nie zaczęła krwawić.

- Nie patrzyłeś na różę, ptysiu.

- Chłopak na zawsze pozostanie chłopakiem, Emmo - zakomunikowała córce pani Oastler. - Bądź miła dla Jacka, z łaski swojej. Tylko żeby znów nie połała się krew.

Emma przywróciła go do pozycji stojącej szarpnięciem za matczyną koszulkę. W jednym z lusterek Jack dostrzegł odbicie pani Oastler, która naciągała z powrotem majtki i spodnie.

- Czy krasnalowi spodobała się róża jerychońska mojej mamy? - spytała Emma z cieniem pogroźki w głosie.

Oczywiście pani Oastler nie zorientowała się, że córka mówi o penisie. Pewnie uznała, że Emma nawiązuje do drobnej postury Jacka.

- Przestań mu dokuczać, Emmo - powiedziała. - To nie wypada.

Jack spłoszył się, kiedy obie pocałowały go na pożegnanie, pani Oastler w policzek, Emma w nienaruszoną górną wargę. Jack włączył to w poczet informacji, które niepotrzebnie zburzyłyby matczynej spokoju, podobnie jak reszta owocnego dnia, spędzonego na Forest Hill.

Owego wieczoru położył się spać w czarnej koszulce pani Oastler, choć Lottie oznajmiła, że woli go w jego piżamie. Podczas wieczornej modlitwy przykładała mu do wargi owinięte w ściereczkę kostki lodu.

- Niechaj Pan nad tobą czuwa i nie pozwoli ci krzywdzić innych - zaczęła jak zwykle.

Jack uważał drugą część zdania za kompletnie pozbawioną sensu. Po cóż miałby krzywdzić innych?

- Niechaj Pan przedłuży życie pani Wicksteed - ciągnęła Lottie. - Niechaj pozwoli mi zostać w Toronto, żebym nie musiała wracać na Wyspę Księcia Edwarda.

- Amen - wtrącił jak zwykle Jack, wiedziony próżną nadzieją, że to już koniec.

Ale Lottie nie skończyła.

- Boże, uchron, proszę, Alice przed jej skłonnościami...

- Czym?

- No wiesz, Jack... jej ciągotami - wyjaśniła Lottie. - Niewłaściwym dobozem przyjaciół.

- Aha.

- Niechaj sprawi, aby nie zrobiła sobie krzywdy - podjęła Lottie. - i niechaj błogosławi ziemię, po której stąpasz, Jacku Burns, abys miał świadomość czyhającego zewsząd zła. Obyś stał się mężczyzną, jakim powinienes być, a nie takim, jak większość mężczyzn.

- Amen - powtórzył chłopiec.

- Ja to powiem, a ty powtórzysz za mną - poleciła Lottie.

- No dobrze.

- Dziękuję, pani Wicksteed - szepnęła Lottie, zupełnie jakby to pani Wicksteed była Bogiem, do którego od początku wznosiła modły. - Amen.

- Amen.

Zdjęła łód z jego zdrętwiałej wargi. Lecz Jack ani myślał spać i zaraz po wyjściu Lottie przemaszerował do pokoju matki i wskoczył do jej łóżka, gdzie w końcu zasnął. (Nadmiar żywych wspomnień nie pozwolił mu od razu zapaść w sen).

Obudziła go noga matki, którą z kolei obudził T-shirt. Alice zapaliła światło, aby się lepiej przyjrzeć.

- Dlaczego masz na sobie ubranie Leslie, Jack? Czyżby Emma wykradała teraz matce koszulki?

„Leslie” - kolejna mała niespodzianka. Matka była w bliższej zażyłości z garderobą pani Oastler, niż się spodziewał. Ostrożnie wyjaśnił, że mama Emmy pożyczyła mu koszulkę, ponieważ jego własne ubranie było całe zakrwawione i musiała je odesłać do pralni, a koszulki Emmy byłyby za duże. Pokazał matce opuchniętą wargę, gdzie ukłuł się spinaczem, który usiłował zdjąć zębami.

- Myślałam, że masz więcej oleju w głowie - oświadczyła Alice.

Bardzo powoli i z jeszcze większą dozą ostrożności Jack dał jej do zrozumienia, że wie o tatuażu pani Oastler: z opisu Emmy wynikało, iż była to róża jerychońska, tłumaczył niezbyt przekonująco, ale z uwagi na miejsce, gdzie się znajdował, pani Oastler nie chciała mu go pokazać.

- Bardzo się dziwię - powiedziała Alice.

- Nie muszę oglądać kolejnej róży jerychońskiej - oznajmił Jack. (Co zabrzmiało jakoś zbyt niefrasobliwie nawet w jego uszach). - Cóż w niej niezwykłego?

- Miejsce, Jack. Znajduje się w szczególnym miejscu.

- Aha. - Uciekł spojrzeniem w bok. Jego matka była tak wytrawną kłamczuchą, że momentalnie poznawała się na łgarstwie.

- Nie każda kobieta goli włosy łonowe w taki sposób - ciągnęła Alice.

- Goli co?

- Włosy łonowe, Jack.

- Aha.

- Jeszcze ich nie masz, ale ci wyrosną.

- A ty golisz? - spytał Jack.

- Nie twój interes, młody człowieku - burknęła, ale widział, że płacze. Umilkł. - Leslie... dla ciebie pani Oastler... to bardzo... niezależna kobieta - podjęła Alice, jakby szykowała się do odczytania jakiegoś długiego i zawilego tekstu. - Ma za sobą ciężki rozwód, wiele przeszła, ale jest bardzo... bogata. Pragnie za wszelką cenę sprawować kontrolę nad tym, czego doświadcza. To bardzo... władczą kobietą.

- Jest jakby drobna... w każdym razie drobniejsza niż Emma - wtrącił Jack. (Nie miał pojęcia, do czego zmierza jego matka).

- Uważaj na panią Oastler, Jack.

- Uważam na Emmę - odpowiedział.

- Tak, na Emmę też powinieneś uważać - potwierdziła Alice. - Ale bardziej uważaj na panią Oastler.

- Dobrze.

- Nie szkodzi, że ci pokazała - dorzuciła jego matka. - Jestem pewna, że jej o to nie prosiłeś.

- Emma zrobiła to za mnie - wyjaśnił.

- Teraz opowiedz mi o wardze.

Jack stopniowo zaczynał rozumieć, że dorośli są lepsi w mydleniu oczu niż dzieci, i coraz bardziej do niego docierało, że matka wiele przed nim ukrywa. Na przykład kwestia

stanu zdrowia pani Wickstead: Jack wiedział o jej artretyzmie, ponieważ sama mu o tym powiedziała. Jednakże nikt nie poinformował go, że staruszka ma raka. Stało się to dopiero wtedy, gdy nie dźwignęła się z łóżka, aby zawiązać mu krawat. Lottie przekazała tę wiadomość jemu, a nie Alice. (Może matka była zbyt zajęta, może akurat miała na głowie tatuaż pani Oastler).

Nagle w domu nie było nikogo, kto umiałby zawiązać krawat, poza panią Wickstead, która umierała!

- Umiera na artretyzm? - spytał Jack.

- Nie, kochanie. Ma raka - powiedziała Lottie.

- Aha. - A więc to dlatego Lottie modliła się co wieczór o dłuższe życie dla pani Wickstead.

Tamtego dnia zawiązał Jackowi krawat Peewee. Był szoferem, każdego ranka wiązał swój. Uczynił to sprawnie, bez ceregieli, jakie urządzała zwykle pani Wickstead, nawet w czasach przed artretyzmem.

- Pani Wickstead umiera, Peewee.

- Wielka szkoda, stary. Co się stanie z kulawą staruszką?

A więc to dlatego Lottie modliła się, aby pozostać w Toronto aż do śmierci. Wszyscy łącznie z Peeweem wiedzieli, że nie chce wracać na Wyspę Księcia Edwarda.

Jackowi przyszło do głowy, że może każdy posiada ukrytą różę jerychońską. Nie zawsze widoczną, coś w rodzaju tatuażu za darmo. Niewidzialne dla oka piętno na całe życie.

13 • Niezwykła narzeczona na zamówienie

Powodowany troską o panią Wicksteed, Jack poprosił pannę Wurtz o zwolnienie z prób „Jane Eyre” na resztę tygodnia; bądź co bądź, rolę Rochesterą miał w małym palcu. (Innymi słowy, mógł ją zagrać po omacku). Zamiast Connie Turnbull w roli Jane wystąpiła Caroline French. Jack nigdy nie obejmował dziewczyny swojego wzrostu. Włosy Caroline wchodziły mu do ust, czego nie znosił. Kiedy emocje sięgały zenitu i Jack vel Rochester mówił Jane, iż zapewne uważa go za „bezbożnika”, Caroline przytupywała nerwowo. Jack widział oczami wyobraźni, jak Gordon, jej przygłupi brat bliźniak, za kulisami robi to samo. Kiedy zaś Caroline vel Jane chwyciła rękę Jacka vel Rochesterą i przyciskała ją do ust, Jack z obrzydzenia wyłaził ze skóry: Caroline miała lepkie i usta, i dłoń.

Chciał opuścić próby nie tylko z uwagi na rychły zgon pani Wicksteed, ale również zachowanie panny Wurtz, która przez cały tydzień bezustannie lała łzy. Matka zdradziła mu, że pani Wicksteed pomogła kiedyś pannie Wurtz wyjść „z dołka”. Jack nigdy nie zdołał ustalić, czy wytworna odzież panny Wurtz pochodziła z owego dołka (w narzeczonego przestał wierzyć). Uzyskał zwolnienie z prób. Odtąd Caroline French musiała sobie wyobrażać, że dusi go w swoim lepkiem uścisku.

Pani Wicksteed, która była hospitalizowana i przechodziła szereg badań, miała z jego obecności niewiele pożytku. Lottie zapewniła Jacka, iż lepiej, aby nie oglądał starszej pani w podobnym stanie. Alice, która zwykle nie zdradzała przed synem swoich uczuć, była wyraźnie zdruzgotana. Jeśli bowiem po śmierci pani Wicksteed Lottie nie pozostanie nic innego, jak wsiąść na statek płynący na Wyspę Księcia Edwarda, zakomunikowała Jackowi w półmroku sypialni, oni pójdą na bruk. Jack spytał, czy zamiast na bruku nie mogliby nocować u Chińczyka.

- Nie będę znowu spać na igłach - ucięła matka.

Czy rozwiedziona córka pani Wicksteed była do nich wrogo nastawiona? Zawsze patrzyła krzywym okiem na darmowych lokatorów matki, ale czyż nie przyjaźniła się z panią Oastler? Czy wraz z nią nie uczęszczała do Świętej Hildy? Skoro zaś Leslie i Alice również żyły w komitywie, Jack liczył na wstawiennictwo pani Oastler, na co Alice odparła, że stosunki między dwiema paniami ostatnio jakby się ochłodziły.

Było więc naturalne, że Jack zwrócił się o radę do Szarego Ducha, jednakże pani McQuat wiedziała coś, czego nie chciała mu zdradzić. Obstawiała za to przy wspólnych modlitwach w kaplicy. Na pytanie, czy Szaremu Duchowi udało się przekonać matkę, że chłopcy z KSW „zjedzą go żywcem”, pani McQuat udzieliła dość wymijającej odpowiedzi. Podobne wykręty nie licowały z dotychczasową rzeczowością byłej sanitariuszki.

- Może KSW... nie byłaby... taka zła, Jack.

„Nie byłaby”?

- Przepraszam, pani McQuat... - zaczął Jack.

- Jesteś trochę za... młody na szkołę z internatem... Jack... ale istnieją szkoły... głównie amerykańskie... gdzie internat to... norma.

- Norma?

Siedzieli w drugiej ławce, na lewo od nawy głównej, na wprost ołtarza skąpanego w złotym blasku, nad którym widniały cztery pochylone nad Chrystusem witrażowe postaci. Szczęściarz, obskakują go cztery babki! Pani McQuat położyła zimną dłoń na ramieniu Jacka i przyciągnęła go bliżej do siebie. Następnie musnęła suchymi wargami jego skroń. (Papierowy pocałunek, przeczytał kiedyś w scenariuszu Jack i mimo upływu wielu lat przypomniał sobie tę chwilę w kaplicy).

- Dla chłopca w twojej... sytuacji, Jack... odrobina niezależności... nie zaszkodzi.

- Odrobina czego?

- Porozmawiaj z matką, Jack.

Odprawiony z kwitkiem, Jack zwrócił się do Emmy Oastler. Emma oprowadzała go po domu na Forest Hill. Oglądali pokoje gościnne, gościnne „skrzydło”, jak mawiała pani Oastler. Były tam trzy sypialnie, każda z własną łazienką. Określenie „skrzydło” było nad wyraz adekwatne.

- Doprawdy nie wiem - mówiła Emma - dlaczego ty i twoja mama po prostu się tu nie wprowadzicie. To idiotyczne, że musisz wyjechać.

- Dokąd?

- Porozmawiaj ze swoją mamą. To jej pomysł. Uważa, że ty i ja to zabójcza mieszanka. Nie chce, żebyś przechodził okres dojrzewania w tym samym domu co ja.

- Przechodził co?

- Przecież nie musielibyśmy spać w tym samym pokoju - ciągnęła Emma, popychając go na największe z łóżek gościnnych. - Nasze matki mają mentalność rodem ze Świętej Hildy. Dziewczyna może oglądać chłopca, dopóki ten nie skończy dziewięciu lat. A potem chłopiec znika!

- Gdzie?

Emma dokonywała rutynowych oględzin penisa, co napawało ją pewną melancholią. Zsunąwszy Jackowi spodnie i bieliznę, oparła ciężką głowę na jego nagim udzie.

- Mam nową teorię - oznajmiła, jakby zwracała się do penisa. - Może wcale nie jesteś za mały. Może po prostu ja jestem za młoda... dla ciebie.

- Gdzie miałbym zniknąć? - ponowił pytanie Jack. - Dokąd mnie odsyłają?

- Do męskiej szkoły w Maine, ptysiu. To chyba dosyć daleko.

- Dosyć?

- Może krasnal lubi starsze kobiety bardziej, niż początkowo myślałam - perorowała Emma. W jej dłoni spoczywał nieruchomo penis Jacka. Jack jechał do Maine, a krasnal ewidentnie miał to w nosie. - Rozmawiałam z paroma dziewczynami z trzynastej i jedną z dwunastej klasy. Znają się na penisach - ciągnęła Emma. - Może będą mogły zaradzić?

- Czemu?

- Sę w tym, że mieszkają w internacie. A tam mogą wchodzić tylko dziewczyny, ptysiu.

Jack powinien wyczuć pismo nosem. Czyż nie mógł bez trudu stać się dziewczyną? Był ładny, jak zauważyła pani Oastler, na scenie zaś częściej występował w kobiecych aniżeli męskich rolach.

Wbrew życzeniom panny Wurtz niedawno otrzymał rolę kobiety w wystawianej przez starsze klasy sztuce „Naręczona na zamówienie na Terytoriach Północno-Zachodnich”, dziewiętnastowiecznym melodramacie, szczerze pogardzanym przez pannę Wurtz. Jackowi przypadła rola owej żalostnej, nieletniej naręczonej. Ze względu na tematykę (sztukę wystawiano rokrocznie tylko dla najstarszych uczennic) musiał uzyskać pozwolenie matki. Swoim zwyczajem Alice z miejsca wyraziła zgodę. Nie znała tej sztuki. Jako osoba, która dorastała poza Kanadą, w przeciwieństwie do swych kanadyjskich rówieśniczek (i rówieśniczek Emmy) nie musiała jej czytać.

W owych czasach, zwłaszcza u Świętej Hildy, starsze dziewczęta karmiono pożywną papką literatury kanadyjskiej. Panna Wurtz nie posiadała się z oburzenia, jak wiele powieści z kanonu światowego (które uwielbiała) masowo zastępowano na liście lektur płodami rodzimego ogródka. Lecz w przyływach łaskawości przyznawała, że Kanada wydała na świat wielu wybitnych pisarzy. (Robertson Davies, Alice Munro i Margaret Atwood należeli do jej ulubieńców). Po latach, kiedy wciąż wiodła z Jackiem spór na temat „Naręczonej na zamówienie”, poleciła mu w liście sięgnąć po „Wilderness Station” Alice Munro, pasjonującą opowieść o naręczonej na zamówienie. Za wszelką cenę usiłowała dać mu tym samym do zrozumienia, że nie neguje sztuki ze względu na jej tematykę.

Abigail Cooke, dramatopisarka, która nieszczęśliwie wyszła za mąż na Terytoriach Północno-Zachodnich, z pewnością nie należała do grona najwybitniejszych pisarzy

kanadyjskich. (Żadna z niej Alice Munro). To, że jej „Naręczona na zamówienie” była lekturą obowiązkową dla starszych klas w Świętej Hildzie, zdaniem panny Wurtz, wołało „o pomstę do nieba”, a fakt, że co roku wystawiano ją na szkolnej scenie był (według jej precyzyjnego określenia) „teatralną trawestacją”. Sztukę wydało małe, nieznanie wydawnictwo, wyspecjalizowane w klasyce. (Z nietypową dla siebie wulgarnością nazywała je „Bobrzy Penis Press”, przy czym od razu przeprosiła Jacka za słowo „penis”.) Przekonywała, że występ w takiej szmirze jest poniżej jego godności i oznacza nieuchronną kompromitację w oczach starszych dziewcząt.

Ku wielkiej uldze Jacka Szary Duch skwitowała te przestrogi przymrużeniem oka. Zgadzała się, że to szmira, „fantazje grafomanki i histeryczki”. W 1882 roku Abigail Cooke zamordowała rzekomo dręczącego ją męża, a następnie się zastrzeliła; sztukę znaną na strychu wydano pośmiertnie w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Absolwentki Świętej Hildy, do których należała pani Wicksteed, uważały autorkę za prekursorkę feminizmu.

Pani McQuat zakomunikowała Jackowi, iż jedyną godną uwagi rolę - rolę tytułowej narzeczonej na zamówienie - otrzymał on sam. Szary Duch wychodziła z założenia, że dzięki temu będzie mógł sięgnąć po „swobodniejsze” środki wyrazu, przez co miała na myśli, że reżyserem nie będzie panna Wurtz. Wyrocznią w dziedzinie sztuk dramatycznych był w liceum pan Ramsey, jeden z dwóch (obok pana Malcolma) nauczycieli płci męskiej w Świętej Hildzie. Był on „zaprzysiężonym” starym kawalerem. Przy wzroście niesięgającym metra sześćdziesięciu centymetrów, z jasną, kanciasto przyciętą brodą i długimi blond włosami, które upodabniały go do małego wikinga, pan Ramsey był o ponad głowę niższy od wielu uczennic starszych klas i (w wielu wypadkach) o jakieś pięć do siedmiu kilogramów lżejszy. Mówił piskliwie jak dziewczyna i kipiał niespożytym entuzjazmem. Był zagorzałym sojusznikiem młodych kobiet i starsze uczennice wprost za nim przepadały.

W szkole męskiej, a nawet koedukacyjnej, pan Ramsey byłby zapewne wyszydzany i poniewierany, lecz u Świętej Hildy jego ewidentny homoseksualizm nie robił większego wrażenia. Gdyby ktoś z uczniów odważył się nazwać go „ciotą”, „pedałem” lub użyć innej obelgi, powszechnie używanej w szkołach, starsze dziewczęta stłukłyby delikwenta na kwaśne jabłko, i to całkiem słusznie.

Bez względu na krępujące upodobanie pana Ramseya do „Narzeczonej na zamówienie” jego obecność wniosła w życie Jacka powiew świeżości: był to jego pierwszy naprawdę twórczy reżyser.

- Czy to ten Jack Burns? Cóż za niewątpliwy zaszczyt! - wykrzyknął na pierwszej próbie pan Ramsey, witając chłopca z otwartymi ramionami. - Spójrzcie na niego! - zawołał do starszych dziewcząt, które bynajmniej nie potrzebowały zachęty. - Czyż ta młoda oblubienica nie złamie nam wszystkim serc? Czyż nie taka właśnie niewinność i zjawiskowa uroda ściągnęła na wiele naręczonych ich zgubny los?

Jack znał znaczenie słowa „los”, grał przecież Tessę. „Naręczona na zamówienie” była opowieścią niepomnie skromniejszego kalibru, choć (jak słusznie zauważył pan Ramsey) jej mała bohaterka skutecznie łamała serca dorastających (i często rozhisteryzowanych) dziewcząt.

Na dziewiczych terytoriach północnego zachodu, zamieszkałych przez niewielu osadników, pionierska społeczność złożona z rybaków i traperów, przekazuje pokaźną sumkę („na bilety”) firmie wysyłkowej pod nazwą „Naręczone ze Wschodu”. Nieszczęsne naręczone wybiera się spośród sierot z Quebecu, które nie mają co liczyć na adopcję; większość z nich nawet nie zna angielskiego. W momencie wysłania na północny wschód wiele z dziewcząt znajduje się dopiero u progu okresu dojrzewania. Rzecz dzieje się w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku, dziewczęta czeka długa i ciężka podróż. Zakłada się, że kiedy przybędą na miejsce, większość z nich osiągnie wiek kwalifikujący je do zawarcia

małżeństwa. Zresztą rybacy i traperzy wcale nie wymagają pełnoletności. Jak zaznacza na wstępie pan Halliday, jeden z głównych bohaterów i przysły małżonek Jacka: „Proszę o młódkę. Czy to jasne?”.

Cztery młode dziewczęta kierują się na zachód w towarzystwie okrutnej przy-zwoitki, Madame Auber, która sprzedaje jedną z nich kowalowi w Manitobie, inną zaś hodowcy bydła w Albercie. Obie nieszczęsnice władają tylko językiem francuskim. Madame Auber, chociaż sama jest Francuzką, darzy je bezgraniczną pogardą. Z dwóch dziewcząt, które docierają na Terytoria Północno-Zachodnie, Sarah, dwujęzyczna jękała, traci cnotę z mężem w psim zaprzęgu, po czym gubi się w zamieci i zamarza na śmierć.

Jack gra tę drugą, której udaje się przeżyć. Słodka Jenny modli się o przesunięcie daty pierwszej miesiączki. Wie, że kiedy zacznie krwawić, będzie wystarczająco dorosła do zawarcia małżeństwa, przynajmniej w prymitywnym mniemaniu pana Hallidaya. Za sprawą modlitwy Jenny osiąga swój cel. To właśnie ta część sztuki nasunęła konieczność uzyskania zgody Alice oraz wizyty u higienistki, gdzie pielęgniarka szkolna, młoda panna Bell, uświadomiła Jackowi szereg „życiowych faktów”. Były to wszelako jedynie fakty związane z dziewczętami, wśród których na plan pierwszy wysuwała się menstruacja.

Mając na koncie oględziny dwóch pochw jednego dnia, Jack bynajmniej nie zdziwił się na wieść, że owo sekretne miejsce doświadcza comiesięcznego krwawienia. Lecz wyobraźcie sobie jego konsternację wskutek błędnego założenia, że to samo zjawisko spowoduje kiedyś plamy na jego pościeli, jak sugerowała Emma Oastler. Jeśli Jack dobrze się orientował, jego penis jeszcze nie „popuścił”; myśl, że miałby „popuścić” krew, wzbudziła w nim zrozumiały popłoch.

Pomyłka Jacka wywołała z kolei panikę pielęgniarki. Panna Bell nieraz omawiała z dziewczętami kwestię pierwszej miesiączki i mimo skrępowania towarzyszącego jej w rozmowie z dziewięciolatkiem przynajmniej miała do tego przygotowanie. Jednakże dziedzina nocnych ejakulacji wykraczała poza kwalifikacje panny Bell. Pielęgniarka była wstrząśnięta, że Jack myli wytrysk z menstruacją, nie wiedziała jednak, jak wyprowadzić go z błędu.

- Najprawdopodobniej pierwszy raz dojdzie do tego podczas snu, Jack. Nawet nie poczujesz.

- Do czego?

Panna Bell była młoda i gorliwa. Jack opuścił jej gabinet bogatszy o informacje, których wcale od niego nie wymagano. Perspektywa pierwszego „mokrego snu” wzbudziła w nim niekłamana groźbę. Termin „nocna ejakulacja” nasuwał skojarzenie z czymś, co czaiło się w jaskini nietoperzy Muzeum Królewskiego w Ontario. A to, że Jack „nawet nie poczuje”, oznaczało, że chłopiec niepostrzeżenie wykrwawi się na śmierć!

Rolę pana Hallidaya, przyszłego męża Jacka, odgrywała najpotężniejsza z trzynastoklasistek, Virginia Jarvis. Ginny Jarvis była wykapanym traperem. Wielka, a zarazem kobieca w stylu Emmy Oastler i Charlotte Barford, ale starsza. Miała bujniejszy wąsik niż Emma, stanik zaś pani Oastler z całą pewnością byłby na nią za mały. Przed pierwszą próbą Emma poinformowała Jacka, że Ginny Jarvis jest jedną z dwu trzynastoklasistek, które znają się na penisach. Drugą była przyjaciółka Ginny, Penny Hamilton, która dostała rolę okrutnej przyzwoitki, Madame Auber. (Penny mieszkała jakiś czas w Montrealu i jej francuski akcent był zabójczy. Wszyscy w Toronto uważali go za przezabawny).

Co do dwunastoklasistki, która (według Emmy) była trzecią znawczynią penisów i również mieszkała w internacie, była nią Bonnie, młodsza siostra Penny. Penny Hamilton była ładna i doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Bonnie Hamilton miała wypadek samochodowy i mimo licznych operacji nie przestała utykać. (Kulała gorzej niż Lottie). Nieodwracalne zmiany w miednicy spowodowały, że ciągnęła za sobą prawą nogę niczym

worek kartofli. Jack uważał jej ułomność za pociągającą, lecz Bonnie była przeciwnego zdania.

Bonnie Hamilton nie występowała w „Narzeczonej na zamówienie”; odmawiała udziału w sztukach ze względu na swoją nogę. Mimo to Jackowi podobała się bardziej niż Penny. Podczas prób widywał ją tylko w pozycji siedzącej. Była suflerem. Siedząc na składanym metalowym krześle, ze scenariuszem na kolanach, Bonnie trzymała w pogotowiu ołówek, którym zapisywała pomyłki. Oczywiście, siedząc, nie kulała.

Podczas pierwszej próby, kiedy Ginny Jarvis vel pan Halliday pyta Jacka vel Słodką Jenny, czy już „miała krwawienie”, za sprawą brutalności tych słów na scenie zapadła krępująca cisza.

- Wiem, wiem, to niewybaczalne pytanie, ale o to chodzi - powiedział pan Ramsey.

Jack odpowiedział zgodnie ze scenariuszem; opanował już tekst. Bonnie Hamilton nie musiała mu podpowiadać. „O co panu chodzi? - krzyczy Jenny. - Jakie krwawienie?”. Lecz doskonale wie, w czym rzecz.

Halliday traci cierpliwość. Nie może uwierzyć, że przemiana dziecka w kobietę trwa tak długo. Któregoś wieczoru, kiedy Jack vel Jenny nuci nostalgiczną pieśń, siedząc na huśtawce na werandzie, Ginny vel Halliday atakuje go/ją zniecka. Bystra Jenny zapobiegliwie wykradła pistolet Madame Auber, czyli rekwizyt wypożyczony przez pana Ramseya od drużyny lekkoatletycznej KSW. Był to pistolet startowy na ślepe naboje. Pod koniec aktu drugiego Jenny celuje w pierś pana Hallidaya i oddaje dwa hałaśliwe strzały, na co Ginny Jarvis - gwiazda szkolnej drużyny hokeja na trawie - pada na scenę z atletycznym łoskotem.

W akcie trzecim Jenny staje przed sądem pod zarzutem morderstwa. Jej linia obrony polega na tym, że jako dziecko została zmuszona do małżeństwa z traperem i nadal jest dziewczicą. Oskarżyciel podważa prawdziwość „cudu”, czyli rzekomy brak krwawienia miesięczkowego. Jenny odmawia poddania się badaniu przez lokalnego cyrulika, ponieważ jest on mężczyzną. Garstka mieszkanki społeczności (w ławie przysięgłych zasiadają tylko dwie) przyjmuje jej odmowę ze zrozumieniem. (Gardzą cyrulikiem).

Los Jenny spoczywa w rękach lekarki wezwanej z Yellowknife. Jednakże przed jej przyjazdem Jenny zostaje ocalona przez kolejny cud, który również zdarza się za sprawą modlitwy. Podczas składania zeznań na temat okoliczności śmierci pana Hallidaya Jenny nieoczekiwanie zrywa się z miejsca, krzyczy i dostaje okresu. Tutaj posłużono się rekwizytem zmyślniejszym niż pistolet drużyny lekkoatletycznej KSW. Jack ma pod suknią plastikowy worek z wodą i czerwonym barwnikiem spożywczym. Jego ręce są związane na wysokości pasa. Wstając gwałtownie łapie się za podbrzusze, jakby w przyływie bólu, i dziurawi worek, którego zawartość rozlewa się po sukience.

Preraźliwy krzyk Słodkiej Jenny przekonuje przysięgłych, że to jej pierwsza miesiączka. Jednym słowem, dziewczyna mówiła prawdę. Jest niewinna. Koniec procesu! Lecz Jack użył worka (napelnionego czystą wodą) przed premierą tylko raz. Był jednak zdania, że więcej praktyki by nie zaszkodziło.

Po próbie kostiumowej Emma Oastler, Penny i Bonnie Hamilton oraz Ginny Jarvis przebrały za kulisami Jacka w mundurek świeżnięty jednej z wyższych szóstoklasistek: krótką szarą spódnicę i podkolanówki. Chłopiec miał już zrobiony makijaż (odrobina różu i szminka, która okazała się nieco bardziej jaskrawa niż w świetle reflektorów), trzeba było tylko poprawić perukę, którą nosił jako Słodka Jenny. W obstawie Penny Hamilton i Emmy, z Ginny Jarvis na czele oraz Bonnie Hamilton (jak zwykle w towarzystwie chromej nogi) zamykającą pochód, Jack vel szóstoklasistka pomaszerował prosto do internatu dziewcząt. Wejście znajdujące się na pierwszym piętrze szkoły podstawowej było po lekcjach niestrzeżone.

Siostry Hamilton mieszkały razem w pokoju. Ginny Jarvis zajmowała lokum naprzeciwko. W drzwiach pokoi nie było zamków, jednakże przelożona zaglądała do

podopiecznych dopiero po kolacji, gdy należało sprawdzić, czy pilnie przygotowują się do lekcji. Dziewczęta poprosiły Jacka, żeby się położył na łóżku. Musiał mieć przestraszona minę, gdyż Emma nachyliła się i szepnęła mu do ucha:

- Głowa do góry, ptysiu, nie pozwolę nikomu cię dotykać.

Lecz pozostałe dziewczęta były starsze od Emmy i Jack przeraził się nie na żarty.

- Która z nas najbardziej ci się podoba, Jack? - zapytała Ginny Jarvis. Jej pełen obojętnej rezygnacji ton dobitnie świadczył o przekonaniu, iż to nie na nią padnie wybór.

Penny Hamilton natrętnie świdrowała go wzrokiem. Bonnie Hamilton nie patrzyła na Jacka; stała w pewnej odległości od łóżka, z lewą stopą wysuniętą do przodu.

- Uważam, że Bonnie jest piękna - oznajmił Jack.

- Widzicie? - powiedziała Ginny, zwracając się do koleżanek. - Nigdy nie wiadomo, co ich kręci.

Jack widział, że Penny jest wściekła, co dodatkowo spotęgowało jego strach.

- Podejdź bliżej, Bonnie - zakomenderowała Ginny. - Niech cię obejrzy dokładnie.

Bonnie ruszyła naprzód, stawiając najpierw lewą nogę. Jack przestraszył się, że upadnie, ona jednak uklękła obok niego i dla równowagi wsparła obie dłonie na jego piersi. W dalszym ciągu unikała jego wzroku. Następnie przeniosła ręce na swoje uda i utkwiała wzrok w podolku, owym niezawodnym suflerze, jakby czekała, aż jej podrzuci kwestię. Jack poczuł się skrępowany swym natrętnym spojrzeniem. Czuł, że Ginny Jarvis unosi jego spódnicę i opuszcza mu majtki. Przynajmniej wydawało mu się, że to Ginny: Penny Hamilton nadal była zbyt wkurzona. Nikt go nie dotykał.

- Ale mały - zauważyła Penny.

- Co się dzieje? - zapytał Emmę.

- Nic, ptysiu. Bez obaw.

- Mniej niż nic - wtrąciła Penny Hamilton.

- Jest przestraszony. Tak nie można - odezwała się Bonnie Hamilton. - Jest za młody. To jeszcze dziecko! - Pochyliła się nad Jackiem. Spojrzała na niego niczym na scenariusz, jak gdyby twarz chłopca kryła mapę i tylko Bonnie Hamilton mogła wskazać na niej właściwą drogę.

Wyobraźnia podsunęła Jackowi możliwe szczegóły jej wypadku. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że fizyczna atrakcyjność, a nawet pożądanie, to nie tylko sprawa idealnego ciała bądź doskonale symetrycznej twarzy. Pociągała go świadomość przeszłości Bonnie, jej traumatycznych przeżyć. Pociągała go jej ułomność. To było gorsze niż trafnie określona przez Emmę obsesja na punkcie starszych kobiet. W oczach Jacka skaza Bonnie stanowiła jej atut, a cierpienie dziewczyny czyniło ją godną pożądania. Ostatnia myśl przyprawiła go o taki wstrząs, że zaczął płakać.

- Widywałam już takie stany - mówiła Ginny Jarvis.

- Może jest uśpiony czy coś w tym rodzaju - podsunęła Penny Hamilton.

- Nie pozwól im się zastraszyć, Jack - powiedziała Bonnie Hamilton.

Zdumiał się, ponieważ to ona wyglądała na zdrętwiałą ze strachu, jakby tkwiła zakleszczona na siedzeniu pasażera i w przeciwieństwie do kierowcy przeczuwała mające nastąpić lada chwila zderzenie. Przygryzła dolną wargę i patrzyła na Jacka jak urzeczona, jakby to on był owym zderzeniem, a ona podążała prosto na jego spotkanie, nie mogąc zawrócić z raz obranej drogi.

- Co się stało? - zapytał. - Co widzisz?

Oczy Bonnie wezbrały łzami.

- Nie płacz nad nim, Bonnie. To ty go straszysz - powiedziała Penny Hamilton.

- Coś drgnęło - zakomunikowała Ginny Jarvis. - Może to przez ten płacz.

- Płacz, Bonnie. Zobaczmy, czy to coś pomoże - poleciła siostrze Penny.

- Jeśli Jack się boi, powinniśmy dać spokój - wtrąciła Emma.

- To Bonnie się boi. - Penny zaśmiała się.

- Jeśli Bonnie się boi, powinniśmy przestać - oznajmił Jack. Nie był pewien, co w ogóle zaczęli. Bonnie Hamilton wyglądała na przerażoną. Zastanawiał się zaniepokojony, co takiego ją przeraziło.

- Chłopiec się boi! - wykrzyknęła Bonnie.

- Jestem przy tobie, ptysiu - uspokoiła go Emma. Nachyliwszy się nad Jackiem, pocałowała go w usta.

Potem nie pamiętał, czy z językiem, za bardzo skupił się na jej górnej wardze. To chyba wąsik sprawił, że Jack wstrzymał oddech.

- Całuj go, Emmo - poleciła Ginny Jarvis.

- Coś zdecydowanie drgnęło - uściśliła Penny Hamilton.

Chłopiec dosłownie przestał oddychać. Zobaczył wirujące gwiazdy, cętkowaną lunę północnych światła: aurora borealis, emisję świetlną, uwielbianą przez wszystkich Kanadyjczyków.

- Lepiej daj mu złapać oddech, Emmo - usłyszał słowa Bonnie Hamilton.

- Rany! Uwaga! - krzyknęła Ginny Jarvis.

Strumień spermy trafił Penny Hamilton, która pochyliła się niżej, jak się okazało, zbyt nisko. (I pomyśleć, że nikt go nie dotyka!).

- Trafiłeś ją między oczy, ptysiu - oznajmiła później Emma. - Jestem z ciebie taka dumna! Miałam wyrzuty sumienia, kiedy się przestraszyłeś. Niech te dziewczyszka trzymają się z daleka. Sama się o ciebie zatroszczy.

Tymczasem Bonnie Hamilton nadal spoglądała Jackowi w oczy.

- A ty co widzisz? - zapytała. - Co tam takiego jest, Jack?

- Jesteś najpiękniejsza z nich wszystkich - odpowiedział, nabierając tchu.

- On bredzi - oświadczyła bezlitośnie Emma, lecz Bonnie puściła jej słowa mimo uszu i dalej wpatrywała się w Jacka.

Penny z furią wycierała czoło płóciem chusteczek. Oczywiście Jack chciał zobaczyć krew.

- Jaką krew, ptysiu?

- Ten idiota uważa się za Słodką Jenny! - zawołała Ginny Jarvis. - Chłopcy są naprawdę porąbani.

Emma Oastler wzięła go za rękę. Opuścili pokój, wymykając się z internatu tą samą drogą, którą przyszli. Wrócili do teatru, gdzie Jack z powrotem przebrał się za kulisami we własną odzież. Chciał poćwiczyć dziurawienie worka, ale pan Ramsey poszedł już do domu.

Jack i Emma zastali w lincolnie śpiącego szofera. Pojechali do domu na rogu Lowther i Spadina, ponieważ Lottie spędzała większość czasu w szpitalu, gdzie, według jej określenia, pani Wickstead znajdowała się „u wrót śmierci”, Alice zaś siedziała albo u Chińczyka, albo u pani Oastler. Jack był wzruszony wsparciem Emmy i obietnicą, że obroni go przed starszymi dziewczętami. Pytanie, na jak długo. Czyż nie wyjeżdżał wkrótce do Maine? (Kto obroni go przed starszymi chłopcami?).

Kolejny powód do niepokoju stanowił fakt, że począwszy od jedenastej klasy, Emma miała zamieszkać w internacie. Jack nie wiedział dlaczego. Emma mieszkała przecież w domu. Chodziła do szkoły pieszo!

- Mama nie chce, żebym się jej kręciła pod nosem - wyjaśniła Emma. Perspektywa zamieszkania w internacie potęgowała jej tradycyjnie zły humor.

Poszli do pokoju Jacka, gdzie Emma przystąpiła do oględzin krasnala.

- Ani śladu zużycia - zakomunikowała. - Pewnie nie pamiętasz, co wtedy myślałeś?

Jack przypominał sobie z trudem, że nie oddychał, lecz owa kosmiczna i niemal przedśmiertna ejakulacja skłoniła go do rozważań, czy pani Wickstead też wkrótce ujrzy emisję świetlną. Próbował również wyjaśnić Emmie, co spodobało mu się w Bonnie

Hamilton: nie tylko jej kalectwo, lecz otaczająca ją aura cierpienia. Nie potrafił opisać jej spojrzenia; było w nim absolutne oczarowanie, chociaż może sama o tym nie wiedziała.

Usiłował przedyskutować tę kwestię z Szarym Duchem, rzecz jasna, nie informując jej przy tym o przedśmiertnej ejakulacji w internacie dziewcząt.

- To była jedna ze starszych uczennic? - zapytała pani McQuat. - Mówisz, że jak na ciebie patrzyła?

- Jakby nie była w stanie odwrócić wzroku - odpowiedział.

- Powiedz mi, kto to był, Jack.

- Bonnie Hamilton.

- Ona chodzi do dwunastej klasy!

- Mówiłem pani, że jest starsza.

- Jack, jeśli spojrzysz tak na ciebie starsza dziewczyna, po prostu odwróć wzrok.

- A jeśli sam nie będę się czuł na siłach?

- Litości! - zawołała pani McQuat. - Jak przedstawienie? - zapytała, sądząc, że zmienia temat.

- Trudna sprawa z tą krwią - odparł.

- W tym roku mają krew, prawdziwą krew?

- Wodę z barwnikiem, taki rekwizyt.

- Rekwizyt! Chyba wolę krew, kiedy muszę ją sobie wyobrazić. Chyba powinnam zamienić słówko z panem Ramseyem.

Nawet jeśli rzeczywiście porozmawiała z panem Ramseyem, podczas premiery „Narzeczonej na zamówienie” nic na to nie wskazywało. W sobotni wieczór szkolny teatr pękał w szwach. Ku zdumieniu Jacka na widowni zasiadła nie tylko Wurtz, ale Szary Duch zajęła miejsce w pierwszym rzędzie obok niej. Może pani McQuat wierzyła, że jej aprobata zrekompensuje zjadliwą krytykę ze strony młodszej koleżanki.

Co jeszcze dziwniejsze, w pierwszym rzędzie usiadła również Alice, która przybyła z panią Oastler i Emmą. (Jack wiedział, że Lottie trzyma wartę przy śmiertelnym łożu pani Wickstead, inaczej też by przyszła). A co najdziwniejsze, był tam również Peewee! Musiał podsłuchać, jak Emma i Jack rozmawiali o przedstawieniu na tylnym siedzeniu lincolna. Towarzyszyła mu zjawiskowo piękna Murzynka. Peewee miał żonę lub narzeczoną! Kimkolwiek była, jej wizytowy strój zdecydowanie wyróżniał ją na tle rozwidzionych matek i ojców, którzy stanowili większość publiczności na spektaklach w Świętej Hildzie. „Pani” Peewee miała na sobie kwiecistą suknię z przepastnym dekoltem, a jej kapeluszyk przypominał wypchaną papugę.

Publiczność zaiste robiła piorunujące wrażenie, zwłaszcza na tle tego, co Jack widywał na przedstawieniach panny Wurtz. Jednakże część obsady cierpiała z powodu tremy. Penny Hamilton vel Madame Auber, której akcent robił w Toronto istną furorę, podczas wkładania kostiumu nikczemnej przyzwoitki dostała ataku wściekłości. (Spoglądając wstecz, Jack dochodził do wniosku, że Penny przypominała sobie lądujący na jej czole kleks spermy).

Sandra Stewart, mała jak na swój wiek dziewięcioklasistka, grała Sarah, dwujęzyczną jąkałą, która zamierza na śmierć po utracie cnoty w psim zaprzęgu. Sandra zwymiotowała za kulisami, co pan Ramsey skwitował następująco: „Motylki”.

- To chyba coś poważniejszego niż motylki - powiedziała Ginny Jarvis vel pan Halliday spocona jak mysz w swoim kostiumie trapera. (Oczywiście Jack myślał, że oboje nawiązują do zawartości wymiocin Sandry).

Podczas dwóch pierwszych aktów Jack zerkał ukradkiem na Bonnie Hamilton, której oczy ani razu nie napotkały jego wzroku. Kilkakrotnie omiótł zza kulis spojrzeniem widownię. Peewee najwyraźniej świetnie się bawił. Pani Peewee zdjęła z głowy papuzi kapeluszyk. Wurtz łypała spode łba i co chwila mamrotała coś do pani McQuat. Twarz Szarego Ducha pozostawała tradycyjnie nieprzenikniona. Pani Oastler nie kryła znudzenia: w swoim

emocjonującym życiu widziała zapewne niejedną znacznie lepszą sztukę. Emma wierciła się jak najęta; uczestniczyła w większości prób i ciekawiło ją jedynie to, co się stanie z krwią.

Kiedy Jack vel Słodka Jenny zastrzelił Ginny vel Hallidaya z pistoletu startowego, Peewee skoczył na równe nogi, wyrzucając pięści w powietrze. (Panna Wurtz przezornie zasłoniła uszy rękami). Alice, która nie znając sztuki, miała blade pojęcie o jej tematyce, wyglądała na lekko zaniepokojoną. Gdy huknął strzał, drgnęła, jakby sama znajdowała się na linii ognia.

Na koniec drugiego aktu opuszczono kurtynę; lampy oświetliły widownię. Jednakże Jack bez reszty skupił uwagę na pierwszym rzędzie. Peewee nadal był przejęty strzelaniną. Emma żuła gumę. Panna Wurtz niewątpliwie przedstawiała milczącej pani McQuat wyczerpującą krytykę przedstawienia oraz tematyki związanej z menstruacją. Alice i pani Oastler trzymały się za ręce.

Dlaczego to robią, zastanawiał się Jack. Często widywał podobny gest wśród Dunek i innych Europejek, lecz - nie licząc niektórych dziewcząt od Świętej Hildy - w Kanadzie było to niecodzienne zjawisko. Młode kobiety i dziewczęta czasem trzymały się za ręce, ale nie kobiety w wieku Alice i pani Oastler. Co więcej, matka Emmy zdjęła buty i gładziła stopą (mniejszą od stopy córki) gołą łydkę Alice. Jack obserwował je z osłupieniem. W przeciwieństwie do Emmy jeszcze nie rozumiał, dlaczego jego matka i pani Oastler wołały zamieszkać same w wielkim domu; rzekome „problemy wychowawcze” były tu jedynie zasłoną dymną.

Pan Ramsey przerwał Jackowi obserwację widowni: nadeszła pora na zainstalowanie worka z krwią i założenie procesowej szaty Jenny. Być może Jack miał przypominać Joannę d'Arc, chociaż (pomimo pierwszej miesiączki na scenie) i tak był w o niebo lepszej sytuacji. Szata przypominała włosienicę w kolorze ziemniaka. Zgodnie z zapewnieniem pana Ramseya, na tak neutralnym tle krew powinna być bardzo widoczna. Plastikowy worek, który przy każdym ruchu płaskał o brzuch Jacka, początkowo wydawał się nader kłopotliwy. Wprawdzie nie był duży, ale pan Ramsey drżał, że wzbudzi bezpodstawne podejrzenia o ciążę. Nauczyciel poluzował nieco węzeł, aby spuścić nadmiar powietrza. Właśnie to mogło spowodować lekki przeciek, który zwrócił uwagę Jacka, dopiero gdy zasiadł na ławie oskarżonych. Najpierw uznał, że się poci. Jednakże strużka na jego nodze nie była potem, lecz krwią, a raczej wodą z czerwonym barwnikiem spożywczym. Pomny kosmicznej ejakulacji, Jack przestraszył się, że krwawi mu penis. Kiedy zrozumiał, że to worek, zastanawiał się, czy zostanie w nim dość „krwi” na scenę kulminacyjną.

Po występie pan Ramsey chwalał Jacka za świetne „przygotowanie” i „fantazję artystyczną”. Chłopiec kulił się na ławie oskarżonych, jakby przeczuwał nadchodzący okres. Ale tak właśnie było!

Jenny zająknęła się podczas składania zeznań, co pan Ramsey miał określić mianem „genialnego posunięcia”, które jednakże sprawiło, że Bonnie Hamilton czujnie podniosła oczy z podółka i rzuciła Jackowi vel Jenny zatroskane spojrzenie. (Jack odczytał swoją kwestię z ruchu jej warg). Wyczuł też rosnące napięcie publiczności; miał nadzieję, że nikt nie dostrzeże strużki krwi. Nikt oprócz Peeweego. Biedak nie należał do częstych bywalców teatru; zjawiał się z czystej sympatii do Jacka. Nie znał się na rekwizytach: pistolet kompletnie zbił go z pantafyku. A teraz jeszcze krew (nerwowe napięcie, dolegliwości hemoroidalne, zdradziecki cios którejs z starszych dziewcząt?!). Kiedy Jacka od sceny kulminacyjnej dzieliło zaledwie kilka zdań, Peewee zerwał się z krzesła i wycelował palcem w chłopca.

- Jack, ty krwawisz, stary! - zawołał.

Zdarzyło się coś, przed czym najbardziej drżała Wurtz: improwizacja. Ku nieopisanej konsternacji Bonnie Hamilton Jack spontanicznie postanowił okroić pozostałe zeznania. Krwawił. Czyż krew i jego reakcja nie były najlepszymi świadkami? Zerwawszy się na równe nogi, rąbnął obiema pięściami w worek. Ubytek „krwi” był większy, niż przewidywał,

sflaczały worek ani myślał tak łatwo pęknąć. Słodka Jenny zapamiętała tłukła się po brzuchu. W pewnej chwili przesadziła i Jack aż zgiął się wpół pod własnym nadspodziewanie silnym ciosem. Worek pękł z głośnym trzaskiem, pod kartoflaną suknią rozlała się krew.

- Zrobisz sobie krzywdę, stary! - wrzasnął Peewee.

Jednakże Jack osiągnął stan, kiedy jednoosobowe audytorium o władnęło nim bez reszty. Krzyczał wniebogłose. Wyrzucił w górę ociekające krwią, spętane ręce; krew kapnęła mu na twarz. Pierwsza i długo powstrzymywana menstruacja nieoczekiwanie przybrała formę śmiertelnego krwotoku. Ktoś z ławy przysięgłych (jedna z dwu kobiet) miał zauważyć, że to z całą pewnością pierwszy okres Jenny, lecz Jack nie dosłyszał tych słów. Publiczność też ich pewnie nie dosłyszała. Nawet Bonnie chwilowo wypadła z roli suflera. Jack wrzeszczał jak opętany.

Odsyłają go do Maine! Do wytrysku doprowadziło go nie tylko cierpienie Bonnie Hamilton, lecz także długotrwałe zauroczenie wąsikiem Emmy Oastler, a brak tchu w czasie pocałunku mało nie pozbawił go życia! Pani Wicksteed umierała. Lottie odpłynęła na Wyspę Księcia Edwarda. Świat Jacka ponownie ulegał zmianie. Chłopiec nie mógł przestać krzyczeć. Stracił tyle krwi, ile kobieta traci podczas niejednego, lecz pięciu pierwszych okresów!

Na zachwyconej twarzy panny Wurtz malował się wyraz uwielbienia: literacki snobizm nie pozwolił jej docenić ani improwizacyjnych talentów Jacka, ani teatralnego potencjału „Narzeczonej na zamówienie”. Pozostali członkowie trupy zamarli. Sandra Stewart ponownie zwymiotowała za kulisami. (Ginny Jarvis vel zamordowany pan Halliday stwierdziła, że to sprawka Jacka).

Emma zastygła z otwartymi ustami. Nawet pani Oastler wydawała się pod wrażeniem. Pani Peewee ścisnęła kapelusz, jakby dusiła papugę. Jack odnotował resztką świadomości, że Peewee wpada na scenę i śpieszy mu z pomocą. A on dalej wrzeszczał i krwawił. Dopiero widok matki pomógł mu nieco oprzytomnieć.

Ostatnio przechodziła istną gehennę. Niedawno złapała Jacka na tym, jak usiłuje wypatrzeć pod kołdrą jej bliznę po cesarce. W półmroku była niewidoczna. Jak potem tłumaczył, ciekawiło go, czy jest pionowa, czy też pozioma, jak u Leslie Oastler.

- Nie twoja sprawa, Jack! - krzyknęła mama. Ale dlaczego tak się zdenerwowała?

Siedząc w pierwszym rzędzie widowni szkolnego teatru, Alice być może przypominała sobie tę krępującą chwilę lub rozmyślała o rychłym odejściu pani Wicksteed i wyjeździe Lottie. (Albo o przyszłości: na przykład o przeprowadzce do pani Oastler).

Pomimo ogarniającego go ferworu Jack uświadomił sobie, że matka bywa w teatrze równie rzadko jak Peewee. Mogła sobie myśleć, że już widziała go, jak „gra”, lecz rzeczywistość przerosła jej najśmielsze oczekiwania. Podobnie jak Emma, zastygła z otwartymi ustami, z pięściami uniesionymi do skroni i zaciśniętymi kolanami, jakby sama chciała powstrzymać krwawienie. Jack krzyczał, dlatego nie usłyszał jej płaczu. Zobaczył, jak łzy płyną jej po policzkach. Szlochała bez opamiętania, wpadła w istną histerię. Pani Oastler próbowała ją uspokoić. Emma oderwała spojrzenie od Jacka i przeniosła je na jego matkę.

- Nic mi nie jest - powiedział Jack do Peeweego, który podniósł go z podłogi i domagał się wezwania lekarza. - To tylko przedstawienie, Peewee!

- Stary, straciłeś masę krwi! - przekonywał Peewee, ale Jack wpatrywał się w matkę.

- Och, Jackie, Jackie! - wołała. - Przepraszam, Jackie! Tak bardzo przepraszam!

- Nic się nie stało, mamó - usiłował ją uspokoić, ale ona nie słyszała.

Oklaski przeszły w owację na stojąco. (Nawet Wurtz klaskała). Cały zespół dołączył na scenie do Peeweego i Jacka. Mieli się uklonić, ale Peewee nie puszczał Jacka.

- To tylko woda z barwnikiem - szepnął Jack szoferowi do ucha. - Taki rekwizyt. Ja nie krwawię.

- Kurwa, stary - zdenerwował się Peewee. - No to co mam zrobić?

- Ukłoń się - podpowiedział chłopiec.

Wciąż trzymając na rękach Jenny vel Jacka, szofer zastosował się do jego polecenia.

W poniedziałek pan Ramsey wypytywał, czy Peewee nie chciałby wziąć udziału w pozostałych spektaklach, lecz szoferowi niezbyt się to uśmiechało. (Po latach miał wyznać Jackowi, że nigdy nie doszedł do siebie po incydencie z krwawieniem).

Jack zobaczył, jak Szary Duch materializuje się u boku jego matki. Dzielną sanitariuszka próbowała uspokoić Alice, ale nawet ona nic nie wskórała. Szloch Alice zginął w ogólnym zamieszaniu, ale Jack wciąż widział zapłakaną twarz matki. Bez przerwy wypowiadała jego imię, powtarzając, jak bardzo jej przykro.

Jack zamierzał ją spytać, czy przejdą na garnuszek pani Oastler, a tak a propos, to czy zrobiła już matce Emmy darmowy tatuaż? Lecz widok załamanej matki skutecznie odebrał mu ochotę do tych dociekań. I choć nie pojmował więzi łączącej Alice z panią Oastler, wyciągnął wniosek, że nic na tym świecie (nic wartościowego) nie jest za darmo.

Gdyby nie aplauz i opuszczenie kurtyny, Jack rozwrzeszczałby się na nowo. Peewee, który nie wypuszczał go z objęć, zrazu wziął kurtynę za kolejną nieprzewidzianą katastrofę, po czym odetchnął i pogratulował chłopcu występu, a następnie postawił go na ziemi.

- Jacku Burns! - wołał pan Ramsey. - Każda narzeczona na zamówienie ma u ciebie dług wdzięczności!

Jack zobaczył w jego ręku aparat; nauczyciel pstryknął zdjęcie.

- Możesz do mnie strzelać, kiedy przyjdzie ci na to ochota, Jack! - ryknęła mu do ucha Ginny Jarvis.

Usłyszała to Penny Hamilton, której czoło miało kiedyś pecha znaleźć się na linii ognia.

- Jasne, Jack - powiedziała. - Wszystko wskazuje na to, że nie strzelasz ślepekami.

- Słucham?

- Zostaw go w spokoju - rzuciła Emma. Jakoś dostała się za kulisy i otoczyła Jacka opiekuńczym ramieniem.

Jack ujrzał również twarz, która miała go prześladować w przyszłości. Bonnie Hamilton obserwowała go z daleka, jakby jej serce mogło nie wytrzymać jakiegokolwiek fizycznej z nim bliskości. Zadanie suflera dobiegło końca, lecz Jack wciąż czytał z jej drżących warg.

- Widzisz? - szepnął do ucha Emmie. - Widzisz, jak Bonnie na mnie patrzy? Właśnie to miałem na myśli.

Ale Emma nie usłyszała, zbyt pochłonięta odganianiem starszych dziewcząt.

- Wiesz co, ptysiu? - mówiła. - Może twój wyjazd do Maine to wcale nie taki zły pomysł.

- Co takiego?

Musiał jeszcze zmyć makijaż sceniczny, o krwi nie wspominając. Pan Ramsey, mały wiking, aż podskakiwał z emocji.

- A już myślałem, że Abigail Cooke to przeżytek - mówił do panny Wurtz, która przysłała za kulisy z gratulacjami (i łzami w oczach).

Zjawiły się też dawne przyjaciółki Emmy, Wendy Holton i Charlotte Barford.

- Gdybym miała taki okres, chyba umarła - oznajmiła Wendy.

Charlotte łypała na Jacka jak na zapomnianą przystawkę.

Wbrew swym okazałym gabarytom (o udziale w sztuce nie wspominając) Peewee ulotnił się niepostrzeżenie. W panującym za kulisami miłym chaosie rozpacz Alice zesłała w świadomości Jacka na dalszy plan. Miał jednakże sumienie nazwiskiem McQuat. Nagłe wejście Szarego Ducha tradycyjnie odebrało chłopcu dech. Gdyby została w nim choć kropla krwi, na nowo zaczęłoby krwawić, a gdyby jego gardło nie wyschło od krzyku, rozwrzeszczałby się ponownie, ale głośniej.

Jack wracał do domu z Emmą.

- Spisz u mnie, ptysiu! - zdecydowała.

Poszła po swoją matkę, która czekała na zewnątrz z Alice. Jack został sam. Umknęła nawet jego ukochana suflerka, której kalectwo wyjątkowo przeszło niezauważone.

Wtedy to pojawiła się Szary Duch. Lodowate dłonie ujęły przeguby chłopca dokładnie w tym samym miejsce, gdzie przed chwilą krępowały je więzy.

- Udany występ, Jack - wionął szept pani McQuat. - Ale przed tobą nie lada zadanie. I nie mam tu na myśli... teatru - dodała.

- Jakie zadanie? - spytał.

- Opiekuj się matką, Jack. Inaczej będziesz sobie potem robił... wyrzuty.

- Ach tak. - (Ciekawe, jak miał się nią opiekować? I dlaczego?). Ale Szary Duch, która prawie nigdy nie wypadła z roli, znikła jak kamfora.

On sam po latach doszedł do wniosku, że kulisy to mroczne i samotne miejsce. Trudno nazwać Jacka narzeczoną na zamówienie, lecz nie ulegało wątpliwości, że występ w krwawej produkcji pana Ramsey'a zadecydował o jego przyszłej karierze.

14 • Pani Machado

Z zasady chłopcy nie uczestniczyli w zjazdach absolwentów Świętej Hildy. Ostatecznie ktoś, kto właściwie nie ukończył szkoły, nie zasługiwał na miano absolwenta, oni zaś opuszczali mury uczelni po czwartym roku nauki, i to bez większych fajerwerków.

Lucinda Fleming była niez mordowaną organizatorką takich zjazdów. Maureen Yap, której nazwisko po mężu pozostało dla wszystkich zagadką, przyjeżdżała regularnie, podobnie jak siostry Booth, jak zwykle nierozłączne. Święteczne listy Lucindy nigdy nie zawierały informacji o cmoktaniu bliźniaczek. (Jack zastanawiał się, czy nadal to robią).

Caroline French nie przyjeżdżała. Jeśli nadal od czasu do czasu lubiła sobie potupać, czyniła to w pojedynkę. Gordon, jej bliźniaczy adwersarz, zginął w wypadku na łodzi, niedługo po opuszczeniu Świętej Hildy, kiedy Jack przeniósł się do innej szkoły. Jack odkrył, że człowiek potrafi tęsknić za kimś, kogo prawie nie znał, a nawet niespecjalnie lubił.

W ostatni dzień w szkole wiosną 1975 roku Emma Oastler i pani McQuat odprowadziły go do lincolna, sumiennie podstawionego pod wejście na Rosseter Road. Ostatnim życzeniem pani Wicksteed było, aby Peewee pozostał szoferem Jacka aż do zakończenia edukacji u Świętej Hildy.

Emma i Jack swoim zwyczajem wsunęli się na tylne siedzenie. Peeweemu łyzy lśniły w oczach. Jego życie również miało się zmienić; po śmierci pani Wicksteed i nagłym wyjeździe Lottie na Wyspę Księcia Edwarda właściwie już uległo zmianie. Szary Duch wsunęła głowę przez otwarte okno, a chłodna dłoń musnęła policzek Jacka niczym zapowiedź zimy w samym sercu wiosny.

- Możesz... do mnie napisać, Jack - powiedziała. - Bardzo cię o to.. .proszę.

- Dobrze, pani McQuat - odparł chłopiec.

Kiedy samochód ruszał z miejsca, Peewee wciąż szlochał.

- Do mnie też napisz, ptysiu - odezwała się Emma.

- Pilnuj swojej dupy, stary - załkał Peewee. - Lepiej wyhoduj sobie oczy z tyłu głowy, żebyś mógł jej lepiej pilnować!

Jack bez słowa siedział na tylnym siedzeniu, zupełnie jak w drodze na pogrzeb i z pogrzebu pani Wicksteed. Jego matka powtarzała bez przerwy, że w tym roku „nie będzie wakacji”. Postanowiła, że musi przygotować Jacka do pobytu w nowej szkole.

- Musisz się nauczyć, jak sobie radzić z chłopcami, Jack.

Alice, której niewiara w tężyznę fizyczną syna była wprawdzie przesadna, acz bliska prawdy, poprosiła o pomoc czterech dawnych klientów. Mieli oni wprowadzić chłopca w tajniki samoobrony. Wybór najlepszej metody należał oczywiście do Jacka.

Trzech spośród wspomnianych mężczyzn pochodziło ze Związku Radzieckiego: jeden z Ukrainy, a dwóch z Białorusi. Byli zapaśnikami. Czwarty był tajskim kickbokserem, dawnym czempionem i Misterem Bangkoku o pseudonimie Krung. Mister Bangkoku i zapaśnik z Ukrainy (nazywał się Szewczenko, lecz Alice mówiła na niego „Czenko”) byli starszymi, łysymi mężczyznami. Krung miał na policzkach wytatuowane szewrony, a na czaszce Czenki jeżył się wilk. (Gdy Czenko kłaniał się przeciwnikowi, wilk niezbyt zachęcająco szczyrzył kły).

- Tatuaz ukraiński, jak mniemam. - Alice nie kryła niesmaku.

Szewrony Krunga też były rodem z jego ojczyzny. Na klatkach piersiowych obu mężczyzn widniały złamane serca. Nikt nie musiał Jackowi mówić, spod czyjej wyszły ręki.

Stara siłownia przy Bathurst Street była uczęszczana raczej przez kickbokserów niż zapaśników. Zasadniczą klientelę stanowili czarni i Azjaci, ale znalazło się też kilku Portugalczyków oraz Włochów. Dwaj chłopcy z Białorusi byli taksówkarzami urodzonymi w

Mińsku - „mińszczaki”, jak nazywał ich Czenko. Borys Ginkiewicz i Paweł Markiewicz mieli skromne tatuaże, ale byli dobrymi zapaśnikami i ćwiczyli pod fachowym okiem Czenki.

Tatuaże Borysa i Pawła znajdowały się w miejscach typowych dla zapaśników: wysoko na plecach między łopatkami, tak aby były widoczne nad strojem. Borys wytatuował sobie na szczęście chińską literę, w której Jack rozpoznał jeden z nowszych wzorów matki. Między łopatkami Pawła widniał przyrząd chirurgiczny (imadło): wąski, ostro zakończony haczyk z rączką. Paweł wyjaśnił Jackowi, że służy on go podważania i przytrzymywania arterii.

Na ścianach starej siłowni pyszniły się szablony Alice i Chińczyka; było to jedno z pierwszych miejsc w Toronto, gdzie znajdowały się reklamy salonu tatuażu Chińczyka. Złamane serca Alice wisiały nawet na lustrach, w szatni zaś umieszczono Zgubę Mężczyzny, jednakże ogólnie dominowały tu chińskie znaki i symbole. Jack rozpoznał symbol długowieczności oraz pięć nietoperzy oznaczających pięć fortun. Był tam również atrybut Chińczyka, krótki miecz o wymowie: „wszystko wedle życzenia”.

Jack powiedział mamie, że to jego ulubiony wzór. „Daj spokój”, odrzekła. Podobał mu się też cedrat, znany pod nazwą Ręki Buddy, wytatuowany na udzie Krunga przez Alice lub Chińczyka.

W starej siłowni znajdowały się również wzory przedstawiające jelenia i szczęśliwą cyfrę sześć oraz symbol peonii, chińska waza i karp przeskakujący nad smoczymi wrotami. Smocze wrota to wodospad, karp zaś skacze w górę strumienia, pod prąd, dzięki czemu zostaje smokiem. Był to tatuaż na całe plecy, a jego wykonanie trwało dni, a czasami tygodnie. Alice twierdziła, że ludzie z wytatuowanymi plecami marzną szczególnie dotkliwie, lecz Mistrz Ole nie przyznawał jej racji. Jego zdaniem, dotyczyło to ludzi z tatuażami od stóp do głów, chociaż nie zawsze.

Jack widział również boginię księżycy oraz tak zwaną królową matkę zachodu: według tajskiej legendy dysponowała mocą obdarzania ludzi nieśmiertelnością. No i chiński symbol podwójnego szczęścia: Alice odmawiała jego tatuowania, gdyż był to synonim małżeństwa, w które przestała wierzyć.

W siłowni znajdował się kiedyś sklep z dywanami. Duża witryna, wychodząca na Bathursts Street, przyciągała co ciekawszych przechodniów. Lekcje kickboxingu u dawnego Mistera Bangkoku sływały w całej okolicy. Pomimo szewronów na policzkach i Ręki Buddy na udzie Krung był bardzo lubianym nauczycielem. Lekcje odbywały się na kilku poziomach. Jack oczywiście zapisał się do grupy dla początkujących, a z uwagi na jego wiek oraz drobną budowę najbardziej odpowiednimi dlań przeciwnikami sparingowymi były kobiety.

Matka oddała go w fachowe ręce Mistera Bangkoku (a ściślej mówiąc, jego fachowe stopy), tak aby Jack nauczył się obrony przed klasowymi osiłkami, których nie brakuje w żadnej szkole. Jednakże Jack raz jeszcze znalazł się w sytuacji, gdy jego najbardziej niebezpiecznymi adwersarzami były starsze kobiety. Kiedy niebacznie zagadnął Murzynkę z wielkim zadkiem, czy zna jego kumpla Peeweego, ta spojrzała nań z niemą pogroźką w oczach. Ucieszył się, że jest za duża, by stanąć z nim w szranki na macie.

Jego partnerką została pani Machado, czterdziestokilkuletnia Portugalka, która nie omieszkła poinformować Jacka, że jej dorosłe dzieci „poszły na swoje”, pozostawiając ją na pastwę byłego męża. Musiała ciągle zmieniać zamki w drzwiach. Pomimo rozwodu były mąż nadal domagał się od niej wypełniania obowiązków małżeńskich. A że bez przerwy nachodził ją w mieszkaniu, bił i zmuszał do seksu, pani Machado postanowiła nauczyć się samoobrony.

Pozostałe uczestniczki kursu Krunga, z podobnych pobudek jak pani Machado, wykazywały szczególne zainteresowanie opanowaniem skutecznego kopnięcia w krocze. (Co w przypadku Jacka oznaczało, że pani Machado kopała go w okolice gardła i klatki piersiowej). Zdaniem byłego Mistera Bangkoku, było to „nieczyste” zagranie, lecz zarówno Jack, jak i panie z kursu dla początkujących bynajmniej nie kierowali się względami

moralności. Jeśli chłopak miał się stać obiektem złości osiłków, opanowanie tego manewru mogło się okazać niezbędne.

Pani Machado stanowiła prawdziwe wyzwanie. Niska i przysadzista, o sztywnych czarnych włosach i wahadłowych, obwisłych piersiach, blokowała większość jego ciosów potężnymi udami albo stawiała bokiem, przyjmując razy masywnymi biodrami. Chociaż nie była wysoka, Jack był jeszcze niższy. Mierzył metr czterdzieści z kawałkiem, ważył sporo poniżej czterdziestu kilogramów. Pani Machado miała niecałe metr sześćdziesiąt, ważyła prawie siedemdziesiąt kilo. Umiała kopać znacznie mocniej niż on.

- Powinniście spróbować zapasów - radził mu Czenko. - Chociaż lepiej, żebyś nie znalazł się pod spodem.

Czenko szanował Krunga oraz garstkę innych utalentowanych kickbokserów, jednakże pogardzał kobietami z kursu dla początkujących, w tym również panią Machado. Umiała kopać, ale brakowało jej zwinności. Zdaniem Czenki, za pomocą kopniaków nigdy nie obroni się przed byłym mężem. Musiałaby unieruchomić go pierwszym ciosem; jeśli chybi, będzie po walce. Czenko uważał, że powinna spróbować zapasów.

Co do samoobrony Jacka, w mniemaniu Czenki chłopiec niewiele wskóra (czy to w zapasach, czy kickboxingu), dopóki trochę nie urośnie i nie przytyje.

- Twoja matka wyrzuca pieniądze w błoto - oznajmił Jackowi po tygodniu.

Czyż nie były to jednak pieniądze pani Oastler? (Jack podejrzewał, że matka

Emmy ma poczucie dobrze ulokowanego kapitału). Leslie Oastler odwoziła go do siłowni na Bathrust Street, zanim Alice wstawała rano z łóżka. Jack spędzał tam cały dzień. Wymieniał kopniaki z panią Machado, ćwiczył pięciominutowe podskoki na jednej nodze i nieustannie rozciągał mięśnie, a wszystko to w celu opanowania techniki wymierzania kopnięć powyżej wysokości własnego ramienia bez jednoczesnej utraty równowagi.

Pomagał Czenke rozkładać maty, dezynfekował je i wycierał do sucha. Przynosił ćwiczącym czyste ręczniki, butelki z wodą mineralną oraz ćwiartki pomarańczy. Kiedy po południu zjawiali się mińszczaki, Jack siadał na macie obok Czenki i obserwował ich zmagania. Borys i Paweł ważyli tyle, co pani Machado, byli jednak szczupli: dwaj twardzi taksówkarze w okolicach trzydziestki. Uszy Czenki przypominały dwa rozpląszczone kalafiora, za to głowy Borysa i Pawła zdawały się wyrastać bezpośrednio z karków, ich brwi były jedną wielką blizną, a uszy przywodziły na myśl kawałki surowego ciasta.

Jack nauczył się podstaw zapasów, głównie technik samoobrony. Krawat, uchwyt za ramię i głowę z przodu, nelson, chwyt z góry za rękę i głowę w parterze. Borys był mistrzem naciągnięcia, a Paweł nurka i młynka. Czenko lubił wysoki odwrotny pas, ale Borys i Paweł preferowali uchwyt za nogę od zewnątrz. Czenko był zwolennikiem suplesu bocznego, ale tylko wówczas gdy przeciwnik był mniej więcej tego samego wzrostu. W siłowni nie było nikogo o wzroście zbliżonym do Jacka. W zapasach nie miał odpowiedniego dla siebie przeciwnika, ograniczał się więc do suchego treningu z Czenką, Pawłem i Borysem.

Czasami, kiedy pani Machado odrobiła swą porcję kopnięć w okolicy gardła i klatki piersiowej Jacka, chłopiec prosił, żeby „pokulała się” z nim na macie. Z uwagi na swój wzrost nie nadawała się do suplesu, Jack mógł jednak cały dzień robić młynek, co uważała za bardzo frustrujące, a kiedy udawało mu się rzucić ją na matę, kładł się na niej w poprzek. Wtedy była bez szans.

Dla równowagi Czenko nauczył ją chwytu za kark: gdy rzucała chłopca na czworaki, wtedy on był bez szans. (Przygważdżała go wówczas przewagą ponad trzydziestu kilogramów, dysząc ciężko.) „Ha!”, wołała, dopinając swego. Podobny okrzyk wydawała, wymierzając swoje najlepsze kopnięcia w krocze.

Nawet jeśli Jack czynił postępy w dziedzinie technik samoobrony, nie miał możliwości, by to sprawdzić. Emma siłowała się z nim każdego wieczora, na sofie lub dywanie w dużym pokoju, w sypialni bądź jednym z pokoi gościnnych, do których wprowadził się na lato Jack z

matką. W wieku siedemnastu lat była wyższa i cięższa od pani Machado. Bez trudu kładła Jacka na łopatki. W konfrontacji z Emmą każda z metod samoobrony spełzała na niczym, co skutecznie podkopywało jego morale.

W połowie czerwca pani Oastler wysłała Emmę na obóz odchudzający w Kalifornii. „Farmę dla grubasów”, jak dosadnie ujęła to sama Emma. Jack nigdy nie uważał jej za grubaskę, ale pani Oastler owszem. Pojawienie się smukłej i atrakcyjnej matki Jacka mogło wpędzić dziewczynę w dodatkowe kompleksy, chociaż Alice wcale nie była tak szczupłą jak pani Oastler.

Obóz miał trwać dwa tygodnie (biedna Emma), podczas których pieczę nad Jackiem przejęła pani Machado. Podawała mu kolację i opiekowała się nim do powrotu matki i pani Oastler (który następował na długo po tym, jak kładła chłopca spać). Tym sposobem jego partner z maty zyskał rolę niani, czyli marnej namiastki Lottie.

Przed pójściem spać Jack ćwiczył trochę z panią Machado - bez „wykończenia akcji”, jak powiedziałyby Czenko - po czym Portugalka kładła go do łóżka i wychodziła, pozostawiając drzwi otwarte na oścież i zapalone światło na końcu korytarza. Często przed zaśnięciem słyszał, jak pani Machado rozmawia przez telefon. Rozmawiała w swoim ojczystym języku, pewnie z jednym z dorosłych dzieci, które „poszło na swoje”. Musiało mieszkać w Toronto; sądząc po czasie ich trwania, były to z pewnością rozmowy lokalne. Często kończyły się płaczem pani Machado.

Jack zasypiał przy wtórze jej szlochów, podczas gdy przemierzała na bosaka piękne pokoje posiadłości Oastlerów. Czasami jej stopy ślizgały się z piskiem na drewnianej podłodze, kiedy podnosiła nogę ponad wysokość ramienia. Jack domyślał się wtedy, że kopie wyimaginowanego byłego męża tudzież innego napastnika. Dobrze znał to ćwiczenie - i towarzyszące mu odgłosy.

Jednej z pierwszych ciepłych, letnich nocy pod koniec czerwca tupanie i zawodzenia pani Machado wybijały się ponad szum wiatraka na suficie. (Poza częścią dla gości dom był klimatyzowany). Alice kupiła Jackowi na lato kilka par tak zwanych letnich piżam, czyli po prostu pierwsze bokserki. Były na niego trochę za duże.

Chłopiec wstał z łóżka ubrany w kraciaste spodenki, wiszące mu do kolan. Kratka była stosownie utrzymana w brązowo-szarej tonacji, czyli barwach Świętej Hildy. Podążył w stronę światła na korytarzu skrzydła gościnnego i poszedł na dół pocieszyć panią Machado. Widział, jak krąży po frontowym holu, obskakując staroświecki zegar. Podziwiał perfekcyjne wygięcie wyrzuconej w powietrze nogi; stopa znajdowała się pod kątem prostym do kostki, niczym rozdęta głowa kobry.

Jack powinien był coś powiedzieć lub przynajmniej odchrząknąć, lecz pani Machado była tak skupiona, że milczał w obawie, że ją przestraszy. Ciężki, zwieńczony szlochom oddech zagłuszył jego kroki. Łzy zalewały jej twarz i pociła się obficie; czarny podkoszulek wysunął się z błękitnych szortów treningowych, a gdy balansowała na lewej stopie (którą Krung określał mianem „osiowej”), piersi solidarnie kołysały się na boki.

Musiała dostrzec częściowe odbicie Jacka w szybcie zegara - półnagi mężczyzna, jej wzrostu lub nieco niższy, zachodził ją od tyłu. Jack znajdował się wówczas na drugim lub trzecim stopniu, dlatego błędnie oszacowała jego wzrost. (A może po prostu były mąż również nachodził ją w częściowym negliżu). Nagły pisk stopy osiowej zatrzymał chłopca w miejscu. Jej cios w krocze zachwyciłby Mistera Bangoku bez względu na jego dezaprobatę wobec podobnych manewrów. Ponieważ Jack stał na schodach, stopa Portugalki dosięgła go niżej, niż się spodziewał, lądując prosto na jądrach. „Ha!”, wykrzyknęła pani Machado.

Jack skurczył się w swoich bokserkach do rozmiaru orzeszka i w pozycji embrionalnej legł na podłodze. Jądra, które w jego mniemaniu osiągnęły rozmiar grejpfrutów, dosłownie podeszły mu do gardła.

- Ach! Ach! Ach! - wołała pani Machado, wciąż podskakując na jednej nodze.

Jack pragnął umrzeć albo przynajmniej zwymiotować, lecz nie zanosił się na żadną z tych opcji.

- Priędko biegnę po lód, duuuuzio lodu! - krzyczała z kuchni pani Machado.

Pomogła chłopcu wstać i prawie zaniósła go na górę, trzymając w zębach dyndający woreczek z lodem.

- Jack, Jack, mój biedny Jack! - cedziła przez zaciśnięte zęby.

Rozłożywszy ręcznik na jego łóżku, pomogła mu zdjąć bokserki. Oswojony z podobną sytuacją, Jack bardziej martwił się o lód, niż wstydził. Lichy rozmiar jego penisa wyraźnie zbił panią Machado z tropu. Może miała córki. (A jeśli synów, pewnie zapomniała, że w dzieciństwie posiadali małe fiutki i jąderka).

- Mniejszi? - zapytała niespokojnie.

- Mniejszy niż co?

- Mniejszy niż bił?

Jack obrzucił zmaltretowany członek pośpiesznym spojrzeniem, ale wszystko wyglądało po staremu. Bolały go jądra, a penis zapewne skurczył się na samą myśl o lodzie, którym obłożyła go pani Machado.

- Zimno - zakomunikował. - Boli jeszcze bardziej.

- Zaraz pszistanie, Jack.

- Aha. Ile to potrwa?

- Pintaście minut.

To dość czasu, aby go zamrozić, uznał w duchu Jack.

- Czy już to pani kiedyś robiła? - spytał.

- Nie w tyn sposób.

Jackowi było tak zimno, że zaczął płakać. Pani Machado położyła się obok i kołysała go w ramionach, nucąc przy tym portugalską piosenkę. Po upływie dziesięciu minut Jack wciąż dygotał, ale przynajmniej przestał szcząkać zębami. Pani Machado położyła się na nim, by go ogrzać; jej wielkie piersi spoczywały między nimi jak poducha.

- Tyż czuje tyn lód - oznajmiła po chwili. - Nie jest tak źle.

Ból ustąpił; chłopiec miał zdrętwiałe jądra i w ogóle nie czuł penisa.

Po piętnastu minutach pani Machado zdjęła woreczek z lodem. Jack aż bał się spojrzeć, w obawie że jego organ skurczył się do niewidzialności. Nasłuchiwał, jak pani Machado wlewa do umywalki rozpuszczony lód. Następnie wróciła do pokoju i usiadła na łóżku.

- Czirwony - zauważyła.

- Nie mam czucia. Chyba umarł - odpowiedział Jack.

Kobieta delikatnie poklepała penis ręcznikiem.

- Zara ożije - uspokoiła.

Jack czuł przez tkaninę ciepło jej ręki. Portugalka siedziała zwrócona do niego profilem. Sztwyne czarne włosy miała ściągnięte do tyłu w zmierzwiony kucyk, fryzurę „do walki”. Jack zwrócił uwagę na sflaczałą skórę jej podbródka i szyi; piersi wisały jej aż do grubej talii. Nigdy nie grzeszyła urodą. Lecz gdy człowiek ma dziesięć lat i kobieta trzyma jego penis, nie liczy się nic więcej.

- Oho! - zawołała pani Machado, odsuwając ręcznik. - Pan Członek ożył i ma duuuuzie plany!

Krasnal nie przywykł do tak czułego traktowania. (Zwykle napotykał dezaprobatę, a nawet ostrą krytykę). Pochlebiony uwagą pani Machado w mgnieniu oka odzyskał wigor, wykazując przy tym strzelistą determinację bohatera wojennego.

- Drogi panie! - wykrzyknęła pani Machado. - Coś chce, czy tylko się popisuje?

Oczywiście penisy zawsze czegoś chcą, ale w wieku dziesięciu lat Jack nie bardzo umiał to określić. Jednakże pani Machado najwidoczniej posiadała dar czytania w myślach.

- Co mu chodzi po głowie? - spytała, zwracając się do krasnala.

- Nie wiem, pani Machado - odparł Jack zgodnie z prawdą.

Musnął dłonią jej biodro, całkowicie przypadkowo, lecz w odpowiedzi pani Machado nieprzypadkowo napała nań wspomnianym biodrem, przygważdżając mu rękę do boku. Jednym szybkim ruchem sięgnęła do tyłu i rozpuściła włosy, które zakryły jej twarz, kiedy pochyliła się nad członkiem, owiewając go swym oddechem.

- Chiba wiem, czego chce - oznajmiła.

Kiedy wsunęła penis do ust, Jack poczuł na brzuchu ciężar jej piersi. Spoglądając wstecz, miał dojść do wniosku, że począwszy od tamtej chwili, jego penis cechowała pewna lekkomyślność. Chłopiec machinalnie poruszył biodrami, lecz towarzyszące temu doznania nie w pełni zasługiwały na miano rozkoszy. (Drżał, że pani Machado go połknie!).

- Co się dzieje? - zapytał.

Być może Czenko nie miał racji, podejrzewając panią Machado o brak zwinności, ponieważ przesunęła ciężar ciała i zmieniła pozycję tak nagle, że Jack nawet nie zdążył zareagować. Pani Machado wprawdzie nie była iluzjonistką, lecz Jack nie zauważył, kiedy zdjęła koszulkę i stanik; moment wyswobodzenia się z szortów i majtek również umknął jego uwagi. Dostrzegł w przelocie włochate krocze: włochate w porównaniu z tym, co widział u Emmy i pani Oastler. Jeśli zaś matczyną różę jerychońską cechowała logika artystyczna - innymi słowy, kwiat wewnątrz róży zawsze wyglądał tak samo - Jack zrozumiał (w chwili gdy pani Machado go dosiadła), że pierwowzór może przybierać zgoła skrajne postacie. Owe pierwsze doświadczenia ukształtowały go tak dalece, że odtąd miał wychodzić z założenia, iż każda pochwa jest jedyna w swoim rodzaju.

Kiedy pani Machado dosiadła go okrakiem, ściskając udami jego biodra, ponowił pytanie, tym razem z większym naciskiem.

- Co się dzieje? - Gdyby nie znał misternych fałd, ukrytych w róży jerychońskiej, zapewne przeraziłby się bardziej (kiedy pani Machado delikatnie wprowadziła penis do pochwy). Przynajmniej wiedział, dokąd zmierza. Bał się tylko, że reszta ciała podąży jego śladem.

Nadal odczuwał mimowolną chęć poruszania biodrami, lecz pani Machado dosłownie unieruchomiła go swoim ciężarem. Strużka potu spłynęła między jej piersiami, które okalały twarz chłopca z obu stron.

- Pan Członek będzie płakać, Jack - wyjaśniła.

- Jak to? - wydusił zza piersi.

- Łzami radości, mój mały - uzupełniła pani Machado.

Jack znał to powiedzenie, jednakże w kontekście penisa wydało mu się alarmujące.

- Nie chcę, żeby płakał - zaoponował.

- Tylko chwilka, kochanie. Nic się nie bój, to nie boli.

Łatwo powiedzieć. (Czyż Czenko nie ostrzegwał Jacka, że skończy pod panią Machado?).

- Boję się, pani Machado! - krzyknął.

- Już prawie, Jack.

Chłopiec poczuł, jak coś z niego uchodzi. Gdyby spróbował opisać to uczucie Szaremu Duchowi, powiedziałyby mu, że stracił duszę. Opuściło go coś istotnego, czyniąc to tak niepostrzeżenie, jak zwykle dzieje się w dzieciństwie. Przez następne lata Jack wyobrażał sobie, iż to właśnie w tamtej chwili mimowolnie odwrócił się plecami do Boga. A może to tylko Bóg się wymknął, korzystając z jego nieuwagi.

- Co to było? - zapytał panią Machado, która wreszcie przestała się o niego ocierać.

- Łzy radości. Twój pierwszy raz.

Ścisłe rzecz biorąc, wcale nie pierwszy. (Jego pierwsze łzy radości trafiły Penny Hamilton w czoło).

- Drugi - zakomunikował pani Machado. - Ale za pierwszy razem przestałem oddychać. Teraz było lepiej.

- Ha! - zawołała pani Machado. - Nie oszukasz mnie!

Jack nie próbował polemizować. Kiedy ważąca siedemdziesiąt kilo kobieta przygniata cię swym ciężarem, tracisz ochotę do dyskusji. Zresztą urzeczony patrzył, jak pani Machado się ubiera. Robiła to niemalże od niechcienia, zwłaszcza biorąc pod uwagę tempo, w jakim się rozebrała. Nie zmieniając pozycji, włożyła stanik i koszulkę, po czym musiała zejść z Jacka, żeby wciągnąć majtki oraz błękitne szorty gimnastyczne.

Na łóżku znajdowała się mokra plama, którą pani Machado wytarła ręcznikiem. Ręcznik zaniósła do prania, a następnie napelniła do połowy wannę, przykazując Jackowi, aby się umył, zwracając szczególną uwagę na Pana Członka. Jeszcze w kąpieli chłopcu towarzyszył silny, nieznanый zapach. Najdziwniejsze w nim było to, iż Jack nie potrafił określić, czy przypadł mu on do gustu, czy też nie.

Kiedy wrócił do łóżka, plama wciąż jeszcze była wilgotna. Pani Machado przyniosła mu czyste bokserki. Położył się, nie na plamie, ale dość blisko, aby dosięgnąć jej ręką. Była zimna i Jacka przeszedł dreszcz, jak gdyby klęczał na kamiennej podłodze zwrócony plecami do Boga, albo jakby jedna z kobiet towarzyszących Jezusowi zstąpiła z witraża i wślizgnęła mu się do łóżka.

Wiedział, że jest święta, ponieważ była niewidzialna. Pani Machado jej nie dostrzegала, lecz Jack wyczuwał zimno płynące z nienamacalnego ciała, twardego niczym kamienna posadzka kaplicy i nietykalnego jak witraż, z którego kobieta pochodziła.

- Niech pani nie odchodzi - szepnął do pani Machado.

- Pora spać, złotko.

- Proszę zostać! - błagał chłopiec.

Jack czuł niezachwianą pewność, że święta tylko czeka, aż pani Machado wyjdzie z pokoju. Nie wiedział, jakie plany ma wobec niego. Ponownie dotknął zimnej plamy, lecz nie odważył się sięgnąć dalej w obawie, na co natrafi jego ręka.

- Jutro się posiłujemy - perorowała pani Machado. - Bez kopania, tylko zapasy!

- Boję się - powiedział Jack.

- Boli, złotko?

- Co?

- Pan Członek.

- Nie, ale jest jakiś inny.

- A jak! Pan Członek ma sekret.

- Jaki sekret?

- To nasz sekret, złotko.

- Aha.

Czy zgodził się dzielić tajemnicę pani Machado? Poczuł, że święta odpływa w niebyt, a może odpłynął tylko on sam. Powróciła na witraż? (A może to odpłynęło jego dzieciństwo?).

- Boa noite - szepnęła po portugalsku pani Machado.

- Słucham?

- Dobranoc, złotko.

- Dobranoc, pani Machado.

Stała na progu, oświetlona lampą zapaloną na drugim końcu korytarza skrzydła gościnnego. Widok jej tęgiej, masywnej sylwetki nasunął Jackowi wspomnienie słów Czenki, który zauważył, że pani Machado stoi jak niedźwiedź na tylnych łapach, któremu wygodniej byłoby na czworakach.

- Boa noite, Panie Członek - wionął jeszcze z korytarza jej szept, memento łączącej ich tajemnicy.

Jack nie spał dobrze, dręczony snami. Czyżby się obawiał, że święta z witraża znów wślizgnie się do jego łóżka, czy może raczej tego, że odwróciła się doń plecami, podobnie jak on postąpił wobec Boga?

Wiedział, że matka i pani Oastler wróciły do domu; nie obudził się wprawdzie, kiedy weszła do pokoju i go pocałowała (twierdziła, że robi to każdej nocy), zauważył jedynie, że zmieniło się światło na korytarzu. Zgasła lampa na drugim końcu holu, lecz drzwi do pokoju matki były otwarte na oścież i Jack dostrzegał bladą poświatę łazienkowej jarzeniówki. Światło w jego łazience też było zapalone i nad podłogą rysowała się cienka, wyraźna kreska blasku.

Jack uświadomił sobie ponadto, że miał mokry sen: pierwsza plama wprawdzie wyschła, lecz obok niej znajdowała się druga, wilgotna i jeszcze ciepła. Kolejne łączyły radości. Może Jackowi śniła się pani Machado. Zastanawiał się, czy powie o śnie Emmie, która wyczekiwała go od tak dawna. (Zastanawiał się też, czy powie komukolwiek o pani Machado).

Wstał z łóżka i poszedł do pokoju matki, ale jej nie zastał; łóżko nie było nawet rozesełane. Jack wyruszył na poszukiwania. Pani Machado musiała pójść do domu, gdyż na dole nie paliły się żadne światła. Chłopiec przeszedł ze skrzydła gościnnego do korytarza, gdzie znajdowała się pusta sypialnia Emmy. Dostrzegł migoczące światło: padało spod drzwi pokoju Leslie Oastler.

Pewnie pani Oastler i mama oglądają telewizję, pomyślał. Zapukał do drzwi, ale go nie usłyszały. A może zapomniał zastukać i od razu nacisnął klamkę. Telewizor był zgaszony, migoczące światło pochodziło od świecy ustawionej na nocnym stoliku.

Najpierw uderzyła go myśl, że pani Oastler nie żyje. Leżała wygięta w łuk, jakby miała złamany kręgosłup, z głową zwieszoną z łóżka i twarzą skierowaną w stronę Jacka. Chłopiec zrozumiał, że kobieta go nie widzi. Była naga; spojrzenie szeroko otwartych oczu nie zdradzało żadnych emocji, jakby mętne światło płynące z korytarza uczyniło Jacka niewidzialnym. A może to on umarł, stając się tym samym bytem niematerialnym. Może śmierć przyszła podczas mokrego snu. (Wcale by się nie zdziwił, gdyby incydent z panią Machado okazał się śmiertelny

- i bynajmniej nie miał tu na myśli tylko kopniaka).

Alice nieoczekiwanie usiadła na łóżku i zasłoniła piersi rękami. Ona też była naga, lecz Jack dostrzegł ją dopiero wówczas, gdy się poruszyła. Zamarła bez ruchu, z nogami pani Oastler oplecionymi wokół szyi. Pani Oastler ani drgnęła, ale Jack odnotował z ulgą, że utkwiała w nim oprzytomniałe spojrzenie.

- Nie umarłem, ale miałem sen - zakomunikował.

- Wracaj do pokoju, Jack. Zaraz przyjdę - powiedziała mama.

Alice rozejrzała się za koszulą nocną, która leżała zwinięta u stóp łoża. Leslie Oastler dalej wpatrywała się w Jacka. W blasku świecy czerwonoróżowe płatki róży jerychońskiej wyglądały jak dwa odcienie czerni: czarny i czarniejszy.

Kiedy Jack posłusznie maszerował do siebie, na korytarzu dogoniły go słowa pani Oastler.

- Nie powinnaś spać z nim w jednym łóżku, Alice. Jest za duży.

- Robię to tylko, kiedy ma zły sen - odparła Alice.

- Robisz to zawsze, kiedy tego chce - uściśliła pani Oastler.

- Przepraszam, Leslie - usłyszał głos matki.

Chłopiec położył się do łóżka, nie wiedząc, jak wytłumaczyć obecność plamy. Może w ogóle nie powinien jej tłumaczyć?

Alice odkryła plamę wkrótce po wejściu do łóżka.

- Och, a więc to taki sen - rzuciła lekceważąco.

- To nie krew, siuski też nie - powiedział chłopiec.

- Oczywiście że nie, Jack. To sperma.

Sperma, zdumiał się Jack.

- Ja nie chciałem - tłumaczył. - Nawet nie pamiętam, kiedy to się stało.

- To nie twoja wina, Jackie. Chłopcy często miewają podobne sny.

- Aha.

Chciał, żeby go przytuliła, chciał wtulić się w nią jak dawniej, kiedy przyśniło mu się coś złego. Kiedy jednak spróbował przysunąć się bliżej, niechcący musnął jej piersi i Alice go odepchnęła.

- Jesteś za duży, żeby ze mną spać - powiedziała.

- Nie jestem! - odparł Jack. Jakim cudem z „za małego” tak błyskawicznie stał się „za duży”? Chciało mu się płakać; z wysiłkiem przełknął łzy. Matka musiała się czegoś domyślić.

- Nie becz, Jack. Na to też jesteś za duży - oznajmiła. - W szkole nie będziesz mógł płakać, bo staniesz się pośmiewiskiem.

- Dlaczego muszę wyjechać? - zapytał.

- Tak będzie dla wszystkich lepiej - odpowiedziała. - W tych okolicznościach...

- Jakich okolicznościach?

- Tak będzie lepiej - ucięła.

- Ale nie dla mnie! - zawołał Jack.

Alice objęła go i przytuliła. Zasnął w tej pozycji w Europie, kiedy miał cztery lata.

Jack powinien był opowiedzieć matce o pani Machado. (Gdyby to zrobił, być może Alice zrozumiałaby, że jednak nie jest za duży, pod żadnym względem). Ale Jack milczał. Usnął w jej objęciach zupełnie - lub prawie - jak dawniej. Z tą różnicą, że twarz matki wydzielala dziwną woń. Jack uświadomił sobie, iż ten sam zapach towarzyszył mu w czasie kąpeli. Może pochodził od pani Machado. Jack teraz też nie umiał określić, czy mu się podoba, czy nie. Czuł go nawet we śnie.

Jak długo Leslie Oastler siedziała na łóżku obok nich? Otworzywszy oczy, Jack początkowo jej nie poznał. Przyszło mu do głowy, że to święta z witraża. Wróciła po niego! (Może właśnie tak święte brały człowieka w posiadanie - zrzucając najpierw całą odzież).

Leslie Oastler była naga. Masowała Alice między łopatkami, dokładnie tam, gdzie Borys miał wytatuowany chiński symbol szczęścia, a Paweł imadło.

Jack musiał się obudzić dosłownie chwilę przed matką.

- Ubierz się, Leslie - powiedziała Alice.

- Miałam sen - odrzekła pani Oastler. - Zły sen.

- Wracaj do pokoju, Leslie. Zaraz przyjdę - obiecała Alice.

Jack patrzył, jak pani Oastler wychodzi z pokoju; jest strasznie dumna ze swojego ciała, pomyślał. Matka pocałowała go w czoło. I znów ten zapach; chłopiec przymknął oczy, wciąż nie wiedząc, czy mu się podoba, czy nie. Matka cmoknęła go w powieki. Woń była zdecydowanie kontrowersyjna, ale niczego sobie.

- Przepraszam, Jack - powiedziała matka. Nie otwierając oczu, nasłuchiwał, jak idzie bosy za Leslie Oastler.

Nie mógł się doczekać, kiedy Emma wróci z obozu dla grubasów w Kalifornii. Ona na pewno pomoże mu zrozumieć nowe i niepokojące „okoliczności” związku jego matki z panią Oastler.

Co do zapasów, Jack poczynił znaczne postępy, które jednak nie mogły się równać z postęпами pani Machado. Była przeciwnikiem zacięłym (nawet Czenko był pod wrażeniem), a przy tym dwukrotnie cięższym od Jacka, co dawało jej bezsprzeczną przewagę. Czasem udawało mu się ją unieruchomić, ale rzucenie kobiety na matę stanowiło nie lada problem. Do tego stopnia kontrolowała starcia, że młynek często okazywał się niemożliwy. Czasami udawało mu się zastosować szarpnięcie oraz uchwyt za nogę od zewnątrz, ale sprowadzenie jej do parteru przeważnie okazywało się niemożliwe, chyba że zastosował chwyt z góry za rękę i głowę. Ale Jack wiedział, że robi postępy.

Pani Machado też o tym wiedziała i nie szczędziła mu słów wsparcia. Zgarniała większość punktów, ale to ona szybciej się męczyła. Jack nie musiał tak często odpoczywać.

W zapasach liczy się waga, przekonywał Czenko. Gdyby Jack miał okazję zmierzyć się z osobą swojego wzrostu i wagi, Borys i Paweł byli pewni, że położyłby ją na obie łopatki. Jednakże w jego otoczeniu nie było nikogo takiego, przynajmniej do końca lata.

Emma wróciła z obozu lżejsza o prawie pięć kilogramów, lecz ani jej usposobienie, ani nawyki żywieniowe nie uległy zmianie.

- Oni mnie tam, kurwa, głodzili - oświadczyła.

Nadal była cięższa od pani Machado, którą chwilowo zastąpiła w roli opiekunki. Nie minął bowiem tydzień, a już czekał ją kolejny wyjazd, tym razem do Georgian Bay, na cały lipiec. Podczas kilku spędzonych wspólnie wieczorów Jack mógł opowiedzieć jej o pani Machado, jednakże tego nie zrobił. Relacja z incydentu w sypialni pani Oastler kosztowała go wystarczająco dużo nerwów. Najbardziej zaś poruszyło go to, że Emma w ogóle nie okazała zdziwienia.

- Cóż, przy mnie robiły wszystko oprócz lizania - oznajmiła z niesmakiem. - Nic dziwnego, że ty lądujesz w pieprzonym Maine, a ja w internacie!

- Lizania?

- Daj spokój, Jack. Są kochankami, jasne? Lubią się tak, jak dziewczęta zazwyczaj lubią chłopców i vice versa.

- Aha.

- Mam gdzieś, co wyprawiają! - krzyknęła Emma. - Najbardziej mnie wkurza, że nie chcą z nami o tym rozmawiać. Wolą się nas pozbyć!

Jack uznał, że w tym wypadku również ma prawo być wkurzony. Milczenie obu matek było tym bardziej niesprawiedliwe, że w całym domu stały zdjęcia dzieci, niejednokrotnie fotografowanych razem. Świadczyły, że przecież byli rodziną, a jednak Emma i Jack musieli wyjechać!

Skoro zaś Alice nie chciała opowiedzieć Jackowi o swojej kochance, dlaczego on miał wspomnieć matce o pani Machado? Powinien był porozmawiać z Emmą, to znaczy, wcześniej niż to uczynił. Lecz zanim się obejrzał, nastał lipiec. Emma wyjechała i pani Machado znów została jego zastępczą opiekunką.

15 • Dozgonni przyjaciele

Skoro postępowanie pani Machado wobec Jacka zasługiwało na miano „molestowania”, dlaczego on sam nie czuł się molestowany? Niebawem miał rozpocząć świadome życie seksualne; dopiero wówczas pojął analogię łączącą je z panią Machado. Jednakże w pamiętne wakacje brakowało mu punktu odniesienia, który pozwoliłby mu zrozumieć zło jej postępowania.

Czasami krzywdziła go fizycznie, ale nigdy nie czyniła tego z rozmysłem. Budziła w nim odrazę, a zarazem coś nieodparcie go do niej ciągnęło. Często się bał, a przynajmniej nie rozumiał, co z nim robi i dlaczego, albo co sam miałby robić i czego odeń wymagała.

Jedno nie ulegało wątpliwości: naprawdę się o niego troszczyła. Tak mu się wówczas zdawało; żadna późniejsza rekonstrukcja zdarzeń nie odwiodła go od przekonania, że pani Machado bez reszty go uwielbiała. Co jeszcze dziwniejsze, przy niej czuł się kochany; pamiętajmy, że działo się to wówczas, gdy matka wysyłała go do Maine!

Co ciekawe, pani Machado denerwowała się jedynie wtedy, gdy Jack pytał ją o dzieci. Wychodził z założenia, że po prostu dorosły i zmieniły miejsce zamieszkania, był to wszelako jej czuły punkt.

Największą troską pani Machado było to, jak sama twierdziła, aby nikt nie wyrządził krzywdy Panu Członkowi. Lecz kto miałby to zrobić? Bezwzględne dziewczęta i zepsute kobiety?

Jack po raz pierwszy trafił do psychiatry już jako dorosły człowiek; usłyszał wtedy, że kobiety, które seksualnie molestują dzieci, wychodzą z założenia, że się nimi opiekują, a to, co reszta świata nazywa molestowaniem, dla nich stanowi przejaw instynktu macierzyńskiego. („Tere-fere”, jak powiedziała dziewczyna, której Jack jeszcze nie poznał).

Najbardziej uderzyło go to, że z dziecka, które nie umiało nic ukryć przed matką, niepostrzeżenie stał się dzieckiem, które taίło przed nią dosłownie wszystko. Najistotniejszym aspektem związku z panią Machado była otaczająca go aura tajemnicy - tajemnicy, której musiał dochować za wszelką cenę.

Fascynacja Alice panią Oastler rosła wprost proporcjonalnie do dystansu dzielącego ją i Jacka, przez co chłopiec nie musiał się silić na szczególną dyskrecję. Alice i Leslie nie zauważyły, że pani Machado obsesyjnie dba o czystość i skrupulatnie pierze nie tylko pościel, ręczniki i bieliznę Jacka, ale również strój do ćwiczeń oraz ubrania ich samych. (Gdyby pani Machado zaszła z Jackiem w ciążę, też pewnie nie zwróciłoby to ich uwagi!).

Kiedy w sierpniu Emma wróciła znad zatoki (cała opalona, z włoskami na ramionach rozjaśnionymi od słońca), zmiana w zachowaniu Jacka natychmiast przykuła jej uwagę. Wiedziała, że nie chodzi wyłącznie o matkę.

- Co się z tobą dzieje, ptysiu? - zapytała. - Czy to te zapasy? Człowiek mógłby pomyśleć, że się nie siłujesz, tylko pieprzysz!

Spoglądając wstecz, Jack niejednokrotnie zachodził w głowę, jakim cudem ani Czenko, ani Borys i Paweł nie zauważyli nic podejrzanego. Na pewno zwrócili uwagę, że spora grupka kobiet z początkującej grupy Krunga wykazuje niezwykle zainteresowanie zmaganiem Jacka z panią Machado. Po powrocie znad zatoki Emma ponownie przejęła rolę wieczornej opiekunki. Przecież Czenko, Borys

i Paweł musieli widzieć, że Jack regularnie opuszcza siłownię w towarzystwie pani Machado, na godzinę lub dwie prawie każdego dnia, tuż przed lub zaraz po południu.

- Chłopiec musi odetchnąć świeżym powiechem! - oznajmiała.

Szli do jej mieszkania, leżącego nieopodal przy St. Clair, w brudnym ciemnobrązowym budynku. Spartańskie lokum mieściło się na trzecim piętrze. Okno wychodziło na kawałek

wąwozu biegnącego za parkiem sir Winstona Churchilla oraz rezerwuuar wodny St. Clair. Na niewielkim podwórzu znajdował się zapomniany plac zabaw z huśtawką i zjeżdżalnią, z którego nikt nigdy nie korzystał, tak jakby wszystkie dzieci w sąsiedztwie dorosły i poszły „na swoje”, a na ich miejsce nie urodziły się kolejne.

W ciasnym mieszkaniu pani Machado było równie duszno jak w siłowni przy Bathurts Street. Jacka uderzył brak fotografii rodzinnych. Cóż, brak zdjęć byłego męża i rzekomego napastnika nie powinien dziwić: pani Machado zapewne wolałaby ich nie oglądać. Ale Portugalka miała jedynie dwa zdjęcia dzieci: każde z nich przedstawiało jednego z chłopców. Na fotografiach byli oni mniej więcej w wieku Jacka, choć według słów pani Machado, przyszli na świat w czteroletnim odstępie czasu i byli już „całkiem dorośli”. (Nie chciała zdradzić Jackowi ich wieku, zupełnie jakby te liczby same w sobie przynosiły pecha, a może nie mogła się pogodzić z faktem, że jej synowie przestali być dziećmi).

Mieszkanie posiadało tylko jedną sypialnię z komodą i materacem na podłodze. Ponadto była tam jadalnia z aneksem kuchennym, przy czym brakowało kredensu bądź jakiegokolwiek szafki na naczynia. Ów nader skromny asortyment przyborów kuchennych sugerował, że pani Machado - jeżeli w ogóle jadła - spożywała posiłki poza domem. Jack nie miał pojęcia, jak radziła sobie z gospodarstwem, kiedy jeszcze miała rodzinę; w jadalni nie było nawet stołu ani krzeseł, a przy kompletnie pustym blacie stał pojedynczy taboret.

Ogólnie rzecz biorąc, mieszkanie nie sprawiało wrazenia miejsca, gdzie dorastały dzieci pani Machado, lecz nasuwało podejrzenie, że Portugalka dopiero niedawno się wprowadziła. Przychodzili tam jednak tylko w celu uprawiania seksu, po którym następował szybki prysznic. Jack nigdy nie zapytał, gdzie spały kiedyś jej dzieci. Ani dlaczego kobieta wciąż każe się nazywać „panią” Machado, a na domofonie widnieje napis „P. Machado”, jak gdyby owo „pani” na dobre zastąpiło jej imię. (Co dziwiło również w świetle domniemanej wrogości jej męża).

Nie zapasy, lecz właśnie wspomniane schadzki w gęstym sierpniowym powietrzu najbardziej dały Jackowi w kość. Chłopiec dosłownie padał z nóg. Czenko martwił się jego utratą wagi (co matka skwitowała stwierdzeniem, że powinien pić więcej mleka), a mokre sny ustały. (Jak miał mieć mokre sny, skoro prawie codziennie uprawiał seks?).

Nękały go za to inne sny, złe sny, jak powiedziałyby Leslie Oastler. Co więcej, bardzo wziął sobie do serca słowa matki, jakoby był za duży na spanie z nią w jednym łóżku. Wiedział, że nie jest mile widziany w sypialni, którą dzieliła z panią Oastler, jeśli zaś zdoła ją nakłonić, aby przyszła do jego pokoju, wiedział, że długo tam nie zabawi. Leslie by jej na to nie pozwoliła.

„Obiady rodzinne”, o których Emma wyrażała się z bezbrzeżną pogardą, były dla wszystkich istną próbą wytrzymałości. Alice nie umiała gotować, pani Oastler nie lubiła jeść, a Emma zdążyła już odzyskać kilogramy, które zgubiła w Kalifornii.

- A myślałaś, że co robiłam w zatoce? - pytała matki. - Jak można schudnąć przy grillu?

Zawsze szli na obiad do tajskiej restauracji lub brali jedzenie na wynos. Jak mawiała Emma: tajskie albo pizza.

- Na miłość boską, Emmo - odpowiadała pani Oastler. - Zjedz sałatkę.

Przy jednej z owych okazji gastronomicznych (pizzy na zamówienie i sałatce),

Alice i Leslie omówiły kwestię odtransportowania Jacka do nowej szkoły w Maine. Wyglądało na to, iż właściwie nie ma sposobu na dotarcie w to nad wyraz niedostępne miejsce. Trzeba było polecieć do Bostonu, a następnie mniejszym samolotem do Portlandu, gdzie należało wynająć samochód. Lecz Alice nie umiała prowadzić. Pani Oastler owszem, lecz wyjazd do Maine bynajmniej jej się nie uśmiechał.

- Gdyby Redding leżało na wybrzeżu, może bym się zastanowiła - oznajmiła.

Jednakże Redding, będące nazwą zarazem miasta, jak i szkoły, znajdowało się w południowo-zachodnim Maine, czyli w głębi łądu. (Co, jak się miało okazać, stanowiło zasadniczą różnicę).

- Boże, ja mam prawo jazdy, mogę go zawieźć - wtrąciła Emma. Lecz w wieku siedemnastu lat była za młoda na wynajęcie samochodu, poza tym nawet ona wiedziała, że to zbyt daleka droga.

Ignorując sałatkę, zajęła się mapą Maine.

- Redding leży na północ od Welchville - powiedziała. - Na południe od Rumford, na wschód od Bethel, na zachód od Livermore Falls. Jezu, ale zadupie!

- Mogłybyśmy wynająć Peeweego - podsunęła pani Oastler.

- Peewee jest obywatelem kanadyjskim, ale urodził się na Jamajce - zauważyła Alice. (Czyżby Amerykanie byli przewrażliwieni na punkcie Kanadyjczyków obcego pochodzenia, którzy starali się o wjazd do Stanów Zjednoczonych?).

- A Borys i Paweł? - powiedział Jack. - Są taksówkarzami. - No i zapaśnikami, dodał w myślach. Wiedział, że z nimi byłby bezpieczny. Ale Borys i Paweł nie mieli jeszcze obywatelstwa, dopiero ubiegali się o status uchodźców.

Czenko nie umiał prowadzić, a Krang, który prowadził jak szalony, był budzącym grozę Tajem z szewronami wytatuowanymi na policzkach. Zważywszy na fakt, że wojna w Wietnamie dobiegła końca zaledwie kilka lat wcześniej, Leslie Oastler i Alice uznały, że Amerykanie nie powitaliby Mistera Bangkoku z otwartymi ramionami.

- A pani McQuat? - spytał Jack. Jego matka zeszywniała, jakby ktoś wymierzył jej policzek.

- Nie będziemy w lecie zawracać jej głowy - zawyrokowała (zdaniem Jacka, tajemniczo) pani Oastler.

Chłopiec czuł, że matka ma inne powody, aby wykluczyć udział Szarego Ducha; może pani McQuat zbyt jasno wyraziła dezaprobatę wobec wyjazdu Jacka.

Jack wiedział, że panna Wurtz spędza część wakacji w Edmonton, co zresztą bardzo mu odpowiadało. (Nie miał wątpliwości, że podróż w towarzystwie Wurtz miałaby nieuchronny posmak dramatyzmu).

- Co powiecie na panią Machado? - zapytała Alice.

Tylko Emma zauważyła, że Jack w tym momencie stracił apetyt.

- Wątpię, czy w ogóle umie prowadzić - rzuciła lekceważąco Leslie Oastler. - Ta kobieta jest beznadziejnie głupia: nie potrafi nawet posortować bielizny.

- Nie smakuje ci pizza, ptysiu?

- Dopij mleko, Jack, nawet jeśli jesteś już najedzony. Musisz przestać chudnąć

- powiedziała Alice.

- Jeśli nie chcesz pizzy, ja dokończę - zaofiarowała się Emma.

- A ten pedzio od kółka teatralnego? - spytała pani Oastler, zwracając się do Jacka. - Jak mu tam?

- Pan Ramsey - odpowiedziała za chłopca Emma. - Jest w porządku! Nie nazywaj go pedziem.

- No a jak, kotku? - odrzekła jej matka. - Jestem przekonana, że można na nim polegać - dodała, przenosząc wzrok na Alice. - Gdyby tknął któregoś z uczniów, już dawno by się go pozbyli.

- A co z zawracaniem głowy nauczycielom? - wtrącił Jack.

- Pan Ramsey na pewno się zgodzi - oświadczyła pani Oastler. - Wielbi ziemię, po której stąpasz, Jack.

- Czy ja wiem... - zaczęła Alice.

- O co chodzi, Alice? - zapytała Leslie Oastler.

- Bądź co bądź, jest homoseksualistą.

- Facetów bym się nie obawiała - zauważyła Emma.
- Lubię pana Ramseya. Może być - uznał Jack.
- Jeśli tylko nie zgubi się za kierownicą, ptysiu.
- Chyba możemy go spytać - zgodziła się Alice. - Może będzie chciał tatuaż.
- To nauczyciel, Alice. Zarabia nędzne grosze - przypomniała jej Leslie. - Pan Ramsey

nie chce tatuażu: potrzebuje kasy.

- No cóż... - Alice zawiesiła głos.

Kiedy Alice i pani Oastler poszły do kina, Emmie nie pozostało nic innego jak zmyć naczynia i położyć Jacka do łóżka. Pozjadła resztki pizzy ze wszystkich talerzy. Jack nie dziwił się, że była głodna: nawet nie tknęła sałatki.

- Nastaw płytę, ptysiu.

Emma lubiła śpiewać, kiedy jadła. Piosenki Boba Dylana najlepiej wychodziły jej z pełnymi ustami. Jack puścił „Inną stronę Boba Dylana” i poszedł na górę przygotować się do snu. Nawet szum bieżącej wody ani odgłos szorowania zębów nie zagłuszyły Emmy, śpiewającej „Motorpsycho Nightmare”. Chyba właśnie to wprawiło go w zły humor.

Rozebrawszy się, obejrzał swój penis, trochę zaczerwieniony i obolały. Chciał go posmarować kremem nawilżającym, ale bał się, że będzie piekło. Włożył czystą parę bokserek i postanowił poczekać w łóżku, aż Emma przyjdzie pocałować go na dobranoc.

Pomyślał, że brakuje mu wieczornej modlitwy, którą odmawiał z Lottie. Czasem mamrotał tylko modlitwę odmawianą niegdyś wspólnie z matką. (Alice przestała się z nim modlić. Był to chyba kolejny symptom dorosłości). Poza tym, zważywszy na jego nowe życie i panią Machado, znajoma szkocka modlitwa wydawała się nie na miejscu. „Minął kolejny dzień, który ofiarowałeś mi, Boże. Dziękuję Ci zań z całego serca”. (Jack przeważnie nie czuł wieczorami za grosz wdzięczności).

Co do Lottie, przysłała chłopcu kartkę z Wyspy Księcia Edwarda. Widok jodeł, szarych skał i ciemnoniebieskiego oceanu bynajmniej nie wskazywał, że coś jest nie tak.

- „Nie, nie, nie, to nie mnie - śpiewała Emma. - To nie mnie szukasz, nie?”

Jack obsesyjnie rozmyślał o podróży w towarzystwie pana Ramseya; wcale nie poprawiło mu to nastroju. Zaczął uzalać się nad sobą, co bywa niezawodnym wstępem do koszmarów. Kiedy zasnął, album Boba Dylana wciąż grał. Jack wyobraził sobie, że jego matka i pani Oastler wróciły z kina, zanim Emma przyszła na górę pocałować go na dobranoc. Leżał, zastanawiając się, która z nich, Alice czy Emma, pierwsza przyjdzie dać mu buziaka, lecz oczywiście to był tylko sen: śniło mu się, że leży w łóżku i nie śpi.

Bob Dylan dalej snuł swoją smętną pieśń, czy to na jawie, czy we śnie.

- „Słońce pada na drogę, na której stać mi przyszło” - śpiewała razem z nim Emma. - „Nie wiem, jak wytłumaczyć to mam, lecz myślę o tobie cały czas”. (To się dopiero nazywa niedomówienie!).

Ktoś wszedł do pokoju Jacka. Chłopiec otworzył oczy, aby sprawdzić, czy to Emma, czy jego matka, lecz zobaczył nagą Leslie Oastler. Odrzuciwszy kołdrę, wśliznęła się do jego łóżka. Ze względu na drobną sylwetkę miała dla siebie więcej miejsca niż pani Machado, no i ładniej pachniała. Wydała z siebie gardłowy pomruk, jakby była dzikim zwierzęciem, które lada chwila może ugryźć. Długie po-lakierowane paznokcie podrapały pierś Jacka, a następnie przesunęły się na jego brzuch. Mała, szybka dłoń zanurkowała pod gumkę bokserek. Jeden z paznokci zahaczył o penis, i to w najbardziej obolałym miejscu. Jack drgnął.

- O co chodzi? Nie podobam ci się? - szepnęła mu do ucha Leslie. Krucha dłoń zacisnęła się na penisie.

Chłopiec zmartwiał.

- Ależ skąd. Po prostu boli mnie członek - próbował wytłumaczyć Jack, lecz słowa uwięzły mu w gardle. (W snach nigdy nie mógł wydobyć z siebie głosu).

Czuł, jak jego członek w dłoni Leslie osiąga coraz większe rozmiary. Ona ma nie większą rękę niż ja, pomyślał przy wtórze grającej muzyki. „Nieważne, w którym obudzisz się łóżku - śpiewała Emma. - Grunt, że myślę o tobie wciąż”.

- Tam, dokąd jedzie, Pan Członek nie będzie już bolał - wyszeptała pani Oastler.

Ale skąd wiedziała o Panu Członku, zastanawiał się chłopiec. I że bolał: przecież nie zdołał jej tego powiedzieć?

- Słucham? - spytał Jack, ale nie słyszał własnego głosu, tylko głos pani Oastler, raz po raz powtarzającej to samo.

Naraz jego brzmienie uległo raptownej zmianie. O Jacka zdecydowanie ocierało się twarde, chude ciało Leslie Oastler, jednakże głos należał do pani Machado tudzież był jego doskonałą imitacją. „Tam, dokąd jedzie, Pan Członek nie będzie już bolał”. (Jack był mocno zdziwiony, że nie dodała „złotko”).

- Nie, proszę. Tak bardzo mnie boli. Niech pani przestanie - usiłował powiedzieć. Lecz skoro nadal nie słyszał własnego głosu, jak miała go usłyszeć pani Oastler? (Żeby nie wspomnieć o matce, która i tak raczej nie przysłaby mu z pomocą).

Gdyby Bob Dylan wreszcie przestał wyć, pewnie mógłbym liczyć na Emmę, pomyślał Jack. Wprawdzie nie słyszał muzyki, ale to wcale nie musiało oznaczać, że Bob się zamknął. Leslie Oastler dyszała mu do ucha tak głośno, że nie usłyszałby Dylana, nawet gdyby ten wydzierał się w jego sypialni.

- Znów zapominasz o oddechu, ptysiu - usłyszał głos Emmy. Myślał, że całuje go pani Oastler, a to była Emma! - Możesz mnie całować, ale pamiętaj o oddechu.

- Coś mi się przyśniło - powiedział.

- Jasne! Trzepałeś kapucyna, ptysiu. Nic dziwnego, że boli.

- O.

- Pokaż krasnała, Jack - poleciała Emma. - Zobaczę, w czym rzecz.

- W niczym - odparł. (Wstydział się pokazać jej otarcie).

- Jack, to ja, na miłość boską. Nic ci nie zrobię. - Paliło się światło pod sufitem i lampa na stoliku nocnym. Emma uważnie przyjrzała się Panu Członkowi. - Wygląda na podrażnionego... jest obtarty! - oznajmiła.

- Słucham?

- Jezu, Jack, obtarłeś się do żywego mięsa! Zostaw go w spokoju na jakiś dzień lub dwa. Kiedy to się zaczęło?

- Nic z nim nie robiłem - powiedział.

- Nie próbuj wciskać mi kitu, ptysiu. Tak waliłeś konia, że jest cały poharatany!

- Waliłem co?

- Dobrze wiesz, o czym mówię, Jack. Masturbowałeś się.

- Co?

- Robiłeś sobie dobrze, Jack!

- Ale nie sam - wyznał.

- Przecież widzę!

Jack zaczął płakać. Chciał, żeby Emma mu uwierzyła, ale nie wiedział, jak ją przekonać.

- Nie płacz, ptysiu. Jakoś temu zaradzimy.

- Jak?

- Posmarujemy go czymś. Głowa do góry, Jack. To u chłopców częste zjawisko. Niepotrzebnie myślałam, że jesteś na to za młody.

- Ale to nie ja! - powtórzył z uporem Jack. Musiał krzyknąć, gdyż Emma wyszła na korytarz, kierując się w stronę matczynej łazienki. Po chwili wróciła, niosąc słoiczek kremu. - Będzie piekło? - zapytał.

- Nie, ten jest bez dodatków.

- Jakich dodatków?

- Konserwujących - wyjaśniła Emma. - Bez zapachu i innego sztucznego gówna. - Przystąpiła do wcierania kremu w jego penis; nie bolało, lecz Jack i tak nie mógł przestać płakać. - Weź się w garść, ptysiu. Walenie konia to nic takiego.

- Ja nie walę. To pani Machado.

Emma pośpiesznie cofnęła rękę.

- Pani Machado cię dotyka, Jack?

- Robi różne rzeczy - odparł chłopiec. - Wkłada sobie Pana Członka do środka.

- Pana Członka?

- Ona mówi: „członek” - zakomunikował Emmie.

- Do środka, to znaczy gdzie, ptysiu? Do ust? - dodała, zanim zdążył odpowiedzieć.

- Do ust też.

- Jack, pani Machado popełnia przestępstwo!

- Słucham?

- Tak nie można, ptysiu. To znaczy... ja nie mówię o tobie. To ona postępuje źle.

- Proszę, nie mów mojej mamie - poprosił.

Emma objęła Jacka i mocno go przytuliła.

- Pysiu - szepnęła. - Musimy powstrzymać panią Machado. Musimy ją powstrzymać.

- Ty możesz ją powstrzymać - podsunął Jack. - Jestem tego pewien.

- Ja też - odrzekła pośpiesznie Emma.

- Nie odchodź! - błagał. Z całej siły przytrzymał jej rękę. Wiedział, że może ścisnąć go jeszcze mocniej, ona jednak dalej obejmowała go jak przedtem. Głaskała go po plecach, całowała uszy i powieki, jeszcze mokre od łez.

- Jestem przy tobie, ptysiu. Śpij. Nigdzie się stąd nie ruszę.

Zapadł w otchłań bez snów, tak głęboką, że niewiele brakowało, a odgłos sprzeczki wcale by go nie obudził.

- Miał koszmar, na miłość boską - usłyszał głos Emmy. - Przytuliłam go, żeby zasnął. Uważasz, że co robiłam? Pieprzyłam się z nim w ubraniu?

- Nie powinnaś kłaść się do łóżka z Jackiem, Emmo - mówiła pani Oastler. -Zacznijmy od tego, że leżałaś pod kołdrą.

- Nic się nie stało - wtrąciła Alice.

- Och, ty myślisz, że nic się nie stało. Co za ulga! - wrzasnęła Emma.

- Nie tym tonem, Emmo - ostrzegła pani Oastler.

- Nie śpisz, Jack? - spytała Emma.

- Chyba nie - odpowiedział.

- Jeśli przyśni ci się coś złego, daj znać - rzekła. - Wiesz, gdzie mnie szukać.

- Dzięki! - zawołał za nią Jack.

- Emmo... - zaczęła pani Oastler.

- Niech idzie, Leslie - łagodziła Alice. - Wiem, że do niczego nie doszło.

- Na pewno wszystko w porządku, Jack? - zapytała Leslie.

- Na pewno. Nic mi nie jest - oznajmił. Spojrzał na mamę, jakby była jednoosobowym audytorium, chociaż wiedział, że to nieprawda. - Do niczego nie doszło - rzucił pod jej adresem. Panna Wurtz byłaby dumna z jego dykcji. Ku zdumieniu Jacka kłamstwo przyszło mu równie łatwo jak każda inna kwestia wypowiedziana na scenie; nie podejrzewał, że nabranie matki będzie go kosztowało tak niewiele trudu.

Słyszał, jak pani Oastler idzie korytarzem. Z daleka dobiegł go huk zatrząskiwanych drzwi pokoju Emmy. Wiedział, że zachowanie Alice i pani Oastler wyprowadziło ją z równowagi jeszcze bardziej niż jego, jeśli to w ogóle możliwe.

Uśmiechnął się, kiedy matka pocałowała go na dobranoc. Wiedział, który z jego uśmiechów lubi najbardziej, i taki też otrzymała. Był zdenerwowany i znużony, lecz mimo to

wiedział, że się wyśpi. Pani Machado znajdzie w Emmie godnego przeciwnika, co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Następnego ranka Emma obudziła Jacka, zanim jej matka zdążyła wstać z łóżka. (Matka Jacka nigdy nie wstawiała rano z łóżka, do siłowni na Bathrust Street odwoziła go pani Oastler). Chłopiec zazwyczaj wstawał i robił sobie śniadanie złożone z płatków oraz grzanki, a do tego pił szklankę mleka i soku pomarańczowego. Leslie w tym czasie schodziła na dół i zaparzała kawę.

Rankiem pani Oastler odnosiła się do Jacka przyjaźnie, choć nie przejawiała zbyt dużej ochoty do rozmowy. Przyglądała jego zmierzwiłone włosy lub poklepywała go po karku, po czym szykowała mu kanapkę na lunch, złożony ponadto z jabłka oraz ciastek (zwłaszcza gdy wolała utrzymać te ostatnie z dala od Emmy).

Jednakże owego ranka w połowie sierpnia Jack ocknął się na szum wiatraka ustawionego na najwyższe obroty. Ujrzał, jak Emma pakuje do jego torby swoje szorty, skarpetki i koszulkę gimnastyczną.

- Wyjdziemy dzisiaj wcześniej, ptysiu. Powitaj swoją nową partnerkę do ćwiczeń. Ale zanim zaczniemy, będę musiała przerobić to i owo z Wilczym Łbem.

- Z Czenką? - spytał Jack.

- Tak, z Wilczym Łbem - potwierdziła Emma.

- Dlaczego mamy wyjść wcześniej? - zapytał.

- Bo ja jestem dużą dziewczyną, ptysiu. Duże dziewczyny potrzebują rozgrzewki.

- Aha.

Kiedy po cichutku zbiegli na bosaka po schodach, na kuchennym stole już leżał liścik, zapewne zredagowany poprzedniego wieczoru. („Zabieram Jacka do siłowni” czy coś w tym stylu).

Emma i Jack dotarli do Forest Hill Village i zjedli śniadanie w kafeterii na Spadina. Jack wybrał maślaną bułeczkę z rodzynkami oraz tradycyjnie mleko i sok pomarańczowy. Emma ograniczyła się do kawy i jednego kęsa maślanej bułeczki.

Następnie udali się na St. Clair, gdzie Jack pokazał Emmie brudny ciemnobrązowy budynek, w którym mieszkała pani Machado. Zamaszysty krok Emmy trochę go wystraszył, uporczywe milczenie też było do niej niepodobne. Wydawała się tak wściekła, iż Jack wziął pod uwagę konieczność częściowego zrehabilitowania pani Machado w jej oczach. Ku swemu zawstydzeniu poniekąd darzył Portugalkę sympatią. (Dopiero później miał sobie uświadomić, że stanowiło to jeden z aspektów problemu).

- Przez swojego byłego męża pani Machado wciąż musi zmieniać zamki - poinformował Emmę.

- Widziałeś nowe zamki? - spytała Emma.

Po głębszym zastanowieniu uznał, że nie.

- Nie przypominam sobie - odparł.

- Może nie ma żadnych nowych zamków, ptysiu.

Niekoniecznie o taką rehabilitację pani Machado mu chodziło.

Przybyli do siłowni tak wcześnie, że Krunga jeszcze nie było. Pośrodku sali walczyło dwóch niezłych kickbokserów. Czenko siedział na zrolowanych matach i popijał kawę.

- Jackie, mój chłopcze! - zawołał na widok Emmy. - Przyprowadziłeś swoją dziewczynę?

- Jestem nową partnerką Jacka - oznajmiła Emma. - Jack jest za młody na dziewczyny.

Czenko wstał, żeby uścisnąć jej rękę. Był tuż po sześćdziesiątce, nieco tęgawy w pasie, lecz o przepięknie rzeźbionej muskulaturze ramion i klatki piersiowej. Miał zaledwie jakiś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ale jak na mężczyznę ważącego bez mała dziewięćdziesiąt kilogramów, poruszał się nad wyraz zwinnie.

- To jest Emma - dokonał prezentacji Jack.

Ściskając dłoń dziewczyny, Czenko pochylił głowę. Emma obrzuciła groźnego wilka na jego tysej czaszce pełnym aprobaty spojrzeniem. (Wiedziała o nim od Jacka).

- Masz chyba metr osiemdziesiąt wzrostu, Emmo - ocenił Czenko.

- Osiemdziesiąt jeden i pół - uściśliła Emma. - I wciąż rosnę.

Emma i Jack pomogli Czenko rozłożyć maty, a następnie każde z nich udało się do oddzielnej szatni. Emma nie miała odpowiedniego obuwia, tylko skarpetki.

- Znajdę ci jakieś buty, Emmo - powiedział Czenko. - Inaczej będziesz się ślizgać.

- Raczej się nie ślizgam - zakomunikowała Emma.

- Ile twoim zdaniem, ona może ważyć? - szepnął do Jacka Czenko, zajęty szukaniem butów.

Ale Emma usłyszała.

- Przy dobrych wiatrach waży jakieś siedemdziesiąt dwa kilo - oznajmiła.

- Przy dobrych wiatrach - powtórzył Czenko, patrząc, jak dziewczyna wkłada buty.

- Dzisiaj może siedemdziesiąt pięć - uzupełniła Emma.

- Raczej nie należysz do tej samej kategorii wagowej co Jack, Emmo - zauważył Czenko.

- Na początek zmierzę się z panem - poinformowała go Emma. - Nie wygląda pan na ułomka.

- No cóż... - zaczął Czenko, ale Emma już wyszła na matę i zaczęła go okrażać.

- Proszę przedstawić mi zasady - poprosiła. - Jeśli takowe istnieją, chyba powinnam je znać.

- Owszem, istnieje parę zasad - powiedział Czenko. - Nie wolno na przykład wkładać przeciwnikowi palców do oczu.

- Szkoda - skwitowała Emma.

Czenko zastosował chwyt podstawowy, łapiąc dziewczynę za nadgarstki i kontrolując jej ręce, lecz ona w lot przejrzała jego intencje i wyswobodziwszy dłonie, postąpiła z nim w identyczny sposób.

- O właśnie - oznajmił Czenko. - Masz dryg. Musisz tylko pamiętać, żeby złapać kilka palców naraz, co najmniej cztery lub trzy. Żadnego chwytania za kciuk i mały palec i wyginania.

- Dlaczego? - spytała Emma.

- Bo w ten sposób łatwo o złamanie - wyjaśnił Czenko. - To wbrew regułom. Chwytasz kilka palców naraz.

- Domyślam się, że gryźć także nie wolno - rzuciła (z nutą rozczarowania w głosie).

- Nie, oczywiście, że nie! - zawołał Czenko. - Żadnego szarpania za włosy i odzież. I żadnych chwytów za gardło - dodał.

- Proszę mi zademonstrować chwyt za gardło - poprosiła Emma.

Czenko pokazał jej uchwyt za ramię i głowę z przodu, po czym nachyliwszy głowę Emmy w dół, przycisnął kark dziewczyny do swojej klatki piersiowej, dusząc ją przy tym przedramieniem.

- Tak nie wolno - tłumaczył. Następnie włożył w pętlę jedną rękę Emmy, która osłabiła ucisk. - Jak zakładasz komuś pętlę, pamiętaj o ramieniu. Nie możesz łapać przeciwnika bezpośrednio za gardło, bo go udusisz.

- Szkoda - powtórzyła Emma.

Czenko pokazał jej pozycję wyjściową oraz podstawowy młynek. Zaprezentował również podchwyt i podchwyt podwójny oraz jak przejść od chwytu za kark do uchwytu za ramię i głowę z przodu.

- Z ramieniem - zaznaczył.

Pokazał Emmie suples boczny, a następnie pozwolił, by przećwiczyła go na nim. (Jack widział po jego minie, że pod ciężarem Emmy gruchnął na matę mocniej, niż przewidywał).

- Masz dobre... - zaczął Czenko i urwał. Wskazywał na środkową część ciała Emmy.

- Biodra? - odpowiedziała Emma.

- Dobre biodra, tak - potwierdził Czenko. - Biodra to najsilniejsza część twojego ciała.

- Zawsze tak uważałam - odrzekła Emma.

Stali na macie (Czenko pokazywał Emmie dźwignię na łokieć), kiedy Jack zobaczył, jak pani Machado w pełnym rynsztunku wchodzi na salę. Ćwiczyła rozciąganie, nie spuszczając przy tym oczu z Emmy.

- Kim jest ta duża dziewczyna, złotko? - zapytała.

Jackowi odjęło mowę, zupełnie jak w jego śnie. Emma dalej turlała się po macie wraz z Czenką.

- Pani Machado molestuje Jacka - zakomunikowała Ukraińcowi. - Obtarła mu fiutka.

Czenko usiadł z rozmachem na macie, po czym wytrzeszczył oczy na Jacka i panią Machado. Emma wstała i zamasyżuje ruszyła w ich kierunku.

- Zdradziłaś dużej dziewczynie nasz sekret, Jack? - zapytała pani Machado.

Czenko powiedział potem Pawłowi i Borysowi, że to była bardzo nierówna walka. Emma wpakowała pani Machado palce do oczu, obu naraz. Pani Machado wrzasnęła z bólu i zasłoniła twarz. Emma chwyciła ją za mały palec prawej ręki i z całej siły odgięła go do tyłu, łamiąc kość. Palec odstawał pod kątem prostym do wierzchu dłoni. Pani Machado krzyczała, jakby obdzierano ją ze skóry.

Emma chwyciła panią Machado za kark i założyła jej nieprzepisową pętlę na szyję - bez ramienia. Następnie opadła całym ciężarem na tył głowy przeciwniczki: z przedramieniem dziewczyny na gardle pani Machado nie mogła oddychać.

Dopiero wtedy Jack zauważył Krunga. Były Mister Bangkoku przyglądał się zmaganiom Emmy i pani Machado, które skulały się z maty. Ucisk Emmy nie zelżał ani odrobinę. Pani Machado nie mogła złapać tchu, ale nadal wierzgała nogami.

- Kim jest ta nowa dziewczyna? - zapytał Czenkę Krung.

- Szybko się uczy, nie? - odpowiedział Czenko.

W ciągu niespełna dziesięciu sekund Emma zaliczyła trzy nieprzepisowe manewry: trudno sobie wyobrazić bardziej pojętnego ucznia. Nic dziwnego, że chciała poznać zasady!

- Nie masz zamiaru tego przerwać? - spytał Krung.

- Za chwilę - odparł Czenko.

Pani Machado leżała płasko na brzuchu; prawie znieruchomiła, nie licząc słabego podrygiwania jednej z nóg. Nie miała siły kiwnąć palcem.

- Chyba wystarczy - powiedział Czenko do Jacka. Ukląkł obok walczących i założył Emmie nelsona. „Nie macie pojęcia, ile mnie to kosztowało wysiłku!”, wyznał po południu Pawłowi i Borysowi, którym przedstawił nową partnerkę do ćwiczeń Jacka.

Pani Machado nie wyrzekła ani słowa. Kiedy jak niepyszna opuszczała siłownię przy Bathurst Street (co nastąpiło w chwili, gdy zebrała dość sił, aby ruszyć się z miejsca), z jej zmaltretowanego gardła nie mógł wydobyć się żaden dźwięk. Emma za to trajkotała jak najęta. Pani Machado zapewne umknęło znaczenie pojęcia „niedorobiona narzeczona na zamówienie”, lecz pojęła w lot, kiedy Emma nazwała się „jedyną partnerką do ćwiczeń” Jacka. Jakkolwiek zrozumiała te słowa, Krung i Czenko byli pod wrażeniem - choć zaniepokoił się przy tym nieco o los chłopca.

Mister Bangkoku próbował zainteresować Emmę kick boxingiem, ona jednak postanowiła pozostać przy zapasach.

- Wolę kopać coś, co już leży - oznajmiła Krungowi, który koniec końców poczuł bezbrzeżną ulgę, a nawet wdzięczność, że nie zwróciła się ku jego dyscyplinie.

Kiedy Borys i Paweł po południu zjawili się w siłowni, Emma poćwiczyła również z nimi. Jack musiał trochę odsapnąć. Miał policzek otarty od maty, nadwerżone ramię - Czenko pokazał Emmie technikę kata guruma, do której miała naturalny dryg - no i kalafiorowate ucho.

Na widok uszu Borysa i Pawła, będących w niemal równie katastrofalnym stanie jak uszy Czenki, Emma nalegała na założenie Jackowi opatrunku. Jack pierwszy raz słyszał, że kalafiorowate zwyrodnienie uszu można wyleczyć, lecz choć Czenko i mińszczacy byli przeciwni „odsączaniu”, wiedzieli, jak to zrobić.

- Przykro mi, ptysiu. Będzie bolało, ale nie dopuszczę, żebyś miał psie łajno zamiast uszu, jak ci nieszczęśnicy. Nie można rujnować przyszłości takiemu przystojniakowi.

Jack widział, że Czenko, Borys i Paweł są urażeni. Traktowali swoje uszy jak nie przymierzając order, a Emma nazwała je psim łajnem! Lecz Emma Oastler wzięła los Jacka w swoje ręce i nikt nie śmiał się temu sprzeciwić.

Kalafiorowate zwyrodnienie ucha jest spowodowane przez wydzielinę: gdy otrzesz ucho o matę lub twarz przeciwnika, krwawi i obrzmiewa. Kiedy wydzielina tężeje, w miejscu urazu tworzy się czop. Cała rzecz w tym, aby nie dopuścić do stwardnienia wydzieliny, którą należy odsączyć za pomocą igły i strzykawki. Następnie bierzemy gazę zanurzoną w mokrym gipsie i przyciskamy ją do ucha. Gips zapobiega puchnięciu ucha, które przestaje napęcznieć się wydzieliną, dzięki czemu jego pierwotny kształt nie ulega zmianie.

- To trochę niewygodne - ostrzegł Jacka Czenko.

- Ale lepsze niż bolący penis, ptysiu. (Nawet mińszczacy przyznali Emmie rację).

Tak więc Jack pomaszerał do domu z uchem w gipsie i paskudnie obtartym policzkiem z drugiej strony.

- Spójrz na swojego synka, Alice - powiedziała Leslie Oastler, kiedy wieczorem jedli danie na wynos. - Te draby z siłowni na Bathurst Street niedługo go zabiją.

- To lepsze niż bolący penis - zakomunikował Jack.

- Nie wspominając o słownictwie, jakiego uczą go ci Rosjanie - dodała pani Oastler.

- Uważaj, co mówisz, Jack - ostrzegła Alice.

Następnego wieczoru Emma też miała kalafiorowate ucho. Oboje z Jackiem byli bardzo dumni ze swych identycznych opatrunków. Jack chwycił ją z góry za rękę i głowę w parterze i w momencie gdy szorował prawą skronią o lewe ucho dziewczyny, Emma wywinęła się z uścisku i przygwoździła go odwróconym pół-nelsonem.

- Z twoją budową nie dasz rady osobie o posturze Emmy - ostrzegł Jacka Czenko.

Co prawda, to prawda. Mimo to Jack zdawał sobie sprawę, że ćwiczenia z równie wymagającą partnerką mogą mu wyjść tylko na dobre. Zapasy przyniosły korzyści również Emmie, która w ciągu tygodnia zgubiła prawie cztery kilo. Jack wiedział, że Borys i Paweł bardzo jej zaimponowali, może nie swoimi uszami, ale

przynajmniej sposobem odżywiania. Mińszczacy wykazywali niebywałą samodyscyplinę, nie tylko w zakresie treningów, ale i diety.

- Mogłaś zaoszczędzić kasę, zapisując mnie do siłowni, zamiast wysyłać na pieprzoną farmę dla grubasów - oznajmiła Emma matce.

- Wyrażaj się odpowiednio, młoda damo - upomniała córkę pani Oastler.

- Penis, penis, penis - skandował Jack.

- No właśnie - skwitowała Leslie Oastler.

- Marsz do pokoju, Jack - rozkazała Alice.

Ale Jackowi było wszystko jedno. Miał na końcu języka: „Wysyłacie Emmę do internatu, a mnie do pieprzonego Maine, i każecie nam się odpowiednio wyrażać?!”.

- Penis, penis, penis - powtarzał po drodze na górę.

- Jesteś niepoważny, Jack! - zawołała za nim matka.

- Nie złość się na niego, Alice. Jest rozżalony o ten wyjazd - perswadowała Leslie Oastler.

- Pierdzielisz?! Ze też, kurwa, na to wpadłaś! - wtrąciła Emma.

- Jazda do siebie, Emmo - warknęła Leslie Oastler.

- Miłego zmywania naczyń! - krzyknęła Emma, krocząc z łomotem po schodach. (Obowiązek sprzątanania po kolacji zwykle spadał na nią).

Emma i Jack byli partnerami do ćwiczeń nie tylko na siłowni. Nareszcie stali się prawdziwymi przyjaciółmi, po części dlatego, że matki dążyły do ich rozdzielenia. Kolejnymi otarciami, pękniętymi wargami, podbitymi oczami i kalafiorowa-tymi uszami, które zaliczali w siłowni, Emma i Jack ostatecznie przekonali Alice i panią Oastler, że bez względu na charakter łączącej ich oboje relacji aspekt erotyczny nie wchodzi w grę. Jack mógł wstać w środku nocy i poczłapać do pokoju Emmy albo na odwrót. Matki zbywały to całkowitym milczeniem.

Lato i tak dobiegało już końca. Alice i pani Oastler machnęły ręką na zapaśnicze wyczyny dzieci, które od rana do nocy spuszczały sobie lanie w siłowni przy Bathurst Street. (Jack niekoniecznie „spuszczał lanie” Emmie, chociaż poszczęściło mu się raz czy dwa).

- W wypadku Emmy to tylko hormony - twierdziła pani Oastler.

Alice natomiast uważała, że zasadniczy cel treningów Jacka, czyli obrona przed chłopcami, wciąż nie został osiągnięty.

W ciągu dwóch tygodni Emma zgubiła dwanaście kilo i było jasne, że na tym się nie skończy. Wynikało to nie tylko z ćwiczeń, lecz i zmiany sposobu odżywiania. Bardzo polubiła Czenkę. („Poza jego uszami”). Z podobnym zastrzeżeniem polubiła też Pawła i Borysa.

Kiedy leżeli razem w łóżku Emmy albo kiedy ona tuliła Jacka w jego sypialni, chłopiec aż bał się spytać o jej nowego partnera do ćwiczeń.

- Ach, pewnie znajdę kogoś, komu dam łupnia, ptysiu.

Jack nauczył się panować nad oddechem w czasie całowania, choć pokusa, aby powstrzymać go aż do stanu granicznego z omdleniem, czasami była wręcz nazbyt silna. Emma zaś darzyła niesłabnącą atencją krasnała, którego otarcia, zgodnie z jej zapowiedzią, zagoiły się bez śladu. Krem nawilżający, niestrudzenie wcierany przez Emmę nawet gdy nie było już ku temu widocznej potrzeby, w połączeniu z rozstaniem z panią Machado, ewidentnie wyszedł penisowi na dobre.

- Tęsknisz za nią, Jack? - zapytała którejś nocy Emma.

Jack doszedł do wniosku, że tęskni za pewnymi rzeczami, które robiła, ale pani Machado nie brakowało mu wcale. Było mu niezręcznie wyznać to Emmie. Nie chciał, żeby uznała go za niewdzięcznika. Lecz byli przyjaciółmi i Emma rozumiała go bez słów.

- Wygląda na to, że byłeś podniecony, a zarazem bardzo się bałeś - orzekła.

- Tak.

- Drzę na samą myśl o tym, co czeka krasnała w Maine.

- O co ci chodzi, Emmo?

Znajdowali się w jej pokoju. Jeśli nie liczyć zaścielających go pluszowych zwierząt, łóżko Emmy było przeogromne. Jack miał na sobie tylko bokserki, Emma zaś koszulkę, którą podarowali jej Borys i Paweł. Pochodziła z turnieju zapaśniczego w Tbilisi i widniał na niej napis po gruzińsku. Co istotniejsze dla Emmy, koszulka była spłowiała, podarta i usiana plamami krwi.

- Zdejmij spodenki, ptysiu. - Emma wyplątała się pod kołdrą z koszulki, co spowodowało niewielki chaos wśród pluszowych zabawek. - Pokażę ci, jak uniknąć kłopotów. - Ująwszy jego rękę, położyła ją na penisie. - Możesz użyć drugiej ręki, jak ci wygodnie - powiedziała.

- Wygodnie?

- Brandzluj się, Jack! Chyba to potrafisz, nie?

- Przepraszam, co mam zrobić?

- Tylko mi nie mów, że robisz to pierwszy raz, ptysiu.

- Pierwszy - przyznał.

- Hm. Nie śpiesz się, przećwiczmy to krok po kroku - oznajmiła. - Możesz mnie całować albo dotykać drugą ręką. Na miłość boską, rób cokolwiek, Jack!

Jack próbował. Przynajmniej się nie bał.

- Chyba lewą ręką pójdzie mi lepiej - oświadczył. - Mimo że jestem praworęczny.

- To nie jest tak skomplikowane jak Nelson - powiedziała Emma. - Nie musimy tego omawiać.

Przytulił ją z całej siły: była taka mocna i zwarta. Kiedy go pocałowała, pamiętał o oddechu, przynajmniej na początku.

- Chyba działa - zakomunikował.

- Tylko nie narób wszędzie bałaganu, ptysiu - powiedziała Emma. - Żartowałam - dodała pośpiesznie.

Jednoczesne całowanie jej i oddychanie kosztowało go coraz więcej wysiłku, żeby nie wspomnieć o rozmowie.

- Co my robimy? - spytał. - O co tu chodzi?

- W ten sposób przetrwasz Maine - oznajmiła Emma.

- Ale ciebie tam nie będzie! - krzyknął.

- Będziesz musiał mnie sobie wyobrazić, ptysiu. Albo przyślę ci zdjęcia. - Ach, aurora borealis, północne światło! - Cóż, jeśli to nie jest „wszędzie”, to już sama nie wiem - zrzędziła Emma, podczas gdy Jack odzyskiwał normalny oddech. - Spójrz na ten bajzel. Tylko nie mów, że mi na tobie nie zależy.

- Kocham cię, Emmo - wypalił chłopiec.

- Wiesz, nie musisz się angażować - odrzekła Emma. - Sam fakt, że jesteśmy przyjaciółmi, graniczy z cudem.

- Będę za tobą tęsknił! - zawołał Jack.

- Ciii, nie płacz, usłyszysz cię. Nie dawaj im satysfakcji.

- Czego?

- Też będę za tobą tęsknić, ptysiu - szepnęła. Właśnie wkładała z powrotem koszulkę (pluszowe zwierzęta rozproszyły się w popłochu), kiedy Jack usłyszał dochodzące z korytarza kroki matki. Drzwi pokoju Emmy były uchylone.

- Czy to ty, Jackie? - zawołała Alice. (Niecodzienne odgłosy wydawane przez syna ani chybi wzbudziły jej niepokój).

Emma i Jack wiedzieli, że chłopiec nie zdążył naciągnąć bokserów. Nie miał nawet pojęcia, gdzie są; liczył, że leżą pod kołdrą. Opierał głowę na ramieniu Emmy, która niezobowiązująco obejmowała go za szyję. Ucisk nie zasługiwał, co prawda, na miano pętli, lecz nie ulegało wątpliwości, że gdy Alice weszła do pokoju, zastała dzieci przytulone do siebie w łóżku.

- Miałem zły sen - oznajmił Jack.

- Rozumiem - odrzekła Alice.

- W moim łóżku ma więcej miejsca na złe sny niż w swoim - dodała Emma.

- Właśnie widzę.

- To był sen o fosie - podjął Jack. - Pamiętasz najmniejszego żołnierza?

- Oczywiście - odpowiedziała Alice.

- To właśnie ten sen.

- Nie wiedziałam, że nadal go miewasz.

- Bez przerwy - skłamał. - A ostatnio nawet częściej.

- Rozumiem - odrzekła matka. - Bardzo mi przykro.

Pluszowe zwierzęta leżały rozproszone, jak gdyby ktoś dokonał wśród nich pogromu. Jack miał nadzieję, że nie ma między nimi bokserów. Alice skierowała się do wyjścia, jednakże stanęła w progu i ponownie zwróciła się twarzą do dzieci.

- Dziękuję, że jesteś taka dobra dla Jacka, Emmo - powiedziała.

- Będziemy dozgonnymi przyjaciółmi - zapewniła Emma.

- Mam nadzieję - odparła Alice. - Spijcie dobrze - dodała ściszym głosem, wychodząc na korytarz.

- Dobranoc, mamó! - zawołał Jack.

- Dobranoc! - zawołała Emma. Jej dłoń odnalazła pod kołdrą krasnala, który zdawał się pogrążony w głębokim śnie. - Jak szybko zapominasz - szepnęła.

Zupełnie jak za dawnych czasów, pomyślał Jack, zasypiając, przy czym nie określił dokładnie, co było dobre w owych „dawnych czasach”, a co nie. Nawet chrapanie Emmy sprawiało mu niekłamaną przyjemność.

Emma wypstrykała w siłowni całą kliszę, uwieczniając wilczy tatuaż Czenki w rozmaitych konfiguracjach, Jacka siedzącego po turecku na macie obok starego Ukraińca oraz ramię Czenki, przerzucone przez barki chłopca w sposób, który Jack lubił nazywać „ojcowskim”.

Nasłuchując pochrapywania Emmy, Jack odtwarzał owe fotografie w myślach. Niebawem znajdzie się w Maine, lecz przestał się bać. Kiedy zasypiał, towarzyszyła mu niezbita pewność, iż w Maine nie ma nic, co może wzbudzić w nim lęk.

Jack Burns miał zatęsknić za dziewczętami, za tak zwanymi starszymi kobietami. Nawet za tymi, które go molestowały. (Zwłaszcza za tymi, które go molestowały!). Miał zatęsknić również za panią Machado, i to bardziej niż byłby skłonny wyznać Emmie.

Jack tęsknił nawet za dziewczętami, które nigdy go nie wykorzystywały, między innymi za Sandrą Stewart, pamiętną dwujęzyczną jękałą z przedstawienia, osobką o wrażliwym żołądku, narzeczoną na zamówienie, która daje się przerznąć w psim zaprzęgu, po czym zamarza na śmierć w zamieci śnieżnej! Jakim cudem w ogóle ją zapamiętał?

Tęsknił za każdą pierwszo- i drugoplanową postacią swego morza dziewcząt. Tamte dziewczęta - kobiety - dały mu siłę. Przygotowały Jacka Burnsa na terra firma (oraz niezbyt firma) jego przyszłego życia, łącznie z życiem wśród przedstawicieli własnej płci. Po nawałnicy dziewcząt chłopcy byli zaledwie lekką bryzą! A po lekcji, jakiej udzieliły mu starsze kobiety, relacje z mężczyznami miały Jackowi pójść jak z płatka.

III

• • • • •

Szczęściarz

16 • Śliskie nawierzchnie

W ostatnich, szalonych dniach przed wyjazdem do Maine, matka Jacka zajęła się przyszywaniem do jego ubrań łatek z nazwiskiem. Ubrania zakupiła pani Oastler. W Redding nie obowiązywały mundurki ani określone barwy odzieży, lecz chłopcy nosili marynarki i krawaty oraz spodnie khaki, a czasem wełniane, nie dżinsy. Mając za doradcę Leslie Oastler, przed Jackiem rysowała się przyszłość w roli jednego z najlepiej ubranych chłopców w szkole.

Alice powinna była z nim porozmawiać, powiedzieć mu wszystko. Lecz zamiast tego wołała zając się szyciem.

Jack nie widział w tym najmniejszego sensu: kiedy miał cztery lata, stawili blisko rok w portach Morza Bałtyckiego i Północnego na poszukiwaniach zaginionego ojca, tymczasem w ciągu pięciu lat pobytu Jacka u Świętej Hildy Alice prawie w ogóle nie wspominała Williama. W wieku dziesięciu lat był go bardzo ciekawy, a powszechnie panująca opinia na temat ojca budziła w nim lęk przed tym, kim sam może się stać. Jednakże matka nie chciała zaspokoić jego ciekawości. Alice rzadko bywała okrutna wobec syna, ale potrafiła być zimna, i taka też się stawała na każdą wzmiankę o Williamie.

Wielokrotnie torpedowała najmniejszą próbę poruszenia tego tematu.

- Jak będziesz starszy. - Była to jej stara śpiewka.

Rozmawiał kiedyś o tym z panią McQuat.

- Nie skarż się na kobietę, która umie dochować tajemnicy - odparła Szary Duch.

Emma miała długą listę pretensji do własnej matki, dlatego Jack mógł bez obaw wylać przy niej żale.

- Chciałbym tylko wiedzieć, jakim był facetem, na miłość boską!

- Uważaj, co mówisz, ptysiu.

Emma i Jack przeczytali „Podręcznik filozofii szkolnej”, dostarczany przez Redding nowym uczniom oraz ich rodzinom. Tak zwana poprawność językowa stanowiła istotny punkt kodeksu ucznia. Pan Ramsey, który zgodził się zawieźć Jacka do Maine, również przeczytał „Podręcznik” i uznał kodeks za „wielkie wyzwanie”.

Na dzień przed wyjazdem Emma i Jack poszli do fryzjera w Forest Hill Village i kazali się ostrzyć w identyczny sposób. Fryzura Jacka, chociaż krótsza niż czupryny preferowane przez chłopców w połowie lat siedemdziesiątych, nie była taka zła, lecz w wypadku Emmy krótkie włosy okazały się pomyłką. Wprawdzie nie ostrzygła się na zapałkę, lecz odkryty kark nadawał jej fryzurze jednoznacznie męski styl. Pomimo że wciąż traciła na wadze, jej kark zmęśniał w sposób zauważalny. (Wyciskanie pięćdziesięciokilogramowych ciężarów trzy lub cztery razy w tygodniu zrobiło swoje). Krótko mówiąc, Emma miała kark tragarza, krótkie włosy zaś podkreślały niefortunne pierwsze wrażenie, zgodnie z którym jej głowa zdawała się wyrastać prosto z ramion. Z tyłu Emma wyglądała jak mężczyzna.

Jack zasiadł na fotelu pierwszy, a następnie stanął obok i obserwował, jak fryzjer obcina Emmie włosy.

- Mama cię zabije - oznajmił.

- Niby jak? - odpowiedziała.

Co racja, to racja: Emma byłaby w stanie przełamać panią Oastler na pół dwoma palcami. Nawet Czenko nie mógł jej podkoczyć, o czym sam miał się wkrótce przekonać. Po wyjeździe Jacka Ukrainiec zastąpił go w roli partnera Emmy. Jak na człowieka w jego wieku, mógł się poszczycić doskonałą kondycją, a oprócz niekwestionowanego doświadczenia w zapasach miał nad Emmą przewagę w postaci jakichś dwunastu, piętnastu kilogramów. Jednakże Jack wiedział, że jeśli ktoś stara się nie urazić przeciwnika, łatwo o kontuzję; samokontrola nie była w zapasach mile widziana.

Czenko chciał zastosować suples boczny, ale zawahał się w obawie, że zrobi jej krzywdę. Wykorzystując jego nieuwagę, Emma błyskawicznie rzuciła go na matę. Wylądował na klatce piersiowej i uszkodził sobie mostek. Tego rodzaju kontuzja wymagała długiej rehabilitacji, zwłaszcza u osoby po sześćdziesiątce.

Emmie nie pozostawało nic innego, jak ćwiczyć z Borysem i Pawłem, dość młodymi, by nie obawiać się o swoje kości.

Podziwiając w lustrze ich identyczne fryzury, Jack był absolutnie przekonany, że Święta Hilda popełnia kardynalny błąd, przyznając Emmie miejsce w internacie. Dziewczynę dyskwalifikowało jej nastawienie, nie wspominając o rozłożystych ramionach i siedemnastocalowym karku.

- Jeden cal na każdy rok twojego życia - mówił Czenko.

Jack nie zdziwił się więc, kiedy po roku Emma zmuszona była opuścić mury internatu. Był jedynie lekko zdumiony, że wytrzymała tam aż tak długo. Ku niewysłowionej uldze szkoły i pewnemu niezadowoleniu pani Oastler Emma wprowadziła się z powrotem do domu. Objęła w posiadanie dawne skrzydło gościnne, przenosząc się do sypialni Alice, naprzeciw pokoju Jacka, dość rzadko zajmowanego w ciągu najbliższych lat.

Alice naturalnie porzuciła wszelkie pozory i przeniosła się do sypialni Leslie Oastler. (Według relacji Emmy, stało się to w ciągu tygodnia od wyjazdu Jacka do Maine). Decyzja Emmy o zajęciu skrzydła gościnnego wynikała nie tyle z chęci znalezienia się jak najdalej od matek, ile z irytacji wobec faktu, iż odmawiały rozmów na temat łączącej ich relacji. Lecz w naturze Alice leżała powściągliwość, pani Oastler zaś tylokrotnie ucinała dyskusje z córką, że teraz sama nie miała co liczyć na jej otwartość. Alice podobnie postępowała z Jackiem, który postanowił, że jeśli matka kiedykolwiek zdecyduje się puścić farbę, on po prostu zatka uszy.

W czasie pobytu w Maine częściej dostawał wiadomości od Emmy niż od Alice. Tą drogą dotarły do niego informacje o pani Machado. Aresztowano ją w parku sir Winstona Churchilla za seksualne molestowanie dziesięcioletniego chłopca. Potem wyszło na jaw, że jej dzieci wcale nie dorosły i nie poszły „na swoje”; jedenasto- i piętnastoletki mieszkali z ojcem i jego drugą żoną w innej części

Toronto. Pani Machado miała na koncie wyrok za molestowanie swego piętnastoletniego syna, kiedy ten miał dziesięć lat.

Oczywiście rzekome ataki ze strony byłego męża okazały się wyssane z palca, podobnie jak konieczność ciągłej wymiany zamków. „P” na domofonie prawdopodobnie wcale nie znaczyło „pani”, a przynajmniej już nie. Kimkolwiek była, powody, dla których zainteresowała się zapasami i kick boxingiem, na zawsze miały pozostać tajemnicą.

Alice nie wspomniała o tym Jackowi ani słowem, chociaż zapewne wiedziała o całej sprawie. Emma twierdziła, że zajęły się nią wszystkie gazety, „ze zdjęciami i w ogóle”. Być może Alice nigdy nie przyszło do głowy, że pani Machado mogła molestować Jacka. Co bardziej prawdopodobne, wołała odsunąć od siebie tę możliwość, pocieszając się myślą, że syn na pewno by jej o wszystkim powiedział.

- Zupełnie jakby zrobiła to samo na twoim miejscu - skomentowała sarkastycznie Emma.

Jack nie okazał się równie wytrwały w korespondencji jak Szary Duch. Pani McQuat była niezwykle rozumną kobietą, jednakże to Emma przejęła obecnie rolę głównego doradcy Jacka. Co dziwne, jego błędne mniemanie, jakoby prostytutki trudniły się udzielaniem rad, nie okazało się zbyt dalekie od prawdy. Emma nie była wprawdzie prostytutką, lecz seks i udzielanie rad traktowała niemal jak synonimy.

Pannie Wurtz również nie odpisywał regularnie. Z panem Ramseyem łączyła go daleko głębsza więź, nie tylko z uwagi na rolę narzeczonej na zamówienie. Pierwsza podróż do Maine zyskała dla Jacka tak wiekopomne znaczenie, że pan Ramsey na zawsze zastąpił pannę Wurtz w misji jego mentora w dziedzinie dramatu.

Jack nie przestał wprawdzie śnić o pannie Wurtz (w bieliznie i bez), doszedł jednak do życiowego rozdroża, gdzie słuchanie pana Ramseya wyszło na pierwszy plan i jawiło się jako bardziej sensowne pomimo faktu, iż wypowiedzi nauczyciela wielokrotnie kryły w sobie więcej dramatyzmu niż treści. (Jako aktor Jack byłby hipokrytą, gdyby go za to krytykował).

Kiedy ich samolot wylądował w Portlandzie, pan Ramsey chwycił oburącz dłonie Jacka.

- Jacku Burns! - Jego nagły okrzyk nasunął Jackowi straszliwe podejrzenie, że samolot zaraz się rozbije. - Jesteś w Maine, na dobre czy na złe! - Jack zerknął niepewnie na umykającą pod spodem płytę lotniska. - Pamiętaj, Jack: mając takie motto, Redding nie może być złą szkołą. Przypomnij mi je!

- Co?

- Motto twojej szkoły!

Jack na próżno usiłował je sobie przypomnieć. W przeciwieństwie do pana Ramseya w „Podręczniku filozofii szkolnej” jego większą uwagę zwróciła widoczna na każdym kroku dziarska gorliwość. Słowo „charakter” pojawiało się w każdym możliwym kontekście. „Przyzwoitość to norma”, przekonywał podręcznik. Może tak właśnie brzmiało motto.

- „Przyzwoitość to norma”? - zaryzykował.

- Naturalnie! - wykrzyknął niecierpliwie pan Ramsey. - Ale to nie jest motto. Twoja niezawodna pamięć płata ci figle, Jacku Burns!

Jack przypomniał sobie fragment o „wzajemnym oddziaływaniu” uczniów. „Porzućcie słowa na literę P!” radził podręcznik. Jack nie podejrzewał, aby było to motto, choć z pewnością by się na nie nadawało. Uczniowie mieli zakaz traktowania kolegów „pogardliwie” i „poniżająco”. W sercu kodeksu ucznia tkwił podpisywany przez wszystkich „kontrakt charakteru”, wedle którego szacunek do samego siebie jest niemożliwy bez szacunku do innych. Jack złożył swój podpis, ale to również nie wyglądało mu na motto.

- Podpowiem ci, Jack. To po łacinie. - Ładna mi podpowiedź!

Powietrze w Portlandzie było rześkie, acz nadal letnie i - wbrew przewidywaniom Jacka - niezbyt pokrzepiające, chociaż wkrótce miało się takowe okazać. Lotnisko okazało się równie prowizoryczne jak pas startowy.

- Labor omnia vincit! - zawołał do przechodzących pilotów pan Ramsey. Mężczyźni ewidentnie uznali go za wariata. - Trzeba usłyszeć te słowa w interpretacji Jacka Burnsa - zakomunikował zdumionej stewardesie, atrakcyjnej kobiecie po trzydziestce.

- Labor omnia vincit - powtórzył z przekonaniem Jack, kładąc szczególny nacisk na ostatnie słowo.

- Powiedz jej, co to znaczy, Jack - polecił pan Ramsey, lecz stewardesa nie zwróciła na niego uwagi, absolutnie zapatrzona w Jacka.

Chłopiec znalazł się w obcym kraju (na dodatek w Maine) i choć nie pamiętał ani słów motto, ani ich znaczenia, bez trudu czytał w jej myślach. W jego opinii zaliczała się do kategorii „starszych kobiet”. Tylko się do niej uśmiechał, lecz jej myśli nie stanowiły dlań zagadki.

- Dobrze, że nie podróżuje bez opieki - zauważyła stewardesa, nie odrywając oczu od chłopca.

- Nazywa się Jack Burns - powiedział pan Ramsey. - Ma pamięć słonia, ale nie dzisiaj.

- Labor omnia vincit - powtórzył Jack, usiłując sobie przypomnieć, co to znaczy.

- Praca... - podpowiedział pan Ramsey, lecz tknięty nagłym olśnieniem Jack przerwał mu w pół słowa.

- Praca zwycięża wszystko - poinformował stewardesę.

- Ależ jestem niemądra... a myślałam, że to miłość zwycięża wszystko - odpowiedziała.

- Nie, praca - uściślił z przekonaniem Jack.

Stewardesa z westchnieniem zmierzwiła mu włosy. I spoglądając na chłopca, zwróciła się do pana Ramseya.

- Nie sposób zliczyć serc, które przyjdzie mu złamać.

Kiedy wyruszyli pożyczonym samochodem na północny zachód do Redding, było jeszcze jasno. Ocean pozostał daleko w tyle. Po Lewiston krajobraz nie miał do zaoferowania nic ciekawego. West Minot nie wyróżniało się niczym szczególnym, podobnie jak East i West Sumner, choć uwagę pana Ramseya zwrócił brak samego Sumner.

- Można mniemać, iż Maine zdecydowanie nie przoduje wśród stanów o inteligentnie brzmiących nazwach miejscowości, Jack.

W blasku zachodzącego słońca opustoszały krajobraz nie nastrojał szczególnie optymistycznie. Pan Ramsey zainicjował wcześniej żarliwą dyskusję na temat pamiętnej filozofii pani Wicksteed oraz jej zastosowania wobec wrogich elementów w Redding, ale teraz dał za wygraną. Wobec równie pośpynych widoków nawet jego impulsywność pana Ramseya poruszała tematy ogólnie uważane za drażliwe.

- Wymarzona sceneria do „Narzeczonej na zamówienie” - zauważył. Na widok markotnej miny Jacka pośpiesznie usiłował zmienić temat. - Pewnie większość uczniów Redding mieszka w internacie, prawda?

- Chyba tak - odparł chłopiec.

Redding była szkołą prywatną (innymi słowy, niezależną), obejmującą klasy od piątej do ósmej. Podczas gdy pani Oastler mogła sobie pozwolić na pokrycie czesnego („bez mrugnięcia okiem”, jak mawiała Alice), widok małych miasteczek i wiosek, przez które przejeżdżali, utwierdził ich w przekonaniu, że jedynie garstka okolicznych mieszkańców posyła synów do Redding. Szkoła oferowała wprawdzie stypendia, lecz tylko piętnaście, dwadzieścia procent uczniów otrzymywało jakąkolwiek pomoc finansową. Redding nie mogło się poszczycić szerokim gronem sponsorów.

Co do „Podręcznika filozofii szkolnej”, pan Ramsey przychylił się do interpretacji Jacka. Jego bystrej uwagi nie uszło pierwsze zdanie: „Zacznijmy od tego, że nie wszyscy uczniowie uczęszczający do Redding mają problemy”.

Naturalnie pan Ramsey uznał natychmiast, że większość uczniów Redding ma problemy, i zastanawiał się głośno, na czym mogą one polegać.

- Pewnie ci chłopcy pochodzą z rodzin dysfunkcyjnych albo zostali wydaleny z innych szkół.

- Za co? - spytał Jack.

- Powiedzmy, że niewiele szkół z internatem, nawet w Nowej Anglii, przyjmuje do internatu już piątoklasistów. Spodziewam się jednak, że ktoś taki jak Jack Burns w podobnym miejscu rozkwitnie! - oświadczył pan Ramsey.

- To znaczy?

- Redding należy do szkół, które przykładają większą wagę do nastawienia niż uzdolnień, Jack. Ufam, iż odniesiesz pożytek z obu tych cech. - W wypadku Jacka Burnsa nastawienie brało górę nad uzdolnieniami i pan Ramsey dobrze o tym wiedział, lecz mimo to niestrudzenie brnął naprzód. Entuzjazm, jaki pokładał w Jacku, znał tylko jedno tempo i kierunek: chyżo do przodu. - To ciekawe, że tak zwana edukacja na podstawie charakteru może się odbywać bez zbędnego rozpraszania uwagi w instytucji przeznaczonej wyłącznie dla osobników płci męskiej. Jest to bardzo istotne, zwłaszcza dla chłopca o aparycji takiej jak Jack Burns!

- Ma pan na myśli brak dziewcząt.

- W rzeczy samej, Jack. Nie waż się choćby myśleć o dziewczętach. Twoim celem jest zaistnieć jako bohater wśród innych młodych mężczyzn, a w wypadku fiaska przynajmniej sprawiać takie wrażenie.

- Po co? - spytał Jack.

- W męskiej szkole są bohaterowie i piechota, Jack. Lepiej być bohaterem.

Emma miała rację: pan Ramsey ledwie widział drogę znad kierownicy. Był równie niski jak pani Machado i o blisko dziesięć kilo lżejszy. To, że stał się bohaterem w szkole dla dziewcząt, bynajmniej nie przekreślało faktu, że na wcześniejszych etapach życia najprawdopodobniej odgrywał rolę piechura. Jego schludnie przystrzyżona, kanciasta bródka była wielkości dziecięcej łopatki do piasku, a małe stopy, uwięzione w mokasynach rozmiar sześć, ledwie sięgały pedałów gazu i hamulca.

- Gdzie pan przenocuje? - spytał Jack.

Myśl o panu Ramseyu zdążającym samotnie po ciemku do Portlandu wzbudziła w nim pewien niepokój. Pan Ramsey jednak był nader waleczną duszą i lękał się tylko o Jacka.

- W razie kłopotów, Jack, zwołaj tłum. W wypadku więcej niż jednego osiłka najpierw bierz na muszkę największego. Tylko pamiętaj, żeby zrobić to publicznie.

- Dlaczego publicznie?

- Jeśli będzie chciał cię zabić, może któryś z gapiów go powstrzyma.

- Aha.

- Nie bój się lania, Jack. W najgorszym razie możesz to potraktować jako wyzwanie aktorskie.

- Rozumiem.

I tak minęli południowo-zachodnią część Maine. Opustoszała okolica wywierała przygnębiające wrażenie. Kiedy zbliżali się do celu podróży, pan Ramsey skręcił na stację benzynową. Jack odczuł ulgę na myśl, że nauczyciel wjedzie do Portlandu z pełnym bakiem. Była to prowincjonalna stacyjka ze sklepem oferującym szereg podstawowych artykułów typu napoje i chipsy, papierosy oraz piwo. Przy kasie, w pobliżu której leżał zziębnięty, ślepy pies, siedziała na stołku przysadzista kobieta. Nawet w pozycji siedzącej przewyższała wzrostem pana Ramseya. Fachowym okiem zapaśnika Jack ocenił, że jej waga wynosi około stu kilogramów.

- Na dobre czy na złe, jedziemy do Redding - oznajmił pan Ramsey.

- Tak myślałam - odrzekła kobieta.

- Nie wyglądamy na tubylców, co? - odgadł pan Ramsey. Kobieta nawet się nie uśmiechnęła.

- Szkoda posyłać do internatu takiego gołowaśa - oznajmiła, wskazując głową na Jacka.

- Cóż - odpowiedział pan Ramsey. - Dzisiejsze rodziny stają w obliczu różnych trudności. Czasem nie ma wyboru.

- Zawsze jest wybór - zaprzeczyła stanowczo kobieta. Sięgnąwszy pod ladę, wyjęła pistolet i położyła go obok kasy. - Na przykład - podjęła - mogłabym strzelić sobie w łeb z nadzieją, że jakiś klient rano znajdzie psa. Oczywiście zakładając, że ktoś w ogóle chciałby przygarnąć ślepego kundla. Lepiej byłoby najpierw ukatrupić psa, a dopiero potem siebie. Chodzi o to, że zawsze bywa trudno, ale nie ma sytuacji bez wyjścia.

- Rozumiem - odrzekł pan Ramsey.

Widząc, że Jack utkwiał wzrok w pistolecie, kobieta odłożyła broń z powrotem pod ladę.

- Za wcześnie na strzelaninę - oświadczyła, puszczając oko.

- Dziękujemy za paliwo - powiedział pan Ramsey. A po powrocie do samochodu zauważył: - Zapomniałem, że w tym kraju wszyscy są uzbrojeni. Byłoby taniej i bezpieczniej, gdyby wszyscy zażywali tabletki nasenne, choć pewnie potrzebowałiby na nie recepty.

- A na broń nie? - spytał Jack.

- Jak widać nie, chłopcze. Jednakże, moim zdaniem, najgorsze jest to, że posiadanie broni skłania człowieka do jej używania, nawet jeśli w grę wchodzi ślepy pies!

- Biedak - zauważył Jack. -

- Posłuchaj... - zaczął pan Ramsey w chwili, gdy zza mgły spowijającej rzekę wyłonił się zarys kampusu: budynki z czerwonej cegły, przywodzące na myśl surowość i resocjalizacyjny charakter więzienia, którym, zdaniem Jacka, mogły być, zanim stały się szkołą. W

rzeczywistości Redding pełniło kiedyś funkcję największego w Maine zakładu dla obłąkanych, który stracił dotację w latach czterdziestych, kiedy większość państwowych pieniędzy szła na cele wojenne. (W oknach internatu wciąż widniały kraty, co nadawało instytucji wygląd zakładu karnego). - ...Jacku Burns - oświadczył uroczyście pan Ramsey. - Jeśli kiedykolwiek przyjdzie ci do głowy stąd uciec, dobrze się zastanów. Otoczenie może się bowiem okazać bardziej wrogie niż sama szkoła, a poza tym tutejsi obywatele są uzbrojeni po zęby.

- Zastrzeliliby mnie jak ślepego psa. Czy o to panu chodziło? - spytał chłopiec.

- Dobrze powiedziane, Jacku Burns! - zawołał pan Ramsey. - Jesteś nad wyraz przenikliwy, mój chłopcze! Będziesz gwiazdorem!

Podczas ławego pożegnania na korytarzu internatu Jack bynajmniej nie wyglądał na przysłego gwiazdora. Pan Ramsey także nie krył wzruszenia.

Współlokatorem Jacka był bladej, długowłosej Żyd z okolic Bostonu, Noah Rosen, który dosadnie wyraził swe niezadowolenie wobec faktu, iż w pokoju brakuje drzwi, co skutecznie odwróciło uwagę Jacka od smutnego rozstania z nauczycielem. Namiastkę prywatności zapewniała jedynie zawieszona we framudze zasłona. Jack uściśnął Noahowi rękę i również dał wyraz swemu oburzeniu. Kiedy zaczęli się prześcigać w uprzejmościach, proponując jeden drugiemu to biurko przy oknie, to znów lepsze łóżko (czyli położone dalej od otworu drzwiowego i korytarzowego zgiełku), ktoś (bez pytania) odsunął zasłonę i do pokoju wkroczył starszy chłopak o dość agresywnym wyglądzie, zapewne siódmo- bądź ósmoklasista. Jego wypowiedziane złowrogim tonem pytanie zabrzmiało tak obcesowo, iż Jack niemal zapomniał o przykazaniu pani Wickstead.

- Macie fajkę dla tatusia, pedzie?

- Nazywa się Tom Abbott - poinformował Jacka Noah. - Pół godziny temu poznałem go w łazience i nazwał mnie „żydkiem”.

- Cześć, Tom - powiedział Jack, wyciągając rękę. - Nazywam się Jack Burns. Przyjechałem z Toronto. - Doszedł do wniosku, że przynajmniej raz może sobie pozwolić na uprzejmość, jednakże przewidywał, że w pośpiechu arytmetyka może mu nastreczyć poważnych trudności. (Liczby zawsze były jego piętą achillesową, nawet kiedy dorósł).

- Czy ta ciota z jasną brodą to twój ojciec? - spytał Jacka Tom Abbott.

- Właściwie nie. To przyjaciel rodziny - wyjaśnił Jack. - Mój dawny nauczyciel, szkolny reżyser. Wspaniały gość. - I dodał, zwracając się do Noaha: - Uważaj, żebym się nie pogubił. Dwukrotnie udzieliłem grzecznej odpowiedzi. To by było na tyle, jeśli chodzi o uprzejmość. - Wyminąwszy Toma Abbotta, wyszedł na korytarz.

- Co mówiłeś, pedale? - spytał Abbott, podążając za Jackiem. - Myślisz, że ktoś ci pomoże?

- Nie chcę pomocy - odrzekł Jack. - Potrzebuję audytorium.

Ujrzeni innego piątoklasistę, który siedział w korytarzu na swoim kufrze podróży. Jego współlokator stał w progu, przytrzymując zasłonę.

- Witajcie, jestem Jack Burns z Toronto - oznajmił Jack. - Jeśli was to ciekawi, chyba zanosi się na bójkę. - Stał plecami do Abbotta, wołając do widocznej z daleka grupy chłopców: - Kto tu mówi o pogardliwym traktowaniu! Co powiecie na „żydek”? Albo „pedał”? Czy to nie brzmi pogardliwie?

Poczuł na ramieniu czyjś dotyk; wiedział, że nie jest to ręka Noaha. Gdy ktoś dotyka cię od tyłu, myśli, że odwrócisz się w określoną stronę. Czenko radził Jackowi obrócić się w kierunku przeciwnym, celem zmylenia przeciwnika. Jack zastosował się do tych zaleceń i stanął pierś w pierś z Tomem Abbottem, któremu sięgał tylko do brody. Abbott miał nad Jackiem około dwunastu centymetrów i piętnastu, dwudziestu kilogramów przewagi, jednakże nie był zapaśnikiem i nieroztropnie natarł na chłopca całym ciężarem.

Jack zastosował pociągnięcie, po czym przeszedł do chwytu za rękę i głowę w parterze, tak że Abbott opadł na czworaki, a jego głowa zetknęła się z kolanem Jacka. Miał może jedną trzecią siły Emmy i co najwyżej dwie trzecie siły pani Machado. Jack nigdy nie zastosował równie ciasnego chwytu. Nos Toma Abbotta rozpląszczył się na kolanie; chłopak sapał, jakby miał kłopoty z zatokami.

- Też mi technika - doleciał z góry czyjś głos.

- Bo co? - spytał Jack. Nie widział mówiącego, lecz głos należał do starszego chłopca.

- Mogę ci pokazać, jak zrobić to ciasniej - oznajmił chłopiec.

Jacka otaczały twarze piątoklasistów; miał wrażenie, że nieznajomy stoi tuż nad jego głową. Wiedział, że Tom Abbott nie może wydusić słowa; ba, Abbott ledwie oddychał. Jack przytrzymał go z całej siły i czekał.

- Puść go - polecił nowo przybyły.

- Nie wolno nazywać innych żydkami i pedziami - oświadczył Jack. - To pogardliwe określenia.

- Puść go - powtórzył chłopiec.

Jack usłuchał polecenia i wstał.

- Co robisz u piątoklasistów, Tom?

Jack przyjrzał się nieznajomemu. Jeszcze nie wiedział, iż jest on porządkowym na ich piętrze, lecz z całą pewnością wyglądał na zapaśnika. Nie mierzył więcej niż metr siedemdziesiąt, może siedemdziesiąt pięć; co do budowy, należał do klasy wagowej Emmy lub był nieco cięższy. I chociaż jego kalafiorowate uszy były pestką w porównaniu z uszami Czenki (nie wyglądały nawet w połowie tak źle jak uszy Pawła i Borysa), obnosił je z wyraźną dumą.

Tom Abbott wciąż nie mógł wydobyć z siebie głosu. Zdawał się tchnąć rezygnacją wobec faktu, że porządkowy zademonstruje na nim prawidłowy chwyt.

- Pokazać ci ciasniejszy?

- Tak, proszę - odpowiedział Jack.

Porządkowy zastosował chwyt z góry za rękę i głowę w parterze. Wepchnął kolano w żebra Abbotta, przez co biodra Toma powędrowały skosem w kierunku przeciwnym do jego karku i głowy.

- Nie tylko ciasniej, ale i bardziej niewygodnie - wyjaśnił porządkowy.

Nazywał się Loomis - wszyscy zwracali się do niego po nazwisku. Był ósmoklasistą z Pensylwanii, od dziesięciu lat ćwiczył zapasy. Miał problemy z nauką, powtarzał drugą i czwartą klasę. Był parę lat młodszy od Emmy.

Jack nie wiedział, że Redding miało drużynę zapaśniczą, chociaż w szkole, gdzie liczył się charakter, a wysiłek poważano bardziej niż talent, wydawało się to jak najbardziej logiczne.

W Redding obowiązywał system punktowy: uczeń tracił punkt za każdą pogardliwą lub poniżającą uwagę pod adresem kolegi; inne przejawy niegodziwości karane były w ten sam sposób. Na przykład Tom Abbott stracił trzy punkty: jeden za nazwanie Noaha żydkiem, drugi za nazwanie Jacka i Noaha pedałami, trzeci zaś za sprowokowanie bójkę. („Dotknął mnie pierwszy”, powiedział Jack Loomisowi, który nie wyglądał na zaskoczonego tą informacją).

Wizyta na piętrze piątoklasistów kosztowała go dodatkowy punkt karny; odwiedziny u młodszych kolegów wymagały specjalnego upoważnienia, które wydawał porządkowy. Każdego obowiązywał limit czterech punktów na miesiąc. Jeśli człowiek przekroczył cztery, wylatywał ze szkoły, i to bez odwołania. Tom Abbott stracił cztery punkty pierwszego dnia; wszystko wskazywało na to, że nie dotrwa do końca drugiego tygodnia.

Starszym uczniom, którzy dopiero rozpoczynali edukację w Redding, nie było łatwo. Abbott przeniósł się tutaj z innej szkoły. Chłopcy przyjmowani od piątej klasy mieli większą

szansę na wytrwanie do ósmej klasy i wzwyż. Podobnie jak większość ósmoklasistów, Loomis uczęszczał do Redding od czterech lat.

Jeśli sumiennie wypełniałeś swoje obowiązki, co dotyczyło zarówno zajęć szkolnych, jak i pozaszkolnych, pozostawiano cię w spokoju. Musiałeś przy tym traktować z szacunkiem pozostałych uczniów: uprzejmość obowiązywała od samego początku, w stopniu daleko bardziej rygorystycznym niż w wypadku filozofii pani Wicksteed. Staruszka byłaby pod wrażeniem.

Przeklinanie kosztowało pół punktu, pół punktu za każde brzydkie słowo. Na przykład lepiej było powiedzieć „Kurwa mać!” i „Pierdolony!” aniżeli „Pierdolona kurwa mać!”. (Emma daleko by tu nie ujechała).

Nie wszyscy chłopcy mieli „problemy”, lecz wszyscy byli z jakichś powodów niemile widziani w rodzinnych domach. Rodzice i starsza siostra Loomisa zginęli w wypadku samochodowym i dziadkowie skłonni byli się go pozbyć, zanim kłopoty związane z okresem dojrzewania zdążyły na dobre zaistnieć.

„No i dobrze”, jak mawiał Loomis. Te słowa również mogłyby stać się mottem Redding, chociaż brzmiały mniej efektownie niż Labor omnia vincit.

W sali gimnastycznej, gdzie trenowano zapasy, Jack odkrył kolejne motto: wymalowano je na suficie, dzięki czemu człowiek mógł je odczytać, leżąc plackiem na ziemi.

PRECZ Z MAZGAJAMI

Wymagania akademickie były dość umiarkowane: praca domowa opierała się raczej na powtórzeniach niż twórczym wysiłku. Dużo nauki na pamięć, co akurat odpowiadało Jackowi. Nurek, pociągnięcie, młynek w zasadzie nie były trudne, lecz wymagały wielokrotnych powtórzeń. Jack czuł się w Redding jak ryba w wodzie.

Poza tym ani panna Wurtz, ani pan Ramsey nie zakwestionowałyby znaczenia nauki na pamięć. W Redding nic nie płynęło z inspiracji - wszystko sprowadzało się do repetytorium. Bystrzejsi uczniowie, po prawdzie niezbyt liczni, ginęli w tłumie; premiowana była tylko ciężka praca. Im więcej trudności musiałeś pokonać, tym bardziej doceniano twoje starania.

Dyrektor, którego zasadnicza rola sprowadzała się do pozyskiwania sponsorów, większość czasu spędzał na wyjeździe. Zona przekazywała na porannym apelu informacje o jego aktualnym miejscu pobytu.

- Szanowny pan Adkins przebywa w Cleveland - mówiła. - Mamy tam kilku wychowanków, którzy odnieśli sukces. Pan Adkins stara się o pomoc dla chłopców, którzy są w potrzebie.

A więc byli „w potrzebie” - proszę bardzo.

- Głównym celem Redding - zakomunikował im pan Adkins podczas jednego z pobytów na miejscu - jest przygotować uczniów do szkoły lepszej niż Redding.

Założenie polegało na tym, że podczas gdy Redding uczy chłopców ciężkiej pracy, o ich edukację zadba inna, lepsza uczelnia. Jack odkrył, iż najmniej użytecznym aspektem Redding są kraty w oknach internatu. Nikt nie chciał stąd uciekać: wszyscy pragnęli jedynie znaleźć się w lepszej szkole.

Pan Clum, trener zapaśników, przybył do Maine z Kolorado. Walczył gdzieś w Wielkiej Dziesiątce, lecz w rozmowach z podopiecznymi podkreślał, że nigdy nie był gwiazdorem.

- Przez cztery suportowałem kogoś lepszego - oświadczył. - Co roku był to inny zawodnik, ale zawsze lepszy ode mnie.

Poczucie własnej niższości przemawiało na korzyść uczniów; przekonanie, że są gorsi od innych, w połączeniu z nadgorliwością czyniło ich zastraszająco nieustępliwymi.

Obmyślony przez trenera Cluma harmonogram zawodów całkowicie przekreślał ich szanse na zwycięstwo. Drużyna Redding zawsze wracała na tarczy, lecz chłopcy nie obawiali

się porażki, a sporadyczna wygrana dodawała im skrzydeł. Dopiero później, będąc już w lepszej szkole, Jack miał się dowiedzieć, że nikt nie chciał walczyć z Redding. Tamtejsi uczniowie uwielbiali dostawać w skórę (często przegrywali, lecz rzadko lądowali na obu łopatkach) i, rany, jacy byli uprzejmi.

- Kiedy przegrasz, okaż przeciwnikowi swój podziw - instruował młodszych chłopców Loomis. - Kiedy wygrasz, powiedz mu, że ci przykro i że też byłeś w takiej sytuacji, nawet jeśli to nieprawda.

Kiedy Jack wygrał swoje pierwsze zawody, startowali przeciwko szkole z Bath w stanie Maine. Jego przeciwnikiem był silny, lecz niezdarzy dzieciak, który w życiu nie widział chwytu z góry za rękę i głowę w parterze. Gdy Jack zacieśnił chwyt zgodnie z radą Loomisa, tamten go ugryzł. Zatopił zęby w przedramieniu Jacka aż do krwi. Jack widział jego twarz: w oczach przeciwnika nie było złośliwości ani zaciętości, tylko strach. Prawdopodobnie bał się przegrać, a zwłaszcza lec plackiem na macie. Być może lękał się również kontuzji. Walczył o życie, tak jak walczyłyby osaczone zwierzę.

Jack zwolnił uścisk. Rana rzuciła się w oczy i nie uszła uwagi zawodników obydwu drużyn. Uczeń z Bath został zdyskwalifikowany za niesportowe zachowanie, co w sumie dało Redding tyle samo punktów, ile Jack uzbierałby za jedną rundę.

- Bardzo mi przykro - powiedział do chłopca, który go ugryzł. - Ja też bywałem w podobnych sytuacjach.

Upokorzony przeciwnik milczał; żadne słowa nie mogły go pocieszyć.

Loomis pokręcił głową.

- Co? - spytał Jack.

- Nie mów, że bywałeś w podobnych sytuacjach komuś, kto cię ugryzł, Jack.

Pobyty w Redding wymagał opanowania szeregu zasad. Jackowi bardzo to odpowiadało.

Pani Adkins, słomiana wdowa za sprawą licznych eskapad męża bezustannie poszukującego dotacji, uczyła angielskiego i zajmowała się obsadą cotygodniowych przedstawień. Była pogrążoną w głębokiej depresji pięćdziesięciolatką o markotnej minie i włosach w wyblakłym odcieniu blond. Jej dawniej alabastrowa cera zyskiwała szarawy, niezdrowy odcień, a ubrania wydawały się zawsze o rozmiar za luźne, jakby cierpiała na chorobę powodującą stopniowy zanik ciała.

Była niestrudzoną tropicielką młodych talentów. Miała dość niekonwencjonalne metody działania; bez zapowiedzi wkraczała do sali i krążyła między ławkami, podczas gdy lekcja trwała jak gdyby nigdy nic.

- Udawajcie, że mnie tu nie ma - mówiła piątoklasistom. (Zakładała, że starsi uczniowie już wiedzą, jak ją ignorować).

Po jednej z takich lekcji wybrany uczeń zastawał w szafce liściki o następującej treści:

Zapraszam do siebie. Pani A.

W piątej i szóstej klasie Jack dostawał zwykle role kobiece. Był najładniejszym chłopcem w Redding, a na podstawie entuzjastycznych referencji panny Wurtz i pana Reddinga pani Adkins wywnioskowała, że podobne role to dla niego nie pierwszozna.

W siódmej i ósmej klasie, kiedy coraz częściej wybierano go do ról męskich, pani Adkins przestała zostawiać mu liściki. Znacząco dotykała tylko jego ramienia.

Owszem, spał z nią, ale dopiero w ósmej klasie, jako niespełna czternastolatek, kiedy deficyt osobników płci przeciwnej kazał mu zatęsknić za dawnym życiem dziecka molestowanego seksualnie. Miał wówczas za sobą ponad trzy lata najciekawszych ról i dorósł na tyle, by otaczająca panią Adkins permanentna aura przygnębienia podziała na jego zmysły.

- Nie dostaniesz za to punktów karnych - oznajmiła za pierwszym razem.

Mimo to przeczuwał, że po Redding świat narzuci mu kolejne kryteria zdobywania i utraty punktów. I zawsze traktował panią Adkins jako kamiaka.

Przez Redding przepływała rzeka Nezinscot; aby się w niej utopić, trzeba było znacznego (żeby nie powiedzieć absurdalnego) wysiłku. Lecz kilka lat po tym, jak Jack opuścił Redding, pani Adkins udało się tego dokonać. Zapewne zdarzyło się to wiosną, jeśli w wypadku Maine w ogóle można mówić o wiosnie.

Pani Adkins miała w sobie cień kruchej urody panny Wurtz, a metody stosowane przez nią na zajęciach kółka teatralnego nosiły znamiona ekscentryzmu dawnej nauczycielki Jacka. W Redding nie wystawiano całych sztuk bądź adaptacji powieści, gdyż przydługie próby klóciłyby się ze zdroworozsądkową filozofią szkoły. Jednakże w myśl szkolnej mantry o nauce na pamięć pani Adkins postanowiła uczynić wszystkich uczniów aktorami.

Nosili kostiumy odpowiednie do roli, pani Adkins dbała o charakteryzację. Jack odkrył z czasem, iż damskie fatalaszki pochodziły z garderoby pani dyrektorowej bądź z jednolicie tandetnych szaf żon nauczycieli. (Pani Adkins była jedną z dwu nauczycielek płci żeńskiej w Redding).

Cotygodniowe przedstawienie składało się ze skeczy, tekstów satyrycznych, wyimków opowiadań i sztuk teatralnych, wierszy (tudzież często ich fragmentów) oraz monologów natchnionych mężów stanu, będących prawdziwym wyzwaniem dla uczniowskiej pamięci.

W piątej klasie Jack recytował „Mojemu najdroższemu mężowi” Anne Bradstreet. Przebrany w elegancki, acz nieco spłowiały strój pani Adkins, z werwą oddał znoje wczesnokolonialnego życia oraz blaski i cienie codzienności purytańskiej żony, które pani Bradstreet zniosła z nad wyraz stoickim spokojem.

Był również oszalamiająco pięknym duchem (zgilotynowanej młodej kobiety) w gotyckiej opowieści Washingtona Irvinga pod tytułem „Przygoda niemieckiego studenta”. Jego czarna suknia była niegdyś koszulą nocną pani Adkins, zapewne w czasach, gdy pan Adkins mniej podróżował.

Zagrał także otrutą Beatrice w „Córce Rappacciniego” Hawthorne’a; stosownie do ogrodowej scenerii zgonu miał na sobie letnią sukienkę, którą pani Adkins włożyła kiedyś na ślub przyjaciółki. W szóstej klasie zaprezentował „Wzdychaj, panno, ale po co łzy”*, przyspiewkę z „Wiele hałasu o nic”. Szekspir należał do ulubieńców pani Adkins. Do piosenki „Pod leśnym drzewem” z „Jak wam się podoba” Jack włożył jedną z plisowanych spódnic dyrektorowej.

Pamiętał, że powiedziała: „Bardzo ci w niej do twarzy, Jack. Może znów zacznę ją nosić!”.

Kiedy po raz pierwszy wystąpił jako chłopiec, pani Adkins ponownie odziała go w swoje rzeczy. (Czarne luźne spodnie, biała bluzka z długimi rękawami i koronkowym żabotem). Jack zadeklamował „Pani mego serca” z „Wieczoru Trzech Króli”, a pani Adkins złażała go, że ostatnie słowa skierował pod jej adresem.

*Serce nie zna słowa potem,
Cieszymy się młodości złotem***

Zaiste; pani Adkins zdawała się sądzić to samo. Kazała Jackowi zaśpiewać „Ach zabierz, zabierz usta swe” z „Miarki za miarkę”. (Jego głos jeszcze się nie zmienił, ale miało to nastąpić już wkrótce).

* Przełożył Stanisław Barańczak.

** Przełożył Stanisław Barańczak.

W siódmej klasie Jack zrobił się zbyt muskularny na ubrania pani Adkins. Lecz jeśli chodzi o role kobiece, nawet w ósmej klasie nie miał sobie równych. Wyrosły mu już włosy łonowe, lecz zarost na twarzy pojawił się dość późno i nigdy nie należał do gęstych. Jack tęsknił za Emmą i lojalnie myślał o niej w czasie masturbacji. Nie mógł przywyknąć do prysznica w towarzystwie kolegów, nie lubił patrzeć na inne penisy. Kiedy wyznał to pani Adkins, poradziła, aby wymyślił jakiś wiersz i powtarzał go sobie podczas kąpieli.

W weekendy, kiedy pan Adkins przebywał poza domem, Jack odwiedzał jego żonę w domu dyrekcji, gdzie stroiła go w swoje łaszki, których nie oddała jeszcze na potrzeby kółka teatralnego. Kremowa koszulka z fiszbinami, golf z wełny boucle, welurowy kardigan, gnieciona koszula z jedwabiu, kopertowy sweter z satynową lamówką. Na przekór swej kruchej posturze pani Adkins miała duże stopy: jej zielone klapki z koralikami pasowały na Jacka jak ulał.

Nigdy nie dotykała go pierwsza, nie musiała go też zachęcać, aby sam to zrobił. Kiedy go przebierała (często w rzeczy, które akurat miała na sobie, więc musiała je najpierw zdjąć), stała tak blisko i rozsiewała tak przyjemny zapach, że ręce chłopca same wędrowały w jej kierunku. Gdy dotknął pani Adkins pierwszy raz, przymknęła oczy i wstrzymała oddech, co dodatkowo go zachęciło. Uwiodła go w sposób skrajnie odmienny od brutalnych metod pani Machado, choć Jack miał świadomość, że to właśnie dzięki Portugalce nabrał w tej dziedzinie znacznej wprawy. Pani Adkins nigdy nie zapytała, jakim cudem w wieku trzynastu lat osiągnął taką biegłość.

Kiedyś, gdy pani Adkins przebierała go w swą ulubioną aksamitną bluzkę, Jackowi przyszło do głowy, że powinna mieć córkę. (Dla żartu włożyła do stanika cytryny. Sama miała nieduży biust). Dużo później dotarła do niego informacja, że państwo Adkins mieli syna, który zmarł. Śmierć dziecka stanowiła główną przyczynę otaczającej panią Adkins permanentnej aury przygnębienia, która znęciła Jacka na samym wstępie, choć jeszcze wówczas nie potrafił tego określić.

- Cudownie wyglądasz w moich ubraniach - mówiła tylko.

Obsadziwszy Jacka w siódmej klasie w roli Mildred we „Włochatej małpie”

Eugene’a O’Neilla, pani Adkins tak zachwyciła się jego występem, że w rok później przewrotnie powierzyła mu rolę swarliwej ciotki Mildred. Wtedy to, ostatniego roku pobytu w Redding, leżąc po ciemku w ramionach Jacka, odpytywała go z tekstu. „Utyłasz się cała. Nie ma innej rady”, mówiła schrypniętym głosem Drugiego Inżyniera.

Ocierając się o nią, Jack vel Mildred odpowiadał:

- Nieważne. Mam dużo białych sukienek. - Sukienki zaś należały do niej: wszystkie kostiumy, jakie nosił na scenie, stanowiły niegdyś część garderoby pani Adkins. Czuł się w nich jak w drugiej skórze.

Poza wyjazdami z drużyną zapaśniczą Jack rzadko opuszczał Redding. Z uwagi na odległość od Toronto zazwyczaj spędzał amerykańskie Święto Dziękczynienia w Bostonie - a dokładniej w pobliskim Cambridge - z Noahem, swoim współ-lokatorem. Do Toronto jeździł na Boże Narodzenie oraz podczas tak zwanej przerwy wiosennej, przypadającej w marcu lub kwietniu, kiedy wiosna w Toronto właściwie nie przypominała tej pory roku, podobnie jak w Maine, gdzie nie gościła nigdy.

Jako zapaśnik objechał znaczną część Nowej Anglii. Trener Clum zabrał kiedyś drużynę aż do stanu Nowy Jork, na turniej, podczas którego nawet Loomis poniósł porażkę. Był to jedyny raz, kiedy Jack oglądał go w roli przegranego, choć prócz utraty rodziców i starszej siostry Loomisa czekała jeszcze w życiu niejedna klęska. Wyleciał z Akademii Blaira za zaciążenie córki sędziego, przez co stracił szansę na stypendium sportowe. Następnie wstąpił

do Navy SEAL i zginął od ciosu nożem na Filipinach podczas tajnej misji wojskowej albo pijackiej rozróby w barze - tak czy inaczej jego zabójcą był ponoć transwestyta pracujący jako prostytutka.

Jednakże to Loomis właśnie był dla Jacka niedoścignionym wzorem zapaśnika. Jack nigdy mu nie dorównał, choć przez ostatnie dwa lata w Redding więcej starć wygrał, niż przegrał. Gdyby podczas szkolnych spektakli ktoś robił zdjęcia, Jack z pewnością by o tym wiedział, ale nie spostrzegłby, gdyby ktoś obserwował go lub fotografował w czasie zapasów: w ogólnym zgiełku trzask migawki przemknąłby niezauważony. Będąc na macie, Jack tracił nawet z oczu swe jednoosobowe audytorium. W takiej sytuacji albo bierzesz górę nad przeciwnikiem, albo przegrywasz; zmagasz się w pustej przestrzeni, ślepy i głuchy na wszystkich. Po odejściu Loomisa Jack został liderem drużyny i po raz pierwszy spoczęła na nim odpowiedzialność.

W autobusie też sprawował pieczę nad drużyną. Jego podopieczni spali albo pierdzieli bądź też odrabiali przy latarkach zadania domowe i pierdzieli. (Mieli przykazane jak najmniej rozpraszać kierowcę).

Czasami w drodze powrotnej do Redding Jack opowiadał różne historie. Opowiedział o najmniejszym żołnierzu, który wyciągnął go z fosy Kastelsgraven, o bandażowaniu piersi Ingrid Moe, wytatuowanej przez jego matkę. Wspomnił też o bransoletach Saskii oraz jej poparzeniach, pominął jednak incydent z naszyjnikiem matki, zerwanym przez żadnego rad młodzieńca z Amsterdamu. No i oczywiście nie pisał ani słowa o pani Machado.

Jack lubił się przechwalać, że Emma, jego „siostra przyrodnia”, pokonałaby na macie wszystkich członków szkolnej drużyny oprócz Loomisa, który w owym czasie jeszcze kontynuował naukę w Akademii. (Wszyscy w Redding, oprócz Noaha i pani Adkins, wierzyli, że mama Jacka jest słynną tatuażystką, mieszkającą z gościem o nazwisku Oastler, tatą Emmy).

Prawdopodobnie snuł wspomniane opowieści nie tylko z tęsknoty za Emmą, ale i za matką i panią Oastler, a nawet panią Machado, a przynajmniej jej szorstkością, której na próżno by się doszukiwać w łagodnej naturze pani Adkins. Za jej nieokrziesaniem pewnie też tęsknił.

Opowiedział również historię o swym największym dotychczasowym sukcesie scenicznym, a mianowicie „Narzeczonej na zamówienie”. Było to dość ryzykowne przedsięwzięcie: trener Clum zakwestionował określenie „menstruacja”, a kiedy Jack użył go nieopatrznie, trener wlepił mu za karę pół punktu.

W ósmej klasie, gdy został drugim kapitanem drużyny, mieli w swoim gronie zawodnika wagi lekkiej nazwiskiem Lambrecht; był to nowy szóstoklasista z Arizony. Dorastał na pustyni i nigdy nie widział śniegu, nie wspominając o znaku drogowym „Uwaga, śliska nawierzchnia”.

Musiał chyba źle zobaczyć po ciemku, znaki zaś umykały za oknem w zawrotnym tempie, gdyż w pewnym momencie rzucił w przestrzeń:

- Co to za zawijasy?

Pytanie zawisło w półmroku; nikt spośród śpiących i pierdzących nie dał znaku życia. Jack uczył się na pamięć Matthew Arnolda. Zgasiwszy latarkę, odczekał chwilę na ewentualną odpowiedź.

- W Arizonie takich nie mamy - uzupełnił Lambrecht.

- Trudno je dojrzeć w ciemności - oznajmił Jack. - Tkwią tak nisko przy ziemi, że reflektory nie odbijają się w ich oczach, a skóra ginie na tle nawierzchni.

- Ale co to takiego? - drażył Lambrecht.

Podróże autokarem stwarzały wielkie pole do popisu, jeśli chodzi o improwizację.

- Lepiej nie wychodź nocą z internatu, Lambrecht, nie o tej porze roku. One żerują w ciemnościach.

- Co właściwie robią? - spytał Lambrecht. Był podekscytowany w sposób, w jaki zwykle ekscytują się zawodnicy wagi lekkiej: jego głos charakteryzował się wysoką tonacją nawet w normalnych warunkach.

Chyba właśnie to zadecydowało, że Mike Heller, zawodnik wagi ciężkiej, postanowił położyć kres zabawie Jacka. Heller nie miał za grosz poczucia humoru. Był ponurakiem o zbyt grubej warstwie tłuszczu, by móc uchodzić za prawdziwego zapaśnika wagi ciężkiej. Nigdy nie wygrał zawodów, a przynajmniej Jack nic o tym nie wiedział.

- Na miłość boską, Lambrecht, ślepy jesteś? - spytał. - Te twoje zawijasy to po prostu śliska nawierzchnia. Pieprzona gołoledź, durniu!

- Półtora punktu, Mike, przepraszam, dwa punkty karne - odezwał się trener Clum. (Który tak naprawdę nigdy nie spał). - Pół punktu za „miłość boską”, pół za „pieprzoną” i cały punkt za „durnia” - którym swoją drogą jesteś, Lambrecht. Ale jakkolwiek by na to spojrzeć, „dureń” jest określeniem pogardliwym.

- Cholera! - burknął Heller.

- Dwa i pół - poprawił się trener Clum.

- A więc te zawijasy to po prostu śliska nawierzchnia? - spytał Lambrecht.

- Dziwię się, że w Arizonie nie macie mrozów - wtrącił Jack.

- W niektórych częściach Arizony owszem - odpowiedział Lambrecht. - Ale nigdy nie widziałem takich znaków.

- Jezu, Lambrecht! - wykrzyknął Heller.

- Trzy punkty, Heller - oznajmił trener Clum. - Masz dziś wyjątkowego pecha.

- To chyba norma - wyraził przypuszczenie Jack. W tym miesiącu nie zarobił żadnego punktu karnego. Mógł sobie pozwolić na jeden.

Ku jego zdumieniu trener Clum odpowiedział:

- Dwa punkty, Burns. Przypominanie Hellerowi o jego niechlubnym bilansie jest poniżające, natomiast z bezbrzeżnej pogardy dla inteligencji Lambrechta wynikało wmawianie mu istnienia stworów przycupniętych nisko nad ziemią...

- ... i szarych jak pieprzona droga! - wpadł mu w słowo Lambrecht.

- Pół punktu, Lambrecht - zakomunikował trener Clum.

Znajdowali się gdzieś w Rhode Island, a może w Massachusetts. Jack wiedział, że od Maine dzieli ich jeszcze spory kawał drogi. Uwielbiał takie noce! Ponownie zapalił latarkę i skierował myśli na „Plażę w Dover”, przydługi wiersz o nazbyt okazałej pierwszej zwrotce.

- „Morze dziś takie spokojne” - przeczytał na głos, siląc się na wielkoduszną zmianę tematu.

- Oszczędzaj płuca na spektakl, Burns - wtrącił trener Clum. - Bądź łaskaw uczyć się po cichu.

Trener Clum nie był zły, chociaż nie tolerował tego, co poczytywał Jackowi za „próżność”, a mianowicie odsączania kalafiorowatych uszu. Kiedy Mike Heller nazwał Jacka „mazgajem” za brak chęci paradowania przez resztę życia z kalafiorowatymi uszami, trener Clum nie tylko wlepił mu punkt za „mazgaja” (określenie wybitnie pogardliwe), ale przy następnej okazji polecił też odsączyć własne ucho.

- Boli, Mike? - zapytał, stając podczas tej operacji nad delikwentem.

- Taa - odparł Heller. - Boli.

- Jednym słowem, „mazgaj” nie było trafnym określeniem, prawda? - ciągnął trener. - „Próżny”, owszem - dodał. - Ale nie „mazgaj”.

- No dobra, wobec tego Burns jest próżny - ustąpił Heller, wzdrygając się z bólu.

- Masz całkowitą rację, Mike - potwierdził trener Clum. - I łapiesz kolejny punkt.

Którejś nocy w autokarze, kiedy trener Clum i Jack byli jedynymi przytomnymi pasażerami, odbyli cokolwiek filozoficzną rozmowę.

- Chcę być aktorem - wyjawiał trenerowi Jack. - Moim zdaniem, niechęć do kalafiorowatych uszu nie wynika w tym wypadku z próżności, ale z pragmatyzmu.

- Hm - odparł trener Clum. ,

Jackowi przyszło do głowy, że może trener jednak drzemie. Ten jednak tylko się namyślał.

- Sformułuję to następująco, Jack - powiedział. - Jeśli zostaniesz gwiazdorem filmowym, będę mówił każdemu, że byłeś najbardziej pragmatycznym zapaśnikiem, jakiego miałem zaszczyt trenować.

- Rozumiem - odpowiedział Jack. - A jeśli nie zostanę...

- W tym sęk, prawda? Jeśli nie zostaniesz gwiazdorem filmowym, będę mówił każdemu, że nigdy nie trenowałem równie próżnego zawodnika jak Jack Burns.

- Założę się, że to bardzo pragmatyczna decyzja.

- Mianowicie, Jack?

- Założę się o dolara, że zostanę aktorem - odparł chłopiec.

- Ze względu na fakt, iż jesteśmy tu jedyni, którzy nie śpią - wyszeptał trener Clum - udam, że tego nie słyszałem. - Filozofia szkoły raz jeszcze dała o sobie znać. Pan Ramsey (który przestudiował podręcznik uważniej niż Jack) nie omieszkałby zauważyć, że w Redding żaden hazard nie wchodził w grę. Jack przymknął oczy i pomodlił się o sen, lecz trener dalej szeptał w ciemnym autokarze. -Zapamiętaj, Jack - powiedział. - Gdybym miał zgadnąć... zgadnąć, a nie iść o zakład. .. główną rolę masz jak w banku.

- Bez dwóch zdań - odparł Jack.

Tak było w Redding. Ku zdziwieniu samego Jacka oraz Emmy (nie wspominając o niewysłowionym zdumieniu Alice i pani Oastler) Jack uwielbiał szkołę. Tak bywa w wypadku niektórych chłopców. Człowiek jedzie w miejsce, które jest lub zdaje się końcem świata, wioząc bagaż dawnych problemów, a mimo to czuje się tam jak ryba w wodzie. Jack Burns doświadczał tego po raz pierwszy w życiu.

17 • Michele Maher i inne

Jack nie czuł się jak ryba w wodzie w Exeter, dokąd został przyjęty za sprawą reputacji Redding, słynącej z umacniania charakterów oraz interwencji tutejszego trenera zapaśników, w którego oczach podopieczni trenera Cluma uchodzili za „twardzieli”. Jack należał do ich grona, a przynajmniej wykazywał stosowną do owego miana determinację, która wprawdzie otworzyła mu drzwi do drużyny zapaśniczej Exeter, ale nie przygotowała na to, jak trudną i wymagającą szkołą była Akademia Phillips Exeter Academy.

Uratował go fakt, że Noah Rosen również (i ze wszelkich miar słusznie) został przyjęty do Exeter. Trener Hudson dodatkowo poszedł Jackowi na rękę: sprawił, że chłopcy znowu zamieszkali w jednym pokoju, dzięki czemu Noah mógł pomagać koledze w lekcjach. Bez względu na fenomenalną pamięć Jacka Exeter była uczelnią tak akademicko wymagającą i intelektualnie rygorystyczną, że umiejętność naśladownictwa, nawet wysoce wyrafinowanego, była niewystarczająco przydatna. Pamięć pomogła Jackowi na macie oraz w przygotowaniach do przyszłego zawodu aktora, lecz to Noah umożliwił mu kontynuację nauki.

Jack odwdzieczył się Noahowi, śpiając z jego starszą siostrą, studiującą wówczas w college'u Radcliffe. Jack poznał Leah Rosen podczas jednego ze Świąt Dziękczynienia, które spędził w Cambridge u rodziny Noaha. Leah była cztery lata starsza od chłopców; podczas ich pobytu w Redding uczęszczała do Andover, po czym rozpoczęła naukę w Radcliffe, gdy oni przenieśli się do Exeter. Nie grzeszyła zbyt urodą, miała jednak wspaniałe włosy i biust żywcem wyjęty z płótna Gibsona. Poza tym, co powoli stawało się rutyną, pociągała Jacka z racji różnicy wieku.

Noah był najlepszym przyjacielem Jacka; sam nie trenował i raczej stronił od pozostałych zapaśników. Kiedy Leah straciła semestr - z powodu aborcji i wywołanych nią obsesyjnych wyrzutów sumienia - Noah nie miał pojęcia, że ojcem dziecka jest jego współlokator.

Po incydencie z Leah Jack wplątał się w romans z mężatką, która pracowała w szkolnej stołówce jako pomywaczka. Pani Stackpole była niską, przysadziłą niewiastą z kilkoma litościwie spłowiałymi tatuażami. Jack dowiedział się od Noaha, że Leah jest w depresji i chodzi do psychiatry. Lecz nawet wówczas nie puścił pary z ust.

W przeciwieństwie do Redding, gdzie każdy uczeń posiadał dodatkowe zajęcie, w Exeter pracowali tylko stypendyści. Jednym z nich był Noah. Kiedyś Jack zastępował go podczas choroby: pozbierawszy talerze ze stołów, zaniósł je do kuchni. Tym sposobem poznał panią Stackpole.

Odwiedzał ją przed południem, między lekcjami, w małej ruderze opodal gazowni, gdzie mieszkała. Wpadał jak po ogień, gdyż mąż pani Stackpole pracował w gazowni i przychodził do domu na lunch. Kiedy posiłek (zwykle pozostałości z kolacji) podgrzewał się w piekarniku, pani Stackpole rozkładała ręcznik na kanapie w dużym pokoju, po czym odbywała z Jackiem coś w rodzaju zapaśniczej rundki, podobnej do pierwszych zmagania z panią Machado. Ciężkiemu oddechowi pomywaczki towarzyszył świst, który Jack wziął zrazu za odgłosy dobiegające z piekarnika: być może mężowski lunch znajdował się o krok od eksplozji. Lecz wyszło na jaw, że pani Stackpole cierpi na zwyrodnienie przegrody nosowej, za sprawą złamania, którego sprawcą był jej szanowny małżonek. (Może zupa była za słona: pani Stackpole nigdy nie wdawała się w szczegóły).

Zdaniem Jacka, pani Stackpole nigdy nie była piękną; nie umiał też wytłumaczyć, co go w niej pociąga: miała bowiem stężałą, pozbawioną wyrazu twarz, opuszczone kąciki zaciętych ust, tłustą cerę, koszarne tatuaże oraz tak zwaną oponę wokół grubej talii. Wykazywała jednak upodobanie do pewnych pozycji, które pani Adkins przyjmowała z

westchnieniem bądź miną męczennicy. Należała do nich pozycja najeźdźca, dzięki której mogła spoglądać na Jacka z góry i obserwować jego twarz.

- Jesteś za ładny jak na chłopaka - orzekła kiedyś podczas jednej z owych karkołomnych przejażdżek.

Mężowski lunch rozsiewał aromaty kalafiora, kminku i wędzonej kiełbasy. Czegoś, co z trudem mieściło się w piekarniku. Czegoś mocnego, jak sama pani Stackpole, myślał Jack.

- Zastanawiam się - powiedział do Noaha Jack podczas ostatniego roku nauki w Exeter - czy starsze kobiety potrafią się zorientować, których chłopców pociągają, nawet jeśli nikt inny nie zwraca na nie uwagi.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - spytał Noah.

Wtedy Jack opowiedział mu prawie wszystko, również o pani Machado. Gdzieś jednak, może od swojej matki, nauczył się selektywnej metody zwierzeń. Nie wspomniał Noahowi o Leah ani nawet o pani Adkins. (Wiedział, że Noah kocha siostrę i że przepadał za panią Adkins).

Nie wziął pod uwagę szczerości przyjaciela, która bynajmniej nie była selektywna. Noah opowiedział Leah o niecodziennych skłonnościach Jacka, nie pomijając fragmentu o pomywacze oraz pani Machado.

W Exeter, gdzie jego koledzy przyswajali wszelkie niezbędne informacje, i to na najwyższym poziomie nauczania, Jack dowiedział się głównie tego, że wybiórcze mówienie prawdy (czyli, innymi słowy, mijanie się z nią) może skutecznie schrzanić przyjaźń. To nie on, lecz Leah wyznała Noahowi, że była w ciąży z Jackiem; opowiedziała bratu również o aborcji. I gdy ponownie straciła semestr, w wyniku czego na dobre opuściła szkołę, Jack wiedział, że zasłużył na utratę przyjaciela.

Jego dzieciństwo trwało bez mała wieki, okres dojrzewania minął jednak równie mgliście i błyskawicznie jak znaki drogowe, widziane z okna szkolnego autokaru. Jack Burns miał nie większe rozeznanie w kwestii kobiet tudzież właściwego z nimi postępowania niż biedny Lambrecht w dziedzinie śliskiej nawierzchni. Nie wiedział, że pani Adkins, pani Stackpole i Leah Rosen sypiały z nim powodowane czystą melancholią i nudą, w ich oczach był bowiem tylko i wyłącznie napalonym gówniarzem.

Gdy wiosną 1983 roku kończył Exeter, Noah Rosen odmówił uściśnięcia mu ręki. Jack latami nie mógł spokojnie o nim myśleć. Krótko mówiąc, wymazał potem Noaha ze swego życia pomimo roli, jaką ten niegdyś w nim odegrał.

Oboje rodzice Noaha byli naukowcami, teoretykami nauczania we wczesnym dzieciństwie. Na podstawie ich aparycji oraz wyglądu ich domu w Cambridge (nie wspominając o stypendium Noaha oraz stypendiach Leah w Andover i Radcliffe) Jack wywnioskował, iż interesująca ich dziedzina nie jest szczególnie intratnym zajęciem. (Szkoda, gdyż wczesne dzieciństwo Jacka miało dla jego rozwoju podstawowe znaczenie).

Państwo Rosen darzyli wielkim szacunkiem edukację na każdym poziomie, dlatego porażka córki musiała być dla nich ciosem. Po opuszczeniu Radcliffe Leah wyjechała do Madison w stanie Wisconsin, gdzie również wplątała się w kłopoty. Nie chodziło o narkotyki, lecz o jakąś aferę polityczną. Niewłaściwe grono przyjaciół, sugerował Noah.

- Poczet nieodpowiednich mężczyzn - oznajmił Jackowi Noah - któremu dałeś początek.

Jack wiedział tylko, że Leah zginęła w Chile. Tym razem zbiornik wodny nie wchodził w grę; nie była to żadna idiotyczna Nezinscot, rzeczka, która pochłonęła panią Adkins.

Przecież Jack nie chciał im wyrządzić nic złego! Pani Stackpole też nie; mimo to jej ciało zostało odnalezione w rzece Exeter, pod wodospadem. Nad wodospadem woda była czysta i niezbyt głęboka, niżej zaś słonawa (w dole znajdowała się woda pływową); zwłoki pani Stackpole odkryto na mieliźnie, podczas odpływu. Woda cofnęła się na tyle, że golfista dostrzegł ciało, a może był to wioślarz ze szkolnej załogi. Jack nie pamiętał, był zbyt

pochłonięty zakończeniem roku. Tak czy inaczej ciało dawnej pomywaczki było niemal nie do poznania, zbyt długo przebywała pod wodą.

W lokalnej gazecie napisano, że została uduszona, a następnie wrzucona do rzeki. Nie utonęła. Czy pani Stackpole opowiedziała mężowi o Jacku? Czy może dowiedział się o nim z innego źródła? Czy spotykała się z kimś oprócz Jacka? Jak to zwykle bywa w New Hampshire, podejrzenie padło na męża, który pracował w gazowni i przychodził do domu na lunch. Jednakże nigdy nie postawiono mu zarzutów.

Jackowi też nikt nie postawił zarzutów, może z wyjątkiem Noaha Rosena, który jednak był daleki od oskarżeń o morderstwo.

- Powiedzmy tylko, że miałeś w tym swój udział - stwierdził.

Gdyby śmierć Leah poprzedziła zgon pani Stackpole, zapewne użyłby innych słów. Ale Leah wciąż przebywała w Madison w stanie Wisconsin, choć kształtujący się w niej stan świadomości miał zapewne towarzyszyć jej aż do końca.

Podczas lat spędzonych w szkole Jack zwiększył dystans pomiędzy sobą a matką w ramach procesu zainicjowanego przez Alice, kiedy jeszcze był uczniem u Świętej Hildy. Jednakże widok Emmy, jakkolwiek rzadki, napawał go niezmienną radością i oboje darzyli się rosnącym uwielbieniem. Ale Jack był za młody (i za bardzo postrzegał kobiety jako ciekawostkę), by uświadomić sobie, że ją kocha.

Tylko Emma rozumiała, dlaczego przez cztery lata w Exeter, będącej szkołą koedukacyjną, Jack tak naprawdę nie miał dziewczyny. Znała jego pociąg do starszych kobiet, dziewczęta zaś z Exeter były zaledwie podlotkami. Kiedy w dziewiątej klasie czternastoletniemu Jackowi wpadła w oko jedna ze starszych uczennic, siedemnasto- czy osiemnastoletnia, przestał już jednak być ładniutkim chłopcem. Stał się gamoniowatym nastolatkiem i przez pierwsze dwa lata nauki w Exeter starsze dziewczęta kompletnie nie zwracały na niego uwagi.

Oczywiście widywał czasem Emmę, nie tylko w czasie ferii i przez kilka dni każdego lata. Po ukończeniu Świętej Hildy Emma pojechała do McGilla do Montrealu, co, zdaniem pani McQuat, zagorzałej patriotki lokalnej, zakrawało niemalże na zdradę stanu.

Emma szybko się znudziła, nie tyle szkołą, ile miastem. Chociaż francuski nie był jej ulubionym przedmiotem, zawsze należała do grona najlepszych studentek; doszła do wniosku, że woli francuskie filmy z napisami. Same filmy zaś przypadły jej do gustu najbardziej ze wszystkiego.

Dostała się na uniwersytet nowojorski, na kierunek filmowy. Na poprzedniej uczelni miała dobre stopnie, dzięki czemu nie musiała zaliczać żadnych dodatkowych egzaminów, a życie w Nowym Jorku oczarowało ją bez reszty. Kiedy jesienią 1979 roku Jack zaczął naukę w Exeter, Emma rozpoczynała drugi rok studiów i pierwszy w Stanach. Na jej zaproszenie Jack wybrał się jesienią do Nowego Jorku na weekend. Weekend to właściwie za dużo powiedziane: zajęcia w Exeter odbywały się do południa w sobotę, resztę dnia zabrał przejazd z New Hampshire do Nowego Jorku, powrót zaś musiał nastąpić w niedzielę przed ósmą wieczorem.

Mimo to spędził fascynujący sobotni wieczór i niedzielny poranek wraz z Emmą i jej znajomymi z seminarium. Poszli na całonocny maraton filmów Billy'ego Wildera. Jack niezbyt dobrze znał twórczość tego reżysera, choć widział z matką w Toronto „Pół żartem, pół serio”, miał wtedy jakieś dziewięć, dziesięć lat. Kiedy Marilyn Monroe w sukni wyszywanej cekinami śpiewała „Chcę, żebyś mnie pokochał”, Jack dostał potężnej erekcji i nieroztropnie pokazał ją matce. (Sarkazm Alice, skierowany pod adresem synowskiego penisa, był nadzwyczaj brutalny. Nie powiedziała wprawdzie: „Wykapany tatuś”, ale jej spojrzenie mówiło samo za siebie).

Pierwszym filmem, obejrzanym w Nowym Jorku, było „Pięć grobów do Kairu”, lecz Jack zapamiętał tylko początek: widmowy czołg, wiozący martwych żołnierzy przez pustynię.

Po czołgu wszystkie perypetie Franchota Tone'a zginęły w mrokach niepamięci, głównie dlatego, że Emma położyła mu rękę na kroczu i przez resztę wieczoru trzymała go za penis. Dopiero po latach Jack uświadomił sobie, że Erich von Stroheim był Rommlem.

Emma trzymała go za penis również podczas „Straconego weekendu”, kiedy to Jackowi przyszło do głowy, że Ray Milland przypomina jego ojca czy też raczej William mógłby wyglądać jak on po pijanemu.

Podczas „Bulwaru Zachodzącego Słońca” Jack zasnął z głową na ramieniu Emmy. Potem się obudził i mimo przemożnego parcia na pęcherz prześledził całą akcję „Ace in the Hole”. W niedzielę rano, przy śniadaniu, znajomi Emmy uznali, że powinien być raczej przespać ten drugi film.

- Właśnie to kocham w tobie najbardziej, ptysiu. Nie słuchaj ich - powiedziała Emma.

Jack niespecjalnie polubił jej przyjaciół, lecz towarzystwo Emmy wynagrodziło mu wszystkie trudy długiej podróży.

Nigdy nie darzył Wildera wielkim sentymentem, choć ten urodził się w Wiedniu* i Jack dostrzegał europejskie aspekty nawet w najbardziej amerykańskich spośród jego filmów. Od samego początku interesowali go twórcy europejscy, których poznał dzięki Emmie Oastler. I czy to podczas nowojorskich weekendów z Emmą, czy podczas pobytu w Cambridge u Noaha, kiedy oglądali zagraniczne produkcje na Harvard Square, Jack stał się zagorzałym wielbicielem filmów z napisami. Za kinem amerykańskim nie przepadał, może z wyjątkiem westernów.

W kwestii różnic pomiędzy nim a ojcem Jack dochodził do wniosku, że gdyby William w młodości poznał Emmę, prawdopodobnie by się z nią przespał, Emma zaś - na podstawie informacji na jego temat - przyznawała, że raczej uległaby jego czarowi.

- Z tego powodu powinieneś się cieszyć, że nie uprawialiśmy seksu - oznajmiła Jackowi.

Czy sama się z tego cieszy, nie powiedziała.

W każdym semestrze zimowym w Exeter wszystkie weekendy Jacka pochłaniały zapasy. Emma często wynajmowała samochód i przyjeżdżała go oglądać; sama zrezygnowała z treningów i znów miała problemy z nadwagą. Wszystko robiła zrywami, łącznie z podjadaniem. Zaczynała palić, następnie rzucała palenie, objadała się do nieprzytomności, stosowała dietę i wyciskała z siebie siódme poty w siłowni. I przy każdym kolejnym ciągu była bezradna wobec jego łatwych do przewidzenia konsekwencji.

Potrzebowała kogoś takiego jak Czenko, jej ulubiony partner do ćwiczeń, Czenko jednak nie tylko znajdował się w dalekim Toronto, ale czekał na wszczęcie endoprotezy stawu biodrowego. Borys wrócił na Białoruś. „Sprawy rodzinne”, kwitował Paweł, który przeniósł się do Vancouver. On sam ożenił się z poznaną w taksówce kobietą z Kolumbii Brytyjskiej.

Kiedy piętnastoletni, prawie szesnastoletni Jack rozpoczynał drugi rok nauki w Exeter, Emma miała dwadzieścia dwa lata. W większość sobót po zawodach zabierała Jacka do kina w Durham w stanie New Hampshire. Durham znajdowało się niedaleko Exeter i było miastem uniwersyteckim; kino miało dość snobistyczny charakter i wyświetlano w nim stare i nowe filmy zagraniczne. W Exeter można było obejrzeć tylko stare.

Jack uwielbiał „La Stradę” Felliniego, którą obejrzał (więcej niż raz) z ręką Emmy na penisie. Oboje zgodnie twierdzili, że Czenko bez trudu dałby łupnia bohaterowi granemu przez Anthony'ego Quinna, oczywiście w czasach sprzed endoprotezy. „Dolce vita” zrobiło na Jacku daleko mniejsze wrażenie. Postać odgrywana przez Marcella Mastroianniego przypominała playboya, za jakiego uważał ojca, kobieciarza, którym sam bał się stać. Nie lubił też „Osium i pół” - znów z powodu Mastroianniego.

W Wiedniu? A podobno w Suchej Beskidzkiej (przyp. tłum.).

Fellini zrehabilitował się w oczach Jacka Burnsa „Amarcordem”. Emma obejrzała go w Nowym Jorku, uparła się jednak, by zabrać Jacka na ten film do Durham. Chciała zobaczyć jego reakcję na piersiastą sprzedawczynię papierosów. Trzymając rękę „na pulsie”, zarejestrowała odzew krasnala prędszej niż Jack.

- I jak to się ma do mojej teorii o starszych kobietach, ptysiu?

Zapamiętali nazwisko mało znanej aktorki, odgrywającej cymbałkę z Rimini.

Dzwoniąc do internatu w Exeter, Emma czasem naśladowała włoski akcent i mówiła do osoby, która odebrała telefon:

- Proszę powiedzieć Jackowi Burnsowi, że zwozi Maria Antonietta Beluzzi!

Częściej przedstawiała się jako siostra Jacka. Jack przestał nazywać ją siostrą przyrodnią, wołał określenie „starsza siostra”.

Nikt w Exeter nie wykazał na tyle braku taktu, aby wytknąć im brak rodzinnego podobieństwa, może poza Edem McCarthym z drużyny Jacka, którego cechowała wybiórcza pamięć do szczegółów. Kiedyś zapominał w szatni o ochraniaczu: jego penis wymknął się z szortów i spoczął na macie, gdzie przydeptał go przeciwnik, osobnik o wadze ponad osiemdziesięciu kilogramów.

Jack miał wielką ochotę uczynić to samo, gdy McCarthy rzucił chamską uwagę na temat Emmy.

- Szkoda, że cała uroda przypadła w rodzinie tobie, Burns. Twoja siostra bardziej przypomina zapaśnika niż ty.

Siedzieli w szatni (drewniane ławki, metalowe szafki, cementowa podłoga), przebierając się do ćwiczeń. Jack chwycił McCarthy'ego za ramię, a prawą ręką za szyję, i pociągnął do przodu. Kiedy tamten się szarpnął, przenosząc ciężar ciała na prawą piętę, Jack podciął mu nogi i McCarthy klapnął gołym tyłkiem na cementową posadzkę. Po drodze wyrzwał plecami w otwarte drzwiczki szafki i huknął łokciem o ławkę.

Jack spodziewał się, że przeciwnik wstanie i pokaże mu, gdzie raki zimują, ale McCarthy nie ruszył się z miejsca.

- Zęby ci powybijam, Burns - oznajmił.

- No to już - zachęcił go Jack.

Nawet na ostatnim roku Jack nigdy nie zmagął się z przeciwnikiem o wadze wyższej niż siedemdziesiąt kilogramów. Osiągnął wzrost metr siedemdziesiąt dwa (stojąc na palcach) i lepiej radził sobie z zapaśnikami o wadze około sześćdziesięciu niż blisko siedemdziesięciu.

Przez ostatnie dwa lata w Exeter Jack należał do grona lepszych zapaśników. Ed McCarthy nigdy nie wyszedł ponad przeciętną. Jack mógłby pokonać go na macie, ale nie w bójce. Nawet kiepski przeciwnik wagi tamtego pobije przyzwoitego zawodnika o wadze Jacka, i McCarthy doskonale o tym wiedział. Wstał, rozcierając plecy i obolały łokieć.

W myśl rady pana Ramsey'a Jack miał audytorium, chociaż tym razem w ogóle się o nie nie starał.

- Nieładnie nazywać czyjąś siostrę brzydką, Ed - wtrącił jeden z zapaśników wagi lekkiej.

- Ale ona jest brzydka - upierał się McCarthy.

To ocaliło Jackowi skórę: nie bojowy duch McCarthy'ego, lecz właśnie nacisk na słowo „brzydka”. Podczas gdy w Exeter nie obowiązywały żadne względy uprzejmości ani nie wlepiano punktów karnych za określenia pogardliwe tudzież prześmiewcze (ba, intelektualny fason szkoły faworyzował wszelkie przejawy poniżania), garstka sentymentalnych dusz uważała siostry za świętość, zwłaszcza jeśli nie należały do piękności. W wypadku Emmy, która z pewnością nie była piękna, dochodził również problem nadwagi.

- A komu przypadła uroda w twojej rodzinie, McCarthy? - spytał drużynowy zawodnik wagi ciężkiej. Nazywał się Herman Castro i był stypendystą z El Paso w Teksasie. Chociaż w pełni zasługiwał na miano przyzwoitego zapaśnika, często straszył przeciwników samym

wyglądem. Wyglądał tak przerażająco, iż określenie „brzydki” było w jego obecności nad wyraz ryzykowne.

- Nie mówiłem do ciebie, Herman - odburknął Ed McCarthy.

- Ale teraz mówisz - odrzekł Herman Castro, co położyło sprawę kres. A raczej położyłoby, gdyby Jack dał za wygraną. Lecz jego lojalność wobec Emmy była bezwzględna.

Ed McCarthy nie był brzydki (w przeciwieństwie do jego penisa, zwłaszcza po konfrontacji ze stopą przeciwnika), lecz trudno było go nazwać przystojnym. Aż do ostatniego roku nie miał dziewczyny, a kiedy ją wreszcie znalazł, był to wystraszony, piegowaty rudzielec z dziesiątej klasy. Dziewczyna miała lat szesnaście, McCarthy osiemnaście. Ich znajomość z całą pewnością nie miała podłoża erotycznego, choć dla obojga była zapewne pierwszym związkiem.

Jack postanowił ją uwieść, oczywiście bez uprawiania seksu (była dla niego zbyt młoda i wystraszona), w wystarczającym jednak stopniu, aby ją nastawić przeciw McCarthy'emu, który śmiał znieważać Emmę.

Znalazł dziewczynę McCarthy'ego w kafeterii, przy barze sałatkowym. W czasie sezonu zapaśniczego Jack jadał praktycznie tylko sałatki: inaczej nie mógłby utrzymać swojej wagi. (Na śniadanie spożywał miskę płatków owsianych, czasem z bananem, na lunch sałatkę oraz drugą na kolację, niekiedy z drugim bananem).

Kiedy odezwał się do piegowatego rudzielca, dziewczyna wyglądała na jeszcze bardziej wystraszoną niż zwykle.

- Czy on traktuje cię jak należy? - spytał.

Miała na imię Molly (nazwiska nie znał) i wpatrywała się weń w oczekiwaniu na nieznaną i niekontrolowaną reakcję swego ciała, jak gdyby Jack wstrzyknął jej w żyłę substancję halucynogenną.

Dotknął jej ręki, która w odpowiedzi zsunęła się do miski surowych pieczarek, gdzie spoczęła niczym odrąbany kawałek ciała.

- Mówię o McCarthy'ach - sprecyzował Jack. - Potrafi być powierzchowny i okrutny wobec kobiet. Mam nadzieję, że ciebie traktuje inaczej.

- Zranił kogoś, kogo znasz? - spytała Molly z wyrazem autentycznej zgrozy na twarzy.

- Zranił tylko moje uczucia... względem mojej starszej siostry - odpowiedział Jack.

I w wyćwiczony sposób sprawił, że jego oczy napełniły się łzami. Wszystkie filmy, podczas których Emma trzymała go za penis, nauczyły Jacka wyobrazać sobie najazd kamery na jego twarz. Tuzin razy oglądał łzy w oczach Anthony'ego Quinna. Skoro siłacz Zampanó mógł pozwolić sobie na płacz, on też.

W Exeter nie brał udziału w wielu przedsięwzięciach teatralnych. Miał za dużo pracy, aby uczestniczyć w większości produkcji szkolnego kółka dramatycznego.

„Śmierć komiwojażera”, w której wystąpił jesienią w dziewiątej klasie, nie wywarła na nim wielkiego wrażenia. Wiedział, że zbyt chłopięcy wygląd nie predysponuje go do roli Willy'ego Lomana, a zbyt niski wzrost do ról któregoś z jego synów, Happy'ego lub Biffa. Śmiało ubiegał się o rolę Lindy, dyskwalifikując przy tym niemalą liczbę kandydatek, w tym dwie najstarsze uczennice, będące od czterech lat członkiniami kółka. Jednakże PEAN, szkolny rocznik statystyczny, określił jego kreację mianem „rozhisteryzowanej”, natomiast „The Exonian”, szkolna gazeta, uznała, że rolę Lindy otrzymała niewłaściwa osoba, co „spowodowało efekt parodii seksualnej, dobrej w zamierzonych czasach, kiedy Exeter było szkołą tylko dla mężczyzn”. A cóż oni mogą wiedzieć, myślał Jack. Powiedźcie Lindzie, że jest „rozhisteryzowana”!

Kiedy natłok zajęć ograniczył jego udział w przedstawieniach, manifestował pogardę wobec repertuaru kółka. Nie kosztowało go to wiele wysiłku: wiele sztuk odzwierciedlało staroświecki gust podstarzałej hipiski, która pełniła funkcję znawcy i doradcy szkolnego

fakultetu teatralnego. Co istotniejsze, oszczędzał siły na Szekspira, któremu nie mogła zbyt zaszkodzić nawet amatorszczyzna.

Pozostali członkowie kółka potępili jego Lindę ze „Śmierci komiwojażera”. Próbowali narzucić mu role męskie, nakłaniając go do castingu do „Pana Robert-sa” (tak jakby film nie zrobił dostatecznej kłapy). To dopiero było staroświeckie! Jack posłużył się słowami Wendy Holton. „Prędzej skonom”, oświadczył.

Odgrywanie nieprzejednanego genialnie podkreślało jego reputację. (Zresztą co miał do stracenia?).

Postanowił zaskoczyć wszystkich chęcią odegrania małej rólki w „Herbaciarni Sierpniowego Księżycy”. Wiedział, że rola Kwiatu Lotosu, młodej gejszy, zapewni mu każdą rolę żeńską, której zapagnie. Ta najbardziej upragniona nadarzyła się wiosną przedostatniego roku na uczelni. Oczywiście zagrał Lady Makbet.

I kto miał mu podskoczyć? Inny zapaśnik? (Jedna ze starszych członkiń kółka argumentowała, iż jest to rola dla kobiety „dominującej”, zatem ktoś „męski” będzie jak najbardziej na miejscu).

Kiedy już myśleli, że go rozgryźli - Burns lubi Szekspira, Burns woli grać w „przebraniu” - jeszcze raz zbił wszystkich z pantafelku. Zgłosił się na casting do „Ryszarda III”, lecz tylko pod warunkiem otrzymania roli tytułowej. „Niechaj się włóczę beztrudnie aż do krów powrotu”, myślał. Marzył o piłce, którą umyślił sobie na garb.

Działo się to zimą ostatniego roku, podczas sezonu zapaśniczego, kiedy był szczególnie wychudzony. Pokaże im „zimę naszej niełaski”, jakiej jeszcze nie widzieli; odda „królestwo za konia” i sprawi, że będą mu jeść z ręki. I dopiął celu.

Łzy Jacka kapnęły na rękę Molly w pieczarkach, skrapiając przy tym również brokuły oraz krojone ogórki. Rzodkiewka sturlała się z jego talerza. Nawet nie próbował temu zapobiec.

Molly zaprowadziła go do stolika. Uczniowie zrobili dla nich miejsce.

- Opowiedz mi wszystko - poprosiła Molly, ściskając jego dłoń. Miała oczy w kolorze rozwodnionego błękitu, jeden z piegów na szyi krył w sobie zapowiedź krosty.

- To nie moja wina, że jestem przystojny - oznajmił Jack. - Moja siostra nie miała tyle szczęścia... moja starsza siostra - podkreślił, jakby „zaawansowany” wiek Emmy przekreślał jej szansę na chłopaka. (W rzeczywistości Emma wiodła bujne życie towarzyskie, zadając się przeważnie z chłopcami w wieku Jacka albo młodszymi. Twierdziła, że nie uprawia z nimi seksu, „niezupełnie”).

- Nie jest do ciebie podobna? - zapytała Molly.

- McCarthy twierdzi, że jest brzydka - odparł. - Oczywiście ja postrzegam ją inaczej. Kocham ją!

- Oczywiście! - zawołała Molly, mocniej ściskając jego rękę.

Była nie tylko nieładna: w wieku szesnastu lat zapewne osiągnęła szczyt swoich możliwości wizualnych. Nie lubiła przeglądać się w lustrze; Jack uznał, że z wiekiem będzie to lubiła coraz mniej. Fakt, że jej chłopak nazwał inną dziewczynę brzydulą, musiał trafić w czuły punkt Molly.

Jack wylał już dosyć łez, przesadny melodramatyzm zaowocował mokrą sałatką. Przyszła mu do głowy inna zagrywka: uznał, że odrobina powściągliwości nie zaszkodzi.

- Wybacz, że o tym wspominałem - rzekł. - Nie ma na to rady. Nie będę dłużej zwracał ci głowy.

- Ależ nie! - wykrzyknęła, chwytając go za nadgarstek, kiedy próbował odejść.

Z jego talerza spadła surowa marchewka, ze szklanki chlapnęła odrobina mrożonej herbaty. W sezonie zapaśniczym pił jej tyle, że dosłownie obijał się o ściany, a ręce dygotały mu tak, jakby znajdował się na ciągłym haju.

- Lepiej już pójść, Molly - powiedział i odszedł, nie oglądając się za siebie. Wiedział, że między Molly a McCarthy koniec. (Wiedział też, że Ed niebawem przyjdzie na lunch).

Ponownie skierował się do baru sałatkowego. Umierał z głodu. Stała tam najładniejsza dziewczyna w szkole, Michele Maher, jego rówieśnica. Była to smukła blondynka o świetlistej cerze supermodelki i - według pochlebnego określenia McCarthy'ego - „wystrzałowych buforach”.

Przy swoim wzroście Michele miała nad Jackiem przewagę pięciu centymetrów. Należała do kółka teatralnego. Jack pobił ją w wyścigu do roli Lady Makbet, lecz w przeciwieństwie do większości pozostałych kandydatek przyjęła to z poczuciem humoru. Pomimo swej urody cieszyła się sympatią otoczenia; była niegłupia, a przy tym odnosiła się do wszystkich życzliwie. Chciała kontynuować naukę w Nowym Jorku, z którego pochodziła, i zawczasu złożyła wniosek o przyjęcie na uniwersytet Columbia, dzięki czemu miała już indeks w kieszeni i nie musiała martwić się o przyszłość.

- Jack Burns, rozeźlony i zabiedzony - powiedziała.

- W rzeczy samej - odparł. - Jam wygłodniałe serce ciemności.

- Gdzie twój garb, Dick? - spytała. Była to aluzja do „Ryszarda III”, wszyscy z kółka zadawali mu to pytanie.

- W rekwizytorni, to tylko piłka - odpowiedział chyba setny raz.

- Dlaczego nie masz dziewczyny, Jack? - zapytała Michele. Rzuciła to żartem, tak przynajmniej wydawało się Jackowi.

- Wszystko bowiem wskazuje na to, że jesteś zajęta - odparował.

Była to z jego strony tylko zagrywka, nie mówił poważnie. Natychmiast spostrzegł, że popełnił błąd, lecz nie starczyło mu przytomności umysłu, aby go naprawić. Nadmiar mrożonej herbaty fermentował w pustym brzuchu.

Michele Maher opuściła wzrok, jakby bar sałatkowy pochłonął całą jej uwagę. Jej zwykle nienagannie wyprostowana sylwetka zgarbiła się nieco; na chwilę stali się równi wzrostem.

Hej, ja tylko żartowałem, miał na końcu języka Jack, ale (niestety) nie powiedział tego głośno. Michele go uprzedziła.

- Nie miałam pojęcia, że jesteś mną zainteresowany, Jack. Nie miałam pojęcia, że jesteś zainteresowany kimkolwiek.

Problem w tym, że Jack bardzo lubił Michele, nie chciał jej urazić. I gdyby wyznał Michele Maher, że posuwa panią Stackpole, Michele by mu nie uwierzyła. Używając określenia McCarthy'ego, pani Stackpole była tak brzydka w porównaniu z innymi (nawet starszymi) kobietami, iż zainteresowanie Jacka Burnsa budziło niedowierzanie nawet w niej samej.

- Dlaczego ja? - spytała kiedyś, gniotąc go ciężarem swego obfitego ciała.

Jack nie mógł wydobyć głosu, ale i tak nie wiedziałby, co odpowiedzieć. Pani

Stackpole nie mogła uwierzyć własnemu szczęściu: chłopcy pokroju Jacka Burnsa nigdy nie zwracali na nią najmniejszej uwagi. Jakim cudem miał się więc zdobyć na szczerość wobec takiej piękności jak Michele Maher?

- Jak można się tobą nie interesować, Michele? - spytał.

Gdyby potraktował tę kwestię jako podsumowanie i odszedł, wszystko by się dobrze skończyło. Jednakże głód nie pozwolił mu odejść. Kiedy więc ktoś chwycił go za rękę, pomyślał, że to Michele. Miał nadzieję, że to Michele.

- Coś ty, kurwa, nagadał Molly, pacholku? - warknął McCarthy.

- Tylko prawdę - odparł Jack. - Nazwałeś moją siostrę brzydulą... czy nie tak właśnie było?

Jack nie miał zamiaru podbijać serca Michele Maher, ona jednak stała tuż obok. A co miał robić Ed McCarthy? Wiedział, że jako absolwent Redding Jack nie uniknie walki. Co zaś

zrobiłby trener Hudson, gdyby McCarthy poturbował w sezonie jednego z jego najlepszych podopiecznych?

Co więcej, gdyby Jackowi spadł choć włos z głowy, McCarthy miałby do czynienia z Hermanem Castro. (Jako zaprzysiężony obrońca szpetoty Jack uczynił go swym dozgonnym dłużnikiem).

- Ed twierdzi, że Emma, moja starsza siostra, jest brzydka - wyjaśnił Michele. Zrozumiał, że zabrnął za daleko. - Oczywiście ja tak nie uważam, boją kocham.

Najlepszym posunięciem Eda (i zważywszy na okoliczności, być może jedynym) było odwrócić się na pięcie i odejść; tak też uczynił, co jednak wywołało pewne zdziwienie Jacka. McCarthy właśnie stracił swą żalostną dziewczynę, a jedyną okazją, by kiedykolwiek oddychać tym samym powietrzem, co dziewczęta typu Michele Maher, było trzymać się facetów pokroju Jacka Burnsa. Tylko tacy mogli bowiem liczyć na ich przychylność. I to czasem (jak w wypadku Jacka) nie kiwnąwszy nawet palcem.

W któryś weekend wiosną ostatniego roku Michele zabrała Jacka do siebie, do Nowego Jorku. Jack po raz pierwszy czuł, że zdradza Emmę, ale nie dlatego, że był z Michele, tylko z uwagi na fakt, że nie wspomniał Emmie o swoim przyjeździe. Wiedział, że uroda Michele będzie dla Emmy solą w oku. (Cała rodzina Maherów była urodziwa, nie wyłączając psa).

Poza tym, argumentował w duchu Jack, przecież to dla Emmy bez znaczenia, że on zatai swój przyjazd. Emma skończyła uniwersytet i pisała skecze dla nowojorskiej stacji telewizyjnej. Miała tego serdecznie dość. Doszła do wniosku, że -przynajmniej w jej wypadku - droga na duży ekran nie prowadzi przez telewizję; nie była nawet pewna, czy rzeczywiście chce kręcić filmy.

- Będę pisarką, ptysiu. Nie scenariusze, tylko powieści. Mam na myśli prawdziwą literaturę.

- Kiedy będziesz pisała? - spytał Jack.

- W weekendy.

I tak Jack znalazł dla siebie usprawiedliwienie: nie będzie zwracał Emmie głowy i przeszkadzał jej w pisaniu.

Rodzice Michele mieli apartament przy Park Avenue; zajmował on pół budynku i był większy niż dormitorium dla piątoklasistów w Redding. Jack nie miał nigdy do czynienia z prywatnymi kolekcjonerami sztuki. Nie miał nawet pojęcia o ich istnieniu. Być może wynikało to z typowo kanadyjskiej niewiary w potęgę sektora prywatnego albo po prostu ze zbyt długiego pobytu w Maine i New Hampshire, gdzie człowiek zatracił miejską wrażliwość.

W gościnnej łazience wisiał mały Picasso; znajdował się nisko na ścianie, obok sedesu, i był najlepiej widoczny z pozycji siedzącej. Jack był pod takim wrażeniem, że omal nań nie nasikał. Z niewiadomych przyczyn strumień moczu powędrował nie tam, gdzie trzeba.

Chłopak natychmiast uznał, że coś jest nie tak z jego penisem - może to rzeżączka? Jak nic mógł złapać trypra od pani Stackpole. (Kto wie, kogo jeszcze pieprzyła albo kogo pieprzył jej mąż?). Incydent z Picassem utwierdził Jacka w przekonaniu, że cierpi na chorobę weneryczną, którą może zarazić Michele Maher. Nie żeby zakładał, że dojdzie do zbliżenia. Był to ich pierwszy wspólny wyjazd. Owszem, całowali się, ale nigdy nie dotknął nawet jej „buforów”.

Urodziwi rodzice Michele poszli na jakiś uroczysty raut, pozostawiając młodych w wielkim mieszkaniu na Park Avenue tylko z urodziwym psem. Po ich wyjściu Jack i Michele zaczęli oglądać telewizję w pokoju Michele.

- Nie będzie ich cały wieczór - poinformowała dziewczyna.

Jack nastawił się na migdalenie, zresztą, jego zdaniem, Michele Maher nie należała do dziewcząt, które „idą na całość”, używając przedhipisowskiego określenia Alice. „Mam

nadzieję, że nie znasz dziewcząt, które idą na całość, Jack”, powiedziała, kiedy przyjechał do Toronto na tak zwane ferie wiosenne.

Michele Maher nie była z tych, które idą na całość, ale chciała o tym porozmawiać. Może Jack uważa, że to źle.

- Ależ skąd, masz absolutną rację - pośpiesznie zapewnił Jack.

Zamiast wyznać jej prawdę o domniemanej rzeźączce, wolał udąć, że w pełni podziela jej zdanie.

Na jednej ze stacji nadawano maraton filmów Johna Wayne’a, rozpoczynający się od „Strzelca z Kentucky”. Stojąc na czele regimentu strzelców, Wayne ma na głowie czapkę przypominającą szopa pracza. Jack lubił Johna Wayne’a, lecz Emma podkopała jego entuzjazm wobec granych przez tego aktora postaci, karmiąc go ścisłą dietą filmów Bergmana i Truffaut. Jack lubił Truffaut, ale Bergmana ubóstwiał.

Co prawda na „Czterystu batach” wynudził się jak mops i otwarcie dał temu wyraz. Emma była tak rozczarowana, że puściła jego penis; ponownie ujęła go podczas „Strzelajcie do pianisty!”, filmie uwielbianym przez Jacka, i trzymała go przez całą projekcję „Jules’a i Jima”, a Jack fantazjował, że zamiast Emmy siedzi obok niego Jeanne Moreau.

Ingmara Bergmana nigdy nie miał dosyć. „Siódma pieczęć”, „U progu życia”, „Tam gdzie rosną poziomki”, „Cisza”: to za sprawą tych filmów zapalał miłością do kina, widząc się raczej na wielkim ekranie aniżeli deskach teatru. „Sceny z życia małżeńskiego”, „Twarzą w twarz”, „Jesienna sonata” były dla niego nieustającym źródłem inspiracji. Wyobrażał sobie siebie na zbliżeniach z kobietami Bergmana. Z każdą kwestią oraz najdrobniejszym gestem widział oczami wyobraźni, jak ekran wypełnia jego twarz, dłoń zaciśnięta w pięść, a nawet czubek palca wskazującego w zetknięciu z guzikiem dzwonka.

Nie wspominając o seksie u Bergmana - ach, te starsze kobiety! I pomyśleć, że je poznał, kiedy Emma Oastler trzymała go za penis! (Bibi Andersson, Gunnel Lindblom, Ingrid Thulin, Liv Ullmann). A Alice wyrażała nadzieję, że jej syn nie zna dziewcząt, które idą na całość! Co ona sobie wyobrażała?

- Co jest, Dick? Zgubiłeś garb? - spytała Michele Maher. Był to kolejny z żartów na temat „Ryszarda III”.

- Nie, tylko uszło z niego powietrze - odpowiadał zwykle Jack.

Nie mógł się skupić na filmie ani na chwilę. To samo było podczas „Rio Grandę”. John Wayne znów toczył wojnę, tym razem z Apaczami. Zmagał się też ze swą narowistą żoną (Maureen O’Hara i jej bufory). Lecz Jack patrzył tylko na Michele Maher. Boże, ależ była piękna! A do tego mądra, miła i dowcipna. Tak strasznie jej pragnął.

Michele Maher również go pragnęła, on jednak odmówił seksu, chociaż wprost nie był w stanie oderwać od niej oczu. Nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie całować, dotykać, tulić. Raz po raz powtarzał jej imię. I budził się z nim na ustach jeszcze wiele lat później. „Michele Maher, Michele Maher, Michele Maher”.

- Jacku Bums - powiedziała, naśladowując jego ton. - Ryszardzie Garbusie, zwany Trzecim - dodała. - Lady Makbet - droczyła się.

Nigdy nie poznał kobiety, która umiałaby lepiej całować. Nawet Emma Oastler nie dorastała jej do pięt. Pod tym względem nikt nie dorastał Michele Maher do pięt.

Dlaczego więc po prostu nie wyznał jej prawdy? Dlaczego nie zdradził swoich obaw, związanych z rzeźączką, którą mógł podłapać od wiarołomnej pomywaczki, starszej od jego własnej matki! (Była to wymarzona fabuła sztuki dla kółka teatralnego, ciąg dalszy „Narzeczonej na zamówienie”).

Dlaczego Jack nie powiedział Michele, że ją kocha i że za wszelką cenę pragnie uchronić ją przed wszystkim, co uważa w sobie za złe? Mógł coś wymyślić: Bóg jeden wie, jak dobrze umiał grać. Mógł skłamać, że ktoś nadepnął mu na penis w sali gimnastycznej, co zdarzało się

często, acz zwykle nie było omawiane na większym forum. W podobnej sytuacji seks mógł okazać się zbyt bolesny: tak przynajmniej mógłby utrzymywać.

Ale nie, Jack w swojej głupocie zaproponował Michele zamiast seksu wspólną masturbację!

- To najbezpieczniejsza forma seksu - przekonywał wśród bojowych okrzyków Indian, którzy z wrzaskiem konali na szklanym ekranie. John Wayne walczył o życie, a Jack popełniał samobójstwo z Michele Maher. - No wiesz, zdejmujemy ubrania, ale ty będziesz dotykać siebie, a ja siebie - ciągnął, z uporem kopiąc własny grób. - Będziemy na siebie patrzeć i się całować... po prostu wyobrazimy to sobie, jak aktorzy.

Łzy w oczach Michele Maher złamałyby serca widzów w sali kinowej; niestraszne jej było żadne zbliżenie.

- Ach, Jack - powiedziała. - A ja cię przez cały czas broniłam. Kiedy ludzie mówili „Cudak z tego Burnsa”, ja zawsze przekonywałam, że nie mają racji!

- Michele... - zaczął Jack, ale już widział to w jej oczach. Najpierw obserwował, jak podbija jej serce, a teraz zobaczył, że traci ją bezpowrotnie. Scenę w telewizorze spowił cmentarny pył: zabite konie, martwi Apacze.

Jack zostawił Michele Maher w jej pokoju; starczyło mu taktu, by zrozumieć, że woli być sama. Urodziwy pies został ze swoją panią. W pokoju gościnnym, wraz z przylegającą doń artystyczną łazienką, Jack tkwił sam na sam z nisko zawieszonym Picassem i własnym odbiornikiem telewizyjnym. „Spokojnego człowieka” obejrzał samotnie.

John Wayne gra Amerykanina irlandzkiego pochodzenia, który rzuca boks po nieumyślnym spowodowaniu na ringu śmierci przeciwnika. Jedzie do Irlandii i zakochuje się w Maureen O’Harze i jej buforach (znowu). Lecz brat Maureen (Victor McLaglen) jest skończonym bałwanem. Tak więc w najdłuższym, a zarazem najmniej wiarygodnym meczu bokserskim w historii Irlandii Wayne ponownie musi stanąć w szranki.

W przypiływie uzalania się nad sobą Jack doszedł do wniosku, że Victor McLaglen poza ekranem mógł pokazać Wayne’owi, gdzie raki zimują. (Był zawodowym bokserem; walczył z Jackiem Johnsonem i dał mu niezły wycisk. Wayne nie wytrzymałby z McLaglenem nawet jednej rundy).

Droga powrotna do Exeter upłynęła im w całkowitym milczeniu. Jack pograżył się dodatkowo, wyznając Maureen miłość; twierdził, że jego propozycja wynikała tylko i wyłącznie z szacunku, jakim ją darzył.

- Powiem ci, dlaczego jesteś cudakiem, Jack... - zaczęła dziewczyna, po czym wybuchnęła płaczem i w końcu tego nie zrobiła.

Mógł sam dopowiedzieć resztę zdania. I przez kolejne dwadzieścia lat żałował, że nie może odwrócić czasu i raz jeszcze przeżyć tego weekendu.

- Gdybym miał zgadywać - oznajmił Noah Rosen - nie wyszło wam, bo nie mogliście przestać na siebie patrzeć.

Jacka dzielił zaledwie tydzień od wyznania Noahowi prawdy o pani Stackpole, co skłoniło Noaha do rozmowy z siostrą i tym samym zakończyło ich przyjaźń. Strata okazała się nader bolesna, w owym czasie jeszcze bardziej dotkliwa niż utrata Michele Maher. Lecz wspomnienie Noaha miało zblaknąć, podczas gdy Michele trwała w świadomości Jacka w niezmienionej postaci.

Michele nie zrobiła nic złego. Była rówieśnicą Jacka, niebawem miała skończyć osiemnaście lat, posiadała jednak dość godności i opanowania, by nie wspomnieć przyjaciołom o obmierzłej propozycji Jacka czy choćby potwierdzić ich zdanie na temat jego słynnej ekstrawagancji. Co więcej, nadal stawała w tej kwestii po jego stronie. Herman Castro powiedział później Jackowi, że Michele zawsze była o nim dobrego zdania, nawet po ich „rozstaniu”.

- Kiedy wyobrażam sobie was dwoje... - dodał. - No nie, po prostu nie mogę sobie tego wyobrazić. Musieliście się czuć jak modele na sesji fotograficznej czy coś w tym rodzaju.

Herman Castro poszedł na Harvard i ukończył harwardzką szkołę medyczną. Został specjalistą od chorób zakaźnych, po czym wrócił do El Paso, gdzie leczył głównie pacjentów z AIDS. Ożenił się z bardzo atrakcyjną kobietą o meksykańskich korzeniach, z którą spłodził gromadkę dzieci. Oglądając zdjęcia załączane do życzeń świątecznych, Jack stwierdzał z ulgą, że pociechy są podobne do matki. Bez względu na swój poczciwy charakter, Herman stanowił prawdziwe wyzwanie dla oczu. Był masywny i nieforemny, o spłaszczonym nosie i wystającym czole, sterczącym ponad czarnymi, blisko osadzonymi oczkami niczym pieczony ziemniak.

Herman Castro pełnił funkcję fotografa drużyny. W tamtych czasach zawodnicy wagi ciężkiej zawsze stawali na macie ostatni; podczas rozgrzewki Herman robił kolegom zdjęcia. Jack zwykł myśleć, że woli on pozostać w ukryciu. Może aparat był jego tarczą.

„Hej, amigo - głosił tradycyjnie nagłówek kartki bożonarodzeniowej - kiedy myślę o twoim życiu uczuciowym... to po prostu nie mogę go sobie wyobrazić”.

Co też on wiedział. W miarę upływu czasu Jack Burns miał dojść do wniosku, że jego życie uczuciowe zakończyło się z chwilą, kiedy stracił Michele Maher. Mama to pociecha, że ojciec na jego miejscu na pewno by ją przerznął, z tryprem czy bez.

Na dodatek wcale nie miał trypra! Po powrocie z Nowego Jorku poszedł się przebadać. Lekarz stwierdził, że to tylko niewielkie podrażnienie, przypuszczalnie spowodowane zmianą sposobu odżywiania po zakończeniu sezonu zapaśniczego.

- Nie rzeźączka? - upewnił się z niedowierzaniem chłopak.

- Ależ skąd, Jack.

Ostatecznie od miesięcy posuwał potężnej postury pomywaczkę, czasami aż cztery czy pięć razy w tygodniu. To wystarczające podrażnienie, żeby sikać na boki, nie wspominając o zmarnowanej szansie z la belle Michèle, jak mawiał Noah Rosen.

Michele i Jack chodzili razem tylko na jedne zajęcia: na niemiecki. Większość studentów, którzy wybierali ten przedmiot, liczyła, że zostaną lekarzami. Podobno niemiecki stanowił dobry wstęp do medycyny. Jack nie miał podobnych złudzeń: nauki ścisłe i przyrodnicze nigdy nie były jego mocną stroną. W niemieckim podobał mu się szyk wyrazów: czasowniki czekały na swoją kolej aż na koniec zdania. To ci dopiero puenta! W niemieckim zdaniu akcja koncentrowała się na końcu. Niemiecki był językiem aktorów.

Jack lubił Goethego, ale Rilkego ubóstwiał. Wyjątkową frajdę sprawiało mu czytanie Szekspira po niemiecku, zwłaszcza sonetów, które według nauczyciela, Herr Richtera, auf Deutsch brzmiały lepiej niż w oryginale.

Michele Maher (chwała jej za to) odważyła się zakwestionować zdanie wykładowcy:

- Ależ Herr Richter, musi pan przyznać, że „Niegospodarna piękności, dlaczego skarb swej urody trwonisz tak wierutnie?*" bynajmniej nie traci na tle Mutwillige Anmut, reizend noch im Schlimmen!

- Ależ Michele - zripostował Herr Richter - przecież nie zaprzeczysz, że Sonst prüft die kluge Welt der Tränen Sinn, Und höhnt dich um mich, wenn ich nicht mehr bin zyskuje na tle oryginału, prawda? Powiesz to dla nas po angielsku, Jack? Robisz to świetnie.

- „By świat nie kazał ci rzec, jakie były/ Przymioty, które miłowałeś we mnie/ Po śmierci mojej zapomnij mnie, miły” - wyrecytował Jack pod adresem Michele Maher.

- Widzicie? - zwrócił się do klasy Herr Richter. - Ten rym jest nieco naciągany, nieprawdaż? Tymczasem bin i Sinn... cóż, pozostaję przy swoim zdaniu.

Jack nie odważył się spojrzeć na Michele, a ona unikała jego wzroku. Określenie tego rymu mianem naciąganego było okrutną bezduszością.

Podczas ostatnich zajęć Michele wręczyła Jackowi liścik.

- Prosiłabym, żebyś to później przeczytał - powiedziała.

Był to fragment z Goethego. Michele ceniła Goethego bardziej niż Jack. *Behandelt die Frauen mit Nachsicht*. Znał te słowa. „Wyrozumiałym bądź dla kobiet”.

Gdyby miał odwagę odpowiedzieć jej liścikiem, wybrałby cytat z Rilkego. *Sie lächelte einmal. Es tat fast weh*. Ale Michele Mäher uznałaby te słowa za zbyt prozaiczne. „Uśmiechnęła się raz. To było prawie bolesne”.

Jednym z nielicznych powodów do dumy w dziedzinie osiągnięć szkolnych był dla Jacka fakt, że zaliczył cztery lata nauki niemieckiego bez pomocy No-aha Rosena. Niemiecki był jedynym przedmiotem, gdzie nie mógł liczyć na wsparcie przyjaciela. (Co dość zrozumiałe, Noah wychodził z założenia, iż niemiecki jest językiem dręczycieli jego narodu, i postanowił, że nie przyswoi sobie zeń ani słowa).

Noah nie mógł też służyć mu pomocą podczas testów semestralnych. Tutaj Jack był zdany wyłącznie na siebie, a uzdolnienia brały górę nad nastawieniem. Bez względu na starania Jacka jego uzdolnienia nie dorównywały możliwościom pozostałych uczniów Exeter. W 1983 osiągnął najslabszy wynik w całym roczniku.

- Aktorzy nie powinni zdawać testów wielokrotnego wyboru - oznajmił Jack w rozmowie z Hermanem Castro.

- A to dlaczego? - spytał Herman.

- Aktorzy nie zgadują - odparł Jack. - Stają wobec konieczności dokonywania wyborów, ale wiedzą, na czym one polegają. Jeśli nie znasz odpowiedzi, nie zgadujesz.

- Wybacz, że to powiem, Jack, ale masz kretyńskie podejście do egzaminów.

Z powodu miernych wyników Jack nie dostanie się na Harvard z Hermanem

Castro i Noahem Rosenem. Nie. pójdzie też do żadnej z tak zwanych lepszych uczelni. Matka błagała, aby wrócił do Toronto i tam studiował. Ale on ani myślał o powrocie.

Chociaż dystans pomiędzy nimi zwiększył się z jej inicjatywy, Alice nagle zapragnęła widzieć syna przy sobie. Tymczasem Jack nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Pogodził się też z, jak mawiała Emma, „kwestią homo”, oboje doszli z nią do ładu. Związek Alice i pani Oastler przestał ich obchodzić; ba, byli zadowoleni, a poniekąd dumni z tego, że ich matki nadal są razem, podczas gdy tak wiele znanych im par dawno się rozpadło.

Jednakże Jack nie mógł darować matce, że odesłała go z Toronto i Kanady, jego ojczyzny. Przez osiem lat mieszkał w Stanach, jego koledzy byli w większości Amerykanami, a filmy, które sprawiły, że zapragnął zostać aktorem, zostały nakręcone w Europie.

Jack złożył papiery - i został przyjęty - na Uniwersytet New Hampshire. Emma bezlitośnie suszyła mu o to głowę.

- Na litość boską, ptysiu, nie powinieneś wybierać uczelni z powodu sentymentu do miejscowego kina!

Ale Jack już podjął decyzję. Lubił Durham i tamtejsze kino, które (jak musiał przyznać) straciło jednak nieco ze swego uroku, kiedy zabrakło w nim Emmy Oastler, trzymającej go za penis.

Podróż po portach Morza Północnego i Bałtyckiego ukształtowała Jackowi Burnsowi charakter. Święta Hilda zapoczątkowała trafnie zdefiniowaną przez Emmę obsesję na punkcie starszych kobiet, nauczyła go podstawowych technik aktorskich oraz pozwoliła mu uwierzyć, że jest przekonujący, nawet jako dziewczyna. Redding nauczyło go ciężkiej pracy. Pani Adkins ujęła go swą melancholią. A w Exeter odkrył, że wprawdzie nie jest intelektualistą, ale przynajmniej potrafi czytać i pisać. (Nie miał wówczas pojęcia, jaka to cenna umiejętność,

podobnie jak nie zdawał sobie sprawy ze słabych punktów, które odsłoniła w nim pani Stackpole).

Żeńska kadra naukowa w Exeter wywarła na Jacku wrażenie seksualnie niedostępnej. Bez względu na słuszność owego mniemania wspomniane niewiasty z pewnością nie były równie osiągalne jak pani Stackpole, której toporna, sugestywna determinacja ujęła go bez reszty. Redding było dziczą, gdzie kobiety czekał trud i znój. Przynajmniej wyglądały na śmiertelnie znużone. Tymczasem w Exeter przebywała grupa atrakcyjnych żon nauczycieli, które stanowiły pożywkę dla chłopięcej wyobraźni. (Jack nawet nie marzył, aby startować do którejś z nich; wszystkie wyglądały na zbyt szczęśliwe).

Najmniej dostępna była madame Delacorte, francuska lisiczka, bibliotekarka, której mąż nauczał w Instytucie Języków Romańskich. Madame Delacorte bynajmniej nie nasuwała skojarzeń z romasem. Żaden chłopiec w Exeter nie mógł jej patrzeć prosto w oczy, żaden też nie odwiedzał biblioteki, nie wypatrując tęsknie jej postaci.

Madame Delacorte wyglądała tak, jakby dopiero co uprawiała seks, ale miała apetyt na więcej, znacznie więcej. (Przy czym jakimś cudem pierwszy numer nie zburzył jej fryzury). Madame Delacorte robiła równie piorunujące wrażenie jak Jeanne Moreau w filmie „Jules i Jim”; nawet mąż jąkał się w jej obecności, chociaż pochodził z Paryża.

Pewnego wiosennego wieczoru Jack zakuwał do końcowego egzaminu z historii. Miał ulubione miejsce przy drugiej kondygnacji regałów. Spalił mosty w stosunkach z Noahem Rosenem i Michele Maher, a perspektywa czterech lat w Durham w stanie New Hampshire napawała go swoistą rezygnacją.

Emma Oastler przenosiła się do Iowa City. Wysłała do Iowy parę swoich tekstów i została przyjęta na tamtejsze warsztaty pisarskie. Jack w życiu nie słyszał o tym mieście. Wiedział tylko, że Iowa leży na Środkowym Zachodzie i że będzie tęsknił za Emmą.

- Przecież możesz mnie odwiedzać, ptysiu. Jestem pewna, że mimo tych wszystkich pisarzy mają tam kina. Pewnie wybudowali je pisarzom na złość.

W tej sytuacji Jack nie martwił się o egzamin z historii, był tylko lekko zadowolony. Gdy madame Delacorte podeszła do jego biurka, przekopywał się przez książki, które dawno powinien znać. Część odłożył już na stertę. Wśród nich znajdowała się zakurzona księga o prawie rzymskim, której podobno ktoś szukał. Madame Delacorte poprosiła, aby odstawił ją na miejsce, na trzecią kondygnację. Trzymano tam klasyków, całą łacinę i grekę.

- Dobrze - odpowiedział Jack. Nigdy nie czuł się na siłach, aby unieść wzrok ponad jej smukłą talię: już ona wystarczyła, aby go doszczętnie rozbroić. I poszedł odnieść książkę.

- Zaraz wracaj, Jack! - zawołała za nim madame Delacorte. - Nie chcę cię rozpraszać. - Tak jakby ona lub Jack mieli na to jakikolwiek wpływ!

Wydawało się, że przejścia między regałami jak zwykle świecą pustkami. Jack szybko odszukał właściwe miejsce, lecz naraz spostrzegł czyjeś oczy, świdrujące go ponad zmurszałymi tomiskami.

- Michele Maher nie jest odpowiednią dziewczyną dla ciebie - usłyszał. - Przecież jesteś przystojny. Po co ci ładna dziewczyna? Potrzebujesz czegoś innego, czegoś prawdziwego.

„Kolejnej pomywaczki?” - zadał sobie w duchu pytanie Jack. Rozpoznał głos i rozwodnione oczy. Była to Molly Jak-jej-tam, była dziewczyna Eda McCarty’ego. (Penisa McCarthy’ego, jak niezbyt pieszczotliwie ochrzcił go Herman Castro).

- Cześć, Molly - powiedział Jack. Obszedł półkę i stanął obok dziewczyny.

- To ja powinnam być twoją dziewczyną - zakomunikowała Molly. - Wiem, że kochasz siostrę, a ona jest brzydka. Cóż, ja też jestem brzydka.

- Nie jesteś brzydka, Molly.

- Owszem, jestem - odparła. Najwyraźniej była też stuknięta. Poza tym miała katar, ciekło jej z czerwonego nosa. Molly Jak-jej-tam oparła się o regał i przymknęła oczy. - Weź mnie - wyszeptwała.

Jack nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Wiedziony impulsem wyrządzenia dziewczynie jak najmniejszej krzywdy opadł na kolana i zadarł jej spódnicę. Przycisnął twarz do krocza Molly i opierając obie dłonie na jej pośladkach, zsunął majtki.

Wylizal szesnastolatkę na trzeciej kondygnacji biblioteki w Exeter! Dzięki doświadczeniu z panią Machado i panią Stackpole osiągnął w tej dziedzinie znaczną biegłość; różnica polegała na tym, że tym razem wynikało to z jego inicjatywy. Czuł we włosach palce dziewczyny, przyciskała do siebie jego głowę. Następnie poczuł, jak jej ciało tężeje w orgazmie. Mało kto zaznał w bibliotece podobnych wrażeń. Najgorsze zaś było to, że nadal nie znał jej nazwiska, nie mógł jej nawet posłać listu z wyjaśnieniami.

Pozostawił ją stojącą przy regale, choć prawdę mówiąc, ledwo trzymała się na nogach. W przeciwieństwie do Michele Maher wzrost Molly umożliwił mu pocałunek w czoło, tak jakby była małą dziewczynką. Kiedy odchodził, mając za jedyne usprawiedliwienie egzamin z historii, odniósł nieprzeparte wrażenie, że kolana dziewczyny wyginają się w pałąk.

Znalazł zlew z wodą do picia i obmył twarz. Po powrocie do biurka zdał sobie sprawę, że jego nieobecność musiała wydać się madame Delacorte raczej przydługa (nie wspominając o dekoncentracji). Być może miał nieco błędny wzrok albo madame Delacorte bezbłędnie odczytała z jego twarzy prawdę o niedawnej minucie.

- Na Jowisza, Jacku Burns - powiedziała. - Coś ty, u licha, czytał? Bo chyba nie prawo rzymskie.

Jej ton był raczej frywolny niż surowy. Czyżby madame Delacorte flirtowała z Jackiem? Zdobył się na odwagę, aby na nią spojrzeć, lecz była równie nieprzenikniona jak jego przyszłość. Jack wiedział tylko, że wkroczył w kolejny etap życia. Bez Michele Maher, swej pierwszej - i być może ostatniej - prawdziwej miłości.

A PANI MCQUAT JĄ OPUSZCZA

Jack Burns widział swoje lata uniwersyteckie niczym przez teleskop, jak wówczas gdy człowiek odlicza minuty, a to, co najlepsze, ma dopiero nastąpić. Uniwersytet New Hampshire przypominał poczekalnię na lotnisku, przystanek w drodze gdzie indziej. Otrzymywał dobre stopnie, nie jak w Exeter (ukończył nawet studia cum laude), był jednak oderwany od głównego nurtu wydarzeń.

W studenckim teatrze dostawał każdą rolę, do której się zgłosił, chociaż mało było tych, na których mu szczególnie zależało. Obejrzał też wszystkie zagraniczne filmy, które wyświetlano w Durham, zwykle nie sam; jeśli zabiera! kogoś ze sobą, musiała to być dziewczyna, która weźmie do ręki jego penis. A takich dziewcząt brakowało.

Przeważnie była to Claudia, studentka teatrolologii, a czasem Japonka Midori z zajęć rysunku z natury. Jack był jedynym mężczyzną, który pozował na wszystkich zajęciach rysunku z natury. Pan Ramsey nazwałby to doświadczeniem aktorskim, za które Jack dodatkowo otrzymywał pieniądze. Wbrew zaleceniom panny Wurtz podczas zajęć z rysunku z natury Jack nie koncentrował się na jednoosobowym audytorium, lecz wyobrażał sobie zbliżenia kamery. Liczył, że zazna ich w życiu sporo.

Pozowanie podczas zajęć z rysunku z natury było również ćwiczeniem w dziedzinie przewagi ducha nad materią, ponieważ Jack powstrzymywał erekcję. Trudniejszym przedsięwzięciem, które jednak opanował niemal do perfekcji, było zmuszenie się do erekcji, a następnie jej powstrzymanie. (Być może właśnie to ćwiczenie uczyniło z Midori zagorzałą kinomanę).

„Boże, uwolnij nas od pęta grzechów naszych”, modliła się kiedyś Lottie. Lecz Jack nie miał od niej żadnych wiadomości, nie dostawał nawet kartek. I nie dowiedział się, co spotkało ją na Wyspie Księcia Edwarda. Może nic.

Emma nauczyła Jacka prowadzić, swoim zwyczajem, nielegalnie, dzięki czemu uzyskał prawo jazdy, gdy tylko osiągnął odpowiedni ku temu wiek. Na razie nie miał prawa jazdy, stąd jego wielki sentyment do volva Claudii. Lubił Claudię, ale ponad wszystko ubóstwiał jej samochód.

Claudia miała aspiracje aktorskie (wystąpili razem w kilku przedstawieniach) i pałała niezachwianą chęcią trzymania Jacka za penis. Owszem, uprawiali też seks, co czyniło kinowe macanki mniej osobliwymi (a zarazem mniej ekscytującymi) niż doświadczenia z Emmą. Ponadto Claudia woziła Jacka tam, dokąd chciał, a kiedy dostał prawo jazdy, wspaniałomyślnie pożyczała mu swój samochód.

Kilka razy w tygodniu jeździł do Exeter, aby potrenować z tamtejszą drużyną zapaśniczą i potruchać na pochyłej bieżni w sali gimnastycznej. Na studiach nie przejawiał wielkiego zainteresowania zapasami; współzawodnictwo w tej dziedzinie nigdy go specjalnie nie interesowało. Chciał tylko zachować względnie dobrą kondycję i umiejętność samoobrony, poza tym czuł, że jest tej dyscyplinie coś winien, i nie miał nic przeciwko temu, by spłacić dług. Został dodatkowym trenerem w Exeter; jego rola sprowadzała się do demonstracji ruchów oraz chwytów przed zapaśnikami, którzy stawiali na macie pierwsze kroki. Jednym słowem, został tym, kim byli dla niego kiedyś Czenko, Borys i Paweł, a potem trenerzy Clum i Hudson.

W przeciwieństwie do trenera Cluma trener Hudson nie miał Jackowi za złe odsączania kalafiorowatych uszu. Jako przystojny mężczyzna rozumiał niechęć do oszpeconego wyglądu, zwłaszcza w perspektywie ewentualnej kariery aktorskiej.

- Czy nie nazwałby pan tego pragmatycznym podejściem? - spytał Jack.
- Bardzo pragmatycznym - odparł trener Hudson.

W Exeter był w owym czasie jeszcze jeden trener. Pan Shapiro nauczał też rosyjskiego, a w przyszłości miał zostać dziekanem.

Kiedyś Jack przyprowadził Claudię do sali gimnastycznej, gdzie siadła posępnie na macie, oparta o wywatowaną ścianę, świdrując zapaśników typowym dla kobiet podejrzliwym, wrogim spojrzeniem, jak gdyby lada chwila miała wyrwać zza pazuchy rewolwer i położyć trupem któregoś z nich. Claudia miała w sobie coś niebezpiecznego, być może tajemnicę, którą chowała głęboko w zanadrzu, tudzież plany na przyszłość, których za żadne skarby nie chciała ujawnić. A może, podobnie jak Jack, zawsze grała?

Trener Shapiro zauważył, że przyjaciółka Jacka jest „ośniewająco piękna” i ma „słowiańskie rysy”. Jack wiedział, że Claudia jest atrakcyjna, choć w jego oczach uroda każdej kobiety gasła na tle niezrównanej Michele Maher. Nie uważał jednak rysów Claudii za szczególnie słowiańskie. Lecz z drugiej strony, trener Shapiro nauczał rosyjskiego i zapewne wiedział, co mówi. Znał się też na zapasach. Jack rozpoznał w jego technice kilka starych sztuczek Czenki.

Tak wyglądało męskie grono znajomych Jacka w czasach studenckich: trenerzy zapasów w dawnej szkole oraz młodzi zapaśnicy, którzy dopiero poznawali tajniki dyscypliny.

Na drugim roku studiów Jack stanął wobec konieczności dokonania wyboru pomiędzy słowiańską pięknoscią a podbojem z zajęć rysowania z natury, swą osobistą perłą Orientu, Midori, z którą po raz pierwszy obejrzał „Yojimbo” Kurosawy. (Co za przeżycie, obejrzeć ten film z Japonką trzymającą cię za penis!). Za sprawą długiego pobytu w Stanach zwyciężył w nim amerykański materializm, ponieważ wybrał Claudię, nie tylko dlatego, że miała samochód; posiadała również własne mieszkanie. Znajdowało się poza miasteczkiem uniwersyteckim, w Newport, mniej więcej w połowie drogi między Durham i Exeter. A ponieważ Claudia była aktorką, ją i Jacka interesował ten sam rodzaj pracy wakacyjnej.

W Nowej Anglii istniało mnóstwo letnich teatrów, lepszych bądź gorszych, gdzie zatrudniano absolwentów (byli to przeważnie ludzie z programu teatralnego MFA), a zdolniejsi uczniowie znajdowali tam czasowe etaty, niektórzy zaś, w tym Claudia i Jack, nawet dostawali za to pieniądze.

Claudia lubiła teatr bardziej niż Jack. Wiedziała, że Jack chce zostać aktorem filmowym, ale filmy nie robiły na niej większego wrażenia. Kiedyś powiedziała Jackowi, że z większości, które oglądali razem, najchętniej wyszłaby w połowie, gdyby nie fakt, że trzymała go za penis.

Claudia miała pokaźny biust i obsesję na punkcie bioder, lecz gładka cera oraz mocny zarys szczęki i kości policzkowych czyniły jej twarz wymarzoną do zbliżeń. Szkoda, że nie przepadała za kinem, gdyż z pewnością stałaby się ulubienicą kamery, która szczególnie pokochałaby jej oczy, żółtawobrązowe niczym polerowane drewno. Jednakże Claudia uważała, że jeszcze przed trzydziestką stanie się „beznadziejnie gruba”.

- A wtedy tylko teatr będzie mnie chciał, i to wyłącznie dlatego, że umiem grać.

W marcu na drugim roku studiów Claudia i Jack przejechali volvem pół kraju, aby odwiedzić Emmę. Jack planował, że zabierze Claudię jesienią do Toronto, i Emma doszła do wniosku, że powinien przygotować „biedną Claudię” na nieuchronne spotkanie z Alice i panią Oastler. Nie zabierał dziewczyny do Toronto wyłącznie w celu przedstawienia jej matce, chociaż wydawało się to naturalną kolejną rzeczą. Matka wiedziała, że mieszkają razem; oczywiście obie z panią Oastler paliły się, żeby poznać Claudię.

Zasadniczym powodem, dla którego Jack miał zamiar zabrać Claudię do Toronto, był festiwal filmowy, na którym chciał ją przedstawić jako rosyjską aktorkę, nieznającą ani słowa po angielsku; używając określenia pana Ramseya miało to być dla nich obojga „doświadczenie aktorskie”. Poza tym tęsknili za wielkomięjskim życiem, co było naturalną konsekwencją mieszkania w New Hampshire.

Ku zdziwieniu Jacka Emma polubiła Claudię, być może dlatego, że Claudia też miała kłopoty z utrzymaniem wagi. Pomimo olśniewającej urody Claudia żywiła do siebie niechęć, którą podbiła Emmę bez reszty. (Co bardzo możliwe, Emma zapewne też słusznie podejrzewała, że związek Jacka i Claudii nie przetrwa próby czasu).

Jack nie był taki pewny co do autentyczności owej niechęci. Wybujała samokrytyka mogła być kolejnym doświadczeniem aktorskim, ponieważ Claudii bynajmniej nie brakowało wiary we własną atrakcyjność, a podziw Jacka dla jej zaokrąglonej figury również nie uszedł jej uwagi. Podśluchiwała, jak Jack mówi do Emmy przez telefon, że wyprawa do Iowy jest dla niego przede wszystkim „doświadczeniem motelowym”.

- Co chciałeś przez to powiedzieć? - zapytała, kiedy odłożył słuchawkę.

- To, że przy tobie zawsze myślę o znalezieniu motelu - odparł i wcale przy tym nie grał.

Szczerść jej odpowiedzi mogła budzić wątpliwości: Claudia zawsze była pod tym względem nieprzewidywalna, żeby nie powiedzieć, niebezpieczna.

- Z tobą nie potrzebuję motelu, Jack. Z tobą mogę to zrobić na stojąco.

Próbowali i tak, początkowo świadomi widoku, jaki musieli budzić, w końcu jednak dali się ponieść chwili. Przynajmniej Jack dał się ponieść: co do Claudii, nigdy nie było wiadomo.

W drodze na Środkowy Zachód i z powrotem istotnie nadarzyło się kilka motelowych okazji, poza tym Jack z radością przyjął fakt, że w przeciwieństwie do Nowej Anglii w Iowa zastali prawdziwą wiosnę, a pola przy drodze kusily soczystą zielenią. Emma wraz z trzema inni uczestnikami warsztatów wynajmowali domek niedaleko Iowa City, a że współlokatorzy porozjeżdżali się na ferie do domów, Emma, Claudia i Jack mieli gospodarstwo tylko dla siebie. Prawie co wieczór jeździli do miasta na kolację: Emma nie umiała gotować.

Emmie bardzo zależało, aby Claudia zrozumiała zasady „relacji lesbijskiej” ich matek, która, jej zdaniem, była daleka od prawdziwego homoseksualizmu.

- Jak to? - spytał ze zdziwieniem Jack.

- Nie są normalnymi lesbijkami, ptysiu. Pomijając fakt, że razem mieszkają i śpią, w ogóle nie przypominają lesbijek.

- Chyba trochę przypominają - zaryzykowała Claudia.

- Musisz zrozumieć ich związek w konkretnym kontekście - wyjaśniła Emma.

- Alice wychodzi z założenia, że jej życie z mężczyznami rozpoczęło się i zakończyło wraz z ojcem Jacka. Moja mama nienawidzi mojego ojca, a co za tym idzie, pozostałych mężczyzn. Zanim się poznały, napotkały na swej drodze szereg niewłaściwych facetów w wyniku samospelniającej się przepowiedni, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Owszem - odrzekła Claudia. - Uważasz, że faceci to świny, i tylko takich wybierasz. Znam ten typ.

- Tym sposobem - podjęła Emma - kiedy facet cię rzuca albo ty rzucasz jego, nie musisz weryfikować swojej opinii.

- Zgadza się - potwierdziła Claudia.

Jack milczał. Po raz pierwszy w życiu słyszał, że matka spotkała przed panią Oastler „szereg niewłaściwym facetów”; uderzyło go również to, że Emma i Claudia mogły nawiązywać do życia miłosnego Emmy, o którym praktycznie nic nie wiedział. Przez jej łóżko przewinęło się mnóstwo mężczyzn: zazwyczaj bawili w nim nie dłużej niż jedną noc i, zdaniem Emmy, byli do niczego. Po żadnym z nich nie uroniła ani jednej łzy. (Przeważnie byli bardzo młodzi, przynajmniej ci, których Jack miał okazję poznać).

Wiedziony chęcią (choćby nieznaczej) zmiany tematu, Jack zadał Emmie pytanie nurtujące go od lat. Przyszło mu to tym łatwiej, że rozmowa toczyła się przy osobie trzeciej; miał nadzieję, że w obecności Claudii Emma powściągnie nieco swój język.

- Nie wiem, jak to jest z twoją mamą, Emmo - zaczął - zdziwiłbym się jednak, gdyby moja nie wykazywała zainteresowania facetami... młodszymi facetami. Przynajmniej sporadycznie.

- W kwestii młodszych facetów, ptysiu, mojej też nie ufałabym za grosz. A twoja owszem, wykazuje zainteresowanie. Zwłaszcza młodszymi.

Jack wcale się nie zdziwił, było to jednak pierwsze potwierdzenie, jakie otrzymał w tej kwestii. A na wspomnienie jednej z „kołysanek” Emmy przyszło mu do głowy, czy zły konkubent z sagi o podduszonym dziecku nie stanowił aby nawiązania do byłego faceta pani Oastler, kogoś, kto skutecznie zniechęcił Emmę do starszych mężczyzn, a nawet rówieśników.

Co do Alice, opuściwszy Chińczyka, przeniosła się do własnego salonu przy Queen Street, co świadczyło o bezbłędnym wyczuciu koniunktury. (Jack nie miał wątpliwości, że Leslie Oastler dopomogła matce przy sfinansowaniu przedsięwzięcia).

W późniejszych latach Queen Street, usiana sklepami o uroczych nazwach oraz licznymi barami bistro, stała się aż nazbyt modna. Salon Alice mieścił się na zachód od centrum, z dala od głównego nurtu życia ulicy, w miejscu, gdzie Queen Street stawała się odrobinę zaniedbana i (wedle określenia Emmy) okupowana przez skośnookich.

Salon Alice od początku cieszył się zainteresowaniem „gówniarzy”, jak mawiała Emma. Jack nie wiedział, czy młodzież przychodziła z powodu jego mamy, czy też na Queen Street zaglądali głównie młodzi ludzie. Emma twierdziła, że do Córki Alice wstępowali przeważnie młodzi mężczyźni. Czasami przyprowadzali swoje dziewczyny, które też robiły sobie tatuaże, lecz Jack był świadom wzajemnej fascynacji, łączącej Alice z młodymi facetami.

Emma utrzymywała ponadto, że Leslie Oastler „kręciła nosem” na Queen Street. Nie pociągała jej ani atmosfera, ani klientela Córki Alice. Jednakże po latach terminowania Alice z radością rozpoczęła pracę na własny rachunek. W salonie zawsze panował ruch: ludzie bez protestów czekali na swoją kolej albo po prostu obserwowali artystkę przy pracy. Na ścianach Alice rozwiesiła tylko własne szablony i porozkładała wszędzie zeszyty z wzorami, dzięki którym klienci mogli sobie skrócić czas oczekiwania. Parzyła kawę i herbatę i zawsze miała nastawioną płytę. Wokół rozstawiła jasno oświetlone akwaria z rybkami tropikalnymi; szablony umieściła nawet pod wodą.

- Ten salon to happening - oznajmiła Claudii Emma.

Jack dobrze o tym wiedział, lecz nie zwrócił uwagi na nacisk, z jakim Emma wspominała o młodych mężczyznach. Albo zwyczajnie odrzucił tę myśl. Wizja matki w towarzystwie jego rówieśników czy nawet młodszych chłopców nie budziła w nim entuzjazmu. Wolał wyobrazić ją sobie w ramionach Leslie Oastler, gdzie wydawała mu się bezpieczniejsza, nawet jeśli nie do końca szczęśliwa.

- A co twoja mama myśli o młodych kochankach mojej, jeżeli tacy w ogóle istnieją? - spytał Emmy.

- W zasadzie... - zaczęła Emma, po czym umilkła i podjęła, zwracając się bardziej do Claudii niż Jacka: - ...w zasadzie chyba jest zadowolona, że mama Jacka nie jest mężczyzną.

Jack był bezradny wobec argumentów Emmy, zwłaszcza w kwestii ich matek. Od 1975 roku, kiedy to wyjechał do Redding, Emma spędzała z nimi więcej czasu. Poza tym Toronto przestało być jego miastem.

Tak naprawdę znał tylko stary dom pani Wicksteed na rogu Spadina i Lowther oraz okolice Świętej Hildy na Forest Hill. No tak, była jeszcze siłownia na Bathurst Street oraz kawałek wąwozu przy parku sir Winstona Churchilla, widziany z okna mieszkania pani Machado na St. Clair. Jednakże Jack nigdy nie poznał śródmieścia, a zwłaszcza rejonów Jarvis i Dundas, gdzie mieścił się salon Chińczyka. Zachodnia Queen Street i matczyne „happening” stanowiły dlań wielką niewiadomą.

Tymczasem Emma na zawsze pozostała rdzenną mieszkanką Toronto, nawet w czasach Iowa City i później, kiedy przeniosła się do Los Angeles.

Alice wreszcie zrobiła Emmie tatuaż. Jack nawet nie próbował wyobrazić sobie bojów, jakie poprzedziły to wydarzenie. Miejsce wymarzonego niegdyś motylka zajęła mniejsza wersja słynnej róży jerychońskiej Alice.

Emma zrelacjonowała mu rozmowę z panią Oastler.

- Nie chcę słyszeć ani słowa. Gdybyś pozwoliła mi kiedyś na głupiego motyla na kostce, nie mówiłabym teraz o pochwie.

Problem polegał na tym, że Emma nie chciała niczego ukrywać. Nie chodziło jej o kwiat schowany w róży, lecz jedynie o płatki najbardziej rozpoznawalnego kwiatu na świecie. Był mały, ale nie pozostawiał wątpliwości. (Ach, myślał Jack, być muchą na ścianie podczas tych pertraktacji!).

Delikatna interwencja Alice nieco załagodziła konflikt.

- To kwestia tego, gdzie ma się znajdować, Emmo - powiedziała. - W żadnym razie nie wytatuuję ci pochwy na kostce.

Oczywiście Emma „wyrosła” (jak to ujęła) z chęci tatuowania sobie kostek, Alice zaś przestała wykonywać tatuaże na damskich kościach ogonowych. W czasopiśmie branżowym wyczytała, że anestezjolog może w takich wypadkach odmówić znieczulenia zewnątrzoponowego. (Być może wiązało się to z ryzykiem

przedostania się tuszu do rdzenia kręgowego, choć podobne zagrożenie wydawało się wysoce nieprawdopodobne).

- A jeśli zajdziesz w ciążę i w czasie porodu poprosisz o epidural? - spytała Alice.

- Nie będę miała dzieci, Alice - odrzekła Emma.

- Tego nie wiesz.

- Owszem, wiem.

- Nie wytatuuję ci pochwy na kości ogonowej, Emmo.

Nawet Emma musiała przyznać, że kość ogonowa to dosyć kontrowersyjne miejsce na pochwę. Wreszcie Alice zgodziła się umieścić tatuaż na biodrze Emmy, tuż pod linią majtek: tym sposobem Emma widziała go bez lustra oraz w lustrze.

- Które biodro? - spytała Alice.

Emma zastanawiała się tylko przez chwilę.

- Prawe - odpowiedziała.

Według Emmy, kolejne pytanie padło już w trakcie powstawania tatuażu.

- Dlaczego prawe? - zapytała Alice.

- Zwykle śpię na lewym boku - odpowiedziała Emma. - Jeśli śpię z facetem, chcę, żeby widział pochwę. To znaczy, tatuaż.

Emma doceniła roztrofną odpowiedź Alice, choć musiała trochę na nią poczekać. Jack widział całą sytuację jak na dłoni: matka z nogą na pedale, igły w ciągłym ruchu, strumień tuszu i bólu, miarowy niczym ulewa. Początkowo Emma nie dawała głowy co do muzyki w tle.

- To mógł być „Mr. Tambourine Man” - rzuciła z wahaniem.

*Piękny wieczór w nicość obrócił się,
Omamił mnie,
Lecz nie dane mi zmrużyć oka.
Skonany jak pies sam tu tkwię
I jest mi źle,
A pusta ulica chłodem tchnie.*

- W salonie jak zwykle przesiadywały jakieś obleśne typki - twierdziła.

Jack nie miał wątpliwości, że wspomniane typki chętnie zainteresowałyby się bliżej pomiarem Emmowego biodra, nie wspominając o nowo powstałym tatuażu.

- Nie, Dylan, ale „Just like a woman” - przypomniała sobie nagle Emma.
Jack to też wyobraził sobie bez trudu.

*Zwodzisz i czarujesz jak kobieta.
Kochasz się jak kobieta.
A potem cierpisz jak kobieta.
Lecz w głębi serca dzieckiem jesteś wciąż.*

- Nie wiem, czy dobrze rozumiem, Emmo - zagadnęła po dłuższej chwili Alice.
- Kiedy jesteś w łóżku z facetem, ma widzieć twój tatuaż. Nawet kiedy śpisz?
- Mnie może zapomni, ale zapamięta moją dziargę - odparła Emma.
- Szczęściarz - powiedziała Alice.

Emma odniosła wrażenie, że Alice dostosowuje rytm pracy do tempa muzyki.

- Moja matka to suka, ale pokochasz Alice - zakomunikowała Claudii Emma.
- Wszyscy kochają Alice.
- Ja kiedyś tak - wtrącił Jack.

Wyszedł na zewnątrz, aby się rozejrzeć po okolicy. Jak okiem sięgnąć, teren rozciągał się płasko. Cóż za kontrast w porównaniu z gęsto zalesionymi wzgórzami Maine i New Hampshire! Emma stanęła u jego boku.

- No dobra, skłamałam. Nie wszyscy kochają twoją matkę - powiedziała.
- Ja kiedyś tak - powtórzył Jack.
- Chodźmy do kina, ptysiu. Zabierzmy Claudię na film.
- Jasne - odparł.

Nie starczyło mu wyobraźni, aby przewidzieć problemy, które stwarzało oglądanie filmu w towarzystwie obu pań. Fabuła nie zapadła mu w pamięć, co było zupełnie nie w jego stylu; zapamiętywał nawet kiepskie filmy. Jednakże z chwilą gdy zasiadł w sali kinowej z Claudią po lewej, a Emmą po prawej stronie, pojawiła się kwestia tego, która z nich weźmie do ręki jego penis. Wspomniana kwestia całkowicie wyparła refleksje na temat filmu.

Leworęczna Emma wykazała więcej przedsiębiorczości: nim dłoń Claudii trafiła w okolice krocza Jacka, rozperek był już rozpięty i penis znajdował się na wierzchu. Nikt nie dał po sobie poznać konsternacji: cała trójka wpatrywała się w ekran jak gdyby nigdy nic. Claudia kurtuazyjnie cofnęła rękę, co prawda, tylko na wewnętrzną część lewego uda Jacka. Emma pojednawczym gestem pchnęła penis w kierunku dłoni Claudii, muskając czubkiem jej wierzch. Claudia przełożyła rękę z powrotem na krocze, ujmując zarówno penis, jak i palce Emmy. Tym sposobem dziewczęta zapewniły Jackowi dwugodzinną erekcję.

Po kinie poszli na piwo. Jack właściwie nie lubił pić. Piwo kupiła Emma, choć równie dobrze mogła to zrobić Claudia lub Jack. Barmani nie prosili nigdy Claudii o dowód: pomimo swoich dziewiętnastu lat wyglądała na kobietę starszą aniżeli studentka college'u. To samo dotyczyło Jacka, odkąd obejrzał „Yojimbo”. Nie miał jeszcze dwudziestu lat, ale łytał spod oka jak Toshiro Mifune i obficie smarował włosy żelem. Emmie podobał się ten wizerunek (zwłaszcza łypanie), Claudia jednak skarżyła się czasem na trzydniowy zarost Jacka.

On zaś z upodobaniem naśladował wzburzenie Mifunego, zwłaszcza z początku „Yojimbo”, kiedy samuraj przybywa do miasta i widzi psa z ludzką dłonią w zębach. Jack uwielbiał przeraźliwe spojrzenie, jakie Mifune rzuca psu.

Emma przesadziła z alkoholem i Jack musiał usiąść za kierownicą, podczas gdy dziewczęta migdały się na tylnym siedzeniu.

- Szkoda, że cię tu nie ma, ptysiu - oznajmiła Emma.

Jack znał nieposkromioną naturę Emmy oraz jej gotowość do łamania reguł, lecz uległość Claudii wyprowadziła go z równowagi. I chociaż Emma była skomplikowana (a czasem trudna), to Claudii nie mógł rozgryźć. Podobnie jak on, zdawała się czekać sposobnej

chwili, aby odkryć karty, i nigdy nie ujawniała, co tak naprawdę jej chodzi po głowie. A może po prostu nastawienie Claudii odzwierciedlało zachowanie Jacka: trzymała go w szachu, podobnie jak on postępował z nią.

Po powrocie na farmę, gdzie Emma straciła przytomność, Claudia pomogła Jackowi zanieść dziewczynę do sypialni. Kiedy ją rozbierali, ani drgnęła. Naturalnie pochwa na prawym biodrze nie umknęła ich uwagi.

- Na czym dokładnie polega twój związek z Emmą? - spytała Claudia.

- Właściwie nie wiem - odparł szczerze Jack.

- Spodziewam się! - skwitowała ze śmiechem Claudia.

A gdy znaleźli się w łóżku, zapytała:

- Kiedy zaczęło się to trzymanie za penis? Z Emmą. Nie pytam o siebie, bo wiem.

Jack udał, że nie może sobie przypomnieć.

- Kiedy miałem osiem lub dziewięć lat - odpowiedział. - Emma miała wtedy jakieś piętnaście, szesnaście. Albo trochę wcześniej. Ja mogłem mieć siedem, a Emma czternaście lat.

Claudia bez słowa trzymała go za penis. Kiedy już prawie zasypiał, spytała ni stąd, ni zowąd:

- Masz pojęcie, jakie to dziwne, Jack?

Od czasu Michele Maher był czuły na punkcie swej rzekomej ekscentryczności. Nie lubił się, że Claudia uważa go za miłość swojego życia, ona zaś była zbyt inteligentna, by sądzić, iż on czuje to wobec niej. Lecz myśl, że uznała go za dziwaka, sprawiła mu niewysłowiony ból.

- Jak dziwne? - spytał.

- To zależy, Jack.

Nie lubił takich gier. Wiedział, że teraz powinien spytać: „Od czego?”. Ale nie miał zamiaru pytać, gdyż z góry znał odpowiedź. Dotknął jej piersi, popieścił ustami szyję, lecz gdy jego penis stopniowo budził się do życia w dłoni Claudii, ona nieoczekiwanie go puściła.

- Dlaczego Emma nie chce mieć dzieci? - zapytała.

Cóż, Jack Burns był aktorem i natychmiast potrafił rozpoznać podchwytliwe pytanie.

- Może wynika to z obawy, że nie będzie dobrą matką - zaryzykował, nadal dotykając piersi Claudii. Oczywiście to pytanie tak naprawdę dotyczyło jego osoby. Dlaczego on nie chce mieć dzieci? Ponieważ, jak kiedyś wyznał Claudii, jeśli okaże się podobny do ojca, odejdzie. Nie chciał być ojcem, który odchodzi.

Jednakże odpowiedź nie zadowoliła Claudii. Jack wiedział, że ona chce mieć dzieci. Jako aktorka nienawidziła swego ciała; to, że jest „stworzone do rodzenia dzieci”, było jedyną pozytywną rzeczą, jaką kiedykolwiek mówiła na swój temat. Twierdziła to z niezachwianym przekonaniem, tak przynajmniej wydawało się Jackowi. Najwyraźniej wychodziła z założenia, iż to, jakim ojcem okaże się Jack, stanowi tylko i wyłącznie jego problem.

- To zależy od tego, czy chcesz mieć dzieci, czy nie - odrzekła Claudia.

Jack puścił jej piersi i przewrócił się na drugi bok. Claudia przysunęła się bliżej i obejmując go ręką w pasie, ponownie ujęła jego penis.

- Dopiero za dwa lata kończymy studia - przypomniał jej Jack.

- Nie mówię teraz, Jack.

Przecież zaznaczył, że w ogóle nie chce mieć dzieci.

- Przynajmniej do czasu, kiedy odkryję, że mój ojciec ma dziecko lub dzieci, których nie opuścił. - Tak to ujął.

Trudno się dziwić, że Claudia cofnęła rękę, prawda?

Niemniej jednak świetnie się razem bawili, zwłaszcza podczas letnich przedstawień. Zeszłego lata grali w „Romeo i Julii” w teatrze w Berkshires. Główne role przypadły miejscowym weteranom. Claudia była dublerką aktorki grającej Mię. Płaska, beznamiętna

kukła, którą obsadzono w tej roli, nie opuściła żadnego przedstawienia, nawet poranka. Jack marzył o dublowaniu Romea, a przynajmniej Merkuja, lecz z uwagi na zapaśniczą postawę został Tybaltem, zaczepnym półgłówkiem.

Claudia nieustannie pstrykała zdjęcia: może wychodziła z założenia, że wobec tak skrzętnej dokumentacji ich wspólnych poczynań jednak zostaną razem. Miała aparat z samowyzwalaczem: nastawiała czasomierz i biegła do Jacka. (Owo obsesyjne zamiłowanie do zdjęć nasuwało Jackowi podejrzenie, czy Claudia aby jednak nie bierze go omyłkowo za miłość swego życia).

Po pierwszej wizycie u Emmy zagrali w sztuce Garcii Lorki pod tytułem „Dom Bernardy Alba” w teatrze letnim w Connecticut. Rzecz dzieje się w Hiszpanii w 1936 roku. Oboje grali kobiety. Jednego wieczoru Jack cierpiał w wyniku zatrucia pokarmowego po zjedzeniu zepsutych mięczaków. W sztuce nie było antraktu. Pani reżyser kazała Jackowi „wziąć się w garść i włożyć dłuższą spódnicę”. Jego dublerka miała infekcję drożdżakową, co spotkało się z większym zrozumieniem głównodowodzącej niż męczarnie Jacka. (W obsadzie było dziewięć kobiet plus Jack).

Jacka nękały straszne bóle brzucha i biegunka. W wyniku szczególnie dotkliwego skurczu drgnął tak gwałtownie, iż jedna ze sztucznych piersi wymknęła mu się ze stanika: w ostatniej chwili przygwoździł ją łokciem do żeber. Claudia powiedziała mu później, że wyglądało to tak, jakby szyderczo zobrazował chwilę bohaterskiej śmierci dramaturga w hiszpańskiej wojnie domowej. Jack odczuł pewną ulgę na myśl, że Garcia Lorca nie doczekał jego występu.

- Cóż za niebywale doświadczenie! - odpowiedział pan Ramsey, kiedy Jack opisał mu niefortunny wieczór.

Panna Wurtz byłaby z niego dumna, albowiem nigdy nie był bardziej skoncentrowany na swym jednoosobowym audytorium. Niemalże widział swego ojca na widowni. (William z pewnością doceniłby tę sztukę - same kobiety!).

Tego samego lata Claudia i Jack byli dublerami w „Kabarecie”, ich pierwszym musicalu. Jack dublował niejakiego EmSi, Angola, który już pierwszego wieczoru pozbawił go złudzeń, zapewniając, że nigdy nie był na chorobowym. Jack i tak nie miał serca do jego roli. Byłby lepszą Sally Bowles niż aktorka, która ją odgrywała - lepszą nawet niż Claudia, jej dublerka.

Jednakże gdyby stanął z Claudią w szranki w turnieju o rolę Sally i, nie daj Boże, wygrał, ich związek mógłby stanąć pod wielkim znakiem zapytania. A tak przez miesiąc śpiewali „Jutro należy do mnie” i „Może tym razem”, w zaciszu alkowy, gdzie dublerzy zwykle dają z siebie wszystko.

Oboje dostali jednak role girls w „Kabarecie”, dzięki czemu mogli przynajmniej wyjść na scenę. Zważywszy na skąpe kostiumy oraz miejsce i czas akcji (Berlin, 1929-30), Jack był niezbyt wiarygodnym transwestytą, lecz publiczność go uwielbiała. Claudia była zazdrosna, gdyż, jej zdaniem, wyglądał bardziej seksownie niż ona.

- Lepiej uważaj, Jack - ostrzegła. Oboje mieli wówczas po dwadzieścia lat. -Jeszcze trochę, a przestanę cię obsadzać w rolach facetów.

(Jack uznał, że w takim wypadku lepiej będzie nie zdradzać Claudii, jakkolwiek zależało mu na roli Sally Bowles).

Lato w Connecticut na zawsze wryło mu się w pamięć. Kiedy Sally Bowles i girlsy śpiewały „Nie mów mamie” i „Mein Herr”, Jack patrzył prosto na widzów, dostrzegał ich twarze. Patrzyli na niego, „tancerkę”, nie na Sally. Nie mogli oderwać od niego oczu. Każdy mężczyzna wśród publiczności dostawał gęsiej skórki.

Z uwagi na dobre wyniki w nauce Claudia i Jack mogli sobie pozwolić na opuszczenie kilku zajęć na czas wrześniowego festiwalu filmowego w Toronto. W ramach pracy domowej wykładowcy zlecili im opisanie obejrzanych filmów -było to pierwsze i ostatnie doświadczenie Jacka w dziedzinie krytyki filmowej. No, poza bankietami.

Kiedy szli do Córki Alice na pierwsze spotkanie z matką, Jack przekonywał, że to niemożliwe, jakoby Claudia widziała Raula Julię, wychodzącego z toalety przy Park Plaža. Alice od razu wzięła stronę Claudii. Jack wiedział, że na festiwalach filmowych roi się od sobowtórów gwiazd, ale chciał, żeby Claudia i matka się polubiły. I ugryzł się w język.

Alice tatuowała właśnie małego skorpiona na brzuchu młodej kobiety. Wąski, segmentowany ogon skorpiona tkwił wygięty nad jego grzbietem. Śmiercionośne żądło znajdowało się tuż pod pępkiem dziewczyny, a pajęczce odnóży zastygły nad jej włosami łonowymi. Zdaniem Jacka, klientka wyglądała na cokolwiek niepoczytalną, lecz na ten temat również nie rzekł ani słowa. Widział, że Claudia jest pod wrażeniem atmosfery panującej w pracowni; nie chciał grać roli obrazoburcy ani w kwestii Raula Julii, ani odpychającego tatuażu.

Festiwal filmowy napędził Alice koniunkturę. Opowiedziała im, że właśnie tatuowała jakiegoś maniaka kinowego, kiedy zobaczyła Glenn Close, podążającą Queen Street. Jack nie krył niedowierzania. Jego zdaniem, było nader wątpliwe, aby Glenn Close zapuszczała się w rejony Queen i Palmerston, ale powiedział tylko:

- Dziwne, że nie wpadła po różę jerychońską.

Claudia, która (zgodnie z zapowiedzią Emmy) z miejsca zapałała do Alice gorącą sympatią, zezłościła się na Jacka za (jak to określiła) brak szacunku. Sytuacja zrobiła się dość napięta. Potem wszyscy poszli na „Moją piękną pralnię”: Alice, pani Oastler i Claudia były w siódmym niebie, a Jack wręcz przeciwnie. Nie żeby film jakoś szczególnie nie przypadł mu do gustu, ograniczył się więc tylko do stwierdzenia:

- Spodziewałem się, że będzie chodziło o piękną kobietę.

- Wówczas w tytule byłaby praczka, skarbie - odrzekła jego matka.

- „Piękna” brzmi jednoznacznie.

- Boże, ależ z ciebie malkontent - wtrąciła Claudia.

- Kto tu mówi o braku szacunku! - odparł.

Jack bynajmniej nie kwapił się do obejrzenia „Jałowych serc”, które nawet pani Oastler określiła mianem „lesbijskiej love story”; wprost nie mogła się doczekać rozpoczęcia seansu. (W przeciwieństwie do Alice). Obraz przyciągnął rzeszę kobiet trzymających się za ręce. Claudia, która trzymała ręce z dala od krocza Jacka podczas wszystkich seansów w towarzystwie Alice i pani Oastler, na „Jałowych sercach” odmówiła nawet trzymania go za rękę. Zupełnie jakby rozważała możliwość własnej wyprawy do Reno, bez niego. Może widziała się u boku Helen Shaver czy coś w tym rodzaju.

- Schematyczne postacie - bąknął tylko Jack. To wystarczyło, aby zwrócić przeciwko sobie wszystkie trzy panie: był homofobem, czuł się zagrożony przez lesbijki. - Lubię Helen Shaver - powtarzał, ale bez większego skutku.

Festiwal oznaczał początek boomu azjatyckiego, jak zakomunikował Claudii fagas, który wyraźnie smalił do niej cholewki na przyjęciu po filmie. Jack uznał za stosowne zamilczeć, trzymał tylko rękę na pupie Claudii w mało platoniczny sposób. Kiedy Claudia poszła do toalety, rzucił fagasowi samurajskie spojrzenie. Gość od razu podał tyły.

Alice i Leslie napadły na Jacka za jego „zaborczość”. Zakomunikowały mu, że Claudia jest fantastyczna. Żadna kobieta nie lubi być obmacywana publicznie, a już na pewno nie tak, jak to robił z Claudią. (Oto rada płynąca z ust pary, która miziała się podczas jego przełomowego występu w „Narzeczonej na zamówienie”).

Jack miał dość seansów i przyjęć w towarzystwie matki i pani Oastler. Tego samego wieczoru, w łóżku, poskarżył się na to Claudii. Spali w pokoju Emmy. („Łóżko jest szersze, skarbie. Jak sam wiesz”, oznajmiła Alice).

Claudia uznała Alice i Leslie za uroczą parę.

- Przecież one świata poza tobą nie widzą - powiedziała Jackowi.

Najwidoczniej brakowało mu perspektywy, aby to dostrzec.

Postanowił zabrać Claudię do Świętej Hildy, nie tylko po to, aby obejrzała jego dawną szkołę, która odegrała decydującą rolę w formowaniu obsesji na punkcie starszych kobiet, lecz również w celu przedstawienia jej ulubionych nauczycieli. Cóż za poroniony pomysł! Wszystkie dziewczęta sprawiały wrażenie nienaturalnie młodocianych. (Jasne: Claudia i Jack mieli po dwadzieścia lat!).

Najpierw zaprowadził Claudię do pana Malcolma, który zawsze w popłochu opuszczał mury szkoły, pchając przed sobą wózek z panią Malcolm. Nie mogąc przyjrzeć się Claudii, Szalona Jane dotknęła jej bioder, talii, a nawet piersi. (Wygląda na to, że beczelność ślepców nie zna granic).

- Idzie w ślady ojca, prawda? - spytała męża.

Jack właśnie usiłował wytłumaczyć Claudii te słowa, kiedy wpadli na pana Ramseya, wychodzącego z toalety dla chłopców.

- Jack Burns! - wykrzyknął, zapinając rozporek. - Patron narzeczonych na zamówienie!

Jack uznał, iż ta aluzja będzie wymagała obszerniejszych wyjaśnień. Claudia wyglądała na do reszty rozstrojoną obecnością Karla, który ani na chwilę nie przestawał podskakiwać.

Pan Ramsey nalegał, aby poszli z nim na próbę; starsze dziewczęta pracowały nad „Pamiętnikiem Anny Frank”, który budził w Claudii gorzkie wspomnienia.

Na początku liceum starała się bowiem o rolę tytułową, lecz już wówczas wyglądała za staro. (Nie wspominając o zbyt okazałym biuście).

Pan Ramsey przedstawił Jacka jako najlepszego aktora w historii szkoły pomimo faktu, iż jego reputacja wynikała z ról żeńskich. Claudia została zaanonsowana jako jego koleżanka po fachu.

- Przyjechali na festiwal filmowy! - oznajmił pan Ramsey, przez co zdjęte bogobojnym lękiem dziewczęta wbiły sobie do głów, że Claudia i Jack promują nowy film. Pan Ramsey zachowywał się tak, jakby miał do czynienia ze wschodzącymi gwiazdami branży.

Jack przypomniał sobie swoją irytację, kiedy Claudia odmówiła odegrania roli słynnej radzieckiej aktorki bez znajomości angielskiego. Jej śmiałość była pozbawiona cienia improwizacji: musiała znać swoją kwestię, inaczej była zgubiona. Poza tym nie tylko wyglądała na starszą niż w rzeczywistości, ale i lubiła kłamać na temat swego wieku. „Jestem tuż po trzydziestkę i koniec dyskusji”, mawiała. Kwestia była wyborna, ale od prawdy dzieliło ją ponad dziesięć lat.

Uczennice wyglądały na niepocieszone. Oto spotkały mężczyznę swoich marzeń w towarzystwie atrakcyjnej kobiety, przy której czuły się seksualnie niedorozwinięte. Co gorsza, pan Ramsey nalegał, aby Claudia i Jack coś zagrali. (Jack wspomniawszy mu w liście, że razem występują na scenie).

Jack nieroztropnie pozwolił Claudii namówić się na numer girls z „Kabaretu”. To Claudia wybrała „Mein Herr”; powiedział jej później, że nie mogła wymyślić nic bardziej niestosownego. (Spoglądając wstecz, dochodził ze wstydem do wniosku, że odśpiewanie piosenki rodem z nazistowskiego nightclubu w kontekście sztuki wystawianej przez uczennice zakrawało na kompletny brak taktu). Na domiar złego oboje wczuli się w postaci Sally Bowles, dzięki czemu Claudia wreszcie zrozumiała, jak bardzo Jack marzył o tej roli.

Kiedy skończyli, pan Ramsey niemal oszalał z zachwyty. Nieszczęsne dziewczęta mdlały bądź konały z zazdrości i zakłopotania. Claudia wspaniałomyślnie zaproponowała, aby wróciły do pracy nad „Pamiętnikiem Anny Frank”.

Ale pan Ramsey ani myślał wypuścić Jacka. Chciał koniecznie poznać zdanie obojga na temat festiwalu i obejrzanych filmów.

- Widzieliście Godarda? „Świętą Marię” czy coś w tym stylu? - spytał. - Została wyklęta przez papieża!

- Jack wyklął ją bez oglądania - oświadczyła Claudia. - Nienawidzi Godarda.

Jack złagodził nieco samurajską minę, przynajmniej przez wzgląd na zatrwożone dziewczęta.

Uczennica grająca Annę Frank została wypchnięta na czoło grupy. Claudia mimowolnie utkwiała wzrok w jej płaskiej piersi. Jack dostrzegł, że biedaczka jest tak przerażona, jakby wraz z Claudią symbolizowali rażące zaprzeczenie pamiętnych słów Anny, których Claudia nie omieszkała zacytować (bez cienia sarkazmu).

- „Doprawdy cud, że nie porzuciła wszystkich swych ideałów, albowiem wydają się tak naiwne i niemożliwe. Mimo to dochowuję im wierności, gdyż wbrew przeciwnościom losu wierzę, iż ludzie są z natury szlachetni”.

- Wybornie! - krzyknął pan Ramsey. - Ciut beznamiętnie jak na Annę, ale wybornie!

- Musimy już iść - odrzekła litościwie Claudia.

Dziewczęta spoglądały na Jacka, jakby Claudia trzymała go za penis w ich obecności. Claudia zaś spoglądała nań tak, jakby nawet „Święta Maria” Godarda nie mogła być równie nudna jak owa niewydarzona podróż w czasie, na którą ją naraził.

Szczerze powiedziawszy, Jack miał na Godarda wielką ochotę, ponieważ katolicy odsądzali go od czci i wiary i zapowiadali pikietę. Lecz Claudia nie lubiła Godarda bardziej niż on. („Święta Maria” stanowiła nawiązanie do niepokalanego poczęcia: była to historia dziewiczej pracownicy stacji benzynowej i taksówkarza, jej chłopaka).

W tych niezbyt sprzyjających okolicznościach (Claudia nienawidziła Jacka za to, że ją tu przyprowadził, a Jack zachodził w głowę, czego się właściwie spodziewał) nastąpiło wejście Szarego Ducha. Właśnie w chwili, kiedy Jack zamierzał pokazać Claudii kaplicę, i oczywiście przestraszyło ich nie na żarty. Claudia zrobiła na pani McQuat tak piorunujące wrażenie, że nauczycielka natychmiast zaciągnęła ich do pierwszej ławki i zmusiła, aby usiedli. (Przynajmniej nie kazała im przykleknąć).

Claudia nie była religijna i wyznała później Jackowi, że jej uczucia doznały poważnego uszczerbku na widok kobiet „poddąnczo nachylonych nad Chrystusem”. Pani McQuat ujęła ich oboje za ręce, po czym zapytała szeptem, kiedy ślub. Fakt, iż oboje są jeszcze studentami, umknął uwagi Szarego Ducha, do której dotarły już szerzące się z prędkością błyskawicy plotki, jakoby Jack Burns przyjechał na festiwal w towarzystwie amerykańskiej gwiazdy filmowej, czyli Claudii. Przywiózł ją do Świętej Hildy, żeby obejrzała kaplicę. Podobno pragnął wziąć ślub właśnie tutaj, przez sentyment do dawnej szkoły, która go ukształtowała.

- Jeszcze nie mamy sprecyzowanych planów - zełgał na poczekaniu Jack, nie wiedząc, co lepszego wymyślić.

- Nie wyjdę za Jacka - oznajmiła Claudia. - Nie wyjdę za mężczyznę, który nie chce mieć dzieci.

- Litości! - zawołała Szary Duch. - Dlaczego... nie chcesz mieć... dzieci... Jack?

- Przecież pani wie - odparł.

- Twierdzi, że to przez jego ojca - wtrąciła Claudia.

- Chyba... nie martwisz się wciąż... że będziesz... taki jak on? - zapytała Szary Duch.

- Mam uzasadnione podejrzenia - odpowiedział.

- Bzdura! - oświadczyła pani McQuat. - Wiesz... co ja myślę? - zwróciła się do Claudii, poklepując ją po ręce. - Moim zdaniem, to tylko wymówka... żeby się w ogóle... nie żenić!

- Też tak uważam - odrzekła Claudia.

Jack poczuł się jak Chrystus z witraża: gdziekolwiek się ruszył w Toronto, kobiety momentalnie przypuszczały na niego atak. Musiało wyglądać na to, że chce odejść, gdyż Szary Duch zdecydowanie ujęła go za nadgarstek.

- Chyba zajrzysz... do panny Wurtz... prawda? - spytała. - Litości... byłaby wstrząśnięta... gdybyś tego... nie zrobił!

- Ach tak.

- Powinieneś zabrać Caroline... na film, Jack - ciągnęła pani McQuat. - Jest zbyt nieśmiała, żeby... sama... iść do kina.

Szary Duch stanowiła zawsze głos jego sumienia. Miał kiedyś żałować, że jej nie powiedział, ile dla niego znaczyła ani nawet jak wspaniałą była nauczycielką.

Pani McQuat umrze w kaplicy Świętej Hildy po ukaraniu trzecioklasisty z krnąbrnej klasy panny Wurtz, którego pozostawiła przed ołtarzem plecami do Boga. Padła trupem w środkowej nawie, którą znała jak własną kieszeń, plecami do Boga. I tylko Stwórca i trzecioklasista widzieli jej koniec. (Biedny dzieciak: to dopiero musiało go ukształtować!).

Panna Wurtz przybiegła pędem, gdy tylko dotarła do niej wieść o śmierci mentorki. Płakała przez całą drogę.

Jack nie przyjechał na pogrzeb Szarego Ducha. Ojej śmierci dowiedział się po pogrzebie, kiedy matka powiedziała mu coś, co w zasadzie nie powinno go zdziwić. Pani McQuat wcale nie była „panią”, nigdy nie wyszła za mąż. Podobnie jak panna Wurtz, od kołyski aż po grób była panną. Jednakże coś w naturze nieustraszonej sanitariuszki nie pozwalało jej się przyznać do staropanieństwa, które w owych czasach stanowiło bezlitosny synonim braku miłości.

Początkowo Jack zachodził w głowę, dlaczego Szary Duch powierzyła ów sekret jego matce. Przecież nie były przyjaciółkami. Potem przypomniał sobie słowa pani McQuat: nie skarż się na kobietę, która umie dochować tajemnicy. (Czyli Alice. Oraz samą panią McQuat).

Zatem spokojnie przyjął fakt, że Szary Duch była panną, a nie panią. Spoglądając wstecz, wcale by się nie zdziwił, gdyby „pani” McQuat okazała się mężczyzną.

Alice i pani Oastler poszły na mszę żałobną, którą odprawiono w kaplicy Świętej Hildy. Jako absolwentka szkoły Leslie zawsze była na bieżąco. Alice zaś wyznała Jackowi, że uczestniczyła w ceremonii z „sentymetu”, które to słowo uznał w jej wypadku za nader nietypowe. Nie wspominając o wyrażanym przez nie uczuciu.

Alice udzieliła mglistych informacji co do pozostałych uczestników pogrzebu.

- Oczywiście Caroline. - Nie miała na myśli Caroline French, tylko pannę Wurtz. Druga Caroline nie przyjechała. Gordon, jej brat bliźniak, również był nieobecny. (Gordon nie żył: wspomniany wypadek na łodzi uniemożliwił mu przybycie).

Jack spytał o ewentualne cmokanie bądź jęki; z odpowiedzi zdumionej matki wywnioskował, że siostry Booth i Jimmy Bacon darowali sobie udział w pogrzebie tudzież opuścili Toronto.

Lucinda Fleming (z tajemniczym gniewem lub bez) nie zamieściła w świątecznym liście żadnej wzmianki na temat pogrzebu Szarego Ducha; gdyby w nim uczestniczyła, z całą pewnością nie omieszkałaby wszystkich poinformować. Jack wiedział, że Rolanda Simpsona też nie było: siedział już w więzieniu.

Bez trudu wyobraził sobie członków kadry pedagogicznej. Panna Wong, cała we łzach, jak gdyby huragan, podczas którego przyszła na świat, przejawiał się tylko w postaci szkwału - i tylko podczas pogrzebów. Pan Malcolm, pchający wózek z żoną, której bezskutecznie pomagał wymijać rafy szaleństwa. Pan Ramsey, zbyt rozemocjonowany, by usiedzieć w ławce, na pewno podskakiwał na tyłach kaplicy. I panna Wurtz... o mój Boże, ta dopiero musiała płakać!

- Caroline była wstrząśnięta - powiedziała Jackowi Alice.

Wyobraził sobie wstrząśniętą pannę Wurtz tak łatwo, jakby wciąż pochylała się nad jego zeszytem, roztaczając dokoła piękny zapach. (W snach Jacka katalogowa bielizna panny Wurtz zawsze znajdowała się na swoim miejscu, bez względu na aktualny stan ducha kobiety).

Jakim cudem utrzymała posadę wychowawczyni trzeciej klasy? Jak zapanowała nad podopiecznymi bez udziału Szarego Ducha?

Jack dowiedział się od Leslie Oastler, że po śmierci pani McQuat panna Wurtz stała się lepszą nauczycielką: musiała się wreszcie nauczyć, jak tego dokonać. Lecz na pogrzebie dała z siebie wszystko. Płakała i płakała bez końca. Musiała wypłakać wszystkie łzy, by wreszcie - pewnego przełomowego dnia w trzeciej klasie - nie uronić ani jednej.

Jack był pewien, że Caroline Wurtz nadal wymienia w wieczornej modlitwie panią McQuat.

Podobnie jak on czasem powtarzał w swojej, chociaż rzadziej (i nigdy równie żarliwie): „Michele Maher, Michele Maher, Michele Maher”.

19 • Claudia, która miała go prześladować

Jack nigdy nie darował Szaremu Duchowi propozycji zabrania panny Wurtz na festiwal filmowy jesienią 1985 roku. Panna Wurtz liczyła sobie wówczas czterdzieści parę lat: nie była dużo starsza od Alice, choć jeśli chodzi o wygląd oraz hart ducha prezentowała się znacznie gorzej. Zawsze była raczej zbyt szczupła i krucha, teraz jednak cechowała ją chudość, jaką Jack kojarzył z chorobą. Nadal była piękna na swój koślawy sposób, lecz nie tylko wyglądała niezdrowo, ale zdawała się czymś zawstydzona, chociaż Jackowi nie mieściło się w głowie, aby kiedykolwiek mogła zrobić coś wstydliwego. Być może wiązało się to z jakimś dawnym skandalem, tak przelotnym, że nie zagościł na długo w ludzkiej pamięci, a przy tym tak bolesnym, iż na zawsze zadomowił się w duszy panny Wurtz.

Jej wygląd stanowił rażący kontrast ze skromnym, żeby nie powiedzieć, powściągliwym usposobieniem, ponieważ Caroline Wurtz przywodziła na myśl aktorkę minionej epoki, niegdyś słynną, a obecnie zapomnianą diwę. Przynajmniej takie wrażenie zrobiła na festiwalu, dokąd Claudia i Jack zaprowadzili ją na premierę „Mishimy” Paula Schradera.

- Przypomnijcie mi, kim jest Mishima - poprosiła panna Wurtz, kiedy zbliżali się do kina.

Niezmordowani fotografowie, którzy często pstrykali zdjęcia Claudii (ze względu na jej urodę byli przekonani, że musi być kimś), tym razem skupili uwagę na panie Wurtz, wystrojonej cokolwiek przesadnie, jak ktoś, kto wybierał się do opery, a przez pomyłkę trafił na koncert rockowy. Jack miał na sobie czarne dżinsy i czarną lnianą koszulę, narzuconą na biały T-shirt. („Rodem z LA”, twierdziła Claudia, która nigdy nie była w Los Angeles).

Zwłaszcza młodzi paparazzi uznali, że Caroline Wurtz jest kimś: być może osobą, która nakręciła swój ostatni film, zanim było im dane przyjść na świat. „Pomyślałby kto, że zobaczyli Joan Crawford”, powiedziała później Claudia. Ona sama włożyła migotliwą suknię na cienkich ramiączkach, lecz ów nieoczekiwany obrót sytuacji wcale jej nie zmartwił.

- Mój ty Boże - wyszeptła panna Wurtz. - Oni pewnie myślą, że już jesteś sławny, Jack.
- W swej naiwności przyjęła, iż zamieszanie dotyczy jego osoby. - Jestem przekonana, że wkrótce będziesz - dodała, ściskając rękę Jacka. - Ty też, kochanie - zwróciła się do Claudii, która również odpowiedziała jej delikatnym uściskiem.

- A ja myślałem, że ona nie żyje! - odezwał się jakiś starszy mężczyzna.

Jack nie dosłyszał nazwiska aktorki, z którą pomyłono pannę Wurtz.

- Czy Mishima jest tancerzem? - spytała Caroline.

- Nie, pisarzem... - zaczął Jack, ale Claudia wpadła mu w słowo.

- Był pisarzem - uściśliła.

A poza tym aktorem, reżyserem i stukniętym militarystą, nie zdążył dodać Jack. Znaleźli się wewnątrz kina, gdzie zaprowadzono ich na zarezerwowane miejsca, a wszystko z powodu powszechnie panującego przekonania, że Caroline Wurtz nie jest wychowawczynią trzeciej klasy, lecz gwiazdą filmową.

Jack podchwycił określenie „europejska”, zapewne w nawiązaniu do łososiowej sukni panny Wurtz, która kiedyś (może w Edmonton) musiała leżeć na niej jak ulał. Teraz obserwator odnosił wrażenie, że ciało panny Wurtz skurczyło się wewnątrz kreacji, która bardziej nadawałaby się na bal maturalny aniżeli premierę filmową. Pani Adkins przypuszczalnie oddałaby ją na użytek kółka teatralnego w Redding; suknia była przy tym dość zwiewna, co nasuwało Jackowi skojarzenie z katalogową bielizną, w którą przyodziewał niegdyś pannę Wurtz (w marzeniach, oczywiście).

- Mishima jest Japończykiem - nie dawał za wygraną Jack.

- Był... - zaznaczyła Claudia.

- Już nie jest? - zdumiała się Caroline.

Nie zdołali jej odpowiedzieć przed rozpoczęciem filmu, wystylizowanego dzieła, w którym sceny z życia Mishimy (nakręcone na czarno-białej taśmie filmowej) przeplatają się z barwnymi dramatyzacjami jego prozy. Jack nie cenił Mishimy jako pisarza, podobał mu się natomiast jako czubek: jego rytualne samobójstwo, popełnione w 1970 roku, stanowiło dramatyczne podsumowanie filmu.

Przez całą projekcję panna Wurtz ścisnęła Jacka za rękę; dostał erekcji, co nie uszło uwagi Claudii. Claudia trzymała rękę z dala od jego krocza, ostentacyjnie splatając je na okazałym biuście. Przy scenie, kiedy Mishima wybebesza sam siebie, nawet nie drgnęła, podczas gdy Caroline z całej siły wbiła paznokcie w nadgarstek Jacka. W migoczącym świetle padającym z ekranu widział małą, haczykową bliznę w okolicach gardła, tuż ponad znamieniem. Puls odznaczał się wyraźnie na chudej szyi: bijące serce w niewielkiej odległości od blizny. Jackowi przyszło do głowy, że tylko pocałunek mógłby uspokoić to serce; nie żeby sam się ośmielił, nawet gdyby nie było Claudii.

- Mój ty Boże! - wykrzyknęła Caroline, kiedy wychodzili z kina. (Była zdyszana jak pani McQuat, pociągająca jak pani Adkins). - To było zaiste... ambitne!

Dochodziła czwarta po południu, kiedy natknęli się na tłum demonstrujących katolików, którzy przyszedli pod niewłaściwe kino. Demonstranci klęczeli na bruku, powtarzając żalobnym chórem „Święta Mario”. Jack od razu się domyślił, iż mieli na celu oprotestowanie Godarda, a przez pomyłkę pikietowali „Mishimę”.

Panna Wurtz była nie tylko nieprzygotowana na ten widok; ba, nie domyśliła się nawet, że zaszła pomyłka.

- No tak, scena samobójstwa wyprowadziła ich z równowagi... czemu trudno się dziwić - oznajmiła. - Kiedyś wiedziałam, dlaczego katolicy robią tyle hałasu o samobójstwo, ale wyleciało mi z głowy. Jeśli dobrze pamiętam, strasznie pieklili się o „Sedno sprawy” Grahama Greene’a. „Moc i chwała” i „Koniec romansu” też wzbudziły niezłe zamieszanie.

Claudia i Jack spojrzeli po sobie. Czy był sens wspominać Caroline o filmie Godarda?

Podbiegł dziennikarz telewizyjny z mikrofonem i poprosił o wywiad, co panna Wurtz uznała za całkowicie naturalne.

- Co pani o tym sądzi? - spytał dawną wychowawczynię Jacka. - Film, związane z nim kontrowersje...

- Uważam, że był bardzo... dramatyczny - oświadczyła panna Wurtz. - Trochę przydługi i czasami niezrozumiały, ciekawy, choć nie do końca satysfakcjonujący. Piękne zdjęcia, a muzyka... co tu dużo mówić, porywająca.

Wypowiedź przerosła oczekiwania dziennikarza, zainteresowanego bardziej klęczącymi katolikami oraz ich nieustannym „Święta Mario” niż filmem „Mishima”.

- Ale kontrowersje... - zaczął, usiłując (zwyczajem dziennikarzy) skierować pannę Wurtz na właściwy tor.

- A kogo to obchodzi? - rzuciła lekceważąco Caroline. - Skoro katolicy chcą się ubiczować z powodu samobójstwa, proszę bardzo! Pamiętam, jak darli szaty o jedzenie ryb w piątki!

Wypowiedź miała się znaleźć w wiadomościach o szóstej. Alice i Leslie Oastler zobaczyły nieustraszoną pannę Wurtz w łososiowej sukni i obstawie Jacka i Claudii. Było to niemal równie komiczne jak podanie Claudii za radziecką gwiazdę filmową, na dodatek Caroline doskonale się bawiła, kompletnie nieświadoma, w czym rzecz.

Kinomani, świeżo po seansie „Mishimy”, nie mieli nastroju na oglądanie katolickiej pikiety: harakiri Mishimy jeszcze nie przebrzmiało im w pamięci. (Mishima też nie byłby zadowolony, pomyślał Jack. W scenie samobójstwa wyglądał na diabelnie poważnego faceta).

Claudia i Jack zabrali pannę Wurtz na przyjęcie. Bez problemu wkręcili się na bankiety: bramkarze wpuściliby Claudię nawet do męskiej toalety, gdyby przyszło jej do głowy tam zajrzeć. Claudia twierdziła, że dostawali się na przyjęcia, ponieważ Jack wygląda jak

gwiazdor filmowy, ale naprawdę działo się tak z jej powodu. Tym razem nie mieli wątpliwości, że zawdzięczają to pannie Wurtz. Ba, kiedy opuszczali jedno przyjęcie, pewien młodzieniec podszedł do Caroline i patrząc na nią z uwielbieniem, porwał kwiat z wazonu na kontuarze i wręczył jej ze słowami: „Kocham panią!”, by następnie zniknąć w tłumie.

- Przyznam szczerze, że w ogóle go nie pamiętam - powiedziała do Jacka panna Wurtz. - Trudno, żebym rozpoznawała każdego dawnego trzecioklasistę - wyjaśniła Claudii. - Nie wszyscy zapadli mi w pamięć tak jak Jack!

Claudia i Jack byli święcie przekonani, iż młodzieniec ów nie należał do grona dawnych uczniów panny Wurtz. Ale jak mieli jej to wytłumaczyć? Woleli nawet nie próbować.

W kolejce limuzyn przed restauracją Jack rozpoznał wśród szoferów starego przyjaciela.

- Peewee! - krzyknął.

Murzyn wyskoczył z auta i chwycił Jacka w objęcia, unosząc go kilka centymetrów nad chodnik. Demonstranci musieli wziąć Jacka za odtwórcę roli taksówkarza z filmu Godarda („Józef”), Claudia zaś stała się w ich krótkowzrocznych oczach ciężarną pracownicą stacji benzynowej, czyli uwspółcześnioną wersją Matki Boskiej. (Bóg raczy wiedzieć, za kogo uznali pannę Wurtz).

- Jacku Burns, ty już jesteś gwiazdą, stary! - wykrzyknął Peewee, dusząc Jacka w morderczym uścisku.

Pełzający na kolanach katolicy budzili uzasadniony niepokój Claudii, a Caroline miała ich ekscesów powyżej uszu.

- Jazda do domu i czytać jego książki! - rzuciła pod adresem jednej z protestujących.

Była to młoda kobieta o brudnej twarzy, umazanej łzami. Jack prawie usłyszał, jak pomyślała: „To Jezus był pisarzem?”.

Pozostali katolicy dalej skandowali „Święta Mario”.

- Szybko, do samochodu, Jack! - polecił Peewee. Otworzył drzwi przed Caroline i Claudią.

- To kierowca pani Wicksteed, kochanie. Nie ma powodu do obaw - uspokoiła Claudię panna Wurtz. (Zupełnie jakby pani Wicksteed jeszcze potrzebowała kierowcy!). Lecz Claudia utknęła na chodniku, przytrzymywana za uda przez klęczącego katolika. - Puść ją, tchórzliwy kretynie - burknęła panna Wurtz. - Nie pojmujesz? Zabił się, gdyż pragnął jedności ze sztuką!

Naturalnie miała na myśli Mishimę, ale katolik, który z ociąganiem puścił Claudię, uznał, że mówi o Jezusie. Był to łysy mężczyzna w średnim wieku i z obrażoną miną. Miał na sobie białą koszulę z przejrystego materiału, z plamą atramentu od pióra, które przeciekło mu w kieszeni na piersi. Wyglądał jak rozjuszony rewident księgowy.

Peewee zdołał wepchnąć Claudię do wozu, ale panna Wurtz stała twarzą w twarz z tłumem demonstrantów.

- Był Japończykiem i chciał ze sobą skończyć - rzuciła z irytacją. - Musicie się z tym pogodzić!

Katolicy popatrzyli ze zgrozą, jakby żadna liczba zdrowasiek nie mogła zmasać podobnej plamy na honorze. Jezus Japończykiem?

Jack otoczył ramieniem smukłą kibić Caroline, jakby nauczycielka była jego partnerką do tańca.

- Panno Wurtz, oni są nienormalni - szepnął jej do ucha. - Proszę wsiadać do samochodu.

- Mój ty Boże, istny z ciebie światowiec, Jack - odrzekła, po czym nachyliła się, by wsiąść na tylne siedzenie auta.

Claudia chwyciła ją za rękę i pociągnęła do środka; Peewee wepchnął Jacka i zatrzasnął drzwiczki.

Jedna z demonstrantek objęła Peeweego za kolana, kiedy jednak ruszył naprzód, ciągnąc ją za sobą w kierunku drzwi kierowcy, poszła po rozum do głowy i puściła go. Jack nie miał

pojęcia, którą prawdziwą gwiazdę filmową Peewee obwoził tego wieczoru (Murzyn twierdził, że nie pamięta). Najpierw odstawił do domu pannę Wurtz, a potem Claudię i Jacka.

Jack nie znał adresu panny Wurtz, ale nie zdziwił się specjalnie, kiedy Peewee zaparkował limuzynę przy wielkim domu na Russell Hill Road, położonym niedaleko od Świętej Hildy. Zdziwił się jednak, kiedy Caroline poprosiła szofera, aby podjechał do tylnego wejścia, które prowadziło po schodach droga do jej małego, wynajmowanego mieszkania.

Skąd pochodziły pieniądze na niegdyś szykowne stroje panny Wurtz? Jeśli od rodziny z Edmonton, zapewne wydała wszystko co do grosza. Czy kiedykolwiek miała zalotnika lub sekretnego kochanka, obdarzonego dobrym gustem? Jeżeli w grę wchodził zamożny były kochanek - lub, co bardziej prawdopodobne, były mąż - zapewne po nim również nie zostało ani śladu.

Panna Wurtz nie pozwoliła Jackowi odprowadzić się do swego skromnego lokum. Być może uznała za niestosowne zapraszanie do siebie młodego mężczyzny, tak czy inaczej wolała pójść z Claudią. Jack został w samochodzie razem z Peeweem i patrzył, jak w oknach kolejno zapalają się światła.

Kiedy później wypytywał Claudię o szczegóły, ta wpadła w złość.

- Brzydko tak u kogoś węszyć - oznajmiła. - To starsza kobieta, ma za dużo rupieci, których dawno powinna się pozbyć. Stare czasopisma i tego typu szpargały

- Telewizor?

- Nie zauważyłam, ale się nie rozglądałam.

- Fotografie? Zdjęcia mężczyzn?

- Jezu, Jack! Wpadła ci w oko czy co? - spytała Claudia.

Leżeli w łóżku Emmy, ale bez pluszowych zwierzątek, których Emma lub pani Oastler pozbyły się dawno temu. Jack nie mógł sobie przypomnieć żadnego z nich, podobnie jak nie był w stanie wymazać z pamięci faktu, że w tym oto łóżku Emma nauczyła go masturbacji.

Zważywszy na podły nastrój Claudii, tego szczegółu postanowił jej oszczędzić.

Bez względu na atrakcje festiwalowe Claudia i Jack spędzali większość czasu u Córkę Alice. Przynajmniej Claudia, gdyż Jack często uciekał z salonu, przedkładając klientelę pobliskiego sklepu z używaną odzieżą nad większość matczynej wielbicielki.

Podobnie jak Charlie Snow, Marynarz Jerry, Mistrz Ole, Mistrz Peter oraz Doc Forest, Aberdeen Bill czerpał z tradycji marynistycznej. Jednakże świat tatuażu uległ przeobrażeniu i chociaż Alice nadal wykonywała czasem Zgubę Mężczyzny lub złamane serce, które pomaga żeglarzowi przetrwać długie miesiące rejsu, wspomniane motywy powoli zaczynały ustępować miejsca wulgarnym trendom, preferowanym przez młodzież pragnącą naznaczyć się na całe życie.

Przeminała romantyczna aura podróży po portach Morza Bałtyckiego i Północnego, a wraz z nią przebrzmiał miarowy odgłos matczynej maszyny do tatuażu, która w dzieciństwie kołysała Jacka do snu. Minęła epoka odważnych dziewcząt z hotelu „Torni”: Ritvy, której piersi nie dane mu było ujrzeć, oraz owłosionych pach Hannele i jej dziwnego znamienia; zgniecionego cylindra nad pępkiem, o barwie wina i kształcie Florydy.

Gdzie te czasy, kiedy Jack miał odwagę podejść do pierwszej napotkanej osoby i zapytać: „Czy masz tatuaż?”. W restauracji hotelu „Bristol” powiedział pięknej dziewczynie: „Jeśli masz czas, dysponuję pokojem i sprzętem”. (I pomyśleć, że to on sam podsunął matce pomysł darmowego tatuażu dla najmniejszego żołnierza!).

We śnie słyszał wielkie organy z Oude Kerk, przygrywające nocami prostytutkom; nawet na jawie, kiedy przymknął oczy, czuł dotyk grubej, nawoskowanej liny oraz gładkiej drewnianej balustrady po drugiej stronie krętych schodów.

Jednakże (zwłaszcza w obecności Claudii) wstydził się kultury tatuażu, eksponowanej w matczym salonie, a wielu jej klientów, w większości meneli z Queen Street, budziło w nim nieodpartą odrazę. Dawne tatuaże marynistyczne, sentymentalne kurioza gromadzone na

ciałach marynarzy, ustąpiły miejsca tandetnym symbolom wrogości, przemocy i zła, wśród których prym wiodli skini z insygniami w postaci skrwawionych czaszek o oczodołach rozjarzonych gorejącym płomieniem.

Były też nagie, wyuzdane kobiety, które wywołałyby rumieniec na twarzy Mistrza Olego, nawet Bawidamek Madsen pewnie odwróciłby wzrok. (Ich włosy łonowe zyskały dosadniejszą formę niż odwrócona brew). No i plemienne memorabilia. Claudia nie kryła fascynacji przyszczatym gówniarzem z Kitchener, Ontario, który przyjechał po całe „moko” - maoryski tatuaż twarzy. Na biodrze, które dumnie obnażyła przed Claudią jego wychudzona dziewczyna, widniały „koru”, spirale przypominające kłacza paproci.

Jack odwołał Claudię na bok.

- Ogólnie rzecz biorąc, atrakcyjni ludzie nie robią sobie tatuaży - powiedział. Była to nie do końca prawda, potraktował rzecz zbyt ogólnie. Niechęć do podobnej szopki wywołała w nim cokolwiek przesadną reakcję.

W tej samej chwili na progu stanął wielbiciel siłowni, gej, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pracował jako model. Pobieźnie zlustrował Claudię, po czym bezwstydnie zaczął flirtować z Jackiem.

- Wpadłem na drobne poprawki, Alice - powiedział, uśmiechając się do Jacka. - Ale gdybym wiedział, że zastanę twojego przystojnego syna, mogłabyś mnie poprawiać codziennie.

Miał na imię Edgar; Alice i Claudia uważały go za czarującego i zabawnego, ale Jack uparcie odwracał wzrok. Na jednej z łopatek modela widniała oddana z fotograficzną dokładnością podobizna Clinta Eastwooda w kowbojskim kapeluszu i z cienkim cygarem w ustach. Na drugiej łopatce znajdował się tatuaż do poprawki: satanistyczna wersja Ukrzyżowania, na której Jezus jest przybity do koła motocykla, z rozłożonymi rękami i nogami. Poprawki miały wskazywać na to, że Chrystus został „poturbowany”: na przykład zadrapanie i kropla krwi na jednym policzku albo rana w okolicach żeber.

- Może jedno i drugie - zaproponowała Alice.

- Nie sądzisz, że efekt będzie zbyt wulgarny? - zapytał Edgar.

- To twój tatuaż, Edgarze - odrzekła Alice.

Być może zamiłowanie do wszelkich przejawów teatralności obudziło w Claudii fascynację światem Córki Alice. Zdaniem Jacka, jeśli nawet Edgar nie zasługiwał na miano szpetnego, jego tatuaże owszem. I co jak co, ale wulgarny był bez dwóch zdań. Jack uważał, że prawie wszystko u Córki Alice było brzydsze niż brzydkie, brzydota zaś miała jak najbardziej celowy charakter: człowiek nie tylko naznaczał się na całe życie, ale i okaleczał.

- Snob z ciebie - skomentowała Claudia.

Cóż, i tak, i nie. Świat tatuażu, dla czteroletniego Jacka swojski i krzepiący, w Jacku dwudziestoletnim budził nieopisany strach. Oto Jack Burns naśladowający kose spojrzenie Toshiro Mifune - w stronę psa z ludzką dłonią w pysku - podczas gdy sceny w salonie tatuażu odzwierciedlały daleko gorsze stany świadomości aniżeli postępek zwierzęcia.

Dawno, dawno temu świat tatuażu stanowił przepustkę do tego, co nowe i obce, lecz tamte czasy minęły bezpowrotnie. Teraz czerpano inspirację z narkotycznych zwidów: psychodelicznych omamów i halucynogennych koszmarów. Nowe tatuaże emanowały seksualną anarchią, czciły śmierć.

„Pozostań na zawsze młody”, śpiewał Bob Dylan, Alice zaś nie tylko śpiewała wraz z nim: przyjęła jego filozofię, nieświadoma faktu, że ludzie dookoła nie są hipisami i dziećmi-kwiatami jej epoki.

Oczywiście zdarzali się kolekcjonerzy i smutni nałogowcy, starzy wariaci pokroju Williama Burnsa, w drodze do krainy wiecznych chłódów, ale Jack pogardzał głównie własnym pokoleniem, tuż przed dwudziestką albo zaraz po. Nienawidził facetów z przekłutymi wargami, a czasem powiekami i językami. Nie znosił dziewcząt o przekłutych

sutkach i pępkach, a nawet łechtaczkach! Jego rówieśnicy, przesiadujący u Córki Alice, byli niekwestionowaną bandą cudaków i straceńców.

Lecz Alice parzyła im kawę i herbatę, nastawiała ich ulubioną muzykę, ostrzejszą niż jej własna. Jej salon stanowił prawdziwy azyl. Nie wszyscy przychodzili tu po tatuaż, aczkolwiek był on wskazany, jeśli człowiek miał się czuć swobodnie.

Jack kiedyś zobaczył Krunga, który wpadł na herbatę. Siłownia na Bathurst Street już wówczas nie istniała, w jej miejsce pojawił się sklep ze zdrową żywnością.

- Szczury z siłowni zawsze muszą sobie znaleźć nowy statek, Jack - powiedział Krung. Omiótł Claudię przeciągłym spojrzeniem, po czym poinformował Jacka, że z takimi biodrami zrobiłaby karierę w kickboxingu.

Innym razem zajrzał Czenko, wsparty o laskę. Jack ucieszył się na jego widok i chętnie zatrzymałby go na dłużej. Nawet z laską Czenko służył Alice większą pomocą niż ktokolwiek inny.

Czenko zachowywał się szarmancko wobec Claudii, powstrzymał się jednak od uwag na temat jej potencjału zapaśniczego. Wyznał, iż nie może przeboleć Emmy, przy czym miał na myśli więcej niż swój nadwerżony mostek, który nigdy nie wrócił do formy po jej wyniesieniu bocznym.

Młodzi straceńcy bez grosza przy duszy przychodzili do salonu i obserwowali Alice przy pracy; próbowali zdobyć gotówkę i podjąć decyzję, jaki tatuaż zrobią sobie jako następny. Starzy nałogowcy wpadali się popisać: niektórzy z nich racjonowali wolne miejsce na ciele, którego zostawało coraz mniej. (Claudia nazywała ich romantykami, co doprowadzało Jacka do szału).

- Najsmutniejsze przypadki - mówiła Alice - są prawie zupełnie wytatuowane.

Czy to oznacza, że prawie zupełnie marzną, zastanawiał się Jack. Ich widok nieodparcie nasuwał mu myśl o ojcu. Czy William Burns zostawił sobie choć kawałek ciała na ostatnią nutę?

Powinien był się spodziewać, że Claudia zrobi sobie tatuaż, kiedy jednak zakomunikowała mu swą decyzję, udał zdziwienie.

- Tylko zrób taki, którego nie będzie widać na scenie - doradził.

W salonie znajdowała się roleta podobna do szpitalnej; Alice zasłaniała nią klienta, któremu wykonywała tatuaż „intymny”. Claudia zażyczyła sobie swój wysoko, po wewnętrznej stronie prawego uda. Był to puginał, symbolizujący „wszystko wedle życzenia”, popisowy wzór Chińczyka i ulubiony motyw Jacka.

- Daj spokój - ucięła matka, kiedy jej powiedział, że to najlepszy tatuaż, jakiego nauczyła się od Chińczyka. Nie miała jednak nic przeciwko temu, aby zrobić go Claudii.

Podczas pobytu w Redding Jack błysnął na chwilę wśród kolegów egzotycznymi opowieściami o profesji matki, słynnej artystki tatuażu. (Jak gdyby brak owego przymiotnika odbierał jej całą egzotyczną aurę). Teraz naprawdę była sławna, przynajmniej w wąskim kręgu bywalców Queen Street, Jack zaś wstydził się szemranej otoczki, jaka w jego mniemaniu nieodłącznie towarzyszyła branży.

Ale cóż innego mogłaby robić? Próbowała uchronić Jacka przed swoim światem. Jasno dała do zrozumienia, że nie powinien pojawiać się u Chińczyka, i nie należało jej winić, że zrobiła z syna swego czeladnika podczas wyprawy po portach Morza Bałtyckiego i Północnego w poszukiwaniu Williama, nie licząc wieczorów w Kopenhadze, kiedy Lars Madsen odgrywał rolę niańki.

Paradoksalnie teraz, gdy praca stała się dla niej źródłem prawdziwej dumy i pozwoliła jej wyjść na swoje, Jack zaczynał się matki wstydzić. Claudia słusznie mu to wytknęła, choć przecież nie towarzyszyła Jackowi w latach, gdy matka praktycznie odsunęła go od siebie.

Jack pogorszył sprawę, kiedy nie wyraził zgody, aby uczeń Alice obserwował pracę nad tatuażem Claudii. Po co szopka z zasłoną, skoro mógł bezkarnie gapić się na jej uda? Tatuaż sięgał niemal włosów łonowych!

Uczeń pochodził z Nowej Zelandii. „Koala Alice”, nazywała go Leslie Oastler. Nie lubiła go, podobnie jak Jack. Chłopak przyjechał z Wellingtonu i nauczył Alice paru maoryskich wzorów. Podobnie jak jego poprzednicy, nie miał tu długo zabawić, najwyżej kilka miesięcy. Później jego miejsce zajmie inny czeladnik: on również nauczy Alice jednej czy dwu rzeczy, ona zaś nauczy go znacznie więcej. (Na tym polegały stosunki w branży: w tej kwestii nic nie uległo zmianie).

Z powodu AIDS na długo przed końcem lat osiemdziesiątych każdy świadomy tatuażysta w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych nosił podczas pracy lateksowe rękawiczki. Jack nigdy nie przywykł do widoku matki w tych rękawiczkach. Jej pracownia nie robiła wrażenia szczególnie higienicznej, a ona tkwiła pośrodku z rękami jak lekarz lub pielęgniarka. Kiedy wszystko szło jak należy, tatuowanie nie było zbyt krwawym zajęciem.

Jednakże u Córki Alice niektóre rzeczy pozostały bez zmian: pigment w papierowych kubeczkach, wazelina, osobliwie dentystryczny odgłos przyrządu, woń nakłuwanej skóry oraz kawa, herbata i miód w lepkim słoju. Przede wszystkim zaś Bob, niezmiennie rozśpiewany, niezmiennie utyskujący na to czy tamto, wieszczący zagładę bądź objawienie.

- Bob Dylan dociera pod skórę - mówiła Alice. - Jak pigment.

Podczas pracy nad pugińalem Claudii Alice nastawiła „It’s all over now, baby blue”. Claudia pewnie nie zwróciła na to uwagi, przejęta zaciskaniem zębów, Jacka natomiast uderzyło to, że pod jej skórę Bob (ani ktokolwiek inny) z całą pewnością nie ma wstępu.

Jakiś dureń nakładał sobie miodu do kawy, może myślał, że to herbata. Głowa kołysała mu się na boki niczym u irytującej zabawki z deski rozdzielczej. Powiedział Jackowi, że jest „znad morza”, jakby został wyklęty z rodzinnego miasta albo wyrzucił jego nazwę z resztek przeżartej dragami pamięci. Miał na ramieniu tatuaż przedstawiający zielono-czerwonego homara. Stworzenie wyglądało na niedogotowane, a co za tym idzie, niezdatne do spożycia.

Bob dalej zawodził po swojemu.

Osierocone dziecię twe Jeszcze uroni niejedną łzę.

W witrynie salonu widniał pociągnięty farbą drewniany szyld. „Wesoły jak słoneczne Leith, gdzie nigdy nie świeci słońce”, mówiła Alice. Szyld dawał posmak nadmorskiego kurortu, jakby Córka Alice była nazwą statku lub portu macierzystego. „Córka Alice to pseudonim marynistyczny”, podkreślała Alice. Pochodził z Kopenhagi, od Mistrza Olego.

„Stęsknieni marynarze płyną do domu”, śpiewał Bob Dylan.

Płyną tutaj, uściślił w duchu Jack. Zerknął na Claudię zza rolety; uśmiechnęła się do niego, przyciskając pięści do boków.

- Pugińał to symbol buddyjski - tłumaczyła cicho Alice, podczas gdy igły wiodły swój niezmordowany taniec na udzie Claudii, która wzdrygała się z bólu. (Jack wiedział, że wewnętrzna strona kończyn jest bardziej wrażliwa niż zewnętrzna). -Jego kształt pochodzi od magicznego grzyba nieśmiertelności - ciągnęła Alice.

Magiczny grzyb nieśmiertelności! I co jeszcze? Jack odwrócił się na pięcie. Lateksowe rękawiczki naprawdę działały mu na nerwy. Wolał patrzeć na durnia znad morza; miód wyraźnie podziałał na niego euforycznie. Przyjazd do Toronto ostatecznie utwierdził Jacka w przekonaniu, iż nigdy nie będzie to jego prawdziwy dom.

„Zapomnij o zmarłych, oni nigdy nie pójną za tobą”, zawodził (jak zwykle z niezachwianym przekonaniem) Bob. Często miał rację, ale w tej kwestii się mylił. Jack miał się wkrótce przekonać, że każdy ciągnie za sobą spory ogon.

Tatuaż utrudnił im współżycie podczas ostatnich dni pobytu w Toronto, lecz Jack i bez tego czuł, że popada w niełaskę: tatuaż był tu zapewne tylko pretekstem. (Fakt, że spali w łóżku Emmy, niewiele pomógł). Opuścili Toronto przed wieczorem zamykającym festiwal.

Jack był świadom zniechęcenia Claudii: ciągle utarczki obojgu im dały w kość. Poza tym tatuaż piekł ją podczas chodzenia. Za zgodą pani Oastler pożyczyła jedną ze spódnic Emmy, o wiele za dużą, w której mogła jednak kroczyć na szeroko rozstawionych nogach, jakby miała między nimi pieluchę.

Spoglądając wstecz, Jack dochodził do wniosku, że retrospekcyjna część festiwalu okazała się ciekawsza od większości filmów konkursowych. Jedyńm filmem, który obejrzel tylko we dwoje, było „Małżeństwo Marii Braun” Fassbindera. Jack uwielbiał ten obraz.

Hanna Schygulla gra żonę żołnierza, która robi karierę w powojennych Niemczech. Istnieją gorsze rzeczy niż oglądanie Hanny Schygulli, gdy kobieta trzyma cię za penis. Problem w tym, że choć była to pierwsza i jedyna okazja podczas festiwalu, gdy Claudia mogła swobodnie to uczynić, Jack widział „Małżeństwo Marii Braun” z Emmą, w wieku czternastu lat. (Było to w Durham, podczas pierwszego roku w Exeter).

Porównanie okazało się nieuniknione i zwiastowało kolejny przełom w jego życiu: Jack uświadomił sobie bowiem, że Emma trzymała go za penis lepiej niż którakolwiek z pozostałych dziewcząt. (Naturalnie nie tracił nadziei na Michele Maher).

- Ja czy Hanna? - szepnęła mu do ucha Claudia, odnotowując entuzjastyczną reakcję krasnala.

Jednakże Jack wiedział, że ów nieoczekiwany wzrost formy nie był zasługą ani Claudii, ani Fräulein Schygulli. Stało się to na wspomnienie Emmy, która trzymała go za penis, kiedy liczył sobie zaledwie czternaście lat.

Od tej chwili zyskał pewność, iż zegar tyka, nieubłaganie odmierzając pozostały im czas: przechodzili poszczególne fazy niczym małżeństwo prześladowane narastającym widmem rozwodu.

Początek rozłamu nastąpił podczas wiosennej wyprawy do Iowa. Claudia nazwała to wówczas „dziecinną wymianą zdań”. Festiwal w Toronto nasilił konflikt, a po powrocie było jeszcze gorzej.

Pojechali do domu inną drogą: nie było to najlepsze rozwiązanie, lecz podczas równie długiej trasy siłą rzeczy wiało nudą. Minęli Kingston w Ontario i przekroczyli St. Lawrence w Gananoque; most przywiódł ich do stanu Nowy Jork w zatoce Alexandria. Na granicy Jack pokazał wizę studencką oraz paszport kanadyjski, a Claudia podała celnikowi swój paszport amerykański. Jack siedział za kierownicą volva. Ze względu na tatuaż Claudia nie chciała prowadzić.

Wciąż miała na sobie za dużą spódnicę Emmy, którą wzięła za namową pani Oastler.

- Emma pewnie znów przyjedzie o kilka rozmiarów tęższa - oznajmiła pesymistycznie Leslie. - Wyglądasz w tej spódnicy lepiej niż ona, Claudio, chociaż jest na ciebie o wiele za obszerna.

Przez większość drogi Claudia siedziała z podkasaną spódnicą, wietrząc pugi nał, który co chwila smarowała kremem nawilżającym. Skóra przy brzegach rysunku wciąż była trochę zaczerwieniona i Claudia miała dość wysłuchiwanie, że wewnętrzna strona kończyn jest wrażliwsza od zewnętrznej.

Kiedy Jack stanął na granicy, Claudia skromnie opuściła spódnicę. Celnik omiół ich uważnym spojrzeniem.

- Byliśmy z wizytą w Toronto, u mojej matki - odparł Jack bez pytania. - Obejrzeliliśmy kilka filmów na festiwalu.

- Wieciecie coś z Kanady? - zapytał celnik.

- Nie - odpowiedziała Claudia.

- Nawet piwa? - indagował, uśmiechając się do dziewczyny. Naprawdę wyglądała fantastycznie.

- Ja zwykle nie piję piwa, a Jack pilnuje wagi - zakomunikowała Claudia.

- Czyli nie macie nic do oclenia? - zwrócił się do Jacka, przybierając surowszy ton.

Jack nie miał pojęcia, co w niego wstąpiło. („Zebrało mi się na żarty”, tłumaczył potem Claudii, ale była to tylko po części prawda).

Sytuacja była wymarzona na zbliżenie: Jack rzucił celnikowi ukradkowe spojrzenie. Opanował je do perfekcji, bazując na obserwacji niektórych typów psów, zwłaszcza tchórzliwych i przyczajonych.

- Cóż - zaczął, by następnie rzucić identyczne spojrzenie na Claudię. - Chiński puginał nie wymaga oclenia, prawda? - zapytał.

Rany, jak na niego spojrzała.

- Chiński co? - spytał celnik.

- Królewska buława, a czasami berło. W tym wypadku chodzi o krótki miecz - podjął Jack. - Ceremonialny symbol władzy.

- Chiński? - drążył celnik. - Bardzo stary?

- Tak... ściśle rzecz biorąc, buddyjski - oznajmił Jack.

- Niech no rzucę na niego okiem - powiedział celnik.

- Chodzi o tatuaż - odrzekła Claudia. - On chyba nie podlega ocleniu, prawda?

Dlaczego Jack jej to zrobił? Kochał Claudię... cóż, przynajmniej ją lubił. Nie widział jej tak zawiedzionej, odkąd odkryła zdjęcia nagiej Emmy. Były to stare fotografie, które mu przysłała, kiedy regularnie onanizował się w Redding. Przedstawiały Emmę siedemnastoletnią. Zrobiła je Charlotte Barford. Claudia kazała mu wyrzucić zdjęcia, ale jedno zachował.

- Chciałbym się upewnić, czy rzeczywiście chodzi o tatuaż - powiedział celnik do Claudii. - Nigdy nie widziałem chińskiego puginału.

- Ma pan koleżankę? - spytała Claudia. - Jej pokażę.

- Tatuaż znajduje się w dość intymnym miejscu - wtrącił Jack.

- Chwileczkę. - Pozostawiwszy ich w samochodzie, celnik udał się na poszukiwanie koleżanki, po czym zniknął w budynku, gdzie zapewne mieściły się biura.

- Jesteś niepoważny, Jack - oświadczyła Claudia.

Jack przypomniał sobie wieczór u pani Oastler, kiedy matka wysunęła pod jego adresem podobny zarzut.

- Penis, penis, penis - zaczął, ale ugryzł się w język. Celnik podążył w ich kierunku w towarzystwie zwalistej Murzynki. Claudia wysiadła z auta i poszła z kobietą do budynku, pozostawiając Jacka za kierownicą.

- Po co to zrobiłeś? - spytał celnik.

- Ostatnio nam się nie układa - wyznał Jack.

- Cóż, to na pewno pomoże.

Po powrocie do samochodu Claudia posłała Jackowi zbolące spojrzenie i odjechali. Przez kilka pierwszych kilometrów po przekroczeniu granicy Jackowi towarzyszyło niezwykle uniesienie, choć nie wiedział, czemu je przypisać.

Kanada była jego krajem ojczystym, tam się urodził, a jednak w Ameryce czuł się bardziej jak w domu. Dlaczego, zastanawiał się w duchu. Czyż nie był Kanadyjczykiem? Czyżby niechęć do matki i jej świata kazała mu się zwrócić przeciwko ojczyźnie?

Claudia milczała przez mniej więcej czterysta osiemdziesiąt kilometrów. Znowu zadarła do pasa spódnicę Emmy, odsłaniając tatuaż po wewnętrznej stronie prawego uda. Jack widział go kątem oka. Był to jeden z nielicznych tatuaży, który miał ochotę ujrzeć na sobie, lecz z całą pewnością nie na udzie. Zastanawiał się, gdzie mógłby go umieścić, kiedy Claudia wreszcie odzyskała głos.

Znajdowali się w Vermoncie, od celu podróży w New Hampshire dzieliło ich jakieś sto sześćdziesiąt kilometrów.

- Zrobiłam ten cholerny tatuaż dla ciebie, wiesz? - oznajmiła, podchwytyjąc jego spojrzenie.

- Wiem - odparł Jack. - Podoba mi się. Naprawdę.

Claudia wiedziała, że podoba mu się zarówno tatuaż, jak i jego umiejscowienie.

- Przepraszam za moje zachowanie na granicy - dodał Jack. - Bardzo przepraszam.

- Już mi przeszło, Jack. Trochę to trwało, ale już w porządku. Bardziej mi przykro z powodu innych rzeczy.

- Ach tak.

- Tylko na tyle cię stać?

- Przepraszam - powtórzył.

- Nie chodzi tylko o to, że nie chcesz mieć dzieci - powiedziała. - Obwiniasz swoje geny za to, że nie możesz wytrzymać u boku jednej kobiety. Przynajmniej nie długo.

Przyszła kolej na Jacka, aby milczeć przez następnych sto sześćdziesiąt kilometrów. Celowe unikanie odpowiedzi to jeszcze jedno doświadczenie aktorskie.

Niebawem miał również celowo uniknąć odpowiedzi pani McQuat. List przyszedł wkrótce po powrocie do New Hampshire. Szary Duch uczyniła zdawkową wzmiankę na temat „niezwykłej urody” Claudii, nazywając ją „niechętną oblubienicą” Jacka. Jednakże zasadnicza treść listu nie dotyczyła ani Claudii, ani niechęci Jacka do ojcostwa. Pani McQuat przypominała mu, aby zatroszczył się o matkę, którą, jej zdaniem, zaniedbywał.

„Nie zaniedbuj jej, Jack”, napisała Szary Duch.

Ale czyż nie mówiła mu tego już wcześniej? Jack wyrzucił list, nie siląc się na odpowiedź. Później, na wieść o śmierci pani McQuat, zastanawiał się, czy miał jakiegokolwiek przecucia. Nie tylko nie postąpił w myśl jej rady: unikając odpowiedzi na list, jakby przeczuwał nadchodzącą śmierć dawnej nauczycielki, kiedy zaś umarła, głos jego sumienia odszedł wraz z nią.

Znajdowali się już niezbyt daleko od Durham, w pobliżu mieszkania Claudii w Newmarket, kiedy Claudia przerwała milczenie.

- Niech cię szlag, Jack - powiedziała. - Po śmierci będę cię prześladować. Może nawet zrobię to już wcześniej.

Cóż, Jack Burns był aktorem, powinien umieć rozpoznać puentę. I trwalej zakodować sobie w pamięci ostrzeżenie Claudii.

20 • Dwoje Kanadyjczyków w Mieście Aniołów

Pomimo narastającej między nimi przepaści Jack i Claudia mieszkali razem przez ostatnie dwa lata studiów. Łączyło ich coś więcej aniżeli inercja: byli przyszłymi aktorami, uczyli się sztuki kamuflażu. Doskonalili warsztat tym, co nawzajem przed sobą ukrywali. Stali się bystrymi, acz posępnymi obserwatorami swych utajonych sekretów i zamaskowanych osobowości.

Następnego lata ponownie pracowali w teatrze, tym razem na Cape Cod, pod kierownictwem reżysera homoseksualisty, którego Jack bardzo polubił. Bruno Litkins był wysokim, pełnym wdzięku mężczyzną, który dosłownie wpływał na scenę; wymachując długimi ramionami, wyglądał jak żuraw, podejmujący przesadną, acz bezowocną próbę nauczania innych, mniejszych ptaków latania.

Dla Litkinsa musical oparty na powieści lub dramacie stanowił pole do dalszych przeróbek, by z każdą produkcją ujawnić nowe, jeszcze bardziej szokujące oblicze. Oryginał mógł być dla niego świętością, lecz z chwilą gdy ktoś przekształcił go na musical, wszelkie ograniczenia co do fabuły i postaci traciły rację bytu.

Ogłaszając casting do „Dzwonnika z Notre Dame” (oczywiście Claudia widziała siebie w roli Esmeraldy, pięknej Cyganki), Bruno Litkins oznajmił, że jego Esmeralda jest uroczym transwestytą, który rozbudzi homoseksualizm tłący się w sercu kapitana Febusa niczym płomień spragniony powietrza. Esmeralda, cygańska drag queen Paryża, siłą wydrze z wojaka prawdę o jego utajonych skłonnościach. Jest tlenem, dzięki któremu Febus odzyska swe gejowskie jestestwo!

Nikczemny ojciec Frollo, który początkowo wmawia sobie miłość do Esmeraldy, wreszcie zaczyna się domagać jej śmierci, nie tylko z powodu braku wzajemności, ale również dlatego, że Esmeralda jest facetem. (Ojciec Frollo jest francuskim homofobem). Quasimodo, który też zakochuje się w Esmeraldzie, koniec końców odczuwa ulgę, iż darzy ona miłością kapitana Febusa.

- To lepsza historia - zakomunikował wstrząśnietemu zespołowi Bruno Litkins - gdyż Quasimodo bez żalu oddaje Esmeraldę żołnierzowi. - (Bez względu na swe powołanie dzwonnik jest heterykiem).

- Co powiedziałyby na to Victor Hugo? - zapytała Claudia. Biedaczka zrozumiała, iż jej nadzieje na wymarzoną kreację obracają się w pył. Jak się okazało, Jack Burns był wręcz stworzony do roli Esmeraldy.

- Niech widzowie zgadują! - mawiał z upodobaniem Bruno Litkins, wymachując długimi ramionami. - Czy Esmeralda jest kobietą? Czy może mężczyzną? Niech się głowią!

W sztuce występuje oczywiście w krótkim, acz wzruszającym epizodzie postać jeszcze jednej pięknej Cyganki, zamordowanej matki Quasimoda. Poza tym teatr miał wówczas w repertuarze inne sztuki, nie tylko musicale poddane nowej, gejowskiej interpretacji, Claudia miała przed sobą większe i lepsze role. Zagrała mityczną Salome w sztuce Oskara Wilde'a - Bruno Litkins hołubił Wilde'a i nie ważył się przy nim majstrować. Salome w wykonaniu Claudii była niezwykle ponętną osobką. Za absurdalny taniec z siedmioma szarfami należało wprawdzie winić samego dramaturga, ale fakt faktem, że zatuszowanie tatuażu na udzie Claudii wymagało sporej ilości fluidu. (Inaczej widok pugiinału mógł zbić z tropu publiczność, która mylnie wzięłaby go za skaleczenie lub znamię).

Jack zagrał w „Salome” mniejszą rolę, proroka Jokanaana, starego dobrego Jana Chrzciciela, na którego ściętej głowie Salome składa swój osławiony pocałunek. To dopiero był pocałunek. (Jack klęczał pod stołem z dziurą blacie, przez którą wsunął głowę; obrus zasłaniał nie tylko jego erekcję, ale i resztę ciała). Jednakże losy ich związku były przesądzone i nawet pocałunek nie mógł naprawić postępującego rozłamu.

Gejowska wersja „Dzwonnika z Notre Dame” dodatkowo zwiększyła dzielący ich dystans. Z perspektywy czasu Jack nie miał Claudii za złe jednorazowego skoku w bok z przystojnym aktorem, grającym kapitana Febusa, lecz początkowo owszem. (Wiedział, że miała święte prawo odplacić mu za romans z nauczycielką tanga ubiegłej wiosny).

Claudia miała prawdziwego pecha. Aktor grający Febusa poczęstował ją i Jacka tryprem. Inaczej Jack nigdy nie dowiedziałby się o zdradzie: zważywszy na kłamstwa odnośnie do wieku, Claudia raczej nie podzieliłaby się z nim swoim małym sekretem. Zdradziła ją dopiero rzeźączka kapitana.

Oczywiście Jack udawał, że cierpi bardziej niż w rzeczywistości, padając na kolana i krzycząc z bólu przy każdym akcie oddawania moczu, podczas gdy Claudia wołała z sypialni: „Przepraszam, przepraszam, PRZEPRASZAM!”.

W genialnie zaaranżowanej przez Litkinsa scenie, kiedy Jack vel Esmeralda ujawnia kapitanowi Febusowi, że jest (poniżej pasa) mężczyzną, Jack snuje swą rozdzierającą pieśń, a Febus to postępuje ku niemu, to znów się cofa. (Ciągnie go do Esmeraldy, ale dureń nadal uważają za dziewczynę, stąd jego rozterki).

Jack chwytą jedną dłoń kapitana i unosi ją do swych sztucznych piersi: z twarzy Febusa wyziera niedowierzanie. Jack łapie go za drugą rękę i przyciska sobie do krocza: Febus kieruje zdumione spojrzenie na widzów, a Jack szepcze mu coś do ucha. Następnie obaj śpiewają piosenkę, napisaną przez Litkinsa specjalnie na użytek gejowskiej interpretacji „Dzwonnika z Notre Dame” - „Taki jak ja, złotko” na melodię „It ain't me, babe” Boba Dylana. (Jack miał repertuar Boba w małym palcu i umiał ją ładnie zaśpiewać).

Lecz podczas wieczornego występu, przed którym Jack dowiedział się o rzeźączce (i jej pochodzeniu), miał zakomunikować Febusowi prawdziwą rewelację.

- Dzięki za trypra, złotko - szepnął.

Febus rzucał co wieczór widowni takie spojrzenie, że publiczność szalała. Pomyślcie: Esmeralda ma penis! Naturalnie widzowie dobrze już o tym wiedzieli. Jack vel Esmeralda zaprezentował go wcześniej ojcu Frolo w nadziei, że to ostudzi jego miłosne zapędy. Nie miał pojęcia, że duchowny jest takim raptusem, że w odpowiedzi zażąda głowy Esmeraldy!

Lecz owego pamiętnego wieczoru na tak nieoczekiwaną wieść biedny wojak po prostu zdębiał i posłał widowni takie spojrzenie, że akcja zamarła na jakąś minutę lub dłużej. Publiczność spontanicznie zerwała się z miejsc i urządziła kapitanowi Febusowi owację na stojąco.

- Może jednak trochę przesadziłeś z tym spojrzeniem, Febusie - powiedział po występie Bruno Litkins.

„Esmeralda” ograniczyła się do czarującego uśmiechu. Febus dobrze wiedział, że Jack mógłby spuścić mu łomot, gdyby tylko zechciał.

Prawdę mówiąc, Jack był Febusowi wdzięczny za to, że wzbudził w Claudii poczucie winy. Dzięki temu jego własne wyrzuty sumienia przestały być tak dotkliwe.

Latem, po skończeniu Uniwersytetu New Hampshire, drogi Claudii i Jacka rozeszły się ostatecznie. Ona wybrała udział w programie MFA na jednej z uczelni Wielkiej Dziesiątki. (Jack rozmyślnie nie zakodował w pamięci jej nazwy). Oboje wysłali zgłoszenia do dwóch różnych teatrów letnich, co wydawało się rozsądnym posunięciem. Claudia pojechała na festiwal szekspirowski do New Jersey. Jack zagrał w „Pięknej i bestii” oraz „Piotrusiu Panu i Wendy” na warsztatach teatrów dziecięcych w Cambridge, Massachusetts.

Mógł odczuwać tęsknotę na wspomnienie utraconego przyjaciela Noaha Rosena (bądź jego bezpowrotnie utraconej siostry Leah), z przyjemnością jednak powracał myślami do zagranicznych produkcji, oglądanych w kinach przy Harvard Square. Lato filmów z napisami oraz widowni złożonej z dzieci i ich młodych matek bardzo przypadło mu do gustu.

Claudia powiedziała (jeśli nawet nie były to jej ostatnie słowa, zapamiętał tę wypowiedź jako finalną): „Po co miałbyś występować przed dziećmi? Przecież sam nie chcesz ich mieć”.

Jack grał Bestię, Bellą była starsza kobieta, jedna z założycielek warsztatów. Ona też go zatrudniła. Owszem, spał z nią: ucieli sobie romans trwający całe lato i ani dnia dłużej. Była zbyt leciwa na rolę Wendy, zagrała jednak młodo wyglądającą panią Darling, jej matkę. (Wyobraźcie sobie Piotrusia Pana posuwającego matkę Wendy, choćby tylko przez dwa miesiące).

Jeśli Jack nie chciał wracać do Kanady (a nie chciał), mógł kontynuować naukę bądź poszukać sobie stałej pracy, a tym samym wyrobić zieloną kartę. Emma raz jeszcze ocaliła mu skórę. Przed dwoma laty opuściła Iowa i przeniosła się do Los Angeles, gdzie pisała swą pierwszą powieść, co samo w sobie stanowiło niejaką antynomię. Któż bowiem wyjeżdżał do LA, żeby pisać książki? Ale bycie autsajderką zawsze jej odpowiadało.

Znalazła pracę przy czytaniu scenariuszy w studio filmowym; podobnie jak Jack, nadal była obywatelką Kanady i miała tylko kanadyjski paszport, ale uzyskała również zieloną kartę. Obecne zajęcie wynikało raczej z komediowego epizodu w Nowym Jorku aniżeli tego, czego nauczyła się na warsztatach pisarskich.

Pisała powieść, która, jej zdaniem, stanowiła odwet za czas stracony na seminarium filmowym. Jednocześnie, jak mówiła, „pracowała dla wroga i jeszcze dostawała za to pieniądze”.

Zaproponowała Jackowi, aby u niej zamieszkał. Obiecała, że znajdzie mu pracę w przemyśle filmowym.

- Tutaj roi się od przystojnych facetów, ptysiu. Będziesz miał trudniej niż w Toronto. Ale jest wśród nich niewielu, którzy umieją grać tak dobrze jak ty.

Do tego sprowadzał się plan Jacka, jeśli w ogóle w grę wchodził jakikolwiek plan. Jack miał dosyć teatru: po takiej liczbie musicali trudno mu się dziwić. Ostatnia rola - Piotrusia Pana, zabierającego Wendy i jej braci do Nibylandii - była jeszcze w porządku, zwłaszcza że do świtu, na długo po opuszczeniu kurtyny, używał sobie z panią Darling.

- Co powiedziałyby na to J. M. Barrie? - zapytałaby Claudia, gdyby o tym wiedziała. Myśl o Claudii napelniała Jacka niejakim smutkiem.

Jack miał się wkrótce dowiedzieć, że Los Angeles ma cię w nosie, bez względu na to, kim jesteś. Przyjdzie kryśka na Matyska, mówi miasto, nie ma ludzi niezastąpionych. Ale Jack Burns nie trafił od razu do elity, jeszcze nie był sławny. Jesienią 1987 roku, kiedy wprowadził się do Emmy, najbliższym punktem orientacyjnym, reprezentującym przyszłe atrakcje, było barwne targowisko możliwości, przystań Santa Monica.

Dla Jacka i Emmy najważniejsza była kąpiel w ciepłym powietrzu znad oceanu; to, że wdychali przy tym smog, zupełnie się dla nich nie liczyło. Znowu mieszkali razem - poza Toronto i bez matek.

Emma, która miała dwadzieścia dziewięć lat, wyglądała na znacznie starszą. Wszyscy znajomi wiedzieli, że walczy z nadwagą, jednakże dla niej ważniejsze były inne, wewnętrzne zmagania, polegające na nieustannej batalii słomianego zapału z niewzruszoną determinacją. Nie ulegało wątpliwości, że jest niespokojną duszą, ale nawet Jack (nie wspominając o samej Emmie) nie miał pojęcia, że dzieje się z nią coś niedobrego.

Liczy nigdy nie były najmocniejszą stroną Jacka. Kiedy zamieszkał z Emmą w LA, nigdy nie pamiętał wysokości czynszu ani którego dnia w miesiącu należało go uregulować.

- Twoja arytmetyka jest do dupy, ptysiu, ale w końcu na co ci arytmetyka? Będziesz aktorem!

U Świętej Hildy potrzebował nachylonej nad nim panny Wurtz, której zapach stanowił substytut rachunków. I choć pani McQuat pomogła mu nawet bardziej niż panna Wurtz, jego znajomość matematyki zawsze pozostawiała wiele do życzenia.

W Redding w algebrze pomagała mu pani Adkins, która przebierała go w swoją starą odzież i uprawiała seks w aurze bezgranicznej rezygnacji. (Zupełnie jakby już wówczas szykowała się do skoku w Nezinscot, a przynajmniej trenowała przed ową najsamotniejszą chwilą w życiu).

- Lepiej nigdy nie liczyć więcej niż do dziesięciu - poradził mu kiedyś Noah Rosen.

Pan Warren, jego wychowawca w Exeter, ujął to bardziej taktownie, acz równie pesymistycznie.

- Nigdy nie polegaj na swej numerycznej ocenie sytuacji, Jack.

Jack Burns miał mieszkać w Los Angeles przez szesnaście lat. Podobało mu się tam. Najpierw dzielił z Emmą połowę wszawego bliźniaka w Venice, położonego przy Windward Avenue, opodal restauracji sushi na rogu Windward i Main, a dokładnie rzecz biorąc, opodal Dumpster, miejsca, gdzie sprzedawano artykuły, które nie mogły już trafić na stół. „Hama Sushi” była świetną restauracją, Emma i Jack często tam jadali. Ryby podawano naprawdę świeże, niestety, w przeciwieństwie do większości tego, co wędrowało do Dumpster.

Pierwszą dziewczyną Jacka w LA była kelnerka z „Hama Sushi”. Mieszkała z grupą innych dziewcząt w ruderze przy jednej z małych uliczek w bok Ocean Front Walk - przy Osiemnastej, Dziewiętnastej lub Dwudziestej Alei. Nigdy nie mógł zapamiętać tego numeru. Któregoś wieczoru trafił do niewłaściwego domu, przypuszczalnie przy niewłaściwej alei. Po naciśnięciu guzika domofonu powitała go gromadka dziewcząt, wśród których zabrakło jednak rzeczonyj kelnerki. Zanim Jack uświadomił sobie swoją pomyłkę, poznał kogoś, kto zainteresował go bardziej niż kelnerka. Liczby ponownie zwiódły go na manowce.

- Powinieneś nosić przy sobie kalkulator - oznajmiła Emma. - A przynajmniej wszystko zapisywać.

Lubił Venice: plażę i siłownię wraz z ich tandetną otoczką. Po niefortunnym incydencie w Gold Gym - Emma poznała kulturystę, który ją pobił - oboje zapisali się do World Gym, gdyż Emmie spodobało się jej logo. Przedstawiało goryla stojącego na planecie Ziemia wielkości piłki plażowej, ze sztangą we włochatych łapach. Sztanga musiała ważyć prawie sto pięćdziesiąt lub dwieście kilo, co i tak nie usprawiedliwiało niebezpiecznie wygiętego drążka.

Koszulki World Gym miały głębokie wycięcia, zarówno pod szyją, jak i pod pachami. Nie zaprojektowano ich z myślą o kobietach, przynajmniej nie te, które kupowała Emma, szare z jaskrawopomarańczowym napisem. Odślaniały znaczną połącz dekoltu, a piersi czasem wymykały się bokami, ale Emma zakładała koszulki tylko do spania i pisania.

Emma i Jack zajmowali oddzielne sypialnie, jednakże większość nocy, kiedy nie mieli „randek”, spędzali w jednym łóżku, naturalnie bez żadnych podtekstów. Emma trzymała Jacka za penis, dopóki jedno z nich nie zapadło w sen, jeśli kładli się w tym samym czasie, co zdarzało się raczej rzadko. Jack czasem dotykał jej piersi, ale nic więcej. Nigdy też się przy niej nie onanizował.

Nie ulegało wątpliwości, że ten etap mają już za sobą. Emma nauczyła Jacka masturbacji i wręcz zachęcała go do tego, aby w trakcie ją sobie wyobrażał. Jednakże miała na uwadze wyłącznie jego przetrwanie w szkole, zwłaszcza w Redding, i choć dawniej wysyłała mu swoje rozbierane zdjęcia (nie wiedziała, że w tajemnicy jedno zachował), łącząca ich nić wzajemnego porozumienia czyniła z nich więcej aniżeli przyjaciół, nie do końca rodzeństwo, a już z pewnością nie kochanków. (I to bez względu na petting oraz całe mnóstwo razy, kiedy oglądali się nago).

Emma poznała kolejnego pakera, tym razem w World Gym. W przeciwieństwie do poprzednika nie był damskim bokserem. Pracował jako kelner „U Sta-na”, na rogu Rose i Main.

Lokal „U Stana” nie należał do miejsc, które miały szansę dłużej przetrwać w Venice. Kelnerzy nie byli równie wyszczekani jak w nowojorskim „Smith & Wollensky”, a śnieżnobiałe obrusy wydawały się cokolwiek nie na miejscu na tle serwowanych tu steków i homarów z Maine. Mimo to kelnerzy nosili białe koszule z podwiniętymi rękawami oraz krochmalone białe fartuchy, upodabniające ich do rzeźników, którzy nie mieli jeszcze styczności z mięsem. Wbrew atmosferze średnio wykwintnego lokalu obsługa (wyłącznie męska) zadzierała nosa, jakby przyszła na świat we wspomnianych fartuchach, przy czym nie padła ani jedna kropla krwi.

Znajomy kelner Emmy miał na imię Giorgio albo Guido, umiał wycisnąć sto pięćdziesiąt kilo. Emma zdołała mu wmówić, że Jack jest doświadczonym kelnerem, dzięki czemu Giorgio lub Guido z ociąganiem przedstawił go Donaldowi, starszemu kelnerowi „U Stana”, który zwykł panoszyć się jak szara gęś.

Oczywiście Jack miał blade pojęcie o tym fachu, ale przedsiębiorcza Emma sprytnie zredagowała pisemne referencje pana Ramseya, w których kilkakrotnie padało określenie „wielki potencjał”. Studio w West Hollywood, gdzie codziennie zawoziła notatki i skąd przywoziła naręcza nowych scenariuszy (czytała i oceniała około czterech dziennie), posiadało mnóstwo zmyślnego sprzętu do kopiowania, dzięki któremu złożyła w całość poszatowany list pana Ramseya.

Wyraz „aktor” zastąpiła wyrazem „kelner”, natomiast tytuły sztuk (a nawet musicali) w oczach bezmyślnego amerykańskiego czytelnika stały się nazwami modnych kanadyjskich restauracji, w których odbywały się „występy” Jacka. Ostatnie określenie padało dość często i Emma pozostawiła je nienaruszone, czasem tylko zamieniając rzeczownik na czasownik.

Tym sposobem Jack „wystąpił” w rzekomym bistro pod nazwą „Narieczona na Zamówienie” (istniała również inna restauracja pod szyldem „Terytoriów Północno-Zachodnich), w prawdopodobnie francuskim lokalu „D’Urberville” oraz w kilku znaczących lokalach w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, wśród których znajdowała się restauracja „Notre Dame” oraz „U Petera i Wendy”, nie wspominając o hiszpańskiej jadłodajni „Bernarda Alba”.

Pan Ramsey, który - według nagłówka - był kierownikiem Instytutu Języka Angielskiego i Dramatu Świętej Hildy, został przemianowany na kierownika Instytutu Gastronomicznego pod tą samą egidą, co brzmiało nieco dziwacznie. W pierwszym zdaniu pan Ramsey określał Świętą Hildę (czyli oczywiście szkołę) jako „jedną z najlepszych w Toronto”.

Lecz Donald, starszy kelner od Stana, był matolem odpornym na prawdziwą sztukę.

- Kiedy mam polecić hotel z dobrą restauracją w Toronto, zawsze polecam „Four Seasons” - zakomunikował Jackowi. Następnie dał mu dwie minuty na opanowanie listy dań specjalnych.

- Daj mi dziesięć minut, a nauczę się całego menu - odparł Jack.

Ale Donald nie pozwolił mu się wykazać. Powiedział później Giorgiowi lub Guidowi, że Jack ma irytującą manierę. Nazwał go kimś w rodzaju „kanadyjskiego chłopka roztropka z New Hampshire”. Jack postanowił, że nie będzie kelnerem, nie wśród takich bufonów. Kiedy jednak Donald zaproponował mu posadę parkingowego, zgodził się bez wahania. Był dobrym kierowcą.

Emma nie uważała tego za zajęcie poniżej jego godności; jej sprzeciw miał charakter polityczny.

- Nie możesz być parkingowym, ptysiu. Twoim pierwszym językiem jest angielski. Zabierasz pracę jakiemuś nieszczęsnemu uchodźcy.

Ale Giorgio lub Guido odetchnął z ulgą. Nie chciał pracować z Jackiem. Miał wystarczająco dużo trudności z akceptacją faktu, że Burns mieszkał wraz z Emmą (która niezmordowanie zapewniała adoratora, że nie uprawiają seksu). Jack zachodził w głowę, na

czym polegał jego problem. Jakim cudem ktoś, kto wyciskał sto pięćdziesiąt kilo, mógł cierpieć na tak drastyczny brak poczucia bezpieczeństwa?

Jack nie utrzymał długo posady. Wyleciał od razu pierwszego wieczoru; ba, nie zaparkował nawet pierwszego samochodu.

Było to srebrne audi z ołowiano-szarymi siedzeniami ze skóry. Kierowca rzucił Jackowi kluczyki: był to pretensjonalny młodziak, pochłonięty kłótnią ze swą młodą, pretensjonalną żoną. Jack początkowo wziął ją za jego narzeczoną, nie zdążył jednak ujechać jednej przecznicy, kiedy na tylnym siedzeniu wozu nieoczekiwanie usiadła mała dziewczynka. Jej zapłakana twarzyczka utkwiała centralnie w lusterku wstecznym. Miała cztery, góra pięć lat. Z tyłu nie było fotelika do przewożenia dzieci. Najwyraźniej siedzenie miało jej służyć za postanie, gdyż była ubrana w piżamę i przyciskała do siebie kocyk oraz misia. Jack zobaczył poduszkę opartą o podłokietnik; fotelik leżał na podłodze.

- Parkujesz w garażu czy na zewnątrz? - spytała dziewczynka, wycierając nos rękawem piżamki.

- Nie możesz zostać w samochodzie - oznajmił Jack. Zatrzymał audi i włączył światła awaryjne: dziewczynka wystraszyła go nie na żarty i musiał uspokoić rozkołatane serce.

- Nie jestem dość grzeczna, żeby jadać w eleganckiej restauracji - wyrecytowała mała.

Jack nie miał pojęcia, co robić. Może młoda, pretensjonalna para kłóciła się, czy zostawić córkę w samochodzie, choć szczerze w to wątpił. Dziewczynka wyglądała na weterankę parkingów.

- Wolę garaż niż parkowanie na ulicy - wyjaśniła. - Niedługo zrobi się ciemno - zauważyła.

Jack pojechał Main w kierunku Windward, gdzie pomimo wczesnej pory przed „Hama Sushi” kłębił się tłumek osób oczekujących na stolik. Nie gasząc silnika, nacisnął guzik domofonu do mieszkania, które dzielił z Emmą, następnie wrócił do samochodu i czekał. Ani na chwilę nie spuszczał dziewczynki z oka.

- Tu parkujemy? - spytała.

- Nie zostawię cię samej - odpowiedział.

Emma otworzyła drzwi i wyszła na chodnik; miała na sobie koszulkę World Gym i nic poza tym. Wyglądała na jeszcze bardziej wkurzoną niż zwykle i Jack odgadł, że pisała.

- Fajny wózek, ptysiu. W komplecie z bachorem?

Jack przedstawił jej sytuację. Dziewczynka obserwowowała ich czujnie z tylnego siedzenia. Pewnie w życiu nie widziała kogoś takiego jak Emma w koszulce World Gym.

- Mówiłam, że to nie robota dla ciebie - skwitowała Emma. Popatrzyła na dziewczynkę. - Żadna ze mnie niańka, ptysiu.

- Zwykle śpię na podłodze, żeby nikt mnie nie zobaczył - wyjaśniła dziewczynka.

Owo „zwykle” przesądziło sprawę, wraz z ostatnimi słowami Emmy, która odwróciła się na pięcie, powracając do pisania chyba jednego z groźniejszych fragmentów nowo powstającej powieści.

- Nic dobrego z tego nie wyniknie, ptysiu.

Jack posadził dziewczynkę na środku tylnego siedzenia i zapiął pas, gdyż ani rusz nie mógł rozgryźć mechanizmu działania głupiego fotelika.

- Trudno się dziwić, skoro nie masz dzieci - powiedziała dobrodusznie dziewczynka. Miała na imię Lucy. - Niedługo skończę pięć lat - dodała.

Po powrocie na róg Rose i Main Jack zaparkował audi przy krawężniku przed restauracją. Pozostali parkingowi zrobili na jego widok zdumione miny.

- Qué pasa? - spytał Roberto, gdy Jack wręczył mu kluczyki.

- Lepiej go na razie nie parkuj - poradził, prowadząc Lucy do restauracji. Zgodziła się zostawić poduszkę, ale chciała zabrać kocyk i misia. Jack nie miał nic przeciwko temu.

Donald, największy idiota wśród starszych kelnerów, stał napuszony, jakby biurko było kazalnica, a książka rezerwacji Biblią. Na widok licznie zgromadzonych osób Lucy poprosiła, żeby Jack wziął ją na ręce.

- Teraz będziemy mieli kłopoty - szepnęła mu do ucha.

- Nic ci nie grozi, Lucy - zapewnił Jack. - To ja będę miał kłopoty.

- Już je masz, Burns - oświadczył Donald, ale Jack wyminął go bez słowa i wkroczył do głównej sali.

Lucy pierwsza zobaczyła rodziców. Było dość wcześnie, na zewnątrz jeszcze nie zapadł zmierzch i w restauracji znajdowały się wolne stoliki. (Być może u Stana zawsze znajdowały się wolne stoliki).

Matka Lucy zerwała się z krzesła i wyszła im naprzeciw.

- Coś się stało? - spytała Jacka. Też pytanie. Pomyśleć, że kobiety (nie tylko Claudia) wypominały mu niechęć do posiadania dzieci!

- O czymś państwo zapomnieli - powiedział Jack. - Zostawiliście dziecko w samochodzie. - Kobieta wytrzeszczyła oczy, ale kiedy Lucy wyciągnęła ręce, matka bez słowa wzięła ją w objęcia razem z całym majdanem w postaci kocyka oraz misia.

Jack miał nadzieję, że na tym się skończy, ale Donald tak łatwo nie odpuścił.

- To nie „Święta Hilda”, hotel czy restauracja w Toronto - wysyczał. - To nie „Naręczona na Zamówienie”...

- A więc jesteś z Toronto - przerwał mu Jack. Charakterystyczna wymowa nazwy miasta, „T’ronto”, nie pozostawiała wątpliwości. Powinien był się domyślić. Donald był krypto-Kanadyjczykiem, pracującym w LA jako kelner.

Oczywiście młody pretensjonalny mąż i niewydarzony ojciec też dorzucił swoje trzy grosze.

- Dopilnuję, żebyś wyleciał, przystojniaczku - obiecał.

- Warto stracić taką robotę - odparł Jack z gorącym postanowieniem zapamiętania tak wybornej kwestii.

Giorgio lub Guido czaił się w pobliżu. (Jeżeli kulturysta, który wyciska sto pięćdziesiąt kilo w ogóle może się czaić).

- Lepiej spadaj, Jack - poradził.

- Próbuję - odpowiedział Jack.

Na wysokości biurka rezerwacji jego wzrok padł na telefon; przyszło mu do głowy, aby zadzwonić na 997 i zgłosić przypadek zaniedbania dziecka, ale po namyśle zrezygnował. Nie znał numeru rejestracyjnego srebrnego audi. Będzie musiał go zapisać. Cholerne cyfry.

Lecz niewydarzony ojciec ani myślał dać za wygraną. Zastąpił Jackowi drogę; był mężczyzną średniego wzrostu, jego podbródek znajdował się na wysokości oczu Jacka. Jack tylko czekał, aż tamten go dotknie. Kiedy ręce mężczyzny spoczęły na jego ramionach, Jack cofnął się nieco i tamten spróbował przyciągnąć go bliżej. Jack nie stawiał oporu i wyrznął głową w usta przeciwnika. Wcale nie zrobił tego mocno, ale mężczyzna zaczął okropnie krwawić.

- Po powrocie do domu od razu dzwonię na policję - powiedział Jack do Giorgia lub Guida. - Możesz to powiedzieć Donaldowi.

- Donald mówi, że jesteś zwolniony - odrzekł kulturysta.

- Warto stracić taką robotę - powtórzył Jack. (Wiedział, że to powiedzonko na pewno się przyjmie).

Na zewnątrz Roberto wciąż stał na chodniku z kluczykami audi w ręku. Wtedy Jack przypomniał sobie, że ma w kieszeni kwit parkingowy, na którym zdążył już zapisać numer rejestracyjny.

- Musisz wypisać nowy kwit - powiedział.

- Nie ma problemu - odrzekł Roberto.

Jack poszedł do domu na piechotę. Wieczór był przyjemny, akurat zapadał zmrok. (Kiedy człowiek dorasta w Toronto, Maine i New Hampshire, który wieczór w LA nie jest przyjemny?). \

Kiedy wrócił, Emma pisała w najlepsze, ale podsłuchiwała jego rozmowę z policją.

- Co zrobiłeś z małą? - zapytała, kiedy odłożyła słuchawkę.

- Oddałem rodzicom.

- Co masz na czole?

- Pewnie keczup. Rzucaliśmy się hot dogami.

- To krew, ptysiu. Widzę ślady zębów.

- Powinnaś zobaczyć gębę tamtego półgłówka.

- Ha! - zawołała Emma. (Ów wykrzyknik zawsze przyprawiał Jacka o dreszcz. Odległe echo pani Machado).

Poszli do „Hama Sushi”. Panował tam taki hałas, że można było rozmawiać praktycznie na każdy temat. Jack lubił to miejsce, koniec końców jednak „l'eau de Dumpster” (montrealaska francuszczyzna Emmy) na dobre wykurzyła ich z bliźniaka na Windward Avenue.

- Czego nauczyła cię krótka kariera parkingowego, ptysiu?

- Dobrej kwestii - odparł Jack.

Czynnikiem, który - według Emmy - zdecydował o tym, że Jack powinien zostać kelnerem w „American Pacific”, położonej blisko plaży restauracji w Santa Monica, nie była ani jej lokalizacja, ani menu. Któregoś wieczoru poszła tam na randkę i spodobały jej się ubrania kelnerów: niebieskie koszule, krawaty w kolorze burgunda, spodnie khaki z ciemnobrązowymi paskami oraz ciemnobrązowe mokasyny.

- Kropka w kropkę Exeter, ptysiu. Będiesz tam pasował. Ukradłam dla ciebie menu. Potraktuj to jako doświadczenie aktorskie, jak powiedziałby pan Ramsey.

Nauczenie się na pamięć menu było, zdaniem Emmy, doświadczeniem aktorskim. Zajęło to Jackowi lwią część poranka. Łącznie z sałatkami, przystawkami oraz daniami głównymi karta dań liczyła w sumie około dwudziestu pozycji.

Następnie zadzwonił do Toronto do pana Ramseya i poinformował go o machlojkach Emmy, na wypadek gdyby ktoś chciał zweryfikować dane z listu polecającego. Tym sposobem jego ukochany mentor usłyszał, że „Narieczona na Zamówienie” to fantastyczne bistro.

- Trzeba rezerwować stolik z miesięcznym wyprzedzeniem! - wykrzyknął ze zwykłym entuzjazmem pan Ramsey. - Jacku Burns, jestem pewien, że daleko zajdziesz! - (Być może, pomyślał Jack. Przynajmniej jako kelner).

Tamtego popołudnia stawił się w „American Pacific”; brzmiało to raczej jak nazwa linii kolejowej, a nie lokalu, ale starszy kelner, przystojny mężczyzna imieniem Carlos, sprawiał bardzo sympatyczne wrażenie. Jack od razu spostrzegł, że nie ma do czynienia z Kanadyjczykiem. Po oględzinach referencji Jacka Carlos skinął głową, jakby osobiście jadał w „Narzechzonej na Zamówienie”, i to nieraz. \

Nazwy dań specjalnych wypisano kredą na tablicy przy barze.

- Dam głowę, że zapamiętasz je w mgnieniu oka - powiedział Carlos.

- Już to zrobiłem - odparł Jack. - Wyrecytować?

To ściągnęło na niego uwagę pozostałej obsługi. Było dopiero wpół do szóstej (restauracja świeciła pustkami), a on już miał audytorium. Pomiął kotlet cielęcy z gorgonzolą i tłuczonymi ziemniakami, aby pomyśleli, że o czymś zapomniał, po czym ku zaskoczeniu zebranych wymienił go na samym końcu. Pamiętał o wszystkim. Ubrał się tak, jakby pracę miał już w garści. Wiedział, że dopiął swego. Carlos nie poprosił go nawet o wyrecytowanie listy dań specjalnych.

Był to pierwszy z wielu castingów Jacka (nie licząc nieudanej próby z Donaldem), a zarazem jedyny na posadę kelnera: został w „American Pacific” do czasu, gdy nie musiał już zarabiać na życie usługiwaniem do stołu.

Emma zorganizowała mu sesję zdjęciową u znajomego fotografa. Fotografie okazały się horrendalnie drogie. Emma wszędzie je ze sobą nosiła. W pracy czasem poznawała agentów bądź ludzi odpowiedzialnych za obsadę do filmu. Istniało jednak większe prawdopodobieństwo, że pozna kogoś ważnego na randce bądź w którejś z restauracji West Hollywood lub Beverly Hills.

Jeden z młodych wilków z agencji Creative Artists bardzo chciał poderwać Emmę. W CAA nie było agenta, który zgodziłby się reprezentować interesy kogoś równie nieznanego jak Jack Burns, ale gość obiecał Emmie, że wynegocjuje dla Jacka kontrakt, jeśli ten zdoła zacząć się w filmie. (Nie było jasne, jak Jack miałby tego dokonać bez agenta).

Wykorzystując żądzę młodego agenta, Emma przyprowadziła go któregoś wieczoru do „American Pacific”. Miał na imię Lawrence.

- Nie Larry - zaznaczył, unosząc brew.

Spotkanie nie przyniosło żadnego rozstrzygnięcia, ale Lawrence wykonał w imieniu Jacka kilka telefonów. Były to telefony do innych agentów, nie z CAA, ale z jego osobistej listy B czy może raczej C.

Ktoś, czyje nazwisko Jack mylił z rottweilerem (rasą psa), oznajmił, że jego referencje oraz studenckie doświadczenia sceniczne są praktycznie do niczego.

- Praca w teatrach letnich tak samo - dodał Rottweiler. - Może poza Litkinsem. - Bruno cieszył się w Hollywood pewnym uznaniem: reżyserzy czasami prosili go o konsultacje w sprawie ról związanych z transwestyzmem. - Albo transwestytyzmem - poprawił Rottweiler. - Czy jak wy to, kurwa, nazywacie.

Kartą przetargową Jacka, aczkolwiek dość skromną, była rola Esmeraldy w adaptacji „Dzwonnika z Notre Dame” Litkina.

- Chociaż nie nazwałbym tego kluczowym osiągnięciem - zaznaczył Rottweiler. (Jack zaś zdecydowanie wolałby uniknąć zaszufładowania).

Inny z agentów z listy B lub C Lawrence’a wysłał Jacka na casting do filmu w Van Nuys. Miejsce wyglądało jak posiadłość prywatna, pełniło jednak funkcję planu filmowego. Kiedy kobieta odpowiedzialna za fryzury bądź charakteryzację podała Jackowi tytuł filmu („Muffy, ździra wampirów 3”), Jack potraktował to jako żart. Nie rozumiał, w czym rzecz, dopóki producentka nie poprosiła go o zademonstrowanie penisa.

- Małe fiutki odpadają - oznajmiła. Miała na imię Milly. Ubrana była w szary prążkowany kostium ze spodniami jak urzędniczka bankowa, na którego tle raził staroświecki naszyjnik z pereł, preferowany przez członkinie klubów brydżowych. Jej włosy stały na sztorc, okalając głowę niczym jasnosrebrzysta bańka albo gładki kask motocyklowy.

Jack odparł, iż zaszło nieporozumienie, i skierował się do wyjścia.

- Ostatecznie możesz mi go pokazać - powiedziała Milly. - Trafia ci się okazja bezpłatnej konsultacji.

Jej słowa ściągnęły uwagę pakera z kucykiem oraz piersiastej młodej kobiety o wyglądzie wampirzycy. Oboje siedzieli na sofie, oglądając film na kasecie wideo. Oglądali scenę z udziałem ich samych, pochodzące zapewne z „Muffy, ździra wampirów 2”; była to długotrwała, monotonna sekwencja z obciążania, podczas którego rzeczona Muffy co pewien czas obnażała wampirze kły. Człowiek miał tylko nadzieję, że gdy zaciśnie zęby i wysie krew nieszczęśnika, uczyni to w okolicach jego gardła. Jack zauważył, że siedząca na kanapie Muffy nie miała zainstalowanych zębów; oglądała film, niewinnie żując gumę.

Paker z kucykiem zatrzymał taśmę i cała trójka przystąpiła do oględzin penisa Jacka. I choć temu ostatniemu nie zależało na tego rodzaju karierze, podobnie jak większość

mężczyzn był ciekaw, jak wypada na tle innych. Ostatecznie miał do czynienia z komisją ekspertów.

- W porządku, koleś - zawyrokował paker.

- Przymknij się, Hank - usadziła go Milly.

- No właśnie - poparła ją Muffy.

Hank wrócił na kanapę i ponownie włączył film.

- Moim zdaniem, może być - rzucił.

- Jest milutki - powiedziała Muffy do Jacka. - Ale w tej branży nie całkiem o to chodzi.

- Święte słowa - wtrąciła Milly. Miała pięćdziesiąt parę, może sześćdziesiąt lat; jeden z operatorów zdradził Jackowi, że była kiedyś gwiazdą porno, ale chyba nie mówił poważnie. Z wyjątkiem sterczących włosów przypominała Jackowi matkę Noaha Rosena.

- Jest milutki, a rozmiar nie ma znaczenia - szepnęła Muffy do ucha Jacka. Powróciwszy na kanapę, klapnęła obok Hanka.

- Nie nadaje się, i kropka. A rozmiar ma znaczenie - oświadczyła Milly. -W przeciwieństwie do tego, czy jest milutki, czy nie.

- Dziękuję - odparł Jack, zapinając spodnie.

Hank, ofiara oralnych zabiegów Muffy, odprowadził Jacka do samochodu. W jego penisie, który (jak zauważył Jack) był gigantyczny, nie było nic milutkiego.

- Głowa do góry - pocieszył Jacka Hank. - Pamiętaj, żeby się zdrowo odżywiać. Na twoim miejscu ograniczyłbym się do produktów niskotłuszczowych, niskosodowych i niskowęglowodanowych.

- Jesteś gotowy, Hank? - wrzasnęła ze środka Muffy.

- To nie robota dla każdego - wyznał Jackowi Hank. - Człowiek haruje pod cholernym naciskiem. - Mówił piskliwym, nosowym głosem, zgoła nieprzystającym do masywnej postury.

- Hank! - krzyknęła Muffy. Stanąwszy w progu, obnażyła zęby w szerokim uśmiechu. Kły znajdowały się na miejscu, gotowe na kolejne ujęcie, na czymkolwiek miało ono polegać.

- Idę! - odrzyknął Hank. - Wszystko mogłoby się ułożyć inaczej, gdybym najpierw poznał siostrę Mildred - dodał. - Ale trafiłem na Milly.

- To ona ma siostrę? - spytał Jack.

- Myra Ascheim to producentka z prawdziwego zdarzenia - wyjaśnił Hank. -Milly reprezentuje pornograficzną gałąź rodziny.

Jack zobaczył, że Mildred Ascheim staje w progu obok Muffy.

- Przestań marudzić, Hank! - wrzasnęła.

- Producentka? - powtórzył Jack.

- Jest kimś w rodzaju agenta - odrzekł Hank. - Dawniej reprezentowała Vala Kilmera, a może to był Michael J. Fox. W każdym razie miała pod opieką parę gwiazd. Wszystko zależy od tego, na kogo się napatoczysz - dorzucił, a następnie ruszył w stronę domu krokiem człowieka, mającego w perspektywie szereg stosunków ze ździarą wampirów. Nie wyglądał na szczególnie zachwyconego.

- Powodzenia! - zawołał za nim Jack.

- Będę cię wypatrywał na dużym ekranie - odpowiedział Hank, wskazując na niebo, tak jakby duży ekran w mniemaniu ich obu leżał wysoko w górze.

- Powodzenia, fiutku! - zawołała Milly.

Hank przystanął, po czym zawrócił w kierunku Jacka.

- Jeśli poznasz Myrę, nie mów, że rozmawiałeś z Mildred - ostrzegł go. - To byłby pocałunek śmierci.

- Przecież to właściwie nie był casting - sprostował Jack.

- To był casting, mały. Będę cię wypatrywał - powtórzył Hank.

Jack również miał go wypatrywać, choć wówczas nie powiedział tego głośno. Hank słynął w branży pornograficznej jako Hank Long; wysoki, przystojny mężczyzna, bywalec siłowni, zawsze z minimalną liczbą kwestii do powiedzenia, zapewne z uwagi na charakterystyczny, nosowy głos. Po pierwszym spotkaniu Jack widział go w piętnastu, dwudziestu filmach „dla dorosłych”, które nieszczególnie zapadły mu w pamięć, zarówno ze względu na tytuł, jak i fabułę.

Umiał rozpoznać Hanka po samym penisie, podobnie jak Emma. Po tak zwanym castingu Jacka w Van Nuys wspólnie obejrzelili filmy Hanka Longa.

- Nigdy nie chodź do Van Nuys - zakomunikował Emmie po powrocie do domu. - Tam roi się od facetów z wielkimi fiutami.

- Tak jakby mogło mnie to powstrzymać - odrzekła cokolwiek enigmatycznie Emma.

Jack opowiedział jej całe zdarzenie: o tym, jak, zdaniem Mildred Ascheim, jego penis „się nie nadawał”, o tym, jak Muffy nazwała go milutkim, i o tym, że nie dorasta Hankowi do pięt.

- Nie jest mały, ptysiu, ale widywałam większe. - Szczerze Emmy przygnębiła Jacka bardziej aniżeli werdykt Milly. - Na miłość boską, przecież nie zamierzasz zostać gwiazdą porno! - zawołała Emma, próbując dodać mu otuchy.

Od razu zadzwoniła do Lawrence'a z CAA, informując na wstępie, że nie będzie uprawiać z nim seksu.

- Postawmy sprawę jasno - powiedziała. - Czy masz jeszcze w zanadrzu agentów, z którymi można go umówić? - Zasłoniwszy ręką słuchawkę, zwróciła się do Jacka. - Mówi, że nie - oznajmiła.

- Spytaj, czy zna Myrę Ascheim - powiedział Jack.

Emma skonsultowała się z Lawrence'em.

- Mówi, że Myra się skończyła, ptysiu. Wszyscy postawili na niej krzyżyk. Nawet nie ma asystenta.

- Moim zdaniem, warto od niej zacząć - odparł Jack. - Zapytaj Lawrence'a, czy może do niej zadzwonić... jeden raz.

Emma przekazała draniowi życzenie Jacka.

- Lawrence mówi, że Myra nie ma nawet swojego biura.

- Świetnie - oświadczył Jack.

Emma przekazała Lawrence'owi odczucia Jacka.

- Mówi, żeby nie wspominać o siostrze Myry - powiedziała.

- Wiem - odparł Jack. - To Myra, nie Mildred. Wiem, wiem.

Tamtego wieczoru Jack zastał po powrocie z „American Pacific” trzy wiadomości na automatycznej sekretarce. Niepokoił się, że jedna może pochodzić od gospodyni domowej z Benedict Canyon, z którą aktualnie miał romans. Kobieta była niespełna rozumu: twierdziła, że widzi z sypialni kawałek posiadłości na Cięło Drive, gdzie zginęła Sharon Tate. Jack uważał, że jest w błędzie. Ponadto utrzymywała, że czasami wiatr przynosi jęki i zawodzenia pani Tate i pozostałych ofiar, tak jakby rzeź trwała nadal.

Często dzwoniła do Jacka, przeważnie w celu zmiany terminu spotkań. Zwykle miało to coś wspólnego z mężem bądź którymś z dzieci, ostatnim razem jednak winę ponosił pies. Nieszczęsne zwierzę zjadło coś niestrawnego, co spowodowało takie komplikacje, że trzeba było wezwać weterynarza.

Emma uznała, że Jack powinien nauczyć się czytać między wierszami: ewidentnie kobieta sypia również z weterynarzem. Emma uwielbiała słuchać wymówek

mających przesunąć w czasie akt cudzołóstwa. Ale tym razem pisała, w związku z czym nie odbierała telefonu. Razem odsłuchali wiadomości.

Lawrence i Rottweiler zadzwonili do Myry Ascheim, przekazując, że powinna się spotkać z Jackiem, podali jej jego numer. Trzecia wiadomość pochodziła od Myry. Jej głos

niepokojąco przypominał głos siostry. Jack początkowo uznał, że to Mildred chce raz jeszcze popastwić się nad jego lichym przyrodzeniem.

- Dwóch półgłówków twierdzi, że powinnam się z tobą spotkać - brzmiała wiadomość na sekretarce. - Gdzie się, kurwa, podziewasz, Jacku Burns?

I tyle. Myra nawet się nie przedstawiła. Jack poznał ją tylko na podstawie siostrzanego podobieństwa do głosu Milly. (Był to głos rodem z Brooklynu raczej niż z LA).

Emma musiała spostrzec jego markotną minę, kiedy raz po raz odsłuchiwał wszystkie trzy wiadomości. Brak informacji od kobiety z Benedict Canyon sprawił mu wyraźną przykrość. Tylko Emma знаła go na tyle, by stwierdzić, że choć koniec romansu przyniósł mu ulgę, Jack tęsknił za szaleństwem kochanki.

Pierwsza powieść Emmy Oastler nosiła tytuł „Recenzentka bzdur”, nawiązujący do zajęcia Emmy, które oficjalnie nazywało się nieco inaczej. (Studio wspaniałomyślnie określało Emmę mianem „pierwszej recenzentki” w procesie zwanym „analizą scenariusza”).

Emma czytała nie tylko scenariusze „spontaniczne”, ale również teksty podsyłane przez mniej znane agencje oraz dzieła scenarzystów, których agenci ostatnio wkurzyli wytwórnię. Zaledwie garstka scenariuszy przechodziła wstępną selekcję, a te, którym się udało, miały ważniejszych recenzentów niż Emma, chociaż prędzej czy później trafiały w końcu i do niej.

Emmę najbardziej dręczyło nie to, ile scenariuszy musiała czytać, ani nawet nie to, jak kiepska była większość z nich. Największą bolączką Emmy było kierownictwo studia, które ograniczało się do lektury jej uwag, ignorując same scenariusze. Odkryła, iż w większości wypadków jest jedyną osobą, która w ogóle do nich zagląda, co skłaniało ją do nadmiernej wspaniałomyślności, nawet gdy chodziło o dzieła poniżej wszelkiej krytyki. Nie chciała, aby jej recenzje były jedynym powodem, dla którego nie powstał dany film, choć sama niejednokrotnie narzekała, iż większość produkcji w ogóle nie powinna ujrzeć światła dziennego.

- Ale po co w takim razie zatrudniać recenzenta, skoro kierownictwo miałoby samo czytać zły scenariusz? - pytał Jack. Uważał za naturalne, że pierwszy recenzent jest przeważnie jedyny.

Emma nie przyznawała mu racji i z uporem trwała przy swoim.

- Kierownictwo powinno go przeczytać, nawet jeśli jest zły - utrzymywała.

- Ale oni zatrudnili cię właśnie po to, żeby nie musieć czytać tych śmieci!

- Ktoś napisał te śmieci, ptysiu. I poświęcił na to mnóstwo czasu.

Emma przesadzała, nazywając swoje studia filmowe stratą czasu. Po co się uczyć doceniać dobre kino, mówiła. Branża filmowa nie ma nic wspólnego z kinem jako formą sztuki. Jack wychodził z założenia, iż motywy jej zemsty są nieco chybione: traciła czas w wyniku machinacji branży, a specjalizacja nie miała tu nic do rzeczy.

Emma upierała się przy zdaniu, że kierownictwo ponosi odpowiedzialność za wiele okropnych filmów, które nigdy nie powinny powstać, i w ramach drobnego zadośćuczynienia za swoje czyny powinno przyłożyć się do lektury.

Jack przekonywał, że bardziej powinny ją złościć rzadkie wypadki, gdy nieznanemu nikomu scenarzysta tworzył scenariusz, który przypadł do gustu szefostwu wytwórni. Emma dwukrotnie miała do czynienia z podobną sytuacją. Za jej namową kierownictwo czytało scenariusz i pośpiesznie kupowało do niego prawa, po czym proponowało scenarzyście honorarium za przedstawienie poprawionej wersji. Wersję tę odrzucano, splanowano scenarzystę i wynajmowano znanego pisarza, który miał zrekonstruować opowieść według ściśle określonych konwencji. Wszystko to, co zwróciło uwagę Emmy w pierwotnej wersji, zostawało bezpowrotnie zaprzepaszczone, wytwórnia mogła jednak do woli rozporządzać swoją „własnością”.

Emma nie widziała w tym nic złego.

- To wina scenarzysty. Połasczył się na kasę. Zawsze to samo. Jeśli chcą zachować kontrolę nad scenariuszem, nie powinni przyjmować z góry żadnych pieniędzy. Nie powinni nawet pozwolić gnojom postawić sobie lunchu.

- A co, jeśli potrzebują kasy? - pytał Jack. - Że nie wspomnę o lunchu!

- Niech poszukają sobie stałego zatrudnienia - kwitowała Emma.

Utarczki z Emmą doprowadzały Jacka do szału. Martwił się przy tym o jej powieść, która w jego mniemaniu zyskiwała postać autobiograficznych utyskiwań, miałkiej historyjki bez cienia inwencji, pełnej wyrzekania i oskarżycielskich anegdot, których niejednokrotnie przyszło mu wysłuchiwać. Sam fakt, że główną bohaterką „Recenzentki bzdur” była młoda Kanadyjka - która ukończyła szkołę „na Wschodzie”, niedawno przyjechała do LA jak Emma i znalazła identyczną posadę - jego zdaniem, nie wróżył najlepiej. Okazało się jednak, że Emma wymyśliła postać całkowicie różną od siebie; ba, stworzyła historię znacznie ciekawszą niż historia jej własnego życia. Na dodatek uczyniła to nadzwyczaj sprawnie, nie szcędząc wysiłku, by korygować własne błędy.

Co więcej, główna bohaterka powieści Emmy była postacią bez mała heroiczną, zdolną do niezwykle szczodrobliwych gestów, podczas gdy cynizm Emmy zwykle wykluczał jakiegokolwiek heroiczne porywy. Tytułowa recenzentka bzdur nie jest cyniczką. Przeciwnie, Michele Maher (cóż za zbieg okoliczności!) to optymistka o czystym sercu i niezachwianie pogodnym usposobieniu. Michele Maher

- to znaczy, bohaterka Emmy - jest tak szlachetną osobą, iż jej czystość zwycięsko przechodzi najdrastyczniejsze próby, jakich nie szcędzi jej los.

W przeciwieństwie do Emmy Michele jest nienaturalnie chudą młodą kobietą, która musi zmuszać się do jedzenia. Odwiedza siłownie oraz sklepy ze zdrową żywnością, łyka odżywki proteinowe i suplementy kupowane przez kulturystów, lecz nie jest w stanie przytyć choćby funta. Pomimo intensywnych ćwiczeń wciąż jest chuda jak patyk. Michele Maher ma ciało i przemianę materii dwunastoletniego chłopca.

Również w przeciwieństwie do Emmy Michele odczuwa wyrzuty sumienia z powodu kiepskich scenariuszy, które musi czytać. Myśl o grafomanach dosłownie łamie jej serce. Michele pragnie dopomóc im stać się lepszymi pisarzami: w tym celu śle im słowa otuchy na firmowej papeterii. Treść i styl owych listów drastycznie odbiega od jej recenzji, w których jest szczerą aż do bólu. Krótko mówiąc, Michele należycie wywiązuje się ze swoich obowiązków: szczegółowo przedstawia szefostwu przyczyny, dla których nie powinno marnować czasu na lekturę podobnych głupot.

Jednakże w oczach dennyh pisarzy Michele Maher odgrywa rolę anioła nadziei, stać ją bowiem na pochwałę największego gnioł. W pierwszym rozdziale „Recenzentki bzdur” Michele kleci krzepiący, entuzjastyczny list do wytatuowanego pakera, a zarazem gwiazdy porno nazwiskiem Miguel Santiago. Jimmy to jego pseudonim artystyczny.

W żalonym scenariuszu, zawierającym historię jego życia, Santiago opisuje siebie jako gwiazdora porno, przepelnionego nienawiścią do branży. Może uprawiać seks na zawołanie tylko wówczas, kiedy wyobrazi sobie, że jest młodym Jamesem Stewartem, który zakochuje się w Margaret Sullavan w „The Shopworn Angel” lub pogrąża w domowej idylli z Donną Reed w filmie „To wspaniałe życie”. Iluzja, że jest niepowtarzalnym Jimmym Stewartem w owych czarno-białych dziełach opery mydlanej pozwala mu przetrwać produkcje typu „Znudzone gospodynie domowe 4” i „Korporację Wzwód”.

Fabula sprowadza się do scen przedstawiających Miguela Santiago w siłowni i salonach tatuazu, Miguela uczącego się na pamięć kwestii z „The Shopworn Angel” oraz „Wspaniałego życia”, no i oczywiście Miguela w roli „drugiego” Jimmy’ego. W swojej recenzji dla wytwórni Michele Maher określa film mianem „niewykonalnego”: jedna trzecia produkcji zawierałaby treści pornograficzne! Lecz w liście do Miguela Santiago Michele

nazywa scenariusz „gorzko-słodkim dziennikiem”. Pozwala sobie również na wątek osobisty, a mianowicie pyta, do której siłowni chodzi Miguel.

Santiago oczywiście myśli, że ma do czynienia z szychą, a nie zwykłą recenzentką. Nie wie, że Michele idzie do wypożyczalni kaset wideo i pożycza wszystkie cztery części „Znudzonych gospodyń domowych”. W jednej z najbardziej upokarzających scen powieści onanizuje się podczas „Korporacji Wzwód”; seksualnie niewyżyta, idzie do siłowni Miguela (alias Jimmy’ego), gdzie obserwuje go podczas ćwiczeń. Pod tym względem przypomina Emmę: ma słabość do pakerów. Lecz w przeciwieństwie do Emmy Michele nie folguje swoim zachciankom. Poza tym który paker chciałby poderwać dziewczynę o posturze ołówka?

Najbardziej wzruszające w „Recenzentce bzdur” jest to, że pomimo swojej tępoty Miguel Santiago jest naprawdę miłym facetem. Kiedy Michele Maher zdobywa się na odwagę, aby do niego podejść, postanawia mu wyznać, że jest tylko recenzentką, która się nad nim ulitowała. Nawiązują znajomość, określoną przez jednego z recenzentów książki mianem „dysfunkcyjnego syndromu LA”: była to pochwała powieści, która generalnie zebrała entuzjastyczne noty. „Bardziej noir niż noir”, napisał „The New York Times”.

Miguel i Michele wprowadzają się do mieszkania „w obrębie woni płynącej z restauracji sushi w Venice”. (Jack domyślił się źródła inspiracji). Nie uprawiają seksu. Penis Miguela jest za duży dla Michele i sprawia jej ból. Michele ogranicza się do trzymania go w rękę. (Źródło inspiracji i tutaj nie było dla Jacka zagadką, może poza aspektem wielkości).

Z czasem, za sprawą narastającego uczucia wobec Michele, Miguel przedstawia jej paru kolegów z siłowni. Widział ich pod prysznicem i wie, którzy mają małe penisy. Michele idzie z nimi do łóżka, co, jak mówi Miguelowi, zapewnia jej „namiastkę rozkoszy”. Z mieszanymi uczuciami bierze do ręki jego firmowy znak rozpoznawczy i oznajmia, że jest szczęśliwa.

Co do Miguela Santiago (alias Jimmy’ego, geniusza przyrodzenia), praca, którą znosi ze stoickim spokojem, daje mu wystarczającą satysfakcję erotyczną. Akceptuje związek z Michele takim, jaki jest. Michele sypia czasem z właścicielami małych członków, ale zawsze wraca do Miguela i razem kładą się do łóżka, po czym sięga po jego ogromny penis (nie pada przy tym ani jedno słowo) i oglądają na wideo „Most Waterloo”, remake z 1940 roku, z Vivien Leigh i Robertem Taylorem. To ulubiony gatunek Miguela, istny wyciskacz łez.

Pod koniec powieści Emmy Michele Maher i Miguel Santiago wciąż mieszkają razem. Michele zarzuca proceder podtrzymywania na duchu kiepskich scenarzystów; ogranicza swoje komentarze do recenzji dla wytwórni, która nigdy nie czyta zaopiniowanych przez nią scenariuszy. Denne teksty nadal łamią jej serce, ale po powrocie do Miguela Michele nie opowiada o swojej pracy. On naturalnie też nie. Jedzą odżywki proteinowe i suplementy, po czym udają się do siłowni. Miguel twierdzi, że lubi, kiedy Michele śpi w podkoszulku World Gym: pod wściekłym gorylem z wygiętą sztangą łatwo znaleźć jej małe, niemalże szczątkowe piersi.

„W LA mieszkają gorsze pary - pisze Emma; słowa te wielokrotnie cytowano w recenzjach jako udany wstęp do ostatniego zdania: - Jeśli ty lub twój partner wystąpiliście w nieudanym filmie albo w paru nieudanych filmach... a nawet wciąż na nowo odgrywanie ten sam nieudany film... istnieją większe powody do wstydu”.

Jackowi bardziej podobało się pierwsze zdanie. „W tym mieście nie ma miejsca na przypadek bądź też jest nim wszystko”.

Weźmy na przykład wiadomość pozostawioną na sekretarce przez Myrę Ascheim. Jack nie miał pojęcia, że Emma już wie, kim jest Mildred Ascheim, nie wspominając o tym, że od rana do nocy oglądała na wideo filmy pornograficzne („w celach badawczych”), zanim jeszcze Jack poznał Hanka Longa na planie „Muffy, ździra wampirów 3” i przed wspólnymi seansami jego dokonań.

Jack powiedział Emmie, że podczas lektury nieodparcie nasuwał mu się Hank Long w roli Miguela, lecz Emma sprzeciwiała się założeniu, iż na podstawie jej powieści powstanie kiedyś film.

- Oszczędź mi tej gadki, ptysiu - odpowiadała. - Nie wybiegaj myślami do przodu.

Jack przeczytał „Recenzentkę bzdur”, kiedy maszynopis krążył jeszcze wśród nowojorskich agentów; biorąc pod uwagę amerykańskiego ducha powieści, Emma postanowiła sprzedać ją najpierw w Stanach. I to bez względu na fakt, że jej dawna przyjaciółka ze Świętej Hildy, Charlotte Kościste Piersi Barford, była wschodzącą gwiazdą wśród kanadyjskich wydawców.

- Musiałaś nazwać ją Michele Maher? - spytał Jack. - Kochałem Michele Maher, wielbiłem ją. Zawsze będę ją wielbił. Nawet nie miałaś okazji jej poznać, Emmo.

- Nie zwracaj głowy, Jack. Michele to postać pozytywna. W książce, znaczy się.

- W rzeczywistości również! - zaproponował Jack. - Dałaś jej ciało dwunastolatki! Uczyniłaś z niej żalosną niewolnicę pakerów!

- To tylko nazwisko - upierała się Emma. - Naprawdę przesadzasz.

Oczywiście Jack był również przewrażliwiony na punkcie małego penisa, a zwłaszcza związanej z nim „namiastki rozkoszy”.

- To tylko powieść, ptysiu. Fikcja. Nie umiesz czytać powieści?

- Od lat trzymasz mnie za penis, Emmo. Nie wiedziałem, że szacujesz rozmiar.

- To tylko powieść - powtórzyła Emma. - Bierzesz ją zbyt osobiście. Nie rozumiesz, o co chodzi z penisami.

- A niby o co?

- Kiedy są za duże, sprawiają ból, ptysiu. To znaczy wówczas, kiedy kobieta jest zbyt ciasna.

Jack rozważył jej słowa: nie miał pojęcia, że kobieta może być zbyt ciasna. (Może za luźna, ale nie zbyt ciasna). Czy Emma chciała przez to dać do zrozumienia, że „namiastka rozkoszy” jest lepsza od bólu? O to chodziło? Zobaczył, że Emma płacze.

- Podoba mi się twoja powieść - zapewnił. - Wcale nie twierdzę, że mi się nie podoba.

- Ty nic nie rozumiesz - powiedziała Emma.

Jack pomyślał, że mówi o „Recenzentce bzdur”, którą w swoim mniemaniu rozumiał doskonale.

- Rozumiem, Emmo - odrzekł. - To niekoniecznie moja broszka. To znaczy, trudno ją nazwać tradycyjną powieścią ze skomplikowaną fabułą i plejadą zróżnicowanych bohaterów. Jak na mój gust, jest może trochę zbyt nowoczesna: to bardziej psychologiczne studium związku niż narracja, i to związku dysfunkcyjnego. Ale naprawdę mi się podoba. Naprawdę. Przede wszystkim utrzymujesz stały ton wypowiedzi. Pewnie nazwałabyś go sarkastycznym niedomówieniem. Szczególnie podobał mi się beznamiętny styl co bardziej dramatycznych kawałków. Poza tym związek, chociaż niedoskonały, jest zawsze lepszy niż brak związku. Doskonale to rozumiem. Nie uprawiają seksu, nie mogą go uprawiać, ale -z różnych powodów - właściwie sprawia im to ulgę.

- Och, zamknijże się wreszcie, do cholery! - krzyknęła Emma, nie przestając płakać.

- Czego nie rozumiem? - spytał.

- Mnie! - wrzasnęła. - To ja jestem za ciasna, Jack - dodała ściszym tonem.

- Boli mnie nawet przy małych.

Jack oniemiał. Emma była przecież tak rosną, silną młodą kobietą, wyższą i cięższą od niego. I te jej ustawiczne zmagania z nadwagą. Jak to możliwe?

- Byłaś u lekarza? - zapytał.

- U ginekologa? Owszem, u kilku. Ich zdaniem, nie jestem za ciasna. Wygląda na to, że wszystko płynie z głowy.

- Ból płynie z głowy? - spytał Jack.

- Nie dokładnie.

Dolegliwość Emmy nosiła dziwną nazwę. Pochwica, wyjaśniła Emma, jest odruchem warunkowym: w wyniku stymulacji narządów płciowych następuje skurcz mięśni krocza. U niektórych kobiet powoduje to sama zapowiedź immisji.

- Wolisz uniknąć penetracji? - upewnił się Jack.

- To następuje mimowolnie, ptysiu. Nie panuję nad tym, to przypadłość chroniczna.

- A leczenie?

Emma wybuchnęła śmiechem. Próbowwała hipnozy w celu rozluźnienia odruchowo kurczących się mięśni. Ale nawet psychiatra dał jej do zrozumienia, iż ta metoda rzadko skutkuje. W wypadku Emmy nie poskutkowała.

Za radą ginekologa z Toronto Emma spróbowała metody zwanej systematycznym odwracaniem bądź metodą patyczka higienicznego, jak obraźliwie określił ją lekarz. Polegała na stopniowym wprowadzaniu do pochwy coraz większych przedmiotów, poczynając od patyczka higienicznego aż do...

- Przestań - powiedział Jack. Nie chciał tego słuchać. - Czy cokolwiek poskutkowało? - zapytał.

Jedyna skuteczna (i to nie zawsze) metoda polegała na absolutnej koordynacji z partnerem.

- Tylko w pozycji najeźdźca, ptysiu. Facet w ogóle nie może się ruszać. Jeden ruch i dostaję skurczu. - Emma musiała niepodzielnie panować nad sytuacją. Tylko ona mogła się poruszać, tylko to działało. Nietrudno zgadnąć, że równie uległy partner był nieczęstym zjawiskiem.

Jackowi przepływało przez głowę wiele myśli, większości nie zdołałby nawet ująć w słowa. Zainteresowanie Emmy pakerami ewidentnie nie było najlepszym pomysłem, a jej upodobanie do młodych chłopców zyskiwało nowy wymiar. Jack przypomniał sobie też jej niechęć do posiadania dzieci: bez wątpienia przyczyna tkwiła w jej dolegliwości raczej niż w strachu, że będzie matką złą bądź taką jak pani Oastler.

Uznał, że taktowniej będzie nie pytać o opcję chirurgiczną. Emma nie znosiła lekarzy; wzdragała się przed wszystkim, co związane z medycyną, a w szczególności z chirurgią. Poza tym to rozwiązanie najprawdopodobniej nie wchodziło w grę z uwagi na podłoże psychiczne.

Nie miał serca powiedzieć Emmie, że powinna rozważyć przerobienie „Recenzentki bzdurow”. Jego zdaniem, pochwica była lepszym tematem niż kwestia wielkości penisa, nie wspominając o tym, iż posiadanie przez bohaterkę zbyt wąskiej pochwy wymykało się wszelkim regułom prawdopodobieństwa. Rozumiał jednak, że decyzja Emmy wynikała z czystych pobudek, dzięki czemu powstała opowieść o akceptacji, o tyle zbliżona do prawdy, o ile to tylko możliwe. Życie w pozycji na jeźdźca, ustawiczne poszukiwanie nieruchomego partnera. Co za okrucieństwo losu. Czy dzięki tej metodzie nauczy się wreszcie rozluźniać mięśnie krocza?

- Co powoduje pochwicę? - spytał Jack, lecz Emma albo nie usłyszała pytania, albo była zbyt rozkojarzona. Może nie знаła przyczyn (bądź takowe nie istniały), a może po prostu miała ochotę uciąć temat.

Rozebrali się i poszli do łóżka. Emma ujęła jego penis, który natychmiast stwardniał. (Jack odniósł wrażenie, że bardziej niż zazwyczaj). Ale Emma powiedziała tylko:

- Wcale nie jesteś taki mały, ptysiu. Raczej maławy. Na twoim miejscu w ogóle bym się tym nie przejmowała.

Nie powiedziała, że widywała mniejsze penisy, słyszał tylko, że wspominała o większych, ale postanowił jej nie naciskać. Starczy, że go dotykała. Bardzo to lubił.

- Powinniśmy się przeprowadzić - rzuciła sennym głosem.

- Może współlokatorzy nie są najlepszymi recenzentami - podsunął, dotykając jej piersi.

- Nie mówię, że mamy przestać razem mieszkać, Jack. Mam jedynie dość Venice.

Jack nie podzielał jej zdania, ale powstrzymał się od komentarza. Będzie tęsknił za Venice, nawet za l'eau de Dumpster z „Hama Sushi”. Polubił też World Gym i pomimo nieciekawych doświadczeń Emmy zaglądał też do Gold's, chociaż nie był typem kulturysty: kiedy chciał popodnosić ciężary, robił to w części przeznaczonej dla kobiet.

- Będiesz silnym chłopcem, Jack. Niezbyt wysokim, ale silnym - powiedziała mu kiedyś pani Oastler.

- Tak pani myśli? - spytał.

- Wiem - odparła pani Oastler. - Widzę.

Jack przypomniał sobie jej słowa, leżąc w ciemności z penisem twardym jak diament w dużej, silnej dłoni Emmy. Jack miał drobne dłonie, podobnie jak jego matka. Przyszło mu do głowy, że nie myślał o matce od miesiący. Może nie lubił o niej myśleć w związku z przekonaniem, iż coraz bardziej upodabnia się do ojca.

I chociaż nie chodziło tu o podobieństwo fizyczne, wierzył, iż łączące ich cechy musiały nie dawać Alice spokoju. Jack czuł, że matka za nim nie przepada.

Zastanawiał się również, dokąd mogliby się przeprowadzić. Kiedyś wspomniał Emmie o Palisades. Miejsce przypominało wioskę, wszędzie można było dojść na piechotę. Jednakże Emma twierdziła, że w Palisades „roi się od dzieci”: jej zdaniem, „niegdyś normalni ludzie zjeżdżają tam, żeby się rozmnażać”. I Jack doszedł do wniosku, że jego propozycja odpada.

Beverly Hills było dla nich za drogie, a poza tym leżało zbyt daleko od plaży. Emma lubiła codziennie widzieć ocean, choć unikała przesiadywania na plaży. Może Malibu, pomyślał Jack, albo Santa Monica. Lecz w związku z wyznaniem Emmy postanowił przełożyć rozmowę na inną okazję.

- Powiedz to po łacinie - poprosił.

Wiedziała, że chodzi mu o epigraf umieszczony na początku książki. Powtarzała te słowa jak mantrę, jednakże Jack dopiero teraz zrozumiał, że traktowała je zupełnie serio.

- Nihil facimus sed id bene facimus - wyszeptała Emma, trzymając jego penis jak nigdy przedtem.

- Nie robimy nic, ale robimy to fantastycznie - powtórzył po angielsku Jack, dotykając jej piersi.

Było to jesienią 1988 roku. Tegorocznym hitem stał się „Rain Man”, który zgarnął większość Oscarów. Ulubionym filmem Jacka była wówczas „Rybka zwana Wandą”. Zabiłby za rolę Kevina Kline'a, nagrodzoną Oscarem za najlepszą męską rolę drugoplanową.

Jack Burns miał dwadzieścia trzy, a Emma Oastler trzydzieści lat. I nie przeczuwali zmian, jakie miały wkrótce zajść w ich życiu.

Jack poznał Myrę Ascheim na śniadaniu w „Montanie”, niedługo po tym, jak wraz z Emmą przeprowadził się do wynajętego mieszkania w Santa Monica. Emma, która kupowała mu ubrania, specjalnie wyszykowała go na to spotkanie. Kawowa koszula z długim rękawem (wypuszczona na wierzch, dwa górne guziki rozpięte), brązowe spodnie i ciemnobrązowe mokasyny, które wkładał do pracy. Miał wówczas dość długie włosy, obficie niż zwykle wysmarowane żelem, i dwudniowy zarost. Jego wizerunek był od początku do końca pomysłem Emmy, która uważała, że gładko ogolony wyglądał „zbyt dziewczęco”, natomiast trzydniowy zarost nadawał mu wygląd „Toshiro Mifune do kwadratu”. Koszula była lniana. Emma lubiła zagniecenia.

Jack przypomniał sobie, jak pani Oastler kupowała mu wyprawkę do Redding, a potem do Exeter. Jak wyznał Emmie, było mu głupio, że nigdy jej nie podziękował. Emma zamasyżuje nakładała Jackowi żel na włosy.

- I do tego opłacała moje czesne - dorzucił. - Pewnie uważa mnie za niewdzięcznika.

- Proszę, tylko jej nie dziękuj, ptysiu.

- Dlaczego? - spytał.

- Bo nie - skwitowała Emma.

Było jasne, że nikt nie dbał o wygląd Myry Ascheim równie pieczołowicie, jak Leslie Oastler i Emma dbały o wizerunek Jacka, który początkowo wziął siostrę Milly za bezdomną, podążającą od strony wąskiego kawałka parku, biegnącego wzdłuż nadbrzeża Ocean Avenue. Szła chodnikiem w kierunku „Marmalade Café” i ćmiła papierosa: była to kobieta grubo po sześćdziesiątce, może nawet koło siedemdziesiątki, w brudnych adidasach, szarych workowatych spodniach i spłowiałej różowej bluzie. Z siwymi, prostymi włosami, związanymi w kucyk, który wystawał spod czapki baseballowej Anaheim Angels (bez aureoli nad A), Myra w ogóle nie przypominała swej młodszej i daleko bardziej szykownej siostry Mildred.

Ponadto dźwigała wypchaną reklamówkę, z której wystawał płaszcz przeciwdeszczowy. Jack przeszedł tuż obok niej, lecz rozpoznał ją dopiero wówczas, kiedy się odezwała. Bliźniacze podobieństwo do głosu Milly nie pozostawiało wątpliwości.

- Zlikwiduj ten zarost - poradziła. - I przystopuj z żelem. Wyglądasz, jakbyś spał pod samochodem.

- Pani Ascheim? - zapytał.

- Bystrzak z ciebie, Jacku Burns. I nie słuchaj Lawrence'a. Wcale nie jesteś zbyt ładny.

- Lawrence powiedział, że jestem zbyt ładny? - upewnił się Jack.

- Lawrence to bałwan i kłamca. W tym mieście nadmiar urody nie wchodzi w grę. Podobnie jak nadmiar sukcesu - dodała Myra Ascheim.

Co do sukcesu Myry Ascheim, ani Jack, ani ktokolwiek inny nigdy nie miał całkowitej pewności. Nikt ani nie potwierdzał, ani nie dementował żadnej z hollywoodzkich opowieści na temat tego, kim niegdyś była. Czy to jej dotyczyła legenda o agencji, podkupionym przez ICM z Williama Morrisa, czy może to CAA podkupiło ją z ICM? Czy wyleciała ze wszystkich trzech agencji, czy też odeszła samowolnie? Czy reprezentowała kiedyś Julię Roberts? Odkryła Sharon Stone czy może Demi Moore? I czy to Myra pierwsza nadała Demi przydomek „Gimme” Moor*?

Podczas spotkania w barze „Raffles L'Ermitage”, hotelu niezbyt lubianego przez Jacka, lecz uwielbianego przez Lawrence'a, Lawrence oznajmił Jackowi, że „Gimme” nie było pomysłem Myry, lecz jego samego. Lecz Myra miała rację: Lawrence był bałwanem i kłamcą. I bez względu na to, czy rzeczywiście reprezentowała Julię Roberts, Myra pozostawała w zażyłości ze specami od obsady, spośród których niemal wszyscy darzyli ją sympatią. Nawet jeśli nikogo już nie reprezentowała, tamci zawsze odpowiadali na jej telefony.

Bob Bookman, agent Emmy w CAA, który później stał się agentem Jacka, opowiedział Jackowi historię o znaku firmowym Myry, a mianowicie jej czapce baseballowej. Nie była fanką Anaheim, nie lubiła nawet baseballu. Podobała jej się litera A na czapce, ale nie znosiła aureoli.

- To czapka klasy A, ale żaden ze mnie anioł - lubiła mówić.

Według Boba Bookmana, Myra co roku kupowała podobną czapkę i pieczołowicie usuwała aureolę czapkami do paznokci.

- Widziałem, jak robiła to przy stole - opowiadał Bookman. - Ciachnęła aureolę, czekając na sałatkę z kurczakiem. - Ostatni szczegół zdawał się potwierdzeniem prawdziwości całego incydentu: oprócz dań śniadaniowych sałatka z kurczakiem była jedyną potrawą, którą Myra kiedykolwiek jadła przy Jacku.

Alan Hergott, który został prawnikiem Jacka, twierdził, że Myra zawsze pozostawia na automatycznej sekretarce wiadomość tej samej treści.

Give me more (ang.) - dawać mi więcej.

- Oddzwon albo zobaczymy się w sądzie. - To również brzmiało bardzo prawdopodobnie.

- W tym mieście masz dość wysłuchiwanie tego, o czym dobrze wiesz - zakomunikował Alan Jackowi. - Powinieneś okazać zainteresowanie, chociaż wiesz o sprawie więcej aniżeli twój rozmówca. Myra jest inna. Zawsze kryje w zanadrzu coś, o czym nie masz zielonego pojęcia. I nieważne, czy mówi prawdę, czy nie.

W Hollywood krążyło tyle opowieści o Myrze Ascheim, ile o penisie Milтона Berle'a. I pomyśleć, że Jack Burns miał okazję ją poznać z powodu swego (rzekomo) małego penisa, i to tylko dlatego, że najpierw poznał jej siostrę Milly! Ba, gdyby nie Lawrence, mógłby nigdy nie spotkać sióstr Ascheim, Lawrence'a zaś poznał tylko dlatego, że osioł chciał przelecieć Emmę. (Znając Emmę, zapewne intuicyjnie stroniła od Lawrence'a: albo jego penis nie był taki, jak trzeba, albo przeczuwała, że w tym wypadku pozycja najeźdźca nie wchodzi w grę).

- Właściwie już nie jestem agentką - oznajmiła Jackowi Myra przy śniadaniu w „Marmalade”. Siedzieli przy długim stole piknikowym. - Siostra i ja stworzyłyśmy firmę promującą młode talenty. - Gdy wziąć pod uwagę dane na temat drugiej siostry Ascheim, była to skądinąd zaskakująca informacja. Jack postanowił jednak nie wnikać w reguły rządzące branżą. Od początku rozumiał, iż jego zadaniem jest zdobyć pracę. Przynajmniej znał się na aktorstwie.

Obok Jacka siedział mężczyzna z gazetą; mamrotał pod nosem, jak gdyby żywił głęboką urazę wobec zawartych tam rewelacji. Po drugiej stronie stołu, bliżej

Myry, ulokowała się czteroosobowa rodzina: młode, znękanе małżeństwo z dwójką rozwrzeszczanych dzieci.

Podobnie jak Rottweiler, Myra Ascheim zwróciła uwagę na nazwisko Litkinsa. „Pedalski żuraw”, jak nazywał go Jack, był jedyną znaczącą postacią wśród pierwszych mentorów Jacka.

- Zakładam, że nie jesteś transwestytą. Po prostu wiesz, jak się do niego upodobnić - powiedziała Myra.

- Wiem, jak się do niego upodobnić - potwierdził skwapliwie Jack.

- Jeśli usłyszę o tego rodzaju roli, na pewno dam ci znać.

Hałaśliwe dzieci wyraźnie nie dawały Myrze spokoju. Sześć- lub siedmioletni chłopiec zamówił owsiankę z kawałkami bananów, które następnie skrzętnie usunął z miski. W zamian zażądał bekonu siostry, która kategorycznie odmówiła.

- Skoro chciałeś bekon, mogłeś go sobie zamówić - powtarzała matka.

- Możesz wziąć moje banany - proponował siostrze chłopiec, lecz bekon nie podlegał negocjacji: nie za banany.

- Potraktuj to jako nauczkę - rzuciła z irytacją Myra pod adresem chłopca. - Chcesz jej bekon, ale nie masz do zaoferowania nic w zamian. Tak się nie robi interesów.

Jack dowiadywał się, że w branży filmowej poznawanie nowych osób było równoznaczne z castingiem. Nie musiał nawet wiedzieć, o jaką rolę się ubiegasz, po prostu grałeś, wszystko jedno kogo. Zerknął na dziewczynkę z bekonem. Miała dziewięć albo dziesięć lat, na jej talerzu tkwiły trzy paski bekonu. Na chwilę stała się jednoosobowym audytorium Jacka, chociaż wiedział, że tak naprawdę występuje przed Myrą Ascheim, która była tego doskonale świadoma.

W „Łowcy androidów” Rutger Hauer gra jasnowłosego androida, który ginie ostatni. Życie Harrisona Forda spoczywa w jego rękach, ale Rutger umiera: woli z kimś porozmawiać, aniżeli konać w samotności.

„Widziałem rzeczy, w które wy, ludzie, w ogóle byście nie uwierzyli” - oznajmia Rutger Hauer. Jack przywołał w pamięci tę scenę.

Przybierając ton Hauera, zwrócił się do dziewczynki z bekonem.

- Ja też mam młodszego brata - oznajmił Jack vel Rutger. - Zawsze mnie o coś prosił. O bekon też, zupełnie jak twój. Może powinnaś go poczęstować chociaż jednym kawałkiem.

- Dlaczego? - spytała dziewczynka.

- Miałem wypadek motocyklowy - powiedział Jack. Jego dłoń powędrowała do boku i wzdrygnął się pod dotknięciem, na co sześciolatek odruchowo zgniół jeden z plasterków banana. - Kierownica przedziurawiła mnie na wyłot.

- Nie przy jedzeniu - wtrąciła Myra Ascheim, ale dzieci oraz Rutger nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi.

- Myślałem, że wszystko będzie dobrze, straciłem tylko jedną nerkę - wyjaśnił Jack. - Tak w ogóle to mamy po dwie - poinformował chłopca. - Do życia potrzebna jest chociaż jedna.

- Coś z nią nie tak? - zapytała dziewczynka.

Jack wzruszył ramionami i ponownie się wzdrygnął; po incydencie z kierownicą owa czynność najwidoczniej też sprawiała mu ból. (Przypomniawszy sobie kwestię Rutgera Hauera: „Te wszystkie chwile zginą w czasie niczym lzy w deszczu”).

- Moja nerka nie funkcjonuje jak trzeba - powiedział Jack.

- „Pora umierać” - skwitowała Myra Ascheim, również wzruszając ramionami. (Są to ostatnie słowa Rutgera Hauera w „Łowcy androidów”. Myra chyba też miała obcykane dialogi).

- Oczywiście mógłbym poprosić brata o jedną z jego nerek - podjął Jack. - Jedyne narzędzie brata sprawdziłby się w takiej sytuacji. Brata lub siostry, ale ja nie mam siostry.

- To go poproś! - zawołała z przejęciem siostra.

- Chyba będę musiał - przyznał Jack. - Ale w tym tkwi szkopuł. Nigdy nie dałem mu bekonu. Ani kawałeczka.

- Co to jest nerka? - spytał chłopiec.

Jego siostra ostrożnie położyła plasterkę bekonu przy ogołoconej z bananów misce owsianki.

- Proszę - powiedziała do brata. - Ty nie potrzebujesz nerki.

- Jeśli usłyszę o roli w stylu Rutgera Hauera, na pewno dam ci znać, Jack. - Był to jedyny komentarz Myry Ascheim, lecz Jack wiedział, że wygrał casting.

Dziewczynka patrzyła, jak jej brat pałaszuje bekon; Jack wiedział, że wciąż intensywnie rozmyśla o wypadku.

- Czy mogę zobaczyć bliźnię od kierownicy? - zapytała Jacka.

Jack do tego stopnia skupił się na jednoosobowym audytorium, że nie zauważył wyjścia mężczyzny z gazetą. Podczas każdego przedstawienia ktoś opuszcza widownię. Ale po śniadaniu, kiedy znaleźli się na ulicy, Myra nie omieszkała go skrytykować.

- Straciłeś gościa z gazetą. Nie kupił tekstu z kierownicą.

- Moim audytorium była dziewczynka - skontrował Jack. - Dziewczynka i ty.

- Dziewczynka to łatwy odbiorca - uznała Myra. - Mnie też nie przekonałeś.

- Aha.

- I skończ z tym „aha”. To kompletnie nic nie znaczy.

Jack uświadomił sobie, że nie zna mechanizmu działania firmy promującej młode talenty ani różnicy pomiędzy tym, czym zajmuje się Myra, a rolą agenta.

- Nie potrzebuję agenta? - spytał.

- Najpierw znajdę dla ciebie film - odrzekła Myra. - Film i reżysera. Najlepszą porą na znalezienie agenta jest chwila, gdy tak naprawdę już go nie potrzebujesz.

Jack miał się potem często zastanawiać, jak potoczyłaby się jego kariera (i życie), gdyby Myra Ascheim znalazła dla niego inny film, a przynajmniej innego reżysera. Wiedział jednak, że przysłowiowy przełom jest od człowieka niezależny i nigdy nie sposób przewidzieć jego długofalowych konsekwencji.

Każdy młody aktor zakłada istnienie roli idealnej, w którą wpasuje się jak ulał. No cóż: Jack miał radzić młodym aktorom, co następuje: Miejcie nadzieję, że owej roli nie dostaniecie. Film, który znalazła dlań Myra Ascheim, miał bowiem doprowadzić do jego zaszufładowania.

- Principiis obsta - jak napisze pan Ramsey, cytując Owidiusza. - Strzeż się początków!

21 • DO UTRATY TCHU

Koniec końców Jack Burns zawdzięczał swój sukces Williamowi „Dziakiemu Billowi” Vanvleckowi, zwanemu również Szalonym Holendrem oraz Potworem Remake’ow. Ostatni przydomek zawdzięczał swemu plugawemu zwyczajowi powielania fabuły klasyków kina europejskiego i kretyńskiego adaptowania ich na potrzeby amerykańskiej publiczności.

I tak genialny „Nóż w wodzie”, pierwszy film fabularny Romana Polańskiego, nakręcony w Polsce w 1962 roku, w 1989 roku został odtworzony przez Vanvlecka jako „Moja ostatnia autostopowiczka”, historia o skłóconej parze, która zamiast na żagle wyjeżdża na weekend na narty i zabiera po drodze autostopowicza transwestytę. Jack Burns okazał się wymarzoną kandydatem do roli wspomnianej autostopowiczki.

William Vanvleck był scenarzystą i reżyserem. „Variety” kiedyś napisało, że dla Potwora Remake’ow nie istnieje film ani gatunek, którego nie mógłby przerobić na gorsze. Lecz nawet jeśli Dzikie Bill zasługiwał na miano tandeciarza, nie narzekał na brak zdrowego rozsądku: podkrażał tylko smaczne kąski. Świat amerykańskiego seksu i przemocy wzbogacił nie tyle o europejski artyzm, ile o wielowymiarową przewrotność, uwielbianą przez liczne grono kinomanów oraz samego Billa.

Na przykład w Kolorado, pomiędzy Empire i Winter Park, istnieje stromy i kręty odcinek trasy 40, która pnie się ponad Berthoud Pass. Zimą, w sytuacjach zagrożenia lawinowego, droga jest zamykana i wielu narciarzy oraz snowboardzistów dojeżdża autostopem do miejsc, gdzie zaparkowali samochody.

W pierwszej scenie „Mojej ostatniej autostopowiczki” widzimy urodziwą amatorkę narciarstwa z plecakiem i nartami przerzuconymi przez ramię, czekającą na okazję na trasie numer 40. Jak mamy się zaraz przekonać, rzekoma autostopowiczka to wcale nie dziewczyna, tylko Jack Burns, który wygląda szalowo.

Jack nie dostał roli wyłącznie z uwagi na swoje koneksje z Litkinsem, Szalony Holender umyślił sobie bowiem, że autostopowicza musi zagrać ktoś nieznany.

Para w samochodzie bacznie przygląda się „dziewczynie”. (Prawie każdy by to zrobił na ich miejscu).

- Nie zatrzymuj się - mówi kobieta.

Mężczyzna daje po hamulcach.

- Moja ostatnia autostopowiczka - odpowiada. - Przyrzekam.

- Już przyrzekałeś, Ethan - oświadcza kobieta. - Wtedy też chodziło o ładną dziewczynę.

Kiedy Jack mocuje narty na dachu samochodu, oboje przyglądają mu się uważnie. Ethan gapi się na piersi ślicznotki, jego narzeczoną lub żonę bardziej interesują jej ciemne, sięgające ramion włosy. Gdy Jack rozsiada się na tylnym siedzeniu, Ethan poprawia lustroko wsteczne, aby go lepiej widzieć, co nie uchodzi uwagi coraz bardziej poirytowanej kobiety.

- Cześć, jestem Jack - mówi „autostopowiczka”, zdejmując perukę i ścierając różowy błyszczak wierzchem rękawicy narciarskiej. - Pewnie wzięliście mnie za dziewczynę, co?

Kobieta odwraca się i patrzy, jak Jack chowa perukę do plecaka, a potem rozpina dopasowaną kurtkę z kapturem i (ku zgrozie Ethana) wyjmując spod swetra fałszywe piersi, które znikają w plecaku w ślad za peruką. Zważcie, że chodzi o film klasy B, kultowy dla garstki amatorów, jednakże początek zaiste robi wrażenie.

- Cześć, jestem Nicole - odpowiada kobieta. Ni stąd, ni zowąd jest wniebowzięta.

Rolę Nicole zagrała Justine Dunn: był to ostatni film przed katastrofalnym w skutkach wypadkiem samochodowym, który położył kres jej karierze aktorskiej. Mowa o karambolu w miejscu, gdzie Wilshire Boulevard łączy się z trasą numer 405.

Kiedy Ethan uświadamia sobie swoją pomyłkę, każe Jackowi wysiąść.

- Sam go zabrałeś, Ethan. Równie dobrze możesz chłopaka podwieźć - wtrąca Nicole.

- Nie zabierałem chłopaka - odpowiada Ethan.

Jack odwraca się i spogląda przez tylną szybę na ostry zakręt.

- Niebezpiecznie się zatrzymywać - zauważa.

- Wsiadaj! - krzyczy Ethan.

Kamera pokazuje wnętrze nadjeżdżającej czarnej furgonetki: nawaleni snowboardziści przekazują sobie skręta. (W tle słychać słowa Nicole: „Jeśli on wysiada, Ethan, ja wysiadam razem z nim”).

Ponownie widzimy Ethana i Nicole w nieruchomym samochodzie: Ethan nie pozwala jej rozpiąć pasa. Autostopowicz zdjął już narty z dachu i puka w okno od strony Nicole, która opuszcza szybę.

- Przepraszam za kłopot - mówi niezwykle męskim tonem - ale jako dziewczyna łapię więcej okazji. -1 odsuwa się od auta. Wtedy nadjeżdża czarna furgonetka!

Furgonetka o włos omija samochód, jeden z nawalonych snowboardzistów z furią pokazuje Ethanowi środkowy palec. Ethan i Nicole są wstrząśnięci incydentem, na Jacku nie robi on żadnego wrażenia.

Począwszy od tego momentu, film robi się niestrawny. Kiedy pokazywano wrywki, zazwyczaj koncentrowano się na dwóch pierwszych zbliżeniach twarzy Jacka.

W chwili premiery Jack miał dwadzieścia cztery lata. Justine była dwanaście lat starsza - atrakcyjna kobieta w średnim wieku i młody transwestyta.

W filmie jest później bardzo zmysłowa scena. Przebrany za dziewczynę Jack stoi przed lustrem w damskiej toalecie przy restauracji w ośrodku narciarskim i poprawia makijaż. Justine vel Nicole wychodzi z ubikacji i wygładza sukienkę. Oboje prezentują się fantastycznie, ale Justine ma trzydzieści sześć lat i nietrudno zgadnąć, kto wygląda lepiej.

- Jaką okazję próbujesz teraz złapać? - pyta Justine.

- Okazję pod tytułem kolacja - odpowiada Jack.

- Sam kupujesz bilety na wyciąg?

- Narty to droga rozrywka - mówi Jack, wzruszając ramionami. - Wolę unikać płacenia za kolację.

- A co robisz po kolacji? - pyta dalej Justine, omiatając Jacka przeciągłym spojrzeniem.

- Próbuję wybić mu to z głowy - oznajmia Jack. - A ty?

Na tym etapie filmu Justine vel Nicole jest jeszcze z Ethanem, co nie budzi w niej entuzjazmu.

- Próbuję wybić mu to z głowy - przyznaje nie bez pewnej melancholii.

Wtedy Jack całuje ją w usta. Nie bardzo wiadomo, czy robi to jako kobieta, czy też jako mężczyzna. Lecz jakie to ma znaczenie? „Moja ostatnia autostopowiczka” zyskała rangę hitu wśród fanów Justine Dunn. Kiedy po tragicznym wypadku aktorka zniknęła z ekranu, liczba jej wielbicieli raptownie wzrosła. Były to przeważnie czubki: rodzaj kinomanów, którzy robią bohaterów z ludzi zabitych bądź oszpeconych w głupich wypadkach.

Jeśli chodzi o Jacka, film oznaczał początek czegoś, nad czym kompletnie nie mógł zapanować. Jako były zapaśnik umiał tracić zbędne kilogramy i utrzymywać wagę, dzięki czemu zachował szczupłą sylwetkę. Był zawodnikiem wagi lekkiej, rozeźlonym i zabiedzonym, jak powiedziała kiedyś Michele Maher (ta prawdziwa).

- Bardzo ci do twarzy z tą dwupłciowością, Jack - zauważyła Myra Ascheim, kiedy już Dzikie Bill Vanvleck zrobił z Jacka zwichrowany symbol seksu: pociągającego faceta, który bywa bardziej pociągający (choć może nie dla wszystkich) jako dziewczyna.

Rola androginicznego autostopowicza poprzedziła o trzy lata debiut Jaye'a Davidsona w roli Dii w „Grze pozorów”. I choć w przeciwieństwie do Dzikiego Billa Vanvlecka Neil Jordan cieszył się zasłużoną opinią świetnego reżysera, nie ulegało wątpliwości, że miano pioniera transseksualizmu należy się Jackowi Burnsonowi.

Nie była to nisza, w której człowiek mógł się bezpiecznie zadomowić. (W Hollywood brakowało ról dla rzutkich, ale siwiejących pań Doubtfire). Tak czy inaczej początek nie był

zły. Sława Jacka nie mogła się równać sławie Emmy, której pierwsza książka znajdowała się przez piętnaście tygodni na liście bestsellerów „New York Timesa”, zanim „Moja ostatnia autostopowiczka” pojawiła się w „wybranych kinach”. Emma była jeszcze sławniejsza w Toronto, gdzie nade wszystko wielbiono Kanadyjczyków, którzy zrobili karierę w Stanach Zjednoczonych. Gdyby wszelako posłuchać matki Jacka, nie wspominając o panu Ramseyu, człowiek odniósłby wrażenie, że Jack Burns przyćmił Jeffa Bridgesa (przynajmniej jako transwestyta) i stanowi większą gwarancję sukcesu kasowego aniżeli Harrison Ford.

„Moja ostatnia autostopowiczka” to film żaloszny, ale zbliżenia twarzy Jacka na dobre weszły do historii kina (parodia w programie Saturday Night Live nie zaszkodziła), a nocne czuwanie pod Centrum Medycznym UCLA, gdzie leżała w śpiączce Justine Dunn, uczyniły z Dzikiego Billa Vanvlecka prawdziwą gwiazdę talk-show, podczas których wypowiadał się o Jacku w samych superlatywach.

Jakżeby inaczej! Myra Ascheim zobowiązała Jacka do zrobienia kolejnego filmu z Szalonym Holendrem. Pośród peanów na cześć mniej niż drugoplanowej roli Jacka Dzikiego Bill promował swój następny film, który, niestety, nie osiągnął kultowego statusu „Mojej ostatniej autostopowiczki”. I chociaż Jack zagrał w nim główną rolę męską (i żeńską), zabrakło odpowiedniczki Justine Dunn, aktora lub aktorki, która doznała nieodwracalnych urazów, kończących jej karierę. (Innymi słowy, obyło się bez niezасłużonej sławy).

Występ w kolejnym gnioście Vanvlecka poprzedziło odcinanie kuponów od rozgłosu Emmy, który po „Recenzentce bzdur” przerósł wszelkie oczekiwania. Wywiad w magazynie „People”, w którym Emma nazywa Jacka swoim współlokatorem, wzbogacono fotografiami ich dwojga oraz znajomym kadrem z filmu, przedstawiającym twarz Jacka z nonszalancko rozmazanym błyszczkiem.

„To miłość platoniczna - powiedziała w wywiadzie Emma. - Jesteśmy tylko współlokatorami”. W innym wywiadzie oznajmiła: „Lubię robić Jackowi zdjęcia. Jest taki fotogeniczny”. (Pod tekstem widniało zdjęcie śpiącego Jacka).

Być może tylko Alice i pani Oastler wierzyły, że Emma i Jack nie są kochankami, chociaż Jack podejrzewał, iż Leslie ma co do tego wątpliwości. Ten osioł Lawrence też miał. Emma opowiedziała Jackowi, jak wpadła na Lawrence’a podczas lunchu „U Mortona”. Lawrence stracił pracę w CAA, ale nie puszczał na ten temat pary z ust. Zaczął bajdurzyć Emmie o założeniu agencji młodych talentów i pracy na „własny rachunek”. (Jak Myra Ascheim, o której wypowiadał się z taką pogardą).

Emma nie omieszkła zauważyć, że lunch też spożywał na „własny rachunek”. Restauracja „U Mortona”, ulubiony przez gwiazdy modny lokal w Melrose w West Hollywood, nie należała do miejsc, gdzie człowiek zwykł jadać sam. Emma doszła do wniosku, że Lawrence nie ma na widoku żadnych intratnych przedsięwzięć; zapewne dlatego też potraktował ją dość obcesowo.

- Nadal twierdzisz, że nie pieprzysz swojego chłopaka? - zapytał, mając na myśli Jacka. - Czy on chodzi na randki jako dziewczyna?

Emma była świadoma swojej przewagi fizycznej, ale postanowiła go zignorować.

- Jesteś do dupy, Lawrence - skwitowała. Myśl, że Lawrence nieświadomie zajął jedno z najmniej prestiżowych miejsc, sprawiła jej dostateczną satysfakcję.

Emma rzuciła pracę w wytwórni na kilka miesięcy przed publikacją „Recenzentki bzdur”. „Scenariusze to nie dla mnie” - zakomunikowała szefostwu, ale jeden ze zwierzchników wszedł w posiadanie odbitek szczerkowych książki. W Hollywood obowiązuje niepisane prawo, zbyt mętne i niesprecyzowane, by uchodzić za oficjalną regułę: nie wolno nazywać dupka dupkiem, a już na pewno nie na piśmie. Zgodnie z ową zasadą rzeczony przełożony uznał, iż Emma pogwałciła tę normę. Aby ukarać Emmę, skopiował robocze notatki i rozesłał je do agentów pechowych autorów. Lecz „kara” odbiła się rykoszetem: jak ktoś zaczyna robić kopie, koniec końców trafiają one do wszystkich. I tak

notatki dotarły do szefów innych wytwórni: wiele odrzuconych scenariuszy wciąż znajdowało się w obiegu.

Kilka trafiło do produkcji, a część była w fazie postprodukcji, co oznaczało, że na ich podstawie jakimś cudem nakręcono filmy: jeden niedawno się ukazał i krytyka przyjęła go z umiarkowanym entuzjazmem. Oczywiście recenzje nie były równie wnikliwe i zgrabnie sformułowane, jak notatki Emmy na temat wcześniejszej wersji scenariusza, które spodobały się nawet agentom pechowych scenarzystów: dwóch z nich zaproponowało Emmie współpracę.

Znany prezenter radiowy poprosił Emmę o zgodę na przeczytanie części notatek na antenie.

„Jasne - odpowiedziała Emma. - I tak wszyscy już je czytali”. (Oznaczało to dodatkową reklamę „Recenzentki bzdur”. Zresztą całkowicie zbyteczną).

Nie przysporzyło to Emmie zwolenników wśród scenarzystów, lecz największe oburzenie w branży wzbudziła wiadomość, iż Emma nie zamierza sama napisać scenariusza, a już na pewno nie przyłoży ręki do adaptacji „Recenzentki bzdur”. Nie kryła, że jej książka to w jednej trzeciej powieść pornograficzna: nikt nie pokusiłby się o zrobienie poważnego filmu na podstawie takiego materiału. Chcąc uniknąć tego rodzaju sytuacji, Emma zastrzegła sobie prawa do powieści, rzadko przysługujące pisarzom, a już na pewno nie debiutantom. Ponownie zaznaczyła, iż sama nie napisze scenariusza, jeśli jednak znajdzie się ktoś na tyle głupi, by to uczynić, decyzja co do obsady, reżysera oraz wersji ostatecznej będzie należeć właśnie do niej. Tak rygorystyczne warunki praktycznie wykluczały realizację filmu.

Emma nie stroniła od życia towarzyskiego i wszędzie ciągała ze sobą Jacka: wszyscy zakładali, że przymierza się do napisania kolejnej powieści osadzonej w Hollywood, ale Jack (jeszcze wówczas) nie wiedział, jak naprawdę się sprawy mają. Wychodził z założenia, że Emma po prostu lubi sobie wypić i dobrze zjeść. Jednakże ona uważała, iż jej obecność ma przypominać szefom wytwórni, że istnieje coś takiego jak recenzent, który potrafi pisać.

W branży zaczęto pochlebnie określać „Recenzentkę bzdur” mianem „nie do zaadaptowania”, co może uchodzić za komplement, pod warunkiem iż nie pada on zbyt często.

Jack martwił się o Emmę. Z bliżej nieokreślonych przyczyn kupiła dom, który wynajmowali w Santa Monica. Przeprowadzka z Venice wyprowadziła ją z równowagi: twarzo oznajmiła, że zamierza wreszcie osiąść w jednym miejscu. Ale podczas gdy wynajęcie domu w Santa Monica nie należało do najszcześniejszych pomysłów, kupienie go stanowiło przejaw czystej głupoty.

Był to dwukondygnacyjny budynek z trzema sypialniami, na końcu Entrada Drive, w pobliżu miejsca, gdzie Entrada zbiega się z autostradą Pacific Coast. Hałas z autostrady przebijał się przez szum klimatyzacji. Co więcej, wyziewy z jadłodajni były im obojgu najwyraźniej pisane: jak za sprawą fatum podjazd domu przecinał aleję biegnącą za włoską restauracją. Tym razem nie była to woń sushi, tylko starej parmigiany z bakłażana.

Mieszkali na Entrada Drive, kiedy powieść Emmy ujrzała światło dzienne, czyniąc autorkę (jak sama podkreślała nie bez dumy) „pisarką niezależną”. Było to ukoronowanie zemsty za czas zmarnowany na seminarium filmowym: Emma odniosła sukces w stolicy branży dzięki napisaniu książki. Pozostając w domu na Entrada oraz kupując kretyńską nieruchomość, raz jeszcze wypięła się na Hollywood. Przybyła do Los Angeles jako autsajderka i pragnęła nią pozostać.

- Nie przeniosę się do Beverly Hills, ptysiu.

- No tak... przynajmniej często tam jadamy - skwitował Jack.

Jedli, i to zazwyczaj w późnych godzinach wieczornych. Jack nie pił, a więc to jemu przypadała zawsze rola kierowcy. Emma bez trudu obalała samodzielnie butelkę czerwonego

wina, często jeszcze przed końcem kolacji. Szczególnie upodobała sobie lokal Kate Mantilini w Beverly Hills.

- Spory kawałek, żeby zjeść stek w bułce i tłuczone ziemniaki - utyskiwał Jack. Sam nie jadał ani pieczywa, ani ziemniaków.

Lecz Emma uwielbiała jeść przy barze biegnącym przez całą długość lokalu. Bywalcy z branży dobrze ją znali i pytali, jak idzie nowa powieść.

- Jakoś idzie - uciwała Emma. - Poznaliście mojego współlokatora, Jacka Burnsa? Grał laskę w „Mojej ostatniej autostopowiczce”. Znaczą się, tę ładniejszą.

- Grałem autostopowiczkę - precyzował Jack. Chociaż Myra Ascheim przekonywała go, aby się ogolił, zwykle nosił na twarzy mały zarost, aby zatrzeć wrażenie dwupłciowości, jakie stwarzał przy pierwszym spotkaniu.

W poniedziałkowe wieczory Jack i Emma jeździli do lokalu „Dana Tany” w West Hollywood. Przy barze można było obejrzeć program piłkarski, ale kelnerzy nosili smokingi. Gromadzili się tam zwykle ludzie z branży bądź tacy, którzy do niej aspirowali, w towarzystwie osobliwej zbieraniny dziwek i gangsterów. Najistotniejszym elementem wystroju były czerwone winylowe siedziska i obrusy w biało-czerwoną kratę, a potrawy nosiły nazwiska gwiazd filmowego świata.

- Którego dnia zjesz comber jagnięcy, sygnowany swoim nazwiskiem, ptysiu

- powtarzała Emma. Sama zwykle zamawiała kotlet cielęcy Lew Wassermanna. Po jego śmierci Jack czuł się cokolwiek nieswojo, jakby przyszło im spożywać mięso z samego Lew. Emma lubiła też stek à la Diller, lecz Jack przeważnie wybierał coś lżejszego, na przykład sałatkę. Jak za czasów swej kariery zapaśniczej, obficie raczył się mrożoną herbatą. Mając w żołądku pół galona herbaty, mógł przetańczyć całą noc.

Emma też przepadała za wieczornym słuchaniem muzyki. Oszałała na punkcie lokalu „Coconut Teaser” w West Hollywood na Bulwarze Zachodzącego Słońca. Było to dość obskurne miejsce: potężna dawka rock and rolla i rzesza spoconych ciał. Zglądała tam głównie młodzież. Emma czasem podrywała jakiegoś gówniarza i zabierała go do domu. Kiedy w drodze powrotnej migdalili się na tylnym siedzeniu, Jack odwracał wzrok.

- Słuchaj - mówiła zawsze Emma do szczeniaka - masz robić dokładnie to, co ci mówię. Jack usilnie starał się tego nie słuchać.

Próbował również nie wyobrażać sobie Emmy w pozycji na jeźdźca. Nie lubił myśleć o jej przypadłości, ale na zawsze zapamiętał noc, kiedy zastał ją w łazience we łzach, zgiętą z bólu.

- Obiecał, że nie będzie się ruszać - płakała. - Obiecał! Mały skurwieli!

Poranki po „schadzkach” były jedynymi, kiedy Emma nie wstawała wcześniej, aby pisać swoją następną powieść. („Numer dwa”, jak ją nazywała, jak gdyby właśnie tak miał brzmieć tytuł). Była uparta i zdyscyplinowana, ale tym razem nie towarzyszyło jej napięcie: opublikowała pierwszą powieść i była pewna, że ktoś zechce wydać drugą.

W pewnym sensie napięcie opuściło również Jacka. Pierwszy film nakręcony z Williamem Vanvleckiem, a co gorsza, perspektywa nakręcenia kolejnego, nie wywarły na CAA najmniejszego wrażenia. (Na ICM i Agencji Williama Morrisa też nie). Być może kiedy Jack uwolni się od zobowiązań wobec Dzikiego Billa, któraś z agencji zechce go reprezentować. Na razie jednak tkwił pod opiekuńczymi skrzydłami Myry Ascheim, która kazała się nazywać jego menedżerką.

Kiedy rzucał pracę w „American Pacific”, obyło się bez scysji: spał tylko z dwiema kelnerkami i jedna odeszła przed nim. Nawet kontrakt z Potworem Remake’ow bił na głowę pracę w restauracji.

Emma prosiła Jacka o czytanie listów od wielbicieli, zanim trafią one do niej. Nie zniosłaby nic negatywnego: Jack miał za zadanie nie dopuszczać do niej wyrazów jakiegokolwiek krytyki.

- I żadnych pogroźek, Jack. Wysyłaj je prosto do FBI.

Obyło się bez pogroźek, większość listów przychodzących do Emmy miała pozytywną treść. Zdaniem Jacka, najgorszy był upór, z jakim wielu czytelników opowiadało Emmie historie swego życia. Niesamowicie, ilu pomyłków pragnęło, aby o nich napisała.

Emma robiła to samo z jego listami od wielbicieli, które w końcu i tak czytał wszystkie, bez względu na ich wymowę. Nie dostawał nawet jednej dwudziestej poczty Emmy, a większość korespondencji kryła mniej lub bardziej zawołane aluzje. Były tam listy (zawsze ze zdjęciami) od transseksualistów („lasek kutasek”, jak nazywała ich Emma) oraz gejów z pytaniem o orientację Jacka. Czasem zdarzały się listy od młodych kobiet, w których często, ale nie zawsze, wyrażano nadzieję, iż Jack nie jest homoseksualistą.

Jacka bardziej interesowała korespondencja Emmy niż jego własna, ponieważ wmówił sobie, że w końcu natknie się na list od Michele Maher, która zażąda wyjaśnień w kwestii nazwiska głównej bohaterki „Recenzentki bzdur”. Lecz jego oczekiwania spełzały na niczym.

Brak informacji na temat Michele nie dawał Jackowi spokoju. Co gorsza, wyobrażał on sobie, że obejrzała „Moją ostatnią autostopowiczkę” i uznała ją za ostateczne potwierdzenie jego „dziwactwa”.

- Tylko poczekaj, aż Michele obejrzy twój następny film, ptysiu. Dopiero zobaczy! - Oboje czytali scenariusz Vanvlecka, który Emma skomentowała zwięźlim: „Brak słów”.

Tym razem Dziki Bill wziął w obroty magiczny, ale stosunkowo nieznaną film swego rodaka Petera van Engena, który zmarł na AIDS tuż po nakręceniu swego pierwszego i jedyne dzieła. Produkcja zatytułowana „Lieve Anne Frank” (czyli po angielsku „Droga Anno Frank”, jak początek listu do zmarłej dziewczynki) dostała nagrodę na jakimś holenderskim festiwalu filmowym. Pokazywano ją tylko w Niemczech, w wersji z dubbingiem. Poza granicami Holandii prawie nikt jej nie widział, oczywiście oprócz Williama Vanvlecka, który tak przerobił „Lieve Anne Frank”, że biedny Peter van Engen nie poznałby własnego filmu nawet z szerokiej perspektywy zaświatów.

„Lieve Anne Frank” - płynie głos spoza kadru. Głos należy do młodej Żydówki, mieszkanki współczesnego Amsterdamu; dziewczynka ma tyle samo lat, ile Anna w chwili schwymania przez Niemców i wywiezienia do obozu zagłady.

Emma i Jack obejrżeli holenderski film w sali projekcyjnej w domu Williama Vanvlecka. Potwór Remake’ów miał brzydką posiadłość na Loma Vista Drive w Beverly Hills. Dziki Bill lubił charty, które biegały luzem po domu, ślizgając się i wywracając na drewnianych podłogach. Vanvleck zatrudnił osobistą kucharkę i ogrodnika: surinamskie małżeństwo, tycią kobietkę z równie miniaturowym mężem.

- Droga Anno Frank - tłumaczył Dziki Bill na użytek Emmy i Jacka. Męczył go nikotynowy kaszelek. - Wierzę, że żyjesz we mnie, aja przyszłam na świat, aby ci służyć.

Dziewczynka ma na imię Rachela. Po szkole i w weekendy pracuje jako przewodniczka w domu Anny Frank, na Prinsengracht 263. Dom-muzeum jest otwarty codziennie, z wyjątkiem Jom Kippur.

- Dom Anny Frank jest piękny na swój melancholijny sposób - mówi do kamery Rachela, jakbyśmy my (widzowie) byli turystami, a ona naszą przewodniczką.

Przed oczami widza przesuują się kartki z odręcznym pismem Anny, odbitki z jej dziennika oraz liczne fotografie. Rachela podcina włosy, aby jak najbardziej upodobnić się do Anny, gardzi współczesną modą i gdy tylko może, wkłada ubrania, jakie mogłaby nosić sama Anna.

Widzimy, jak przeczesuje pchle targi i sklepy z używaną odzieżą, widzimy, jak wieczorami, z dala od spojrzeń rodziców, w zaciszu swojej sypialni, przybiera pozy z fotografii.

- Mogli uciec - powtarza uparcie. - Otto, jej ojciec, mógł ukraść łódź. Kanałem mogli dopłynąć do rzeki. Nie do morza, rzecz jasna, ale w jakieś bezpieczne miejsce. Wiem, że mogli uciec.

Aż dotąd nic szczególnego się w filmie nie wydarzyło, ale Emma płakała jak bóbr.

- Widzicie? Dobry, prawda? - pytał bez przerwy Vanvleck. - Bomba, nie?

Rachela obsesyjnie wierzy, iż jest nowym wcieleniem Anny Frank, wierzy, że może zmienić historię. W Jom Kippur, kiedy muzeum jest zamknięte, Rachela otwiera drzwi i wchodzi do środka, przebrana za Annę; ba, przeistacza się w nią, gdyż podobieństwo jest co najmniej uderzające. Następnego ranka, kiedy turyści czekają na wejście, Rachela vel Anna opuszcza dom, jak gdyby była Anną Frank. Niektórzy krzyczą, przekonani, że widzą ducha, inni podążają za nią, pstrykając zdjęcia.

Anna idzie w stronę kanału, Prinsengracht, gdzie Otto czeka z łodzią. W filmie absurdalnie jest to rodzaj gondoli, bardziej pasującej do Wenecji aniżeli do Amsterdamu, Otto zaś jest daleki od typu Włocha. Anna wsiada do łodzi, machając do wielbicieli.

Następuje kapitalne ujęcie ze złocistej korony Westerkerk na łódź płynącą Prinsengracht: tłumek oczarowanych turystów biegnie od mostu do mostu, wymachując rękami. Kamera śledzi łódeczkę wypływającą na szersze wody rzeki; więcej ludzi, kolejne trzaski migawki.

Koniec wizji zostaje przedstawiony niemal wyłącznie za pomocą dźwięku: tupotu żołnierskich butów na brukowanej ulicy oraz ich łomotu na schodach domu Anny Frank, który następnie widzimy pusty. Część mebli leży przewrócona, dookoła spoczywają kartki z dziennika Anny. Nie uciekła.

Emma wypłakiwała sobie oczy. Odgłosy psów harcujących w szmirowatej posiadłości przy Loma Vista Drive zlały się w świadomości Jacka z tupotem żołnierskich butów. Nie mógł sobie wyobrazić, jak Dziki Bill Vanvleck zmasakruje „Droga Anno Frank”.

Jak się okazało, scenariusz Potwora Remake’ów wpędził Jacka i Emmę w kilkudniową depresję.

- Chyba pójde do siłowni - oznajmił Jack po pierwszej lekturze.

- Brak słów - skwitowała Emma, po czym wzięła głęboki oddech i oznajmiła, że wraca do pracy. - Powinam się była domyślić, kiedy zobaczyliśmy film - powiedziała później Jackowi. - Nie było szans, że zagrasz Annę.

Jednakże pierwszego dnia po przeczytaniu scenariusza, kiedy dotarła do nich świadomość tego, co spotka „Droga Anno Frank”, Jack zdobył się jedynie na pójście do siłowni i ukaranie własnego ciała, a Emma podjęła pracę nad drugą powieścią. Scenariusz Szalonego Holendra był poniżej wszelkiej krytyki.

Sukces pogłębił pracoholizm Emmy. Wstawiała zwykle w porze nasilonego ruchu na autostradzie i wypijała kilka filiżanek mocnej kawy, czasem z zamkniętymi oczami, lecz zawsze przy włączonej muzyce, zbyt głośnej i metalicznej jak na gust Jacka, choć i tak wolał ją od jednostajnych taktów, płynących z większości samochodowych radioodbiorników.

Pisała przez cały ranek, kawa miała za zadanie „tłumić jej apetyt”. Kiedy Emma zgłodniała, wsiadała do samochodu i jechała na lunch. Podczas lunchu nie piła, choć apetyt zawsze jej dopisywał, zarówno w porze obiadowej, jak i podczas wieczornych wypadów do restauracji.

Lubiła „Le Dome” na Sunset Strip. Lokal utrzymany był w dość staroświeckim stylu, lecz szefowie wytwórni, agenci oraz prawnicy związani z branżą bardzo chętnie tu zaglądali. Emma lubiła też „Spago” w West Hollywood, pierwsze „Spago”, na wzniesieniu Bulwaru Zachodzącego Słońca. I chociaż tutejszy jadłospis przerastał możliwości finansowe nawet najpoczytniejszych debiutantów, Emma musiała raz w tygodniu zajrzeć do „The Palm” na Santa Monica Boulevard, gdzie - jej zdaniem - agenci mieli przewagę liczebną w stosunku do homarów i steków.

Nie pozwalała sobie nawet na chwilę wytchnienia. Po lunchu biegła do siłowni; tam przez większość popołudnia podnosiła ciężary. Następnie, kiedy już „strawiła” posiłek, robiła ponad sto brzusków. Żadnych ćwiczeń aerobowych. (Taniec oraz sporadyczny seks w pozycji na jeźdźca były jedynymi ćwiczeniami tego rodzaju, na które się zdobywała).

Jednym słowem, w ogóle się nie oszczędzała. Jack nie znośił, kiedy prowadziła, nawet na trzeźwo. Lubiła szybką jazdę, lecz był to tylko jeden z powodów niepokoju Jacka.

Emma uwielbiała Bulwar Zachodzącego Słońca. Już w Toronto, jako uczennica Świętej Hildy, marzyła o jeździe tą trasą. Jeździła tamtędy, kiedy tylko mogła: do Beverly Hills, West Hollywood i Hollywood. Zawsze Bulwarem Zachodzącego Słońca.

Jack najbardziej martwił się o jej drogę powrotną. Wiedział, że dużo zjadła, a następnie gorliwie próbowała to spalić. Myśl o wirażach nie dawała mu spokoju. Zakręt w lewo na Chautauqua, tuż przed Palisades, był bardzo stromy i wił się w kierunku autostrady Pacific Coast. Człowiek musiał wręcz zjeżdżać na lewy pas, gdyż droga przybierała kształt litery U.

Zwykle działo się to późnym popołudniem, w porze największego nasilenia ruchu, dwie lub trzy litrowe butelki mineralnej wody Évian po sesji na siłowni. Mając za sobą trzy czwarte wspomnianego zakrętu, Emma przenosiła wzrok na ocean. Jack znał ją na wylot. Nie patrzyła na samochody, które nieodmiennie przegrywały w konkurencji z migotliwym, błękitnym skrawkiem Pacyfiku. Bądź co bądź pochodziła z Toronto. LA wpływało na człowieka proporcjonalnie do jego miejsca pochodzenia: w Toronto nie oglądał Pacyfiku.

Jack czekał w domu na jej powrót. Potem pisała, a on szedł do siłowni. (Nie przyznawał się, że czasami chodzi do „Gold’s”).

Był to dobry czas na ćwiczenia; w większości przebywali tam niepijący oraz garstka niejeżdżących. Jack poznał kilka napakowanych kobiet, podnoszących ciężary, natomiast bieżnie obleżone były przez wychudzone dziewczęta, których miejsce w porze kolacji zastępowały anorektyczki. Jedna z nich (trenująca godzinę każdego wieczoru) poinformowała Jacka, że jest na „diecie koktajlowej”.

- I jak twoja energia? - zapytał.

- Owoce leśne, łyżeczka miodu, beztłuszczowy jogurt, co trzeci dzień banan. Miksuję wszystko razem - powiedziała. - Organizm nie potrzebuje nic więcej.

Któregoś wieczoru spadła z bieżni i legła bez ruchu. Jeden z instruktorów jogi wyraził przypuszczenie, że „poszła okrężnica”. Jack zapamiętał grupkę pakerów stojących przed siłownią, którzy na widok karetki zaczęli wymachiwać rękami.

Jack jadł to, co zwykle: przeważnie produkty białkowe oraz trochę węglowodanów, aby zrekompensować czas spędzony na bieżni. Nie forsował się podnoszeniem ciężarów, opierając ćwiczenia głównie na powtórzeniach. Nie chodziło mu o przyrost masy mięśniowej. Jego praca, a innymi słowy, jej znalezienie (kolejna rola, a potem następna) zależały od tego, czy pozostanie rozeźlony i zabiedzony.

Co wieczór wychodził z siłowni osłabiony z głodu. Wracał do domu i jechali z Emmą coś zjeść, po czym rano budził się ze ściśniętym żołądkiem. Można powiedzieć, że też gonił resztką sił, choć i tak było mu daleko do Emmy.

Pewnego wieczoru, pochłaniając u Kate Mantilini swoją porcję tłuczonych ziemniaków, Emma zauważyła, że Jack nie dokończył sałatki. Zastygł bez ruchu i nie spuszczał z niej oka. Na jego twarzy nie malował się wyraz odrazy, lecz troski, choć znając Emmę, pewnie wolałaby to pierwsze.

- Myślisz, że umrę młodo? - zapytała.

- Nie! - odparł, trochę za szybko.

- A właśnie że tak - oznajmiła. - Jeśli apetyt mnie nie wykończy, z całą pewnością zrobi to pochwica.

- Przecież pochwica nie jest śmiertelna, prawda? - zapytał.

Emma wepchnęła sobie do ust kolejną porcję ziemniaków i tylko wzruszyła ramionami.

22 • Złote strzały

Wśród największych hitów 1989 roku znalazł się „Batman” i „Zabójcza broń 2”, ale Oscar dla najlepszego filmu przypadł obrazowi „Wożąc pannę Daisy”. Drugi film Jacka, nakręcony wraz z Williamem Vanvleckiem, nosił tytuł „Przewodnik” i nie zdobył żadnych nagród.

Odpowiednik domu Anny Frank znajdował się w Las Vegas. Było to miejsce kultu zmarłej gwiazdy rock and rolla (czyli Jacka), której pierwowzorem była Janis Joplin. Ściągały tam tłumy fanów seksownej piosenkarki, która w pierwszych scenach filmów dusi się na śmierć własnymi wymiocinami w wyniku orgii alkoholowej. Piosenkarka ma na imię Melody: jej zespół o nazwie Czysta Niewinność bierze początek na zjazdach beatników we wczesnych latach sześćdziesiątych. Muzycy porzucają swoje folkowo-jazzowo-bluesowe korzenie na rzecz psychodelicznego rocka, znajdując niszę oraz rzesze wielbicieli wśród dzieci-kwiatów w San Francisco w 1966 roku.

Każdy szczegół remake’u Williama Vanvlecka został skradziony z czegoś innego: Czysta Niewinność i wzrost popularności Melody nawiązuje do początków Janis Joplin w grupie Big Brother and the Holding Company. Pierwszy singel Melody, „Nie poczynaj sobie z moim sercem” podejrzanie przypomina „Bali and Chain” Big Mamy Thomton. Jack zaśpiewał to całkiem przyzwoicie.

Jack vel Melody wkrótce porzuca zespół i stawia na karierę solową. W 1969 roku płyty Melody zyskują status złota, platyny i potrójnej platyny. Melody powraca do bluesa ostatnim wielkim hitem „Zły Bill dał dyla”, odą do sadystycznego dawnego chłopaka, byłego pierwszego gitarzysty, którego - według relacji brukowców - Melody próbowała otruć, faszeryjąc jego ulubioną lasagne z marihuaną i trutką na szczury. (Fakt, że „Zły Bill dał dyla” budziło skojarzenie z „Me and Bobby McGee” też nie mógł być zbiegiem okoliczności).

Jack vel Melody umiera zalana w trupa, dusząc się rzygowinami po koncercie w pokoju hotelowym w Las Vegas, co prowadzi do powstania miejsca kultu na końcu zatoki Mandalay. Ekspozycja wyuzdanej bielizny Melody nie pasuje do okolicznych kasyn oraz hoteli i łatwo ją przeoczyć, ale Szalony Holender zawsze chciał nakręcić film w Las Vegas i wreszcie udało mu się dopiąć swego.

Dziki Bill mógł się postarać o lepszą piosenkarkę do roli Melody, ale z pewnością nie o ładniejszą. („Byłeś boski, ptysiu - powiedziała Emma. - Do śpiewu można by się przyczepić, ale byłeś boski, bez dwóch zdań”). Jako facet Jack też nie był zły: zagrał tytułowego przewodnika.

- Dla maksymalnego uproszczenia sprawy - oznajmił Dziki Bill Vanvleck - nazwiemy cię Jack.

Jack vel Jack jest oddanym fanem Czystej Niewinności z czasów, kiedy śpiewała z nimi Melody. Kiedy Melody odchodzi z zespołu, Jack jeszcze uczęszcza do college’u; w chwili jej śmierci jest świeżo upieczonym absolwentem. Jego uwielbienie dla Melody wynika z czegoś więcej aniżeli fascynacji przedwcześnie zmarłą wokalistką. (Idąc, Jack sprawia wrażenie, jakby tańczył: w głowie kołaczą mu takty „Zły Bill dał dyla” i „Nie poczynaj sobie z moim sercem”).

Obleśny dyrektor Muzeum Melody, jak zwie się bezwstydnym relikwiarz, zatrudnia Jacka vel Jacka jako przewodnika, ale ten nie pochwała co poniektórych eksponatów, uważając je za nadużycie (choć większość poczynań swobodnej artystki mogła za takowe uchodzić). Jej instrumenty muzyczne nie budzą zastrzeżeń, podobnie jak sama muzyka oraz fotosy z koncertów. Istnieją jednak również zdjęcia „kontrowersyjne”, przedstawiające Melody w uścisku sadystycznego gitarzysty bądź Melody pijaną do nieprzytomności na motelowym łóżku. No i ubrania, zwłaszcza „bielizna osobista”: Jack uważa, że nikt nie powinien jej oglądać ani macać. Nie podoba mu się też kolekcja pustych flaszek po winie, tym bardziej że

daty na niektórych etykietach jasno wskazują, że alkohol został rozlany do butelek już po śmierci Melody.

Dyrektor, prekursor postaci Harveya Keitela w „Świętym dymie”, przekonuje Jacka, że butelki tworzą „atmosferę”, bielizna zaś, zwłaszcza różowe stringi, jest „nieodzowna”.

Tak jak Rachela wmawia sobie, że Anna Frank mogła uciec, Jack wierzy, że Melody nie musiała umrzeć. Gdyby tylko był w pobliżu i dobrze ją znał, mógłby temu zapobiec. Traktuje mauzoleum jako zdradę pamięci Melody, pogwałcenie jej czci.

Którejś nocy, kiedy muzeum jest zamknięte, Jack wchodzi do środka: ma klucz. Przynosi kilka pustych walizek i pakuje do nich co bardziej intymne bądź kontrowersyjne eksponaty, hańbiące reputację Melody, która ewidentnie jest świętością tylko dla niego. Dwaj gliniarze w wozie patrolowym widzą światła w budynku i postanawiają zbadać sprawę. Ale Jack vel Jack zamienia się w Jacka vel Melody. Przebrany za zmarłą wokalistkę, przenosi walizki tuż pod nosem oniemiałych funkcjonariuszy i odchodzi. (Nie każdemu facetowi uszłyby na sucho szmaragdowozielone błyskotki na czarnym spandeksie). Tutaj nastąpił powiew geniuszu reżyserskiego Szalonego Holendra: do chwili gdy Jack vel Melody opuszcza muzeum, taszcząc walizki, publiczność nie miała okazji widzieć tej części Vegas w nocnej krasie neonowego splendoru.

Z niewyjaśnionych przyczyn gliniarze pozwalają mu odejść. Czyżby brali go za ducha Melody? (Nie wyglądają na przestraszonych). Wiedzą, że jest przebrany mężczyzną? (Ich twarze wyrażają doskonałą obojętność). A może (podobnie jak Jack i publiczność) uważają relikwiarz za porąbane miejsce? Czy, ich zdaniem, muzeum zasługuje na obrabowanie?

Dziki Bill Vanvleck pozostawia to bez wyjaśnienia. Potworowi Remake’ów chodzi o efekt: Jack vel Melody podąża przed siebie w szmaragdowozielonych szpilkach i obcisłej sukience, wlokąc wypchane, niemal pękające walizki. Kiedy Jack odchodzi, znikając w ciemnościach (odrodzony jako Melody albo po prostu w poszukiwaniu taniego hotelu), dostrzega go obleśny dyrektor muzeum. Jack wygląda tak olśniewająco, że tamten nie oponuje. Krzyczy tylko: „Jesteś zwolniony, Jack, ty dziwko!”.

- Warto stracić taką robotę - odpowiada Jack głosem Melody. (Oto wkład Jacka Burnsa w żaloszny scenariusz Vanvlecka. Jego przewidywania odnośnie do tej kwestii sprawdziły się co do joty).

„Przewodnik” nie okazał się najgorszym filmem tego roku. (Ani następnego, który wydał na świat takie dzieła jak „Zmutowane żółwie ninja” i „Szklaną pułapkę 2”.) Poza tym wszyscy mieli zapamiętać scenę z Jackiem Burnsem w damskich fatalaszkach i jego „Warto stracić taką robotę”. Można było puścić w niepamięć film, ale ostatnią kwestię oraz ujęcie - nigdy.

Podczas rozdania nagród Akademii Filmowej w 1991 roku ceremonię prowadził Billy Crystal. Nieźle, ale z jednym dowcipem nieco się zagalopował. Publiczność była niegłupia, mimo to większość zgromadzonych nie zrozumiała żartu. W przeciwieństwie do Jacka, który oglądał program w telewizji i z miejsca rozpoznał własne słowa.

Billy Crystal mówił o możliwym zastąpieniu go w roli gospodarza ceremonii. Publiczność zgodnie zaprotestowała; uwagi większości z nich umknęły kolejne słowa, wypowiedziane rozmyślnie piskliwym głosem: „Warto stracić taką robotę”.

Emma i Jack zrozumieli, że sukces Jacka jest przesądzony.

- Cholera, słyszałeś to, ptysiu?

Byli akurat w domu pani Oastler w Toronto, lecz Alice i Leslie szeptały coś w kuchni i przegapiły cytat. Poszły spać, zanim „Tańczący z wilkami” dostał Oscara za najlepszy film.

Jack nie tylko usłyszał słowa Billy’ego Crystala; sposób, w jaki aktor przedrzeźniał Jacka vel Melody, również wywarł na nim piorunujące wrażenie.

- Jezu - powiedział.

- Koniec z Szalonym Holendrem, ptysiu - oznajmiła Emma. - Nie mogę się doczekać twojego następnego filmu.

Siedzieli na kanapie w wielkim salonie domu, który Jack nazywał dawniej w myślach posiadłością Oastlerów. (Było to, zanim napatrzył się na prawdziwe posiadłości w Beverly Hills). Spoglądając Emmie przez ramię, widział podnóże schodów, gdzie pani Machado wymierzyła mu kopniaka, który okazał się nader katastrofalny w skutkach.

Emma sprzedała drugą powieść za gigantyczne pieniądze. Przed oddaniem maszynopisu wydawcy zaniósła go do Boba Bookmana w CAA. Tym razem nie miała zamiaru nie dopuszczać do ekranizacji. Zgodnie z oczekiwaniami Emmy Bookman załatwił jej kontrakt z wytwórnią jeszcze przed wydaniem książki.

Druga powieść hollywoodzka Emmy, zatytułowana „Miła i normalna”, opowiadała o młodym małżeństwie z Iowa, które przybywa do fabryki snów w nadziei, że uda mu się zaistnieć na dużym ekranie. Johnny, młody małżonek, pierwszy porzuca swoje marzenia. Jest zbyt wrażliwy jak na aktora, kilka brutalnych castingów i chłopak ma dosyć. Poza tym jest zwolennikiem zdrowego i prawego trybu życia: zero alkoholu itede. Obdarzony chłopięcym wdziękiem i czystym kontem, dostaje pracę jako szofer. Wkrótce ma jedno zlecenie za drugim.

Zgodnie z ironicznym zamysłem Emmy, Johnny zaczyna wozić gwiazdy filmowe. Nieustanna tęsknota za wymagowanym życiem w blasku fleszy znajduje odbicie w kucyku, jedynym przejawie buntu na tle pozostałych szoferów. Kucyk jest schludny i niezbyt długi. (Emma opisuje Johnny'ego jako „atrakcyjnego w delikatny, niemalże kobiecy sposób”). Długie włosy bardzo do niego pasują; Johnny czuje się szczęściarzem, iż szefostwo nie zmusza go do obcięcia włosów.

Jego żona Carol ma mniej szczęścia. Rozpoczyna pracę w agencji towarzyskiej. Johnny jest zdruzgotany, ale niechętnie wyraża zgodę. Carol trafia do kolejnych agencji w porządku alfabetycznym: „Absolutnie Olśniewająca”, „Bardzo Ponętna” etc.

Johnny stawia weto przy agencji „Lanie na Kolanie”. Ale to bez znaczenia, gdyż Carol odkrywa, że agencje w ogóle się od siebie nie różnią. Wszędzie oczekują od niej tego samego, a mianowicie wszystkiego.

Nigdy nie wiadomo, czy Carol wytrwa w danej agencji tydzień, miesiąc czy niespełna jeden dzień. Wszystko zależy od tego, jak szybko trafi na „nietypowego” klienta. Z chwilą gdy odmawia spełnienia czyichś zachcianek, jej dni w agencji są policzone.

Podobnie jak w „Recenzentce bzdur”, w „Miłej i normalnej” pobrzmiewa współczucie dla dysfunkcyjnego, opartego na kompromisach związku, któremu mimo wszystko udaje się przetrwać. Miłość Carol i Johnny'ego zwycięsko przechodzi wszystkie próby, albowiem tych dwoje łączą identyczne zapatrywania na obowiązujące w życiu normy miłego i normalnego zachowania.

Carol przyjmuje tylko zlecenia na telefon. Zawsze dzwoni do Johnny'ego z informacją, dokąd jedzie, podając mu nie tylko nazwę hotelu, ale i nazwisko klienta i numer pokoju hotelowego. Ponownie dzwoni po dotarciu na miejsce oraz bezpiecznym opuszczeniu pokoju. Jednakże „nietypowe” zlecenia zdarzają się nagminnie i Carol raz po raz traci pracę.

Wreszcie Johnny ma pomysł: Carol powinna umieścić w „Panoramie Firm” własną rubrykę. Najlepszą rzeczą, jaką zwykle ma do powiedzenia o kliencie, jest to, że był „miły”. „Miły” znaczy „normalny” - i tak Carol postanawia wystąpić pod szyldem „Miła i normalna”.

Emma pisze: „Pewnie przyciągnęłyby więcej klientów nazwą «Urlop Macierzyński». Któż oczekuje od agencji normalności i miłego sposobu bycia?”

Johnny zaczyna działać jako stręczyciel. Ma kilku stałych klientów, osoby, o których myśli, że dobrze zna, wśród nich gwiazdy filmowe. „Pewnie nie jest pan zainteresowany - mówi do jednego z pozornie miłszych osobników, których obwozi w limuzynie. - Gdyby jednak miał pan ochotę skorzystać z usług agencji towarzyskiej, znam pewną bardzo miłą

kobietę, miłą i normalną, jeśli oczywiście docenia pan podobne walory. Nic nietypowego, żebyśmy się dobrze zrozumieli”.

Kiedy po raz pierwszy rzuca tę kwestię pod adresem sławnego aktora, czytelnikowi pęka serce. Już wiemy, że Johnny poświęcił swe marzenia o aktorstwie na rzecz obwożenia gwiazd limuzyną. A teraz na dodatek podsuwa im własną żonę!

Wygląda na to, że zainteresowanie wy kazują tylko starsi mężczyźni, których większość nie jest gwiazdami. Są to przeważnie statyści, westernowe typki spod ciemnej gwiazdy, o zniszczonych twarzach i miękkich kolanach, starzy kowboje z chronicznym bólem krzyża. Carol i Johnny oglądali w dzieciństwie tamte westerny: one właśnie obudziły w nich pragnienie pogoni za marzeniami.

W domu, obskurnej połówce bliźniaka w Marina del Rey, położonego w pobliżu lotniska, Carol i Johnny bawią się w przebieranki. Zamieniają się rolami: Carol związuje jasne włosy w kucyk i wkłada białą koszulę oraz czarny krawat, co skłania Johnny'ego do kupienia jej skrojonego na miarę męskiego czarnego garnituru. Carol przebiera się za kierowcę limuzyny, a następnie zrzuca przed mężem odzież.

Johnny pozwala stroić się w damską odzież; później Carol kupuje mu stanik, sztuczne piersi oraz sukienkę. Szczotkuje długie włosy męża i nakłada mu makijaż: szminkę, tusz, cienie. Johnny naciska guzik dzwonka i Carol wpuszcza go do środka: mężczyzna udaje prostytutkę, która zjawia się w pokoju hotelowym. „Tylko tak mogli zagrać: razem, w jednym filmie” - pisze Emma.

Do miasta przyjeżdża emerytowany kowboj ekranu, który promuje swój nowy film, określany przez Emmę mianem „westernu nouvelle”. Lester Billings przyszedł na świat jako Lester Magruder w Billings w stanie Montana. Jest prawdziwym kowbojem i nowoczesne westerny działają mu na nerwy. Ubolewa, że to gatunek na wymarcie, a młodzi aktorzy nie potrafią jeździć konno ani strzelać. W promowanym przezeń tak zwanym westernie nie ma dobrych ani złych postaci: każdy jest antybohaterem. „Francuski western” - mówi pogardliwie Lester.

Johnny wysyła Carol do pokoju Lestera, kiedy aktor zdradza słabość do miłych i normalnych kobiet. Ale Lester jest prawdziwym kowbojem: dosiada Carol. („Początkowo nie było w nim nic nietypowego” - zapewnia męża Carol). Kiedy sprawy podążają zwykłym torem, Lester ni stąd, ni zowąd przystawia sobie pistolet do skroni. To kolt kaliber 45: załadowana jest tylko jedna komora. Lester nazywa to kowbojską ruletką.

„Umrę w siodle albo doczekam dnia jutrzejszego!” - wrzeszczy. Kiedy Lester naciska spust, Carol rozmyśla nad liczbą miejscowych dziewcząt, którym dane było usłyszeć suchy trzask pustej komory. Nie tym razem. Nadeszła pora na śmierć w siodle.

Wczesnym popołudniem w „Peninsula Beverly Hills” nie ma wielu gości, którzy mogliby usłyszeć strzał. Poza tym stałymi bywalcami hotelu są ludzie w raczej podeszłym wieku: być może drzemią albo mają wadę słuchu. Emma opisuje „Peninsula” jako „coś w rodzaju «Four Seasons», z większą liczbą dziwek i biznesmenów”.

Hotel przylega do CAA; może jakiś agent słyszy huk, ale nikt poza tym. A zresztą czy wystrzał mógłby zainteresować agenta?

Carol dzwoni do Johnny'ego. Wie, że nikt nie zauważył jej przybycia, ale co będzie, jeśli ktoś zobaczy jej wyjście? Jest roztrzęsiona, co nie powinno budzić zdziwienia; dochodzi do wniosku, że wygląda jak prostytutka. Jest w błędzie. Ubiera się jak pracownica wytwórni na firmowy lunch: zgodnie z obowiązującą zasadą normalności, stroni od frywolnych łańszków.

Johnny przybywa jej z pomocą. Zjawia się w pokoju Lestera z asortymentem rekwizytów dla nich obojga. Strój szofera dla Carol oraz suknia, stanik i sztuczne piersi, które otrzymał od żony. Kiedy Carol kończy go charakteryzować, Johnny bardziej przypomina prostytutkę, niż kiedykolwiek stało się to udziałem jego żony.

Objasnia jej, gdzie zaparkował limuzynę. Niedaleko, ale nie widać jej z wejścia do hotelu. Mówi, że żona ją znajdzie.

Zanim Johnny vel prostytutka opuści hotel, chce się upewnić, że ktoś go zauważa. Przed wyjściem z pokoju płucze usta bourbonem z minibaru. Podchodzi do recepcji, po czym łapie recepcjonistę za kłapy i zionie mu w twarz.

- Powinieneś o czymś wiedzieć - mówi ochryplym głosem. - Lester Billings wyjechał. Obawiam się, że zostawił w pokoju mały rozgardiasz. - Następnie Johnny vel prostytutka puszcza chłopaka i rozkołysanym krokiem wychodzi z hotelu. Razem z Carol jedzie do „Marina del Rey”, gdzie przebierają się w zwykłą odzież.

Na końcu powieści zatrzymują się na noc w motelu, w bok od drogi między-stanowej numer 80, gdzieś na Środkowym Zachodzie. Wracają do Iowa w nadziei na normalną pracę i miłe życie. Carol jest w ciąży. (Agencja towarzyska pod nazwą „Urlop Macierzyński” mogłaby zrobić furorę, lecz Carol nie chce o tym słyszeć, a Johnny ma dosyć szoferowania gwiazdorom).

W motelowym pokoju oglądają w telewizji stary film Lestera Billingsa, prawdziwy western. Lester gra poganiacza bydła: umiera w siodle, zastrzelony na koniu.

Zgodnie z przewidywaniami Emmy „Miła i normalna” okazała się lepszym filmem niż książką. Gdy powieść znajdowała się na liście bestsellerów „New York Timesa”, film był już w fazie produkcji. Wielu krytyków narzekało, że pisząc książkę, autorka miała w myślach gotowy scenariusz. Oczywiście on też był dziełem Emmy; krytycy filmowi sugerowali, że mógł powstać jeszcze przed napisaniem powieści. Emma nie wyprowadzała ich z błędu.

Jack nie znał szczegółów kontraktu zawartego z Bobem Bookmanem w CAA, wiedział tylko, że Bookman, który zwykle nie reprezentował aktorów, zgodził się go reprezentować. Z umowy (pisemnej, ustnej tudzież telefonicznej) wynikało, że zarówno Emma, jak i Jack mieli swój udział w filmie na podstawie „Miłej i normalnej”. Zadaniem Emmy było napisanie scenariusza, Jackowi zaś przypadła rola Johnny’ego. Naturalnie Emma od początku widziała go w kreacji budzącego sympatię miłośnika przebieranek. A że nosił wówczas włosy do ramion, tym razem obyło się bez peruki.

Rolę Carol zagrała Mary Kendall: najbardziej niewinna dziwka ekranu. Jake „Pies Stepowy” Rawlings zagrał Lestera Billingsa; wystąpił po długiej przerwie i była to jego jedyna rola nie w westernie.

Kiedy Mary Kendall i Jack trzymają się za ręce w pokoju hotelowym i oglądają telewizję, nie ma między nimi żadnej wymiany zdań. W tej samej scenie w powieści Carol mówi: „Ciekawe, ile razy w karierze przyszło mu paść trupem”.

„Tyle, żeby nie musiał się bać” - odpowiada Jack.

Lecz Emma uznała, że w filmie najlepszym rozwiązaniem będzie milczenie. Widz patrzył, jak oglądają śmierć starego kowboja. Ich marzenia o sławie też umarły; twarze Carol i Johnny’ego emanują rezygnacją. Telewizor rzuca na nie zielonkawą i siną poświatę.

Ale Jack wolałby wypowiedzieć kwestię swojego bohatera. („Tyle, żeby nie musiał się bać”).

- Może jeszcze kiedyś z niej skorzystasz - oznajmiła Emma - ale nie tym razem. Teraz to ja jestem scenarzystą.

Była kimś znacznie więcej. Wzięła na siebie rolę architekta przyszłości Jacka, katalizatora, który umożliwił mu przeskoczenie od Dzikiego Billa Vanvlecka do tego, co z grubsza uchodziło za główny nurt. Jack Burns, rzecz jasna, nadal słynął z przebieranek, ale zmienił repertuar na poważny.

Nominacja do Oscara okazała się niemałym zaskoczeniem: Jack nie podejrzewał, że jego szofer wzbudzi aż taką sympatię. Nie zdziwił się też bynajmniej, że nie wygrał. Mary Kendall także otrzymała swą pierwszą nominację i także nie wygrała. Niemniej jednak oboje zostali nominowani, co samo w sobie zakrawało na cud.

Nagrodę za najlepszy film zdobyło „Milczenie owiec”, a tytuły najlepszego aktora i aktorki przypadły Anthony’emu Hopkinsowi oraz Jodie Foster: rok bezapelacyjnie należał do nich.

Emma nie dostała nominacji. Scenarzyści byli nominowani przez scenarzystów, tymczasem w Hollywood jeszcze nie przebrzmiało echo skandalu z notatkami byłej recenzentki. Emma i Jack poszli razem na ceremonię i świetnie się bawili. Zwykle zgadzali się co do tego, kto zasługuje na miano dupka: identyfikacja tych ostatnich była przy takich okazjach nieodzowna.

Gospodarzem wieczoru i tym razem był Billy Crystal: winą za opóźnienie ceremonii żartobliwie obarczył Jacka, który „jeszcze zmienia stanik”.

Emma z dumą obnosiła na szyi okazałą malinkę. Jack zrobił ją na jej prośbę. Emma dawno nie była na randce i czuła się bardzo niedowartościowana.

- Niech przynajmniej myślą, że ktoś mnie całuje, ptysiu.

Malinka nie umknęła uwagi pani Oastler, która oglądała transmisję w Toronto.

- Nie mogłaś jej jakoś zatuszować? - spytała później córkę.

Było to trzydziestego marca 1992 roku: Alice i pani Oastler po raz pierwszy obejrzały całą ceremonię, chociaż Jack próbował wybić im to z głowy. Wiedział, że Anthony Hopkins zdobędzie pierwszą nagrodę, ale Leslie i Alice i tak dotrwały do końca.

Podczas prezentacji nominowanych aktorów pokazywano fragment filmu. Jack wiedział, którą sekwencję wybrałby dla siebie: tę, kiedy siedzi za kierownicą limuzyny i spogląda w lusterko wsteczne na żonę, siedzącą samotnie na tylnym siedzeniu. Carol próbuje doprowadzić do porządku fryzurę i makijaż: jest trochę potargana po szorstkich zalotach nadgorliwego turysty na Beverly Wilshire. Jack zerka przelotnie w lusterko, a następnie przenosi wzrok z powrotem na drogę. Jest to spojrzenie stoickie, a zarazem noir. Jack był bardzo dumny z tego zbliżenia.

Jednakże w marketingu nie istnieje pojęcie przesady. Zamiast ulubionej sekwencji Jacka pokazano scenę w recepcji, kiedy przebrany Jack dyszy recepcjoniście w twarz oddechem przesiąkniętym wonią bourbona.

„Powinieneś o czymś wiedzieć - mówi ochryplym głosem. - Lester Billings wyjechał. Obawiam się, że zostawił w pokoju mały rozgardiasz”.

- Złoty strzał - powiedziała Myra Ascheim, kiedy Emma i Jack wpadli na nią na przyjęciu oscarowym „U Mortona”. Ułynęły wieki, zanim dostali się do środka; kolejka limuzyn ciągnęła się jak okiem sięgnąć.

Jack nie znał tego określenia.

- Złoty strzał? - powtórzył.

- Jest Kanadyjczykiem - wyjaśniła Myra. (Jack zauważył, że siedzi obok swojej siostry Mildred).

- Dwie stare wrony na gałęzi - skomentowała później Emma.

- W pornosie - wyjaśniła Milly Ascheim, nie patrząc na Jacka - złoty strzał to moment wytrysku. Nie dochodzisz, dostajesz figę. Albo pokażesz, na co cię stać, albo nie.

- A co mówimy, kiedy nie pokażesz? - spytała Emma.

- Kraby w lodowatej wodzie - burknęła Milly. - Złoty strzał to mus.

- To samo można powiedzieć o twojej scenie w recepcji, Jack - oznajmiła łaskawie Myra. Może była trochę wkurzona, bo jej nie rozpoznał. (Nie miała na głowie czapki baseballowej).

- Rozumiem - powiedział Jack. Spieszyło mu się do wyjścia. Emma trzymała go za rękę; czuł, że też chce już iść. Wrony mierzyły ją wzrokiem, delikatnie mówiąc, niezbyt życzliwym.

- To bez znaczenia, że nie wygrałeś, Jack - podjęła Myra, nie spuszczać oka z Emmy.

- To ma znaczenie tylko wówczas, kiedy wygrywasz - uściśliła Milly.

- Musimy lecieć... kroi się następne przyjęcie - oznajmiła Emma. - Z młodszą obsadą.
- Fajna malinka - powiedziała Mildred Ascheim.
- Dzięki - odparła Emma. - Mam ją od Jacka.

Mildred przeniosła badawcze spojrzenie z Emmy na Jacka.

- Milutki, prawda? - zwróciła się do niej Myra. - Nie ma się co dziwić, że robią wokół niego tyle hałasu.

Jack widział, że Milly Ascheim obraca w myślach słowo „milutki”. Pamiętał, że w jej świecie nie ma ono racji bytu.

- Moim zdaniem, jest bardziej milutki jako dziewczyna - oświadczyła Mildred Ascheim, ponownie lustrując Emmę.

Jackowi przyszło do głowy, że Milly się waha, czy go nie zdemaskować.

Wtedy Myra powiedziała:

- Jesteś zazdrosna, Milly, bo ja go pierwsza poznałam.

Oho, pomyślał niespokojnie Jack. Lecz Mildred Ascheim jeszcze raz sprawiła mu niespodziankę. Popatrzyła na niego znacząco i zachowała milczenie. Nie było to porozumiewawcze spojrzenie: chciała jedynie dać mu do zrozumienia, że nadal ma w pamięci pewien niefortunny detal castingu w Van Nuys. Postanowiła tylko ujawnić go w bardziej sposobnej chwili.

- Na miłość boską, Myra, to noc oscarowa - upomniała ją Milly. - Niech dzieciaki świętują.

- Tak, na nas już czas - potwierdziła Emma.

- Dziękuję - powiedział Jack, zwracając się do Mildred Ascheim.

Milly raz jeszcze zerknęła na Emmę i zbyła Jacka machnięciem ręki. Jack zadrżał, że wypuści na koniec zatrutą strzałę. („Na razie, fiutku” czy coś w tym rodzaju.) Lecz Milly widocznie ugryzła się w język.

- Zapamiętaj moje słowa, Mildred: Jack Bums ma przed sobą niejednego złoty strzał - usłyszał jeszcze słowa Myry Ascheim.

- Możliwe - odrzekła Milly. - Aleja nadal uważam, że jest bardziej milutki jako dziewczyna.

- Nie przejmuj się tymi babsztylami, ptysiu - powiedziała Emma po powrocie do limuzyny.

Utonęli w morzu pojazdów. Jack nie wiedział, dokąd jadą, i wcale go to nie obchodziło. Zawsze pozwalał, aby Emma decydowała za niego.

Po takim wieczorze spodziewał się wieści od wszystkich znajomych, nawet pomimo przegranej. (A może właśnie z jej powodu). Lecz otrzymał niewiele listów. Caroline Wurtz zadzwoniła do Alice.

- Proszę przekaż Jackowi, że moim zdaniem, powinien być wygrać - oznajmiła panna Wurtz. - Też, dawać Oscara za jedzenie ludzi!

Kiedy Emma i Jack wrócili do domu w Santa Monica, pierwsza wiadomość, którą odsłuchali na sekretarce, pochodziła od pana Ramsey'a.

- Jacku Bums! - brzmiała. To było wszystko i w zupełności wystarczyło.

Do Jacka powoli docierały wiadomości od dawnych przyjaciół z maty. Trener Clum z Redding napisał: „Miałeś rację, Jack. Kalafiorowate uszy nie pasowałyby do dziewczyny”.

Trener Hudson i trener Shapiro też przysłali mu powinszowania. Hudson wyraził nadzieję, że Jack nie stosuje żeńskich hormonów, a jego filmowe piersi to nie implanty. Shapiro z kolei dopytywał się o słowiańską piękność, której imienia zapomniał; liczył, że zobaczy ją podczas ceremonii.

Trener Shapiro oczywiście miał na myśli Claudię. Jack nie miał od niej żadnych wieści. Od Noaha Rosena też nie, co go zresztą nie zdziwiło. No i ani słowa od Michele Maher, która przepadła jak kamień w wodę. Herman Castro sądził, że poszła na akademię medyczną,

potem jednak znikła mu z oczu. Jack otrzymał od niego krótki list. „Dobra robota, amigo. Doszedłeś do finału”.

Herman trafił w sedno: Jack dotarł do finału i przegrał. Trudno przewidzieć, czy ponownie zdoła tego dokonać, może nominacja stanowiła ewenement w jego karierze.

Zarówno „Terminator 2: Dzień Sądu”, jak i „Naga broń 2¹/₂: Kto obroni prezydenta” zarobiły więcej pieniędzy niż „Miła i normalna”, lecz owa niewielka produkcja w połączeniu z nominacją do Oscara przyniosły Jackowi ogromną popularność. Stał się rozpoznawalny, jako mężczyzna i jako kobieta, z naciskiem na to pierwsze. (Nie próbował jeszcze przebierać się za kobietę, oczywiście poza planem zdjęciowym). Spełniło się jego marzenie o gwiazdorstwie.

Emma pilnowała, aby maksymalnie wykorzystywał sławę. Do tego stopnia, iż za jej namową miał kłamać, że coś pisze.

- Nie wdawaj się w szczegóły, ptysiu. Mów tylko, że piszesz bez przerwy.

Dziennikarze podczas wywiadów baranieli. Deklaracja brzmiała cokolwiek złowrogo, jak gdyby pisanina Jacka miała demaskatorski charakter. Cóż jednakże miała demaskować?

- Dzięki temu jesteś bardziej tajemniczy - przekonywała Emma. - No wiesz, noir. - Czy chciała przez to powiedzieć, że bycie pisarzem potwierdzało jego seksualnie dwuznaczny wizerunek?

Niektórzy dziennikarze chcieli rozmawiać tylko o jego pisaniu i dostawali szału, kiedy odmawiał, co sprawiało mu wyjątkową frajdę.

- Nie myślę o stabilizacji ani o założeniu rodziny - zaczynał tradycyjnie. - Muszę skupić się na pracy.

- Ma pan na myśli aktorstwo?

- Tak, jasne. No i pisanie.

- Co pan pisze?

- Coś. Piszę bez przerwy

Nawet jego matka okazała zainteresowanie.

- Mam nadzieję, że nie pamiętniki! - zawołała, śmiejąc się nerwowo.

Leslie Oastler rzuciła Jackowi rozczarowane spojrzenie: gdyby wiedziała, że zostanie pisarzem, pewnie nie pokazałaby mu róży jerychońskiej.

Emma mówiła, że matka bez przerwy wypytuje ją o twórczość Jacka. Emma była zachwycona swoim pomysłem. W przeciwieństwie do Jacka, który nie widział w nim najmniejszego sensu.

Kiedy zmarła Myra Ascheim, nikt do Jacka nie zadzwonił: dowiedział się o jej śmierci z nekrologu w „Variety”. Bob Bookman twierdził, że Jack i tak nie potrzebuje menedżerki. Wystarczy mu agent CAA. Jack miał już agenta oraz prawnika, Alana Hergotta.

- Ktoś musi zarządzać twoimi pieniędzmi, a nie talentem - zakomunikował mu Alan.

Chcąc wesprzeć finansowo matkę, Jack zatrudnił pełnomocnika, Willarda Saperstona z Buffalo w stanie Nowy Jork. Willard miał znajomości w Toronto. Kanadyjskie podatki porządnie dawały Jackowi w kość i Willard poradził mu przede wszystkim, aby przyjął obywatelstwo amerykańskie, co niezwłocznie uczynił. Został też „sponsorem” córki Alice, dzięki czemu matka nie musiała odprowadzać niebotycznych podatków za każdego amerykańskiego dolara, którego jej ofiarował.

Przeszło mu przez myśl, że może Alice sprzeda salon i porzuci zawód tatuażystki; pomyślał też, że jeśli związek z panią Oastler rzeczywiście polega na wsparciu finansowym, może Alice postanowi rozstać się z Leslie.

Lecz matka Jacka na dobre wrosła w swój świat i czuła się w nim jak ryba w wodzie, bez względu zaś na domniemane przyczyny, dla których związała się z panią Oastler, Jack nie miał racji, sądząc, że uczyniła to wbrew sobie. Stworzyły trwałe związki. Jak zasugerował

kiedyś Mistrz Ole, matka Jacka była Córką Alice, starą hipiską i tatuazystką z krwi i kości, i w pełni zasługiwała na to miano.

Jack nie mógł się pogodzić ani z tym, ani z faktem, że matka nadal unika rozmów o nieobecny ojcu. I jego wizyty w Toronto stawały się coraz rzadsze.

Nietrudno zgadnąć, jaką sensację budziło pochodzenie młodego gwiazdora. Nietypowe dzieciństwo działało na dziennikarzy niczym lep na muchy, podobnie jak jakiegokolwiek odchylenia od tak zwanej normy. Według słów jednego reportera, Jack miał „wytatuowaną przeszłość”. (Co było tym bardziej intrygujące, że ani Jack, ani jego matka nie nosili tatuażu).

Telewizja kanadyjska zawsze prosiła o wywiad w salonie tatuażu. A wkrótce po tym, jak amerykańska prasa publikowała zdjęcia Jacka u boku coraz to innej kobiety (żadna z nich nie była Kanadyjką, oprócz Emmy, która z takich samych powodów jak Jack przyjęła obywatelstwo amerykańskie), ktoś z CBC--TV wciąż zjawiał się u Alice z pytaniem, czy zna nową „flamę” i czy to „poważny” związek.

- Ach, nie wtrącam się w prywatne sprawy Jacka - odpowiadała Alice z bez troską osoby permanentnie naćpanej. (W tle rozbrzmiewało zawołanie Boba Dylana). - A Jack nie wtrąca się w moje.

W Nowym Jorku poznał dziedziczkę mięsnej fortuny. Samantha była starszą kobietą i lubiła przebierać Jacka w swoje rzeczy. (Tylko w domu: nigdy nie wyszedł za próg w damskim przebraniu, zresztą nie był z Samanthą zbyt długo).

Miał też romans ze starszą kobietą w Londynie. Corinna, angielski wydawca Emmy, nie kryła zainteresowania pisarskimi ciągotami Jacka, który oczywiście nie zdradził jej prawdy. Jak na wydawcę, nosiła bardzo seksowną odzież, lecz przy niej również nie zabawił zbyt długo.

Obie kobiety nie kryły zazdrości o jego związek z Emmą, Jack zaś miał dosyć wiecznego latania samolotami z Londynu i Nowego Jorku do LA. Emma praktycznie nie ruszała się z ich paskudnego domu na Entrada i Jack bardzo za nią tęsknił.

Poza tym dzięki temu, że nie wyprowadzili się z Santa Monica, mogli sobie pozwolić na niezły samochód. Kupili srebrne audi z szarymi siedzeniami ze skóry, model identyczny z tym, który Jack prowadził jako parkingowy podczas krótkiej przygody „U Stana”. Emma zrozumiała symbolikę.

- Byle bez dzieciaka, ptysiu.

Posiadanie takiego wozu spotęgowało satysfakcję Jacka z faktu, że nie pije. Nie żeby zaczął szybciej jeździć; zdaniem Emmy, stał się wręcz przesadnie ostrożny, bardziej niż kiedykolwiek. W przeciwieństwie do niej.

- Byłoby bezpieczniej kupić dom w Beverly Hills - mawiał niegdyś Jack. Chciał przez to powiedzieć, że dzięki temu musiałyby rzadziej siadać za kierownicą.

I tak wychodzili, po czym wracali do domu (lub nie), no i oczywiście poznawali ludzi. Jack nigdy nie był „z kimś” dłużej niż miesiąc, najwyżej dwa. Emma zaś nie była „z nikim” dłużej aniżeli jedną noc, podobnie jak w wypadku ładnych chłopców z „Coconut Teaser”.

Jack nosił włosy prawie do ramion, co czyniło „przebieranki” bardziej naturalnymi, nawet jeśli odbywały się tylko w zaciszu alkowy. Jako facet nadal lubował się w niewielkim zarościu, nadal też był rozeźlony i zabiedzony, gdyż tego wymagała jego praca.

Nie zawsze oczekiwano odeń przemiany w kobietę, chociaż każda z jego postaci kryła w sobie taką ewentualność: był to wspomniany już aspekt noir, do którego często odwoływała się Emma.

Na ekranie był „z” niemal wszystkimi: z Elisabeth Shue, zanim zagrała w „Zostawić Las Vegas”, z Cameron Diaz w głupawym filmie dla dziewcząt, z Drew Barrymore w dreszczowcu Stephena Kinga. Był również konającym mężem Nicole Kidman: jego agonია trwała trzy czwarte filmu. Nicole Kidman była znacznie wyższa od Jacka, co umknęło uwagi widzów, ponieważ Jack był przykuty do łóżka.

Stał się mężczyzną, którego roztrupnie nie poślubiła Julia Roberts. Skłamał i Meg Ryan go rzuciła. Cierpiał jako ukarany kelner, który wylewa sos na plecy Gwyneth Paltrow.

Bruce Willis spuścił mu łomot. Denzel Washington go aresztował. Zaistniał też na chwilę jako dziewczyna Bonda, która ginie od zabójczej strzałki z zapalniczki, kiedy 007 odkrywa, że Jack jest facetem.

Myra Ascheim miała rację: Jacka czekał niejedyn złoty strzał. Gdyby miał wskazać swoją ulubioną rolę, byłaby to kreacja u boku Jessiki Lee. „Prawie przebieranka”, jak napisał krytyk z „New York Timesa”.

Jessica jest majątną pięknoscią. Jack gra złodzieja, który właśnie się z nią przespał. Podczas gdy ona bierze prysznic, on zostaje sam w sypialni i dokonuje przeglądu jej dóbr. Wszędzie roi się od wartościowych przedmiotów. Jack krąży po sypialni w samych bokserkach; słyszymy, jak Jessica nuci w łazience.

Kiedy Jack podchodzi do szafy, oczarowany zastyga bez ruchu. Ot, perskie oko do widza: Jack Burns grzebiący w szafie z damską odzieżą. Nawet biżuteria nie wzbudziła w nim tyle zainteresowania. Jack jest pod oczywistym wrażeniem. Tak wniebowzięty, iż nie słyszy, że Jessica przestała śpiewać.

Kiedy drzwi łazienki stają otworem i na progu pojawia się Jessica w szlafroku frotte i turbanie z ręcznika na głowie, jej postać odbija się w lustrze na drzwiach garderoby. To świetne ujęcie: widz odnosi wrażenie, że Jessica stoi obok Jacka, który przykłada do półnagiego ciała jej suknię.

Jack nie traci zimnej krwi.

- Rany, założę się, że super w niej wyglądasz - mówi do Jessiki Lee.

Milionerka daje się nabrać. (Na tym polega cała historia: zakochała się w złodzieju). Musieli jednak kręcić tę scenę dziesięć razy, ponieważ prawdziwa Jessica nie dała się nabrać. Na widok Jacka Burnsa z suknią w rękach zbladła jak ściana. Tego nie było w scenariuszu. Ujrzała coś, co nie przypadło jej do gustu, coś, co miało związek z Jackiem. Trzeba było dziesięciu dubli, aby przeszła nad tym do porządku dziennego. Jack też nie mógł dojść do siebie.

- Co się stało? Co takiego zobaczyłaś? - spytał później.

- Nie wiem, Jack - odpowiedziała. - Po prostu przyprawiłeś mnie o gęsią skórę.

Bez względu na gęsią skórę Jessiki Lee ostatnie ujęcie okazało się strzałem w dziesiątkę. Zawsze pokazywano je wśród innych najsłynniejszych fragmentów filmów Jacka. Przykłada do siebie sukienkę i mówi: „Rany, założę się, że super w niej wyglądasz”. Jessica stoi na progu łazienki i uśmiecha się tym swoim uśmiechem. Jednakże owa scena zawsze przypominała Jackowi pierwsze spojrzenie aktorki. Wtedy Jessica się nie uśmiechała. Wtedy nie grała.

Podobne incydenty pogłębiały jego poczucie wyobcowania. Gdy wiesz, że kogoś wystraszyłeś, wolisz dmuchać na zimne. Ten jego aspekt noir był dość kontrowersyjny. Dochodowy, owszem, ale czy budzący sympatię?

Jack Burns wymyślił sobie własne zbliżenie, bardziej niepokojące od spojrzenia Toshiro Mifune. Wywierało na otoczeniu piorunujące wrażenie. Czy było seksualnie niepokojące? Owszem, bez dwóch zdań. Czy budziło większe poczucie zagrożenia niż noir? Cóż, nie ulegało wątpliwości, że nie zasługuje na miano figlarnego.

- Jesteś nieprzewidywalny, ptysiu. To właśnie mówi twoje spojrzenie.

- Przecież ja tylko gram - zaoponował. (Niech moje audytorium ma się na bacności, dodał w myślach).

- Nieprawda, ptysiu. Ty jesteś nieprzewidywalny. Dlatego budzisz grozę.

- Nie budzę grozy! - zaprotestował. Jego zdaniem, to Emma budziła grozę.

Pamiętał, gdzie odbyli tę rozmowę. Jechali srebrnym audi Bulwarem Zachodzącego Słońca. Jack prowadził. Znajdowali się w Hollywood, na terytorium „Chateau Marmont”, gdzie zginął John Belushi. Jack zachodził w głowę, co tak bardzo przstraszyło Jessicę Lee.

- Może sukienka do mnie nie pasowała - rzucił w zamyśleniu. - Chciałbym wreszcie o tym zapomnieć.

- Boże, mam dosyć baru „Marmont” - powiedziała tylko Emma.

W barze „Marmont”, który przylegał do hotelu, zawsze witano Jacka z otwartymi ramionami, ponieważ był sławny. W przestronnym, hałaśliwym lokalu roiło się od sztucznych biustów i aspirujących menedżerów, którzy ledwie odrośli od ziemi. Przed wejściem sterczało zwykle około trzydziestu osób, których nie wpuszczono do środka; owego wieczoru znajdował się między nimi również Lawrence. Emma odwróciła głowę, lecz tamten chwycił Jacka za przegub.

- Nie przyjechałeś jako dziewczyna? Cóż za rozczarowanie dla fanów! - wrzasnął.

Emma wymierzyła mu kopniaka w krocze, po czym weszła z Jackiem do baru. Lawrence legł w pozycji embrionalnej, z kolanami podciągniętymi do klatki piersiowej jak podczas porodu, przy czym bynajmniej nie zanosilo się na to, aby miał cokolwiek wydać na świat. Jack pomyślał wtedy, że gdyby to on kopnął Lawrence'a, nie obyłoby się bez procesu, podczas gdy Emmie uszło to płazem. (Stąd jego opinia, że to właśnie ona budzi największą grozę).

Hotel „Chateau Marmont” to zupełnie inna bajka. Jack unikał jego gwarne lobby, ale często widywał aktorów, którzy przychodzili tam na spotkania. Sam też miał to później czynić.

Jeśli decyzja należała do niego, wolał się umawiać w barze hotelu „Four Seasons” w Beverly Hills. Jego zdaniem, tam odbywały się spotkania z klasą. Był przekonany, że „Four Seasons” będą kiedyś nawiedzać słynne duchy aktorów, którzy odbyli w hotelowym barze nieudane spotkania. Lecz dla Jacka było to jedyne miejsce, gdzie czuł się jak u siebie w domu.

Nadal był właściwie autsajderem, podobnie jak Emma. Stanowili zaprzeczenie powszechnie panujących trendów. Stany nie były ich krajem. LA nie było ich miastem. Na dobrą sprawę nie byli też Kanadyjczykami. W Toronto również nie byli u siebie.

Redding było pierwszym i ostatnim miejscem, gdzie Jack czuł się jak ryba w wodzie. Jakimś sposobem wiedzieli, że w LA nigdy nie będzie im to dane, co nie zależało od sławy, lecz percepcji innych. Jack i Emma zarobili tyle pieniędzy, że z powodzeniem mogli opuścić Entradę, lecz Jackowi stopniowo udzielało się postanowienie Emmy, która pragnęła za wszelką cen pozostać autsajderką. LA stanowiło dla nich miejsce pracy. Byli pracownikami.

Do ich obowiązków należało bycie widzianym, zauważonym. (Przynajmniej należało to do obowiązków Jacka: Emma nie dbała o to, kto ją ogląda).

Na swój sposób byli bogami, zbuntowanymi kanadyjskimi bogami w mieście aniołów. I byli odlegli jak bogowie. Nie mieli jasnej oceny własnych poczynań: w sposób typowy dla przedstawicieli branży oceniali je na podstawie tego, jak były odbierane. Jednak Jack Burns w duchu przyznawał rację Donaldowi, starszemu kretynowi od Stana. Donald podsumował go jak należy: był kanadyjskim chłopkiem roztropkiem z New Hampshire. Owszem, również obywatelem amerykańskim i legalnym rezydentem Santa Monica w stanie Kalifornia, ale tak naprawdę nigdzie nie miał swojego miejsca. Odliczał czas. (Tę czynność miał opanowaną do perfekcji. Przećwiczył ją z Claudią).

I oczywiście zarabiał mnóstwo pieniędzy. Jednak wiedział, że to jeszcze nie wszystko. Czekало go coś znacznie więcej.

Jack pojechał do Toronto, jak zwykle bez entuzjazmu. Pojechał sam, chociaż Emma i tak spędzała w Kanadzie więcej czasu niż on. Bycie pisarzem w Kanadzie to nie byle co.

- „Życie to lista rekrutacyjna - napisała w „Recenzentce bzdur”. - Musisz się stawić na wezwanie, ale to jedyna zasada”.

Przesiadując w pracowni matki, Jack wyklócał się z nią o zjazdy tatuażystów. Dawniej nikt o czymś takim nie słyszał, lecz ostatnio nie było miesiąca, żeby Alice nie jechała na jakiś zjazd. Była już w Tokio i w Madrycie, przeważnie jednak uczestniczyła w zjazdach w Ameryce. Odbywały się dosłownie wszędzie.

W Los Angeles gościła rzadko i przeważnie jesienią, nie tylko po to, by odwiedzić syna. Nieprzypadkowo była to pora Balu Atramentowców w LA, na którym omawiano nowości ze świata tatuażu i piercingu. Zjazd uchodził za największy na świecie, odbywał się w „Hollywood Palladium” na Bulwarze Zachodzącego Słońca, w dawnej hali tanecznej z ery swingu.

Zjazdy w Nowym Jorku, w których Alice również uczestniczyła regularnie, miały miejsce w „Roseland Ballroom” na Pięćdziesiątej Drugiej ulicy, wiosną, podobnie jak zjazd w Atlancie. Był nawet jeden w Maine, w lutym! Wbrew obietnicom matka nigdy nie odwiedziła Jacka w Redding, natomiast stale jeździła do Portlandu na Podwieczorek u Szalonego Kapelusznika.

Alice jeździła też na Piekielny Festiwal do Columbus w stanie Ohio, do hotelu „Hyatt Regency”. (Jeżeli Jack się nie mylił, odbywał się on w czerwcu.) Ale najbardziej chyba lubiła zjazd w Filadelfii. Miała zdjęcie z Szalonym Eddie, który zawsze nosił żółty sportowy skafander i tak obficie żelował włosy, że stały mu niczym koguci grzebień.

Gdziekolwiek odbywał się zjazd - w Dallas, Dublinie, tak zwany Mityng Naznaczonych w Pittsburgu, coroczna Zguba Mężczyzny w Decatur w stanie Illinois - Alice nie darowała sobie udziału.

Była w Bostonie i w Hamburgu. Ku jej rozczarowaniu Herbert Hoffmann przeszedł na emeryturę, w Hamburgu poznała jednak Roberta Gorlta.

- Ma ze dwa metry wzrostu i grał w koszykówkę w Kanadzie - powiedziała Jackowi.

W zjazdach uczestniczyli tatuażysty z całego świata: z Taiti, Cypru, Samoa, Tajlandii, Meksyku, Paryża, Berlina i Miami. Przyjeżdżali nawet z Oklahomy, gdzie tatuowanie było nielegalne. (Na spotkanie z nimi Alice pojechałaby wszędzie, nawet do „Sheratona” w Meadowlands). I zawsze byli to ci sami ludzie.

- Po co tam jeździsz, skoro wciąż widzisz tych samych czubków? - spytał Jack. - Jeden raz nie wystarczy?

- Ponieważ jestem jedną z nich, Jack. Jesteśmy tym, co robimy. Nie zmieniamy się.

- Na miłość boską, mamo, masz pojęcie, ilu zajobów kręci się w takim „Columbus”? Albo w zasranym „Sheratonie” w Meadowlands?

- Gdyby panna Wurtz cię usłyszała, Jack! - odrzekła matka. - Albo Lottie czy pani Wicksteed, niech odpoczywa w pokoju. To straszne, co dzieje się z twoim językiem. Czy to wina Kalifornii, czy może branży filmowej?

- Jaka znowu wina?

- Nie, to pewnie sprawka Emmy - ciągnęła Alice. - Oto skutki mieszkania z ordynarną dziewczyną. Zastrane to, zastrane tamto. Słuchając cię, człowiek jest w stanie uwierzyć, że „kurwa” to przecinek! A kiedyś tak ładnie się wyrażałeś. Twój język był bez zarzutu.

Poniekąd miała rację, ale swoim zwyczajem narzuciła zmianę tematu. Jack próbował dać do zrozumienia jej, kobiecie w średnim wieku, że zjazdy tatuażystów to parady świrów, a ona wyskakuje z jego słownictwem. Przecież te zjazdy to coś potwornego. Przyjeżdżają tam ludzie wytatuowani od stóp do głów, organizują sobie konkursy! Tatuaze nosili byli skazańcy: tatuaż więzienny stanowił niemal odrębny gatunek. Wytatuowane były striptizerki, nie wspominając o gwiazdach porno. (Seanse filmów Hanka Longa udzieliły mu w tej kwestii istotnej lekcji pogładowej).

Dla kogo, jej zdaniem, organizowano te zjazdy? W „Tabu Tatoo” Riley Bax-tera w zachodnim LA Jack widział lalki wudu oraz pęknięte serca przebite sztyłem z inskrypcją BEZ ŻALU. (Na wizytówce Baxtera, pod wyżej wspomnianą lalką, widniał napis: IGŁY JEDNORAZOWE).

Alice przytyła w talii, ale nadal miała uroczy uśmiech, a jej dawniej bursztynowe włosy przetykane były srebrnymi pasmami. Mimo to jej skóra pozostała zdumiewająco gładka, styl ubierania zaś podkreślał krągły biust. Lubiła suknie z podwyższonym stanem oraz kwadratowym bądź okrągłym dekoltem. Nosiła stanik z fiszbinami, czerwony albo w kolorze fuksji. Tamtego dnia miała na sobie rustykalną sukienkę niemal odsłaniającą barki i jak zwykle wystawały jej ramiączka. Jack podejrzewał, że matce bardzo to odpowiada, choć stroniła od szczególnie śmiałych dekoltów. „Nikt mi nie będzie zapuszczał żurawia” - twierdziła. (Dziwne, myślał Jack, chętnie podkreśla biust, a przy tym skrzętnie ukrywa go przed światem).

Co to za kobieta, która nie obnaży piersi na zjeździe tatuażystów?

- Mamo - spróbował raz jeszcze Jack, lecz Alice odwróciła się do niego plecami, pochłonięta imbrykiem.

- I te kobiety, Jack. Czy ty w ogóle znasz jakieś miłe dziewczęta? Czy może po prostu nie miałam okazji ich poznać?

- Miłe?

- Jak na przykład Claudia. Była miła. Co się z nią stało?

- Nie wiem, mamó.

- A ta nieszczęsnica z agencji Williama Morrisa? Strasznie sepleniła, prawda?

- Gwen jakaś tam - odpowiedział. (O Gwen pamiętał tylko tyle, że sepleniła. Może pracowała jeszcze u Williama Morrisa, a może nie).

- Gwen przeminęła z wiatrem, co? - spytała matka. - Nadal słodzisz herbatę miodem, skarbie?

- Tak, Gwen przeminęła. Nie, nie słodzę. Nigdy nie słodziłem.

- Aktorki, kelnerki, sekretarki, dziedziczki. Nie wspominając o fankach - wyliczała Alice.

- Fankach?

- Nazywacie je groupies!

- Nie znam żadnych groupies, mamó. W twoim świecie jest ich więcej niż w moim.

- O czym ty mówisz, skarbie?

- A co, nie przyjeżdżają na zjazdy? - spytał.

- Sam powinieneś pojechać na taki zjazd, Jack. Przestałbyś się bać.

- Odwiozłem cię na Bal Atramentowców - przypomniał.

- Tak, ale nie wszedłeś do środka - zauważyła.

- Na zewnątrz stał gang motocyklistów!

- Twierdziłeś, że dość się naoglądasz sztucznych cycków wieczorami. Nie masz zamiaru ich oglądać za dnia. Dokładnie tak powiedziałaś. Doprawdy, twoje słownictwo...

- Mamó...

- Ta Angielka, z którą się zadawałeś w Londynie... przecież ona była w moim wieku! - wykrzyknęła Alice.

Jack zobaczył, że nakłada mu miód do herbaty.

Otworzyły się drzwi i zadzwonił mały dzwoneczek, zupełnie jak w sklepiku z pamiątkami. Dziewczyna, która weszła do środka, miała infekcję od ostatniego kolczyka: z jej dolnej wargi sterczał przedmiot przywodzący na myśl spinkę od mankietu. Na jednej ogolonej brwi wisiał łańcuszek, lecz dziurka w dolnej wardze najwyraźniej się nie zagoiła.

- Czym mogę służyć, kochanie? - spytała Alice. - Właśnie zaparzyłam herbatę. Napijesz się?

- No, chyba tak - odrzekła dziewczyna. - Zwykle nie piję herbaty, ale może być.

- Należ młodej damie herbaty, Jack - poprosiła matka.

Dziewczyna miała osiemnaście, góra dwadzieścia lat. Jej ciemne włosy wisały w strąkach, nosiła dżinsy i koszulkę zespołu Grateful Dead.

- Kurka, jesteś trochę podobny do Jacka Burnsa - oznajmiła. - Tyle że wyglądasz normalnie.

Alice nastawiła płytę, naturalnie Boba.

- To mój syn, Jack - powiedziała. - Jack Burns, oczywiście!

- O kurczę! - zawołała dziewczyna. - Dam głowę, że miałeś masę kobiet.

- Czyja wiem - odparł. - Chcesz miodek do herbaty?

- Pewnie, czemu nie. - Bez przerwy dotykała rozjątrzonej wargi czubkiem języka.

- Jaki tatuaż cię interesuje, kochanie? - zapytała Alice. (Szyld na wystawie głosił, że w grę wchodzi tylko tatuaż).

Dziewczyna rozpięła spodnie i zahaczywszy kciukami o gumkę majtek, obnażyła kępkę włosów, nad którymi dryfowała wytatuowana pszczoła wielkości czubka małego palca Jacka, na błękitnych skrzydełkach widniała żółta poświata. Odwłok nosił ciemniejszy odcień złota.

- Złoto to trudny pigment - oświadczyła Alice, być może z podziwem, Jack nie był pewien. - Ja biorę jaskrawożółty i mieszam z ceglasm. Można też użyć tak zwanego cynobru angielskiego, to to samo co siarczek rtęci. Mieszam go z melasm.

Jack gotów był dać głowę, że w trzech czwartych są to informacje wysane z palca. Alice nigdy nie zdradziłaby tajemnicy swoich pigmentów, zwłaszcza laikowi.

- Z melasm? - powtórzyła dziewczyna.

- Dodaję odrobinę oczaru - poinformowała Alice. - Trudno uzyskać ładny odcień złota. - Co do oczaru, Alice mogła mówić prawdę.

Dziewczyna popatrzyła na swoją pszczołę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

- Zrobiłam ją w Winnipeg - powiedziała.

- Pewnie w „Tatuażach dla Indywidualistów” - podsunęła Alice.

- Tak, znasz ich? - spytała dziewczyna.

- Jasne, że znam. Stara wiara. Mam ci dorobić do niej kwiatek?

- Taa, ale nie wiem jaki.

Jack sunął w kierunku wyjścia. Ryzykował, że ktoś go rozpozna, ale nie miał zamiaru oglądać matki przy pracy.

- Dokąd się wybierasz, Jack? - zapytała Alice, nie podnosząc oczu znad szablonów, które rozkładała przed dziewczyną.

- Nie musisz wychodzić - wtrąciła osiemnastolatka. - Możesz patrzeć, mnie to nie robi.

- To zależy - powiedziała Alice.

- Do zobaczenia w domu - rzucił Jack pod adresem matki. - Zabiorę ciebie i Leslie na kolację.

Na twarzach obu kobiet odmalowało się rozczarowanie. Bob Dylan ryczał na całego. („Idiot Wind”. Jack na zawsze zapamiętał ten utwór). Jack nie zastanawiał się nad dziewczyną, próbując rozszyfrować minę matki. Co cię we mnie niepokoi, kołatało mu w głowie, ale nie odważył się wypowiedzieć tego na głos, nie przy tamtej.

- „Ktoś mi depcze po piętach” - skarżył się Bob. Podczas każdego pobytu w Toronto Jack czuł się identycznie. - „Mówią, że zastrzelił gościa i mu żonę skradł - śpiewał dalej Bob - a po śmierci jej majątek mi wpadł”.

Nie odrywając wzroku od matki, Jack odśpiewał ostatnią linijkę wraz z Bobem, „Cóż poradzę na to, że mam w życiu fart”, ponieważ właśnie to zdawała się mu zarzucać. Uważała go za farciarza!

- Póki co, Jack, póki co! - zawołała za nim Alice, kiedy wychodził na Queen Street i zamykał za sobą drzwi.

IV

• • • • •

Sypiając na igłach

23 • Billy Rainbow

Jack pojechał na promocję do Nowego Jorku. („Tańczysz, jak ci Miramax zagra” - skomentowała Emma.) Z tamtego wywiadu najbardziej zapadło mu w pamięć nie pierwsze pytanie, które padało dziesiątki razy przedtem, lecz trud, z jakim dziennikarka składała słowa do kupy. To oraz fakt, że Emma zadzwoniła w trakcie i po raz ostatni usłyszał jej głos.

Dziennikarka, matrona o dziwnym akcencie, była tą samą osobą, która kiedyś spytała Jacka, czy jego wizerunek ma być odzwierciedleniem postaci odgrywanej przez Martina Sheena w „Czasie Apokalipsy”. Piła dietetyczną colę i paliła papierosa mentolowego; jej sztucznie osłodzony oddech dryfował ku niemu jak dym z fabryki miętusów.

- Kapitan Willard ma krótkie włosy - oznajmił wówczas.

- Jaki kapitan?

- Bohater Martina Sheena z „Czasu Apokalipsy”. Kapitan Willard - powiedział Jack. - Nie jestem pewien co do stopnia.

- Nie miałam na myśli włosów - odrzekła dziennikarka.

- Nie staram się naśladować młodego Martina Sheena - zakomunikował Jack.

- Nie próbuję też zabić Marlona Brando.

- Mówi pan o młodym Marlonie Brando? - upewniła się dziennikarka z działu zagranicznego.

- We wspomnianym przez panią filmie - tłumaczył mozolnie Jack - bohater grany przez Martina Sheena ma za zadanie zabić Marlona Brando. Pamięta pani? Młodego Brando też nie.

- Nieważne - skwitowała dziennikarka. - Kontynuujmy.

Tym razem jej pytanie było rozbrajająco niezdarne, ale przynajmniej odczepiła się od Martina Sheena.

- Czy jest pan człowiekiem, który mimo swego heteroseksualizmu identyfikuje się z przedstawicielami płci przeciwnej? Kobietami, znaczy się?

- Pyta pani, czy jestem transwestytą?

- Tak!

- Nie.

- Ale przecież pan zawsze przebiera się za kobietę. Albo myśli o tym, aby się przebrać. Nawet wówczas, kiedy występuje pan jako mężczyzna.

- W tej chwili nie myślę o tym, aby się przebrać za kobietę - oznajmił Jack. - Czasami robię to w filmach. Rozumie pani, kiedy gram.

- Czy pisze pan o tym?

- O przebieraniu się za kobietę?

- Tak!

- Nie.

Zadzwoniła komórka Jacka. Zwykle nie odbierał telefonu w trakcie wywiadu, widział jednak, że dzwoni Emma, która ostatnio przechodziła depresję. Kolejny raz przegrywała batalię z nadwagą; odkąd wyjechał, dzwoniła każdego ranka z informacją, ile waży. W Nowym Jorku nadchodziła pora lunchu, ale Emma z całą pewnością dopiero wstała.

Wiedziała, że ma wywiad. Lekko poirytowany wręczył komórkę dziennikarce.

- Przyczepiła się jak rzep do psiego ogona - powiedział. - Niech pani jej powie, że mam wywiad. Zobaczymy, co pani wskóra.

Miał nadzieję, że może przynajmniej dziennikarka straci wątek. Co do Emmy, raczej na to nie liczył.

- Ha-lo? - zaśpiewała kobieta, według której wyglądał jak młody Martin Sheen. Jack odniósł wrażenie, że Emma mówi po włosku. Rozpoznał jej starą zagrywkę.
- Prosi powedzić Jackowi Burnsowi, że zwoni Maria Antonietta Beluzzi!
- Bardzo mi przykro. Jack Burns ma teraz wywiad - odrzekła dziennikarka.
- Prosi mu pszikazać, że tęskni do jego peniiisa! - nie rezygnowała Emma.
- Pani Beluzzi - powiedziała dziennikarka, wręczając Jackowi komórkę. -Chyba coś pilnego.

- Więc ile ważysz? - spytał Jack.
- Stówę, kurwa, stówę! - zawyla Emma. (Dziennikarka wyraźnie usłyszała jej słowa).
- Musisz przejść na dietę, Emmo - oznajmił, chyba setny raz.

W 1997 roku miał trzydzieści dwa lata, Emma zaś trzydzieści dziewięć. Jack mógł się poszczycić lepszą przemianą materii, poza tym zawsze uważał na to, co je. Jednakże po przekroczeniu trzydziestki nawet on musiał narzucić sobie pewne ograniczenia.

Emma nie rozumiała, na czym polega dieta. Zamiast jednej butelki czerwonego wina obecnie piła do kolacji dwie i jadła makaron na lunch. Dobijała czterdziestki i nadal lubowała się w tłuczonych ziemniakach z gorgonzolą. Jack na próżno usiłował jej wbić do głowy, że choćby godzinami ćwiczyła w siłowni i wyciskała tyle, ile sama waży, nigdy nie spali tego typu węglowodanów.

Widział, że dziennikarka skrzętnie wszystko zapisuje, łącznie z owym „stówę, kurwa, stówę”, którego nie omieszkała zamieścić w wywiadzie. Na dodatek prawidłowo zapisała nazwisko Maria Antonietta Beluzzi: okazało się, że sama jest Włoszką.

- Emmo... - zaczął Jack.

- „Mówi do niej «Emmo» i brutalnie każe jej iść na dietę” - napisała w artykule dziennikarka.

- Pierdołę ciebie i twoją dietę, Jack - warknęła Emma. - Bądź tylko łaskaw zauważyć, że pamiętałam o tobie w testamencie. -1 rzuciła słuchawkę.

- Pańska dziewczyna? - zapytała dziennikarka. - To znaczy, jedna z nich?

- W pewnym sensie - odparł Jack.

- Czy pani Beluzzi jest aktorką?

- Jest lubieżną kioskarką - odpowiedział Jack.

Tym razem dziennikarka nie zanotowała, lecz określenie „lubieżny” przeniknęło do jej artykułu w kontekście Emmy.

- Domyślam się, że pan ma lub miał dużo dziewczyn - zagaiła dziennikarka.

- Nic poważnego - zbagatelizował sprawę, po raz setny przepaszając w duchu Michele Maher.

Był zmęczony. Za dużo wywiadów, zbyt wielu wścibskich dziennikarzy. Ale to żadna wymówka. Nie powinien utracić kontroli nad rozmową. Nie powinien tak nonszalancko, nawet rozmyślnie, prowokować dziennikarki do wyciągnięcia niepotrzebnych wniosków. A jednak to zrobił.

Naturalnie to nie wywiad nie dawał mu spokoju, takie rzeczy nie zapadają człowiekowi w pamięć, nie na długo. Jednakże ostatnie słowa Emmy dotyczyły jej testamentu: to miało boleć Jacka najbardziej.

Kiedy wywiad ukazał się w prasie, Emma już nie żyła, a włoska dziennikarka z działu zagranicznego zdążyła ustalić, iż związek z Marią Antonietą Beluzzi, piersiastą sprzedawczynią papierosów z „Amarcord” nie wchodził w grę. (Pani Beluzzi mogłaby być jego babką!).

Jack musiał rozmawiać z Emmą Oastler, napisała dziennikarka: nie było tajemnicą, że tych dwoje mieszkało razem, nietrudno też zgadnąć, że słynna pisarka miała problem z nadwagą, choć nie wyglądała na sto kilo wagi. (W tym kontekście użycie określenia „lubieżna” zakrawało na szyderstwo).

Ponadto, ciągnęła dziennikarka, Emma podobno cierpiała na depresję z powodu przedłużającej się pracy nad trzecią książką.

- Ile stron liczy sobie nowa powieść? - pytali dziennikarze po śmierci Emmy. Lecz Jack, pomny przykrych doświadczeń z prasą, powstrzymywał się od odpowiedzi.

Podczas tamtego pobytu w Nowym Jorku Jack zatrzymał się w hotelu „The Mark”. Zameldował się jako Billy Rainbow, pod nazwiskiem bohatera filmu, który właśnie promował. Zwykle ukrywał się w hotelach pod nazwiskami postaci z filmów, które jeszcze nie miały premiery. Chciał w ten sposób zmylić fanów.

Nie wszystkie osoby, wykazujące zainteresowanie jego osobą, zasługiwały na miano wielbicieli. Niektóre z „lasek kutasek” miały Jackowi za złe ciągle odzeganie się od transseksualizmu i transwestytyzmu. W każdym wywiadzie podkreślał, że przebiera się za kobietę tylko czasami, i to wyłącznie na potrzeby filmu, co spowodowało oburzenie prawdziwych transseksualistów i transwestytów, którzy zarzucali mu, że „tylko gra”. Cóż, oczywiście że grał!

Tak więc zameldował się jako Billy Rainbow, a recepcjonista miał przykazane łączyć tylko wybrane numery. Jack zawsze informował matkę, gdzie jest i jako kto; wiedziała też oczywiście Emma, Bob Bookman, jego agent oraz Alan Hergott, prawnik. No i rzecznik wytwórni produkującej ostatni film; tym razem była to Erica Steinberg z Miramaxu. Harvey Weinstein, rzecz jasna, też wiedział. Jeśli chodzi o filmy Miramaxu, Harvey zawsze orientował się, co i jak.

Jack spał wówczas ze znaną wiolonczelistką Mimi Lederer, która również знаła miejsce jego pobytu. Kiedy zmarła Emma, Jack leżał w hotelowym łóżku z Mimi.

Owego wieczoru po kolacji Mimi przyniosła do jego pokoju wiolonczelę, po czym odegrała przed Jackiem dwie solówki. Przy kolacji doszło do niewielkiego zamieszania, gdyż za nic nie chciała rozstać się z instrumentem, który zajął trzecie krzesło przy ich stoliku. Mimi spoglądała nań od czasu do czasu, jakby oczekiwała, że wiolonczela lada chwila zabierze głos.

Jack nie powiedział Mimi, że w dzieciństwie poznał inną wiolonczelistkę: Hannele, studentkę muzyki z Akademii Sibeliusa, jedną z (dwu) helsińskich kochanek ojca. Hannele zrobiła sobie wspólny tatuaż ze swą przyjaciółką Ritwą. Otrzymała lewą stronę pękniętego serca. Miała nieogolone pachy, Jack doskonale to zapamiętał.

Kiedy Mimi Lederer grała dla Jacka w hotelowym pokoju, zadrżał na wspomnienie pozycji, w jakiej siedziała Hannele: podobnie jak Mimi, może jak wszystkie wiolonczelistki, miała szeroko rozstawione nogi. Rozmyślał, czy Hannele kiedykolwiek grała nago dla Williama, co ponownie nasunęło mu obawy, czy nie jest podobny do ojca. (Zwłaszcza w aspekcie jego stosunku do kobiet).

Zapamiętał utwór, który grała dla niego Mimi Lederer wieczorem, kiedy Emma jeszcze żyła: solówkę wiolonczelową, kawałek z trio Mozarta. (Jack celowo stronił od muzyki klasycznej, gdyż niezmiennie nasuwała mu skojarzenie z wyrodnym ojcem).

- Divertimento Es-dur - szepnęła Mimi Lederer, zanim zaczęła grać. Podobnie jak Hannele (i może wszystkie wiolonczelistki), Mimi była wysoką kobietą o długich ramionach i drobnych piersiach.

Oczywiście Jack zastanawiał się, czy piersi nie przeszkadzają podczas gry.

Drugi utwór, który Mimi zagrała przed nim nago, pochodził z kwartetu smyczkowego Beethovena.

- Razumowsky, opus pięćdziesiąte dziewiąte - wyszemrała Mimi. - Numer jeden.

Na sam dźwięk owych nazw rozboleły Jacka zęby. Czy kompozytorzy nie mogli wymyślić lepszych tytułów? Cudownie było jednak patrzeć, jak Mimi panuje nad wielkim instrumentem, który tak bezlitośnie ścisną udami.

Kiedy zadzwonił telefon, obydwójce jeszcze spali. Jack odruchowo pomyślał, że jest za wcześnie na Emmę. Drugą myślą było, że w Toronto, podobnie jak w Nowym Jorku, obowiązuje czas wschodni. Minęła szósta, czyli na telefon od matki też było za wcześnie. Tak mu się przynajmniej zdawało.

Erica Steinberg była zbyt miła i taktowna, aby dzwonić tak wcześnie, poza tym wiedziała, że Jack sypia z Mimi Lederer. Erica wiedziała o wszystkim. Może to Harvey Weinstein, pomyślał Jack. Dzwonił, kiedy przyszła mu na to ochota, choćby o świcie. Być może Jack chlapanął w wywiadzie coś, czego nie powinien.

Mimi Lederer i Jack i tak musieli wcześniej wstać, choć pewnie jeszcze trochę by poleżeli. Jego czekał kolejny dzień wywiadów, Mimi zaś uczyła u Juilliarda i musiała zdążyć na samolot. Grała w jakimś trio lub kwartecie; mieli koncert w Minneapolis czy może w Cleveland. Jack nie pamiętał.

- To pewnie obsługa - zauważyła Mimi. - Założę się, że chodzi o twoje śniadanie. Mówiłam ci, żebyś zamówił coś normalnego, Jack.

Mimi nazywała śniadanie Jacka jego „porannym manifestem”. Obsługa (podobnie jak w większości nowojorskich hoteli) miała poważne problemy z angielskim. Zdaniem Mimi, Jack powinien był po prostu zaznaczyć na karcie, czego sobie życzy na śniadanie, zamiast wypisywać elaborat na zawieszce na drzwiach.

Lecz Jack postanowił określić swoje preferencje co do gotowanych jajek, a poza tym czy to tak trudno zrozumieć „jogurt bez tłuszczu albo żaden”?

- To Harvey Weinstein - zakomunikował Jack, sięgając po słuchawkę. - Słucham?

- Dzwoni pańska matka, panie Rainbow - oznajmił recepcjonista.

Filmowy Billy Rainbow nie miał matki.

- Proszę ją połączyć - odrzekł mimo to Jack. Gdzie ona może być, pomyślał. (Według Mimi Lederer, nie był jeszcze do końca rozbudzony).

W Santa Rosa odbywał się zjazd tatuażystów. Czyżby matka po drodze chciała odwiedzić go w Los Angeles? Pewnie już wracała do domu: Jack przypomniał sobie jak przez mgłę, że zdała mu relację z tego zjazdu.

Odbył się w hotelu „Flaming”, a może był to „Różowy Flaming”. Wspomniała coś o zespole bluesowym, Koguty Pijące Wino, czy coś w tym stylu. Alice opowiedziała Jackowi o wszystkich obecnych.

Matka przyznała, że impreza trwała trzy dni: tatuażysty balują jak banda smarkaczy z liceum. W drodze powrotnej Alice była nie do życia. Czy mógł zapomnieć, że opowiadała mu o tym, jak kapitan Don połykał miecz? Albo o wyczynach Suzy Ming, kobiety-gumy. (Czyli matka nie dzwoniła z Santa Rosa).

Może z Paryża: to tłumaczyłoby wczesną porę. W Paryżu był środek dnia, może Alice źle oszacowała różnicę czasu. Czy jednak z Paryża też nie wróciła?

Owszem, przypomniał sobie Jack, wróciła. Opowiadała mu, że spotkała tam między innymi wujka Pauly’ego oraz Małego Vinnie Myersa. Nie był to właściwie zjazd: chodziło o zaplanowanie Mondial du Tatouage w Paryżu. Pomysł wyszedł zapewne od Tin-Tina, zdaniem Alice, najlepszego fachowca w stolicy Francji. Na pewno był tam również Stephane Chaudesaigues z Awinionu, Filip Leu z Lozanny, a może nawet Roonui z Moorea, z Polinezji Francuskiej.

Wszyscy zatrzymali się w hotelu w dzielnicy czerwonych latarni. „Żabi skok od «Moulin Rouge»”, powiedziała Jackowi Alice. Akt Plemienny, grupa wielbicieli kolczykowania, bawiła towarzystwo wieszaniem pokaznych artykułów gospodarstwa domowego na swoich sutkach, penisach oraz innych przekłutych częściach ciała.

Ale to było tygodnie (może miesiące) temu! Matka Jacka dzwoniła z Toronto, gdzie jest równie wcześnie jak w Nowym Jorku. Jack stracił orientację co do jej poczynań.

- Ach, Jackie, tak mi przykro. Tak strasznie mi przykro! - krzyknęła do słuchawki.

- Jesteś w Toronto, mamó?

- Oczywiście, że jestem w Toronto, kochanie - odrzekła z nieoczekiwaną urazą. - Ach, Jack, to takie potworne!

Pewnie była zamroczona alkoholem albo prochami. Jack nabrał podejrzeń, że ocknęła się w pracowni z pijackiego snu. Albo umarł ktoś z jej znajomych, członek starej gwardii, może jakiś nieszczęśnik, który wiecznie sypiał na igłach. Na przykład jej dawny kamrat Marynarz Jerry, przyjaciel z Halifaxu, z którym terminowała u Charliego Snowa.

- Muszę ci to powiedzieć, kochanie, chociaż na samą myśl robi mi się niedobrze - oświadczyła Alice.

Jackowi przyszło do głowy, że Leslie Oastler zostawiła matkę... dla innej kobiety!

- Wykrztuś to wreszcie, mamó, na miłość boską!

- Chodzi o Emmę... Emma odeszła, Jack. Odeszła.

- Dokąd, mamó?

Ale już wiedział. Słuchawka wydała mu się lodowata. Ujrzał rozmigotane pasmo błękitnego Pacyfiku, jak wówczas, gdy widzimy je na Bulwarze Zachodzącego Słońca, jadąc krętą drogą z Chautauqua. Poniżej, w zależności od pory dnia, śmigają lub wloką się pojazdy na autostradzie Pacific Coast, morze samochodów i język asfaltu, dzielący nas od bezmiaru wody.

- Jak to się stało? - spytał matkę.

Dopiero kiedy Mimi Lederer objęła go od tyłu, tak jak obejmowała wiolonczelę, uświadomił sobie, że siedzi na łóżku i drży. Długie nogi Mimi zacisnęły się na jego biodrach.

- Leslie już pojechała na lotnisko - ciągnęła Alice, jakby nie usłyszała pytania.

- Powinam jechać razem z nią, ale znasz Leslie. Nie uroniła nawet jednej łzy!

- Mamó, co się stało Emmie?

- O nie, tylko nie Emma! - zawołała Mimi Lederer. Przyłgnęła do Jacka całym ciałem, poczuł na karku muśnięcie jej ust.

- Nie jesteś sam, Jack! - powiedziała matka.

- Oczywiście że nie jestem sam! Co się stało Emmie, mamó?

- Powinieneś wtedy być przy niej, Jack.

- Mamó...

- Poszła na tańce - zaczęła Alice. - Tam poznała chłopaka. Leslie podała mi nazwę tego miejsca. Coś ohydneho! „Coconut Squeezer”, czy jakoś tak.

- „Teaszer”, mamó. „Coconut Teaszer”.

- Zaprosiła tego chłopaka do domu - uzupełniła Alice.

W takim razie na pewno nie umarła w tańcu, pomyślał Jack.

- Na co zmarła, mamó?

- To potworne! - powtórzyła Alice. - Mówią, że zgon nastąpił w wyniku ataku serca, ale przecież była taka młoda.

- Kto tak mówi? - spytał Jack.

- Policja. Dzwonili tutaj. Ale jak to możliwe, Jack?

W wypadku Emmy powyższa informacja nie budziła zdziwienia, gdy wzięło się pod uwagę jej jadłospis, alkohol, siłownię oraz smarkaczy z „Coconut Teaszer” na dokładkę. Nie brała jednak narkotyków. Smarkacze z „Coconut Teaszer” stali się ostatnio chlebem powszednim. (Zarówno Emma, jak i Jack uważali ich za bezpieczniejszych od pakerów).

- Pewnie zrobią sekcję - powiedział Jack.

- Sekcję? Po zawale? - spytała Alice.

- Zawał w wieku trzydziestu dziewięciu lat, mamó?

- Ten chłopiec był... nieletni - szepnęła Alice. - Policja nie chce podać jego nazwiska.

- A kogo obchodzi jego nazwisko? - burknął Jack. Coraz więcej smarkaczy uchodziło w jego oczach za nieletnich. Biedna Emma umarła, pieprząc gówniarza z „Coconut Teaszer”!

Co do samego chłopca, Jack nie wątpił, że musiał doznać szoku. Emma preferowała pozycję na jeźdźca i zapewne przykazała chłopakowi, aby się nie ruszał. (Może złamał zakaz). A jeśli był prawiczką wybraną przez Emmę ze względu na potencjalnie niewielkie przyrodzenie, śmierć stukilogramowej kobiety odciśnie niezatarty ślad na jego psychice.

- Chłopiec zadzwonił na policję - ciągnęła szeptem matka. - Ach, Jack, czy Emma miała w zwyczaju...

- Czasami - rzucił pośpiesznie.

- Zajmij się Leslie, Jack. Nie powinna przechodzić przez to sama. Znam Leslie. W końcu się załamie.

Jack jakoś nie mógł w to uwierzyć, jednakże myśl o pani Oastler buszującej na Entrada Drive wprawiała go w lekki niepokój. Trudno przewidzieć, co Emma zostawiła na wierzchu. Myśl, że Leslie odkryje kolekcję filmów pornograficznych Emmy, budziła mniejsze zastrzeżenia aniżeli prawdopodobieństwo, że przeczyta notatki córki, niedokończone bądź nieprzeznaczone do publikacji. Trzecia powieść, której pisanie rzekomo przedłużało się w nieskończoność, była pilnie strzeżoną tajemnicą. Nawet Jack nie miał do niej dostępu.

- Wyjadę z Nowego Jorku tak szybko, jak tylko będę mógł, mamó. Jeśli Leslie zadzwoni, powiedz jej, że do wieczora będę w LA.

Wiedział, że może liczyć na Ericę Steinberg, która na pewno pozwoli mu zrezygnować z pozostałych wywiadów.

Wszyscy w otoczeniu Jacka wiedzieli, że Emma była częścią jego rodziny. Okazało się, że Miramax wszystko zorganizował, łącznie z zamówieniem taksówki na lotnisko. Erica kupiła Jackowi bilet, a nawet zaoferowała, że polecą razem z nim. Docenił propozycję, ale odmówił.

Kiedy Jack odłożył słuchawkę, telefon rozdzwonił się ponownie. Mimi Lederer miała rację: obsługa hotelowa nie wiedziała, co począć z jego śniadaniem. Siedzieli na łóżku i Mimi nadal go obejmowała, chociaż drżenie ustało.

- Mam w dupie jogurt - oznajmił swemu rozmówcy. - Przynieście, jaki jest.

- Dobrze się czujesz, Jack? - spytała Mimi.

- Emma nie żyje - warknął. - Nie będę się przejmował zasranym jogurtem.

- Grasz? - zapytała. - Pytam, czy teraz też grasz?

Jack nie wiedział, o co jej chodzi. Mimi zasłoniła się kołdrą, jakby miała do czynienia z obcym człowiekiem.

- Co się stało? - zapytał.

Siedzieli na łóżku, Jack widział swoje odbicie w lustrze wiszącym nad szafką. Wyglądał normalnie. I otóż to: nie sprawiał wrażenia człowieka, który właśnie stracił przyjaciela. Przeciwnie, wyglądał jakby nigdy nic. Jego twarz nosiła nieprzenikniony wyraz, „bardziej noir niż noir”, jak napisaliby w „New York Timesie”.

Nie mógł oderwać od siebie wzroku, co również stanowiło problem. Mimi Lederer wyznała później, że wprost nie mogła ścierpieć jego widoku.

- Nie jesteś na planie, Jack - oznajmiła.

Odpowiedział jej spojrzeniem Billy'ego Rainbowa.

- Dlaczego nie płaczesz? - zapytała.

Jack nie znalazł na to odpowiedzi. Przecież w płaczu był dobry. Kiedy scena wymagała łez, przystępował do dzieła na okrzyk: „Cisza na planie!”.

- Kamera - mówił operator, a Jackowi robiło się mokro pod powiekami.

- Kręcimy - dodawał dźwiękowiec, a Jackowi płynęły po policzkach strugi łez.

Kiedy reżyser (nawet Dziki Bill Vanvleck) wołał: „Akcja!”, Jack potrafił płakać jak bóbr. Ba, nieraz płakał już podczas lektury scenariusza!

Ale tamtego ranka w hotelu jego noir sięgnęło zenitu. Był równie beznamiętny jak Emma, pisząc: „Życie to lista rekrutacyjna. Musisz się stawić na wezwanie, ale to jedyna zasada”.

To właśnie robił Jack Burns: miał „się stawić” w LA. Pewnie weźmie panią Oastler za rękę: w tym też ściśle zastosuje się do zasad.

- Jezu, Jack... - zaczęła Mimi Lederer, po czym urwała; Jack zobaczył, że pośpiesznie naciąga na siebie ubranie. - Nie kochałeś Emmy. Ty nigdy nikogo nie kochałeś - mówiła. - Była najbliższą ci osobą, Jack. Czy ty w ogóle potrafisz kochać? Skoro jej nie kochałeś, chyba nie umiesz kochać nikogo.

Widział Mimi Lederer po raz ostatni. Lubił Mimi, naprawdę. Ona jednak przestała go lubić po pamiętnym ranku w hotel „Mark”. Odchodząc, powiedziała, że nie wie, z kim ma do czynienia. Lecz najbardziej przerażające było to, że Jack sam tego nie wiedział.

Jako aktor potrafił być każdym. Na ekranie świat mógł oglądać jego łzy, czy występował jako mężczyzna, czy jako kobieta. Tusz spływał mu wielokrotnie: dla filmu wszystko! Ale dla Emmy nie umiał zapłakać: owego ranka w hotelu nie wylał ani jednej łzy.

Kiedy kierował się na lotnisko, było jeszcze wcześniej. W recepcji siedział młody mężczyzna, którego widział po raz pierwszy; to chyba on połączył Alice. Oczywiście wiedział, że ma przed sobą Jacka Burnsa, wszyscy wiedzieli. Mimo to na pożegnanie zawołał: „Miłego dnia, panie Rainbow!” głosem pełnym żarliwej szczerości, jaką wykazują młodzi ludzie, kiedy naprawdę chcą sprawić człowiekowi przyjemność.

Jak się okazało, Emma wcale nie umarła na zawał, poprzedzony zwykle obfitymi potami, brakiem oddechu, zawrotami głowy i bólem w klatce piersiowej. Jej przypadłość nosiła nazwę zespołu wydłużonego QT; była to choroba dziedziczna, zaburzająca funkcjonowanie kanałów sodowych i potasowych w sercu. (Co z kolei prowadzi do zaburzeń układu bodźcoprzewodzącego). Jak wyjaśnił Jackowi lekarz, Emma zmarła w wyniku nagłej arytmii, czyli fibrylacji komorowej. Jej serce przestało pompować krew: zgon nastąpił, zanim Emma poczuła, że coś z nią nie tak.

W przypadku zespołu wydłużonego QT pierwszym (i ostatnim) symptomem problemu bywa często nagła śmierć. U sześćdziesięciu procent pacjentów EKG spoczynkowe wykazałoby odchylenia od normy, które nasunęłyby lekarzowi podejrzenia o chorobie, lecz u pozostałych czterdziestu niepokojące sygnały zaobserwowano by dopiero przy zastosowaniu EKG wysiłkowego. (Lekarz powiedział Jackowi, że Emma nigdy nie miała tego rodzaju badania).

Poinformował też, że katalizatorem zgonu mógł być hałas, gwałtowny przypływ emocji bądź zaburzenia elektrolitów, którą z kolei mógł spowodować alkohol lub seks.

Chłopiec z „Coconut Teaszer”, którego nazwiska nie ujawniono, zeznał, iż Emma zwała się nań całym ciężarem, co wziął po prostu za przejaw jej upodobań. On sam uprawiał seks po raz pierwszy w życiu i ściśle stosował się do zaleceń Emmy, a mianowicie ani drgnął. (Ze strachu bał się pewnie kiwnąć palcem). Kiedy wyplątał się z ostatniego uścisku Emmy, od razu zadzwonił na policję.

Z uwagi na genetyczny charakter syndromu należało przebadać pozostałych członków rodziny, czyli Leslie Oastler, która nie wykazywała żadnych zaburzeń. Jej były mąż, ojciec Emmy, zmarł kilka lat wcześniej, podobno we śnie.

- Kutas - podsumowała Leslie.

Jack wrócił do domu, zanim zdążył przygotować się psychicznie na spotkanie z panią Oastler. W samolocie myślał tylko o Emmie. (Roztrząsał swoje braki emocjonalne, jeśli o takie właśnie braki chodziło).

Leslie Oastler natarła na niego jak huragan. „Znam Leslie - powiedziała Alice.

- W końcu się załamie”. Na razie jednak pani Oastler nie okazywała bólu, lecz jedynie ślepią furie.

Napadła na Jacka już od progu.

- Do kurwy nędzy, gadaj, gdzie jest powieść Emmy, Jack! Mam na myśli ostatnią. *

- Nie wiem, Leslie.

- A twoja? Albo to, co ty tam, kurwa, smarujesz. Nie masz nawet komputera!

- Nie pracuję w domu - odpowiedział. Nie było to do końca kłamstwem: biorąc pod uwagę pisarską działalność Jacka, nie pracował nigdzie.

- Nie masz nawet maszyny do pisania! - wrzasnęła pani Oastler. - Pisziesz odręcznie?

- Owszem. Tak się składa, że bardzo to lubię, Leslie. - Tutaj też w sumie nie mijał się z prawdą; listy zakupów, notatki do scenariuszy, autografy: wszystko to sporządzał odręcznie.

Pani Oastler skrupulatnie przejrzała komputer Emmy. Szukała powieści pod każdą możliwą nazwą, lecz nie znalazła żadnego pliku zawierającego wyraz „powieść” lub „trzecia”. Nie znalazła też nic, co nosiłoby znamiona nowo powstającego dzieła.

Zeznania chłopca z „Coconut Teaszer” musiały być wiarygodne, gdyż policja nie potraktowała domu jako miejsca zbrodni, a z uwagi na popularność Emmy (której dzieciak był kompletnie nieświadomy) sprawę zamknięto szybko i bez ceregieli.

Tymczasem pani Oastler przetrząsnęła dom od góry do dołu, pozostawiając po sobie spustoszenie, jakiego mógłby dokonać włamywacz w narkotycznym amoku: pootwierane na oścież szafy i szuflady oraz rozrzuconą odzież. W sypialni Emmy natrafiła na kilka par bokserów Jacka, pod jego łóżkiem zaś wyszperała majtki oraz dwa staniki Emmy. Kolekcja filmów pornograficznych również nie uszła jej uwagi.

- Oglądaliście je razem?- spytała.

- Czasami. Dla celów badawczych - odparł Jack.

- Gówno prawda!

- Powinniśmy stąd wyjść, Leslie. Zabiorę cię na kolację. - Jack zachodził w głowę, jakie inne odkrycia przyniosły poszukiwania pani Oastler.

- Pieprzyliście się czy nie? - zapytała.

- Ależ skąd - odpowiedział. - Ani razu.

- Dlaczego?

Jack nie wiedział, co odpowiedzieć, i postanowił zachować milczenie.

- Sypialiście razem, ale tego nie robiliście, czyż nie tak?

Jack skinął głową.

- Jak recenzentka i gwiazdor porno z powieści Emmy? - spytała Leslie.

- Coś w tym stylu - wykrztusił. Nie chciał, aby pani Oastler pomyślała, że był dla Emmy za duży, co by sugerowało, że próbowali. Ale Leslie sama wyciągnęła wnioski, przynajmniej w kwestii sposobu, w jaki Emma pokonywała swoją przypadłość. (Pozycja na jeźdźca, młodzi chłopcy, którymi mogła pomiatać etc.).

Pytanie Jacka o przyczyny pochwicy okazało się jak najbardziej zasadne, chociaż Emma nabrała wody w usta. W wieku dziewięciu lub dziesięciu lat była molestowana seksualnie przez jednego ze „złych” facetów matki. Był to ostatni konkubent pani Oastler. Dziewczynka była w takim szoku, że opuściła jeden rok w szkole. Jack przypomniał sobie, że podsumowywano to zwięzłym „problemy rodzinne”; dotąd sądził, że miało to coś wspólnego z rozwodem Leslie.

Ostatni „przyjaciel” pani Oastler rzucił nowe światło na sagę o podduszonym dziecku: w wieku dwunastu lat Emma podjęła pierwszą próbę sfikcjonalizowania traumatycznych doświadczeń.

- Nastąpiła pielgrzymka po gabinetach lekarskich, poprzedzona pierwszą wizytą u ginekologa - zakomunikowała Jackowi Leslie. - Emma nienawidziła ojca. Był lekarzem, oczywiście.

Jack nic o tym nie wiedział. Podczas rozmów o panu Oastler Emma i jej matka zazwyczaj posługiwały się określeniem „duppek”, które w świadomości Jacka wyparło jakąkolwiek wzmiankę o jego profesji.

- Zabiorę cię na kolację, Leslie - powtórzył Jack. - Chodźmy tam, gdzie lubiła chodzić Emma.

- Nie znoszę jeść - przypomniała mu pani Oastler.

- Cóż, ja zwykle biorę sałatkę - odrzekł Jack. - W takim razie chodźmy na sałatkę.

- Które z was lubiło japońskie prezerwatywy? - zapytała Leslie. (Wyszperała nawet ultracienkie kondomy Jacka!).

- Ja - odpowiedział. - W „One Pico” mają świetne sałatki. - Carlos, jego były szef z American Pacific, obecnie pracował tam jako kelner. Jack zadzwonił do lokalu i poprosił Carlosa o rezerwację stolika z widokiem na ocean i promenadę.

Na automatycznej sekretarce było sporo wiadomości, lecz pani Oastler zapewniła Jacka, że nie warto ich odsłuchiwać. Dominowały kondolencje od przyjaciół, zadzwonił nawet Dziki Bill Vanvleck. (Szalony Holender od lat nie nakręcił żadnego filmu. Jack zastanawiał się, czy jeszcze żyje).

Zdaniem Leslie, na uwagę zasługiwała jedynie wiadomość od Alana Hergotta, który informował, że Emma wyznaczyła Jacka na wykonawcę testamentu. (Alan był także prawnikiem Emmy). Dzwonił również Bob Bookman, ich agent; twierdził, że muszą się jak najszybciej spotkać z Alanem i przedyskutować ostatnią wolę Emmy. (Jack dowiedział się o jej istnieniu dopiero z ostatniej, niemiłej rozmowy z Emmą, która podobno o nim „pamiętała”).

- Dam głowę, że zapisała ci wszystko - oświadczyła pani Oastler, ogarniając chudym ramieniem sprofanowaną przestrzeń domu przy Entrada Drive. - Szczęściarz.

Kiedy Leslie poszła wziąć prysznic i przebrać się, Jack odsłuchiwał po cichu wiadomości. Wzmianki Boba Bookmana i Alana Hergotta na temat jego „opieki” nad literacką spuścizną Emmy mocno dały mu do myślenia. Obaj mężczyźni zdawali się go ponaglać, co uszło uwagi pani Oastler bądź zostało przez nią zbagatelizowane.

Leslie przebrała się w wiążaną na karku, seksowną czarną suknię z dekoltem na plecach. Tylko dziewięć lat starsza od Alice, pani Oastler niedawno skończyła sześćdziesiąt lat, jednakże smukła sylwetka i gładka skóra nadawały jej wygląd osoby pięćdziesięcioletniej, o czym doskonale wiedziała. Nadal starannie farbowała krótkie włosy, piersi nie opadły ani o centymetr, a drobne pośladki zdawały się jędrniejsze niż kiedykolwiek. Zdradzały ją tylko żyły na rękach, ręce zaś znajdowały się w ciągłym ruchu, jakby chcąc uniemożliwić bliższe oględziny.

Leslie oznajmiła, że sypialnia Emmy nosi aurę miejsca zbrodni, w związku z czym ona tam spać nie będzie. Jack zaoferował jej swój pokój lub sypialnię gościnną, lecz pani Oastler poinformowała go, że zarezerwowała dla nich pokój w „Shutters”. Ostatecznie mieli tam zjeść kolację.

- Równie dobrze możemy zostać na noc - orzekła.

- My?

- Nie powinnam zostawać sama - odrzekła. - Skoro spałeś z Emmą i tego nie robiliście, chyba ze mną może być tak samo.

Zaniósł do samochodu jej bagaż podręczny i pojechali do „Shutters”. Słońce już zaszło, lecz na niebie wciąż widniała różowawa poświata. Zapalono światła na rondzie. Po promenadzie biegnącej poniżej „One Pico” przetaczały się tłumy ludzi. Leslie wypila do sałatki butelkę wina, Jack zadowolili się galonem mrożonej herbaty.

- Zastanawiam się, o jaką literacką spuściznę chodzi - zagaiła pani Oastler. (Kiedy poszła się zameldować w hotelu, Carlos szepnął Jackowi, że to najładniejsza babka, z jaką go ostatnio widział).

- Zapewne powieść - odpowiedział Jack.
- Co niby miałbyś z nią zrobić, Jack?
- Na przykład zdecydować, czy nadaje się do druku, czy nie.
- Ta powieść nie istnieje, Jack. Nie ma żadnej trzeciej powieści. To nie praca się przedłużała, tylko marazm Emmy - oświadczyła Leslie.
- Emma ci to powiedziała? - spytał Jack, uderzony prawdopodobieństwem tych słów. Pani Oastler wzruszyła ramionami.
- Emma nigdy mi nic nie mówiła, Jack. Rozmawiała z tobą?
- O trzeciej powieści nie - przyznał.
- Nie ma żadnej trzeciej powieści - powtórzyła Leslie.

Okazało się, że Leslie Oastler zadzwoniła do Alana Hergotta. Alan udzielił jej mglistych informacji: w grę wchodziły „kwestie literackie”, przy czym Emma zaznaczyła, że matka nie powinna mieć z nimi nic wspólnego. Nawet odczytanie testamentu miało się odbyć w wąskim kręgu wtajemniczonych, czyli w obecności Jacka oraz Boba Bookmana.

- Zgadujesz czy masz co do tego niezbitą pewność? - spytał Jack.
- Zgaduję - wyznała pani Oastler. - W wypadku Emmy nic innego mi nie pozostaje.
- Miałem to samo - odpowiedział.

Ku zdziwieniu Jacka pani Oastler ujęła go za rękę. Popatrzył na jej ładną twarz: roziskrzone oczy, usta z prowokującym uśmiechem na wąskich wargach, idealnie prosty nos, i raz jeszcze poczuł niedowierzanie, że owa krucha istota wydała na świat kobietę równie bujną jak Emma.

Słowa pani Oastler wprawiły go w jeszcze większe zdumienie.

- Nie obwiniaj się o jej śmierć, Jack. Byłeś jedyną osobą, na której jej zależało. Powiedziała mi kiedyś, że liczy się dla niej tylko twoje dobro.

- Mnie nigdy tego nie mówiła - odrzekł. Był to dobry moment na łzy, lecz on nadal czuł się niezdolny do płaczu. Wbrew przewidywaniom Alice Leslie też nie wyglądała na zasmuconą.

- Poprośmy o rachunek - powiedziała. - Muszę się przekonać, co znaczy spać z tobą i tego nie robić.

Jack doszedł do wniosku, że powinien poinformować matkę o miejscu ich pobytu. Alice będzie się martwiła o Leslie, o Jacka też, chociaż w mniejszym stopniu. Co, jeśli matka zadzwoni do domu na Entrada i zastanie tylko włączoną sekretarkę? Przez całą noc będzie się dobijać na jego komórkę.

- Zadzwonię do niej, kiedy będziesz w łazience - uspokoiła go pani Oastler.

Jack zapomniał zabrać szczoteczkę do zębów. Z wielorakich przyczyn wzbraniał się przed użyciem szczoteczki Leslie, więc ograniczył się do nabrania pasty na palec i rozmazania jej po zębach.

- Możesz skorzystać z mojej szczoteczki, Jack - dobiegł zza zamkniętych drzwi głos pani Oastler. - Jeśli zamierzasz mnie całować, byłoby to ze wszech miar wskazane.

Nie zamierzał całować Leslie Oastler, przynajmniej dopóki o tym nie wspomniała. Na przekór intuicji postanowił jednak użyć jej szczoteczki.

Kiedy wyszedł z łazienki, pani Oastler była już rozebrana. Miała na sobie tylko skąpe czarne figi, tworzące złowrogie połączenie z blizną po cesarce oraz popisową różą jerychońską Alice. Mijając Jacka zasłoniła rękami drobne, idealne piersi w przypiływie skromności równie nieoczekiwanej jak jej pocałunki, które nastąpiły kilka minut później.

Całowała drapieźnie, żeby nie powiedzieć żarłocznie, ani na chwilę nie zamykając błyszczących, czujnych oczu. Mimo to Jack odniósł wrażenie, że wszystkie poczynania Leslie mają charakter eksperymentu.

Kiedy osiągnęli stan wyczerpania, po którym mogli dać sobie spokój bądź kontynuować grę wstępną na bardziej zaawansowanym etapie, pani Oastler zapytała spokojnie:

- Robiłeś to z Emmą, prawda? Całowaliście się.

- Tak, całowaliśmy się.

- Dotykaliście się?

- Czasami.

- Jak?

Jack ujął jej piersi.

- To wszystko? - zapytała.

- Tylko tak jej dotykałem - odpowiedział.

- A jak ona cię dotykała, Jack?

Bez względu na swoje doświadczenie w tym zakresie, nie wiedzieć czemu nie mógł wydusić słowa „penis”. Puściwszy piersi Leslie, przewrócił się na drugi bok. Pani Oastler nie wahała się ani chwili: przerzuciwszy przez Jacka chude ramię, zacisnęła drobną dłoń na stwardniałym członku.

- Właśnie tak - powiedział Jack.

- Hm, wielki to on nie jest - orzekła Leslie. - Nie wydaje mi się, żeby Emma mogła mieć przy nim skurcz mięśni. A ty co myślisz, Jack?

- Może i nie.

Pani Oastler nie cofnęła ręki. Jack bezskutecznie usiłował stłumić erekcję. Przyszło mu do głowy, że Leslie Oastler zawsze miała nad nim pewną władzę. Wkroczyła szturmem w jego dzieciństwo, kiedy był najbardziej bezbronny, najpierw ze swoim stanikiem (zanim jeszcze ją poznał), a następnie pokazując mu swoją różę jerychońską. Jack był wówczas tak młody, że sposób, w jaki przycinała włosy łonowe, stał się odtąd dla niego wzorcem.

W ten mniej lub bardziej zauważalny sposób jesteście obrabowywani z dzieciństwa, nie zawsze za sprawą jednego ważkiego incydentu, lecz często w wyniku serii drobnych kradzieży, które w ostatecznym bilansie równoważą ten pierwszy. Pani Oastler niewątpliwie należała do grona złodziei dzieciństwa Jacka, choć jej motywy mogły być pozbawione złośliwości lub wyrachowania. Leslie Oastler była po prostu osobą, która nie lubiła niewinności tudzież gardziła nią z przyczyn niejasnych nawet dla niej samej.

Złudzeń pozbawił ją były mąż; odziedziczył mnóstwo pieniędzy, które oboje traktowali jako coś naturalnego. (Doktor Oastler nie dorobił się fortuny: w Kanadzie było to raczej niemożliwe). Pani Oastler postawiła sobie za cel pozbawiać złudzeń innych, a że poznała Alice, Jack siłą rzeczy uległ jej wpływowi.

Tak czy inaczej, kiedy Emma trzymała go za penis, erekcja zwykle nie trwała długo. Z panią Oastler było inaczej. Jack był przekonany, że będzie trwać, dopóki Leslie go nie puści, ona zaś wyraźnie nie miała takiego zamiaru. Usiłował odwrócić jej uwagę rozmową na drażliwe tematy, co prowokowało ją tylko do zmiany uścisku bądź obojętnego pociągnięcia za penis.

- Czuję, że powinienem ci podziękować - zaczął. Ów ewidentny przejaw braku lojalności wobec Emmy (wyrażony rzekomą wdzięcznością wobec matki) stropił go bardziej aniżeli przedłużająca się erekcja.

- Za co? - zapytała pani Oastler.

- Za kupowanie moich ubrań do Redding, a potem Exeter. Za opłacanie chesnego. I zajmowanie się nami... to znaczy matką i mną. Za to wszystko, co dla nas zrobiłaś, kiedy pani Wicksteed...

- Przestań, Jack.

I tak miał zamiar przestać, gdyż uścisk jej dłoni niebezpiecznie (i boleśnie) przybrał na sile. Leslie Oastler wcisnęła otwarte usta pomiędzy jego obojczyki, jakby chciała go ugryźć. Może tłumiała krzyk. Ale powiedziała tylko:

- Nie dziękuj.

- Dlaczego, Leslie? Byłaś bardzo hojna.

- Ja hojna? - powtórzyła. Nareszcie rozluźniła ucisk i powiodła palcem dookoła penisa, który bynajmniej nie spuścił z tonu.

Jack przypomniał sobie ciszę, jaka zapadła wśród klientów salonu, kiedy matka powiedziała do niego (pozornie zdawkowo i jak gdyby nigdy nic):

- Obiecuj mi jedno, Jack. Nigdy nie prześpisz się z Leslie.

- W życiu bym tego nie zrobił, mamę! - zaoponował.

Następnie powróciło wspomnienie nocy w „Sunset Marquis”, małym hotelu w West Hollywood, gdzie Jack posuwał modelkę; wynajmowała prywatną willę, a niejeden z tanich pokoi w głównym budynku. W sąsiedniej willi balowała hałaśliwa zgraja muzyków, rockandrollowców z fankami; modelka postanowiła wprosić się na imprezę. Jack wolał wrócić do domu. Chcąc udaremnić jego plany, modelka wrzuciła do sedesu kluczyki samochodowe i spuściła wodę.

Jack mógł iść do recepcji i poprosić o zamówienie taksówki, ale nie chciał zostawiać audi przy hotelu na całą noc; w okolicy dochodziło czasem do przykrych incydentów. Poza tym modelka przebrała się w jego odzież i pofrunęła na sąsiednie przyjęcie. Jack musiałby opuścić hotel w jej ubraniu, które na niego nie pasowało. (Modelka nosiła, zdaje się, rozmiar sześć).

Jack zadzwonił do Emmy, która pisała. Ubłagał ją, żeby wsiadła w taksówkę i przywiozła mu zapasowe kluczyki. Właśnie tłumaczył jej, że są w szufladzie w kuchni, przy telefonie, kiedy nieoczekiwanie wpadła mu w słowo.

- Obiecuj mi jedno, Jack. Nigdy nie prześpisz się z moją matką.

- W życiu bym tego nie zrobił, Emmo!

- Wiem, że nie, ptysiu. Ale ona tak.

- Obiecuję - powiedział. - Przyjedź po mnie, bardzo cię proszę.

Modelka ulotniła się razem z jego portfelem schowanym w lewej kieszeni spodni, w związku z czym nie pozostawało mu nic innego, jak pójść go odzyskać. Wyszukował się jak należy: szminka, cienie i tak dalej. Staniki dziewczyny były tak małe, że omyłkowo wziął jeden z nich za stringi, ale wypchał go połówkami piłki tenisowej, którą własnoręcznie przekroił.

Modelka cierpiała na drganie palców, zapewne w wyniku jakichś niedoborów w diecie; jako terapię osobisty trener zalecił jej ściskanie piłki tenisowej. Wnętrze willi usiane było takimi piłkami; Jack przeciął jedną z nich za pomocą nożyczek do paznokci.

Wcisnął się w kusą jaskrawozieloną bluzkę, która, niestety, odsłaniała pasmo ciemnych włosów, biegnące od pępka w dół. Jack uporał się z tym problemem za pomocą golarki pani domu. Ogolił również nogi, zacinając się przy tym w goleń. Zalepiwszy rankę skrawkiem papieru toaletowego, pomalował paznokcie u nóg na krwistą czerwień, która jak ulał pasowała do draśnięcia.

Znalazł parę brzoskwiniowych majtek z koronkową lamówką, których otwory na nogi odcięłyby mu dopływ krwi, w związku z czym poszerzył je wspomnianymi wyżej nożyczkami. Oczywiście nie był w stanie dopiąć zamka granatowej minispódniczki, lecz niedopięty rozporek, odsłaniający koronkową lamówkę, z grubsza uzupełniał wizerunek. Jack wyglądał tandetnie, podobnie wyglądała jednak połowa bywalczyń miejscowego baru.

Przeglądając się w dużym lustrze, spostrzegł, że krzywo pomalował paznokcie u nóg, które wyglądały, jakby weszły w bezpośredni kontakt z kosiarką. Spódnica opadała na jednym biodrze, a rozdarty bok bluzki ukazywał skrzyżowane ramiączko kremowego stanika. Tenisowe piersi Jacka były wyraźnie mniejsze aniżeli bicepsy. Wyglądał jak hokeista w trzecim lub czwartym miesiącu ciąży.

Dałby sobie spokój z lakierem, gdyby mógł włożyć buty, ale modelka użyła ich do obciążenia marynarki, która znajdowała się w wannie, jakieś cztery cale pod wodą.

Jack doszedł do wniosku, że na przyjęciu u muzyków nie będą obowiązywać szczególnie rygorystyczne wymogi dotyczące stroju. Po namyśle wycisnął sobie na rękę kleks odżywkii (ekstra objętość), wtarł ją we włosy, a następnie wysuszył je suszarką. Wyglądał jak ciężarny były hokeista (obecnie dziwka), rażony piorunem, lecz fanki muzyków nie dorastały mu do pięt.

Modelka stanowiła na ich tle wyjątek: była naprawdę niezła. Zrzuciwszy spodnie Jacka i jego białą koszulę, tańczyła w męskich bokserkach i staniku. Muzycy oraz ich świta byli tak narąbani, że nie zwróciliby na Jacka uwagi, nawet gdyby był samym Toshiro Mifune w damskim przebraniu. Wszyscy oprócz jednego zapaleńca, który wyżywał się na harmonijce. Przerwawszy grę, utkwiał wzrok w Jacku, a konkretnie w jego połówkach piłki tenisowej.

- Jesteś z nią? - spytał, wskazując na tańczącą modelkę.

- Stanik i bokserki wyglądają znajomo - odparł Jack. I tym się zdradził, gdyż była to typowa kwestia Jacka Burnsa.

- Mógłbyś być sobowtórem Jacka Burnsa - oznajmił tamten. - Bez kitu.

- Poważnie? - spytał Jack. - Nie wiesz może, gdzie gaska w bokserkach porzuciła resztę ubrania?

Mężczyzna wskazał na sofę, na której leżała młoda, wysoka kobieta: spała lub też była zemdlona, lub martwa. (Tak czy inaczej harmider bynajmniej nie robił jej różnicy). Przykryła się białą koszulą Jacka, której ktoś użył do utrwalenia pomad-ki. Jack odszukał swoje spodnie i wyjął z lewej kieszeni portfel. Spodni nie było sensu brać, zwłaszcza że marynarka do kompletu spoczywała pod wodą, białych koszul zaś miał na pęczki. Gotów był poświęcić ubranie, byle tylko jak najszybciej się ulotnić.

Modelka niezmordowanie szalała na parkiecie.

- Przekaż jej, że może zachować bokserki, ale stanik ma do mnie wrócić - powiedział Jack.

Muzyk podjął grę na harmonijce, która zawodziła jak maltretowany kot. W odpowiedzi tylko kiwnął głową.

Jack napatoczył się na ochroniarza, który nie zauważył jego przybycia. Mężczyzna wyszedł za nim na zewnątrz, gdzie w półmroku jaśniały okna niektórych willi. Na trawie perliły się już krople rosy.

- Hej - zagaił ochroniarz. - Ty podobno jesteś ten czubek Jack Burns.

Jack sięgał czołem do masywnej piersi tamtego, obleczonej w hawajską koszulę. Mężczyzna zastąpił mu drogę. W normalnych warunkach Jack puściłby się biegiem w kierunku kolejki przy aksamitnym sznurze przed barem; tamten nie odważyłby się zdrzeć z nim w tłumie. Ale miał na sobie tak obcisłą spódnice, że gdy szedł, jego kolana ocierały się o siebie. Nie było mowy o ucieczce.

- To ty, ptysiu? - usłyszał głos Emmy.

Ochroniarz ustąpił na bok i pozwolił mu przejść.

- Jak ty wyglądasz... masz rozpięty zamek! - zganiła Jacka Emma. Opasawszy go potężnym ramieniem, przyciągnęła przyjaciela bliżej, a następnie pocałowała w usta, rozmazując mu szminkę. - Co się stało z twoimi butami, ptysiu? - zapytała.

- Zatopione - wyjaśnił oględnie Jack.

- Mam nadzieję, że to nie były manole niegrzeczna! - zawołała Emma, przenosząc rękę na pośladki Jacka.

- Lesby! - wrzasnął za nimi ochroniarz.

- Uważaj, bo jak ci wsadzę w dupę mój wibrator, to będziesz płakał i prosił o litość! - odwrzasnęła Emma, na co tamten jakby pobałdł.

Wysoki mężczyzna o wyglądzie stracha na wróble zawisł na aksamitnej barierze niczym koszula na sznurze do bielizny.

- W Kalifornii nie wolno chyba prowadzić na bosaka - oznajmiła Emma.

- Przysięgam, że nie prześlę się z twoją matką - odszepnął Jack.

Prawie zasnął, z zeszywniałym penisem w dłoni pani Oastler, gdy Leslie odezwała się nieoczekiwanie:

- Musiałam obiecać twojej matce, że nigdy nie pójdę z tobą do łóżka, Jack. Poszłam, ale w innym sensie, prawda?

- Oczywiście - przytaknął Jack.

Pani Oastler zahaczyła paznokciem o czubek penisa i Jack drgnął.

- Wybacz - powiedziała. - Dawno nie bawiłam się niczym penisem.

- Nic nie szkodzi - odparł.

- Musisz porozmawiać z mamą, Jack - dodała Leslie tonem Emmy.

- Dlaczego? - spytał.

- Porozmawiaj z nią, dopóki jeszcze jest czas.

- Na co?

- Emma i ja nie rozmawialiśmy - ciągnęła pani Oastler. - Nasz czas minął bezpowrotnie.

- O czym miałbym z nią porozmawiać?

- Na pewno masz wiele pytań.

- Nigdy na nie nie odpowiadała! - przypomniał.

- No cóż, może wreszcie nadeszła odpowiednia pora - odrzekła pani Oastler.

- Zapytaj znowu.

- Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem, Leslie?

- Naturalnie - odpowiedziała. - Ale ci nie powiem. Spytaj mamę.

Na zewnątrz ktoś wrzeszczał. Głos przypuszczalnie dolatywał z parkingu, choć krzykacz równie dobrze mógł znajdować się nieco dalej. Być może za sprawą owego krzyku Jackowi wreszcie minęła erekcja.

- Ach, milutki! - zawołała pani Oastler. (Usilnie próbowała przywrócić penis do życia). - Zupełnie jakby odpływał w dal!

- Może jest smutny - podsunął Jack.

- Zapamiętaj tę kwestię, Jack - powiedziała kiedyś Emma. - Jeszcze zrobisz z niej użytek.

I pomyśleć, że nie wyobrażał sobie, w jakich okolicznościach mógłby zrobić użytek ze smutku swojego penisa!

Jednakże określenie „smutny” wywołało u Leslie Oastler zgoła nieprzewidzianą reakcję. Puściwszy penis, przewróciła się na drugi bok, kładąc się plecami do Jacka. Nie wiedział, że płacze, dopóki łóżko nie zadrgało: pani Oastler szlochala bezgłośnie. Jack odgadł, że zapewne o to chodziło jego matce, lecz pomimo chwili słabości Leslie nie straciła panowania nad sobą. Jej drobne ciało dygotało, twarz była mokra od łez, a piersi chłodne, lecz nie wyrzekła ani słowa.

Kiedy się obudził, usłyszał, jak pani Oastler hałasuje w łazience. Przespał wizytę pokojówki. Dzbanek z kawą, do którego Leslie ograniczyła zamówienie, ostygł niemal zupełnie. Torba leżała spakowana, a na łóżku spoczywało ubranie przygotowane na podróż: czarny kostium ze spodniami, wycięte majtki oraz stanik. W ramach niespodzianki pani Oastler zostawiła na poduszce zdjęcie nagiej Emmy, jedyne, które zachował. Musiała je znaleźć w domu na Entrada; chciała dać mu do zrozumienia, że je widziała.

Emma świdrowała go z fotografii krytycznym spojrzeniem; miała wówczas siedemnaście lat, on zaś dziesięć i właśnie rozpoczynał edukację w Redding. W życiu nie była w lepszej formie. Na jednym z policzków widniało otarcie od maty, zapewne sprawka Czenki bądź któregoś z mińszczaków.

Leslie Oastler wyszła z łazienki w hotelowym szlafroku i z mokrymi włosami.

- Niezła fotka, co? - zapytała.

- Zrobiła ją Charlotte Barford - odpowiedział Jack.

- Pewnie nie ograniczyła się do jednej, hm?
- Moja eks kazała mi je wyrzucić - przyznał.
- I myślała, że wyrzuciłeś wszystkie.
- Owszem.

- Taki sławny gość nie powinien trzymać na wierzchu podobnych zdjęć - zauważyła pani Oastler. - Ale ja go nie wyrzucę. Nie wyrzucę żadnego zdjęcia Emmy. Już nie.

- Oczywiście że nie - odpowiedział.

Stał nago przy oknie wychodzącym na parking oraz kawałek nieruchomości ronda Ferris, które w mętym świetle poranka przypominało szkielet dinozaura. Mieszkańcy Santa Monica nie należeli do rannych ptaszków.

Pani Oastler stanęła za nim, oburącz ujmując jego penis, który momentalnie stwardniał. Jack raz jeszcze poczuł, że zdradza Emmę. Zaczął płakać. Leslie ocierała się nagim ciałem o jego plecy. Gdyby chciała się kochać, on by nie oponował, chyba dlatego właśnie płakał. Obietnice złożone matce i Emmie spełzły na niczym.

- Biedny Jack - rzuciła sarkastycznie Leslie Oastler. Puściwszy go, sięgnęła po ubranie; miała tak krótkie włosy, że bez trudu mogła osuszyć je ręcznikiem. - Jestem pewna, że masz przed sobą ciężki dzień - dodała. - No wiesz, musisz się zająć spuścizną.

Jack mógłby przepłakać cały dzień, ale nie przy niej, dlatego przełknął łzy. Ubrał się, chowając zdjęcie Emmy do prawej kieszeni.

- Podejrzewam, że matka zadzwoni do ciebie, nim wrócę do Toronto - powiedziała pani Oastler. - Zacznie cię wypytywać o minioną noc, o to, czy razem spaliśmy itepe.

- Wiem, co mam mówić - odparł.

- Pamiętaj, żeby z nią porozmawiać, Jack. Wypytaj o wszystko, dopóki jeszcze masz czas.

Jack bez słowa dokończył ubieranie. Następnie poszedł do łazienki i zamknął drzwi. Spróbował przygładzić włosy, umył twarz. Był wdzięczny, że pani Oastler zostawiła mu pastę; szczoteczkę chyba zapakowała. Palcem rozsmarował pastę po zębach i wyplukał usta. Wkrótce usłyszał trzaśnięcie drzwi, a kiedy wyszedł z łazienki, Leslie nie było.

Opuszczenie hotelu kosztowało go niemało trudu. Pani Oastler zapłaciła rachunek, lecz przed wyjściem czyhała gromadka paparazzi. Na szczęście nie zwrócili uwagi na panią Oastler. Ktoś zauważył Jacka w „One Pico” w towarzystwie ładnej kobiety i wykoncypował, że przenocują w „Shutters”.

- Kim była ta kobieta, Jack? - wypytywał jeden z fotografów.

Na Entrada Drive też roiło się od fotoreporterów, co nie wzbudziło w nim większego zdziwienia. Jack zastanawiał się, dlaczego nie przybyli tu wczoraj: w ten sposób mogliby go śledzić aż do „Shutters”. Zdjął poszwy z pościeli Emmy i włożył je wraz z ręcznikami do pralki, a następnie trochę uporządkował mieszkanie. Matka zadzwoniła, nim zdążył przygotować sobie śniadanie. Poinformował ją, że Leslie jest już w samolocie. Zapewnił też, że w nocy dodawali sobie nawzajem otuchy.

- Otuchy? Nie spałeś z nią, prawda?
- Ależ skąd! - odparł z urazą.
- Cóż, Leslie bywa niepoprawna - zauważyła Alice.

Jack wyobrażał sobie, jak pani Oastler zareagowałaby na te słowa. On skłaniał się ku stwierdzeniu, że to raczej jego matka zasługiwała na miano niepoprawnej, lecz postanowił to przemilczeć. Wiedział, że musi z nią porozmawiać, ale nie miał pojęcia, jak zacząć.

- Leslie kazała mi z tobą porozmawiać, mam. Mam cię wypytać o wszystko, dopóki jeszcze jest czas.

- Boże, wyobrażam sobie, co to była za noc! - oświadczyła Alice.
- Porozmawiaj ze mną.
- Przecież rozmawiamy, skarbie.

Droczyła się z nim. Jack w duchu machnął ręką. Był czas, kiedy usiłował coś z niej wyciągnąć, ona jednak milczała jak grób. Teraz nie miał zamiaru jej niczego ułatwiać. Zresztą co go to wszystko obchodzi? Kiedyś go obchodziło, lecz matka była niewzruszona. Teraz on będzie niewzruszony.

- Jeśli chcesz mnie o coś spytać, pytaj! - zachęciła.

- Jesteś wierna Leslie? - zapytał. - Czy ona nie jest bardziej wierna tobie niż ty jej? - Odpowiedź niespecjalnie go interesowała, chciał jedynie wybadać, w jakim stopniu matkę stać na szczerość.

- Jackie, a cóż to za pytanie!

- Jakim facetem był mój ojciec? Dobrym czy złym?

- Jack, uważam, że powinieneś tu przyjechać na kilka dni. Będziemy mogli porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy, mamo.

- Nie podoba mi się twój zaczepny ton, skarbie.

- Przekaż Leslie, że próbowałem z tobą rozmawiać.

- Naprawdę z nią nie spałeś? - spytała matka.

Jack prawie pożałował, że do tego nie doszło, ale powiedział tylko:

- Nie, mamo. Nie spałem.

I na tym zakończyła się ich (tak zwana) rozmowa. Kiedy oznajmił matce, że podziękował pani Oastler za wszystko, co dla niego - dla nich - zrobiła, matka odpowiedziała mu tradycyjnie: „To miło, skarbie”.

Powinien był wspomnieć również o dziwnej reakcji Leslie, ale tego nie uczynił.

Trzymając w ręku bezprzewodową słuchawkę, patrzył przez okno na ekipę telewizyjną, która filmowała fasadę domu, co wzburzyło go do głębi. Rozkojarzony puścił mimo uszu wzmiankę na temat zjazdu w Woodstock, w stanie Nowy Jork.

- Pamiętasz, jak byłem w Redding? - zapytał ni z gruszki, ni z pietruszki. - Miałaś do mnie przyjechać, ale coś ci wypadło. Spędziłem tam cztery lata, a ty ani razu mnie nie odwiedziłaś.

- Oczywiście że pamiętam! To bardzo ciekawa historia. Muszę ci ją kiedyś opowiedzieć. Na pewno cię zainteresuje.

Nie wydawało mu się, aby Leslie miała to na myśli, mówiąc o rozmowie. Bawili się w podchody. Jack mieszkał z Emmą przez dziesięć lat, teraz Emma umarła, a on i matka nie potrafili ze sobą rozmawiać. Nigdy ze sobą nie rozmawiali. Było jasne, że Alice nadal ma zamiar go zwodzić.

Chciała wiedzieć, na czym polegają obowiązki wykonawcy testamentu. Jack nie miał pojęcia.

- Pewnie wkrótce się dowiem - uciął.

Ku jego zdziwieniu na automatycznej sekretarce była tylko jedna wiadomość, którą odsłuchał podczas rozmowy z matką. Mildred („Milly”) Ascheim, producentka filmów pornograficznych, zadzwoniła, aby mu złożyć kondolencje. Miała głos tak podobny do Myry, że w pierwszej chwili wziął to za wiadomość zza grobu. „Drogi Jacku Burns - powiedziała, jakby dyktując list. - Przykro mi z powodu śmierci twojej przyjaciółki”.

Nie przedstawiła się ani nie zostawiła numeru, musiała jednak wiedzieć, że bezbłędnie rozpozna jej głos. Jack tak bardzo wzruszył się owym gestem, że ponownie nie dosłyszał słów matki, która znów mówiła coś o pani Oastler.

- Jesteś sam, Jack?

- Tak, mamo.

- Słyszałam kobiecy głos.

- To telewizor - skłamał.

- Pytałam, czy Leslie cały czas miała na sobie ubranie.

- Chyba zauważyłbym, gdyby je zdjęła - oznajmił.
- Aktor - rzuciła Alice.
- Muszę lecieć. - (Obydwoje zauważyli, że uciął rozmowę identycznie jak Emma).
- Do widzenia, Billy Rainbow - powiedziała matka, odkładając słuchawkę.

24 • Trik z guzikiem

Absolwentka Świętej Hildy, taka jak Leslie Oastler, poprosiłaby o mszę pogrzebową w szkolnej kaplicy, źródle miłych i traumatycznych wspomnień okresu dzieciństwa, którego znaczna część upłynęła z dala od szkodliwej obecności osobników płci męskiej, nie licząc malców, niebędących dla starszych dziewcząt ani zagrożeniem, ani pokusą. (Z wyjątkiem Jacka Burnsa).

Mało prawdopodobne, by Emma uczyniła to samo, nie pozostawiła jednak matce żadnych wytycznych co do „ostatniej posługi”. Wybór pani Oastler odruchowo padł więc na kaplicę Świętej Hildy. Ostatecznie znajdowała się ona w pobliżu domu i Leslie wybrała ją również na własny pogrzeb.

Alice zadzwoniła do Jacka, aby mu przekazać prośbę pani Oastler, która chciała, by powiedział na mszy „parę słów”.

- Umiesz tak ładnie mówić, skarbie - dodała Alice. - No i przecież piszesz.

Jak mógł odmówić? Poza tym obie panie nie miały pojęcia, jak wymyślony przez Emmę mit „pisania” niepostrzeżenie stał się rzeczywistością.

W testamencie Emma istotnie pozostawiła Jackowi wszystko. („Szczęściarz”, zauważyła Leslie, nie mając pojęcia, jak bardzo jest bliska prawdy). Jack został spadkobiercą Emmy w szerokim tego słowa znaczeniu, na warunkach znanych tylko Bobowi Bookmanowi, Alanowi Hergottowi oraz samemu Jackowi Burnsonowi. Emma przemyślała wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Z chwilą jej śmierci prawa do sfilmowania „Recenzentki bzdur”, obwarowane klauzulami zwykle nieosiągalnymi dla pisarzy (zatwierdzenie obsady, reżysera i ostatecznej wersji), przeszły na Jacka. Mógł nakręcić film wedle własnego uznania, z jednym tylko zastrzeżeniem: musiał sam napisać scenariusz. Bob Bookman, Alan Hergott i Jack wiedzieli, że Emma stworzyła jego zarys, coś w rodzaju brudnopisu. Pozostały również jej notatki z sugestiami, co należałoby ewentualnie zmienić, dodać bądź usunąć. Zadaniem Jacka było wypełnić luki, których w tekście nie brakowało. Innymi słowy, jak ujęła to Emma: „Dopisz własne dialogi, ptysiu”. Zaznaczyła również, że to Jack ma zagrać rolę gwiazdora porno.

Gdyby odmówił popełnienia tak jawnego plagiatu (nie uzurpując sobie prawa do tytułu scenarzysty „Recenzentki bzdur”), film mógł zostać nakręcony dopiero po upływie wielu lat, wraz z wygaśnięciem praw autorskich, kiedy książka Emmy stanie się własnością publiczną.

Co do trzeciej powieści Emmy, pani Oastler miała całkowitą rację: książka nie istniała. Emma nie cierpiała wszelako na niemoc twórczą, gdyż zajmowała się adaptacją „Recenzentki bzdur”, czyli scenariuszem rzekomego autorstwa Jacka Burnsa.

Jack dowiedział się od Boba Bookmana (który zwykle reprezentował tylko reżyserów i pisarzy), w jaki sposób Emma skłoniła go do opieki nad Jackiem. „Jack Burns jest pisarzem, nie aktorem, po prostu jeszcze o tym nie wie”.

Tantiemy ze sprzedaży obu powieści również przypadły Jackowi, co z nawiązką rekompensowało czas, jaki miał poświęcić na „obróbkę” scenariusza. Krótko mówiąc, Emma za życia wyrobiła Jackowi renomę pisarza, po śmierci zaś dała mu okazję, aby naprawdę się nim stał.

Zarówno nieukończony szkic scenariusza „Recenzentki bzdur”, jak i uwagi skierowane do Jacka zostały usunięte z komputera Emmy. Nie zachowała na dyskiecie żadnych kopii i usunęła pliki z twardego dysku. Istniał tylko jeden wydruk, pieczołowicie przechowywany przez Alana Hergotta w jego biurze (gdzie wraz z Bobem Bookmanem wyluszczyli Jackowi szczegóły testamentu), który należało przepisać odręcznie. Z bzdurnych informacji, jakich udzielał w wywiadach, wynikało, że Jack Burns pisze ręcznie: nawet Leslie Oastler wiedziała, że Jack nie ma komputera ani maszyny do pisania i że podobno woli pisać długopisem.

Bob i Alan uważali, że Jack powinien niezwłocznie przystąpić do pracy. Nie wyznaczili mu żadnych terminów.

- Ale czy naprawdę powinienem to robić? - spytał Jack. - To znaczy... czy tak wypada?

- Tego życzyła sobie Emma, Jack. Niemniej jednak decyzja należy do ciebie - odpowiedział Alan.

- Tak jest - potwierdził Bookman. - Scenariusz wydaje się całkiem do rzeczy.

Jack dał za wygraną: skoro Emma sterowała nim za życia, nie widział przeszkód, aby nie czyniła tego również z za grobu.

Prośba pani Oastler o „parę słów” podczas ceremonii pogrzebowej wydawała się w tych okolicznościach ze wszech miar stosowna.

Powszechnie panująca opinia o kilkuletniej niemocy twórczej Emmy Oastler, w wyniku której pisarka znacznie przybrała na wadze, została umocniona relacją włoskiej dziennikarki z hollywoodzkiego działu zagranicznego. Z artykułu wynikało, iż trwały, acz rzekomo platoniczny związek Emmy z aktorem Jackiem Burnsem ostatnio przechodził kryzys, pomimo którego pisarka okazała się dlań nadzwyczaj wspaniałomyślna w testamencie. Było wiadomo od lat, że Jack pisze „do szuflady”, co dodatkowo potwierdził nekrolog Emmy, zamieszczony w „Entertainment Weekly”. Obecnie zaś pracował podobno nad „wymyśleniem” scenariusza do „Recenzentki bzdur”. (Emma, z cokolwiek „tajemniczych” przyczyn, nie chciała, aby powieść sfilmowano za jej życia).

Poczucie winy wynikające ze skwapliwego przyjęcia daru Emmy skutecznie przysłoniła pewnością, że nawet gdyby miał wyjawić prawdę, Emma bynajmniej sobie tego nie życzyła. Zależało jej na zekranizowaniu „Recenzentki bzdur” przy zachowaniu jakiejś takiej wierności oryginałowi. Gdyby jednak wzięła na siebie rolę scenarzystki, film nigdy nie ujrzałby światła dziennego. Emma wiedziała, że jako gwiazdor filmowy Jack Burns przejmie nad dziełem całkowitą kontrolę.

Tak więc pod jednym z lepszych znanych sobie adresów (czyli w położonej w Beverly Hills kancelarii prawniczej Bloom, Hergott, Diemer i Cook), przepisał maszynopis Emmy i wiernie skopiował jej notatki. Przy pierwszej wprowadzonej przez siebie drobnej zmianie, a mianowicie użyciu wyrazu „powiedział” zamiast „rzekł” odkrył, że daje mu to przynajmniej częściową władzę nad tekstem. (Kolejne poprawki jedynie utwierdziły jego poczucie własności, jakkolwiek byłoby ono złudne).

Wcale nie powinno go to dziwić. Ostatecznie od lat pracował w branży i widział obróbki, jakim poddawano scenariusze, niekiedy zupełnie amatorskie. Jeszcze kilka zmian, i „Recenzentka bzdur” stanie się niejako dziełem Jacka. Zarys scenariusza i ton wypowiedzi należały bezsprzecznie do Emmy, lecz jako aktor Jack umiał bezbłędnie naśladować jej głos.

Nie każde naśladowanie jest sztuką, jednakże Jack Burns-opanował tę czynność do perfekcji. Dysponując odpowiednimi wskazówkami (których mu nie brakowało), pisanie (czy raczej przepisanie) scenariusza „Recenzentki bzdur” było kolejnym wyzwaniem aktorskim. Jack sprostał mu na całej linii.

To Emma zdecydowała, aby narratorką była Michele Maher (bohaterka książki). Pomysł, żeby z ostatniego zdania zrobić pierwsze, pochodził od Jacka. („W LA mieszkają gorsze pary”). Widzimy Michele, recenzentkę, w łóżku z gwiazdorem porno; zakładamy, że pod kołdrą trzyma go za penis. Wszystko rozegrane jest z wielkim wyczuciem smaku. Historia ich poznania (kiedy Michele czyta pożałowania godny scenariusz Miguela) ukazana jest na zasadzie krótkiej retrospekcji. Oczywiście jego (czyli Jacka) przyrodzenie pozostaje przez cały czas zakryte.

Jack wykazał podobną samowolę w wypadku pierwszego zdania, które zawsze było jego ulubionym; uczynił je ostatnią kwestią Michele, gdzie miało większą siłę rażenia. („W tym mieście nie ma miejsca na przypadek bądź jest nim wszystko”). Było zbyt dobre, aby dawać je na początek.

Przeważnie trzymał się zaleceń Emmy. Filmowa Michele Maher pełni funkcję anioła nadziei kiepskich scenarzystów; jest dręczoną wyrzutami sumienia wieczną optymistką w cynicznej machinie filmowego świata.

Emma radziła, aby Jack nadał Miguelowi Santiago brzmiące bardziej z angielska nazwisko. („Nie wyglądasz na Latynosa, ptysiu”). Wybór Jacka padł na „James Stronach”. Wiedział, że nazwisko uszczęśliwi jego matkę, od imienia „James” zaś pochodził skrót „Jimmy”: był to pseudonim nieszczęsnego aktora w „Znudzonych gospodyniach domowych” (wszystkich czterech częściach), „Korporacji Wzwód” oraz innych niezliczonych dziełach, którymi zasłynął.

Uwielbienie Jamesa („Jimmy’ego”) Stronacha dla Jamesa Stewarta stanowi zasadniczy aspekt jego postaci: sceny, kiedy uczy się na pamięć dialogów z obrazów ulubionego aktora, to najbardziej wzruszające fragmenty filmu.

Przed „Recenzentką bzdur” Jack bynajmniej nie grzeszył szczególnie rozwiniętą muskulaturą, znalazł jednak czas na zmianę diety oraz ćwiczenia. Prawdę mówiąc, nigdy nie miał sprawiać wrażenia kulturysty, chodziło jedynie o to, aby wyglądał na bywalca męskiej części siłowni. (Jego filmowe tatuaże były sztuczne).

Emma wykorzystwała kilka najlepszych zdań z powieści jako część narracji Michele Maher. „Mieszkałam w obrębie woni płynącej z restauracji sushi w Venice”, i tym podobne. Dorzuciła też uwagę na temat wykluczenia sceny z masturbacją. „Starczy aluzji do onanizmu jak na jeden film”.

Co do tego ostatniego, miała absolutną rację, chociaż premiera „Recenzentki bzdur” odbyła się w tym samym roku co filmu „American Beauty”, który zgarnął większość nagród Akademii. (Panna Wurtz, która wyraziła oburzenie wobec informacji, że Anthony Hopkins dostał Oscara za kanibalizm, przemilczała fakt, że Kevin Spacey został uhonorowany za trzepanie kapucyna pod prysznicem).

Jack postanowił wyciąć epizod ze szwedzkim kulturystą Perem Niszczycielem. (Per za bardzo przypominał pakera z „Gold’s”, który spuścił Emmie lanie). Zamiast niego umieścił scenę, w której James Stronach przeczesuje szatnię siłowni w poszukiwaniu małych penisów. Niestety, popełnia błąd. Mężczyzna, którego przedstawia Michele, wcale nie jest taki mały. Michele doznaje poważnego urazu.

- Był większy, niż myślałeś - mówi tylko Michele. (Określenia „penis” i „fiut” nie padają w filmie ani razu).

- Nie mogłaś mu powiedzieć, że cię boli? Nie poprosiłaś, żeby przestał? - pyta Jack vel James.

- Prosiłam, ale nie posłuchał - odpowiada Michele.

Oczywiście Jack vel James dopada tamtego w siłowni. (Jack dodał i tę scenę). Nie-Taki-Znowu-Mały prosi Jamesa o przytrzymanie sztangi, kiedy wyciska sto pięćdziesiąt kilo; trudno o lepszą okazję.

- Trzymam! - mówi James, tak jakby mógł utrzymać taki ciężar. Upuszcza sztangę na klatkę piersiową drania i łamie mu mostek.

Emma sama usunęła zdanie, w którym Michele opisuje obcowanie z małymi członkami jako „namiastkę przyjemności”, nikt nie jest pokazany nago od przodu, brakuje też scen z filmów pornograficznych. Gwiazdy tych ostatnich oglądamy w przerwach pomiędzy ujęciami bądź w scenach z życia prywatnego. (Napaleni faceci w pokojach motelowych, ze światłem z telewizora, migającym na skupionych twarzach: wspomniane aluzje do masturbacji). „Recenzentka bzdur” i tak dozwolona była dla widzów od lat osiemnastu.

Kiedy James i Michele bez słowa tulą się do siebie pod koniec filmu („wdychając aromaty sushi” - płynie zza kamery głos Michele), Jack uznał, że wywiązał się z zadania jak należy.

Nie zawarł w tekście słyszanej wielokrotnie opinii Emmy, jakoby scenarzyści tracili kontrolę nad dziełami z powodu swojej pazerności. To, że Michele Maher darzyła nieszczęśników znacznie większym współczuciem niż Emma, było tylko i wyłącznie zasługą tej ostatniej.

Sam obraz okazał się niejako hołdem dla nieprzeczytanego scenariusza i nie-nakręconego filmu. Zarówno Emma, jak i Jack starali się przedstawić gwiazdy porno w pozytywnym świetle, Jack nawet obstawał przy tym, aby Hank Long również zagrał w „Recenzentce bzdur”. Przecież James („Jimmy”) Stronach musiał mieć kumpla, nie? Poza tym nienaturalnie wysoki głos Hanka posłużył mu jako źródło inspiracji dla jąkania głównego bohatera. (Sam pomysł wyszedł od Emmy: chciała wyjaśnić przyczyny, dla których jedyną szansą na aktorstwo była dla Jamesa kariera w pomobiznesie).

Muffy, pamiętna wampirzyca, przestała już grać w filmach, Jack uparł się jednak, aby obsadzić ją w roli gwiazdki porno, samotnej matki dwóch rozbrykanych chłopców. Muffy organizuje w weekendy spotkania przy grillu, a jej partnerzy z planu, wśród nich Hank i Jack vel James, smażą hamburgery i bawią się z dzieciarnią w berka.

Emma poleciła Jackowi, aby zaangażował również w projekt Mildred Ascheim, choćby w roli doradcy. Nawet Bob Bookman i Alan Hergott nie wiedzieli dlaczego. Milly (oraz Hank i Muffy) widziała mały penis Jacka. Rola gwiazdora porno mogłaby wzniecić brzydkie plotki, czego można było uniknąć, zapraszając do współpracy profesjonalistów z branży.

Czego Emma Oastler nie zrobiła dla Jacka Burnsa? Czy „parę słów” na pogrzebie to naprawdę aż taki wysiłek? Z całą pewnością był jej to winien.

Panna Wong siedziała nieruchomo w pierwszej ławce tuż pod kazalnica. Była zwarta niczym jajko na twardo: mocno zacisnęła kolana, jak gdyby specyficzna reputacja Jacka mogła spowodować spontaniczne rozluźnienie mięśni nóg.

To chyba Emma pierwsza nazwała ją Bahamamamą. Po cóż inaczej panna Wong by tu przyszła? Być może przedstawiony przez Emmę fikcyjny opis dysfunkcji, ekstremalnej, acz do przyjęcia, wpłynął na złagodzenie towarzyszącego nauczycielce rozczarowania życiem. Przyjść na świat pośród huraganu, po czym dać się stłumić w szkole dla dziewcząt: nietrudno sobie wyobrazić, jak dalece pogorszyło to jej samopoczucie.

Czy grono pedagogiczne zawsze stawiało się w komplecie na pogrzebach absolwentek? Jack nie przypominał sobie podobnej frekwencji podczas mszy żałobnej za panią Wickstead, ona jednak była stara. Pan Malcolm, który też nie omieszkał przybyć, ustawił wózek z niewidomą panią Malcolm w centralnej nawie. Siedział obok żony, opierając dłoń na poręczu wózka, na wypadek gdyby przyszło jej do głowy pod wpływem słów Jacka przypuścić szturm na ołtarz bądź zaatakować Alice i panią Oastler, siedzące na tej samej wysokości po drugiej stronie przejścia.

Z boku, w pewnej odległości od kazalnicy, panna Caroline Wurtz podziwiała wystąpienie Jacka z perspektywy jednoosobowego audytorium.

Kaplica nie była całkowicie wypełniona. Po bokach widniało wiele pustych ławek. Dużo miejsca było również z tyłu przy wejściu, gdzie spacerował w podskokach pan Ramsey, jakby żał po śmierci Emmy, którą ledwie znał, nie pozwalając mu usiedzieć w ławce.

Czyżby Emma była mniej lubiana, niż przypuszczał Jack? Oczywiście Wendy Kamienne Pięści Holton zajęła miejsce nieopodal ołtarza. Była chudą kobietą o ziemistej cerze i syplikich włosach w kolorze srebrzystoblond. Niedawno rozwiodła się z chirurgiem plastycznym, który oświadczył, że jest gejem po tym, jak oskarżono go o zapłodnienie pielęgniarki. (Wendy zaczęła Jacka przed mszą: powiedziała, że miło byłoby pójść na kawę „czy coś”, jeśli ma czas).

W ławce za panną Wong siedziała personifikacja huraganu gotowego pochłonąć Wyspy Bahama, ponad sto kilo żywej wagi, czyli Charlotte Kościste Piersi Barford, kanadyjski wydawca Emmy. Charlotte zaproponowała Jackowi fachową pomoc w zamian za zaszczyt

zapoznania się z tym, co rzekomo pisał: powieścią tudzież autobiografią zatytułowaną „Penis u Świętej Hildy”. (Wyobraźnia zapewne trochę ją poniosła). Przed mszą napomknęła Jackowi, że to „grzech” przerywać własne pisanie na rzecz pracy nad scenariuszem „Recenzentki bzdur”.

- Istotnie - odparł nienaturalnie wysokim głosem Hanka Longa. W towarzystwie dojrzałych kobiet, wśród których przyszło mu dorastać, znów cofnął się do czasów dzieciństwa.

Przybyły również siostry Hamilton, aczkolwiek nie siedziały razem. Penny, której niegdyś strzelił spermą między oczy, spoglądała nań z niewinnym przejęciem matki obserwującej poczynania syna na boisku szkolnym. Spermę nawet nie postąpiła jej w głowie, o czole nie wspominając. Przyprowadziła swoje dzieci, dwie ugrzecznione i wyelegantowane dziewczuszki. Powiedziała Jackowi, że jej mąż „wyjechał z kolegami”. (Pewnie grać w golfa, pomyślał Jack. Nie pytał o szczegóły).

Co do Bonnie, siostry Penny, będącej w dwunastej klasie, kiedy Jack uczęszczał do klasy czwartej, weszła do kaplicy niezauważona i Jack nie wiedział, czy nadal kuleje. Usiadła w pobliżu wyjścia, gdzie pan Ramsey nadal robił z siebie ruchomy cel, co nasunęło Jackowi przypuszczenie, iż jej martwa prawa stopa wciąż nie dotrzymuje kroku lewej.

Dzieląca ich różnica ośmiu lat wydawała się obecnie bez znaczenia. Alice powiedziała Jackowi, że Bonnie nigdy nie wyszła za mąż. Pani Oastler poinformowała, że panna Hamilton jest najbardziej rozchwytywaną agentką nieruchomości w Toronto.

- Tylko pomyśl - dodała - ile czasu musi trwać oprowadzanie po posesji, w której są schody.

Bonnie, niestrudzona suflerka, przycupnęła z tyłu, poruszając ustami, nim Jack zdążył zabrać głos, jakby z góry wiedziała, co powie o Emmie, jakby napisał coś, czego jakimś cudem nauczyła się na pamięć przed mszą. Liczyła sobie czterdzieści lat, lecz ów fatalistyczny pociąg, który Jack odczuwał w wieku lat dziewięciu (a Bonnie siedemnastu), nadal pchał ich ku sobie. Jak próbował wyznać Emmie, a co zdradził jedynie przed panią McQuat, Bonnie Hamilton była ową starszą kobietą, która spoglądając na niego, nie mogła odwrócić wzroku.

Na chwilę odniósł wrażenie, że zebrały się tam wszystkie starsze kobiety jego dzieciństwa.

Connie Turnbull, która podbiegła do Alice, Jacka i pani Oastler, gdy tylko zaparkowała samochód z wielkim psem w środku, zapewne powtarzała po drodze kwestię z adaptacji „Dziwnych losów Jane Eyre”. „Drzyj przed skruchą, jeśli masz pokusę zbłądzić, panno Eyre: skrucha zatruwa życie”.

- „Próżnością jest wierzyć, iż człeka zadowoli spokój” - zaczął Jack, po czym urwał, świadom niezadowolenia, jakim Connie darzyła spokój ducha.

Kiedy ostatni raz powtarzali ów dialog, Jack sięgał Connie zaledwie do piersi; był wówczas w trzeciej klasie, a ona w szóstej. Obecnie na swoich pięciocentymetrowych obcasach Connie przewyższała go tylko o pół czoła.

- „Uważasz mnie za bezbożnika” - dodał.

W odpowiedzi Connie ujęła jego rękę i złożyła na niej pocałunek. Uczyniła to z rozchyłonymi ustami, tradycyjnie dotykając go zębami i językiem, jednakże tym razem nie doczekała się oklasków. Alice i pani Oastler stały osłupiałe; były widocznie na bakier z lekturami szkolnymi. Co sobie pomyślały? Ze Jack umówił się z Connie na schadzki po mszy? A może spał z nią dzień wcześniej?

- Dobra robota, Jack - szepnęła mu do ucha Connie. Z jej włosów płynęła woń psiego oddechu, który mącił szybko zaparkowanego samochodu.

Ginny Jarvis na szczęście nie przyszła. Zupełnie jakby pistolet, którym zastrzelił ją na scenie podczas przedstawienia „Naręczona na zamówienie” był jednak naładowany

prawdziwymi nabojami. Jednakże widok pozostałych absolwentek i tak okazał się dla Jacka sporym Szokiem, choć większość twarzy nic mu nie mówiła.

„To z twojego powodu, ptysiu - prawie usłyszał ochryply szept Emmy. - Staruchy przyszyły łypnąć na ciebie okiem”. Może i tak. Jak inaczej wytłumaczyć obecność jego koleżanek z klasy? Przyszyły cztery. Żadnego chłopaka.

Bliźniaczki Booth, Heather i Patsy, których odruch ssący powstał pod wpływem przedszkolnych makabresek Emmy Oastler, zapewne nie stawiały się z szacunku dla dawnej dręczycielki. Podobnie jak Maureen Yap, której nazwiska po mężu

Jack ani rusz nie mógł zapamiętać; ona też z pewnością pamiętała obelżywe uwagi Emmy.

Czujna niczym wiewiórka w stanie bezpośredniego zagrożenia życia, Maureen wybrała ławkę z tyłu kaplicy, na wypadek gdyby zaistniała konieczność natychmiastowej ucieczki, na przykład wzmianka o jaskini nietoperzy z Królewskiego Muzeum w Ontario, nie wspominając o opowieści o rozwiedzionym ojcu. („Który właśnie zemdleł od nadmiaru seksu”).

- Co to jest nadmiar seksu? - zapytała Maureen Yap.

- Coś, czego nigdy nie doświadczysz - burknęła lekceważąco Emma.

Po mszy żałobnej, którą pani Oastler określiła mianem „swoistej stypy”, Maureen Yap podeszła do Jacka. Kosmyk włosów przywarł do kącika jej ust, gdzie utknął również okruch sera. Jako przekąskę podano jedynie serowe koreczki na wykałaczkach, a do popicia białe wino, zdaniem Alice, ciepłe, lub gazowaną wodę mineralną, zdaniem Jacka, „w najlepszym razie o temperaturze pokojowej”.

Czy to z powodu sera, czy też kosmyka (bądź przekonania, że prorocstwo Emmy spełniło się co do joty), Maureen Yap mówiła nader niewyraźnie.

- Winę za spóźnienie ponosi Pam Hoover - wybełkotała chyba, nerwowo rozlewając zawartość kieliszka.

Jack upił łyk ciepłej wody, gorączkowo zachodząc w głowę, co też miała na myśli. Wszystkie kobiety na mszy żałobnej - te, które rozpoznał, oraz te, których nie rozpoznał - lepiej prezentowały się w szkolnych mundurkach. Ale może Jack też lepiej wówczas wyglądał.

- Chyba cię nie zrozumiałem, Maureen - odrzekł.

Odpowiedź niemal wycisnęła z jej oczu łzy.

- Przejechałam szmat drogi z Vancouver - powtórzyła Maureen Yap. - Mieszkam w „Four Seasons”, pod panięńskim nazwiskiem.

Jack również zatrzymał się w „Four Seasons”, co spowodowało drobne spięcie pomiędzy nim i matką. Zdania pani Oastler nie był pewien. Być może w przeciwieństwie do Alice Leslie rozumiała, dlaczego nie chciał spać w łóżku Emmy bądź w swojej dawnej sypialni, gdzie Emma nieraz tuliła go w objęciach, a pani Machado wykorzystywała jego dziecięcą naiwność.

To, że oboje nocowali w „Four Seasons”, wcale nie oznaczało, że muszą spędzić ze sobą noc. Jack był przekonany, że Maureen nigdy go tam nie znajdzie, ponieważ zameldował się pod nowym nazwiskiem. Film o Billym Rainbow miał już premierę i Jack przedstawiał się teraz jako Jimmy Stronach. Jako że dopiero niedawno wpadł na pomysł ochrzczenia tak swego bohatera, a Bob Bookman i Alan Hergott nie czytali jeszcze ostatecznej wersji scenariusza, podróżował incognito.

Kobiety, które tłumnie przybyły do Świętej Hildy, chciały zobaczyć jego, Jacka Burnsa, gwiazdę ekranu. Nie rozpoznawał większości z nich, przeważnie liczyły sobie jednak około trzydziestu, czterdziestu lat. Nawet jeśli w dzieciństwie nie znały Jacka osobiście, prawdopodobnie widywały go na terenie szkoły, a już na pewno oglądały jego filmy. Ich mężowie (jeśli miały mężów) nie przybyli wraz z nimi, niektóre przyprowadziły swoje dzieci.

Wśród kolorów ubrań dominowała czerń i granat, lecz, zdaniem Jacka, absolwentki wybrały stroje odpowiedniejsze na uroczystą kolację aniżeli pogrzeb. Być może wpłynął na to fakt, że ceremonia odbywała się w niedzielny wieczór.

Czwarta z koleżanek ze szkolnej lawy, która stawiała się na uroczystości żałobne, nie uczęszczała wraz z Jackiem do tutejszego przedszkola. Lucinda Fleming dołączyła do pozostałych w pierwszej klasie, w związku z czym nie знаła utulanek Emmy. Lucinda oraz to, co panna Wong nazwała kiedyś jej „cichym gniewem”, nigdy nie nawiązali z Emmą bliższych stosunków.

Co skłoniło Lucindę do wpisania Jacka na listę adresatów życzeń świątecznych? Co sprawiło, że tak niezmordowanie organizowała klasowe zjazdy w Świętej Hildzie, chociaż wszyscy pamiętali jej przesadną reakcję na pocałunek? (Oraz fakt, że pogryzła się aż do krwi i leżała na podłodze w kałuży własnego moczu!).

Gdyby Lucinda Fleming była świadoma nienawiści, jaką Emma darzyła listy świąteczne oraz ich nadawców, nie przyszłyby na pogrzeb. Gdyby wiedziała, z jaką pogardą traktowała informacje o kolejnych potomkach, dzięki którym ochrzciła listy Lucindy mianem „statystyk urodzin”, Lucinda Fleming (gdyby w ogóle знаła Emmę) za nic nie byłaby skłonna do modlitwy za jej duszę.

Jednakże zarówno ona, jak i pozostałe uczestniczki pogrzebu miały na uwadze wyłącznie duszę Jacka. I chociaż traktowały go jak bożyszcze, w ich obecności natychmiast utracił kontakt ze swym jednoosobowym audytorium. W kaplicy Świętej Hildy, gdzie nawet Jezus był przedstawiony w otoczeniu niewiast (być może świętych, ale ich płęć nie ulegała wątpliwości), Jack nie czuł się wcale jak Jack Burns, aktor. Znow stał się małym chłopcem, zagubionym w morzu dziewcząt. Nieważne, że teraz były dorosłymi kobietami. Wkraczając ponownie do ich świata, powrócił do czasów dzieciństwa i ich lęków, co skutecznie zachwiało jego pewnością siebie.

Jakże mógł powiedzieć „parę słów” o Emmie wobec audytorium złożonego ze starszych kobiet, wśród których znalazły się te, które go ukształtowały? Jakże mógł się zdobyć na swobodę w tym świętym miejscu, gdzie nawet jako mały chłopiec odwrócił się plecami do Boga?

Oburącz chwycił pulpit, ale nie mógł wyrzec ani słowa: nic nie chciało mu przejść przez gardło. Zgromadzeni czekali, kaplica znieruchomiła jak serce Emmy.

To straszne, co robi z człowiekiem strach, pomyślał Jack. Wydało mu się, że wśród wzniesionych ku sobie twarzy widzi panią Stackpole, świętej pamięci pomywaczkę z Exeter. Gdyby zebrał się na odwagę i spojrzał uważniej, mógłby wyłonić z tłumu panią Adkins, która dokonała żywota w płytkich odmętach Nezinscot, lub Claudię, która groziła, że będzie go prześladować, albo Leah Rosen, zmarłą w Chile, może nawet samą Emmę, która niewątpliwie byłaby rozczarowana jego bezradnością.

Próbował przenieść wzrok dalej, nie skupiając się na nikim konkretnym, może z wyjątkiem pana Ramseya, który zawsze działał nań mobilizująco. Ale pan Ramsey zniknął mu z oczu, a ściśle rzecz biorąc, został pochłonięty przez masę spóźnialskich, młodych dziewcząt, uczennic Świętej Hildy, ubranych w mundurki, jakby niedzielna uroczystość była jedynie kolejnym dniem w szkole.

Przy swym obecnym stanie ducha Jack wziął je zrazu za widma, lecz były to mieszkanki internatu, jedyne uczennice, przebywające w niedzielę na terenie szkoły. Musiały wykrzesać z siebie odwagę, by tłumnie stawić się na mszy. Nie zostały zaproszone, chociaż liczyły sobie siedemnaście, osiemnaście lat, czyli tyle, ile rzesza najwierniejszych czytelniczek Emmy. (Po jej powieści sięgały zazwyczaj młode kobiety).

Widok dziewcząt stojących z tyłu kaplicy w rozmaitych stadiach niechlujstwa i wdzięku, o ponurych, a czasami egzaltowanych twarzach, przyprawił Jacka

0 kolejny wstrząs, raz jeszcze cofając go do czasów dzieciństwa, gdy jako czterolatek po raz pierwszy odczuł świadomą potrzebę chwycenia matki za rękę. Przypomnił sobie lęk, jakim napawały go ich gołe nogi ze skarpetkami opuszczonymi do kostek dla okazania trawiącego ich niepokoju wewnętrznego. Sterczące kości biodrowe, bluzki wyjęte na wierzch, niedopięte guziki, przygryzione wargi i celowo zmierzwiłone włosy: stały tam, bezimienne, niektóre trzymały sfatygowane egzemplarze pierwszej lub drugiej powieści Emmy, wszystkie zaś emanowały pączkującą seksualnością, którą tak bezbłędnie naśladował jako aktor. (Nawet jako mężczyzna!).

Pozbawiły Jacka tchu, a zarazem sprowadziły go na właściwy tor. Odzyskał głos, wprowadziły słaby i na granicy szeptu, po czym skierował swą przemowę bezpośrednio do dziewcząt. Chodziły pewnie do dwunastej albo trzynastej klasy.

- Pamiętam - zaczął - jak trzymała mnie za... rękę.

Gdyby pani Oastler nie wydała z siebie głośnego westchnienia, nigdy by się nie domyślił, że wstrzymywała oddech. Dreszcz wstrząsnął ramionami panny Wong, a jej kolana mimowolnie rozjechały się na boki.

- Emma Oastler opiekowała się mną - podjął Jack. - Nie miałem ojca - zakomunikował, tak jakby o tym nie wiedzieli. - Ale Emma była moją opiekunką.

Słowo „opiekunka” podziało na Maureen Yap niczym wstrząs elektryczny: jej ręce oderwały się od podłoża, a dłonie rozwarły niczym kartki modlitewnika. (Jack prawie się spodziewał, że zaintonuje pieśń). Lucinda Fleming przygryzła górną wargę. Rozległ się odgłos przypominający trzask grzbietu świeżo wydrukowanej książki: to Wendy Kamienne Pięści Holton strzeliła kostkami o płaską pierś.

Łzy nadeszły bez ostrzeżenia, Jack nie grał. Zaczął bezgłośnie płakać, nie mógł się powstrzymać. Chciał dodać coś jeszcze, ale właściwie po co? Czyż nie na takie widowisko liczyli? JACK BURNS PŁACZE: ŁZY SZCZERE CZY NA POKAZ?, napisał jeden z brukowców. Ale to nie było na pokaz.

Rozdzierający widok dziewcząt (wyalienowane uczennice i ich zbiorowa samotność) przeważał szalę. Znajdowały się w ciągłym ruchu: potrząsały włosami, wzruszały ramionami, przenosiły ciężar to na jedną, to na drugą nogę. Tu machnięcie biodrem, tam łokciem. Drapały gołe kolana i zaglądały pod paznokcie, a koniuszki ich języków bezustannie wędrowały do górnej wargi bądź kącików rozchylonych ust, tak jakby Jack Burns występował w filmie, który oglądały z mrocznego i bezpiecznego wnętrza sali kinowej.

Jack urwał, pozwalając, by łzy spływały mu po policzkach, nieświadom piorunującego wrażenia, jakie wywrze to na kongregacji. Nie chciał prowokować zebranych do płaczu, było to wszelako nieuniknione.

Pani Malcolm rozkołysała się na wózku inwalidzkim, jakby przydarzyło jej się trzecie nieszczęście: paraliż, ślepotą albo obydwoma naraz. Zasmucony pan Malcolm nie był w stanie jej uspokoić. Alice uniosła ku kazalnicy odmłodniałą, skąpaną we łzach twarz. Jack czytał z ruchu jej warg. („Tak strasznie mi przykro, Jackie!”).

- Jacku Burns! - wykrzyknął pan Ramsey, tłumiąc szloch.

Panna Wurtz zasłoniła twarz białą chusteczką, jakby załamała się w obliczu plutonu egzekucyjnego.

Caroline French, która nie przyjeżdżała na klasowe zjazdy, nie przybyła też na pogrzeb Emmy. Jack zatęsknił za jej tupotem, podobnie jak Caroline musiała tęsknić za bliźniaczym bębnieniem obcasów swego brata Gordona, który znalazł w wodzie miejsce ostatniego spoczynku. Pojękiwanie Jimmy’ego Bacona byłoby jak znalazł, lecz Jimmy też był nieobecny. Na szczęście bliźniaczki Booth nie zawiodły, a ich synchroniczne cmokanie złało się z odgłosami powszechnej żalości.

Załkała Wendy Horton, ściskając skronie kamiennymi pięściami. Charlotte Barford ryknęła płaczem i złapała się oburącz za kościstą pierś, jakby chciała uciszyć rozkołatane serce.

Gdyby Jack nie zabrał głosu, wszyscy zapłakaliby się na śmierć.

- Módlmy się - powiedział, jakby miał to wszystko dokładnie zaplanowane. (Ostatecznie byli w kościele, tego od nich oczekiwano!).

„Mieliście zły dzień i padacie z nóg - przekonywała przedszkolaki Emma. Nie były to jednak odpowiednie słowa modlitwy. - Dla trojga z was - ciągnęła Emma, puentując sagę o podduszonym dziecku - zły dzień staje się jeszcze gorszy”. Jednakże brakowało tu konkluzji, a ton brzmiał cokolwiek złowrogo, modlitwa zaś miała z założenia podnosić na duchu.

Tak więc Jack Burns odmówił jedyną modlitwę, jaka w owej chwili przyszła mu do głowy. Był to pacierz, który niegdyś odmawiali razem z matką, a potem przestali, co niezmiernie go zasmucało jako symbol wszystkiego, czego sobie nie powiedzieli. Miał przynajmniej tę zaletę, że był krótki.

Rzesza pochylonych przed nim głów stanowiła imponujący widok. Wówczas też zauważył Czenkę siedzącego w ławce tuż za matką. Na jego łysej czaszce widniał znajomy ukraiński tatuaż, zjeżony wilk, który zawsze (nieważne, ile razy oglądany) budził w Jacku lekki niepokój.

- Dzień, który nam dałeś, Panie, dobiegł końca - powiedział Jack, spoglądając w jedyne oczy, które odwzajemniły jego spojrzenie, a mianowicie oczy wilka. -Szczerze Ci zań dziękujemy. -I co teraz, zastanawiał się gorączkowo, lecz organistka wybawiła go z opresji. (Siedziała za kazalnica, poza polem widzenia Jacka). Wiedziała, jak i kiedy wypełnić ciszę - oraz czym. Pieśń, która runęła na zgromadzonych niczym ulewny deszcz, była wszystkim doskonale znana. Pamiętała ją nawet garstka chłopców, którzy opuścili szkolne mury i kaplicę po zakończeniu czwartej klasy. Wszystkie absolwentki bez względu na wiek skrzętnie zakodowały sobie owe czterowiersze w pamięci i niejedna bezgłośnie powtarzała Blake'a przed snem.

A co z uczennicami z tyłu kaplicy, gdzie pan Ramsey wziął na siebie rolę dyrygenta? Co z owymi młodymi kobietami, tęskniącymi za życiem z dala od szkolnych mundurków, a zarazem pełnymi lęku o przyszłość, jak każda dzierlatka w ich wieku? Czyż nie śpiewały najgłośniej? Podczas pozornie dożywotniej odsiadki u Świętej Hildy wyśpiewywały tę pieśń co tydzień lub dwa razy w tygodniu.

Melodia „Jeruzalem”, pieśń 157 w podniszczonym zbiorze hymnów, rozbrzmiewała triumfalnie w sercu każdej absolwentki. Słowa pochodziły od Williama Blake'a, który przekonywał, że Jezus przybył do Anglii, gdzie poeta umiejscowił duchowy Izrael.

- „Czy po zielonych wzgórzach Anglii szły Jego stopy w dawny czas?⁸” - śpiewali wierni.

Jack zszedł po schodkach prowadzących od ołtarza, gdzie Szalona Jane na chwilę zastąpiła mu drogę, zawodząc jak upiór i blokując centralną nawę. Pan Malcolm zareagował błyskawicznie: wystrzeliwszy z ławki, obrócił zdeorientowaną żonę o sto osiemdziesiąt stopni, popychając przed sobą wózek. Jack podążył śladem państwa Malcolmów, zatrzymując się na chwilę przy pani Oastler, pogrążonej w żałobie matce Emmy, która ujęła go pod rękę i pozwoliła odeskortować się do wyjścia. Czenko, być może jedyny członek zgromadzenia, który nie śpiewał (ukraińscy zapaśnicy nie znali Blake'a), nadal szlochał, kiedy Alice poprowadziła go nawą w kierunku drzwi. (Czenko kuśtykał o lasce). Ludzie kolejno wychodzili z ławek i szli za nimi.

„Dajcie mi Łuk jak płomień złoty, kołczan żarliwych pełen Straż! Dajcie mi Włócznię! Precz, obłoki! Rydwan ze słońca będę miał!”.

Śpiewały nawet córeczki Penny Hamilton. (Naturalnie: pewnie chodziły do Świętej Hildy!).

Kiedy Jack znalazł się w pobliżu wyjścia z kaplicy, jedna z siedemnasto- lub osiemnastolatek (blada, niebieskooka blondynka o wiotkiej posturze modelki) osunęła się w ramiona koleżanek. Sądząc po jej wyglądzie, był to raczej skutek niedożywienia[^] aniżeli bliskości słynnego aktora (Jack nigdy nie zaobserwował, aby dziewczęta mdlały w jego obecności). A może po prostu za bardzo wzięła sobie do serca słowa pieśni.

Incydent skutecznie odwrócił uwagę Jacka od jego bezpośredniego obiektu pożądania. Bonnie Hamilton nie tylko przybyła niezauważona, ale równie niepostrzeżenie wymknęła się z kaplicy, przed pieśnią oraz panią Malcolm, która nadal zawodziła na czele pochodu. Jakim cudem umknęła jego uwagi? (Z takim kalectwem może instynktownie czuła, kiedy należało przystąpić do odwrotu).

Szli w kierunku Wielkiej Auli przy wtórze kobiecych i dziewczęcych głosów; dźwięki organów traciły na sile, lecz ostatni wers strofy rozbrzmiał w ich sercach z całą mocą.

„Póki Jeruzalem nie stanie pośród zielonych Anglii wzgórz”.

- Gratulacje, Jack - szepnęła mu do ucha Leslie Oastler, nieświadomie naśladowując styl córki. - Nie uświadczysz tu suchego oka ani jednej pary suchych majtek.

Jack nie był pewien, czy stypa to dobry pomysł. Chyba nie należało łączyć żaloby z winem i serem. Albo kobiet z winem i serem: żaloba nie miała z nimi nic wspólnego.

Lucinda Fleming pierwsza poinformowała go, że szkolne zjazdy odbywają się w sali gimnastycznej, a nie w Wielkiej Auli, która nie pomieściłaby wszystkich absolwentek, przybyłych w celu złożenia hołdu Emmie bądź zerknięcia na (czy poderwania) Jacka Burnsa.

Większość kobiet miała na nogach buty na wysokich obcasach. Widziały Jacka tylko w dzieciństwie lub w kinie, nie miały pojęcia, jaki jest niski. Te z nich, które przewyższały go (na obcasach) wzrostem, odruchowo zdjęły buty. Stały przed nim w uwodzicielskich pozach, boso lub w pończochach, z butami w jednej, a plastikowym kubkiem z białym winem w drugiej ręce, w związku z czym zabrakło im rąk do uchwycenia wykałaczki z przekąską.

Pomny doświadczenia z hollywoodzkich przyjęć, które część aktorów traktuje jako castingi, Jack miał w zwyczaju nie tykać bufetu. Po pierwsze, nie chciał, aby coś obrzydliwego utkwilo mu w zębach, po drugie zaś, wołał uniknąć smrodliwego oddechu. (Dla osoby niepijącej oddech przesycony wonią białego wina cuchnie jak benzyna lub inny rodzaj paliwa. Absolwentki na stypie dosłownie ziały ogniem).

Jack miał przed sobą rzeszę zdesperowanych kobiet w okolicach czterdziestki. Większość z nich była rozwiedziona, a dzieci spędzały weekend z ojcami, o czym nie omieszkaly skwapliwie poinformować Jacka. Były bezwstydnie agresywne, a przynajmniej agresywne niestosownie, zważywszy na okoliczności.

Connie Tumbull, którą jako Rochester tulił w ramionach z okrzykiem „Nigdy nie spotkałem istoty tak kruchej, a zarazem nieugiętej”, zapewniła go szeptem, że wcale nie jest „taka nieugięta”.

Panna Wurtz, którą ostatni raz widział dziesięć lat temu podczas pamiętnego festiwalu filmowego w Toronto, dramatycznie zasłoniła głowę czarnym szalem, spowijającym ją niczym welon. Przywodziła na myśl dwunastowiecznego pielgrzyma z bractwa biczowników. Była chudsza niż kiedykolwiek, a resztki jej kruchej urody przyćmiewała aura napiętnowania, jakby nauczycielka nosiła na ciele stygmaty tudzież cierpiała na inną postać niewytłumaczalnych krwotoków.

- Nie zostawię cię, Jack - szepnęła mu do drugiego ucha. - W Kalifornii poznałeś niewątpliwie tabuny rozwiązłych kobiet, wszelako niektóre absolwentki reprezentują typ rozwiązłości, znany tylko niewiastom do rozwiązłości nienawykłym.

- Litości - odpowiedział. Interesowała go tylko jedna absolwentka, a mianowicie Bonnie Hamilton. Ona jednak wymknęła się niepostrzeżenie.

Co do uczennic, pani Malcolm przyparła je wózkami do kąta Wielkiej Auli i pan Malcolm musiał pośpieszyć z odsieczą. Jack podejrzewał, że Szalona Jane próbuje uchronić

dziewczęta przed zakusami sławnego aktora. W umyśle pani Malcolm, a raczej tym, co z niego zostało, Jack Burns był plugawą reinkarnacją własnego ojca i powrócił do Świętej Hildy wiedziony niecną żądzą defloracji uczennic, których kiełkująca seksualność znajdowała odzwierciedlenie w ich rozchełstanych mundurkach.

Jack zauważył, że młoda kobieta, która przedtem upadła bądź straciła przytomność, zgubiła jeden but. Krążyła chwiejnie po sali, szurając ocalałym trzewikiem. Jack skierował się w stronę uczennic, które jako jedyne przyniosły książki Emmy, pewnie, aby je podpisał.

Dziewczęta nie wykazywały najłżejszych pobudek erotycznych, a ich zachowanie było dalekie od frywolności. Większość nie czuła się na siłach, aby odwzajemnić spojrzenie Jacka, a nieliczne odważne nie mogły wydobyć z siebie głosu. Miał

przed sobą gromadkę dzieci, nieśmiałych i skrępowanych. Pani Malcolm miała nie po kolei w głowie, próbując je przed nim chronić! Jedna z dziewcząt podała Jackowi książkę Emmy.

- Marzyłam o autografie Emmy - powiedziała - ale może podpiszesz się za nią. - Pozostałe grzecznie czekały na swoją kolej.

Maureen Yap rzuciła pod adresem dziewczyny w jednym bucie nieuprzejmą i niezrozumiałą uwagę w rodzaju: „Macie tu ogrzewanie gazowe?”. Ale Jack znał Maureen: był pewien, że powiedziała: „Nie czeka na was zadanie domowe?”.

Nim biedaczka zdążyła odpowiedzieć (a może ponownie zemdleć lub stracić równowagę), Jack ujął jej zimną, lepką dłoń i powiedział:

- Chodźmy stąd. Pomogę ci znaleźć but.

- Chodźmy - poparła go inna z dziewcząt. - Poszukajmy buta Ellie.

- Ktoś skrobnał mi marchewkę, kiedy wychodziłam - wyjaśniła Ellie. - Nie chciałam się oglądać, nie było jak zawrócić.

- Nie cierpię tego - zakomunikował Jack.

- To okropne - dodała któraś z dziewcząt.

- Obrzydliwe - podsumował Jack. (Maureen Yap dała za wygraną na dźwięk ostatniego słowa).

Jack ruszył korytarzem w towarzystwie dziewcząt. Ponownie skierowali się do kaplicy, wypatrując zagubionego buta. Po drodze podpisywał książki Emmy.

- Pamiętam, jak starsze dziewczęta przemyciły mnie kiedyś do internatu - powiedział.

- Ile miałeś lat? - spytała uczennica podobna do Ginny Jarvis.

- Jakieś dziewięć lub dziesięć - odparł Jack.

- A tamte uczennice? - zapytała Ellie.

- Były pewnie w waszym wieku.

- To chore! - oświadczyła Ellie.

- Do niczego nie doszło, prawda? - chciała wiedzieć jedna z dziewcząt.

- Oczywiście że nie. Pamiętam tylko, że bardzo się bałem - odpowiedział.

- Byłeś mały - zauważyła. - Nic dziwnego, że się bałeś.

- O, jest mój głupi but - zawołała Ellie. Trzewik leżał pod ścianą na korytarzu.

- Jaki będzie film na podstawie „Recenzentki bzdur”? - padło pytanie.

- Na pewno obrzydliwy - wtrąciła jedna z uczennic.

- Nie będzie tak dosadny jak książka - wyjaśnił Jack. - Na przykład ani razu nie padnie słowo „penis”.

- A „pochwa”?

- Też nie.

- Dlaczego nie zrobiła sobie operacji? - spytała Ellie.

Jack oczywiście wiedział, że mówi o Michele Maher, lecz odruchowo pomyślał o Emmie.

- Nie wiem - przyznał.

- Przyczyna tkwiła w jej psychice, Ellie - oznajmiła jedna z koleżanek. - To nie to samo, co operacja kolana, nie?

Pozostałe dziewczęta, w tym Ellie, z powagą pokiwały głowami. Były takie rozsądne, niby jeszcze dzieci, a w gruncie rzeczy bardziej dojrzałe niż Emma w ich wieku, nie wspominając o Ginny Jarvis i Penny Hamilton (czy Charlotte Barford

i Wendy Holton). Jack zastanawiał się, co takiego w jego osobie prowokowało tamte do równie skrajnych zachowań.

Te dziewczęta nie skrzywdziłyby małego chłopca. W ich towarzystwie Jack raz jeszcze poczuł się jak dziewięciolatek, tyle że teraz był bezpieczny. Tak bezpieczny i tak dziecinny, że ni stąd, ni zowąd oświadczył:

- Muszę siku. - (Dziewięciolatek ująłby to identycznie).

Uczennice nie okazały zdziwienia, a ich reakcja stanowiła przejaw czystego pragmatyzmu.

- Pamiętasz, gdzie jest toaleta dla chłopców? - spytała Ellie.

- Jest tylko jedna - dorzuciła inna.

- Pokażę ci - oznajmiła Ellie, biorąc go za rękę. (Identycznie postąpiłaby z dziewięciolatkiem, co rozczuliło Jacka niemal do łez).

Niezdrowe zainteresowanie starszych uczennic wynikało tylko i wyłącznie z jego winy. Musiały coś w nim wyczuwać. Jack był przekonany, że to on przejawia dziwaczne skłonności.

Uwolnił dłoń z uścisku Ellie. Nie chciał, aby ona i jej przyjaciółki (żadna z tych normalnych młodych kobiet) widziały, jak płacze. Niewiele brakowało, a rozszlochałby się na całego, bezwstydnie jak mały chłopiec. I aż wzdrygnął się na myśl o tym, co prawdziwa Michele Maher poczytałaby mu za dziwactwo.

- Sam ją znajdę - powiedział z teatralnym śmiechem. - Jestem pewien, że będę pamiętał tę trasę aż do śmierci - dodał, co przysporzyło wyprawie do łazienki znamiona heroiczej podróży, którą należało odbyć samemu mimo czyhających po drodze niebezpieczeństw.

Niebawem zgubił się w nieznanym korytarzu; przyszło mu do głowy, że szkoła została przemalowana. Wierzył, że na schodach kłębią się zastępy duchów, wśród których dryfuje pani McQuat, jego zagubione sumienie, a nawet Emma, rozczarowana zwięzłością jego modlitwy. Głosy uczennic ucichły; nikt go nie śledził, tak przynajmniej sądził.

Przed nim, opodal miejsca, gdzie korytarz zakręcał, widniała stołówka, zamknięta i pogrążona w mroku. Czy zgarbiona postać wyłoniła się właśnie stamtąd? Jack miał przed sobą starszą kobietę, której wprawdzie nie rozpoznawał, która jednak bezsprzecznie była istotą z krwi i kości, o czym dobitnie świadczyła jej masywna sylwetka. Na pierwszy rzut oka wyglądała na sprzątaczkę. Ale co sprzątaczką robi tutaj w niedzielę, no i gdzie jest jej wiaderko i szczotka?

- Jack, mój kochani, mój mali! - wykrzyknęła pani Machado.

Jej widok wywarł na Jacku podobne wrażenie jak cios w krocze sprzed wielu lat. Nie mógł się poruszyć ani wydobyć z siebie słowa. Nie mógł oddychać.

Wiedział, że Leslie Oastler zdobyła i zawsze będzie rozciągała nad nim pewną władzę. Jednakże pomimo świadomych i nieświadomych prób wymazania z pamięci pani Machado Jack nie doceniał wpływu, jaki miała nań ta kobieta. Nigdy jej nie pokonał: udało się to tylko Emmie.

Zarys talii, zawsze niewyraźny, zniknął na dobre. Obwisłe piersi wystawały spod niedopiętej bluzki z oczywistością towaru skradzionego przez złodzieja amatora. Lecz to, co ukradła Jackowi, było bardziej oczywiste: pani Machado pozbawiła go umiejętności powiedzenia „nie”. (Jej lub komukolwiek innemu!).

- Ten chłopiec się boi! - zawołała Bonnie Hamilton, gdy pozostałe dziewczęta usiłowały zmusić członka Jacka do erekcji.

W obecności pani Machado Jack nadal był tamtym przerażonym chłopcem. Okrążała go na korytarzu, jakby szykowała się do rzutu na matę; chwyciła go za lewe ramię, zaciskając grube palce lewej dłoni na jego prawym nadgarstku. Jack znał ten chwyt, ale nie mógł przezwyciężyć inercji. Nie zrobił nic, aby się bronić.

Pani Machado przycisnęła czoło do jego piersi. Czubek jej głowy, porośnięty gęstwiną siwych włosów, musnął szyję mężczyzny. Jack był zdumiony jej niskim wzrostem, choć kiedy się ostatnio widzieli (przy wtórze znajomej litanii Czenki: „Kontrola ręki! Okrążaj, okrążaj! Nie opieraj się na niej, Jackie!”), on sam był dużo niższy niż teraz.

Pani Machado nie w głowie były zapasy. Zaciskając palce na prawym nadgarstku Jacka, poprowadziła jego rękę pod bluzkę, po czym spłaszczonym nosem odsunęła krawat i rozpięła mu zębami drugi guzik koszuli. Wydało mu się, że wdycha bijący z jej włosów zapach szprotek. Kiedy poczuł pod palcami obwisłe piersi, a następnie dotyk języka na piersi, fala odrazy dała mu siłę, aby odepchnąć kobietę.

Nie wierzył dotąd w tak zwaną pamięć odzyskaną, polegającą na tym, że wyparte wspomnienia z dzieciństwa powracają po latach ze zdwojoną siłą. Wyplątawszy się z uścisku pani Machado w niedzielnym półmroku korytarza szkolnego, Jack przypomniał sobie trik z guzikiem. To, jak sprawnie rozpięła go zębami, oraz inne sztuczki, które wymazał z pamięci z biegiem lat.

- Nie bądź okrutni, Panie Członek - szepnęła pani Machado do cofającego się Jacka. Sunęła za nim w sportowych butach bez sznurówek, aż nagle przystanąła. Nie skłonił jej do tego słaby opór Jacka. Przeniosła spojrzenie w bok, a następnie za Jacka. Gdy spojrzał przez ramię, podążając za jej wzrokiem, pani Machado znikła jak kamfora.

Musiała mieć około siedemdziesiątki. Jakim cudem zachowała taką zwinność? A może łuk korytarza znajdował się bliżej, niż Jack myślał? Co bardziej prawdopodobne, wszystko mu się przywidziało.

Tak czy inaczej nie usłyszał nadjeżdżającego z tyłu wózka inwalidzkiego; koła bezszelestnie toczyły się po linoleum. (Szkola była ostatecznie nawiedzona).

- Jack - powiedziała kobieta na wózku. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Spodziewał się widoku pani Malcolm, nieustraszonej obrończyni dziewcząt, na które w jej mniemaniu polował. Jednakże kobieta na wózku okazała się atrakcyjną czterdziestoletnią agentką nieruchomości w czarnym spodniemie.

Bonnie Hamilton zdołała ustawić wózek w zakątku kaplicy i niepostrzeżenie zasiąść w ławce, a następnie się z niej ulotnić. Wyznała później Jackowi, iż swój sukces w branży zawdzięcza temu, że zawsze pozostawia wózek przed wejściem i kuśtyka z klientami z pokoju do pokoju, a nawet (jak okrutnie zasugerowała Leslie Oastler) po schodach.

- Klienci muszą mi okropnie współczuć - żartowała Boninie. - Nikt nie chce zawieść ułomnej. Kalectwo to wystarczający dopust boży.

Lecz w wypadku jakichkolwiek zgromadzeń Boninie Hamilton nie afiszowała się ze swoim upośledzeniem: dyskretnie wstawiała z wózka i zasiadała na nim w sposób nieprzyciągający niczyjej uwagi. Prezentowała się na nim nader wytwornie i wydała się Jackowi równie piękna jak przed laty.

Jack jeszcze nie doszedł do siebie po konfrontacji z panią Machado, prawdziwą lub wymyśloną. Z całą mocą wróciły doń groteskowe szczegóły tego, co z nim wyprawiała. Na domiar wszystkiego uratowała go Bonnie Hamilton, która nie szczędziła wysiłków, aby uchronić go przed własną siostrą oraz Ginny Jarvis, kiedy miał dziewięć czy dziesięć lat.

Jack padł na kolana i wybuchnął płaczem. Bonnie podjechała bliżej i przycisnęła sobie jego głowę do podołka. Musiała pomyśleć, że to ona sprowokowała taką reakcję: zapewne wspomnienie wymuszonej ejakulacji na czoło Penny nadal nie pozwala Jackowi spać po nocach! (Utrata niewinności w internacie starszych uczennic, a teraz dodatkowo śmierć Emmy: nic dziwnego, że się załamał).

- Zrobiliśmy ci coś strasznego, Jack. Myślę o tobie dzień w dzień! - zawołała Bonnie.

Jack usiłował pokręcić głową, ale Bonnie pomyślała, że próbuje się wyrwać, i mocniej ją przytrzymała.

- Nie, nie bój się! - poprosiła żarliwie. - Wcale się nie dziwię, że mój widok budzi w tobie ochotę do płaczu ani że przebierasz się za kobietę i robisz inne dziwne rzeczy. Jakim cudem nie miałbyś być dziwny po tym, co ci zrobiliśmy? Oczywiście że jesteś dziwny! - wykrzyknęła.

Ona kompletnie zwariowała, pomyślał Jack, z trudem łapiąc oddech: Bonnie trzymała go oburącz, wciskając jego głowę między swoje uda. Była silna, na pewno dużo ćwiczyła. Nie sposób jednak mocować się z kobietą na wózku, dlatego Jack nie stawiał oporu.

- Możemy wszystko naprawić, Jack - szepnęła, nachylając się niżej. - Rozmawiałam o tym z psychiatrą. Można to zostawić i iść dalej.

Nie słyszała, że zapytał „Jak?”; uda stłumiły głos. Głaskała go po włosach, a następnie przeniosła rękę na kark.

- Normalny seks, Jack. Oto najlepszy sposób na przezwyciężenie bolesnych doświadczeń - oznajmiła Bonnie Hamilton.

Jakże Jack żałował, że Emma nie może tego usłyszeć! Idea normalnego seksu zapewne przypadłaby jej do gustu.

Ostatecznie czyż to nie było przeznaczenie? Czy Bonnie i Jack nie spojrzeli kiedyś na siebie i nie mogli odwrócić wzroku? I to wówczas gdy on był w czwartej, a ona w dwunastej klasie!

Poza tym reputacja zobowiązuje. Czyż Jack Burns nie sypiał ze wszystkimi? Jak czułaby się Bonnie Hamilton, gdyby odtrącił ją, kalekę?

Mimo to ogarnęło go wahanie: Bonnie była ewidentnie stuknięta. Musiała dostrzec jego niepewną minę, gdyż raptem zrobiła się nieznacznie nieśmiała.

- Tylko nie pomyśl, że cię do. czegoś zmuszam, Jack. Biedaczysko! - zawołała.

- Dość cię w życiu zmuszano!

Cofnęła wózek: był to niepokojący widok. Jack odniósł wrażenie, że ktoś przewija taśmę, cofając ich w czasie. Lada moment zjawi się pani Machado; czuł, jak nadciąga korytarzem.

Wobec tego postanowił wyjść razem z Bonnie.

Przez całą noc w hotelu nie widział, jak Bonnie kuleje. W pozycji leżącej nie utykała. Gdy w pewnej chwili wstała, aby pójść do łazienki (oraz rankiem podczas ubierania), poprosiła, żeby się odwrócił.

Jacka dręczyła bezsenność. Bał się, że pani Machado sprowadzi na niego koszmary. Kiedy w ciemnościach poczuł zwiastun jednego z nich (choć wcale nie spał), zapytał Bonnie, czy widziała na korytarzu niską, przysadzistą kobietę. Jack ograniczył jej pole widzenia; z perspektywy wózka doszła do wniosku, że mówi do siebie.

- Myślałam, że powtarzasz rolę - powiedziała.

Nic nie wskazywało na to, że pani Machado była duchem bądź wytworem jego wyobraźni. Na krawacie Jacka został włos; zobaczył go, kiedy się rozbierał. (Bonnie Hamilton i Jack nie mieli takich siwych i sztywnych włosów, poza tym nikt inny nie kładł głowy na jego piersi). No i rozpięty drugi guzik koszuli. Jego widok przyprawił Jacka o dreszcz.

Drżał, że rozpięty guzik stanie się przyczyną koszmarów, nie tyle z uwagi na sam trik (spoczywający przez lata w mrokach niepamięci), ile to, do czego prowadził. Czyli pozostałych „sztuczek” pani Machado!

Bonnie Hamilton solidarnie nie zmrużyła oka. Oczywiście traktowała tę noc jako terapię, być może słusznie. Owey nocy bowiem skutecznie oddaliła groźbę triku z guzikiem.

25 • Córka Alice wraca do domu

Jack opuścił uroczystość bez pożegnania, co bardzo zdenerwowało Alice i Leslie Oastler. Grupa absolwentek, a dokładniej dawnej koleżanki z klasy pani Oastler, zaprosiły Leslie i Alice na kolację. Jack miał iść z nimi, a nie uciekać w towarzystwie kobiety na wózku. (Zważywszy na jego pociąg do starszych kobiet, Alice i pani Oastler zrazu nabrały podejrzeń, że uprowadził Szaloną Jane!).

Kilku naocznych świadków, wśród których nie zabrakło Lucindy Fleming, przedstawiło cokolwiek wyolbrzymioną wersję zdarzeń. Lucinda, zapewne ogarnięta cichym gniewem, patrzyła, jak Peewee składa wózek Bonnie i chowa go do bagażnika limuzyny. I podczas gdy Alice i pani Oastler głośno zachodziły w głowę, co, na miłość boską, Jack i pani Malcolm zrobili z biednym panem Malcolmem, Penny Hamilton wpadła w szał, nie bacząc na obecność swoich dzieci, słodkich, małych dziewczątek.

- Wiedziałam! - wrzasnęła, szarpiąc się za ładne włosy. - Jack Burns pieprzy tę kalekę dziwkę, moją siostrę!

Panna Wurtz, która niegdyś potrafiła nadać pozytywną wymowę „Tessie d’Urberville”, przyjęła słowa Penny z niezmaconą pogodą ducha.

- Na szczęście wszystko się wyjaśniło! - powiedziała do Alice i pani Oastler.

- Jacku Burns! - wymamrotał z uznaniem pan Ramsey.

Wśród absolwentek zapadło głucho milczenie. Tylko uczennice dalej posługiwały się monosylabami, konwersując w języku zrozumiałym jedynie dla nich samych.

Panna Wurtz niezmordowanie usiłowała podnieść na duchu Alice i panią Oastler.

- Cóż, byłoby bardziej do przewidzenia, gdyby Jack postanowił zbiec jako kobieta zamiast z kobietą. Ale o ileż mniej frajdy!

Jack wymeldował się z hotelu wczesnym rankiem, ale po Bonnie Hamilton, która miała o siódmej spotkanie w „Rosedale”. W recepcji usłyszał, że odebrano około pięćdziesięciu telefonów do Jacka Burnsa oraz tyleż samo irytujących wiadomości dla Billy’ego Rainbow, jednakże nikt nie pytał o Jimmy’ego Stronacha. Nie zakłócono im spokoju.

Jack pojechał taksówką na Forest Hill. Spodziewał się, że matka będzie jeszcze spała, pani Oastler zaś prawdopodobnie od kilku godzin jest na nogach. Na pewno zaparzyła kawę. Nie pomylił się co do kawy.

Pani Oastler poinformowała go, że Alice wyszła przed siódmą. Rzadko kiedy wstawała tak wcześnie, nie mówiąc o wychodzeniu z domu. (Nikt nie prosił o tatuaż z samego rana).

Leslie wyglądała, jakby dopiero co zwlokła się z łóżka. Miała na sobie jedną ze starych koszulek Emmy, która wisiała na niej jak worek; pewnie w niej spała. Koszulka sięgała jej prawie do kolan, a rękawy za łokcie. Jack podążył za nią do kuchni, skąd dolatywał aromat kawy. W zlewie nie było naczyń, a na stole okruchów - Alice musiała wyjść bez śniadania.

Pani Oastler usiadła przy czystym stole i sięgnęła po filiżankę; lekko zadrżały jej ręce. Jack nalał sobie kawy i usiadł obok niej.

- Założyłam się z twoją mamą, Jack. Powiedziałam, że wybierzesz seks grupowy z uczennicami. Alice twierdziła, że pójdziesz z nadgorliwą właścicielką dużego psa. Nikt nie stawiał na kalekę.

- Gdzie mama, Leslie?

- Poszła na rezonans - odrzekła pani Oastler. - Na obrazowanie.

- Jakie znowu obrazowanie?

- Daj spokój, Jack. Rozmawiałeś z nią ostatnio? Mam wrażenie, że nie.

- Próbowałem - odparł. - Ona nic mi nie powie.

- Nie zadawałeś właściwych pytań, Jack.

Na stole znajdowała się biała koperta - stała pomiędzy solniczką a pieprzniczką, niewinna jak zaproszenie na ślub. Gdyby zawierała wiadomość dla Jacka, Alice podpisałaby

ją dużymi literami lub narysowała wielkie serce, kipiące matczyną miłością, bądź inny symbol wiecznego uczucia. Koperta była jednak czysta i niezapieczetowana.

- Czy mama jest chora, Leslie?

- Koperta? Jaka koperta? Nie widzę żadnej koperty - oznajmiła pani Oastler, spoglądając prosto na kopertę.

- Co w niej jest? - zapytał.

- Nic, co powinieneś zobaczyć. W każdym razie ja bym ci tego nie pokazała.

Jack otworzył kopertę (co naturalnie miał za zadanie zrobić) i rozłożył na stole cztery fotografie, niczym karty do gry w solitera opartego na przerażająco odwróconych zasadach.

Na fotografiach widniały ujęcia kobiecego tułowia, od pępka aż do ramion. Kobieta była naga, a jej piersi miały idealnie krągły kształt, który wraz z gładkością skóry świadczył o młodym wieku właścicielki. Lecz Jack przede wszystkim zwrócił uwagę na jej tatuaż. Był świetny i reprezentował to, co jego matka nazwałaby starą szkołą. Przedstawiał tradycyjne serce, rozdarte pionowo na pół. Wykonano je za pomocą niebieskiej kreski, bez cieniowania. Tatuaż lekko nachodził na lewą pierś, dokładnie tam, gdzie, zdaniem Alice, najłatwiej było go ukryć. Połówki złamanego serca łączyły słowa opasujące je niczym bandaż: Zanim Cię znajdę. Napisano je kursywą.

Tatuaż mógł uchodzić za dzieło Alice, ale Jack znał pismo matki na wskroś: napis nie wyszedł spod jej ręki. W tym miejscu umieszczano zwykle imię wiarołomnego kochanka, który złamał rzeźbione serce.

Jack uznał, że spogląda na dzieło Mistrza Olego, Doca Foresta lub Mistrza Petera, a może Marynarza Jerry'ego z Halifaxu. Zdjęcia wydawały się dość stare. Jednakże Jack powinien był myśleć o kobiecie, nie tatuażu.

- Patrzysz na niewłaściwą pierś, Jack - powiedziała Leslie Oastler. - Nie mam pojęcia, dlaczego Alice ukrywała przed tobą ten tatuaż. To nie on ją zabije.

Wówczas Jack zrozumiał, że spogląda na piersi własnej matki, w związku z czym zdjęcia musiały pochodzić sprzed około dwudziestu lat. Wbrew powszechnej opinii na jej temat (oraz temu, co sama twierdziła) Alice jednak miała tatuaż: musiała go zrobić, kiedy William złamał jej serce bądź w krótki czas potem, a na pewno gdy Jack był mały czy może nawet przed jego narodzeniem.

Niechęć do pokazania tatuazu brał dotąd mylnie za wstydlivość, stojącą w jawnej sprzeczności z tym, co na jej temat uważał. To nie wstyd kazał Alice unikać kąpieli razem i w negliżu. (Nie miało to również nic wspólnego z rzekomą blizną po cesarce). Po prostu ukrywała tatuaż, i to nie tylko dlatego, że zadawał kłam jej reputacji w branży. Napis nawiązywał bowiem wyraźnie do osoby Williama: to ojca trzymała w tajemnicy, od samego początku! Decyzja o naznaczeniu się na całe życie z jego powodu przeczyła udawanej obojętności, która kazała jej zaniechać poszukiwań i nabrać wody w usta.

Na prawej piersi, dokładnie w tym samym miejscu, widniała cienka blizna bez widocznych śladów po szwach.

- W wieku trzydziestu jeden lat miała lumpektomię - poinformowała pani Oastler. - Jeśli dobrze pamiętam, miałeś wtedy dwanaście lat, chodziłeś do siódmej klasy.

- Byłem w Redding - przypomniał sobie na głos. - Obiecała, że mnie odwiedzi, ale nie przyjechała.

- Miała naświetlania, Jack. I przechodziła chemioterapię. W sześciu cyklach, co cztery tygodnie. Potem bardzo źle się czuła, przez kilka dni wymiotowała. No i oczywiście wypadły jej włosy. Nie chciała, żebyś zobaczył ją łysą albo w peruce. Na zdjęciach nie widać blizny pod prawą pachą, zresztą jest prawie niezauważalna. Usunięcie węzłów chłonnych, standardowa procedura - wyjaśniła Leslie.

- Miała mammografię czy sama znalazła guz? - zapytał Jack.

- Ja go znalazłam - odrzekła pani Oastler. - Był bardzo twardy.

- Czy rak powrócił, Leslie?

- Przerzuty do drugiej piersi to dosyć częste zjawisko - powiedziała pani Oastler. - Ale nie w tym wypadku. Mógł się przenieść do płuc albo do wątroby, ale przerzut nastąpił do mózgu. W przeciwieństwie do kości nie jest to najgorsza z możliwych opcji.

- Jak się leczy raka mózgu?

- To właściwie nie jest rak mózgu, Jack. Mamy do czynienia z przerzutem: są to komórki raka piersi. Kiedy rak piersi przenosi się gdzie indziej, niewiele można na to poradzić.

- Czy mama ma guza mózgu? - upewnił się Jack.

- Chyba nazywają to „procesem rozrostowo-uciskowym”, ale tak, to po prostu guz mózgu - potwierdziła Leslie, wzruszając ramionami. - Według lekarzy, to nie podlega leczeniu. Nawet chemioterapia pełni funkcję wyłącznie paliatywną, łagodzi symptomy, ale nie leczy. Leczenie odpada - uzupełniła Leslie, świadomie lub podświadomie naśladowując potoczny styl zmarłej córki.

Pani Oastler pobierała zdjęcia i schowała je do szuflady kredensu, gdzie trzymano przybory kuchenne oraz całą masę innych śmieci. W dzieciństwie Jack i Emma zaglądali tam w poszukiwaniu taśmy klejącej, pinezek i gumek do wycierania.

Zdjęcia były pomysłem Alice; Leslie miała je pokazać Jackowi dopiero po jej śmierci.

- Jakie są objawy, Leslie?

- Dostaje leki przeciwdrgawkowe, ale czasami nie pomagają, sama widziałam. Wyczułam guz, widziałam drgawki. Niewiele uchodzi mojej uwagi - dodała.

- Czy to coś w rodzaju konwulsji?

- Tak myślę. - Leslie znów wzruszyła ramionami. - Dostrzegłam również pewne zmiany w nastroju, a nawet w usposobieniu.

- Leslie, mamę ciągle dopadają zmiany nastroju, a jej usposobienie nigdy nie było stabilne!

- Zmieniła się, Jack. Zobaczysz. Zwłaszcza gdy ją nakłonisz, żeby z tobą porozmawiała.

Jack wezwał taksówkę. Postanowił zaczekać na matkę w salonie. Pani Oastler otoczyła go ramionami i oparła głowę na jego piersi.

- To stanie się już wkrótce, Jack. Podobno nawet nie poczuje bólu.

W odpowiedzi Jack mocno ją przytulił. Nie próbowała go sprowokować, chciała tylko, żeby ją objął.

- Powinieneś porozmawiać z Maureen Yap, Jack. Całą noc próbowała się do ciebie dodzwonić.

- Nie wydaje mi się, aby chodziło jej o rozmowę - odparł.

- Powiedziałam, że powinieneś z nią porozmawiać. Maureen Yap jest lekarzem. Jest pieprzonym onkologiem.

- Aha.

Recepcjoniści w „Four Seasons” zdziwili się na jego widok. Przed powrotem do LA planował spędzić kilka dni w Nowym Jorku, kiedy jednak zameldował się ponownie (raz jeszcze jako Jimmy Stronach), oznajmił, że zamierza pozostać w Toronto na czas nieokreślony, czyli aż do odwołania. Zapytał z udawaną obojętnością, czy Maureen Yap już się wyprowadziła. (Okazało się, że doktor Yap dopiero zamówiła śniadanie).

Otrzymał ten sam pokój. Zapomniał zdjąć z klamki zawieszkę „Nie przeszkadzać”, pokojówki zaś nie dostały informacji o jego wyprowadzce, przez co czuł się tak, jakby wizyta na Forest Hill w ogóle się nie odbyła, gdyby nie informacja o śmiertelnej chorobie matki.

Wpadł na pomysł, aby zadzwonić do Maureen. Powiedziała: „Tu obsługa hotelowa, doktor Yap. Czy życzy sobie pani na przystawkę Jacka Burnsa?”

Wyobrażał sobie, że Maureen odparłaby: „Tak, poproszę”, ale nie miał ochoty na kawały. Informując go, że mieszka w hotelu pod panięńskim nazwiskiem, Maureen bynajmniej nie żartowała.

Wziął szybki prysznic, po czym włożył hotelowy szlafrok i kretyńskie białe pantofle, jakby wybierał się na basen. Znał numer pokoju Maureen: fani z recepcji nie omieszkali mu go podać, chociaż nie powinni. Bądź co bądź, nazywał się Jack Burns: gdyby poprosił o pizzę pepperoni z dwiema dziwkami, bez szemrania spełniono by jego zachciankę.

Filmy nauczyły Jacka autoprezentacji bez udziału słów. Uchyliwszy drzwi, Maureen Yap otrzymała nieoczekiwane zbliżenie twarzy ulubionego aktora. Jej śniadanie dotarło zaledwie chwilę przedtem, a oto miała przed sobą Jacka Burnsa w szlafroku!

- Winę za spóźnienie ponosi Pam Hoover - wymamrotała Maureen, wpuszczając Jacka do środka. Ona również miała na sobie hotelowy szlafrok minus kretyńskie pantofle. (Jack zrzucił swoje przy drzwiach).

- Po co przejechałaś szmat drogi z Vancouver? - zapytał, rozwiązując jej pasek od szlafroka.

- Żeby zaznać z tobą nadmiaru seksu - odrzekła, robiąc to samo z jego paskiem. Nieważne, że brzmiało to jak: „Żeby skorzystać z pumeksu”, Jack w lot pojął, w czym rzecz.

Była nadzwyczaj drobna: zagłębienie jej miednicy nie było większe niż u trzynastoletniej dziewczynki. Skóra na piersiach miała przejrzystość skóry dziecka i nosiła sinawy odcień, jakby niewidoczne żyły rzucały poświatę na wierzch. Jack swobodnie objął palcami jej udo.

- Moja kość udowa jest niniejsza niż kość twojego ramienia - zakomunikowała Maureen. Nie sposób wyrazić, jak to zabrzmiało, lecz Jack jakimś cudem zrozumiał.

Mąż i syn Maureen zadzwonili za kwadrans dziesiąta: w Vancouver była za kwadrans siódma i ojciec szykował chłopca do szkoły. Maureen zasłoniła Jackowi dłonią ucho, przyciskając jego głowę (i drugie ucho) do swego płaskiego brzucha. Mimo to usłyszał jej szczebiot pod adresem męża, który też był lekarzem, i syna, choć umknęła mu dokładna treść wypowiedzi. Maureen płakała: czuł napięte mięśnie jej podbrzusza.

Wyjaśniła rodzinie, że nadal ciąży jej smutek po pogrzebie Emmy. Jack kolejny raz usłyszał nazwisko Pam Hoover; wydało mu się, że słyszy również słowo „kaszałot” i „łżejszy”. Dopiero później zrozumiał, że Maureen Yap złapie „późniejszy samolot do Vancouver”.

Przypomniał Maureen, że „Four Seasons” znajduje się w pobliżu Muzeum Królewskiego w Ontario, na co Maureen zademonstrowała mu swoją wersję nietoperza wampira. To z kolei skłoniło ich do odegrania sagi o podduszonym dziecku, we wszystkich trzech wersjach.

- Nadmiar seksu z tobą nie wchodzi w grę - oznajmiła później Japa, gdy nie bez trudu oddawał mocz w łazience. Oczywiście odebrał to jako: „Bezmiar tekstu co się zwie”, czy coś w tym rodzaju.

- Moja matka ma raka! - zawołał z łazienki Jack. (Niezbyt głośno, drzwi były otwarte). - Umiera.

- Wracaj do łóżka - odpowiedziała wyraźnie Maureen. Z chwilą gdy przeszli do spraw medycznych, zrozumienie tego, co mówiła, nie stanowiło żadnego problemu. Doktor Yap wypowiadała się nadzwyczaj klarownie.

Jack chciał wiedzieć, co się stanie z mózgiem jego matki. Maureen musiała uznać to pytanie za dziecinne, ponieważ wzięła go w ramiona i przytuliła jego głowę do piersi.

- Dla ciebie będzie to trudniejsze niż dla niej, Jack - zaczęła. - Wszystko zależy od umiejscowienia guza. Musisz mi przysłać wynik rezonansu magnetycznego.

- Dobrze - odpowiedział. Zauważył, że płacze.

- Jeżeli w korze wzrokowej, straci wzrok. Jeżeli w korowym ośrodku mowy, sam możesz się domyślić. Jeżeli rak przetnie naczynie krwionośne, ona dostanie krwotoku i umrze bez świadomości tego, co się z nią dzieje. W wypadku obrzmienia mózgu po prostu straci przytomność.

- Będzie w śpiączce? - zapytał.

- To bardzo możliwe, Jack. Może spokojnie umrzeć w śpiączce. Przystanie oddychać. Przedtem jednak może myśleć, że jest kimś innym. Może mieć halucynacje, wyczuwać dziwne, nieistniejące zapachy. Każda ewentualność wchodzi w grę. Koniec nastąpi szybko i bezboleśnie, ale po drodze nie będzie wiedziała, kim jest. Najgorsze jest to, że ty również możesz tego nie wiedzieć.

Najgorsze dla Jacka było to, jak wyznał Maureen, że nigdy nie wiedział, kim tak naprawdę jest jego matka. Opis jej agonii brzmiał nader znajomo.

- Czy mogę mówić do ciebie doktor Yap? - zapytał, kiedy się rozstawali.

- Byle nie bez przerwy - odpowiedziała.

Nie miał takiego zamiaru, Maureen dobrze o tym wiedziała. Kiedy później przesłał jej wynik rezonansu magnetycznego Alice, znał mniej więcej położenie guza. Alice również. Analiza doktor Yap jedynie potwierdziła diagnozę. Guz znajdował się w układzie limbicznym: emocjonalnym ośrodku mózgu.

- Czyż to, kurwa, nie wspaniałe? - zapytała Leslie Oastler. - Alice pewnie uzna to za świetny kawał. Będzie na przemian płakać i wybuchać śmiechem, sypać kawałami jak z rękawa, a następnie pławić się w depresji. Emocjonalne jo-jo!

Oczywiście Jack wychodził z założenia, że w niczym nie różni się to od dotychczasowego zachowania matki. Fakt, że złośliwy tętniak zagnieździł się w emocjonalnym ośrodku mózgu, wydawał mu się wręcz normalny.

- Skoro sprawy zaszły aż tak daleko, Jack - uprzedziła Maureen Yap - jestem przekonana, że twoja matka już się z tym pogodziła. Tylko się zastanów, ile musiała nad tym rozmyślać. Postanowiła nawet zachować to przed tobą w tajemnicy. Osiągnęła taki stan umysłu, który pozwala jej przemilczeć chorobę. To pani

Oastler nie może się z tym pogodzić. Ty również, Jack. I nie zdążysz, póki nie będzie za późno. Zostało niewiele czasu, Jack.

- Ona ma dopiero pięćdziesiąt jeden lat! - zawołał, chowając twarz na jej piersiach trzynastolatki.

- Rak lubi młodość, Jack - oznajmiła Maureen. - Nawet on zwalnia kroku, kiedy człowiek jest stary.

Rak Alice pędził na łeb na szyję: miał ją uprowadzić w pośpiechu, nadrabiając stracony czas, jaki dzielił go od początku choroby. Później tego samego ranka, po pożegnaniu z doktor Yap, Jack pojechał na Queen Street i znowu wkroczył do świata Córkę Alice, gdzie uciał sobie z matką pogawędkę. (Choć określenie „taniec” byłoby bardziej adekwatne).

- Nadal słodzisz herbatę miodem, skarbie? - zapytała Alice, kiedy przestąpił próg salonu.
- Właśnie zaparzyłam dzbanek.

- Nie chcę miodu, mamo. Musimy porozmawiać.

- Jejku, co za poważna mina! - zażartowała matka. - Pewnie Leslie przedstawiła dramatyczną wersję zdarzeń. Jest taka wkurzona, jakby to ona umierała!

Jack pozwolił jej się wygadać, wiedząc, że lada chwila może znów zastosować unik.

- Oczywiście ma prawo być wkurzona - ciągnęła Alice. - Bądź co bądź, zostawiam ją, chociaż obiecywałam, że nigdy tego nie zrobię. Pozwalała mi jeździć na zjazdy, gdzie dochodzi do różnych dziwnych rzeczy. Aleja zawsze wracałam.

- Mnie też zostawiasz - przypomniał Jack. - Kiedy zamierzałaś mi powiedzieć?

- Jedyńą osobą, na której mi zależało, był twój ojciec, Jack, a on zwyczajnie się na mnie wypiął. Nie chciał mnie, a ja w odwecie nie pozwoliłam mu się z tobą kontaktować.

Być może za sprawą długotrwałego pobytu w towarzystwie Maureen Yap Jack uznał, że się przesłyszał, jednakże z reakcji matki (która gorliwie zajęła się filizanką) wywnioskował, że wymknęło jej się ciut więcej, niż planowała.

- Chciał utrzymywać ze mną kontakt? - upewnił się.

- To ja umieram, Jack. Nie sądzisz, że powinieneś pytać o mnie?

Patrzył, jak nakłada mu do herbaty kopiastą łyżeczkę miodu. Jej ręce drżały lekko, podobnie jak dłonie pani Oastler.

Zrozumiał, że się nie przesłyszał. Wyraźnie powiedziała, że William jej nie chciał, a ona w odwecie nie pozwoliła mu na kontakt z synem. Kiedy podała Jackowi filiżankę, robiąc przy tym minę najbardziej skrzywdzonej osoby na świecie, Jack stwierdził, że tym razem nic go nie powstrzyma.

- Skoro chciał być przy mnie - drążył - dlaczego przed nami uciekał? Dlaczego zawsze opuszczał miasto, do którego jechaliśmy?

- Mam raka mózgu - zakomunikowała Alice. - Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby wpłynęło to na moją pamięć.

- Zacznijmy od Halifaxu - podjął Jack. - Wyjechał stamtąd, zanim zdążyłaś przyjechać? Jeśli nadal tam mieszkał, pewnie chciał być przy moich narodzinach.

- Mieszkał - przyznała Alice, stając tyłem do Jacka. - Nie pozwoliłam mu na to.

- Czyli on wcale przed tobą nie uciekał?

- Czy Leslie wspomniała o nagłych zmianach nastroju? - zapytała matka. - Moje reakcje czasem bywają sprzeczne z logiką.

- Pewnie opowieść o cesarce to też kłamstwo - zauważył Jack. - To nie przez bliznę nie pozwalałaś mi się oglądać nago. Nie chciałaś, żebym zobaczył coś innego. Mam rację?

- Leslie pokazała ci zdjęcia, a to suka! - zawołała Alice. - Miałeś je zobaczyć dopiero po mojej śmierci!

- Po co w ogóle miałem je oglądać? - spytał.

- Byłam kiedyś piękna! - krzyknęła. (Miała na myśli swoje piersi, podczas gdy Jack myślał o tatuażu).

- Mówię o twoim tatuażu. Dam głowę, że to robota Mistrza Olego z Kopenhagi. Miałeś go prawie od początku.

- Pewnie że Olego. Wolał ograniczyć się do zarysu, a ja nie chciałam sama cieniować.

- A Lars?

- Miałabym pozwolić się Larsowi dotknąć? W życiu nie pokazałabym mu piersi!

- Wybiegamy za bardzo do przodu, mamó. Porozmawiamy o Toronto, jeszcze przed wyjazdem do Kopenhagi. Kiedy tu przyjechaliśmy, ojca już nie było?

- Wpędził w kłopoty uczennicę ze Świętej Hildy, Jack. Spotykał się też z inną dziewczyną ze szkoły oraz z jedną lub dwiema nauczycielkami!

- Przecież wiem, mamó.

- W Halifaxie też nie próżnował! - burknęła Alice.

- Już mi to mówiłaś. Wiem, że cię zostawił. Ale nie wiedziałem, że chciał mnie widywać.

- Przed tym nie mogłam go powstrzymać, prawda? - odparła. - Kiedy wychodziliśmy z domu, mógł na ciebie patrzeć, ile wlezie. Skoro jednak nie chciał być ze mną, dlaczego miałam mu pozwolić, aby był z tobą?

- Może dlatego, żebym miał ojca?

- Któż mógł przewidzieć, jakim będzie ojcem? Z kimś takim nigdy nic nie wiadomo.

- Widywał mnie w Toronto, mamó? Kiedy byłem mały? Zanim kazałaś mu się wynosić?

- Jak śmiesz! - krzyknęła Alice. - Nigdy nie kazałam mu się wynosić! Mógł na ciebie patrzeć, ile chciał! Pozwalałam mu cię oglądać, na odległość, kiedy tylko o to poprosił!

- Poprosił? Na odległość?

- No cóż, nie pozwalałam na spotkania w cztery oczy - wyjaśniła. - Nie mógł z tobą rozmawiać.

Jack czegoś tu nie rozumiał, czegoś mu brakowało. Czyżby Alice wykorzystywała go, aby zmusić Williama do przyjęcia jej warunków, co oznaczałoby zgodę na wspólne życie?

- Zaraz, zaraz - powiedział. - Pozwoliłaś mu mnie widywać, jeśli jednak pragnął bliższej zażyłości, musiał się z tobą ożenić?

- Zrobił to, Jack. Ale tylko pod warunkiem, że zaraz się rozwiedziemy!

- Sądziłem, że to pani Wicksteed wymyśliła, żebym nosił jego nazwisko. Ze-bym nie był nieślubnym dzieckiem - odparł Jack. - Nie miałem pojęcia, że za niego wyszłaś!

- To był pomysł pani Wicksteed. W świetle prawa jedynym sposobem, abyś nosił jego nazwisko, był ślub, a następnie rozwód rodziców - oświeciła go matka, jakby był to tylko nieistotny szczegół.

- Zatem musiał przebywać w Toronto przez pewien czas - zauważył Jack.

- Na tyle długo, aby się ożenić, a potem rozwieść - zakomunikowała Alice. - Byłeś wtedy niemowlęciem. Wiedziałam, że nie będziesz go pamiętał. - (Wychodziło na to, że bardzo jej na tym zależało).

- Ale to pani Wicksteed mnie utrzymywała? - upewnił się Jack. - Byliśmy na jej garnuszku, prawda?

- Pani Wicksteed była wcieleniem hojności! - oznajmiła z urazą matka, tak jakby podał w wątpliwość cnoty staruszki, czego wcale nie miał zamiaru czynić.

- Kto za wszystko płacił, mammo?

- Głównie pani Wicksteed - odrzekła lodowato Alice. - Twój ojciec czasem dokładał trochę grosza.

- Przysyłał pieniądze?

- Przynajmniej na tyle było go stać! - krzyknęła matka. - Nigdy nie prosiłam Williama o pomoc finansową, przysyłał, ile mógł.

Ale pieniądze przecież skądś przychodziły, uświadomił sobie Jack. Alice musiała dokładnie znać miejsce pobytu Williama.

- Powoli zmierzamy do Kopenhagi - powiedział. - Nie pojechaliśmy tam po to, by go szukać, prawda? Dobrze wiedziałaś, że tam jest.

- Nie wypileś herbaty, skarbie. Nie smakuje ci?

- Pojechałaś do Kopenhagi, żeby mu mnie pokazać?

- Niektórzy ludzie, Jack, zwłaszcza mężczyźni, wychodzą z założenia, że wszystkie małe dzieci wyglądają identycznie. Ale ty stanowiłeś wyjątek: jako czterolatek byłeś bardzo ładnym chłopcem.

Wszystko zaczynało mu się krystalizować: posłużyła się nim jako przynętą!

- Ile razy mnie widział? - zapytał. - Mam na myśli Kopenhagę. - (Gdyby użyć terminologii branżowej, dokładnie chodziło mu o to, ile razy proponowała Williamowi interes).

- Jackie... - zaczęła matka, po czym umilkła, jakby podświadomie przybrała ton, jakim strofowała go w dzieciństwie. Kiedy podjęła przerwany wątek, mówiła drżącym i płaczącym głosem kobiety z przerzutami nowotworowymi w układzie limbicznym. - Każdy ojciec byłby dumny z tak pięknego syna, Jack. Który ojciec nie chciałby go zobaczyć?

- Ale ty mu nie pozwoliłaś - przypomniał jej Jack.

- Dałam mu wybór! - upierała się Alice. - Byliśmy drużyną, Jackie, nie pamiętasz? Stanowiliśmy zgrany zespół! Mógł dostać nas oboje albo nic. Wybrał to drugie.

- Ile razy kazałaś mu wybierać? - zapytał Jack. - Pojechaliśmy za nim do Szwecji, Norwegii, Finlandii, Holandii. Mamo, dałaś mu spokój tylko dlatego, że Australia była, kurwa, za daleko!

Powinien był uważać na to, co mówi: miał do czynienia z umierającą. Zresztą matka nigdy nie tolerowała podobnego słownictwa.

- Myślisz, że taki z ciebie mądrała! - burknęła. - Guzik wiesz, Jack. Nie jeździliśmy za nim. To on jeździł za nami! I to on w końcu dał za wygraną -dodała ciszej, ale równie gorzko, jakby zraniona duma nadal nie dawała jej spokoju.

Jack zrozumiał, że tak naprawdę nie wie nic. Zdawał sobie sprawę, że Alice odpowie tylko na pytania zadane wprost, on zaś nie miał pewności, jakim szlakiem powinien podążać. Był z góry skazany na klęskę.

- Powinieneś porozmawiać z Leslie - dorzuciła matka. - Ona lubi gadać. Przekaż jej, że może ci powiedzieć, co chce.

- Leslie tam nie było, mammo.

Miał na myśli Europę. Ale matka przeniosła uwagę na nowy odtwarzacz CD: postanowiła zatopić syna znajomą falą dźwięków.

- Prześlę twoje wyniki Maureen Yap - powiedział. - Jest onkologiem.

- Powiedz Leslie. Ona to załatwi. - Znowu zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Zresztą i tak nie uchyliła ich specjalnie szeroko.

Jack podjął ostatnią próbę.

- Może powinienem wyjechać - zaryzykował. - Zaczę od Kopenhagi.

- Nie zabrałbyś ze sobą Leslie, Jack? Przynajmniej zjedź mi z drogi.

- Chyba pojedę sam - odparł Jack.

Matka z rosnącym zniecierpliwieniem naciskała przyciski odtwarzacza.

- Gdzie pilot? - zapytał Jack. - Powinnaś używać pilota, mammo.

Alice znalazła pilota i wycelowwała go najpierw w Jacka, a następnie w odtwarzacz.

- Proszę cię tylko o jedno, Jackie - powiedziała. - Jeśli masz zamiar go szukać, bądź łaskaw robić to po mojej śmierci.

Odtwarzacz był nowy, ale Bob Dylan zabrzmiał znajomo, choć znacznie głośniej, niż przewidywali.

*Westchnień szmer,
Głosów gwar
Mówią mi, żeś nie dla mnie ty.*

- Jezu, ścisz to! - powiedział Jack, ale matka nacisnęła zły przycisk i piosenka zaczęła się od początku.

- Po mojej śmierci - powtórzyła Alice, celując pilotem w Jacka zamiast w kretyński odtwarzacz.

- Chcę wiedzieć, co się tak naprawdę stało! Pytam cię o przeszłość, mammo. Za mało wiem, żeby chcieć go odszukać.

- Cóż, jeśli chcesz wyruszyć w tę podróż, proszę bardzo - oznajmiła matka, tym razem biorąc na cel odtwarzacz i zmniejszając głośność, choć muzyka i tak dudniła w najlepsze.

*Zimnego wichru wrogi ton,
Znowu ze mnie szydzi dzwon,
Lecz uparcie mówię nie,
W dalszym ciągu kocham cię.*

Przez Boba nie usłyszeli brzęku dzwonka przy drzwiach. W pracowni było ciepło i duszno, ale mężczyzna o szarej twarzy dalej dygotał, nawet gdy drzwi z powrotem się zatrzasnęły. Nosił siwe włosy do ramion, jak stary hipis. Na dzinsowej kurtce miał na sercu przyszyte wschodzące słońce, a szyję obwiązał czerwoną bandaną. Wyglądał jak Richard Harris w roli kowboja albo jak podstarzały jeździec rodeo.

- Napijesz się herbaty? - zapytała Alice.

Mężczyzna był zbyt zziębnięty, aby wydusić choćby słowo, ale skinął głową. Miał na sobie czarne obcisłe dzinsy oraz czarno-fioletowe kowbojki w węzowy wzór; podszedł na zeszywniałych nogach do rozkładanej sofy. (Pani Oastler zdradziła Jackowi, że Alice czasem

tu sypia, pewnie kiedy się poprzytykają). Stary kowboj usiadł na niej tak ostrożnie, jakby dosiadał dzikiego konia.

- „Pragnę cię, pragnę cię, tak mocno pragnę cię - zawodził Bob Dylan. - Kotku, pragnę cię”.

- Masz tatuaże na całym ciele, prawda? - spytała Alice.

- Prawie - odpowiedział, nie przestając dygotać. Odslonięte części ciała były pokryte nie tatuażami, lecz gęsią skórą.

Był co najmniej dziesięć lat starszy niż William Burns, lecz Jack poczuł się tak, jakby miał przed sobą przemarzniętego ojca. Stary hipis przystąpił do mozolnego ściągania jednego z butów. Jack ukląkł, żeby mu pomóc: but okazał się tak ciasny, że wraz z nim zsunęła się również skarpetka. Stopa była zdumiewająco biała. Kostkę pokrywała całkowicie bawola czaszka z długimi rogami; płomień buchający z rozwartego pyska lizały podbicie.

Kowboj poprzestał na jednym bucie. (Jack doszedł do wniosku, że druga noga musi być wytatuowana).

- Zostało tyle wolnego miejsca - powiedział do Alice.

- Masz jeszcze twarz i ręce - zauważyła Alice.

- Jeśli mam znaleźć robotę, miła pani, musi zostać tak, jak jest.

Jack swoim zwyczajem chyłkiem ruszył do wyjścia. Po drodze wylał do zlewu zawartość swojej filizanki.

- Do zobaczenia w domu, mamo - rzucił ścisłym tonem. Był pewien, że rozmowa dobiegła końca. Naiwnie przyjął, że ma to już za sobą.

- Połóż się wygodnie - powiedziała do kowboja Alice, nie patrząc na syna. Stary hipis wyciągnął się na sofie, a matka przykryła go kocem.

Bob znowu wyśpiewywał refren, lecz pomimo hałaśliwej piosenki Jack nadal słyszał, jak kowboj szczeka zębami.

*Pragnę cię, pragnę cię,
Tak bardzo cię pragnę,
Kotku, pragnę cię.*

- Zabierz Leslie, kochanie! - zawołała matka, kiedy Jack zamykał za sobą drzwi. Nadal unikała jego wzroku, zajęta kowbojem. W ostatniej chwili usłyszał jeszcze jej słowa: - To już nieważne, Jack. Możesz się nawet z nią przespać!

Ostatnie zdanie towarzyszyło mu podczas wędrówki południową stroną Queen Street. Wreszcie złapał taksówkę jadącą na wschód i pojechał z powrotem do

„Four Seasons”. Ponownie wzbudził mały popłoch wśród swoich fanów w recepcji, kiedy po raz drugi tego dnia wymeldowywał się z hotelu. Nie lubił chaosu: myśl, że może się komuś wydać niezorganizowany, a nawet zagubiony, nie przypadła mu do gustu, miał jednak pewien plan.

Przeniesie się do gościnnego skrzydła domu, który kiedyś nazywał „posiadłością Oastlerów” na Forest Hill. Zajmie sypialnię Emmy, która nasuwała mu najmielsze wspomnienia. Przeniesie jej duże biurko do swojego dawnego pokoju, gdzie molestowała go pani Machado: pokój ten, dotknięty przekleństwem utraty niewinności, stanie się jego pracownią. Po włączeniu do zespołu (jak powiedziałaby Alice) umierającej matki i Leslie Oastler trudno by było o lepszy klimat na dokończenie pracy nad adaptacją „Recenzentki bzdur”.

Jack przepisał już ręcznie scenariusz oraz notatki Emmy. Przywiózł rękopis do Toronto, aby nad nim popracować. Potrzebował tylko zapasu kartek oraz kilku dodatkowych długopisów. Leslie, niezmordowana weteranka zakupów, natychmiast pośpieszyła do sklepu i nabyła wszystko, czego potrzebował. (Kupiła mu nawet nową lampkę na biurko Emmy).

Była wdzięczna Jackowi, że nie zostawił jej samej z Alice, w której usposobieniu zachodziły coraz większe zmiany.

Perspektywa całodziennego pobytu w towarzystwie pani Oastler początkowo nasunęła Jackowi pewne obawy. Niepokoił się, czy Leslie ni stąd, ni zowąd nie zaatakuje go w negliżu. Bądź co bądź, matka nie tylko udzieliła im w tej kwestii błogosławieństwa, ale wciąż zachęcała Leslie do seksu z Jackiem. (Na przykład kiedy pani Oastler zmywała naczynia po kolacji, Jack słuchał muzyki, a Alice wylegiwała się na sofie).

- Leslie, może prześpisz się dzisiaj z Jackiem? - wołała w stronę kuchni Alice.

- Mamo, na miłość boską...

- Nie, dziękuję, Alice! - odkrzykiwała w stronę salonu Leslie.

- Spróbuj, mogłoby ci się spodobać - rzuciła kiedyś przy kolacji Alice. - Chyba nie chrapiesz, Jack, prawda? Będziesz mogła przy nim spokojnie zasnąć, Leslie, nie to co przy mnie. To znaczy, jak już będzie po wszystkim.

- Proszę cię, przestań - odparła Leslie.

- Myślisz, że jak długo jeszcze będę z tobą sypiać? - warknęła Alice. - Mam nadzieję, że nie przyjdzie ci to do głowy, kiedy będę w śpiączce!

- Mamo, Leslie i ja nie chcemy iść ze sobą do łóżka - oznajmił Jack.

- Ależ chcecie, kochanie - zapewniła matka. - Nie chcesz przespać się z Jackiem, Leslie? Oczywiście że chcesz! - wykrzyknęła radośnie, nim pani Oastler zdążyła zareagować.

Jack mógł sobie tylko wyobrazić, jaki bigosik upitrasiłaby Emma na podstawie takiego trójkąta: na pewno coś na miarę związku pochwicy z za dużym członkiem! Zgodnie z przewidywaniami Jacka atmosfera panująca w domu wybitnie wręcz sprzyjała zakończeniu pracy nad jego (Emmy) scenariuszem.

Sam scenariusz stawał się mariażem plagiatu oraz prawowitej własności, połączeniem chytrej komercji z oślepiającymi snopami światła, w których dryfują znajome, a jednak niezmiennie zachwycające drobinki kurzu. („Pozornie zwykłe, acz wyraźnie zaznaczone szczegóły, które zapamiętujemy z dobrego filmu”, jak mawiała Emma).

Z uwagi na zapał, z jakim rzucił się w wir pracy, lecz również z powodu tego, że razem z panią Oastler stali się ofiarami coraz częstszych napaści matki, Jack przestał się lękać awansów Leslie, która zresztą raczej nie wchodziła mu w drogę.

Kiedy schodził do kuchni, aby zaparzyć sobie herbatę bądź zjeść jabłko lub banana, często zastawał panią Oastler przy stole, tak jakby Alice dopiero wyszła z domu i lada chwila miała powrócić. W takich wypadkach, podczas zwięzłej wymiany zdań, Leslie przekazywała mu kolejny brakujący element układanki pod tytułem William Burns.

Przeważnie robiła wrażenie wyczerpanej. Wspomnienia nachodziły ją w zgoła nieoczekiwanych sytuacjach, i Jack często siedział jak na szpilkach, gdyż nigdy nie wiedział, co zaraz usłyszy. Co gorsza, zachowanie ich obojga mogło mylnie sugerować, że jednak poszli ze sobą do łóżka, co nie umykało bystrej uwagi Alice.

- Spałaś z nim, Leslie, prawda? - pytała po każdym powrocie z pracy.

- Nie, nie spałam - odpowiadała niezmiennie pani Oastler, siedząc przy kuchennym stole, tak jakby zapuściła tam korzenie.

- Hm, a wyglądasz, jakbyś spała - komunikowała Alice. - Po prostu, jakby ktoś rznął cię do upadłego, Leslie.

Łatwo było zrzucić jej skandaliczne zachowanie na karb postępującej choroby. Niemniej jednak słownictwo Alice również ulegało zmianie. Nie chodziło nawet o dykcję, dobitnie świadcząca o determinacji, z jaką panna Wurtz wyrugowała jej szkocki akcent: Alice stawała się coraz bardziej ordynarna. Ordynarna jak zawsze Emma, czasami Leslie, ostatnio zaś również Jack. („Od wyjazdu do Kalifornii”, podsumowywała matka).

Ale Jack pracował dalej. Pokazał nawet brudnopis pani Oastler, która nie mogła się doczekać, kiedy go przeczyta. Ku zdziwieniu Jacka tekst bardzo ją wzruszył: uznała go za

niezwykle wiemy powieści. Zadała sobie nawet trud sporządzenia listy różnic, jakie dzieliły go od oryginału. I wcale nie chodziło o krytykę: Leslie pragnęła jedynie, aby Jack docenił jej spostrzegawczość. Wśród wielu różnic znalazły się oczywiście zmiany wprowadzone przez samą Emmę bądź przez nią zasugerowane. Lecz niektóre z nich pochodziły od Jacka.

- Ale podoba ci się? - zapytał.

- I to jak - odrzekła ze łzami w oczach.

Jako początkujący pisarz Jack Bums nigdy nie miał do czynienia z wyrazami aprobaty wobec swych dokonań literackich, co zasadniczo wpłynęło na zmianę relacji pomiędzy nim a panią Oastler. Łączyło ich coś więcej aniżeli agonია matki: zjednoczyła ich praca nad scenariuszem „Recenzentki bzdur” oraz nieoczekiwana rola, jaką odegrała w tym Leslie.

Zbliżyła ich również postawa Alice, która przerzuciła ciężar zwierzeń na panią Oastler. Najgorsze (choć w ostatecznym rozrachunku może najlepsze) zaś były ciągle i zgoła niepojęte wysiłki Alice, mające na celu zmuszenie ich do seksu, przed którym oboje bronili się, ile sił. Zamierzali wytrwać w swoim postanowieniu, przynajmniej dopóki Alice żyje i bezwstydnie suszy im o to głowę. (Co okazało się tym trudniejsze, iż pomimo postępującego obłędu Alice miała całkowitą rację: oboje zwyczajnie tego chcieli).

Alice była bezsprzecznie szalona, ale czy jej szaleństwo wynikało z choroby, czy też wiecznie żywej urazy do Williama, pani Oastler i Jack nie wiedzieli.

Pewnej nocy Jack zastał w łóżku Emmy (obecnie jego własnym) śpiącą i nagą matkę. Kiedy ją obudził, wyjaśniła, że przyszła tu po to, aby mógł się bez przeszkód przespać z Leslie. I tak Jack był zmuszony spędzić noc w swym dawnym pokoju (obecnie pracowni), gdzie tak brutalnie wyedukowała go pani Machado.

Incydent wprawdzie się nie powtórzył, ale nastąpiły inne. Któregoś dnia pani Oastler dostała telefon z policji. Poinformowano ją, że pracownia Alice jest „ewidentnie zamknięta”, lecz z wnętrza salonu dobiega tak głośna muzyka, że skarżą się nawet przechodnie. W ten sposób Leslie i Jack dowiedzieli się, że Alice miała obecnie w zwyczaju zamykać salon praktycznie z chwilą jego otwarcia, po czym kładła się na sofie i uciniała sobie całodzienną drzemkę. Alice wyjaśniła, że nocą słyszy dźwięki, które uniemożliwiają jej zaśnięcie. (Według pani Oastler albo leżała z otwartymi oczami, albo chrapała).

- Jakie dźwięki, Alice? - zapytała Leslie.

- Nieartykułowane - wyjaśniła Alice. - Może głosy, ale nie twoje ani Jacka. Takie, których nie mam ochoty słuchać. - (Stąd puszczenie Boba na cały regulator i skargi przechodniów).

- Jeśli widzisz na drodze do śmierci jakąś przeszkodę, po prostu ją omiń, Alice

- odrzekła pani Oastler.

- Ona ma talent! - wykrzyknęła Alice, klepiąc w ramię Jacka, ale szyderczo celując palcem w Leslie. - No proszę, przyszło mi mieszkać z dwójką pisarzy!

Jack ujrzał oczami wyobraźni to, co starał się zignorować, zastając śpiącą i nagą matkę w swoim (Emmy) łóżku: zwiotczała skórę jej piersi oraz pewną zmianę położenia tatuażu, który obecnie przedstawiał wykrzywione pęknięte serce, tak jakby serce Córkę Alice nosiło nieodwracalną skazę, jeszcze zanim złamał je William Burns. Nawet we śnie na biuście matki widniały ślady po fiszbinach, a w świetle padającym z łazienki (drzwi były otwarte na oścież) blizna po lumpektomii jaśniała nienaturalną bielą, podobnie jak ślad pod pachą, skąd usunięto węzły chłonne. (Jack widział je po raz pierwszy).

- Małe rżnięcie by wam nie zaszkodziło! - wrzasnęła kiedyś matka, zwijając dłoń w pięść i waląc nią w stół, tak że oboje podskoczyli. - Gdybyście pieprzyli się od rana do nocy, odechciałoby się wam poezji!

Chociaż scenariusz stawał się coraz lepszy, Jack rzadko czuł się „poetyczny”. Nie było niespodzianką, co bynajmniej nie umniejszało jego rozczarowania, że matka odmówiła przeczytania scenariusza. („I tak nie doczekam filmu, kochanie”, orzekła).

Jeżeli w okresie bezpośrednio poprzedzającym śmierć matki w domu znajdował się ktoś „poetyczny”, zdaniem Jacka, była to Leslie, która pewnego dnia nieoczekiwanie stanęła w progu jego pracowni. Była naga. Zaczerwieniona skóra w okolicach róży jerychońskiej świadczyła, że pani Oastler drapała się intensywnie. Jej drobnym ciałem wstrząsał szloch.

- Żałuję, że go sobie zrobiłam - oświadczyła. Nic nie wskazywało na to, że zamierza Jacka uwieść.

- Przykro mi, Leslie.

- Życie wymusza na nas wystarczającą liczbę ostatecznych decyzji - podjęła pani Oastler. - Powinno nam starczyć rozsądku, aby w miarę możliwości unikać tych niepotrzebnych.

Kiedy odwróciła się i ruszyła korytarzem, Jack nadal siedział przy biurku.

- Czy mogę to wykorzystać, Leslie? - zawołał. (Brakowało mu czegoś do komentarza narratorki i kwestia była jak znalazł). - Czy mogę wykorzystać to, co powiedziałaś?

- Jasne - odrzekła Leslie, tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Kiedy wreszcie wybrano Lucię Delvecchio do roli Michele Maher, Lucia wyznała, że pragnęła zagrać w tym filmie z uwagi na słowa płynące zza kamery (oraz na konieczność zrzucenia dziesięciu kilogramów). Miramax umieścił na plakacie oraz we wszystkich zwiastunach zdania Leslie: „Życie wymusza na nas wystarczającą liczbę ostatecznych decyzji. Powinno nam starczyć rozsądku, aby w miarę możliwości unikać tych niepotrzebnych”.

- Bingo! - wykrzyknął Jack.

Ale pani Oastler wróciła już do pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi, co było do niej bardzo niepodobne.

Którejś nocy Leslie przyszła do jego sypialni, kiedy spał, ale wtedy też nie miała zamiaru go uwieść. Skrawki wspomnień, dotyczące zaginionego ojca, często wyrwały ją ze snu o nieprzewidzianych porach. Zbiegało się to z naprzemienną bezsennością i chrapaniem Alice lub incydentami, gdy ta ostatnia waliła pięściami w plecy Leslie, która przez sen odwracała się do niej tyłem, co najwidoczniej było w ich związku nie do pomyślenia.

Żadna z nich nie pamiętała, kiedy owa zasada weszła w życie, ani nawet czy kiedykolwiek jej przestrzegano, co nie powstrzymało Alice przed atakowaniem Leslie, która jednak dziękowała Bogu za to, że Bob nie ryczał przez całą noc. (Z raportów policji wynikało, że mieszkańcy i przechodnie Queen Street mieli mniej szczęścia).

- Kiedy przyjdzie na mnie czas, Jack, zabierzesz mnie tam - poprosiła matka, a on wiedział, że mówi o salonie tatuażu. - Kiedy przyjdzie na mnie czas, będę spała na igłach. Nigdzie indziej, kochanie.

Przy jednej z podobnych okazji pani Oastler wślizgnęła się do łóżka Jacka, przy czym tak raptownie ujęła go za penis (nie zabiegając o bardziej intymne zbliżenie), że początkowo wziął ją za ducha Emmy. (Ostatecznie leżał w jej łóżku).

- Przyszłam porozmawiać, Jack - oświadczyła Leslie. - Nie dbam o to, co pomyśli sobie twoja matka. Muszę ci coś powiedzieć.

- Mów - zachęcił.

Wiedział już, że ojciec opłacał lwią część czesnego za naukę u Świętej Hildy, a pani Wicksteed (używając określenia matki) „dokładała trochę grosza”. A także ubrania, które w jego mniemaniu kupiła pani Oastler do Redding i Exeter, nie wspominając o opłatach za obie szkoły?

- Pieniądze pochodziły od Williama - wyznała Leslie.

- Płacił nawet za college w Durham? - zapytał.

- Nawet za pierwsze lata pobytu w LA - odpowiedziała. - Płacił dopóty, dopóki nie stałeś się sławny, Jack.

- A Córka Alice? To znaczy, salon tatuażu?

- To wszystko pierdolona zasługa Williama.

Jack zyskiwał obraz ojca zgoła odmienny od tego, do którego przywykł. Kiedy ostatnio o nim słyszał, William zarabiał na życie brzdąkaniem na okrętowym pianinie w drodze do Australii, gdzie miała go wytatuować słynna Cindy Ray! Wcale tak nie było. Pani Oastler przypomniała sobie, jakoby Alice mówiła, że William nigdy nie popłynął do Australii. Jacka dodatkowo zdumiała informacja, że kiedy oni wyjechali z Amsterdamu, ojciec tam pozostał.

- Podobno patrzył, jak odjeżdżacie - dodała pani Oastler.

Gdy więc Leslie wsunęła się do jego łóżka i chwyciła go za penis (prawie jak za dawnych czasów, skonstatował w półśnie), Jack spodziewał się kolejnych rewelacji o ojcu.

- Chodzi o tatuaż, o „cię” w „Zanim Cię znajdę” - szepnęła mu do ucha Leslie. - Niekoniecznie miała na myśli Williama.

- Co takiego? - odszepnęła Jack.

- Zastanów się, Jack. Ona wcale go nie szukała. Przecież już go znalazła! William bynajmniej nie zginął ani nic z tych rzeczy.

- Gdzie teraz jest? - spytał Jack.

- Nie mam pojęcia. Alice też nie wie.

- Przestańcie szeptać! - wrzasnęła Alice z sypialni pani Oastler, ale jej głos zabrzmiał tak wyraźnie, jakby znajdowała się tuż obok. - Lepiej rozmawiać głośno niż szeptać!

- O kogo więc mogło chodzić? - wyszeptał Jack.

- Może o miłość jej życia. Kogoś, kto zaleczyłby ranę po twoim ojcu. Oczywiście nigdy tego kogoś nie znalazła. Bo na pewno nie chodzi o mnie! - oznajmiła.

- Lepiej się pieprzyć niż rozmawiać! - wrzasnęła Alice.

- Czyli, twoim zdaniem, to „cię” nie odnosi się do nikogo konkretnego? - zapytał Jack.

- Na miłość boską, Jack. Nie chodzi o mnie i chyba nie o Williama. Tylko to miałam na myśli.

- Chcę do domu! - krzyknęła Alice.

- Chryste, przecież jesteś w domu, Alice! - odkrzyknęła pani Oastler.

Jack leżał z penisem w dłoni pani Oastler i zastanawiał się nad sensem jej słów. (Jakby ktokolwiek mógł uleczyć matczyne serce! Szanse znalezienia tego kogoś równały się praktycznie zeru!).

- Panna Wurtz! - szepnęła Leslie tak nagle, że penis Jacka podskoczył w jej ręku. - Pisał do panny Wurtz! Caroline prowadziła korespondencję z twoim ojcem.

- Panna Wurtz? - powtórzył Jack.

- Sama mi o tym wspomniała - odszepnęła Leslie. - Twoja matka chyba o niczym nie wiedziała.

Coś zasłoniło światło padające przez otwarte drzwi łazienki: postać stanęła w nich tak nagle, jakby to pani McQuat nieoczekiwanie zaszczyciła ich wizytą z zaświatów. A może był to duch pani Machado?! Lecz Jack zobaczył tylko nagą matkę, która też znajdowała się o krok od zaświatów.

- Chcę do domu - powtórzyła szeptem Alice. - Skoro wy szepczecie, ja też będę szeptać - oznajmiła, wślizgując się do łóżka Emmy.

Rzecz dziwna, jej lewa pierś wydawała się bardziej zmięta niż prawa, z której wycięto guz. Tatuaż przybrał wygląd siniaka, a rzeczony „cię” zdawało się równie pozbawione znaczenia jak podpis na zawieszce na palcu u nogi trupa w kostnicy.

Pani Oastler i Jack przytulili Alice z obu stron.

- Proszę, zabierzcie mnie do domu - szepnęła.

- Jesteś w domu - przypomniała Leslie, całując jej szyję, ramiona, twarz. - Masz na myśli Edynburg, Alice?

- Nie, dom - powtórzyła z naciskiem Alice. - Wiesz, o czym mówię, Jack.

- O czym, mamie? - (Doskonale wiedział, chciał jedynie sprawdzić, czy to powie).

- Mówię o igłach, kochanie - odrzekła matka. - Pora mnie do nich zabrać. -Właśnie to miała na myśli, mówiąc o powrocie do domu.

26 • Niedowiarek

Zgodnie z przewidywaniami Maureen Yap, matka Jacka umarła spokojnie we śnie. Przez pięć dni i nocy na przemian spała, budziła się i zasypiała na sofie w swojej pracowni. Leslie i Jack czuwali przy niej na zmianę. Odkryli, że Alice zachowuje się mniej napastliwie, kiedy przebywają osobno, poza tym sofa i tak nie pomieściłaby trzech osób.

Piątej nocy przypadła kolej Leslie. Alice zbudziła się i poprosiła o nastawienie płyty Boba Dylana. Świadoma ostrzeżeń policji pani Oastler ściszyła głośność.

- Czy tak wystarczy, Alice? - zapytała.

Odpowiedź nie padła. Pani Oastler najpierw pomyślała, że Alice ponownie zapadła w sen, dopiero po powrocie do łóżka zrozumiała, że przyjaciółka nie oddycha. (Okazało się, że doszło do krwotoku w mózgu).

Kiedy zadzwonił telefon, Jack leżał w łóżku Bonnie Hamilton. Domyślił się, w czym rzecz, jeszcze zanim Bonnie podniosła słuchawkę.

- Tak, przekażę - usłyszał głos Bonnie, usiłując rozeznaczyć się po ciemku w sypialni. (Nie chciał wpaść w mrok na wózek). - Dobrze, to też mu powiem.

- Alice umarła we śnie. Przestała oddychać - oznajmiła prosto z mostu pani Oastler. - Jack i ja powinniśmy posiedzieć przy niej do rana. Nie chcę, żeby zabierali ją w nocy.

Alice ustaliła z Leslie i Jackiem szczegóły swego pogrzebu. Uczyniła to z nietypową dla siebie precyzją.

- Ma się odbyć w sobotni wieczór. Jeśli zabraknie alkoholu, monopolowe będą jeszcze otwarte.

Jack i pani Oastler przystali na jej życzenie, chociaż perspektywa niedoboru alkoholu na jakiegokolwiek uroczystości w kaplicy u Świętej Hildy wydała im się mało prawdopodobna. Alice nie była absolwentką. Być może zjawi się parę koleżanek Leslie, one jednak raczej stroniły od alkoholu. Poza tym obecność Jacka

Burnsa zdąży stracić nieco na swej atrakcyjności. Z czystej sympatii dla byłego ucznia stawi się może grono nauczycielskie oraz garstka uczennic, również niepijących. Pani Oastler i Jack doszli do wniosku, że w porównaniu z pogrzebem Emmy kaplica będzie świeciła pustkami.

- Niech stypa odbędzie się w sali gimnastycznej, nie w auli - poinstruowała ich Alice. - I niech nikt nic nie mówi: żadnych modlitw, tylko śpiew.

- Pieśni? - spytała Leslie.

- To ma być wieczorne nabożeństwo - oznajmiła Alice, była chórzystka. - Leslie, niech Caroline Wurtz to załatwi. Ty nie masz pojęcia o muzyce kościelnej, a Jack w ogóle nie lubi muzyki.

- Lubię Boba Dylana, mamó.

- Zostawmy Boba na stypę - zaproponowała z niedowierzaniem pani Oastler.

Leslie i Jack nie przeczuwali, co się święci. Wzmianka o alkoholu powinna dać im do myślenia, nie mówiąc o prośbie Alice, aby poinformowali „garstkę” starych przyjaciół.

Jack zadzwonił do Jerry'ego Swallow, Marynarza Jerry'ego z Halifaxu, który swego czasu przeniósł się do New Glasgow w Nowej Szkocji. Telefon odebrała kobieta, być może żona Jerry'ego. Jack poprosił, aby przekazała Jerry'emu informację o śmierci Córki Alice. Ku jego zdumieniu kobieta spytała o datę i miejsce pogrzebu. Jack podał jej szczegóły przez telefon, nie podejrzewając, że Marynarz Jerry nie omieszka się zjawić, i to z całą ekipą.

Nie zadzwonił do Mistrza Olego i Mistrza Petera: obaj nie żyli. Mistrz Theo nie figurował na liście Alice, być może też już nie żył.

Następnie zatelefonował do Doca Foresta, który nadal przebywał w Sztokholmie. Jack pamiętał jego ramiona (jak u marynarza z kreskówki), schludnie przystrzyżone wąsy oraz baki, no i roziskrzony oczy. Przypomniawszy sobie również słowa, które ten rzucił, kiedy Jack

wraz z matką opuszczał Szwecję. „Wróc, jak będziesz starszy. Może wtedy zażyczysz sobie tatuażu”.

Doc wyraził ubolewanie, że odległość uniemożliwia mu przyjazd, ale obiecał, że obdzwoni znajomych. Jack uznał wzmiankę o przyjeździe za przejaw zwykłej kurtuazji. Dock ostatni raz widział Alice na zjeździe w Meadowlands, New Jersey.

- Należała do starej gwardii - powiedział łamiącym się głosem, a może były to tylko trzaski w słuchawce.

Dalej zadzwonił do Hokusa-Pokusa (czyli Heńka Schiffmachera) z „Przybytku Bólu” w Amsterdamie. Schiffmacher napisał kilka książek, w tym „1000 tatuaży”; wiele pochodzących z niej ilustracji znajdowało się w Muzeum Tatuażu w dzielnicy czerwonych latami. Zdaniem Alice, Hokus-Pokus był jednym z najlepszych tatuażystów na świecie. Spotykali się na zjazdach, mieszkała też u niego i jego żony podczas pobytu w Amsterdamie. Henk Schiffmacher nie był w stanie zorganizować sobie tak szybko przyjazdu do Kanady.

- Ale rozpuszczę wici - obiecał. - Jestem pewien, że pozostali dopiszą.

Dopiero później, na dzień przed uroczystością pogrzebową w kaplicy Świętej

Hildy, Leslie poinformowała Jacka, że dzwoniła do trójki innych tatuażystów. Alice dała pani Oastler inną listę, gdzie też znajdowało się „tylko kilka” nazwisk.

- Jakich? - zapytał Jack.

- Jezu, Jack, przecież nie zapamiętałam. Znasz te ich pseudonimy.

- Dzwoniłaś do Eddiego Filadelfii? - spytał Jack. (Owszem, chodziło mu o Szalonego Eddiego Filadelfię). - Albo Mao z Madrytu czy Robali z Londynu...

- Dzwoniłam do trzech - zakomunikowała Leslie. - Samych Amerykanów. Powiedzieli, że „rozpuszczą wici”.

- Może do Małego Vinniego Myersa? - podsunął Jack. Albo do Wujka Pau-ly’ego, pomyślał, lub Czerwonego Pancernika. Nigdy ich nie poznał, znał tylko imiona.

- Cóż, pewnie i tak nie przyjadą - powiedziała pani Oastler, lecz w jej głosie pobrzmiwała lekka niepewność.

- O co chodzi, Leslie?

Pani Oastler przypomniała sobie pytanie, które zadał jej jeden z rozmówców na wieść o śmierci Alice. „A impra gdzie?” - zapytał.

- Powiedział „impra”? - upewnił się Jack.

- Przecież oni bez przerwy imprezują, Jack. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie. Nic innego nie robią!

Oboje mieli przez to niespokojną noc. Około drugiej nad ranem pani Oastler przyszła do łóżka Emmy, lecz nie była zainteresowana trzymaniem Jacka za penis.

- A jeśli oni wszyscy przyjadą? - szepnęła, tak jakby Alice nadal żyła i mogła ich podsłuchać. - Co wtedy?

- Urządzimy imprezę - odparł. Jednakże wizja pani Oastler wydała mu się dalece nieprawdopodobna.

Rankiem, kiedy Leslie parzyła kawę, Jack odebrał w kuchni telefon. Dzwonił Bruce Smuck, miejscowy tatuażysta i bliski przyjaciel Alice: lubiła styl Bruce’a i odgrywała wobec niego rolę swego mentora. Bruce telefonował już wcześniej do Leslie z kondolencjami, natomiast teraz pytał, co może przynieść.

- Och, siebie, Bruce - odparł bezmyślnie Jack. - Miło cię będzie zobaczyć.

- Czy to znowu Bruce Smuck? - spytała pani Oastler, kiedy Jack odłożył słuchawkę.

- Pytał, czy ma coś przynieść - odrzekł Jack, do którego powoli docierał sens owej propozycji.

- Na przykład co? - zapytała Leslie.

Jack zrozumiał, że Bruce miał na myśli alkohol. Bruce był miłym facetem, chciał tylko pomóc. I naturalnie spodziewał się tłumów!

Jack zadzwonił na komórkę do Peeweego i zwiększył zamówienie z jednej skrzynki białego i jednej czerwonego wina do trzech skrzynek białego i pięciu czerwonego. (Z opowieści Alice wynikało, że tatuazowa brać gustuje raczej w tym drugim).

- Niech Peewee zahaczy też o sklep z piwem - powiedziała pani Oastler. - Motocykliści żłopią dużo piwka. Niech lepiej załaduje pieprzoną limuzynę piwem, na wszelki wypadek. - Leslie siedziała przy kuchennym stole, opierając głowę na rękach i wdychając parę z filiżanki z kawą: wyglądała jak były palacz, który marzy o dymku.

Jack nalał sobie kawy, ale telefon zadzwonił, nim zdążył upić pierwszy łyk.

- Oho - mruknęła pani Oastler.

Był sobotni rano, uroczystość pogrzebowa miała się odbyć dopiero o wpół do szóstej, ale Caroline Wurtz dzwoniła z komórki z kaplicy Świętej Hildy, gdzie odbywała próbę z organistką oraz chórem uczennic. Jack słyszał ich lepiej niż samą Caroline.

- Mam problem, Jack. W sutannie - wyszeptała panna Wurtz. Zachowywała się, jakby leżeli razem w łóżku Emmy (jak nieraz wyobrażał sobie Jack), a matka znajdowała się w sąsiednim pokoju.

- Jaki problem? - spytał Jack, odruchowo ścisząc głos.

- Wielebny Parker... nasz pastor, Jack... chce odprawić mszę.

- Mama nie życzyła sobie żadnych modlitw, Caroline.

- Wiem. Już mu to mówiłam.

- Może powinien to usłyszeć ode mnie - zasugerował Jack. Spotkał wielebnego Parkera tylko raz. Był to młody kretyn, który poczuł się urażony wykluczeniem go z pogrzebu Emmy. Pewnie dlatego chciał się teraz wkręcić na pogrzeb Alice.

- Spróbuję z nim ponegocjować, Jack - szepnęła panna Wurtz. Organy w tle brzmiały nieco ciszej, a głosy dziewcząt stały się mniej wyraźne. Wurtz musiała opuścić kaplicę: Jack słyszał pisk jej butów na linoleum.

- Na czym miałyby to polegać? - zapytał.

- Niech zaintonuje psalm dwudziesty trzeci, skoro już koniecznie musi coś zaintonować - powiedziała nieco głośniejszą Caroline.

- Mama powiedziała: żadnych modlitw. Czy psalm to nie to samo co modlitwa?

- Wielebny Parker jest pastorem, Jack.

- No to niech już będzie psalm dwudziesty trzeci - ustąpił Jack.

- Jest jeszcze jeden mały problem - podjęła panna Wurtz. Jack w ogóle nie słyszał już chóru i organów. Caroline musiała przejść przez korytarz aż do głównego wejścia, lecz ponownie miał trudności ze zrozumieniem jej słów. Tym razem jednak zagłuszyło je coś innego. - Jezus Maria! - zabrzmiał okrzyk ponad ogłuszającym rykiem silników. (Jack domyślił się, że to kolejny, nie taki znowu mały problem).

- Co się stało? - zapytał, chociaż z góry znał odpowiedź. Wiedział od matki, że motocykliści zawsze zjawiają się pierwsi, pewnie aby zapewnić sobie dobre miejsca do parkowania.

- Boże, przecież to gang motocyklowy! - krzyknęła Caroline tak głośno, że usłyszała ją pani Oastler. - Co robi gang motocyklowy w szkole dla dziewcząt?

- Zaraz tam będę - oznajmił Jack. - Uczennice pod klucz!

- Twoja matka nas przeklęła, Jack. To dopiero początek - obwieściła złowroźnie Leslie, chowając twarz w dłoniach.

Caroline i Jack ucieli już sobie małą pogawędkę na temat korespondencji z Williamem. Ojciec szczególnie interesował się jego kształceniem artystycznym. „Twoim rozwojem”, jak określiła to panna Wurtz.

- Podczas pobytu u Świętej Hildy? - spytał Jack.

- Owszem, Jack. Kiedy znajdowałeś się w najwcześniejszej fazie edukacji artystycznej.

- Masz na myśli swoje przedstawienia?

- Począwszy od twoich niebywałych sukcesów w rolach żeńskich - poinformowała go panna Wurtz. - Sądziłam, że William się ucieszy na wieść o naszej rozmowie, podczas której ustaliliśmy, że to właśnie on, twój ojciec, stanie się twym jednoosobowym audytorium. Jeśli sobie przypominasz...

- Jak mógłbym zapomnieć? - odparł Jack.

- Ale wcale się nie ucieszył - oświadczyła posępnie Caroline. - Ba, stanowczo zaprotestował.

- Nie chciał być moim jednoosobowym audytorium?

- Nie podobała mu się sama koncepcja, Jack. William miał zastrzeżenia natury estetycznej.

- Dlaczego? - spytał Jack. Zauważył, że nauczycielka dwukrotnie wymówiła imię ojca. Caroline westchnęła.

- No cóż - powiedziała - moim zdaniem, jego teoria dotyczy bardziej organów.

- Dlaczego organów?

- Ojciec nalegał, abys nauczył się grać całym sobą, Jack. A co do twojego audytorium, miało ono, przynajmniej w twoich oczach, składać się ze znękanych, steranych życiem i przygłuchych duszyczek na tyłach kościoła lub poza.

- Poza czym?

- Miał na myśli nawet pijaczków śpiących na ulicach i w alejkach przed kościołem. Dokładnie tak to ujął.

Miał na myśli nawet prostytutki w zasięgu słuchu, pomyślał Jack. Ojcu zapewne chodziło o to, by dotrzeć do więcej niż tylko jednej osoby. (Jeżeli oczywiście był w stanie).

- Chyba rozumiem - powiedział Jack.

- Nie nazwałabym tego korespondencją, Jack. Wymieniliśmy co najwyżej dwa, może trzy listy. Nie chcę, abys nabrał błędnego mniemania, że nadal utrzymujemy kontakt.

- Ale przecież uczył w szkole, może krótko, ale razem z tobą - przypomniał jej Jack. - Znałaś go, prawda?

Siedzieli w kawiarni na rogu Lonsdale i Spadina. Był weekend zaraz po śmierci Alice. Po raz pierwszy widział Caroline w niebieskich džinsach i flanelowej męskiej koszuli. Chyba nie miała na sobie stanika. Tak czy inaczej była zachwycająca jak na pięćdziesięciolatkę, wręcz promieniała. Wysokie kości policzkowe, idealny zarys szczęki, brzoskwiniowa karnacja: panna Wurtz była wprost olśniewająca. Znowu westchnęła i przeczesała palcami falujące włosy, całkowicie posiwiałe, lecz nadal lśniące.

- Tak, Jack. Skoro już musisz wiedzieć, znałam go - oznajmiła. I spoglądając w głąb filizanki, dodała cicho: - William podarował mi kilka moich ulubionych ubrań. Miał oko do damskiej odzieży. Według dzisiejszych standardów, są pewnie trochę staromodne, ale nadal je lubię.

Rzeczywiście, ubrania nie umknęły bystrej uwagi Emmy. Widząc, że Jack zaniemówił, Caroline wyciągnęła rękę ponad blatem niewielkiego stolika i dotknęła jego twarzy.

- Był nie tylko moim kochankiem... był moim jedynym kochankiem - powiedziała. - Cóż, to nie trwało długo - dorzuciła niemal wesoło. - Interesowało się nim zbyt wiele kobiet... kobiet i dziewcząt - uzupełniła ze śmiechem.

Jack zdziwił się na myśl, że owa refleksja bardziej ją bawiła, aniżeli sprawiała przykrość. Być może upływ czasu wyleczył rany.

- Twój ojciec był bardziej przywiązany do muzyki niż do płci przeciwnej, Jack

- podjęła Caroline. - Gdybyś słyszał, jak gra - szepnęła, ujmując dłoń Jacka w swoje ręce. - Dość rzec, że muzyka pochłaniała go dużo bardziej niż my!

Nic dziwnego, że Jack przebierał ją w marzeniach w katalogową bieliznę! Któż oparłby się pokusie kupowania jej ubrań? Ojciec się nie oparł!

Jack z nadspodziewanym trudem przełknął kawę.

- Czy mama wiedziała? - zapytał.

- Znała jego słabość do mojego sposobu wystawiania się. I nic poza tym - odrzekła panna Wurtz. - William musiał jej coś wspomnieć o moim głosie i o mojej dykcji. Zwykł z podziwem podkreślać, że mówię bez śladu akcentu.

- Czyli to mama wpadła na pomysł, abyś udzielała jej lekcji? - spytał Jack. - Wydawało mi się, że to pani Wicksteed nie lubiła szkockiego akcentu.

- Ależ skąd! - odparła ze śmiechem Caroline. - Pani Wicksteed reprezentowała starą szkołę: uwielbiała szkocki akcent!

- Musiałaś przecież wiedzieć o dziewczynach... mam na myśli uczennice, Caroline.

- Ach, a któż nie wiedział o tych niemądrych podlotkach! - zawołała panna Wurtz. - Znasz uczennice, Jack. Staną na głowie, żeby zająć w ciążę.

- Ale zostawił cię, prawda? - spytał Jack. - A mimo to go nie nienawidzisz.

- Nigdy nie oczekiwałam, że przy mnie zostanie, Jack. Naturalnie że go nie nienawidzę! William należał do przyjemności, które powinny przypaść w udziale każdej kobiecie chociaż raz w życiu. Nie uwłaczając Alice, Jack, trzeba być zaślepionym, wierząc, że można utrzymać przy sobie takiego mężczyznę. Zwłaszcza w tamtym okresie. Był taki młody!

Jack popatrzył na Caroline Wurtz z poczuciem straty wypisanym na twarzy. Musiał mieć identyczną minę, kiedy matka powiedziała do niego: „Kto wie, jakim byłby ojcem, Jack. Z takim mężczyzną - dorzuciła z niesmakiem - nigdy nic nie wiadomo”. Ale panna Wurtz wypowiedziała te słowa niemalże z czułością!

- Gdybyś ty była moją matką - powiedział - miałbym ojca. A przynajmniej czasem bym go widywał.

- Od lat nie otrzymałam od niego żadnej wiadomości - odrzekła panna Wurtz. - Co wcale nie znaczy, że nie możesz go odszukać.

- Może umarł, Caroline. Mama umarła.

Panna Wurtz nachyliła się nad stołem i złapała Jacka za lewe ucho. Poczł się jak wówczas, kiedy pani McQuat prowadziła go w trzeciej klasie za karę do kaplicy.

- Ty niedowiarku! - zawołała. - Gdyby William umarł, moje serce przestałoby bić! W dniu jego śmierci moje piersi skurczą się do rozmiaru rodzynek albo zamienię się w linoleum!

W linoleum, zdumiał się w duchu Jack. (Biedaczka zbyt długo przebywała u Świętej Hildy). Ucho zapiekło go boleśnie. Naraz panna Wurtz cofnęła rękę i zachichotała jak nastolatka.

- Boże, sama gadam jak głupia uczennica! - wykrzyknęła. - Niedowiarku - powtórzyła, tym razem łagodnie. - Do dzieła!

- Podaj mi kontekst, ptysiu - mawiała Emma. - Wszystko ma kontekst.

Tamtej marcowej soboty - był rok 1998, a marzec w Toronto nie stwarza wymarzonych warunków do jazdy motocyklem - Jack podszedł do okrągłego podjazdu na rogu Pickthall i Hutchings Hill Road, gdzie stanął niegdyś, trzymając matkę za rękę w morzu dziewcząt.

Motocykle (z wyłączonymi silnikami) ustawiono w rzędzie dalekim od żołnierskiej precyzji. Dzień był pochmurny, panował ziąb: krople pokrywały baki jednoślądów, lśniące w opadającej mgle. Siąpił kapuśniaczek. Z uwagi na pogodę Jack nie zadał sobie trudu, aby policzyć motocykle, ale było ich około trzydziestu, a tablice rejestracyjne dobitnie świadczyły o tym, jaki szmat drogi musieli pokonać ich właściciele.

Dan Północna Dakota przyjechał aż z Bismarcku; w Minneapolis dołączył do niego Pierre Szczęściarz z salonu „Bliźniacze Miasta”, po czym ruszyli razem do Madison w stanie Wisconsin, gdzie czekał Badger Schultz i jego żona, Kurze Skrzydełko. W chicagowskim salonie „Wietrzne Miasto” oczekiwali ich bracia Fronhofer. Następnie wszyscy ruszyli do Michigan. W Kalamazoo i Battle Creek natrafili na śnieżycę, ale i tak zdążyli na imprezę w East Lansing, u Flippera Volkmana z salonu „Spartan”. Rankiem pojechali z Flipperem do Ann Arbor, gdzie dołączył do nich Wolverine Wally. Na granicy napotkali pewne (oczywiste)

trudności, lecz w Windsorze ruszyli trasą 401 i przejechali w deszczu do Kitchener i Guelph, gdzie spotkali parę tatuażystów z Ontario, o których Jack nigdy nie słyszał. (Nadal nie pamiętał ich imion).

W stronę Toronto zmierzała również ekipa z Louisville w stanie Kentucky oraz z trzech miast w Ohio. Joe Inkaust z salonu „Tygrysia Skóra” w Cincinnati i siostry Skretkowicz z Columbus, w tym była żona Flattop Toma, który dołączył do nich w Cleveland.

W kontyngent z Pensylwanii, zbyt liczny, aby wymienić wszystkich uczestników, wchodził notabie z Pittsburgha, Harrisburga, Allentown i Scranton, a Mike Nocna Zmiana z salonu „Przyjaciel Marynarzy” przyjechał aż z Norfolku w stanie Wirginia. Na podjeździe Świętej Hildy stały motocykle z tablicami z Marylandu, Massachusetts, stanów Nowy Jork oraz New Jersey.

Sądząc na podstawie głosów, które dudniły w kaplicy, zagłuszając organy i chór, Jack zrozumiał, że panna Wurtz nie próżnowała. Zapędziła motocyklistów do środka i kazała im się rozgościć. Obiecała, że wkrótce dostaną gorącą kawę, co było nie do końca zgodne z prawdą.

- Ilu z was zna „Boże, chroń królową”? - zapytała. Po czym widząc ich zbaraniałem miny, dodała: - Cóż, tak myślałam! Mała próba nie zaszkodzi.

Zanim Jack dotarł do kaplicy, wszyscy śpiewali w najlepsze. Większość tatuażystów wprawdzie nie miała pojęcia, którą królową należało chronić, przyjechali dla Córki Alice, a dźwięk własnych głosów zdawał się ich rozgrzewać. Stali, kapiąc wodą z przemoczonych kurtek, a woń szosy, oleju i spalin mieszała się z zapachem ich znoszonych ubrań, bród czesanych wiatrem i przyklapniętych od kasków włosów. Chór przejętych uczennic spoglądał na nich z bezpiecznego zakamarka przy ołtarzu. Na tle barytonów motocyklistów głosy dziewcząt brzmiały niemal dziecinnie.

Organistka, ładna młoda kobieta, przyjęta do Świętej Hildy równie niedawno jak tępawy pastor, myliła się raz za razem: nawet Jack widział, że jej zdenerwowanie przybiera na sile z każdym popełnionym błędem.

- Uspokój się, Eleanor - powiedziała panna Wurtz - bo inaczej będę zmuszona cię zastąpić, chociaż od lat nie grałam na organach.

Podczas krótkiej przerwy na oddech Jack przedstawił się przyjacielom matki.

- Przystojny Jack Burns - usłyszał pełne aprobaty słowa Mike'a Nocnej Zmiany.

- Synek Córki Alice - dodała jedna z sióstr Skretkowicz.

- Ja jestem druga Skretkowicz - powiedziała siostra. - Ta, która nie wyszła za Flattop Toma ani za nikogo innego - szepnęła, przygryzając Jackowi ucho.

- Mama była z ciebie strasznie dumna - oznajmił Badger Schultz. Jego żona, Kurze Skrzydelko, mimo wczesnej pory tonęła we łzach. Od ceremonii pogrzebowej dzieliło ich jeszcze parę godzin.

Caroline klasnęła w dłonie.

- Wznawiamy próbę. Ćwiczymy, aż zawołam „stop”! - krzyknęła od ołtarza.

Eleanor, organistka, wyglądała na prawie opanowaną.

- Nie wiedziałam, że potrafisz grać na organach, Caroline - powiedziała nieco głośniejszym głosem, niż zamierzała, ponieważ Jack i motocykliści umilkli jak zakłęci.

Zerkając na Jacka, panna Wurtz oblała się pąsem.

- Cóż, udzielono mi kilku pamiętnych lekcji - wyjaśniła krótko.

*Boże, chroń naszą miłościwą królową!
Niech długo żyje nasza dostojna królowa!
Boże, chroń królową!
Obdarz ją zwycięstwem,
Szczęściem i chwałą,*

*Długim panowaniem,
Boże, chroń królową.*

Pod przewodnictwem panny Wurtz śpiewali i śpiewali. Czyste, dziewczęce głosiki uczennic ginęły na tle piwnej werwy motocyklistów, którzy rozgrzani śpiewem zrzucili skórzane kurtki. Pod względem kolorystyki ich tatuaże nie ustępowały Jezusowi ani świętym z witraży.

Jack dyskretnie opuścił kaplicę. Wiedział, że panna Wurtz potrafi udramatyzować wszystko: do wieczora obydwie chóry będą miały repertuar w małym palcu. Kiedy wychodził, motocykliści słuchali nabożnie uczennic, które śpiewały „Pana tańca”.

*Tańczyłem o świecie, kiedy budził się świat,
do słońca promieni, przy księżycu, pośród gwiazd,
Potem zszedłem na Ziemię, kiedy nastał czas.
I Betlejem wybrałem pośród setek miast*.*

Na podejździe zobaczył dwóch kolejnych motocyklistów, którzy właśnie parkowali swoje pojazdy. Gładki Eddie Esposito z „Błękitnego Buldoga” w New Haven w stanie Connecticut oraz Zły Bill Letters z „Czarnego Niedźwiedzia” w Brunswicku w stanie Maine. Ich zmięte skóry ociekały deszczem i wyglądali na skostniałych z zimna, lecz rozpoznawszy Jacka, uśmiechnęli się przyjaźnie. On uściśnął ich lodowate dłonie.

Miał na sobie narzucone w pośpiechu stare ubranie oraz o wiele za obszerną, nieprzemakalną kurtkę Emmy.

- Lecę do domu się przebrać - oznajmił nowo przybyłym, którzy byli pod ewidentnym wrażeniem głosów dochodzących z kaplicy. - Pozostali są w środku. Ćwiczą.

- Co ćwiczą? - spytał Zły Bill.

Musiał to być trzeci lub czwarty refren „Pana tańca”; panna Wurtz postanowiła włączyć doń motocyklistów. Potężne głosy mężczyzn dały się słyszeć poza murami kaplicy.

*Tańcz, tańcz, gdziekolwiek byś był,
Ja Panem tańca jestem, panem twym
, więc tańcz, tańcz, gdziekolwiek znajdziesz się,
a twój taniec do mnie zaprowadzi cię.*

- Dalej, Bill. Idziemy śpiewać - rzucił Gładki Eddie.

- Wrócisz jako dziewczyna? - zapytał Zły Bill.

- Nie dzisiaj - poinformował go Jack.

Kiedy wchodzili do budynku, Jack usłyszał, jak Gładki Eddie mówi do Billa:

- Dupa z ciebie, Bill.

- Jasne, żem dupa! - odparł Zły Bill.

Jack wrócił do domu pani Oastler i napuścił sobie gorącej wody do wanny. Leslie weszła do łazienki w swojej wyciętej czarnej bieliźnie, po czym, opuściwszy klapę sedesu, usiadła.

- Ilu ich tam jest? - spytała, nie patrząc na Jacka.

- Około trzydziestu motocykli, w sumie jakieś czterdzieści osób.

- Większość znajomych twojej matki nie jeździ na motocyklach, Jack. Motocykliści to czubek góry lodowej.

- Wiem - odparł Jack. - Lepiej zadzwońmy do Peeweego.

* Wszystkie fragmenty w przekładzie T. Zygmonta.

- Lepiej zadzwońmy na policję - uściśliła pani Oastler. - Przecież oni nie mogą wszyscy spać w szkole, nawet w sali gimnastycznej.

- Niektórzy mogliby przenocować tutaj - podsunął.

- Twoja matka dobrze to sobie zaplanowała, Jack. Może gdybyśmy poszli ze sobą do łóżka, oszczędziłaby nam tej hańby.

- Czyja wiem? - odpowiedział Jack. - Odnoszę wrażenie, że nie zdołałaby ich powstrzymać.

Po południu zadzwonił Peewee.

- Powiniennem jeździć ciężarówką, a nie limuzyną, stary. W wozie nie ma miejsca na więcej butelek, Jack.

- No to obróć dwa razy - podpowiedział Jack.

- Jadę już trzeci raz, stary! Jeśli ty i pani Oastler nie raczycie się zjawić w kaplicy, zostaną wam tylko miejsca stojące! - Peewee był urodzonym panikarzem. Jack wiedział, że panna Wurtz panuje nad sytuacją: wierzył, że zajmie im miejsca.

Ba, zrobiła znacznie więcej. Na straży ławki postawiła Cuchnącą Małpę. Był tam również Zły do Szpiku Kości oraz Siostra Niedźwiedź i Smoczy Księżyc. Byli tam dosłownie wszyscy: ci, których Jack się spodziewał, oraz wielu innych.

Przyjechała nawet ekipa z Włoch. Luca Brusa (ze Szwajcarii) oznajmił Jackowi, że nie mógłby przepuścić takiej okazji. Niebo i Piekło przyjechał z Niemiec, Manu i Tin-Tin z Francji. Byli tam również Buce z Las Vegas oraz Fioletowa Pantera z Hollywood.

Zajęli ławki, nawy, a nawet korytarz w połowie drogi do sali gimnastycznej. W dwóch pierwszych ławkach z boku tłoczyła się trwożliwie grupka absolwentek, przestraszonych koleżanek pani Oastler, nad którymi czuwali Ed Hardy, Bill Funk oraz Zardzewiały Dzikus. Wszyscy trzej chronili kobiety (które trzymały się za ręce jak za dawnych czasów) przed zakusami swoich kolegów po fachu.

Panna Wurtz ustawiła chóry po obu stronach ołtarza, gdzie tkwiły na wprost nieco oszołomionej kongregacji. Tatuażysty, którzy nie przybyli za wcześnie, przyjęli „Boże, chroń królową” z niekłamanym zdumieniem.

- Jaką znowu królową? - zapytał Jacka barczysty mężczyzna w jaskrawożółtym sportowym skafandrze. Miał na głowie tyle żelu, że włosy stały mu na czubku jak płetwa rekina. Jack rozpoznał kurtkę i włosy z czasopism branżowych: nie ulegało wątpliwości, że ma przed sobą Szalonego Eddiego Filadelfię.

Wielebny Parker dotarł z opóźnieniem i zdenerwowany poskarżył się na brak miejsca do parkowania. Dopiero po chwili omiół zebranych uważniejszym spojrzeniem i zobaczył spłowiałe podkoszulki, wytatuowane ramiona i rozchelstane koszule hawajskie, ukazujące klatki piersiowe, również wytatuowane. Prawdziwe węże i mitologiczne stwory odpowiedziały mu chłodnym wzrokiem. Wielebny Parker i Eden razem wzięci nigdy nie widzieli więcej. Na niejednym ciele widniało krwawiące serce Chrystusa w koronie z cierni, pozbawione zwykłej anglikańskiej powściągliwości. Wśród tatuaży znajdowały się też liczne szkielety: niektóre ziały ogniem, inne bluzgały obscenicznym słowem.

Wobec takiej liczby wytatuowanych ciał panna Wurtz przeszła samą siebie „Panem tańca”. Uczennice (określane przez Leslie mianem „niezupełnie dziewic”) odśpiewały zwrotki, a motocykliści dołączali do nich podczas refrenu. Nieszczęsna blondynka, która na pogrzebie Emmy zgubiła but, zaśpiewała solo czwartą zwrotkę. Pomimo wspólnych prób jej występ wycisnął z oczu motocyklistów prawdziwe łzy.

*Tańczyłem w ten piątek, kiedy mrok okrył świat,
lecz ciężko tańczyć, gdy na plecach siedzi czart.
Pogrzebali me ciało, chcieli pozbyć się mnie,
ale ja jestem tańcem, co nie kończy się.*

Kiedy nadeszła pora na psalm dwudziesty trzeci, w kaplicy zrobiło się ciepłej i kilku szczególnie wytatuowanych osobników zdjęło koszule. Nie wszyscy należeli do grona przyjaciół Alice, na pogrzeb przyszli również jej klienci. W niejednym dziele Jack rozpoznał matczyną rękę.

Zauważył też, że pani Oastler płacze. Rozdygotana przytuliła się do jego boku. Tym sposobem znajomi Alice odgadli, kim jest. „Mam w Toronto dziewczynę” - usłyszał od Alice niejeden z nich. (Pełna kwestia brzmiała: „Nie, dzięki. Nie dzisiaj. Mam w Toronto dziewczynę”).

- „Pan jest pasterzem moim, niczego mi nie braknie” - zaczął nerwowo wielebny Parker. Kiedy doszedł do słów: - „Choćbym nawet szedł ciemną doliną, psa się nie ulękne..- był już kompletnie rozkojarzony.

- „Zła”, a nie „psa” - poprawiła go panna Wurtz.

- „Zła się nie ulękne - podjął - boś Ty ze mną, laska Twoja i kij Twój mnie pocieszają”.

- Twoja co? - rozległ się kobiecy głos. (Jack dałby głowę, że była to jedna z sióstr Skretkowicz).

Pytanie wzbudziło powszechną wesołość; jedna z koleżanek pani Oastler skręcała się ze śmiechu.

Leslie nie wytrzymała.

- Żadnych modlitw, żadnego gadania! - wrzasnęła do pastora. - Alice życzyła sobie tylko śpiewu!

- „Zastawiasz przede mną stół wobec nieprzyjaciół moich” - wymamrotał nieustępliwie wielebny, po czym urwał. Zrozumiał, że otaczają go sami nieprzyjaciele.

- Tylko śpiewu, stary - upomniał go Zły Bill Letters.

- Właśnie, śpiewaj albo morda w kubeł - poparł Billa jeden z braci Fronhofer.

- Śpiewaj albo morda w kubeł! - powtórzył Flattop Tom.

- Śpiewaj albo morda w kubeł! - wrzasnęli wszyscy wierni.

Eleanor, organistka, zastygła bez ruchu. Caroline usiadła przy instrumencie obok niej.

- Jeśli zapomniałaś, jak grać „Jeruzalem”, Eleanor - powiedziała - dobry Bóg może ci wybaczyć, aleja nie.

Eleanor walecznie rzuciła się naprzód i zaatakowała klawiaturę. Podkład zabrzmiał nieco głośniej, niż powinien, ale obydwie chóry dały z siebie wszystko.

*Czy po zielonych górach Anglii
Szły Jego stopy w dawny czas?
Czy są w tym kraju łąki błogie,
Gdzie się Baranek Boży pasł?**

Kiedy podążali nawą, Szalony Eddie Filadelfia chwycił panią Oastler w objęcia. Pod wpływem gwałtownego wzruszenia nie zaprotestowała. Wszyscy przyjaciele Alice słyszeli o Leslie i chcieli ją uściskać. „To dziewczyna Alice” - szeptali.

- Skąd oni mnie znają? - zapytała Jacka pani Oastler.

- Mama musiała im o tobie opowiadać - odrzekł.

- Naprawdę? - spytała z twarzą zalaną łzami. Wszyscy płakali: tatuażyci, klienci i przyjaciele Córki Alice. (Leslie dopiero teraz odkrywała, że tatuażyci to bardzo sentymentalna brać).

* Wszystkie fragmenty w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Idąc korytarzem w kierunku sali gimnastycznej, usłyszeli, jak chóry z całą mocą odśpiewują czwartą zwrotkę. Nawet Eleanor, przy niewielkiej zachęcie ze strony panny Wurtz, dotrzymywała im kroku.

*Póty nie spocznie Miecz w mej dłoni,
Póty trwać będzie Bitwa Dusz,
Póki Jeruzalem nie stanie
Pośród zielonych Anglii wzgórz.*

W sali gimnastycznej czekał na nich kubeł lodu wielkości balii, wypełniony schłodzonym piwem, strzelały korki od wina. Stoły piknikowe uginały się pod ciężarem pieczonej wołowiny oraz półmisków z kielbaskami. Tym razem nie było mowy o tradycyjnych koreczkach serowych.

- Kto zamówił to jedzenie? - zapytał Jack.

- Ja, Jack - odpowiedziała Leslie. - Peewee musiał wykonać kilka dodatkowych rundek.

Pomiędzy Wolverine'em Wally i Flipperem Volkmanem rozgorzała zażarta dyskusja. „Sprawa z Michigan” - rzucił dyplomatycznie Badger Schultz, rozdzielając obydwu panów. Żona Badgera, Kurze Skrzydełko, ujęła panią Oastler pod rękę. Joe Inkaust z „Tygryziej Skóry” w Cincinnati położył rękę na ramieniu Leslie: tatuaż na wierzchu dłoni przedstawiał asa pik, przykrywającego asa serce.

- Jak kiedyś przyjedziesz do Norfolku - perorował Mike Nocna Zmiana - zobaczysz rzeczy, o jakich ci się nie śniło!

- Oni ją uwielbiali! - rzuciła bez tchu Leslie pod adresem Jacka. - Zaprosz ich, Jack - dodała. (Gładki Eddie Esposito pokazywał jej Zgubę Mężczyzny na swoim brzuchu, dzieło Córkę Alice).

- Mam zaprosić wszystkich? - spytał Jack. - Mają nocować u nas?

- Naturalnie że tak! - zawołała Leslie. - A gdzie by indziej?

Może oprócz sióstr Skretkowicz, pomyślał Jack. A przynajmniej ograniczmy się do jednej. Na przykład tej, która nie wyszła za Flattop Toma. Zrozumiał jednak, że nad tłumem tych biesiadników nie sposób zapanować: według terminologii pokolenia Alice, należało popłynąć z prądem.

Panna Wurtz promieniała, wychwalając pod niebiosa chór motocyklistów. Jak zwykle niepijący, Jack strzegł uczennic niczym pies pasterski. Wszyscy goście jednak zachowywali się nienagannie i „sprawa z Michigan” nie zaowocowała bójką.

Nawet dawne koleżanki pani Oastler bawiły się wyśmienicie. Absolwentki od dawna nie widziały takich połąci obnażonej skóry, jeśli w ogóle. Sala gimnastyczna drżała w posadach, a z głośników płynęło niezmordowane zawołanie Boba Dylana.

Jako że z opisów matki wynikało, iż Jerry Swallow jest tradycjonalistą, Jack bez trudu powinien był go rozpoznać. Z jednego z bicepsów mężczyzny uśmiechała się piękność w pielęgniarskim czepku: trudno o większy przejaw tradycjonalizmu. Na koszulce Marynarza Jerry'ego widniał napis po japońsku, podobnie jak na jego prawym przedramieniu. „Kazuo Oguri” - oświadczył z dumą. Jerry Swallow przebył całą drogę z New Glasgow w Nowej Szkocji, nie wspominając o wykonanych przezeń ponad stu telefonach.

- Stara wiara trzyma się razem, Jackie.

Jack podziękował mu, że przejechał tak długą drogę.

- Życie to długa droga, młody panie Burns - odparł Marynarz Jerry. - Nowa Szkocja wcale nie leży tak daleko.

Później tego samego wieczoru, kiedy Jack myślał, że już się przywitał ze wszystkimi (chór „niezupełnie dziewic” nie odstępował go na krok niczym straż przyboczna), na drugim końcu sali gimnastycznej rozpoznał znajomą sylwetkę. Z odtwarzacza płynęły takty „Rainy

Day Woman # 12 & 35". Jack ruszył w kierunku nieśmiałej i pijanej w sztok postaci, rozkołysanej w rytm muzyki pod siatką do koszykówki. Rozmarzona mina, siwy zarost (zupełnie jakby mimo ukończonych pięćdziesięciu lat jego broda jeszcze nie zaczęła rosnać) oraz swoista niechęć do samego siebie, wyczierająca z wiecznie opuszczonych oczu, przypomniały Jackowi osobę pełną niewiary we własne siły. (Kiedy terminował u Mistrza Theo i teraz, mimo upływu wielu lat).

- Tylko nie kolejne złamane serce - powiedziała na pożegnanie Alice do Robbiego de Wita. - Mam dość złamanych serc, przedartych na pół czy Bóg wie jak jeszcze.

Tak więc Robbie zdecydował się na podpis Alice, lekko spłowiałą „Córkę Alice”, którą obnażył na widok nadchodzącego Jacka.

- Nadal słuchasz der Zimmermana, Jackie? - zapytał Robbie.

W sali dudniły słowa refrenu.

*O rany, jak mi źle,
Mogliby wszyscy nawalić się.*

- Nadal słucham den Zimmermana, Robbie.

- Ci goście to tak naprawdę nie moja liga - wyznał Jackowi Robbie de Wit, wskazując niepewnie na resztę zgromadzonych. - W Amsterdamie nie dopisało mi szczęście.

- Przykro mi to słyszeć - odpowiedział Jack.

- Mieszkam teraz w Rotterdamie. Mam własny salon, ale wciąż jestem czeladnikiem, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Nieźle mi idzie - dodał, kołysząc na boki głową. Jacka zmyliły początkowo jego zakola oraz jajowate czoło i głębokie zmarszczki w kącikach wodnistych oczu.

- Co się stało w Amsterdamie, Robbie? Co się stało z mamą? Co skłoniło ją do wyjazdu?

- Ach, Jackie. Tylko tam nie jedź. Nie wywołuj lisa z szałasu. - (Robbie miał na myśli przysłowie „Nie wywołuj wilka z lasu”, ale Jack i tak go zrozumiał).

- Pamiętam noc, kiedy była prostytutką. Przynajmniej tak się zachowywała - powiedział Jack. - Opiekowały się mną Saskia i Els. Chyba przyniosłeś mamie skręta.

- Nie rób tego, Jackie - poprosił Robbie. - Daj spokój.

- Ojciec nie wyjechał do Australii, prawda? - drażył Jack. - Przez cały czas był w Amsterdamie?

- Twój ojciec miał świtę, Jackie. Alice nie mogła się powstrzymać.

- Przed czym?

Robbie stracił równowagę i mało nie upadł. Podał Jackowi wytatuowane ramię, jakby prowokował go do kuksańca w matczynej tatuaż.

- Nie wydam jej, Jack - powiedział. - Nawet mnie o to nie proś.

- Przepraszam, Robbie. - Jack zawstydzził się własną napastliwością.

Robbie oparł mu rękę na karku, po czym schyliwszy chwiejnie głowę, oparł jajowate czoło o czubek nosa Jacka.

- Mama cię kochała, Jackie. Nikogo jednak nie kochała bardziej niż Williama. Nawet ciebie.

Wszystkie absolwentki z wyjątkiem Leslie Oastler rozeszły się do domów. Niezameżne, a zwłaszcza rozwiedzione (i bardzo z tego dumne) uprowadziły ze sobą paru gości. Pan Ramsey, który pożegnał się z Jackiem w swój zwykły sposób („Jacku Burns!”), też wziął ze sobą tatuażystę. (Mike’a Nocną Zmianę z „Przyjaciela Marynarza” z Norfolku w stanie Wirginia. Mike zaiste był przyjacielem marynarzy!).

Nawet panna Wong, która wreszcie nawiązała kontakt z drzemiącym w niej huraganem, wirowała na parkiecie w towarzystwie obu braci Fronhofer w rytm „Stuck Inside of Mobile with the Memphis Blues again”. (Poszła do domu z przystojniejszym z nich).

Co ciekawe, państwo Malcolm też zabawili do późna. Pani Malcolm była pod ewidentnym wrażeniem Marvina „Delta Mekongu” Jonesa z Tuscaloosa w stanie Alabama. Marvin stracił obie nogi i kawałek nosa w wojnie w Wietnamie; zaparkował wózek obok wózka pani Malcolm i bawił oboje przezabawnymi, acz apokryficznymi anegdotami o próbach uprawiania seksu, kiedy człowiek jest przykuty do wózka i została mu jedynie połowa nosa. („Nie wszyscy są skorzy do współczucia” - rozpoczynała się opowieść. Szalona Jane była w siódmym niebie).

Panna Wurtz, która poszła do domu o przyzwoitej porze (i oczywiście sama), powaliła wszystkich na kolana swoimi wersjami „Pragnę tylko” i „Dziś wieczorem jestem twój”. Flattop Tom oznajmił, że w Clevelandzie ze świecą by szukać drugiej takiej kobiety, a Dan Północna Dakota stwierdził, że w Bismarcku też. (Jack zastanawiał się, jakim cudem Edmonton doznało podobnej łaski).

Na tę noc posiadłość Oastlerów stała się motelem. Motocykle obsiadły trawnik niczym wartownicy, a część czaiła się tuż przy domu na podobieństwo intruzów próbujących zajrzeć przez okno.

Pierre Szczęściarz odpłynął na sofie w salonie, gdzie przykryto go tyłoma skórzanymi kurtkami, że rankiem nikt nie mógł dociec, gdzie jest. To znaczy, dopóki Joe Inkaust na nim nie usiadł.

Flipper Volkmann i Wolverine Wally ponownie wymagali mediacji: raz jeszcze poszło o sprawę z Michigan. Flipper dostał do dyspozycji dawną sypialnię Jacka, Wolverine zaś był zmuszony nocować w kuchni, gdzie pilnował go jeden z braci Fronhofer (ten, który nie poszedł do domu z panną Wong oraz drzemającym w niej huraganem).

Zły Bill Letters i Gładki Eddie Esposito legli grzecznie na stole w jadalni. Ich rozmowę na temat Mike’a Nocnej Zmiany słychać było w całym domu.

- Trzeba mieć oczy na dupie, Bill, aby się nie domyślić, że to pedał - oznajmił Gładki Eddie.

- Gdybyś miał oczy na dupie, Eddie, pierwszy byś się domyślił - odparował Zły Bill.

- Sam jesteś dupa, Bill - odparował Gładki Eddie.

- Oczywiście że jestem dupa! - przyznał Zły Bill. - Powiedz mi coś, o czym bym nie wiedział. - Ale Gładki Eddie już chrapał. - Słodkich snów, dupy! - wrzasnął Zły Bill pod adresem pozostałych.

- Słodkich snów, dupy! - odrzyknęli Badger Schultz i jego żona Kurze Skrzydełko z pralni, gdzie spali na podłodze na starej kołdrze z łątek.

- Fajne przyjęcie, co? - szepnął Jack do siostry Skretkowicz, z którą leżał w łóżku Emmy.

- Tak, twoja mama byłaby zadowolona! - odrzekła pani Skretkowicz. Niestety, była to ta z sióstr, która wyszła za Flattop Toma. Miała na tyłku wytatuowaną fantastyczną ośmiornicę, pokrywającą obydwie pośladki. - Dzieło Flattop Toma - wyznała nie bez melancholii. - Nie żebym coś miała do ośmiornicy.

Leslie znajdowała się w swojej sypialni w towarzystwie drugiej siostry Skretkowicz. „Była naprawdę słodka” - powiedziała później Jackowi pani Oastler. Nie zdziwiła się na wieść o tym, że druga siostra Skretkowicz nigdy nie była żoną Flattop Toma ani nikogo innego. (Ugryzienie Jacka w ucho miało na celu zmylenie przeciwnika).

Jack długo nie mógł zasnąć, nie tylko z powodu troskliwych zabiegów dawnej pani Flattop Tom. Emma mawiała, że jego bezsenność jest naturalną konsekwencją losu abstynenta w świecie alkoholików. (Jack szczerze w to wątpił). Trzeba przyznać, że sztuczki heteroseksualnej siostry Skretkowicz z ośmiornicą na tyłku niejednego skutecznie zniechęciłyby do snu, ale Jack miał na głowie inne sprawy niż tylko fascynującą ośmiornicę.

Raz jeszcze pożałował swego zachowania wobec Robbiego de Wita, który z miłości do Alice przyjechał aż z Rotterdamu. Co zrozumiałe, Robbie nigdy by jej „nie wydał”. Jeśli Jack

pragnął dowiedzieć się rzeczy, które przed nim ukrywała, musiał sam odrobić zadanie domowe.

Musiał odbyć podróż, o której wspominał podczas sprzeczek z matką. Nie żeby znaleźć Williama, do czego namawiała go panna Wurtz, a przynajmniej jeszcze nie. Najpierw czekała go podróż, którą odbył wraz z matką w wieku czterech lat.

Podobno jako trzylatek posiadał pamięć następstwa zdarzeń jak u dziecka dziesięcioletniego. W wieku lat czterech jego zdolność zapamiętywania szczegółów i pojmowanie linearności czasu równały się umiejętnościom dziecka jedenastoletniego. Tak mu mówiono. Ale co, jeśli to nieprawda? Jeśli był po prostu zwyczajnym chłopcem? Czterolatkiem, którego pamięcią jest równie łatwo manipulować jak pamięcią każdego innego czterolatka, na którego zdolności zapamiętywania szczegółów i pojmowaniu linearności czasu nie można polegać?

Dlatego właśnie nie mógł zasnąć. Nagle zrozumiał, jakąż głupotą było wierzyć, że tak dokładnie zapamiętał podróż portami Morza Bałtyckiego i Północnego sprzed blisko trzydziestu lat! Musiał odbyć ją raz jeszcze, sam, a już na pewno bez Leslie Oastler. Była to nie tylko podróż, którą miał już za sobą: jej szczegóły były najprawdopodobniej wysrane z palca, utrwalone w jego pamięci w wyniku starań matki.

Nie czas szukać ojca. Czas ustalić, czy owe poszukiwania są warte świeczki.

Najpierw pojechali do Kopenhagi. Tu matka nie kłamała, wiedział przynajmniej, gdzie rozpoczęła się ich podróż i dokąd powinien się udać. „Kopenhaga” - powiedział bezwiednie na głos. Może się to wydać nieprawdopodobne, ale zapomniał o siostrze Skretkowicz, której mocne udo ścisnęło go w okolicach pasa.

Kopniakiem odsunęła kołdrę: nazwa musiała obudzić jakieś wspomnienia, gdyż kobieta poruszyła biodrami. Motocykliści mają zwykle mocno zarysowane biodra, to samo dotyczyło siostry Skretkowicz. Na przedramieniu kobiety, przerzuconym przez klatkę piersiową Jacka, widniał zielony konik morski o nieco zdziwionej minie. Spoglądał nieruchomym wzrokiem w migający ekran małego telewizora Emmy, ustawionego bez głosu na kanał pogodowy. Siostry Skretkowicz miały przed sobą długą drogę i była żona Flattop Toma chciała obejrzeć prognozę.

Nadawano właśnie relację o sztormie. Palmy pękające na pół, zrujnowane porty, łódka roztrzaskana o skały, wzburzone fale: wszystko działo się bez najłżejszego szmeru. Niebieskozielony blask telewizora oświetlał tatuaż na biodrze siostry Skretkowicz: poświata nadawała wygląd reliefu haczykowatym kolcom grzbietowym u nasady płetwy ogonowej trygona.

Tak, na falującym biodrze siostry Skretkowicz widniał trygon. Macki ośmiornicy (z tyłka) zdawały się wyciągać w jego kierunku, tak jakby ciało kobiety stanowiło mapę dna morskiego.

Jack wygiął plecy, żeby dosięgnąć pilota, co mu się zresztą nie udało. Nie takiej reakcji oczekiwała jego towarzyszką.

- Nie idź - rzuciła ochryplym szeptem, wciąż pograżona w półśnie. - Dokąd się wybierasz?

- Do Kopenhagi - oznajmił Jack.

- Czy tam pada? - spytała podpitym głosem.

Jack doszedł do wniosku, że zanim tam dotrze, pewnie będzie już kwiecień. Jednym słowem, pytanie o deszcz było ze wszech miar uzasadnione.

- Pewnie tak - odrzekł.

- Nie idź - powtórzyła, jakby ponownie zapadała w sen, a przynajmniej miała taki zamiar.

- Muszę.

- Kto mieszka w Kopenhadze? - zapytała siostra Skretkowicz.

Jack zrozumiał, że senność opuściła ją jak ręką odjął.

- Jak ona ma na imię? - indagowała, zaciskając mocniej udo motocyklistki.

Nie ona, tylko on, pomyślał Jack. Jack nie znał jego nazwiska, co znacznie utrudni mu poszukiwania. Miał na myśli najmniejszego żołnierza, który uratował mu życie. Bawidamek Madsen mógł okazać się nie mniej ważny. Jack przynajmniej znał jego nazwisko.

27 • Córka komendanta; jej młodszy brat

Jack wyjechał z Toronto, nie zdradzając pannie Wurtz swoich planów, nawet się nie pożegnał. Bał się, że Caroline będzie rozczarowana jego decyzją o odłożeniu poszukiwań ojca na później.

Zabrał tylko zimowe rzeczy: wydawały mu się odpowiednie na kwietniową podróż portami Morza Północnego i Bałtyckiego. Pani Oastler nazywała je ubraniami „kanadyjskimi”. Pomogła mu się spakować. Ostatecznie sama je kupowała, czasem nawet na własny koszt, kiedy Alice umierała, poza tym miała własne zdanie na temat tego, jak powinien się ubierać.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, Jack: idąc do salonu tatuażu, nie wkładasz tego, co włożyłbyś do kościoła, i na odwrót.

Przekazał Leslie obowiązek wysłania scenariusza „Recenzentki bzdur” Bobowi Bookmanowi do CAA w Beverly Hills. Podczas długiej kanadyjskiej zimy Leslie stała się jego współpracowniczką; kilkakrotnie był nawet bliski wyznania jej, że Emma pozostawiła mu coś więcej niż tylko notatki. Byłoby to jednak wbrew wyraźnemu życzeniu Emmy.

Podczas miesiący spędzonych z matką w Toronto pocztę Jacka przesyłano na adres pani Oastler, która podobnie jak córka dokonywała wstępnej selekcji jego listów. Nie oddawała mu całej korespondencji: była pod tym względem bardziej rygorystyczna od Emmy. Twierdziła, że listy od fanek nie zasługują na jego uwagę. Odmawiała również pokazywania mu zdjęć od męskiej części wielbicieli.

- Czy nie dostałem w tym roku żadnych kartek na święta? - spytał w lutym Jack.

- Owszem, całą masę - odrzekła pani Oastler. - Wyrzuciłam je na śmietnik.

- Nie lubisz kartek świątecznych, Leslie?

- Na co one komu, Jack? Jesteś zapracowanym facetem.

List od Michele Maher jakimś cudem umknął czujnej uwagi pani Oastler i dotarł do rąk Jacka, chociaż stało się to dopiero ponad miesiąc od jego otrzymania.

- Ten jest ciekawy - oznajmiła Leslie. - Napisała do ciebie jakaś pani doktor z Massachusetts o nazwisku bohaterki Emmy.

Jack musiał zrobić zdumioną minę i zapałał ewidentną chęcią przeczytania listu, gdyż Leslie nie kwapiła się mu go oddać.

- Znasz ją? - zapytała.

- Znałem - sprecyzował, wyciągając rękę. Pani Oastler obejrzała list, tym razem nieco uważniej niż za pierwszym razem. - Emma o tym wiedziała - wyjaśnił Jack. - Celowo użyła jej nazwiska.

- To był taki... żart. Czy to właśnie chciałeś powiedzieć, Jack? - Nie wypuszczała listu z rąk.

- Coś w tym rodzaju.

- Mam ci go przeczytać? - zapytała. Jack nadal wyciągał rękę. - „Drogi Jacku” - zaczęła pani Oastler, po czym natychmiast wpadła sobie w słowo: - Cóż, nawet fani zwracają się do ciebie po imieniu, nic dziwnego, że się nie połapałam.

- Naturalnie - potwierdził z niezmaconym spokojem Jack.

- Dr Maher (na dodatek jest dermatologiem) pisze dalej tak - podjęła Leslie.

- „Wiem, że byłeś bliskim przyjacielem Emmy Oastler i przygotowujesz scenariusz «Recenzentki bzdur». Życzę Ci powodzenia w tym oraz innych przedsięwzięciach. Jest to jedna z moich ulubionych powieści, nie tylko ze względu na nazwisko głównej bohaterki. Wyrazy uznania i najlepsze życzenia”. To wszystko -skwitowała z westchnieniem pani Oastler. - List napisano na maszynie, pewnie go komuś podyktowała. Tylko podpisała się własnoręcznie, „Michele”. Papeteria firmowa, z adresem gabinetu przy szpitalu Mount Auburn w Cambridge w stanie Massachusetts. Doprawdy nie wiem, czemu uznałam ten list za

interesujący. W gruncie rzeczy nie ma w nim nic osobistego. Nikt nie wpadłby na to, że ona kiedykolwiek cię znała.

Leslie trzymała list w wyciągniętej ręce, może nie jak brudne majtki, ale coś potencjalnie gorszego, na czym Jackowi szczególnie zależało.

- Czy mogę prosić o list? - zapytał.

- Właściwie nie musisz na niego odpowiadać, Jack.

- Daj mi ten zasrany list, Leslie!

- Domyślam się, iż żart z nazwiskiem wcale nie był zabawny - zauważyła pani Oastler. Zmusiła Jacka, aby wyciągnął rękę i wyszarpnął jej list.

Papeteria nosiła kremowy odcień i wykonano ją z wysokogatunkowego papieru. Niebieska czcionka była duża i łatwa do odczytania. Rzeczywiście, trudno o mniej osobistą treść. „Najlepsze życzenia” nie są wyrazem serdeczności.

- Moim zdaniem, to wygląda bardziej na skleconą naprędce notatkę niż list -perorowała pani Oastler, podczas gdy Jack badał pochyły, niemal nieczytelny podpis Michele w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak jej prawdziwych uczuć wobec jego osoby. - Osobiście nie lubię dotykać niczego, czego dotykał dermatolog -ciągnęła Leslie. -No, ale ten list leży tu już tak długo. Chyba nie jest skażony, co?

- Nie wydaje mi się - odparł Jack.

List odbył podróż wraz z nim, Jack zaglądał do niego codziennie. Wierzył, że zachowa tę niezobowiązującą, pełną rezerwy czy wręcz beznamietną „notatkę” na zawsze, jako być może jedyną formę kontaktu z Michele Maher.

Jack nie znalazł bezpośredniego lotu do Kopenhagi. Wczesnym wieczorem opuścił Toronto, by następnie wczesnym rankiem wylecieć z Amsterdamu. Tuż przed jego wyjazdem pani Oastler brała kąpiel. Jack postanowił zostawić jej liścik na kuchennym stole, ale Leslie miała inne plany.

- Tylko nie próbuj się wymknąć bez pożegnania, Jack! - krzyknęła z wanny. Zawsze zostawiała otwarte drzwi do łazienki. Do sypialni zwykle też.

Mieszkali sami od ponad tygodnia, czyli od wyjazdu motocyklistów. Nie nastąpiła jednak ani jedna nocna wizyta. Nie tylko nie było mowy o trzymaniu za penis, nikt też przed nikim się nie obnażał. Być może Alice trochę za bardzo zależało na tym, by Leslie i Jack poszli razem do łóżka. Jack wychodził z założenia, że pomimo wzajemnego przyciągania on i pani Oastler nadal opierają się woli matki, a zresztą może siostry Skretkiewicz pomogły nieco złagodzić napięcie.

Tak czy inaczej pożegnalny pocałunek nie budził zastrzeżeń. Jack posłusznie podreptał na górę. Usiłował nie zwracać uwagi na czarną bieliznę, porzuconą na rozścielonym łóżku. Czujna, drapieżna twarz Leslie wychylała się spoza kłębowiska piany. Zważywszy na okoliczności, Jack doszedł do wniosku, że będzie to w miarę niewinny pocałunek.

- Nie uciekniesz ode mnie, Jack - oznajmiła pani Oastler. - Emma i Alice opuściły mnie na dobre. Ty chyba tego nie zrobisz, co?

- Nie, nie opuszczę cię - odrzekł możliwie jak najbardziej neutralnie.

Leslie złożyła usta w ciup i przymknęła ciemne oczy.

Jack ukląkł obok wanny i delikatnie musnął jej wargi. Pani Oastler raptownie otworzyła oczy, wsuwając język do ust Jacka. Chwyciwszy go za nadgarstek namydloną dłonią, wciągnęła jego rękę do wody, kompletnie mocząc mu rękaw koszuli. Gdyby miał odgadnąć, czego dotknęły jego palce, wytypowałby różę jerychońską. Wyszarpnął rękę.

Pocałunek trwał nieco dłużej. Po tym, co razem przeszli, Jack nie chciał ranić jej uczuć. Próbował ukryć zniecierpliwienie, ale konieczność zmiany koszuli wyprowadziła go z równowagi.

Pani Oastler nigdy specjalnie nie ceniła Jacka jako aktora, być może dlatego, że znała go od dziecka i umiała czytać w jego twarzy jak w książce.

- Daj spokój, Jack. Może nie jestem Michele Maher, ale pocałunek był niczego sobie, co?

- Muszę zmienić koszulę - odparł Jack w nadziei, że nie zauważy jego erekcji. Nie odwracając się do niej przodem, rzucił przez ramię: - Owszem, całkiem niczego sobie.

- Pamiętaj! - krzyknęła za nim Leslie. - Tego chciała twoja matka!

Jack Burns zawiózł tę myśl do Kopenhagi: ciążyła mu bardziej aniżeli walizka z zimowymi ubraniami. Zameldował się w hotelu „D'Angleterre”, tym razem nie w służbówce, tylko w pokoju z widokiem na pomnik. Zarówno pomnik, jak i rozciągający się nad nim łuk wydały mu się mniejsze, niż zapamiętał, ale Nyhavn wyglądała znajomo: łodzie rozkołysane na szarych wodach kanału, wiatr wiejący od Bałtyku. Co do pogody, Jack nie pomylił się w swojej prognozie: lało jak z cebra.

Po otwarciu walizki znalazł zdjęcia wytatuowanej piersi matki. Pani Oastler położyła je starannie na ubraniach: dała mu dwa, dwa zaś zostawiła sobie, co wydawało się sprawiedliwe. Jack ucieszył się na ich widok, nie tylko ze względu na czekający go proces weryfikacji. Matka okłamała go w tylu sprawach: być może jej „Zanim Cię znajdę” wcale nie wyszło spod ręki Mistrza Olego, chociaż Jack był pewien, że tak.

Salon tatuażu przy Nyhavn 17 nadal nosił szyld Mistrza Olego. Niektóre szablony na ścianach też były jego dziełem. Wnętrze przesyciła woń dymu, jabłek, alkoholu i oczaru; niektóre pigmenty również charakteryzowały się specyficznym zapachem, ale Jack nie umiał ich zidentyfikować.

Panem całego kramu był obecnie Bimbo: przybył tu w 1975 roku i terminował u Mistrza Olego. Był niski i przysadzisty, nosił granatową dokówkę. Reprezentował szkołę swego mistrza. Według określenia Marynarza Jerry'ego, należał do starej wiary. I podobnie jak Ole, nigdy nie nazwałby się artystą. Był tatuażystą ze starej szkoły, człowiekiem pokroju Córki Alice.

Kiedy Jack wszedł do środka, Bimbo tatuował właśnie złamane serce. Tak naprawdę nic się nie zmienia, pomyślał Jack. Bimbo nie podniósł wzroku znad wykonywanej pracy.

- Jack Burns - powiedział tatuażysta, jakby była to rzecz najbardziej oczywista na świecie. Słowa nie zabrzmiały równie entuzjastycznie jak w wydaniu pana

Ramseya, wypowiedziano je wszelako przyjaznym tonem. - Słyszac o śmierci twojej matki, domyśliłem się, że przyjedziesz - dodał.

Chłopak na leżance miał przerażoną minę. Na jego zaczerwienionej piersi odznaczało się bicie prawdziwego serca. Zygzakowate pęknięcie na sercu wytatuowanym przebiegało horyzontalnie; zraniony narząd spoczywał na pojedynczej róży. Tatuaz był świetny. Dolną połowę serca opasywała wstęga bez żadnego imienia. Jeśli chłopak będzie miał dość oleju w głowie, zaczeka z imieniem, aż spotka kogoś, kto go wyleczy.

- Skąd wiedziałeś, że przyjadę? - spytał Jack.

- Ole mówił, że to zrobisz. I że będziesz zadawał mnóstwo pytań - wyjaśnił Bimbo. - Uważał, że masz w głowie więcej bzdur niż brukowce, co mówi samo za siebie. - Jack zaczynał pojmować słuszność tego stwierdzenia. - Mówił: „Wcale bym się nie zdziwił, gdyby ten dzieciak wyrósł na kompletnego pomyleńca!”. Ale wydajesz się całkiem normalny.

- Pewnie nie znałeś mojej matki - powiedział Jack.

- To prawda, nigdy jej nie poznałem - odrzekł Bimbo, starannie dobierając słowa.

- A mojego ojca?

- Wszyscy go uwielbiali, ale jego też nie miałem okazji poznać.

„Uwielbiali”, a to ci dopiero nowina.

- Nie chodzi o to, że nikt nie lubił twojej matki - uściślił Bimbo. - Po prostu robiła rzeczy, za które trudno ją kochać.

- Jakie rzeczy? - zapytał Jack.

Bimbo wydał ciche westchnienie, podobnie jak chłopiec ze złamanym sercem. Chłopiec miał wyschnięte i rozchylone usta; zazgrzytał zębami.

- Cóż, powinienes porozmawiać z kimś, kto naprawdę ją znał - oznajmił Bimbo. - Ja mam tylko informacje z drugiej ręki.

- Ole miał jeszcze jednego czeladnika. W czasie kiedy mama tu pracowała - powiedział Jack.

- Jasne. Znam go - odrzekł Bimbo.

- Ole nazywał go „Bawidamkiem”. Mówiliśmy na niego też „Bawidamek Lars” albo „Bawidamek Madsen”.

- Mówisz o Rybaku - sprecyzował Bimbo. - Już nie jest „Bawidamkiem”. Pracuje w rybim biznesie. Oczywiście, nie ma w tym nic złego.

Jack przypomniał sobie, że Lars nie kwapił się przejąć rodzinnej schedy. I że płukał włosy świeżo wyciśniętym sokiem z cytryny.

Na lewej kostce Larsa widniało imię Kirsten, oplecione cierniem i sercami: Jack zamienił je w zwichrowany bukiet. (Wyglądało to tak, jakby w zapuszczonym ogrodzie rozsypano serca drobnych zwierząt).

- Czyli Lars powrócił do rodzinnego interesu? - spytał Jack.

- Nie dałbym mu się wytatuować - oznajmił Bimbo. - Na cieniowanie też bym nie pozwolił.

- Mama zrobiła mu tatuaż - powiedział Jack. Przypomniał sobie, że było to czerwone serce; w miejscu pęknięcia widniała szczelina mogąca pomieścić czyjeś imię. Po długich pertraktacjach Alice zgodziła się złożyć tam swój podpis. „Córka Alice”.

Jack chciał opisać tatuaż Bimbowi, ale tamten wpadł mu w słowo.

- Znam go - oświadczył. - Tuszowałem podpis.

Cóż takiego więc zrobiła Alice, co zasługiwało na naganę? Najwyraźniej Rybak Madsen miał niezłe rozeznanie w sytuacji: musiał mieć dobry powód, aby się wyleczyć z miłości.

- Mistrz Ole powiedział: „Jeśli Jack wróci, przekaż mu, żeby się nie wściekał” - dorzucił Bimbo.

Jack podziękował mu za te słowa. Tatuażysta był tak miły, że przerwał pracę, aby narysować Jackowi mapkę. Salon znajdował się w pobliżu Fiskehuset Hajbro, sklepu rybnego Larsa przy Hejbro Plads 19. Na placu znajdował się pomnik biskupa Absaloma, nieopodal Christiansborg Slot, zamku zajmowanego obecnie przez duński parlament. (Biskup Absalom był założycielem Kopenhagi). Bimbo poinformował Jacka, że z targu rybnego bez trudu zobaczy zamek. Twierdził, iż jest to obecnie popularne miejsce spotkań z uwagi na liczne kawiarnie i restauracje.

Jack byłby zapomniiał pokazać mu zdjęcia. Przypomniał sobie w ostatniej chwili.

- Rzuć tylko okiem - poprosił. - Poznajesz ten tatuaż?

- Wszędzie rozpoznam robotę Mistrza Olego - oznajmił Bimbo, oddając mu fotografie. - Ole wspomniiał, że tatuował twoją mamę.

Jack nie potrzebował więcej dowodów.

Niemal wszystko w salonie pozostało niezmienione, nawet radio grało jak dawniej (jeśli nie był to wręcz ten sam odbiornik). Lecz Bimbo był innego zdania.

- Czasy się zmieniły - powiedział, kiedy Jack ruszył do wyjścia. - Twoje dzieła były rozpoznawalne. Teraz jest inaczej. Za dużo chałturszczyków.

Jack skinął głową. (Jego matka twierdziła to samo, podobnie jak jej przyjaciele).

- Dwadzieścia lat temu - podjął Bimbo - robiliśmy tu dwa okręty dziennie. Teraz robimy jeden - uzupełnił, jakby to samo przez się potwierdzało jego tezę.

- Jeszcze raz dziękuję - powiedział Jack.

Było deszczowe, wietrzne popołudnie. Okoliczne restauracje otwierały podwoje. Jack nadal umiał rozróżniać aromat pieczonego królika, udźca jeleniego, dzikich kaczek, turbota, a

nawet delikatnej cieleciny. Wyczuwał duszone owoce w sosach do dziczyzny oraz intensywny zapach duńskich serów. Nie znalazł jednak restauracji, do której Ole i Bawidamek zabrali ich na pożegnalną kolację. Płonął w niej kominek, Jack jadł chyba królika.

Lokal o nazwie „Cap Horn” przy Nyhavn 21 wyglądał jakby znajomo, ale Jack nie wszedł do środka. Nie był głodny i niecierpliwił się przed spotkaniem z Rybakiem Madsenem. Podobnie jak Bimbo (a może nawet bardziej), on też musi się go spodziewać. Skoro zaś kazał zatuszować imię Alice na złamanym sercu, musiał wiedzieć coś, o czym nie wiedział Jack. I z pewnością bardzo go to bolało.

Bawidamek Madsen nadal był niebieskookim blondynem ze szparą między zębami i krzywym nosem. Jack z ulgą przyjął fakt, że Lars pozbył się żalostnego zarostu i nabrał trochę ciała. Rybak dobiegał pięćdziesiątki, ale wyglądał młodziej. Wydawało się, że mimo wcześniejszych obiekcji zmiana branży wyszła mu na dobre i pozwoliła zachować niewinność.

Był obecnie żonaty, miał trójkę dzieci.

- Pamiętasz Elise? - zapytał głupawo Jacka.

- Pamiętam, jak tuszowałem jej imię - odparł Jack.

Imię Elise widniało na prawej kostce Larsa: pierwotnie oplecione łańcuchem, zostało zamienione przez Jacka na gałązkę ostrokrzewu. (Rezultat przywodził na myśl zniszczoną dekorację świąteczną, „antybożonarodzeniową propagandę”, jak powiedział Ole).

- No cóż, wróciła, Jack - oznajmił z uśmiechem Bawidamek. - Nie dało się zasłonić jej na dobre.

Chociaż przestało padać, nadal było zbyt mokro, aby usiąść na zewnątrz, jednakże z wnętrza sklepu też roztaczał się przyjemny widok na mokre kocie łby oraz szary zamek, obecnie siedzibę parlamentu.

- Czasami się mną opiekowałeś - zagaił Jack.

- Myślałem, że pracuje do późna, Jack. Nie miałem pojęcia, że spotyka się z dzieciakiem, przysięgam.

- Jakim dzieciakiem?

- Tym biednym chłopcem - odrzekł Lars.

- Chwileczkę - przerwał mu Jack. - Jakim znowu chłopcem?

Bawidamek zrobił zakłopotaną minę.

- Ole mówił, że tak będzie! - wybuchnął.

- To znaczy jak?

- Ze mnie znajdziesz! - zawołał Madsen. - No dobrze. Ustalmy sobie jedną rzecz, Jack.

Czy trudno było mnie znaleźć?

- Nie bardzo.

- Umówmy się, że nikogo nie jest trudno znaleźć, Jack. Twoja matka nigdy nie szukała ojca. Znalazła go, zanim tu trafiła. Rozumiesz?

- Owszem, rozumiem - odpowiedział Jack. - Nigdy nie chodziło o to, aby go znaleźć, tak?

- Tak. Trafiłeś w sedno - potwierdził Bawidamek. - No dobrze. - Jack zrozumiał, że Rybak od blisko trzydziestu lat żył w strachu przed tą chwilą. - No dobrze. A więc było to tak.

Łudząc się, że informacja wreszcie przekona Alice, by zostawiła go w spokoju (i przy odrobinie szczęścia pozwoliła mu czasami widywać syna), William wysłał jej powiadomienie o swych zaręczynach. Szczęśliwa wybranka była córką komendanta Kastellet, cytadeli Frederikshavn, gdzie William terminował u organisty Anker Rasmussena w Kastelskirken.

Jack pamiętał, że Lars wspomniał niegdyś matce o rzekomym romansie Williama z młodą żoną wojskowego, tak naprawdę William był jednak zaręczony z córką wojskowego.

Młoda żona była ni mniej, ni więcej tylko wymysłem Alice, która przywiozła Jacka do Kopenhagi, aby nie dopuścić do ślubu.

Komendant nazywał się Hans Henrik Ringhof i był podpułkownikiem. Kochał Williama jak rodzzonego syna, powiedział Jackowi Lars Madsen. Podpułkownik Ringhof miał syna, dwunastolatka imieniem Niels. Jego starsza siostra Karin, naręczona Williama, wprost przepadała za bratem. William uczył Nielsa grać na organach, chłopiec przejawiał w tym kierunku duże zdolności. Sama Karin świetnie grała na organach, jej nieżyjąca matka była muzykiem. Podpułkownik Ringhof stracił żonę w wypadku samochodowym. Stało się to w drodze powrotnej z wakacji na Bomholmie.

William napisał Alice, że to wspaniała rodzina: czuje się, jakby brał ślub z nimi wszystkimi. Z chwilą gdy Jack pójdzie do szkoły, William miał nadzieję spędzać z nim część świątecznych ferii w Kopenhadze. Uważał, że atmosfera cytadeli Frederikshavn podziela na chłopca mobilizująco. W Boże Narodzenie odbywały się tam liczne koncerty, poza tym który chłopiec nie chciałby nocować w koszarach?

- Ale twoja matka miała własny plan - oznajmił Lars.

Niebawem podpułkownik Ringhof i jego córka zaczęli widywać Alice, w podobny sposób, w jaki ojciec widywał Jacka w Toronto. Nastawienie Alice nie uległo zmianie. „Jack tylko razem ze mną” - wyjaśnił Lars.

W Kopenhadze Alice dodała do dotychczasowych warunków nową zasadę: jeśli William chciał zobaczyć syna, musiał przyprowadzić ze sobą narzeczoną. Naturalnie chodziło o to, aby Alice mogła się przyjrzeć Karin, ale ta nie protestowała. Kochała Williama i podzielała jego nadzieję, że Alice któregoś dnia dopuści do kontaktów ojca z synem.

Jakby tego nie było dosyć, ciągnął Lars, Alice próbowała uwieść mężczyzn, którzy odgrywali w życiu Williama istotną rolę. Anker Rasmussen, organista, był wstrząśnięty jej zachowaniem i odmówił jakichkolwiek spotkań. Podpułkownik Ringhof, który kochał Williama niemal na równi z własnym synem, też nie krył niesmaku. Bezsukutecznie usiłował przemówić Alice do rozumu, w każdym razie na pewno z nią nie spał.

- Sytuacja utknęła w martwym punkcie - powiedział Lars. - I wtedy wpadłeś do Kastelsgraven... tej cholernej fosy!

- Ale co to ma z tym wspólnego? - spytał Jack.

- To, że komendant wysłał ci na ratunek własnego syna! - zakomunikował Lars. Jacka nie ocalił najmniejszy żołnierz, ale Niels Ringhof! - Aż do tamtej chwili udawało się utrzymać twoją matkę z dala od chłopca. Praktycznie nie wiedziała o jego istnieniu. Tak czy inaczej Niels jej nie znał. Poznali się przy tamtej okazji, Jack. Musiała mu coś powiedzieć, pewnie podziękowała za uratowanie ci życia.

Pomysł z darmowym tatuażem wyszedł od Jacka, lecz Alice zaproponowała chłopcu coś innego.

- Uwiodła chłopca? - spytał z niedowierzaniem Jack.

- Nie inaczej, Jack. Jakimś cudem do niego dotarła.

Ubrania Nielsa Ringhofa były na Jacka prawie dobre, w przeciwieństwie do munduru; Niels musiał go ukraść albo pożyczyć. Być może właśnie w ten sposób Alice wyprowadziła chłopca z cytadeli: przebranego za żołnierza. A kiedy odeszła go z hotelu, wracał po ciemku całkiem sam!

- Ile miał lat? Dwanaście? - upewnił się Jack.

- Może niecałe trzynaście, Jack. Góra trzynaście.

Ostatniego wieczoru w Kopenhadze Mistrz Ole i Lars zabrali Jacka i jego matkę do eleganckiej restauracji na Nyhavn. Ale to William zapłacił rachunek. Była to dla niego ostatnia okazja, żeby w Kopenhadze zobaczyć syna. Dla niego i Karin, ponieważ Alice nalegała, aby przyprowadził do restauracji narzeczoną. („Na pożegnanie”, powiedziała).

- Byli tam, w restauracji? - zapytał Jack.

- Siedzieli przy stoliku po tej samej stronie kominka - odpowiedział Bawidamek. - Może sobie przypominasz tę restaurację, Jack. Jadłeś królika.

Lecz Alice nie poinformowała Nielsa Ringhofa o swoim wyjeździe. Chłopiec był zdruzgotany. Dopóki Jack nie wyjechał z matką z Kopenhagi, Karin Ringhof i komendant, jej ojciec, nie mieli pojęcia, że Niels spotyka się z Alice, nie wspominając o tym, jak bardzo zaangażował się w tę znajomość. William też o niczym nie wiedział.

- Co się stało z chłopcem? - spytał Jack. Znow zaczęło padać, to nie był dobry znak.

- Zastrzelił się - odpowiedział Madsen. - Bądź co bądź, mieszkali w koszarach, miał dostęp do broni. Zmarł w wyniku rany postrzałowej albo utonął w Ka-stelsgraven. Ciało znaleziono w fosie, opodal miejsca, gdzie wpadłeś pod lód. Zmarł tam, gdzie cię uratował, Jack.

Fosa Kastelsgraven przypominała staw lub małe jezioro. W kwietniu pozbawiona osłony lodu woda miała zielonkawoszary odcień. Jackowi trudno było uwierzyć, że można się tam utopić, lecz czterolatki zapewne udałoby się tego dokonać. Niels Ringhof miał zaledwie dwanaście lub trzynaście lat, właśnie się postrzelił: Kastelsgraven bez trudu pochłonęła i jego.

Gdyby fosę pokrywał lód, Jack sprawdziliby jego wytrzymałość w nadziei, że tym razem nikt nie przyjdzie mu z pomocą. Drewniany wał, o który łomotały wówczas buty żołnierzy, podrywając do lotu spłoszone kaczki, obecnie sprawiał wrażenie dziecięcej dróżki.

Jack domyślił się, że to nie Anker Rasmussen, organista, nadbiegł wraz z matką. Najprawdopodobniej w Kastelskirken nie było żołnierza organisty ani wojskowego muzyka. Mężczyzna w mundurze musiał być podpułkownikiem Ringhofem. Posłał po swego małego syna, który leżał chory w łóżku. Wiedział, że lód nie utrzyma żołnierza, ale Nielsa tak.

Tamtego kwietniowego ranka w Kopenhadze Jack poznał wreszcie przyczyny dręczącego go koszmaru o śmierci. Nadal padało, ale jakież to miało znaczenie? Jack miał poczucie, jakby już znajdował się pod wodą. Kiedy jak zawsze obudził się zły zimnym potem, tym razem wiedział, skąd płynie chłód: z fosy, z Kastelsgraven, gdzie napotykał pokolenia martwych żołnierzy Europy. Mały bohater wyróżniał się na ich tle, nie tylko ze względu na nieproporcjonalny rozmiar penisa (zapewne wyolbrzymiony przez Jacka w jego zawodnej pamięci), ale stoicką wymowę dumnie zastygłej postury.

Jack dobrze zapamiętał tamten gest: w ten sposób nie salutował żołnierz, tylko chłopiec naśladujący żołnierza. I nie był to najmniejszy żołnierz, ale Niels Ringhof, dwunastoletni (góra trzynastoletni) chłopiec, molestowany seksualnie przez jego matkę. (Tak samo, jak pani Machado molestowała Jacka!).

Umówił się z organistą Kastelskirken, kościoła przy cytadeli. Rozpoznał widok na dom komendanta: pamiętał, jak wniesiono go do środka i przebrano w odzież Nielsa. (Odzież cywilną, wyjaśniła Alice. Była wytrawną kłameczuchą).

Organista nazywał się Lasse Ewerlöf, ze szwedzka brzmiącym nazwiskiem, może był Szwedem. W wieku czternastu lat uczył się grać na gitarze, skrzypcach oraz fortepianie; organami zainteresował się stosunkowo późno, kiedy miał dziesięć, dwadzieścia lat. Jack rozczarował się na wieść, że Ewerlöf nie przybędzie na spotkanie: został nagle wezwany do Kopenhagi, aby zagrać na pogrzebie dawnego przyjaciela, poprosił jednak swego zastępcę, aby spotkał się z Jackiem zamiast niego.

Lasse Ewerlöf wiedział, że Jack pragnąłby posłuchać muzyki bożonarodzeniowej: chciał wyobrazić sobie koncerty, które, zdaniem ojca, miały podzielać nań „mobilizująco”. (Koncerty, których nigdy nie dane mu było usłyszeć). Ewerlöf zostawił Jackowi listę swych ulubionych utworów świątecznych, a jego pomocnik (starszy mężczyzna, grający „dorywczo” z uwagą na artretyzm) zgodził się je zagrać.

- Ale czy nie sprawi to panu bólu? - spytał Jack. Zastępca organisty nazywał się Mads Lindhardt, był uczniem Anker Rasmussena i znał Williama.

- Nie, jeżeli nie będę grał zbyt długo - odrzekł Lindhardt. - Poza tym to dla mnie zaszczyt móc zagrać dla syna Williama Burnsa. William był kimś bardzo szczególnym. Oczywiście zazdrościłem mu, bo zawsze grał lepiej ode mnie. Uważałem to za niesprawiedliwe, przecież był młodszy!

Jack nie spodziewał się spotkać w Kastellet osoby, która osobiście знаła jego ojca, a na dodatek uważała go za kogoś „szczególnego”. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, wsłuchał się w dźwięk organów. W ogóle nie było widać, że Lindhardt ma problemy z rękami.

Byli w Kastelskirken sami, nie licząc kilku sprzątaczek, które myły kamienną posadzkę kościoła. Pewnie zdziwiły się, słysząc świąteczną muzykę w kwietniowy poranek, lecz wyraźnie nie przeszkadzało im to w pracy.

Mads Lindhardt powiedział Jackowi, że wśród ulubionych utworów Lassego Ewerlöfa znajdowało się również parę ulubionych utworów Williama. Znane Jackowi „Weihnachtsoratorium” i „Kanonische Veränderungen über das Weihnachtslied” Bacha oraz „La nativité du Seigneur” Messiaena i „Messe de minuit”, które słyszał po raz pierwszy.

Słuchając Madsa Lindhardta, Jack pojął, ile razy William musiał sobie wyobrazić, że gra dla syna. Było to wszelako zabronione, obok wielu innych rzeczy, do których nie dopuściła Alice.

- To muzyka świąteczna, panie Burns - powiedział łagodnie Mads Lindhardt. Jack dopiero wówczas spostrzegł, że organista przestał grać. - Ma uszcześliwić.

- Ale Jack płakał. - Ten chłopiec, Niels, był ulubieńcem cytadeli - ciągnął Mads.

- Pański ojciec zaś był ulubieńcem całej rodziny Ringhofów. Co za tragedia! Nikt nie obwinił Williama za to, co stało się z Nielsem. Lecz Karin uwielbiała młodszego brata: nic dziwnego, że nie potrafiła już traktować narzeczonego tak jak dawniej. Nawet komendant okazał mu zrozumienie, ale był to dla niego straszny cios. Zupełnie jakby jednocześnie stracił dwóch synów.

- Gdzie oni teraz są? - zapytał Jack.

Podpułkownik Ringhof przeszedł w stan spoczynku. Był bardzo stary, mieszkał we Frederiksbergu, w pobliżu Kopenhagi, gdzie przenosiło się wielu emerytów. Karin nigdy nie wyszła za mąż, ona też się wyprowadziła. Nauczała muzyki w Odense, w filii duńskiego Konserwatorium Królewskiego.

Po cóż jednak William pojechał za nimi do Sztokholmu? Jack rozumiał, że dalszy pobyt w cytadeli Frederikshavn byłby dlań zbyt bolesny, wręcz niemożliwy, ale dlaczego ruszył za Alice, która wyrządziła mu taką krzywdę?

- Dla pana - oznajmił Mads Lindhardt. - Jak inaczej mógłby pana widywać?

- Ona była nienormalna, prawda? - powiedział Jack. - Moja matka była wariatką!

- Lasse Ewerlóf nauczył mnie pewnej rzeczy - odparł Mads Lindhardt. - „Większość organistów zostaje organistami, ponieważ na drodze staje im organista”. - Lindhardt zobaczył, że Jack nie rozumie. - Wiele kobiet popada w obłęd, ponieważ nie może przeboleć utraty pierwszego mężczyzny, którego pokochały, Jack. To bardzo proste.

Jack podziękował Madsowi Lindhardtowi za koncert i poświęcony mu czas. Opuszczając Kastellet, żałował, że nie widział ani jednego żołnierza; może w taką pogodę siedzieli w koszarach. Opuszczając cytadelę Frederikshavn (równie zasmucony i zły jak zapewne niegdyś jego ojciec) próbował wyobrazić sobie stan ducha, w jakim znajdował się William, jadąc za nimi do stolicy Szwecji.

W drodze do Sztokholmu wyobrażał sobie również pajęczynę kłamstw, jaką utkała tam jego matka. W Kopenhadze wcale nie uratował go najmniejszy żołnierz, a jego wybawca stał się ofiarą Alice. Teraz zachodził w głowę, kim w gruncie rzeczy był szwedzki księgowy. I jakie złowieszcze żniwo zebrała tam jego matka.

Większość z tego, co wydaje nam się, że pamiętamy, to kompletna bzdura rodem z bożonarodzeniowej kartki. Nieskazitelna kołderka śniegu, świąteczne świece w oknach

domów, gdzie dziecięca krzywda kryje się w zaciszu czterech ścian. Podobnie było ze wspomnieniami Jacka na temat kościoła Hedvig Eleonory, tego ze złotym ołtarzem, w którym odbyło się spotkanie z młodym szwedzkim organistą Torvaldem Torenem. Jack gotów był dać głowę, że ono także przebiegło nie całkiem zgodnie z jego wyobrażeniami.

Toren istniał naprawdę, Jack od razu go rozpoznał. Jednakże William nie spał z ani jedną chórzystką, a co dopiero z trzema! Alice wymyśliła Ulrikę, Astrid i Vendelę; nic dziwnego, że Jack ich nie pamiętał. W* Sztokholmie William żył w celibacie jak, nie przymierzając, katolicki ksiądz. No, prawie.

Kościół Hedvig Eleonory był zborem luterańskim, Torvald Toren zaś bardzo miło wspominał czasy, gdy terminował u niego William Burns. William był starszy od organisty i nauczył go kilku nowych utworów. Sielanka nie trwała długo: Alice wkrótce zwróciła parafian przeciw Williamowi, którego przedstawiła jako zbiegłego męża i wyrodnego ojca.

- Wszyscy widzieli, co wyprawiała w hotelu - dodał Toren. - Wystawiała na widok publiczny nie tylko siebie, ale i pana. To nie życie dla czterolatka. Czy to w „Grandzie”, czy na lodowisku w towarzystwie kochanki ojca: był pan jak na patelni.

- Słucham? - powiedział Jack. Chyba Toren nie miał na myśli żony Torstena Lindberga! (Jack pamiętał, że nazywała się Agneta Nilsson: wolała używać panińskiego nazwiska).

Tomki Toren potrząsnął głową.

- Lepiej porozmawiać z Torstenem Lindbergiem, Jack - poradził.

Jack miał taki zamiar. Tak się złożyło, że najpierw zwrócił się do organisty, którego łatwo było znaleźć. Odszukanie Lindberga również nie powinno nastreczyć mu trudności: nadal jadał śniadania w „Grandzie”.

Agneta Nilsson, instruktorka łyżwiarstwa, oczywiście nigdy nie była żoną Torstena Lindberga. (Jack miał się wkrótce przekonać, że Lindberg był gejem, i to od urodzenia). Agneta Nilsson nauczała muzyki chóralnej w Królewskiej Akademii Muzycznej w Sztokholmie, gdzie William był jej ulubionym studentem. Po śmierci Nielsa Ringhofa i zerwaniu z ukochaną Karen William znalazł pocieszenie w ramionach starszej kobiety.

Jeśli chciał zobaczyć syna w Sztokholmie (oprócz patrzenia, jak chłopiec opycha się przy śniadaniu), mógł oglądać łyżwiarskie popisy Jacka w towarzystwie swojej własnej kochanki.

„Mam pokój i sprzęt, jeżeli dysponujesz czasem” - Jack zapamiętał te słowa w obu wersjach językowych. (Jag har rum och utrustning, om ni har tid).

William musiał tańczyć, jak Alice mu zagrała.

- Chodziło tylko o to, aby ich nękać, twojego ojca i biedną Agnetę - oznajmił Jackowi Torsten Lindberg przy śniadaniu w „Grandzie”. - Jestem pewien, że twoja matka wiedziała o słabym sercu Agnety. William musiał nieopatrnie jej o tym wspomnieć.

- Agneta umarła? - spytał Jack.

- Owszem. To znaczy, nie od razu. Obyło się bez zbędnego dramatyzmu: żadnej spektakularnej śmierci na lodzie, nic podobnego. Śmiem twierdzić, że jazda na łyżwach nie miała tu nic do rzeczy.

- A kierownik „Grandu”?

- Co masz na myśli? - spytał Lindberg.

- Wykorzystał moją matkę?

- Raczej nie użyłbym tego określenia. Uwiodła go, a potem nagłośniła sprawę

- poinformował Torsten Lindberg. - Pewnie chodziło o dalsze pogwałcenie twojego ojca, trudno jednak dopatrywać się w jej działaniu jakiegokolwiek logiki.

Torsten Lindberg był homoseksualistą, ale skąd Jack (jako czterolatek) mógł o tym wiedzieć? Równie chudy jak dawniej, nadal mógł się poszczycić istic wilczym apetytem. Sam Jack zjadł nieco większe śniadanie niż zwykle, bynajmniej nie z sentymentu do biesiad

odbywanych tu wraz z matką („na widoku publicznym”): po prostu musiał przytyć do roli niewydarzonego scenarzysty i gwiazdora filmów porno w „Recenzentce bzdur”.

Po śniadaniu, kiedy Jack miał ochotę zwymiotować, poprosił księgowego o pokazanie mu róży jerychońskiej. Wiedział, że na niektórych rzeczach można niezawodnie polegać: należała do nich między innymi matczyzna róża jerychońska.

- Jakiej znowu róży? - zapytał Torsten Lindberg.

- Może zacznijmy od ryby - zaproponował Jack. - Jeśli dobrze pamiętam, na przedramieniu masz japoński tatuaż, przedstawiający rybę.

- Och, moja ryba bez wody. Tak! - wykrzyknął Lindberg. - Chodzi ci o tatuaże. Oczywiście!

Poszli do pokoju Jacka. Najbardziej zależało mu na róży jerychońskiej, chciał też zobaczyć okręt Doca Foresta. Trójmasztowiec z potworem morskim pod burta, który, zdaniem Alice, o klasę przewyższał płynącą ku ojczyźnie łajbę na mostku Charliego Snowa.

Czy mógł jednak wierzyć w jakiegokolwiek słowo, które padło z ust matki? Jak się okazało, Doc Forest ściśle odpowiadał jego wyobrażeniom. (Który chłopiec nie zapamiętałby okrętu zagrożonego przez węża morskiego?). Co do oka na lewym pośladku Lindberga, homoseksualne implikacje wzoru siłą rzeczy za pierwszym razem były dlań nieczytelne. Nie wspominając o odcisku warg na prawym pośladku. Ryba na przedramieniu była dokładnie taka, jak zapamiętał. Nie kryła żadnych treści homoseksualnych.

Jack nigdy nie widział gotowej wersji róży jerychońskiej Lindberga, słyszał tylko rozmowy na jej temat. Naturalnie nie chodziło o prawdziwą różę jerychońską. Po co homoseksualście pochwa ukryta w róży? Kwiat wprawdzie się zgadzał, jednakże penis nie zasługiwał na miano ukrytego: dosłownie wystrzeliwał spomiędzy płatków!

- Jak byś to nazwał? - zapytał Torsten Lindberg.

Jack nie miał zielonego pojęcia: może penis jerychoński? Postanowił jednak zachować milczenie.

W jego wspomnienia dotyczące tatuaży Torstena Lindberga wkradła się jeszcze jedna nieścisłość. Chodziło o nagą kobietę Mistrza Olego, z odwróconą brwią włosów łonowych. Cóż, wspomniana dama istotnie wyszła spod ręki Olego, z tym że ona również miała penis.

- Widziałem wszystkie twoje filmy, nawet nie wiesz, ile razy! - oświadczył Torsten Lindberg. - Lepiej, żebym ci nie powtarzał, co mówią o tobie moi przyjaciele. Powiem tylko, że nie szczędzą słów uznania!

Każdego ranka Jack budził się w „Grandzie” na dźwięk syren okrętowych: promy przywoziły pracowników z archipelagu. Któregoś dnia poszedł obejrzeć jezioro Malaren. Podobnie jak Kastelsgraven, nie było zamrożone (nie w kwietniu), Jack bez trudu wyobraził sobie jednak Williama stojącego na brzegu i patrzącego, jak syn ślizga się po lodzie w towarzystwie Agnety Nilsson, kochanki o słabym sercu.

W salonie Doca Foresta panowała krzepiąco znajoma atmosfera.

Jack nigdy nie widział fotografii ojca. Wiedział tylko, że William podobał się kobietom, ale to nie to samo, co opis. Doc Forest był pierwszym człowiekiem, który opisał mu ojca.

- Miał włosy do ramion - powiedział. - Poruszał się jak atleta, ale przypominał gwiazdę rocka. Był tylko lepiej ubrany.

Torvald Toren obudził w Jacku wątpliwości co do tatuażu, jaki rzekomo zrobił Williamowi Doc Forest. Według Alice, był to utwór Pachelbela. (Podejrzewała, że chodziło o „Hexachordum Apollinis”; wspomniała o arii trzy czwarte lub toccacie).

- William oczywiście grał Pachelbela - oświadczył Jackowi Toren. - Ale ja nigdy nie widziałem jego tatuaży. - Mads Lindhardt powiedział to samo, nie o Pachelbelu, ale o tatuażach.

Oglądali je tylko tatuażysty, no i kobiety, które chodziły z Williamem do łóżka. Jednakże co najmniej dwóch organistów, którzy znali go dobrze i lubili, nie widziało jego tatuaż. Dziwne, że im nie pokazał, pomyślał Jack.

Skoro zaś opowieści Alice nieraz okazały się kłamliwe, idąc do Doca Foresta, Jack spodziewał się usłyszeć to samo o domniemanym Pachelbelu.

Doc miał serce na dłoni. Szczerze ucieszył się na widok Jacka; oglądał wszystkie jego filmy, łącznie z tymi, w których Jack paradował prawie na golasa. Zastanawiał się, kiedy Jack zdecyduje się na tatuaż. To prawdziwy zaszczyt, że syn Córki Alice zwraca się z tym właśnie do niego, oznajmił.

Jack wyjaśnił, że nie przychodzi po tatuaż.

Doc pięknie się zestarzał. Nadal był drobny i silny, a jego płowe włosy nie nosiły śladu siwizny. Jak na byłego żeglarza, który zrobił sobie pierwszy tatuaż w Amsterdamie u Mistrza Petera, Doc Forest prezentował się fantastycznie.

Doc nie powiedział na Alice złego słowa (przedstawiciele starej wiary trzymali sztamę), lubił jednak również Williama. Chodził nawet do Hedvig Eleonory słuchać, jak gra.

- Byłem ciekaw, czy pamiętasz tatuaż, który mu zrobiłeś, może było ich więcej

- zagał Jack. - Na przykład utwór Pachelbela.

. - Żadnych nut, tylko słowa - odrzekł Doc. - Może były to słowa piosenki, ale na pewno nie pieśni kościelnej, co do tego mam stuprocentową pewność.

- Zapamiętałeś je?

Salon Doca Foresta był równie schludny i uporządkowany jak jego właściciel. Marynarze musieli dbać o właściwą organizację, przynajmniej ci dobrzy. Odszukanie szablonu zabrało Docowi tylko chwilę.

- Twój ojciec przykładał dużą wagę do swoich tatuaży - powiedział. - Nie pozwolił mi pisać bezpośrednio na skórze. Najpierw chciał zobaczyć szablon. A interpunkcja była jego prawdziwym konikiem!

Kursywa Doca Foresta była równa i bardzo czytelna. Wszyscy znani Jackowi mistrzowie branży mieli piękny charakter pisma. Szablon był nieco zakurzony, ale Jack bez trudu odczytał słowa, zwracając uwagę na staranną interpunkcję.

Córka komendanta; jej młodszy brat

- Mój pierwszy - oznajmił Doc, wskazując na średnik.

- To nie piosenka. Bardziej wygląda mi na opowieść - powiedział Jack.

- Cóż, twojemu tacie się spodobało. Mówię o tatuażu - wyjaśnił Doc.

- Skąd wiesz?

- Płakał - odparł Doc Forest.

Zdaniem Alice, po tym właśnie człowiek poznawał, że wykonał dobrą robotę.

28 • Niewłaściwy tatuaż

Pamięć dziecka bywa nie tylko zawodna, czasem nie zasługuje też na miano linearnej. Jack nie tylko „zapamiętał” rzeczy, które nigdy nie zaistniały, mylił się również co do porządku zdarzeń, splatając fikcję z rzeczywistością. Kiedy wraz z matką jadł w „Bristolu” kolację, nie był to ich pierwszy wieczór w Oslo, ale ostatni.

Do restauracji istotnie weszła wówczas para młodych ludzi. Wydawało mu się, że po raz pierwszy widzi, jak matka spogląda na zakochanych. Mężczyzna był atletycznie zbudowanym młodzieńcem z włosami do ramion, wyglądał jak gwiazda rocka, tylko był lepiej ubrany. Ścisłe rzecz biorąc, jego opis dokładnie zgadzał się z rysopisem Williama, przedstawionym przez Doca Foresta. Zona albo dziewczyna dosłownie nie mogła oderwać od niego oczu i rąk. (Jack zapamiętał nawet jej piersi).

Pamiętał też, jak zachęcał matkę, aby zagadnęła ich o tatuaż.

- Nie - odszepnęła. - Nie ich. Nie mogę.

Jack śmiało wziął sprawę w swoje małe ręce. Podszedł do pięknej dziewczyny i wypowiedział słowa, które po dziś dzień nieraz kołysały go do snu. „Czy masz tatuaż?”

Cóż, ów młodzieniec był naturalnie jego ojcem, o czym Jack nie miał bladego pojęcia. Alice umożliwiła Williamowi ostatnie „widzenie” przed wyjazdem do Helsinek. (Jack jeszcze nie wiedział, kim jest dziewczyna). Nikt, nie Alice, a już na pewno nie William, nie podejrzewał, że chłopiec podejdzie do młodych, a co gorsza ich zagadnie.

Co się z nim dzieje, pomyślał wtedy Jack. Wydawało się, że przystojnemu, długowłosemu mężczyźnie widok chłopca sprawia niemal ból: William spoglądał na Jacka, jakby pierwszy raz miał przed sobą dziecko. Lecz gdy tylko Jack kierował nań wzrok, mężczyzna odwracał oczy.

Gorycz w jego głosie kazała Jackowi spojrzeć nań uważniej, zwłaszcza kiedy ojciec powiedział: „Może innym razem”.

- Idziemy, mój mały aktorze - szepnęła Alice, a William przymknął oczy: nie chciał patrzeć, jak syn odchodzi.

Gdy w kwietniu 1998 roku Jack zameldował się w „Bristolu” i jadł samotnie kolację w cichej restauracji, uświadomił sobie, że w tym właśnie mrocznym wnętrzu przed laty zobaczył ojca.

- Może innym razem - powiedział William, na co Jack ujął matkę za rękę i pozwolił się odprowadzić.

William z pewnością widział go jeszcze nie raz, w Helsinkach, a potem w Amsterdamie, była to najprawdopodobniej jedyna okazja, kiedy Jack mógł odwzajemnić jego spojrzenie. I nawet nie wiedział, że ma przed sobą ojca!

Kim jednak była owa młoda kobieta, i dlaczego William ją przyprowadził? Czy naprawdę byli zakochani? William musiał wiedzieć, że zobaczy syna, po prostu się nie spodziewał, że chłopiec go zaczepi. Na to nie był przygotowany, podobnie zresztą jak Alice. Jack sprawił niespodziankę im obojgu.

Myśl, że tak dobrze zapamiętał spotkanie, przy czym pomylił się co do dokładnej daty, nieco zbiła go z tropu i wzbudziła wątpliwości w zakresie rzekomej chronologii wydarzeń. Skoro spotkał własnego ojca (oczywiście nie zdając sobie z tego sprawy) w ostatni wieczór pobytu w Oslo, kiedy wobec tego matka poznała Andreasa Breivika? Kiedy zaproponowała mu darmowy tatuaż? I kiedy odbyło się spotkanie z Ingrid Moe, piękną z wadą wymowy?

Wysiadając z taksówki przed głównym wejściem do „Bristolu”, Jack rozpoznał sylwetę katedry: kopułę w zielonkawym odcieniu spatynowanego mosiądzu, imponującą wieżę

zegarową. Postanowił iść tam z samego rana i porozmawiać z organistą. To, że organistą okazał się Andreas Breivik, było dlań tylko jedną z wielu niespodzianek.

W kościele zainstalowano nowe organy, nie był to niemiecki walcker z dwustu dwoma rejestrami. (Nie był to nawet instrument, którym go zastąpiono). Nowe organy okazały się instrumentem na swój sposób wyjątkowym, Andreas Breivik udzielił Jackowi na ich temat wyczerpujących informacji. Jeśli w chwili kiedy Alice go uwiodła, Breivik liczył sobie szesnaście lub siedemnaście lat, podczas spotkania z Jackiem w Domkirke nie mógł mieć więcej aniżeli czterdzieści pięć. Mimo to kreował się na maestra: sukces uderzył mu do głowy.

Po ładnym niebieskokookim blondasku nie zostało ani śladu. Mężczyzna o delikatnych rysach musi mieć się na baczności. Twarz Breivika była lekko obrzmiała, być może zaglądał do kieliszka. Wygłosił wykład na temat nowych organów, które zostały ukończone zaledwie na miesiąc przed przyjazdem Jacka przez Fina mieszkającego w Norwegii. (Jack miał w nosie organy i ich twórcę).

Wskazując pompatycznie na zielono-złoty instrument, od którego wprost bił blask, Breivik oznajmił:

- Zawdzięczamy je pogrzebowi króla Olafa Piątego. Styczeń 1991 roku, na zawsze zapamiętam tę datę. Stary Jørgensen był do niczego. Sam premier postulował zbiórkę pieniędzy na nowe organy.

- Rozumiem - odpowiedział Jack.

Andreas Breivik studiował muzykę chóralną w Stuttgarcie, a następnie pogłębił wiedzę w Londynie. (Nie miało to dla Jacka najmniejszego znaczenia, ale uprzejmie skinął głową: dla jego rozmówcy była to kwestia najwyższej wagi).

- Naturalnie widziałem pańskie filmy, wyborna rozrywka! Jednak odnoszę wrażenie, że nie poszedł pan w muzyczne ślady ojca.

- W żadnym razie - odparł Jack. - Wdałem się raczej w matkę.

- Jest pan wytatuowany?

- Nie. A pan?

- Na litość boską, w życiu! - oświadczył Andreas Breivik. - Pański ojciec był utalentowanym muzykiem, wspaniałym nauczycielem i pasjonującym człowiekiem. Ale tatuaże to jego sprawa. Nie rozmawialiśmy o nich. Nigdy ich nie widziałem.

- Proszę mi opowiedzieć, co się stało, panie Breivik. Nie mogę się w tym wszystkim połapać.

Jack przypomniał sobie sprzątaczkę w kościele i to, jak gwałtownie zareagowała na widok jego i matki. Jak również strzępy incydentu z Andreasem Breivikiem oraz wizytę Ingrid Moe, która zażyczyła sobie mieć złamane serce, a Alice wytatuowała jej całe. Po cóż jednak Alice domagała się rozmowy z dziewczyną i jakich informacji o Williamie udzielili jej Ingrid lub Andreas? Ojciec nie uciekł, matka nie próbowała go znaleźć. Czegóż takiego pragnęła się o nim dowiedzieć?

Podczas tej opowieści Andreas Breivik spuścił nieco z tonu: tutaj nie miał powodów do dumy i relacja kosztowała go niemało wysiłku. Lecz niespójne dotąd elementy układanki wreszcie ułożyły się w logiczną całość.

Po opuszczeniu Kopenhagi Alice i Jack zjawiali się wszędzie przed Williamem. Alice nie tylko wiedziała, że za nimi pojedzie (jego słabość do syna nie była dla niej tajemnicą), знаła również jego preferencje co do miejsca pobytu. Nie chodziło jedynie o kościół i organy, oświecił Jacka Breivik: owe spotkania wymagały wcześniejszych ustaleń. Zawsze istniał zarówno doświadczony organista, u którego pragnął terminować organista niedoświadczony, jak i kościół, gdzie wspomniany mentor dobierał sobie uczniów wedle własnych kryteriów.

Organista dopuszczał do siebie zaledwie garstkę uczniów: wybór padał na najbardziej utalentowanych studentów. Umiejętność czytania z nut bez przygotowania była nieodzowna.

Studenci o wąskich horyzontach bądź też tacy, którzy nie lubili pewnych uznanych kompozytorów, zwykle nie mieli większych szans, a u większości młodszych irytowało upodobanie do głośnej lub efekciarskiej muzyki.

- Człowiek musiał mieć w rękawie kilka atutów - oznajmił Andreas Breivik.

Chodziło mu o to, że należało myśleć przyszłościowo. Gdzie znajdował się następny organista, u którego chciałeś się uczyć? W jakim kościele? Na jakich grał organach? W tym świecie musiałeś być zarówno czeladnikiem, jak i mistrzem: jako ten pierwszy musiałeś udać się tam, gdzie później nie zabraknie ci uczniów. (Tylu, aby zapewnić sobie utrzymanie).

Tak to wyglądało: kiedy William jeszcze grał w cytadeli, myślał już o Szwecji i stażu u Torvalda Torena w kościele Hedvig Eleonory w Sztokholmie, kiedy zaś trafił do Sztokholmu, zamierzał (w końcu) jechać do Oslo, gdzie miał rozpocząć naukę u Rolfa Karlsena i grać w Domkirke.

Podczas pobytu w Kopenhadze Alice zajęła się ustaleniem „atutów” Williama. Dokądkolwiek miał się udać, ona chciała go uprzedzić i spokojnie czekać na jego przybycie. Następnie systematycznie niszczyła związki z ludźmi, których cenił sobie najbardziej. Zaczynała od przyjaciół, których poznał w kościele, może nawet od samego organisty mentora. Częściej jednak wybierała łatwiejsze cele: w Oslo padło na dwoje najlepszych uczniów Williama, Andreasa Breivika i Ingrid Moe.

Wbrew temu, w co od dwudziestu ośmiu lat wierzył Jack, jego ojciec nie uwiódł Ingrid Moe, która miała wówczas szesnaście lat i była narzeczoną młodego Andreasa Breivika. Uczucie połączyło ich jeszcze w dzieciństwie, grali nawet na tych samych instrumentach, najpierw na fortepianie, a następnie na organach. William bardzo ich ceniał, nie tylko z uwagi na talent i ciężką pracę, lecz również dlatego, że byli zakochani. (Pomny niedawnego związku z Karin Ringhof, William Burns darzył zakochanych muzyków wielkim szacunkiem).

- Pański ojciec był kimś więcej niż świetnym organistą i wspaniałym nauczycielem - oznajmił Andreas Breivik. - Wieści o smutnych wydarzeniach z Kopenhagi dotarły do Oslo jeszcze przed jego przyjazdem. Był postacią tragiczną.

- Zatem moja matka postanowiła uwieść pana? - spytał Jack.

Dawniej delikatna, obecnie obrzmiała twarz stężała.

- Znałem tylko Ingrid - odrzekł Breivik. - Młody mężczyzna, który miał w życiu jedną dziewczynę, jest szczególnie podatny na wpływ starszej kobiety, zwłaszcza kobiety z tak zwaną reputacją. Pańska matka ujęła to bez ogródek. Niby w żartach powiedziała do mnie: „Andreas, tak naprawdę jesteś po prostu odmianą dziewicy, prawda?”

- Gdzie zrobiłaś mu tatuaż? - zapytał mały Jack.

- Tam, gdzie nigdy tego nie zapomni - szepnęła, uśmiechając się do Andreasa. (Pewnie na mostku, pomyślał Jack. To tłumaczyłoby, dlaczego chłopak drżał pod jej dotykiem).

- Zakryj go na cały dzień - przykazał Jack Breivikowi, kiedy tamten wychodził. Wydawało się, że każdy krok sprawia mu niewypowiedziany ból. - To trochę jak oparzenie słoneczne. I pamiętaj o kremie nawilżającym.

Lecz Andreas nie miał o niczym pojęcia. Po jego wyjściu Alice wybuchnęła płaczem. „Gdyby coś wiedział, na pewno by mi powiedział”.

Chodziło jej o to, że Andreas Breivik nie miał pojęcia, jakie atuty kryje w zanadrzu William Burns: chłopak nie wiedział, dokąd jego nauczyciel zamierza dalej pojechać. Ale Ingrid Moe wiedziała i Alice nie omieszkała wkrótce poinformować dziewczyny, że spała z jej narzeczoną. Ingrid w życiu nie czuła się tak oszukana. Wada wymowy pogłębiała izolację szesnastolatki, kontakty z ludźmi kosztowały ją niemało wysiłku. Ingrid nie mogła wybaczyć Andreasowi zdrady. „Interwencja” Alice tylko pogorszyła sprawę.

Jack pamiętał niedzielę, kiedy matka zabrała do kościoła kartonik z napisem INGRID MOE. Jack zwykł sądzić, że na organach grał wówczas Rolf Karlsen, ponieważ wszyscy wychwalali organistę pod niebiosa, muzyka zaś brzmiała wyjątkowo pięknie.

Jednakże przy klawiaturze siedział William Burns. Była to jedyna okazja, kiedy mógł zagrać dla syna, lecz podobnie jak chłopiec nie wiedział, z kim ma do czynienia w restauracji hotelu „Bristol”, tak William nie zdawał sobie sprawy z obecności syna w kościele.

- Przykro mi, że cię skrzywdził - powiedziała Alice do Ingrid, kiedy dziewczyna przybyła do hotelu z prośbą o tatuaż przedstawiający złamane serce. Jednakże chodziło o Andreasa Breivika, a nie rzekomy romans Williama z Ingrid Moe.

Jack pamiętał również wadę wymowy, która mąciła nieskazitelną urodę dziewczyny. Prawie jej nie rozumiał, przez wiele lat też uważał ową skazę za przypadłość związaną z całowaniem. (Na myśl o ojcu całującym Ingrid Moe zalewała go nieodparta fala wstydu).

- Nie wytatuuję jego imienia - oznajmiła Alice.

- Nie chcę jego imienia - odrzekła przez zaciśnięte zęby Ingrid Moe, jakby się bała albo nie mogła obnażyć języka. Chciała tylko serce rozdarte na pół.

Zamiast tego Alice wytatuowała jej serce nienaruszone, o idealnie równym zarysie.

- Chciałam coś innego! - wybuchnęła Ingrid Moe.

- Zrobiłam ci to, co masz. Małe, idealne serce - zakomunikowała Alice.

- Nic ci nie powiem.

Powiedziała za to Jackowi. „Sibelius”. Nie chodziło o kompozytora, tylko nazwę szkoły muzycznej w Helsinkach, skąd pochodzili kolejni najlepsi uczniowie Williama. (W tym wypadku to oni odgrywali rolę rzeczonych atutów w zanadrzu).

- Ingrid porzuciła organy - poinformował Jacka Andreas. - Wróciła do fortepianu, bez większego powodzenia. Ja zostałem przy organach. Poczyniłem ogromne postępy - dodał nie bez dumy. - Małżeństwo Ingrid również okazało się porażką.

Jack spoglądał na organistę bez cienia sympatii: Andreas wydał mu się napuszony, wręcz okrutny.

- A pańskie małżeństwo? - spytał. - Nie ożenił się pan?

Andreas wzruszył ramionami.

- Zostałem organistą - wyjaśnił, jakby tylko to się liczyło. - Jeśli chce pan wiedzieć, jestem wdzięczny pańskiej matce. Ocaliła mnie od małżeństwa w chwili, kiedy i tak byłem na nie za młody. Życie osobiste pochłonęłoby czas, który musiałem poświęcić dla muzyki. Co do Ingrid, w wypadku małżeństwa z kimkolwiek najprawdopodobniej postawiłaby właśnie na życie osobiste. Gdyby wyszła za mnie, sytuacja zapewne przybrałaby identyczny obrót. Z góry była skazana na niepowodzenie, ot co.

Podobnie jak wiele znanych Jackowi osób, którym się w życiu udało, Andreas Breivik znał odpowiedzi na wszystkie pytania. Jack coraz bardziej pragnął porozmawiać z Ingrid Moe.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Pamiętam sprzątaczkę w kościele, starszą kobietę, władczą i elokwentną...

- Niemożliwe - oświadczył kategorycznie Breivik. - Sprzątaczkę nie są elokwentne. Chce pan powiedzieć, że mówiła po angielsku?

- Owszem - odpowiedział Jack. - I to nieźle.

- Wobec tego nie mogła być sprzątaczką - burknął z irytacją Andreas. - Pewnie nie zapamiętał pan jej nazwiska?

- Trzymała mopa, opierała się na nim, wymachiwała i używała jako wskaźnika - ciągnął Jack. - Nazywała się Else-Marie Lothe.

Breivik parsknął pogardliwym śmiechem.

- Chodzi o matkę Ingrid! „Władczą” to dobre określenie! Dobrześ pan to ujął. Ale Else-Marie nie była specjalnie elokwentną, a jej angielski pozostawiał wiele do życzenia.

- Nazywała się Lothe. Trzymała mopa - powtórzył Jack.

- Rozwiodła się z ojcem Ingrid i powtórnie wyszła za mąż - powiedział Andreas. - Miała laskę, a nie mopa. Złamała nogę w kostce, wysiadając z tramwaju przed katedrą. Jej stopa dostała się między tory. Kostka nie zrosła się należycie, stąd laska.

- Miała przesuszone ręce, jak sprzątaczką - argumentował słabo Jack.

- Była garnarką, typ artystyczny. Garnarze mają suchą skórę na rękach - wyjaśnił Breivik.

Nie trzeba dodawać, że Else-Marie nienawidziła Alice, po czym znienawidziła też Andreasa Breivika. (Jack specjalnie się temu nie dziwił).

Jack spytał Breivika o obecne nazwisko i adres Ingrid Moe.

- Szkoda zachodu - powiedział Andreas. - Nadal trudno ją zrozumieć. - Ale, koniec końców, podał Jackowi i nazwisko, i adres.

Zważywszy na okoliczności, Andreas Breivik wiedział o Ingrid znacznie więcej, niż zakładał Jack. Obecnie nazywała się Ingrid Amundsen.

- Po rozwodzie przeniosła się do mieszkania na trzecim piętrze przy Theresesgate, po lewej stronie ulicy, z widokiem na północ. To dwadzieścia pięć minut spacerem do centrum Oslo. - Breivik powiedział to z niezachwianym przekonaniem człowieka, który niejednokrotnie odmierzył ten czas. - Opoдал biegnie niebieska linia tramwajowa - dorzucił z wolną, jakby właśnie czekał na tramwaj. - Od czasu powstania nowego Rikshospitalet dodano trzy różne linie. Początkowo hałas przeszkadzał Ingrid, ale teraz pewnie nie zwraca na niego uwagi.

Ingrid Amundsen była nauczycielką gry na fortepianie, dawała lekcje w swoim mieszkaniu.

- Theresesgate to ładna ulica - uzupełnił Andreas, przymykając oczy, jakby mógł spacerować nią nawet we śnie (i spacerował). - Przy południowym końcu, opodal stadionu Bislett, leżącego zaledwie pięć minut drogi od domu Ingrid, znajduje się kilka kawiarni, przyzwoita księgarnia, a nawet antykwariat, no i sklep spożywczy. Bliżej Ingrid, po jej stronie ulicy, jest duży supermarket o nazwie Rimi. Obok przystanku Stensgate znajdzie pan też całkiem przyjemny warzywniak. Prowadzą go imigranci, chyba Turcy. Można tam kupić importowane specjały, marynowane oliwki, niespotykane gatunki serów. Wystrój skromny, ale cieszy oko. - Breivik w zamyśleniu zawiesił głos.

- Nigdy pan u niej nie był? - spytał Jack.

Breivik ze smutkiem pokręcił głową.

- To stary, czterokondygnacyjny budynek, zbudowany około 1875 roku. Należałoby wymienić to i owo. Znając Ingrid, zachowała oryginalne drewniane podłogi i sama zajęła się renowacją. Dzieci na pewno jej pomogły.

- W jakim są wieku?

- Córka jest starsza - odrzekł Breivik. - Żyje z facetem, którego poznała na studiach, ale nie mają dzieci. Mieszkają w Sofienberg, miejscu bardzo modnym i popularnym wśród młodych ludzi. Dziewczyna wsiada w tramwaj na Trondheimsveien i w ciągu dwudziestu minut jest u matki; rowerem może przebyć ten dystans w dziesięć lub piętnaście minut. Podejrzewam, że po urodzeniu dzieci będzie chciała porzucić centrum Oslo na rzecz na przykład Holmlii: to stosunkowo niedroga dzielnica, gdzie liczba Norwegów jeszcze dorównuje liczbie imigrantów.

- A syn?

- Studiuje na uniwersytecie w Bergen - odpowiedział Andreas Breivik. - Odwiedza matkę tylko podczas wakacji.

Powyższa rozmowa zmieniła nieco nastawienie Jacka do Breivika. Prawie obiecał organizację, że przyjdzie do niego ponownie po wizycie u Ingrid i dokładnie opíše wnętrze jej mieszkania, aby zaspokoić nieco jego ciekawość co do życia byłej narzeczonej. Lecz byłoby to

przejaw okrucieństwa. Andreas najprawdopodobniej nie znał stopnia zażyłości, jaka połączyła niegdyś tych dwoje.

Ingrid Moe miała szesnaście lat, kiedy Jack robił jej na piersi opatrunek z gazy posmarowanej wazeliną. Pamiętał, że taśma nie chciała przylgnąć do spoconej skóry.

- Robiłeś to kiedyś? - zapytała Ingrid.

- Pewnie - skłamał.

- A właśnie że nie - odpowiedziała. - Nie w tym miejscu.

Przyciskając gazę do jej piersi, czuł żar bijący od tatuażu: serce parzyło mu rękę przez opatrunek.

Podobnie jak Andreas Breivik, Ingrid Amundsen musiała mieć obecnie czterdzieści pięć lat.

- Jaka szkoda! - wykrzyknął nieoczekiwanie Andreas Breivik, omal nie przyprawiając Jacka o zawał. - Miała takie długie palce, wymarzone do gry na organach. Fortepian - wypluł z pogardą. - Jaka szkoda!

Jack pamiętał długie ręce i palce Ingrid. Zapamiętał też jej gruby jasny warkocz, który zwisał prawie do pasa, przecinając idealnie proste plecy. I małe piersi, zwłaszcza lewą, którą dotknął opatrunkiem.

Kiedy Ingrid Moe (obecnie Amundsen) mówiła, wciągała górną wargę, ukazując zaciśnięte zęby; napinała przy tym mięśnie szyi, wysuwając do przodu dolną szczękę, jakby chciała splunąć. Co za tragedia, myślał wówczas, że w tej pięknej dziewczynie następuje równie drastyczna zmiana, a pozornie nieskomplikowana czynność powoduje tak niewyobrażalną brzydotę.

Jack bał się trochę ponownego spotkania.

- Ta dziewczyna to kusicielka - zawyrokowała Alice dwadzieścia osiem lat wcześniej.

- Masz oczy i usta ojca - szepnęła Ingrid, lecz wada wymowy zniekształciła zdanie. (Słowo „usta” zabrzmiało tak, jakby się rymowało z wyrazem „dach”).

Jack myślał, że zemdleje, kiedy go pocałowała. Rozchyliwszy usta, stuknęła zębami o zęby chłopca; Jack pamiętał, jak usilnie zachodził w głowę, czyjej przypadłość nie jest aby zaraźliwa.

Czy miała jakiś problem z językiem? Pewnie przyczyna tkwiła w czymś zupełnie innym. Nie zapytał Andreasa Breivika o źródło jej skazy, naturalnie Ingrid też nie zapyta.

Zadzwoił do niej z „Bristolu”, pełen obaw, że nie zechce się z nim spotkać. Pewnie wolałaby nie pamiętać tamtych wydarzeń. No dodatek próba podstępu spełzła na niczym i Jack zrobił z siebie durnia. (Ładny z ciebie aktor, powiedziałyby Emma).

Kiedy Ingrid Amundsen odebrała telefon, słowa wypowiedziane po norwesku kompletnie zbiły Jacka z pantafelku. A niby jak miała mówić, przecież znajdowali się w Oslo!

- Halo? Jestem Amerykaninem, który na czas nieokreślony przybył do Oslo -wypalił, jakby spotkało go coś znacznie gorszego aniżeli wada wymowy. - Chciałbym kontynuować naukę gry na fortepianie.

- Jack Burns - powiedziała Ingrid. Jack prawie nie rozpoznał własnego nazwiska. - Kiedy człowiek mówi tak jak ja - ciągnęła - pilnie nasłuchuje głosów innych ludzi. Wszędzie rozpoznałabym twój głos, Jacku Burns. Z ludźmi, którzy mówią normalnie, łączy mnie chyba głównie to, że też widziałam wszystkie twoje filmy.

- Aha - odparł Jack, jakby znowu miał cztery lata.

- Jeśli zaś grasz na fortepianie, Jack, pewnie robisz to lepiej niż ja. Wątpię, żebym mogła cię czegokolwiek nauczyć.

- Nie gram - wyznał. - Moja matka nie żyje, ojca nie znam. Chciałbym o nim z panią porozmawiać.

Usłyszał, że Ingrid płacze, nie był to miły dźwięk. Nawet jej płacz nie brzmiał normalnie.

- Cieszę się, że twoja matka nie żyje! - powiedziała. - Chyba wyprawię z tej okazji przyjęcie! Chętnie porozmawiam z tobą o ojcu, Jack. Przyjedź, poświęcimy.

Przypomnił sobie, jak odprowadzał ją wzrokiem, kiedy podążała długim hotelowym korytarzem. Od tyłu nie wyglądała jak dziecko, odchodziła od niego jak kobieta. I ten głos, głos szesnastolatki, która wkrótce skończy trzydzieści pięć lat.

Pomimo deszczu Jack spędził kwadrans przed domem Ingrid na Theresesgate, na szczęście pod parasolem. Taksówka przywiozła go wcześniej, niż zamierzał. Ingrid zaprosiła go na piątą, wtedy to kończyła ostatnią lekcję. Podniósłszy wzrok znad zegarka, Jack ujrzał dwunasto-, może trzynastoletniego chłopca, który wychodził z budynku. Jack uznał, że trzynastolatek wygląda na adepta gry na fortepianie: delikatny, trochę rozmarzony, nieodparcie nasuwał myśl, że lekcje nie były do końca jego pomysłem.

- Przepraszam - zagadnął go Jack. - Czy grasz na fortepianie? - Chłopiec zrobił przerażoną minę; wyglądał jakby zamierzał rzucić się do ucieczki. - Przepraszam za wścibstwo - pośpieszył z wyjaśnieniem Jack. - Przyszło mi do głowy, że wyglądasz na muzycznego chłopca. W każdym razie w żadnym wypadku nie przerywaj nauki. Nie rezygnuj! Nie masz pojęcia, jak bardzo żałuję, że przestałem grać.

- Spierdalaj! - wypalił chłopiec, idąc tyłem. Ku zdumieniu Jacka mówił z angielskim akcentem. - Wyglądasz jak ten palant Jack Burns. Spierdalaj!

Jack patrzył, jak nastolatek biegnie w kierunku przystanku tramwajowego Stensgate. Przyszło mu do głowy, że musi być w wieku Nielsa Ringhofa, kiedy tamten przespał się z jego matką. Nacisnął guzik domofonu. AMUNDSSEN. Żadnego imienia ani choćby inicjału.

Czekała go wspinaczka na trzecie piętro, ale nawet snob pokroju Andreasa Breivika doceniłby widok, który rozciągał się z okien mieszkania Ingrid. Kuchnia i dwie mniejsze sypialnie wychodziły na Stensparken, schludnie wyglądający park usytuowany na wzgórzu. Ingrid pokazała mu Fagerborg Kirke, stojący na południowym krańcu parku: kościół, do którego chodziła w każdą niedzielę. Powiedziała Jackowi, że w niedzielne poranki bicie dzwonów rozchodzi się po całej okolicy.

- Tamtejszy organista nie dorasta do pięt twojemu ojcu ani Andreasowi Breivikowi - oznajmiła - ale dla prostej nauczycielki gry na fortepianie jak ja to i tak mistrzostwo świata.

Nauczyła się podczas rozmowy zasłaniać usta długimi palcami bądź lekko odwracać głowę. Nieustanny ruch ramion, jakby dyrygowała niewidzialną orkiestrą, emanował wdziękiem; była o głowę wyższa niż Jack, nawet w białych sportowych skarpetkach. (Kazała mu zdjąć buty przy drzwiach).

Breivik nie mylił się co do podłóg: Ingrid zachowała oryginalne deski. Syn pomógł jej usunąć stare warstwy lakieru. Kuchnia była najładniejszym pomieszczeniem w całym domu, przebudowano ją we wczesnych latach dziewięćdziesiątych. („Kredens i szafki z IKEA, nic specjalnego” - wyjaśniła Ingrid). Kuchnię utrzymano w bieli i błękitach; znalazło się tam miejsce do pracy oraz stół z trzema krzesłami. Pełniła również funkcję jadalni.

W salonie wychodzącym na ulicę znajdował się stary kominek. Zachowano oryginalną sztukaterię. Fortepian stał pod ścianą obwieszoną zdjęciami przedstawiającymi głównie członków rodziny. Największa z trzech sypialni, sypialnia Ingrid, też wychodziła na ulicę, a nie na park.

- Park nocą to bardzo samotne miejsce - wyjaśniła Jackowi - poza tym dzieci wołały okna właśnie na tamtą stronę. W tym mieszkaniu nie było miejsca na żadne trudne decyzje. - Miała interesujący sposób mówienia, oczywiście nie licząc wady wymowy.

Gruby warkocz zniknął, obecnie włosy nie sięgały ramion. Były wciąż jasne i widniały w nich nieliczne srebrne pasma. Ingrid nosiła dzinsy oraz (podobnie jak kiedyś panna Wurtz) flanelową męską koszulę, być może jedną z ulubionych syna.

- Włożyłam ją dla ciebie, jest taka amerykańska - oznajmiła, skubiąc materiał długimi palcami. - W tym mieszkaniu nigdy się nie stroję ani nie nakładam makijażu. - (Jack uznał to

za kolejną nieskomplikowaną decyzję). - Gdybym to robiła, mogłabym niepotrzebnie denerwować uczniów.

Jack powiedział, że chyba spotkał jednego z nich i niechcący go zdenerwował.

- Anglik, dwanaście, trzynaście lat? - rzucił.

Ingrid z uśmiechem skinęła głową. Wielu spośród jej uczniów pochodziło z rodzin dyplomatów, rodzice chcieli zainteresować dzieci kulturą.

- Żeby nie zeszły na złą drogę - uzupełniła. - Dobry powód, aby grać na fortepianie.

Jack spytał, czy dla niego zagra, ale pokręciła głową przecząco. Ściany mieszkania nie były wygłuszone, sąsiedzi słyszeli każdy dźwięk. Po piątej przestawiała grać, a pierwsi studenci przychodzili nie wcześniej niż o dziewiątej, częściej dziesiątej rano.

Usiedli w kuchni, Ingrid zaparzyła herbatę. Miała lekko zapadnięte policzki, lecz wciąż była piękna. Jej twarz zatraciła dziecinne rysy, a długie kończyny i szerokie biodra zawsze nadawały jej kobiecy wygląd. Jako matka dwójki dzieci bardziej zasługiwała na miano przystojnej aniżeli ładnej; fotografie syna i córki były rozsiane po całym domu, nie tylko na ścianie za fortepianem.

Jack spostrzegł na niektórych zdjęciach mężczyznę o miłej aparycji, pozującego wraz z dziećmi, kiedy były młodsze; na niektórych fotografiach był marynarzem, na innych trzymał narty. Jack domyślił się, że to pewnie były mąż Ingrid: według definicji Emmy, „miły” znaczyło tyle samo co „normalny”. Ingrid też wydawała się normalna, w najlepszym tego słowa znaczeniu.

- Nie powinnam była mówić, że cieszę się ze śmierci twojej matki. To okropne powiedzieć coś takiego do syna! - zawołała. - Przepraszam.

- Nie przepraszaj - odrzekł Jack. - Rozumiem.

- Znienawidziłam ją dwukrotnie - oświadczyła Ingrid. - Najpierw za to, co mi zrobiła, za uwiedzenie Andreasa. Boże, jak ja jej nienawidziłam. Kiedy jednak na świat przyszedły moje dzieci, kiedy miały tyle samo lat co ty, kiedy cię poznałam, znienawidziłam ją ponownie za to, co zrobiła tobie. Najpierw nienawidziłam jej jako kobieta, potem jako matka. Żadna kobieta nie stawia własnych potrzeb ponad potrzeby rodzonych dzieci, ale ona tak. Nie myślała o tobie, że pozbawia cię ojca. Miała na uwadze wyłącznie siebie.

Jack nie wiedział, co odpowiedzieć. Ingrid z całą pewnością się nie myliła. Nie umiał podważyć prawdziwości jej słów ani z przekonaniem przyznać jej racji. Cóż mógł wiedzieć o dzieciach, o tym, jak człowieka zmieniają?

- Masz jeszcze trzeci powód - powiedział wreszcie. - Tatuaż. Pamiętam, że zrobiła ci inny, niż chciałaś.

Ingrid roześmiała się; jej śmiech brzmiał bardziej naturalnie niż płacz. Zwinnie krążyła po kuchni, otwierając lodówkę i wykładając jedzenie na stół. Jack zrozumiał, że przygotowała zimną kolację: rybę w sosie musztardowym, sałatkę ziemniaczaną z ogórkiem i koperkiem oraz kromki ciemnego żytniego chleba.

- Cóż, to tylko tatuaż. Nie był specjalnie przełomowy - skwitowała. - Ale byłam dumna, że jasno określiłam swoje oczekiwania. Wiedziałam, że to jej się nie spodoba. „Całe serce”, powiedziałam. „Serce, które będą chciały kiedyś dotknąć moje dzieci. Nienaruszone, jak moje własne. Niech tylko będzie trochę mniejsze niż zwykle. Mam małe piersi”. Uznałam, że to bardzo odważne z mojej strony, zwłaszcza że tak naprawdę miałam serce w kawałkach. Oni je złamali, ale nie chciałam dać Alice satysfakcji.

- Co powiedziałaś? - spytał Jack. To nie była kwestia wady wymowy, rozumiał ją doskonale. - Czy nie prosiłaś o złamane serce?

- Złamane? A na co komu ono? - wykrzyknęła. - Poprosiłam twoją matkę o serce, które miałam, zanim wypieprzyła Andreasa! - Ingrid przystąpiła do zapalania świecy, nakrycia były już rozłożone. Nie zapaliła światła: półmrok i widok na Stensparken bardziej jej odpowiadały.

- Ta suka zrobiła mi złamane serce! -dorzuciła Ingrid. - Tak brzydkie, jak tylko można sobie wyobrazić. Cóż, sam zakładałeś opatrunek, Jack. Musisz pamiętać.

- Zapamiętałem odwrotną sytuację - odparł Jack. Ingrid nalała sobie wina do kieliszka. (Jakimś cudem wiedziała, że Jack nie pije; później przyznała, że wyczytała o tym w wywiadzie). - Pamiętam, że prosiłaś o serce rozdarte na pół, a matka zrobiła ci całe.

- Tak, jasne - prychnęła Ingrid. Stała przy krześle Jacka i rozpięła flanelową koszulę. Nie miała pod spodem stanika. (Wyobraził sobie pannę Wurtz w identycznej koszuli, jak rozpinają przed Williamem).

Nawet o zmierzchu, w mętym blasku świecy złamane serce Ingrid Amundsen wyglądało niby świeża rana: poszarpana wyrwa przecinała je ukośnie na pół. Krwistoczerwone krawędzie nosiły ciemniejszy odcień niż samo serce i zostały mocniej zaznaczone niż kontur. Jack w życiu nie widział brzydszego tatuażu autorstwa matki, ale Ingrid wydawała się pogodzona z sytuacją.

- Wiesz co? - powiedziała, zapinając koszulę. - Moje dzieci naprawdę je uwielbiały! Uwielbiały go dotykać! Koniec końców zrozumiałam, że twoja matka dała mi serce, które miałam obecnie, a nie dawniej. O ileż potworniejsze byłoby paradować z sercem, po którym nie zostało nawet śladu. Alice zrobiła mi przysługę, oczywiście nieświadomie. - Ingrid usiadła przy stole i nałożyła mu jedzenie na talerz. - Bon appétit, Jack - powiedziała. - Kiedy oglądam cię w filmach, myślę o tym, jak dumny musi być z ciebie twój ojciec. I jaką męką musiało to być dla twojej matki.

- Męką? Dlaczego? - spytał.

- Ponieważ wreszcie musiała się tobą dzielić - odrzekła Ingrid. - Nigdy tego nie potrafiła, Jack.

Jedzenie smakowało wybornie i Jack jadł z apetytem. Wydało mu się dziwne, że Ingrid nie nastawiła żadnej muzyki, lecz muzyka nigdy nie pełni dla muzyków roli tła.

- Twój ojciec był bardzo religijny - oznajmiła Ingrid, kiedy pomagał jej zmywać naczynia. - Trudno grać w kościele i nie być, chociaż ja nie byłam. Stałam się bardziej religijna, kiedy wróciłam do fortepianu; siłą rzeczy grałam w domu.

- Co to znaczy „bardzo religijny”? - zapytał Jack.

- Po incydencie z Andreasem i twoją matką powiedział: „Znajdź kogoś, poświęć się dla tej osoby, miej dziecko lub dzieci, chwal Boga”. Nie żebym kiedykolwiek zastosowała się do tych rad! Ale to właśnie usłyszałam, naprawdę w to wierzył. Cóż, urodziłam dzieci, chwale Boga. Tak jest dobrze.

- Zatem ty też jesteś religijna - zauważył Jack.

- Owszem, ale nie tak, jak twój ojciec.

- Opowiedz mi więcej o jego religijności - poprosił.

- Weźmy na przykład twoją matkę - rzuciła z lekkim zniecierpliwieniem Ingrid. - On jej wybaczył. Ja nie.

- Wybaczył?

- Próbował walczyć, ale to odbiło się rykoszetem. Nie podjął kolejnej próby - oznajmiła.

Wada wymowy wydawała się znikoma albo Jack przestał zwracać na nią uwagę. Ingrid wyglądała na okaz zdrowia.

Poszła do salonu, po czym wróciła do kuchni, niosąc zdjęcie.

- Ładna, prawda? - zapytała. Jack rozpoznał piękną dziewczynę z fotografii: była to ta sama kobieta, którą William przyprowadził do „Bristolu”.

- Zapytałem ją, czy ma tatuaż - powiedział.

- I to był właśnie ów rykoszet - oznajmiła Ingrid. - Twój ojciec nie podejrzewał, że ich zagadniesz. Czuł się okropnie.

- Co to za dziewczyna?

- Moja siostra, aktorka - odrzekła Ingrid. - Nie jest gwiazdą filmową jak ty, ale w Norwegii jest dosyć sławną aktorką teatralną. Namówiłam Williama, żeby ją ze sobą zabrał. Pomyślałam, że twoja matka dostanie nauczkę. Zawsze narzucała mu te swoje warunki. W Kopenhadze, a potem w Sztokholmie, mówiła nawet, kogo ma ze sobą przyprowadzać!

- Tak, wiem.

- Poradziłam mu więc, żeby zabrał moją siostrę. Miała udawać, że jest w nim zakochana. „Niech ta suka pomyśli, że się kochacie - powiedziałam. - Niech pomyśli, że kłamstwa, które naopowiadała Jackowi, wreszcie stały się prawdą!”. Ale wtedy ty podszedłeś i nie wiedzieli, jak się zachować. Oczywiście Alice zagrała skrzywdzoną i zaraz cię wyprowadziła. Jak zawsze.

- Tak.

- William powiedział: „Może przebaczenie odniosłoby lepszy skutek, Ingrid”. Ale ja mu na to, że w wypadku Alice nie skutkowało zupełnie nic. Prawda, Jack?

- Prawda - potwierdził.

- „Bóg chce, żebyśmy sobie wybaczyli”, uzupełnił twój ojciec. Tyle mogę powiedzieć o jego religijności.

Zrobiło się ciemno, w Stensparken nastała samotna część nocy, a świeca na kuchennym stole stanowiła jedyne źródło światła w mieszkaniu.

- Popatrz, jak ciemno, Jacku Burns - szepnęła Ingrid, nachylając się nad Jackiem i dotykając jego ucha zaciśniętymi zębami. - Dla mnie nadal jesteś małym chłopcem. Nie mogę cię wypuścić w taką noc.

Pomimo zniekształconych słów ostatnie zdanie zabrzmiało jak kolejna z cyklu nieskomplikowanych decyzji.

Całowanie Ingrid Amundsen było prawie normalne: wprawdzie przy przelykaniu wydawała dziwne odgłosy, nie były wszelako niemiłe. Jack dotknął poszarpanego serca na jej małej lewej piersi, tam gdzie z taką uciechą dotykały go w dzieciństwie córka i syn Ingrid.

Ingrid praktycznie nie miała piersi, a błękitne żyły na przedramionach odcinały się na złocistym tle skóry, dokładnie tak, jak zapamiętał. Inna niebieska żyła, biorąca początek na szyi, biegła pomiędzy piersiami. Pulsowała przy tym z lekka, jakby pod skórą kryła się jakaś odrębna istota. Może to ona zniekształcała słowa płynące z ust Ingrid. Przynajmniej żyły zapamiętał jak należy.

- Zastanawiałam się kiedyś, które z nas jest bardziej upośledzone, ale chyba żadne, prawda? - zapytała. Jej biedny głos zabrzmiał przerażająco.

- Tak mi się wydaje - potwierdził Jack, ale co do siebie nie był wcale taki pewien. Na temat Ingrid nie miał zdania. Otaczała ją aura melancholijnej rezygnacji. Jack z przykrością pomyślał o jej pierwszych spotkaniach z ludźmi, jaki musiały mieć na nią wpływ. Złościł się nawet na myśl o jej synu, który wyjechał na uniwersytet w Bergen. Nie mógł zostać w Oslo i częściej widywać matki?

Mimo to życie Ingrid i jego pozornie uporządkowana struktura w oczach Jacka bardziej zasługiwała na sympatię niż życie Andreasa Breivika, jakiegokolwiek ono było. Opinia Breivika, jakoby Ingrid poniosła porażkę na całej linii, uderzyła Jacka jako błędna i arogancka. Lecz Andreas znał Ingrid lepiej niż Jack. Była piękną, acz na swój sposób ułomną kobietą: Alice bez trudu wmówiła synowi romans pomiędzy nią a Williamem. (Któż nie chciałby mieć z nią romansu?).

- Nigdzie nie było tak źle, jak w Kopenhadze - powiedziała Ingrid - lecz stosunki z twoją matką nigdy nie uległy poprawie. W każdym razie nie w Helsinkach. Alice była tam nie do zniesienia. Ale i tak nie dopięła swego. Wydaje mi się, że w Helsinkach zaczęła tracić impet.

- Jack podzielał jej zdanie.

- Co się stało w Helsinkach? - zapytał.

- Nie znam szczegółów, Jack. Wiem tylko, że Alice chciała skłócić parę lesbijek, ale jej się nie udało. Obie z nią spały. Nie wiem, czy było dobrze, czy źle, w każdym razie ze sobą nie zerwały!

- O kim mówisz?

- Studentki muzyki, dwie najlepsze uczennice twojego ojca, podobnie jak Andreas i ja. Jedna była organistką, druga wiolonczelistką.

- Ritva i Hannele były lesbijkami? - zdumiał się Jack.

- Imiona brzmią znajomo - odrzekła Ingrid. - Sęk w tym, Jack, że twoja matka kolejny raz nie osiągnęła swego celu. Ale ojciec też nie.

- Utrzymywałaś z nim kontakt?

- Dopóki nie wyjechał do Amsterdamu. Cokolwiek tam się stało, nie dostałam na ten temat żadnej relacji. Po wyjeździe z Helsinek wszelki słuch o nim zaginął.

Pocałunki stały się bardziej intrygujące, wada była zauważalna głównie podczas rozmowy. Usta kobiety kryły nieokreśloną, acz wyczuwalną może nie ułomność, lecz drobny defekt w postaci mimowolnego drżenia warg. Jack uznał go za nader pobudzający.

Pytanie wydawało się nie na miejscu, ale nasunęło mu się nieodparcie, kiedy wspomniała o korespondencji z Williamem. Po prostu musiał je zadać.

- Czy łączyło cię coś z moim ojcem, Ingrid?

- Też mi pytanie, niegrzeczny! - zawołała ze śmiechem. - Był uroczym mężczyzną, ale zupełnie nie w moim typie. Przede wszystkim mógłby być wyższy.

- Był niższy ode mnie? - spytał Jack.

- Może trochę, ale niewiele. Oczywiście nigdy nie byłam z nim na leżąco! - dorzuciła, znowu wybuchając śmiechem. Następnie chwyciła Jacka za penis, co - jak wiedział z doświadczenia - oznaczało wyraz zniecierpliwienia takim bądź innym zwrotem w rozmowie.

- Czyli ja też nie jestem w twoim typie?

Ingrid dalej się śmiała: był to najbardziej naturalny dźwięk, jaki była w stanie z siebie wydać (nie licząc gry na fortepianie).

- Mam inne powody, aby chcieć się z tobą przespać - odparła.

- Jakie?

- Powiem ci, kiedy skończymy - odrzekła. - Później, obiecuję. - W jej zniekształconym głosie pojawiło się coś więcej aniżeli zwykle zniecierpliwienie. W odpowiedzi ucałował jej tatuaż, co przyjęła z wyraźnym zadowoleniem.

Rano obudził ją, powtórnie całując tatuaż; złamane serce wyglądało, jakby nadal broczyło krwią. Ingrid uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

- Nie przerywaj - powiedziała. Posłusznie zastosował się do jej prośby. - Rób to dalej, a powiem ci, co myślę o piekle. - Otworzyła oczy, jakby wspomniany temat stanowił dla niej źródło objawienia. Jack dalej całował złamane serce.

- Jeżeli skrzywdzisz kogoś świadomie, idziesz do piekła - oświadczyła Ingrid.

- Tam musisz oglądać ludzi, których skrzywdziłeś, którzy jeszcze żyją. Jeśli dwoje skrzywdzonych przez ciebie ludzi znajdzie się blisko siebie, musisz uważnie obserwować ich poczynania, ale ich nie słyszysz. Wszyscy w piekle są głusi. Oglądasz swoje ofiary, nie wiedząc, o czym mówią. Jako że jesteś w piekle, wyobrażasz sobie, że mówią o tobie, nie możesz myśleć o niczym innym. Całuj mnie wszędzie, Jack, nie tylko tam. - Całował ją wszędzie, znowu się kochali. - Twoja matka ma za sobą koszmarną noc - oznajmiła Ingrid. - Ani na chwilę nie zmrużyła oka. Patrzy.

Jack ponownie zasnął, po czym obudził się na dźwięk fortepianu. W mieszkaniu unosił się zapach kawy. Jack wstał z łóżka i poszedł do salonu, gdzie Ingrid siedziała nago przy instrumencie, lekko uderzając w klawisze.

- Miło tak się obudzić, prawda? - zapytała, wciąż odwrócona do niego plecami.

- Owszem - odpowiedział.

- Ubieramy się i musisz iść - powiedziała. - Zaraz przyjdzie mój pierwszy uczeń.

- Dobrze - odrzekł, kierując się z powrotem w stronę sypialni.

- Najpierw chodź tutaj i mnie pocałuj - poprosiła Ingrid. - Niech suka ma za swoje.

Jack nie znał się na religii. Wyglądało na to, że jego ojciec umiał wybacząć. W przeciwieństwie do Ingrid Moe (obecnie Amundsen), która nie wybaczyła ani Andreasowi, ani Alice. Całując jej zniekształcone usta, pomyślał, że również nie jest do tego zdolny.

Pomyślał też, że matka pewnie żałuje w piekle, że zrobiła Ingrid niewłaściwy tatuaż.

29 • Prawda

Jack nigdy nie obejrzał reszty Finlandii. Przez całą drogę z lotniska do centrum Helsinek panował mrok. Był kwiecień, ale na niebie wisały śniegowe chmury: jeden, dwa stopnie mniej i deszcz zamieniłyby się w śnieg.

Zameldował się w hotelu „Torni”, podziwiając duże okrągłe pomieszczenie na pierwszym piętrze, pełniące funkcję westybulu. Zapamiętał je jako „Bar Amerykański”, miejsce rozrywki młodych szaleńców, w tym również odważnych dziewcząt. Wiekowa winda, „czasowo nieczynna” podczas ich pierwszego pobytu, obecnie działała jak należy.

Pomimo że „Bar Amerykański” przestał istnieć, do „Torni” nadal chętnie zaglądali młodzi ludzie. Na parterze znajdował się irlandzki bar o nazwie „U O'Malleya”: wszędzie koniczynki, guinness z kija. Nie było to najlepsze miejsce dla ludzi pokroju Jacka Burnsa: przesiadywało tu więcej kinomanów niż w „Coconut Teaszer”. Ale Jack nie był głodny, przespał się w samolocie. Nie chciało mu się jeść ani spać.

W pubie grał na żywo całkiem przyzwoity zespół irlandzkich muzyków: skrzypek, gitarzysta oraz wokalista, który przedstawił się jako wielbiciel Yeatsa. Od piętnastu lat mieszkał w Finlandii.

W przerwach pomiędzy utworami Jack rozmawiał z członkami zespołu. Młodzi Finowie z baru wstydzili się go zagadnąć, ale przez cały czas znajdował się pod czujną obserwacją. Kiedy muzycy wrócili do pracy, do Jacka podeszły dwie młode Finki. Nie wyglądały na szczególnie odważne, były wręcz nieśmiałe. Nie wiedział, czego oczekują ani do czego zmierzają. Jedna zaczęła z nim flirtować, po czym przestała i jej miejsce zajęła druga.

- Nie sposób tańczyć do takiej muzyki - zauważyła ta, która przestała flirtować.

- Wyglądasz, jakbyś nie potrzebował do tańca muzyki - dorzuciła ta, która flirtowała zaczęła.

- Zgadza się - odparł.

- Pewnie myślisz, że coś sugerowałam - powiedziała.

Jack nie zamierzał mieć wspomnienia Ingrid Moe, idąc do łóżka z jedną z Finek albo z obiema. Doszedł do wniosku, że zgłodniał na tyle, iż mógłby coś przetrącić. Kiedy jednak pożegnał się z dziewczętami, jedna z nich rzuciła: „Wygląda na to, że szukasz czegoś innego niż my”.

- Szczerze powiedziawszy - odparł Jack - szukam dwóch lesbijek. - Że też tak wyborna kwestia musiała mu się trafić akurat w irlandzkim pubie w Helsinkach!

Poszedł do recepcji i spytał odźwiernego, czy w mieście nadal znajduje się restauracja o nazwie „Salve”.

- Kiedyś była popularna wśród marynarzy - dodał.

- Już nie jest - odpowiedział odźwierny. - Nie jestem pewien, czy to odpowiednie miejsce dla Jacka Burnsa. To lokal miejscowych. - (Zważywszy na tłum kinomanów „U O'Malleya”, Jack poczuł ulgę, że zameldował się jako Jimmy Stronach).

Wróciwszy do pokoju, przebrał się w ubranie, które Leslie Oastler nazwała „odpowiednim do salonu tatuażu”, czyli w dżinsy i czarny golf. Pani Oastler zapakowała mu również skórzaną kurtkę Emmy. Miała za długie rękawy, ale Jack bardzo ją lubił.

Kiedy wchodził do „Salve”, staroświeckiej restauracji, serwującej stosunkowo proste, „domowe” posiłki, chłód panujący na zewnątrz nadal niósł zapowiedź śniegu. Jeśli (jak sobie niegdyś wyobrażał) Helsinki nieuchronnie zsyłają na człowieka zwątpienie, zrozumiał w lot ostrzeżenie odźwiernego. Z pewnością niektórzy miejscowi należeli do grona kinomanów: może po prostu nie przepadali za filmami Jacka Burnsa.

Kelnerki były dokładnie takie, jak zapamiętał: zapracowane i raczej leciwe. Przypomniał sobie twardą sztukę, która była żoną chałturzysty Sarniego Salo; mimo upływu dwudziestu

ośmiu lat pasowałaby tu jak ulał. Miała odwagę powiedzieć do Alice „skarbie”. Jack zastanawiał się, czy przyczyną ich utarczki istotnie była nielegalna działalność Alice, przez którą cierpiał interesy Sarniego.

Zapamiętał panią Salo (jeżeli tak się nazywała) jako niską, przysadzistą kobietę w przyciasnym ubraniu. Krzywiła się przy każdym kroku, jakby bolały ją nogi, a jej tłuste ramiona trzęsły się jak galareta.

Usiłował nie zatrzymywać na nikim wzroku, a już na pewno nie patrzył nikomu w oczy. Kiedy usiadł przy zabrudzonym stoliku, podeszła kelnerka z mokrą ścierką. Jack unikał również jej wzroku. Dla odmiany była przeraźliwie chuda (choć może tylko ramiona pani Salo były grube, nie pamiętał). Chuda kelnerka miała zgarbioną sylwetkę i ziemistą cerę, lecz pociągnęła twarz i kocie oczy dodawały jej uroku. Stanąwszy na wprost Jacka, wysunęła do przodu jedno biodro, tak jakby też miała zmęczone nogi.

- Mam nadzieję, że na kogoś czekasz - zagadnęła. - Chyba nie przyszedłeś sam, prawda?

- Czyżby to było niewskazane? - zapytał.

- Dla ciebie owszem - odparła. - Byłoby bezpieczniej, gdybyś się zjawił w przebraniu dziewczyny.

- Miałem nadzieję, że mi powiesz, gdzie mógłbym sobie zrobić tatuaż - powiedział. - Dawniej tutaj należało o to pytać.

- To ja zadaję pytania - odrzekła. - A tak na serio, skoro na nikogo nie czekasz, lepiej nie wychodź stąd sam.

- A tatuaż?

- Aktorzy nie powinni robić sobie tatuaży - oświadczyła. - W scenach rozbieranych to fatalnie wygląda.

- Od czegoż mamy charakteryzację?

- Po tatuaż też nie powinieneś iść sam - orzekła kelnerka. - Przyjechałeś tu kręcić film?

- Właściwie to szukam dwóch lesbijek. Ale zacznę od tatuażu.

Kelnerka wreszcie się uśmiechnęła; brakowało jej górnej trójki, pewnie dlatego wołała zaciskać usta.

- Jeśli jesteś sam, ja pójdę z tobą do domu - powiedziała. - Z lesbijkami wiele nie zdziałasz. - Widziała, że usilnie o tym rozmyśla: kolejna okazja na zbliżenie. Lecz Jacka nieoczekiwanie ogarnęło znużenie, pragnął jak najdłużej zatrzymać wspomnienie Ingrid Moe.

- Nie mogłabym być twoją matką - dodała. - Tylko tak wyglądam.

- Nie o to chodzi. Jestem zmęczony - wyjaśnił. - Mam za sobą męczącą podróż.

- Skoro tu trafiłeś, wierzę ci na słowo.

- Poproszę pstrąga - powiedział Jack.

- Co do picia?

- Ja nie piję.

- Przyniosę ci piwo - odpowiedziała. - Możesz udawać, że je sączysz.

Było to roztropne posunięcie, ponieważ miejscowi nie przestawali do niego przepijać. Ich toasty były niepokojące, a nawet wrogie, bardziej prowokujące aniżeli przyjacielskie. W odpowiedzi Jack unosił kufel i udawał, że przelityka. Nie zauważyli, że zawartość jego kufla nie zmniejsza się ani o milimetr, a może mieli to w nosie. Jeśli w Finlandii znajdowali się fani Jacka Burnsa, skutecznie maskowali uwielbienie.

Jack nie wrócił do hotelu z kelnerką. Potraktowała to z humorem. Kazała mu zaczekać przy stole, po czym wezwała taksówkę. Pozwoliła mu wyjść, dopiero gdy samochód stanął przy wejściu; ba, odprowadziła go do drzwi, nie puszczaając przy tym jego ręki.

- Mam na imię Marianne. W Finlandii nie brakuje trudniejszych imion.

- Jestem tego pewien, Marianne.

Podawała mu czarno-białą, nieco przerażającą wizytówkę. Salon nosił nazwę „Kaczy Tatuaż”. Kartonik przedstawiał Kaczora Donalda palącego cygaro wypełnione marihuaną.

Miał przekrwione oczy i wściekłą minę. Artysta dorysował mu węża, bardziej na podobieństwo kaftana bezpieczeństwa niż szala.

Po drugiej stronie wizytówki widniał dopisany odręcznie numer telefonu.

- To mój numer - wyjaśniła Mariannę. - Mam parę tatuaży, które mogłabym ci pokazać, jeśli kiedyś nie będziesz zbyt zmęczony.

- Dziękuję, Mariannę.

- Tatuażysta ma na imię Diego - dodała.

- To chyba nie jest fińskie imię.

- Diego jest Włochem, ale urodził się w Finlandii - wyjaśniła Mariannę. - Prowadzi interes od piętnastu lat.

„Kaczy Tatuaż” znajdował się na Kalevankatu, mniej więcej dziesięć minut drogi od „Torni”, jak powiedział następnego ranka odźwierny, który polecił również Jackowi pobliską siłownię, „Kuntokeskus Motivus”. („Dla ułatwienia «Motivus»”, dodał.) Była czysta i przestronna, ale Jack nie mógł się skupić za sprawą grupy ciężarnych na zajęciach aerobiku. Wykonywane przez nie czynności wydały mu się nader ryzykowne.

Po drodze do „Kaczego Tatuazu” minął sex-shop. W witrynie zobaczył niemiecki periodyk o nazwie „Schwangere Girls”. Wszystkie bohaterki czasopisma były ciężarne (i też ostro ryzykowały). Wyglądało na to, że ciąża stała się dla Jacka niechcianym motywem przewodnim dnia.

Helsinki sprawiały wrażenie jednego wielkiego placu budowy. Jack znalazł się w części miasta wzniesionej sto lat wcześniej przez Rosjan. „Kaczy Tatuaż” leżał na wprost dawnego rosyjskiego szpitala wojskowego. W okolicy znajdowało się mnóstwo lokali okupowanych przez marynarzy, jak niegdyś „Salve”. Jack dowiedział się później od Diega, że dzielnica cieszy się rosnącą popularnością wśród reszty mieszkańców.

Diego był drobnym mężczyzną o przyjaznym spojrzeniu i koziej bródce; miał ramiona całkowicie pokryte tatuażami. Jeden z nich przedstawiał kobietę uwiecznioną z fotograficzną wręcz dokładnością. Inny, nieco bardziej frywolny, ukazywał nagą kobietę z kaczką. Diego miał też inne tatuaże, lecz goła niewiasta z kaczką najbardziej zapadła Jackowi w pamięć.

Polubił Diega, który nigdy nie poznał Córki Alice, chociaż wiele o niej słyszał. Diego miał trójkę dzieci i nieczęsto uczestniczył w zjazdach. Pobierał nauki u Verbera w Berlinie i pracował w Kapsztadzie. Planował podróż do Tajlandii, gdzie chciał sobie zrobić odręczny tatuaż u mnicha z klasztoru. „Na klatce piersiowej”, wyjaśnił. Lubował się w „dużych przedsięwzięciach”. Ostatnio skopiował na czyichś plecach cały plakat filmowy.

Diego miał dwoje pomocników. Jednym z nich był mięśniak w wojskowych spodniach i czarnej koszulce z reklamą Jacka Danielsa. Oprócz niego w salonie pracowała też blondynka imieniem Taru. Taru zajmowała się kolczykowaniem, sama nosiła na języku srebrną ozdobę. W „Kaczym Tatuazu” dorabiał też Nipa, przyjaciel Diega, który opowiedział Jackowi dość zawiłą historię o tym, jak niechący upuścił do sedesu czytana właśnie książkę. Była to jego ulubiona powieść i miał teraz ciężki orzech do zgryzienia, nie wiedział bowiem, jak ją wysuszyć.

Jack i Diego rozmawiali o związku marynarzy ze sztuką tatuażu. Diego wytatuował sobie pierwszy okręt w wieku zaledwie czternastu lat. Wzory na ścianach jego salonu robiły wrażenie: wodzowie Indian, smoki, czaszki, ptaki, silniki harleyów oraz wiele postaci z filmów rysunkowych, jak na przykład Joker. No i kaczkę, całe mnóstwo wkurzonych kaczek.

Diego przyznał, że rzadko chodzi do kina (znowu wspomniął o trójce dzieci), ale Taru, ta od kolczykowania, i mięśniak w koszulce Jacka Danielsa widzieli wszystkie filmy Jacka. (Nipa poinformował Jacka, że woli książki, jak łatwo wywnioskować z incydentu z sedesem).

- Pewnie nie tatuowałeś organisty o nazwisku William Burns - zagał Diego Jack. - Nazywają go Muzykantem. Podobno większość jego tatuaży to nuty. Bardzo możliwe, że ma je na całym ciele.

- Możliwe! - przytaknął ze śmiechem Diego. - Nigdy nie tatuowałem Muzykanta, ale z tego, co słyszałem, zostało mu już niewiele wolnego miejsca!

Po powrocie do hotelu Jack zabrał się do pisania listu do Michele Maher. Jako dermatolog może będzie wiedziała, dlaczego ludzie z tatuażami na całym ciele wiecznie marzną. Był to dziwny temat listu do kogoś, z kim od piętnastu lat nie utrzymywał żadnego kontaktu, poza tym rzeczony uczucie zimna mogło być jedynie złudzeniem i nie mieć nic wspólnego ze skórą, lecz jedynie stanem psychiki.

Tatuażyści przedstawiali w owej kwestii sprzeczne teorie: Alice uważała, że większość full-bodies odczuwa przeraźliwe zimno, lecz niektórzy z artystów, którzy przyjechali na jej pogrzeb, twierdzili, że kolekcjonerzy nie odczuwają żadnych sensacji.

- A jeśli jest inaczej, od początku musieli być przemarznięci lub stuknięci - zakonkludował Dan Północna Dakota.

Ale od czegoż innego zacząć pierwszy list po piętnastu latach?

Droga Michele,

Jestem w Helsinkach i szukam dwóch lesbijek. Co u Ciebie?

Czy można wymyślić coś dziwniejszego? Jack zmiął kartkę. Lepiej zacząć bardziej ogólnie.

Droga Michele,

Wiesz co? Moja matka nie żyje. Okazało się, że nakłamała mi o ojcu i pewnie wielu innych sprawach. Jestem w Europie, gdzie -jak kiedyś wierzyłem - mój ojciec posuwał wszystko, co się rusza, ale było na odwrót. To matka sypiała, z kim popadnie, w tym z dwunastolatkiem i parą lesbijek.

Interesujące, nie? Kto by się tego spodziewał!

Jack zgniół kolejną kartkę. Zaczynał wierzyć, że jedynym sposobem na nawiązanie kontaktu z Michele Maher jest nabawienie się choroby skórnej. Zaraz, zaraz! Czy nie życzyła mu powodzenia w pracy nad scenariuszem „Recenzentki bzdur”? Michele była wielbicielek Emmy Oastler! Może należy spróbować bardziej literacko.

Droga Michele,

Dziękuję za Twój list. Tak, Emma Oastler i ja byliśmy bardzo zżyci, chociaż nigdy nie uprawialiśmy seksu. Emma tylko trzymała mnie za penis. Jak w wypadku każdej innej adaptacji, pozwoliłem sobie na kilka zmian. Na przykład nazwisko gwiazdora filmów porno: raczej nie wyglądam na Miguela Santiago, prawda? Tylko proszę, nie myśl sobie, że „Recenzentka bzdur” będzie zawierała jakiegokolwiek treści pornograficzne. Ograniczymy się do ALUZJI. Zresztą podobno mam mały (mała-wy) penis.

Nie, nie mógł napisać listu do Michele Maher. Był dla niej zbyt „dziwny”. Był zbyt „dziwny” dla każdego, kto nie był stukniętym samotnikiem, wytatuowanym (z ośmiornicą na tyłku!), czubkiem pogrążonym w żałobie (lub w depresji), wiarołomnym małżonkiem bądź starszą panią!

Poza tym zużył żalosną ilość papieru listowego, dostarczoną przez hotel na użytek gości. Zwalił dzisiejsze niepowodzenia na zdenerwowanie wywołane widokiem aerobiku ciężarnych, nie wspominając o stresie związanym ze „Schwangere Girls”. Odczuł nieodpartą pokusę, aby wyjść i kupić gazetę, lecz tak naprawdę pragnął (co najbardziej go zaniepokoiło) seksu z miłą kobietą w ciąży. (Kimś takim jak żona, która spodziewa się jego dziecka. Nie tracił nadziei na Michele Maher).

Z bardziej realistycznego punktu widzenia (jako że nie był zmęczony ani głodny) mógłby spróbować szczęścia w barze lub zadzwonić do kelnerki z „Salve”. Ale zanim Mariannę skończy pracę, jego pewnie zmorzy sen, a wizja poderwania odważnej dziewczyny „U O’Malleya” sama w sobie wydała mu się upokarzająca.

Na dworze wciąż było jasno, kiedy zadzwonił do Akademii Sibeliusa i poprosił o informacje na temat dwóch absolwentek, które ukończyły szkołę na początku lat

siedemdziesiątych. Sprawa okazała się bardziej skomplikowana, niż przypuszczał. Nie tylko musiał czekać, aż przełączą go do osoby znającej angielski, ale nawet nie znał nazwisk wspomnianych absolwentek! (To się nazywa cios w plecy!).

- Domyślam się, jak to brzmi - powiedział - ale Hannele była wiolonczelistką, Ritva organistką, a poza tym były parą.

- Parą? - powtórzyła jego rozmówczyni. W jej głosie dało się słyszeć powątpiewanie księgarza, który jest niezbitcie pewien, że podano mu zły tytuł książki.

- Tak. Chodzi o to, że były lesbijkami - zaplątał się Jack.

Kobieta westchnęła.

- Pewnie jest pan dziennikarzem - wyraziła domysł. Tym razem w jej głosie zabrzmiało coś gorszego niż zwątpienie: słowo „dziennikarz” nabrało podlejszej wymowy aniżeli „gwałcieł”.

- Nie, nazywam się Jack Burns, jestem aktorem - oznajmił. - Ritva i Hannele były uczennicami mojego ojca, organisty Williama Burnsa. Poznałem je w dzieciństwie. Znały również moją matkę.

- No, no - powiedziała kobieta. - Czyżbym rozmawiała z tym Jackiem Burnsem? Naprawdę?

- Naprawdę.

- No, no - powtórzyła. - Hannele i Ritva nie są takie sławne jak pan, panie Burns, ale w Finlandii cieszą się sporą popularnością.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odrzekła kobieta. - W Helsinkach trudno byłoby im się ukryć. Praktycznie każdy może panu wskazać miejsce ich pobytu. - Jack zamarł w oczekiwaniu, podczas gdy kobieta z kolejnym westchnieniem dobierała słowa. - Pokusa jest nieodparta, panie Burns, ale powstrzymam się od zapytania, co pan ma na sobie w tej chwili.

Jack zadzwonił później na obsługę hotelową i zamówił coś do zjedzenia. Zadzwonił też do recepcji i poprosił o więcej papeterii. Zdławił słaby impuls zwiedzenia baru oraz nieco silniejszą chęć wykręcenia numeru Mariannę z prośbą o prezentację tatuaży.

Następnego ranka także wstał wcześniej i poszedł na siłownię.

Nie był pewien, jak nawiązać rozmowę z Hannele i Ritwą. Co dzień w południe miały próbę w kościele - Tempeliaukion kirkko. Określana również mianem Kościoła w Skale, świątynia słynęła w Helsinkach bardziej niż muzykalne lesbijki. Znajdowała się pod ziemią, zagrzebana pod skalną kopułą: zaprojektowano ją ultranowocześnie, zapewne kierując się akustyką. Organizowano tam liczne koncerty, w niedziele zaś odprawiano luterzańskie msze. („Bardzo luterzańskie”, powiedziała kobieta z Akademii Sibeliusa, cokolwiek to miało znaczyć).

Ritva grała na organach podczas mszy, a Hannele często jej towarzyszyła. Jack zapytał, ile utworów rozpisano na organy i wiolonczelę (nie słyszał żadnych), ale jego rozmówczyni oświadczyła, że Ritva i Hannele słyną ze swoich „improvizacji”. Jack domyślał się, że ich skłonność do tychże nie ma sobie równych. Skoro obie spały z Alice, a jednak udało im się zostać razem, zapewne mają za sobą niejedną udaną eksperyment.

Nawet ich próby były sławne. Ludzie często odwiedzali Kościół w Skale podczas przerwy na lunch tylko po to, żeby posłuchać, jak ćwiczą. Jack podejrzewał,

że podobna atmosfera nie sprzyja rozmowie: Ritva i Hannele byty zbyt stawne, by pozwolić sobie na chwilę prywatności. Może powinien pójść do kościoła wczesnym popołudniem i zaprosić je na kolację.

Właśnie skończył robić brzuski, kiedy nagle przerwano mu tok myślenia. Otoczyło go pół tuzina spoconych ciężarnych, z czego wywnioskował, że ryzykowny aerobik dobiegł końca. Zważywszy na stan ducha pod tytułem „Michele Maher” (nie wspominając o

natrętnym wspomnieniu „Schwangere Girls”), obecność kobiet w ciąży nie wróżyła nic dobrego.

- Cześć - powiedział, wciąż leżąc na wznak.

- Cześć - odpowiedziała instruktorka. Była to młoda, ciemnowłosa kobieta o ślicznej owalnej twarzy i migdałowych oczach. Podczas ćwiczeń podskakiwała zwrócona plecami do Jacka, w związku z czym nie zauważył, że też spodziewa się dziecka.

- Wyglądasz jak Jack Burns, ten aktor - zauważyła kobieta w najbardziej zaawansowanej ciąży.

Jack nie zdziwiłby się na wieść, że byty to jej ostatnie słowa przed porodem.

- Ale to niemożliwe... tutaj? - wtrąciła z powątpiewaniem inna. - Jesteś tylko do niego podobny, prawda?

- To istne przekleństwo - odparł z goryczą Jack. - Nic na to nie poradzę. Nienawidzę drania. - Ostatnia kwestia go zdradziła: były to słowa Billy’ego Rainbo-wa. W filmie Jack powtarzał ją trzykrotnie, za każdym razem pod adresem innej osoby.

- To on! - krzyknęła jedna z kobiet.

- Wiedziałam, że to ty - oznajmiła ta w najbardziej zaawansowanej ciąży. - Jack Burns przyprawia mnie o ciarki, a ty przyprawiłeś mnie o ciarki, z chwilą kiedy cię ujrzałam.

- No cóż. Czyli wszystko jasne - podsumował Jack. Nadal leżał na plecach, odkąd go obstały, ani drgnął.

- Jaki film tu kręcisz? Kto jeszcze w nim gra? - padło pytanie.

- Nie ma żadnego filmu - odparł. - Przyjechałem tu w celach badawczych.

Jedna z ciężarnych stęknęła, jakby myśl o ewentualnych „badaniach”, prowadzonych przez Jacka Burnsa, wywołała u niej pierwszy skurcz. Połowa kobiet odeszła: z chwilą rozwiązania zagadki straciły zainteresowanie jego osobą. Została jednak instruktorka oraz jeszcze dwie kobiety, w tym ta w najbardziej zaawansowanej ciąży.

- Co to za badania? - zapytała instruktorka.

- Chodzi o sprawę z przeszłości, a ściślej mówiąc, sprzed dwudziestu ośmiu lat - poinformował Jack. - Dotyczy organisty uzależnionego od tatuaży oraz kobiety, której ojciec zrobił mu pierwszy z nich. Mają dziecko. Istnieje wiele wersji wydarzeń, ale wszystko trochę się pogmatwało.

- Ty jesteś tym organistą? - spytała kobieta w najbardziej zaawansowanej ciąży.

- Nie, jestem dzieckiem, dorosłym, dwadzieścia osiem lat później - oznajmił. - Próbuję ustalić, co naprawdę wydarzyło się pomiędzy moimi rodzicami.

- Cóż za przygnębiająca historia! - odezwała się ciężarna, która dotąd nie zabrała głosu. - Po co kręcić takie filmy? - Odwróciła się i poszła, pewnie do szatni.

Kobieta w najbardziej zaawansowanej ciąży potoczyła się za nią. Jack został sam na sam z instruktorką.

- Nie mówiłeś, że chodzi o film, prawda? - zapytała.

- Nie - przyznał. - Moje badania nie dotyczą filmu.

- Może potrzebujesz przewodnika - zasugerowała. Była w siódmym, może nawet ósmym miesiącu ciąży. Pępek unosił elastyczną tkaninę trykotów niczym sterczący sutek. - Umówimy się?

- Nigdy nie umawiałem się z ciężarną - odparł.

- Nie jestem mężatką, nie mam nawet faceta - wyjaśniła. - Cięża jest swoistym eksperymentem.

- Przeprowadziłaś go samodzielnie? - spytał.

- Poszłam do banku spermy - odrzekła. - Zostałam zapłodniona przez anonimowego inseminatora. Moment zapłodnienia jakby mi umknął.

W pozycji na wznak Jack podjął jedną z owych pochopnych decyzji, które charakteryzowały jego seksualnie aktywne życie. Ponieważ wyobrażał sobie, że chce

zakosztować seksu z ciężarną, zdecydował się na randkę z instruktorką aerobiku z siłowni „Motivus”. Nawet perspektywa spotkania z Ritwą i Hannele, dla których przyjechał do Helsinek, zesłała na dalszy plan.

Próbował sobie wmówić, że to, co usłyszy od organistki i wiolonczelistki (będących parą zarówno przed laty, jak i teraz) wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie pokrywało się z tym, co już wiedział bądź czego się domyślał. Alice przedstawiła obie kobiety w niewłaściwym świetle: spały bowiem z nią, a nie z Williamem. Zapewne czekały go jeszcze inne tego typu rewelacje, ale chyba nic, o czym nie można porozmawiać przy filiżance kawy czy herbaty: nie ma sensu umawiać się w tym celu na kolację.

Jack postanowił iść do Kościoła w Skale w porze, gdy Ritwa i Hannele będą kończyły próbę. Zaproponuje, aby wyskoczyli gdzieś razem na krótką pogawędkę, to na pewno wystarczy. Uznał, że nie ma powodu, aby nie spędzić ostatniego wieczoru w Helsinkach w towarzystwie ciężarnej instruktorki aerobiku. Miało się okazać, że owszem, istniał taki powód, lecz Jack uległ przemożnemu instynktowi znanemu nadmiernej liczbie mężczyzn: jest to sytuacja, kiedy żądza przesłania zdroworozsądkową analizę obiektu westchnień, w tym wypadku instruktorki imieniem Marja-Liisa.

Umówili się, co postawiło ich w dość niezręcznej sytuacji, gdyż pod obstrzałem spojrzeń musieli poprosić obsługę o długopis i kartkę papieru. Marja-Liisa napisała swoje nazwisko i numer telefonu komórkowego. Informacja podana przez Jacka (Jimmy Stronach, hotel „Torni”) lekko zbiła ją z tropu, dopóki nie wyjaśnił procedury meldowania się pod nazwiskiem bohatera następnego filmu.

W drodze powrotnej do hotelu Jack wstąpił do sex-shopu po „Schwangere Girls”. Chciał przestudiować bliżej drastyczną, acz pociągającą zawartość czasopisma.

Po wyjściu z pokoju wrzucił obrzydliwą gazetę do kosza naprzeciw windy. Nie żeby istotnie można było pozbyć się takiego widoku: trwa w pamięci przez lata, czasem aż do śmierci. To, co ciężarne wyprawiały na tych zdjęciach, miało towarzyszyć Jackowi Burnsowi w grobie tudzież w piekle, gdzie, według Ingrid, człowiek jest głuchy, ale widzi tych, którym świadomie wyrządził krzywdę. Po prostu nie słyszy, co o nim mówią.

Poczawszy od tamtego popołudnia w Helsinkach, Jack bez trudu mógł sobie wyobrazić, czym będzie dla niego piekło. Miał przez wieczność obserwować ciężarne uprawiające niewygodny seks. Będą o nim mówić, ale ich nie usłyszy. I na wieki będzie zachodził w głowę, jakie słowa padły na jego temat.

Zdaniem Jacka, kościół TempPELLIAUKIO przypominał olbrzymi, przewrócony wok. Skały przykrywające wszystko oprócz kopuły cechowała pogańska prostota: zupełnie jakby kopuła była jajem wystającym z krateru po meteorycie. Otaczające świątynię budynki mieszkalne wzniesiono na identyczną, posępną modłę. (Budownictwo dla klasy średniej z lat trzydziestych).

Wewnątrz kościoła znajdowało się więcej skał. Organista siedział na widoku wiernych z lewej strony kongregacji. Centralne miejsce zajmowały puste, zaokrąglone ławki dla chóru. Na tle jasnych i ciemnych paneli miedziane piszczałki organowe prezentowały się bardzo nowocześnie. Kazalnica była osadzona w kamieniu: Jackowi przyszło do głowy, że wygląda jak fontanna z wodą do picia.

Wczesnym popołudniem usiadł w ławce i posłuchał, jak grają: Ritwa zwrócona do niego bokiem, na ławce przy organach, Hannele en face, z szeroko rozstawionymi nogami, obejmującymi wiolonczelę. Ludzie po cichu wchodzili i wychodzili, a one grały. Jack zobaczył, że Hannele od razu go rozpoznała; wcale przy tym nie wyglądała na zdziwioną jego przybyciem, gdyż z uśmiechem skinęła mu głową. Ritwa raz odwróciła się w jego kierunku i też się uśmiechnęła. (Kobieta z Akademii Muzycznej musiała je uprzedzić).

Grały nie tylko muzykę kościelną. Jako były Kanadyjczyk Jack rozpoznał „If It Be Your Will” Leonarda Cohena, chociaż nigdy nie słyszał tego utworu w wersji organowo-

wiolonczelowej. Jako Amerykanin rozpoznał też „Whenever God Shines His Light on Me” Van Morrisona. Hannele i Ritva były świetne, nawet Jack widział, że wspólne granie stało się ich drugą naturą. Oczywiście z góry był do nich przychylnie nastawiony. Cenił je choćby za to, że oparły się niszczącemu wpływowi jego matki.

Wysłuchał również dwóch tradycyjnych melodii „Chwalmy Pana” i „Przyjdź, Emanuelu”. Ostatnia była pieśnią adwentową, obie zaś sływały raczej w Szkocji niż Finlandii, jak powiedziały Jackowi później Ritva i Hannele. Okazało się jednak, że były to ulubione utwory jego ojca.

- William nauczył nas je grać - wyjaśniła Ritva. - Nieważne, że do świąt daleko.

Pili herbatę w zaskakująco urokliwym i przestronnym mieszkaniu Ritvy i Hannele, znajdującym się w jednym z szarych, ponurych budynków otaczających Kościół w Skale. Kobiety połączyły dwa apartamenty, wychodzące na kopułę Tempeliaukio. Podobnie jak sam kościół, ich mieszkanie wyglądało ultranowocześnie: mało mebli, czarno-białe fotografie w stalowych ramkach na ścianach. Obie zbliżyły się do pięćdziesiątki, były wesole i przyjacielskie. No i nie onieśmiały Jacka tak, jak przed laty.

- Byłaś pierwszą kobietą z neogolonymi pachami, jaką widziałem - powiedział do Hannele. Zdumiewająca kępka włosów pod pachami nosiła ciemniejszy odcień niż na głowie, ale Jack pominął ten szczegół. Nie wspomniał też o znamieniu nad pępkiem, przypominającym zmiażdżony cylinder w kolorze plamy od wina i w kształcie Florydy.

Hannele parsknęła śmiechem.

- Większość ludzi pamięta moje znamię, a nie pachy, Jack.

- Znamię też pamiętam - odparł.

Ritva nadal była niska i pulchna, miała długie włosy i ładną twarz. Wciąż ubierała się na czarno, jak studentka teatrologii.

- Pamiętam, jak zasnęłaś, Jack, chociaż tak bardzo starałaś się nie spać! - powiedziała.

Wyznał, że wziął je wówczas za byłe kochanki ojca.

- Williama? - zawołała Hannele, rozlewając herbatę.

Ritva wybuchnęła śmiechem.

Należały do lesbijek, które w swoim towarzystwie czują się tak swobodnie, że mogą podświadomie flirtować z mężczyzną, wiedząc, że nie zostaną opacznie zrozumiane.

- Pewnie nie powinnam się dziwić - oświadczyła Hannele. - William wspomniał, że matka jest w stanie wmówić ci dosłownie wszystko, Jack. Nie doceniałyśmy jej.

Hannele wyjaśniła, że gdy Alice po raz pierwszy przypuściła na nie atak, ich związek był świeży i stosunkowo niezobowiązujący. Uznały incydent z Alice za próbę jego wytrzymałości.

- Był rok 1970, Jack - wtrąciła Ritva. - Hannele i ja byłyśmy na tyle młode, by wierzyć, że każdy związek można potraktować jako eksperyment.

William ostrzegł je przed Alice, opowiedział jej historię. One jednak uznały, że jeśli obie „zgrzeszą” z tą samą osobą, nie wyrządzą sobie większej krzywdy.

- Bolało bardziej, niż się spodziewałyśmy - powiedziała Hannele. - Postanowiłyśmy nie puścić jej tego płazem. Wspólny tatuaż był symbolem naszego cierpienia, miał przypominać o kosztach poniesionych w wyniku romansu z twoją matką. Dałyśmy jej też do zrozumienia, że nie zawahałybyśmy się pójść do łóżka z każdym, nawet z Williamem.

- Oczywiście nigdy byśmy tego nie zrobiły, Jack. William zresztą też nie - dodała Ritva. - Lecz twoja matka była przewrażliwiona na punkcie potencjalnych kochanek ojca i bez trudu uwierzyła w naszą rozwiąłość.

- Flirtowałyśmy nawet z tobą, Jack. Tylko po to, żeby ją wkurzyć - powiedziała Hannele.

- Tak, pamiętam - odparł Jack.

Ich połówki serc były rozdarte pionowo, oba tatuaże znajdowały się po lewej stronie.

- Masz obłądne rzęsy, Jack - powiedziała wówczas Hannele. Długie palce zanurkowały pod kołdrę pod piżamkę chłopca i pogłaskały go po brzuchu. Kiedy spała obok niego, omal jej nie pocałował.

- Spij, Jack - odezwała się matka.

- A „słodkich snów”? - spytał Jack. - O co chodziło? - Na zewnątrz zapadał zmrok, światła prześwitywały przez kopułę świątyni niczym płomień ognia przez wydmuszkę. (Jack sądził, że ojciec w ten sposób żegnał się ze wszystkimi kochankami).

- On już nie ma czterech lat - powiedziała Ritva do Hannele, która potrząsała głową. - Dalej, powiedz mu.

- Te słowa szeptała nam do ucha twoja matka, zanim całowała nas tam na dole - oznajmiła Hannele, unikając wzroku Jacka.

- Aha.

- Słodkich snów - powiedziała Ritva, całując małego Jacka na dobranoc. - Czy nie tak mówicie po angielsku? - zwróciła się do Alice. - Słodkich snów?

- Czasami - odrzekła Alice.

Hannele na chwilę przestała gwizdać, tak jakby rwący ból w lewej piersi stał się nagle nie do zniesienia. Jack odgadł, że nie zabołał jej tatuaż, lecz właśnie owo „słodkich snów”. („Nie przy Jacku”, też mi coś!).

Jack opowiedział Ritvie i Hannele o zaskakująco długotrwałym związku Alice z Leslie Oastler. Zapewne miała w tym czasie skoki w bok, lecz zdołała utrzymać jedynie związek z kobietą. Czy to je dziwiło?

Ritva i Hannele spojrzały po sobie i wzruszyły ramionami.

- Twoja matka była zdolna do wszystkiego, Jack - oświadczyła Ritva. - Byle tylko dopiec Williamowi.

- Po Williamie chyba było jej wszystko jedno, z kim idzie do łóżka - dorzuciła Hannele. - Z mężczyzną, z kobietą czy z chłopcem.

Czarno-białe fotografie na ścianach przedstawiały głównie właścicielki mieszkania. Prym wiodły zdjęcia z koncertów. Na jednym Ritva siedziała przy organach w Johanneksen kirkko, dokąd Jack poszedł wraz z matką. Pamiętał, że strasznie sypał śnieg. Obok Ritvy na ławce siedziało jej dwóch nauczycieli, potargany Kari Vaara oraz przystojny młodzieniec o wąskich ustach, z długimi włosami, okalającymi delikatną, wręcz dziewczęcą twarz.

- Mój ojciec? - spytał Jack, wskazując na zdjęcie. William wyglądał prawie tak samo jak w restauracji w „Bristolu”.

- Naturalnie - odrzekła Ritva. - Nie widziałeś nigdy jego zdjęć?

- A co sobie myślisz, Ritva? - wtrąciła Hannele. - Uważasz, że Alice wklejała je do albumu?

Młody wygląd ojca był dla Jacka całkowitym zaskoczeniem. W 1970 roku w Helsinkach William Burns liczył sobie trzydzieści jeden lat, czyli był kilka lat młodszy od Jacka. (Dziwne po raz pierwszy zobaczyć fotografię, na której ojciec jest młodszy niż my sami). Łączące ich podobieństwo również wprowiło Jacka w osłupienie: William wyglądał niemal identycznie jak on.

Przy Ritvie i Karim Vaarze wydawał się dość niepozorny. Był drobnym, acz krzepkim mężczyzną o dość kobiecych rysach i długich palcach organisty. (Jack miał małe dłonie i krótkie, kanciaste palce matki).

William był w rozpiętej pod szyją białej koszuli z długimi rękawami; nad jego głową widniały piszczałki organowe firmy Walcker z Wirtembergii. Jack zapytał Ritwę i Hannele o jego tatuaże.

- Nigdy ich nie widzieliśmy - odrzekła Hannele.

Ritva kiwnęła głową na potwierdzenie jej słów.

W sypialni Jack zobaczył czarno-białe zdjęcia tatuaży obu kobiet: nagie tułowia z połówkami serc na lewej piersi. Przynajmniej tatuaże się zgadzały z tym, co zapamiętał, ale Hannele miała ogolone pachy i trzymała ręce płasko nad pępkiem, zakrywając znamię.

Ku zdziwieniu Jacka obie miały też inne tatuaże. Na biodrze Hannele widniał zapis nut, podobnie jak na pośladkach Ritvy (był to chyba ten sam utwór). Podobnie jak poprzednie zdjęcia, również te przedstawiały tylko fragmenty ciał, a nie całe sylwetki. Kobiety jednak tak dalece różniły się od siebie budową, że rozpoznał je bez trudu.

- Co to za utwór? - spytał.

- Grałyśmy go wcześniej, zanim przyszedłeś - odrzekła Ritva. - Tego też nauczył nas William, grał go u Świętego Pawła.

- „O święty sakramencie” - dodała Hannele. Zanuciła melodię. - Znamy tylko muzykę, nie słowa, ale to pieśń kościelna.

Utwór brzmiał znajomo: być może Jack słyszał go wcześniej, albo nawet śpiewał w Świętej Hildzie. Wiedział, że matka śpiewała go w Amsterdamie, w dzielnicy czerwonych latarni. Jeśli ojciec grał to u Świętego Pawła, utwór musiał być anglikański bądź pochodził ze szkockiego Kościoła episkopalnego.

Byłby zapomniał o starym chałturzyście, gdyby nie Hannele, która wskazała na zdjęcie biodra ze słowami: „Nieźle jak na Sarniego Salo”.

Jack opowiedział im historię przerażającej nocy w hotelu „Torni”, kiedy Sami Salo załomotał do drzwi. Nie wspominając o złości jego młodej żony, która gorzko wypomniała Alice nieuczciwą konkurencję.

Hannele znowu pokręciła głową, przy czym jej krótkie jasne loki ani drgnęły.

- Zona Sarniego zmarła na długo przed waszym przybyciem - powiedziała Ritva. - Kelnerka z „Salve” była jego córką.

- Miała na imię Minna - dodała Hannele. - Była przyjaciółką Williama, jedną z jego „starszych kobiet”. Zawsze uważałam ich związek za dość szczególny, ale oboje byli ludźmi po przejściach. Urodziła nieślubne dziecko, które wkrótce zmarło. Cierpiało na chorobę górnych dróg oddechowych.

- Twój ojciec nie szukał dziewczyny, Jack. Pewnie nadal kochał Dunkę - oświadczyła Ritva. - Z Minną dodawali sobie nawzajem otuchy. Uważał, że tylko do tego się nadaje, aby dodawać komuś otuchy. To bardzo chrześcijański punkt widzenia: spotykasz jakiegoś cierpiącego nieszczęśnika i przychodzisz mu z pomocą.

Agneta Nilsson, nauczycielka Williama ze Sztokholmu, też była starszą kobietą. Być może ją również opuściło szczęście, bądź co bądź, miała słabe serce.

- Posłuchaj, jesteśmy muzykami, Jack. Twój ojciec był przede wszystkim muzykiem - zaznaczyła Hannele. - Nie szukam usprawiedliwienia dla swego stylu życia, podobnie jak William. Ale co miała na swoje usprawiedliwienie twoja matka? Uważała, że ma prawo posunąć się do wszystkiego!

- Hannele, ta dziwka była jego matką, bez względu na to, co o niej mówisz - wtrąciła Ritva.

- Jeśli ktoś cię porzuca, musisz przeboleć stratę i iść dalej - oznajmiła Hannele. - Alice zrobiła z tego film pełnometrażowy!

- Hannele! - zawołała Ritva. - Widziałyśmy wszystkie twoje filmy, Jack. Aż trudno uwierzyć, że wyrosłeś na takiego normalnego faceta!

Jack nie czuł się normalnym facetem. Nie mógł uwolnić się od myśli o kelnerce z grubymi ramionami, Minnie, córce Sarniego Salo. Ta galaretowata istota była przyjaciółką jego ojca!

Alice podkopała nawet to: krzepiący związek, oparty na dodawaniu sobie otuchy. Hannele wątpiła, że William i Minna kiedykolwiek uprawiali seks, Ritva uważała, że owszem. Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Alice przekonała Samiego Salo, że jego

córkę nie spotka ze strony Williama Burnsa nic dobrego. Sami nie mógł się doczekać, aż Jack i jego matka wyjadą do Amsterdamu, dokąd organista nieuchronnie podąży za nimi.

To prawda, że Sami Salo był chałturzystą, jednak wcale nie stracił przez Alice wielu klientów. Hannele i Ritva wyjaśniły Jackowi, że Alice tatuowała głównie studentów w hotelu „Tomi”; nawet ci zamożniejsi nie byli skłonni trwonić pieniędzy na tatuaż. Większość marynarzy szła do Sarniego: ci nie żalowali szmalu na nowy emblemat.

Jack dowiedział się też, że Kari Vaara podróżował, często koncertował za granicą. William stopniowo stał się głównym organistą w Johanneksen kirkko: pokochał zarówno kościół, jak i organy. Przepadał też za swoimi studentami z Akademii Sibeliusa. Ritva i Hannele znajdowały się w gronie najlepszych.

William nie miał studentów w Amsterdamie, gdzie obowiązki w Oude Kerk pochłonęły praktycznie cały jego czas.

- Macie na myśli strojenie organów? - spytał Jack.

- Co takiego?

Jack powtórzył to, co usłyszał od matki, a mianowicie że zadanie ojca w Holandii polegało na strojeniu wielkich i wiecznie rozstrojonych organów w Oude Kerk.

- William nie umiał nastroić gitary, co dopiero mówić o organach! - zawołała Ritva.

- Zgodził się grać w Oude Kerk tylko pod warunkiem, że proboszcz zatrudni stroiciela - poinformowała Jacka Hannele.

- Mieli kogoś, kto stroił instrument przed koncertami, lecz pod naciskiem Williama nowy stroiciel zaczął przychodzić prawie codziennie - dodała Ritva.

- Co wieczór - sprecyzowała Hannele.

Wówczas Jack zrozumiał, kim był młodzieniec o ziemistej cerze, którego Alice nazwała „cudownym dzieckiem”. Młody geniusz, posypujący ławkę pudrem dla dzieci, aby lepiej się po niej ślizgać, Frans Donker, który zagrał dla Jacka, Alice oraz kurew znajdujących się w zasięgu słuchu, był po prostu stroicielem organów.

„Podobno w Oude Kerk człowiek gra dla turystów i prostytutek!” - powiedział kiedyś Kari Vaara. Hannele i Ritva wspomniały, że Vaara był bardzo dumny z Williama. Nazywał go najlepszym studentem wszech czasów.

Mimo to Alice dopilnowała, by w oczach własnego syna był zwykłym stroicielem organów i rozmyślnie go dyskredytowała.

- Coś się stało w Amsterdamie - powiedział Jack. - Ojciec przestał za nami jeździć. Coś musiało się stać.

Hannele raz jeszcze potrząsnęła głową. Jasne loki ani drgnęły.

- Prawniczka zawarła z twoją matką umowę, Jack - odrzekła Ritva. - To nie było łatwe, ale ktoś wreszcie musiał zrobić z Alice porządek.

- William niewiele na tym skorzystał! - burknęła Hannele.

- Chodziło o dobro Jacka, Hannele - przypomniała Ritva.

- Nie pamiętam żadnej prawniczki - oświadczył Jack. - Jaka znowu prawniczka?

- Femke coś tam. Nie pamiętam nazwiska - odrzekła Hannele. - Była specjalistką od rozwodów. Znała tę działkę od podszewki.

Fakt, że Jack uważał dotąd Femke za prostytutkę, wydał mu się niemal zabawny; przypomniał sobie kretańską opowieść o rzekomej chęci odegrania się na byłym mężu. (Femke była bogata, a mimo to została prostytutką!). W co człowiek nie byłby w stanie uwierzyć w wieku lat czterech, mając u boku tak wszechwładnego zarządcę wspomnień jak własna matka?

- Zacznij od gliniarza, Jack - powiedziała Ritva. - Był najlepszym przyjacielem twojego ojca.

- Wydostał cię stamtąd. Był również twoim najlepszym przyjacielem, Jack - dodała Hannele.

- Tak, pamiętam go - odrzekł Jack. Nico Oudejans rzeczywiście był w porządku. Miał oczy w kolorze jajek drozda, a wysoko na jego kości policzkowej widniała mała blizna w kształcie litery L. - Rzecz jasna, uważałem go za przyjaciela matki - dorzucił. - Myślałem, że Femke jest prostytutką!

Siedzieli na skórzanej sofie w salonie, kopułę Kościoła w Skale spowiła ciemność. Jack siedział w środku, kobiety otoczyły go ramionami.

- To twoja matka była prostytutką, Jack. Femke była prawnikiem - sprostowała Hannele.

- Matka była prostytutką tylko przez jedną noc! - wybuchnął Jack. - Miała tylko jednego klienta, młodego chłopaka. Mówiła, że był prawiczką.

Kobiety nie wypuszczały go z objęć.

- Nikt nie jest prostytutką tylko przez jedną noc, Jack - zaproponowała Ritva.

- Nie ma czegoś takiego, jak prostytutka, która przyjmuje tylko jednego klienta - dodała Hannele. - Na dodatek prawiczka!

- Musimy zjeść razem kolację! - zawołała nagle Ritva.

- Chyba że Jack umówił się na randkę - wtrąciła filuternie Hannele. - Nie mam ochoty dzielić się nim z żadną dziewczyną.

Jack siedział bez słowa na sofie, wpatrując się w ciemność za oknem.

- Sądząc po jego minie, jesteśmy na straconej pozycji - zauważyła Ritva.

- Tak, ma randkę. Widzę to w jego oczach - dorzuciła Hannele.

- Przykro mi - odparł Jack. Jeszcze nie wiedział, jak bardzo.

Instruktorka aerobiku była w trzydziestym pierwszym tygodniu ciąży i spodziewała się drugiego dziecka.

- Ten sam anonimowy dawca spermy? - spytał Jack możliwie jak najbardziej nonszalanckim tonem.

Oboje leżeli nago w hotelowym łóżku i Marja-Liisa przyciskała twarz Jacka do swego wielkiego brzucha, żeby poczuł ruchy płodu.

- Nie, mój mąż nie żyje - wyjaśniła. - Planowaliśmy drugie dziecko, ale dopiero po trzech latach zebrałam się na odwagę, aby podjąć decyzję o ciąży.

- Masz syna czy córkę?

- Czteroletniego syna.

Wobec powrotu nad Morze Północne i Bałtyckie wszystko, cokolwiek dotyczyło czteroletnich chłopców, było dla Jacka bardzo interesujące, wyczuwał jednak, że nie czas i miejsce, aby wyrazić ubolewanie z powodu braku możliwości poznania synka Marji-Liisy. (Z samego rana wyjeżdżał do Amsterdamu).

Powiedziała, że z chłopcem została jej przyjaciółka; miała dać mu kolację i położyć go spać. Marja-Liisa uprzedziła Jacka, że nie zabawi długo. Rzadko wychodziła z domu, zanim mały szedł spać, kiedy zaś budził się rano, obowiązkowo musiał zastać ją we własnym łóżku.

Zwinność trzydziestojednotygodniowego płodu okazała się dla Jacka prawdziwym zaskoczeniem, podobnie jak seks z instruktorką aerobiku. Nigdy nie spał z ciężarną i nie wiedział, czego się spodziewać. Aktywność Finki była doprawdy zadziwiająca, oczywiście jak na kobietę w jej stanie. (Bądź co bądź, codziennie skutecznie płały w siłowni. Poza tym większość pozycji ze „Schwanger Girls” też nie wyglądała na fugowaną).

Dopiero później zrozumiał, czego w istocie pragnął: nie chciał uprawiać z nią seksu, lecz jedynie przytulić się i zasnąć. Marzył, aby położyć rękę na jej wielkim brzuchu, tak jakby chciał czuć przy sobie dwoje kochanych ludzi, nie tylko kobietę, ale i dziecko, które wkrótce miało przyjść na świat. Cudownie było tak zasnąć.

Pukanie zabrzmiało najpierw cicho, a potem bardziej natarczywie. Nie był to łomot charakterystyczny dla Sarniego Salo, mimo to dźwięk wdarł się w sen Jacka. (Sen, w którym Jack odgrywał rolę szczęśliwego ojca).

- Marjo-Liiso, jesteś tam? - odezwał się męski głos z korytarza. Następnie to samo pytanie padło najprawdopodobniej po fińsku.

Ciężarna instruktorka aerobiku zniknęła. Jack obudził się sam w łóżku, poszedł do łazienki i owinał sobie ręcznik wokół bioder. Na lustrze widniała hotelowa koperta, sprytnie przyklepiona kleksem pasty do zębów. Jack zrozumiał, że musiał mówić przez sen.

Mam na imię Marja-Liisa, a nie Michele. Kto to jest Michele?

Zmiał kopertę i wyrzucił ją do kosza na śmieci. Przyciskając do siebie ręcznik, poszedł sprawdzić, kto puka. Ogarnęły go złe przeczucia.

- Marjo-Liiso, wiem, że tam jesteś - powiedział nieco głośniejszy mężczyzna.

Jack nie podejrzewał, że mężczyzna przyprowadził ze sobą czterolatek. Ale cóż

innego miał biedak zrobić? Odpowiedzialny ojciec nie zostawia malca samego w domu.

Jack od razu zrozumiał, że młody mężczyzna o ciemnoblonde włosach jest (bynajmniej nie zmarłym) mężem instruktorki. (Nie wyglądał też na anonimowego dawcę spermy). Widok chłopca rozproszył resztkę wątpliwości: czterolatek miał włosy ojca, ale owalną twarz i migdałowe oczy Marji-Liisy.

- Wiedziałem - oświadczył mężczyzna. - Ty jesteś Jack Burns. Marja-Liisa wspomniała o waszym spotkaniu w siłowni.

- Nie ma jej tutaj - zakomunikował Jack.

Niefortunny małżonek zerknął ponad jego ramieniem na panujący w pokoju rozgardiasz. Chłopiec chciał, aby ojciec wziął go na ręce; miał na nogach kapcie z reniferami oraz puchową kurtkę, narzuconą na piżamkę. Jack ustąpił na bok i mężczyzna wniósł dziecko do środka. Na łóżku widniała zmięta sterta pościeli: mężczyzna utkwiał w niej wzrok, jakby wypatrywał wśród poduszek odlewu ciała ciężarnej żony.

Marja-Liisa powiedziała mężowi, że ma do późna zajęcia w siłowni, on jednak znalazł w szafie jej torbę gimnastyczną. Właśnie położył synka spać i chciał ogarnąć trochę nieporządek w mieszkaniu: podszedł do szafy, aby schować porzucone przez żonę ubrania, i zobaczył torbę.

Pokazał Jackowi kartkę, którą znalazł w środku. Widniało na niej „Jimmy Stronach, hotel «Torni»”, lecz mężczyzna odgadł, iż rzekomy Stronach to tak naprawdę Jack Burns.

- „Poznałam w siłowni gwiazdora filmowego, a wyglądam jak wieloryb!”, powtarzała jak nakręcona. Nawet nie jesteś jej ulubionym aktorem, ale to pewnie bez znaczenia - dodał mężczyzna.

Czterolatek chciał zejść; ojciec spoglądał wstrząśnięty, jak chłopiec wdrapuje się na łóżko i pełza po stercie poduszek.

- Nie planowałam drugiego dziecka - powiedział do Jacka. - Zaliczyliśmy wpadkę, ale ona obwinia mnie, bo chciałam mieć więcej dzieci.

Chłopcu kleiły się oczy, znalazł sobie jednak świetną zabawę: na czworakach krążył po łóżku niczym zwierzątko w poszukiwaniu nory. Jack przyjął, że dziecko nie zna angielskiego i nie rozumie, o czym mówią. Zresztą nawet gdyby rozmawiali po fińsku, malec i tak pewnie nie wsłuchiwałby się w treść wymiany zdań.

On ma tylko cztery lata, kołatało Jackowi w głowie. Miał nadzieję, że chłopiec nie zapamięta tej przygody: zapomni, że wyrwano go z łóżka w środku nocy i zabrano do hotelu. Albo zapamięta tylko to, co mu opowiedzą rodzice. Właściwie po co mieliby mu o tym opowiadać? (Uczynią to jedynie w sytuacji, gdyby wspomniana noc stała się punktem zwrotnym w życiu rodziny. Jack żywił szczerą nadzieję, że tak się nie stanie).

- Pewnie wróciła do domu albo właśnie wraca, i minęliście się po drodze - powiedział do mężczyzny, który przejawiał coraz większe oznaki niepokoju.

Zakopany w pościeli czterolatek zniknął im z oczu. Spod kołdry dobiegł jego zduszony głos.

- Chce skorzystać z łazienki - powiedział ojciec do Jacka.

- Nie ma sprawy - odparł Jack.

Padły kolejne niezrozumiałe słowa w obcym języku, dodatkowo stłumione warstwą pościeli. Jack zrozumiał, że mąż Marji-Liisy nie chce dotykać łóżka, dlatego sam pomógł dziecku wyplątać się spod puchowej kołdry.

Chłopiec siusiał przy otwartych drzwiach, mówił coś do siebie i podśpiewywał pod nosem. Jack tak samo towarzyszył matce w podróży szlakiem portów Morza Północnego i Bałtyckiego, sikając przy otwartych drzwiach, mówiąc do siebie i podśpiewując pod nosem. Zapamiętał z tego wszystkiego tyle co nic, nie licząc kłamliwej wersji matki.

- Bardzo mi przykro - powiedział do nieszczęśliwego męża i ojca. Nie miał zamiaru pogarszać sprawy informacją, że Marja-Liisa przedstawiła się jako wdowa, podając swoją ciążę za efekt sztucznego zapłodnienia.

- Kto to jest Jimmy Stronach? - zapytał mężczyzna.

Jack wyjaśnił, że to nazwisko bohatera jego kolejnego filmu. Pomiął milczeniem profesję Jimmy'ego oraz fakt, że sam jest również autorem scenariusza.

Nie słyszał szumu spuszczonej wody. Chłopiec wyszedł z łazienki wyraźnie czymś stropiony. Okazało się, że nasiusiał do lewej, wewnętrznej kieszeni kurtki.

Ojciec rzucił po fińsku jakąś krzepiącą uwagę. („Och, każdemu zdarza się czasem nasikać do kieszeni!” czy coś w tym rodzaju, pomyślał Jack).

Być może Jack Burns był jako czterolatek bardziej świadomy niż synek Marji--Liisy, ale szczerze w to wątpił.

Chłopiec znowu chciał, aby ojciec wziął go na ręce, co ten niezwłocznie uczynił; malec wtulił twarz w szyję mężczyzny i przymknął oczy, jakby szykował się do snu. Było późno, pewnie mógłby zasnąć na stojąco.

Jack otworzył im drzwi w nadziei, że mężczyzna daruje sobie ostatnie spojrzenie na rozbebeszone łóżko, lecz tamten oczywiście nie omieszkał zerknąć przez ramię.

- Pewnie Jimmy Stronach to tym razem czarny charakter - rzucił na odchodne i ruszył korytarzem w kierunku windy; chłopiec nucił jakąś fińską piosenkę.

Jack poszedł do łazienki i spuścił wodę, odnotowując przy tym, że chłopiec obsusiał całą deskę. Podobnie jak większość czterolateków zapomniał ją podnieść przed skorzystaniem z toalety. Jack powtarzał sobie w myślach, że jeśli syn Marji-Liisy jest normalnym dzieckiem (a na takie wyglądał), nie zapamięta ani jednego szczegółu owej paskudnej nocy.

Rzucił się do poszukiwania kartki z nazwiskiem i numerem komórki Marji-Liisy. Następnie chwycił za słuchawkę telefonu. Uznał, że powinien ją poinformować o niezapowiedzianej wizycie jej męża i syna. Usłyszał głos instruktorki: zastała pusty dom i odchodziła od zmysłów.

Jack powiedział, że jej mąż był bardzo zdenerwowany, ale zachował się nad wyraz poprawnie. Wspomnił też, że chłopiec wyglądał na bardzo sennego i z pewnością nie zrozumiał nic z całej sytuacji.

- Szkoda, że nie powiedziałaś mi prawdy - dodał.

- Prawdy! - krzyknęła. - A co ty wiesz o prawdzie?

Przez całą drogę z hotelu na lotnisko położone w pewnym oddaleniu od miasta panował mrok. Było bardzo wcześnie, ale Jack odnosił wrażenie, że jest środek nocy. Oczywiście lało jak z cebra. O świcie, tuż po starcie samolotu, zobaczył z góry białe plamy czegoś, co wyglądało jak śnieg.

Myślał sobie, że nie chce wiedzieć już nic więcej; i tak dowiedział się za dużo. Starczy mu prawdy na całe życie. Właściwie nie miał ochoty lecieć do Amsterdamu, ale tam zmierzał jego samolot.

30 • Układ

Przy okazji drugiego pobytu w Amsterdamie Jack zameldował się w „Grandzie”, dobrym hotelu na Oudezijds Voorburgwal, jakieś dwie minuty drogi od dzielnicy czerwonych latarni. Deszcz towarzyszył mu aż z Finlandii. Rankiem przespacerował się po dzielnicy; mżawka wypłoszyła większość turystów.

Widok roznegliżowanych kobiet w progach i witrynach nie pozostawiał wątpliwości co do ich profesji. Mimo to czterolatek poznany w Helsinkach dałby się przekonać, iż trudnią się udzielaniem rad. (Jack też dał się przekonać).

Nikt nie śpiewał pieśni ani nie odmawiał modlitwy, żadna z kobiet nie sprawiała wrażenia nowej w branży. Nic też nie wskazywało na to, że któraś pragnie tu zabawić wyłącznie przez jedną noc.

Kobiety kiwały na Jacka i słały zachęcające uśmiechy, jeśli jednak nie odwzajemniał ich spojrzeń, czym prędzej przenosiły wzrok gdzie indziej. Kilkakrotnie usłyszał swoje nazwisko, w tym tylko raz w formie pytania. „Jack Burns?” - zawołała jedna z prostytutek, kiedy przechodził obok. Nawet nie odwrócił głowy. Zwykle owo „Jack Burns” stanowiło część zdania oznajmującego, którego nie rozumiał, rzuconego po holendersku lub w innym obcym języku. (Niewiele kobiet było Holenderkami).

Jack przeszedł na północ aż do Zeedijk, aby przekonać się na własne oczy, że stary salon Mistrza Theo, „De Rode Draak” („Czerwony Smok”) rzeczywiście przestał istnieć. Bez trudu znalazł małą St. Olofssteeg, lecz mieszcząca się w suterenie pracownia Mistrza Petera już dawno przeniosła się na Nieuwebrugsteeg, pobliską ulicę. Jack zobaczył nowy salon, ale nie wszedł do środka. Kiedy zapytał o niego jedną z prostytutek, powiedziała, że prowadzi go niejaki Eddie, młodszy syn Mistrza Petera.

- Och, mówisz o Eddiem Funku - powiedział potem ktoś inny, dając do zrozumienia, iż rzeczony Eddie nie jest wcale spokrewniony z Mistrzem Peterem. Ale czy to miało jakiegokolwiek znaczenie? Kimkolwiek był Eddie, i tak nie mógł Jackowi pomóc.

Mistrz Peter (ojciec Eddiego lub nie) zmarł w dzień świętego Patryka w 1984 roku. Jack wyczytał to w czasopiśmie branżowym, kiedy wraz z Leslie Oastler opróżniał matczyne salon.

- Tylko posłuchaj - powiedział do pani Oastler. - Mistrz Peter urodził się w Danii. Nie wiedziałem, że był Duńczykiem! Przed wyjazdem do Amsterdamu pracował u Mistrza Olego.

- I co z tego? - spytała Leslie.

- Nie miałem o tym wszystkim pojęcia! - zawołał Jack. - Prowadził mercedesa benza? W życiu go nie widziałem! Chodził o lasce? Nigdy nie widziałem laski! Ba, nigdy nie widziałem, jak chodzi! Jego żona była Francuzką, paryską śpiewaczką. Porównywano ją do Edith Piaf!

- Alice wspominała, że wlaź na minę - odrzekła pani Oastler. - W ten sposób stracił nogę.

- Mnie nigdy o tym nie mówiła! - wrzasnął Jack.

- Ty, kurwa, w ogóle mało jeszcze wiesz, Jack - rzekła zgryźliwie.

Jack okrążył w deszczu Oude Kerk, ale nie wszedł do środka. Nie miał pojęcia, dlaczego zwleka. Przedszkole obok Starego Kościoła wyglądało na względnie nowe. Na Oudekerksplein znajdowało się więcej prostytutek, niż pamiętał, lecz w czasach gdy przemierzał tę okolicę wraz z matką, w pobliżu nie kręciły się przedszkolaki.

Z łatwością znalazł komisariat na Warmoesstraat, ale też nie wszedł do środka. Nie czuł się przygotowany na rozmowę z Nico Oudejanssem, jeśli ten w ogóle jeszcze był policjantem.

Poszedł Warmoesstraat w kierunku Dam Square, zatrzymując się na chwilę na rogu Sint Annenstraat, dokładnie w miejscu, gdzie wraz z matką, Saskią i Els natknęli się na Martina Brila, który miał na piersi wytatuowaną modlitwę. Na jego brzuchu widniał tatuaż

przedstawiający Łazarza opuszczającego grób. Niektórych rzeczy się nie zapomina, choćbyśmy oglądali je w bardzo młodym wieku.

- W oczach Pana kto z kim przestaje, takim się staje! - zakomunikował Jacob Bril pod adresem Alice.

- Co ty możesz wiedzieć o oczach Pana? - spytała Els. Jeśli to w ogóle była prawda!

Muzeum Tatuazu na Oudezijds Achterburgwal, położone jakąś minutę drogi od hotelu Jacka, okazało się ciepłym, przytulnym zakątkiem, mieszczącym więcej pamiątek z branży, aniżeli Jack kiedykolwiek w życiu oglądał. Poznał Heńka Schiffmachera w południe, kiedy otwierano muzeum, i Henk oprowadził go po pomieszczeniach. Wewnątrz znajdował się również salon Heńka: Hokus-Pokus „Przybytek Bólu”. Kimkolwiek był Eddie z nowej pracowni Mistrza Petera, Henk Schiffmacher zasługiwał na miano Mistrza Petera nowej ery, znali go wszyscy z branży.

Henk był roslym, zwałistym facetem z długimi włosami i brodą motocyklisty. Na jego lewym bicepsie ziała ogniem damska czaszka z pojedynczą pierśią wyrastającą z czoła. Na prawym przedramieniu widniała szpula taśmy filmowej. Naturalnie Hokus-Pokus miał jeszcze inne tatuaże, ciało stanowiło istną mapę jego podróży. Ale Jack najlepiej zapamiętał właśnie te dwa.

Patrzył, jak Henk robi Japończykowi na karku irezumi przedstawiający karalucha. (Irezumi znaczy po japońsku „tatuaz”). Hokus-Pokus zjeździł dosłownie cały świat: był w Japonii, na Filipinach, w Singapurze, Bangkoku, Nepalu, Samoa i na Sumatrze.

Kiedy Henk tatuował karalucha, Jack słuchał leżącego z odtwarzacza CD „Rock of Ages” Johnny’ego Casha. Alice mawiała, że dobry salon tatuazu to cały wszechświat. „Miejsce, gdzie każda żądza dostaje rozgrzeszenie”, uzupełnił Henk Schiffmacher. Dlaczego więc nie potrafiła rozgrzeszyć Williama? I jakim cudem on wybaczył jej? Czy jednak rzeczywiście tak się stało? (Jack doszedł do wniosku, że sam nie czuje się na siłach, aby wybaczyć matce).

- Czy Nico Oudejans nadal pracuje w dzielnicy jako policjant? - spytał Jack.

- Nico? Nadal jest najlepszym policjantem w dzielnicy - oświadczył Henk. -Nico to pieprzony brygadier.

Na kościstych plecach Martina Brila widniał jego ulubiony tatuaz, Wniebowstąpienie: Chrystus opuszczający doczesny świat w asyście aniołów. Idąc dzielnicą czerwonych latami w kierunku komisariatu na Warmoesstraat, Jack przypomniał sobie, że Niebo Brila było ciemnym, pochmurnym miejscem. Przestało padać, ale bruk wydawał się śliski, a niebo w górze w pełni odpowiadało wizji Brila.

Jeszcze parę razy usłyszał dźwięk swojego nazwiska. Nieważne, skąd pochodziły, prostytutki w progach i witrynach z pewnością zaliczały się do grona miłośniczek kina, w obecnym lub poprzednim życiu.

Jack minął most nad kanałem przy Starym Kościele i natknął się na mały, cuchnący (jednoosobowy) pisuar, gdzie przyszło mu siusiać w dzieciństwie. Było ciemno, matka stała za barierką. Powtarzała, żeby się pośpieszył. Pewnie wołała nie sterczeć samotnie nocą w okolicy Oudekerksplein. Sikając, Jack słyszał pijackie przyśpiewki mężczyzn: musieli śpiewać po angielsku, inaczej nie zapamiętałby fragmentów.

Matka powiedziała mu później, że byli to angielscy kibice. „Są najgorsi”, oznajmiła. Rozegrano mecz, w którym angielska drużyna poniosła klęskę lub odniosła zwycięstwo: wynik ewidentnie nie miał wpływu na zachowanie kibiców w dzielnicy czerwonych latarni. Jack przypomniał sobie, że Saskia nazwała ich „brudnymi wszarzami”. Matka nigdy nie używała podobnych określeń.

Jack raz jeszcze obszedł Oude Kerk, od strony gdzie nowe przedszkole dzieliło ulicę z dziwkami. Ktoś podążał jego śladem: mężczyzna ruszył za nim na rogu Stoofsteeg, niemal z chwilą gdy Jack opuścił Muzeum Tatuazu i „Przybytek Bólu”. Kiedy Jack zwolnił, tamten

uczynił to samo, kiedy zaś z impetem ruszył naprzód, prześladowca również przyspieszył kroku.

Wielbiciel, przemknęło Jackowi przez głowę. Nie znosił, kiedy za nim łazili. Kiedy podchodzili, rzucali parę słów uznania i uściskawszy jego rękę, ruszali w swoją stronę, cóż, to było jeszcze do przyjęcia. Ale „ogony” działały mu na nerwy. Zazwyczaj były to kobiety.

Nie tym razem. Mężczyzna był krzepki i brodaty, nosił sportowe buty oraz wiatrówkę; szedł skulony, z rękami w kieszeniach, jakby zmarzył albo jakby nadal zaciął deszcz. Miał około pięćdziesięciu lat. Bynajmniej nie starał się udawać, że nie śledzi Jacka; wręcz starał się go prowokować, by ten stanął z nim twarzą w twarz.

Jack miał wątpliwości, czy drań odważy się wejść za nim na komisariat, dlatego brnął przed siebie jak gdyby nigdy nic.

Kiedy od Warmoesstraat dzieliła go jedna mała uliczka, drogę zastąpiła mu ciemnoskóra prostytutka w bieliźnie i na wysokich obcasach, prawie go dotknęła.

- Cześć, Jack. Widziałam twoje filmy - powiedziała. Mówiła z hiszpańskim akcentem, mogła pochodzić z Kolumbii albo Dominikany.

Na widok mężczyzny podążającego za Jackiem odruchowo uniosła rękę, jakby celował do niej z pistoletu, po czym błyskawicznie wróciła tam, skąd przyszła. Jack zrozumiał, że idzie za nim policjant. Dominikanka lub Kolumbijka wiedziała, z kim ma do czynienia, i wolała z nim nie zadzierać.

Jack przystanął i odwrócił się do mężczyzny, którego oczy wciąż nosiły odcień jajek drozda, a wysoko na kości policzkowej widniała charakterystyczna blizna w kształcie litery L. Broda początkowo go zmyliła. Kiedy po raz pierwszy spotkał Nico Oudejansa, tamten miał góra trzydzieści lat i nie nosił brody. Jack zawsze uważał go za miłego faceta, Nico okazał mu kiedyś wiele serca. Teraz zaś wyglądał na prawdziwego twardziela.

- Czekałem na ciebie, Jack. Wypatrywałem cię od kilku lat. Mówiłem paniom

- ciągnął, wskazując głową na uśmiechniętą prostytutkę - „Pewnego dnia słynny Jack Burns zawita w nasze progi. Dajcie znać, jak go zobaczycie”. No cóż - dodał, podając Jackowi rękę - odebrałem dziś z pół tuzina telefonów. Wiedziałem, że przynajmniej jedna z nich mówi prawdę.

Kiedy weszli na Warmoesstraat, policjant położył rękę na ramieniu Jacka i skierował go na prawo, zupełnie jakby nie dowierzał jego pamięci.

- Chciałeś się ze mną zobaczyć, Jack?

- Owszem - odparł Jack.

- Twoja mama nie żyje?

Jack zakładał, że Nico wie o śmierci Alice: była matką Jacka Burnsa, dlatego napisano o tym we wszystkich czasopismach filmowych. Ale Nico Oudejans nie czytał czasopism filmowych. Domyślił się, że dopóki żyła Alice, Jack nie podjąłby decyzji o powrocie do Amsterdamu.

- Dlaczego? - spytał Jack.

- Matka na pewno próbowałaby ci to wyperswadować - odrzekł Nico.

Weszli na posterunek i wspięli się po schodach do niemal pustego biura na drugim piętrze. W pomieszczeniu znajdował się tylko stół oraz trzy lub cztery krzesła. Jack usiadł naprzeciw policjanta, jakby zamierzał go przesłuchać. Jack zdziwił się, że Nico zostawił otwarte drzwi, jak gdyby nie czekała ich prywatna rozmowa. Odniósł wrażenie, że wszyscy policjanci w budynku znają z góry pytania, jakie postawi ich koledze. Odpowiedzi zresztą też.

Być może z uwagi na obecność policjanta Jackowi rozwiązał się język. Opowiedział Oudejansowi o wszystkim. (Tak jakby sam ponosił winę za kłamstwa i matactwa Alice, a to, o czym się niedawno dowiedział, stanowiło historię wypartą dotąd z jego świadomości).

Nie przerwał nawet wówczas, kiedy do pokoju wszedł drugi policjant i położył przed tamtym pieniądze; po jego wyjściu to samo uczyniło jeszcze czterech albo pięciu innych. Niektórzy mieli na sobie mundury, inni ubrania cywilne, jak Nico. Stało się to, zanim Jack dotarł do holenderskiej części opowieści.

Kiedy to nastąpiło, był już porządnie zmęczony. Tymczasem Nico skręcił kilka papierosów. Trzymał w kapciuchu ciemny tytoń i dosypywał go jak gdyby nigdy nic. Owa czynność zdawała się dlań istotniejsza aniżeli samo palenie. Wreszcie przestał. Na stole leżały trzy bądź cztery skręty, policjant nie zapalił jeszcze ani jednego.

- Sądziłem, że robiła to tylko przez jedną noc - uzupełnił Jack. - Myślałem, że miała jednego klienta, prawiczka. Zerwał jej naszyjnik z pereł.

- Żadna nie robi tego tylko przez jedną noc, Jack. Kiedy kazałem jej przestać i zagroziłem deportacją, nie zareagowała. Ona zawsze przyjmowała samych prawiczków. Przynajmniej jej mówili, że nimi są, albo na takich wyglądali.

- Ale dlaczego to robiła? - nie ustępował Jack. - Przecież miała pracę, prawda? Zarabiała u Mistrza Petera i Mistrza Theo.

Alice miała dwie niezłe posady, a William wysyłał jej pieniądze na utrzymanie Jacka, podobnie zresztą jak pani Wickstead. Alice nie potrzebowała dodatkowego źródła dochodów. Mimo to jedyną rzeczą, jakiej dotąd nie zrobiła, by skłonić Williama do powrotu, było narażenie na ryzyko własnego syna: nie uczyniła nic, czego nie powinien był zobaczyć. Doszła jednak do wniosku, że jeśli na oczach Jacka zostanie prostytutką... hm, co się stanie, jeśli dorastający chłopiec zapamięta matkę w roli dziwki?

- „Co, jeśli zapamięta, że to ty mnie do tego zmusiłeś?”, zapytała twojego ojca - powiedział Nico Oudejans. - „Skoro tak bardzo lubisz prostytutki, że nawet dla nich grasz, może Jack zapamięta, że zostałam jedną z nich, ponieważ przestałeś grać dla mnie”.

Nico poinformował Jacka, że William grał dla prostytutek z przyczyn stricte religijnych.

- Był chrześcijaninem gorliwym, ale w pozytywnym sensie - wyjaśnił.

William nalegał na odprawianie mszy specjalnie dla prostytutek, wcześniej rano, kiedy wiele z nich kończyło pracę. Chciał, żeby wiedziały, że Oude Kerk należy wówczas tylko do nich, podobnie jak jego muzyka. Pragnął, aby przychodziły i dawały się ponieść jego grze, aby się modliły. (Oczywiście zależało mu na tym, by zerwały ze środowiskiem, lecz nawracał je tylko za pomocą muzyki).

Nie wszyscy w Starym Kościele pochwalali jego metody, on jednak zamykał usta krytykom, cytując świętego Ignacego Loyolę. Wychodził z założenia, że w Amsterdamie napotkał więcej zła niż święty Ignacy na ulicach Rzymu. Ignacy zbierał pieniądze od bogaczy, założył przytułek dla upadłych kobiet. To właśnie w Rzymie ogłosił, że jeśli zdoła zapobiec grzechom popełnionym przez jedną prostytutkę w jedną noc, gotów jest poświęcić własne życie.

- Oczywiście parę wyżej postawionych osób z Oude Kerk nie kryło powątpiewania: ostatecznie Loyola był katolikiem - dodał Nico Oudejans. - Twój ojciec zaś wydawał się za bardzo nastawiony na Rzym, jak na gust protestantów. Ale William na to: „Słuchajcie, ja nie próbuję zapobiec grzechom jednej prostytutki”, choć w gruncie rzeczy tak właśnie było. „Chcę tylko dodać im otuchy. A jeśli niektóre z nich usłyszą w muzyce boży zgiełk, cóż w tym złego?”.

- „Boży zgiełk”? - powtórzył Jack.

- Tak to określił. Zwykł mówić, że jeśli człowiek słyszy w organach boży zgiełk, w głębi serca jest pełen wiary.

- Czy to działało? - spytał Jack. - Czy jakieś prostytutki dały się nawrócić?

- Niektóre odkryły w sobie wiarę - odrzekł Nico - nie sądzę jednak, by któraś zrezygnowała z zawodu, przynajmniej zanim twoja matka wstąpiła w ich szeregi. Część prostytutek nie przepadała za twoim ojcem, uważały go za kolejnego samozwańczego

dobroczyńcę, który je potępia. Też mi przejaw potępienia! Jednakże zdecydowanie więcej nienawidziło twojej matki. One nie dopuszczały swoich dzieci w pobliże dzielnicy czerwonych latami, ona zaś ciągała cię tu dniem i nocą, tylko po to, by zagrać na nosie Williamowi.

- Zagroziłeś jej deportacją? - zapytał Jack.

Do biura wszedł kolejny policjant i położył przed Oudejanssem więcej guldenów.

- Deportacja prostytutek spoza Holandii była na porządku dziennym - odrzekł Nico. - Ale twój ojciec za wszelką cenę usiłował temu zapobiec. Nie chciał cię stracić, Jack. A zarazem nie mógł ścierpieć tego, na co byłeś narażony.

Jack spytał o Fransa Donkera, stroiciela organów. Nico powiedział, że Donker naśladował bądź próbował naśladować wszystko, co robił William. Połowę czasu spędzał na granii zamiast strojeniu organów.

- Kiedy twój ojciec chciał się wypaść, zbyt zmęczony, żeby grać dla pań z Oudekerksplein, zastępował go Frans. Był chyba trochę niedorozwinięty, może ktoś w dzieciństwie upuścił go na głowę - rzekł z namysłem policjant. - Ale twój ojciec traktował go jak bezradne szczenię. Litował się nad nim i go rozpieszczał, zawsze okazywał mu wielką wyrozumiałość. Donker wcale na to nie zasługiwał, wątpię, by w ogóle to doceniał.

- Sypał sobie puder pod tyłek - przypomniał Jack.

- Próbował nawet kopiować tatuaże Williama, z mizernym skutkiem - dorzucił Nico. - Potem znalazł jakąś idiotyczną robotę, coś w sam raz dla niego, i tyleśmy go widzieli.

- Chyba wiem, co zrobił - oznajmił Jack. - Zaczął grać na statku rejsowym. Popłynął do Australii, żeby dać się wytatuować Cindy Ray.

- Rzeczywiście! - zawołał Nico Oudejans. - To się nazywa pamięć, Jack! Nawet taki stary wyga jak ja na śmierć o tym zapomniął.

Jack przypomniał sobie również ciemnoskórą kobietę z Surinamu; była jedną z pierwszych prostytutek, które się do niego odezwały. Zdziwił się, że znała jego imię. Stała w witrynie na Korsjespoortsteeg albo Bergstraat, nie w samej dzielnicy czerwonych latami, lecz w miejscu, opodal którego poznali Femke. (Uważał Femke za niekonwencjonalną prostytutkę, podczas gdy w rzeczywistości była prawniczką!).

Surinamka dała mu czekoladkę w kolorze własnej skóry. „Trzymałam ją dla ciebie, Jack”, powiedziała. A on przez wiele lat wierzył, że musiała być jedną z dziewczyn ojca, jedną z prostytutek, które zabierały Williama do domu i z którymi sypiał, jak sugerowała Alice. Ale to nie była prawda.

Ojciec Jacka nie uprawiał w Amsterdamie seksu z prostytutkami, grał tylko dla nich na organach, zasypywał je kaskadą świętych i potężnych dźwięków, zmuszając, aby zamieniały się w słuch. Co do tych, które usłyszały w muzyce boży zgiełk, może istotnie zdołały uniknąć grzechów jednej nocy, później, kiedy już porzuciły zawód.

- Nazywałem twojego ojca protestanckim Loyolą, co chyba mu się podobało - oświadczył Nico Oudejans.

Nico powiedział również Jackowi, że surinamska prostytutka była jedną z pierwszych nawróconych przez Williama na chrześcijaństwo: dosłyszała w organach boży zgiełk i z dnia na dzień przyjęła wiarę.

Jack stracił rachubę, ilu policjantów przewinęło się przez gabinet, kładąc na stole pieniądze, kiedy jednak uczynił to kolejny, zapytał policjanta, czy wygrał zakład lub wyścigi konne.

- Wygrałem zakład, Jack - odparł Nico. - Założyłem się z każdym gliniarzem z drugiej dzielnicy, że nim przejdę na emeryturę, Jack Bums wkroczy na posterunek przy Warmoesstraat i utniemy sobie pogawędkę na temat jego rodziców.

Następnego wieczoru, w środę, Jack poszedł z Nico Oudejanssem do Oude Kerk, aby posłuchać, jak organista Willem Vogel przygotowuje się do mszy. Vogel oficjalnie skończył z

pracą nauczyciela i dyrygenta, nadal jednak tworzył muzykę na organy i chór (niedawno wydano jego płytę) oraz grał w Oude Kerk podczas niedzielnej mszy. W środy odbywał próby. Dobiegał osiemdziesiątki, ale wyglądał młodziej. Miał długie, bezwłose ręce i nosił sweter z wypchanymi łokciami. Z uwagi na brak ogrzewania w kościele owinął szyję wełnianym szalem.

Jack dobrze zapamiętał wąskie, obramowane ceglami schody, wiodące na położone w górze stanowisko organisty. Po jednej stronie znajdowała się drewniana poręcz, po drugiej zaś nawoskowany sznur o barwie palonego karmelu. Za obitym skórą siedziskiem wisiała jasna, goła żarówka: idealnie oświetlała pożółkłe kartki z nutami, nie rzucając przy tym cieni. Sfatygowane buty Vogla delikatnie postukiwały w pedały, a jego długie palce zdawały się jedynie muskać klawisze.

Jack słyszał śpiew chóru jedynie w chwilach, gdy organy cichły bądź milkły zupełnie. Kiedy rozbrzmiewały z pełną mocą, głosy chórzystów ginęły. Gdy chór śpiewał bez niego, Vogel sięgał po cukierka, a następnie skrzętnie chował do kieszeni paperek.

Wyrazy widniejące na rejestrach były dla Jacka kompletnie niezrozumiałe. Należały do innego świata.

BAARPIJP 8 VETO

OCTAAF 4 VOET

NACHTHOORN 2 VOET

TREMULANT POSITIEF

Usilnie starał się wyłonić z muzyki boży zgiełk. Ale nawet gdy Vogel grał „Sanctus” i „Agnus Dei”, Bóg nie odezwał się do Jacka ani słowem.

Willem Vogel nie poznał Williama Burnsa. Raz, w 1970 roku, podczas późnej kolacji u przyjaciół, ktoś zaproponował, by poszli do Oude Kerk i posłuchali koncertu dla upadłych kobiet, ale Vogel wymówił się zmęczeniem.

- Żałuję, że nigdy nie słyszałem, jak gra - powiedział Jackowi. - Niektórzy twierdzą, że był doskonały, inni zaś utrzymują, że miał w sobie za dużo efekciarstwa, by traktowano go poważnie jako muzyka.

Następnego ranka Jack poszedł z Nico Oudejanssem do kawiarni, gdzie umówili się z Saskią na kawę. Saskia skończyła z prostytutką ponad dziesięć lat temu, lecz Nico uprzedził Jacka, iż bynajmniej nie wpłynęło to pozytywnie na jej usposobienie. Poszła do szkoły kosmetycznej i nauczyła się strzyc włosy, a może też robić makijaż i manikiur. Pracowała w salonie kosmetycznym na Rokin, szerokiej, ruchliwej ulicy, pełnej umiarkowanie drogich sklepów.

Wolała, aby nie odwiedzali jej w miejscu pracy. Zważywszy na jej przeszłość, nawet przyjacielska wizyta policjanta mogła wzbudzić niepotrzebne podejrzenia. Obawiała się też, iż jej znajomość z Jackiem Burnsem może spowodować zamieszanie wśród klientek.

Na jej widok Jack pomyślał, że dokonała nie tylko zmiany zawodu, ale doznała całkowitego przeobrażenia. Znikła kolekcja bransolet zakrywających poparzoną rękę. Obecnie pięćdziesięcioletnia Saskia wciąż była chuda, lecz jej twarz zatraciła dawny, wynędzniały wyraz. W jej zachowaniu nie było cienia typowej dla prostytutek prowokacji. Nosiała chłopięco przystrzyżone włosy. Na biały golf narzuciła tweedową marynarkę o męskim kroju. Workowate dzinsy zniekształcały sylwetkę Saskii, a trzewiki na płaskim obcasie czyniły jej krok mało kobiecym.

Jack wstał i pocałował ją na przywitanie, lecz ona potraktowała go dosyć chłodno, może nie wrogo, ale na pewno nie przyjaźnie. Do Nica odniosła się z odrobiną większą przychylnością. W ogromnej torbie nosiła jorkszyrskiego teriera. Pies i policjant wydawali się zaprzyjaźnieni: terier wyskoczył z torby i podczas gdy Saskia składała zamówienie, z zadowoleniem usadowił się mężczyźnie na kolanach.

Jack oczekiwał podświadomie, że zamówi rogalika z szynką i serem, ona jednak ograniczyła się do kawy. Nie zdziwił się, widząc, że wstawiła sobie zęby. Przecież usta też musiały mieć swój udział w jej przeobrażeniu.

- Wiem, po co tu przyjechałeś, Jack, i mam to gdzieś - zaczęła. - Mam też własny pogląd na sytuację. - Jack nie odpowiedział. - Wszyscy brali stronę twojego ojca. Ale ja nienawidzę mężczyzn i lubiłam Alice. Poza tym nie po to harowałam w dzielnicy, żeby łązić do kościoła i wysłuchiwać tego jego rozdzierającego pitolenia.

- Pamiętam, jak przynosił ci rogaliki z serem - odezwał się Jack. (Próbował ją udobruchać, gdyż wyglądała na poirytowaną).

- Mógł cię tam oglądać. Pozwalała mu na ciebie patrzeć, kiedy kupowała te cholerne rogaliki. Gdybym miała zjeść choćby jednego, chyba padłabym trupem.

- Ty i Els opiekowałyście się mną na zmianę? - spytał Jack.

- Twoja mama dokładała nam do czynszu - odrzekła Saskia. - We trzy korzystałyśmy z dwóch pokoi. To był uczciwy układ.

- Matka przyjmowała tylko prawiczków?

- Niektórzy z nich zdążyli odwiedzić połowę kobiet w dzielnicy! Dla Alice liczyło się tylko to, że wyglądali na prawiczków - wyjaśniła Saskia.

- Czy naprawdę wierzyła, że ojciec do niej wróci tylko dlatego, by ją odwieść od tego pomysłu?

- Wierzyła, że zrobiłby niemal wszystko, aby cię chronić, zapewnić ci godne życie, a nie koczowanie w dzielnicy czerwonych latami - odrzekła Saskia. - To ta zasnana prawniczka wymyśliła sposób, żeby jej to wybić z głowy.

- Nie lubiłyście jej? - Jack przypomniał sobie, jak Saskia i Els krzyczały na Femke. O mało nie doszło wówczas do rękoczynów.

- Femke była taką samą pieprzoną samarytanką jak twój stuknięty ojciec, Jack. Niby broniła praw prostytutek, ale w gruncie rzeczy chodziło jej o to, żebyśmy wróciły do szkoły i wyuczyły się innego zawodu!

- Jaki układ zaproponowała matce?

- Kazała jej skończyć z prostytutką i zabrać cię z powrotem do Kanady. Obiecała, że tym razem ojciec za wami nie pojedzie. Jeśli matka odda cię do dobrej szkoły i dopilnuje, abyś się w niej utrzymał, William pokryje wszystkie koszty. Lecz Alice była twarda: kazała Femke obiecać, że ojciec nigdy nie będzie się ubiegał o choćby częściowe prawo do opieki nad tobą. Musiał też przyrzec, że nie spróbuje nawiązać z tobą kontaktu, nawet kiedy dorośniesz, nawet po śmierci Alice.

- Ale dlaczego się na to zgodził?

- Chciał zapewnić ci bezpieczeństwo, Jack. Choćby to miało oznaczać brak jakichkolwiek kontaktów między wami - wtrącił Nico Oudejans.

- Skoro twoja matka nie mogła mieć Williama, on nie mógł mieć ciebie - podsumowała Saskia. - To jasne jak słońce. Posłuchaj, Jack: Alice nie zawahałaby się na twoich oczach poderznąć sobie gardła i wykrwawić się na śmierć, byle tylko dać nauczki Williamowi.

- Jaką znowu nauczki? - zawołał Jack. - Że niby miał czelność ją zostawić?

- Posłuchaj, Jack - powtórzyła Saskia. - Podziwiałam twoją matkę, ponieważ odpłaciła mu pięknym za nadobne. Większość kobiet nie ma odwagi ubiegać się o zadośćuczynienie za swoje krzywdy.

- Ale jaką on wyrządził jej krzywdę? - zaproponował Jack. - Po prostu odszedł! Nie porzucił mnie,łożył na moje kształcenie, pokrywał inne wydatki...

- Nie można zrobić kobiecie brzucha, a potem się na nią wypiąć i nie ponieść za to żadnej kary, Jack - odparła Saskia. - Zapytaj swego ojca.

Z wyjątkiem jednej, rzuconej zdawkowo uwagi, Nico milczał. Podobnie jak Alice, Saskia przedkładała zemstę nad zdrowy rozsądek.

- Mężczyzn też strzyżesz? - zapytał Jack. - Czy tylko kobiety? - (Próbował się uspokoić).

Saskia uśmiechnęła się i dopiła kawę. Następnie cmoknęła i piesek skoczył z kolan policjanta prosto w jej objęcia. Wsadziła go do torby i wstała.

- Tylko kobiety - odpowiedziała, nie przestając się uśmiechać. - Ale skoro już jesteś dorosły, Jackie, gdybyś potrzebował kogoś do obcięcia jaj, wiesz, gdzie mnie szukać.

- W szkole chyba nie uczyli jej kastracji - zauważył Nico, kiedy obaj odprowadzali Saskię wzrokiem. Szła przed siebie, ani razu się nie obejrzała.

- A Els? - zapytał Jack. - Pewnie wiesz, co się z nią stało.

- Na twoje szczęście - odparł Nico - Els ma nieco milsze usposobienie.

- Nie obcina włosów? - upewnił się Jack.

- Zobaczysz - powiedział policjant. - Każdy ma swoją historię, Jack.

Minęli Damrak, oddalając się od dzielnicy czerwonych latarni. Lawirując między strumieniami kupujących, przecięli Nieuwendijk i weszli w malutką Sint Jacobsstraat, gdzie Els zajmowała mieszkanie na drugim piętrze. Okno z czerwoną lampą wyglądało dosyć nietypowo, nie tylko z uwagi na odległość od wiadomej dzielnicy, ale również dlatego, że znajdowało się ponad poziomem zajmowanym zwykle przez prostytutki. Jednym słowem, Els zyskała szerszą perspektywę na całe swoje dotychczasowe życie.

Za dnia witała przechodniów z hałaśliwą afekcją, lecz podobno nocą była bardziej wybredna: dla pijaków i narkomanów obsikujących ulice potrafiła być bezwzględna. Na Sint Jacobsstraat Els była nie tylko prostytutką, ale i samozwańczym stróżem prawa. Narkotyki zmieniły dzielnicę czerwonych latarni i zmusiły Els do zmiany rejonu: alkohol i prochy odebrały jej jedyne dzieci. (Dwóch synów; obaj zmarli, mając po dwadzieścia kilka lat).

Jack mylił się, uważając Els za rówieśnicę matki. Nawet z dołu wyglądała na kobietę po siedemdziesiątce: kiedy miał cztery lata, ona musiała liczyć sobie czterdzieści parę.

- Jackie! - zawołała, przesyłając mu pocałunek. - Mój mały chłopiec wrócił! -oznajmiła pełnym głosem. - Jackie, Jackie, chodź uściskać swoją starą nianię! Ty też, Nico. Możesz mnie uściskać, jeśli chcesz.

Weszli po schodach do jej mieszkania. Pokój z oknem na Sint Jacobsstraat stanowił niewielką część schludnego gniazdka, przesyconego aromatem kawy z kuchennego młynka. Els miała gosposię, znacznie od siebie młodszą kobietkę imieniem Marieke, która natychmiast przystąpiła do mielenia kawy. Jako dawna chłopka Els miała awersję do sprzątania, wiedziała jednak, że czysty dom to bardzo ważna rzecz. Wyjaśniła Jackowi, że dzieli lokum z jeszcze jedną „dziewczyną”: na zmianę korzystały z pokoju z oknem na ulicę, chociaż Petra, wspomniana prostytutka, mieszkała gdzie indziej.

- Petra jest młoda, a ja stara! - wykrzyknęła radośnie Els. (Jack nie miał okazji poznać Petry, ale wiedział od Nica, że ma sześćdziesiąt jeden lat).

Według Els, która przyznawała się do „około siedemdziesięciu pięciu”, większością jej stałych bywalców byli klienci poranni. („Po południu ucinają sobie drzemkę, a na nocne eskapady są za starzy”). Wieczorami zaglądali do niej przypadkowi przechodnie, zwabieni jej gruchaniem z parapetu. Przeważnie jednak w oknie siedziała Petra.

- W nocy śpię - wyznała Els, ściskając ramię Jacka. - Albo idę do kina, zwłaszcza jeśli grają jeden z twoich filmów, Jackie!

Zawsze była dużą niewiastą z imponującym biustem, który wyprzedzał ją o krok na podobieństwo dostojnego dziobu okrętu. Była potężna, ale nie gruba; miała galaretowate

ramiona i lekko utykała. Twierdziła, że ma słabe serce oraz „kto wie, czy nie zator w mózgu”. Złowieszczo wskazała przy tym na swoją głowę: nadal nosiła platynową perukę.

- Codziennie łykam tyle tabletek, Jackie - zawołała, całując go w policzek - że już całkiem straciłam rachubę!

Poinformowała również Nica o kłopotach z gospodarzem; może policja powinna się zająć nowym właścicielem budynku.

- Na przykład go zastrzelić - zasugerowała, cmokając policjanta w policzek, a następnie czyniąc to samo z Jackiem. Wynikł spór o czynsz i kwestie podatkowe. Els uważała nowego właściciela za kompletnego bęcwała.

Była niezmordowaną rzeczniczką związku zawodowego prostytutek i regularnie wygłaszała pogadanki dla licealistów na temat życia ulicznego. Uczniowie, wielu niespełna szesnastoletnich, zadawali jej pytania dotyczące „pierwszego razu”. Els przed laty wyszła za mąż: małżonek odkrył, że jest dziwką, dopiero trzy lata po ślubie.

Miała siniaka na twarzy. Nico zapytał, czy któryś z (może przypadkowych) klientów podbił jej oko.

- Ależ skąd - odparła. - Klienci nie mieliby odwagi podnieść na mnie ręki. - Wdała się w bójkę w kawiarni na Nes, opodal Dam Square. Wpadła na byłą prostytutkę, która udawała, że jej nie widzi. - Świętoszkowata ździra - oceniła Els. - Powinieneś zobaczyć jej gębę, Nico.

Jack doszedł do wniosku, że kwestia świętoszkowatości mogłaby stanowić dobry przyczynek do rozmowy o ojcu. Els nie tylko go znała: w tajemnicy przed Alice chodziła często bladym świtem do Oude Kerk, aby posłuchać, jak William gra na organach. Jack uznał, że nie słyszała bożego zgiełku, lecz jedynie muzykę. Ku swemu zdumieniu usłyszał, że pewnej nocy zabrała go do Starego Kościoła.

- Pomyślałam sobie, że nawet jeśli nie zapamiętasz gry, dźwięki pozostaną w twojej świadomości - oświadczyła. - Ale musiałam cię zanieść, spałeś przez całą drogę, nawet nie uchylileś powieki. Przespałeś dwugodzinny koncert, Jackie. Nie wysłuchałeś ani jednej nuty! Wątpię, żebyś cokolwiek pamiętał.

- Ja też - przyznał.

Jack wiedział, jak ukryte było stanowisko organisty w Oude Kerk. Wiedział, że William nie miał szans dostrzec syna śpiącego na obfitym biuście prostytutki, co - zważywszy na jego opinię o „środoisku” - pewnie nie było takie złe.

Ponieważ Saskia i Alice cieszyły się większą popularnością wśród klientów, Els przez większość czasu odgrywała rolę jego opiekunki (inaczej „niani”).

- Poza tym byłam silniejsza niż one dwie i mogłam cię nosić! - wykrzyknęła. Przenosiła go z łóżka do łóżka. - Uważałam cię za jedną z nas - oznajmiła. - Nigdy nie szedłeś raz do łóżka, tylko musiałam cię wlec z miejsca na miejsce!

- Pamiętam, jak o mało nie pobiłaś Femke.

- Uch, mogłabym ją zabić. Powinnam była to uczynić, Jackie! - zawołała Els.

- Jednak to do niej należało zawieranie układów, coś trzeba było zrobić. Ale to nie był dobry układ, i to mnie najbardziej rozjuszyło. Prawnicy mają gdzieś sprawiedliwość. Dla nich dobry układ to taki, na który przystaną obie strony.

- Coś trzeba było zrobić, Els. Sama tak powiedziałaś - wtrącił Nico.

- Wal się, Nico - poradziła mu Els. - Pij kawę.

Kawa była wyśmienita, Marieke przyniosła też ciastka.

- Czy ojciec patrzył, jak opuszczam Amsterdam? - zapytał Jack.

- Patrzył, jak opuszczasz Rotterdam, Jackie. Patrzył, jak statek wypływa z portu. Przyjechał z Femke, jej samochodem. Saskia została w Amsterdamie. Odprowadziła ciebie, twoją mamę i mnie na dworzec, ale stwierdziła, że więcej „dramatu” nie zniesie. Tak nazywała pożegnania: „dramat”.

- Pojechałaś z nami do Rotterdamu pociągiem?

- Odprowadziłam was do portu i zapakowałam na statek, Jackie. Twoja matka była w niewiele lepszym stanie niż William. Chyba zaczynało do niej docierać, że więcej go nie zobaczy, chociaż sama narzuciła takie warunki umowy.

- Widziałaś w porcie ojca?

- Pieprzona Femke nie wysiadła z samochodu, ale on tak - odrzekła Els. -Płakał jak bóbr, doszczętnie się załamał. Upadł, musiałam go zanieść do mercedesa zasranej prawniczki.

- Czy Mistrz Peter naprawdę miał mercedesa? - spytał Jack.

- Femke miała lepszego, Jackie. Odwiozła Williama do Amsterdamu. Ja wróciłam pociągiem. Cały czas miałam przed oczami, jak machasz. Sądziłam, że machasz do mnie, oczywiście ci odmachałam, ale tak naprawdę żegnałeś się z ojcem. Fajna mi umowa, co, Nico? - burknęła pod adresem policjanta.

- Coś trzeba było zrobić - powtórzył.

- Wal się, Nico - raz jeszcze poradziła mu stara prostytutka.

Po powrocie do „Grandu” Jack zastał dwa fakсы, które odczytał w niewłaściwej kolejności. Zaczął od zdumiewającej sugestii Richarda Gladsteina, producenta filmowego. Bob Bookman wysłał Gladsteinowi „Recenzentkę bzdur”.

Jack,

Nie ruszaj się z Amsterdamu! Co powiesz na spotkanie z Williamem Vanvleckiem? Wiem, że kiedyś razem pracowaliście. „Recenzentka bzdur” to właściwie re-make, jak ułał wpasuje się w działkę Dzikiego Billa. Tylko pomyśl: cała opowieść to przeróbka filmu pornograficznego, ale takowym nie jest, co nie? Żadnych bezeceństw, lecz sama koncepcja związku Jamesa „Jimmy’ego” Stronacha z Michele Maher jest odrobinę pornograficzna, prawda? (On za duży, ona za ciasna. Bomba!) Musimy to obgadać. Daj znać, jak Ci się widzi Szalony Holender. Tak się składa, że akurat obaj jesteście w Amsterdamie. Jeśli się zgodzisz na tego reżysera, zaraz wsiadam w samolot i jestem u was.

Richard

Wszystko stało się jasne po przeczytaniu drugiego faksu, który w istocie przyszedł jako pierwszy. Była to wiadomość od Boba Bookmana z CAA.

Jack,

Richard Gladstein jest zachwycony Twoim scenariuszem. Chce z tobą omówić kwestię wyboru reżysera. Ma wariacki (albo i nie) pomysł zatrudnienia Dzikiego Billa Vanvlecka. Zadzwoń do mnie. Zadzwoń do Richarda.

Bob

Jack był tak podekscytowany, że natychmiast zatelefonował do Richarda Gladsteina i go obudził. (W LA był wczesny poranek).

Dziki Bill Vanvleck miał obecnie około siedemdziesiątki. Przeniósł się z Beverly Hills z powrotem do Amsterdamu. Od kilku lat nikt w Hollywood nie poprosił go o wyreżyserowanie filmu. Sprzedał swą koszmarną posiadłość na Loma Vista Drive. Z jego chartami stało się coś złego. Jack pamiętał hasające po willi chude psy, ślizgające się na drewnianych podłogach.

Coś złego spotkało również kucharkę i ogrodnika, małżeństwo z Surinamu. Richard Gladstein powiedział Jackowi, że ktoś utonął w basenie Vanvlecka. Richard nie pamiętał, czy była to miniaturowa kucharka, czy może jej tyci mąż. (Być może ofiarą stał się któryś z chartów!).

I tak Szalony Holender znalazł się z powrotem w Amsterdamie, gdzie zamieszkał ze znacznie młodszą kobietą. Nakręcił udany serial dla holenderskiej telewizji; według opisu

Richarda Gladsteina, była to przeróbka „Policjantów z Miami”. Miejscem akcji była amsterdamska dzielnica czerwonych latami.

Richard wspomniał o ewentualnym sprzeciwie, jaki napotka kandydatura Williama Vanvlecka w Miramaksie, jeśli oczywiście rozmowa z samym reżyserem przyniesie spodziewany efekt. Jednakże obaj z Jackiem uznali, że rokowania nie są złe. (Bob Bookman przesłał już Dzikemu Billowi kopię scenariusza).

Richard i Jack rozważyli także kandydaturę Lucii Delvecchio do roli Michele Maher.

- Musiałyby schudnąć dziesięć kilo - zauważył Jack.

- Uczyni to z rozkoszą! - oznajmił Gladstein.

Niewątpliwie, pomyślał Jack. W Hollywood mieszkało wiele kobiet, które chętnie pozbyłyby się dziesięciu kilogramów, trzeba im tylko było dać ku temu dobry powód.

Im dłużej zastanawiał się nad Dzikim Billem Vanvleckiem, tym bardziej ten pomysł mu się podobał. Najślabszą stroną dotychczasowych osiągnięć Potwora

Remake'ów był sam materiał, a mianowicie scenariusze. Bill nie tylko zrzucał z innych, lepszych dzieł, ale zwykle posuwał się w tym za daleko i niebezpiecznie rozciągał granice parodii. Jeśli nie ma dla ciebie żadnych świętości, widzom nie pozostaje nikt i nic budzącego zrozumienie i sympatię. Tymczasem w „Recenzentce bzdur” takich postaci nie brakowało: zaliczała się do nich zarówno przyciasna recenzentka, jak i kiepski scenarzysta z dużym penisem. Vanvleck w życiu nie reżyserował nic równie sympatycznego.

Jack żałował, że nie może spytać Emmy o zdanie, uznał jednak, że niekoniecznie przewróci się w grobie.

Ponownie wyszedł na zalaną deszczem ulicę. Minął „Casa Rosso”, gdzie wyświetlano filmy pornograficzne i organizowano występy na żywo (tudzież służyła natychmiastową radą, jak niegdyś wierzył). Nie miał ochoty wstąpić do środka, nawet dla celów badawczych, w ramach rozpoznania przed „Recenzentką bzdur”.

Raz jeszcze udał się na posterunek przy Warmoesstraat, ale Nico był akurat na obchodzie w czerwonej dzielnicy. Dwóch młodych umundurowanych policjantów powiedziało Jackowi, że telewizyjny serial Vanvlecka jest dość wiarygodny. Dzikie Bill spędził trochę czasu na posterunku przy Warmoesstraat i brał udział w patrolach z prawdziwymi policjantami. Jack wziął za dobry znak, że prawdziwym policjantom przypadł do gustu film o ich środowisku.

Poszedł do siłowni na Rokin. Samo miejsce było w porządku, lecz na cały regulator nadawano tam ostrą muzykę: Jack odnosił wrażenie, że niepotrzebnie się śpieszy, choć w gruncie rzeczy wcale tak nie było. Zorganizowane przez Nica spotkanie z Femke miało się odbyć dopiero o czwartej po południu. Jack miał mnóstwo czasu. Po powrocie do „Grandu” zastał w recepcji paczkę od Nica: kasetę wideo z serialem Vanvlecka.

Wziął prysznic, ogolił się i elegancko ubrał, po czym znów opuścił hotel. Kancelaria prawnicza Marinusa i Jacoba Poortvlieta znajdowała się na Singel. Femke, matka właścicieli, wycofała się z zawodu. Jack od razu zrozumiał, jak łatwo było jego matce go przekonać, że ma do czynienia z prostytutką. Kancelaria leżała mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Bergstraat i Korsjespoortsteeg, dosłownie kawałek od ulic, gdzie urzędowały luksusowe przedstawicielki najstarszego zawodu świata.

Niektóre szczegóły pozostały niezmienione: ze skórzanego fotela do czytania i wielkiej skórzanej sofy rozciągał się dobry widok na samochody oraz przechodniów na Singel. Parę krajobrazów na ścianach też wyglądało znajomo. Jack zapamiętał nawet orientalny chodnik.

Femke się spóźniała, Jack porozmawiał z jej synami. Dwaj konserwatywnie ubrani panowie po pięćdziesiątce w 1970 roku byli studentami. Lecz nawet osoby z ich pokolenia pamiętały kontrowersyjnego organistę Williama Burnsa, który organizował o świcie w Oide Kerk koncerty dla prostytutek. Żacy upodobali sobie owe koncerty, czyniąc je stałym punktem nocnych wypadów.

- Niektórzy z nas uważali pańskiego ojca za aktywistę, reformatora społecznego. Bądź co bądź, okazywał prostytutkom wiele zrozumienia - powiedział Marinus.

- Wśród niektórych prostytutek, konkretnie tych, co nie uczestniczyły w koncertach, William uchodził za nawiedzonego fanatyka, którego działalność miała jedynie skłonić je do zmiany zawodu - dodał Jacob.

- Ale grał doskonale - uzupełnił Marinus. - Bez względu na panującą o nim opinię był fantastycznym organistą.

Poortvlietowie specjalizowali się w prawie rodzinnym, nie tylko brali na tapetę rozwody i sprawy o opiekę nad dziećmi, ale rozwiązywali również kwestie podatkowe i zajmowali się rozporządzaniem majątku. W wypadku Williama Burnsa trudność polegała na tym, że nadal był obywatelem Szkocji, choć dysponował wizą umożliwiającą mu czasową pracę w Holandii. Alice, obywatelka Kanady, nie miała takiej wizy, lecz jeśli chodzi o czeladników holenderskich tatuaży stów policja dopuszczała możliwość kilkumiesięcznego, nieobciążonego podatkiem zatrudnienia. Później musieli wyjechać bądź zacząć płacić podatki.

Rodzice Jacka nie byli obywatelami Holandii, dlatego sprawa o opiekę nad dzieckiem w miejscowym sądzie odpadała. Pomimo skandalicznego zachowania Alice William miał związane ręce. Jedną z opcji było zmuszenie Alice do wyjazdu na podstawie zarzutu wielokrotnego uprawiania seksu z nieletnimi chłopcami. Poza tym nie cieszyła się sympatią pozostałych prostytutek. (Nie dość że sterczała na progu, wyśpiewując pieśni kościelne, to jeszcze ciągała ze sobą czterolatka).

- Ta olbrzymka, chyba Els, nosiła pana wszędzie dniem i nocą - oznajmił Marinus Poortvliet.

- A pan przeważnie spał albo leżał bezwładnie jak warzywo - dorzucił jego brat Jacob.

- Prostytutki nazywały pana „tygodniowymi zakupami”, gdyż w ramionach tej kobiety wyglądał pan jak torba z tygodniową racją żywności dla całej rodziny

- wyjaśnił Marinus.

- Czyli w świetle prawa holenderskiego matka mogła zostać deportowana, ale ojciec nie mógł się ubiegać o opiekę nad własnym synem? - upewnił się Jack.

Mężczyźni skinęli głowami.

Przyszła Femke i Jack raz jeszcze poczuł się zakłopotany jej obecnością, nie tylko z uwagi na jej inność i respekt, jaki budziła jako „prostytutka”. W jego oczach uchodziła za niezrównaną prowodyrkę: bez względu na twoje dotychczasowe doświadczenia była zdolna nakłonić cię do czegoś, co dotąd nie mieściło ci się w głowie.

- Kiedy oglądam pana w filmach - powiedziała bez przywitania - widzę mężczyznę równie przystojnego i utalentowanego jak pański ojciec, lecz nawet w połowie nie tak otwartego i nieostrożnego. Jest pan bardzo ostrożny, prawda, Jacku Burns? - spytała, siadając na skórzanym fotelu. Pomyśleć, że kiedyś wierzył, iż ma to na celu zwabienie klientów!

- Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać - odpowiedział.

- Bardzo ostrożny, prawda? - zwróciła się do synów, nie oczekując odpowiedzi innej aniżeli skinienie bądź potrząśnięcie głową. Było to pytanie retoryczne: Femke z góry znała odpowiedź.

W wieku siedemdziesięciu ośmiu lat zachowała zgrabną figurę bez grama zbędnego tłuszczu. Jej (ewidentnie wrodzona) elegancja jasno dawała do zrozumienia, że tylko dureń (albo czterolatek) mógłby pomylić ją z prostytutką. Skóra Femke była równie gładka jak skóra zadbanej pięćdziesięciolatki, włosy zaś nosiły śnieżnobiały odcień.

- Gdybyście byli Holendrami, niezwłocznie zapewniłabym Williamowi prawo do opieki nad panem. Gdyby to ode mnie zależało, Alice wróciłaby do Kanady jako osoba bezdzietna - oświadczyła Femke. - Sęk w tym, że pański ojciec jej wybaczył. Wybaczyłby jej wszystko w zamian za obietnicę należytej opieki nad jego synem.

- Czyli dobrą szkołę, bezpieczne otoczenie, namiastkę stabilizacji? - odpowiedział Jack.

- To nie takie złe, prawda? - odpowiedziała pytaniem Femke. - Żyjesz i masz się dobrze, Jack. Tutejsze postępowanie Alice nie zapowiadało szczęśliwego zakończenia. Poza tym wreszcie zaczynało do tej kobiety docierać, że William nigdy do niej nie wróci. Coś zaczęło jej świtać już w Helsinkach. Ale że William zaakceptuje ból związany z rozstaniem z własnym synem, w razie gdyby Alice rzeczywiście wróciła z tobą do Kanady... to dopiero była niespodzianka! Obie byliśmy bardzo zdziwione. Nie spodziewaliśmy się, że na to przystanie! Ale nie doceniałyśmy jego chrześcijańskiej natury. - W ustach Femke określenie „chrześcijańska” nie zabrzmiało jako komplement. - Ja byłam tylko negocjatorem, Jack. Chciałam wynegocjować dla twojego ojca lepsze warunki. Ale cóż można zrobić, jeśli zwaśnione strony dochodzą do porozumienia? Czy umowa nie jest umową?

- Zawiozła go pani do portu? - spytał Jack. - Wszystko potoczyło się zgodnie z planem, aż do samego końca?

Femke wyjrzała przez okno na pojazdy z wolna zdążające ulicą.

- Twoja widoczna ze statku buzia była jedyną uśmiechniętą twarzą, jaką widziałam, Jack. Matka musiała cię podnieść, żebyś lepiej widział. Machałś do tej wielkiej dziwki. Kiedy William upadł na ziemię, myślałam, że dostał ataku serca. Olbrzymka dźwignęła go z asfaltu i zaniósła do mojego samochodu tak łatwo, jak kiedyś nosiła ciebie! Bądź łaskaw pamiętać, iż cały czas byłam przekonana, że twój ojciec nie żyje. Wolałam, aby nie leżał na przednim siedzeniu, ale właśnie tam go wpakowała. Wtedy zobaczyłam, że jest ledwie żywy, ale oddycha. „Co ja zrobiłem? Jak mogłem? Kim ja jestem, Femke?”, pytał. „Jesteś nawiedzonym chrześcijaninem, Williamie. Za dużo wybaczasz”, odpowiedziałam. Ale klamka zapadła. Twój ojciec był jedynym człowiekiem na tej planecie, który dotrzymałby warunków podobnej umowy. Sądząc po twojej minie, matka też ich dotrzymała... w pewnym sensie.

W tamtej chwili Jack nienawidził ich oboje: matki i ojca. W wypadku matki sprawa była jasna. Co do ojca, Jack ni stąd, ni zowąd uznał go za mięczaka. William Burns zrezygnował z własnego syna! Jack nie posiadał się z oburzenia. Femke, emerytowana, acz niezrównana prawniczka, bezbłędnie odczytała to z jego twarzy.

- Ach, daj sobie spokój! Nie zachowuj się jak dziecko! - zawołała. - Zdrowy, młody mężczyzna, a nie może przeboleć przeszłości. Trzeba żyć dalej, Jack. Ożeń się, spróbuj być dobrym mężem i ojcem. Przy odrobinie szczęścia zobaczysz, jakie to trudne. Przestań ich oceniać!

Troskliwe zabiegi dorosłych synów jasno świadczyły, że Marinus i Jacob świata poza matką nie widzą. Femke raz jeszcze wyjrzała przez okno: sposób, w jaki odwróciła się profilem do Jacka, krył w sobie coś ostatecznego, jakby nie miała nic więcej do powiedzenia i spotkanie dobiegło końca. Nico Oudejans poprosił ją o rozmowę z Jackiem, na co przystała zapewne przez szacunek dla policjanta aniżeli sławnego aktora. Zrobiłam, co do mnie należało, mówił profil; nic więcej ze mnie nie wyciągniesz.

- Jeszcze tylko chciałbym wiedzieć, co się z nim stało - zaryzykował Jack. - Przypuszczam, że nie został w Amsterdamie.

- Naturalnie że nie - odparła. - Tutaj wszędzie widział ciebie, a w każdej dziwce twoją matkę!

Jack nie odpowiedział. Błagalne spojrzenia i gesty synów wymusiły na nim cierpliwość. Zdawały się przekonywać, że jeśli przeczeka humory starszej kobiety, na pewno nie odejdzie z kwitkiem.

- Hamburg - oznajmiła Femke. - Który organista nie chce grać w jednym z tych niemieckich kościołów, gdzie grywał może sam Bach? Wyjazd Williama do Niemiec był nieunikniony, lecz Hamburg miał szczególne znaczenie. Już teraz nie pamiętam. Wspominał, że chce dorwać niejakiego Herberta Hoffmanna. To pewnie jakieś słynne organy.

Wyprowadzenie z błędu kobiety o równie niezachwianej pewności siebie sprawiło Jackowi nie lada frajdę.

- Tatuażysta, a nie organy - uściślił.

- Nigdy nie widziałam tatuaży Williama, i chwała Bogu - odrzekła z dezaprobatą Femke.

- Lubiłam słuchać, jak gra.

Jack podziękował Femke i jej synom za poświęcony mu czas. W drodze do hotelu rzucił przelotne spojrzenie na prostytutki z Bergstraat i Korsjespoortsteeg. Tym razem ominął dzielnicę czerwonych latarni. Cieszył się, że ma do obejrzenia kasetę z serialem Dzikiego Billa Vanvlecka, gdyż nie chciało mu się wychodzić z pokoju.

Na kasecie znajdowało się kilka odcinków. Jackowi najbardziej spodobał się ten o byłym członku wydziału ciężkich przestępstw, starszym mężczyźnie, który w wieku pięćdziesięciu trzech lat wraca do szkoły policyjnej. Nazywa się Christiaan Winter i jest świeżo upieczonym rozwodnikiem. Nie może się dogadać z jedynaczką (studentką uniwersytetu) i idzie na kurs dotyczący nowych metod postępowania z przemocą domową. Dawniej policja była bezradna wobec podobnych przypadków, obecnie coraz częściej dochodzi do aresztowań.

Oczywiście dialogi prowadzono po holendersku, Jack musiał się domyślać ich treści. Poszczególne odcinki łączyli ci sami bohaterowie: Jack znał Christiaana Wintera z wcześniejszego epizodu, w którym dogorywało jego małżeństwo. W odcinku o przemocy domowej Winter zaczyna mieć obsesję na punkcie tego, co oglądają nieletni. Według statystyk dzieci mężczyzn, którzy biją żony, też rwą się do rękoczynów wobec swojej drugiej połowy, natomiast dzieci, które obrywały w skórę, robią to samo z własnymi pociechami.

Przekaz był Jackowi dobrze znany, lecz Vanvleck powiązał go z życiem osobistym policjanta. Winter wprawdzie nie bił żony, jednakże przemoc werbalna (kłótnie pomiędzy małżonkami) niewątpliwie wpłynęła na psychikę córki. Jedną z jego pierwszych spraw dotyczy morderstwa w rodzinie, czyli jego dawnej działki. Koniec końców policjant wraca do dawnego zespołu.

Kryminalny serial Vanvlecka bardziej plasował się w sferze realizmu opartego na tak zwanych niedomówieniach aniżeli jakikolwiek jego odpowiednik w telewizji amerykańskiej: było tu mniej widocznej przemocy, a kwestie dotyczące seksualności traktowano z większą swobodą. Zabrakło też miejsca na happy end: Christiaan Winter nie powraca na łono rodziny. Najlepsze, na co go stać, to kurtuazyjna rozmowa z córką w kawiarni, gdzie poznaje jej nowego chłopaka. Widać na oko, że ten nie przypadł mu do gustu, ale policjant gryzie się w język. W ostatniej scenie, po tym jak córka całuje go w policzek, Christiaan widzi, że chłopak zostawił na stoliku pieniądze za kawę.

Było to kino noir, czyli Dzikie Bill u szczytu swoich możliwości, tak przynajmniej powiedział Jack podczas rozmowy z Nico Oudejanssem, który zadzwonił z pytaniem o jego zdanie na temat serialu. Nico też był pod wrażeniem. Nie zapytał o przebieg spotkania z Femke. Znał Femkę, a jako wzorowy policjant - również szczegóły sprawy Córki Alice. Jack poinformował Nica, że Herbert Hoffmann to tatuażysta, a nie organy. Oczywiście Oudejans spytał, czy Jack wybiera się do Hamburga.

Nie miał takiego zamiaru. Wiedział, że aktorzy umieją kłamać nieco lepiej niż inni ludzie, jednakże okłamywanie samych siebie kosztuje ich tyle samo trudu. Poza tym nawet aktorzy powinni się mieć na baczności, kiedy próbują okłamać policjantów.

- Czego jeszcze mogę się dowiedzieć? - spytał Jack.

Nico nie odpowiedział: patrzył tylko Jackowi w oczy, następnie przeniósł wzrok na jego rękę, a potem znów na twarz. Jack zaczął pośpiesznie wyrzucać słowa: musiało to brzmieć bardzo chaotycznie, ale policjant powstrzymał się od dalszych pytań.

Jack dodał, że przez wzgląd na ojca ma nadzieję, iż założył nową rodzinę. Nie chciał naruszać prywatności Williama, podobnie jak on nie ingerował w jego życie. Poza tym

Herbert Hoffmann odszedł z branży. Alice uwielbiała Hoffmanna, ale jego też Jack zostawi w spokoju. Co z tego, że prawie na pewno spotkał Williama Burnsa?

- Teraz, kiedy jesteś tak blisko, może boisz się go znaleźć, Jack - powiedział Nico.

Przyszła Jacka kolej na milczenie; próbował tylko nadać twarzy nieustraszonego wyraz.

- Boisz się, że go zranisz albo że nie będzie chciał cię widzieć - uzupełnił policjant.

- Chyba nie sądzisz, że mógłbym zranić go jeszcze bardziej?

- Chcę tylko powiedzieć, że może perspektywa bliskości napełnia cię lękiem, Jack. Nic więcej.

- Możliwe - uciał Jack. Przestał się czuć jak aktor. Jack Burns był chłopcem, który nigdy nie poznał własnego ojca, którego ojciec nie mógł się z nim kontaktować: może po prostu bał się stracić wymówkę? Tak powiedziała by Claudia, lecz Nico powstrzymał się od komentarza.

Gdyby William marzył o tatuażu Herberta Hoffmanna, Jack wiedział, na co padłby jego wybór. Byłby to jeden z okrętów Niemca, często wypływających z portu bądź płynących na otwartym morzu. Czasem latarnia morska gasła i okręt zmierzał ku skałom. Grób Żeglarza Herberta Hoffmanna należał do jego najsłynniejszych tatuży, podobnie jak Ostatni Port oraz Ostatnia Podróż (Letzte Reise). W większości wypadków okręty Hoffmanna płynęły ku niebezpiecznej przygodzie: tatuże nosiły aurę pożegnania, chociaż Niemiec wykonał również немало statków płynących „ku ojczyźnie”.

Jack doszedł do wniosku, że ojciec nie zdecydowałby się na ten ostatni. Statek unoszący jego syna nosił raczej posmak Grobu Żeglarza, przynajmniej z perspektywy Williama. Okręt opuszczający port oznacza niepewną przyszłość.

A może William Burns wolał tradycyjnie poprzestać na muzyce. Jack bynajmniej tego nie wykluczał.

Bezpośredni lot z Los Angeles do Amsterdamu, nieco ponad dziesięć godzin w powietrzu. Richard Gladstein będzie zmęczony. Miał wylecieć z LA o szesnastej dziesiątej i wylądować w Amsterdamie o jedenastej czterdzięci następnego dnia. Jack zakładał, że przed kolacją z Vanvleckiem będzie chciał się zdrzemnąć.

Nie licząc wypraw do siłowni na Rokin, Jack przez dwa dni nie opuszczał pokoju hotelowego. Jadł to, co mu przyniesiono, i pisał listy do Michele Maher. Nie zdecydował się na ostateczną wersję, jednakże papeteria w „Grandzie” była ładniejsza niż w hotelu „Torni”. No i dostarczono jej znacznie więcej.

Udało mu się sprytnie sformułować pytanie dotyczące tatuży na całym ciele. Przynajmniej z dermatologicznego punktu widzenia.

Droga Michele,

Czy jako dermatolog znasz odpowiedź na pytanie, dlaczego osoba z tatużami na całym ciele odczuwa permanentny chłód?

Proszę, odeślij zaadresowaną widokówkę ze znaczkiem, zaznaczysz uprzednio właściwą odpowiedź.

Twój Jack

Na widokówce przedstawiającej kanał Oudezijds Voorburgwal podał Michele dwie opcje do wyboru.

- Nie.

- Tak. Porozmawiajmy o tym!

*Uściski,
Michele*

Oczywiście nie wysłał ani listu, ani widokówki. Przede wszystkim nie miał amerykańskiego znaczka na kartkę zwrotną, po drugie zaś owo „Uściski, Michele” wydawało się po piętnastu latach pewnym nadużyciem.

Drugiego samotnego dnia omal nie odwiedził Els w jej mieszkaniu przy Sint Jacobsstraat. Nie miał zamiaru spać z siedemdziesięcioletnią prostytutką. Po prostu lubił ją.

Nocami przeważnie leżał bezsennie, wyobrażając sobie swoją dziecięcą twarz, widoczną ponad barierką odpływającego statku. Uśmiechał się i machał jak szalony, nieświadom katastrofy, która dokonywała się wokół niego. I krzywdy wyrządzonej jego ojcu.

Być może w Hamburgu William poznał kogoś, kto pomógł mu zapomnieć o Jacku, jeśli w ogóle był w stanie wymazać syna z pamięci. Bądź co bądź, korespondował z panną Wurtz, kiedy Jack uczeszczał do Świętej Hildy. Nic nie wskazywało na to, że ot, tak o nim zapomniał.

Richard po przyjeździe od razu poszedł spać, a Jack udał się do siłowni. Spożywał więcej węglowodanów i zmienił rodzaj ćwiczeń, dzięki czemu przybrał trochę na wadze, choć i tak było mu daleko do Jimmy’ego Stronacha. (O penisie nie wspominając).

W siłowni na Rokin, wiedziony daremną chęcią zagłuszenia oglupiającej muzyki, próbował zanucić pod nosem piosenkę, którą Alice śpiewała tylko pod wpływem alkoholu bądź narkotyków. Była to jedyna rzecz, która wskrzeszała jej szkocki akcent.

*Nie, nie będę zuzią,
Ani lolą,
Ani fruzią.
Prędzej wolę w kozie zgnić,
Niżli na ulicy tkwić.
Nie, nie będę zuzią,
Zmykaj stąd, niebożę.
Bo ja za nic w świecie Nóżek nie rozłożę.*

Zabawne, że składała niegdyś tak gorliwe deklaracje.

Jack pomyślał o ich wieczornej modlitwie, którą odmawiali razem, kiedy był dzieckiem. Przypomniał sobie pewną noc w Amsterdamie, gdy Alice zasnęła pierwsza i modlił się sam. Mówił nieco głośniejszym głosem niż zwykle, ponieważ czynił to za nich oboje. „Minął kolejny dzień, który ofiarowałeś mi, Boże. Dziękuję Ci zań z całego serca”. (Naturalnie zapewne zdarzyło się to więcej niż raz).

W drodze powrotnej do „Grandu” stanął na mostku ponad kanałem i obserwował przepływający statek wycieczkowy. Na rufie dostrzegł przyciśniętą do szyby twarz chłopca. Pomachał do niego, ale chłopiec nie zareagował.

Było ciemno, kiedy z Richardem Gladsteinem szedł na Herengracht, do restauracji o nazwie „Zuid Zeeland” na spotkanie z Williamem Vanvleckiem. Jack nie był w towarzyskim nastroju. Nie mógł się uwolnić od myśli o innym Williamie, którego mógłby pokochać. I którego tak bardzo bał się poznać.

V

• • • • •

Doktor García

31 • Terapia

Po pięciu latach, które minęły jak z bicza strzelił, obracając w perzynę dotychczasowe życie Jacka i ponownie naprowadzając go na trop ojca, pewna młoda kobieta (młodsza niż mu się początkowo zdawało) siedziała niekompletnie ubrana na sofie w salonie obskurnej rudery przy Entrada Drive i kartkowała jego notes z adresami. Głośno czytała przy tym nazwiska kobiet. Podejrzliwie wypowiadała nazwisko, po czym snuła domysły na temat byłych tudzież obecnych relacji Jacka z rzeczoną panią.

Owo szczeniackie postępowanie powinno mu nasunąć obawy co do jej prawdziwego wieku, chociaż dziwne, że z różnych względów nie nabrał ich już wcześniej. Niestety, jego zdolności matematyczne zawsze pozostawiały wiele do życzenia.

Zanim położył kres zabawie, dziewczyna zdążyła dotrzeć do litery G. I wtedy zaczęły się kłopoty.

- Elena García - przeczytała. - Twoja sprzątaczką, dawna lub obecna. Założę się, że ją posuwałeś.

Elena García - doktor García - była psychiatrą Jacka. Nigdy nie uprawiał z nią seksu. Doktor García nigdy nie stanowiła dlań obiektu żądzy, chociaż polegał na niej bezwarunkowo. Elena García знаła Jacka Burnsa lepiej niż ktokolwiek inny, łącznie z Emmą Oastler.

Często dzwonił do niej we łzach, czasami w środku nocy. Telefonował do niej z Cannes, podczas przyjęcia w „Hotel du Cap”. Wcześniej tego samego dnia wypchnął natrętą fotoreporterkę za burtę wycarterowanego jachtu i musiał zapłacić horrendalne odszkodowanie.

Innym razem zaliczył jakąś kurewkę na plaży obok hotelu „Martinez”. Podawała się za aktorkę, ale tak naprawdę zarabiała na życie wyprowadzaniem psów; była już wcześniej notowana za seks na plaży. Jack powinien również zdobyć Złotą Palmę dla najbardziej niesubordynowanego aktora za awanturę wszczętą w szklano-betonowej szkaradzie, czyli Palais des Festivals. Wydarzyło się to po rutynowej paradzie na czerwonym dywanie. Jack stał na wąskich schodach prowadzących do górnych pomieszczeń. Jakiś dziennikarz pchnął go na jednego z goryli ochrony, który potraktował to jako celowy atak ze strony Jacka, co spowodowało odruchową reakcję tego ostatniego w postaci zaimprovizowanego naprędce wyniesienia bocznego. Czenko byłby z Jacka dumny (trenerzy Clum, Hudson i Shapiro też), ale incydent trafił na łamy wszystkich gazet. Skończyło się na złamanym obojczyku goryla i kolejnym pokaźnym odszkodowaniu. Przebiegli ci Francuzi!

Na domiar wszystkiego z okna swego apartamentu z widokiem na ocean wylał całą butelkę taittingera (schłodzonego) na Lawrence'a, byłego agenta. Palant pokazywał mu z tarasu środkowy palec! Ze też musiał się na niego napatoczyć właśnie w Cannes. Jack nienawidził Cannes.

Z punktu widzenia doktor Garcii, zachowanie Jacka było jedynie marginalnie lepsze w Wenecji, Deauville i Toronto, na trzech festiwalach filmowych, gdzie Richard Gladstein, Dziki Bill Vanvleck, Lucia Delvecchio i on promowali „Recenzentkę bzdur”. (Ostatni nagłówek z „Variety” - ROZBUCHANY TESTOSTERON NA PLAŻY - mógł dotyczyć właśnie Jacka Burnsa).

„Film Emmy” przyjęto entuzjastycznie, mógł to być dla Jacka najlepszy rok. Nakręcili „Recenzentkę bzdur” jesienią 1998 roku i zawieźli ją na festiwal w sierpniu i wrześniu kolejnego roku, przed premierami w Nowym Jorku i Londynie.

W „Hotel des Bains” w Wenecji doszło do niefortunnego incydentu z Lucią Delvecchio, która przesadziła z alkoholem i dała wyraz swemu rozgoryczeniu wobec faktu, że poszła do łóżka z Jackiem. Oczywiście nikt o tym nie wiedział, nawet Richard i Dziki Bill. I nie

obchodziłoby to nikogo oprócz męża Lucii, przebywającego poza Wenecją. Nad tą ospałą laguną dochodzi do strasznych rzeczy.

- Nie rób sobie wyrzutów - uspokajał Jack. - Całe miasto tonie. Visconti nakręcił „Śmierć w Wenecji” w tym hotelu. Chyba wiedział, co robi.

Jednakże wina leżała głównie po stronie Jacka. Lucia była pijana, wiedział, że jest mężatką. To spowodowało kolejny telefon do doktor Garcii. Dzwonił do niej też z hotelu „Normandie” w Deauville. (Tym razem nie chodziło o Lucię, tylko -co jeszcze gorsze - o starszą członkinię jury).

- Obsesja na tle starszych kobiet znów daje o sobie znać? - zapytała doktor Garcia.

- Na to wygląda - odpowiedział.

Na seans „Recenzentki bzdur” w Roy Thomson Hall podczas festiwalu w Toronto poszedł wraz z panią Oastler. W sali nie było gdzie szpilki wetknąć, pełen triumf. Seans w rodzinnym mieście Emmy sprawił Jackowi niemałą satysfakcję. Ale Leslie miała już nową dziewczynę, blondynę, która nie lubiła Jacka. Zażądała, aby usunął z domu pani Oastler wszystkie swoje rzeczy. Zdaniem Jacka, Leslie było wszystko jedno, czy syn dawnej kochanki trzyma u niej rzeczy, czy nie, lecz blondyna była nieugięta.

Siedział właśnie w kuchni, kiedy wręczyła mu dwa zdjęcia nagiego tułowia matki z tatuażem „Zanim Cię znajdę”.

- To zdjęcia Leslie - wyjaśnił Jack. - Ja mam dwa i ona zatrzymała dwa.

- Zabierz je - poleciła mu blondyna. - Twoja matka nie żyje, Jack. Leslie nie chce już patrzeć na jej piersi.

- Ja też nie - odparł Jack, ale wziął zdjęcia. Teraz miał wszystkie cztery oraz rozbieraną fotkę siedemnastoletniej Emmy.

Wraz z nastaniem blondyny posiadłość pani Oastler zmieniła się nie do poznania. Drzwi do sypialni Leslie zazwyczaj były zamknięte; Jack nie mógł sobie wyobrazić, że zamyka ona również drzwi do łazienki, ale może blondyna udzieliła jej paru lekcji.

Podczas wspomnianego pobytu w Toronto Jack oparł się pokusie spędzenia nocy z Bonnie Hamilton. Chciała mu sprzedać mieszkanie w budynku, który właśnie powstawał w Rosedale. „Na wypadek gdybyś miał kiedyś dosyć Los Angeles”, powiedziała. Lecz Toronto nie było jego miastem, bez względu na fakt, że Los Angeles od dawna miał powyżej uszu.

W Toronto Jack odbył niezbyt serdeczną pogawędkę z Caroline Wurtz. Nauczycielka nie kryła rozczarowania faktem, iż Jack nie szuka ojca. Nie zdradził jej nawet połowy tego, co usłyszał podczas podróży do Europy. Nie czuł się na siłach. Mógł o tym rozmawiać jedynie z doktor Garcia, co również bywało trudne. Próbował, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło, i zaczynał krzyczeć albo płakać.

Doktor Garcia uważała, że to nie do pomyślenia. „Zwłaszcza ten płacz: mężczyźnie nie wypada”. W związku z powyższym zachęcała Jacka, aby przedstawił jej wydarzenia w porządku chronologicznym.

- Zaczynaj od tej okropnej podróży z matką - pouczyła. - Nie chcę obecnej wersji zdarzeń. Zaczynaj od tego, co uważałeś za wspomnienia. I w miarę możliwości staraj się nie wybiegać do przodu. Innymi słowy, nie przesadzaj z zapowiedzią tego, co ma nastąpić, Jack.

Gdy zaczął od Kopenhagi, doktor Garcia przypominała mu często, aby unikał dygresji. „Wiem, że nie jesteś pisarzem, ale spróbuj trzymać się sedna sprawy”.

Jack czuł się urażony, kiedy mówiła, że nie jest pisarzem. Bolało go to jeszcze bardziej ze względu na niemały przecież wkład w scenariusz Emmy.

Poza tym wyrecytowanie historii własnego życia (spójne i w porządku chronologicznym) zabierze mu lata! Doktor Garcia była tego świadoma: nie widziała powodu do pośpiechu. Jack był w oplakany stan; musiała znaleźć sposób, aby przestał krzyczeć i płakać.

- Wygląda na to, że muszą cię usłyszeć wszyscy w poczekalni - oznajmiła. -Jestem w stanie cię słuchać, tylko kiedy mówisz spokojnie, uwierz mi.

- Gdzie to się kończy? - zapytał po blisko pięciu latach terapii.

- Na poszukiwaniach ojca, a przynajmniej na zdobyciu garści informacji na jego temat - odrzekła doktor Garcia. - Ale nie będziesz na to gotowy, dopóki nie wyrzucisz z siebie całej reszty. Koniec będzie tam, gdzie odnajdziesz ojca: to ostatnie miejsce, do którego musisz się udać. Czeka cię jeszcze sporo podróżowania.

Jack wysnuł pochopny wniosek, że gdyby jego opowieść była na przykład książką, odnalezienie ojca oznaczałoby ostatni rozdział.

- Wątpię - usadziła go doktor Garcia. - Może przedostatni, jeśli dopisze ci szczęście. Kiedy go znajdziesz, dowiesz się czegoś, czego dotąd nie wiedziałeś, prawda? Według mnie, zabierze to kolejny rozdział.

No i należało to wszystko jakoś nazwać, czyż nie? Opowiadana przez Jacka (nie bez oporów i chronologicznie) historia jego życia musiała mieć tytuł. Jack znał go jeszcze przed jej rozpoczęciem. Podczas pierwszej wizyty u terapeutki (kiedy nie mógł się powstrzymać od płaczu i krzyku) zrozumiał, że tatuaż ze słowami „Zanim Cię znajdę” stanowił największe kłamstwo matki. I źródło jej największej dumy: po cóż inaczej Leslie miałyby pokazać Jackowi zdjęcia?

- Po co w ogóle miałem je oglądać? - spytał.

- Byłam kiedyś piękna! - krzyknęła. Miała na myśli swoje piersi, podczas gdy Jack myślał o tatuażu.

Była tak dumna z zatajenia przed nim tatuażu, że nawet po wszystkim chciała, aby go zobaczył! Owo „Zanim Cię znajdę” określało Jacka Burnsa jak znalazł.

Jako psychiatra doktor Garcia stanowiła przeciwieństwo wydawcy. Jack miał za zadanie niczego nie kasować: każdy szczegół musiał ujrzeć światło dzienne. Często bywało też, że doktor Garcia chciała więcej. Żądała „kluczowych detali”. Kwestie w rodzaju obsesji na punkcie starszych kobiet odgrywały według niej zasadniczą rolę, a pozornie nieuzasadnione okrucieństwo i agresja starszych dziewcząt stanowiły „główny problem”. Która z cech Jacka tak je prowokowała?

Weźmy na przykład trzymanie za penis, które (w wypadku Jacka rzecz dziwna) niekoniecznie musiało prowadzić do seksu. Albo więź z matką, po czym jej całkowite rozluźnienie: zupełnie jakby Jack czuł przez skórę, że Alice go oszukuje.

Doktor Garcie zdumiała też relacja z Emmą, będąca całkowitym przeciwieństwem (acz nosząca pewne ślady podobieństwa do) relacji z Leslie Oastler. Czy nadal miał ochotę na seks z Leslie, dopytywała się lekarka. Jeśli tak, dlaczego? Jeśli nie, dlaczego nie?

Drobiazgowość doktor Garcii była niekiedy denerwująca.

- Świętą Hildę chyba mam już za sobą - powtórzył kilkakrotnie Jack.

- Bynajmniej - odparła. - Chłopiec o takim wyglądzie w żeńskiej szkole? Chyba sobie żartujesz. Nie tylko nie masz jej za sobą, ale prawdopodobnie nigdy nie będziesz miał!

Męczyły go te wszystkie sprzeczności, a już zwłaszcza niechlubny powrót nad Morze Północne i Bałtyckie. Ale doktor Garcia była niezmordowana: sprzeczności to jej żywioł.

- Od kiedy chodziło ci po głowie, żeby się przebierać za dziewczynę? - pytała.

- Nie mówię o filmach! (Na twarzy Jacka musiało się odbić wahanie). Widzisz? - dodawała. - Chcę więcej sprzeczności. Chcę zobaczyć je wszystkie, Jack.

Jack czasem odnosił wrażenie, że nie uczestniczył w sesjach psychoterapeutycznych, ale zajęciach ze sztuki kreatywnego pisania, niepotwierdzonych żadną dokumentacją. Kiedy doktor Garcia istotnie zleciła mu coś do napisania, o mało nie przerwał terapii. Miał pisać listy do Michele Maher, nie po to, aby je wysyłać, ale czytać głośno w obecności psychiatry.

- Nie znajduję nic na swoje usprawiedliwienie - wyznał. Upłynął rok, a dokładnie blisko dwa lata od chwili otrzymania listu od Michele. Jack dotąd nie zdobył się na odpowiedź.

- Ale chciałbyś się jakoś wytłumaczyć, prawda? - zapytała doktor Garcia. Nie potrafił zaprzeczyć.

Co gorsza, gabinet doktor Garcii znajdował się na Montana Avenue w Santa Monica, nieopodal kafeterii, gdzie poznał Myrę Ascheim, kolejną starszą kobietę, która odmieniła jego życie.

- Fascynujące - orzekła doktor Garcia. - Ale opowiesz mi o tym w swoim czasie. Pilnuj chronologii, Jack.

W 2000 roku, kiedy Jack zdobył Oscara w kategorii najlepsza adaptacja, upór, z jakim określał nagrodę (oraz statuetkę) „Oscarem Emmy”, zdaniem doktor Garcii zasługiwał na miano „objawienia”. Ale nie pozwoliła, aby się nad tym rozwodził. Nawet Oscar podlegał obowiązującemu prawu chronologii.

Doktor Garcia skrytykowała jego pierwszy rzeczywisty kontakt z Michele Maher. Uczyniła to z kilku powodów. Po pierwsze, Jack nie pokazał jej listu przed wysłaniem, po drugie zaś, idiotyzmem było wysyłać list po osiemnastu latach milczenia.

Kiedy jednak zdobył dwie nominacje (dla najlepszego aktora drugoplanowego oraz za adaptację), czuł, że nadarza mu się niepowtarzalna okazja do nawiązania kontaktu na potencjalnie najbardziej neutralnym gruncie.

Droga Michele,

Nie wiem, czy wyszłaś za mąż albo się z kimś spotykasz, ale (jeśli nie) może po-szłabyś ze mną na ceremonię wręczania Oscarów? Musiałabyś przylecieć do Los Angeles w niedzielę dwudziestego szóstego marca. Oczywiście pokryję wszystkie koszty związane z podróżą i zakwaterowaniem.

Z poważaniem Jack Burns

I cóż w tym było nie tak? Czyż to nie uprzejmy, konkretny list? (Udzielona niezwłocznie odpowiedź Michele wydawała się cokolwiek mętna).

Drogi Jacku,

Rany, bardzo bym chciała! Ale mam chłopaka, tak jakby. Powiedzmy, że mieszkam sama, ale się z kimś spotykam. Naturalnie jestem zaszczyczona, że pomyślałeś o mnie po tylu latach! Na pewno obejrzę transmisję i będę trzymać za Ciebie kciuki.

Z pozdrowieniami Michele

- Trudno powiedzieć, czy naprawdę chciała pójść, prawda? - spytał Jack, co nasunęło terapeutce trzeci powód do dezaprobaty.

- Na szczęście dla ciebie odmówiła - skwitowała. - Inaczej byłbyś niepokieszony! Gdyby z tobą poszła, wszystko byś schrzanił.

Jack uznał te słowa za niesprawiedliwe. Mógłby zagrać dziennikarzom na nosie, mówiąc, że idzie na ceremonię ze swoją panią dermatolog! Lecz doktor Garcia nie widziała w tym nic śmiesznego: uznała jego „gafę” za „efekt wyparcia”. Według niej, Jack nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest oderwany od normalnego świata, normalnych ludzi i normalnych związków.

- A ona? - zawołał. (Miał na myśli Michele Maher). - Co to znaczy mieć „tak jakby” chłopaka? Czy to jest normalne?

- Nie jesteś gotowy na spotkanie z Michele Maher, Jack - zawyrokowała psychoterapeutka. - Wyrobiłeś sobie nierealne oczekiwania wobec związku, który nigdy nie miał szansy zaistnieć. Nie chcę o tym więcej słyszeć! Na razie. Dla mnie wciąż jesteś czterolatkiem nad Morzem Północnym i Bałtyckim. Z klinicznego punktu widzenia nie

opuściłeś jeszcze morza dziewcząt. Potrzebuję więcej informacji o Emmie oraz obsesji na punkcie starszych kobiet. Byle chronologicznie. Zrozumiano?

Owszem. Jack odnosił nieodparte wrażenie, że doktor Garcia jest prawdziwą suką, ale musiał przyznać, że terapia zasadniczo ograniczyła jego tendencję do płaczu, krzyków oraz budzenia się we łzach w środku nocy, co weszło mu w nawyk po powrocie z drugiej podróży portami Morza Bałtyckiego i Północnego. Dlatego nie zmieniał psychiatry i niedokończona historia jego życia płynęła nieprzerwanym strumieniem. Zgodnie z przewidywaniami Emmy Jack stał się pisarzem, pisarzem ze skazą melancholijnego słowotoku. Bajarzem bez dostępu do pióra. (Jego pisanie ograniczało się do układania niewysłanych listów do Michele Maher).

Doktor Garcia była przysadzistą, acz atrakcyjną Meksykanką. Najprawdopodobniej dobiegała pięćdziesiątki. Sądząc na podstawie zdjęć z gabinetu, albo pochodziła z licznej rodziny, albo jej własna rodzina liczyła wielu członków. Jack nie pytał, zdjęcia zaś nie pomogły mu w rozwiązaniu owej zagadki.

Nie potrafił rozpoznać doktor Garcii w żadnym dziecku z fotografii, więc może były to jej dzieci. Jednakże obecny na wielu zdjęciach starszy mężczyzna wyglądał raczej na ojca niż męża: ubrany z przesadną wręcz elegancją, nosił cienki wąsik i starannie przystryżone bokobrody, co nadawało mu wygląd aktora z minionej epoki. (Skrzyżowanie Cliftona Webba i Gilberta Rolanda, uznał Jack).

Doktor Garcia nie nosiła pierścionków, zresztą w ogóle zdawała się unikać biżuterii. Albo była mężatką z okazałą gromadką dzieci, albo też nadmierna liczebność rodziny skutecznie zniechęciła ją do założenia własnej.

- Może pani pójdzie ze mną na ceremonię, doktor Garcia - zagałł przebiegle Jack, wiedziony próżną chęcią rozwikłania tej tajemnicy. - Przy równie stresującej okazji psychiatra przyda mi się bardziej niż dermatolog, prawda?

- Nie należy umawiać się z psychiatrą - oznajmiła doktor Garcia.

- Aha.

- Nadużywasz tego słowa - upomniała go terapeutka.

Dystyngowany starszy dżentelmen z rodzinnych fotografii zdawał się otoczony aurą odosobnienia i obojętny na toczące się wokół spory i pogawędki. Sprawiał wrażenie, jakby gwar wszędobylskich dzieci wcale go nie dotyczył; ba, najprawdopodobniej w ogóle go nie słyszał. Może doktor Garcia wyszła za dużo starszego tudzież głuchego mężczyznę. Była tak silną i niezależną kobietą, że konwencjonalność obrączek zapewne budziła w niej bezbrzeżną pogardę.

Jackowi polecił ją Richard Gladstein.

- Aktorzy to dla niej chleb powszedni - oświadczył. - Nie będziesz jej pierwszą gwiazdą.

Była to wówczas krzepiąca myśl. Jednakże Jack nigdy nie zauważył w poczekalni żadnej znanej twarzy, co nasunęło mu przypuszczenie, że być może doktor Garcia składa „większym” gwiazdom wizyty domowe. Jej poczekalnia mogła budzić mylne wrażenie co do specjalizacji terapeutki. Przychodziło tu wiele młodych mężatek, niektóre z małymi dziećmi, dla których umieszczono w rogu książki oraz zabawki, budzące skojarzenie z poczekalnią u pediatry. Młode mężatki z dziećmi zawsze przyprawadzały ze sobą nianie lub przyjaciółki, które zajmowały się maluchami podczas sesji terapeutycznych matek.

Jack zagadnął kiedyś jedną z tych kobiet.

- Przyszłaś do lekarza czy jako opiekunka? - Podobnie jak doktor Garcia, dziewczyna nie miała na palcu obrączki.

- Próbujesz mnie poderwać czy co? - odpowiedziała pytaniem.

O mały włos nie poprosił jej, żeby poszła z nim na Oscary, ale zrezygnował na myśl o reakcji doktor Garcii.

- Kogo powinienem zabrać na ceremonię? - zapytał terapeutkę.

- Proszę, nie myl mnie z agencją towarzyską, Jack.

Jack doszedł do wniosku, iż nie pozostaje mu nic innego, jak iść samemu. Oprócz jego dwóch nominacji Lucia Delvecchio dostała nominację dla najlepszej aktorki, Dziki Bill Vanvleck dla najlepszego reżysera, a Richard Gladstein mógł się pochwalić nominacją za najlepszy film.

Nikt nie wierzył, że Lucia ma szansę na nagrodę. Stawała w szranki z gwiazdami typu Meryl Streep, Juliannę Moore i Annette Bening, poza tym rok bezsprzecznie należał do Hilary Swańk. (Jack był pod głębokim wrażeniem jej przebieranek w „Nie czas na łzy”). A Richard Gladstein wiedział, że „Recenzentka bzdur” na pewno nie otrzyma tytułu filmu roku. (Nagrodę zdobędzie „American Beauty”).

William Vanvleck cieszył się na samą uroczystość. W żadnej recenzji filmu nie wspomniano o nim jako o Potworze Remake’ow; krótko mówiąc, Szalony Holender niemal wrócił do łask. Może nie na tyle, aby dostać Oscara dla najlepszego reżysera: miał zbyt potężnych konkurentów. (Wygra Sam Mendes: znowu „American Beauty”).

Jack również nie miał szans na nagrodę dla najlepszego aktora drugoplanowego, tutaj zwycięzcą miał okazać się Michael Caine. (Rola uległego gwiazdora filmów pornograficznych wzbudziła wprawdzie sympatię widzów, ale bez przesady).

Doskonale zdawał sobie sprawę, że „Recenzentka bzdur” ma największą szansę w kategorii za najlepszą adaptację, czyli „scenariusz Emmy”. Jak mógł nie traktować tego jako Oscara Emmy? Przecież to był jej film!

Owszem, podczas szlifowania jej wersji nauczył się tego i owego na temat pisania scenariuszy. Jednakże terapia dawała mu znacznie większe pole do popisu. (Uwaga na komentarze i dygresje, grunt to porządek chronologiczny etc.).

Zorganizowana przez Miramax promocja „Recenzentki bzdur” była wyczerpująca i Jack najbardziej odczuł to w lutym i marcu 2000 roku. Dziki Bill Vanvleck wrócił do Amsterdamu; jego znacznie młodsza dziewczyna pracowała jako reporterka dla telewizji holenderskiej, i reżyser był nią oczarowany bez reszty. Poza tym jego udział w promocji własnego filmu okazał się w tym wypadku niewypałem. Drażliwość Amerykanów na punkcie pornografii działała mu na nerwy: w Holandii było to nie do pomyślenia.

- Jest to problem wyłącznie w purytańskiej Ameryce, rządzonej przez prawo chrześcijańskie! - deklarował. (Miramax najpewniej postąpił roztropnie, każąc Dzikemu Billowi siedzieć w Amsterdamie, nie licząc udziału w festiwalach).

Począwszy od tragicznej pomyłki w Wenecji, Lucia Delvecchio unikała Jacka jak ognia. Można powiedzieć, że wypięła się na cały film. Rzecznikzką wytwórni była stara przyjaciółka Jacka, Erica Steinberg. Podczas prasowej i telewizyjnej promocji „Recenzentki bzdur” towarzyszyła mu niemal bez przerwy.

Wieczorem po udziale w programie „Larry King na żywo” Jack zadzwonił do Leslie Oastler z prośbą, aby poszła z nim na uroczystość. (Walić blondynę, pomyślał).

- To miło, że o mnie pomyślałeś, Jack - zaczęła pani Oastler. - Ale jak czułaby się Dolores? Poza tym nie wiem, co mogłabym na siebie włożyć.

- To wieczór Emmy, Leslie - przypomniał.

- Nie, to twój wieczór, Jack. Emma nie żyje. Może byś zabrał pannę Wurtz? -podsunęła pani Oastler.

- Wurtz? Zwariowałaś?

- Znajdź kogoś bardziej odpowiedniego niż ja. Na co mi złoty, łysy, goły facet, oparty podobno na mieczu? - Leslie zawsze miała własny pogląd na świat.

Następnego dnia Jack zadzwonił do Caroline Wurtz i złożył jej tę samą propozycję. Czy panna Wurtz zgodzi się przylecieć do Los Angeles i pójść z nim na uroczystość wręczenia Oscarów?

- Słyszałam okropne rzeczy na temat przypadkowych strzelanin - odpowiedziała^ Ale podczas uroczystości nikt do nikogo nie strzela, prawda?

- Nie - odparł. - Ludzie odnoszą tylko obrażenia wewnętrzne.

- Cóż, wygląda na to, że powinnam' najpierw obejrzeć film, prawda? - spytała Caroline. - Słyszałam na jego temat skrajne opinie. Jak wiesz, twoja przyjaciółka Emma nigdy nie była moją ulubioną pisarką.

- Moim zdaniem, film jest niezły - odparł Jack. Nastąpiła przydługa cisza, jakby Caroline rozważała zaproszenie. Albo zapomniała, że w ogóle ją na coś zaprosił. Jack poczuł się urażony, że jeszcze nie widziała filmu. (Miał pięć nominacji do Oscara! Wszyscy jego znajomi go widzieli).

- Może zaprosisz kogoś innego, Jack? Zapewne masz w odwodzie bardziej interesującą osobę - powiedziała Caroline.

- Od kilku lat chodzę do psychiatry - wyznał. - Nie jestem w najlepszej formie.

- Na miłość boską! - wykrzyknęła panna Wurtz. - W takim razie oczywiście, że z tobą pójdę! Jestem pewna, że gdyby żyła pani McQuat, zapragnęłyby iść razem z nami!

A to ci dopiero! Za namową pani McQuat Jack zabrał pannę Wurtz na pamiętny festiwal filmowy w Toronto. Przyjechał wtedy, z Claudią, a Caroline była święcie przekonana, że banda kretynów protestujących przeciwko filmowi Godarda daje wyraz swemu oburzeniu wobec rytualnego samobójstwa w filmie Mishimy. Jack zachodził w głowę, jakie pomyłki czekają nauczycielkę podczas ceremonii wręczania nagród Akademii. Za kogo weźmie Billy'ego Crystala?

Zapewnił Caroline, że sam zorganizuje jej podróż i całą resztę. Fakt, że zaprosił swą dawną wychowawczynię, stanowił dodatkowy chwyt reklamowy, podobnie zresztą jak przedwczesna śmierć Emmy Oastler, której ostatnim życzeniem było przeniesienie powieści na ekran. Jack nazwał je „życzeniem z za grobu”, co przysporzyło popularności zarówno wytwórni, jak i jemu samemu.

Kwestia stroju panny Wurtz nadała sprawie bardziej przyziemny wymiar. Jack poinformował ją, że jego ubiera Armani. (Zadzwonili, nie odmówił. Tak to się zwykle odbywało).

- Kto cię ubiera? - zapytała panna Wurtz.

- Armani. Ten projektant, Caroline. Projektanci zwykle ubierają na ceremonię gwiazdy oraz ich gości. Jeśli masz na oku kogoś konkretnego, na pewno da się to zorganizować. Albo po prostu też włożysz coś od Armaniego.

- Chyba wolę ubrać się sama, jeśli nie sprawi ci to różnicy - odrzekła panna Wurtz. - Mam śliczne ubrania od twojego ojca. Dam głowę, że William zasiądzie przed telewizorem. Będzie z ciebie taki dumny! Wołałabym, żeby nie oglądał mnie w sukni, której sam dla mnie nie wybrał, Jack.

No proszę, kolejna niespodzianka. Nie dość że ojciec będzie oglądał transmisję, to jeszcze Wurtz chce się ubrać specjalnie dla niego!

- Musisz mi powiedzieć, kto jest za co nominowany - mówiła Caroline. - Obejrzę wszystkie filmy.

Jack zastanawiał się, ilu członków Akademii wykazywało podobną sumiennosc, kiedy jednak dotarł wreszcie do oscarowej części swej opowieści, doktor Garcia nazwała tę uwagę „dygresją”.

Wątpił, czy w Toronto wyświetlano jeszcze wszystkie nominowane filmy, pewnie część w ogóle nie trafiła do tamtejszych kin. Wiedział jednak, że panny Wurtz bynajmniej to nie zniechęci.

Prawie zadzwonił do Leslie z podziękowaniem za pomysł zaproszenia nauczycielki na galę, ale wołał nie ryzykować, że odbierze blondyna.

„Dolores - powiedziała, czerpiąc z tego niemałą frajdę - chciałem was uprzedzić, że przyjdzie paczka z moimi rzeczami. Byłbym zobowiązany, gdybyście powiesiły je w szafie.

Wolałbym, żeby się nie pogniotły”. Czy coś w tym rodzaju. Oczywiście nie zadzwonił. (Doktor Garcia byłaby dumna, że oparł się pokusie).

Apartament z dwiema sypialniami w hotelu „Four Seasons” w Beverly Hills, wynajęty dla nich przez Miramax na długi oscarowy weekend, był większy niż mieszkanie panny Wurtz. Tak przynajmniej powiedziała Jackowi. Stało tam nawet pianino, na którym panna Wurtz grała w białym hotelowym szlafroku. Twierdziła, że zna jedynie pieśni kościelne i szkolne piosenki, ale miała ładny głos i grała całkiem nieźle.

- Ach, to nieprawda. Daleko mi do twego ojca. Strasznie mi dokuczał - opowiadała. - Mówił, że jeśli chcę grać jeszcze ostrożniej, powinnam spróbować dmuchać na klawisze. Miał niezwykle poczucie humoru. Chciałabym, abyś zdradził mi więcej szczegółów swojej podróży, Jack. Może zaczniesz od Kopenhagi? Nigdy tam nie byłam.

Przed ceremonią zawsze odbywało się wiele przyjęć. Jako abstynent eskortujący sześćdziesięcioletnią byłą wychowawczynię, Jack słusznie przewidywał, że nie zdołają dotrzymać kroku bakchicznym wyczynom co poniektórych kolegów z branży'. Mimo to uczestniczyli w rautach, na których abstynencja nie była mile widziana, i przeważnie szeptali ze sobą po kątach.

Po próbie ogniowej w postaci sesji u doktor Garcia Jack stwierdził, że dzięki terapii lepiej nad sobą panuje i rozmowa z panną Wurtz kosztuje go mniej wysiłku. Tak więc mógł opowiedzieć nauczycielce o podróży portami Morza Północnego i Bałtyckiego, począwszy od rodzinnej tragedii Ringhofów, którą przedstawił z obojętnością typową raczej dla pisemnej relacji aniżeli słowa mówionego. Nie podniósł głosu ani nie uronił choćby jednej łzy. Ba, nawet nie mrugnął okiem.

- Na miłość boską! - powiedziała tylko panna Wurtz.

Byli na ogrodowym lunchu u Boba Bookmana. Przyszli tam jego (lub Emmy) główni rywale w walce o nagrodę za najlepszą adaptację; oprócz Jacka Bob reprezentował trzech spośród pozostałych nominowanych. Ale Jack stał na uboczu wraz ze swoją dawną wychowawczynią i ponownie wrócił myślami do Europy.

- Nie bagatelizuj Sztokholmu, Jack, nawet jeśli nie zdarzyło się tam nic równie dramatycznego jak w Kopenhadze - poprosiła go później panna Wurtz. - I nawet jeśli w Oslo uprawiałeś z kimś seks, wolałabym, żebyś nie oszczędził mi żadnych szczegółów.

Nie oszczędził. (Tego nauczyła go doktor Garcia). Odkrył przy tym, że wreszcie może się wygadać przed życzliwą duszą. Wątpił, czy byłby w stanie opowiedzieć o swej podróży Leslie Oastler i jej agresywnej blondynie (na pewno nie obyłyby się bez krzyków i paru łez). Lecz panna Wurtz otrzymała tylko beznamietną relację. Nie zawahał się, nawet gdy doszedł do Oslo. Wzbraniał się przed nadmiernym optymizmem, ale po cichu przyznawał, że terapia doktor Garcia odnosi spodziewany skutek.

32 • Wytężając wzrok

Bracia Weinstein stali w tym roku za niejednym filmem oscarowym. W wieczór poprzedzający ceremonię Miramax zorganizował przyjęcie w „Regent Beverly Wilshire”. Przed hotelem protestowała grupa zaciekle przeciwników pornografii. „Recenzentka bzdur” była dozwolona od lat osiemnastu; nie zawierała wprawdzie treści pornograficznych, jednakże demonstrantom nie spodobało się to, że bohater Jacka (Jimmy Stronach, gwiazdor porno) został przedstawiony w pozytywnym świetle. Pozostali ludzie z branży, czyli Hank Long i Muffy, również budzili sympatię, a Mildred „Milly” Ascheim zagrała w epizodzie samą siebie. Co gorsza, protestujący nie kryli oburzenia, iż wedle twórców filmu, gwiazdy porno prowadzą normalne życie, a przysłowiowa „dysfunkcyjność” jest w gruncie rzeczy normalnością (według Emmy, tak właśnie było).

Przed hotelem zebrał się niespełna tuzin demonstrantów, ale media musiały oczywiście narobić dużo szumu. Co roku dawała o sobie znać garstka fanatyków, których część protestowała przeciwko temu, co Alice nazwałaby „degrengoladą języka”, występującą praktycznie we wszystkich filmach. Ludzie występujący przeciw szarganiu świętości, przeciwnicy pornografii: zawsze znalazł się ktoś cierpiący na nadmiar wolnego czasu. Jack wychodził z założenia, że najlepiej było nie zwracać na nich uwagi, jednakże media zwykły przypisywać im wyolbrzymione znaczenie.

Panna Wurtz nie zauważyła demonstrantów. Kiedy Dziki Bill Vanvleck głośno dał upust swojej niechęci, Caroline z niepokojem ścisnęła ramię Jacka.

- Ktoś protestuje? Przeciwko czemu?

- Przeciwko pornografii - odparł Jack.

Panna Wurtz rozejrzała się po sali, jakby zewsząd miały ją zaatakować akty rozpusty, które mylnie wzięła za bardziej niewinne formy rozrywki. Jack pośpieszył z wyjaśnieniami.

- Jimmy Stronach, mój bohater, jest gwiazdorem porno, Caroline. Moim zdaniem, dlatego właśnie protestują.

- Bzdura! - krzyknęła panna Wurtz. - Nie widziałam w filmie ani jednego organu reprodukcyjnego, ani penisa, ani kuciapki.

- Czego? - spytał wstrząśnięty Dziki Bill.

- Pochwy - szepnął Jack.

Niebawem wyszło na jaw, że Wurtz obejrzała za dużo filmów w zbyt krótkim czasie. Wyznała Jackowi, że przez ostatnie trzy tygodnie zaliczała trzy seanse dziennie. Przez całe życie nie widziała takiej ilości filmów i wszystkie jej się pomieszały. Na dodatek filmy tegoroczne zlały się w jej świadomości z filmami, których nie widziała od czasów dzieciństwa, a osoby, które spotykała na bankietach, zdawały jej się nie aktorami, tylko odgrywanymi przez nie postaciami. Niestety, fabuły poszczególnych filmów nałożyły się na siebie, tworząc niepojęty utwór epicki, w którym każda z „rozpoznanych” przez nauczycielkę osób odgrywała główną rolę.

- Popatrz, to ten zazdrośnik, który wymordował masę osób. Jeśli dobrze pamiętam, jedną zabił za pomocą wiosła - dodała, wskazując na Matta Damona, czyli Toma Ripleya z filmu „Utalentowany pan Ripley”. Oczywiście panna Wurtz nie dostrzegła różnicy pomiędzy Tomem Ripleyem a bohaterem odgrywanym przez Toma Cruise’a w tegorocznej „Magnolii”. Była też święcie przekonana, że Kevin Spacey tkwi w nieszczęśliwym małżeństwie i od czasu do czasu używa sobie z dziełkami. - Ktoś powinien mieć go na oku - mruknęła znacząco do Jacka.

Chcąc zmienić temat, Jack wyraził się pochlebnie o szczupłej sylwetce Gwyneth Paltrow, na co Wurtz odpowiedziała: „Powinni ją dokarmiać przez kropłówkę”.

Kiedy człowiek ogląda za dużo filmów, czas staje w miejscu: nikt nie starzeje się ani nie umiera. Panna Wurtz błędnie wzięła Anthony’ego Minghellę za Petera Lorre’a. („Myślałam,

że Peter Lorre nie żyje” - powiedziała do Jacka następnego dnia. - Od lat nie nakręcił żadnego filmu”. Na co Jack odparł w duchu: „Święta prawda!”).

Rozglądając się z niepokojem, Caroline oznajmiła, że obecność tylu sław wymaga liczniejszej rzeszy ochroniarzy (uznała Bena Afflecka za jedyne goryla na sali).

Na przyjęciu była również Judi Dench, co sprowokowało pannę Wurtz do wyznania, że zawsze widziała ją w roli pani McQuat, jeśli komuś przyjdzie do głowy nakręcić film o Szarym Duchu.

- Film o pani McQuat? - powtórzył w osłupieniu Jack.

- Przecież wiesz, że była sanitariuszką, Jack. Ciężko oddychała, boją gazowano. Nie pamiętam czym.

Odtąd Jack myślał o Judi Dench jako o przywróconej do życia zagazowanej pani McQuat. Była to dość krępująca refleksja.

Jack łypał znacząco na Dzikiego Billa Vanvlecka, dając mu w ten sposób sygnał do wyjścia.

Ale Dzikie Bill nie zamierzał nigdzie wychodzić. Powrócił do Hollywood odrodzony jako reżyser filmu nominowanego do Oscara. Jack nie odmawiał Szalonemu Holendrowi prawa do triumfu; Potwór Remake’ów okazał podczas kręcenia „Recenzentki bzdur” powściągliwość godną podziwu. Jack zawsze ufał Vanvleckowi jako twórcy: tym razem Bill bez reszty oddał się procesowi tworzenia, nie tracąc czasu na parodię.

Kiedy wreszcie opuścili przyjęcie Miramaxu, Jack i panna Wurtz poszli na kolację z Richardem Gladsteinem, jego żoną, Vanvleckiem oraz jego dużo młodszą dziewczyną, która miała na imię Anneke. Na zewnątrz „Regent Beverly Wilshire” demonstranci nadal skandowali swoje hasła i wymachiwali transparentami przedstawiającymi męskie i żeńskie organy płciowe, epatując do woli zarówno penisami, jak i kuciapkami. Oburzenie panny Wurtz rozgorzało na nowo.

- Skoro nie lubicie pornografii, przestańcie o niej myśleć! - burknęła przez okno limuzyny pod adresem wylęknionego mężczyzny z plakatem przedstawiającym nagie dziecko, nad którym wisiał złowrogi cień dorosłego.

Na szczęście nie jechała limuzyną z Hankiem Longiem, Muffy i Milly Ascheim. Jack dowiedział się później, że Milly opuściła szybę i wrzasnęła do protestujących: „Och, jedźcie do domu, obejrzyjcie film i zwalcie konia! Od razu będzie wam lepiej!”.

- Boże, mamy już niedzielny ranek - oznajmiła panna Wurtz podczas śniadania przy basenie w „Four Seasons”. - Jeśli pamiętam, skończyłeś na Oslo. Lepiej nie próbuj naśladować wady wymowy Ingrid Moe. Powtórz jej słowa tak, jak sam byś je powiedział, Jack. Ta wada za bardzo mnie rozprasza.

W obecności doktor Garcii Jack przedstawił swą opowieść w identyczny sposób. Nie próbował naśladować niemilej przypadłości Ingrid. (Znając psychoterapeutkę, sądził, iż zapewne uznałaby, że koloryzuje).

Dlatego opisał wizję piekła, tak jakby zdawał relację z własnej tam wizyty. Położył szczególny nacisk na nieustępliwość Ingrid wobec jego matki, rażącą na tle wspaniałomyślności Williama, który wybaczył Alice wszystko łącznie z wydarzeniami w Amsterdamie. Jednakże w ów niedzielny poranek w Beverly Hills od ostatniej części opowieści wiele go jeszcze dzieliło. Był przekonany, że on i panna Wurtz nie dobrużą do Amsterdamu, na pewno nie przed uroczystością, która miała się rozpocząć późnym popołudniem.

Jako stały bywalec ceremonii wręczania Oscarów wiedział, że przed nimi długa noc. Panna Wurtz, w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem, wysmarowana od stóp do głów grubą warstwą kremu z filtrem, domagała się szczegółów wizyty w Helsinkach. Oslo i Ingrid Moe wzbudziły w niej zniecierpliwienie, choć wieść o wizycie Williama w hotelu „Bristol” jawnie ją zelektryzowała. Szczególnie ucieszyła się na wieść, że William nie ściał włosów.

- Miał piękne włosy. Odziedziczyłeś to po nim, Jack - oznajmiła, ujmując go za rękę. - Cieszę się, że nie strzyżesz się krótko, jak wszyscy. Nieważne, czy długie włosy u mężczyzny są modne, czy nie. Jeśli masz ładne włosy, powinieneś je zapuszczać.

Opowieść o pobycie w Helsinkach pochłonęła resztę czasu wolnego. Erica Steinberg zamówiła dla panny Wurtz fryzjera, który miał jej zrobić włosy. „Cokolwiek to oznacza - szepnęła Caroline do Jacka, posłusznie idąc po lunchu za Ericą. -Wiem tylko, że zostają przy siwych. Za późno na blond, poza tym blondynek macie tu na pęczki”.

Jack poszedł do siłowni, znajdującej się obok basenu. Zastał tam Sigourney Weaver. (Sięgał jej do obojczyka).

- Powodzenia, Jack - powiedziała.

Wtedy zaczął się denerwować i rozumiał, że ta nagroda to dla niego wszystko.

- Bardzo możliwe, Jack - powiedziała później doktor Garcia - że Oscar stanowił dla ciebie pewną rekompensatę za to, co utraciłeś.

Nie miała na myśli tylko jego ojca. Nie miała też na myśli tylko Emmy. Myślała o Michele Maher, bez względu na „odrealnione nadzieje”, jakie wiązał z nią Jack. Myślała również o jego fałszywych wspomnieniach i sfabrykowanym przez matkę dzieciństwie, które też utracił. (No i oczywiście o samej matce).

Erica pojechała długą limuzyną wraz z Jackiem i panną Wurtz. Ujrzeni demonstrantów z ubiegłego wieczora, te same cnotliwe twarze, identyczne transparenty. Samochód jechał tak wolno, że tym razem Jack zdążył ich policzyć. W sumie było tam dziewięcioro przeciwników pornografii, co nie[“] przeszkodziło „Entertainment Weekly” napisać o „dziesiątkach” demonstrantów pikietujących budynki.

Panna Wurtz wyglądała olśniewająco w długiej, dopasowanej sukni z dekoltem w kształcie serca w takim samym srebrnym odcieniu jak włosy. Jack, od stóp do głów w czerni od Armaniego, miał na sobie czarną koszulę, czarny smoking oraz czarny krawat, co nadawało mu wygląd skarłatego gangstera. Stracił już dziesięć kilogramów, które przybrał do roli Jimmy’ego Stronacha, dzięki czemu znów był rozeźlony i zabiedzony, jak powiedziała kiedyś Michele Maher.

Po dwudziestu minutach na czerwonym dywanie przyszła kolej na obowiązkowy wywiad z Joan Rivers. Jack drżał na myśl o odpowiedzi panny Wurtz na nieuniknione pytanie „kogo” ma na sobie. Lecz zamiast odpowiedzieć: „Ojciec Jacka podarował mi tę suknię, kiedy byliśmy kochankami”, Caroline odrzekła: „Ta suknia to prezent od dawnego wielbiciela”. Bingo, pomyślał Jack.

Joan Rivers z góry wiedziała o łączącej ich relacji uczeń-nauczycielka; wyglądało na to, że wiedzą o tym wszyscy dziennikarze.

- Jakim uczniem był Jack? - zapytała.

- Nawet w dzieciństwie Jack był równie przekonujący i jako kobieta, i jako mężczyzna - odparła Caroline. - Musiał tylko znać swoje audytorium.

- Zdradzisz nam coś więcej, Jack? - zapytała Joan Rivers.

- Moje jednoosobowe audytorium to ojciec - odpowiedział. - Myślę jednak, że po drodze zyskałem jeszcze paru innych fanów. - Przeniósł wzrok na kamerę i po raz pierwszy w życiu powiedział: - Cześć, tato. - Zauważył, że panna Wurtz spogląda z nieśmiałym uśmiechem w tym samym kierunku.

Po tym incydencie zapragnął jak najszybciej zejść z widoku. Był doszczętnie rozbity. (O mało nie zadzwonił do doktor Garcia).

- Uspokój się - powiedziała Caroline. - Nie musisz nic mówić do Williama. On chce cię tylko zobaczyć. A przede wszystkim pragnie, żebyś wygrał.

Mieli przed sobą mnóstwo czekania. Erica zaprowadziła ich do środka, gdzie wystali się po wszystkie czasy. Jack wypił za dużo wody mineralnej i musiał iść do łazienki: było to,

zanim Billy Crystal został wniesiony na scenę przez policjanta w ciemnych okularach i białym kasku, co oficjalnie zainauguowało wieczór.

Jack siedział przy przejściu w szóstym rzędzie. Wszyscy nominowani siedzieli przy przejściu; Richard Gladstem miał miejsce tuż przed Jackiem, a Dziki Bill Vanvleck tuż za. Panna Wurtz siedziała pomiędzy Jackiem a Harveyem Weinsteinem. Nie pamiętała, kim był (Jack przedstawił ich zeszłego wieczora dwukrotnie), ale wiedziała, że ma do czynienia z szychą, gdyż obiektyw kamery był weń wycelowany non stop. Z niejasnych dla Jacka przyczyn uznała, że Harvey jest słynnym pięściarzem, dawnym mistrzem wagi ciężkiej. (Możliwe, że doszły ją słuchy, jakoby Harvey lubił ostre walki. Jackowi nie przychodziło do głowy żadne inne wytłumaczenie).

Nagrodę dla najlepszego aktora drugoplanowego wręczano dość wcześnie. Po wygranej Michaela Caine'a Jack wiedział, że przyjdzie mu teraz długo czekać na nagrody za scenariusze, przyznawane bliżej końca. Prawie nikt nie siedział na miejscu przez cały czas trwania uroczystości, zwłaszcza jeśli wypił tyle wody mineralnej co Jack. Należało jednak starannie wybierać moment na sikanie, gdyż pozwalano gościom opuścić fotel bądź na niego wrócić jedynie w przerwach na reklamy.

Panna Wurtz denerwowała się na zwycięzców, którzy przekraczali dozwolone czterdzieści pięć sekund na mowę dziękczynną. Szczególnie rozeźlił ją Pedro Almodovar: przyjmując Oscara dla najlepszego filmu zagranicznego za „Wszystko o mojej matce”, Pedro tak się rozgadał, że Antonio Banderas siłą musiał wciągać go za kulisy.

- Buenas noches! - krzyknęła mu na pożegnanie panna Wurtz.

Jack skoczył do łazienki podczas wręczania nagrody imienia Irvinga G. Thalberga, która w tym roku przypadła Warrenowi Beatty'emu. Caroline była zła na Jacka, że przegapił taką chwilę. Miała kiedyś słabość do Warrena. „Nie taką, jak do twego ojca, Jack, ale na pewno słabość”.

Zanim dotarł z powrotem na swoje miejsce, znów zachciało mu się iść do toalety. Szepnęła pannie Wurtz, że jeśli nie wygra, będzie zmuszony oddać mocz do butelki po wodzie mineralnej. (Miał nadzieję, że za kulisami znajduje się męska toaleta. Jeśli w ogóle tam trafi).

Wreszcie przyszła pora na nagrody za scenariusze, na szczęście Oscara za adaptację wręczano w pierwszej kolejności. Na scenie stanął Kevin Spacey. Miała mu towarzyszyć Annette Bening, lecz z uwagi na zaawansowaną ciążę wyprawa na scenę mogła się okazać zbyt ryzykowna. Spacey żartował, że sama przejdzie niedługo w „fazę produkcyjną”, po czym dodał: „Nie poproszę, aby tu przyszła, chyba że wygra. Wtedy wejdzie po schodach na czworaka”.

Jack uznał to za złą wróżbę. Pomny nocy spędzonej z ciężarną instruktorką aerobiku, na myśl o Annette Bening pełzającej na czworaka poczuł dotkliwe wyrzuty sumienia. Wówczas jednak padły słowa: „Oskar wędruje do...”. Reszty nie usłyszał, gdyż panna Wurtz darła się wniebogłosy.

- Wyobraź sobie radość Williama, Jack! - wrzasnęła mu do ucha.

Oczywiście skierowano na nich kamerę i zobaczył, że nauczycielka przenosi wzrok w stronę obiektywu (doskonale wiedziała, gdzie patrzeć, gdyż kamerzysta przez cały wieczór inwigilował poczynania Harveya Weinsteina, byłego pięściarza). Jack zerwał się z miejsca, Richard rzucił się z gratulacjami, Dziki Bill też. Harvey miażdżył w uścisku jednocześnie pannę Wurtz i Jacka. Idąc ku scenie, Jack zobaczył, że Caroline śle pocałunek do kamery, wypowiadając bezgłośnie imię Williama.

Wziął Oscara z rąk Kevina Spaceya i wykorzystał tylko trzydzieści pięć sekund z dozwolonych czterdziestu pięciu, rehabilitując tym samym Pedro Almodovara, który dziękował Maryi Dziewicy z Gwadelupy, Maryi Dziewicy z La Cabeza, Najświętszemu Sercu Maryi oraz całej reszcie żywych i umarłych. Naturalnie Jack podziękował swej dawnej wychowawczyni, pannie Caroline Wurtz, ponieważ wiedział, że kamera powędruje w jej

kierunku. Podziękował też panu Ramseyowi oraz Richardowi, Dziakiemu Billowi i wszystkim w Miramaksie. Przede wszystkim zaś wyraził wdzięczność wobec Emmy Oastler za wszystko, co dla niego zrobiła, i podziękował Leslie Oastler (głównie na złość blondynie) za jej wkład w pracę nad scenariuszem. Na końcu podziękował Michele Maher za to, że go ogląda. (Żywił skrytą nadzieję, że „tak jakby” chłopak też siedzi przed telewizorem. Może z zazdrości postanowi zerwać z Michele).

Może wykorzystałby całe czterdzieści pięć sekund, gdyby tak pilnie nie musiał iść do toalety. Kiedy wraz z Kevinem Spaceyem szedł za kulisy, minęli po drodze Mela Gibsona, który miał wręczyć nagrodę za najlepszy scenariusz oryginalny, która przypadła Alanowi Ballowi za „American Beauty”. Tom Cruise, również były zapaśnik, próbował za kulisami wydrzeć Jackowi Oscara, co z uwagi na przepełniony pęcherz mogło się źle skończyć. Jacka zagadnął także Clint Eastwood. (Powiedział: „Czeka cię wielka przyszłość, mały”, czy coś w tym stylu. W tak doniosłych chwilach Jack nie dowierzał swojej pamięci).

Wciąż rozglądał się za łazienką, kiedy za kulisy wszedł Alan Ball i Jack złożył mu powinszowania. („Dobra robota, stary”, rzucił w przelocie Mel Gibson, ale Jack nie wiedział, czy owe słowa padły pod jego adresem, czy też były skierowane do Alana). Po całej nocy oczekiwania wszystko zdawało się rozgrywać błyskawicznie.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. W miejsce ulgi niemal natychmiast pojawiło się zakłopotanie, nigdy bowiem nie był jeszcze w toalecie ze statuetką. Leslie Oastler próbowała umniejszyć znaczenie Oscara, opisując go jako „złotego, łysego, gołego faceta, opartego podobno na mieczu”, lecz zdaniem Jacka, statuetka była dłuższa niż penis gwiazdora porno, a już na pewno znacznie cięższa. Nikomu nie radziłby trzymać jej w ręku podczas sikania.

Własne niezdarne poczynania nasunęły mu wspomnienie czteroletniego synka Marji-Liisy, który nasusiał do kieszeni puchowej kurtki w hotelu „Torni”. Mówiąc oględnie, Jack nie miał pojęcia, co począć z nagrodą. Próbował wepchnąć ją pod pachę, co okazało się kiepskim pomysłem. Jeśli właśnie zdobyłeś swego pierwszego Oscara i masz świadomość, że ta sytuacja więcej się nie powtórzy, nie kwapisz się postawić go na podłodze męskiej toalety publicznej. Nie przyjdzie ci również do głowy umieścić go na szczycie pisuaru i przytrzymać jego smukłą głowę własnym podbródkiem.

Jack ucieszył się, że zabrakło świadków jego kłopotliwych zmagania. Tak mu się przynajmniej zdawało. Zobaczył bowiem, że na drugim końcu rzędu pisuarów jednak ktoś stoi. Tamten najwyraźniej zrobił to, co było do zrobienia, i kłopoty Jacka siłą rzeczy nie uszły jego uwagi.

Mężczyzna był barczysty i miał rzeźbione ciało kulturysty oraz zdecydowany zarys szczęki. Jack nie od razu go rozpoznał, nie pamiętał też, żeby ów były kulturysta wręczał komuś nagrodę: z jego perspektywy dzieliła ich niemalże długość stadionu piłkarskiego. Jednakże charakterystyczny austriacki akcent nie pozostawiał wątpliwości.

- Mam ci potrzymać? - spytał Arnold Schwarzenegger.

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę - odpowiedział Jack.

- Boże, mam nadzieję, że mówił o statuetce! - zawołała później panna Wurtz, kiedy Jack zdał jej relację z incydentu w łazience. Oczywiście że Arnold mówił o statuetce, chciał tylko być miły! (Myśl, że przyszły gubernator Kalifornii wyraził gotowość potrzymania penisa, nie mieściła się Jackowi w głowie!).

Za kulisami panowało nieznośne zamieszanie. Podczas kolejnej przerwy na reklamy Jack wrócił na swoje miejsce; wolał nie pozostawiać panny Wurtz bez opieki. Jeszcze spyta Harveya Weinsteina o jego najlepsze walki, pomyślał. Albo, Boże uchowaj, zgaśnie światło i powrócą wspomnienia z jaskini nietoperzy w Muzeum Królewskim w Ontario? Lecz uroczystość powoli zmierzała ku końcowi, „Recenzentka bzdur” otrzymała swego jedyne Oscara. Noc należała do „American Beauty”, ale również po części do Jacka i Emmy.

Panna Wurtz okazała bezbrzeżne zdziwienie brakiem tańców na Balu Gubernatorów, uroczystej kolacji, która odbyła się po ceremonii. Jack nie silił się na wyjaśnienia, że to tylko nazwa. Nie posiadał się ze szczęścia.

Siedzieli przy stole z Meryl Streep, która przysła z córką. Jack czuł przez skórę, że mózg nauczycielki pracuje na intensywnych obrotach: jak to, bohaterka „Wyboru Zofii” z żywym dzieckiem! Szepnął Ericie, że powinni udać się na inny bankiet, zanim Caroline zamieni swoje myśli w słowa.

Następnie poszli na przyjęcie „Vanity Fair”, Erica jakoś zdołała ich wcisnąć. Jack pamiętał, jak długo czekali z Emmą na wejście, kiedy był nominowany, ale nie dostał nagrody. Nagroda sprawiała kolosalną różnicę. Szofer pomachał przez okno złotym, łysym, gołym facetem i natychmiast ich przepuszczono. Hugh Hefner (i inni) zjawił się przed nimi, pewnie nie był na ceremonii. Założycielowi „Playboya” towarzyszyły dwie bliźniaczki, Sandy i Mandy.

Panna Wurtz była bardziej cięta na Hefa niż na przeciwników pornografii.

- Co ten obleśny staruch wyprawia z tymi młodymi dziewczętami? - zapytała Jacka i Ericę.

Rob Lowe, Mike Meyers i Dennis Miller zawzięcie o czymś dyskutowali, lecz gdy Jack podszedł bliżej, natychmiast zapadło między nimi milczenie. W takich sytuacjach odnosił nieodparte wrażenie, że mężczyźni obgadują go jako dziewczynę. Tak się złożyło, że znów zmierzał do toalety, pozostawiając statuetkę pod troskliwą opieką Eriki i panny Wurtz.

Potem udali się na przyjęcie Miramaxu w Polo Lounge w hotelu „Beverly Hills”. Jack wiedział, że zastanie tam Richarda i Dzikiego Billa, pragnął spędzić ten czas z przyjaciółmi. Panna Wurtz powstrzymała się od komentarzy na temat bokserskiej przeszłości Harveya Weinsteina.

Caroline trochę przesadziła z szampanem. Jack wypił heinekena, który na złotym tle statuetki wydał mu się jeszcze bardziej zielony. (Nie pamiętał, kiedy ostatnio wypił całe piwo, pewnie w college’u).

Dalej przysła pora na uroczyste śniadanie w innej części hotelu „Beverly Hills”. Zaczęło się chyba o trzeciej lub czwartej nad ranem. Był tam Roger Ebert, który jadł posiłek w łóżku, co Jack uznał za dziwne. Pomimo jego miążdżącej recenzji „Recenzentki bzdur” Jack zdobył się na uprzejmość. Żona i córka Rogera były bardzo miłe: poinformowały pannę Wurtz, że film strasznie im się podobał. Jack ucieszył się na myśl, że być może wraz z Emmą spowodowali konflikt w rodzinie Ebertów.

Była piąta rano, kiedy oznajmił pannie Wurtz, że jest zmęczony i chce iść spać.

- Możemy wrócić do hotelu, Jack - odrzekła. - Ale nie pójdziemy spać. Najpierw opowiesz mi o drugiej wizycie w Amsterdamie. - Dodała, że myślała o tym przez cały wieczór. I nie zaśnie, dopóki wszystkiego nie usłyszy.

Jack powiedział Ericie, że wychodzą, i rzeczniczka pojechała z nimi limuzyną do „Four Seasons”. Na bocznej uliczce w Beverly Hills utknęli za śmieciarką: był to jedyny pojazd we wczesny poniedziałkowy rano. Do limuzyny napłynęła woń śmieci, jakby dla przypomnienia, że (nawet mimo Oscara) są rzeczy, przed którymi nie uciekniemy, bo i tak nas dopadną.

Jack nie miał oporów przed zrelacjonowaniem nauczycielce pobytu w Amsterdamie, choć zakończenie kosztowało go sporo wysiłku. Doktor Garcia byłaby z niego dumna: żadnych łez ani krzyków. Kiedy opowiadał Caroline, że nie miał ochoty na spotkanie z Richardem Gladsteinem i Williamem Vanvleckiem, ponieważ rozmyślał o drugim Williamie, słońce południowej Kalifornii wpadało przez otwarte okna salonu. Panna Wurtz i Jack siedzieli na sofie w identycznych białych szlafrokach, opierając bosc stopy o stolik ze szklanym blatem, na którym połyskiwał Oscar. Paznokcie u nóg Caroline nosiły odcień

zgaszonego różu. Promienie słońca skupiały się na paznokciach i statuetce oraz na lśniącym czarnym pianinie, które połyskiwało niczym plama oleju.

- Nie patrz na moje stopy, Jack - poprosiła panna Wurtz. - To najstarsza część mnie. Chyba przyszły na świat pierwsze.

Ale Jack Burns powrócił myślami do nocy rozproszonej blaskiem latarni odbijających się w kanale Herengracht. Wraz z Richardem Gładsteinem i Dzikim Billem Vanvleckiem rozmawiał w restauracji „Zuid Zeeland”, a dużo młodsza dziewczyna Dzikiego Billa, dziennikarka Anneke, bynajmniej nie kryła znużenia. (Co to za przyjemność być piękną i zielonooką, kiedy trzech facetów gada ze sobą i nie zwraca na nas najmniejszej uwagi? Zwłaszcza jeśli ich rozmowa dotyczy książki o nieznanej nam treści).

Bez względu na swój smętny nastrój Jack widział, że Richard i Dzikie Bill nadają na tych samych falach: zgadzali się w kwestii ogólnej wymowy filmu oraz tego, co wymaga w scenariuszu poprawek. Richardowi kleiły się oczy: nadal odczuwał skutki zmiany strefy czasowej. Dzikie Bill żartował, że nie pozwoli mu zasnąć, dopóki ten nie zapłaci rachunku. „Producent stawia!” - powtarzał. Lubił czerwone wino i bynajmniej nie wylewał za kołnierz.

Po wyjściu na Herengracht Richard oprzytomniał nieco na wilgotnym, nocnym powietrzu. Jack słusznie przewidywał, że Dzikie Bill zaproponuje przechadzkę dzielnicą czerwonych latami. Kiedy minęli kilka pierwszych dziewcząt w witrynach i progach, Richard rozbudził się zupełnie. Anneke wciąż nudziła się jak mops. Jack podejrzewał, że Dzikie Bill oprowadza tędy wszystkich znajomych spoza miasta; bądź co bądź, tutaj toczyła się akcja jego serialu, i znał okolicę jak własną kieszeń. (Prawie tak dobrze jak Jack, który jednak nie puścił na ten temat pary z ust).

Anneke ożywiła się nieco, widząc, że prostytutki rozpoznają Jacka Burnsa niemal równie często jak ją. Jako atrakcyjna dziennikarka telewizyjna cieszyła się sporą popularnością, ale nie była sławniejsza niż Jack. On nie tylko był gwiazdorem filmowym, lecz zgodnie z poleceniem Nico Oudejansa, znajdował się na celowniku wszystkich dziwek w rejonie.

- Hej, Jack! - zawołał jeden z transwestytów, chyba Brazylijczyk. (Laski kutas-ki też miały go na oku).

Zwróciło to uwagę Anneke, ale Dzikie Bill, który osuszył kilka butelek wina, niczego nie zauważył. W dalszym ciągu klarował coś Richardowi.

Jacka ogarnęła nagle irytacja. Vanvleck popisывał się dzielnicą czerwonych latami jak, nie przymierzając, pierwszy alfons miasta. Biedny Richard walczył z sennością, próbując wykrzesać z siebie ździebko entuzjazmu. Z twarzy Anneke biło poczucie zmarnowanego czasu.

No dobrze, pomyślał Jack, pokażę im coś, co zapamiętają do śmierci!

- To jeszcze nic - oznajmił, kiedy okrążali Oudekerksplein. Poprowadził ich Warmoesstraat, z dala od dzielnicy czerwonych latami. - Czekaście, aż zobaczycie Els.

- Els? - powtórzył Vanvleck.

- Dokąd idziemy? - zapytał Richard. (Wiedział tylko, że oddalają się od hotelu).

- Els to najstarsza czynna zawodowo prostytutka w Amsterdamie - oświadczył Jack. - Przyjaciółka z dawnych lat.

- Naprawdę? - rzucił z głupia frank Vanvleck, chwiejnie brnąc przed siebie.

Minęli Damrak. Było późno; czuł, że Els już chyba poszła spać. W oknie na drugim piętrze siedzi pewnie sześćdziesięcioletnia Petra. Zresztą może nawet i ona wróciła już do domu. Tak czy inaczej Jack postanowił obudzić Els i pokazać Dzikiemu Billowi, Richardowi i Anneke, że korzenie jego historii sięgają głębiej aniżeli serial w telewizji holenderskiej.

Gdy weszli w wąską Sint Jacobsstraat, Dzikie Bill ledwo trzymał się na nogach. Nocą ulica wyglądała niezbyt zachęcająco. Richard kilkakrotnie obejrzał się przez ramię, Anneke zaś chwyciła Jacka pod ramię i szła blisko niego.

Ku jego zdziwieniu w oknie zastali nie Petrę, tylko Els. („Obudził mnie wrzask jakiegoś pijaka” - tłumaczyła później Jackowi. - Petra poszła do domu, a mnie odechciało się spać. Możesz nazwać to intuicją, Jack”).

Jack pomachał do niej ręką.

- Els ma po siedemdziesiątce - wyjaśnił Dzikemu Billowi, który spoglądał na prostytutkę w podświetlonym czerwono oknie, jakby zobaczył wysłanniczkę piekiel w własnej osobie, harpię z zaświatów i szatańską furię.

- Ile ma lat? - zapytał z niedowierzaniem Richard.

- Tyle co twoja babcia - odparł Jack.

- Jackie! - wrzasnęła Els, przesyłając mu pocałunek. - Mój chłopczyk znowu wrócił! - oznajmiła raz jeszcze pod adresem całej ulicy.

Jack machał jak szalony. A kiedy mu odmachała, załamał się kompletnie.

To niemożliwe, że „przypomniał sobie”, jak matka uniosła go nad barierką, kiedy wypływali z Rotterdamu, niemożliwe, że zapamiętał, jak dwadzieścia osiem lat wcześniej machał do Els i zobaczył, jak jego ojciec upada na ziemię, trzymając się oburącz za złamane serce.

- Nie płacz, Jackie. Nie płacz! - zawołała z okna Els, ale Jack padł na kolana na Sint Jacobsstraat, wciąż machając jej na pożegnanie, a ona robiła to samo.

Richard i Dzikie Bill usiłowali go podnieść, ale Bill był pijany w sztok, Richard zaś, nie dość że zmęczony, też nie żałował sobie wina.

- Nazwała cię swoim chłopczykiem? - pytał Richard, ale Jack machał ojcu na do widzenia i nie odpowiedział; czuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

- Znasz tę panią? - spytał Dzikie Bill, po czym stracił równowagę i usiadł z rozmachem na ulicy.

Richard puścił ramię Jacka, który leżał na bruku obok Dzikiego Billa i wciąż machał.

- Jackie, Jackie, matka cię kochała! - wrzeszczała Els. - Tak jak tylko umiała!

Dopiero ładna dziennikarka Vanvlecka pomogła Jackowi wstać; podczas kolacji nie tknęła wina.

- Na miłość boską, przestań machać do tej dziwki! - warknęła. - Przestań ją zachęcać!

- To moja niania! - załkał Jack.

- Jego co? - zapytał Richarda Dzikie Bill.

- Jego opiekunka - pośpieszył z wyjaśnieniem Richard.

- Bomba! - wykrzyknął Dzikie Bill.

- Och, przymknij się, Bill! Nie widzisz, że on płacze? - powiedziała Anneke.

- Dlaczego płaczesz, Jack? - spytał Szalony Holender.

- Opiekowała się mną, kiedy matka szła do pracy - odparł Jack.

- Do pracy? Jakiej pracy? - dopytywał Richard.

- Pracowała tam, w jednej z witryn - odpowiedział Jack, pokazując w kierunku dzielnic czerwonych latami. - Była prostytutką - dodał.

- Myślałem, że robiła tatuaże! - powiedział do Richarda Dzikie Bill.

- To też - potwierdził Jack. - Nie była długo prostytutką, ale była.

Znow zaczął machać do Els, lecz Anneke objęła go ramionami, przyciskając mu ręce do boków.

- Przestań, na miłość boską! - warknęła.

- Odwiedz mnie, zanim umrę, Jackie! - wołała Els.

Dzikie Bill wciąż siedział na ulicy. Też pomachał do Els, lecz Anneke wymierzyła mu kopniaka.

- Świetny pomysł, Bill! - powiedziała. - Oprowadzasz po kurwistanie faceta, którego matka była dziwką!

- A skąd mogłem wiedzieć! - krzyknął Dzikie Bill.

Richard pomógł mu wstać, a dziennikarka zdjęła z jego długiego, siwego kucyka papier po batoniku.

Znowu skierowali się w stronę dzielnicy czerwonych latami, którą wiodła najbliższa droga do „Grandu”. Richard objął Jacka ramieniem.

- W porządku, Jack? - spytał.

- Wszystko gra.

Richard był na tyle trzeźwy, by rzeczywiście zmartwić się stanem Jacka. Niepostrzeżenie stali się sobie bardzo bliscy.

- Po powrocie do LA podam ci adres osoby, którą powinieneś poznać - powiedział Richard.

- Masz na myśli psychiatrę?

- Aktorzy to dla niej chleb powszedni - oświadczył Richard. - Nie będziesz jej pierwszą gwiazdą.

Jack przestał machać, ale nadal miał przed oczami Els, która podniosła Williama z ziemi i zaniósła go jak dziecko do mercedesa Femke. (Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, Alice postawiła Jacka na pokładzie i nie mógł zobaczyć tego, co działo się na przystani). Nocne, wilgotne powietrze owiewało mu twarz niczym morską bryza, wiejąca przez całą drogę z Rotterdamu do Montrealu, dokąd zmierzał statek.

Jack słyszał, jak dziewczęta w progach i witrynach nawołują go po imieniu, ale nie zwalniał kroku. „Super!” - dobiegł go w pewnej chwili niezrozumiały okrzyk Richarda. f

Anneke ponownie ujęła Jacka pod rękę, jakby tym razem chciała uchronić go przed pozdrowieniami dziwek.

- Po powrocie do hotelu idź prosto do łóżka i spróbuj o wszystkim zapomnieć - poradziła mu szeptem.

- Dobrej nocy, laleczki! - wołał do prostytutek Dziki Bill.

Jack na zawsze zapamięta kołysanie odpływającego statku, niepewny grunt pod czteroletnimi stopami, widok coraz bardziej odległego miasta. Tak bardzo chciał zobaczyć tatuaż Herberta Hoffmanna, jeżeli William w ogóle go sobie zrobił. Statek odbijający od brzegu, wypływający z portu. Grób Żeglarza albo Ostatni Port: William na pewno zażyczyłby sobie coś w tym stylu, Jack nie miał co do tego wątpliwości. Wtedy zrozumiał, że będzie musiał odnaleźć ojca.

W Beverly Hills słońce stało już tak wysoko, że promienie przestały wpadać przez otwarte okna. Blask różowych paznokci panny Wurtz nieco przygasł. Czarne pianino zyskało bardziej posępną wymowę: przestało przypominać płamę oleju, przybierając wygląd trumny. Lecz statuetka stojąca obok ich bosych stóp na szklanym blacie stolika dalej jaśniała złocistym światłem.

- Wiem, że William wczoraj cię oglądał, Jack - mówiła panna Wurtz. - Nieważne, czy w Europie, jeżeli tam właśnie mieszka, był świt, czy środek nocy. Wiem, że nie przepuściłby takiej okazji.

Caroline usiadła na sofie i pocałowała Jacka w czoło, po czym przyciskając do szyi połę szlafroka, cmoknęła Oscara w lśniąca główkę.

- Idę spać, panowie - oznajmiła.

Jack patrzył, jak nauczycielka idzie przez pokój i po drodze muska palcami klawisze pianina, dobywając z instrumentu parę cichych dźwięków, a następnie wchodzi do sypialni i zamyka za sobą drzwi.

Jack wstał, po czym udał się do swojej sypialni i też zamknął drzwi. Nie odsuwał zasłon, ale pootwierał okna. Kiedy wiatr poruszał tkaninę, do pokoju wpadało nieco światła; Jack słyszał szum wody, na dole ktoś podlewał kwiaty. Oscar leżał obok niego, na swojej poduszce. Jack popatrzył na figurkę i jej rzekomy miecz. W półmroku Oskar wyglądał jak martwy żołnierz, którego kompani znaleźli na placu boju i ułożyli w godnej pozie.

Jack spał, dopóki po południu nie obudził go telefon. Dzwonił Richard. Jack zapomniał, że zgodzili się pojechać do studia dźwiękowego celem nagrania komentarza do edycji DVD „Recenzentki bzdur”. Mieli puścić cały film i co jakiś czas przerywać emisję, aby opowiedzieć, co kryje się za tą lub tamtą sceną, jak do niej doszło i jakich dokonano w niej przeróbek.

Jack wziął prysznic, a potem się ubrał. Postawił statuetkę na pianinie, na liściku z wyjaśnieniami do panny Wurtz, która jeszcze spała. Napisał, że zjedzą razem kolację, może z Richardem i Dzikim Billem. Na drzwiach powiesił kartkę NIE PRZESZKADZAĆ, żeby nikt nie ukraść Oscara i nie obudził Caroline, po czym przykazał recepcjonistce, aby nie łączyć żadnych rozmów.

Kiedy wyszedł z hotelu, słońce na chwilę go oślepiło. Wsiadł do limuzyny i pojechał do studia nagrań. Dzikie Bill miał strasznego kaca, poza tym Anneke zwymiotowała w środku nocy, co wcale nie poprawiło mu samopoczucia.

- Coś jej zaszkodziło - wyjaśnił. - Szkoda, że też tego nie zjadłem. Żałuję, że mnie nie zabiło.

Richard powiedział Jackowi, że żaden kac nie może się równać niezdobyciu Oscara.

Sesja nagraniowa dłużyła się w nieskończoność. Jack uczestniczył w niej bez entuzjazmu, podobnie jak podczas pierwszej kolacji z Richardem i Dzikim Billem w Amsterdamie. Ale podobał mu się film, który razem zrobili, i raz jeszcze przypomniał sobie historię jego powstania.

- Czyj to był pomysł? - pytał co pewien czas Dzikie Bill.

- Chyba twój - odpowiadał Richard.

W sumie poszło im gładko. Dzikie Bill doszedł do siebie albo po prostu stanął na wysokości zadania. Wkrótce to właśnie on zdominował pozostałych rozmówców. Zdarzyło się, że mówił bez przerwy przez pół godziny, miał wprost fenomenalną pamięć. Słuchając jego głosu, Jack nie mógł się skupić. W głowie kołatało mu pytanie Billa: „Znasz tę panią?”.

Albo inne, które padło, gdy (owej nocy na Sint Jacobsstraat) wyjaśnił, że Els była jego nianią. „Jego czym?”.

„Dlaczego płaczesz, Jack?” - zapytał też Szalony Holender.

Byli w Hollywood, w studiu nagraniowym, a Dzikie Bill Vanvleck snuł opowieść o kulisach powstania filmu Emmy. Lecz sens jego wywodu ginął gdzieś po drodze. Jack znowu ujrzał, jak Bill siedzi na ulicy i krzyczy do swojej dziewczyny: „A skąd mogłem wiedzieć?”. A potem, gdy podążali przez dzielnicę czerwonych latarni: „Dobrej nocy, laleczki!”.

Cóż, mieli do wykonania zadanie (Richard, Dzikie Bill i Jack) i wypełnili swoją powinność. Później tego samego popołudnia, po powrocie do hotelu, Jack zastał pannę Wurtz przy pianinie. Usiadł na sofie i słuchał, jak gra.

- Chcę ci podziękować, Jack - odezwała się nauczycielka, nie przestając grać.

- Doskonale się bawiłam! Sprawiliś staruszce wielką radość!

Jack miał zesztywniały kark i bolały go palce u stóp. Doszedł do wniosku, że przeforsował się w siłowni.

- Jednak muszę ci coś wyznać, Jack - ciągnęła panna Wurtz. - Nie zrozum mnie źle, ale nawet taka noc to pestka w porównaniu z nocami, które spędzałam z twoim ojcem. Mogłabym nigdy nie być na Oscarach, byle tylko na dłużej zatrzymać Williama.

Wtedy Jack zrozumiał, dlaczego bolał go stopy i kark. Kiedy w ów poniedziałkowy ranek zapadł w sen, coś mu się przyśniło. Stał na pokładzie statku opuszczającego Rotterdam i wyteżał wzrok ponad barierką. Wspiął się wysoko na palce i wyciągnął szyję: wyglądało na to, że przez kilka godzin snu tkwił w tej niewygodnej pozycji. Lecz pomimo starań przeginał mu z oczu.

Mógł nie wierzyć w tak zwaną pamięć odzyskaną, ale to właśnie przypomniał sobie, słuchając, jak panna Wurtz gra na pianinie. I wiedział, że zdarzyło się to naprawdę.

- Podnieś mnie! - zawołał do matki. Przystać znajdowała się jeszcze w zasięgu wzroku, ale ich nie widział. - Podnieś! - błagał. - Chcę zobaczyć! - Ale ona była niewzruszona.

- Dość już widziałeś, Jack - odpowiedziała, biorąc go za rękę. - Idziemy pod pokład - oznajmiła.

- Podnieś mnie! Chcę zobaczyć! - upierał się Jack.

Lecz Alice nie miała nastroju na kaprysy.

- Widziałeś w Holandii tyle, że starczy ci tego widoku na całe życie, Jackie - odpowiedziała.

Zważywszy na okoliczności, to samo mógł powiedzieć o Kanadzie. Matka zabrała go bowiem tam, gdzie nigdy nie zobaczył ojca.

33 • Kłopoty na horyzoncie

Pani Machado twierdziła, że jej największym pragnieniem jest uchronić Pana Członka przed wykorzystaniem. Przez kogo? Złe dziewczęta i bezwzględne kobiety? Doktor Garcia powiedziała Jackowi, że kobiety molestujące seksualnie dzieci wierzą, że w gruncie rzeczy je chronią: jest to dla nich po prostu forma matkowania.

Wysnuła również przypuszczenie, że pani Machado musiała zaobserwować u Alice brak instynktu macierzyńskiego. „Tego rodzaju kobiety umieją rozpoznać bezbronnych chłopców - powiedziała terapeutka. - Naturalnie znajomość matki bardzo im w tym pomaga: wiedzą, jak wypełnić luki”.

„Principiis obsta! - ostrzegł go kiedyś pan Ramsey. - Strzeż się początków!”.

Skoro Jack miał kompleks rodziców, ciekawe, jak należałoby zdiagnozować Lucy. Jesiennego wieczoru w 1987 roku, kiedy Jack zastał ją na tylnym siedzeniu srebrnego audi rodziców (którego nie zdążył zaparkować), liczyła sobie niecałe pięć lat.

Kiedy zobaczył ją ponownie w poczekalni doktor Garcii w Santa Monica, był kwiecień lub maj 2001 roku, czyli upłynął ponad rok od chwili otrzymania Oscara. Lucy miała pewnie jakieś osiemnaście lat. Nie poznał jej, ale ona jego tak, jak wszyscy. (Ładna dziewczyna, pewnie opiekunka, pomyślał Jack).

Dawno nauczył się tolerować natrętne spojrzenia jej rówieśniczek, jednakże Lucy dosłownie świdrowała go wzrokiem i śledziła każdy jego ruch. Jej zainteresowanie wykraczało poza flirt bądź bezmyślne uwielbienie fanki. Jack miał ochotę zapytać rejestratorkę, czy nie mógłby poczekać gdzie indziej. Nie wiedział, czy w budynku znajdują się inne pomieszczenia (oczywiście oprócz łazienki i garderoby), ale zachowanie dziewczyny budziło w nim bezbrzeżną irytację.

Wspólny pobyt w poczekalni trwał jednak krótko, toteż Jack wkrótce zapomniał o sprawie.

Powodem, dla którego zapamiętał ten rok oraz porę pierwszego ponownego spotkania z Lucy, była planowana podróż do Halifaxu, pierwsza od chwili, gdy przekroczył Atlantyk i wylądował w Nowej Szkocji w matczynym łonie. Doktor Garcia ostrzegła go przed powrotem do miejsca urodzenia, który postrzegala jako potencjalną przeszkodę w terapii. Ale Jack miał tam do załatwienia inne sprawy.

Doug McSwiney, kiepski kanadyjski pisarz i scenarzysta, oraz sędziwa francuska pani reżyser Comelia Lebrun chcieli, aby zagrał w filmie o wybuchu w Hali-faksie w 1917 roku. Bez udziału gwiazdy pewnie trudno byłoby im liczyć na odpowiednie dofinansowanie; biorąc pod uwagę jakość scenariusza, nie mógł to być byle kto. A że główny bohater filmu przejawiał skłonności do przebieganek, wybór padł na Jacka Burnsa.

Odgrywany przez Jacka transwestyta zarabiający jako prostytutka traci pamięć w wyniku eksplozji, podczas której zostaje kompletnie pozbawiony odzieży i doznaje poparzeń drugiego stopnia, po czym zakochuje się w pielęgniarce. Początkowo nie pamięta, że jest transwestytą, ale film nie byłby filmem, gdyby główny bohater stopniowo nie odzyskał pamięci.

Jack miał zastrzeżenia do scenariusza, jednak wybuch w Halifaxie zawsze bardzo go interesował, podobnie jak powrót do korzeni. Palił się również do współpracy z Cornelią Lebrun. Była najbardziej znamienitą postacią wśród reżyserów, z którymi dotąd pracował, kiedy więc zaproponowała spotkanie w Halifaxie (gdzie siedziała z McSwineyem nad wymęczonym scenariuszem), Jack postanowił skorzystać z okazji i odwiedzić miejsce urodzenia. Jeszcze nie wiedział, że wtrąci też swoje trzy grosze do scenariusza, będącego haniebną trywializacją tragedii.

Po zdobyciu Oscara odrzucił niezliczone mnóstwo propozycji. Wiele z nich dotyczyło adaptacji. Jack połykał mnóstwo książek w poszukiwaniu czegoś, co zwróci jego uwagę, lecz myśl o napisaniu scenariusza bladła na tle opowieści, którą snuł w gabinecie doktor Garcii.

Wrócił do aktorstwa, przynajmniej chwilowo, tak przynajmniej powiedział Bobowi Bookmanowi. Tutaj jednak też zrobił się wybredny. Niemniej jednak wizja nakręcenia filmu w Halifaxie przemawiała mu do wyobraźni. Kto wie, jaką niespodziankę sprawi mu tu pamięć odzyskana? (Uznał, że mogły to być jedynie niemowlęce sny oraz przecucia).

Taki stan ducha towarzyszył mu w czerwcu 2001 roku, kiedy jechał do Santa Monica na spotkanie z doktor Garcia. Był ciepły dzień, Jack zostawił otwarte okna.

Miał kilka powodów do zadowolenia. Po upływie trzech lat od podróży trasą portów Morza Północnego i Bałtyckiego opisał wizyty we wszystkich miastach prócz jednego, zdobywając się przy tym na niezmałony spokój. (Bywało, że to doktor Garcia z trudem nad sobą panowała).

Co więcej, cieszył się na wyprawę do Halifaxu, tym bardziej że terapeutka była jej gorąco przeciwna. No i wreszcie otrzymał wiadomość od Michele Mäher. Należało rzecz odnotować, ponieważ był to pierwszy list od ponad roku. Nie dostał przez ten czas nawet kartki z gratulacjami.

Uporczywe milczenie Michele nasunęło mu przypuszczenie, że „tak jakby” chłopak doszczętnie zawładnął wybranką, a może nawet zabronił jej dalszej korespondencji ze słynnym aktorem. Tymczasem oto przyszedł długi, wyczerpujący (żeby nie powiedzieć, wylewny) list. Jack naturalnie pokazał go doktor Garcia, która bynajmniej nie kryła niechęci.

Oscarowa wypowiedź Jacka, w której podziękował Michele Mäher za to, że go ogląda, okazała się brzemienna w skutkach. Spowodowała gorącą wymianę zdań z „tak jakby” chłopakiem, który zażądał wyjaśnień. Michele nigdy z nikim nie mieszkała. Zgodnie z jej staroświeckim rozumowaniem, wiązało się to z małżeństwem i dziećmi: eksperyment nie wchodził w grę. Kiedy jednak Jack wspomniał

o niej na oczach milionów, „tak jakby” chłopak nalegał, aby razem zamieszkali. Michele ustąpiła, chociaż małżeństwu i dzieciom powiedziała stanowcze „nie”.

Też był lekarzem, internistą, przyjacielem znajomego ze szkoły medycznej. Napisała, że byli do siebie bardzo (może za bardzo) podobni.

- Wszystko w liście doktor Maher - zawyrokowała doktor Garcia po przeczytaniu listu - wskazuje na pragmatyzm będący skrajnym przeciwieństwem twojego światopoglądu, Jack.

Ale dla Jacka liczyło się coś innego, a mianowicie to, że między Michele a internistą jednak nic wyszło. („Rok bliskości: nigdy nie czułam się tak wyalienowana”, napisała Michele). Znowu mieszkała i była sama. Wreszcie mogła swobodnie pogratulować Jackowi nagrody i zaproponować, aby skontaktował się z nią podczas wizyty w Bostonie; może wyskoczą razem na lunch.

To jasne, że trudno liczyć na nominację co rok. Zresztą nawet gdybyś jeszcze kiedyś wybierał się na ceremonię, nie spodziewam się, że ponowisz zaproszenie. Gdybym mogła cofnąć czas, na pewno bym Ci nie odmówiła. Oszczędziłoby mi to wiele cierpienia.

- Brzmi jak zachęta, prawda? - zauważyła doktor Garcia. (Jack słusznie uznał, że to pytanie retoryczne).

„Später - vielleicht”, napisała na końcu Michele.

- Niemiecki nie jest moją najmocniejszą stroną - oznajmiła doktor Garcia, jakby po namyśle.

- „Później - być może” - przetłumaczył Jack.

- Hm. - (W ten sposób doktor Garcia zwykła bagatelizować sprawę).

- Mógłbym w drodze powrotnej z Halifaxu zahaczyć o Boston - napomknął Jack.

- Ile Michele ma lat? Trzydzieści pięć, sześć? - spytała terapeutka, tak jakby nie wiedziała.

- Tak, jesteśmy rówieśnikami - odpowiedział Jack.

- Większość lekarzy to pracoholicy - oświadczyła doktor Garcia. - Ale, jak u wszystkich kobiet w jej wieku, zegar biologiczny daje o sobie znać.

Jack doszedł do wniosku, że powinien był wspomnieć o liście w porządku chronologicznym, nie jednak nie powiedział.

- Ale z drugiej strony nie chce chyba zaliczyć gwiazdy, co? - dodała doktor Garcia.

- Proponowała tylko lunch - odparł Jack.

- Hm.

Odkąd został jej pacjentem, czyli od trzech lat, w gabinecie terapeutki nie pojawiły się żadne nowe zdjęcia. I tak nie było na nie miejsca, najpierw musiałyby usunąć część starych.

- W razie kłopotów zadzwoń do mnie z Halifaxu, Jack.

- Nie będzie żadnych kłopotów - obiecał.

Doktor Garcia przestudiowała błękitną czcionkę adresu Michele.

- Wobec tego zadzwoń z Cambridge w stanie Massachusetts - odparła. - Zapewniam cię, że tam kłopoty masz jak w banku.

Co do historii jego życia opowiedanej chronologicznie, zbliżał się do etapu określanego przez pannę Wurtz mianem „drugiego razu w Amsterdamie”. Co rozumiałe, nie palił się do zrelacjonowania go terapeutce. Uznał, że mała wycieczka do Halifaxu z przystankiem w Bostonie stanowczo dobrze mu zrobi.

Kiedy wyszedł do poczekalni, jego uwagę zwróciła jedna z młodych matek, stała pacjentka doktor Garcii. Na widok Jacka zaczęła krzyczeć. (Nie znosił tego).

Rejestratorka pośpiesznie wyprowadziła go na Montana Avenue. Jack zobaczył, jak inna młoda matka, a może towarzyszka krzyczącej, próbuje ją uciszyć; zaniepokojone wrzaskiem dzieci uderzyły w płacz.

Wsiadł do audi, wsuwając list Michele Maher za osłonę przeciwsłoneczną od strony kierowcy. Kiedy podjeżdżał do skrzyżowania Montana Avenue i Czwartej Ulicy, we wstecznym lusterku pojawiła się twarz Lucy. Na dźwięk słów: „Nie jestem dość grzeczna, aby jadać w eleganckiej restauracji”, Jack o mało nie spowodował wypadku.

Jeszcze nie rozumiał. Wiedział tylko, że widział tę dziewczynę w poczekalni u doktor Garcii, ale nie miał pojęcia, kim jest. (Uznał ją za nianię z zadatkami na natrętną fankę).

- Zwykle śpię na podłodze, żeby nikt mnie nie zobaczył - dodała dziewczyna.

- Nie do wiary, że zawsze kupujesz audi, na dodatek srebrne!

- Lucy? - spytał Jack.

- Długo to trwało - odparła - no, ale wtedy nie miałam cycków. Trudno się dziwić, że mnie nie poznałeś.

Jack zrozumiał, że wydarzył się niefortunny zbieg okoliczności. Lucy nie była opiekunką, ale jedną z pacjentek doktor Garcii. (I jak się miało wkrótce okazać, należała do grona tych bardziej rozchwianych emocjonalnie).

W niczym nie przypominała tamtej zmartwionej, ale dzielnej pięciolatki, którą Jack wziął na ręce „U Stana”. Ślad niegdysiejszej odwagi wprawdzie pozostał, lecz stężał w coś zgoła odmiennego. Osiemnastoletnia Lucy nie miała już żadnych zmartwień.

Spoglądała na Jacka nieruchomym, beznamietnym wzrokiem złodzieja samochodów. Sprowokowana, przejechałaby na czerwonym świetle z nogą do dechy przez wszystkie skrzyżowania na Wilshire Boulevard, od Santa Monica do Beverly Hills. Tylko wypadek w Brentwood bądź policyjna kula w Westwood Village mogłyby ją powstrzymać: gołe lewe ramię nonszalancko zwisałoby z okna, bezwstydnie demonstrując wyprostowany środkowy palec.

Jack skręcił w prawo w Ocean Avenue i zatrzymał samochód.

- Będzie lepiej, jeśli wysiądziesz, Lucy - powiedział.

- Spróbuj mnie wyrzucić, a rozbiore się do naga - ostrzegła.

Jack trzymał oburącz kierownicę, wpatrując się w odbicie Lucy. Miała na sobie skąpy różowy podkoszulek i czarne szorty do joggingu. Nie zdążyłby nawet wysiąść z samochodu i otworzyć tylnych drzwi.

- Czego chcesz, Lucy? - zapytał.

- Jedźmy do ciebie - powiedziała. - Wiem, gdzie mieszkasz. Usłyszysz ekstra-historię.

- Wiesz, gdzie mieszkam?

- Mama i ja zawsze przejeżdżamy obok twojego domu - poinformowała. - Ale nigdy cię nie widziałyśmy. Pewnie rzadko tam bywasz.

- Porozmawiajmy w samochodzie - zaproponował Jack.

- To długa historia - wyjaśniła dziewczyna.

Zobaczył we wstecznym lusterku, że zsuwa szorty. Miała pod spodem różowe stringi, chyba niewygodne do biegania.

- Włóż spodnie - polecił. - Jedziemy do mnie.

Lucy miała na nogach brudne adidasy oraz krótkie skarpetki, nie sięgające kostek. Krążyła na palcach po domu Jacka, jakby naśladowała pana Ramseya, a może po prostu niepokój nie pozwalał jej usiedzieć w miejscu. Jack chodził za nią jak pies: dziewczyna zachowywała się, jakby była u siebie.

- Kiedy walnąłeś głową mojego ojca, wszystko się zmieniło - oznajmiła. - Wtedy matka zrozumiała, że ma go dosyć. Pamiętam, jak darła się na niego przez całą drogę do domu. Gdyby tylko mogła, najchętniej rozwiodłaby się z nim jeszcze przed śniadaniem.

- Wiem z doświadczenia, że lepiej nie ufać wspomnieniom czterolatka - pouczył.

- Byłeś jej zasranym bohaterem - ciągnęła Lucy. - Jak mogłabym tego nie pamiętać? Kiedy stałeś się sławny, chodziłyśmy na wszystkie twoje filmy i mama mówiła: „Ten gość pomógł mi się wyplątać z beznadziejnego małżeństwa”. Rzecz jasna, stary cię nie znosił. Po rozwodzie nie sposób było go słuchać. „Niech no tylko spotkam kiedyś Jacka Burnsa, ani się obejrzy, jak będzie leżał na ziemi!”, wrzeszczał.

- Za pierwszym razem kiepsko mu poszło - przypomniał Jack.

- Powiem ci coś: gdybyś kiedyś spotkał moją matkę, od razu wskoczyłaby ci do łóżka, a potem powiedziała o tym ojcu - oznajmiła Lucy. - Nic tylko Jack to, Jack tamto. I tak od lat.

- Po prostu byłem oburzony postępowaniem twoich rodziców. Dziecka nie zostawia się samego w samochodzie - odparł.

Lucy przesuwiała magnesy, które Alice dała Jackowi na lodówkę. Japońskie wzory, irezumi, jak nazywał je Henk Schiffmacher. Było tam pół tuzina magnesów wielkości ćwierćdolarówek. Jack przyczepił nimi cztery fotografie nagiego tułowia Alice, z tatuażem w różnych ujęciach. Zauważył, że Lucy bacznie studiuje napis.

Dziewczyna uparcie krążyła po domu. Przejrzała rzeczy na jego biurku. Jej uwagę zwrócił płaski szklany przycisk do papieru, który lekko powiększał zdjęcie nagiej Emmy. (Jack zawsze myślał, że któregoś dnia pożałuje, iż mimo nalegań Claudii postanowił je zachować).

- Muszę skorzystać z twojej łazienki - powiedziała Lucy. W domu znajdowały się jeszcze dwie toalety, lecz dziewczyna przeszła tanecznym krokiem przez sypialnię i wkroczywszy do łazienki, zamknęła za sobą drzwi.

Jack zamienił dawną sypialnię Emmy w małą siłownię: dwa rodzaje rowerków stacjonarnych, bieżnia, przyrząd do ćwiczeń mięśni brzucha, kilka ławek oraz mnóstwo hantli. Zamiast luster powiesił na ścianach swoje ulubione plakaty filmowe, w tym kilka z własnych filmów. Na podłodze leżała mata, długi prostokąt, około jednej trzeciej wielkości przepisowej maty do zapasów.

Usiadł na macie i podciągnął kolana do klatki piersiowej, zastanawiając się, co począć z dziewczyną. Usłyszał szum spuszczonej wody, po czym Lucy odkręciła kran. Następnie wyszła z łazienki i sięgnęła po telefon leżący na nocnym stoliku. Jack poznał po głosie, że nagrywa się na automatyczną sekretarkę.

- Cześć mamo, to ja - dobiegły go słowa. - Jestem w domu Jacka Burnsa, leżę goła w jego łóżku. Czy nie o tym zawsze marzyłaś? Wybacz, że cię uprzedziłam, ale nic to. Ty czyja, ojciec i tak dostanie szału. Buziaki!

Jack wszedł do sypialni i zobaczył, że Lucy nie żartowała. Ściągnęła narzutę i leżała nago w jego łóżku.

- Będziemy mieli kłopoty - powiedziała.

- Może ty, Lucy, aleja nie - odparł.

Ruszył w kierunku łazienki z zamiarem odszukania jej rzeczy, te jednak wyparowały. Brudne adidas i skarpetki leżały na wadze, lecz reszta ubrań zniknęła. („Jak to możliwe?”, pomyślał Jack).

Wrócił do sypialni.

- Masz natychmiast stąd wyjść, Lucy. Gdzie są twoje rzeczy?

Wzruszyła ramionami. Owszem, była niczego sobie osiemnastolatką. Nawet Jack potrafił policzyć lata, które upłynęły od 1987 roku, i dodać do nich cztery. (Ostatnio dużo myślał o czterolatkach). Niemniej jednak w ogóle nie brał pod uwagę seksu, nawet jeśli nie oznaczało to przestępstwa. Problem tkwił w czymś zupełnie innym.

Lucy była jedną z owych rozmyślnie niechlujnych dziewcząt z drobinkami złotego brokatu we włosach i każdym paznokciem u stóp pomalowanym na inny kolor. Wysoko po wewnętrznej stronie uda miała wytatuowaną Rękę Buddy. Niektóre młode kobiety były bardziej pociągające, zanim zrzuciły z siebie ubranie, poza tym Jack nie lubił być do niczego zmuszany.

- Dam ci jakąś koszulkę i spodenki - powiedział. - Jeśli będzie trzeba, ubiorę cię siłą.

- Matka zawiadomiła już pewnie policję - odrzekła Lucy. - Całymi dniami siedzi w domu i nie ma nic do roboty. Nagrywa wszystkie rozmowy, na wypadek gdyby dzwonił ojciec. Założę się, że odsłuchala moją wiadomość co najmniej dwukrotnie, podała glinom twój adres i w ogóle.

Jack poszedł do kuchni, gdzie trzymał drugi telefon. Wykręciwszy numer policji, oznajmił, że niezrównoważona osiemnastolatka, która ukrywała się w samochodzie, wtargnęła do jego domu, rozebrała się i zadzwoniła do matki. Zapewnił, że nawet jej nie tknął i nie ma takiego zamiaru.

- Nie chce się ubrać, przyślijcie więc może też jakąś kobietę - dodał.

Zapytano go, czy chodzi o konflikt rodzinny. Czyżby znał tę dziewczynę?

- Widziałem ją ostatnio, kiedy miała cztery lata! - krzyknął.

Wobec tego jednak ją zna, prawda? (To pytanie było do przewidzenia).

- Ona uważa, że jej rodzice rozwiedli się przeze mnie. Obie z matką mają obsesję na moim punkcie. Jej ojciec mnie nienawidzi!

- Zna pan całą rodzinę? - zapytał oficer dyżurny.

Kiedy Jack podał swój adres, w odpowiedzi usłyszał pośpieszne: „Chwileczkę”. Okazało się, że wysłano już do niego samochód patrolowy. Oczywiście matka Lucy zdążyła tymczasem zadzwonić. Wspomniała coś o gwałcie.

- To nieprawda! - krzyknął Jack.

- W kiblu bez przerwy leci woda! - wrzasnęła Lucy z sypialni. - Lepiej zadzwoń po hydraulika!

Jack odłożył słuchawkę i pomaszerował do łazienki. Lucy wpakowała swoje ubrania do rezerwuaru. (Były przemoczone, Jack włożył je do wanny). Mechanizm spłuczki uległ odkształceniu, dlatego bez przerwy lała się woda. Przynajmniej temu umiał zaradzić.

Kiedy wrócił do sypialni, Lucy wiała się na łóżku: pościel była skłębiona, jedna z poduszek znalazła się na podłodze. Poślanie wyglądało tak, jakby Jack przed chwilą odbył stosunek z kilkoma osiemnastolatkami, na dodatek wyjątkowo sprawnymi fizycznie.

- Niepotrzebnie tracisz czas - powiedział małej ździrze. - Nie będzie ci do śmiechu, kiedy cię przebadają na obecność płynów ustrojowych.

- Rzygać mi się chce od wysłuchiwania, jak rozpierdoliłeś mi rodzinę! - wrzasnęła dziewczyna.

Jack wymaszerował z sypialni, zamykając za sobą drzwi. Wyszedł na podjazd i oparł się o audi. Jeszcze przed przyjazdem policji zauważył aż nazbyt dobrze mu znanego fotoreportera, który wślawił się zdjęciami młodej aktorki w basenie podczas wesela w Westwood. Reporter celował w niego długim obiektywem aparatu.

Ucieszył się, że jednym z dwojga policjantów okazała się kobieta. Powiedział jej, gdzie jest Lucy, a gdy policjantka weszła do domu, przedstawił oficerowi swoją wersję zdarzeń.

- Jest pan pewien, że ma osiemnaście lat? - przerwał mu raz policjant, ale poza tym słuchał uważnie.

Fotoreporter przeszedł przez ulicę i stanąwszy u stóp podjazdu, pstrykał im zdjęcia.

- Nie może włożyć swoich rzeczy, są przemoczone - tłumaczył Jack.

W tej samej chwili Lucy wybiegła nago przez frontowe drzwi i zarzuciła mu ręce na szyję. Policjant próbował zasłonić ją przed fotografem.

Policjantka wyszła z domu z ręcznikiem kąpielowym w rękach. Usiłowała owinąć nim Lucy, lecz ta uparcie się wrywała. Policjanci wspólnymi siłami wyplatali Jacka z jej objęć. Jack stał nieruchomo, usiłując jej nie dotykać, tymczasem reporter niezmiernie robił zdjęcia. Gdyby postąpił choć krok naprzód, Jack miałby prawo kolejno połamać mu wszystkie palce, bez względu na obecność patrolu.

- Domyślam się, że to dla pana nie pierwszyna - powiedział policjant.

- Dam głowę, że wszystko, co ci powiedział, to szczerą prawdą - oznajmiła jego koleżanka. - Gdyby ta dziewczyna była moją córką, utopiłabym ją w sedesie.

Była wysoką, smukłą Murzynką o posępnym wyrazie twarzy, spotęgowanym przez bliznę przecinającą jedną z brwi. Jej partner był krępkim, białym mężczyzną o krótko ostrzyżonych włosach i bladoniebieskich oczach, równie nieruchomych i beznamiętnych jak oczy Lucy.

- Zróbcie jej obdukcję - poprosił Jack. - Żeby nie było, że kłamałem.

Policjantka popatrzyła na niego z uśmiechem.

- Proszę się mieć na baczności - ostrzegła. - Lepiej dmuchać na zimne.

- Chcielibyśmy jeszcze zajrzeć do środka - dodał jej partner.

- Proszę bardzo - odparł Jack.

To był długi dzień. Jack wyglądał przez okno w nadziei, że fotograf wejdzie na teren jego posesji, ten jednak dalej czatował u stóp podjazdu. Kiedy patrol zabrał Lucy (Jack nalegał, aby podarować jej ręcznik), reporter też się ulotnił.

Jack zdziwił się nieco, że policjanci ani razu nie zwątpili w jego wersję. Policjantka zganiła go za zdjęcia nagiego tułowia Alice na lodówce.

- Nieważne - ucięła jego wyjaśnienia. - W razie kłopotów lepiej nie trzymać ich na widoku.

Pokazał jej zdjęcie siedemnastoletniej Emmy, leżące pod przyciskiem do papieru na jego biurku.

- Tego też nie? - spytał.

- Szybko się pan uczy - odrzekła. - Wyczuwam w panu prawdziwy potencjał.

Po ich odjeździe znalazł w wannie stringi Lucy: były tak mikroskopijne, że policjanci musieli je przeoczyć. Wyrzucił je do śmieci, razem z czterema zdjęciami matki i fotografią Emmy.

Gdyby rano nie czekał go wyjazd do Halifaxu, zapewne wykazałby większą przezorność. Później złożył sobie wszystko w logiczną całość i zrozumiał, że gazeta, która zakupiła zdjęcia fotografa, przysłała kogoś na Entrada Drive, aby przekopał Jackowi śmietnik.

Przeprowadzono też oczywiście wywiad z Lucy, która podsumowała cały incydent jako „kawał”.

Kiedy ta sama gazeta poprosiła go potem o komentarz, rzekomo w celu „wyjaśnienia” sprawy, Jack ograniczył się do podkreślenia rzetelności policji. Przede wszystkim patrol mu uwierzył. Czy to nie Lucy została odwieziona na posterunek? „Niech pani sama wyciągnie wnioski”, powiedział dziennikarce, która określiła się mianem „niestrudzonej tropicielki faktów”. (Chodziło mu o to, że przecież policja mogła zabrać jego).

Ale gdy wyruszał rano do Halifaxu, nie miał jeszcze o niczym pojęcia. Biorąc pod uwagę wszystko, co mu się przytrafiło, szereg dokonanych przez niego chybionych wyborów, stracone lata, incydent z Lucy wydał mu się niewart wzmianki.

Jack nie zadzwonił nawet do doktor Garcii. (Niech poczeka, muszę się trzymać chronologii, pomyślał).

Czasem jednak nawet rzecz niewarta wzmianki zaistnieje w świadomości publicznej. Jack nie wyrządził Lucy żadnej krzywdy, po prostu zaopiekował się nią, kiedy miała cztery lata. Jednakże w zilustrowanej zdjęciami wersji brukowca irytujący „kawał” dziewczyny nosił posmak prawdziwego skandalu i sugerował, że Jack Burns zdołał się od czegoś wymigać.

Gdy przyjdzie czas, aby opowiedzieć o tym terapeutce, Jack będzie miał ciężki orzech do zgryzienia, ale zastawiono na niego pułapkę. Nie była nią Lucy: ona posłużyła tylko jako katalizator tego, co miało się wydarzyć w przyszłości. Miła policjantka próbowała go ostrzec. Jack wprawdzie wyrzucił zdjęcia, ale przestroga nie dotyczyła tylko fotografii.

„W razie kłopotów...” - czyż nie tak to właśnie ujęła?

34 • Halifax

W drodze na lotnisko zadzwonił z komórki do gabinetu Michele Maher. W LA było bardzo wcześniej, lecz pielęgniarka natychmiast odebrała telefon: pomiędzy Kalifornią a Massachusetts istniała trzygodzinna różnica czasu. Pielęgniarka (zyczliwa dusza imieniem Amanda) poinformowała go, że doktor Maher ma pacjenta.

Jack przedstawił się i powiedział, dokąd jedzie, dodając, iż chodził z Michele do szkoły.

- Wiem o tym - odrzekła Amanda. - Wszyscy w przychodni chcieli ją zabić, kiedy nie poszła z panem na Oscary.

- Aha.

- Chce się pan z nią umówić na lunch? - spytała Amanda.

Jack odgadł, że „wszyscy w przychodni” wiedzieli o liście Michele; pewnie Amanda sama wystukała go na maszynie.

Jack wyjaśnił, że ma nadzieję zobaczyć się z doktor Maher w drodze powrotnej z Halifaxu. Zatrzyma się w Bostonie. Jeśliby Michele znalazła czas, aby zjeść z nim tego wieczoru kolację albo następnego dnia lunch, bardzo by się ucieszył.

- Kolację! - powtórzyła żarliwie Amanda. - Może lunch i kolację. Może śniadanie!

Jack powiedział Amandzie, że zadzwoni w tygodniu z Halifaxu, aby ostatecznie potwierdzić spotkanie z doktor Maher.

- Proszę się zatrzymać w hotelu „Charles” w Cambridge, a dojdzie pan pieszo do szpitala i naszej przychodni. Jeśli pan chce, mogę zarezerwować pokój - zaproponowała Amanda. - W hotelu jest siłownia, basen i w ogóle.

- Dziękuję, Amando - odpowiedział. - To byłoby bardzo miłe, jeżeli oczywiście doktor Maher zechce się ze mną spotkać.

- Dlaczego tak oficjalnie? - wykrzyknęła Amanda.

Jack nie poprosił Amandy, aby zarezerwowała mu pokój pod innym nazwiskiem, chociaż o jego pobycie miała wiedzieć nie tylko Michele, ale i „wszyscy w przychodni”. Wybuch w Halifaxie i nakręcenie filmu w miejscu swojego urodzenia wprawdzie bardzo go interesowały, jednakże rola prostytutki-transwestyty bynajmniej nie budziła w nim entuzjazmu. Ba, im dłużej rozmyślał o scenariuszu Douga McSwineya, tym mniejszą miał ochotę na meldowanie się pod jej nazwiskiem w jakimkolwiek hotelu. (W Halifaxie zrobił rezerwację na własne nazwisko).

Podziękował Amandzie za pomoc, a następnie podał jej telefon do tamtejszego hotelu oraz numer swojej komórki, na wypadek gdyby Michele chciała się z nim skontaktować.

Miał na podróż wystarczająco dużo lektury, w tym scenariusz Douga McSwineya, który przeczytał jeszcze dwukrotnie. Zatytułowany „Wybuch w Halifaxie” scenariusz McSwineya powstał na podstawie „Miasta, które umarło” Michaela J. Birda, kroniki tragicznych wydarzeń, wydanej po raz pierwszy w 1967 roku. Dość rzec, że scenarzysta dopuścił się pewnych nadużyć.

Szóstego grudnia 1917 roku w basenie portowym o długości dwóch kilometrów i szerokości pięciuset metrów, łączącym dorzecze Bedford z portem w Halifaxie i otwartym morzem, doszło do zderzenia dwóch statków. Francuski okręt amunicyjny „Mont Blanc”, wypełniony materiałami wybuchowymi, przeznaczonymi na front europejski, płynął do Bordeaux. Norweska jednostka „Imo” przyплыła z Rotterdamu i zmierzała do Nowego Jorku. W skład ładunku „Mont Blanc” wchodziło ponad dwa tysiące ton kwasu pikrynowego oraz dwieście ton trotylu.

W wyniku kolizji na „Mont Blanc” wybuchł pożar, niespełna godzinę później zabójczy ładunek okrętu wyleciał w powietrze. Ludzie widzieli płonący statek niemal z każdego miejsca w mieście: nie zdawali sobie sprawy, że czeka ich taki sam los. Zginęło prawie dwa tysiące osób, dziewięć tysięcy doznało obrażeń, a dwieście straciło wzrok.

Wybuch zrównał z ziemią północną część miasta, którą Bird opisuje jako „pustkowie, ogarnięte pożogą złomowisko”. Śmierć ponieśli setki dzieci. Doszczętnemu zniszczeniu uległa niezliczona liczba statków, port i Akademia Morska oraz koszary Wellingtona i Dartmouth, gdzie dopłynęła załoga „Mont Blanc”.

Jack uważał, że rola francuskiego kapitana Aimé Le Medeca stanowi największe wyzwanie aktorskie. Bird opisuje go jako „liczącego zaledwie metr sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, lecz dobrze zbudowanego, o schludnie przyciętej czarnej brodzie, która dodawała powagi jego skądinąd młodzieńczej twarzy”. Jeden ze współczesnych określił Le Medeca jako „sympatycznego, acz porywczego mężczyznę, podatnego na gwałtowne zmiany nastroju” oraz „kompetentnego raczej niż wybitnego żeglarza”.

Jack Burns nie był wprawdzie aż tak niski, lecz rysopis kapitana przemówił mu do wyobraźni, a poza tym miał talent do akcentów.

W wyniku śledztwa nagłośniono fakt, że pilot francuskiej jednostki, Frank Mackey, nie mówił po francusku. Le Medec, który znał angielski, raczej nie posługiwał się tym językiem, ponieważ nie lubił, kiedy ktoś go nie rozumiał. Mackey i Le Medec porozumiewali się za pomocą gestów.

„Porywczy” kapitan bardzo przypadł Jackowi do gustu. Uważał, że powinien dostać właśnie tę rolę. (Scenarzysta zaś powinien poprzestać na faktach, które były wystarczająco ciekawe bez udziału tworzonych na siłę postaci fikcyjnych).

Kanadyjskie władze w Halifaksie uznały kapitana Le Medeca i pilota Franka Mackeya za winnych katastrofy. Sąd Najwyższy Kanady zmienił później orzeczenie i obarczył winą załogi obydwu statków. Jednakże Le Medec i jego ludzie byli Francuzami, co w oczach wielu anglojęzycznych Kanadyjczyków, nie tylko mieszkańców Nowej Szkocji, samo w sobie przesądzało o ich winie.

Comelia Lebrun, francuska pani reżyser, przyjęła stanowisko, że Le Medec ponosił tylko część winy. (Rząd francuski nie wszczął postępowania przeciwko kapitanowi, który zakończył karierę dopiero w 1931 roku i otrzymał tytuł Kawalera Legii Honorowej). Nie tłumaczyło to jednak jej fascynacji scenariuszem McSwineya, gdzie Le Medec odgrywał rolę ostatnią, a sam wybuch w Halifaksie stanowił jedynie tło dla zasadniczych wydarzeń.

McSwiney poświęcił dużo uwagi kwestiom pobocznym. Bird wspomina, że po katastrofie wiele miejscowych prostytutek przeniosło się do Toronto lub Montrealu, by „zaczekać na poprawę koniunktury”. Co się tyczy pań, które zostały, „interes szedł jak po maśle”.

Owa wzmianka najprawdopodobniej posłużyła Dougowi McSwineyowi za kanwę jego wycieczki. Gdzieś na Water Street (o czym napomyka Bird) prostytutka obserwuje, jak klient („kupiec okrętowy”) opuszcza jej pokój i zmierza w kierunku portu. Jest wczesny ranek, „Mont Blanc” niebawem eksploduje.

W scenariuszu McSwineya wspomniana prostytutka (to znaczy postać na niej wzorowana) trochę za długo oddycha chłodnym porannym powietrzem. Siła wybuchu zrywa z niej odzież i perukę, po czym odrywa ją samą od ziemi, ukazując wszystkim, że naga płonąca dziwka jest ni mniej, ni więcej, tylko mężczyzną! Gra ją oczywiście Jack Burns, któż by inny?

Pośród szalejącej zagłady dotknięta amnezją prostytutka zostaje odwieziona do szpitala. Jak okiem sięgnąć, widok jest rozdzierający. Bird pisze: „Dwieście dzieci, przełożona oraz wszyscy pozostali opiekunowie ponieśli śmierć pod zawalonym dachem i ścianami protestanckiego sierocińca na Campbell Road. Ci, którzy nie zginęli na miejscu, powoli spłonęli żywcem”.

Lecz sympatia widzów ma spoczywać po stronie bohatera odgrywanego przez Jacka, czyli rzeczonyj prostytutki. Pomimo ogromnej liczby poparzonych kobiet i dzieci pewna atrakcyjna pielęgniarka otacza szczególnie czułą opieką właśnie Jacka. Potraktowane

pobieżnie historyczne tło filmu ustępuje miejsca powolnej rekonwalescencji transwestyty oraz uczuciu, które rodzi się pomiędzy nim a pielęgniarką.

Transwestyta nie pamięta, kim jest ani co robił jako latająca, goła żywa pochodnia nad Water Street w pamiętny czwartek tuż po godzinie dziewiątej rano. Kiedy czuje się na tyle dobrze, aby opuścić szpital, pielęgniarka zabiera go do siebie.

Następuje nieuchronna scena, w której ofiara amnezji odzyskuje pamięć. (Znając Jacka Burnsa, widzowie czują, co się święci). Pielęgniarka idzie do pracy, a bohater grany przez Jacka budzi się w jej sypialni. Widzi na krześle jeden z fartuszków, który pielęgniarka miała na sobie poprzedniego dnia. Zakłada go i przegląda się w lustrze. Cóż, reszty możecie się domyślić. Wspomnienia pchają się jedno za drugim! Obsceniczne zachowanie w damskich łazdkach!

Tym sposobem widzowie otrzymują drugą wersję wybuchu w Halifaksie. Widzimy tragiczne życie prostytutki-transwestyty, prowadzące do innej tragedii, tej prawdziwej. Bird pisze: „W owej strasznej chwili zginęło lub odniosło obrażenia więcej osób niż w trakcie któregośkolwiek z nalotów na Londyn podczas całej drugiej wojny światowej”. Co ten McSwiney sobie wyobrażał?

Jack nie znosił spotkań, w których uczestniczył z sympatii do reżysera i całego zamysłu, przejęty obrzydzeniem wobec samego scenariusza. Wiedział, że zostanie potraktowany jako wszędobylski gwiazdor, który próbuje wprowadzać zmiany dla własnej korzyści. Lub też w tym wypadku (niewątpliwie w oczach Douga McSwineya) jako nagrodzony Oscarem scenarzysta (trafiło się ślepiej kurze ziarno!), który chce uczyć doświadczonego pisarza trudnej sztuki pisania.

Abstrahując od kwestii swoich korzeni, Jack zaczął się zastanawiać, co go tu przyгнаło, i to jeszcze zanim wylądował w Nowej Szkocji, dokąd trafił w łonie matki przed trzydziestu sześciu laty. Może jednak doktor Garcia nie myliła się w swoich ostrzeżeniach.

Zameldował się w „Hotelu Księcia Jerzego” i zarezerwował stolik na kolację w pobliskiej restauracji o nazwie „Press Gang”. Lokal znajdował się tuż obok rogu Prince i Barrington, gdzie William Burns grał kiedyś u Świętego Pawła. Nieopodal, na Argyle i Prince, znajdowała się plebania kościoła, gdzie anglikanie umieścili ciężarną matkę Jacka: być może to właśnie tam przyszedł na świat (bez cesarki).

Kościół pod wezwaniem Świętego Pawła wybudowano w 1750 roku z białych drewnianych klepek i gontów. Dla upamiętnienia wybuchu zachowano jedno ze zniszczonych okien, wychodzące na Argyle Street. W wyniku eksplozji „Mont Blanc” powstała w nim dziura w kształcie ludzkiej głowy. Profil, zwłaszcza podbródek i nos, wykazywał, zdaniem Jacka, uderzające podobieństwo do rysów Alice.

Organy powstały na cześć organisty zmarłego w 1920 roku. Piszczalki były niebieskie i białe, obok zaś wisiała tabliczka upamiętniająca jeszcze jedną osobę.

Ku Boskiej chwale
I WDZIĘCZNEJ PAMIĘCI
Natalie Littler 1898-1963
ORGANISTKI W LATACH 1935-62

W1962 musieli potrzebować nowego organisty. Jack nie zauważył żadnej tabliczki ku czci Williama Burnsa, którego miał nadzieję ujrzeć jeszcze kiedyś wśród żywych. William przyjechał do Halifaxu i podjął pracę u Świętego Pawła w 1964 roku. (Bóg jeden wie, jak długo tu zabawiał; brakowało wzmianki na temat jego pobytu).

Jack wyszedł przed kościół i stanął na starym cmentarzu przy Barrington Street, spoglądając w kierunku portu w Halifaksie. Zastanawiał się, jak by to było, gdyby został tu razem z matką. Ciekawe, czy zaznaliby szczęścia.

Wiedział, że wspomniane okno, idealnie zachowany profil, upamiętniający katastrofę z 1917 roku, było lepszym materiałem na film aniżeli gówniany scenariusz Douga McSwineya. Skręcał się na myśl, że przejechał taki kawał drogi w sprawie filmu, który nie miał szans na realizację, przynajmniej z nim w roli dotkniętego amnezją transwestyty.

Co więcej, w ogóle nie miał ochoty na spotkanie ze scenarzystą. Postanowił, że przedstawi swoją opinię Comelii Lebrun, i na tym poprzestanie. (Wiedział, iż wielu spotkań dałoby się uniknąć, gdyby ludzie wyrażali swoje zdanie na wstępie i bez ogródek).

Dowiedział się, że Cornelia Lebrun również mieszka w „Hotelu Księcia Jerzego”, jednakże w myśl rady Emmy postanowił wyrazić swoje odczucia na piśmie, zwłaszcza że w grę wchodziły silne emocje. Miał przed kolacją dość czasu, by wrócić do hotelu i napisać to, co powinien przekazać Francuzce w zwięzłej rozmowie telefonicznej z Los Angeles.

Wyjaśnił w liście, że przyjechał do Halifaxu głównie ze względów osobistych i nie chce być kojarzony z filmem, który trywializuje wydarzenia o tak doniosłym znaczeniu, jak pamiętna katastrofa. Dodał, że interesuje go postać Le Medeca i chciałby dowiedzieć się na jej temat czegoś więcej. Zaznaczył, że pasuje wizualnie do tej roli i bez trudu umiałby oddać porywczosć oraz zmienne usposobienie kapitana. (Wspomnił również o swym talencie do akcentów).

Wśród postaci autentycznych wyróżniała się także rola Franka Mackeya, pilota, który nie znał francuskiego. Trzecim interesującym bohaterem był C. J. Burchell, radca norweskiej firmy przewozowej. Burchell był wówczas najsłynniejszym prawnikiem na Wschodnim Wybrzeżu. Jako pełnomocnik właścicieli „Imo”, był zdaniem Birda „zdolny do najbezwzględniejszej taktyki sądowej”. Zważywszy na stronniczość sędziego, który faworyzował „Imo”, oraz oburzenie opinii publicznej, skierowane przeciwko „Mont Blanc” (i Francuzom), Burchell nie miał zahamowań, by „atakować i zastraszać świadków”.

Na cóż komu opowieść fikcyjna, zapytywał w liście Jack. Kogo obchodzi transwestyta, który traci ubranie, pamięć i perukę, wobec wizji dwóch tysięcy ofiar śmiertelnych, dziewięciu tysięcy rannych oraz blisko dwustu oślepionych? Jack zakomunikował, że scenariusz McSwineya jest, krótko mówiąc, do dupy. (Doktor Garcia przestrzegłaby go przed tym konkretnym komentarzem i - jak się okazało - miałaby rację. Lecz Jack dał się ponieść emocjom).

Wyraził ubolewanie wobec faktu, że madame Lebrun i pan McSwiney na darmo przybyli do Halifaxu na spotkanie, które było, jego zdaniem, całkowicie bezcelowe. Dodał, że jedno spojrzenie na dziurawe okno w kościele Świętego Pawła uświadomiło mu dobitnie, iż scenariusz McSwineya jest „sprośny”, „banalny” i obraża pamięć ofiar katastrofy.

Pozostawiwszy w recepcji plik kartek zaadresowanych do Comelii Lebrun, Jack udał się na samotną kolację do restauracji „Press Gang”. Kiedy po powrocie do hotelu zapytał, czy Cornelia Lebrun zostawiła dlań wiadomość, poinformowano go, że pani reżyser czeka w barze.

Jack miał blade pojęcie na temat jej wyglądu. (Wiedział tylko, że to drobna kobieta po sześćdziesiątce, mniej więcej rówieśnica panny Wurtz). Od razu ją zauważył. Ile kobiet w Halifaxie włożyłoby zielony zamszowy kostium?

- Cornelia? - zawrócił się do Francuzki, której szminka nosiła jaskrawo-pomarańczowy odcień.

- Zzzhhhack Burns! - zawołała, zanim jednak zdążył ucałować podsunięty policzek, wtargnął pomiędzy nich rosły, zarośnięty mężczyzna.

Był większy, aniżeli wskazywały na to fotografie z obwolut jego książek, a przy tym bardziej włochaty niż drwal. Jack nie czuł się na siłach, aby czytać jego powieści, z uwagi na nadmiar wszechobecnych opisów przyrody, będących zasadniczą cechą stylu owłosionego pisarza. (Jodły zgięte przez wiatr, siwe skały, okrutne morze, bezlitosna aura i ostre chłanie). Woń whisky płynąca z jego ust była równie sugestywna. Był to oczywiście Doug McSwiney

we własnej osobie. W chwili gdy Jack wyciągnął rękę, aby się przywitać, lewy sierpowy pisarza zniecka dosięgnął jego prawej skroni.

- Do dupy?! - powiedział McSwiney.

Jack stracił przytomność, jeszcze zanim legł na posadzce. Powinien przewidzieć, że ktoś, kto zamienia historię wybuchu w Halifaxie w niestrawną love story, posunie się do równie taniego chwytu.

Odzyskał przytomność dopiero w pokoju. Leżał na swoim łóżku, w ubraniu, ale bez butów. Pulsowało mu w głowie. Cornelia Lebrun siedziała obok. Owinęła kostki lodu w wilgotną ściereczkę i przyciskała je do opuchniętej skroni Jacka. Ten pijany, brodaty dureń mógł mnie zabić, pomyślał Jack.

- To moooja wina - mówiła madame Lebrun. - Nie czytam po angielsku, kie-dyyy jest napisane poręcznie.

- Odręcznie - poprawił odruchowo Jack.

- Poprosiłam Douga, zebiii mi głośno przeciiaał. Popełniłam faux pas, ouP. Określenie „do dupy” bardzo go zdenerwowaało.

- Albo „banalny”. A może „sprośny”.

- Oui. A poza tym pił.

- Ja też miewałem kiepskie recenzje - powiedział Jack. - Mimo to nie próbowałem zatłuc Rogera Eberta statuetką.

- Kogo zatłuc? - spytała Francuzka.

- Nieważne. Nie zagram w tym filmie - oznajmił.

- Le Medeca może grać tylko Francuz, Zzzhhhack. Choćbyś nie wiem jak naśladował akcentiii.

Do realizacji filmu nie doszło. Później tego samego roku, po ataku terrorystycznym z jedenastego września, sfinansowanie filmu o wybuchu w Halifaxie okazało się praktycznie niemożliwe, bez względu na gwiazdorską obsadę. Filmy katastroficzne drastycznie straciły na popularności. (Podobne nastawienie miało się utrzymać przez ponad rok).

Kanadyjska telewizja wyemitowała kilka lat później coś na temat wybuchu, ale Jack nigdy nie miał okazji tego obejrzeć. Nie wiedział nawet, czy chodziło o dokument, czy też film fabularny. Wiedział tylko, że Doug McSwiney na pewno nie maczał w tym palców. Jack podejrzewał, że incydent w hotelowym barze przekreślił jego szanse na współpracę z francuską panią reżyser.

Podczas gdy madame Lebrun nie odstępowała Jacka na krok, obsługa hotelu przysłała do jego pokoju lekarkę. Jack dowiedział się, iż doznał lekkiego wstrząśnienia mózgu (w świetle dotkliwego pulsowania w skroni określenie „lekkie” wydało mu się dość kontrowersyjne). Pani doktor przykazała mu również, aby starał się nie zasypiać na dłużej niż dwie godziny. Powiedziała w recepcji, aby dzwoniło do Jacka Burnsa co dwie godziny, a w razie gdyby nie odbierał telefonu, ktoś ma się udać do jego pokoju i go obudzić. Przez kolejny dzień nie wolno mu też było odbywać żadnych podróży.

Tamtej nocy, pomiędzy jednym telefonem z recepcji a drugim, przyśniło mu się, że jest na planie filmowym.

- Cisza - powtarzał ktoś chyba setny raz.

- Kręcimy.

- Przerwa.

Jack uświadomił sobie, jak bardzo mu tego brakuje. Może upłynęło zbyt wiele czasu od chwili, kiedy nakręcił ostatni film.

Rankiem spacerował się Barrington Street w poszukiwaniu czegoś do czytania. Natrafił na księgarnię o nazwie „Pokój Książek”. Właściciel rozpoznał go

i zaprosił na kawę. Jack wyraził chęć podpisania kilku egzemplarzy scenariusza „Recenzentki bzdur”. (Wydawca Emmy postanowił go opublikować; w większości księgarń stawiano go na półce obok edycji w filmowej okładce).

Księgarz nazywał się Charles Burchell i był wnukiem C. J. Burchella, legendarnego prawnika, który prowadził sądową krucjatę przeciwko kapitanowi i pilotowi „Mont Blanc”. Na wieść o tym, że Jack mógł przyjść na świat na plebanii Świętego Pawła, Charles poinformował, iż po wybuchu zakrystia pełniła funkcję szpitala, a pod ścianami spiętrzono ciała setek ofiar.

Charles zgodził się oprowadzić Jacka po porcie. Jack chciał obejrzeć terminale, a zwłaszcza przystań, gdzie przybijali imigranci. Charles zawiózł go też na cmentarz Fairview Lawn. Jack był ciekaw miejsca pochówku ofiar „Titanica”. Historia miasta obfitowała w katastrofy.

Razem przechadzali się między obeliskami.

Wzniesiony ku pamięci

NIEZNANEGO DZIECKA
KTÓREGO SZCZĄTKI ODKRYTO
PO KATASTROFIE „TITANICA”
15 KWIETNIA 1912 ROKU

Jack ujrzał wiele podobnych napisów.

Alma Paulson 29 LAT
ZGINEŁA Z CZWÓRKĄ DZIECI

Na niektórych pomnikach widniały tylko nazwiska oraz wiek ofiar.

Toburg Dandria 8 lat
Paul Folke 6 lat
Stina Viola 4 lata
Gosta Leonard 2 lata

Na innych zaś jedynie daty i liczby.

Zginęli 15 kwietnia 1912 227

Najwięcej kwiatów leżało na małym nagrobku z napisem J. DAWSON. Bukiety dosłownie zaścielały pomnik, niemal przysłaniając dziwnie znajome nazwisko. Charles odświeżył Jackowi pamięć. Tak nazywał się bohater odgrywany przez Leonarda DiCaprio w filmie pod tytułem „Titanic”.

- Nie chcesz powiedzieć, że on żył naprawdę - powiedział Jack.

- Nie mam pojęcia - odrzekł Charles.

Mogło chodzić o innego Dawsona. Jack Dawson grany przez DiCapria prawdopodobnie został wymyślony, jednakże od chwili premiery turyści składali kwiaty na grobie J. Dawsona pod wpływem przekonania, iż chodzi o tę samą postać. Co gorsza, bez względu na relacje łączące filmowego Jacka Dawsona z J. Dawsonem z nagrobka dziewczęta przynoszące bukiety były święcie przekonane, iż zmarły przypominał kiedyś Leonarda.

- Filmy - rzucił z niesmakiem Jack. Charles parsknął śmiechem.

Ale wówczas Jack doznał olśnienia: to właśnie tutaj włochaty powieściopisarz i scenarzysta wpadł na pomysł przekształcenia historii wybuchu w Halifaxie w love story.

Pomysł od początku był zły, ale nawet od niego nie wyszedł. McSwiney ukradł go z filmu o „Titanicu”, zerznął z cmentarza pełnego dziecięcych mogił!

- Czy Doug McSwiney pochodzi z Halifaxu? - spytał Jack. Jako księgarz Charles mógł posiadać takie informacje.

- Tutaj się urodził i wychował - odrzekł Charles. - To paskudny człowiek, nikomu nie przepuści.

Cmentarz wzbudził w Jacku wzmożoną chęć, aby przyłać McSwineyowi. Owa myśl dręczyła go mimo nieustającego łupania w czaszce. (Cios w skroń to nie przelewki).

Wrócił do hotelu i uciął sobie krótką drzemkę. Najprawdopodobniej rzeczywiście doznał wstrząśnienia mózgu (lekkiego lub nie), gdyż nie czuł się dobrze. Zastanawiał się, dlaczego Michele Maher nie dzwoni. Mogłaby mu chociaż powiedzieć, że cieszy się na wspólny lunch lub kolację i w ogóle. Może się wstydziła, może nie pozwalał jej na to nadmiar zajęć. Sen nie przyniósł Jackowi spodziewanej ulgi. Na pierwszy sygnał telefonu za szybko usiadł i gwiazdy stanęły mu przed oczami. Widział je jeszcze podczas mycia zębów.

Doszedł do wniosku, że wyłamanie McSwineyowi barku ze stawu stanowiłoby adekwatne zadośćuczynienie. Biorąc pod uwagę fakt, że pisarzyna zdzielił go lewym sierpowym, był prawdopodobnie praworęczny. Jeśli tak, prawy bark wydawał się jak znalazł.

Jack zadzwonił do gabinetu doktor Maher. Telefon i tym razem odebrała Amanda.

- Witaj, Amando, mówi Jack Burns. Dzwonię, aby potwierdzić śniadanie, lunch i kolację.

Z miejsca wyczuł, że coś nie gra, gdyż od miłej początkowo Amandy wiało lodowatym chłodem.

- Doktor Maher ma pacjenta - odpowiedziała.

- Dlaczego tak oficjalnie, Amando?

- Ani śniadania, ani lunchu, ani kolacji - zakomunikowała Amanda. - Doktor Maher nie chce pana widzieć, nie będzie nawet z panem rozmawiać. Odwołałam pana rezerwację w „Charlesie”.

- Chyba nie rozumiem - odrzekł Jack. - Mam wstrząśnienie mózgu.

- To sprawka tamtej dziewczyny? - zapytała Amanda.

- Jakiej dziewczyny?

- Mówię o Lucy, o zdjęciach i w ogóle. Nie czytacie gazet w tej Kanadzie?

Jack zobaczył fotografa tak wyraźnie, jak gdyby ten znajdował się na wyciągnięcie ręki. Zdjęcia kupił jeden z podlejszych brukowców. O sprawie wspomniano również w telewizji.

- Nie wyszedł pan najlepiej - poinformowała Amanda.

- Nie uprawiałem z nią seksu! - zaoponował.

- Naturalnie - odrzekła pielęgniarka. - Pan tylko chciał i zrobiłby to, gdyby dziewczyna nie zadzwoniła do matki.

- To nieprawda! Zadzwoniłem na policję, żeby ją zabrali! Czekałem na ich przyjazd przed domem!

- Miał pan w łóżku gołą osiemnastolatkę... chodźcie nawet do tego samego psychiatry - zauważyła Amanda. - Znał pan Lucy w dzieciństwie, pobił pan jej ojca! I dlaczego zachował pan jej majtki i te okropne zdjęcia? Na pańskim biurku leżało zdjęcie innej nastolatki! A na lodówce wisiły zdjęcia wytatuowanej kobiecej piersi!

- Wyrzuciłem je! - wrzasnął Jack.

- Gdzie? Na trawnik? - zapytała pielęgniarka.

- Proszę mnie połączyć z Michele - błagał.

- Powiedziała: „Jeśli zadzwoni, powiedz mu, że jest dla mnie zbyt dziwny”. Właśnie to kazała przekazać - uzupełniła Amanda i odłożyła słuchawkę.

Jack włączył telewizor. Po chwili udało mu się znaleźć amerykański program, choć (jak miał się wkrótce dowiedzieć od Leslie Oastler) sprawa Lucy trafiła także do mediów

kanadyjskich. Jack odkrył, że incydent stał się gwoździem programu działu rozrywkowego wiadomości.

Na wieść o znalezieniu majtek w śmietniku Jacka (obok obciążających zdjęć, które zdążyła wcześniej opisać dziennikarzom) Lucy publicznie wysnuła przypuszczenie, że Jack chciał zostawić sobie po niej pamiątkę i celowo ukrył bieliznę przed policją. Jak widać, musiał po namyśle zmienić zdanie i postanowił wyrzucić stringi wraz z pozostałym „materiałem dowodowym”. (Majtki wydawały się wprost mikroskopijne, zupełnie jakby Jack zdarł je z dziecka).

Jack musiał zobaczyć brukowiec, aby zrozumieć znaczenie słowa „obciążające” w kontekście wiadomych zdjęć. Wyszedł z hotelu i udał się prosto do księgarni. Charles Burchell był księgarzem, na pewno wiedział, gdzie jest kiosk. Oczywiście posiadał również egzemplarz brukowca.

- Dzwoniłem do hotelu, Jack, ale mówili, że śpisz.

Sprzedawczynie w księgarni unikały wzroku Jacka; widziały zdjęcia i przeczytały oszczerczy artykuł.

Na okładce widniało zdjęcie nagiej Lucy, uwieszanej na szyi Jacka na podobieństwo pornograficznego ornamentu. Para policjantów sprawiała wrażenie, jakby szarpała się z nimi obojgiem. Fotografie wewnątrz gazety, zwłaszcza te odzyskane ze śmieci, okazały się nie mniej dosadne. Różowe stringi były nie tylko wyjątkowo małe, ale i wciąż mokre. Twarz nagiej Emmy została zamazana: Jack uznał, że nikt jej nie pozna, nawet jeśli pamiętają z tamtego okresu. Poza tym kto prócz Jacka oglądał ją wówczas bez ubrania? (Zapomniał, że pani Oastler widziała zdjęcie).

W wypadku zdjęć matki gazeta ograniczyła się do jednego, sutki zasłonięto dwoma czarnymi ukośnikami. Fotografia Emmy ucierpiała w śmietniku do tego stopnia, że brodawki były prawie niewidoczne: brukowiec nie zadał sobie trudu ich zamazania, choć starczyło mu przyzwoitości, by obciąć portret powyżej pasa.

W artykule wspomniano o doktor Garcii. Jack był pewien, że terapeutka odmówiła wszelkich komentarzy. Lecz jedna z byłych pacjentek, której nazwiska nie ujawniono i która opisywała metody pani doktor jako „delikatnie mówiąc, nie-ortodoksyjne”, wspomniała, iż doktor Garcia stanowczo odradzała swym pacjentom zawieranie znajomości w poczekalni u psychiatry. Jack doskonale wiedział, że doktor Garcia ani na chwilę nie uwierzyła w jego „znajomość” z Lucy, jednakże tego rodzaju gazety opierają się zwykle na pomówieniach, a nigdy na rzetelnych przesłankach. Nawet tytuł artykułu był rozmyślnie mylący, choć stanowił istny majstersztyk grafomaństwa.

JACK BURNS ZAPRZECZA SZTUCZKOM, ALE CO CHOWA W CYLINDRZE?

Jack nie popełnił żadnego wykroczenia, lecz wszystko przemawiało przeciwko niemu. Było to doprawdy DZIWNE, jak powiedziałyby Michele.

Charles Burchell był w porządku, szczerze wyraził swoje ubolewanie. Po powrocie do hotelu Jack ponownie odczuwał dotkliwy ból w czaszce. Wziął kilka tabletek tylenolu, a może to był advil, nie pamiętał.

Wykręcił swój numer w Los Angeles i odsłuchał wiadomości z automatycznej sekretarki, co sprawiło mu niemały ubaw. Wyrazy współczucia od Richarda Gladsteina, Boba Bookmana i Alana Hergotta; Dziki Bill Vanvleck zadzwonił aż z Amsterdamu. (Jak się później okazało, jego dziewczyna pierwsza zrelacjonowała skandal w holenderskiej telewizji). Ktoś z kręgu Świętej Hildy powiadomił Leslie Oastler, która dostała szału. „Nie wierzę, że do tej pory trzymałeś te zdjęcia. Ty ośle!”

- Dziwię się, że do mnie nie zadzwoniłeś - zabrzmiał głos doktor Garcii. -Ufam, że zmieniłeś zdanie na temat wizyty w Bostonie, a może Michele je zmieniła. Odradzałabym też jakiegokolwiek próby kontaktowania się z Lucy, Jack. Musimy ograniczyć twój pobyt w poczekalni. Jeszcze napatoczysz się na jej matkę.

Jack zastanawiał się, jakim cudem brukowiec przeoczył ów drobny szczegół, a mianowicie że matka Lucy też należała do grona pacjentek doktor Garcii. (Przecież rozumiało się samo przez się, że musi być czyjąś pacjentką).

Kiedyś w poczekalni jedna z młodych matek tłumaczyła Jackowi, że doktor Garcia stanowi ewenement wśród psychiatrów. Człowiek nie musiał się umawiać.

Najwyraźniej owa młoda matka odczuwała potrzebę odwiedzania terapeutki pod wpływem chwili. Wiele młodych matek z poczekalni doktor Garcii twierdziło, że obecność innych młodych matek działa na nie nadzwyczaj kojąco. Wszystko odbywało się na zasadzie wolnej amerykanki, żaden z terapeutów w Nowym Jorku czy Wiedniu nie pozwoliłby sobie na podobną dowolność. (Żaden z ich pacjentów również). Jednakże, zdaniem Jacka, dowolność stanowiła jeden z zasadniczych walorów mieszkania w Santa Monica.

Dał swoje bilety samolotowe recepcjonistce i poprosił, aby zmieniła rezerwację.

- Chciałbym dostać się jutro do Los Angeles. Możliwie jak najkrótszą drogą-powiedział.
-I żadnych postojów w Bostonie, jeśli łaska.

Następnie poszedł do restauracji, gdzie czekał nań zamówiony stół. Cały dzień nic nie jadł i umierał z głodu.

Usiadł sam przy małym stole i poprosił o przystawkę. W zatłoczonym lokalu panował nieopisany harmider. Być może zwrócił na to szczególną uwagę z powodu wstrząśnienia mózgu oraz braku towarzystwa. Siedział twarzą do okna, zwrócony plecami do sali. Przyniósł ze sobą książkę poleconą przez Charlesa, ale gdy spróbował czytać, znów rozbolała go głowa, a hałas w restauracji jakby przybrał na sile. Największy panował przy sąsiednim stoliku: Jack nie widział siedzących tam osób, one zaś mogły oglądać tylko jego plecy.

Wśród rozgadanych biesiadników prym wiódł jeden szczególnie donośny głos. Opowiadał ze swadą o rozróbie w barze, która, jego zdaniem, była uczciwą walką.

- Pieprzeni zapaśnicy! - wrzasnął w pewnej chwili. - Jeden cios i wymiękają. -Treść rozmowy siłą rzeczy zwróciła uwagę Jacka. - Jack Burns padł jak długi -obwieścił mężczyzna.

Jako osoba pochłonięta relacjonowaniem historii swego życia w porządku chronologicznym Jack odkrył, że to, co ludzie pochopnie określają mianem „przypadku”, niekoniecznie na nie zasługuje. Można by na przykład zaliczyć kolację w tej samej restauracji co Doug McSwiney (dzień po tym, jak tłusty, włochaty pisarz znokautował go zdradzieckim ciosem w skroń) na poczet zbiegów okoliczności. Halifax to nieduże miasto, a „Press Gang” cieszyła się w okolicy sporą popularnością.

Jack spojrzął przez ramię, ale zobaczył tylko rozłożyste plecy McSwineya. Wnioskując na podstawie miny jednego ze znajomych pisarza, Jack zrozumiał, że nikt z towarzystwa nie był dotąd świadom jego obecności. Jednym słowem, McSwiney nie snuł anegdoty na użytek Jacka. Znajomi dali mu do zrozumienia, w czym rzecz, ale drań nie zamierzał przerywać w pół słowa.

- Chuchrak dalej leżał jak kłoda - perorował.

Jack stanął tuż za krzesłem McSwineya. Przy stoliku siedziały trzy pary; Jack nie wiedział, która z kobiet przyszła z pisarzem. Dwaj mężczyźni rzucili na Jacka uśmieški z pogranicza drwiny, lecz twarze ich towarzyszek nie wyrażały żadnych uczuć.

- Chciałbym pana przeprosić - powiedział Jack. - Uwagi na temat scenariusza nie były przeznaczone dla pańskich uszu. W bezpośredniej rozmowie nigdy nie użyłbym równie dosadnych określeń. Cornelia pokazała panu list, ponieważ nie mogła go sama przeczytać.

Napisany odręcznie tekst po angielsku sprawia jej dużo trudności. Rozumie pan, to był przypadek. Nigdy celowo nie zraniłbym pańskich uczuć.

Na twarzach mężczyzn odmalowało się nieskrywane szyderstwo, ale kobiety były mądrzejsze. Kobiety zawsze czytały w Jacku Burnsie jak w książce.

Jack wcale nie przeproszał: po prostu zastosował zalecaną przez panią Wicksteed metodę dwukrotnej uprzejmości. (Podjęta w barze próba uściśnięcia ręki scenarzysty kwalifikowała się jako pierwszy raz). Oczywiście wiedział, że McSwiney jest zbyt pijany i zacierzwiony, aby to pojąć. Pisarz podjął swą opowieść jak gdyby nigdy nic.

- Francuzeczka wezwała boja i razem załadowali Jacka Burnsa na wózek bagażowy, a potem zawieźli go do pokoju niczym niemowlę w wózku! - oznajmił.

Dwaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem, lecz kobiety w napięciu śledziły sytuację.

Kiedy Jack położył McSwineyowi rękę na karku i delikatnie pchnął nastroszoną głowę w kierunku talerza, zrozumiał, że tłuścioch jest od niego silniejszy. Jack podejrzewał, że tamten złoży obie ręce na stole i spróbuje wstać. Nie oczekiwał, że McSwiney podeprze się tylko jedną ręką, chciał, aby pisarz oburącz chwycił się stołu, gdyż dzięki temu łatwiej byłoby założyć mu nelsona, nim zdąży dźwignąć się z krzesła.

Pomagając sobie drugą dłonią, wepchnął pisarzowi twarz do paelli aż po uszy. Poczul na nadgarstkach ciepło potrawy. Z talerza sfrunęła zbłąkana krewetka, oblepiona ryżem o barwie szafranu. W jej ślady podążył plaster kielbasy. McSwiney wił się w talerzu, próbując zaczerpnąć tchu.

W zapasach istnieje kilka powodów, dla których zabrania się stosowania pełnego nelsona. Owszem, można w ten sposób złamać komuś kark, ale (z zapaśniczego punktu widzenia) nie jest to jedyny problem. W tej pozycji prawie niemożliwością jest przygwoździć przeciwnika do maty, chyba że tymczasem wyzionie ducha. Z tego chwytu trudno się też oswobodzić: pełny nelson jest nie tylko niebezpieczny, ale powoduje impas w walce.

McSwiney nie miał jak ruszyć się z miejsca. Jack niezmordowanie wtłaczał mu twarz w paellę. Czoło włochatego pisarza przywarło do dna talerza: sądząc po odgłosach, mężczyzna musiał wciągnąć do nosa parę ziarenek ryżu. Koledzy McSwineya przestali się uśmiechać, Jack nie spuszczał z nich wzroku. Gdyby któryś z nich poderwał się z miejsca, Jack zmieniłby nelsona na kurze skrzydło, za pomocą którego przeciągnąłby prawy łokieć McSwineya za prawe ucho, prawdopodobnie łamiąc mu obojczyk, a na pewno wybijając bark. Wówczas zajęłby się jednym z jego towarzyszy, najpierw biorąc na cel postawniejszego.

Jednakże widział, że mężczyźni nie kwapią się do bójki i tylko nieruchomo tkwią na swoich miejscach. McSwiney był większy niż oni obaj razem wzięci, a jednak nie radził sobie najlepiej. Kobiety wykazywały większy niepokój niż ich towarzysze. Wymieniły spojrzenia i, zamiast śledzić los przyjaciela z nosem w paelli, nie odrywały wzroku od twarzy Jacka.

McSwiney wydawał odgłosy, jakby nadal jadł, choć nabrały one nieco nosowych tonów. Gdyby zaczął się dusić, Jack zrzuciłby go z krzesła i założył pętlę w okolicach brzucha, co nieuchronnie prowadzi do torsji. Ale to nie było konieczne, pisarz oddychał normalnie, choć dość hałaśliwie. Człowiek otyły nie oddycha swobodnie z brodą przyciśniętą do piersi, nawet bez dodatkowego utrudnienia w postaci paelli.

- Pisarze! - rzucił Jack, bardziej pod adresem znajomych McSwineya niż samego scenarzysty. - Muszą pytlować nawet podczas jedzenia.

Jedna z kobiet uśmiechnęła się, co mogło, choć nie musiało dyskwalifikować jej jako towarzyszki McSwineya.

Jack oparł brodę na czubku głowy pisarza, aby ten dobrze go słyszał.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Co, twoim zdaniem, spotkałoby transwestytę w 1917 roku w mieście pełnym marynarzy? Zginałby z rąk jednego z nich, i to na długo przed wybuchem. Twoja opowieść jest nie tylko sprośna i banalna, lecz również niewiarygodna.

Czuł, że McSwiney próbuje coś wydusić, lecz ani myślał oderwać jego twarzy od talerza. Kobieta, która się uśmiechnęła, zabrała głos za pisarza.

- Myślę, że Dougie chciałby w imieniu nas wszystkich zapytać o Lucy - powiedziała.

Jack odgadł, że ma jednak do czynienia z towarzyszką, jeśli nie żoną McSwineya. Była mniej więcej w jego wieku, czyli miała około pięćdziesięciu lat.

- No cóż, Lucy jest młodsza niż którakolwiek z obecnych tu osób, lepsze cycki i w ogóle - rzucił oględnie Jack w stylu Billy'ego Rainbowa.

Zebrani przestali się uśmiechać.

- Proszę nie robić mu krzywdy - powiedziała kobieta.

- Czekałem na te słowa - oznajmił Jack. Rozluźnił nelsona. - Mam nadzieję, że teraz wiesz, że jednak mógłbym zrobić ci krzywdę - zwrócił się do McSwineya, który usiłował skinąć głową.

Jack puścił mężczyznę i odsunął się od stołu. Podświadomie oczekiwał, że tamten zerwie się na równe nogi i spróbuje wziąć odwet. Ale pisarz sprawiał raczej wrażenie pokonanego niż bojowego.

Kobieta, która odezwała się do Jacka, zwilżyła serwetkę w szklance z wodą i zajęła się McSwineyem. Usunęła ryż z jego włosów i brody, znajdując przy okazji krewetkę lub dwie oraz kawałek kiełbasy i strzęp kurczaka. Oczyszczyła go najlepiej, jak umiała, lecz nie mogła nic poradzić na szafran: broda i czoło pisarza przybrały odcień dyniowego oranżu.

Kelner będący świadkiem zajścia nie spuszczał wzroku z Jacka, który wrócił do swego stolika i usiadł plecami do okna. Na wszelki wypadek wolał mieć McSwineya na oku. Kobieta, z którą rozmawiał, rzucała mu co pewien czas nie-odgadnione spojrzenia.

Jack przywołał kelnera.

- Jeśli zostaną, proszę podać panu McSwineyowi drugą paellę. Na mój koszt.

- Nie zostaną - oznajmił kelner. - Pan McSwiney ma bóle w klatce piersiowej, dlatego muszą wyjść.

Trzeba by mieć niebywałego pecha, aby niechący przyczynić się do śmierci tłustego pijaczyny, będącym na dodatek pupilkiem kanadyjskiego światka wydawniczego. Sekcja mogłaby wykazać zawartość ryżu w płucach. Zamordowany żarciem, paella narzędziem zbrodni! W całym kraju zadęto by w trąby pochwalne na cześć uciszonego przemocą głosu, dudniącego nad panoramą Kanady niczym werbel. Najgorsze ze wszystkiego byłyby zaś obszerne cytaty z jego prozy, gargantuiczne opisy skał, drzew i mew z „Pieśni kaczyc piór”.

- Czy doświadczał tego już wcześniej? - spytał zatroskanego kelnera Jack.

- Ach, wielokrotnie - odparł kelner. - Cierpi na straszliwą zgagę.

Jack zamówił piwo, pierwsze od czasów heinekena na bankiecie po ceremonii wręczania Oscarów. Zauważył, że zbitek zawartości talerza McSwineya wylądował na jego spodniach, przedtem zaaferowany nie zwrócił nań uwagi. Była to krewetka z ryżem sklejonym sosem: Jack starł ją serwetką, ale (podobnie jak McSwiney) nie mógł nic poradzić na szafran.

Widok zatroskanej twarzy kelnera nieodparcie nasuwał mu myśl o sercu McSwineya. Miał szczerą nadzieję, że to istotnie tylko zgaga. McSwiney był skończonym durniem, ale nie zasłużył na przedwczesną śmierć. Jack oszczędził drania: dopiero by było, gdyby wyszło na jaw, że niechący wysłał go na tamten świat!

Na dodatek przebywali w Halifaksie. Jack będzie błagał doktor Gardę, aby pozwoliła mu choć trochę uchylić rąbka tajemnicy na temat owych wydarzeń. (Ostatecznie upłynie rok lub więcej, nim dojdzie do nich w porządku chronologicznym.) Świadoma jego poruszenia (i pomna rozmowy z Lucy oraz jej matką) terapeutka ustąpiła. Przynajmniej w kwestii Douga McSwineya.

Jack miał szczęście, jak sam powiedział doktor Garcii, że bóle pisarza nie okazały się brzemiennie w skutkach. Pani Oastler znalazła w prasie wzmiankę na temat „pijackiej awantury” w restauracji „Press Gang” w Halifaksie, incydentu z udziałem „dwóch

zwaśnionych pisarzy, którzy pobili się wcześniej w hotelowym barze”. Wiedząc, że Jack unika alkoholu, Leslie zdumiała się na wieść, że gdy przyjaciele rzucili się na pomoc McSwineyowi, on spokojnie sączył piwo.

- Jack - powiedziała doktor Garcia - wygląda na to, że musisz zatrudnić ochroniarza.
- Nie potrzebuję ochroniarza - oznajmił. - Muszę tylko uważać na lewy sierpowy.
- Potrzebujesz ochroniarza, żeby nie zrobić nikomu krzywdy.
- No tak.
- Dobrze, zostawmy to. Mamy inne sprawy na głowie - oznajmiła terapeutka.
- Co powinienem zrobić? - spytał szczerze Jack.
- Lepiej znajdź dla siebie jakiś film - poradziła mu doktor Garcia. - Powinieneś wziąć urlop od bycia Jackiem Burnsem, nie uważasz?

35 • DO ZAPOMNIENIA

W następnym roku Jack zagrał w trzech filmach, a potem jeszcze w dwóch. Bez względu na kulawą matematykę nawet on umiał policzyć, że w ciągu dwóch lat wystąpił w pięciu filmach. Był to prawdziwy urlop od bycia Jackiem Burnsem.

Przez dwa lata nie miał wiadomości od Michele Maher, która nie odpisała na list z wyjaśnieniami. Doktor Garcia przekonywała, że etap zwany Michele Maher minął bezpowrotnie, a przynajmniej minąć powinien. To dobrze, że Michele nie odpisuje, uznała terapeutka.

Podczas wspomnianych dwóch lat Jack zarobił dużo pieniędzy, a wydał niewiele. Jego jedynym szaleństwem było nowe audi, oczywiście srebrne. Nie mógł się zmusić do sprzedania domu przy Entrada Drive i zakupienia czegoś odpowiedniejszego. Działo się tak dlatego, że w gruncie rzeczy pragnął opuścić LA, chociaż żadne inne miasto nie wchodziło w grę, on zaś kurczowo trzymał się teorii o byciu autsajderem. Poza tym dopóki jego życie wciąż znajdowało się na etapie powstawania, jakakolwiek rozłąka z doktor Garcia była absolutnie nie do pomyślenia. W życiu nie stworzył związku równie bliskiego małżeństwa jak ten. Widywał ją dwa razy w tygodniu. Relacjonowanie życia w porządku chronologicznym na użytek doktor Garcii stało się dla Jacka czynnością bardziej regularną i stawiającą go na nogi lepiej niż seks.

Co do seksu, w ciągu ostatnich dwóch lat (od chwili kiedy zarliwie wymigał się od spółkowania z Lucy) pocieszał krótko Lucię Delvecchio, znajdującą się w trakcie przykrego rozwodu. Rozwód Lucii przedłużał się w nieskończoność: była to jedna z wiecznych bitew z udziałem dzieci, kart kredytowych, letnich domków, samochodów i psów, a ponieważ jej mąż uważał Jacka za główną przyczynę rozpadu małżeństwa, obecność Jacka w pozamałżeńskim życiu Lucii stanowiło dla niej źródło krótkotrwałej otuchy.

Przypisywano mu romanse z trzema koleżankami po fachu (z trzech spośród pięciu filmów), przy czym w dwóch wypadkach były to informacje wyssane z palca. Jediną aktorką, z którą istotnie sypiał, była Margaret Becker, samotna matka po czterdziestce. Miała dwunastoletniego syna imieniem Julian oraz dom nad oceanem w Malibu. Margaret i Julian byli uroczy, lecz nadwrażliwi. Z uwagi na brak ojca chłopiec posiadał nierealne oczekiwania wobec wszystkich kochanków matki, którzy opuszczali ją jeden po drugim.

Nauczony smutnym doświadczeniem, w wypadku Jacka obniżył poprzeczkę i z niepokojem wypatrywał zwiastunów rychłego kresu idylli. Jack polubił Juliana (uważał, że obecność dziecka w życiu jest fantastyczna), jednakże chłopiec był wiecznie głodny uczuć. Jego matka zaś łaknęła ich jak powietrza.

Kiedy Jack musiał wyjechać, wypychała mu walizkę swoimi zdjęciami (zrobionymi specjalnie na tę okazję), na których wyglądała na zdętą bezbrzeżnym strachem, że do niej nie wróci. Jack często budził się w nocy pod jej świdrującym spojrzeniem: wpatrywała się weń, gdy spał, tak jakby chciała prześwietlić mu umysł i siłą sugestii zmusić do pozostania.

Smutne oczy Juliana śledziły Jacka niczym pełne wyrzutu oczy zaniedbanego psa.

- Wiem, że mnie zostawisz, Jack - powtarzała przynajmniej raz dziennie Margaret. - Tylko proszę, nie rób tego, kiedy będę zbyt bezbronna, by to znieść, albo gdy odbędzie się to ze szkodą dla biednego Juliana.

Jack spędził przy niej sześć miesięcy, które wlokły się niczym sześć lat. Opuszczenie Juliana zabolalo go bardziej niż opuszczenie Margaret. Chłopiec patrzył za nim, jakby miał przed oczyma wyrodnego ojca.

„Dorośli zonglują uczuciami dzieci” - powiedział kiedyś Jack do doktor Garcii, która zarzuciła mu, że przedstawia jej tylko zarys swoich relacji z ludźmi. A może po prostu były one z gruntu powierzchowne?

Gdy po kilku miesiącach leżał w łóżku przy Entrada Drive, zasłuchany w szum oceanu (zwykle słyszał głównie szum autostrady), wróciło wspomnienie domu w Malibu, gdzie również słyszał szum fal, czekając w sypialni Margaret na poranną wizytę Juliana. Szczerze za obojgiem tęsknił, lecz stracili go niemalże w chwili, gdy po raz pierwszy wkroczył w ich życie. Doktor García uznała, że byli jeszcze bardziej „złaknieni uczuć” niż Jack.

- Wcale nie jestem spragniony uczuć! - zaproponował z urazą Jack.

- Hm - odrzekła doktor García - nie przyszło ci do głowy, że najbardziej na świecie pragniesz prawdziwego związku i normalnego życia, a tak naprawdę nie znasz nikogo, kto byłby prawdziwy i normalny?

- Owszem, brałem to pod uwagę - odpowiedział.

- Przychodzisz do mnie od pięciu lat, lecz ani razu nie wyraziłeś opinii na temat polityki - ciągnęła terapeutka. - Jakie masz poglądy, Jack?

- Jestem raczej liberałem niż konserwatystą - odparł.

- Uważasz się za demokratę?

- Nie głosuję - przyznał. - Nigdy nie głosowałem.

- Proszę, mamy jakąś deklarację! - zawołała doktor García.

- Może dlatego, że urodziłem się jako Kanadyjczyk, a potem stałem się Amerykaninem. Choć tak naprawdę nie jestem żadnym z nich - podsumował.

- Hm.

- Lubię swoją pracę - oznajmił.

- Czy ty w ogóle jeździsz na wakacje? - zapytała. - Twoja ostatnia wzmianka o wakacjach dotyczyła czasów szkolnych.

- Mam wakacje w przerwach pomiędzy jednym filmem a drugim - odpowiedział.

- Chyba niezupełnie - zauważyła doktor García. - Przecież bez przerwy czytasz scenariusze, prawda? Analiza roli to proces czasochłonny, nawet jeśli w końcu ją odrzucasz. Skoro zostałeś nagrodzony za scenariusz, czy nie myślisz aby o kolejnej adaptacji? Albo napisaniu czegoś od siebie?

Jack milczał. Odnosił wrażenie, że zawsze pracuje, nawet kiedy nie pracował.

- Chodzisz na siłownię, pilnujesz diety, nie pijesz - wyliczała doktor García. - Ale co robisz w chwilach relaksu? Czy może nigdy się nie relaksujesz?

- Uprawiam seks - odparł.

- Seks w twoim wydaniu to żaden relaks - zawyrokowała.

- Spotykam się z przyjaciółmi.

- Jakimi przyjaciółmi? Emma nie żyje, Jack.

- Mam innych przyjaciół! - zaproponował.

- Nie masz żadnych przyjaciół - oświadczyła. - Zawierasz znajomości na płaszczyźnie czysto zawodowej, z niektórymi ludźmi łączą cię jedynie nieco bliższe stosunki. Ale kim są twoi przyjaciele?

Jack w przypiływie desperacji wspomniął o Hermanie Castro, exeteriańczyku wagi ciężkiej, obecnie lekarzu w El Paso. Herman zawsze zaczynał świąteczne listy od „Hej, amigo”.

- Określenie amigo nie czyni go twoim przyjacielem - oświadczyła doktor García. - Pamiętasz imię jego żony albo imiona dzieci? Czy kiedykolwiek odwiedziłeś go w El Paso?

- Przygnębia mnie pani - rzekł Jack.

- Proszę pacjentów, aby opowiadali mi o najbardziej emocjonujących chwilach swojego życia, o wzlotach i upadkach, Jack - powiedziała terapeutka. - W twoim wypadku oznacza to chwile, w których coś cię rozbawiło, rozzłościło albo skłoniło do płaczu.

- Robię to, o co pani prosi, prawda?

- Jednakże celem owej czynności jest ujawnienie prawdy o sobie, Jack. Tak się zwykle dzieje, tak powinno się dziać - podkreśliła. - Niestety, jeśli chodzi o ciebie, pomimo całej twojej drobiazgowości i starań, mam wrażenie, że w ogóle cię nie znam. Wiem, co ci się przydarzyło. I to ad nauseam! Lecz nie ujawniłeś prawdy o sobie, Jack. Nadal nie wiem, kim jesteś. Powiedz mi, proszę, kim jesteś, Jack.

- Według mojej matki - zaczął cichym głosem, w którym oboje rozpoznali głos małego Jacka - byłem aktorem, zanim tak naprawdę nim zostałem, lecz moim najżywszym wspomnieniem z dzieciństwa są chwile, gdy czułem się zmuszony ująć ją za rękę. Wtedy nie grałem.

- Lepiej znajdź sposób, aby jej wybaczyć - powiedziała łagodnie doktor García. - Weź przykład ze swego ojca. To tylko moje domysły, być może jednak przebaczenie pozwoliło mu ułożyć sobie życie na nowo. Masz trzydzieści osiem lat, Jack. Jesteś bogaty, sławny, ale nie masz swojego życia.

- Ojciec nie powinien był układać sobie życia beze mnie! - krzyknął Jack. - Nie powinien był mnie zostawić!

- Jemu też powinieneś wybaczyć, Jack. - Doktor García westchnęła. (Jack nie znosił, kiedy wdychała). - No i znowu płaczesz - zauważyła. - To ci nic nie da. Musisz przestać płakać.

Doktor García potrafiła być prawdziwą suką! To dlatego nie wspomniał jej o liście Michele Maher. Poszedł na krajowy zjazd dermatologów bez uprzedniej konsultacji z terapeutką, gdyż przewidywał, że ta zrobi, co w jej mocy, aby wybić mu to z głowy. Bał się tego, co mógłby usłyszeć, tym bardziej że doktor García miała zawsze rację.

Co do Michele, zachowała się tak, jakby nie było między nimi żadnej urazy, a owe dwadzieścia lat minęło szybciej aniżeli szkolne wakacje. Napisała Jackowi, że przyjeżdża do Los Angeles i bardzo chciałaby się z nim spotkać.

Zaznaczyła, że nie uczestniczy w zjazdach co roku, a jedynie wówczas, kiedy odbywają się na północnym wschodzie. Jednakże nigdy nie była w LA. („Masz pojęcie?”, napisała). A ponieważ tegoroczny zjazd dawał jej możliwość spotkania z Jackiem... cóż, krótko mówiąc, dała mu do zrozumienia, iż jest jedynym powodem, dla którego postanowiła spędzić długi weekend w Hollywood z bandą lekarzy od skóry.

Dermatolodzy wybrali jeden z irytujących hoteli sieci Universal City. Wyrastający ponad budynkami przypominającymi schrony przeciwlotnicze „Sheraton Universal” wychodził na Hollywood Hills i znajdował się na wprost parku tematycznego wytwórni Universal. Sprawił wrażenie kurortu, gdzie uczestnicy zjazdów przybywają z całymi rodzinami.

Podczas gdy dermatolodzy debatowali o skórze, ich dzieci mogły szaleć w parku tematycznym. Jack był święcie przekonany, że w południowokaliifornijskim klimacie latorośle dermatologów pewnie kleją się od kremu z filtrem i noszą odzież ochronną. Szczerze powiedziawszy, bardzo się dziwił, że wybrali na zjazd równie słoneczny zakątek.

List Michele Maher uderzył go jako nader frywolny, tak jakby Michele cofnęła się do czasów szkolnych, odzyskując swoje nastoletnie ja. Jackowi przypomniał się ich stary dowcip. „Gdzie twój garb, Dick?”, pytała.

- W rekwizytorni, to tylko piłka - odpowiedział chyba setny raz.

- Dlaczego nie masz dziewczyny, Jack? - zapytała Michele. Rzuciła to żartem, tak przynajmniej wydawało się Jackowi.

Nie pogniewała się, kiedy wygrał w wyścigu do roli Lady Makbet. Oczywiście pamiętał też, że Michele miała ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, a do tego była smukłą blondynką o świetlistej cerze supermodelki oraz (wedle ordynarnego określenia Eda McCarthy'ego) „wystrzałowych buforach”.

- Dlaczego nie masz dziewczyny, Jack? - zapytała, kiedy mieli po siedemnaście lat.

Tylko żartowała, tak mu się przynajmniej zdawało.

Musiał jednak wymyślić zgrabną kwestię. Tylko grał.

- Ponieważ wszystko wskazuje na to, że jesteś zajęta - odparował.

- Nie miałam pojęcia, że jesteś mną zainteresowany, Jack. Nie miałam pojęcia, że jesteś zainteresowany kimkolwiek - odrzekła.

- Jak można się tobą nie interesować, Michele? - odpowiedział pytaniem, uruchamiając tym samym machinę nieszczęścia.

Przede wszystkim połączył ich teatr. Jedyną uczciwą rzeczą, jaką zrobił Jack, było powstrzymanie się od seksu z Michele, ponieważ myślał, że złapał trypra od pani Stackpole, pomywaczki, i nie chciał zarazić dziewczyny. Oczywiście doktor Garcia nie omieszkała mu wytknąć, iż owo posunięcie trudno nazwać uczciwym. Przecież nie zdradził Michele rzeczywistego powodu swej decyzji, prawda?

Sądził, rzecz jasna, że nikt wówczas by nie uwierzył w jego „romans” z pomywaczką, a już na pewno nie piękna Michele. Tym bardziej że pani Stackpole odznaczała się wyjątkową szpetotą. (Nawet na tle dużo starszych kobiet).

Dlaczegoż więc flirciarski ton listu Michele nie kazał mu mieć się na baczności? Jak bardzo musiał pragnąć zdrowej relacji, tak zwanej prawdziwej i normalnej więzi poza blichtrzem hollywoodzkich salonów, że nie zwrócił uwagi na oczywiste intencje nadawcy? Z Michele nigdy go nic nie łączyło; ba, nie byli nawet bliscy stworzenia jakiegokolwiek związku. Gdyby się z nią przespał (nie częstując jej przy tym tryprem, którego nie złapał od pani Stackpole), jak szybko doszłoby do zerwania? Kiedy Michele wyjechałaby na Uniwersytet Columbia w Nowym Jorku, a Jack na Uniwersytet New Hampshire? Możliwe. Kiedy poznałby Claudię? Bez dwóch zdań!

Krótko mówiąc, Michele Maher zawsze była dla Jacka iluzją. Idea ich bycia razem wyszła raczej od pozostałych exeteriańczyków aniżeli od samych zainteresowanych. Byli najpiękniejszą dziewczyną i najprzystojniejszym chłopakiem w szkole. I zapewne niczym więcej.

Przez cały dzień mam spotkania, a wieczorami wykłady - napisała Michele. - Ale mogę opuścić wykład lub dwa. Daj tylko znać, który wieczór lub wieczory masz wolne. Marzę o tym, aby zobaczyć, gdzie bywasz. To miasto należy do Ciebie, Jack!

Lecz Hollywood nie było tego rodzaju miastem. Przypominało raczej wieczną, rozmiętą nagrodę i przeważnie uciekało ludziom sprzed nosa. Owszem, należało do ciebie przez jedną jedyną noc - kiedy zdobywałeś Oscara. Ale wtedy przychodziła kolejna noc (a po niej następna). I Hollywood przestawało być twoje, chyba że lub dopóki nie zdobyłeś kolejnego Oscara, a potem jeszcze jednego.

Hollywood należało kiedyś do wytwórni, lecz owe czasy minęły bezpowrotnie. Istnieli agenci, którzy zachowywali się, jakby było ich własnością oraz aktorzy i aktorki przekonani, że tak jest, ale srodze się mylili. Prawdziwi jego właściciele mieli na koncie więcej niż jednego Oscara; zdobywali jednego za drugim, jednakże Jack Burns nigdy nie miał dołączyć do ich grona. Lecz w oczach Michele Maher był gwiazdorem filmowym. Uważała, że tylko to się liczy.

Według doktor Garcii, związkiem najbliższym „prawdzie” i „normalności” był związek z Claudią. Tutaj przynajmniej była mowa o związku, zanim ich drogi ostatecznie się rozeszły. Michele Maher była wszelako dla Jacka bardziej niebezpieczna i głębiej zapadła mu w pamięć, ponieważ istniała dlań jedynie jako partnerka potencjalna. „To najgorszy typ, prawda?” - zapytała doktor Garcia. (Oczywiście miała również na myśli jego wyobrażenia o ojcu).

Pomny tych ostrzeżeń Jack pojechał do Universal City na spotkanie z Michele Maher, doktor Maher, trzydziestoosmioletnią niezamężną panią dermatolog. Co on sobie wyobrażał? Już po drodze ogarnęły go obawy, że lepiej by się bawił w towarzystwie transwestyty

dotkniętego amnezją. W takim właśnie stanie ducha wkroczył do recepcji, gdzie roilo się od rozbrykanych dzieci, powracających z eskapady po parku rozrywki. Michele zapowiedziała, że spotkają się w barze, gdzie zastał ją pijącą margaritę w towarzystwie trzech lub czterech kolegów po fachu. Wszyscy byli mocno wstawieni, ale Jack zobaczył z ulgą, że Michele jakoś zdołała wstać. Uczyniła to jedyna z całego towarzystwa.

Chyba zapomniała o niskim wzroście Jacka, ponieważ miała na nogach buty na bardzo wysokich obcasach (przy wzroście metr siedemdziesiąt górowała nad nim nawet na bosaka).

- Widzicie? - zwróciła się do pozostałych lekarzy. - Czyż gwiazdy ekranu nie są zawsze niższe, niż sobie wyobrażamy? - (Jackowi przyszła do głowy niemiła myśl, że Penis McCarthy nie omieszkałby zauważyć, iż Burns sięga Michele do wystrzałowych buforów).

Zabrał Michele na kolację do Jonesa, popularnego lokalu hollywoodzkiego. Nie było to jego ulubione miejsce z uwagi na tłok, ale nie chciał sprawić zawodu Michele. (Jedzenie było wprawdzie nieciekawe, klientela jednak jak zwykle dopisała: modelki, gwiazdki, mnóstwo silikonowych cycków, sterczących nad pizzą i makaronem).

Jack oczywiście zobaczył Lawrence'a: obaj odruchowo pokazali sobie środkowe palce. Zrobiło to ogromne wrażenie na Michele, która ledwo trzymała się na nogach.

- Przez cały dzień nic nie jadłam - wyznała. - Mogłam sobie darować drugą margaritę.

- Zjedz makaron - poradził Jack. - Od razu zrobi ci się lepiej.

Ona jednak wychyliła kieliszek białego wina, zanim Jack zdążył wycisnąć cytrynę do mrożonej herbaty.

Rozglądał się za Lawrence'em, który pewnie chciał mu odpłacić za butelkę taittingera, którą Jack wylał na niego w Cannes.

- Boszszsz - mówiła Michele, posługując się mieszanką akcentu nowojorskiego i bostońskiego w najgorszym wydaniu. - Co za czadowe miejsce.

Niestety, o niej nie można było tego samego powiedzieć. Świetlista dawniej cera wyglądała na suchą i podrażnioną, tak jakby Michele dopiero wyszła z wanny i trochę za długo postąpiła na mrozie. Złociste włosy były matowe i przyklepane. Michele robiła wrażenie chorobliwie wychudzonej, co upodabniało ją do kobiet przesadzających z dietą lub ćwiczeniami (bądź też jednym i drugim). Nie nadużyła alkoholu, jednakże piła na pusty żołądek (należała do osób, które wyglądały, jakby ich żołądek przeważnie był pusty) i nawet niewielka ilość trunku mogła zwalić ją z nóg.

Miała na sobie opływowy szary kostium ze spodniami, spod marynarki wyglądała srebrna bluzka na ramiączkach. Były to ciuchy nowojorskie; Jack wiedział na pewno, że nie kupiłaby ich w Cambridge czy Bostonie. Takie buty też sprzedawano raczej tylko w Nowym Jorku. Mimo to wyglądała jak lekarz. Trzymała się przesadnie prosto, niby ktoś z urazem kręgosłupa, albo osoba, która przyszła na świat w wykrochmalonym fartuchu.

- Nie wiem, jak ty to robisz - mówiła. - To znaczy, tyle nienaturalnych rzeczy przychodzi ci tak naturalnie. Weźmy tę podrabianą narciarkę. Albo martwą gwiazdę rocka. Szofera, który jest mężem dziwki.

- Znam masę szoferów - oznajmił.

- A ilu znasz weterynarzy homofobów, Jack? - zapytała. (Widziała nawet ten niefortunny film).

- Chcesz powiedzieć, że jestem dziwny.

- Ale do twarzy ci z tym. Przychodzi ci to naturalnie - odrzekła Michele.

Jack milczał. Michele łowiła coś, co wpadło jej do na wpół opróżnionego drugiego kieliszka białego wina. Był to pierścionek, który zsunął jej się z palca.

- Strasznie schudłam przed tą randką - powiedziała. - Przez miesiąc zmniejszyłam się o dwa rozmiary. Przesuwam pierścionki na grubsze palce.

Jack wyjął łyżką pierścioneł, który spadł ze środkowego palca prawej ręki Michele. Środkowy palec lewej ręki jest jeszcze cieńszy, wyjaśniła Michele, lecz pierścioneł nie pasował nawet na żaden z palców wskazujących.

Była to dość staroświecka ozdoba jak na kobietę w wieku Michele, spory szafir w otoczeniu brylantów.

- Ma dla ciebie wartość sentymentalną? - spytał Jack.

Michel Maher przewróciła kieliszek i wybuchnęła płaczem. Wbrew radom Jacka zamiast makaronu zamówiła pizzę. Pizzę „U Jonesa” wypiekano na dość cienkim cieście; nie miała szans wchłonąć wypitego przez Michele alkoholu, nawet gdyby tają zjadła.

Pierścioneł należał do jej matki, stąd te łyzy. Pani Maher zmarła na raka skóry, kiedy Michele była jeszcze w szkole medycznej: Dziewczyna od razu nabawiła się własnej choroby skórnej, a mianowicie egzemy będącej wynikiem stresu. Specjalizacja z dermatologii wynikała zatem z pobudek osobistych.

Pan Maher ożenił się powtórnie, i to ze znacznie młodszą kobietą.

- Pazerna suka jest w moim wieku - poinformowała Michele. Zamówiła trzeci kieliszek wina. Dotąd nie tknęła pizzy.

- Pamiętasz mieszkanie moich rodziców w Nowym Jorku, prawda? - zapytała. Położyła pierścioneł zmarłej matki na brzegu talerza, gdzie wyglądał, jakby się szykował do skoku na pizzę. (Wydawał się bardziej zainteresowany zawartością talerza niż sama Michele).

- Naturalnie - odparł Jack. Jak mógł zapomnieć apartament przy Park Avenue? Piękne pokoje, pięknych rodziców, pięknego psa! Oraz Picassa zawieszzonego na wysokości sedesu w łazience dla gości, gdzie on o mało nie ośmielił się nań nasikać.

- Miałam je odziedziczyć - obwieściła Michele. - Pazerna suka sprzątnęła mi je sprzed nosa.

- No tak.

- Dlaczego się ze mną nie przespałeś, Jack? - spytała. - Jak mogłeś zaproponować wspólną masturbację? Przecież to czynność bardziej intymna niż konwencjonalny seks, prawda?

- Myślałem, że mam trypra - wyznał. - Nie chciałem cię zarazić.

- Trypra od kogo? Przecież z nikim się nie spotykałeś?

- Sypiałem z panią Stackpole, pomywaczką. Pewnie jej nie pamiętasz, Michele.

- Przecież pomywaczki były stare i grube! - wykrzyknęła.

- Owszem - odparł Jack. - Pani Stackpole na pewno.

- Mogłeś sypiać ze mną, ale wybrałeś starą, grubą pomywaczkę? - zapytała drżącym głosem. (Słowo „pomywaczka” zabrzmiało w jej ustach jak „pazerna suka”).

- Sypiałem z panią Stackpole, zanim mogłem sypiać z tobą - przypomniał jej Jack.

- A twój związek z Emmą Oastler? Na czym dokładnie polegał?

Zaczyna się, pomyślał Jack. „Dziwny”, i tak dalej.

- Emma i ja tylko ze sobą mieszkaliśmy. Nigdy nie uprawialiśmy seksu.

- Trudno to sobie wyobrazić - orzekła Michele, bawiąc się pierścionkiem leżącym na brzegu talerza. - Chcesz powiedzieć, że tylko się onanizowaliście?

- Nawet nie.

- Co wobec tego robiliście? Coś musieliście robić.

- Całowaliśmy się, dotykałem jej piersi, trzymała mnie za penis.

Sięgając po kieliszek, Michele zahaczyła łokciem o talerz i pierścioneł poszybował w powietrze. Wylądował na sąsiednim stole. Dwie zaskoczone modelki na diecie z czerwonego wina uniosły wzrok.

Jedna z nich podniosła pierścioneł i spojrzała na Jacka.

- Ach, nie trzeba było - powiedziała, wsuwając go na smukły palec.

- Bardzo mi przykro, to pierścioneł jej matki - próbował wyjaśnić Jack.

Modelka przesłała mu pocałunek, a Michele zmartwiała.

- Nie pamiętasz mnie, Jack? - odezwała się druga modelka.

Jack wstał i podszedł do ich stolika, wyciągając rękę w stronę modelki, która nadal miała na palcu pierścionek Michele. Chciał zyskać na czasie: usiłował sobie przypomnieć, kim jest jego rzekoma „znajoma”.

- Bałem się, że o mnie zapomniałaś - powiedział. (Była to jedna z kwestii Billy’ego Rainbowa, Jack szczególnie ją sobie upodobał).

Modelka nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Jack nadal jej nie rozpoznawał. Zaczął podejrzewać, że tylko się z nim droczy.

Jej koleżanka z pierścionkiem też się droczyła: próbowała wsunąć ozdobę na palec Jacka.

- Kto by pomyślał, że Jack Bums ma takie małe rączki? - mówiła. (Jack wrócił do stolika z pierścionkiem na najmniejszym palcu; był nieco za luźny).

- Jack Burns ma małego penisa - oznajmiła druga modelka.

Jack odgadł, że dziewczyna jednak go zna, lecz wciąż nie mógł jej sobie przypomnieć. Michele siedziała ze szklistym wzrokiem.

- Nie czuję się najlepiej - powiedziała. - Jeśli chcesz znać prawdę, chyba jestem zalana.

- Powinnaś coś zjeść.

- Nie wiesz, że lekarzowi się nie mówi, co ma robić, Jack?

- Chodź. Odwiozę cię do hotelu.

- Chcę zobaczyć, gdzie mieszkasz! - zawołała płacząco Michele. - Dam głowę, że super się urządziłeś.

- Mieszka w starej ruderze - oświadczyła modelka, która знаła Jacka. - Tylko mi nie mów, że wyprowadziłeś się z tego pierdolnika na Entrada, Jack.

- Jesteśmy znacznie bliżej hotelu niż mojego domu - powiedział do Michele Jack.

- Spałeś z tą dziewczyną? - spytała Michele, kiedy wsiedli do audi. - Nie sprawiałeś wrażenia, jakbyś ją znał.

- Nie przypominam sobie, żebym z nią spał - odparł Jack.

- Co to jest pierdolnik?

- Slangowe określenie burdelu - wyjaśnił Jack.

- Naprawdę mieszkasz w ruderze na La Strada?

- Owszem - przyznał. - Na Entrada.

- Ale dlaczego w ruderze? Dlaczego Jack Bums nie kupi sobie posiadłości?

- Tak naprawdę to wcale nie wiem, gdzie chciałbym mieszkać, Michele.

- Boszszz - powtórzyła.

Na Hollywood Freeway Michele zasnęła jak kamień. Jack musiał wnieść ją do hotelu. Nie znał numeru pokoju, nie mógł też znaleźć w jej torebce kluczy. Zaniósł bezwładną Michele do baru: liczył, że zastanie tam paru jej wstawionych kolegów z branży. Miał nadzieję, że będą dość przytomni, aby ją rozpoznać.

Przyszła mu z pomocą inna pani dermatolog. Była prostolinijna, uszczypliwa, ale przynajmniej trzeźwa. Zaprowadziła go do pokoju Michele. Miała na imię Sandra i pochodziła z okolic Michigan. Musiała założyć, że Jack sypiał z Michele, gdyż zaczęła ją rozbierać, nie bacząc na obecność mężczyzny.

- Napuść wody do wanny - zakomenderowała. - Nie możemy jej tak zostawić. Jeśli zwymiotuje, mogłaby się udusić. Zdarza się, że pijacy wciągają do płuc własne rzygi. Lepiej ją obudzić i poczekać, aż zwróci.

Jack zrobił, co mu kazano. Następnie zaniósł Michele do łazienki i z pomocą Sandry umieścił ją w wannie. Bez ubrania Michele była wychudzona na kość, wręcz wynędzniała. Podobnie jak kobiety po ciąży, miała rozstępy na małych piersiach; skóra wyglądała na pomarszczoną. (Był to efekt schudnięcia, Michele nie miała dzieci).

- Boże, ile ona schudła? - zapytała Sandra, tak jakby Jack osobiście ponosił za to winę.
- Nie wiem, ile ważyła wcześniej - odparł. - Nie widziałem jej od dwudziestu lat.
- Cóż, piękny widok, nie ma co - skwitowała Sandra.

Michele opowiedziała mu w restauracji o egzemie, która koncentrowała się na łokciach i kolanach. Bywało, że miejsca te miały kolor i strukturę koguciego grzebienia. Jack świdrował wzrokiem dryfującą w wannie Michele, tak jakby ni stąd, ni zowąd miał się stać świadkiem nawrotu tajemniczej choroby.

- Na co się gapisz? - spytała Sandra. (Michele wciąż nie dawała oznak życia; Jack trzymał ją pod pachami, żeby się nie utopiła).

Opowiedział jej o egzemie, lecz Sandra zapewniła, że nie ma co liczyć na efekty specjalne.

- To nie polaroid - dodała. Następnie przeniosła wzrok na jego rękę. - Fajny pierścionek - skomentowała. (Jack wciąż miał na palcu pierścionek matki Michele).

Michele zaczęła odzyskiwać przytomność, nieświadoma obecności Sandry.

- Zostawię was, gołąbeczki. Tylko uważaj, żeby nie zwymiotowała przez sen - ostrzegła Sandra. - Wygląda na to, że i tak lubisz się na nią pogapić.

- Już to zrobiliśmy? - zapytała Michele.

Jack usłyszał, że Sandra wychodzi z pokoju, wybuchając śmiechem.

- Nie - odpowiedział. - Nie zrobiliśmy.

- No to kiedy, Jack? A może myślisz, że znów masz trypra?

- Nie miałem trypra. Tak mi się tylko zdawało - wyjaśnił.

- Nawet nie pamiętasz, z kim spałeś - przypomniała mu Michele. - A przecież się nie upijasz. Miałeś pewnie masę kobiet, Jack.

- Właściwie nie - odparł Jack.

Nie czuł do niej nic prócz litości oraz zwykłej pogardy wobec osób, które nad sobą nie panują. (Jako abstynent zawsze patrzył z góry na ludzi nadużywających alkoholu, bez względu na okoliczności). Litość, jaką miał dla Michele, wiązała się z jej oczekiwaniami: wspólna balanga w mieście, nowojorskie mieszkanie rodziców, które pazerna suka sprzątnęła jej sprzed nosa, a nawet pierścionek zmarłej matki, niepasujący na żaden z palców. (Jack zdjął go z małego palca lewej ręki i położył na mydelniczce).

Pomógł Michele się wytrzeć, była trochę roztrzęsiona. Poprosiła, aby na chwilę zostawił ją samą w łazience.

Pokojówka pościeliła łóżko i zasunęła zasłony, ale Jack rozsunął je ponownie, aby spojrzeć na Hollywood Hills. Okna w pokoju sięgały od sufitu do podłogi: widok był imponujący, lecz nawet on nie zdołał skutecznie odwrócić uwagi Jacka od odgłosów dobiegających z łazienki. Jack podszedł do drzwi i nasłuchiwał, czy Michele się nie dusi. Na dźwięk spuszczonej wody wrócił do ogromnego okna.

Był 2003 rok. Mieszkał w Los Angeles od szesnastu lat. Na próżno usiłował sobie przypomnieć seks z modelką spotkaną „U Jonesa” (tą, według której miał mały penis). Zasuważąc zasłony, pomyślał, że dość już się napatrzył na Hollywood Hills.

Kiedy Michele wyszła z łazienki w hotelowym szlafroku, wydawała się onieśmielona i względnie trzeźwa. Roztaczała przy tym nader intensywną woń pasty do zębów. Jackowi było przykro, że chce iść z nim do łóżka; liczył, że tego uniknie. Ale nie mógł jej odepchnąć po raz drugi, nie, jeśli wiedział, że ona nadal wspomina ów niefortunny pierwszy raz.

Dopiero później przyszło mu do głowy, że Michele podeszła do tego z identyczną rezygnacją. Ich łóżkowe wyczyny nie kryły w sobie nic szczególnego, co zatuszowałoby towarzyszące im wrażenie przymusu. (Nie chcieli ze sobą spać, ale wiedzieli, że to nieuniknione).

- Cóż jest w tym miejscu takiego uniwersalnego? - zapytała po wszystkim Michele, kiedy Jack dotykał jej piersi. Leżała na plecach z rękami wyprostowanymi po bokach, jak żołnierz.

Jack odgadł, że ma na myśli nazwę hotelu „Sheraton Universal” tudzież Universal City, gdzie hotel był położony, zanim jednak zdążył odpowiedzieć, Michele dodała:

- Powiem ci, co jest uniwersalne. Zawód. Tak jak samotność, choroba czy śmierć. Albo świadomość, że nigdy nie będziesz mieć dzieci. Jedno wielkie uniwersalne rozczarowanie, prawda?

- Ściśle rzecz biorąc, chodzi o nazwę wytwórni - powiedział Jack. - Universal Studios.

- Twój penis wcale nie jest za mały, Jack - odrzekła Michele Maher. - Ta modelka po prostu chciała ci dokuczyć.

- Może po naszym ostatnim spotkaniu zrobiła sobie operację plastyczną nosa

- rzucił z namysłem. - Ostatecznie to modelka, może sobie skorygować oczy, podbródek. Założę się, że na pewno miała lifting. Dlatego jej nie pamiętam.

- Bo ja wiem? - powiedziała Michele. - A co z nami? Za parę lat też nie będziemy tego pamiętać, prawda?

To by było na tyle, jeśli chodzi o oczekiwania, powie kiedyś Jack do doktor Garcii. Terapeutka bynajmniej nie okaże zdziwienia, lecz fakt, jak szybko Michele Maher pogrążyła się w mrokach niepamięci, będzie dla Jacka strasznym ciosem.

36 • Duch Claudii

Potem nie było lepiej. Doktor Garcia próbowała rzucić pozytywne światło na incydent z Michele Maher. Może to pozbawi Jacka romantycznych złudzeń w kwestii „co by było, gdyby”, a mianowicie że gdyby udało mu się z Michele za pierwszym razem, uniknąłby przez to wielu niekompletnych związków.

- Zawsze przypisywałeś wyolbrzymione znaczenie tamtej zmarnowanej okazji - oznajmiła. - A zarazem bagatelizowałeś skądinąd długotrwały związek z Claudią.

- Trwał tylko cztery lata - przypomniał Jack.

- Czy jakkolwiek inny trwał choćby jedną ósmą tego, Jack? Nie chcę słyszeć o Emmie! Trzymanie za penis trudno nazwać kompletnym, prawda?

Jednakże Jack wzbraniał się przed rzucaniem pozytywnego światła na cokolwiek. Był w kiepskiej formie. Utożsamiał się z lansowanym przez czasopisma wizerunkiem samego siebie w roli rozrabiaki i playboya. Nie dbał o to, ilu modelek nie będzie pamiętał po upływie miesiąca. Przestał się też przejmować, że mieszka w „pierdólniku”. (Doktor Garcia nazywała to stanem ducha rodem z Entrada Drive).

W takim właśnie stanie znajdował się w maju 2003 roku, kiedy pojechał do Nowego Jorku kręcić film. Przyjął rolę Harry’ego Mocco w „Pocie miłosnym”, filmie Australijki Gillian Scott, która napisała również scenariusz.

Harry Mocco to kaleki model, czy też raczej „półmodel”, jak nazywa sam siebie. Jego nogi zostały zmiażdżone w wypadku w nowojorskiej windzie. Zawsze chciał zostać aktorem, ma świetny głos. Jednakże brakuje ról dla facetów na wózkach.

Jako model też nie robi oszałamiającej kariery. Często widuje się go siedzącego rankiem na łóżku, to znaczy tylko obnażoną górną część ciała. (Reszta znajduje się pod kołdrą). Są to reklamy odzieży dla kobiet: modelka znajdująca się na pierwszym planie jest już częściowo bądź całkowicie ubrana. To ona reklamuje fatalaszki; widoczny z tyłu korpus Harry’ego odgrywa rolę jednego z dodatków.

W wypadku reklam odzieży męskiej oglądamy Jacka vel Harry’ego przy biurku bądź za kierownicą drogiego auta. Często reklamuje też zegarki, przeważnie w smokingu, jednakże rola nagiego, półmęskiego dodatku w reklamach mody damskiej to jego specjalność.

Harry Mocco właściwie nie robi tego dla pieniędzy. Zbił fortunę, podając do sądu budynek z windą, która zmasakrowała mu nogi. W okolicach Nowego Jorku, gdzie toczy się akcja filmu, Jack vel Harry cieszy się opinią słynnego i fotogenicznego kaleki. Praca ma na celu raczej ocalenie resztek jego godności aniżeli podreperowanie finansów. Harry nieźle się urządził: mieszka w jednym z nowojorskich bloków z odźwiernym. Oczywiście chodzi do siłowni z dostępem dla wózków inwalidzkich. Przez pół dnia podnosi ciężary i gra w koszykówkę dla niepełnosprawnych, a nawet w tenisa.

Jack vel Harry uczy się też na pamięć i recytuje wiersze miłosne bądź ich fragmenty, dziwne upodobanie, zwłaszcza że jest singlem. Zawsze namawia przyjaciół (z siłowni i planu zdjęciowego), aby oczarowywali swoje dziewczyny poezją miłosną. Lecz jego słowa napotykają mur obojętności. Harry zna dużo modelek, niektóre z nich są bardzo sławne. Ale to tylko przyjaciółki, poezja ich nie rusza.

W ciągu pierwszej godziny i piętnastu minut filmu Jack vel Harry uprawia seks tylko raz i - co było do przewidzenia - z opłakanym skutkiem. Jego partnerka jest młoda kobieta, która często ubiera się podczas sesji zdjęciowych: prosta, nerwowa i ogólnie mało efektowna osóbką z przekłutą dolną wargą. Wiersze robią na niej wrażenie, ale kalestwo nie. Jack uważał, że Gillian Scott zasłużyła na nagrodę w kategorii najbardziej pokraczny seks roku.

Głosem narratora jest głos samego bohatera, recytujący poezję miłosną. Samych ponuraków, Thomasa Hardy’ego, Philipa Larkina, George’a Withera i Roberta Gravesa. (Zdaniem Jacka, Gillian przesadziła z tym ostatnim).

Harry Mocco zwykle ogranicza się do krótkiego cytatu, rzadko deklamuje całą zwrotkę. Nikt z jego znajomych nie chce wysłuchać wiersza do końca.

- Nie jestem pewna, czy to dla ciebie odpowiednia rola - przestrzegła Jacka doktor Garcia. - Kaleki model, który nie odnalazł swego audytorium. Czy to nie brzmi zbyt znajomo? - Niepokoiła ją także długa absencja. - Nie odwiedzam pacjentów w Nowym Jorku, Jack, choć małymi zakupami bym nie pogardziła.

„Dlaczego pani dzieci, jeśli właśnie one, w ogóle nie dorastają?” - miał na końcu języka.

Fotografie w gabinecie doktor Garcii stanowiły stałą i niezmienną kolekcję. Starszy mąż terapeutki, bądź jej ojciec, zastygł w czasie. Zresztą wszyscy wydawali się zastygli w czasie, niby muchy zatopione w bursztynie. Jednakże Jack powstrzymał się od jakichkolwiek pytań.

Pojechał do Nowego Jorku i nakręcił film.

- Obowiązek jest obowiązkiem, doktor Garcia - rzucił obronnym tonem. - Rola to rola. Nie jestem Harrym Mocco, nie ma też niebezpieczeństwa, że nim się stanę. Nie jestem nikim.

- To jeden z aspektów twojego problemu, Jack - przypomniała mu terapeutka.

Pracę na planie przewidziano na pięćdziesiąt dwa dni. Łącznie z próbami Harry musiał spędzić w Nowym Jorku dwa miesiące.

Zwykle widywał doktor Garcie dwa razy w tygodniu: dwa miesiące rozłąki narzucały konieczność wykonania określonej liczby telefonów. Nie mógł opowiadać o swoim życiu do słuchawki; w razie potrzeby rozmowa wchodziła w grę, lecz część w porządku chronologicznym musiała poczekać.

Zdaniem doktor Garcii, część w porządku chronologicznym stanowiła miernik postępów Jacka. Wyrzucenie z siebie refleksji na temat emocjonalnie lub psychologicznie trudnego momentu to jedna sprawa, inną zaś jest uporządkowanie opowieści i przekazanie jej (bez koloryzowania) konkretnej osobie. Pod tym względem część w porządku chronologicznym przypominała aktorstwo: doktor Garcia wychodziła z założenia, że jeśli Jack nie potrafi czegoś składować opowiedzieć, nie radzi sobie z tym emocjonalnie.

W roli Harry'ego Mocco Jack Burns dał z siebie wszystko. Pamiętał, jak pani Malcolm tyranizowała klasę i najeżdżała na stoły, pamiętał szaleńcze rajdy nawami kaplicy, kiedy zdierała sobie skórę o potrącane ławki. Pamiętał, jak Bonnie Hamilton osuwała się na wózek bądź z niego wyswobadzała, z chwilą gdy odwracał wzrok. Nigdy nie widział, jak się przewraca, ale zauważył siniaki, będące jawnym dowodem jej niedoskonałości.

Jack wyczyniał akrobacje na wózku nie tylko na planie, ale i poza nim. Udawał niepełnosprawnego. Jeździł po hotelu jak nawiedzony kaleka, kazał się załadowywać i wyładowywać z limuzyny. Ćwiczył również upadki. Opanował do perfekcji spektakularną wywrotkę w westybulu Trump International na Central Park West, sprawiając, że obsługa w panice śpieszyła mu na pomoc.

W hotelu mieli fantastyczną siłownię. Jack jeździł tam na wózku, po czym wchodził na bieżnię i biegał przez pół godziny, a jego pojazd stał pusty, jak gdyby czekał na kogoś innego.

Kiedy Harry Mocco ma w filmie wypadki na wózku, narrator recytuje Roberta Gravesa. (Gravesa należy aplikować małymi dawkami. Weźmy na przykład „Miłość to uniwersalna migrena”).

Lub:

*Dlaczego takiej ciżbie ślicznych,
zdolnych dziewcząt Facetów nie do przyjęcia wciąż poślubiać chce się?
Zwykle poświęcenie się można wykluczyć,
A misjonarskie zapędy w dziewięciu wypadkach na dziesięć*.*

* Przełożył! Robert Stiller.

Kiedy Jack vel Harry pełźnie z łóżka do łazienki, dziewczyna, z którą właśnie się przespał, z odrazą odprowadza go wzrokiem. Należący do Harry'ego głos zza kamery deklamuje e. e. cummingsa.

lubię moje ciało kiedy jest z twoim ciałem.

Jack vel Harry próbuje zaimponować dziewczynie z kolczykiem w dolnej wardze, deklamując Teda Hughesa, lecz w wypadku Hughesa też trzeba uważać, żeby nie przedobrzyć. Dziewczyna znika za drzwiami przed końcem pierwszej zwrotki.

*Siedzimy do późna, zapada zmrok:
Nie odmierzy tego żaden zegar.*

Harry w przypiływach litości wobec samego siebie (kiedy wali głową w otwór odpływu, niezdolny wydostać się ze śliskiej wanny) stanowi kwintesencję patosu. (Scenie towarzyszy komentarz w postaci wiersza George'a Withera).

*Czyż zgasnąć mam z rozpaczy,
Bom cudną twarz zobaczył?*

„Poeta miłosny” należy do gatunku noir love story, przy czym jest bardziej noir niż love story przez pierwsze trzy kwadransy filmu, a bardziej love story niż noir bliżej końca. Jack vel Harry poznaje w siłowni młodą kobietę, od niedawna przykutą do wózka. Widzi, że to jej pierwsze wyjście od czasów wypadku, dziewczyna jest onieśmielona. Trener osobisty, którym Harry szczerze pogardza, demonstruje jej sprzęt i ćwiczenia. Dziewczyna należy do kategorii osób, które wózkowi weterani pokroju Harry'ego określają mianem „noworodków”.

- Zostaw noworodka mnie - mówi Jack vel Harry do trenera.

Następnie pokazuje dziewczynie humorystyczną wersję zastosowania sprzętu: upuszcza różne przedmioty, przewraca się ostentacyjnie.

- Widzisz? To łatwe! - mówi noworodkowi, przedrzeźniając paplaninę trenera. Następnie zwała się z wózka, demonstrując dziewczynie, że nic nie jest łatwe.

Kiedy się zakochują, głos w tle deklamuje A. E. Housmana. (Na dodatek w siłowni).

Och, kiedy się w tobie kochałem,
Natury przemogłem władzę,
I wieść się wokół niosła cwałem,
Jak się porządnie prowadzę¹².

Nie popisał się Jack Burns: przez ostatni miesiąc w Nowym Jorku daleko mu było do układności Harry'ego Mocco. W jednym z klubów poznał tancerkę; jego uwagę pochłonęły jej mocne dłonie i wystająca grdyka. Wiedział, że ma do czynienia z mężczyzną. Mimo to flirtował w najlepsze, przynajmniej do pewnego momentu. Pozwolił zawieźć się na wózku do recepcji, a następnie hotelowego baru. Tancerka usiadła mu na kolanach i zaśpiewali razem piosenkę Beatlesów. W sukurs przyszli im pozostali goście.

Gdy będę stary i włosów na głowie Zostanie garść,
Czy nadał zechcesz kochać mnie Na dobre i na złe?

Przed wejściem do windy usiłował splawić tancerkę, jednakże uparła się, że odtransportuje go do pokoju. Śpiewali przez całą drogę na górę. (W windzie też siedziała mu na kolanach).

Gdy po nocy będę włóczyć się,
Czy zamkniesz mi przed nosem drzwi,
Czy kochać, karmić zechcesz mnie,

Gdy sześćdziesiątka stuknie mi?

Zajechali pod pokój, gdzie ponownie próbował się pożegnać.

- Nie bądź niemądry, Jack - powiedziała, popychając wózek do pokoju.

- Nie pójde z tobą do łóżka - oświadczył kategorycznie Jack.

- Ależ tak - zapewniła.

Niebawem doszło do rękoczynów. Kiedy transwestyta chce uprawiać seks, pragnie tego równie usilnie jak mężczyzna... ponieważ nim jest! Jack miał pełne ręce roboty. Narobili trochę bałaganu, ucierpiała zwłaszcza jedna lampa. Owszem, był pobudzony, lecz nawet on znał różnicę pomiędzy żądzą a samym uprawianiem seksu. I nawet on nie folgował wszystkim swoim zachciankom.

- Słuchaj, przecież to jasne, że mnie pragniesz - perswadowała tancerka. - Ten opór nie ma sensu. - Rozebrała się do rosołu, a ubranie Jacka doznało poważnego uszczerbku. - Stań ci - zaznaczyła kilkakrotnie, tak jakby Jack nie wiedział.

- Staje mi we śnie - odparł.

- Spójrz na mnie! - krzyknęła. - Mnie też stań!

- Owszem, widzę - odpowiedział Jack. - Na dodatek masz piersi. - (Były twarde jak jabłka; przekonał się o tym, usiłując zepchnąć je z twarzy).

Tym razem zauważył nadciągający lewy sierpowy, podobnie jak prawy hak i cios „z główki”. Może i była tancerką, lecz najwidoczniej przeszła też inny trening: nie była to jej pierwsza walka.

Rozdzwonił się telefon; Jack podejrzewał, że to recepcjonista. Pewnie jego sąsiedzi poinformowali obsługę hotelową o hałasach dobiegających z pokoju, rozbitej lampie etc. Czyż Donald Trump nie byłby zachwycony, pomyślał Jack. (Fantastyczny widok na Central Park, tym razem kompletnie zignorowany).

Usłyszał, jak ochrona majstruje przy zamku, lecz właśnie założył tancerce pętlę i nie puszczał, nawet żeby otworzyć drzwi. Miała paznokcie jak szpony, a kiedy Jack poluzował uścisk, wbiła mu zęby w rękę.

- Bijesz się jak dziewczyna - powiedział Jack.

Wiedział, że to dopiero ją wkurzy. Kiedy na niego natarła, zastosował unik i znalazł się za plecami tancerki, po czym założył jej krawat. Ochrona wtargnęła do pokoju: było to dwóch osiłków oraz kierownik nocnej zmiany.

- Przybiegliśmy na pomoc, panie Burns... znaczy się, panie Mocco - oznajmił kierownik.

- Mam tutaj narowistą tancerkę - odpowiedział Jack.

- Stań mu. Sama widziałam - zakomunikował transwestyta.

Jeden z ochroniarzy naprawdę uważał Jacka za kalekę. Nigdy nie widział go poza wózkiem, nawet w filmach. (Widocznie rzadko bywał w kinie). Sądząc po reakcji drugiego ochroniarza, który wraz z pozostałymi przemocą ubierał tancerkę, laski kutaski stanowiły dlań absolutną nowość.

Jack nie poszedł spać: postanowił przećwiczyć w myślach relację z incydentu na użytek doktor Garcii. Wiedział, że w tym wypadku porządek chronologiczny nie wchodzi w grę. Przyłożył sobie do rany mokry ręcznik. Zęby nie przebiły skóry, pozostawiły jednak bolesne i brzydkie ślady.

Kiedy przed południem rozmawiał z terapeutką, telefonując z planu „Poety miłosnego”, powiedział, że incydent nie pasował wprawdzie do Harry’ego Mocco, był wszelako, niestety, typowy dla Jacka Burnsa. (Łudził się, że owa samokrytyka ją udobrucha).

- Jesteś zbyt uległy, Jack - zawyrokowała doktor Garcia. - W ogóle nie powinieneś być wchodzić z nią do windy. Trzeba było stoczyć bójkę w recepcji, krócej by trwała. No i dlaczego pozwoliłeś jej usiąść sobie w barze na kolanach?

- Bójka w barze to zły pomysł - zapewnił ją Jack.

- Po co w ogóle z nią wychodziłeś?

- Podnieciła mnie. Byłem pobudzony - wyznał.

- Nie wątpię, Jack. Od czegoś są transwestyci, prawda? Zrobią wszystko, aby podniecić mężczyznę. Ale do czego to prowadzi. Jack? Do czego to za każdym razem prowadzi?

Nie wiedział, co powiedzieć.

- Bez przerwy pakujesz się w tarapaty - oznajmiła doktor Garcia. - Na początku przeważnie chodzi o drobiazg. Ale co dalej. Jack? Co dalej?

W czerwcu 2003 roku odbyło się pożegnalne przyjęcie dla uczczenia końca pracy nad filmem i Jack wrócił do LA. Nabrał zwyczaju recytowania wierszy miłosnych pod adresem nieznajomych, lecz w wypadku atrakcyjnej stewardesy wina nie leżała całkowicie po jego stronie. Zapytała go bowiem o następny film i Jack wyjaśnił, że Harry Mocco zapamiętuje wiersze miłosne i sypie nimi jak z rękawa.

- Czy zna pani na przykład „Rozmowę w łóżku” Philipa Larkina? - zapytał. (Byli mniej więcej rówieśnikami).

- A czy chcesz go znać? - zapytała czujnie. - Jestem mężatką.

Mimo to Jack nie rezygnował. (Od lat nie spał ze stewardesą).

- Albo „W ogrodzie Bertrama” Donalda Justice’a - podjął, jakby sama go do tego zachęcała. - „Jane spogląda na spódnicę z organdy / Jakby to ją zhańbiono

- Noo! - wpadła mu w słowo stewardesa. - Nie chcę tego słuchać.

Oto skutki pytania o następny film.

Po powrocie na Entrada Drive Jack natychmiast zadzwonił do agenta nieruchomości i poprosił o wystawienie domu na sprzedaż. (Sprzedać skurwiela, pomyślał. Może to skłoni mnie do zmiany stylu życia).

Poszedł na wizytę u doktor Garcii (pierwszą od dwóch miesięcy), czując się jak nowo narodzony.

- Ale przecież nie podjęłaś decyzji, gdzie chcesz mieszkać, Jack - przypomniała terapeutka. - Czy aby nie podcinasz gałęzi, na której siedzisz?

Cóż, przynajmniej poczynił jakieś kroki.

- Czy to ten sam dom, do którego wtargnęła Lucy? - zapytała. - Czy to z powodu kłamstw matki i braku ojca nadal jesteś statkiem bez kotwicy, niepewnym, dokąd zanieśie go wiatr, prąd bądź kolejny stosunek?

Jack nie odpowiedział.

- Pomyśl o Claudii - podjęła doktor Garcia. - Jeśli chcesz dokonać czegoś istotnego, jeśli naprawdę chcesz zmienić swoje życie, pomyśl o znalezieniu takiej kobiety. Postaraj się zaangażować w związek. Nie musi nawet trwać cztery lata. Pomyśl o byciu z kobietą, u której boku mógłbyś spędzić chociaż rok! Wyznacz sobie małe cele, ale konsekwentnie je realizuj.

- Podobno miałem pani nie mylić z agencją towarzyską - przypomniał jej Jack.

- Uważam, że powinieneś ograniczyć swoje życie towarzyskie, Jack. Daję ci do zrozumienia, że jeśli z kimś będziesz, twoje życie ulegnie radykalnej zmianie. Nie potrzebujesz nowego domu. Musisz znaleźć kogoś, kto z tobą zamieszka.

- Kogoś takiego jak Claudia? Ona chciała mieć dzieci.

- Niekoniecznie mam na myśli takie analogie, Jack. Wejdz w związek, który ma szansę przetrwać.

- Claudia jest pewnie strasznie gruba - oznajmił Jack. - Toczyła nieustanne boje z własną nadwagą.

- Ten aspekt również niekoniecznie miałam na myśli.

- Claudia marzyła o dzieciach. Pewnie jest już babcią! - zawołał.

- Nigdy nie umiałeś liczyć, Jack.

Jack nie obwinał doktor Garcii. Brał pełną odpowiedzialność za to, co się potem stało. Jednakże myśl o Claudii (powód, dla którego o niej ostatnio rozmyślał) z całą pewnością wzięła początek z terapii. Jack myślał też o niej (nic więcej nie umiał znaleźć na swoją

obronę) pewnego ciepłego, letniego wieczoru, kiedy wracał do Santa Monica z uroczystej kolacji.

Wspominał pierwszy raz, kiedy Claudia pożyczyła mu volvo, to niewiarygodne poczucie niezależności, płynące z faktu, że jesteś młody, sam i siedzisz za kółkiem.

Skręcił na podjazd: snop światła z reflektorów omiół słowiańską piękność, siedzącą na wysłużonej, acz znajomej walizce na absurdalnie mikroskopijnym trawniku Jacka. Tkwiła tak doskonale nieruchomo, jakby pozowała do zdjęcia pod tablicą NA SPRZEDAŻ, że Jack na chwilę zapomniał, czego w gruncie rzeczy dotyczy napis. Uznał, że towarem jest dziewczyna, po czym przypomniał sobie, że wystawił dom. Owa myśl miała go prześladować, ponieważ dziewczyna była towarem bardziej, aniżeli mógł przypuszczać.

Wiedział, kogo ma przed sobą: Claudię albo jej ducha. To cud, że nie stracił panowania nad samochodem i jej nie przejechał, zabijając Claudię tudzież ponownie uśmiercając jej ducha. Ale jak to możliwe, myślał. Młoda kobieta na trawniku była w wieku Claudii, kiedy się ostatnio widzieli, albo jeszcze młodsza. (Poza tym Claudia zawsze wyglądała na starszą niż w rzeczywistości i notorycznie kłamała na temat swojego wieku).

„Niech cię szlag, Jack - powiedziała niegdyś. - Po śmierci będę cię prześladować. Może nawet zrobię to już wcześniej”.

Z uwagi na powyższą obietnicę chyba trudno się dziwić, że wziął dziewczynę siedzącą pod tablicą NA SPRZEDAŻ za ducha Claudii, prawda? Duchy zwykle nie podróżują z walizką, lecz może wyrzucono go z nieba lub piekła? A może misja prześladowania Jacka wymagała posiadania kilku zmian odzieży? Ostatecznie Claudia była aktorką, uwielbiała teatr nawet bardziej niż Jack. W wypadku jej ducha walizka mogła odgrywać rolę rekwizytu.

Jack zdołał jakoś wyjść z audi i ruszył na zeszywniałych nogach w kierunku dziewczyny. Wiedział, że ucieczka nie ma sensu: w starciu z duchem człowiek z góry jest na straconej pozycji. Mimo to zostawił włączone światła. Podchodząc do ducha, przynajmniej chciał go dokładnie zobaczyć. Któż ryzykowałby konfrontację w ciemności?

- Claudia? - wydusił drżącym głosem.

- Ach, Jack, minęło tyle czasu - powiedziała. - Wieki cię nie widziałam!

Była to ta sama Claudia, tyle że młodsza. Te same ruchy, identyczny tembr głosu (tak jakby nawet w sytuacji sam na sam chciała dopilnować, by usłyszały ją niebożątka na tyłach sali).

- Jesteś taka młoda.

- Młodo umarłam, Jack.

- Jak młodo, Claudio? Jesteś nawet młodsza, niż byłeś! Czyż to możliwe?

- Jak widać, ze śmiercią mi do twarzy - odparła zwięźle. - Nie zaprosisz mnie do środka? Umierałam z niecierpliwości, Jack. Wysiedziałam się na tym cholernym trawniku za wszystkie czasy.

Określenie „cholerny” w ogóle do niej nie pasowało. Ale kto wie, gdzie się włóczyła i z kim (spośród zmarłych) zadawała? Wyciągnęła ręce i Jack pomógł jej wstać. Ku jego zdumieniu okazała się dość ciężka. Kto by pomyślał, że duchy cokolwiek ważą? Lecz wystarczył jeden rzut oka, by stwierdzić, że (nawet w niebie czy gdzie indziej) Claudia nadal musi pilnować diety.

Nadal też tuszowała biodra długą, sutą spódnicą, nawet w lecie. Jej biust był równie obfity jak dawniej; zresztą na tle powszechnej opinii na temat duchów Claudia w ogóle wydawała się dość krągła.

Jack pobiegł do samochodu i wyłączył światła. Bał się, że zjawą rozplynie mu się przed oczami, ona jednak z uśmiechem zaczekała na niego i pozwoliła mu wnieść swoją walizkę do domu. Poszła prosto do sypialni, jakby nadal byli parą i mieszkali ze sobą od lat, a przecież nigdy przedtem tu nie była. Wstrząśnięty poczekał, aż skorzysta z łazienki. (Ach, te duchy i ich sekrety!).

Jack był głęboko rozdarty. Wierzył jej, a zarazem nie mógł się uwolnić od podejrzeń. Ta sama brzoskwińowa cera, wydatna szczęka i kości policzkowe: twarz stworzona do zbliżeń, jak zwykł niegdyś mawiać. Pomimo kłopotów z nadwagą Claudia powinna postawić na karierę filmową; zawsze powtarzał, że z taką twarzą marnuje się w teatrze.

Kiedy duch Claudii wyłonił się z łazienki, podszedł do Jacka i musnął ustami jego szyję.

- Tęskniłam nawet za twoim zapachem - powiedział.

- Duchy mają zmysł powonienia? - zapytał.

Oparł dłonie na barkach dziewczyny i odsunawszy ją na odległość ramienia, uważnie spojrzął jej w oczy, jak zawsze piwne, niczym polerowane drewno albo oczy lwicy. Jednakże dostrzegł w rysach pewną różnicę, podobieństwo było uderzające, acz niedokładne. Nie chodziło tylko o wiek, nawet jeśli umarła dzień po ich rozstaniu, nawet jeśli istotnie ze śmiercią było jej do twarzy.

- Tak sobie myślę, Claudio - powiedział. Mimo dzielącej ich odległości czuł żar bijący od ciała dziewczyny. I pomyśleć, że zawsze hołdował przekonaniu, iż duchy wieją chłodem. - Zastanawiam się nad tym od śmierci matki - powiedział.

- Czy duchy zachowują tatuaże, które nosiły za życia?

Ponownie zobaczył uśmiech, lecz nawet on różnił się nieco od tego, co zapamiętał. Claudia nie miała tak białych zębów. Dziewczyna powoli uniosła długą spódnicę. Uwodzicielski wyraz oczu nie uległ zmianie, wysoko zaś, na udzie, pulchniejszym niż zapamiętał, widniał chiński pugińał, krótki miecz, oznaczający: „Wszystko wedle życzenia”.

- Długo to trwało, ale wreszcie się zagoił - oznajmiła.

Tatuaż nie budził zastrzeżeń, lecz było mu daleko do pugińału, którego matka nauczyła się od Paula Harpera.

- Jest prawdziwy - dodała dziewczyna. - Nie da rady go zetrzeć. Zobacz sam, Jack. No już, dotknij.

Ton i brzmienie głosu pozostały niezmiennie, lecz język utracił dawną precyzję. Brakowało mu niegdysiejszej poprawności i elegancji. Owo kolokwialne „no już” należało do tej samej kategorii, co wyraz „cholerny”, na który Jack zwrócił uwagę wcześniej.

Dotknął tatuażu, wysoko po wewnętrznej stronie uda, owej „imitacji” pugińału, jak nazwał go w myślach.

- Kim jesteś? - zapytał.

Ujawszy jego rękę, poprowadziła ją wyżej. Nie miała na sobie majtek, choćby szczałkowych.

- Nie przypominasz sobie, Jack? Nie chcesz tam wrócić? Nie chcesz znowu być młody?

- Nie jesteś Claudią - powiedział. - Ona nigdy nie była taka obcesowa. - Poza tym duchy nie są takie gorące, dodał w myślach. I nie robią się mokre między nogami. (Czyżby?).

- Stań ci, Jack - stwierdziła, dotykając go w wiadomym miejscu.

- Staje mi we śnie - odpowiedział. Przecwicył tę kwestię w Nowym Jorku. - To nic wielkiego.

- Nie takie znowu nic wielkiego - odrzekła, całując go w usta. Pod względem całowania nie dorastała Claudii do pięt. Mimo to oderwanie ręki kosztowało go niemało trudu. Teraz musiał tylko powstrzymać dziewczynę.

- Co powiedziałyby na to twoja matka? - spytał córkę Claudii. - Chyba nie byłaby zadowolona, co?

- Moja matka nie żyje - oświadczyła dziewczyna. - Przyszłam, żeby cię prześladować. ... tego by sobie życzyła.

- Przykro mi z powodu jej śmierci - odrzekł. - Czego niby miałyby sobie życzyć?

- Nie wierzę w duchy - oświadczyła dziewczyna. - Przyszłam cię prześladować, bo nie wierzę, że ona się na to zdobędzie.

- Jak ci na imię? - spytał Jack.

- Sally - odpowiedziała. - Na cześć Sally Bowles z „Kabaretu”. Mama marzyła o tej roli. Mówiła, że ty też. Wspomniała, że pewnie byłbyś lepszy.

- Na co umarła? Kiedy to się stało?

- Na raka, parę lat temu - odrzekła Sally. - Musiałam poczekać, aż skończę osiemnaście lat. Żeby moje prześladowania stały się legalne.

Wyglądała na osobę tuż po dwudziestce, ale przecież matka też zawsze robiła wrażenie poważniejszej.

- Naprawdę masz osiemnaście lat, Sally?

- Tyle co Lucy. Czy Lucy też nie miała osiemnastu lat?

- Wygląda na to, że wszyscy wiedzą o Lucy - odparł Jack.

- Była to ostatnia rzecz, o której dowiedziała się mama tuż przed śmiercią. Może dzięki temu było jej łatwiej odejść - wyraziła przypuszczenie Sally.

Podobnie jak Lucy, Sally przechadzała się po domu Jacka niczym pani po włościach. Zauważył, że ściągnęła buty: stąpała boso po macie w jego siłowni. Spod zwiewnego, beżowego bezrękawnika prześwitywał biustonosz w identycznym lub nieco jaśniejszym odcieniu. Idąc, szeleściła spódnicą. Przystanęła przy biurku, aby odczytać tytuł scenariusza. (Wtedy też sięgnęła po jego notes z adresami).

- Mama nigdy nie przestała cię kochać - oznajmiła Sally. - Zawsze się zastanawiała, co by było, gdyby z tobą została i urodziła ci dziecko albo dzieci. Żałowała rozstania, ale musiała mieć potomstwo.

Sposób, w jaki powiedziała „potomstwo”, nasunął Jackowi przypuszczenie, że Sally nie lubi dzieci, a kwestia ich posiadania nie jest dla niej równie istotna, jak niegdyś dla Claudii.

Sally klapnęła na sofę w salonie i otworzyła notes. Jack usiadł obok.

- Masz rodzeństwo, Sally?

- Jeszcze pytasz? Mama wyprodukowała całą czwórkę, jedno za drugim. Miałam szczęście, przyszłam na świat pierwsza. Ktoś musiał zostać opiekunką, nie?

- A tata? - indagował Jack.

- Jest nieszkodliwy - odrzekła Sally. - Matka wyszłaby za pierwszego faceta, którego spotkała po rozstaniu z tobą. Musiał tylko obiecać, że da jej dzieci. Wypadło na ojca. Żalony frajer.

- Dlaczego frajer, Sally?

- Chodził z mamą na wszystkie twoje filmy. To musiała być dla niego gorzka pigułka, jeśli wiesz, co mam na myśli - uzupełniła. - Kiedy dorosłam, chodziliśmy oczywiście razem. Wszyscy troje. Ojciec wiedział o tobie wszystko. Ja zresztą też.

O festiwalu filmowym w Toronto, kiedy twoja matka zrobiła jej tatuaż. O tym, jak ją wrobiłeś na granicy, to było dobre. O tym, jak zaraziła cię tryprem, który złapała od kapitana Febusa, kiedy grałeś pedalską Esmeraldę w „Dzwonniku z Notre Dame”. I jak się strasznie wtedy rzucałeś, jakbyś sam nie zaliczał skoków w bok.

- Ale tata kochał mamę? - spytał Jack.

- Ach, on ją ubóstwiał! - zawołała Sally. - Roztyła się jak krowa (folgowała sobie, ile wlezie) i było jasne jak słońce, że nigdy nie przeboleła waszego rozstania. Mimo to ojciec za nią szalał.

- Jesteś bardzo piękna, Sally - powiedział do dziewczyny. - Tak bardzo przypominasz mamę, że prawie ci uwierzyłem. Przez chwilę naprawdę brałem cię za ducha.

- Mogę cię prześladować tak samo jak duch, naprawdę. - Utkwiła wzrok w kartkowanym notesie, tak jakby szukała konkretnej osoby. Naraz wróciła do litery A i teatralnym głosem matki odczytała nazwisko pierwszej kobiety.

- Mildred („Milly”) Ascheim - powiedziała, po czym jej głos nabrał znaczących tonów. - Posuwałeś ją, Jack? Nadal posuwasz?

- Nie, nigdy - odparł.

- No tak. Jest kolejna Ascheim, tym razem Myra. Wykreśliłeś jej nazwisko. To dowód, że ją posuwałeś, a potem rzuciłeś.

- Nigdy z nią nie spałem. Wykreśliłem, ponieważ umarła. Koniec zabawy, Sally.

Ona jednak czytała dalej. Nazwisko Lucii Delvecchio wyraźnie ją zelektryzowało.

- Nawet mama mówiła, że na pewno z nią spałeś - oznajmiła. - Jak tylko zobaczyła was razem w filmie, powiedziała, że to nieuniknione.

Jack zbyt długo na to pozwalał. Kłopoty zaczęły się na dobre, kiedy Sally doszła do litery G. (Jack wiedział, co powiedziałyby doktor Garcia: że przede wszystkim nie powinien był usiąść obok Sally).

- Elena Garcia - przeczytała Sally.

Jack musiał zrobić dziwną minę. Wziął obcesowość dziewczyny za przejaw braku szacunku wobec terapeutki, do której nigdy nie zwracał się po imieniu. Doktor Garcia odgrywała na obecnym etapie jego życia rolę najważniejszej osoby i Sally wyczuła to bezbłędnie.

- Twoja sprzątaczką albo była sprzątaczką? - spytała jeszcze bardziej obraźliwym tonem. - Założę się, że ją posuwałeś.

- To moja terapeutka, mój psychiatra - odparł Jack. - Nawet nie mówię do niej po imieniu.

- Rzeczywiście, Lucy też do niej chodzi, prawda? Jak mogłam o tym zapomnieć! - zawołała Sally. - Dam głowę, że jej matka czatuje teraz pod twoim domem.

Była dobra, miała talent matki, którym nadrabiała braki w warsztacie. Drocząc się z Jackiem, przypominała Claudię bardziej niż kiedykolwiek.

- Nie złość się na mnie, Jack - powiedziała tonem matki. - Tęsknię za mamą; pomyślałam, że twoja obecność przywoła jej wspomnienie.

Jack nie mógł się ruszyć, siedział jak skamieniały. Wiedział z doświadczenia, że kobiety, nawet te bardzo młode, doskonale czują, kiedy przejmują władzę nad mężczyznami. Claudia wiedziała, w jakich chwilach nie mógł się jej oprzeć. Sally nie była od niej gorsza. Naparła na niego na sofie i przystąpiła do rozpinania jego koszuli. Nie zareagował.

- Pamiętasz, jak byłeś Janem Chrzcicielem? - zapytała.

- Byłem tylko jego głową, trudno nazwać to wielką rolą - odpowiedział. - Byłem tylko odciętą głową.

- Odciętą głową na stole - uściśliła Sally, zdejmując mu koszulę; Jack nie zauważył, kiedy zdążyła rozpiąć swoją bluzkę. - Mama grała Salome, prawda? - spytała córka Claudii.

- Tak - odrzekł, z trudem dobywając głos z gardła.

Dziewczyna rozebrała jego i siebie. Nago bardziej przypominała Claudię niż sama Claudia, puginał i w ogóle.

- Mówiła, że to był wasz najlepszy pocałunek.

To dopiero był pocałunek, przypomniał sobie Jack. Jednakże losy ich związku były przesądzone i nawet pocałunek nie mógł naprawić postępującego rozłamu.

Rozpoznał niebieskie opakowanie swych ulubionych japońskich prezerwatyw. Sally rozrywała je zębami. Jakim cudem знаła jego upodobanie do Kimono MicroThins? Ale zaraz przypomniał sobie, że przecież była w jego łazience, gdzie niewątpliwie odkryła w szafce paczkę kondomów.

Jack popatrzył w jej ciemnozłote oczy i zobaczył Claudię, tak jakby żyła i odzyskała młodość. Te same szerokie usta, lecz bielsze zęby, te same obfite piersi i szerokie biodra dziewczyny, która pewnego dnia również przystąpi do wojny z nadwagą. Podobnie jak jej matka, Sally należała do kobiet, w których człowiek pogrąża się bez reszty.

Doktor Garcia nie potrzebowała wyjaśnień, każdy oprócz Jacka obliczyłby to sobie bez trudu. Skoro po raz ostatni widział Claudię w czerwcu 1987 roku, nawet jeśli natychmiast poznała ojca Sally, po czym za niego wyszła i zaszła w ciążę (w tym samym miesiącu), Sally

nie mogła przyjść na świat przed czerwcem 1988 roku. W takim wypadku w lipcu 2003 roku liczyła sobie lat piętnaście. Gdyby istotnie miała osiemnaście lat (wedle wszelkiego prawdopodobieństwa), musiałaby być córką Jacka! Jak skrzętnie wytknęła mu doktor García, Jack zawsze miał kłopoty z liczeniem.

Stało się tak (brzmiała opowieść Sally, niestety, po tym, jak odbyli stosunek), że w czerwcu 1987 roku Claudia pojechała na festiwal szekspirowski w New Jersey, gdzie poznała młodego reżysera i znawcę Szekspira. Pobrali się w sierpniu, we wrześniu zaś Claudia zaszła w ciążę. Sally urodziła się w czerwcu 1988 roku. Uprawiając seks z Jackiem w jego domu przy Entrada Drive, liczyła sobie dokładnie piętnaście lat i jeden miesiąc. Ale wyglądała znacznie poważniej!

Pospiesznie odkręciła wodę i usiadła w wannie, pozostawiwszy otwarte drzwi łazienki. Wyznała, że nie lubi uciekać zaraz po seksie, ale czas goni. Miała szlaban, musiała jak najszybciej wrócić do „Georgian Hotel” w Santa Monica, gdzie czekali na nią rodzice oraz reszta rodziny.

- Rodzice? Twoja matka żyje?

- Jest wielka jak stodoła, ale ma się dobrze - odrzekła Sally. - Przecież nie poszedłbyś ze mną do łóżka, wiedząc, że nie wykitowała, co nie?

Jack milczał. Siedział na podłodze w łazience oparty o stojak na ręczniki i obserwował bliźniaczą podobiznę dawnej kochanki.

- Moi rodzice są najszcześliwszym małżeństwem, jakie znam - trajkotała Sally. - Mama strasznie się wstydzi, kiedy robimy jej przytyki na twój temat. Ale moje siostry, ja i tata uważamy to za świetny kawał. Zamawiamy pizzę i oglądamy twoje filmy. Ale się przy tym uśmiejemy! Mama czasem musi wyjść z pokoju. Tak ją rozśmieszamy, że o mało się nie posika! „Zatrzymajcie taśmę, zaraz wracam”, mówi. Kiedy zdobyłeś Oscara, myślałam, że wszyscy narobimy w gacie.

- Ile ty właściwie masz lat? - spytał.

- Twoja matka jest naprawdę do dupy, mama nie bujała - odrzekła Sally. - Dla własnego bezpieczeństwa lepiej przestuduj kalifornijski kodeks karny, a zwłaszcza część o stosunkach seksualnych z nieletnimi. Ty skończyłeś dwadzieścia jeden lat, ja nie mam jeszcze szesnastu. To wystarczy. Popełniłeś poważne wykroczenie. Mógłbyś trafić do pierdła na rok, a może dwa, trzy lub cztery lata i podlegasz karze grzywny do wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Jeśli, rzecz jasna, komuś o tym powiem.

Wstała i wytarła się pośpiesznie, po czym rzuciła ręcznik na podłogę. Jack poszedł za nią do sypialni, a następnie do salonu, w którym wszędzie leżało jej porzucane ubranie. Kiedy je wkładała, on rozglądał się za jej butami.

- To moja praca wakacyjna - wyjaśniła.

- Co takiego? - (Uwiedzenie Jacka Burnsa? Szantaż?).

Sally bez ogródek przystąpiła do dalszych wyjaśnień. Otóż ojciec, który wedle jej łaskawej opinii, wcale nie był żalonym frajerem, zarządzał niewielkim, należącym do miejscowej społeczności teatrem w Vermoncie. Placówka nosiła nazwę „Nuts and Bolts”. Specjalizowała się w przedstawieniach letnich oraz warsztatach z aktorstwa, reżyserii i pisania scenariuszy, prowadzonych podczas roku szkolnego. Wszystko finansowała fundacja „non profit”. Kiedy Claudia i jej szekspirowski mąż nie angażowali się w spektakle i warsztaty, zajmowali się szukaniem sponsorów.

- Jesteśmy liczną rodziną, cztery dziewczyny - oznajmiła Sally. - Kiedyś wszystkie pójdziemy na studia. Rodzice dali nam dobry przykład. Wszystkie kochamy teatr, uczymy się niezależności, nie dbamy o kasę, ale wiecznie jej potrzebujemy. Rozumiesz?

- Ile chcesz? - zapytał Jack.

- Gdyby matka wiedziała, że poszłam z tobą do łóżka, toby ją zabiło - powiedziała.

- Ile chcesz, Sally?

Chwyciła go za przegub i spojrzała na zegarek.

- Cholera! Musisz mnie podwieźć do hotelu albo w jego pobliżu. Myślę, że poszłam na plan filmowy, gdzie miałam okazję cię poznać. Zastrany szlaban!

- Rodzice wiedzą, że chciałaś się ze mną spotkać? - spytał.

- Owszem, ale w innym celu! - zawołała ze śmiechem Sally. - Są naprawdę super, przecież ci mówiłam.

Dała mu broszurę teatru ze zdjęciami Claudii z mężem oraz ich czterech córek. Czek należało wystawić na fundację; ponieważ była to instytucja „non profit”, Jack mógł odliczyć sobie podatek, jak nie omieszkała go poinformować Sally.

Dziewczęta od lat pytały matkę, dlaczego nie zwróci się do Jacka Burnsa z prośbą o dotację. Był słynnym aktorem, a Claudia dobrze go znała: na pewno coś by odпалиł.

- Dlaczego mnie zwyczajnie nie poprosiłaś? - spytał.

- A dałbyś mi tyle? - odpowiedziała pytaniem. (Czek opiewał na sumę stu tysięcy dolarów. W porównaniu z ewentualnymi konsekwencjami prawnymi była to pestka).

Jack odwiózł dziewczynę i starą walizkę Claudii na Ocean Avenue. Przynajmniej nie mylił się co do walizki: stanowiła rekwizyt.

Rodzice Sally byli nocnymi markami. Wysławszy młodsze córki do łóżek, Claudia i jej mąż zeszli do baru na drinka i czekali, aż Sally wróci „z planu”. Wyrazili zgodę na jej spotkanie z Jackiem Burnsem jedynie z uwagi na jego ewentualny wkład w pierwszą i największą miłość Claudii, czyli teatr. (Sally chyba to miała na myśli, mówiąc o nauce niezależności). Co do starej walizki, dziewczyna wypchała ją broszurami, na wypadek gdyby spotkała na planie inne bogate gwiazdy.

Zastanawiali się, czy Jack powinien wejść do baru. Poznać tatę i przez wzgląd na dawne czasy przywitać się z Claudią. Sally mogłaby się pochwalić niebagatelną donacją. Na konto fundacji rzadko wpływały sumy rzędu stu tysięcy dolarów; tego rodzaju dary stwarzały wachlarz „możliwości”. Stypendium imienia Jacka Burnsa dla ambitnego początkującego aktora, reżysera lub scenarzysty, szeroko zakrojoną kampanię na rzecz nowego teatru dla sześciuset widzów. (Jak widać, „możliwości” nie brakowało).

- Chyba że wolisz pozostać anonimowy - uzupełniła Sally.

Jack wybrał tę drugą opcję. Oświadczył Sally, że nie wejdzie z nią do hotelu, nie pozna jej ojca ani nie odświeży znajomości z matką.

- Chyba tak będzie najlepiej - uznała dziewczyna. - Ja pewnie dałabym radę. Nieraz ćwiczyłam w myślach tę scenę. Ale szczerze mówiąc, nie dałabym głowy, czy jesteś aż tak dobrym aktorem, aby tam po prostu wejść i udawać, że właśnie mnie nie przerzynałeś.

- Chyba nie - przyznał.

- Jesteś naprawdę słodki, Jack - powiedziała córka Claudii, całując go w policzek. - Mama i tata napiszą do ciebie list, na pewno. Wielki list dziękczynny. Do końca życia będą ci przysyłać kartki na święta i co roku prosić o pieniądze. Oczywiście nie myślę o kolejnej setce. Ale zawsze uważałam, że nie powinni mieć skrupułów.

Na zdjęciu w broszurze Claudia miała na sobie suknię-namiet i wyglądała grubiej niż Kathy Bates, wchodząca Jackowi Nicholsonowi do wanny w jakimś tam filmie. Jej mąż był wysokim, brodatym mężczyzną o wyglądzie nieszczęśnika, którego zawsze obsadzają w rolach zdradzonych królów. Młodsze dziewczęta były równie grubokościste i ładne jak Sally.

Kiedy Jack zatrzymał się przy krawężniku pod hotelem na Ocean Avenue, Sally cmoknęła go w czoło.

- Dobry z ciebie facet, Jack, tylko smutny - oświadczyła.

- Przekaż matce serdeczne pozdrowienia - odpowiedział piętnastolatec.

- Dzięki za kasę, Jack. To nie byle co, mówię poważnie.

- Czy to ma być prześladowanie? - spytał. - Nazwałbym to raczej draśnięciem, Sally. Ale co miałaś na myśli, mówiąc o prześladowaniu?

- Zobaczysz, Jack - odrzekła Sally. - To będzie cię prześladować. I bynajmniej nie mam na myśli pieniędzy.

Wrócił na Entrada Drive, czyli, innymi słowy, miejsce zbrodni. Popelnił zbrodnię, i to nie tylko w świetle kalifornijskiego kodeksu karnego. Jack Burns czuł się jak zbrodniarz. Uprawiał seks z piętnastolatką, i kosztowało go to jedynie sto tysięcy dolarów.

Siedział do późna, uważnie czytając zostawioną przez Sally broszurę. Nieskończenie wiele razy oglądał zdjęcia. Teatr Claudii narodził się z chlubnej idei teatru jako instytucji publicznej. Sąsiad elektryk za darmo zainstalował nowe oświetlenie sceny, miejscowi stolarze zrobili scenografię do trzech szekspirowskich przedstawień, również nie żądając za to wynagrodzenia. Praktycznie wszyscy mieszkańcy małego miasteczka w południowym Vermontcie mieli swój udział w powstaniu placówki.

Uczniowie wystawiali w niej swoje sztuki, a lokalny klub miłośniczek książek prezentował adaptacje fragmentów ulubionych powieści. W styczniu nowojorski zespół operowy odbywał tam próby przed tournée, udzielając przy tym lekcji uzdolnionym wokalnie dzieciom. Organizowano również koncerty i wieczorki poetyckie. Repertuar letni, przewidziany na niezbyt wyrafinowany gust turystów, co roku zawierał przynajmniej dwie „poważne” sztuki. Jack rozpoznał nazwiska kilku nowojorskich aktorów, występujących gościnnie.

W broszurze znajdowały się dwa zdjęcia, przedstawiające Claudię: na obu wyglądała grubo i kwitnąco. Jej córki były bardzo fotogeniczne; emanujące pewnością siebie dziewczynki, od kołyski nawykłe do popisów. Z pewnością Claudia mogła być dumna z Sally za rozwinięte nad wiek opanowanie i determinację. Czy wraz z mężem znali tupet najstarszej córki i pociąg dziewczyny do niezależności? Pewnie tak. Czy mieli choć blade pojęcie o jej wybijającej seksualności? Pewnie nie.

Claudia uczyniła z teatru zasadniczą oś życia swojej rodziny, może nawet z lepszym skutkiem, niż sądziła. Jack na próżno usiłował zrozumieć reguły rządzące tak zwaną fundacją „non profit”. (Jego zdolności matematyczne i tym razem zawiodły na całej linii). Wiedział tylko, że przez resztę życia będzie składał darowizny na rzecz teatru Claudii; w świetle jego czynu sumy rzędu stu tysięcy dolarów lub więcej wydawały mu się drobnostką.

Chciał zadzwonić do doktor Garcii, była jednak druga lub trzecia nad ranem i z góry mógł przewidzieć słowa terapeutki. „Chronologicznie, Jack. Nie jestem księdzem. Nie słucham spowiedzi”. Chciała przez to powiedzieć, że nie udziela rozgrzeszenia oraz że seks z córką Claudii na nie nie zasługuje, nawet jeśli Jack był przekonany, że spółkuje z duchem Claudii.

Gasząc światła w kuchni, zauważył lakoniczną listę zakupów, przyklejoną do lodówki jednym z japońskich magnesów matki.

KAWA
MLEKO
SOK ŻURAWINOWY

Oto co składało się na jego życie. Powoli zaczynał rozumieć, co Sally miała na myśli, mówiąc o prześladowaniu.

Jack odkrył, że kiedy człowiekowi doskwiera poczucie wstydu, jego życie zaczyna być oparte na trybie przypuszczającym. Córka Claudii miała piętnaście lat: nietrudno sobie wyobrazić, że dziewczyna w tym wieku miewa zatargi z matką. Nastolatki nie potrzebują racjonalnych powodów, aby skakać rodzicielkom do oczu. Co by było, gdyby Sally z niejasnych przyczyn postanowiła zranić matkę?

I chlapanęła, że spała z Jackiem?

A co, jeśli po latach dojdzie do nielogicznego wniosku, że Jack ją wykorzystał? Co, jeśli (z przyczyn niemających nic wspólnego z faktycznymi motywami jej czynu) nieobliczalna dziewczyna uzna, że Jack Burns musi zostać ukarany, a przynajmniej napiętnowany publicznie?

- No cóż, Jack, jestem przekonana, że twój wstyd jest większy niż strach przed kalifornijskim kodeksem karnym - powie mu później doktor García. - Ale czy w przeszłości wielu z nas nie znalazł się ktoś, kto mógłby nas zniszczyć jednym listem lub telefonem?

- Pani chyba nie ma takiego kogoś, doktor García?

- To nie ja jestem pacjentem, Jack. Nie muszę odpowiadać na to pytanie. Powiedzmy, że każdy dźwiga jakiś balast.

Był sierpień 2003 roku. Dom Jacka był nadal wystawiony na sprzedaż, jednakże Jack czuł, że duch Claudii zadomowił się w nim na dobre. I podąży za Jackiem, dokądkolwiek ten by się udał.

Krung, tajski kickbokser z siłowni przy Bathurts Street, powiedział mu kiedyś: „Szczury muszą sobie znaleźć nowy statek, Jackie”. Cóż, Jack był szczurem, który niebawem będzie zmuszony poszukać sobie nowego statku, ale teraz miał też ducha.

Odkrył, że obecność widma nie wpływa dobrze na sen. Dręczyły go bezsensowne, acz niepokojące mary, z których budził się z przeświadczeniem, że dotyka tatuażu Emmy. (Owej perfekcyjnej pochwy, nieróży jerychońskiej, wytatuowanej na prawym biodrze, tuż pod linią majtek).

Idąc za radą agenta nieruchomości, wyprowadził się z domu, z którego usunięto stare i brzydkie meble (większość pochodziła z mieszkania w Venice) oraz sprzęt do ćwiczeń Jacka. Podłogi wycyklinowano, a ściany pomalowano na biało. Dom zyskał wygląd czystej, spartańskiej rudery, a Jack przeniósł się do skromnego mieszkania w „Oceanie” w Santa Monica.

Był to czteropokojowy apartament na trzecim piętrze, wychodzący na podwórze i basen. Jack mógł wybrać widok na Ocean Avenue, lecz „Oceana” była niezbyt drogim hotelem, cieszącym się szczególną popularnością wśród rodzin z dziećmi. Jack lubił słuchać, jak maluchy pluskają się w basenie. Niektóre z rodzin pochodziły z Azji lub Europy, Jack lubił przysłuchiwać się ich rozmowom. Zaakceptował tymczasowość obecnego lokum. On sam był również tymczasowy, tak krótkotrwały, że niemal przestawał istnieć.

Z dawnego domu nie zachował prawie nic. Trzy czwarte ubrań oddał do Caritasu, Oscara zaś powierzył na przechowanie prawnikowi.

Oczywiście zatrzymał samochód. Siłownia w „Oceanie” była śmiechu warta, jednakże w Venice znajdowały się dwa przyzwoite miejsca do ćwiczeń, a do gabinetu doktor Garcii miał jeszcze bliżej niż z Entrada Drive.

Zameldował się w „Oceanie” jako Harry Mocco; garstka osób, które liczyły się w jego życiu, wiedziała, gdzie go szukać. Nie zdziwił się (jako człowiek w przedpieklu), że w krótki czas potem zatelefonowała do niego Leslie Oastler. Zadzwoiła, gdyż dawno nie miała od niego żadnej wiadomości, co oczywiście jej nie przeszkadza, dodała pośpiesznie. Dolores pewnie też nie przeszkadzało.

Dolores robiła taki raban o ubrania Jacka, że Leslie oddała je do Świętej Hildy na użytek kółka teatralnego, ku wielkiej radości pana Ramseya, który nie omieszkiał serdecznie podziękować jej za ów niezwykły dar. Panna Wurtz śpiesznie uczyniła to samo. („Zawsze mamy za mało męskich ubrań”, wyjaśniła).

Pani Oastler poinformowała Jacka, że jego „dawna” sypialnia została przekształcona na pracownię Dolores. (Blondyna Leslie musiała być poetką lub malarką, w każdym razie artystką; Jack nie dopytywał się o szczegóły). Co do starej sypialni Emmy, obecnie zyskała ona status „oficjalnego” pokoju gościnnego. Zmieniono w niej tapetę na „bardziej kobiecą”,

powiedziała Leslie. Meble i zasłony też były „bardziej kobiece”. Jack odgadł, że to sprawka Dolores, ale raz jeszcze powstrzymał się od pytań.

- Podczas pobytu w Toronto pewnie będziesz wolał nocować w hotelu - powiedziała pani Oastler.

- Pewnie tak - przyświadczył. Nie miał pojęcia, po co w ogóle do niego zadzwoniła.

- Jakież wieści od ojca albo o ojcu? - spytała Leslie.

- Nie. Nie szukam go - odrzekł.

- Właściwie dlaczego? - zapytała. - Ma już przecież po sześćdziesiątce. W tym wieku człowiekowi mogą się przytrafić różne rzeczy. Możesz stracić ojca, zanim go odnajdziesz, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Sugerujesz, że może umrzeć?

- Może już umarł - postawiła kropkę nad „i” pani Oastler. - Byłeś taki ciekawy jego osoby. Co się stało z twoją ciekawością, Jack? - (Doktor Garcia zadawała mu to samo pytanie).

- Chodzę do psychiatry - rzucił z głupia frant.

- Super, że w ogóle gdzieś chodzisz! - zawołała Leslie. - Ale kiedyś nie ograniczałeś się do jednej czynności naraz.

- Pani Oastler zapewne chodziło o to, Jack - powie mu wkrótce doktor Garcia - że wizyty u psychiatry niekoniecznie zastępują człowiekowi naturalną ciekawość.

Jednakże Jack popełnił niewybaczalną zbrodnię. Nie tylko uprawiał seks z piętnastolatką, ale dał się do niego nakłonić. Nosił w duszy straszną tajemnicę i - jeżeli córka Claudii mu pozwoli - zanieś ją do grobu. Wstyd brutalnie pozbawił go ciekawości. Kiedy człowiek się wstydzi, nie pali się do kolejnej przygody, przynajmniej nie od razu.

Claudia i jej mąż (który na zawsze utkwiał w świadomości Jacka jako brodaty, zdradzony król) dołączyli do listu z podziękowaniami kilka rodzinnych fotografii, wśród których znajdował się portret małej Sally oraz znacznie szczuplejszej Claudii. Było tam również zdjęcie męża i ojca czterech córek, z gładko ogolonym podbródkiem: Jack nie potrzebował wyjaśnień, dlaczego król zapuścił brodę.

„Gdybyś kiedykolwiek zamarzył o powrocie do teatru - pisała Claudia - szepnij tylko słówko”. Miesiąc lub sześć tygodni w Vermoncie pod koniec lata, scena tak kameralna, że czułby się na niej jak w domu, sztuka i rola wybrane wedle jego życzenia. Biorąc pod uwagę okoliczności, propozycja Claudii wzbudziła w Jacku zarówno wzruszenie, jak i odrazę.

„Jesteśmy ci bardzo wdzięczni, Jack” - pisała dalej Claudia.

„I bardzo dumni z Sally, że zdobyła się na odwagę!” - uzupełnił jej mąż (ojciec Sally).

W odpowiedzi Jack wyraził zadowolenie, że mógł im służyć swoją skromną pomocą. Brakowało mu jednak „odwagi”, na jaką zdobyła się ich córka: nie czuł się na siłach, aby raz jeszcze stanąć samemu na scenie. „Bezkontekstowość sztuki filmowej, do której przywykłem, daje aktorowi pole do większej anonimowości”. (Cokolwiek to miało znaczyć!). Dopisał, że mimo to będzie o nich myślał i zapewne nieraz przyjdzie mu pożałować, że nie przyjął zaproszenia. (W rzeczywistości prędzej by skonał!).

Duch Claudii nie spuszczał zeń oka, a kiedy Jack wysyłał list, widmo rozpływało się w uśmiechach.

Tuż po wymianie owych nieszczerych listów przyszła pora na konfrontację zgoła innego rodzaju. Telefon od Caroline Wurtz, który wyrwał go pewnego sierpniowego ranka ze snu o tatuażu Emmy, nie miał w sobie nic nieszczerzego. W hotelowym basenie pływała już rodzina z Dusseldorfu, dzięki której badał granice swej exeteriańskiej niemieczyny.

- Jacku Burns, jak powiedziałby pan Ramsey - zaczęła panna Wurtz. - Wstań i raduj się!
- Nauczycielka oczywiście nie miała pojęcia o jego haniebnym czynie. (To, że wstanie, nie ulegało wątpliwości, natomiast owa druga czynność wydawała mu się wielce nieprawdopodobna).

- Miło cię słyszeć, Caroline - powiedział zgodnie z prawdą.
- Co za okropny głos! - zaczęła panna Wurtz. - Nie udawaj, że cię nie obudziłam. Ale mam takie wieści, że nie pożałujesz.

- Dostałaś od niego wiadomość? - spytał. Senność minęła jak ręką odjął, ale jeszcze się nie radował.

- Dostałam wiadomość o nim, a nie od niego. Masz siostrę, Jack!

Z biologicznego punktu widzenia, jeśli William ożenił się powtórnie (a wyglądało na to, że tak), informacja o siostrze przyrodniej była bardzo prawdopodobna, co zelektryzowało Jacka na równi z panną Wurtz.

Nazywała się Heather Burns i była młodszym wykładowcą na wydziale muzycznym uniwersytetu w Edynburgu, gdzie (parę lat wcześniej) ukończyła studia na tym samym kierunku. Była pianistką i organistką, grała też na flecie drewnianym. Zrobiła doktorat w Belfaście.

- Z Brahmsa - poinformowała panna Wurtz. - Coś na temat Brahmsa i dziewiętnastego wieku.

- Tata wrócił do Edynburga? - spytał Jack.

- William nie czuje się najlepiej, Jack. Jest w szpitalu. Wrócił do pracy u Świętego Pawła i do nauczania, ale cierpi na artretyzm. Choroba uniemożliwia mu grę, przynajmniej na skale zawodową.

- Poszedł do szpitala z powodu artretyzmu?

- Nie, nie. To szpital psychiatryczny - odrzekła panna Wurtz.

- Ojciec jest w wariatkowie?

- Heather twierdzi, że to bardzo przyjemne miejsce. William jest zachwycony. Tylko że bardzo drogie.

- Moja siostra zadzwoniła do ciebie w sprawie pieniędzy? - upewnił się Jack.

- Zadzwoniła w sprawie swojego brata, Jack. Pytała, jak się z tobą skontaktować. Obiecałam, że do ciebie zadzwonię. Jak wiesz, nikomu nie daję twojego numeru, chociaż w tym wypadku miałam na to wielką ochotę. Owszem, Heather potrzebuje pieniędzy, aby zapewnić Williamowi spokój i bezpieczeństwo.

Siostra Jacka miała dwadzieścia osiem lat. Panna Wurtz wyjaśniła, że młodszy wykładowca na uniwersytecie nie utrzymałby rodziny, a co dopiero ojca w drogim zakładzie.

- Heather jest mężatką? - zapytał Jack.

- Ależ skąd!

- Wspomniłaś o rodzinie, Caroline.

- Mówiłam hipotetycznie. Ta dziewczyna zarabia śmieszne pieniądze - odrzekła panna Wurtz. - Ma chłopaka, Irlandczyka. Ale za niego nie wyjdzie. Twierdzi, że małe dochody uniemożliwiają jej choćby myśl o rodzinie. Potrzebuje twojej pomocy przy Williamie.

Mam siostrę, pomyślał Jack. Myśl, że potrzebuje jego pomocy (że ktokolwiek go potrzebuje) była najwspanialszą wieścią, jaką mógł otrzymać!

Co więcej, siostra Jacka kochała ich ojca. Według panny Wurtz, Heather uwielbiała Williama. Lecz ani jedno, ani drugie nie miało łatwego życia. Po rozmowie z siostrą Jacka panna Wurtz kryła w zanadru prawdziwe rewelacje.

Kolejną wielką (choć raczej nie większą) miłością Williama Burnsa po córce komendanta była młoda kobieta, którą poznał i poślubił w Niemczech. Barbara Steiner była śpiewaczką, dzięki niej poznał pieśni Schuberta. Niemieckie pieśni przy akompaniamencie klawikordu („przodka fortepianu”, jak wyjaśniła Jackowi panna Wurtz) stanowiły dla Williama wielkie odkrycie. Nie była to dlań przelotna fascynacja, podobnie jak Barbara Steiner nie była przelotną miłością: zaczęli razem występować i nauczać.

- Mam syna, ale być może nigdy więcej go nie zobaczę - oznajmił Barbarze William zaraz na początku znajomości.

Heather powiedziała pannie Wurtz, że w sensie psychologicznym i emocjonalnym Jack Burns był w jej życiu obecny od dziecka, jeszcze zanim stał się sławny i zanim William zaczął obsesyjnie oglądać jego filmy. (Panna Wurtz twierdziła, że wszystkie kwestie syna miał w małym palcu).

William Burns i Barbara Steiner mieszkali w Monachium, Kolonii i Stuttgarcie: spędzili w Niemczech pięć lat. Kiedy Barbara zaszła w ciążę, William otrzymał propozycję powrotu „do domu” do Edynburga i postanowił ją przyjąć. Heather urodziła się w Szkocji, gdzie rodzice wykładali na uniwersytecie w Edynburgu przed nią.

William znów zaczął grać na Ojcu Willisie u Świętego Pawła, choć od ostatniego razu instrument został poddany renowacji i ulepszony. Jeśli chodzi o akustykę, nie miało to większego znaczenia: William znowu grał „u siebie” i czuł się jak ryba w wodzie.

Panna Wurtz pochopnie doszła do wniosku, iż życie Williama zatoczyło pełen krąg. Czy to nie wspaniałe, że po wielu burzliwych latach William wreszcie się „ustatkował”? Znalazł właściwą kobietę, a córka dała mu odrobinę spokoju ducha i częściowo zrekompensowała utratę syna.

Lecz stało się inaczej. Barbara Steiner tęskniła za ojczyzną. Jej zdaniem, Edynburg nie był dobrym miejscem do „uprawiania” muzyki klasycznej; narzekała na szerzącą się wokół mierność. Wilgotny klimat też nie budził entuzjazmu Barbary. Twierdziła, że pogoda nasila jej chroniczny bronchit. Mawiała na wpół żartobliwie, że stała się śpiewaczką z ciągłym kaszlem. Nie zdawała sobie sprawy z powagi swego stanu.

Podczas jednej rozmowy telefonicznej Heather nakreśliła portret matki jako osoby wiecznie niezadowolonej z życia. Według Barbary, wszyscy Szkoci (poza Williamem) byli brzydki i fatalnie ubrani, Szkotki zaś jeszcze brzydsze i kompletnie pozbawione gustu. Whisky była przekleństwem, nie tylko jako przyczyna alkoholizmu (William nie pił), lecz również dlatego, że zabijała kubki smakowe, uniemożliwiając Szkotom rozpoznanie podłej jakości serwowanych przez nich potraw. Barbara uważała, że kilty, podobnie jak ulubione wśród Bawarczyków skórzane spodnie na szelkach, powinny być noszone wyłącznie przez dzieci. (William w życiu nie włożyłby spódniczki). Latem, kiedy wreszcie nastąpiła poprawa pogody, do miasta zjeżdżało zbyt wielu turystów, zwłaszcza Amerykanów. Barbara miała alergię na wełnę, a pledy w szkocką kratę budziły jej żywą niechęć.

Heather zdradziła pannie Wurtz, że matka była tak wyczerpana opieką nad jednym dzieckiem, iż myśl o posiadaniu większej gromadki (co było gorącym pragnieniem Williama) wywoływała jej ostry sprzeciw. Mimo to zmniejszyła (o połowę) liczbę zajęć, aby spędzać więcej czasu z Heather, co kosztowało ją wiele samozaparcia.

Jako dziecko rozwiedzionych rodziców tak panicznie bała się separacji i rozwodu, że co pewien czas nachodziły ją podejrzenia, że William ma zamiar ją porzucić. Były to podejrzenia całkowicie nieuzasadnione, albowiem William był (według określenia Heather) „ślepo oddany” neurotycznej żonie. Obwinał się za jej złe samopoczucie oraz wyjazd z Niemiec. Zaproponował nawet powrót, lecz zdaniem Barbary, wyjazd z Edynburga unieszczęśliwiłby męża tak bardzo, iż ten tylko przyspieszyłby swoje plany rozwodowe.

Zanim jej rodzice się rozwiedli, Barbara Steiner uwielbiała jeździć z nimi (każdej zimy i wiosny) na narty w szwajcarskie i austriackie Alpy. Po rozwodzie owe wyprawy, odbywane tylko z matką lub ojcem, zyskały formę wymuszonej rekreacji i kojarzyły się z atletycznym stoicyzmem oraz cichymi kolacjami, podczas których jedno z rodziców nadużywało wina. Mimo to w rozmowach z Heather Barbara wypowiadała nazwy kurortów z takim nabożeństwem, jakby były imionami świętych w ustach świeżo nawróconej katoliczki.

St. Anton, Klosters, Lech, Wengen, Zermatt, St. Christoph. Podczas pobytu w Niemczech Barbara nauczyła Williama jazdy na nartach, z mizernym skutkiem. (Jack nie bez trudu wyobrażał sobie ojca, wytatuowanego organistę, na deskach). Jednakże Szkocję i Alpy dzieliła znaczna odległość.

- Jak będziesz duża, zabierzemy cię na narty - obiecywała Heather matka.

Łatwo sobie wyobrazić, że opowieść panny Wurtz przywołała echo litanii Alice.

Lecz rzekomy chroniczny bronchit okazał się rakiem płuc: Barbara wierzyła, że „złapała” go (jak grypę) w Edynburgu. „Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby rak płuc wywodził się ze Szkocji”, żartowała, zanosząc się kaszlem. Oznaczało to śmierć jej kariery, ale nie jej samej.

Heather była wówczas za mała, aby zapamiętać jakiegokolwiek pozytywne aspekty matczynej terapii. Naświetlań nie pamiętała, z chemioterapii zaś najbardziej utkwily jej w pamięci „wymioty” oraz „peruka”. Panna Wurtz sądziła, że dziewczynka musiała mieć wówczas jakieś pięć lat. Heather jak przez mgłę pamiętała pierwszy wyjazd do Klosters na narty, głównie dlatego, że Barbara cierpiała z uwagi na fakt, iż zmęczenie nie pozwala jej szusować.

Jack wyraził przypuszczenie, że nie sposób polegać na wspomnieniach pięciolatki. Panna Wurtz nie przyznała mu racji: pomimo młodego wówczas wieku jego siostra zachowała żywe wspomnienia o matce. Barbara Steiner nie znosiła lewostronnego ruchu pojazdów. Przypominała, ilu zagranicznych turystów ginęło z tego powodu na drogach każdego lata. (Schodzili z krawężnika, spoglądając w lewo zamiast w prawo).

„Jeśli nie wykończy mnie nawrót choroby - mawiała do męża oraz pięcioletniej córki - przysięgam, że zginę pod samochodem jadącym złą stroną ulicy”. Jej przewidywania okazały się słuszne.

Zeszła z krawężnika, gdzie było napisane jak byk SPÓJRZ W PRAWO. Chociaż mieszkała w Edynburgu od sześciu lat, spojrzała w lewo i zginęła pod kołami nadjeżdżającej taksówki.

- Heather chyba wspomniała, że stało się to nieopodal Charlotte Square - poinformowała Jacka panna Wurtz. - W Edynburgu odbywały się targi książki, Barbara zabrała córkę na odczyt autora opowiadań dla dzieci. Kiedy po skończonym odczycie miały przejść przez ulicę, Heather wyciągnęła rączkę w stronę matki. Spojrzała w prawo i zobaczyła nadjeżdżającą taksówkę. Matka popatrzyła w niewłaściwą stronę i zeszła z krawężnika. Poniosła śmierć na miejscu. Heather pamięta, że jej palce musnęły tylko matczyną dłoń.

Jack nie wiedział, czyjego siostra dobrowolnie ujawniła nauczycielce owe bolesne szczegóły, czy też panna Wurtz musiała je z niej wyciągać. Wiedział tylko, że Caroline lubiła „dramatyzować”, stąd informacja na temat peruki, która sfrunęła z głowy Barbary Steiner, oraz tego, że Heather i jej matka (pod naciskiem tej ostatniej) rozmawiały ze sobą tylko po niemiecku.

Świadkowie zdarzenia ze zdumieniem przyjęli fakt, że rozhisteryzowana pięciolatka wykrzykuje coś w obcym języku. (Wśród nich było wielu rodziców z dziećmi, którzy uczestniczyli w tym samym odczycie). Raport policji zawierał wiele błędnych informacji: niemiecka turystka potrącona przez samochód, łysa kobieta bez jakiegokolwiek dowodu tożsamości, pięcioletnia córka mówiąca tylko po niemiecku.

Gwoli ścisłości, Barbara miała przy sobie torebkę, która musiała wypaść jej z ręki i zaginęła bezpowrotnie, podobnie jak peruka. Kiedy Heather przestała płakać, powiedziała policjantowi po angielsku, że chce „do domu”, po czym wzięła go za rękę i pokazała mu drogę. Wszędzie chodziła z rodzicami na piechotę: nikt z rodziny (łącznie z Heather, gdy dorosła) nie umiał prowadzić.

Tym sposobem William Burns stał się samotnym ojcem pięcioletniej córki.

- Znając Williama - oznajmiła panna Wurtz - obwiniał się również o śmierć matki biednego dziecka.

- Heather tak powiedziała? - spytał Jack.

- Oczywiście że tak nie powiedziała, Jack! Ale znam Williama. Wybaczył twojej matce wszystko, ale nigdy nie wybaczył sobie.

- A teraz postradał zmysły?

- Powinieneś porozmawiać z siostrą. Musisz się z nią spotkać, zanim będzie za późno.

Ale czy Heather chciała się z nim spotkać? (Zastanawiał się, czy nie powinien najpierw wysłać jej czeku).

- Zadzwoń i sam ją zapytaj - poradziła mu panna Wurtz. - Jestem pewna, że wiele was łączy.

- Na przykład co, Caroline?

- Oboje nie przepadaliscie za swoimi matkami.

- Kiedy byłem mały, kochałem moją matkę - zaznaczył Jack.

- Na miłość boską, Jack, jestem pewna, że Heather też. Mimo to wie, że Barbara potrafiła być bardzo trudna. Czy to ci czegoś nie przypomina?

Panna Wurtz była przekonana, że William wcale nie porzucił Jacka: przeciwnie, bardzo się o niego troszczył. Układ z Alice przynajmniej wymusił na niej pozornie wzorowe postępowanie. Jack uczęszczał do dobrych szkół, był syty, domyty i nie padł ofiarą niczyjej niegodziwości (tak zdawało się Alice).

Panna Wurtz uważała ponadto (pomimo wątpliwej sympatii do Alice), że matka uchroniła Jacka przed tak zwanymi dorosłymi wyborami własnego mrocznego życia. (Bez względu na Leslie Oastler oraz co niektórych znajomych z branży).

- Kiedy znajdziesz Williama, niezwłocznie daj mi znać, jak się czuje - poprosiła panna Wurtz. - Tymczasem dziękuj Bogu, że masz siostrę.

- Mam siostrę - powtórzył Jack.

Taką wiadomość zostawił na automatycznej sekretarce doktor Garcii: było jeszcze za wcześnie, aby umówić się na wizytę. Odkrycie, że ma siostrę, należało do kategorii „informacji niekompletnych”, które nie zasługiwały na to, aby dzwonić do terapeutki do domu.

Jack zatelefonował więc do siostry. W Santa Monica była dopiero godzina siódma rano, w Toronto zaś (skąd dzwoniła panna Wurtz) dziesiąta, lecz w Edynburgu zbliżał się wieczór. Kiedy Heather podniosła słuchawkę, Jack usłyszał w tle muzykę, głosy i organy, może trąbki.

- Chwileczkę - powiedziała jego siostra, ściszejając płytę.

- Tu Jack Burns, twój brat - powiedział Jack.

- Tu Heather, twoja siostra przyrodnia, ściśle rzecz biorąc - odpowiedziała Heather. - Wiesz, mam wrażenie, jakbym cię dobrze znała. Zupełnie jakbyśmy razem dorastali. „Gdyby twój brat cię znał, na pewno by cię kochał”, powtarzał co wieczór tata, kładąc mnie spać. I zawsze wołał: „Mam syna!”, „Mam syna i córkę!”. Bywał męczący, ale wiedziałam, o co mu chodzi.

- Żałuję, że nie mogliśmy razem dorastać.

- Jeszcze tego nie wiesz - zaznaczyła. Mówiła rzeczowym głosem, prawie bez szkockiego akcentu. (Wydało mu się, że słyszy naleciałości irlandzkie: pewnie był to skutek pobytu w Belfaście, a może wpływ chłopaka). Heather sprawiała wrażenie praktycznej osóбки.

- Chcę się z tobą spotkać - powiedział.

- Tego też jeszcze nie wiesz, Jacku Burns - odrzekła Heather. - Czuję się nieswojo, prosząc cię o pieniądze, ale bardzo ich potrzebuję. Potrzebują ich nasz ojciec, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Troszczył się o mnie, ja zrobię to samo.

- Tylko bez efekciarstwa, panie gwiazdorze filmowy - zastrzegła Heather. - Mów wyłącznie to, co myślisz.

- Mówię to, co myślę.

- Wobec tego musisz przyjechać. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Powinienem tam być, kiedy szłaś na pierwszą randkę - oświadczył Jack. - Udzieliłbym ci paru ostrzeżeń.

- Tylko bez takich, jak ująłby to Billy Rainbow - odparła Heather. - Ja też miałabym coś niecoś do powiedzenia na temat twoich dziewczyn.

- Absolutnie - przytaknął Jack. To też była jedna z kwestii Billy'ego Rainbo-wa. (Zawsze prawil banały, ale miał szczere intencje).

- Mówisz zupełnie jak on - orzekła Heather. - To znaczy Billy Rainbow.

- Ale poza tym w ogóle go nie przypominam. Tak naprawdę jestem kimś zupełnie innym - odrzekł w nadziei, że to prawda. Jego siostra milczała. W tle nadal płynęły dźwięki muzyki, brzmiało to jak pieśń kościelna. - Mam siostrę - powiedział. (Ostatnie słowa wpasowały się w melodię jak ulał).

- Owszem, Jacku Burns. Masz również ojca. Ale powiem ci, jak sprawa wygląda - oświadczyła Heather. - Uda ci się do niego dotrzeć tylko za moim pośrednictwem. Inna możliwość nie wchodzi w grę, za żadne pieniądze!

- Możesz mi zaufać, Heather.

- Tylko za moim pośrednictwem - powtórzyła. - Najpierw musisz zdobyć moje zaufanie.

- Przysięgam na Boga, że możesz mi ufać, Heather.

- Przysięgasz na Boga? Jesteś religijny, Jacku Burns?

- Właściwie nie - przyznał.

- Cóż, ale on tak. Na to też lepiej się przygotuj.

- A ty jesteś religijna, Heather?

- Nie na tyle, aby wybaczyć twojej matce - odpowiedziała. - Nie na tyle religijna. Ale on tak.

Po śmierci Barbary Steiner William Burns i jego córka naprawdę nauczyli się jeździć na nartach. Jeździli w góry raz do roku, na tydzień lub dziesięć dni, w jedno z owych miejsc o świątobliwych nazwach. Po pewnym czasie zaczęli również bywać w Davos i Pontresinie. Narciarstwo, podobnie jak muzyka oraz wszystko, co razem robili, stało się dla nich rytuałem. (Zdaniem Heather, zyskali w tej dziedzinie względną biegłość).

Heather powiedziała Jackowi, że zaczęła grać na fortepianie rok po śmierci matki, kiedy miała sześć lat. William Burns zachęcał córkę, aby ćwiczyła sama, pięć godzin dziennie. Jako nastolatka zainteresowała się grą na flecie. „Flet to bardziej towarzyski instrument”, wyjaśniła, dodając, iż to właśnie owa pasja skłoniła ją do zrobienia doktoratu w Belfaście. W muzyce irlandzkiej jest dużo partii fletu.

Jej chłopak nadal przebywał w Irlandii. Heather nie łudziła się, że związek na odległość ma jakiegokolwiek szanse przetrwania. Grali jednak razem w irlandzkim zespole i sporo podróżowali. Na Wielkanoc pojechali do Portugalii. („Lubię go w małych dawkach”, poinformowała lakonicznie Heather).

Jako młodszy wykładowca zarabiała dwadzieścia dwa tysiące funtów rocznie. W Belfaście płaciła trzysta osiemdziesiąt funtów miesięcznie za wynajem mieszkania z dwiema sypialniami, w Edynburgu zaś trzysta funtów za pokój w mieszkaniu, które dzieliła z pięciorgiem współlokatorów. Niemniej jednak przedłużono jej umowę: dostanie podwyżkę i w przyszłym roku zarobi dwadzieścia trzy tysiące. Na razie lubiła Edynburg i swoją pracę: jeszcze pięć, sześć lat, może uda jej się coś wydać, wyjdzie na swoje i będzie mogła pomyśleć o rodzinie. Mimo to wątpi, czy zostanie w Szkocji. (W rozmowie z Jackiem ograniczyła się do informacji, że ma „inne plany”).

Przez ostatni rok w Belfaście grała na organach w kościele. John Kitchen, jeden z jej starszych współpracowników na uniwersytecie w Edynburgu, grał u Świętego Pawła od 1988 roku, kiedy to artretyzm narzucił Williamowi konieczność rezygnacji z funkcji głównego organisty. Przez blisko piętnaście lat William dalej pełnił swoje obowiązki, oficjalnie jako

asystent Johna Kitchena. Obecnie zastępowała go Heather. Powiedziała Jackowi, że Kitchen to długoletni przyjaciel Williama. (Był dla niej „jak wujek”, dodała).

Raz w tygodniu grała wieczorem na flecie w „Central Bar”, pubie przy końcu Leith Walk.

- Pokażę ci go, jak przyjedziesz - obiecała.
- Chcę wiedzieć o tobie wszystko - powiedział.
- Jeszcze tego nie wiesz - przypomniała mu Heather.

Jack zaparkował audi na Montana Avenue. Czekał, aż Elizabeth, rejestratorka doktor Garcii, przyjdzie i otworzy gabinet. Będzie pierwszą osobą, która odsłucha jego wiadomość na temat siostry. Pozwoli jej odsłuchać wszystkie wiadomości z automatycznej sekretarki, a potem zapyta, czy może wejść pierwszy.

Nie zaglądał więc do poczekalni, tylko czekał w samochodzie. Elizabeth zwykle dzwoniła do niego na komórkę, wówczas wkładał monety do parkometru i wchodził do środka. Doktor Garcia zauważyła, że jego obecność doprowadza młode matki (a czasami ich przyjaciółki lub nianie) do „granic hysterii”.

Kiedy zobaczył nadchodzącą Elizabeth, słuchał właśnie płyty Emmylou Harris, wystukując palcami rytm na kierownicy do wtóru piosenki „Twardszy od innych”. Rejestratorka potrząsnęła kluczami, ale muzyka zagłuszyła brzęk.

- Ja ci dam twardszego od innych - powiedziała Elizabeth, wpuszczając go do przychodni. Była wysoką pięćdziesięciolatką o ostrych rysach i szpakowatych włosach, zawsze związanych w koński ogon. Napięte mięśnie karku nadawały jej pewne podobieństwo do pani Machado.

- Zostawiłem wiadomość - poinformował Jack.

- Wiem. Niczego sobie. Zawsze odsłuchuję wiadomości w samochodzie - wyjaśniła. - Domyślam się, że chcesz wejść pierwszy.

- Byłbym wdzięczny, Elizabeth.

Usiadł w gabinecie doktor Garcii, a Elizabeth zajęła się parzeniem kawy. Jack nigdy dotąd nie był tu sam. Bez skrępowania przyjrzał się fotografiom, odnotowując, że terapeutka jest na nich młodsza, niż początkowo sądził. Jeśli dzieci ze zdjęć były jej dziećmi, zapewne już dorosły i pozakładały własne rodziny.

- Ile lat ma doktor Garcia? - zapytał, kiedy Elizabeth przyniosła mu filiżankę kawy.

- Sześćdziesiąt jeden.

Jack nie posiadał się ze zdumienia. Wyglądała na znacznie młodszą.

- A mężczyzna ze zdjęć? - podjął. - Czy to jej mąż, czy ojciec?

- Był jej mężem - odrzekła Elizabeth. - Nie żyje od blisko dwudziestu lat. Zmarł, zanim ją poznałam.

Być może to tłumaczyło jego widmową obecność na fotografiach: przestał być członkiem rodziny, a stał się duchem, który ją nawiedza.

- Nie wyszła powtórnie za mąż?

- Nie. Mieszka z jedną z córek i jej rodziną. Ma tyle wnucząt, że nie sposób ich zliczyć.

Okazało się, że nim Elizabeth rozpoczęła pracę u doktor Garcii, najpierw była jej pacjentką; po rozwodzie miała problemy z alkoholem i straciła prawo do opieki nad jedynakiem. Kiedy przestała pić i dostała pracę, chłopiec (obecnie nastolatek) postanowił zamieszkać z matką. Elizabeth twierdziła, że doktor Garcia uratowała jej życie.

Jack znów został sam w gabinecie; w towarzystwie zastygłej w czasie rodziny czuł się mało znaczący. Uderzyło go, że terapeutka powiesiła w gabinecie fotografię z czasów sprzed śmierci męża, jako przestrożę przed użalaniem się nad sobą. (Zawsze powtarzała pacjentom, że żal nad samym sobą nie stanowi części terapii).

Żyj dalej, mówiły zdjęcia. Nie zapominaj o przeszłości, lecz zdobądź się na przebaczenie.

W domu córki, gdzie mieszkała jako babcia (Jack podejrzewał, że dość surowa), zapewne znajdowały się nowsze fotografie. (Przedstawiające dorosłe dzieci, niezliczone wnuki, może czworonogich ulubieńców rodziny). Jednakże w miejscu pracy, gdzie doktor Garcia pomagała cierpiącym na permanentny żal nad sobą, wyeksponowała świadectwo dawnych radości i trwałego smutku. Kiedyś wspomniała Elizabeth, iż zawsze wiedziała, że jeśli wyjdzie za starszego mężczyznę, zapewne go przeżyje. „Nie wiedziałam tylko, o ile lat!”, dodała ze śmiechem.

- Ze śmiechem? - powtórzył Jack. - Naprawdę się śmiała?

- To dopiero sztuka, prawda? - odrzekła Elizabeth.

Szczerłość Elizabeth stanowiła kolejny przejaw swobody, który wzbudziłby dezaprobatę w Wiedniu lub Nowym Jorku. Jack był skłonny podejrzewać, że nacisk na porządek chronologiczny również nie spotkałby się ze zrozumieniem tamtejszych psychiatrów.

Na biurku doktor Garcii leżał bloczek recept. Jack uznał, że to, co chce powiedzieć, zmieści się na jednej kartce. Zwłaszcza jeśli spróbuje pisać drobnym maczkiem.

Szanowna doktor Garcia,

Jadę do Edynburga na spotkanie z siostrą, a może nawet z ojcem! Po powrocie opowiem Pani wszystko w porządku chronologicznym.

Przykro mi z powodu Pani męża.

Z poważaniem Jack

Następnie przeszedł do poczekalni, gdzie opiekunka czytała książkę cztero- lub pięcioletniemu dziecku. (W świecie prowizorycznych rozwiązań Jack nigdy nie postawił sobie pytania, dlaczego młode matki nie zostawiają po prostu dzieci w domu, pod opieką niań). Dziewczyna uniosła wzrok, ale dziecko nie zwróciło na Jacka uwagi. Jedna z młodych matek leżała na sofie w pozycji embrionalnej, tyłem do sali. Jej ramiona podrygiwały, ale Jack nie słyszał płaczu.

- Zostawiłem doktor Garcii wiadomość, leży na biurku - powiedział do Elizabeth.

- Czy mam jej coś przekazać? - zapytała rejestratorka.

- Przekaż, że dzisiejsza wizyta nie jest konieczna - odparł. - I że byłem wesoły.

- Hm, dostrzegam tu pewną przesadę. Co powiesz na „weselszy niż zwykle”?

- podsunęła Elizabeth.

- Może być - zgodził się.

- Uważaj na siebie, Jack. Nie szalej, i w ogóle.

Jack miał trzydzieści osiem lat, a jego siostra Heather dwadzieścia osiem. Jak poznać się kogoś, kogo powinno się znać przez większość życia? Jack zastosował taktykę wymijającą. Przyjechał do Edynburga dzień wcześniej, niż zapowiedział. Chciał pozłatwić sprawy związane z matką. To ojciec połączył go z Heather. Siostra nie miała z Alice nic wspólnego i Jack chciał, aby tak zostało.

Odźwierny w „Balmoral”, młodzieniec w spódniczce, pierwszy zapytał Jacka, czy przyjechał na „festiwal”. To pytanie miało padać jeszcze wielokrotnie.

Jack zajął pokój narożny, wychodzący na Princes Street. (Miał widok na chaotycznie wyglądający park z trampoliną). Princes Street tętniła życiem: roilo się tu od ludzi z torbami na zakupy oraz turystów składających i rozkładających mapy. Z pomocą recepcjonisty Jack wynajął samochód z kierowcą, aby pojechać do Leith, na stare śmieci Alice. Było tam mniej tłoczno: najwyraźniej miejsce nie cieszyło się wielką popularnością.

Kierowca miał za luźną sztuczną szczękę, nosił imię Rory i mówiąc, postukiwał zębami.

Jack chciał zobaczyć Świętego Tomasza, gdzie Alice niewinnie śpiewała w chórze, zanim poznała Williama w kościele parafialnym w South Leith. Kościół przestał istnieć, jednakże Rory, który urodził się w Leith, znał jego historię i położenie. Od ponad dwudziestu lat Święty Tomasz pełnił funkcję świątyni sikhów. Widok dawnego szpitala Leith, który niegdyś tak bardzo przygnębiał Alice, że postanowiła zmienić kościół, nadal robił przygnębiające wrażenie. Rory poinformował Jacka, że dawny szpital jest obecnie kliniką dla pacjentów ambulatoryjnych. Nieużywaną część budynku kompletnie zaniedbano, połowa okien na parterze miała wybite szyby.

Jack wiedział, co powiedziałyby doktor Garcia, gdyby towarzyszyła im w tej wyprawie. „Skoro Święty Tomasz nie istnieje, skoro cały kościół zerwał z przeszłością, dlaczego ty nie możesz postąpić tak samo?”

Kościół parafialny South Leith, gdzie Alice po raz pierwszy zaśpiewała dla Williama, wywarł na Jacku o wiele głębsze wrażenie. Otaczające cmentarz wysokie mury wzdłuż Constitution Street kontrastowały z pochyłym obeliskiem. Napis głosił: TUTAJ SPOCZYWAJĄ SZCZĄTKI ROBERTA CALDCLEUGHA. Niżej widniała prawie nieczytelna data: 1482. Jack odkrył, że ostatni kamień nagrobny pochodzi z 1972 roku.

Nie chciałby zostać tu pochowany. Leżąc na cmentarzu twarzą na południe, człowiek przez resztę życia pośmiertnego spoglądał na brzydki siedemnastopiętrowy blok.

Co do okolic Leith Walk, gdzie most kolejowy łączył dawniej Mandelson Street z Jane Street (salon Aberdeen Billa prosperował wśród łoskotu przejeżdżających pociągów), nie pozostał nawet ślad po „starych kamienicach”, które opisywała Jackowi Alice. (W czasach jej dzieciństwa były to sklepiki z mieszkaniami na górze, „minimum wygody i bezpieczeństwa”. Tak przynajmniej twierdziła). Po moście pozostały jednak tylko łukowate sklepienia, służące jako garaże; wśród nich wyróżniał się warsztat Volkswagena.

Mieszkania były tu nowsze aniżeli sfatygowane dziewiętnastowieczne budynki, przeważające wzdłuż Leith Walk, nie pogardzane przez Alice „stare kamienice”, ale przytulki dla starców. Powstały w latach siedemdziesiątych dla, jak powiedział Rory, „wdowców i wdów”.

Jack nie mógł znaleźć kina, które - według słów matki - miało znajdować się o „rzut beretem” od pracowni Billa. Rory pamiętał, gdzie się mieściło: obecnie był to salon gry w bingo o nazwie „Mekka”.

Na Leith Walk nie brakowało sklepów spożywczych, które Rory nazywał „sklepikami na rogu”. Większość dzielnic pełniła funkcję mieszkalną, były tu jednak również liczne puby, lokale z jedzeniem na wynos oraz wszechobecne punkty z kasetami i sprzętem wideo.

Okolica zdawała się zamieszkała głównie przez młodych ludzi, których przeważającą większość stanowili Azjaci.

Alice wspomniała kiedyś o podnieceniu, jakie towarzyszyło jej podczas pierwszej wizyty na dworcu centralnym w Leith. Obecnie był to „Central Bar”, gdzie siostra Jacka grała na drewnianym flecie. Rory napomknął, że jeszcze w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych występowały tu striptizerki. Wczesnym popołudniem, kiedy Jack zajrzał do środka, nie było żadnych striptizerek. Z szafy grającej płynęły dźwięki „My way” Franka Sinatry. Dym osnuwał wykafelkowane ściany, podłużne lustra oraz bogato zdobiony, wysoki wiktoriański sufit.

Na skrzyżowaniu Constitution Street i Bernard Street Jack zobaczył na rogu bank oraz biuro o wyglądzie siedziby firmy spedycyjnej. Minęli most nad Water of Leith i wjechali w Dock Place. Jack przypomniał sobie piosenkę śpiewaną przez matkę, kiedy była pod wpływem alkoholu bądź narkotyków. Piosenkę, którą pierwszy raz usłyszał w Amsterdamie. Uznał ją wówczas za matczyną mantrę.

*Nie, nie będę zuzią,
Ani lolą,
Ani fruzią.
Prędzej wolę w kozie zgnić,
Niżli na ulicy tkwić.
Nie, nie będę zuzią,
Zmykaj stąd, niebożę.
Bo ja za nic w świecie Nóżek nie rozłożę.*

Jego szkocki akcent wymagał podszlifowania, ale zaśpiewał piosenkę Rory’emu, który słyszał ją po raz pierwszy w życiu. Dock Place robiła wcale sympatyczne wrażenie, przynajmniej zdaniem Jacka. (Jeśli to właśnie tutaj zaglądały wspomniane „fruzie”, musiały dawno zwinąć manatki).

Wrócili do „Balmoral”, gdzie Jack uciął sobie popołudniową drzemkę. Spał tylko dwie lub trzy godziny, ale skutki zmiany strefy czasowej i tak minęły, jak ręką odjął. Po kolacji w hotelu wyszedł na Princes Street i zapytał odźwiernego o dobry pub w Leith. Nie chciał pić, ale miał ochotę wysączyć piwo w nieokreślonej atmosferze rodzinnych stron matki. (Może udawał, że jest swoim dziadkiem, Aberdeen Billem).

Odźwierny polecił mu dwa miejsca, oba znajdowały się na Constitution Street, bardzo blisko siebie. Jack wezwał taksówkę i kazał kierowcy poczekać: był pewien, że nie zabawi długo. „Port o’ Leith”, gdzie udał się najpierw, był mały i zatłoczony. Cechowała go dość zróżnicowana klientela: obok stałych bywalców (w większości miejscowych starych wygów) zaglądali tam marynarze oraz młodzi studenci, którzy jeszcze nie rozsmakowali się w alkoholu. (Wysokoprocentowe trunki były dozwolone od lat osiemnastu, co, według obserwacji Jacka, w praktyce oznaczało szesnaście).

Na suficie ułożono mozaikę z flag, na ścianach zaś wisały wstęgi z marynarskich kapeluszy oraz koła ratunkowe z okrętów. Na lustrze zawieszono znak ZACHOWAĆ LEITH. Barmanka wyjaśniła Jackowi, że chodziło o kwestię polityczną. Była to odpowiedź na oburzający plan przemianowania Leith na Północny Edynburg.

Jack podziękował za przekąski, wśród których znajdował się specjał o nazwie „świńskie zdraпки”, i ograniczył się do szkockiego portera.

Nieco dalej na Constitution Street znajdował się mroczny wiktoriański lokal pod szyldem „Nobles Bar”. W porównaniu z „Port o’ Leith” świecił pustkami, lecz nawet tłum z pierwszego pubu zdołałby go zapełnić jedynie w nikłej części.

W lokalu nie było kobiet, Jack ujrzał tylko niespełna pół tuzina życiowych nieudaczników o zapuchniętych oczach, ziemistej cerze i z galerią zgoła zróżnicowanych nosów. Przy zamówieniu wahał się pomiędzy Newcastle Brown Ale oraz czymś o nazwie Black Douglas, co w sumie nie miało znaczenia, gdyż wiedział, że nie dopije ani jednego, ani drugiego. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był w barze, nie zostając przez nikogo rozpoznany. Owego wieczoru zdarzyło mu się to dwukrotnie.

Po powrocie do hotelu zamówił wodę mineralną w barze, gdzie leciał utwór „Lay, lady, lay” Boba Dylana. Stara piosenka wprawiła go w niemałe zaskoczenie. Zegnał się z matką, nie podejrzewając, by cokolwiek mogło ją tu wskrzesić. Bob Dylan był w tej kwestii niezawodny.

- Przyjechał pan na festiwal, panie Burns? - spytał barman.

- Szczerze powiedziawszy, moja matka się tu urodziła - wyznał. - Zwiedzałem jej stare kąty w Leith. Poza tym mieszka tutaj moja siostra. Jutro ją zobaczę. - Nie dodał: „Po raz pierwszy!”.

Umówił się z Heather w kafeterii zwanej „Słonie i Bajgle” na Nicolson Square. Lokal znajdował się dziesięć minut drogi pieszo od hotelu, w pobliżu uniwersytetu. Pomieszczenia wydziału muzycznego oraz sale do ćwiczeń mieściły się w Alison House na Nicolson Square.

Jack minął most Północny ponad bocznica dla pociągów Kolei Brytyjskich. Przeszedł obok wielkiego szklanego budynku na Nicolson Street, Teatru Festiwalowego, i skręcił w Nicolson Square. Swoim zwyczajem zjawił się przed czasem. W kafeterii usiadł przy stoliku opodal drzwi i zamówił kubek kawy. Reklama kafeterii głosiła: NAJLEPSZE LEKARSTWO NA KACA W EDYNBURGU.

Ściany wymalowano na jaskrawożółty kolor. W oknach ustawiono rośliny, Jack zobaczył też szklaną gablotę z figurkami słoni: kamiennych, drewnianych, ceramicznych i porcelanowych. Dużą, okrągłą kolumnę pokrywały dziecięce rysunki, ptaszki, drzewa oraz oczywiście słonie. W kafeterii panowała edukacyjna, acz swobodna atmosfera przedszkola.

Kiedy Heather weszła do środka, Jack początkowo nie dostrzegł łączącego ich podobieństwa. Miała krótkie, jasne włosy matki Niemki, ale brązowe oczy i ostre rysy Jacka i Williama. Była smukła, a zarazem umięśniona, drobna i gibka jak dżokej. Nosila okulary w rogowych oprawkach, ze szklami o migdałowym kształcie; krótkowzroczna jak matka, odmawiała noszenia kontaktów. Nie znosiła „czuć coś w oczach”. Postanowiła poczekać jeszcze parę lat z operacją laserową. (Jack dowiedział się tego wszystkiego, jeszcze zanim usiadła).

Podali sobie ręce, ale się nie pocałowali. Heather zamówiła herbatę, nie kawę.

- Wyglądasz zupełnie jak on - oznajmiła. - To znaczy, mniej przypominasz Jacka Burnsa, a bardziej naszego tatę.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę - odpowiedział.

- Musisz poczekać - odparła.

- Tak się tylko mówi - rzekł.

Oboje nie kryli zdenerwowania.

Heather opowiedziała mu o swoich współlokatorach. Zamierzała wkrótce się wyprowadzić, z jeszcze jedną dziewczyną. Dwoje z jej współlokatorów prowadziło klinikę antynikotynową: byli weganami, którzy wierzyli, że przedmioty o ostrym kształcie przyciągają złą energię. Heather zapoczątkowała w aneksie kuchennym małą kolekcję kaktusów, ale dostała polecenie, aby ją zlikwidować: „za dużo igieł”. Weganie ubłagali też gospodarza, aby usunął z dachu metalową chorągiewkę. Moja siostra mieszka z wariatami, pomyślał Jack.

Powiedział, że sprzedaje dom w Santa Monica, ale nie ma pojęcia, gdzie zamieszka.

Heather wiedziała, że zameldował się w hotelu jako Harry Mocco. Zdziwiło ją to niezmiernie. Jack zapytał, czego dokładnie uczy. (Prowadziła pięć kursów: zajęcia z historii i teorii muzyki, głównie dla początkujących, oraz ćwiczenia z fortepianu).

- Nasz wydział to same staruchy! - zakomunikowała prostolinijnie.

Jack uznał, że w okularach jest jej bardzo do twarzy. Otaczała ją aura akademickiej niedostępności. Prawie wcale się nie malowała. Miała na sobie ładną płócienną spódnicę oraz dopasowaną koszulkę i solidne buty.

Jack chciał zobaczyć, gdzie Heather mieszka i pracuje. Po drodze poruszała palcami, jakby podświadomie uderzała w klawisze fortepianu lub organów.

Sale do ćwiczeń w piwnicach Alison House przypominały więzienne cele. Były to kwadratowe pomieszczenia o marnej wentylacji, pomalowane na przybrudzoną groszkową zielen. Podłogi wyłożono ohydny pomarańczowym linoleum. Rzęsiste fluorescencyjne światło stanowiło, zdaniem Heather, zagrożenie dla równowagi psychicznej.

Jack pomyślał, że wzmianka o równowadze psychicznej naprowadzi ich na temat ojca, lecz oboje przechodzili syndrom pierwszej randki. (Najpierw musieli przebrnąć przez szereg trywialnych tematów, by wreszcie poruszyć sprawy istotne).

Sala wykładowa w Alison House okazała się przyjemniejsza niż pomieszczenia do ćwiczeń. Ogromne okna wpuszczały dużo naturalnego światła, chociaż wychodziły na stary kamienny budynek. W sali znajdowały się dwa pianina oraz małe organy, ale kiedy Jack poprosił Heather, żeby mu coś zagrała, ona przecząco pokręciła głową i zaprowadziła go na wąskie, kręte schody, prowadzące do jej gabinetu. Odniósł wrażenie, że siostra woli, aby siedł przed nią.

- Czy możemy o nim porozmawiać? - zapytał. - Moglibyśmy zacząć od artretyzmu, jeśli tak będzie łatwiej.

Heather utkwiała wzrok w niebieskim chodniku na podłodze gabinetu, a jej palce poszukały klawiszy widocznych tylko dla jej oczu, po czym skubnęły rąbek spódnicy. Kremowe ściany miały plamistą, nierówną fakturę. W pokoju znajdowały się dwa biurka: na większym stał komputer, na mniejszym leżał niemiecki słownik. Sprzęt stereofoniczny zapewne przewyższał wartością pozostałe zgromadzone tu przedmioty, łącznie z małym pianinem. Było tu więcej płyt niż książek, a na ścianie wisiała korkowa tablica z sepiową podobizną Brahmsa. Przypięto do niej również pocztówkę przedstawiającą wiekowy klawikord, z rodzaju tych, jakie widuje się w muzeach. Pewnie dostała ją od przyjaciela, może chłopaka, a może od Williama, jeśli ten w ogóle zdolny był wysyłać pocztówki.

- Chcę cię poznać po trochu - powiedziała Heather, nie odrywając wzroku od chodniczka. Miała wąskie usta Jacka, jej górną wargę tworzyła mała, równa kreska.

- Ciasno tu, ale przytulnie - zawyrokował Jack, mając na myśli gabinet.

- Nie potrzebuję więcej przestrzeni, tylko czasu - odrzekła. - Lato to dobry okres, żadnych zajęć, mogę poświęcić się badaniom. W ciągu roku akademickiego udaje mi się pisać jedynie w czasie ferii wielkanocnych.

Jack skinął głową i popatrzył na Brahmsa, tak jakby ten rozumiał sens jej słów. (On sam nie pojmował go ni w żąb).

Heather zgasiła światło.

- Idź pierwszy - poprosiła, zanim ruszyli po schodach w dół. Może kiedy na nią nie patrzył, rozmowa kosztowała ją mniej wysiłku. - Tata chowa ręce albo wkłada rękawiczki. Wstydzi się deformacji. Zniekształcenia dotkniętych chorobą stawów rzucają się w oczy. Wyraźnie widać zgrubienia.

- Gdzie dokładnie są? - spytał Jack.

- W złączeniach stawów pomiędzy środkową a górną częścią palców. Ale jego dłonie nie wyglądają tak źle, jak mu się wydaje. Głównie chodzi o ból, który towarzyszy mu podczas gry.

- Nie może przestać grać?
- Gdy nie gra, kompletnie traci rozum - odpowiedziała Heather. - Rękawiczki nosi też dlatego, że wiecznie mu zimno.
- Niektórzy ludzie z tatuażami na całym ciele ciągle marzną - oznajmił Jack.
- Zalewasz - burknęła jego siostra. (Doszedł do wniosku, że sarkazm też odziedziczyła po matce).

Przeszli przez parking, mijając po drodze pozostałe budynki uniwersyteckie, a następnie przez Charles Street aż do George Square. Heather maszerowała szybkim krokiem. Nawet idąc obok Jacka, nie odwracała do niego twarzy podczas rozmowy.

- Artretyzm dokucza mi od ponad piętnastu lat - podjęła. - Choroba pociąga za sobą degenerację chrząstki oraz tak zwaną hipertrofię, czyli przerost kości stawów. Dla pianisty lub organisty to istna mordęga. Ból nasila się przy ruchu, maleje w okresach spoczynku. Im człowiek więcej gra, tym bardziej go boli. Ale ból rozgrzewa. - Uśmiechnęła się przy tych słowach. - To dla niego pozytywny aspekt sytuacji.

- Przecież musi być jakieś lekarstwo - zauważył Jack.
- Próbował wszystkich niesterydowych leków przeciwzapalnych. Podrażniają mu żołądek. Jest taki jak ty, nie nie je. Ty też nie jesz, prawda?
- Chcesz powiedzieć, że jest chudy?
- Delikatnie mówiąc - odrzekła Heather.

Minęli kilka namiotów festiwalowych i szli przez Meadows, duży park z alejami wysadzonymi drzewami wiśni. Kobieta z rakieta tenisową odbijała piłkę psu, który przynosił ją z powrotem.

- Dokąd idziemy? - spytał Jack.
- Podobno chciałeś zobaczyć, gdzie mieszkam.

Minęli Bruntsfield Links, małe pole golfowe; młody mężczyzna (bez piłeczki golfowej) trenował tam zamach kijem. Heather poinformowała Jacka rzeczowym tonem, że w czasie zarazy był tu otwarty masowy grób.

- Tata bierze suplement, glucosamine sulfat, pomieszany z chondroityną, czyli chrząstką rekina. Uważa, że to pomaga. - Ton Heather świadczył dobitnie, że ona sama jest odmiennego zdania. - Moczy też ręce w płynnej parafinie, którą miesza z oliwą z oliwek. Gorący wosk zastyga na jego dłoniach. Tata robi bałagan przy zdejmowaniu, ale sprawia mu to nieopisaną frajdę, co doskonale pasuje do jego zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych.

- Czego?
- Nie mówimy o jego stanie psychicznym, jeszcze nie - zaznaczyła Heather. - Wkłada też ręce do lodowatej wody. To trochę masochistyczna zagrywka dla kogoś, kto przez większość czasu dygocze z zimna, ale gorący wosk i lodowata woda przynoszą mu chwilową ulgę.

Dzień był ciepły i wietrzny, jednak sposób poruszania się Heather (spuszczona głowa, zgarbione plecy i rozkołysane ramiona) przywodził na myśl człowieka w oku cyklonu.

- Przez wszystkie lata, kiedy dorastałam, tata powtarzał mi codziennie, że kocha cię tak mocno jak mnie - powiedziała Heather, nadal unikając jego wzroku. - A ponieważ nie mogliście być razem, twierdził, że musi kochać mnie w dwojnasób. Że musi mnie kochać za dwoje.

Jej palce grały na niewidocznej klawiaturze powietrza. Jack nie nadażał za melodią płynącą w głowie siostry.

- Rzecz jasna, nienawidziłam cię z całego serca - podjęła. - Skoro kochał mnie za dwoje, ponieważ za tobą tęsknił, uznałam, że ciebie kocha bardziej. Każdy dzieciak pomyślałby tak na moim miejscu, prawda? - Nieoczekiwanie przystanąła i wbiła wzrok w Jacka. Nie czekając na odpowiedź, dodała: - Jesteśmy na miejscu. Moja ulica, mój dom. - Skrzyżowała ręce na drobnych piersiach, jakby wiedli gorączkowy spór.

- Ale chyba już mnie nie nienawidzisz, co? - zapytał.

- To się jeszcze zobaczy, Jack.

Ulica była bardzo ruchliwa, mnóstwo sklepików, sporo samochodów. Budynek miał pięć lub sześć pięter, ogrodzenie z kutego żelaza, czerwone drzwi. Wykafelkowane ściany w korytarzu, poręcz z metalu i drewna, kamienne schody.

- Idź pierwszy - poleciła raz jeszcze Heather.

Jack zastanawiał się, czy nie jest aby przesądna. Kiedy uszedł trzy piętra, odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Idź - ponagliła. - Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie pozwoli, aby Jack Burns oglądał ją na schodach. Byłabym tak stremowana, że przewróciłabym się jak nic.

- Dlaczego? - spytał.

- Myślałabym o tym, jak wypadam w porównaniu z pięknymi kobietami, których się sporo naoglądałeś. Od tyłu i w ogóle.

- Winda jest popsuta?

- Nie ma windy - odparła. - Trzeba drałować po schodach na piąte piętro. W Edynburgu nie brakuje wysokich sufitów, które z kolei oznaczają masę schodów.

Ściany w korytarzu utrzymano w ciepłych, stonowanych barwach: rozbielone-go różu, kości słoniowej i mahoni. W samym mieszkaniu były wspomniane przez Heather wysokie sufity oraz jaskrawe ściany: salon pomalowano na czerwono, a kuchnię na żółto. Jedynym świadectwem sporej liczby mieszkańców były dwie kuchenki i dwie lodówki. Wszędzie panował nieskazitelny ład i porządek, co zapewne ułatwiało wszystkim życie. Jack nie zapytał, ile jest łazienek. (Tych przypuszczalnie nie było dosyć).

Pokój Heather (z biurkiem, mnóstwem półek na książki i dużym łóżkiem) miał morwowe ściany i olbrzymie okna, wychodzące na ogrody Bruntsfield. Na półkach znajdowały się głównie powieści, a liczba płyt kompaktowych zdecydowanie przewyższała liczbę książek. Jack ujrzał też sprzęt stereofoniczny o dość sfatygowanym wyglądzie. Były tam również odtwarzacze DVD i wideo, a na wprost łóżka stał telewizor. Wśród kaset i płyt z filmami zobaczył kilka produkcji ze swoim udziałem.

- Oglądam cię, kiedy nie mogę zasnąć - powiedziała siostra. - Czasem przy wyłączonym dźwięku.

- Z powodu współlokatorów? - zapytał.

Wzruszyła ramionami.

- Dla nich to bez znaczenia - odpowiedziała. - Po prostu znam na pamięć dialogi i czasem lubię je sobie powtarzać.

Nie było gdzie usiąść, przy łóżku stało tylko jedno krzesło. Pomieszczenie przypominało pokój w akademiku, było tylko większe i ładniejsze.

- Możesz usiąść na łóżku - powiedziała Heather. - Zaparzę herbatę.

Na biurku stała oprawiona fotografia młodego Williama Burnsa, grającego na organach, z małą Heather na kolanach. Kiedy Jack usiadł, Heather podała mu album ze zdjęciami.

- Mówią same za siebie - oznajmiła tonem wyjaśnienia, pozostawiając go samego w pokoju.

Był to z jej strony miły gest. Zapewne wiedziała, że nie miał okazji oglądać wielu ojcowskich zdjęć i wolałby to uczynić na osobności.

Fotografie ułożono chronologicznie. Barbara Steiner była drobną blondynką, okrągłą na twarzy niż córka i nie tak urodziwą. Heather odziedziczyła urodę po Williamie, który nie ściał włosów (panna Wurtz byłaby zadowolona). Z wiekiem stawał się coraz chudszy. W albumie znajdowało się więcej zdjęć jego z Heather (jako małą dziewczynką, potem jako nastolatką) niż Heather z matką lub Williama Burnsa z Barbarą Steiner. Naturalnie był to album Heather, to ona wybrała fotografie.

Wyglądało na to, że najbardziej lubi zdjęcia z ich wspólnych wypraw na narty: widokówki z Wengen, Lech i Zermatt przeplatały się ze zdjęciami Heather i Williama na

stoku. (Niefortunna dyscyplina dla osoby cierpiącej z powodu wiecznego chłodu, uznał Jack. Jednakże William wyglądał na szczęśliwego. Być może rozgrzewała go obecność córki).

Matka Heather nie robiła wrażenia osoby niezadowolonej z życia. Na podstawie zdjęć trudno było również wysnuć wniosek, że miała kiedyś piękny głos. Jej pozy cechowała pewna przesada, zwłaszcza na fotografiach w peruce. Nagle po prostu znikła. Jack przewrócił stronę i po Barbarze Steiner nie zostało ani śladu. Wiedział dokładnie, kiedy minął chwilę jej śmierci: odtąd zdjęcia przedstawiały tylko Heather z ojcem bądź jedno z nich.

Na wcześniejszych stronach widniały ulotki z koncertów, odkąd jednak Heather skończyła dwanaście czy trzynaście lat William Burns przestał grać dla szerszej publiczności.

Jack rozpoznał wnętrze „Central Baru”, będące tłem nie tylko dla Heather z fletem, ale i Williama, grającego na czymś w rodzaju pianina. Córka czasem mu akompaniowała. Była to elektryczna klawiatura, chyba nosiła nazwę syntezatora. Sądząc po minach Heather i Williama, raczej nie grali nic z repertuaru klasycznego.

Jack wiedział, dlaczego ojciec wydaje się na wielu zdjęciach przesadnie grubo ubrany. (William często marzył, z wyjątkiem chwil, kiedy jeździł na nartach). Lecz nawet na fotkach z wakacji, gdy siedział na plaży w kąpielówkach, jego tatuaże były niewyraźne bądź zdawały się ze sobą zlewać. Nuty wyglądają z oddali jak pismo, zwłaszcza dla kogoś, kto podobnie jak Jack nie potrafi ich odczytać.

Jack zawstydział się na myśl, że powiedział Claudii, iż nigdy nie będzie miał dzieci. „Przynajmniej do czasu, kiedy odkryję, że mój ojciec ma dziecko lub dzieci, których nie opuścił”. Tak to ujął.

Cóż, trzymał teraz świadectwo na kolanach: album Heather stanowił potwierdzenie jej miłości do ojca i vice versa. Jack zakończył oglądanie zdjęć i uspokoił się na tyle, aby uczynić to powtórnie, kiedy na progu stanęła Heather z herbatą. Usiadła obok niego na łóżku.

- Są miejsca, skąd powyciągałaś zdjęcia. Chyba że same wypadły - powiedział.

- Dawne miłości. Sama je powyciągałam.

Jack nie dostrzegł nikogo, kto wyglądałby na irlandzkiego chłopaka, co nasunęło mu podejrzenie, że Heather bynajmniej nie uważa go za miłość swego życia, ale o nic nie wypytywał.

Wrócił do zdjęć Heather i Williama, grających w „Central Barze”.

- Zajrzałem tam wczoraj, aby zobaczyć miejsce, gdzie grasz na flecie - powiedział.

- Wiem. Kolega cię widział. Dlaczego nie poprosiłeś, żebym pojechała z tobą?

- Chciałem zobaczyć Leith, głównie miejsca, które znam z opowiadań matki - wyjaśnił.

Zajrzał na koniec albumu, gdzie ojciec miał na dłoniach rękawiczki.

- Co mu jest? - zapytał. - Pytam o jego umysł, a nie o artretyzm.

Heather przechyliła głowę, opierając ją na ramieniu Jacka. Jedną ręką ujął jej dłoń, w drugiej trzymał kubek. Album leżał otwarty na kolanach; mężczyzna, do którego byli tak bardzo podobni, podnosił na nich wzrok.

- Chciałabym, żebyś posłuchał Ojca Willisa u Świętego Pawła - powiedziała Heather. - Chcę zagrać coś tylko dla ciebie, ale lepiej się przygotuj.

Siedzieli obok siebie, Jack popijał herbatę. Heather nadal opierała głowę na jego ramieniu, w tej pozycji byłoby jej niewygodnie pić.

- Nie masz ochoty na herbatę? - zapytał.

- Mam ochotę robić dokładnie to, co robię - odrzekła. - Chcę już zawsze trzymać głowę na twoim ramieniu. Chcę ci tulić i całować, a także bić pięściami w twarz. Chcę ci opowiedzieć o wszystkich okropnych rzeczach, które mnie spotkały, a zwłaszcza tych, o których nie mogłam ci powiedzieć na bieżąco. Chcę ci opisać każdego chłopaka, przed którym mogłeś mnie uchronić.

- Nic nie stoi na przeszkodzie.

- Na razie ograniczę się tylko do tego - oznajmiła. - Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany.

- O co chodzi z tymi zaburzeniami obsesyjno-kompulsywnymi?

Heather ścisnęła brata za rękę i nie zmieniając pozycji, pokręciła głową. Musiała sprzedać mieszkanie Williama w Marchmont, gdzie się wychowała.

- Przeważają studenci, ale mieszka tam też kilku wykładowców - dodała. Byłoby idealnie, gdyby mogła zostać, ale musiała sprzedać mieszkanie i znaleźć coś tańszego.

- Żeby zapłacić za leczenie? - spytał. Poczuł, że Heather kiwa głową. Oddała większość rzeczy na przechowanie. - Może kupię ci mieszkanie?

Oderwała głowę od jego ramienia i popatrzyła mu w oczy.

- Nie można mnie kupić - odrzekła. - No cóż, pewnie można. Ale to nie byłoby fair. Nie masz robić dla mnie wszystkiego, tylko pomóc mi przy nim.

- Tak też zrobię, ale potrzebuję dokładniejszych wskazówek.

Heather upiła łyk herbaty. Nie puściła jego ręki, którą położyła sobie na kolanach i obrzuciła baczny spojrzeniem.

- Masz drobne ręce ojca, ale on ma dłuższe palce. To nie są dłonie organisty - oznajmiła. Dopasowała dłoń do ręki Jacka; też miała dłuższe palce. - Każdy centymetr jego ciała jest wytatuowany - zaczęła, nie odrywając oczu od ich złączonych rąk. - Nawet wierzch stóp, nawet palce u nóg.

- Nawet dłonie? - spytał Jack.

- Nie, dłonie nie. Ani twarz, ani szyja, ani penis.

- Widziałś jego penis czy sam ci o tym powiedział?

- Zdziwiłbyś się, ilu ludzi oglądało penis taty - odrzekła z uśmiechem Heather.

- Sam pewnie też go zobaczysz. To nieuniknione.

Przygotowała dla Jacka mniejszy album ze zdjęciami, mniej więcej wielkości książki w miękkiej okładce, z innymi ujęciami chwil uwiecznionych w dużym. Zabrakło wśród nich zdjęć jej matki, były tam tylko fotografie Heather i Williama. Ona i Jack siedzieli obok siebie, przerzucając kartki i popijając herbatę.

- Mógłbym nauczyć się jeździć na nartach - powiedział Jack. - Jeździlibyśmy wszyscy razem.

- Jeździłbyś ze mną, Jack. Kariera narciarska taty dobiegła końca.

- Już nie jeździ?

- Widząc go, uznasz, że jest zupełnie normalny, może tylko ciut ekscentryczny - odrzekła. Zdjęła okulary i przysunęła twarz tak blisko twarzy Jacka, że stuknęli się nosami. - Bez okularów widzę cię dopiero z tej odległości - oznajmiła. Odsunęła się z wolna, lecz tylko o jakieś piętnaście, dwadzieścia centymetrów. - Tutaj giniesz mi z oczu - poinformowała, wkładając szkła z powrotem. - Cóż, kiedy się spotkacie, zdoła cię przekonać, abyś zabrał go do Los Angeles, gdzie świetnie się razem zabawicie. Pewnie uważasz mnie za głupią albo okrutną, że wysłałam go tak daleko, ale potrzebuje dobrej opieki, a oni wiedzą, jak się nim zająć. Nie myśl sobie, że sam jesteś do tego zdolny. Jeśli ja nie jestem... a nie jestem... to ty też nie. Początkowo możesz nie przyznawać mi racji, ale powinien tam zostać.

- Dobrze - odparł Jack. Zdjął siostrze okulary i raz jeszcze dotknął nosem jej nosa. - Patrz na mnie - poprosił. - Wierzę ci.

- Widziałam w życiu wystarczająco dużo twoich zbliżeń - odpowiedziała z uśmiechem Heather.

- Nie mogę się na ciebie napatrzeć.

Przejechała palcami włosy, wycierając usta wierzchem drugiej dłoni. Jack rozpoznał ów gest. W identyczny sposób zdejmował perukę i ścierał z ust błyszczak w „Mojej ostatniej autostopowicze”.

- Pewnie wzięliście mnie za dziewczynę, co? - spytała, bezbłędnie naśladowując głos Jacka.

- Nieźle - zawyrokował, spoglądając w jej brązowe oczy.
- Niebezpiecznie się zatrzymywać - oświadczyła Heather. - Przepraszam za kłopot, ale jako dziewczyna łapię więcej okazji - ciągnęła. - Wolę unikać płacenia za kolację - uzupełniła, wzruszając ramionami; to też miała opanowane do perfekcji.

- A Melody z „Przewodnika”? - zapytał Jack.

Heather odchrząknęła.

- Warto stracić taką robotę - oznajmiła kropka w kropkę jak filmowy Jack.

- A Johnny jako dziwka w „Miłej i normalnej”? - (Żadna dziewczyna nie zdołała tego tak powiedzieć, pomyślał).

- Powinieneś o czymś wiedzieć - wychrypięła Heather. - Lester Billings wyjechał. Obawiam się, że zostawił w pokoju mały rozgardiasz.

- Włóż okulary - powiedział Jack, podnosząc się z łóżka. Podeszedł do szafy i otworzył drzwi. Wyjął łososiową bluzkę i przyłożył ją do siebie, nie zdejmując z wieszaka.

- Rany, założę się, że super w niej wyglądasz - rzekła tonem filmowego złodzieja, zwracającego się do Jessiki Lee.

Odwiesiwszy bluzkę do szafy, Jack poszedł do kuchni, umył i powycierał kubki, a następnie schował je do kredensu. Komuś takiemu jak on myśl o pięciorgu współlokatorów nie mieściła się w głowie.

- Mieszkacie tu jak na statku - powiedział do Heather.

- Niedługo się wyprowadzam - odrzekła ze śmiechem.

Ruszyli tą samą drogą, którą przyszli, przez Meadows. Jack niósł w ręku album, chociaż Heather zaproponowała, że schowa go do plecaka.

Tuż przed George Square ujrzeli siwego starca, który grał na gitarze i gwizdał. Heather powiedziała Jackowi, że stoi tam codziennie, nawet zimą. Często przychodzi już o ósmej rano i zostaje aż do wieczora.

- Czy to wariat? - spytał Jack.

- Wariat to pojęcie względne - odparła jego siostra.

Wspomniała o grze w squasha, którą traktowała bardzo poważnie. (Wydział muzyczny miał swoją drużynę, Heather należała do grona lepszych zawodników). Napomknęła też o „pladze miejskich mew”.

- Miejskich mew? - powtórzył Jack.

- Panoszą się w całym Edynburgu. Jednego gościa tak podziobały, że wylądował w szpitalu!

Przeszli wzdłuż mostu Południowego, docierając do miejsca, gdzie przecinał Royal Mile. Jack nie zdawał sobie sprawy, że patrzy w złą stronę, kiedy jednak zeszli z krawężnika, Heather chwyciła go za rękę.

- Patrz w prawo, Jack. Nie chcę cię stracić - rzuciła ostro.

- A ja ciebie - odpowiedział.

- Miałam na myśli ulicę.

Jack wąpił, czy umiałby znaleźć Świętego Pawła bez mapy i dokładnych wskazówek. Kościół wbudowano w stromy pagórek pomiędzy Royal Mile i Jeffrey Street, gdzie znajdowało się główne wejście. Boczne było przy Carruber's Close, wąskiej alei. Od strony North Gray's Close, jeszcze węższej alei, nie zrobiono wejścia.

Jack zaczął opowiadać Heather historię, którą usłyszał od matki. Pewnego wieczoru, tuż przed północą, William zagrał tu na organach. Był to tak zwany maraton organowy, całodobowy koncert; organiści zmieniali się co godzina lub pół. Gra Williama obudziła pijaczka śpiącego w jednej z wąskich alei, biegnących wzdłuż kościoła. Ordynus kłął, na czym świat stoi.

W tym momencie Heather wpadła bratu w słowo.

- Znam tę opowieść. Wrzeszczał coś w rodzaju: „Nie możecie się, kurwa, uciszyć? Jak człowiek ma, kurwa, spać, skoro walicie w te, kurwa, organy, jakbyście, kurwa, chcieli zmarłych pobudzić?”. Tak?

- Owszem, coś w tym stylu - odparł Jack.

- Zagram ci ten kawałek - powiedziała Heather. - Poza murami kościoła niewiele słysząc. Albo opowieść jest przesadzona albo pijak spał w ławce. Nawet toccata Boellmanna nie obudziłyby menela na Carruber's albo North Gray's Close.

Boczne drzwi na Carruber's Close były zamknięte na klucz, ale wejście od frontu stało otworem. Kościół świecił pustkami, lecz paliły się lampki oliwne przy ołtarzu. Heather powiedziała Jackowi, że tak jest zawsze, nawet gdy gra późno w nocy.

- Nocą jest tu trochę straszno - wyznała. - Ale trzeba ćwiczyć grę po ciemku.

- Dlaczego? - spytał.

- W ciemnościach dzieje się mnóstwo ciekawych rzeczy - oznajmiła siostra. - Weźmy na przykład wielkanocne czuwanie. Można się nauczyć grać po ciemku, pod warunkiem że człowiek zna na pamięć nuty.

Piszczalki organów umieszczonych w nawie na wprost głównego ołtarza sięgały niemalże witraży. Kościół nie był szczególnie przestronny, ale mroczny i jakby odcięty od świata. Przez witraże i portale docierało niewiele światła, nie sposób więc było określić pory dnia ani roku.

Heather zobaczyła, że Jack studiuje łacińską inskrypcję na ołtarzu. Jak słusznie zauważył kiedyś pan Ramsey, jego łacina pozostawiała wiele do życzenia.

VENITE
EXULTEMUS
DOMINO

- „Pójdźmy chwalić Pana” - przetłumaczyła.

- Rzeczywiście - odparł.

- Przyzwyczaj się.

Przeżegnała się przy ołtarzu i zdjęła plecak. Jack usiadł na krawędzi ławki obok siostry.

- Potem zagram ci coś spokojniejszego - powiedziała Heather. - Toccaty Boellmanna nie można grać cicho. A kiedy usłyszysz to w jego wykonaniu, przygotuj się na jeszcze mocniejsze wrażenia. Inny kościół - dodała lakonicznie, ścisząc głos i potrząsając głową.

Jack nie był przygotowany na chwilę, gdy ręce siostry uderzą w klawisze, dokonując w niej całkowitego przeobrażenia. Był to najgłośniejszy, najbardziej przeraźliwy utwór, jakiego kiedykolwiek wysłuchał w kościele. Kaskada nowych dźwięków wypierała poprzednie, które nie zdążyły przebrzmieć na dobre, wprawiając ławkę w drzenie. Istna ścieżka dźwiękowa do filmu o wampirach: gotycka scena pościgu.

- Jezu! - mruknął Jack, zapominając, że jest w kościele.

- No właśnie - powiedziała Heather. Oderwała dłonie od klawiatury, lecz echo muzyki wciąż dryfowało wewnątrz świątyni. - A teraz wyjdź na zewnątrz i sprawdź, czy słysząc. - I zagrała ponownie, przyprowadzając Jacka o palpitacje serca.

Wyszedł na Jeffrey Street i ruszył North Gray's Close w kierunku Royal Mile. Aleja była brudna i cuchnęła moczem oraz piwem; pod ścianami kościoła leżało pełno szkła z rozbitych butelek, nie brakowało też pustych paczek po papierosach oraz papierkach od gumy do żucia. W połowie alei Jack przystanął i przycisnął ucho do kamiennej ściany: melodia była ledwie słyszalna.

Na Royal Mile ucichła zupełnie, pewnie zagłuszona szumem pojazdów oraz innymi odgłosami ulicy, a w Carruber's Close klimatyzacja pobliskiej restauracji bądź wentylator kuchenny całkowicie wyparły dźwięki toccaty. Z kościoła dobiegał jedynie jednostajny

pogłos organów. Kiedy jednak Jack wrócił do środka, instrument dudnił wprost ogłuszająco. Heather istotnie dawała z siebie wszystko.

Tak jak mówiła, w opowieści o pijaku było sporo przesady albo rzeczywiście spał w ławce, kiedy runął nań potok dźwięków. Zdaniem Heather, najważniejsze było to, że William Burns zagrał tak głośno, że wszyscy słuchacze (łącznie z Alice

i organistą czekającym na swoją kolej) byli zmuszeni umknąć z kościoła i stanąć na deszczu.

- To musiała być jedna z dwubiegunowych chwil taty - uznała. - Tego właśnie dotyczy ta opowieść. Innymi słowy, wywiódł twoją matkę na deszcz, prawda?

- Jest dwubiegunowy? - spytał Jack.

- Nie, obsesyjno-kompulsywny - sprecyzowała Heather. - Lecz bywa i dwubiegunowy. A ty nie, Jack?

- Pewnie tak.

Heather grała teraz ciszej, przyszła kolej na inny utwór.

- To fragment arii z „Salomona” Haendla - oznajmiła, odruchowo ścisząc głos.

- A twoja dwubiegunowość? - zapytał Jack.

- Pragnienie, aby zawsze być przy tobie, a zarazem nigdy więcej cię nie ujrzeć

- odrzekła Heather. - Tęsknota za widokiem twojej śpiącej twarzy na poduszce, kiedy leżę obok ciebie, czekając, aż otworzysz rankiem oczy. Nie mówię o seksie.

- Wiem.

- Pragnienie życia z tobą, strach przed ponowną rozłąką - ciągnęła.

- Rozumiem - powiedział.

- Żal, że dowiedziałam się o twoim istnieniu, pragnienie, by nigdy więcej nie zobaczyć żadnego twojego filmu i wymazać z pamięci sceny, które tak głęboko w nią zapadły.

Nie przestała grać, melodia nabrała tempa. Dźwięki przybrały na sile, Heather musiała prawie je przekrzykiwać.

- Musimy spędzać ze sobą więcej czasu - oznajmił Jack.

Gwałtownie opuściła ręce na klawiaturę, dobywając z organów ostry, fałszywy ton. Przynajmniej się do brata, zarzuciła mu ręce na szyję.

- Zobaczysz go raz, Jack, i będziesz musiał stale do niego wracać. Nie możesz pojawić się nagle w jego życiu, a potem znowu zniknąć. On cię kocha - rzekła. - Jeśli odwzajemnisz jego miłość, ja też cię pokocham. Jeśli nie zniesiesz jego towarzystwa, będę tobą gardzić aż do śmierci.

- Grunt to jasno postawić sprawę - odparł.

Odepchnęła go tak gwałtownie, jakby chciała go uderzyć.

- Jeśli nie jesteś Billym Rainbow, nie podrzucaj mi jego kwestii - warknęła.

- Dobrze - odpowiedział, wyciągając do niej rękę. Kiedy się przysunęła, pocałował ją w policzek.

- Nie, nie tak. Tak się nie całuje siostry - zaprotestowała. - Pocałuj mnie w usta, ale nie rozchylaj warg. O tak. - Jej suche wargi musnęły zaciśnięte usta Jacka.

Kto by pomyślał, że Jack Burns znajdzie przyjemność w równie niewinnym pocałunku? Lecz miał trzydzieści osiem lat i nigdy nie całował siostry.

Przenocowali razem w pokoju hotelowym Jacka. Zamówili kolację na górę i obejrzeli kiepski film w telewizji. Heather miała w plecaku szczoteczkę do zębów, obszerny podkoszulek do spania oraz ubranie na następny dzień. Uprzedziła Jacka, że będą musieli wcześniej wstać.

Zaplanowała wszystko w najdrobniejszych szczegółach, łącznie z inscenizacją pragnień, o których wspominała w kościele: by zobaczyć na poduszce jego śpiącą twarz i poczekać, aż rano otworzy oczy.

Powiedziała Jackowi, że irlandzki chłopak to żadna rewelacja; miłością jej życia jest jak dotąd profesor z Belfastu. Wiedziała, że jest żonaty, ale obiecywał, że zostawi żonę. Zamiast tego zostawił Heather.

Jack opowiedział siostrze o pani Machado oraz o pani Adkins, Leah Rosen i pani Stackpole. (Pierwsze ofiary, one też trwale go naznaczyły i sprawiły, że czuł się zawiedziony sam sobą). Opowiedział też o Emmie i pani Oastler, Claudii i jej córce oraz całej reszcie. Wspomniał nawet o wariatce z Benedict Canyon, która słyszała niesione wiatrem jęki i zawodzenia ofiar Mansona.

Heather wyznała Jackowi, że straciła cnotę z jednym z uczniów Williama, kiedy była jeszcze w liceum. Jak to ujęła: „Kiedyś graliśmy na tym samym poziomie, ale teraz jestem o klasę lepsza”.

Jack wyznał Heather, że od pięciu lat doktor García jest najważniejszą kobietą w jego życiu.

Heather powiedziała, że tyle samo czasu poświęca na szlifowanie niemieckiego, ile na grę na instrumentach. W dzieciństwie rozmawiała po niemiecku z matką, a potem wróciła do języka przy okazji zainteresowania Brahmssem. Teraz zyskała dodatkowy powód. Jeśli pouczy w Edynburgu jeszcze przez dwa, trzy lata, znacznie uatrakcyjni to jej CV. Jako asystentka Johna Kitchena u Świętego Pawła gra coraz lepiej. Za dwa, trzy lata, kiedy wystarczająco podciągnie się w niemieckim, mogłaby przenieść się do Zurychu i znaleźć tam pracę.

- Dlaczego akurat do Zurychu? - spytał Jack.

- No cóż, mają tam uniwersytet, konserwatorium oraz liczbę kościołów niewspółmierną do niewielkich rozmiarów miasta, czyli innymi słowy, organów tam nie brakuje. No i mogłabym odwiedzać tatę codziennie, a nie raz na miesiąc albo sześć tygodni.

- Tata jest w Zurychu?

- Nigdy nie twierdziłam, że przebywa w Edynburgu, Jack. Powiedziałam tylko, że najpierw musisz zobaczyć się ze mną.

Jack podparł się na łokciu i popatrzył na leżącą na poduszce twarz siostry. Spoglądała na niego z uśmiechem, jasne kosmyki wsunęła za drobne uszy. Oplotła dłońmi kark brata i przyciągnęła jego twarz do swojej. Zapomniał, że nie może ich dzielić więcej niż kilkanaście centymetrów, inaczej nic nie widzi bez okularów.

- Czyli jedziemy do Zurychu? - spytał.

- Tym razem pojedziesz sam - odrzekła Heather. - Pierwsze spotkanie musi się odbyć w cztery oczy.

- Jakim cudem cię stać, żeby co miesiąc jeździć do Zurychu? - zapytał. - Będę płacił za podróż.

- Pobyt w sekcji prywatnej ośrodka kosztuje trzysta pięćdziesiąt franków szwajcarskich rocznie, czyli dwieście dwanaście tysięcy dolarów amerykańskich. Jeśli pokryjesz te koszty, ja mogę zapłacić za swoją podróż. - Zmusiła go, żeby położył głowę na poduszce obok niej. - Skoro wyraziłeś chęć kupienia mi mieszkania, może kupisz coś większego w Zurychu dla nas obojga - zaproponowała. - Urodziłam się w Edynburgu. Nie potrzebuję tu twojej pomocy.

- Kupię dom! - zawołał Jack.

- Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany - przypomniała mu Heather.

Nie wiedział, kiedy i czy zasnęła. Gdy się obudził, spoglądała na niego brązowymi oczami, prawie dotykając nosem jego nosa.

- Masz cztery siwe włosy - oznajmiła.

- Sprawdź, czy ty też - powiedział, ale włosy Heather były jednolicie złociste.

- Nie, nie masz, jeszcze nie.

- To dlatego, że w zasadzie jestem szczęśliwa - odrzekła. - Spójrz na mnie. Właśnie przespałam się z gwiazdorem. To nic wielkiego. Pestka, jak powiedziała by Billy Rainbow.

- Dla mnie nie - oświadczył Jack.

Heather uścisnęła go mocno.

- No, prawdę mówiąc, dla mnie też nie - przyznała.

Kiedy Jack poszedł wziąć prysznic, zaniósła na dół jego bilety lotnicze i zrobiła rezerwację na lot do Zurychu z przesiadką w Amsterdamie oraz na lot powrotny z Zurychu do LA.

Umówiła go również na pierwsze spotkanie z lekarzami z Sanatorium Kilchberg: grono liczyło pięciu doktorów i jednego profesora. Dała Jackowi broszurę na temat ośrodka położonego nad Jeziorem Zurychskim. Miejscowość Kilchberg znajdowała się na zachodnim brzegu jeziora, w Zurychu zwano go lewym brzegiem, jakieś piętnaście minut jazdy od centrum miasta.

Jack leciał do Szwajcarii zaraz po śniadaniu. Heather zarezerwowała mu pokój w „Hotel czum Storchen” w Zurychu.

- Może „Baur au Lac” bardziej by ci się spodobał - powiedziała - ale „Zum Storchen” jest bardzo przyjemny i leży nad rzeką.

- Na pewno mi się spodoba - odparł.

- Lekarze są pierwszorzędni, też powinni przypaść ci do gustu - dodała Heather.

Odwrociła wzrok. Siedzieli w hotelowej kawiarni: garstka znużonych turystów, rodziny z małymi dziećmi. Jack wyczuwał, że ponownie ogarnia siostrę zdenerwowanie, jak podczas pierwszego spotkania. Próbował wziąć ją za rękę, ale mu nie pozwoliła.

- Ludzie pomyślą, że ze sobą sypiamy, tak naprawdę - powiedziała. - Pobyt z tobą w miejscu publicznym wymaga nieco wprawy.

- Przyzwyczaisz się.

- Tylko niech nic ci się nie przytrafi. Nie zrób nic głupiego - wypaliła Heather.

- Potrafisz czytać z ruchu warg? - spytał.

- Proszę, nie rób nic głupiego, Jack - powtórzyła. Wyglądała na zagniewaną, nie miała ochoty na przekomarzanie.

Jack bezgłośnie poruszył ustami, starannie wypowiadając każde słowo.

- Mam siostrę i ją kocham - brzmiało nieme zdanie.

- W gorącej wodzie kąpany - oznajmiła po raz kolejny Heather, ale widział, że dobrze go zrozumiała. - Pora jechać na lotnisko - dorzuciła, spoglądając na zegarek.

W taksówce wydawała się roztargniona i pogrążona w rozmyśleniach.

- Kiedy go zobaczysz, kiedy spędzicie razem trochę czasu, zadzwoń do mnie - poprosiła, znów unikając jego wzroku.

- Oczywiście.

- Wystarczy, że powiesz: „Kocham go”. Nic więcej nie musisz mówić, ale nie waż się powiedzieć niczego mniej - uprzedziła. Jej palce wystukiwały na napiętym udzie rytm toczaty Boellmanna lub czegoś równie energicznego.

- Możesz być spokojna, Heather.

- A czy ty potrafisz czytać z ruchu warg? - spytała, nadal nie patrząc mu w oczy.

- Wszyscy aktorzy to potrafią - odpowiedział, ale Heather w milczeniu utkwiała wzrok za oknem, zaciskając usta jak podczas pierwszego siostrzanego pocałunku.

Kiedy dotarli na lotnisko, było jeszcze wczesnie. Jack nie spodziewał się, że Heather z nim pojedzie, a co dopiero wejdzie do środka, tymczasem siostra odprowadziła go aż do bramki. Dobrze знаła procedurę odprawy.

- Mam nadzieję, że spodoba ci się w Szwajcarii - powiedziała, szurając nogami.

Miała na sobie niebieskie dżinsy i koszulkę ciemniejszą niż poprzedniego dnia. Z plecakiem i krótkimi włosami wyglądała raczej na studentkę niż młodszego wykładowcę. Gdyby nie ruchliwe palce, nie miałyby w sobie nic z muzyka. Była po prostu drobną, ładną dziewczyną, której powagi dodawały okulary i zdecydowany krok.

Przy bramce do wykrywania metalu, gdzie celnik sprawdził paszport i bagaż podręczny Jacka, znajdowała się bariera z pleksiglasu, za którą Heather nie miała wstępu. Jack chciał ją pocałować, lecz ona uparcie odwracała twarz.

- Nie żegnam się z tobą, Jack. Ty też nie waż się tego robić - powiedziała, nie przestając szurać nogami.

- Dobrze - odpowiedział.

Kierując się w stronę wejścia do samolotu, nadal widział ją przez pleksiglas. Co chwila się odwracał, wreszcie przystanął, widząc, że w końcu utkwiała w nim wzrok. Wskazywała na swoje serce i bezgłośnie poruszała ustami.

- Mam brata i go kocham - powiedziała, choć nie usłyszał ani słowa.

- Mam siostrę i ją kocham - odrzekł również bezgłośnie.

Rozdzielili ich inni podróżni. Kiedy do Jacka podeszły dwie młode kobiety, na chwilę stracił Heather z oczu.

- Ty nie jesteś Jack Burns, prawda? To niemożliwe, co nie? - powiedziała Murzynka z diamentowym kolczykiem w nosie.

- Założę się o wszystko, że to nie on - wtrąciła jej towarzyszka. Była to biała dziewczyna o spalonych słońcem odkrytych ramionach, z których obficie zlaźła skóra.

Jack miał przed sobą Amerykanki, pewnie studentki wracające z podróży po Europie. Kiedy ponownie skierował wzrok w stronę Heather, siostry nie było.

- Owszem, to ja - powiedział. (Nie umiał tego wytłumaczyć, ale czuł po raz pierwszy w życiu, że tak, to naprawdę on!). - Macie całkowitą rację. Jestem Jack Burns.

Z niejasnych przyczyn ogarnęło go zadowolenie, że został rozpoznany. Jednakże młode kobiety popatrzyły z niedowierzaniem, po czym ni stąd, ni zowąd w miejsce ciekawości pojawiło się zobojętnienie.

- Dobra, dobra - rzuciła sarkastycznie biała. - Nikogo nie nabierzesz. Nie w ten sposób.

- To znaczy w jaki? - spytał.

- Będąc taki normalny - wyjaśniła.

- I taki zadowolony - dodała Murzynka.

- Ale to naprawdę ja - powtórzył niezbyt przekonująco.

- Marnie ci idzie - powiedziała dziewczyna z łuszczącą się skórą. - Jesteś za stary na takie numery.

- Zresztą od kiedy to Jack Burns jest niby taki szczerzy, co? - zapytała Murzynka.

- Zrób coś noir - zażądała biała.

- Rzuć chociaż jedną kwestię Burnsa - poparła ją koleżanka.

No i gdzie ta Heather, pomyślał Jack. Gdzie ojciec, który podobno miał wszystkie kwestie w małym palcu?

Dziewczęta ruszyły w swoją stronę. Jack wyjął koszulkę ze spodni i podniósł jej skraj, udając, że przykłada do siebie sukienkę na wieszaku.

- Rany, założę się, że super w niej wyglądasz - powiedział, w ogóle nie przypominając złodzieja, którego Jessica Lee przyłapuje na grzebaniu w szafie.

- Daj se luz! - krzyknęła biała.

- Wiesz co? - zagadnęła Murzynka, migocząc diamentowym kolczykiem. - Prawdziwy Jack Burns nawet by na ciebie nie spojrział!

- Warto stracić taką robotę! - zawołał za nimi Jack, one jednak twardo podążały przed siebie. Nawet Dziki Bill Vanvleck kazałby powtórzyć scenę.

Sęk w tym, że Jack nie grat. Zupełnie jakby zapomniał, jak to się robi! Pamiętał kwestie, ale wypadł z roli. Miał siostrę i ją kochał; powiedziała, że czuje to samo. Jack przestał grać. Był po prostu Jackiem Burnsem. Nareszcie tym prawdziwym.

Kiedy ostatnie wolne miejsce na skórze zostaje wytatuowane i ich ciała stają się zapisanym zeszytem, nie wszyscy full-bodies reagują w ten sam sposób.

Alice utrzymywała, że niektórzy po prostu zaczynają pokrywać nowymi wzorami miejsca już wytatuowane. W wyniku tego ich skóra stopniowo przybiera odcień atramentowej czerni, a wzory tracą zarysy. Jack widział kiedyś klienta matki, którego ramiona od pach po nadgarstki były jednolicie czarne jak smoła, tak jakby doznał poparzeń. W mniej radykalnych przypadkach podwójnie wytatuowana skóra zdaje się pokryta abstrakcyjnymi esamifloresami, niczym szczelnie owinięta wzorzystym szalem.

Jednakże dla innych full-bodies zapisany zeszyt zyskuje rangę Pisma Świętego: nie wyobrażają sobie, aby pokryć nowym tatuażem pierwotny wzór czy choćby jego część. Większość tatuaży Williama wyszła spod rąk uznanych artystów, lecz nawet te mniej udane stanowiły zapis muzyki mającej dlań niepoślednie znaczenie. Zarówno muzyka, jak i tekst naznaczyły na całe życie coś więcej aniżeli tylko jego skórę.

Heather powiedziała Jackowi, że ojciec nie ma pomiędzy tatuażami ani skrawka wolnej przestrzeni. Toccaty i pieśni, preludia i fugi nachodziły na siebie jak luźne kartki w pięciolinię na zaśmieconym biurku o blacie grubo usłanym papierami.

Na plecach Williama, dodała (przy odrobinie wysiłku uda mu się to zobaczyć), znajduje się widoczny z oddali płynący okręt. Odbija od brzegu, prując fale otaczającej go muzyki. Na rozpiętych żaglach również widnieją nuty, statek jednak zdążył odpłynąć tak daleko, iż są one nie do odcyfrowania. Okręt stanowił potwierdzenie kunsztu Herberta Hoffmanna, jednakże, według Heather, „niemal zginął na bezkresnym horyzoncie muzyki”. Był to jeden ze słynnych Grobów Żeglarza lub Ostatnich Portów, ale mniejszy, niż początkowo sądził Jack, i bez reszty otoczony dźwiękiem.

Fragment ulubionej pieśni wielkanocnej ojca, „Chrystus Pan powstał dziś”, był częściowo zasłonięty „Wachet auf, ruft uns die Stimme” Walthera: dwa górne takty rozpoczynały się w miejscu, gdzie powinien być refren „Chrystusa”. Na mistyczną adorację bożonarodzeniową Bacha („Jesu, meine Freunde”) nachodziła „Joseph est bien marié” Balbastre’a: wyraz largo nad pierwszym taktem Bacha został na wpół zasłonięty.

Znajomy tekst i nuty arii sopranowej („Dziecię k’nam przyszło na świat”) z „Mesjasza” Haendla wpadały na toccatę Widora z Piątej Symfonii, opus 42.

Oprócz wspomnianego opusu 42 tatuaż zawierał także pełne imię i nazwisko kompozytora. Jack zdziwił się na wieść, że ze wszystkimi nazwiskami postąpiono identycznie, nie ograniczając się do „Bach” i „Widor”. „Johann Sebastian Bach” i „Charles-Marie Widor” zostały uwiecznione italikami, które (z biegiem czasu) stawały się coraz bardziej nieczytelne.

Część pozostałych tatuaży Williama również uległa niszczącemu działaniu czasu. Wśród nich znalazło się solo organowe Johna Stanleja, w rejestrze trąbki d, uwiecznione na piersi w okolicach prawego płuca, gdzie dolne takty (oznaczające partię odgrywaną stopami) spłwiałały niemal doszczętnie, podobnie jak vivo ponad górnym taktem „Litani” Alaina. Cytat z Alaina na pośladkach miał więcej szczęścia. Tekst francuski zapisano kursywą na lewym pośladku, na prawym zaś angielskie tłumaczenie. Znikną z ojcowskiej skóry wolniej niż sama młodość.

*Rozum osiągnął swoje granice.
Jeno wiara dalej pnie się w górę.*

Pierwsze zdanie pasowało do Williama Burnsa jak ulał. To samo sugerowała Heather. Każdy cal ojcowskiego ciała stanowił manifest, a każdy tatuaż powstał z określonego powodu. Jednakże teraz zostało miejsce tylko na wiarę.

- Zrozumiesz, w czym rzecz, kiedy zobaczysz go nagiego. To nieuniknione - powiedziała Heather.

- Naprawdę?

Siostra nie wdawała się w szczegóły. Mówiąc ogólnie, Jack lądował w Zurychu pełen obaw.

Heather uprzedzała, że Szwajcarzy skrupulatnie zapamiętują nazwisko rozmówcy i wymagają od niego tego samego. Jako aktor Jack ufał swojej pamięci, lękał się jednak, czy czekające go wyzwanie (nie tylko aktorskie) nie okaże się aby ponad jego siły. Obsada, z którą będzie miał do czynienia w Sanatorium Kilchberg, nosiła zgoła nieprawdopodobne nazwiska i sprawowała niejednokrotnie zbieżne (podobnie jak tatuaże Williama) i powiązane ze sobą funkcje.

Z pomocą Heather Jack przestudiował bacznie pięciu doktorów i profesora, próbując nabrać o nich jakiego takiego mniemania przed pierwszym spotkaniem. Lecz to nie on miał wystąpić przed nimi, tylko oni przed nim. Opiekowali się jego ojcem: zadaniem Jacka było zastosować się do ich rad.

Szef kliniki, profesor Lionel Ritter, był Niemcem. Heather powiedziała Jackowi, że świetnie włada angielskim, tak usilnie starając się wyjść na dyplomate, że człowiek wybacz mu skłonność do powtórzeń. Zawsze ubrany porządnie, choć dość swobodnie: schludny, krzepki mężczyzna, szczytujący się stutrzydziestosześcioletnią historią Kilchbergu. (Jack wyobraził go sobie jako Davida Nivena w stroju do tenisa).

Zastępca dyrektora do spraw medycznych, doktor Klaus Horvath, był Austriakiem. Heather opisała go jako przystojnego, dobrodusznego mężczyznę, typ atlety, a z całą pewnością narciarza. William lubił rozmawiać o nartach z doktorem Horvathem, który głęboko wierzył w psychologiczne korzyści w propagowanym w Kilchbergu programie joggingu (sześćdziesięcioletni William Burns gorliwie w nim uczestniczył). Wizja wytatuowanego ojca w roli biegacza nie mieściła się Jackowi w głowie, doktora Horvatha zaś wyobrażał sobie jako mówiącego z akcentem Arnolda Schwarzeneggera i jak on pogodnego, co w pełni znalazło wyraz w komedii, w której grał brata bliźniaka Danny'ego DeVito.

Drugi Niemiec, doktor Manfred Berger, był neurologiem i psychiatrą; zarządzał działem gerontopsychiatrii. Według Heather, William był sześćdziesięcioletniakiem o bardzo młodzieńczym wyglądzie, co nie kwalifikowało go jako obiekt zainteresowania doktora Bergera. Doktor Berger był w jej mniemaniu „człowiekiem faktu”: nie pozostawiał wiele miejsca na spekulacje.

Po przybyciu do Kilchbergu William Burns uległ wahaniom nastroju typowym dla dwubiegunowości. (Chwile euforii uwieńczonej gniewem, tydzień ekstazy bez widocznej potrzeby snu, nieuchronnie przechodzący w stan otępienia). Jak się okazało, William nie był dwubiegunowy. Zanim jednak postawiono diagnozę, doktor Berger upierał się przy badaniach neurologicznych.

Heather poinformowała Jacka, że doktor Berger należy do osób, które lubią wykluczać. Czy William miał guza mózgu? Doktor Berger szczerze w to wątpił, należało to jednak z całą pewnością wykluczyć. Wahania nastroju, a szczególnie występujące naprzemiennie euforia i złość, były często wynikiem padaczki skroniowej. Jednakże William Burns nie cierpiał ani na wspomnianą padaczkę, ani na dwubiegunowość.

Doktora Bergera nie otaczała aura dezaprobaty: człowiek odnosił wrażenie, że lekarz czeka, aż ktoś wytknie mu błąd w myśleniu, co bynajmniej go nie zniechęci.

Jack powstrzymał się od pochopnego wniosku, że najciekawsze choroby psychiczne nie podlegają łatwej diagnozie i leczeniu. Ostatecznie ktoś nie wysnułby przypuszczenia

(zwłaszcza na widok szczelnie wytatuowanego ciała), że William Burns nie jest typem obsesyjno-kompulsywnym? Fakt, że pomimo bólu, jaki sprawiała mu gra na organach, obsesyjnie pragnął uderzyć w klawisze, też nie powinien nikogo dziwić: kto na jego miejscu nie wpadłby w depresję, ulegając huśtawkom nastroju?

Lecz rola doktora Bergera jako „człowieka faktu” polegała na wykluczaniu, a nie namierzaniu celu. Według Heather, był jednym z najważniejszych członków zespołu, choć nie najsympatyczniejszym. Pomimo swego pochodzenia przyjął szwajcarski zwyczaj długotrwałego i gorliwego ściskania ręki rozmówcy, co zwykł czynić z „konkurencyjną żarliwością”.

Jack nie wiedział, jak go ugryźć; umownie nadał mu rysy Gene’a Hackmana bądź Tommy’ego Lee Jonesa. (Okazało się, że trafił jak kulą w płot).

Resztę zespołu stanowiły kobiety. Zdaniem Heather, to one budziły największy postrach. Na przykład doktor Reguła Huber, szefowa interny. Była to czterdziestokilkuletnia Szwajcarka, jasnowłosa i niezmordowana. W Sanatorium Kilchberg przebywało wielu starszych pacjentów, internista miał pełne ręce roboty. Większość staruszków została oddana przez swoje rodziny; ci nie mogli samowolnie opuścić zakładu.

Heather uczestniczyła w wielu spotkaniach z profesorem Ritterem i lekarzami opiekującymi się Williamem; przy każdej okazji pager doktor Huber zaczynał brzęczeć i lekarka śpieszyła do jakiegoś nagłego przypadku. Co do Williama Burnsa, który został przywieziony przez córkę, lecz przebywał w klinice z własnej, nieprzymuszonej woli (z zadowoleniem i bez protestów), doktor Huber, podobnie jak doktor Berger, najpierw chciała wykluczyć parę rzeczy.

Czy ojciec ma niedoczynność tarczycy? (To mogło powodować uczucie zimna). Nie. Czy cierpi na chorobę Curshmana-Steinerta? Na szczęście nie! I dlaczego jest taki chudy? Ponieważ nie pije i uważa za grzech nieumiarkowanie w jedzeniu; ściśle przestrzega diety, jakby był modelem, dżokejem albo aktorem. (Niedaleko pada jabłko od jabłoni!).

To właśnie doktor Huber leczyła, bądź próbowała leczyć, artretyzm Williama. Ostatnio zaryzykowała podanie nowego typu przeciwzapalnych leków niesterydowych, podobno łagodniejszych dla żołądka, które spowodowały jednak u Williama takie dolegliwości gastryczne, że wróciła do stosowania miejscowych leków konwencjonalnych.

Doktor Huber wyznawała również zasadę, że tak zwane placebo w niektórych przypadkach działa, oczywiście jeżeli pacjenci wierzą w cudowną moc podawanego środka. Nie kwestionowała upodobania Williama do gorącego wosku i lodowatej wody ani do suplementów, które zażywał. Nosił też miedziane bransoletki, które zdejmował tylko do gry na fortepianie lub organach.

Heather lubiła doktor Huber, którą nazywała pragmatyczką. (Jackowi nieodparcie nasuwało się skojarzenie z Frances McDormand, jedną z jego ulubionych aktorek).

Trzecia Niemka, doktor Ruth von Rohr, posiadała intrygująco niekompletny tytuł, była mianowicie szefową jakiegoś tam działu. Nie wiadomo jakiego; być może celowo unikano odpowiedzi na to pytanie. Była wysoką, frapującą kobietą o dzikiej grzywie płowych włosów ze srebrzystym pasmem, które, zdaniem Heather, wyglądało naturalnie, choć naturalne nie było. Doktor von Rohr miała obejście iście królewskie. Zwykle najpierw dopuszczała do głosu innych, demonstrując przy tym ostentacyjne zniecierpliwienie. Wiedziała, kiedy westchnąć, miała przy tym nader zwinne palce, w których często obracała ołówek (przy czym prawie nigdy go nie upuszczała). Gdy wreszcie zabierała głos - zwykle jako ostatnia i często wzgardliwie - zwracała pociągłą twarz profilem do zebranych, jakby ktoś miał ją wytłoczyć na monecie.

„Z drugiej strony” - mawiała na początku, niczym szefowa działu wątpliwości (tak jakby srebrzyste pasmo było chorągwią szarej strefy każdej wymiany zdań). Zadanie doktor von

Rohr polegało na podkopywaniu pewności siebie rozmówcy: lubiła otwierać drzwi możliwości, których nigdy nie sposób było wykluczyć.

Wszyscy w Sanatorium Kilchberg uważali Williama Burnsa za wzorowego pacjenta. Musiał być szczęśliwy, bądź co bądź, ani razu nie próbował uciec. Rzadko utyskiwał na warunki bądź leczenie. Owszem, czasami ulegał demonom, miał humory oraz irracjonalne zagrania, lecz w Kilchberg zdarzały się one rzadziej niż w świecie zewnętrznym. Siostra Jacka utrzymywała, że znajduje się tam, gdzie powinien: wyglądało na to, że William również się z tym pogodził. (Czyż nie przyklasnął takiemu rozwiązaniu, spytał entuzjastycznie doktor Horvath).

Jednakże rola doktor von Rohr polegała na zadawaniu pytań zwykle przemilczanych przez innych. „Czy hospitalizacja nie stanowi dla niektórych pacjentów drugiej choroby?” - pytała, kiedy wydawało się, że wszyscy są zadowoleni. „A co, jeśli w przypadku Williama mówimy o nadmiernym sukcesie? Skoro jest tutaj szczęśliwy, może go od siebie uzależniliśmy? Tak tylko pytam” - dodawała z upodobaniem, kiedy ziarno wątpliwości już zostało zasiane.

Wiecznie też zadawała pytanie, dlaczego William wciąż marznie. „Co jest katalizatorem?” - zastanawiała się nieustannie. (Jack dowiedział się od siostry, że określenie „katalizator” cieszy się w Sanatorium Kilchberg niezmierną popularnością).

Doktor von Rohr wysunęła tezę, że William Burns może reprezentować osobowość narcystyczną, a nawet zaburzenia w tym kierunku. Dzień w dzień mył swoje długie, mocno posiwiałe włosy i starannie aplikował odżywkę oraz żel. (Gdy raz spaliła mu się suszarka, zaczął ze złości biegać na golasa i wrzeszczeć!). No i troskliwość, jaką otaczał tatuaże. Przeważnie je zasłaniał. Nosił koszule z długim rękawem, zapięte pod szyję, długie spodnie oraz skarpetki, nawet latem. (Kiedy jednak zapragnął pokazać światu swoje tatuaże, demonstrował je wszystkie).

Schizofrenicy często ubierali się podobnie z uwagi na ciągłe poczucie zagrożenia. Jednakże ojciec Jacka i Heather nie miał schizofrenii. Doktor von Rohr podkreślała jego próżność i pedanterię, widoczne choćby w dbałości o linię. „Czyż nie jest niemożliwym perfekcjonistą? - powtarzała. - Tak tylko pytam”.

Artretyzm stanowił powód, dla którego nie mógł zawodowo grać na organach, stąd wcześniejsza emerytura, która drastycznie pogorszyła jego kondycję psychiczną. Mógł jednak dalej uczyć, nawet gry na fortepianie, chociaż w ograniczonym stopniu. Nic nie stało na przeszkodzie, aby wykładał teorię i historię muzyki, a jednak zupełnie zrezygnował z pracy, co być może wcale nie było konieczne.

- Niezdolność sprostania dawnym standardom lub oczekiwaniom, prowadząca również do wcześniejszej emerytury, stanowi istotną cechę osobowości narcystycznej, prawda? - pytała współpracowników doktor von Rohr. (Fragment „tak tylko pytam” zawsze zawisał w powietrzu, nawet jeśli nie padał wprost).

- Karierowiczka - zawyrokowała Heather. - Urodzona szefowa, jak pragnę zdrowia.

Próbując wyobrazić sobie doktor von Rohr, Jack miał przed oczami doktor Garcję, dobrą słuchaczkę, poruszającą zwykle przemilczane kwestie. Rany, ta dopiero była urodzoną szefową!

Pozostała jeszcze szósta członkini zespołu, a mianowicie młoda, atrakcyjna, władca, acz opanowana doktor Anna-Elisabeth Krauer-Poppe. Zawsze miała na sobie długi, wykrochmalony i nieskazitelnie biały fartuch, nie tyle dla podkreślenia swej funkcji, ile ochrony modnego ubrania. (Pochodziła ze Szwajcarii, w przeciwieństwie do swoich ubrań).

Podobnie jak dwa niedwuznaczne myślniki w jej nazwisku, doktor Anna-Elisabeth Krauer-Poppe była nienaganna niczym modelka „Vogue” w Paryżu lub Mediolanie; wydawała się zbyt wytworna na Szwajcarce, chociaż urodziła się w Zurychu, a jej znajomość

miasta dorównywała biegłości fachu. W Sanatorium Kilchberg doktor Krauer-Poppe była szefową działu leków i, zdaniem ogółu, znała się na receptach równie dobrze jak na modzie.

Nie kryła niezadowolenia, że Williamowi nie pomoże kuracja nowymi (i rzekomo łagodnymi dla żołądka) lekami przeciwzapalnymi, ubolewała też, że znosi on jedynie preparaty stosowane miejscowo. Gorący воск budził w niej nieopisaną odrazę, nie wspominając o bałaganie, jaki powstawał przy jego zdejmowaniu. Widok Williama wkładającego ręce do lodowatej wody musiał nasuwać doktor Krauer-Poppe nieodpartą pokusę zmiany otoczenia. (Co do miedzianych bransoletek, wprost nie mogła na nie patrzeć, a suplementy określała mianem „leków medycyny ludowej”).

Jednakże w przypadku zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych Williama doktor Krauer-Poppe zaordynowała lek antydepresyjny, którego działanie okazało się zbawienne. Ścisłe mówiąc, spróbowała dwóch medykamentów, zolofu i seropramu. Każdy posiadał swoje zalety, oba zaś były inhibitorami wychwytu zwrotnego serotoniny, stosowanymi w leczeniu depresji.

Co do skutków ubocznych, ojciec bez skarg znosił zawroty głowy, suchość w ustach, senność oraz brak apetytu. Ten ostatni był szczególnie uporczywy. (William tak bardzo przywykł do chudości, że ów aspekt prawdopodobnie budził w nim nieopisany entuzjizm). Skarżył się na długie i bolesne erekcje, wystąpiły też pewne „zmiany” (Heather nie wdawała się w szczegóły) w kwestii jego zainteresowań i wydolności seksualnej. Jednakże z biegiem czasu pogodził się i z tym.

Leki nie zaburzały jego funkcji motorycznych. Antydepresanty nie miały wpływu na grę. Zakodowana w pamięci muzyka pozostała nienaruszona i William jak zawsze obywatel się bez nut.

Doktor Krauer-Poppe początkowo wyraziła obawę, czy nie ucierpi jego zdolność koncentracji: William przyznał, że stał się bardziej roztargniony i zapamiętanie nowych utworów sprawia mu większą trudność. Czasem uskarżał się też na nadmierne znużenie. Twierdził, że dawniej kipiał energią, ale teraz przynajmniej lepiej sypia.

Doktor Krauer-Poppe czujnie wypatrywała również oznak zubożenia, które może być skutkiem dłuższego podawania leków, lecz William nie miał takich symptomów. Według Heather, ojciec nigdy nie był obojętny na nic ani nikogo i (niestety) na wszystko reagował równie emocjonalnie jak zawsze.

Doktor Krauer-Poppe doszła do wniosku, że w wypadku Williama leki antydepresyjne okazały się strzałem w dziesiątkę. Zauważyła, że jego seksualne „zmiany” nie dotyczą impotencji, będącej innym możliwym skutkiem ubocznym. (Jack nie potrafił lekarki z nikim porównać).

Nie mógł się doczekać, kiedy ich wszystkich pozna. Odczuwał ulgę na myśl, że nastąpi to przed spotkaniem z ojcem.

Gdy William Burns poznał matkę Jacka, miał dwadzieścia pięć lat, po raz pierwszy został ojcem w wieku lat dwudziestu sześciu. Jak długo Jack byłby w tym wieku czymś mężem? I co by się stało, gdyby został ojcem jako dwudziestoseściolatek, kiedy wraz z Emmą żyli pełną parą w LA? Jakim byłby tatą?

Wiedział, jak brzmiałaby odpowiedź doktor Garcii. Byłaby krótka. „Hm”.

Zameldował się w hotelu „Zum Storchen” na Weinplatz. Jego pokój wychodził na Limmat; Jack odprowadził wzrokiem statek wycieczkowy, przepływający przed hotelową kawiarnią. Mieszkał na Starym Mieście, wiele brukowanych ulic było zamkniętych dla samochodów. Dzwony kościelne zdawały się bić co kwadrans, jakby Zurych był dręczony obsesją upływu czasu. Jack ogolił się i przebrał do kolacji, choć do wieczora było jeszcze daleko.

W taksówce (z lotniska w Kloten) rozważył możliwość udania się prosto do Sanatorium Kilchberg, ale był umówiony z profesorem Ritterem i spółką dopiero na późne popołudnie.

Wolał nie ryzykować spotkania z ojcem przed rozmową z lekarzami. William na pewno od razu by go rozpoznał.

Jack miał początkowo wątpliwości co do decyzji kliniki, aby nie uprzedzać ojca o jego przyjeździe, lecz zarówno Heather, jak i lekarze uznali, że powinien przybyć bez zapowiedzi. Informacja o jego przyjeździe mogłaby wprowadzić Williama w stan niepotrzebnego poruszenia.

Doktor Krauer-Poppe nie zalecała zwiększenia Williamowi dawki zolofu bądź seropramu. Nawet doktor von Rohr powstrzymała się od zwykłej kontry, ograniczając się do stwierdzenia, że dodatkowa porcja leku wprowadziłaby Williama w stan bliski katatonii, doszczętnie pozbawiając go radości ze spotkania z synem.

Doktor Horvath, dobronny Austriak i zastępca dyrektora do spraw medycznych, który często biegał z Williamem, uprzedził pacjenta o przybyciu „specjalnego gościa”. William pewnie spodziewał się kogoś z branży muzycznej, jakiegoś zagranicznego wykonawcy na gościnnych występach w Zurychu. (Równie znamienici goście zaglądali czasem do Kilchberg celem złożenia mu wizyty).

Jack poprosił recepcjonistę w „Storchen”, aby polecił mu dobrą restaurację w pobliżu hotelu. Williamowi pozwolono wprowadzić na kolację z synem, ale miał im towarzyszyć profesor Ritter bądź też inny (lub inni) lekarz z kliniki.

- Lepiej zrób rezerwację dla trzech, czterech osób - poradziła mu Heather. - Nie pozwól ci zabrać go samego. Wierz mi, ty też nie będziesz miał na to ochoty, przynajmniej nie za pierwszym razem.

Recepcjonista, lakoniczny mężczyzna z półokrągłą blizną na czole, prawdopodobnie będącą wynikiem uderzenia głową w przednią szybę samochodu, zarezerwował stolik dla czterech osób w „Kronenhalle”. Zapewnił Jacka, że restauracja jest świetna i znajduje się w bardzo przyjemnej okolicy. „A że jest pan Jackiem Burnsem, nie musiałem nawet czekać”.

Jack stanął przed hotelem i patrzył na kaczki i łabędzie pływające w Limmat. Porównał czas na swoim zegarku z zegarami na wieżach dwóch największych kościołów widocznych z Weinplatz, skąd widział również postój taksówek. Kilchberg dzieliło od „Storchen” zaledwie dziesięć, piętnaście minut jazdy; wolał przyjechać dokładnie na czas.

Czuł się winny, że za wszystko obwiniał matkę. Gdyby żyła, gdyby to z nią miał się po raz pierwszy spotkać, zapewne czułby się równie stremowany jak teraz. Naraz wydało mu się idiotyczne, że nie mógł jej wybaczyć. Właściwie to za nią tęsknił. Żałował, że nie może do niej zadzwonić, ale w końcu co by jej powiedział?

To panna Wurtz czekała na telefon, do niej powinien zadzwonić. Myślał jednak wyłącznie o rozmowie z matką.

„Cześć, mam! To ja - chciał jej powiedzieć. - Nie robię tego, żeby cię zranić, ale jadę na spotkanie z tatą, po tylu latach! Masz dla mnie jakąś radę?”

Pojechał taksówką wzdłuż Jeziora Zurychskiego. Trasa okazała się bardzo urokliwa, szosa przez cały czas biegła blisko jeziora. Wzdłuż linii wody stały namioty festiwalu teatralnego. Dzień był ciepły i słoneczny, ale powietrze suche: znajdowali się w górach, brakowało tu wilgotności powietrza Edynburga. Oczom Jacka kilkakrotnie ukazał się widok Alp, wznoszących się za jeziorem. Wszystko było czyste, niemal błyszczące. (Łącznie z taksówką).

Kilchberg liczyło około siedmiu tysięcy mieszkańców. Obecność licznych żaglówek oraz szacownych domków z ogródkami nadawała miasteczku atmosferę kurortu. Taksówkarz powiedział Jackowi, że prawy brzeg jeziora podobno lepiej prosperuje. „Europejczycy wolą mieszkać twarzą na zachód”, poinformował. Kilchberg leżące na lewym brzegu było zorientowane na wschód.

Jack uznał miasteczko za urocze. Zobaczył nawet małą winnicę, a przynajmniej coś, co wyglądało na gospodarstwo. Klinika leżała wysoko na wzgórzu z widokiem na jezioro oraz położony w kierunku północnym Zurych; na południu wznosiły się Alpy.

- Większość pacjentów jeździ autobusem z Biirkliplatz, przy klinice jest przystanek - oznajmił kierowca. - To znaczy, mówię o pacjentach, którzy mogą swobodnie opuszczać klinikę - dodał, spoglądając czujnie we wsteczne lustro na Jacka, jakby uważał go za zbiegłego szaleńca. - Może następnym razem pojedzie pan autobusem. Numer sześćdziesiąt jeden, jeśli pan zapamięta.

Taksówkarz pochodził z Bliskiego Wschodu, był prawdopodobnie Turkiem. (Z odrazą wspominał o „Europejczykach”). Jego angielski był znacznie lepszy niż niemiecki, którym posługiwał się równie kulawo jak Jack. Kiedy najpierw spróbowali dogadać się po niemiecku, kierowca szybko przeskoczył na angielski. Jack zastanawiał się, dlaczego uznano go za pacjenta. Kierowca nie należał pewnie do wielbicieli kina.

W przeciwieństwie do nienaturalnie chudej dziewczyny w adidasach i dresie, która powitała Jacka w tym, co wziął za główne wejście do szpitalnej części kliniki. Była tam poczekalnia oraz recepcja, w której dziewczyna spacerowała tam i z powrotem. Wziął ją za instruktorkę, może była fizjoterapeutką albo kimś w rodzaju osobistego trenera pacjentów. Powinna trochę przytyć, pomyślał. Bez przesady z tą dbałością o figurę.

- Stać! - powiedziała po angielsku, celując w Jacka palcem. (Oprócz nich w poczekalni nie było nikogo). Jack stanął jak wryty.

Z korytarza pośpiesznie wyszła pielęgniarka.

- Pamela, er ist harmlos - powiedziała.

- Oczywiście, że jest nieszkodliwy, on nie istnieje - oświadczyła Pamela. - Lek działa, nie ma obawy. Wiem, że jest nieszkodliwy. On nie istnieje.

Mówiła z amerykańskim akcentem, lecz pielęgniarka zwróciła się do niej po niemiecku i najwyraźniej została zrozumiana. Może chuda dziewczyna tak długo przebywała w klinice, że nauczyła się niemieckiego, pomyślał Jack.

- Es tut mir leid - powiedziała do Jacka pielęgniarka, odprowadzając młodą Amerykankę. („Przykro mi”).

- Mów do niego po angielsku - upomniła pielęgniarkę Pamela. - Gdyby był prawdziwy, mówiłby po angielsku, jak w filmach.

- Jestem umówiony z profesorem Ritterem! - zawołał w ślad za pielęgniarką Jack.

- Ich bin gleich wieder da! - odrzyknęła. („Zaraz wracam!”).

Znikły w korytarzu, lecz Jack wciąż słyszał podniesiony głos dziewczyny. Co za wariactwo, że wziął ją za członka personelu.

- Oni zazwyczaj nic nie mówią - przekonywała Pamela. - Zwykle tylko się pojawiają, ale nie mówią. Boże, może ten lek jednak nie działa!

- Das macht nichts - odrzekła łagodnie pielęgniarka. („Nieważne”).

Jack Burns był gwiazdorem filmowym w klinice psychiatrycznej: nic dziwnego, że pierwsza napotkana pacjentka wzięła go za gadającą fatamorganę. (Doktor Garcia doszłaby do wniosku, że to wcale trafna definicja aktora).

Pielęgniarka niebawem wróciła, mamrocząc coś pod nosem po niemiecku. Gdyby nie fartuch oraz fakt, że widział kobietę wcześniej, Jack zapewne wziąłby ją za obłąkaną. Była niską kobietą po pięćdziesiątce, zażywną i przysadzistą. Miała siwe, kręcone włosy: Jack doszedł do wniosku, że kiedyś była blondynką.

- Zabawne, że pierwszą osobą, którą spotyka pan po przyjeździe, jest nasza jedyna Amerykanka - powiedziała pielęgniarka. - Bleibel - dodała, energicznie potrząsając ręką Jacka.

- Słucham?

- Waltraut Bleibel. Właśnie się panu przedstawiłam!

- Ach tak. Jack Burns.

- Wiem. Profesor Ritter się pana spodziewa. Wszyscy się pana spodziewaliśmy oprócz biednej Pameli.

Wyszli z kliniki i przecięli patio. Jack zobaczył ogród rzeźb oraz płytki staw z nenufarami. (Nic, w czym można by się utopić, uznał w duchu). Większość budynków miała duże okna, na niektórych widniały czarne sylwetki namalowanych ptaków.

- Nasze ptaki antyptakowe - wyjaśniła siostra Bleibel, machając ręką. - Pewnie macie je w Ameryce.

- Chyba trafiłem do niewłaściwego budynku - powiedział.

- Owszem, niekoniecznie wpuściłabym pana na oddział żeński - odrzekła siostra Bleibel.

Teren był pięknie utrzymany. Ścieżkami przechadzało się około tuzina osób, inni siedzieli na ławkach, twarzą do jeziora. (Nikt nie wyglądał na wariata). Na wodzie musiało się znajdować około stu żaglówek.

- Czasem jeżdżę z Williamem kupować ubrania - poinformowała pielęgniarka. - W życiu nie spotkałam mężczyzny, który lubiłby to tak jak on. Kiedy ma coś przymierzyć, bywa trudny. Lustra stanowią prawdziwe wyzwanie. Doktor von Rohr nazwałaby je katalizatorami. Ale William zachowuje się przy mnie bez zarzutu. Żadnych głupich pomysłów.

Weszli do części biurowej. W powietrzu unosiły się kuchenne zapachy: być może w pobliżu znajdowała się kafeeteria albo stołówka. Jack poszedł za pielęgniarką na górę, odnotowując, że pani Bleibel sady po dwa stopnie naraz. W wypadku niskiej kobiety w spódnicy wymagało to szczególnej determinacji. (Wcale się nie dziwił, że ojciec nie miał przy niej głupich pomysłów).

Znaleźli profesora Rittera w sali konferencyjnej; siedział sam przy długim stole, notując coś w bloczku. Kiedy weszli do środka, zerwał się na równe nogi. Był to zylasty mężczyzna o mocnym uścisku. Trochę przypominał Davida Nivena, tyle że nie miał na sobie stroju do tenisa. Nosił spodnie khaki zaprasowane na kant, a jego brązowe półbuty wyglądały na świeżo pastowane. Oprócz tego miał na sobie zieloną koszulę z krótkim rękawem.

- Ach, znalazł nas pan! - wykrzyknął.

- Er hat zuerst Pamela gefunden - zaznaczyła siostra Bleibel. („Najpierw znalazł Pamelę”).

- Biedna Pamela - odpowiedział profesor Ritter.

- Das macht nichts. Pamela myśli, że to wina lekarstwa - rzuciła na odchodnym pielęgniarka.

- Merci vielmal, Waltraut! - zawołał za nią profesor Ritter, łącząc francuski ze szwajcarskim niemieckim.

- Bitte, bitte - odpowiedziała siostra Bleibel, machając ręką, jakby odganiała antyptaki.

- Waltraut ma brata, Hugona, który czasami zabiera pańskiego ojca do miasta - wyjaśnił Jackowi profesor Ritter. - Ale nie kupują razem ubrań. Waltraut radzi sobie z tym lepiej.

- Wspomniała coś o lustrach - powiedział Jack. - Nazwała je katalizatorami. Podobno tak mówią lekarze.

- No tak, dojdziemy do tego! - odrzekł profesor Ritter. Był człowiekiem nawykłym do prowadzenia spotkań. Przyjazny, lecz precyzyjny: nie pozostawiał wątpliwości, kto tu rządzi.

Kiedy nadeszli pozostali lekarze, Jack zastanawiał się, gdzie do tej pory czeka

li. Jaki niewidoczny dlań sygnał kazał im się stawić? Wiedzieli nawet, jakie miejsca zająć, tak jakby na pustym stole leżały karteczki z nazwiskami. Jak jeden mąż złożyli na blacie prawie identyczne notatniki; wyglądało na to, że zaraz rzucą się do sporządzania notatek. Najpierw jednak nastąpiło ceremonialne powitanie i wymiana uścisków rąk, w każdym wypadku nieco przydługa. I jakby spotkanie zostało wcześniej przećwiczone, każdy z lekarzy miał coś charakterystycznego do powiedzenia.

- Griiss Gottl - wykrzyknął doktor Horvath, serdeczny Austriak, zamaszycie potrząsając ręką Jacka.

- Pańska sława dotarła aż tutaj, panie Burns - powiedział doktor Berger (neurolog, człowiek faktu) - lecz gdy na pana patrzę, przede wszystkim widzę młodego Williama!

- Z drugiej strony - wtrąciła autorytatywnie doktor von Rohr - czy z uwagi na podobieństwo do ojca powinniśmy zakładać, że znamy Jacka Burnsa? Tak tylko pytam.

Ściskając dłoń Jacka, doktor Huber zerknęła na pager.

- Jestem intemistką - powiedziała. - No wie pan, normalnym lekarzem. - Pager zabrzączał i lekarka puściła rękę Jacka tak raptownie, jakby właśnie stwierdziła jego zgon. Podeszła do telefonu, który znajdował się tuż przy drzwiach. - Huber hier - rzuciła do słuchawki. I po chwili dodała: - Ja, aber nicht jetzt. („Tak, ale nie teraz”).

Jack bezbłędnie rozpoznał doktor Annę-Elisabeth Krauer-Poppe, lekarkę o wyglądzie modelki, która osłaniała odzież długim, wykrochmalonym fartuchem. Popatrzyła mu znacząco w oczy, jakby chciała ustalić, jakie zażywa leki - oraz jakie zażywać powinien.

- Odziedziczył pan po ojcu mocne włosy - zauważyła. - Mam nadzieję, że to samo nie dotyczy jego obsesji.

- Nie jestem wytatuowany - odpowiedział Jack.

- Istnieją inne sposoby, aby się naznaczyć na całe życie - wtrąciła doktor „z drugiej strony” von Rohr.

- Nie wszystkie obsesje są szkodliwe, Ruth - zwróciła jej uwagę doktor Huber.

- Wydaje się, że młody pan Burns również pilnuje diety. Czyż nie jesteśmy wszyscy pod wrażeniem silnej woli Williama?

- Masz na myśli jego narcyzm? - spytała wyniośle doktor von Rohr.

- Chodzi pan do psychiatry, panie Burns? - zapytał doktor Berger, człowiek faktu. - Czy możemy to wykluczyć?

- Właściwie chodzę - odparł Jack.

- No tak... - rzucił profesor Ritter.

- Nie ma w tym nic wstydliwego! - wykrzyknął zastępca dyrektora do spraw medycznych, doktor Horvath.

- Raczej nie wykazuje pan objawów artretyzmu - zauważyła doktor Huber. - Jest pan za młody - dodała. - Proszę mieć na uwadze, że artretyzm Williama nie musi budzić pańskich obaw. Nie gra pan na fortepianie ani organach, prawda?

- Nie. I nie mam objawów artretyzmu - odparł Jack.

- Jakies leki, o których powinniśmy wiedzieć? - zapytała doktor Krauer-Poppe. - Nie mam na myśli artretyzmu.

- Nie, żadnych - odpowiedział Jack. Doktor Krauer-Poppe wyglądała na zdziwioną, a może zawiedzioną: Jack nie był pewien.

- Wystarczy! - zawołał profesor Ritter, klaszcząc w dłonie. - Pozwólmę pytać Jackowi!

Jack widział, że współpracownicy traktują profesora Rittera z dużą dozą wyrozumiałości. Bądź co bądź, był tu szefem i dźwigał na sobie ciężar odpowiedzialności interpersonalnej, z którą sami zapewne nie chcieli mieć nic wspólnego.

- Niech pan pyta o wszystko! - zawołał doktor Horvath, narciarz.

- Dlaczego lustra są katalizatorami? - zapytał Jack.

Lekarze okazali pewne zdziwienie, że wie o lustrach, o katalizatorach nie wspominając.

- Jack rozmawiał z Waltraut o wyprawach do sklepów odzieżowych - wyjaśnił pozostałym profesor Ritter.

- Czasami, kiedy William widzi się w lustrze, odwraca wzrok albo zasłania twarz rękami - oznajmił doktor Berger, ściśle trzymając się faktów.

- Ale bywają sytuacje - zaczęła doktor von Rohr - kiedy na widok swojego odbicia nachodzi go pragnienie obejrzenia tatuaży.

- Wszystkich! - wykrzyknął doktor Horvath.

- Bywa, że to nie czas i miejsce na równie szczegółowe oględziny - dodał profesor Ritter - lecz William kompletnie nie zwraca na to uwagi. Kiedy zaczyna się rozbierać, robi to do wtóru recytacji.

- Czego? - spytał Jack.
- Jego ciało przypomina gobelin z historią muzyki oraz zapiskami natury osobistej, które może głośno recytować - oświadczyła doktor Huber. Na dźwięk pagera ponownie podeszła do telefonu. - Huber hier. Noch nicht! - burknęła z irytacją. („Jeszcze nie!”).
- Problem osoby równie pedantycznej jak pański ojciec polega na tym, że w swoim mniemaniu nigdy nie jest dość pedantyczna - rzucił tonem wyjaśnienia profesor Ritter.
- Jest dumny ze swoich tatuaży, a zarazem podchodzi do nich bardzo krytycznie - dorzucił doktor Berger.
- Uważa, że niektóre z nich znajdują się w niewłaściwym miejscu. Obwinia się o małą zapobiegliwość. Robi sobie wyrzuty - sprecyzował doktor Horvath.
- Przy innych okazjach - włączyła się doktor von Rohr - chodzi o kwestię, który tatuaż powinien znajdować się najbliżej serca.
- Istnieje ograniczona liczba rzeczy, które naprawdę są bliskie sercu - zaznaczyła doktor Krauer-Poppe. - Naznaczył swoje ciało tym, co kocha, ale uwiecznił też swoją rozpacz. Leki antydepresyjne przyniosły mu spokój, uczyniły go mniej pobudliwym, wyeliminowały bezsenność...
- Ale na rozpacz nie pomogą - oświadczyła bez ogródek doktor von Rohr, zwracając ku Jackowi królewski profil.
- Tylko częściowo - przyznała doktor Krauer-Poppe.
- Nie będziemy na razie omawiać poszczególnych diagnoz, żeby pana nie zmęczyć. Ograniczmy się do stwierdzenia, że pański ojciec utracił w życiu bardzo wiele - powiedział profesor Ritter. - Pannę Ringhof, żonę, ale przede wszystkim pana.
- Ma absurdalnie emocjonalną naturę. - Doktor Berger pokręcił głową. Szczerze ubolewał, że William Burns nie jest człowiekiem faktu.
- Mówię tylko, że leki antydepresyjne bardzo pomogły - zaznaczyła doktor Krauer-Poppe.
- Trzymanie go z dala od luster też pomaga - oświadczyła doktor von Rohr na swój wielkopański sposób.
- A inne katalizatory? - spytał Jack.
- No tak... - powiedział profesor Ritter. - Może najpierw zaprowadzimy Jacka do ojca? - (Jack widział, że współpracownicy nie dzielą jego sugestii).
- Bach! - ryknął doktor Horvath. - Wszystko Bacha.
- Bach, Buxtehude, Stanley, Widor, Vieme, Dubois, Alain, Dupre... - wyrecytował doktor Berger.
- Haendel, Balbastre, Messiaen, Pachelbel, Scheidt... - wpadła mu w słowo doktor von Rohr.
- Melodie związane z Bożym Narodzeniem albo Wielkanocą. I pieśni - dodała doktor Huber. Spoglądała gniewnie na pager, jakby prowokując go, aby dał głos.
- Muzyka jest katalizatorem? Nazwiska kompozytorów też? - spytał Jack.
- Muzyka i nazwiska niektórych kompozytorów - potwierdziła doktor Krauer-Poppe.
- A kiedy gra na fortepianie albo organach?
- No tak... - wtrącił znów profesor Ritter.
- Kiedy go boli... - zaczęła doktor Krauer-Poppe.
- I czuje łamanie w palcach... - dodała doktor Huber.
- Kiedy się myli - uzupełniła kategorycznie doktor von Rohr. Wszystko, co mówiła, nosiło znamiona konkluzji. Przemawiała do rozmówców z wyżyn swego autorytetu, co przy jej wzroście wcale nie było trudne. Siedząc, bynajmniej nie wydawała się niższa. (Przy powitaniu Jack zauważył, że sięga jej do ramienia).
- Tak, pomyłki to katalizatory - potwierdził ze smutkiem profesor Ritter.
- Znów wracamy do jego pedanterii - zauważył doktor Berger.

- No i... czasami... pańskie filmy - uzupełniła doktor von Rohr, patrząc na Jacka.
- Głównie niektóre dialogi - dodał profesor Ritter.
- Ale przeważnie filmy pełnią funkcję terapeutyczną! - zaproponowała doktor Krauer-Poppe.
- Czasem jednak... - zaczęła doktor von Rohr.
- No tak... - powiedział profesor Ritter. - Moim zdaniem, Jack powinien zobaczyć ojca, posłuchać, jak gra, porozmawiać z nim...
- W jakiej kolejności? - zapytał doktor Berger, być może sarkastycznie: Jack nie był pewien.
Pager doktor Huber jeszcze raz dał o sobie znać. Lekarka wstała i podeszła do telefonu. Doktor Krauer-Poppe zasłoniła rękami twarz.
- Może powinniśmy naszkicować Jackowi harmonogram Williama? - zapytał profesor Ritter.
- I znów wracamy do pedanterii! - wykrzyknął doktor Horvath.
- Pański ojciec lubi wiedzieć z góry, co będzie robił każdego dnia - wyjaśniła doktor von Rohr.
- I o każdej porze! - zawołał doktor Horvath.
- Przedstawcie mu harmonogram - zasugerowała doktor Krauer-Poppe. -Może to naświetli sprawę.
- Huber hier - powiedziała do telefonu doktor Huber. - Ich komme sofort. („Już idę”). - Wróciła do stołu. - Nagły przypadek - zwróciła się do Jacka, podając mu rękę. - Noch ein Notfall. („Kolejny nagły przypadek”). - Jack wstał, pozostali też podnieśli się z krzeseł.
Jack i zespół lekarzy (minus doktor Huber, która ulotniła się w mgnieniu oka) skierowali się ku drzwiom.
- Pobudka, gorący wosk, lodowata woda, śniadanie... - wyliczał doktor Horvath, kiedy schodzili po schodach.
Jack zrozumiał, że mowa o harmonogramie ojca.
- Ćwiczenia palców w sali gimnastycznej, zaraz po śniadaniu - dorzucił doktor Berger.
- Ćwiczenia palców? - powtórzył Jack.
- Tak nazywa grę dla grupy tanecznej. Gra z zawiązanymi oczami, z pamięci -wyjaśniła doktor von Rohr.
- Dlaczego z zawiązanymi oczami? - zapytał Jack.
- W sali gimnastycznej są lustra - powiedział profesor Ritter. - Dużo luster. William zawsze zakłada tam opaskę na oczy, czasem też gra nocą, po ciemku.
- Po ćwiczeniach jogging, w zależności od pogody - ciągnął doktor Horvath. -Czasami wycieczka do miasta z Hugonem.
- Właśnie, jeszcze nie napomknęliśmy o Hugonie - przypomniał wszystkim profesor Ritter.
- Czy musimy o nim mówić? - zapytała doktor von Rohr. - Może nie teraz? Tak tylko pytam.
- Czasem... to znaczy po ćwiczeniach palców... William znowu potrzebuje lodowatej wody, prawda? - zagaił doktor Berger.
- Chyba mu pomaga - odrzekła z rezygnacją doktor Krauer-Poppe.
- Lunch. Po joggingu, rzecz jasna - podjął doktor Horvath.
- Albo po Hugonie - uściślił doktor Berger, potrząsając głową.
- Nie teraz, Manfredzie! - upomniała go doktor von Rohr.
- Po lunchu gorący wosk - przejęła pałeczkę doktor Krauer-Poppe. - No i znów lodowata woda. Często następuje to podczas oglądania filmu.
- Jednego z pańskich filmów, dokładnie rzecz biorąc - poinformował Jacka doktor Berger. - Co dzień po południu inny film z Jackiem Burnsem.

- I kolejny wieczorem! - wykrzyknął doktor Horvath. - Film przed snem to mus!

- Wybiegasz do przodu, Klaus - zwróciła mu uwagę doktor von Rohr.

Weszli do budynku z salą gimnastyczną, wyposażoną niczym studio taneczne: wzdłuż całej długości ścian biegły lustra i barierki. Fortepian (C. Bechstein) połyskiwał smoliście w późnopołudniowym świetle jak futerko zadbanego zwierzęcia.

- Do ćwiczeń palców podczas porannych i popołudniowych sesji - powiedziała doktor Krauer-Poppe, wskazując na instrument. - Po obejrzeniu filmu gra kolejny raz. Tym razem nie dla tańczących, ale podczas zajęć jogi. Wówczas muzyka jest bardziej nastrojowa, spokojniejsza, w sam raz na tło. Jeśli jednak do sali wpada światło, William zawsze ma opaskę na oczach.

- Jego łamanie w palcach rozprasza ćwiczących - wtrącił doktor Berger. - Tancerze nie zwracają na to większej uwagi, nawet gdy William skręca się z bólu.

- No tak... - powiedział profesor Ritter. - Po jodze czeka na niego miska lodowatej wody. I gorący wosk, jeśli chce.

- A potem znów lodowata woda - uzupełnił doktor Berger. Musiał dopilnować, żeby Jack poznał wszystkie fakty we właściwym porządku.

- Gimnastyka! - podjął doktor Horvath, wymachując rękami. - Zwłaszcza jeśli nie było joggingu. Parę brzusków, skłony, podskoki! - (Tu zademonstrował skłony, a potem podskoczył, tupiąc wielkimi stopami w drewnianą podłogę sali gimnastycznej).

- Trzy razy w tygodniu organizujemy spotkania grupy terapeutycznej. Pacjenci dyskutują o walce ze swoimi zaburzeniami. Pański ojciec bardzo przyzwoicie włada niemieckim - oznajmił Jackowi profesor Ritter. - Jego koncentracja też uległa znacznej poprawie.

- Byle tylko nikt nie nucił - wtrącił doktor Berger. - Nucenie doprowadza go do szału.

- Kolejny katalizator? - spytał Jack.

- No tak... - Profesor Ritter zawiesił głos.

- Co drugą środę odbywają się wieczorki filmowe. Hm, zwykle nie pokazujemy pańskich filmów - obwieścił doktor Berger. - Raz w tygodniu mamy loterię. William za nią nie przepada, uwielbia za to spotkania czytelnicze, podczas których my albo pacjenci czytamy na głos książki. Jest też wieczór, kiedy młodszy pacjenci odwiedzają oddział gerontopsychiatryczny. William okazuje starszkom dużo serca.

- Czasem zabieramy starszych pacjentów do sali gimnastycznej, żeby posłuchali, jak William gra po ciemku. Bardzo to lubią - powiedziała doktor von Rohr.

- Ja też! - zawołał doktor Horvath.

- Przebywają u nas pacjenci ze schizofrenią lub jej objawami - poinformowała Jacka doktor Krauer-Poppe. - Ci, którzy znajdują się w stosunkowo stabilnej fazie remisji i potrafią dłużej skupić na czymś uwagę, też przepadają za koncertami Williama.

- Jego gra zdaje się uspokajać pacjentów cierpiących na ataki paniki - zaznaczyła doktor von Rohr. (Jak zauważył Jack, była doskonale świadoma faktu, że światło z okien odbija się na srebrnym paśmie jej włosów).

- Czy w Sanatorium Kilchberg są pacjenci, którzy zgodnie z wolą rodziny pozostaną tu aż do śmierci? - spytał Jack.

- No tak... - Profesor Ritter westchnął.

- Prywatni pacjenci rzadko przebywają tu dłużej - powiedział doktor Berger.

- Jesteśmy kosztowną instytucją - rzuciła prosto z mostu doktor von Rohr.

- Ale warto płacić! - ryknął doktor Horvath. - William jest zachwycony!

- Koszty nie grają roli - odparł Jack. - Zastanawiałem się nad skutkami długofalowymi.

- Ma pan na myśli hospitalizm? - spytała niby od niechcienia doktor von Rohr.

- A cóż to takiego?

- Choroba wynikająca z długotrwałego pobytu w szpitalu, występująca równolegle z chorobą właściwą - wyjaśnił doktor Berger, jakby sam w to nie wierzył, jakby hospitalizm

należał do tego rodzaju niejasnych schorzeń, o które doktor von Rohr „tak tylko pytała”, on sam zaś - jako człowiek faktu - ogólnie rzecz biorąc, wykluczał.

- Nie ma na to lekarstwa - oświadczyła doktor Krauer-Poppe, jak gdyby choroba dla niej też w zasadzie nie istniała.

- Ale William jest tutaj szczęśliwy! - upierał się doktor Horvath.

- U Świętego Piotra jest szczęśliwszy - sprecyzowała doktor von Rohr. - St. Peter Kirche, kościół Świętego Piotra - wyjaśniła Jackowi. - Pański ojciec gra tam na organach w poniedziałkowe, środowe i piątkowe ranki, o ósmej.

- Jack mógłby jutro tam pójść! - wykrzyknął doktor Horvath.

- Dla takiego koncertu warto odbyć nawet wyprawę z Los Angeles - oznajmił doktor Berger.

- Jedno z nas musi towarzyszyć Jackowi. Nie powinien iść sam z Williamem - zakonkludował profesor Ritter.

- William nigdy nie chodzi do Świętego Piotra sam! - zawołała doktor von Rohr.

- Hugo odpada - stwierdziła doktor Krauer-Poppe. - Niech pójdzie ktoś z nas.

- Przecież o tym mówię! - rzucił z irytacją profesor Ritter.

- Ja mogę ich zabrać! - krzyknął doktor Horvath. - Ojciec będzie podekscytowany, mogąc dla pana zagrać! - powiedział do Jacka.

- Może zbyt podekscytowany - wyraziła obawę doktor Krauer-Poppe. - Ja też powinnam iść, na wypadek gdyby należało podać leki. Zabiorę coś na uspokojenie.

- Nadmiar ekscytacji może posłużyć jako katalizator - wyjaśnił doktor Berger.

- Może, ale nie musi - zauważyła doktor von Rohr.

- Wystarczy Anna-Elisabeth i ja. Nie stanie się nic, na co nie bylibyśmy przygotowani! - rzucił asertywnie doktor Horvath.

- Pański ojciec jest dla nas kimś szczególnym, Jack. To zaszczyt móc się nim opiekować - powiedział profesor Ritter.

- To zaszczyt go chronić - skontrowała uszczypliwie doktor von Rohr.

- A co robi z Hugonem, kiedy idą do miasta? - zapytał Jack.

Doktor Horvath podskoczył. Profesor Ritter wyjątkowo powstrzymał się od swego „No tak..Doktor Krauer-Poppe zamasyściła skrzyżowała ręce na piersi obleczonej fartuchem, jakby na to, co robili w mieście William i Hugo, nie było lekarstwa. Doktor von Rohr zasłoniła rękami twarz, jakby mylnie wzięła samą siebie za doktor Krauer-Poppe.

- Czasem idą tylko do kawiarni... - zaczął profesor Ritter.

- Idą popatrzeć na kobiety, ale tylko popatrzeć - podkreślił doktor Horvath.

- Czy mój ojciec z kimś się spotyka? - zapytał Jack.

- Nie jest obojętny na kobiety - powiedziała doktor Krauer-Poppe. - On też nadal budzi ich zainteresowanie, tutaj nic się nie zmieniło. Wiele spośród naszych pacjentek robi do niego słodkie oczy, lecz odradzamy w klinice tego rodzaju relacje... naturalnie.

- Nadal jest aktywny seksualnie? - drążył Jack.

- Mamy nadzieję, że nie tutaj! - zawołał doktor Horvath.

- Chodziło mi o miasto - powiedział Jack.

- Czasami - odrzekł rzeczowo doktor Berger - Hugo zabiera go do prostytutki.

- Czy to bezpieczne? - Jack zwrócił się do doktor Krauer-Poppe, która (jego zdaniem) mogłaby zalecić na to jakieś lekarstwo.

- Nie, jeśli uprawiałby z nią seks, ale nie uprawia - odpowiedziała lekarka.

- Te wyprawy są nieoficjalne, to znaczy oficjalnie ich nie pochwalamy - oświadczył profesor Ritter.

- Pochwalamy je nieoficjalnie - uściśliła doktor von Rohr swoim najbardziej sarkastycznym i wyniosłym tonem.

- Fizycznie nic mu nie dolega! - wykrzyknął doktor Horvath. - Potrzebuje seksu! Oczywiście tutaj nie może go uprawiać, nie z żadną z pacjentek ani pracownic.

- Przecież pani doktor powiedziała, że tam też go nie uprawia - przypomniał Jack.

- Idzie do prostytutki, żeby się onanizować - odrzekła doktor Krauer-Poppe.

- Na to nie trzeba żadnego lekarstwa.

- Tak jakby robił to przy zdjęciu z czasopisma, z tą różnicą, że tutaj ma do czynienia z prawdziwą kobietą - dodał doktor Berger.

- Mówi pan o pornografii? - zapytał Jack.

- No tak... - powtórzył profesor Ritter.

- William posiada również czasopisma - oświadczyła z dezaprobatą doktor von Rohr.

- Czasopisma to bezpieczny seks, prawda? - rzekła doktor Krauer-Poppe. -W tym konkretnym wypadku prostytutka też.

- Rozumiem - powiedział Jack. - Nie przeszkadza mi to.

- Pańskiej siostrze chyba też nie - odrzekł profesor Ritter. - Jednakże nam oficjalnie tak.

- Czyli nieoficjalnie nie - wtrąciła doktor von Rohr. - Czy widzicie w tym jakkolwiek logikę?

Doktor Horvath robił energiczne skłony, podłoga trzeszczała mu pod stopami.

- Bitte, Klaus - powiedział profesor Ritter.

- Czy ojciec zawsze chodzi do tej samej prostytutki, czy za każdym razem do innej? - spytał Jack.

- O to musiałby pan chyba spytać Hugona - odparł doktor Berger.

- Czy on naprawdę musi poznać Hugona? Tak tylko pytam - rzuciła doktor von Rohr. (Doktor Berger kręcił głową).

- Czy to w Kilchberg, czy na zewnątrz, wszyscy prędzej czy później natkniemy się na jakiegoś Hugona - oświadczył profesor Ritter.

- Na Hugona nie ma lekarstwa - dodała doktor Krauer-Poppe.

- Leider nicht - uzupełniła doktor von Rohr. („Niestety, nie”).

- Chciałbym zobaczyć ojca, chyba że pora jest nieodpowiednia - oznajmił Jack.

- Przeciwnie, bardzo odpowiednia! - zawołał doktor Horvath.

- To pora na czytanie. William jest zapalonym czytelnikiem - powiedział doktor Berger.

- To pora na wyciszenie - dodała doktor von Rohr.

- Chyba czyta biografię Brahmsa - wyraziła przypuszczenie doktor Krauer--Poppe.

- Brahms nie jest katalizatorem? - chciał wiedzieć Jack.

- Czytanie o nim nie - odrzekł rzeczowo doktor Berger.

- Pański ojciec ma do dyspozycji dwa pokoje z łazienką - poinformował profesor Ritter.

- Stąd wysokie koszty utrzymania - dorzuciła doktor von Rohr.

- Zarezerwowałem stolik na wieczór - powiedział Jack. - Nie wiem, kto z państwa pójdzie, ale to stolik dla czterech osób w „Kronenhalle”.

- „Kronenhalle”! - huknął doktor Horvath. - Koniecznie proszę zamówić sznycel wiedeński albo kielbaski!

- W „Kronenhalle” są lustra - zaznaczyła doktor Krauer-Poppe. - Po jednym przy każdym wejściu oraz jeszcze jedno w środku.

- Z całą pewnością da się ich uniknąć - uspokoił ją profesor Ritter.

- Tego w toalecie nie! - oznajmił doktor Horvath.

- Kto z nimi pójdzie? - spytał doktor Berger. - Ja nie mogę... nie dzisiaj.

- Ja mogę iść - zaofiarowała się doktor Krauer-Poppe. - Mam randkę, ale mogę ją odwołać.

- Tak byłoby najlepiej, Anno-Elisabeth, na wypadek gdyby William potrzebował lekarstwa - rzekł profesor Ritter.

- Jestem pewna, że Hugo też jest wolny - wtrąciła doktor von Rohr.

- Wolalabym nie iść z Hugonem, Ruth - odrzekła doktor Krauer-Poppe. - „Kronenhalle” to nie miejsce odpowiednie dla niego.

- Nie mogę iść wieczorem do „Kronenhalle”, a rano do Świętego Piotra! - wykrzyknął doktor Horvath.

- Może ja pójde, sprawdzę w kalendarzu - powiedział profesor Ritter. - Albo wyślemy doktor Huber.

- Tak, wyprawa do restauracji w towarzystwie intemistki to dobry pomysł - uznał doktor Berger. - Na wypadek gdyby ktoś zachorował.

- W „Kronenhalle” nikt nie choruje! - zaproponował z mocą doktor Horvath.

- Doktor Huber ma za dużo wezwań - sprzeciwiła się doktor Krauer-Poppe. - W razie czego musiałabym zostać sama z Jackiem i Williamem. I lustrami. Poza tym przydałby się mężczyzna. William może chcieć iść do toalety.

- Przecież ja tam będę - przypomniał jej Jack.

- Mam na myśli mężczyznę, który zna pańskiego ojca - wyjaśniła doktor Krauer-Poppe.

- Sprawdzę w kalendarzu - powtórzył profesor Ritter.

Doktor von Rohr zrobiła władczą minę, ale na jej twarzy pojawił się uśmiech. Była to dla Jacka pewna nowość, lecz pozostali najwyraźniej dobrze go znali.

- O co chodzi, Ruth? - zapytała doktor Krauer-Poppe.

- Chyba nie sądzicie, że przepuszczę taką okazję? Za nic w świecie! - oznajmiła. - Wejde nawet do męskiej toalety, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nic mnie nie powstrzyma!

Doktor Krauer-Poppe zasłoniła rękami twarz: wyglądało na to, że żaden lek nie powstrzyma doktor von Rohr przed wyprawą do „Kronenhalle”. (Doktor Berger ponownie potrząsnął głową).

- Czyli załatwione - rzucił niepewnie profesor Ritter.

- Ktokolwiek, byle nie Hugo - rzuciła filozoficznie doktor Krauer-Poppe, która zdążyła dojść do siebie. - Zatem idziemy Ruth i ja.

- Nie mogę się doczekać, Anno-Elisabeth - powiedziała doktor von Rohr.

- Chyba pójde do domu się przygotować - zwróciła się do profesora doktor Krauer-Poppe.

- Ależ naturalnie! - odrzekł profesor.

Wszyscy odprowadzili lekarkę wzrokiem. Wyglądała prześlicznie, nawet jej fartuch prezentował się nienagannie.

- Ciekawe, co dziś włoży - odezwała się doktor von Rohr po wyjściu koleżanki. - Poszła się przebrać. I wcale nie mówię o zmianie fartucha!

- Miała randkę z mężem - poinformował wszystkich doktor Berger. - Poszła pewnie grzecznie ją odwołać.

Jack zmartwił się, że doktor Krauer-Poppe musiała zmienić plany. (Doktor von Rohr wyglądała na zadowoloną ze zmiany własnych).

- Proszę się nie martwić! - zawołał do Jacka doktor Horvath, klepiąc go po ramieniu. - Bez względu na to, co się stanie, idziecie do „Kronenhalle!”.

- Chcę zobaczyć ojca. Po to przyjechałem - przypomniał im Jack.

- Chcemy tylko pana na to przygotować - oświadczył doktor Berger.

Doktor Horvath zaprzestał klepania i masował Jackowi kark dużą, mocną dłonią.

- Chciałbym pana o coś prosić, jeśli wolno - powiedział.

- Naturalnie. O co chodzi?

- Proszę powiedzieć coś w stylu Billy’ego Rainbowa. Wiem, że może pan to zrobić! - poprosił doktor Horvath.

- Bez dwóch zdań - odrzekł Jack vel Billy. (Po incydencie na lotnisku w Edynburgu poczuł ulgę, że jeszcze potrafi grać).

- Wunderschön! - wykrzyknął doktor Horvath. („Pięknie!”).
- Co za wstyd, Klaus - powiedziała doktor von Rohr. - Mam nadzieję, że pan mi wybaczy - dodała, zwracając się do Jacka - ale Billy Rainbow przyprawia mnie o ciarki.
- Powinien - odparł Jack.
- Zdradzę coś panu, Jack - rzekł profesor Ritter. - William wypowiada tę kwestię identycznie jak pan!
- Ojciec poddał pana dokładnej analizie - oznajmił doktor Berger.
- Przygotuj się, Jack. Ojciec wie o tobie więcej, niż przypuszczasz - dodała doktor von Rohr. (Doktor Horvath wprawdzie przestał masować Jacka, lecz jego koleżanka poufale zarzuciła mu rękę na ramię).
- Tak, Heather coś o tym wspominała. Zna na pamięć wszystkie dialogi - odpowiedział Jack.
- Nie miałam na myśli wyłącznie filmów, Jack - uprzedziła doktor von Rohr.
- Chyba wystarczy tych ostrzeżeń, Ruth - zasugerował doktor Berger.
- Ja, der Musikeñ - wykrzyknął doktor Horvath. („Tak, muzykant!). - Pora, aby pan go poznał!

39 • Muzykant

W prywatnej części Sanatorium Kilchberg panowała błoga atmosfera, na którą Jack początkowo nie zwrócił uwagi. (On sam bynajmniej nie był w błogim nastroju). Budynek, biały i zdobiony sztukaterią, z okiennicami w podobnym szaro--niebieskim odcieniu co jezioro, przypominał bardziej mały hotel niż szpital. Położone na trzecim piętrze, narożne pokoje ojca (z widokiem na dachy Kilchbergu) wychodziły na wschodni brzeg Jeziora Zurychskiego. Alpy majaczyły mgliście na południe od wody.

Ojciec Jacka leżał z książką na łóżku z częściowo uniesionym wezgłowiem. Łóżko oraz brak dywanu na gumowanej podłodze jedyne sugerowały szpitalny charakter pomieszczenia. Pomimo otwartych okien, przez które wpadał ciepły wietrzyk znad jeziora, William był ubrany w sam raz na chłodny, jesienny dzień: gruba flanelowa koszula na białej koszulce, sztruksowe spodnie oraz białe sportowe skarpetki. (Jack spociłby się w takim stroju jak mysz, chociaż widok ojca przejął go natychmiastowym chłodem).

Sypialnia, z której drzwi prowadziły do drugiego pokoju (z sofą i stołem z dwoma krzesłami o prostych oparciach), nie była zagracona meblami ani bibelotami. Jack zobaczył tylko zdjęcia, gigantyczne plansze, wypełnione nachodzącymi na siebie fotografiami. Na brzoskwińowych ścianach wisiały również plakaty z filmów Jacka Burnsa. Jack od razu spostrzegł, że ojciec oprawił i powiesił je wszystkie. Na półkach znajdowała się pokaźna kolekcja płyt CD i DVD, kaset wideo oraz książek, bardziej uporządkowana niż w gabinecie siostry lub jej pokoju.

Zespół lekarzy, wraz z Jackiem i profesorem Ritterem, wkroczył do ładnego, acz skromnego lokum Williama w głuchym milczeniu. Jack początkowo odniósł wrażenie, że ojciec nie zauważył ich obecności. (Nie podniósł wzroku znad książki). Jednakże pobyt w klinice psychiatrycznej, gdzie pozostawiano drzwi otwarte na oścież, pozwolił Williamowi przywyknąć do podobnych najść. Był przyzwyczajony do pielęgniarek i lekarzy, którzy niekoniecznie pukali do drzwi.

Ojciec Jacka wiedział, że weszli do środka, celowo nie podniósł oczu. Jack zrozumiał, że pragnie on zaakcentować swoją prywatność. Zgodnie z gorliwym zapewnieniem doktora Horvatha, William Burns istotnie lubił Sanatorium Kilchberg, co nie znaczy, że akceptował je bezkrytycznie.

- Pozwólcie, że zgadnę - powiedział, z uporem wlepiając wzrok w książkę. -Mieliście spotkanie i coś uradziliście. Cóż za radość, przysłaliście delegację w celu zdania mi sprawozdania! - (Wciąż na nich nie patrzył, miedziane bransoletki połyskiwały w mętnawym świetle późnego popołudnia).

William Burns nie mówił z rozpoznawalnym akcentem, zupełnie jakby lata spędzone w zagranicznych miastach pozbawiły jego język szkockich cech. Nie mówił jak Amerykanin, ale z pewnością nie przypominał też Brytyjczyka. Posługiwał się angielszczyzną europejską, obowiązującą w Sztokholmie, Stuttgarcie, Helsinkach i Hamburgu. Była to nieakcentowana angielszczyzna pieśni, wszystkich głosów zawartych w muzyce, od Kastelskirken we Frederikshavn aż po Oude Kerk w Amsterdamie.

Co do sarkazmu Williama, Jack uznał, że siostra jednak niekoniecznie odziedziczyła swój po matce.

- Nie bądź dziecinny, Williamie - odparła doktor von Rohr.

- Masz niezwykłego gościa, Williamie - oznajmił doktor Berger.

Ojciec Jacka zastygł: przestał czytać, mimo to nadal nie odrywał spojrzenia od książki.

- Twój syn Jack przyjechał specjalnie po to, żeby cię zabrać na kolację! - zawołał profesor Ritter.

- Do „Kronenhalle“! - huknął doktor Horvath.

William zamknął książkę i oczy, zupełnie jakby lepiej widział syna przez zaciśnięte powieki. Jack nie mógł na niego patrzeć i przeniósłszy wzrok na zdjęcia, czekał, aż ojciec otworzy oczy i coś powie.

- Zostawimy was samych - powiedział z ociąganiem profesor Ritter.

Jack spodziewał się ujrzeć swoje zdjęcia, zwłaszcza wycinki z magazynów filmowych, fotosy z premier, festiwali oraz ceremonii wręczenia Oscarów. Nie był jednak przygotowany na widok aż tylu osobistych zdjęć. (Było tam więcej fotografii jego niż Heather!).

Oto zdjęcie z jednej z licznych inscenizacji panny Wurtz u Świętej Hildy. Oczywiście rozpoznał się też w roli narzeczonej na zamówienie, przełomowej i przesiąkniętej krwią roli w historycznym przedstawieniu pana Ramseya. Zdjęcia musiały pochodzić z aparatów nauczycieli. (Jack był pewien, że to Caroline je przysłała).

Jednakże nie tłumaczyło to obecności fotek Jacka z Emmą; to w kuchni pani Wickstead musiała zrobić Lottie, ale co z pozostałymi? Jack i Emma w domu pani Oastler, Jack i Czenko w siłowni na Bathurst Street, Jack na macie zapaśniczej w Redding! Czyżby Leslie Oastler przysłała Williamowi zdjęcia? Czyżby Alice okazała się jednak mniej nieustępliwa, niż przypuszczał?

Lecz pani Oastler i Alice nigdy nie odwiedziły go w Redding. Czy fotografie z zawodów pochodziły od trenera Cluma? Były tam również zdjęcia z Exeter: może trenerzy Hudson i Shapiro też odegrali rolę posłańców.

Usłyszał cichy szcęk zamykanych drzwi. Kiedy popatrzył na ojca, William z uśmiechem spoglądał na jego twarz. Jack nie miał pojęcia, jak długo ojciec go obserwuje. Jack obejrzał zaledwie garstkę zdjęć, pozwoliło mu to jednak zrozumieć, że ojciec otoczył się wycinkami z jego dzieciństwa i lat szkolnych. (Co tłumaczyło poniekąd rozżalenie Heather: ciasne lokum ojca nosiło liczniejsze dowody istnienia Jacka aniżeli jej samej).

- Bałem się, że o mnie zapomniałeś - powiedział William. Był to tekst Billy'ego Rainbowa. Jack zawsze go lubił, ojciec zaś bezbłędnie powtórzył kwestię.

Jack machnął ręką w kierunku zdjęć.

- To ja się bałem! - zawołał swoim własnym głosem, a nie głosem Billy'ego Rainbowa.

- Drogi chłopcze - powiedział ojciec. Poklepał miejsce obok siebie i Jack usiadł na łóżku. - Kiedy będziesz miał własne dzieci, zrozumiesz, że nie sposób o nich zapomnieć!

Jack dopiero wówczas spostrzegł jego rękawiczki. Były chyba damskie, ciasno dopasowane i uszyte z tak cienkiego materiału, że William bez trudu przewracał kartki powieści. Beżowe, niemal w odcieniu skóry.

- Mam takie brzydkie ręce - wyszeptał. - Zestarzały się przed resztą ciała.

- Pokaż - powiedział Jack.

Zdejmując rękawiczki, William kilkakrotnie wzdrygnął się z bólu, ale nie pozwolił sobie pomóc. Schował ręce w dłoniach syna; Jack czuł, że ojciec drży, jakby przemarzał. (Jemu samemu zrobiło się gorąco). Zgrubienia kłykci były tak zaawansowane, że wątpił, czy ojciec mógł zsunąć czy wsunąć pierścione; William nie nosił żadnych ozdób. Zniekształcenia okazały się poważniejsze, niż Jack przypuszczał.

- Reszta ciała nie budzi zastrzeżeń - oznajmił William. Położył rękę na sercu.

- Jedynie ta część czasami niedomaga. - Następnie wycelował palcem w skroń, jak gdyby przystawiał do niej pistolet. - I ta - dodał z żartobliwym uśmiechem.

- A co u ciebie?

- W porządku - odpowiedział Jack.

Odnosił wrażenie, że spogląda na siebie w szpitalnym łóżku i dziwnym ubraniu, postarzałego o dwadzieścia sześć lat.

Podobnie jak wielu muzyków, William Burns był przeraźliwie chudy. Z długimi włosami i drobną, delikatną twarzą o nieco kobiecych rysach bardziej przypominał gwiazdę

rocka niż organistę, bardziej wokalistę (jednego z wychudzonych, androgenicznych młodzieńców z gitarą elektryczną) niż „klawiszowca”, jak nazywała go Heather.

- Naprawdę idziemy do „Kronenhalle”? - spytał.

mów Jacka Burnsa. Jack od razu spostrzegł, że ojciec oprawił i powiesił je wszystkie. Na półkach znajdowała się pokaźna kolekcja płyt CD i DVD, kaset wideo oraz książek, bardziej uporządkowana niż w gabinecie siostry lub jej pokoju.

Zespół lekarzy, wraz z Jackiem i profesorem Ritterem, wkroczył do ładnego, acz skromnego lokum Williama w głuchym milczeniu. Jack początkowo odniósł wrażenie, że ojciec nie zauważył ich obecności. (Nie podniósł wzroku znad książki). Jednakże pobyt w klinice psychiatrycznej, gdzie pozostawiano drzwi otwarte na oścież, pozwolił Williamowi przywyknąć do podobnych najść. Był przyzwyczajony do pielęgniarek i lekarzy, którzy niekoniecznie pukali do drzwi.

Ojciec Jacka wiedział, że weszli do środka, celowo nie podniósł oczu. Jack zrozumiał, że pragnie on zaakcentować swoją prywatność. Zgodnie z gorliwym zapewnieniem doktora Horvatha, William Burns istotnie lubił Sanatorium Kilchberg, co nie znaczy, że akceptował je bezkrytycznie.

- Pozwólcie, że zgadnę - powiedział, z uporem wlepiając wzrok w książkę. -Mieście spotkanie i coś uradziliście. Cóż za radość, przysłaliście delegację w celu zdania mi sprawozdania! - (Wciąż na nich nie patrzył, miedziane bransoletki połyskiwały w mętawym świetle późnego popołudnia).

William Burns nie mówił z rozpoznawalnym akcentem, zupełnie jakby lata spędzone w zagranicznych miastach pozbawiły jego język szkockich cech. Nie mówił jak Amerykanin, ale z pewnością nie przypominał też Brytyjczyka. Posługiwał się angielszczyzną europejską, obowiązującą w Sztokholmie, Stuttgarcie, Helsinkach i Hamburgu. Była to nieakcentowana angielszczyzna pieśni, wszystkich głosów zawartych w muzyce, od Kastelskirken we Frederikshavn aż po Oude Kerk w Amsterdamie.

Co do sarkazmu Williama, Jack uznał, że siostra jednak niekoniecznie odziedziczyła swój po matce.

- Nie bądź dziecinny, Williamie - odparła doktor von Rohr.

- Masz niezwykłego gościa, Williamie - oznajmił doktor Berger.

Ojciec Jacka zastygł: przestał czytać, mimo to nadal nie odrywał spojrzenia od książki.

- Twój syn Jack przyjechał specjalnie po to, żeby cię zabrać na kolację! - zawołał profesor Ritter.

- Do „Kronenhalle“! - huknął doktor Horvath.

William zamknął książkę i oczy, zupełnie jakby lepiej widział syna przez zaciśnięte powieki. Jack nie mógł na niego patrzeć i przeniósłszy wzrok na zdjęcia, czekał, aż ojciec otworzy oczy i coś powie.

- Zostawimy was samych - powiedział z ociąganiem profesor Ritter.

Jack spodziewał się ujrzeć swoje zdjęcia, zwłaszcza wycinki z magazynów filmowych, fotosy z premier, festiwali oraz ceremonii wręczenia Oscarów. Nie był jednak przygotowany na widok aż tylu osobistych zdjęć. (Było tam więcej fotografii jego niż Heather!).

Oto zdjęcie z jednej z licznych inscenizacji panny Wurtz u Świętej Hildy. Oczywiście rozpoznał się też w roli narzeczonej na zamówienie, przełomowej i przesiąkniętej krwią roli w historycznym przedstawieniu pana Ramseya. Zdjęcia musiały pochodzić z aparatów nauczycieli. (Jack był pewien, że to Caroline je przysłała).

Jednakże nie tłumaczyło to obecności fotek Jacka z Emmą; to w kuchni pani Wickstead musiała zrobić Lottie, ale co z pozostałymi? Jack i Emma w domu pani Oastler, Jack i Czenko w siłowni na Bathurst Street, Jack na macie zapaśniczej w Redding! Czyżby Leslie Oastler przysłała Williamowi zdjęcia? Czyżby Alice okazała się jednak mniej nieustępliwa, niż przypuszczał?

Lecz pani Oastler i Alice nigdy nie odwiedziły go w Redding. Czy fotografie z zawodów pochodziły od trenera Cluma? Były tam również zdjęcia z Exeter: może trenerzy Hudson i Shapiro też odegrali rolę posłańców.

Usłyszał cichy szcęk zamykanych drzwi. Kiedy popatrzył na ojca, William z uśmiechem spoglądał na jego twarz. Jack nie miał pojęcia, jak długo ojciec go obserwuje. Jack obejrzał zaledwie garstkę zdjęć, pozwoliło mu to jednak zrozumieć, że ojciec otoczył się wycinkami z jego dzieciństwa i lat szkolnych. (Co tłumaczyło poniekąd rozżalenie Heather: ciasne lokum ojca nosiło liczniejsze dowody istnienia Jacka aniżeli jej samej).

- Bałem się, że o mnie zapomniałeś - powiedział William. Był to tekst Billy'ego Rainbowa. Jack zawsze go lubił, ojciec zaś bezbłędnie powtórzył kwestię.

Jack machnął ręką w kierunku zdjęć.

- To ja się bałem! - zawołał swoim własnym głosem, a nie głosem Billy'ego Rainbowa.

- Drogi chłopcze - powiedział ojciec. Poklepał miejsce obok siebie i Jack usiadł na łóżku. - Kiedy będziesz miał własne dzieci, zrozumiesz, że nie sposób o nich zapomnieć!

Jack dopiero wówczas spostrzegł jego rękawiczki. Były chyba damskie, ciasno dopasowane i uszyte z tak cienkiego materiału, że William bez trudu przewracał kartki powieści. Beżowe, niemal w odcieniu skóry.

- Mam takie brzydkie ręce - wyszeptał. - Zestarzały się przed resztą ciała.

- Pokaż - powiedział Jack.

Zdejmując rękawiczki, William kilkakrotnie wzdrygnął się z bólu, ale nie pozwolił sobie pomóc. Schował ręce w dłoniach syna; Jack czuł, że ojciec drży, jakby przemarzł. (Jemu samemu zrobiło się gorąco). Zgrubienia kłykci były tak zaawansowane, że wątpił, czy ojciec mógł zsunąć czy wsunąć pierścionek; William nie nosił żadnych ozdób. Zniekształcenia okazały się poważniejsze, niż Jack przypuszczał.

- Reszta ciała nie budzi zastrzeżeń - oznajmił William. Położył rękę na sercu.

- Jedynie ta część czasami niedomaga. - Następnie wycelował palcem w skroń, jak gdyby przystawiał do niej pistolet. - I ta - dodał z żartobliwym uśmiechem.

- A co u ciebie?

- W porządku - odpowiedział Jack.

Odnosił wrażenie, że spogląda na siebie w szpitalnym łóżku i dziwnym ubraniu, postarzałego o dwadzieścia sześć lat.

Podobnie jak wielu muzyków, William Buras był przeraźliwie chudy. Z długimi włosami i drobną, delikatną twarzą o nieco kobiecych rysach bardziej przypominał gwiazdę rocka niż organistę, bardziej wokalistę (jednego z wychudzonych, androginicznych młodzieńców z gitarą elektryczną) niż „klawiszowca”, jak nazywała go Heather.

- Naprawdę idziemy do „Kronenhalle”? - spytał.

- Odnosiłem wrażenie, że przysyła mi zdjęcia lub dzwoni, tylko gdy poprzytyka się z twoją matką.

- Pewnie kiedy mama ją zdradzała - domyślił się Jack.

- Nigdy nie pytałem o twoją matkę, Jack. Tylko o ciebie.

Jack ujrzał zdjęcie, na którym stoi obok panny Wurtz podczas festiwalu filmowego w Toronto. Nauczycielka istotnie wyglądała jak gwiazda minionej epoki, wręcz promieniała. Autorką fotografii była z pewnością Claudia, lecz uwodzicielski uśmiech Caroline mówił sam za siebie: wiedziała, że zdjęcie trafi do rąk Williama.

Na innym widniał Jack z Claudią. Nie pamiętał, czy zrobiono je dzień przed nieporozumieniem z Mishimą, czy też dzień po. Udało im się wprosić na prywatne przyjęcie, ponieważ ochroniarze wzięli pannę Wurtz za słynną aktorkę. Claudia śle Jackowi czułe spojrzenia, on jednak patrzy gdzie indziej. (Znając Jacka, rozglądał się za Sonią Bragą).

- Jak mnie znalazłeś, drogi chłopcze?

- To Heather znalazła mnie. Zadzwoiła do panny Wurtz. Caroline zawsze wie, gdzie mnie szukać.

- Droga Caroline - odpowiedział William, jakby się nosił z zamiarem napisania listu. - Niewłaściwa pora, ot co!

- Przyjechałem prosto z Edynburga, od Heather - wyjaśnił Jack.

- Szelma lubi się rządzić, co?

- Kocham ją - odparł Jack.

- Ja też, drogi chłopcze. Ja też!

Jack zobaczył kolejne zdjęcia z Emmą: cóż, spędzili razem kawał życia. W barze „Marmont”, przy basenie w hotelu „Mondrian” na Bulwarze Zachodzącego Słońca oraz w jednej z prywatnych willi na terenie Sunset Marquis w West Hollywood. Jack za kierownicą jednego audi, potem następnego. (Emma wiecznie pstrykała zdjęcia, ale nigdy nie zwracał na to uwagi, oswojony z błyskiem flesza).

Na planszach znajdowały się również fotografie Heather i jej matki, czasem w ujęciach, które znał z albumu, często z wyjazdów na narty. Jacka najbardziej jednak zdziwiła obecność Alice. (Zastanawiał się, dlaczego ojciec nie wyciął jej ze zdjęć; on sam na pewno by to zrobił). Niektóre zdjęcia pochodziły z pierwszej podróży szlakiem portów Morza Bałtyckiego i Północnego, kiedy miał cztery lata i nadal przejawiał chęć trzymania matki za rękę.

Oto stoją na Nyhavn przed salonem Mistrza Olego: autorem zdjęcia był Lars albo sam Ole. A tu, w Sztokholmie, pozują przy statku z archipelagu, cumującym obok „Grandu”. Czy zdjęcie zrobił Torsten Lindberg? Jack nigdy nie zapominałby spotkania z ojcem, nawet jeśli nie wiedział, z kim ma do czynienia, jak pamiętnego dnia w restauracji „Bristolu” w Oslo, gdzie William nie przespał się z Ingrid Moe. Ale kto uwiecznił ich przed Domkirke, katedrą w Oslo?

Jack do śmierci zapamięta „Bar Amerykański” w hotelu „Torni”, lecz która z lesbijek zrobiła im zdjęcie, jak wchodzi po schodach na górę? (Zawsze wchodzili po schodach z powodu popsutej windy, zawsze też trzymali się za ręce).

Dlaczego William Bums nie zatarł wszelkich śladów istnienia matki Jacka?

Pochłonięty oględzinami zdjęć z Amsterdamu, nie zauważył, że ojciec stanął blisko i przypatruje mu się uważnie. Na planszy wisiała fotografia Jacka z matką i Mistrzem Theo oraz inna, z Mistrzem Peterem, wielkim Peterem de Haanem, z lewą nogą uciętą poniżej kolana. Jack dokładnie zapamiętał jego gładko zaczesane włosy, które na zdjęciu wydawały się jasne; tatuaż przedstawiający dziecięła na prawym bicepsie też był ten sam.

- Miał zaledwie piętnaście lat, kiedy wszedł na tę minę - objaśniał William, ale Jack skierował już wzrok gdzie indziej. Patrzył na siebie czteroletniego, idącego z matką dzielnicą czerwonych latarni. Aparaty nie były tam mile widziane, prostytutki nie życzyły sobie zdjęć. Lecz ktoś - może Els albo Saskia - musiał mieć aparat. Alice uśmiechała się do obiektywu, jak gdyby nic się nie stało. Jak gdyby nigdy nic się nie stało.

- Jak śmiesz tak patrzeć na matkę? - zapytał ostro William.

- Słucham?

- Drogi chłopcze! Od jak dawna ona nie żyje? A ty jeszcze jej nie wybaczyłeś! Jak śmiesz? Czy ona obwiniła ciebie?

- Ciebie też nie powinna obwinić! - krzyknął Jack.

- De mortuis nihil nisi bonum. Jak tam twoja łacina, Jack? (Oczywiście wiedział, że kulawo). „O zmarłych mów tylko dobrze”.

- Łatwo powiedzieć - burknął Jack.

- Jeśli jej nie wybaczysz, nigdy nie stworzysz trwałego związku z kobietą, Jack. A może stworzyłeś jakiś, o którym nie wiem? Doktor Garcia się nie liczy! Emma prawie też nie. (Wiedział nawet o doktor Garcii!).

Jack nie zauważył, kiedy ojciec zaczął drżeć, lecz on trząsał się na całym ciele. Chodził z pokoju do pokoju z rękami oplecionymi wokół piersi.

- Zimno ci, tatku? - spytał Jack. Nie miał pojęcia, skąd wytrzasnął to „tatu”. (Na szczęście nie od Billy’ego Rainbowa).

- Jak mnie nazwałeś? - spytał ojciec.

- Tatku.

- Cudownie! - wykrzyknął William. - To takie amerykańskie! Heather mówi do mnie „tato” albo „tatusiu”, ale ty tak nie mów. Masz zwracać się do mnie „tatu”.

- Dobrze, tatku. - Jack łudził się, że to odwróci ojcowską uwagę od kwestii matki, ale gdzie tam.

- O tej porze robi się zimno - oznajmił William, szczękając zębami.

Jack pomógł mu zamknąć okna. Słońce jeszcze nie zaszło, ale jezioro przybrało ciemniejszy odcień. Na wodzie pozostało niewiele żaglówek. Ojciec dygotał tak gwałtownie, że Jack otoczył go ramionami.

- Jeśli nie wybaczysz matce, Jack, nigdy się od niej nie wyzwolisz. Uczyn to dla swojego dobra, dla swojej duszy. Gdy wybaczasz komuś, kto cię skrzywdził, dzieje się tak, jakbyś uciekał z własnej skóry: stajesz się wolny, wychodzisz poza siebie, dzięki czemu zyskujesz lepszą perspektywę. - Naraz William przestał drżeć. Jack cofnął się nieco, aby go lepiej widzieć. Na ustach ojca ponownie zamajaczył figlarny uśmiezek, dokonując w nim całkowitego przeobrażenia. - Oho - mruknął. - Czyja powiedziałem „skóra”? Nie powiedziałem „skóra”, prawda?

- Owszem, powiedziałeś - potwierdził Jack.

- Oho - powtórzył William. Przystąpił do rozpinania flanelowej koszuli, lecz kiedy doszedł do połowy guzików, jednym ruchem zdarł ją przez głowę.

- Co się stało, tatku?

- Ach, nic takiego - rzucił niecierpliwie William, pochłonięty ściąganiem skarpetek. - „Skóra” to jeden z katalizatorów. Dziwię się, że nic ci o tym nie wspomnieli. Faszerają mnie lekami i myślą, że będę pamiętał o tych głupich katalizatorach!

Na wierzchach stóp, w owych szczególnie bolesnych do tatuowania miejscach, widniały imiona Jacka i Heather: „Jack” na prawej, „Heather” zaś na lewej stopie. (Jack nie potrafił czytać nut; imiona zawarto w zapisie muzycznym).

Ojciec zdążył już zdjąć koszulkę oraz sztruksy. W zbyt obszernych pasiastych bokserkach (chyba nie kupił ich podczas jednej z wypraw z Waltraut Bleibel) wyglądał jak były zawodnik wagi koguciej. Ważył co najwyżej około sześćdziesięciu pięciu, może sześćdziesięciu siedmiu kilogramów. Była to dawna klasa wagowa Jacka. Tatuaze pokrywały wychudzone ciało niczym patyna mokrej gazety.

Tatuaz Doca Foresta odcinał się na tle muzyki niczym poparzenie. Słowa, które, zdaniem Williama, nie znajdowały się dość blisko serca, przecinały żebra niczym szrama po smagnięciu batem.

Córka komendanta; jej młodszy brat

- To nie tatuaze, drogi chłopcze - oświadczył ojciec, stając przed nim nago: szokująca biel twarzy, rąk, szyi oraz penisa odcinała się na tle atramentowej czerni reszty ciała, miejscami przechodzącej w szarość. - To wszystko, co naprawdę słyszałem i czułem, wszystko, co kiedykolwiek kochałem! To nie tatuaze mnie naznaczyły. - Jak na drobnego mężczyznę miał przydługie ramiona, niczym gibbon.

- Lepiej się ubierz, tatku. Pójdziemy na kolację.

Jack zobaczył chaos muzyczny, pomarszczony ścinek kartki na lewym biodrze, gdzie wedle przekonania matki, tatuował go Bill Fala Przyptywu; Mistrz Ole twierdził, że motyw

już w fazie planowania był pomyłką. W przelocie dostrzegł nuty, owinięte po wewnętrznej stronie prawego bicepsa: lwia część tatuażu ginęła z oczu w wyniku błędu Chińczyka lub Fali Przyływu. Oraz fragment pieśni na lewej łydce („Osnuj mnie boskim swym oddechem”), nuty i słowa, które, zgodnie z zapowiedzią Mistrza Olego, istotnie robiły wrażenie. (Dzieło Charliego Snowa albo Marynarza Jerry’ego).

Co do ulubionej pieśni wielkanocnej ojca, „Chrystus Pan powstał dziś”, Jack widział ją do góry nogami; William miał do niej swobodny dostęp jedynie w toalecie, gdy siadał na sedesie. Z powodu braku tekstu Jack rozpoznał tatuaż jedynie ze względu na położenie; wzór wyszedł oczywiście spod ręki Aberdeen Billa. Heather wspomniała, że na ów stary tatuaż nachodził nowszy, Wachtet auf, ruft uns die Stimme. Dwa górne takty zaczynały się tam, gdzie powinien znajdować się refren „Chrystusa Pana”.

Ojciec skakał po łóżku jak małpa; za pomocą pilota, którego trzymał w rękę, obniżył je na płask. Trudno było dokonać starannych oględzin tatuaży, na przykład ustalić z całą pewnością, która długa i skomplikowana fraza Haendla znalazła się w okolicy Williamowych nerek. Jack wiedział tylko, że wykonał ją Mistrz Ole. („Jakiś świąteczny kawałek”, rzucił lekceważąco Duńczyk). Zdołał jednak ustalić, że była to aria sopranowa („Dziecię k’nam przyszło na świat”) z „Mesjasza” Haendla, czyli toccata Widora musiała znajdować się tuż obok.

Z powodu dzikich harców Williama zagubiony w oceanie muzyki okręt Herberta Hoffmanna stał się jeszcze bardziej niewyraźny. Na prawym barku ojca Jack zobaczył kolejne dzieło Mistrza Olego, łopoczące niczym strzęp flagi. Bach, lecz wbrew przewidywaniom Alice nie był to utwór świąteczny ani „Weihnachtsoratorium”, ani „Kanonische Veränderungen über das Weihnachtslied”. Podskoki ojca uniemożliwiały staranne oględziny, lecz exeteriańska niemczyzna Jacka z każdą chwilą stawała się coraz lepsza: „Der Tag, der ist so freudenreich”.

Dostrzegł również nazwisko Pachelbela oraz półksiężycowaty wzór na kości ogonowej: stłoczone nuty Theo Rademakera, „Wir glauben all’ an einen Gott”. (Kompozytor nazywał się Samuel Scheidt).

W „Jesu, meine Freude” Bacha („Jezu, radości moja”), wykonanym przez Mistrza Petera w Amsterdamie, istotnie brakowało wyrazu largo. Tatuaż Balbastre’a („Joseph est bien marié”), nowszy i po części złączony z Bachem, wyszedł spod ręki nieznanego Jackowi artysty.

Nieznajomość francuskiego uniemożliwiła mu rozszyfrowanie „Trois préludes et fugues pour orgue” Duprégo, nie wspominając o „Dieu parmi nous” Messiaena, występującego po rzymskiej cyfrze IX.

Czy to znaczy „Bóg jest wśród nas”? - zastanawiał się Jack.

- Mam syna! - krzyczał ojciec, podskakując na łóżku. - Dzięki Ci, Boże! Mam syna!

- Nie zrób sobie krzywdy, tato.

- Tatku - poprawił go ojciec.

- Bądź ostrożny, tatku.

Próby rozszyfrowania tatuaży nagiego mężczyzny, skaczącego po łóżku, mogą przyprawić człowieka o migrenę. Jack usiłował zidentyfikować fragment z Bacha, wykonany rzekomo na pośladkach ojca przez Sarniego Salo, oraz nuty otrzymane (wraz z infekcją) od Tronda Halvorsena (chałturzysty) w Oslo, ale zakręciło mu się w głowie.

- Wiesz, co znaczy „toccata”, Jack?

- Nie, tatku.

- Dotyk, bardzo mocny - wyjaśnił William.

Nie był nawet zdyszany. Wbrew zapewnieniom doktora Horvatha Jack nie dostrzegł wprawdzie żadnych dowodów na psychologiczne korzyści joggingu, lecz korzyści sprawnościowe wręcz rzucały się w oczy.

Solo Stanleya umieszczono nader adekwatnie na prawym płucu. (Czyż do gry na trąbce nie potrzeba mocnych płuc?). No i oczywiście fantastyczny cytat z Alaina, po francusku i po angielsku, na gołym siedzeniu Williama, którego harce wykluczały bliższe oględziny.

- Może powinienes ubrać się do kolacji, tatku.

- Muszę skakać, inaczej zmarzną, drogi chłopcze. Nie chcę marznąć! - wrzasnął ojciec.

Dla profesora Rittera i lekarzy, którzy czekali na korytarzu, ostatnie zdanie musiało zabrzmieć na tyle znajomo, aby dać im sygnał do działania. Rozległo się głośne, natarczywe pukanie do drzwi (pewnie doktor Horvath).

- Może powinniśmy wejść, William? - zawołał profesor Ritter. Chociaż właściwie nie zabrzmiało to jak pytanie.

- Vielleicht! - krzyknął ojciec Jacka. („Może!”).

William zeskoczył z łóżka i oparłszy dłonie na gumowanej podłodze, zrobił skłon, celując wypiętym tyłkiem w drzwi i wchodzących lekarzy.

*Rozum osiągnął swoje granice.
Jeno wiara dalej pnie się w górę.*

- Muszę przyznać, że jestem trochę zawiedziony, Williamie - oznajmił profesor Ritter.

- Tylko trochę? - zapytał ojciec Jacka, stając do nich en face.

- To nie jest odpowiedni strój do „Kronenhalle”! - pouczył go doktor Horath.

- Nie zjem kolacji z nagim mężczyzną, przynajmniej nie publicznie - oświadczyła doktor von Rohr, lecz Jack zauważył, że natychmiast pożałowała własnych słów. - Es tut mir leid - dodała. („Przepraszam”, powiedziała do Williama). Pozostali lekarze i profesor Ritter spojrzeli na nią z wyrzutem. - Powiedziałam „przepraszam”! - rzuciła wyniośle.

- Chyba usłyszałem słowo „nagi” - powiedział z uśmiechem William do syna.

- Kto tu mówi o katalizatorach!

- Przeprosiłam, Williamie - odrzekła doktor von Rohr.

- Ach, nic nie szkodzi - burknął z irytacją ojciec Jacka. Wstrząsnął nim dreszcz. - Przecież tłumaczyłem, że nie jestem nagi. Wiecie, że czuję coś innego!

- Wiemy, Williamie - odpowiedział doktor Berger. - Już nam mówiłeś.

- Ale Jack tego nie słyszał - wtrącił profesor Ritter.

Doktor von Rohr westchnęła; gdyby trzymała ołówek, na pewno obróciłaby go w palcach.

- To tatuaże są prawdziwym odzieniem twojego ojca, Jack - wyjaśniła. Oparła dłonie na ramionach Williama, po czym przesunęła je aż do nadgarstków. - Marznie, ponieważ wielu spośród jego ulubionych kompozytorów nie żyje. Ściśle mówiąc, większość. Prawda, Williamie?

- Święta prawda. - Pokiwał głową, dygocząc na całym ciele.

- A co jest tutaj, tutaj, tutaj i wszędzie? - zapytała doktor von Rohr, wskazując na poszczególne tatuaże. - Muzyka na chwałę Pana, pieśni pochwalne... i pieśni żałobne. Dla ciebie wszystko to panegiryk albo tren. Chwalisz Boga, Williamie, lecz oplakujesz prawie wszystkich i wszystko inne. Jak mi idzie? - zapytała.

Jack widział, że jej słowa podziały na ojca kojąco, ale drzenie nie ustało. (Doktor Horvath robił, co mógł, rozcierając mu barki, przy czym usiłował jednocześnie wcisnąć mu koszulkę przez roztrzęsioną głowę).

- Fantastycznie - powiedział szczerze William. Zimno odebrało mu ochotę na sarkazm, znów zaszczekał zębami.

- Twoje ciało nie jest nagie, Williamie. Jest pokryte pieśniami radości i nieskończonego uwielbienia do Boga, a zarazem nieodżałowanej straty - ciągnęła doktor von Rohr.

Doktor Horvath ubierał Williama, jakby miał do czynienia z dzieckiem. Jack widział, że ojciec poddał się zupełnie, nie tylko zabiegom doktora Horvatha, ale i litanii doktor von Rohr, którą zapewne nieraz wygłaszała pod jego adresem.

- Nosisz na ciele swoją rozpacz, Williamie - podjęła doktor von Rohr. - Twoje złamane serce jest pełne wdzięczności, tyle tylko że już nie potrafisz go rozgrzać. A muzyka... cóż, czasem jest triumfalna. Rzekłbyś, radosna. Lecz przeważa w niej smutek, prawda? Smutek bezbrzeżny, jak mawiałeś nieraz.

- To „nieraz” było sarkastyczne, Ruth - zakomunikował William. - Aż dotąd szło ci bezbłędnie.

Doktor von Rohr ponownie wydała westchnienie.

- Chcę tylko, żebyśmy zdążyli na kolację, Williamie. Wybacz, że przedstawiam Jackowi wersję skróconą.

- Chyba rozumiem, w czym rzecz - powiedział Jack. (Uważał, że w świetle zaistniałych okoliczności doktor von Rohr stanęła na wysokości zadania). - Rozumiem, tatku. Naprawdę.

- Tatku? Was heisst „tatku”? - spytał doktor Horvath. („Co to znaczy «tatku»?”).

- Amerikanische Umgangssprache für Vater - wyjaśnił profesor Ritter. („Amerykańskie potoczne określenie ojca”).

- Nie potrzebuje krawata, Klaus - powiedziała doktor von Rohr do doktora Horvatha, który usiłował zamotać Williamowi krawat wokół szyi. - Jack nie ma krawata i wygląda świetnie.

„Ale to «Kronenhalle!»” - miał zapewne na końcu języka doktor Horvath, mimo to odłożył krawat i powstrzymał się od komentarza.

- Życie to coś więcej niż lament i dziękczynienie, Williamie - zaznaczył doktor Berger. - Liczą się fakty.

- Nie powtórzę tego słowa, Williamie - powiedziała ostrożnie doktor von Rohr - jednakże pozwolę sobie zauważyć, że nie możesz iść do „Kronenhalle” ubrany tylko w tatuaże, ponieważ, jak doskonale wiesz, nie są one społecznie akceptowane.

- Nie są społecznie akceptowane - powtórzył ojciec Jacka.

Jack widział, że bycie nieakceptowanym społecznie wybitnie przypadło Williamowi Burnsowi do gustu. Doktor von Rohr również była tego świadoma.

- Chciałbym powiedzieć, że bardzo doceniam to, jak troszczycie się o mojego ojca - powiedział Jack. - Moja siostra i ja jesteśmy wam za to bardzo wdzięczni. Ojciec też. - Wszyscy okazali zakłopotanie, oprócz Williama, który był wyraźnie zacierzwiony.

- Nie musisz wygłaszać przemowy, Jack. Już nie jesteś Kanadyjczykiem - oznajmił. - Wszyscy umiemy być społecznie akceptowani, jeśli musimy. No, może wszyscy oprócz Hugona - dodał z uśmiechem, do którego Jack powoli zaczynał się przyzwyczajać. - Poznałeś Hugona, Jack?

- Noch nicht - odparł Jack. („Jeszcze nie”).

- Ale pewnie mówili ci o naszych małych wyprawach - ciągnął ojciec, tym razem bez uśmiechu, tak jakby jedno słowo (niekoniecznie „Hugo”) mogło dokonać w nim radykalnej przemiany. - Mówili ci, prawda? - Nie żartował.

- Co nieco - odparł wymijająco Jack.

Lecz ojciec zdążył już zwrócić się do doktor von Rohr i pozostałych.

- Nie sądzicie, że ojciec i syn powinni poruszać równie krępujące, acz konieczne tematy w cztery oczy? - zapytał.

- Bitte, William... - zaczął profesor Ritter.

- Czyż nie tak postępuje odpowiedzialny ojciec? - ciągnął William. - Czy nie na tym polega moja rola? Aby rozmawiać o seksie z własnym synem? Dlaczego wzięliście to na siebie?

- Uznaliśmy, że Jack powinien o tym wiedzieć, Williamie - odpowiedział doktor Berger.
- Nie wiedzieliśmy, że zechcesz poruszyć ten temat.

- I przeanalizować fakty - uzupełnił William, nieco się uspokajając.

- Pogadamy o tym później, tatku.

- Może przy kolacji - odparł ojciec, uśmiechając się do doktor von Rohr, która westchnęła.

- Skoro o wilku mowa, na was już czas! - zawołał doktor Horvath.

Kiedy jednak ruszyli korytarzem (William skłonił się doktor von Rohr i podążył za nią), doktor Horvath przytrzymał Jacka za ramiona.

- Który z katalizatorów? - szepnął mu do ucha; nawet jego szept był donośny.

- Das Wort - dodał. („Słowo”). - Jakie słowo?

- „Skóra” - odszepnął Jack. - Chodziło o „skórę”.

- Gott - wrzasnął doktor Horvath. - To jedno z najgorszych... wywołuje lawinę!

- Cieszę się, że niektóre z katalizatorów jej nie wywołują - odparł Jack. - Na przykład „nagi”. Interwencja doktor von Rohr zrobiła swoje.

- Ja, słowo „nagi” nie jest takie złe - rzucił lekceważąco doktor Horvath. - Ale w „Kronenhalle” uważajcie na skórę. I lustra! - Gwałtownie chwycił powietrze w płuca. - Trzymajcie Williama z dala od luster.

- Czy lustro jest katalizatorem, który wywołuje lawinę? - spytał Jack

- Lustro to więcej niż katalizator - odrzekł posępnie doktor Horvath. - Lustro to das ganze Puheń

- Słucham? - Jack nie znał tego określenia.

- Das ganze Puheń - zawołał doktor Horvath. - Cała amunicja!

William zainaugurował wieczór w „Kronenhalle” komplementami pod adresem srebrnego kosmyka doktor von Rohr. Twierdził, że gdy szła kiedyś rano do pracy, błyskawica wplątała jej się we włosy, a następnie poraziła je aż do nasady, na zawsze zmieniając ich kolor.

- Czy to ma być komplement, Williamie? - spytała doktor von Rohr.

Nie zdążyli jeszcze usiąść przy stoliku, znajdującym się w sali ze ścianą z matowego szkła. Weszli do „Kronenhalle” z Ramistrasse. Doktor von Rohr, znacznie wyższa od Williama, celowo zasłoniła sobą lustra przy barze. Minęli łazienki kryjące więcej srebrnych tafli, na szczęście drzwi były zamknięte. (Nie siedzieli w sali z lustrem).

William rozglądał się z zaciekawieniem, ale nie mógł spojrzeć doktor von Rohr przez ramię (sięgał jej do piersi), a doktor Krauer-Poppe trzymała go za drugą rękę. Jack podążał za nimi. Ojciec bez przerwy odwracał głowę i spoglądał na niego z uśmiechem. Wyraźnie go cieszyło, że wchodzi do lokalu pod eskortą dwóch bardzo ładnych kobiet.

- Gdybyś nie była taka wysoka, Ruth - powiedział - mógłbym spojrzeć ci na czubek głowy i sprawdzić, czy srebrny kosmyk sięga aż do nasady.

- Komplementarz z ciebie, Williamie - odrzekła, uśmiechając się do niego z góry.

Ojciec Jacka poklepał małą torebkę, którą doktor Krauer-Poppe niosła na ramieniu.

- Wzięłaś psychotropy, Anno-Elisabeth? - spytał.

- Zachowuj się, Williamie - upomniała.

William odwrócił się i mrugnął do Jacka. Doktor Horvath ubrał go w czarną jedwabną koszulę z długim rękawem. Z uwagi na długie ręce i drobne ciało Williama każda koszula wydawała się nań zbyt obszerna. Jego długie, posrebrzone włosy (dokładnie w tym samym odcieniu, co kosmyk doktor von Rohr), nadawały jego urodzie kobiecy rys, podobnie jak miedziane bransoletki. „Wieczorowe”, jak je nazywał, rękawiczki uszyto z cienkiej czarnej skórki cielecej. Idąc, podskakiwał, co nieodmiennie nasuwało Jackowi skojarzenie z panem Ramseyem. Zgodnie z zapowiedzią Heather, William Burns był bardzo młodzieńczym sześćdziesięcioczerolatkiem.

- Ruth nie jest, niestety, fanką Billy'ego Rainbowa, Jack - powiedział, kiedy siadali do stolika.

- Niestety, już mi to mówiła - odrzekł Jack, patrząc z uśmiechem na doktor von Rohr, która odpowiedziała mu tym samym.

- Mimo to - podjął ojciec, odchrząkując - muszę przyznać, że siedzą z nami dwie najładniejsze laski. - (Rzeczywiście miał dialogi w małym palcu).

- Pochlebca - rzuciła doktor von Rohr.

- Widziałeś torebkę Ruth, Jack? - spytał William, pokazując synowi dość okazałych rozmiarów torbę, która nie zmieściła się pod krzesłem. - Bardziej przypomina walizkę, nieprawdaż? Kto wie, może schowała w niej piżamkę? - dodał, mrugając do Jacka. Śmiało sugerować, że doktor von Rohr wzięła pod uwagę możliwość spędzenia nocy w hotelu „Zum Storchen” u Jacka!

- Nie co dzień spotyka się mężczyznę, który umie docenić damskie dodatki -oznajmiła z rozbawieniem doktor von Rohr.

Doktor Krauer-Poppe chyba nie podzielała jej zdania; wyglądało na to, że mimo sztywnej aparycji wąski zakres jej specjalizacji bierze górę nad poczuciem humoru.

Jack wiedział ponadto, że jest mężatką i ma małe dzieci, co skłoniło Williama do żarcików raczej pod adresem doktor von Rohr. (Heather zdradziła, że doktor von Rohr jest bezdzietną rozwódką).

- Jack chodzi do psychiatrii. Dłużej niż was znam, moje panie -oznajmił William. - Jak ci idzie, Jack?

- Nie wiem, czy istnieje fachowa nazwa mojej terapii - odpowiedział Jack. - Mam na myśli termin psychiatryczny.

- Termin psychiatryczny nie jest konieczny - odpowiedziała doktor Krauer--Poppe. - Opisz ją.

- No cóż, doktor Garcia jest wspaniałą sześćdziesięciolatką z gromadką dzieci i wnuków. Wiele lat temu straciła męża...

- Czy nie chodzą do niej przeważnie kobiety, Jack? - przerwał mu ojciec. - Takie odniosłem wrażenie na podstawie jednego z artykułów o Lucy. Pamiętacie ten incydent z dziewczyną na tylnym siedzeniu? - zapytał lekarz. - Ona i jej matka chodziły do tego samego psychiatry, co Jack! Można by pomyśleć, że w południowej Kalifornii brakuje psychiatrów!

- Pozwól Jackowi dokończyć, Williamie - powiedziała doktor von Rohr.

- Ach tak - zreflektował się William. Powiedział to zupełnie jak Jack, co przyprawiło Jacka o dreszcz.

- No więc doktor Garcia każe mi opowiadać wszystko w porządku chronologicznym - wyjaśnił Jack.

Obie lekarki kiwnęły głowami, lecz na twarzy Williama odmalował się niepokój.

- A konkretnie co? - zapytał.

- Wszystko, co skłoniło mnie do śmiechu, płaczu lub gniewu - odparł Jack.

Doktor Krauer-Poppe i doktor von Rohr przestały kiwać głowami i utkwili wzrok w Williamie. Myśl o tym, co skłania jego syna do śmiechu, płaczu i gniewu, wywarła na nim piorunujące wrażenie.

Ojciec podniósł prawą rękę do serca, badając palcami lewą stronę klatki piersiowej, jak gdyby wyczuwał coś pod koszulą albo pod skórą. Bez patrzenia wiedział, gdzie to znaleźć. To, co jego skłaniało do śmiechu i płaczu, nazywało się Karin Ringhof. A to, co skłaniało go do płaczu i gniewu, było jej młodszym bratem.

- To chyba długotrwałe przedsięwzięcie - zauważyła doktor Krauer-Poppe, nie odrywając wzroku od urękawiczonej dłoni Williama, czarnej na czarnym tle koszuli, gdzie dotykała tatuażu, o którym wszyscy troje doskonale wiedzieli.

Córka komendanta; jej młodszy brat

Sądząc po znękaney minie ojca, jego wskazujący palec prawdopodobnie spoczywał na środku, pierwszym (i chyba jedynym), jaki kiedykolwiek wytatuował Doc Forest.

- Twoja terapia to materiał na książkę - dodała doktor von Rohr, też nie spuszczać oczu z Williama.

- Układasz w porządku chronologicznym wszystko to, co kiedykolwiek skłoniło cię do śmiechu, płaczu i gniewu - powiedział ojciec, krzywiąc się z bólu, jakby każde wypowiedziane przezeń słowo było tatuażem na żebrach, nerkach bądź wierzchach stóp, gdzie nosił imiona dzieci. We wszystkich miejscach, gdzie tatuaże sprawiały ogromny ból. William Burns naznaczył się wszędzie tam, gdzie bolało, z wyjątkiem penisa.

- Czy terapia pomogła? - spytała z powątpiewaniem doktor von Rohr.

- Chyba tak... przynajmniej czuję się lepiej, niż kiedy szedłem tam pierwszy raz.

- Czy to zasługa porządku chronologicznego? - zapytała doktor Krauer-Poppe. (Wyras jej twarzy mówił jasno, że układanie historii życia w porządku chronologicznym nie jest równie godne zaufania, jak środki farmakologiczne).

- Tak mi się wydaje... - zaczął Jack, lecz ojciec wpadł mu w słowo.

- To barbarzyństwo! - krzyknął William. - Przecież to istne tortury! Sama myśl o narzucaniu porządku chronologicznego na sprawy, które wywołały nasze wzruszenie... to najbardziej masochistyczna rzecz na świecie! Ty chyba zwariowałeś!

- Jak widać, to działa, tatusiu. Porządek chronologiczny pozwala mi zachować spokój.

- Mój syn żyje złudzeniami - zakomunikował lekarkom William.

- To nie Jack przebywa w klinice psychiatrycznej, Williamie - przypomniała mu doktor von Rohr.

Doktor Krauer-Poppe zasłoniła rękami ładną twarz; Jack przestraszył się, że słowo „psychiatryczny” zadziała jak katalizator. Tatuaż Doca Foresta ewidentnie również zasługiwał na to miano, ale, jak widać, „nie wywoływał lawiny”. Ojciec położył znowu ręce na stół.

Nadszedł kelner, niski człowieczek, podskakujący na palcach z podobnym wigorem jak William lub pan Ramsey, choć w przeciwieństwie do nich obu nie grzeszył szczupłą sylwetką. Miał małe usta i sumiaste wąsy, które podczas mówienia łaskotały go w nos.

- Was darf ich Ihnen zu Trinken bringen? - zapytał. (Zabrzmiało to jak: „Co przynieść państwu do picia?”), zawarte w jednym słowie).

- Się napatoczył - mruknął William, co tamten omyłkowo wziął za zamówienie.

- Bittel - zapytał.

- Ein Bier - powiedział Jack, wskazując na siebie celem uniknięcia dalszych nieporozumień. („Piwo”).

- Nie wiedziałem, że pijesz! - zawołał z nagłą troską ojciec.

- Nie piję. Zobaczysz, że nie skończę nawet jednej butelki - odparł Jack.

- Noch ein Bier - oznajmił William, wskazując na siebie. („Jeszcze jedno piwo!”).

- Williamie, nie wypijesz nawet połowy - przypomniała mu doktor von Rohr.

- Chcę zamówić to, co Jack - odpowiedział kapryśnie William.

- Bierzesz leki. Nie powinieneś - wtrąciła doktor Krauer-Poppe.

- Mogę odwołać zamówienie - oświadczył Jack. - Das macht nichts.

- Niemiecki Jacka z czasem będzie coraz lepszy - powiedział do lekarek William.

- Niemiecki Jacka jest bez zarzutu, Williamie - odrzekła doktor von Rohr.

- Widzisz? Wpadłeś jej w oko, Jack - zauważył ojciec. - Mówiłem, że przytargała pizamkę!

Nie zwracając na niego uwagi, kobiety zamówiły butelkę czerwonego wina. William ograniczył się do wody mineralnej. Jack poinformował kelnera, że zmienił zdanie. Czy mógłby przynieść im dużą butelkę wody mineralnej... bez piwa?

- Nie, nie! Napij się piwa! - perswadował William, ujmując urękawiczonymi palcami dłoń syna.

- Kein Bier - powtórzył Jack. - Nur Mineralwasser. („Bez piwa, tylko woda mineralna”).

William siedział naburmuszony przy stole, układając chwiejną wieżę z noża, łyżki i widelca.

- Pieprzeni Amerykanie - mruknął. Podniósł wzrok, by sprawdzić, jakie wrażenie zrobiło to na synu. Żadnego. Doktor von Rohr i doktor Krauer-Poppe wymieniły spojrzenia, lecz nie wyrzekły ani słowa. - Nie zamawiaj sznycła wiedeńskiego, Jack - podjął ojciec, jakby od początku rozmawiali o menu.

- Dlaczego, tatku?

- Zarzynają całego cielaka i wałą ci połowę na talerz - oznajmił William. -I nie bierz Bauernschmaus - dorzucił. (Był to ulubiony przez Austriaków talerz z kawałkami kielbas i wędlin, który zapewne wzbudziłby uznanie doktora Horvatha, ale nawet nie ujęto go w karcie). - Przede wszystkim zaś zapomnij o Bratwurst. To kiełbasa cielęca wielkości końskiego penisa.

- Dobrze - odpowiedział Jack.

Doktor von Rohr i doktor Krauer-Poppe zaczęły wyrzucać z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, posługując się szwajcarskim niemieckim. Nie był to język, którego Jack uczył się w szkole: Szwajcarzy nazywają go Schrifdeutsch, czyli „niemieckim pisanym”.

- Schwyzerdütsch - rzucił z pogardą William. - Zawsze tak mówią, kiedy nie chcą, żebym rozumiał.

- Gdybyś nie wspomniał o końskim penisie, tatku, być może dałoby się tego uniknąć.

- Uważam, że powinieneś poszukać nowego psychiatry, Jack. Kogoś, z kim mógłbyś omawiać sprawy bieżące, a nie trzymać się porządku chronologicznego, na miłość boską.

Owo „na miłość boską” bardzo Jacka zdziwiło, nie dlatego, że wygłaszał je identycznie jak on (choć i rzadko), ale dlatego, że nie pojawiała się w żadnym z jego filmów. (Jak zauważył doktor Berger, ojciec poddał Jacka dokładnej analizie, nie tylko pod kątem jego ról).

- Czegóż on nie wie, prawda? - powiedziała doktor von Rohr.

Kelner - mały, podskakujący grubasek - wrócił po zamówienie. Ojciec Jacka bez wahania zamówił sznycel wiedeński.

- Znam twoje możliwości, Williamie. Nie zjesz nawet połowy - oznajmiła doktor Krauer-Poppe.

- Będę jak Jack i jego piwo - odrzekł William. - Nie muszę jeść do końca. Poza tym nie zamówiłem pommes frites z zestawu, tylko sałatę. Und noch ein Mineralwasser - dodał pod adresem kelnera.

Jack ze zdziwieniem spostrzegł, że ojciec zdążył opróżnić litrową butelkę.

- Przystopuj, Williamie - poprosiła doktor von Rohr, dotykając jego dłoni.

William wyszarpnął rękę.

W restauracji panował ruch, ale nie było tłoku; według recepcjonisty, większość rezerwacji robiono tuż przed porą kolacji. Ale wszyscy goście rozpoznali Jacka Burnsa.

- Rozejrzyj się, Williamie - powiedziała doktor von Rohr głosem równie nie-znoszącym sprzeciwu jak pasmo błyskawicy w jej włosach. - Możesz być dumny ze sławnego syna.

Ale William uparcie wlepił wzrok w blat.

- Ci wszyscy nieznajomi, którzy rozpoznali Jacka, widzą, że jesteś jego ojcem. Ciebie też rozpoznali, Williamie - dodała doktor Krauer-Poppe.

- Ciekawe, co sobie myślą? - rzucił William. - „O, przyszedł stary Jacka Burnsa z drugą albo trzecią żoną”. To o tobie, Ruth - zwrócił się do doktor von Rohr - ponieważ jesteś starsza z was dwóch uroczych pań, lecz z pewnością nie mogłabyś być jego matką.

- Williamie, przestań... - zaczęła doktor Krauer-Poppe.

- Ciekawe, co myślą o tobie, Anno-Elisabeth? - ciągnął William. - „Kim jest ta ładna młoda kobieta z obrączką? To pewnie kochanka Jacka Burnsa!”. Nie rozgryźli numeru z pizamką Ruth.

- Tato...

- Tatku! - poprawił go ojciec.

- Porozmawiajmy normalnie, tatku.

- Co powiecie na kwestię seksu z prostytutkami bądź Hugona? - zapytał William.

Doktor Krauer-Poppe z trzaskiem otworzyła torebkę.

- No dobrze, już siedzę cicho. Przepraszam, Anno-Elisabeth - powiedział.

- Szukałam chusteczki, Williamie. Coś mi wpadło do oka - odrzekła doktor Krauer-Poppe. - Nawet nie pomyślałam o leku... jeszcze nie. - Otworzywszy pudemiczkę, wytarła chustką kącik oka.

- Może porozmawiamy o nocy, kiedy zerwaliśmy się wszyscy o drugiej nad ranem, żeby zobaczyć, jak Jack dostaje Oscara! - zaproponowała doktor von Rohr, ponownie ujmując rękę Williama.

Spojrzał na nią jak na trędowatą.

- Masz na myśli Oscara Emmy, Ruth? - zapytał. - Ten scenariusz, który powinien być podpisany jej nazwiskiem? Prawda, Jack?

Jack nie odpowiedział. Patrzył, jak doktor von Rohr puszcza ojcowską rękę.

- Kiedy przyniosą jedzenie - powiedziała - pomogę ci zdjąć rękawiczki, Williamie. Lepiej, żebyś jadł bez nich.

- Ich mus bald pinkeln - oznajmił ojciec Jacka. („Niedługo muszę iść się wysikać”).

- Ja z nim pójdę - zaofiarował się Jack.

- Chyba powinnam iść z wami - powiedziała doktor von Rohr.

- Nein - odparł William. - Jesteśmy chłopaki. Chłopaki pójdą razem do toalety dla chłopaków.

- Tylko się zachowuj, Williamie - ostrzegła doktor Krauer-Poppe.

Wstając od stołu, William pokazał jej język.

- Jeśli nie wrócić za kilka minut, przyjdę sprawdzić, co się dzieje - uprzedziła doktor von Rohr, dotykając ręki Jacka.

- Jack, twój ojciec płakał, kiedy dostałeś Oscara, płakał i wiwatował - wtrąciła doktor Krauer-Poppe. - Był... jest... z ciebie taki dumny.

- Chodziło mi tylko o to, że Emma na pewno mu pomagała - oznajmił z urazą William.

- Płakałeś i wiwatowałeś, Williamie. Podobnie jak my wszyscy - odrzekła doktor von Rohr.

Kiedy Jack szedł z ojcem do toalety, powoli do niego dotarło, że skoro William oglądał z lekarzami rozdanie Oscarów z 2000 roku, przebywał w Sanatorium Kilchberg dłużej niż trzy lata. Nikt, nawet Heather, nie powiedział Jackowi, ile czasu ojciec tu spędził.

- Pewnie, że Emma mi pomagała, tatku - przyznał Jack. - Bardzo mi pomogła.

- Nie powiedziałem, że nie jestem z ciebie dumny, Jack. Naturalnie, że jestem!

- Wiem, tatku.

W toalecie Jack usiłował zasłonić sobą lustro, lecz William zamiast skierować się w stronę pisuaru, stanął przy umywalce. Odańczyli mały taniec: William próbował spojrzeć Jackowi przez ramię, a kiedy ten stał na palcach, ojciec pochylał głowę i zerkał boczkiem. Płásali tak we wszystkie strony. Nie dało się uniknąć luster.

Jeśli lustra były katalizatorami, wywierały na Williama inny wpływ aniżeli słowo „skóra”. Tym razem nie próbował zderzyć z siebie odzieży. Lecz im dłużej spoglądał we własne odbicie, tym bardziej zmieniała się jego twarz.

- Widzisz tego mężczyznę? - spytał. Zupełnie jakby w łazience przebywał ktoś trzeci. - Przytrafiły mu się różne rzeczy. Straszne rzeczy.

Jack zaprzestał wysiłków mających na celu odgroźenie ojca od lustra i też się odwrócił. Twarz trzeciego mężczyzny co chwila przybierała inny wyraz. Najpierw wyglądała tak, jak musiała wyglądać, kiedy William po raz pierwszy zobaczył nowo narodzonego Jacka: w raptem odmłodniałych rysach najpierw pojawił się wyraz oczekiwania, który następnie ustąpił miejsca rozanieleniu. Potem Jack ujrzał twarz, którą ojciec musiał zobaczyć w lustrze, kiedy z fosi wyciągano ciało Nielsa Ringhofa, albo kiedy dowiedział się, że Alice spała z chłopcem, a następnie go porzuciła.

William zawisł mu w ramionach, jakby chciał przyklęknąć, podobnie jak wówczas, gdy Els musiała go zanieść do samochodu Femke. Albo kiedy policjant przyprowadził do domu małą Heather i opowiedział historię, jak to wziął martwą Barbarę za niemiecką turystkę, która spojrzała w niewłaściwą stronę, przechodząc przez ulicę na Charlotte Square.

- Ciało tego człowieka to mapa - powiedział William, wskazując na zgarbionego mężczyznę w lustrze. - Obejrzymy razem tę mapę, Jack?

- Może później, tatku. Nie teraz.

- Nicht jetzt - zgodził się ojciec.

- Miałeś się wysikać, tatku - przypomniał mu Jack.

- Ach tak - odrzekł William, odsuwając się od syna. - Rzeczywiście.

Obaj popatrzyli na jego spodnie. William miał na sobie spodnie khaki, zaprasowane w kant identycznie jak spodnie profesora Rittera, jednakże w kroku ciemniała mokra plama. Ojciec stał w kałuży moczu.

- Nie znoszę, kiedy to się zdarza - oznajmił; Jack nie wiedział, co robić. - Nie martw się, Jack. Doktor von Rohr zaraz przyjdzie na pomoc. Jak myślisz, po co jej ta torba? - William gwałtownie odwrócił się od lustra, tak jakby trzeci mężczyzna obraził go lub zawstydził.

Zgodnie z zapowiedzią Williama dało się słyszeć władcze pukanie do drzwi.

- Herein! - zawołał William. („Wejść!”).

Długie ramię doktor von Rohr wsunęło się przez szparę: nie pokazując twarzy, podała Jackowi torbę.

- Danke - odpowiedział.

- Kiedy widzi się w lustrze bez ubrania, jest inaczej - ostrzegła, zamykając drzwi.

Jack rozebrał ojca i wytarł go zwilżonymi ciepłą wodą papierowymi ręcznikami, po czym osuszył go dodatkową porcją suchych. William poddał się tym zabiegom jak posłuszne dziecko.

Jack wyprowadził go poza zasięg luster. Kiedy jednak William stał tam nagi, a Jack przetrząsał torbę w poszukiwaniu czystej zmiany odzieży, do łazienki wszedł elegancki mężczyzna. On i William wymienili spojrzenia. W oczach mężczyzny, który wyglądał na bankiera w średnim wieku, William był po prostu gołym, wytatuowanym facetem. William Burns zaś, jeśli Jack dobrze odczytał jego urażoną minę, uważał bankiera za intruza, zakłócającego intymne zbliżenie ojca z synem. Co więcej, William Burns był dla bankiera gołym, wytatuowanym facetem w rękawiczkach. O miedzianych bransoletkach nie wspominając.

Bankier rzucił Jackowi znaczące spojrzenie. („Tuś mi, bratku!”). Przyszedł oddać mocz, a trafił w sam środek pokręconego filmu!

- Er ist harmlos - powiedział Jack, przypominając sobie słowa siostry Bleibel, skierowane pod adresem biednej Pameli. („Jest nieszkodliwy”).

Mina bankiera wyrażała powątpiewanie. William napełnił płuca powietrzem i nadał się niczym kogut, po czym zacisnął dłonie w pięści i uniósł je groźnie.

Jack gorączkowo szukał w pamięci odpowiednich wyrażań.

- Keine Angst. Er ist mein Vater - poinformował bankiera. („Bez obaw. To mój ojciec”).
I najtrudniejsze: - Ich passe auf ihn auf. („Opiekuję się nim”).

Bankier wyszedł, nie wierząc w ani jedno słowo.

Kiedy jedyny rzeczywisty trzeci mężczyzna opuścił łazienkę, Jack dokończył ubieranie ojca, pamiętając, jak sprawnie uczynił to w klinice doktor Horvath.

Wyjaśnianie synowi nut zdawało się Williama uspokajając; pewnie wiedział, że Jack nie ma pojęcia o muzyce.

- Cwierćnuty są wypełnione, z laskami. Ósemki też są wypełnione i mają daszki albo ogonki. Szesnastki, również wypełnione, mają daszki podwójne.

- A półnuty? - spytał Jack.

- Półnuty, które są białe, a w moim przypadku cieliste... - William urwał.

„Cieliste”: obaj usłyszeli to słowo. Czyżby działało jak katalizator? (I wywoływało lawinę, jak powiedziałby doktor Horvath?).

- Półnuty, które są białe - ponaglił Jack. - I co dalej?

- Białe z laskami - podjął z wahaniem William; „cieliste” zapewne wciąż migotało gdzieś na tyłach jego świadomości, gdzie spoczywają na wpół uśpione lub na wpół rozbudzone katalizatory. - Całe nuty są białe i bez lasek.

- Zaraz! Poczekaj - zawołał nagle Jack, wskazując na prawy bok ojca. - A co to ma być?

Tatuaż nie był ani tekstem, ani muzyką: przypominał ranę. Co gorsza, otaczała go krwista obwódka, jakby miejsce nadal broczyło krwią. (Co do krwi, powinien był wiedzieć, ale miał wówczas zaledwie cztery lata).

- Tutaj miał ranę - powiedział ojciec. - Wbili gwoździe w jego rękę - podjął, składając dłonie jak w modlitwie - i w jego stopy, a potem w jego bok - uzupełnił, dotykając tatuażu po prawej stronie. - Jeden z żołnierzy przedziurawił go włócznią.

- Czyj to tatuaż? - spytał Jack. Spodziewał się, że ojciec powie „jakiegoś chałturzysty”, ale też powinien był wiedzieć lepiej.

- Był czas, kiedy każdy chrześcijanin w Amsterdamie odczuwał pokusę wytatuowania się u mężczyzny nazwiskiem Martin Bril. Pewnie byłeś za mały, aby go zapamiętać.

- Nie, pamiętam Brila - odparł Jack. Dotknął rany, po czym zasłonił ją koszulą.

„Kronenhalle” była naprawdę świetną restauracją. Jack niepotrzebnie ograniczył się do sałatki, ale i tak zjadł dwie trzecie ojcowskiego sznycła. William Burns był grymasnym biesiadnikiem.

- Przynajmniej Jackowi dopisuje apetyt, Williamie - zganiała go doktor Krauer-Poppe, lecz obaj panowie bez względu na to tryskali humorem.

Ujarmili słowo „cieliste”, które, jak się okazało, przynależało do kategorii katalizatorów niepowodujących lawiny (w przeciwieństwie do „skóry”), i choć Jack ujrzał na ojcowskiej twarzy rozpacz trzeciego mężczyzny, wiedział, że zdołali uniknąć najgorszego z możliwych wpływów luster. Jak powiedziała doktor von Rohr, było inaczej, kiedy ojciec przeglądał się nago. Jack doszedł do wniosku, że w takim wypadku w grę wchodziła wspomniana przez doktora Horvatha das ganze Pulver, czyli cała amunicja. Jack miał to zobaczyć, i to wkrótce. Owego wieczoru w „Kronenhalle” nie miał nic przeciwko temu, aby jeszcze poczekać.

Wymienili kilka uwag na temat młodszych pielęgniarek w Sanatorium Kilchberg, które dosłownie ustawiały się w kolejce, aby co rano golić Williama. Flirtował z nimi, ile wlezie.

- Nie golisz się sam? - spytał Jack.

- Spróbuj to zrobić bez lustra! - odparł ojciec. - Albo z młodą pielęgniarką.

- Jeśli nie będziesz zachowywał się jak należy, Williamie, zlecę to Waltraut - ostrzegła doktor von Rohr.

- Moim zdaniem, Hugo będzie bardziej odpowiedni, Ruth - orzekł ojciec Jacka.

Tym sposobem William naprowadził rozmowę z powrotem na Hugona oraz kwestię seksu z prostytutkami. Doktor von Rohr czuła, co się święci, ale nie zdołała temu zapobiec.

- Tu wcale nie chodzi o prostytutki, Jack - zaczął ojciec - ale o Hugona. (Doktor von Rohr westchnęła, a doktor Krauer-Poppe ukryła twarz w dłoniach).

- Powiedziałaś „prostitutki”. Odwiedzasz więcej niż jedną? - zapytał Jack.

- Nie jednocześnie - odrzekł William z charakterystycznym figlarnym uśmiechem. (Doktor von Rohr zgrzytnęła hałaśliwie sztucami, a doktor Krauer-Poppe znów coś wpadło do oka).

- Jestem ciekaw, tatku, czy stale odwiedzasz dwie lub trzy kobiety... to znaczy jedną naraz... czy też za każdym razem inną.

- Mam swoje ulubienice - wyjaśnił ojciec. - Zwykle wracam do trzech lub czterech.

- W pewnym sensie jesteś wierny... czy nie to chciałeś powiedzieć, Williamie? - zapytała doktor Krauer-Poppe. - Nie ma przypadkiem takiej piosenki? (Wypiła więcej czerwonego wina niż doktor von Rohr). Czy może spopieprzyłam tłumaczenie?

- Popieprzyłam, Anno-Elisabeth - poprawiła ją doktor von Rohr.

- Czy to bezpieczne? - spytał Jack.

- Nie uprawiam z nimi seksu, jeśli o to ci chodzi - odpowiedział William ze znajomą nutą urazy w głosie.

- Wiem. Miałem na myśli szerszy kontekst - odpowiedział Jack. - Na przykład miejsce. Czy nie stwarza żadnego zagrożenia?

- Jest ze mną Hugo! - zawołał ojciec. - Oczywiście nie w pokoju, ma się rozumieć.

- Oczywiście.

Sztucce doktor von Rohr z łoskotem opadły na talerz.

- Czekaj, aż poznasz Hugona - powiedziała do Jacka doktor Krauer-Poppe. - Przy nim nie Williamowi nie grozi.

- Cóż więc macie przeciwko niemu? - zapytał lekarek Jack.

- Czekaj, aż go poznasz - powtórzyła doktor von Rohr.

- Nie lituj się nade mną, Jack - wtrącił William. - Nie myśl, że masturbacja w obecności prostytutki to przejaw rezygnacji.

- Przyznam, że nie bardzo wiem, jak to rozumieć.

Zobaczyli, że prawa ręka Williama ponownie wędruje do serca, a urękawiczone palce szukają tatuażu ze średnikiem. (Z pomocą doktor von Rohr William zdjął rękawiczki do jedzenia, a po skończonym posiłku włożył je z powrotem).

- Miałem w życiu kobiety, które chciałem mieć, choć czasami krócej, niżbym sobie życzył - zaczął melancholijnie William. - Nie mógłbym tak dalej. Nie zniósłbym niczyjej straty.

Lekarki i Jack znali szczegóły tatuażu na cześć Karin Ringhof. Jack nie wiedział jednak, czy ojciec zrobił sobie tatuaż dla Barbary, niemieckiej żony; nie znał też jego ewentualnego umiejscowienia. Być może uzyskał on formę nut; Jack postanowił spytać o to Heather.

- Rozumiem, tatku. Rozumiem.

Zastanawiał się, czy William kiedykolwiek dotykał miejsca po prawej stronie, rany będącej dziełem Martina Brila. Był ciekaw, czy była ona równie wrażliwa na dotyk jak zdanie upamiętniające córkę komendanta i jej młodszego brata. Miał nadzieję, że nie. Spośród wszystkich tatuaży ojca był to jedyny barwny wzór.

- Musimy już wracać, Williamie - powiedziała łagodnie doktor Krauer-Poppe. - Co jutro zagrasz... dla Jacka, dla mnie i doktora Horvatha?

Chwył był zręczny i William najwyraźniej połknął haczyk. Prawa dłoń opuściła okolice serca. William rozpostarł palce na białym obrusie i szurnął nogami pod krzesłem, jakby chciał

nacisnąć pedały. Widać było, że ma przed oczyma klawiaturę. W jego sercu kryły się organy wielkości Oude Kerk; kiedy przymykał oczy, niemalże słyszał ich dźwięk.

- Chyba nie chcesz, żebym ci zanucił, Anno-Elisabeth? - zapytał.

Nie tak łatwo było go wyprowadzić w pole. Doktor Krauer-Poppe wstrzymała oddech, podobnie jak doktor von Rohr i Jack: wiedzieli, że nucenie to potencjalny katalizator. Doktor Berger uprzedzał Jacka, że ojciec nienawidzi nucenia. (Chociaż może chodziło o samą czynność, a nie słowo na jej określenie).

- Może zrobisz im rano niespodziankę? - zasugerowała doktor von Rohr. - Tak tylko pytam.

- Czemu nie? - odparł William. Wyglądał na zmęczonego.

- W samochodzie mam coś na sen - powiedziała doktor Krauer-Poppe.

Ojciec Jacka pokręcił głową: już był senny.

- Nie chcę się zegnać z Jackiem - rzucił gniewnie. - Zbyt często musiałem to robić, drogi chłopcze. Zegnałem się z tobą tutaj - urękawiczona dłoń raz jeszcze powędrowała do serca - i tutaj - William podniósł rękę do oczu - i tutaj! - Ojciec wybuchnął płaczem, dotykając skroni palcem wskazującym.

- Zobaczysz mnie rano, tatku. - Jack ujął twarz ojca w obie ręce. - Wciąż będziesz mnie widział - obiecał. - Będę przyjeżdżał. Heather i ja kupimy w Zurychu dom.

William od razu przestał płakać.

- Wyście chyba powariowali! - oznajmił. - To jedno z najdroższych miast na świecie! Zapytaj Ruth, zapytaj Anny-Elisabeth! Powiedzcie mu! - wrzasnął do kobiet. - Nie chcę, żeby moje dzieci poszły z torbami - jęknął, obejmując się rękami i kołysząc w przód i w tył, jakby przemarzał na wskroś.

- Sehr bald wird ihm kalt werden - powiedziała do koleżanki doktor von Rohr. („Zaraz zrobi mu się zimno”).

- Mir ist nicht immer kalt - zaoponował ojciec Jacka. („Nie zawsze mi zimno”).

Doktor Krauer-Poppe wstała i położyła rękę na ramieniu Williama, który dygotał na swoim krześle.

- Otwórz usta, Williamie - poprosiła. - Jeśli to wezmiesz, nie będzie ci zimno. Zrobisz się senny.

Ojciec Jacka odwrócił głowę i wysunął język. (Jack uznał, że przy pierwszej okazji musiał źle odczytać jego intencje). Doktor Krauer-Poppe położyła mu tabletkę na języku, po czym uniosła do jego ust szklankę z wodą. William popił i przełknął ślinę.

- Sprawdź, czy Hugo podstawił samochód. Miał to zrobić - powiedziała doktor von Rohr, wstając od stołu.

- Profesor Ritter ma dom w jednym z tych horrendalnie drogiej miasteczek za jeziorem - zaczął znówu William. - W Zollikon albo Küsnacht.

- Küsnacht, Williamie. Jest bardzo piękne - zapewniła Jacka doktor Krauer-Poppe. - Na tamtą stronę dociera więcej słońca.

- Taksówkarz mi mówił - odpowiedział Jack.

- Masz pojęcie, ile to kosztuje? - zapytał William. - Cztery miliony franków szwajcarskich, i to za co? Domek trzysta, czterysta metrów kwadratowych za ponad trzy miliony dolarów? Istny obłąd!

- Domek z ogródkiem i widokiem na jezioro - uściśliła doktor Krauer-Poppe.

- Powierzchnia działki wynosi tysiąc metrów kwadratowych, Williamie.

- Nadal uważam, że to obłąd - odrzekł uparcie ojciec Jacka, ale przynajmniej drzenie ustało.

Doktor Krauer-Poppe stała za jego krzesłem i masowała mu barki. Czekwała, aż tabletki zaczną działać.

- Jack mógłby kupić mały dom w mieście, coś niezbyt drogiego, Williamie -powiedziała.
- Jestem pewna, że nie dba o widok na jezioro.

- Wszystko w Zurychu jest drogie! - oświadczył William.

- Płacisz tylko za ubrania i prostytutki. Co jeszcze kupowałaś? - spytała doktor Krauer-Poppe.

- Widzisz, co się tu dzieje, Jack? Jak w małżeństwie! - oburzył się ojciec. - Na dodatek mam aż dwie żony! - dodał na widok powracającej doktor von Rohr.

- Trudno w to uwierzyć, ale Hugo już jest - oznajmiła. - O dziwo, zapamiętał.

- Jesteś dla niego zbyt surowa - powiedział William. - Czekaj, aż go poznasz, Jack. To typ Hermana Castro.

Czyli zapaśnik wagi ciężkiej, zawyrokował w duchu Jack, patrząc na Hugona pochylonego nad maską czarnego mercedesa i zajętego polerowaniem znaczka rękawem białej koszuli. Z ubioru przypominał raczej kelnera niż szofera i pielęgniarza, którym w istocie rzeczy był. Lecz (nawet mimo białej koszuli) Jack zobaczył na pierwszy rzut oka, że Hugo dysponuje masą zagorzałego pakera.

Podczas gdy jego siostra Waltraut była niska i przysadzista, Hugo osiągnął wprost gigantyczne rozmiary. Na dodatek dokonał tego własnym wysiłkiem. Rękawy koszuli trzeszczały w szwach na wybujanych bicepsach, a kark zyskał objętość równą niemal obwodowi pasa Williama. Niestety, Hugo golił też głowę, co w jego wypadku nie było może jednak takim głupim pomysłem. Miał szeroką, płaską twarz o grubo ciosanych rysach. Pojedynczy złoty kolczyk zwracał uwagę na brak części drugiego ucha. (Rezultat starcia z psem w klubie nocnym, zdradził Jackowi William po drodze z Kilchbergu).

- Ale nie użalaj się nad Hugonem - dodał William. - Pies gorzej oberwał. (Doktor Horvath powiedział później Jackowi, że w odwecie za ucho Hugo zabił psa).

Wobec aparycji Hugona obiekcje doktor von Rohr i doktor Krauer-Poppe bynajmniej nie dziwiły. Nie był on młodzieńcem mogącym liczyć na przychylność wyedukowanych pań o wyrafinowanym guście, większość kobiet uznałaby go też za odpychającego. Niestety, Hugo miał nie tylko wygląd goryla, ale i jego osobowość.

Młodsze pielęgniarki w klinice (te, które ustawiały się w kolejce do golenia Williama) traktowały go z góry. Starsze kobiety, w tym siostra Hugona i obie lekarki, zapewne rozstawiały go po kątach. Hugo był osiłkiem, który nie znał się na subtelnościach. Ale przynajmniej Jack poznał kogoś, kto mógł mu doradzić dobrą siłownię. Poza tym Hugo wprost przepadał za Williamem.

W wypadku młodego człowieka, który zadawał się z prostytutkami, znajomość ze starszym dżentelmenem klasy Williama Burnsa oznaczała niewątpliwą nobilitację w oczach przedstawicielek wspomnianej profesji.

- Hugo! - wrzasnął William, witając osiłka jak starego przyjaciela. - Poznaj mojego syna Jacka, den Schauspieler. („Aktora”, powiedział William. Podobnie przedstawił syna wszystkim pasażerom autobusu linii numer sześćdziesiąt jeden).

William upierał się, aby Jack i doktor von Rohr zabrali go do Zurychu autobusem. Szczycił się swą znajomością komunikacji publicznej i chciał zademonstrować synowi, w jaki sposób przemieszcza się zwykle z kliniki do miasta. (Czarny mercedes był przeznaczony tylko na wypadki wieczorne).

Większość pasażerów autobusu najwyraźniej dobrze go znała.

- Poznajcie mojego syna Jacka - oznajmił wszem wobec William. - Den Schauspieler.

- Widziałem wszystkie twoje filmy - powiedział Hugo. - Oglądałem je razem z Williamem. Te kawałki nigdy się nie zestarzeją! - zawołał, potrząsając (i potrząsając) ręką Jacka.

Jack zobaczył, że lekarki wymieniły spojrzenia, jak gdyby słowo „zestarzeć” mogło podziałać jako katalizator, przynajmniej w niektórych kontekstach. Ale nie tym razem. Ojciec

Jacka rozpływał się w uśmiechach, bardziej kołysząc się aniżeli podskakując na nogach. (Albo wspomniany wyraz nie był katalizatorem, albo lekarstwo doktor Krauer-Poppe zaczęło działać).

- Nie żegnam się z tobą, Jack - zaznaczył ojciec. Otoczył ramionami kark syna, a jego głowa opadła na pierś Jacka lekko jak piórko.

- Nie musisz się z nim żegnać, Williamie - zapewniła doktor von Rohr. - Wystarczy, że powiesz: „Bis morgen”. („Do jutra”). Zobaczycie się rano.

- Bis morgen, tatku.

- Bis morgen - szepnął ojciec. - Wyobrażam sobie, jak otulam cię kołdrą, drogi chłopcze, a może to ty otulasz mnie.

- Obawiam się, że to zadanie dla Hugona, Williamie - oświadczyła doktor Krauer-Poppe.

- Cóż za radość - odrzekł William, wypuszczając syna z objęć.

Jack pocałował ojca, muskając jego usta suchymi, zaciśniętymi wargami, tak jak nauczyła go Heather. William odpowiedział mu tym samym.

- Oho, widzę, że całowałaś siostrę!

Jack postanowił zaryzykować, lecz czuł, że to odpowiednia chwila. W razie czego Hugo i lekarki przyjdą mu z pomocą.

- Kocham cię, tatku - powiedział, obojętny na działanie słowa „kocham”. - Kocham każdy centymetr twojej skóry. Naprawdę.

Hugo zrobił minę, jakby chciał mu przyłożyć. Doktor von Rohr i doktor Krauer-Poppe nie spuszczały Williama z oczu. Wszyscy zachodzili w głowę, jak zareaguje na słowo „skóra”. Czy wywoła ono lawinę, czy też nieoczekiwanie okaże się do przyjęcia.

- Powtórz to, Jack - odrzekł ojciec. - Wyzywam cię.

- Kocham ciebie i każdy centymetr twojej skóry - powtórzył Jack.

William Burns położył rękę na sercu, po czym uśmiechnął się do Hugona i lekarek.

- Ma jaja, co? - zapytał.

- To wykracza poza moją specjalizację - odpowiedziała doktor von Rohr.

- Ja zajmuję się tylko lekami - dodała doktor Krauer-Poppe.

Lecz William nie zdradzał żadnych oznak obłędu. Trzymał się za serce, gdyż chciał poczuć, jak bije.

- Kocham ciebie i każdy centymetr twojej skóry, drogi chłopcze! Nie zapomnij zadzwonić do siostry.

Naraz ogarnęło go znużenie. Hugo posadził Williama na tylnym siedzeniu, gdzie wyglądał jak mały chłopiec, który po raz pierwszy jedzie do szkoły. Szofer zapiął mu pas, po czym znów wyściskał Jackowi rękę. (Jack przestraszył się, że mu ją wyrwie).

- Masz jaja jak der Mond - oznajmił Hugo. („Jak księżyc”). Następnie siadł za kierownicą i odjechali.

- Bis morgen - zawołała doktor Krauer-Poppe.

- Wrócę do domu taksówką - powiedziała doktor von Rohr. - Mieszkam w innej części miasta - wyjaśniła Jackowi.

W pobliżu Bellevueplatz znajdował się postój taksówek; doktor Krauer-Poppe i Jack zczekali, aż doktor von Rohr wsiądzie do wolnej. Kobiety ucałowały się w policzki i życzyły sobie dobrej nocy.

- Zapewniam cię, że nigdy nie zostałam trafiona piorunem, Jack - rzuciła na pożegnanie doktor von Rohr. - W każdym razie nie w głowę. Trafił mnie twój ojciec, ale nie w głowę, tylko w serce.

Jack ruszył z doktor Krauer-Poppe w kierunku Quaibrücke, wrócili razem do hotelu „Zum Storchen”.

- Na pewno nie chcesz, żebym cię odprowadził? - zapytał.

- Mieszkam w pobliżu hotelu - odpowiedziała - ale w życiu nie trafiłbyś z powrotem. Uliczki są wąskie i wiją się we wszystkie strony.

- Ile lat mają twoje dzieci? - spytał. Noc była piękna, w Limmat odbijały się światła miasta.

- Mam dwóch chłopców, dziesięcio- i dwunastoletniego - odrzekła. - Gdybym kiedykolwiek musiała pożegnać się z nimi tak, jak musiał zrobić to twój ojciec, chyba bym się zabiła. Lub przy odrobinie szczęścia trafiła do ośrodka takiego jak Sanatorium Kilchberg. I to bynajmniej niejako lekarz.

- Rozumiem.

- Kocham twojego ojca i każdy centymetr jego skóry - dodała z uśmiechem.

- Czy on kiedykolwiek wyzdrowieje?

- Czasami jest w znacznie gorszym stanie niż dzisiaj - odrzekła. - Lecz ani mu się nie pogorszy, ani nie polepszy. Zostanie, jaki jest.

- Na szczęście ma obok siebie takich ludzi jak wy.

- Za to musisz podziękować siostrze, Jack. Poniosła wiele ofiar - oznajmiła doktor Krauer-Poppe. - Poważnie myślisz o kupnie domu?

- Owszem, bardzo poważnie.

- Mój mąż zna się na nieruchomościach, pewnie mógłby ci coś doradzić. Ja zajmuję się tylko lekami.

Stanęli na Weinplatz, przed wejściem do „Storchen”.

- Jesteś pewna... - zaczął, ponownie nawiązując do propozycji odprowadzenia jej do domu.

- Tak, jestem - wpadła mu w słowo. - Będę w łóżku, zanim skończysz rozmawiać z Heather. Nie zapomnij do niej zadzwonić.

Stała, nie ruszając się z miejsca. Jack czuł, że chce coś dodać, ale może uważa, że za mało się znają.

- Nie wracasz do domu, Anno-Elisabeth? - zapytał.

Znów zasłoniła rękami twarz; jak na tak poważną (i piękną) kobietę, był to osobliwie dziecienny gest.

- O co chodzi?

- To nie moja sprawa... masz psychiatrę.

- Proszę, powiedz mi, co myślisz.

- Myślę, że powinieneś zakończyć tę chronologiczną terapię - oznajmiła. - A kiedy już to zrobisz, poproś terapeutkę o małe co nieco. Dopóki snujesz swoją chronologiczną opowieść, zapewne wolałbyś tego nie brać.

- Masz na myśli tabletki? - spytał.

- Tak, tabletki - odpowiedziała. - Podobne do tych, które dajemy twojemu ojcu, ale nowsze. Różnią się nieco od zolofu i seropramu. Noszą nazwę cipralex i zawierają nowy składnik o nazwie escitalopram. Charakteryzują się szybszym działaniem... raczej tydzień niż dwa lub trzy... i dlatego dawka wynosi dziesięć miligramów zamiast dwudziestu.

- Czy to lek antydepresyjny? - zapytał Jack.

- Oczywiście - odrzekła. - W Stanach to się chyba nazywa lexapro, ale doktor Garcia będzie wiedziała. Podobno escitalopram powoduje mniej skutków ubocznych, choć są na ten temat różne opinie. Spadek libido, potencjalna impotencja bądź opóźniony wytrysk mogłyby ci się nie spodobać. - Doktor Krauer--Poppe spojrzała na niego z uśmiechem. - Nie wspominając o tym, jak wpłynąłby na twoją opowieść, Jack. Dlatego najpierw zakończ terapię.

- Twoim zdaniem, jestem w depresji, Anno-Elisabeth?

- Też pytanie! - zawołała ze śmiechem. - Układasz w porządku chronologicznym wszystko, co skłoniło cię do gniewu, śmiechu lub łez... naturalnie, że jesteś w depresji! Dziwię się, że sam nie trafiłeś do ośrodka, Jack. I to bynajmniej niejako gość.

- Ale skąd będę wiedział, że skończyłem? To ciągnie się w nieskończoność.

- Będziesz wiedział, Jack - zapewniła doktor Krauer-Poppe. - Skończysz wtedy, kiedy zechcesz podziękować doktor Garcii za to, że cię wysłuchała. Wtedy, kiedy zapragniesz opowiedzieć wszystko komuś innemu... komuś, kto nie jest psychiatrą.

- Ach tak.

- Gott\ - wykrzyknęła. - Kto by pomyślał, że sposób wymawiania „ach tak” może być uwarunkowany genetycznie?

Uścisknąwszy Jackowi dłoń, odeszła, chwiejnie stawiając wysokie obcasy na brukowanym chodniku.

- Do zobaczenia rano w tym samym miejscu, Jack - rzuciła przez ramię. - Zaprowadzę cię do kościoła. William przyjedzie z doktorem Horvathem.

- Bis morgen\}. - zawołał. Następnie wrócił do hotelu i zadzwonił do siostry.

Na bloku papieru listowego leżącego obok telefonu rozpoznał rankiem swój charakter pisma.

Cipralex, 10 MG (Lexapro w Stanach?) ZAPYTAĆ DOKTOR GARCIE

Jak powiedział profesor Ritter? „Pański ojciec poniósł liczne straty”. One wystarczyły, by przejąć człowieka na wskroś chłodem; być może tatuaże nie miały z tym nic wspólnego.

Rozmowa z Heather przebiegła gładko. Jack wprawdzie wyrwał siostrę z łóżka, ale i tak się ucieszyła.

- No, wreszcie go zobaczyłem. Ależ to trwało! Spędziliśmy razem kilka godzin

- zaczął. - Doktor von Rohr, doktor Krauer-Poppe i ja zabraliśmy go na kolację do „Kronenhalle”. Oczywiście poznałem Hugona i innych.

- Powiedz to! - wrzasnęła Heather.

- Kocham go - odparł pośpiesznie.

- Nic więcej nie musisz mówić, Jack - odpowiedziała i zaczęła płakać.

- Kocham ojca i każdy centymetr jego skóry - dodał.

- Boże, chyba nie powiedziałeś „skóra”, co?

- W tym kontekście uszło mi to płazem - wyjaśnił. - Uznał, że mam jaja.

- No ba! - krzyknęła Heather.

- Było kilka incydentów... nic poważnego - dodał.

- Zawsze będą incydenty, Jack. Nie musisz mi o nich opowiadać.

- Nie masz nic przeciwko prostytutkom? - zapytał.

- A ty? ,

Odpowiedział, że w zasadzie nie.

- Przy Hugonie nic mu nie grozi - dodał.

Zastanawiali się, czy wspomnieć o tym panie Wurtz. Jack miał wielką ochotę zadzwonić do Caroline i opowiedzieć jej wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. („Może nie wszystko, Jack - perswadowała Heather. - Zostaw prostytutki na inną okazję”).

Wspólnie zachodzili w głowę, czy Hugona stać na bardziej idiotyczny wyskok niż złoty kolczyk w ocalałym uchu.

- Uważasz, że chce zwrócić uwagę na to nadgryzione? - spytała Heather.

- Właściwie mógł założyć kolczyk na górną część uszkodzonego - zauważył Jack.

Heather była ciekawa, czy William przedstawi Jackowi prostytutki, do których chodzi.

- Mógłbyś sprawdzić, czy są miłe. I przykazać, aby traktowały go jak należy - dorzuciła.

- I tak ma niewiele prywatności - odparł Jack.

Doszli do wniosku, że trzeba zapewnić ukochanym osobom odrobinę przestrzeni, nawet jeśli obawiamy się o ich życie.

- Czyż oni nie są wspaniali? - zapytała Heather. - Mam na myśli lekarzy... profesora Rittera też.

- No tak... - zaczął Jack. - Jasne, że są! - zawołał.

- Będziesz dzwonił codziennie? - spytała.

- Jasne, że będę! Jeśli zapomnę, zadzwoń na mój koszt.

Heather znowu się rozplakała.

- Chyba mnie kupiłeś, Jack. Sprzedałam ci się bez reszty! - oświadczyła przez łzy.

- Kocham cię, Heather.

- Kocham ciebie i każdy centymetr twojej skóry - odpowiedziała.

Jack opowiedział siostrze o gwałtownej reakcji ojca na wieść o planach zakupu domu w Zurychu. (I to wszystko ze strony człowieka, który nie zdawał sobie sprawy z kosztów pobytu w ośrodku ani z tego, że środki na jego utrzymanie już się skończyły, co stanowiło główny powód, dla którego Heather skontaktowała się z Jackiem!).

Omówili też kwestie prozaiczne, co do których Jack był pewien, że nigdy ich z nikim nie poruszy, na przykład szczegóły dotyczące przyszłego domu. Liczba pokoi, liczba łazienek, na miłość boską. (William powiedziałby to identycznie).

Jack uświadomił sobie coś oczywistego, a mianowicie, że gdy człowiek jest szczęśliwy (zwłaszcza po raz pierwszy w życiu), przychodzą mu do głowy rzeczy, o których w innej sytuacji w ogóle by nie pomyślał.

Cóż to był za poranek! Najpierw strumień światła wpadający do hotelowego pokoju, potem kawa i skromne śniadanie w kawiarni na Limmat. Proste czynności nigdy nie wydawały się tak złożone, a może było na odwrót? Jack czuł się równie bezradny wobec tego, co miało się wydarzyć, jak owego pamiętnego dnia, kiedy William Burns zapłodnił Alice Stronach.

Przed hotelem „Zum Storchen”, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie poprzedniego wieczoru rzuciła pod jego adresem: Bis morgen, stała supermodelka farmacji, doktor Anna-Elisabeth Krauer-Poppe. Dziś również miała na sobie wystrzałową kreację. Jack zrozumiał, dlaczego w klinice wkładała fartuch: aby ludzie wokół nie padli na jej widok z wrażenia.

Poszli wąskimi uliczkami w kierunku kościoła Świętego Piotra. Jackowi przyszło do głowy, że któregoś dnia nauczy się nazw tych ulic na pamięć. Schlüsselgasse, naprzeciw Veltliner Keller, i Weggengasse: słyszał je w głowie jak muzykę.

- Piękny ranek, prawda? - zagadnęła doktor Krauer-Poppe. Ze zrozumieniem spostrzegła, że Jack nie może wydusić słowa. - U Świętego Piotra znajduje się największy zegar w Europie, czterostronny - opowiadała, dyskretnie ignorując jego zakłopotanie. - Chcesz chusteczkę? - spytała, sięgając do torebki.

Jack pokręcił głową.

Zamierzał jej powiedzieć, że słońce osuszy łzy, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Odchrząkiwał raz po raz.

Przy szaroniebieskim kościele znajdował się mały brukowany plac z mnóstwem drzew; na parapetach okolicznych domów i sklepów stały skrzynki z kwiatami. Robotnicy odnawiali budynek mieszkalny po drugiej stronie placu, naprzeciw kościoła. Stali na rusztowaniu. Bębnił młotek, dwóch mężczyzn wykonywało jakąś skomplikowaną czynność z użyciem piły. Czwarty robotnik dopasowywał rury, pewnie w celu podwyższenia rusztowania.

To właśnie on pierwszy zauważył doktor Krauer-Poppe i pomachał do niej ręką. Pozostali trzej robotnicy zwrócili spojrzenia na lekarkę; dwóch zaczęło wiwatować, jeden gwizdnał.

- Chyba cię znają - powiedział Jack, z ulgą odzyskując głos. - Czy może robotnicy zawsze tak reagują na twój widok? - Przeszedł na „ty”.

- Zobaczysz - odrzekła. - Ci są trochę inni.

Ku swemu zdziwieniu Jack zauważył, że mimo wczesnej pory do kościoła ciągnie spora garstka osób. Zapytał, czy będzie msza. Nie, Kirche St. Peter to kościół protestancki, odpowiedziała Anna-Elisabeth. Msze odbywają się tylko w niedziele.

- Nie możemy im zabronić - dodała. - Święty Piotr jest otwarty dla wiernych.

Jack ujrzał kolejne rzesze ludzi: wyglądali na miejscowych. Mężczyźni w garniturach, podobni do bankiera z toalety w „Kronenhalle”, kobiety z małymi dziećmi, całe rodziny. Nawet nastolatki.

- Wszyscy przychodzą go posłuchać? - zapytał.

- Jak mamy ich powstrzymać? - odpowiedziała pytaniem. - Czyż nie tak sprzedaje się filmy i książki? Jeśli się nie mylę, to nosi nazwę poczty pantoflowej.

Kościół był wypełniony po brzegi, zostały tylko miejsca stojące.

- I tak nie będziesz siadał - oznajmiła doktor Krauer-Poppe. - Wyjdiesz, zanim skończy. William nie chce, abys poczekał do końca, nie za pierwszym razem.

- Do końca czego? - spytał Jack. - Dlaczego miałbym wyjść przed końcem?

- Zaufaj mi - odrzekła Anna-Elisabeth. - Klaus... doktor Horvath... wyprowadzi cię na zewnątrz. Będzie wiedział, kiedy to zrobić. - Znów zasłoniła rękami twarz. - Wszyscy wiemy - dodała.

Posadzkę kościoła wykonano z szarego marmuru. Zamiast ławek stały tam krzesła z jasnego drewna, ustawione w rzędy. Wierni siedzieli tyłem do organów, jak podczas mszy, z kazaniem i w ogóle. Jack zastanawia! się, dlaczego po prostu nie odwrócić krzesła, ażeby widzieć organistę, którego przyszli posłuchać.

Organy znajdowały się na piętrze w tyle świątyni, ponad krzesłami. Ławka (jeśli Jack mógł się zorientować) stała tyłem do ołtarza. Organista widział tylko górujące nad nim, obramowane drewnem srebrne piszczałki instrumentu.

Dziwne, pomyślał Jack. Organista siedzi plecami do wiernych i vice versa!

Pod wyniesioną drewnianą kazalnicą stała czarna urna z kwiatami. Nad ołtarzem widniała inskrypcja.

Matth. IV. 10.

Du solt anbatlen Den Herren deinen Gott md Ihm allein dienen

Był to staroniemiecki. Jack poprosił o tłumaczenie doktor Krauer-Poppe.

- „Będziesz czcił Pana Boga swego i Jemu tylko służył”.

- Mój ojciec chyba zasługuje na miano prawdziwego chrześcijanina - zauważył Jack.

- William nie próbuje nikogo nawracać - odrzekła Anna-Elisabeth. - Może wierzyć, w co zechce. Nigdy nikomu nie mówi, w co należy wierzyć.

- Chyba że chodzi o kwestię przebaczenia - zaznaczył Jack. - Zwłaszcza w stosunku do mojej matki.

- To niekoniecznie kwestia religijności, Jack - odpowiedziała doktor Krauer--Poppe. - Raczej zdrowego rozsądku, prawda?

Wyprowadziła Jacka przed kościół, po czym znaleźli inne wejście i wspięli się po schodach tam, gdzie znajdowały się organy. Mniejsze niż zazwyczaj, bardzo ładne, z elementami jasnego drewna. Miały pięćdziesiąt trzy rejestry i były dziełem firmy Muleisen ze Strasburga.

Jack popatrzył na wiernych i zobaczył, że nawet ci, dla których zabrakło miejsc siedzących, stoją twarzami do ołtarza.

- Domyślam się, że nikt nie chce widzieć - zwrócił się do Anny-Elisabeth.

- Po prostu wyjdź z doktorem Horvathem, kiedy da ci znak - powiedziała doktor Krauer-Poppe. - Po skończonej grze William będzie potrzebował lodowatej wody, następnie gorącego wosku i znów lodowatej wody. Jeśli przyjedziesz jeszcze przed południem do Kilchbergu, będziecie mogli razem pobiegać. Po południu posłuchasz, jak gra z zawiązanymi oczami na zajęciach jogi. Możecie też obejrzeć razem któryś z twoich filmów! - dorzuciła z przejęciem. - Proszę tylko, żebyś w odpowiedniej chwili opuścił kościół, dobrze? Mówię poważnie.

- Dobrze - zgodził się Jack.

Kiedy ojciec wchodził po schodach z doktorem Horvathem, wielu ludzi odwróciło głowy, aby popatrzeć na Williama Burnsa. William był bardzo przejęty; na nikogo nie zwracał uwagi, nawet na Jacka. Tylko organom skinął głową. Jack poczuł, jak doktor Krauer-Poppe muska jego ramię. Chciała mu uświadomić, że ojciec zawsze zachowuje się tak przed koncertem. (Jak to ujęła poprzedniego wieczoru? „William jest, jaki jest”).

Nie powitały go oklaski ani nawet szmer. Jack nigdy nie słyszał równie nabożnej ciszy.

Doktor Horvath niósł nuty. (Na oko było ich całkiem sporo).

- Zwykle gra godzinę - szepnął głośno Jackowi do ucha. - Ale dzisiaj, przez wzgląd na ciebie, przedłuży koncert o pół godziny!

Naturalnie doktor Krauer-Poppe usłyszała jego słowa, wierni najprawdopodobniej też.

- Uważasz, że to dobry pomysł, Klaus? - spytała.

- A masz tabletkę, która mogłaby mnie powstrzymać? - zapytał William; Jack wiedział, że ojciec tylko się droczy, zorientował się po jego uśmiechu. Kiedy ten zasiadł przy instrumencie, popatrzył synowi w oczy, jak gdyby przypomniał sobie jego wczorajsze wyznanie. - Pamiętałeś, żeby zadzwonić do siostry, Jack?

- Pewnie. Gadaliśmy w nieskończoność.

- Kochany chłopiec - odpowiedział William. Jego wzrok spoczął na klawiaturze; Jack usłyszał, jak ojciec lekko muska stopami pedały.

Anna-Elisabeth wzięła nuty od doktora Horvatha i przekartkowała je pośpiesznie.

- Przed nami perspektywa skurczów palców, Williamie - oznajmiła.

- Przed nami perspektywa muzyki - odparł William, puszczając oko.

Jack z nerwów policzył żyrandole. (Wykonano je ze srebra i szkła, naliczył dwadzieścia osiem).

- Potem pójdziemy pobiegać! - zapowiedział doktor Horvath. - Dziś wieczorem idę z wami na kolację. Damy dziewczynom wolne!

- Świetnie. Nie mogę się doczekać - odpowiedział Jack.

- Niestety, nie do „Kronenhalle” - dodał doktor Horvath. - To małe, kameralne miejsce. Właściciel mnie zna, a za Williamem wprost przepada. Przed jego przyjściem zawsze zasłania lustra! - uzupełnił teatralnym szepem. - Czyż to nie genialne?

- Bitte, Klaus! - powiedziała doktor Krauer-Poppe.

Wręczyła nuty Williamowi, który wydawał się gotów do gry. Wierni sumiennie wlepili wzrok w ołtarz, studiując nakaz z Ewangelii według świętego Mateusza.

William wznosił ręce ponad klawiaturą, na wysokość barków. Jack usłyszał, jak bierze głęboki oddech. Sądząc po tym, jak wierni wyprostowali plecy, oni też to usłyszeli. To był znak.

- Zaczyna! - powiedział doktor Horvath. Pochylił głowę i przymknął oczy.

Dłonie Williama zdawały się dryfować na ciepłym prądzie powietrza, zawieszony niczym jastrząb na wietrze. Następnie opadły. Zabrzmiał utwór Bacha, preludium chóralne „Liebster Jesu, wir sind hier”. („Błogosławiony Jezu, jesteśmy tutaj”).

- Tranquillo - szepnął po włosku doktor Horvath.

Potem Jack skupił się już tylko na grze. Nie wierzył własnym uszom. Wierni siedzieli jak zaczarowani, nikt nie opuścił kościoła. Doktor Horvath, doktor Krauer-Poppe i Jack stali. Jack nie mógł mówić za innych, on jednak nie odczuwał zmęczenia: trwał nieruchomo,

chłonąc dźwięki. William Burns grał i grał, wszystkie swoje ulubione utwory. (Heather nazywała je „standardami”).

Grał ponad godzinę. Usłyszeli Haendla i pozostałych. Kiedy zaczął toccatę Bacha w d-moll (utwór cieszący się szczególnym powodzeniem wśród prostytutek w amsterdamskim Oude Kerk), doktor Horvath trącił Jacka łokciem.

- Prawie wychodzimy - oznajmił.

Oczywiście Jack nie miał na to najmniejszej ochoty, lecz Anna-Elisabeth nie spuszczała go z oka. Ufał jej, ufał im wszystkim. Trudno było w takim momencie opuścić kościół, jednakże obaj z doktorem Horvathem cicho zeszli po schodach. William niczego nie zauważył, pochłonięty grą.

W kościele było ciepło; otwarto wszystkie drzwi i okna, które dawały się otworzyć. Dźwięki Bacha płynęły ponad placem. Na zewnątrz, wśród drzew i kamiennych schodów prowadzących do kościoła, nie brzmiały tak głośno, ale człowiek i tak słyszał każdą nutę.

Wówczas Jack zauważył ludzi w oknach i drzwiach okolicznych budynków. Jak okiem sięgnąć, jego wzrok napotykał słuchaczy.

- Oczywiście zimą jest inaczej! - mówił doktor Horvath. - Ale też przychodzą posłuchać.

Jack stanął u stóp schodów, pośrodku placu. Słuchał muzyki i patrzył na melomanów. Z sąsiedniej budowy nie dochodził najłżejszy szmer: robotnicy dawno przerwali pracę. Porzuciwszy narzędzia, stali na baczność na rusztowaniu, zamienieni w słuch. Młotkowy zdjął koszulę, mężczyźni z piłą palili papierosy. Czwarty robotnik, ten od rur, trzymał w ręku kawałek rury i udawał, że dyryguje.

- Błazny! - skwitował doktor Horvath. Zerknął na zegarek. - Jak na razie żadnych skurczów!

Melodia wędrowała w górę, a może w dół.

- Czy zagra coś jeszcze? - spytał Jack.

- Został jeden utwór - odpowiedział doktor Horvath, kiwając głową.

Sądząc po zachowaniu robotników, znali repertuar równie dobrze jak on. Wyglądali tak, jakby się na coś przygotowywali.

Nagle utwór Bacha dobiegł końca. Nastąpiło to jednocześnie ze zdumiewającym exodusem: rodziny z dziećmi w popłochu opuszczały kościół. Niektóre z matek z młodszą dziatwą puściły się biegiem, zostali tylko dorośli i nastolatki.

- Tchórze! - rzucił z pogardą doktor Horvath. Kopnął kamień. - Przygotuj się, Jack. Do zobaczenia później, na joggingu! - Jack zrozumiał, że lekarz chce go zostawić.

Uświadomił sobie też, że zna ostatni utwór. Słyszał, jak Heather grała go w kościele Świętego Pawła. Jak mógłby zapomnieć? Toccata Boellmanna rodem z horroru. Robotnicy też znali Boellmanna, może William Burns zawsze grał go na końcu. Wiedzieli, co się święci.

Nie przypominało to sytuacji z Edynburga, kiedy dźwięki nie docierały poza kościół. To, co wydostało się z Kirche St. Peter, było wprost ogłuszające. Jack nie znał Boellmanna na tyle, aby wychwycić pierwszy błąd - pierwszy skurcz palców

- w przeciwieństwie do doktora Horvatha, który drgnął i zacisnął pięść, jakby właśnie przytrzasnął sobie palce drzwiczkami samochodu.

- Na mnie już czas! - zawołał.

Nastąpił drugi błąd, a potem trzeci. Jack usłyszał je wyraźnie.

- Palce? - zapytał doktora Horvatha.

- Nie masz pojęcia, ile bólu sprawia mu Boellmann, Jack - odpowiedział lekarz. - Mimo to nie może przestać grać.

Jack pomyślał o prostytutkach opodal Oude Kerk, które bez względu na porę nie mogły wrócić do domu, kiedy grał William Buras.

Przy czwartym błędzie doktor Horvath puścił się biegiem.

- Muszę tam być, kiedy zacznie się rozbierać! - krzyknął do Jacka, sadząc po trzy stopnie naraz.

Muzyka dudniła nadal: ścieżka dźwiękowa do ostatniej sceny pościgu. Mogłaby znaleźć się w jego kolejnym filmie. Może zdoła nakłonić ojca do zagrania Boellmanna, z błędami i w ogóle.

William mylił się raz za razem. Robotnicy zastygli na rusztowaniu.

Ponad gasnącą toccatą zabrzmiał krzyk Williama.

- Mam syna! Mam córkę i syna! - Następnie ojciec zacisnął palce i uderzył w klawiaturę pięściami.

Z wieży zegarowej wystrzeliło stadko gołębi, a robotnicy zaintonowali pieśń.

- Mam syna! - śpiewali; słuchając Williama Burnsa, nauczyli się nawet angielskiego. - Mam córkę i syna! - Przejawiali więcej entuzjazmu aniżeli talentu, lecz Jack i tak był w siódmym niebie.

- Venite exultemus Dominol - zaśpiewał ojciec, jakby intonował psalm.

Można by przyjąć, że przeciętny robotnik z placu budowy w Zurychu nie zna łaciny, jednakże ci mężczyźni nie po raz pierwszy słuchali Williama Burnsa, a poza tym (zgodnie z zapowiedzią Anny-Elisabeth) nie byli to zwykli robotnicy.

- Venite exultemus Domino! - zaśpiewali jak jeden mąż.

Młotkowy dzierżył młotek w ręce uniesionej wysoko ponad głowę, dwaj inni trzymali piłę w wyciągniętych rękach, jak gdyby składali ofiarę. Czwarty chwycił spory kawałek rury i podniósł go niczym sztandar.

- Venite exultemus Dominol - zaśpiewali chórem robotnicy i William.

Jack zawdzięczał znajomość tych słów wizycie w kościele Świętego Pawła.

- Pójdźmy chwalić Pana! - śpiewał ojciec. - Mam syna. Mam córkę i syna! Pójdźmy chwalić Pana!

Robotnicy dzielnie mu sekundowali.

Ludzie wychodzili z kościoła. Toccata Boellmanna ucichła, niebezpieczeństwo minęło. Jack wiedział, że ojciec zrzucił ubranie bądź znajdował się w trakcie owej czynności. W klinice ktoś nazwiskiem Bleibel (Waltraut lub Hugo) przygotowywał lodowatą wodę. Potem gorący воск i znów lodowata woda, jak wyjaśniła Anna-Elisabeth.

Niebawem William Burns stanie nago w Kirche St. Peter (może już stoi), przy wtórce pieśni własnego ciała. Następnie doktor Horvath (być może z pomocą doktor Krauer-Poppe) zacznie go ubierać. I pojadą do kliniki.

Koncert dobiegł końca, lecz robotnicy nie przestawali klaskać. Wówczas Jack zrozumiał, że on i jego ojciec nigdy nie grali dla jednoosobowego audytorium, chociaż w dzieciństwie Jackowi łatwiej było wierzyć, że występuje tylko dla swego ojca. (Będą musieli odbyć rozmowę na temat sprzeczki z panną Wurtz o znaczenie słowa „audytorium”. Tę i wiele innych rozmów).

Jack opuścił plac i znów znalazł się wśród wąskich uliczek. Dostrzegł parę osób z kościoła, podążały w tym samym kierunku. Cudownie było zrozumieć, że

Zurych jest jego miejscem na ziemi, przynajmniej do czasu, dopóki William Burns sypia na igłach.

Pomyślał, że wróci do hotelu i przebierze się w coś odpowiedniego do joggingu.

W Los Angeles minęła północ: za późno, aby dzwonić do doktor Garcii. Lecz Jack nie potrzebował rozmowy z psychiatrą. Zatelefonuje do jej biura i zostawi wiadomość na sekretarce. „Dziękuję, że pani mnie wysłuchała, doktor Garcia”, powie.

W Toronto było wpół do piątej. Caroline jeszcze śpi, ale ucieszy się telefonem od Jacka, zwłaszcza jeśli będzie dotyczył jej kochanego Williama. Jack nie mógł się doczekać, kiedy jej powie, że wreszcie go znalazł.

Podziękowania

W Toronto dla: Helgi Stephenson, Bruce'a Smucka, dra Martina Schwartza, detektywa Raya Zarba, Debbie Piotrowski.

W Edynburgu dla: Mary Haggart, biskupa Richarda Hollowaya, Florence In-gleby, Alana Taylora, Kerstie Howell, Aly Barr, Billa Stronacha, Davida Valenti-ne'a, Johna Kitchena, Elaine Kelly, Euana Fergusonona.

W Halifaksie i New Glasgow w Nowej Szkocji dla: Charlesa Burchella, Jer-ry'ego Swallowa vel Marynarza Jerry'ego, Dave'a Schwarza.

W Kopenhadze dla: Susanne Bent Andersen, Kirstin Ringhof, Merete Borre, Trine Licht, Mortena Hesseldahla, Lisbeth Moller-Madsen, Lassego Ewerlófa, Bimba.

W Sztokholmie dla: Charlotte Aquilonius, Doca Foresta, Torvalda Torena, Unn Palm, Anny Andersson.

W Oslo dla: Mai Gaardsted, Jannekena Overlanda, Kare Nordstogai.

W Helsinkach dla: Olliego Arrakoski, Paivi Haarala, Jaakko Tapaninena, Ta-pio Tittu, Diego, Nipy, Taru.

W Amsterdamie dla: Robberta Ammerlaana, Joepa de Groota, Heńka Schiff-machera vel Hokusa-Pokusa, Louise van Teylingen, Willema Vogla.

W Los Angeles dla: Roberta Bookmana, Richarda Gladsteina, Alana Hergotta.

W Zurychu dla: Ruth Geiger, Anny von Planta, prof. Waldemara Greila, dra Andreea Horvatha, dra Olivera Hartmanna, dr Stephanie Krebs, dr Alice Wal-der, dr Christine Huwig-Poppe.

Specjalne podziękowania dla: Kelly Harper Berkson, Davida Calicchio, Kate Mediny, Harveya Ginsberga, Craiga Novy, Alyssy Barrett, Amy Edelman, Janet Turnbull Irving.

Pragnę wyrazić wdzięczność za udostępnienie praw do wykorzystania niżej wymienionych utworów:

Carcenet Press Limited: fragment „Kawałek tortu weselnego” z „Complete Poems in One Volume” Roberta Gravesa, wydane przez Carcanet Press Limited.

Hope Publishing Company and Stainer & Bell Ltd: fragment z „Lord of the Dance” Sydneya Cartera (1915-2004), copyright 1963 Stainer & Bell Ltd. Prawa w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie: Hope Publishing Company, Carol Stream, IL 60188. Prawa na resztę świata zarządzane przez: Stainer & Bell Ltd., 23 Grunei-sen Road, Londyn N3 1DZ, Anglia.

Sony/ATV Music Publishing LLC: fragment z „When I’m 64” Johna Lennona i Paula McCartneya, copyright 1967 (odnowione). Sony/ATV Music Publishing, 8 Music Square West, Nashville, TN, 37203. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Special Rider Music: fragment z „Don’t Think Twice, It’s All Right” Boba Dylana, copyright 1963 Warner Bros. Inc., odnowione w 1991 przez Special Rider Music. Fragment z „Mama, You’ve Been on My Mind” Boba Dylana, copyright 1964 Warner Bros. Inc., odnowione w 1992 przez Special Rider Music. Fragment z „Mr. Tambourine Man” Boba Dylana, copyright 1964 Warner Bros. Inc., odnowione w 1992 przez Special Rider Music. Fragment z „Just Like a Woman” Boba Dylana, copyright 1966 Dwarf Music. Fragment z „It’s All Over Now, Baby Blue” Boba Dylana, copyright 1964 Warner Bros. Inc., odnowione w 1992 przez Special Rider Music. Fragment z „Idiot Wind” Boba Dylana, copyright 1974 Ram’s Horn Music. Fragment z „I Want You” Boba Dylana, copyright 1966 Dwarf Music. Wszelkie prawa zastrzeżone.

The Society of Authors: fragment z „Oh When I was in Love with You” A. E. Housmana. Przedruk za zgodą The Society of Authors jako właściciela spuścizny literackiej A. E. Housmana.

Chciałabym serdecznie podziękować:

Ewie i Rafałowi za pomoc,

Asi i Marcinowi za słowa otuchy

oraz Pewnej Szczególnej Osobie: It was then that I broke down, It was then that you lifted me up again.

Tłumaczka